



# Amiszcza

JOHN  
GWYNNE

## Spis treści

*Karta tytułowa*

*Karta redakcyjna*

*Dedykacja*

*Podziękowania*

*Mapa*

*Cytat*

Rozdział pierwszy. ULFILAS

Rozdział drugi. CORBAN

Rozdział trzeci. UTHAS

Rozdział czwarty. MAQUIN

Rozdział piąty. CAMLIN

Rozdział szósty. RAFE

Rozdział siódmy. TUKUL

Rozdział ósmy. CYWEN

Rozdział dziewiąty. FIDELE

Rozdział dziesiąty. UTHAS

Rozdział jedenasty. MAQUIN

Rozdział dwunasty. CYWEN

Rozdział trzynasty. CAMLIN

Rozdział czternasty. VERADIS

Rozdział piętnasty. CORALEN

Rozdział szesnasty. CORBAN

Rozdział siedemnasty. UTHAS  
Rozdział osiemnasty. CORBAN  
Rozdział dziewiętnasty. CAMLIN  
Rozdział dwudziesty. FIDELE  
Rozdział dwudziesty pierwszy. LYKOS  
Rozdział dwudziesty drugi. HAELAN  
Rozdział dwudziesty trzeci. ULFILAS  
Rozdział dwudziesty czwarty. TUKUL  
Rozdział dwudziesty piąty. CAMLIN  
Rozdział dwudziesty szósty. RAFE  
Rozdział dwudziesty siódmy. MAQUIN  
Rozdział dwudziesty ósmy. LYKOS  
Rozdział dwudziesty dziewiąty. FIDELE  
Rozdział trzydziesty. CAMLIN  
Rozdział trzydziesty pierwszy. HAELAN  
Rozdział trzydziesty drugi. MAQUIN  
Rozdział trzydziesty trzeci. RAFE  
Rozdział trzydziesty czwarty. CYWEN  
Rozdział trzydziesty piąty. FIDELE  
Rozdział trzydziesty szósty. CORBAN  
Rozdział trzydziesty siódmy. VERADIS  
Rozdział trzydziesty ósmy. TUKUL  
Rozdział trzydziesty dziewiąty. UTHAS  
Rozdział czterdziesty. VERADIS

Rozdział czterdziesty pierwszy. RAFE  
Rozdział czterdziesty drugi. CAMLIN  
Rozdział czterdziesty trzeci. EVNIS  
Rozdział czterdziesty czwarty. MAQUIN  
Rozdział czterdziesty piąty. CORALEN  
Rozdział czterdziesty szósty. CORBAN  
Rozdział czterdziesty siódmy. FIDELE  
Rozdział czterdziesty ósmy. ULFILAS  
Rozdział czterdziesty dziewiąty. CAMLIN  
Rozdział pięćdziesiąty. CYWEN  
Rozdział pięćdziesiąty pierwszy. HAELAN  
Rozdział pięćdziesiąty drugi. ULFILAS  
Rozdział pięćdziesiąty trzeci. TUKUL  
Rozdział pięćdziesiąty czwarty. CORBAN  
Rozdział pięćdziesiąty piąty. VERADIS  
Rozdział pięćdziesiąty szósty. CYWEN  
Rozdział pięćdziesiąty siódmy. EVNIS  
Rozdział pięćdziesiąty ósmy. VERADIS  
Rozdział pięćdziesiąty dziewiąty. LYKOS  
Rozdział sześćdziesiąty. ULFILAS  
Rozdział sześćdziesiąty pierwszy. CORALEN  
Rozdział sześćdziesiąty drugi. ULFILAS  
Rozdział sześćdziesiąty trzeci. UTHAS  
Rozdział sześćdziesiąty czwarty. CORBAN

Rozdział sześćdziesiąty piąty. MAQUIN  
Rozdział sześćdziesiąty szósty. CYWEN  
Rozdział sześćdziesiąty siódmy. ULFILAS  
Rozdział sześćdziesiąty ósmy. CAMLIN  
Rozdział sześćdziesiąty dziewiąty. CORALEN  
Rozdział siedemdziesiąty. CAMLIN  
Rozdział siedemdziesiąty pierwszy. HAELAN  
Rozdział siedemdziesiąty drugi. FIDELE  
Rozdział siedemdziesiąty trzeci. VERADIS  
Rozdział siedemdziesiąty czwarty. MAQUIN  
Rozdział siedemdziesiąty piąty. ULFILAS  
Rozdział siedemdziesiąty szósty. VERADIS  
Rozdział siedemdziesiąty siódmy. EVNIS  
Rozdział siedemdziesiąty ósmy. CORBAN  
Rozdział siedemdziesiąty dziewiąty. ULFILAS  
Rozdział osiemdziesiąty. CORBAN  
Rozdział osiemdziesiąty pierwszy. ULFILAS  
Rozdział osiemdziesiąty drugi. HAELAN  
Rozdział osiemdziesiąty trzeci. CAMLIN  
Rozdział osiemdziesiąty czwarty. EVNIS  
Rozdział osiemdziesiąty piąty. CAMLIN  
Rozdział osiemdziesiąty szósty. EVNIS  
Rozdział osiemdziesiąty siódmy. CYWEN  
Rozdział osiemdziesiąty ósmy. CORBAN

Rozdział osiemdziesiąty dziewiąty. RAFE

Rozdział dziewięćdziesiąty. CORBAN

Rozdział dziewięćdziesiąty pierwszy. CORALEN

Rozdział dziewięćdziesiąty drugi. CYWEN

Rozdział dziewięćdziesiąty trzeci. CORBAN

*Postaci*

JOHN GWYNE

# Żyli szczerą

KSIĘGA TRZECIA  
WIERNYCH I UPADŁYCH

PRZEŁOŻYŁ MARCIN MORTKA

WYDAWNICTWO MAG  
WARSZAWA 2019

Tytuł oryginału: *Ruin. The Faithful and the Fallen – Book Three*

Copyright © 2015 by John Gwynne

Copyright for the Polish translation © 2019 by Wydawnictwo MAG

Redakcja: Anna Włodarkiewicz

Korekta: Elwira Wyszynska

Ilustracja na okładce: Paul Young

Opracowanie graficzne okładki: Piotr Chyliński

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Tomek Laisar Fruń

Wydanie II

ISBN 978-83-66409-91-0

Wydawca: Wydawnictwo MAG

ul. Krypska 21 m. 63, 04-082 Warszawa

tel./fax 228134743

[www.mag.com.pl](http://www.mag.com.pl)

Wyłączny dystrybutor: Dressler Dublin sp. z o. o.

ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.

tel. 227335010

[www.olesiejuk.pl](http://www.olesiejuk.pl)

Skład wersji elektronicznej: [pan@drewnianyrower.com](mailto:pan@drewnianyrower.com)

Więcej ebooków i audiobooków na chomiku [JamaNiamy](#)



*Dla Williama,  
który zawsze przypomina mi o najlepszych chwilach życia  
i przynosi mi radość,  
oraz dla Caroline,  
powietrza, którym oddycham.*

## Podziękowania

Trudno mi uwierzyć, że cykl *Wierni i Upadli* liczy już trzy tomy. Wciąż nie przyzwyczailem się do tego, że widzę okładki *Zawiści* i *Męstwa* na półkach księgarń, a tu już mamy część trzecią! Podobnie jak w przypadku dwóch pierwszych tomów, praca nad *Zgliszczami* przypominała jazdę kolejką górską, ale na szczęście mogłem liczyć na wsparcie pokaźnego hufca życzliwych przyjaciół.

W pierwszej kolejności chciałbym podziękować mojej żonie Caroline oraz moim dzieciom – Harriett, Jamesowi, Edowi i Willowi – za ich nieustające wsparcie i zapał, z jakim podchodzili do Ziemi Wygnanych, a także za to, że przez sporą część ubiegłego roku pozwalali mi na ucieczkę do własnego świata fantasy. Wyłaniałem się z mojej wieży z kości słoniowej (czyt. znad zabałaganionego biurka) głównie po to, by wprawiać się w walce (czyt. pomagać w zadaniach domowych), co rzadko wychodziło mi na dobre. Ta książka nigdy by nie powstała, gdyby nie ich pomoc.

Chciałem także podziękować mojemu agentowi, Johnowi Jarroldowi, bez którego pomocy *Wierni i Upadli* nigdy nie ujrzeliby światła dziennego. To doprawdy fantastyczny agent oraz człowiek z ogromną klasą. Nie wyobrażam sobie nikogo innego w moim narożniku.

Dziękuję również mojej wspaniałej redaktorce w brytyjskim oddziale Tor, Julie Crisp, jednej z nielicznych osób na świecie bardziej krwiożerczych ode mnie. Jej talent i umiejętności językowe są dla mnie źródłem nieskończonej uciechy i jestem przekonany, że bez Julie praca nad cyklem okazałaby się o wiele nudniejszym wyzwaniem. Ponadto chciałem oczywiście podziękować Belli Pagan, Louise Buckley, Samowi Eadesowi, Robowi Coxowi, Jamesowi Longowi i wszystkim ludziom w Tor, dzięki którym cała ta pisanina wydaje się bułką z masłem (podczas gdy jest zupełnie inaczej, zapewniam was). Jestem również winien wdzięczność drugiej mej redaktorce, Jessice Cuthbert-Smith, damie, która ma niezwykle oko do najdrobniejszych nawet szczegółów, oraz oczywiście Willowi Hintonowi, memu redaktorowi po drugiej stronie oceanu, i całemu amerykańskiemu zespołowi w Orbit US.

Chcę podziękować także tym, którzy czytali *Zgliszcza* i podzielili się ze mną swoimi uwagami. To przecież nie jest mała książka – ba, wydaje mi się, że można by nią utłuc dorosłego olbrzyma! Na moją wielką wdzięczność zasłużyli w pierwszej kolejności Edward i William Gwynne. Mówiąc, że przeczytali *Zgliszcza*, dopuściłbym się sporego niedopowiedzenia – wszak obaj dosłownie zagrzebali się w treści i bez ustanku wyłapywali drobiazgi, które mnie umknęły (no dobra, o których zapomniałem) lub zgoła przyłapywali mnie na błędach. Zdradzę również, choć może nie powinienem, że lektura *Zgliszcz* doprowadziła Edwarda do łez. Powoli dochodzę do wniosku, iż być może oznacza to, że w książce jest trochę dobrego.

Powieść czytało też kilka innych osób – moja żona Caroline, Mark Roberson oraz David Emrys, którego dogłębna wiedza o walce wręcz okazała się niezwykle pomocna, jak i odrobinę niepokojąca. Nie chcę wiedzieć, w jakich okolicznościach ją posiadł. Na liście pierwszych czytelników znajduje się również Sadak Miah, mój najstarszy przyjaciel, jeden z dwóch postrzelenców, którzy utworzyli własny klub tolkienistyczny w szkole, z quizem dla każdego, kto chciałby do niego wstąpić. Lektura siedmiu rozdziałów *Zgliszcz* to ciut za mało, wiesz?

Chciałem także podziękować memu dobremu przyjacielowi Robertowi Sharpe'owi, jego bratu Johnowi i ich przyjacielowi Ciaránowi Mac Murchaidhowi za to, że pomogli mi wprowadzić język gaelicki do powieści.

I wreszcie chciałem podziękować wszystkim tym, którzy kupili książki z cyklu *Wiernych i Upadłych* i znaleźli w nich coś wartościowego. Niech kieruje Wami prawda i odwaga!



ziemie  
wynnych

Kłeska, zgliszcza  
I spustoszenie, każde jest mym zyskiem.

John Milton, *Raj utracony*

## Rozdział pierwszy

# ULFILAS

*Rok 1143 Ery Wygnańców, Księżyc Orła*

Ulfilas trącił piętami końskie boki, a wierzchowiec ruszył pod górę wśród szarych głazów i dawno zeschniętych drzew. Obok niego podążał król Jael o zaciętej twarzy, a kilka kroków przed nimi jechał królewski łowczy, Dag.

Jaela nie powinno tu być, myślał Ulfilas, a żołądek ścisnął mu niepokój. To nie do pomyślenia, by król Isiltiru wędrował bez celu po północnych pustkowiach.

Ulfilas bynajmniej nie odczuwał wobec Jaela wielkiej lojalności, gdyż w gruncie rzeczy nawet niespecjalnie go lubił. Odnosił jednakże wrażenie, że po wszystkim, przez co wspólnie przeszli, śmierć podczas wyprawy, która jego zdaniem była tylko stratą czasu, zakrawałaby na głupotę.

Miał świadomość, że czasy się zmieniają, na horyzoncie czai się wojna, a w Isiltirze należy umocnić władzę. Służył Jaelowi jako przyboczny od jego Długiej Nocy i choć nie przepadał za charakterem swego władcy i nie podobały mu się jego postęпки, był człowiekiem pragmatycznym.

Jestem wojownikiem, myślał. Muszę dla kogoś walczyć.

Ostatnie wydarzenia pokazały, że dokonał sensownego wyboru. Król Romar nie żył. Nie żyli też Kastell, kuzyn Jaela, oraz Gerda, była żona Romara. Jej nieletni syn Haelan, który z technicznego punktu widzenia nadal był dziedzicem tronu Isiltiru, zaginął bez śladu. Ulfilas wiedział, że Jael nie bywał lojalny wobec ludzi, którzy za nim podążali. Zdawał sobie sprawę z tego, że samozwańczy król Isiltiru to próżny, żądny władzy intrygant, gotów zrobić wszystko, by zachować koronę. Jednakże młodzieniec odnosił coraz to nowe sukcesy, więc Ulfilas trwał u jego boku, choć głos w jego głowie mówił mu, by odszedł i znalazł sobie innego, zaciejszego władcę.

Czym jest ten głos?, zastanawiał się. Sumieniem? Cóż, sumienie nie nałoży mi jedzenia do misy. Nie uchroni mnie też przed nadzianiem mej głowy na pal.

– Daleko jeszcze?! – zawołał Jael.

– Jeszcze kawałek, mój panie! – odkrzyknął Dag. – Dołączymy do nich przed zachodem słońca.

Niedaleko szczytu Ulfilas ściągnął wodze i spojrzał za siebie.

Po zboczu wiła się kolumna wojowników, którzy eskortowali dwa wozy ciągnięte przez potężne woły. Za nimi roztaczały się szare pustkowia, a dalej na południu widać było zielony skraj lasu Forn. W promieniach zachodzącego słońca migotały wody odległej rzeki, która wyznaczała granicę między pustkowiami na północy i leżącym w dali królestwem.

Isiltir, pomyślał Ulfilas. Dom.

Znów spojrzał na swego króla i popędził konia w ślad za nim.

Słońce było coraz niżej, a drużyna kontynuowała podróż pośród wydłużających się cieni. Szlak prowadził ich przez puste równiny i wąwozy o stromych zboczach, aż dotarli do kamiennego mostu, który rozciągał się nad głęboką przepaścią. Ulfilas zerknął w ciemność. Serce przestało mu na moment bić, gdy jego wierzchowiec poślizgnął się na luźnym kamieniu. Na samą myśl o upadku w taką czeluść odruchowo szarpnął za wodze. Odetchnął głęboko, gdy znalazł się po drugiej stronie przepaści, a lęk opuścił go równie szybko, jak się pojawił.

Następnie wjechali w labirynt nagich, jałowych pagórków w drodze na kolejne wzniesienie, na którym czekał milczący Dag. Ulfilas i jego król zrównali się z łowcą i ściągnęli wodze, by spojrzeć przed siebie.

Patrzyli na płaską, ciągnącą się daleko równinę. Na horyzoncie sterczały poszarpane szczyty gór. U swych stóp natomiast ujrzeli cel podróży – wielki krater, który wyglądał, jakby sam Elyon Stwórca wybił dziurę w tkaninie ziemi. Wokół nie było śladów życia i panowała absolutna, niewzruszona cisza.

– Krater gwiazdznego kamienia – szepnął Jael.

Ulfilas słyszał wielokrotnie opowieści o miejscu, w którym gwiazdny kamień uderzył w ziemię, ale jak do tej pory był skłonny włożyć je między bajki.

Ile tysięcy lat temu miał się tu rozbić?, zastanawiał się.

Mówiono, że z owego kamienia wykuto Siedem Skarbów, o które później toczono zaciekle wojny. Wszystko zakończył Elyon, który, jeśli wierzyć

opowieściom, zesłał na świat Plagę i spopielił wiele krain.

Ulfilas spojrział na szare niebo zasnuwane obrzmiałymi chmurami. Przez chwilę wyobrażał sobie, że unoszą się na nim białoskrzydłe zastępy Ben-Elim i demoniczna horda Asrotha. Mógł niemalże usłyszeć rozbrzmiewające echem okrzyki bojowe, szcęk oręża, wrzaski umierających.

Elyon i Asroth, Stwórca i Niszczyciel, ich anioły i demony walczące o władzę nad Ziemią Wygnanych, myślał. Wszystko to wydawało mi się zaledwie bajką, a teraz mówią mi, że historia ma się powtórzyć.

Podczas podróży przez pustkowia Ulfilas zaczął wierzyć w to, co kiedyś, zaledwie rok temu, uważał za opowiastkę dla dzieci. Przypominał sobie chwile spędzone w Haldis, leżącym w samym sercu lasu Forn, gdzie olbrzymy Hunen chowały swych zmarłych. Na własne oczy widział króla, który został zdradzony i zabity z powodu czarnego topora, rzekomo należącego do Siedmiu Skarbów wykutych z gwiazdnego kamienia. Widział białożmije oraz magię, która zamieniała twardą ziemię w błoto wysysające życie z jego towarzyszy broni. Był człowiekiem praktycznym i wolnym od przesądów. Niełatwo więc przyszło mu uwierzyć w potwory, które nagle stały się żywym przeciwnikiem. Na samo wspomnienie tamtych wydarzeń czuł, że ściska go lęk.

Lęk czyni czujniejszym, pomyślał.

W dole zbocza, na skraju krateru, wznosiły się szczątki starożytnej fortecy. Jej mury i wieże dawno skruszył zęb czasu, ale wśród ruin poruszały się postacie, ledwie widoczne z tej odległości.

– Jotun – oznajmił Jael.

Olbrzymy z północy. Rzekomo najsilniejsze i najbardziej zaciekle z ocalałych klanów, pomyślał Ulfilas i nie po raz pierwszy zastanowił się, czy ich wyprawa ma sens.

– Żadnych gwałtownych ruchów – rzekł Dag. – Mieście oczy i uszy szeroko otwarte.

Niektóre olbrzymy wyłoniły się spomiędzy ruin i zebrały na drodze, która przecinała zniszczoną twierdzę. Zachodzące słońce odbijało się od ich kolczug oraz ostrzy włóczy. Kilka spośród nich dosiadało wielkich, kudłatych bestii.

– Oni siedzą na niedźwiedziach? – spytał Ulfilas.

– Wszyscy słyszeliśmy opowieści o Jotun z północy – rzekł Jael. – Wygląda na to, że niektóre z nich są prawdziwe.

Zatrzymali się na skraju pierwszych ruin, a kolumna jeźdźców wyhamowała za nimi. Wojownicy – dwie setki najlepszych przybocznych



Jaela – otoczyli władcę ochronnym kordonem. Ulfilas wyczuwał wśród nich napięcie i widział, jak zaciskają dłonie na drzewcach włóczni i rękojeściach mieczy.

Olbrzymy wyłoniły się spomiędzy zgliszczy. Pomimo swych rozmiarów poruszały się z zaskakującą zwinnością. Niektóre w istocie dosiadały niedźwiedzi o ciemnym futrze i żółtych szponach. Ulfilas wiedział, że Jael ma wszelkie powody, by zachować czujność. Podczas bitwy o Haldis obaj widzieli na własne oczy, jak straszliwa jest szarża oddziału olbrzymów. Gdyby wojownicy z Tenebralu nie zatrzymali Hunen murem tarcz, z hufców Isiltiru i Helvethu nie przetrwałby nikt.

Na razie nie ma czasu, by się uczyć walki w murze tarcz, ale jeśli wrócę do domu..., pomyślał Ulfilas.

Jeden z niedźwiedzi jeźdźców wysunął się przed pozostałych. Ziemia drżała lekko pod krokami jego wierzchowca. Wojownik zatrzymał się przed Jaelem, ogromny i majestatyczny. Po chwili zsunął się z siodła o wysokim łąku i podszedł jeszcze bliżej.

Jasne włosy i wąsiska miał splecione w grube warkocze. Z jego ramion spływał płaszcz z ciemnego futra, pod którym połyskiwała kolczuga. Dzierżył włócznię o grubym drzewcu, a przy jego siodle wisiał młot wojenny. Niedźwiedź przyglądał się przybyszom małymi, inteligentnymi oczkami, aż uniósł wargę, odsłaniając rząd ostrych zębów.

– Witaj na Pustkowie, Jaelu, królu Isiltiru – oznajmił olbrzym.

Jego głos brzmiał jak kamień trący o żwir.

– Witaj, Ildaerze, przywódco Jotun – odparł Jael i skinął na swoich wojowników, którzy rozstąpili się, by przepuścić wóz. Jeden z kudłatych wołów parsknął i uderzył o ziemię kopytem.

Czyli nie tylko mnie przeszkadza smród tego niedźwiedzia, pomyślał Ulfilas.

Jael ściągnął sukno, które narzucono na towar.

– Oto trybut, zapowiedziany przez moich wysłanników. Broń twoich przodków, trzymana w skarbcu Dun Kellen – oznajmił, po czym pochylił się i z niemałym trudem podniósł jeden z wielkich toporów. – To mój dar dla was.

Ildaer skinął na jednego ze swych towarzyszy, olbrzymia z szerokim mieczem przytroczonym do pleców, wzrostem dorównującego siedzącemu na koniu Jaelowi. Olbrzym wziął od króla topór, obrócił go w dłoniach, a potem zerknął do wnętrza wozu. Nie był w stanie ukryć radości, która pojawiła się

na jego twarzy.

– To broń naszego ludu! – Skinął Ildaerowi.

– Zwracam wam ją jako dowód dobrej woli i część zapłaty za zadanie, do wykonania którego potrzebuję waszej pomocy.

Ildaer zajrzał do mijającego go wozu. Inne olbrzymy przepychały się, by również zerknąć do środka.

– A co ma mnie powstrzymać od pozabijania was wszystkich i rzucenia waszych ścierw moim niedźwiedzim?

– Żywy jestem dla ciebie cenniejszy – odparł Jael. – Opowiadano mi o twoim wielkim intelekcie. Mam cię za rozsądnego olbrzyma, a nie byle dzikusa.

Ildaer spoglądał na Jaela, mrużąc oczy pod masywnym czołem. Raz jeszcze zerknął na wóz pełen broni.

– A poza tym, któż może wiedzieć, czy wraz z moimi ludźmi nie wycięlibyśmy was do nogi – dodał Jael.

Olbrzymy za plecami Ildaera spojrzały na przybysza z wrogością, a jeden z niedźwiedzi zawarczał. Ulfilas poczuł znajome ukłucie lęku, które zawsze poprzedzało wybuch agresji. Zacisnął dłoń na rękojeści miecza.

– Ha, ha! – zaśmiał się Ildaer. – Chyba cię lubię, południowcu.

Ulfilas poczuł, jak napięcie słabnie.

Południowcu?, zdziwił się. Przecież Isiltir nie leży na południu. Ale zaraz, te olbrzymy mieszkają na północy. Dla nich każdy człowiek z południa to południowiec.

Ildaer znów wbił wzrok w wóz.

– Twój dar jest dla mego ludu niezwykle cenny – przyznał.

– Ale to nic w porównaniu z tym, co jestem gotów ci wręczyć, jeśli mi pomożesz – rzekł Jael.

– A czego żądasz?

– Chcę, żebyście znaleźli dla mnie pewnego zaginionego chłopca.

## Rozdział drugi

# CORBAN

Corban przebudził się z mocno bijącym sercem, a resztki snu natychmiast się rozpierzchły, pozostawiając na moment jedynie wspomnienie czarnych ślepi i uczucie bezdennej nienawiści. Potem znikło również i to.

Otaczała go zimna ciemność.

Usłyszał warknięcie Burzy i podniósł się, kładąc jedną dłoń na rękojeści miecza.

Coś jest nie tak, pomyślał.

Wyciągnął rękę i przekonał się, że sierść na grzbiecie wilkunicy się podniosła.

– Co się dzieje, mała? – szepnął.

W obozowisku panowała cisza. Z lewej strony migotał żar ogniska, ale Corban nie spojrzał w tamtym kierunku, wiedząc, że blask oślepi go na moment. Dostrzegł ciemną sylwetkę wartownika stojącego na wzniesieniu, u stóp którego obozowali. Pojawił się księżyc, a jego blask wydobył z mroku inną postać, wysoką i ciemnowłosą.

Meical.

Stał całkowicie nieruchomo i wpatrywał się w skraj doliny. Za plecami Corbana zarżał koń.

W górze rozległ się trzepot skrzydeł.

– Pobudka, pobudka! Wróg, wróg! Pobudka! Wróg!

Craf albo Fech, pomyślał Corban.

Zerwał się na równe nogi, podobnie jak wszyscy dookoła niego. Zewsząd dobiegał zgrzyt wyciąganych mieczy. Na skraju doliny pojawiły się postacie. Na moment opromienił je blask księżycy, potem runęły w dół. Z wrzaskiem i szczękami oręza uderzyły w obrońców.

– Kadoshim! – krzyknął Meical.

Eksplodował chaos. Ciała wirowały, cienie zlewały się z blaskiem gwiazd, aż strzeliły iskry i buchnęły płomienie, zamieniając noc w dzień. Corban dostrzegł Brinę, która wykrzykiwała inkantacje przy ogniu. Ten, posłuszny jej woli, płonął coraz wyżej i zwracał się ku napastnikom.

W nowym blasku młodzieniec ujrzał wśród atakujących tuzin wojowników ubranych jak Jehar, ale w ich ruchach nie było ani śladu płynnej gracji cechującej plemię Tukula. Poruszali się tak, jakby ich śmiertelne ciała z trudem mieściły moc, która na nie spłynęła. Przebijali się przez obozowisko i bez wysiłku odrzucali każdego, kto stanął im na drodze. Corban dobrze pamiętał, jak Kadoshim walczyli w Murias tuż po wyjściu z kotła. Wciąż miał przed oczami dziką, niehumaniczną furję, z którą rozrywali ludzi na strzępy. Jego serce niespodziewanie skuł strach, który nie pozwolił mu wykonać ani jednego kroku więcej. Wtedy usłyszał harde słowa wykrzywane w obcej mowie. Odwrócił się i ujrzał Balura Jednookiego oraz jego pobratymców, którzy rzucili Kadoshim wyzwanie. Ci zamarli na moment i ruszyli ku Balurowi.

Przybyli po topór!, domyślił się Corban.

Przyglądając się ich szarży, naraz wspomniał swą matkę, która również padła ofiarą Kadoshim. Przypomniał sobie, jak próbował zatamować jej krew, jak tulił jej stygnące ciało, jak z jej oczu powoli znikało światło. Jego serce zalała nienawiść do istot z innego świata, a lęk, który paraliżował go jeszcze przed chwilą, wyparował. Niespodziewanie uświadomił sobie, że pędzi prosto na wroga, przyśpieszając z każdym krokiem. Wilkunica podążała tuż obok niego.

Dostrzegli go, nim do nich dotarł. A może zwrócili na niego uwagę za sprawą Burzy? Corban wiedział tylko tyle, że Kadoshim odgadli jego tożsamość. Wiedzieli, że jest Seren Disglaiem, Jasną Gwiazdą i ucieleśnionym awatarem Elyona. Kilku spośród nich oderwało się od pozostałych, zwartych w walce z Balurem i jego pobratymcami. Tukul i jego Jehar przypadali do nich z boków, tnąc i chlastając.

Burza przyśpieszyła. Corban dostrzegł, jak spina mięśnie do skoku, a sekundę później była już w powietrzu. Wpadła na jednego z Kadoshim, przewróciła go na ziemię, przetoczyła się wraz z nim i zacisnęła kły na jego gardle.

Władzę nad ciałem Corbana przejął instynkt. Ujął miecz w obie dłonie, uniósł go wysoko i ciął po przekątnej, jednocześnie przenosząc ciężar ciała

tak, by bez trudu wylądować za plecami przeciwnika. Poczul, jak miecz przecina wyprawioną skórę i ogniwa kolczugi, jak miazdzy kości i tnie mięśnie. Nie było człowieka, który przeżyłby taki cios. Kadoshim zachwiał się, ale jedną ręką pochwycił za ostrze Corbana. Przez sekundę wpatrywał się w młodzieńca czarnymi oczami, a potem się uśmiechnął. Z jego ust ściekała krew czarna niczym atrament. Ciało Jehar, które przejęli Kadoshim, wyłoniwszy się z kotła, stały się o wiele silniejsze.

Corban wyszarpnął miecz, odcinając demonowi kilka palców, gdy ten nadal próbował zaciskać dłoń na ostrzu. Druga ręka napastnika wystrzeliła naprzód, chwyciła młodzieńca za gardło i poderwała go z ziemi. Uścisk był nieprawdopodobnie potężny. Corban kopał, próbował zamachnąć się mieczem, ale nie potrafił już odnaleźć w sobie siły. Na skraju jego pola widzenia zamigotały gwiazdki, potem wszystko zaczęło ciemnieć. Bicie serca stawało się coraz głośniejsze, aż zagłuszyło wszystko inne. Panika wyzwoliła jednakże nowe siły – młody wojownik wznosił rękojeść miecza i rąbnął nią Kadoshim w głowę. Usłyszał trzask pękającej czaszki, ale demon nie puszczał.

Przyglądał się Corbanowi spokojnie, z głową przechyloną na bok.

– A więc to ty jesteś marionetką Meicala? – wywarczał. Jego głos był równie przerażający jak reszta: chrapliwy, pierwotny, niemalże zbyt niski jak na ludzkie gardło.

Corban próbował wznieść miecz, ale ostrze naraz stało się ciężkie. Nazbyt ciężkie. Wyślizgnęło mu się z palców. Siły opuszczały jego ciało, a w ich miejsce wnikała wielka apatia.

To by chyba było na tyle, przemknęło mu przez głowę. Jak widać, niepotrzebnie się wszyscy upierali, że jestem Jasną Gwiazdą. To tak wygląda umieranie? Przynajmniej niebawem ujrzę mamę...

Niespodziewanie poczul wstrząs i ujrzał ostre zęby wbijające się w kark i ramię Kadoshim.

Burza, uświadomił sobie, półprzytomny.

Demon odwrócił się, odciągany przez wilkunicę, ale nie puszczał gardła Corbana. Młodzieniec poczul kolejny wstrząs, któremu tym razem towarzyszył odgłos przywodzący na myśl rozszczipiane mokre drewno. Ostrze topora odrąbało nadgarstek Kadoshim.

Corban osunął na ziemię. Kolana ugięły się pod nim. Uniósł głowę i ujrzał Tukula walczącego z demonem i Burzę szarpiącą go za nogę. Potem pojawił się ktoś jeszcze. Śmignął miecz i głowa Kadoshim zakreśliła łuk w powietrzu.

Bezgłowe ciało padło na ziemię, a stopy uderzyły kilkakrotnie o zdeptaną darni, gdy znad trupa uniosła się czarna mgła w kształcie wielkiej skrzydlatej istoty. Jaśniejące oczy wpatrywały się w młodzieńca z nienasyconą nienawiścią, aż zostały rozwiane podmuchem wiatru. W powietrzu zawisł jęk cierpienia.

Nad Corbanem stanął Gar. Wyciągnął rękę, by pomóc chłopakowi wstać.

– Trzeba odrąbywać im głowy! – rzekł.

– Już sobie przypomniałem – wychrypiał Corban.

– Następnym razem przypomnij sobie szybciej.

Młodzieniec pokiwał głową i pomasaował obolałą szyję. Dotknął torkwesu wojownika i wyczuł wygięcie metalu.

Gdyby nie Gar, demon zmiażdżyłby mi gardło, pomyślał.

Bitwa trwała nadal. Na niebie rozlewała się szarość świtu, gdy Corban ujrzał, jak kilku olbrzymów przyciska do ziemi ostatniego Kadoshim, a Balur wznosi nad nim swój topór. Broń opadła i nad trupem pojawiła się mglista postać, która wrzasnęła z furją i opuściła świat żywych.

Nastąpiła niosąca ulgę cisza, zwiastująca koniec bitwy. Corban stał nieruchomo, ciesząc się z tego, że zdołał ujść z życiem. Lęk i napięcie opuszczały jego ciało. Nie on jeden to czuł – inni wojownicy również się odprężali, ich twarze łagodniały, w oczach pojawiła się wdzięczność. Potem wzięli się do pracy.

\* \* \*

Gdy zrobiło się jaśniej, zebrali poległych i ułożyli ich na brzegu strumienia obok kopca, który wznieśli wczoraj. Corban stał i wpatrywał się w wysoką stertę głazów wyciągniętych z dna strumienia.

Moja matka spoczywa pod tymi kamieniami, pomyślał.

Po jego policzku spłynęła łza, a rozpacz przemieszana z wyczerpaniem odebrała mu na moment oddech. Skądś dobiegło skomlenie. Burza wcisnęła w dłoń młodzieńca pysk pokryty zakrzepłą krwią.

Corban stał i wpatrywał się w kopiec, a zimny wiatr przeszywał go dreszczem.

Jak to możliwe, że już jej nie ma?, zastanawiał się.

Odczuwał nieobecność matki w sposób niemalże fizyczny, jakby odcięto mu kończynę. Wydarzenia z poprzedniego dnia wydawały się snem.

A raczej koszmarem, poprawił się w myślach.

Widział śmierć matki oraz tylu innych ludzi, olbrzymów i żmijów. Widział kocioł, jeden z Siedmiu Skarbów, pozostałość z czasów baśni. Widział wreszcie falę niematerialnych demonów, którzy przechodzą z Zaświatu i wypełniają ciała zaczarowanych Jehar. Wiedział, że ich przeciwnicy w nocnej bitwie stanowili zaledwie drobną część armii demonicznych wojowników Nathaira, stacjonujących kilkanaście mil na północ w Murias.

I co teraz?

Patrzył, jak tego towarzysze zaczynają zwijać obóz. Rozglądał się w poszukiwaniu Meicala, ale nigdzie go nie widział. Brina stała przy ogniu, a Craf i Fech uwijały się wokół niej. Dostrzegł Coralen, która szła skrajem obozowiska, by sprawdzić, czy nic się nie stało koniom w zagrodzie. Pazury wilkuna przewiesiła sobie przez ramię.

Corban przypomniał sobie ich rozmowę przed bitwą o Murias, gdy dowiedzieli się o upadku Domhainu i śmierci ojca dziewczyny, króla Eremona. Coralen uciekła wówczas między drzewa, a on podążył za nią, by ją pokrzepić, choć nie wiedział jak. Zamienili kilka słów i przez moment Corbanowi wydawało się, że potrafi przeniknąć wzrokiem zimne, twarde ściany, które dziewczyna wzniosła wokół siebie. Dałby wiele, by powrócić do tamtej chwili i powiedzieć jej coś więcej. Ujrzał, jak odwraca ku niemu głowę i omiata go spojrzeniem, ale szybko ucieka wzrokiem w innym kierunku. Daleko za nią widział ogromne postacie olbrzymów, którzy zbiegli z Murias. Ich sylwetki przypominały skalne ostańce. Przy strumieniu stali Jehar, którzy przygotowywali się do tańca miecza. Corban instynktownie zapragnął do nich dołączyć. Bez namysłu podszedł bliżej, chcąc zająć się czymś, co znał, i choć na chwilę zapomnieć o strachu, śmierci i rozpacz.

Jehar gromadzili się przy swoim przywódcy, Tukulu. Gar stanął obok niego, a kilkudziesięciu towarzyszy zebrało się za plecami starego wojownika – Corban rozpoznał w nich tych, którzy ocalili go z fortecy Rhin. Pozostali, a było ich ponad dwa razy tyle, stanęli przed Tukulem. Gdy Corban podszedł bliżej, przywódca Jehar powiedział coś głośno w nieznanym mu języku, na co wojownicy opadli na kolana i pochylili głowy. Wyłamał się tylko jeden z nich – ten, który towarzyszył Nathairowi, nim uzmysłowił sobie, że zostali zdradzeni. Wyglądał na rozgniewanego. Gar podszedł do niego, a Corban, który znał stajennego od lat, uświadomił sobie, że jego przyjaciel z trudem nad sobą panuje. Zarówno w postawie, jak i w mięśniach Gara krył się

tłumiony gniew.

Przez chwilę obaj Jehar stali naprzeciwko siebie, mierząc się wściekłymi spojrzeniami, jakby lada moment mieli pochwycić za broń, aż Tukul warknął rozkaz i mężczyźni wycofali się. Obcy wojownik odszedł na bok.

Gar dostrzegł Corbana i zbliżył się do niego. Jego oczy były zapuchnięte i przekrwione. Młodzieniec przypomniał sobie, jak jego nauczyciel szlochał nad kurhanem jego matki. Nigdy dotąd nie widział, by mężczyzna okazał tak wiele emocji.

Zawsze wydawał się taki silny, taki opanowany...

Mimo to widok płaczącego Gara sprawił, że stajenny wydał się chłopakowi bardziej ludzki. Poczul w sercu nagły przyływ sympatii dla tego człowieka, jego nauczyciela i obrońcy. Jego przyjaciela.

– Co się dzieje? – zapytał.

– Jehar, którzy służyli Sumurowi i Nathairowi – Gar wskazał skinieniem głowy wojowników, którzy podnieśli się z kolan i uformowali szeregi, by wykonać taniec miecza – uznali mego ojca za swego przywódcę.

– To dobrze. A on? – Corban spojrzał na mężczyznę, który rozmawiał z Tukulem.

– To Akar. Był kapitanem Sumura. Jest mu wstyd, że służyli Czarnemu Słońcu i zostali oszukani przez Nathaira. Do tego powoduje nim duma, przez co czasami wygaduje głupoty. – Gar wzruszył ramionami. Emocje, które okazywał jeszcze chwilę temu, znikły bez śladu bądź zostały dobrze ukryte.

– Miałem wrażenie, że chce z tobą walczyć – rzekł Corban.

– Niewykluczone, że jeszcze do tego dojdzie. – Mężczyzna powiódł wzrokiem za Akarem, który dołączył do ćwiczących. – Nie zawsze się ze sobą zgadzaliśmy.

Corban milczał wyczekująco, ale Gar nie powiedział już ani słowa.

– Gdzie Meical? – spytał chłopak.

– Niedługo po ataku wziął jednego olbrzyma oraz kilku moich braci w mieczu i wyruszył na zwiady.

– Może powinniśmy go odnaleźć?

– Myślę, że Meical jest w stanie zatroszczyć się o siebie. Niebawem wróci. Nie marnujmy czasu.

Z tymi słowami Gar popchnął Corbana ku szeregom Jehar. Młodzieniec dobył miecza i przybrał pierwszą pozycję w tańcu. Jego umysł wniknął w rytm ćwiczeń, a pamięć mięśniowa automatycznie przejęła funkcję



świadomego rozumowania. Upływ czasu przestał się liczyć. Ważne były tylko rozciągające się i kurczące mięśnie, skupienie oraz pot, szumiąca krew, dudniące serce i ciężar miecza. Gdy trening dobiegł końca, Tukul wystąpił z szeregu i nakazał Jehar związać obóz.

Corban stał przez chwilę, rozkoszując się dobrze sobie znanym bólem nadgarstków. Potem dostrzegł stojących nieopodal przyjaciół – Farrella, Coralen i Datha – którzy przyglądali mu się. Cywen podeszła do niego. Przez pierś miała przewieszony pas z nożami ich matki.

– Wszystkiego najlepszego, Ban – rzekła.

– Co?

– To dzień twego imienia. Kończysz siedemnaście lat.

Naprawdę?, pomyślał i pokręcił głową. A więc minął już ponad rok, od kiedy opuściliśmy Dun Carreg, od chwili, gdy po raz ostatni widziałem Cywen. Dwanaście miesięcy uciekania, walki, krwi i strachu. Dobrze, że przynajmniej spędziłem ten czas wśród przyjaciół i bliskich. A Cywen? Przez co ona przeszła? Cały rok samotności. Pojęcia nie mam, co musiała znosić. A krótko po tym, jak wreszcie udało nam się spotkać, musieliśmy pochować naszą matkę.

Przyglądał się jej uważnie. Była szczuplejsza, a na jej brudnych policzkach znać było ślady łez. Jej kości policzkowe zdawały się teraz wydatniejsze, a w oczach pojawiła się dzikość. Nie rozmawiali dużo zeszłej nocy przed zaśnięciem. Wydarzyło się przecież zbyt wiele, by od razu o tym mówić. Siedzieli długo przy ogniu i milczeli, ciesząc się swoim towarzystwem. Dath naigrywał się z Cywen i próbował ją rozśmieszyć. Farrell przyglądał się im w ciszy, a Coralen miotła się to w jedną, to w drugą stronę, jakby nie mogła się uspokoić.

Corban chciał zareagować na życzenia siostry, ale przerwał mu narastający łoskot kopyt. Na skraju doliny pojawiło się kilku jeźdźców, którzy ruszyli w dół. Prowadził ich Meical, a za konnymi biegły olbrzymy. Corban nie mógł wprost uwierzyć w to, że istoty, które jeszcze niedawno były najzacieklejszymi wrogami ludzkości, stały teraz po ich stronie.

Meical wjechał do obozu, płynnie zeskoczył z konia i podszedł do Corbana.

Towarzyszyli mu Balur oraz jakaś olbrzymka, dołączył też Tukul.

– Tylko jeden Kadoshim uniknął śmierci po ataku zeszłej nocy – rzekł Meical. – Porzuciliśmy pościg w połowie drogi do Murias. Wygląda na to, że teren między naszym obozem a twierdzą jest póki co czysty. Przypuszczam, że

Kadoshim zostaną tam jeszcze jakiś czas, by przyzwyczać się do swych nowych ciał.

– Fech nie spuszcza ich z oczu – powiedziała olbrzymka. – Już nas nie zaskoczą.

– Świetnie. – Corban pokiwał głową, a potem spojrzął na Meicala. – Co teraz?

– O to właśnie chcieliśmy spytać ciebie. – Tukul wpatrywał się w młodzieńca.

– Mnie?

– Oczywiście. Jesteś Seren Disglair, a my ci służymy.

Corban wyczuł zmianę wokół siebie. Rozejrzał się. W obozie zapadła cisza. Wszyscy mu się przyglądali.

Przełknął ślinę.

## Rozdział trzeci

# UTHAS

Promienie słońca ogrzewały plecy Uthasa z klanu Benothi, który stał na progu wielkich wrót Murias i wpatrywał się w poukładane rzędami ciała poległych. Były ich całe dziesiątki. Kwiat jego klanu poległ w podziemnej bitwie. Tu i ówdzie kręcili się ci, którzy przeżyli – nie wiedział, czy uzbierałoby się ich pół setki. Zajęci byli wyciąganiem poległych Benothi z kłębowiska ciał olbrzymów, ludzi i koni. Woń krwi i odchodów przysłaniała wszelkie inne zapachy.

Wśród cieni kryły się również inne postacie – Kadoshim, którzy poruszali się niezdarnie, wciąż nienawykli do nowych ciał. Uthas powstrzymał dreszcz i odwrócił wzrok. Teraz, gdy bitwa dobiegła już końca, uzmysłowił sobie, że ich widok budzi w jego sercu wielki niepokój.

Większość jego ocalałych pobratymców zebrała się wokół wielkiego kotła z atramentem, w którym zanurzali kościane igły, a potem grawerowali na swych ciałach kolejne ciernie. Każdy z nich zabił jakiegoś przeciwnika podczas bitwy, każdy miał prawo dodać kolejny cierni do swej opowieści. Uthas zauważył swego przybocznego Salacha, który nachylał się nad Eisą i tatuował jej ramię.

Przeniósł wzrok na martwych i raz jeszcze przyjrzał się ich obliczom. Wciąż nie widział tego, kogo miał nadzieję ujrzeć.

Balur. Powinienem był się domyślić, że nie wyświadczy mi tej uprzejmości i nie zginie.

Przez moment poczuł lęk na myśl o tym, że stary wojownik wciąż żył. Dobrze wiedział, co Balur będzie chciał mu zrobić.

Nigdy nie zapomni o zemście. Nie, trzeba go zabić, postanowił.

Jego spojrzenie padło na ciało Nemain, ongiś jego królowej, a teraz ledwie padliny dla ptactwa.

I co ja najlepszego zrobiłem?, pomyślał.

Wciąż dokuczały mu lęk oraz zwątpienie. Przeklął w myślach wydarzenia, które doprowadziły do tej chwili. Przeklął cholernego Fecha, który ostrzegł Nemain przed jego zdradą. Dotknął twarzy i wymacał skaleczenia pozostawione przez szpony kruka na czole i policzkach.

Wszystko ułożyłoby się inaczej, gdybym miał czas, by przemówić Nemain do rozumu, pomyślał i zazgrzytał zębami. Nie. To wszystko już przeszłość. Nie ma do czego wracać. Muszę teraz ocalić, ile się da. Muszę ochronić i odbudować mój klan. Jestem teraz królem Benothi.

Jakieś głosy przyciągnęły jego uwagę. Uniósł głowę i ujrzał doradcę Nathaira, Calidusa, który wyszedł z korytarza. Za nim podążał olbrzym Alcyon. Po bitwie obaj urządzili sobie nocleg w sali, gdzie stał kocioł, głęboko we wnętrzu góry, ale Uthas nie był w stanie wytrzymać tam ani minuty. Smród gnijących zmijów przyprawiał go o mdłości, a poza tym należało obsadzić zbrojnymi wielką bramę Murias, jedyne wejście do twierdzy. Wrogowie najwyraźniej umknęli, ale któż mógł wiedzieć, do czego byli zdolni? Meical i jego poplecznicy wszak wdarli się już raz do Murias i przerwali ceremonię, przez co wielu Kadoshim nie zdołało przejść przez kocioł do świata żywych.

Calidus zauważył go i podszedł bliżej.

– Ilu Benothi przeżyło? – spytał.

Rozcięcie na jego czole już zasychało, a skóra marszczyła się lekko, gdy mówił. Po bitwie wydawał się Uthasowi znużony. Jego twarz była ściągnięta, a srebrzyste włosy utraciły swój blask i po raz pierwszy od chwili, gdy się poznali, wydawał się jedynie kruchym starcem. Wrażenie to minęło jednakże bezpowrotnie. Calidus znów stał prosto, a jego ciało emanowało nową energią. Żółte oczy jaśniały mocą.

– Z tych, którzy opowiedzieli się po mojej stronie, czterdziestu pięciu, może pięćdziesięciu. Oprócz nich żyje wielu spośród tych, którzy mi się sprzeciwili. Ich ciała wciąż nie zostały odnalezione. Jednym z nich jest Balur.

– Balur odebrał Alcyonowi topór z gwiazdnego kamienia – rzekł Calidus i obrzucił swego towarzysza miążdżącym spojrzeniem.

Olbrzym stał ze spuszczoną głową, a na jego twarzy widniał fioletowy siniak. Uthas zauważył, że w miejsce czarnego topora Alcyon przytroczył sobie inny.

Ani chybi odebrany poległemu Benothi, pomyślał i spojrzął na olbrzyma

z wściekłością. Wszak Alcyon należał do wrogiego klanu Kurgan.

Nie, napomniał sam siebie. Jeśli moje marzenie ma się urzeczywistnić, nie mogę tak myśleć. Przed Rozdzieleniem byliśmy wszak jednym klanem i znów może tak być.

Patrzając na Alcyona, uświadomił sobie jednak, jak silne są stare uprzedzenia.

– Masz mi coś do powiedzenia? – warknął Alcyon i wyprostował się, odwzajemniając ponure spojrzenie.

Panuj nad sobą, szepnął Uthas do siebie w myślach. Buduj mosty.

– Widzę, że wybrałeś sobie broń Benothi. To wielki honor.

– Od kiedy to Benothi mają coś wspólnego z honorem? – parsknął Alcyon.

– Każdy klan ma swój honor! – warknął Uthas, w którym obudził się gniew. – Nawet Kurgan.

Alcyon rozejrzał się powoli po poległych.

– Jakoś nie widzę dowodu na to, by Benothi rzeczywiście mieli się czym poszczycić.

– Zrobiłem to, co należało – warknął Uthas. – Dla naszej przyszłości. Mojej, twojej i wszystkich klanów!

Gdyby Nemain nadal zachowywała bierność, klany olbrzymów znikłyby jeden po drugim i stały się opowiastką, którą się straszy nieposłuszne dzieci.

– I uznałeś, że należy wyróżnić się do nogi.

Głupcze, pomyślał Uthas, czując, jak opuszczają go resztki spokoju. Nie widzisz końca ścieżki, a jedynie kolejny krok.

– Dobrze by było, gdybyś skupił się na własnych zadaniach – oznajmił i wzruszył ramionami, choć gniew wzbierał w nim niczym żółć po wypiciu nadmiernej ilości wina. – Ale chyba ci to nie wychodzi, skoro nie udało ci się nawet zachować topora z gwiazdnego kamienia!

– Ty mnie chcesz oceniać? Ty, który zdradziłeś własny lud oraz swą królową? – Alcyon rozejrzał się po sali, aż dostrzegł szczątki Nemain. – A topór straciłem na rzecz Balura Jednookiego. Dla mnie to żadna hańba, podczas gdy ty zaczynasz cuchnąć strachem, ledwie ktoś wspomni jego imię.

Uthas miał wrażenie, że ktoś rąbnął go prosto w twarz.

– Obaj służymy temu samemu panu! – oznajmił.

– Tak, ale ty to czynisz z wyboru! – burknął wściekle Alcyon.

– Dość tego – warknął Calidus i wbił wzrok w Alcyona, aż ten odwrócił wzrok od Uthasa. – Balur stanowi problem. Miałem nadzieję, że zginie

w bitwie.

Ja też, pomyślał Uthas.

– Zrobi wszystko, co w jego mocy, by mnie zabić – rzekł i ze wstydem uzmysłowił sobie, że głos mu zadrżał. Mocniej ujął włócznię. – Choć może został zabity przez Kadoshim, którzy ruszyli nocą w pościg.

Po bitwie doszło bowiem do nieporozumienia – jeden z Kadoshim starł się z Calidusem. Uthasa przeszył dreszcz, gdy usłyszał tak obcy, nieludzki głos z ust Jehar, chrapliwy i syczący.

– Zawiodłeś Asrotha! – oskarżył Kadoshim Calidusa. Jego ramiona podrygiwały chaotycznie. – Musimy odzyskać topór, nim będzie za późno, a potem na powrót otworzyć przejście.

Calidus, drżąc na całym ciele, nabrał tchu i opanował się.

– Zbyt wielkie ryzyko, Danjalu – odparł. – Bitwy nadal się toczą. Musimy zabezpieczyć fortecę i zapewnić kotłowi bezpieczeństwo. Chcesz nas porzucić?

– Nasz wielki pan musi otrzymać możliwość przejścia do tego świata, a w tym celu potrzebujemy topora z gwiazdznego kamienia.

– By otworzyć przejście dla Asrotha, potrzeba Siedmiu Skarbów, a nie samego topora. Zgromadzimy je, ale jeszcze nie teraz. Wykorzystałem okazję, dzięki czemu ponad tysiąc naszych braci otrzymało materialne ciała. Ciesz się z tego. Asroth czeka na możliwość dołączenia do nas, ale uczyni to we własnym ciele, zamiast zająć czyjeś, jak ty. Poza tym, ściganie Meicala to czysta głupota, bo narazi na niebezpieczeństwo kocioł, a wielu z was straci swe ciała.

– Żyjąc w ludzkim ciele, stałeś się tchórzem! – warknął w odpowiedzi Kadoshim. – Asroth nagrodzi mnie, gdy się dowie, kto odzyskał topór i umożliwił mu przejście.

Calidus cofnął się o krok od demona i wysunął miecz z pochwy. Zgrzyt metalu przyciągnął uwagę wszystkich zebranych.

– Tchórzem? Walczyłem z Meicałem, jednym z najwyższych Ben-Elim, i widziałem, jak ucieka! Nie zliczę, w ilu bitwach wziąłem udział, by znaleźć się tu i otworzyć przejście między Zaświatem i światem materialnym, a następnie ściągnąć tu twego bezwartościowego ducha. Nie pozwolę, byś mnie wyzywał od tchórzy. A może chcesz mi rzucić wyzwanie, nierozważny Danjalu?

Kadoshim napinał i rozluźniał mięśnie, aż w końcu spuścił wzrok.

– Zależy mi tylko na chwale naszego pana! – wywarczał.

– Mnie również – rzekł Calidus. – Udaj się za Meicałem, a dołączysz do Asrotha w Zaświecie szybciej, niż ci się wydaje.

Następnie odwrócił się i odszedł, a demon, który zawładnął ciałem Jehar, wezwał garść pobratymców i wybiegł z podziemnej sali.

– Jeśli ich odnajdziesz, spróbuj zabić marionetkę Meicala, jego Jasną Gwiazdę! – zawołał w ślad za nim Calidus. – Dzięki temu być może zdołasz coś osiągnąć swą śmiercią.

Uthas poczuł wówczas cień nadziei. By odzyskać topór z gwiazdnego kamienia, obcy musieli zabić Balura. Niestety, jak do tej pory nie było po nich śladu.

– Twoi towarzysze, którzy postanowili odzyskać topór, być może dopięli swego i zabili Balura.

– Może. – Calidus wzruszył ramionami. – Ale wątpię w to. Raczej zostali zabici, a ich dusze powróciły do Zaświata. Meical czasem okazuje wielką niefrasobliwość, ale na pewno wystawił wartę i zna się na walce.

Uthas nie potrafił ukryć rozczarowania. Czuł, jak nadzieja w jego sercu gaśnie.

– To bez znaczenia. Danjal zawsze był głupcem i jego buntownicza natura nie będzie już nam dłużej przeszkadzać. Nie obawiaj się Balura. Ochronię cię. Twoja przyszłość jest związana ze mną. Lojalność, którą okazałeś Asrothowi, nie zostanie zapomniana. Dzięki tobie mam kocioł i jestem ci za to wdzięczny.

Starzec zamilkł na chwilę. Jego słowa podniosły olbrzyma na duchu.

– Ilu twoich rodaków towarzyszy Balurowi? – spytał Calidus.

– Nie możemy się doliczyć około dwóch dziesiątek, w tym tej suki Ethlinn, jego śniącej córki. Nie odnaleźliśmy też żadnego spośród naszych dzieci, które zostały ukryte w górnych komnatach. Było ich również około dwadzieścioro. – Potrząsnął głową, znów czując, że zalewa go fala rozpaczy. – Benothi znaleźli się na skraju zagłady. Pozostało nas zaledwie...

– Zbyt późno na żale. Dokonałeś wyboru i to mądrego wyboru, gdyż znalazłeś się po zwycięskiej stronie. Kadoshim znów stąpają po tym świecie, a to dopiero początek! – Calidus uśmiechnął się, ale jego oczy pozostały zimne.

Ma rację. Co więcej, czy pozostał mi jakiś inny wybór? Los Benothi jest teraz spleciony z Kadoshim, pomyślał Uthas i, drżąc, nabrał tchu.

– I co teraz? – spytał Calidusa. – Macie kocioł. Co z nim zrobicie?

– Zapewnimy mu bezpieczeństwo.

– Przecież jest tu bezpieczny.

– Nie wydaje mi się. Właśnie go przejęliśmy, prawda? Nie, kocioł musi zostać zabrany do Tenebralu. Znajdzie się w ten sposób w samym sercu sieci, którą tworzę od wielu lat. Będzie chroniony przez Lykosa i jego Vin Thalun, a do tego orlą straż Nathaira, twoich Benothi i moich Kadoshim.

– To długa podróż. – Uthas zmarszczył brwi. – Wiele się może wydarzyć.

– Prawda, ale kocioł będzie miał gwardię honorową, jakiej ten świat nie widział. Twoi Benothi i ponad tysiąc Kadoshim!

– A gdy znajdzie się w Tenebralu?

– Powoli. Najpierw musimy się tam dostać. Chciałbym, byś wraz ze swoimi olbrzymami zbudował mocny wóz, na którym przewieziemy kocioł.

– Zajmiemy się tym. A więc do Tenebralu, tak? Do tego będziemy potrzebowali Nathaira.

Calidus zadumał się i ściągnął brwi.

– Tak. Nadszedł czas, bym porozmawiał z naszym odartym ze złudzeń władcą.

Calidus przekazał Nathaira pod opiekę Uthasa. Młody król przesiedział całą bitwę na stopniach podwyższenia, na którym spoczywał kocioł, powoli uświadamiając sobie, do czego doprowadziły jego czyny. Przez wiele miesięcy żył w przeświadczeniu, że jest Seren Disglaiem, lecz po tym, co ujrział, niespodziewanie zaczął wątpić w swoją rolę. Po bitwie próbował się rozmówić z Calidusem, który go całkiem zignorował. Postawa starca była kroplą, która przelała czarę goryczy. Nathair wpadł w furję i rzucił się na doradcę, obrzucając go wyzwiskami, opluwając i wyzywając od zdrajców, ale Uthas pochwycił go i przytrzymał. Calidus wziął wówczas zamach i jednym ciosem pozbawił króla przytomności, a potem odciął mu lok.

– Gdzie jest Nathair? – spytał starzec.

– Tam. – Uthas wskazał bramy.

– Chodź. Chcę, żeby ze mną współpracował, więc będę musiał go przekonać. Twój przykład okaże się bardzo pomocny.

– A jeśli się nie zgodzi?

– Wówczas wykorzystam to – rzekł Calidus i rozchylił płaszcz, by pokazać olbrzymowi nieforemną figurkę z gliny, z której sterczały ciemne włosy.

Czy moje włosy też ma wciśnięte w jakąś glinianą figurkę?, pomyślał Uthas z lękiem.

– Wolałbym jednak, by do tego nie doszło – zakończył Calidus i opuścił



płaszcz.

– Przemawia przez ciebie współczucie?

– Nie bądź idiotą – parsknął szyderczo starzec. – Nie chcę mieć jeszcze jednej sprawy na głowie. Podbijanie całego świata to kupa roboty.

Gdy zmierzali w stronę bram, jeden z Kadoshim zawołał Calidusa po imieniu. Uthas rozpoznał jego nowe ciało – demon wniknął w Sumura, byłego przywódcę Jehar towarzyszących Nathairowi.

– To ciało słabnie! – wysyczał Kadoshim. – Nie reaguje tak jak wcześniej.

– Mieszkańcy tego świata muszą jeść, by odzyskać siły! – odparł Calidus. – Idealnie by było, gdyby robili to codziennie.

– Jeść?

– Tak. Musisz konsumować żywność, jak owoce, mięso i inne produkty. – Calidus machnął ręką.

Na oczach Uthasa twarz Sumura nagle wykrzywił gwałtowny grymas. Były Jehar wybałuszył czarne oczy, odsłonił zęby, jakby przeszył go ból, i wrzasnął przeraźliwie. Przez moment skóra na jego twarzy zafalowała, jakby coś chciało się spod niej wydostać, ale demon przekreślił gwałtownie głowę i jęknął głucho, a wtedy rysy jego twarzy na powrót stały się spokojne. Oblicze straciło wszelki wyraz.

– Ten człowiek sprzeciwia się mojej obecności – dodał Sumur gadzim głosem, po czym przez jego twarz przemknęło coś, co przypominało uśmiech. Język oblizał wargi. – Niezła zabawa.

Uthas był przerażony. Sądził, że dusze tych ludzi zostały wyparte bądź zniszczone. Nie przyszło mu nawet do głowy, że nadal istniały w obrębie własnych ciał, próbując pozbyć się tych, którzy nimi zawładnęli. Zadrżał na myśl o tym, że mógłby umrzeć, a jednocześnie zachować życie.

– Ten człowiek był znakomitym szermierzem, podobnie jak reszta spośród zajętych przez was ludzi – rzekł Calidus, po czym podniósł głos, by usłyszeli go wszyscy Kadoshim. – Zbadajcie ich dusze. Rozbierzcie je na kawałki, wchłońcie ich umiejętności. Nauczcie się poruszać w nowych ciałach. I jedźcie!

Zewsząd dobiegły syczące śmiechy. Uthas zobaczył, jak jeden z Kadoshim padł na ziemię i wgrzył się w podbrzusze martwego konia, po czym usłyszał mokry odgłos rozrywanego mięsa.

– Są jak dzieci! – westchnął Calidus. – Muszę ich tyle nauczyć, a mam tak niewiele czasu. Z tego właśnie powodu muszę nakłonić Nathaira do współpracy.

Odnaleźli króla Tenebralu kilkadziesiąt kroków za bramą pośród wielkiego pobojuwiska pozostawionego przez stada kruków królowej Nemain. Jak okiem sięgnąć, ciągnęły się poszarpane zwłoki Jehar oraz ich rumaków. Król trzymał luźno wodze draiga, który uctował pośród końskich trupów. Słyszając kroki nadchodzących, stwór wysunął pysk ze strzaskanej klatki piersiowej konia i przyjął się im małymi, czarnymi oczkami. Z jego pyska ściekała krew. Pośród janowców i paproci Uthas dostrzegł jednego ze swoich pobratymców, któremu powierzył zadanie strzeżenia króla.

Nathair również ich usłyszał i uniósł głowę. Szepnął coś do draiga, który powrócił do pożerania zwierzęcych wnętrzności, a sam odwrócił się plecami do przybyszów. Wpatrywał się w ponure, porośnięte wrzosami wzgórza na horyzoncie.

– On tam jest – rzekł cicho.

– O kim mówisz? – spytał Calidus.

– O Jasnej Gwieździe. Tak długo wierzyłem w to, że ów tytuł należy się mnie.

Odwrócił się ku nim. Uthas widział, że odzyskał już panowanie nad sobą, a wściekłość, którą okazał w komnacie kotła, wyczerpała swój potencjał. Pod przekrwionymi oczami widniały ciemne plamy, a na szczęce rozlewał się wielki siniec.

– Oszukiwałeś mnie przez cały ten czas. – Nathair spojrzał najpierw na Calidusa, a potem na Alcyona, który zwiesił głowę, chcąc uniknąć jego wzroku.

– Nie zrozumiałbyś – rzekł Calidus.

Nathair uniósł brwi, słysząc te słowa.

– Przynajmniej w czymś się zgadzamy. Mój pierwszy miecz Veradis zetnie wam obu za to głowy. Prawdziwe szczęście, że go tu nie ma. Nie chcę, by widział, jak nisko upadliśmy.

– Historia nas oceni. – Calidus wzruszył ramionami. – Dla ciebie jednakże nadal istnieje przyszłość. Dla ciebie i dla nas.

– Coś takiego. A spodziewałem się, że nadszedł czas mojej egzekucji. – Nathair zerknął na Alcyona i Uthasa, a potem na innych wojowników Benothi, czających się wśród cieni.

– Nie. Przychodzę, by porozmawiać.

– Mam wrażenie, że czas rozmów już minął. Ale cóż, mów.

– Postrzegasz wszystko tak, jak cię nauczono. Widzisz dobro i zło,

sprawiedliwość i występki. Ale rzeczy nie zawsze są takie, jakimi się wydają...

– Czego najlepszym przykładem jesteś ty sam. Podawałeś się za jednego z Ben-Elim, a tymczasem jesteś jego przeciwieństwem. Jesteś Kadoshim, upadłym aniołem, sługą Asrotha.

– Mówisz o rzeczach, których nie pojmujesz – warknął Calidus. – Kadoshim czy Ben-Elim to jedynie nazwy nadane przez tych, którym zabrakło pomysłu, by pojąć całość. Pamiętaj, że historia jest spisywana przez zwycięzców i nie jest zbiorem bezspornych faktów, ale chaotycznym zlepkiem informacji, przekazywanych z punktu widzenia zwycięzcy. Elyon nie jest dobry, a Asroth nie jest zły. Tak mogą myśleć o tym dzieci. Rzeczywistość nie jest czarna i biała, ale składa się z odcieni szarości.

– A więc chcesz, bym uwierzył, że Asroth jest dobry? Że to Elyon jest oszustem?

– Nie. Chcę, byś wybrał pośrednie rozwiązanie. Takie, w którym obaj są zdolni zarówno do czynienia dobra, jak i zła. Jak ty. Pomyśl o nich jak o ludziach. Naprawdę tak trudno sobie to wyobrazić?

Uthas ujrzał, jak przez twarz Nathaira przemknęło coś nowego. Czyżby wątpliwość?

– Ze spisanej przez was historii wynika, że Asroth ma zniszczyć świat materialny – ciągnął Calidus. – Że podczas Wojny Skarbów chodziło mu tylko o to. Zastanów się więc. Gdyby to było prawdą, po co ze wszystkich sił usiłowałby wrócić tutaj i ponownie przyjąć materialną powłokę?

– Właśnie udowodniłem sam sobie, że jestem wprost niebywale naiwny. Wybacz, ale nie będę się bawił w twe gierki – odparł Nathair z kwaśnym grymasem. Furia, której byli wcześniej świadkami, zaczynała się najwyraźniej odradzać. Na skroni króla pulsowała żyłka.

– Nie dramatyzuj – ofuknął go Calidus. – Marudzisz jak kapryśne dziecko. Przyszedłem, by ci przekazać brutalną prawdę, i życzę sobie, byś rozmawiał ze mną jak mężczyzna, którym potrafisz być, jak przywódca i król. Nie mam ochoty wysłuchiwać fochów! – Odczekał chwilę, aby jego słowa załagodziły gniew Nathaira. – Zastanów się. Asroth przybędzie tu, by rządzić, a nie niszczyć. Zbuduje imperium, takie jakie ty sobie wymarzyłeś. Stworzy nowy porządek, którego celem, po wyeliminowaniu wszelkiego oporu, będzie utrzymanie pokoju. Tobie, o ile dobrze pamiętam, zależało na tym samym. Co więcej, nadal będziesz częścią wielkiego planu. Nie jesteśmy liczni

i potrzebujemy kogoś, kto będzie rządził Ziemią Wygnanych. Kogoś, kto będzie mógł zjednoczyć królestwa. Mam nadzieję, że to ty.

– I myślisz, że uwierzę w cokolwiek, co pada z twoich ust? Po tym? – Nathair wskazał masyw Murias.

– Tak. Tak właśnie myślę. Zduś swój gniew, dumę oraz wstyd i zastanów się dobrze. Wojna w Zaświecie trwa od eonów. To krwawe, bezlitosne zmagania, a liczba ofiar budzi rozpacz. Niejeden z moich braci padł w walce, ale każdą stratę odpłaciłem Ben-Elim stukrotnie. Robiłem to, co należało. Zatajenie części prawdy przed tobą było konieczne. Podczas wojen należy podejmować trudne decyzje, mając na względzie większe dobro, i sam doskonale o tym wiesz.

Calidus urwał i milczał przez moment, patrząc Nathairowi prosto w oczy.

– Są jednakże granice, których przekraczać nie wolno, bez względu na większe dobro – parsknął król Tenebralu.

– Zapominasz się, Nathairze. Ja cię znam na wylot i wiem, czego się dopuściłeś. Wiem, jakie granice ty przekroczyłeś w imię większego dobra.

Nathair uniósł dłoń i cofnął się o krok, jakby chciał zasłonić się przed ciosem. Draig przerwał na moment miażdżenie kości i obrzucił Calidusa złowrogim spojrzeniem.

– To nie krytyka, ale wyraz uznania. Właśnie ci przypomniałem, że jeśli opowiesz się po danej stronie, zrobisz wszystko, by doprowadzić plan do końca. Absolutnie wszystko, bez względu na to, ile by cię to miało kosztować. To rzadka umiejętność w tym świecie, gdzie na ogół widzi się ludzką kruchość i niestałość. Potrzeba nam kogoś takiego. Szanuję cię za to. A więc proszę cię, Nathairze, dołącz do nas. Wesprzyj naszą sprawę, a zdobędziesz wszystko, czego pragniesz. Ujrzysz, jak spełniają się twoje marzenia i jak wynagradzane są twoje trudy. A gdy się raz jeszcze zastanowisz, uświadomisz sobie, że ostateczny cel nie różni się wcale od tego, do którego dążyłeś, nim łuski spadły ci z oczu.

Stojący za Calidusem Alcyon poruszył się.

– Ktoś nadciąga – rzekł i ściągnął swój nowy topór z pleców.

– Gdzie? – spytał Calidus i położył dłoń na mieczu. Zmrużył oczy.

Alcyon wskazał wrzosowiska na południowym wschodzie, skąd ze sporą prędkością nadciągała pojedyncza postać.

– To jeden z moich braci – oznajmił Calidus. – Jeden z tych, którzy wyruszyli z Danjalem.

Stali w milczeniu i przyglądali się przybyszowi, który biegł długimi susami. Gdy znalazł się blisko, Uthas dostrzegł, że chwieje się na nogach.

I coś jest nie tak z jego ramieniem, pomyślał.

Przybysz zapewne ich zauważył, gdyż skręcił ku nim i padł przed Calidusem. Jego dłoń została odrąbana w nadgarstku, a z rany wciąż ciekła krew. Od białej jak mleko skóry wyraźnie odcinały się czarne żyły. Draig Nathaira zawarczał głucho.

– Jestem słaby – wyrzęził Kadoshim. – To ciało jest w coraz gorszym stanie.

– Ostrzegałem was – rzekł Calidus. – Wasze nowe ciała są nadal śmiertelne. Wkrótce umrzesz z upływu krwi.

– Pomóż mi – wyszeptał Kadoshim.

– Przysięgnij więc, że spełnisz każdy mój rozkaz – powiedział Calidus głosem lodowatym jak stał w środku zimy.

– Przysięgam! Proszę...

– Obwiąż mu ramię – warknął Calidus na Alcyona, po czym uklęknął i otoczył rannego Kadoshim ramieniem. – Musisz dbać o swe nowe ciało, Bune. Musisz się o nie troszczyć jak o swą broń. Straciłeś mnóstwo krwi, ale jeśli opatrzymy twą ranę i nakarmimy cię, nic ci nie będzie.

– Dziękuję – wychrypiał demon. – Nie chcę jeszcze wracać do Zaświatu.

– A więc unikaj idiotycznych szarż w bitwach, których wygrać nie jesteś w stanie. A co z Danjalem i resztą?

– Wszyscy przepadli. Wrócili do Zaświatu. Mieliśmy przeciwko sobie zbyt wielu wrogów, a te ciała... – Bune uniósł zdrowe ramię. – Trzeba się do nich przyzwyczaić.

– Tak, potrzebujecie czasu. Wrócisz teraz do swoich pobratymców. Tam się tobą zajmiemy.

Calidus zerknął na Alcyona, który skończył opatrywać ranę Bune'a i uniósł go w ramionach. Starzec poprowadził ich z powrotem ku bramom Murias, a Nathair i jego draig powoli wlekli się za nimi. Nad ich głowami leniwie krążyły kruki, niedobitki z wielkich stad Nemain, zwabione smrodem padliny. Uthas wpatrywał się w nie z nienawiścią, myśląc o Fechu. Gdy zatrzymali się w cieniu fortecy, ujrzał ptaka, który przysiadł na skraju klifu i wpatrywał się w niego. Przez moment olbrzym był przekonany, że spogląda na Fecha, i odruchowo dotknął ran na swej twarzy.

Skądże znowu, pomyślał. Fech nie jest na tyle odważny czy głupi, by tu

wrócić.

Calidus przeniósł wzrok na Nathaira.

– Rozważ me słowa, królu Tenebralu. Chcę, byś walczył po mojej stronie podczas nadciągającej wojny. Koniec z oszustwami czy kłamstwami.

Nathair zatrzymał się przed bramami i położył dłoń na karku draiga. Razem patrzyli, jak Calidus i jego towarzysze wkraczają do Murias.

– Nie spuszczań go z oczu – szepnął starzec do Uthasa. – Jeśli będzie chciał nas opuścić, zatrzymaj go. Bez przebierania w środkach.

## Rozdział czwarty

# MAQUIN

Maquin biegł przez gęsty las. Jedną ręką odsuwał na bok gałęzie, a drugą podtrzymywał Fidele, królową-regentkę Tenebralu, niedawno poślubioną Lykosowi, władcy Vin Thalun.

Dopóki nie spróbowała go zamordować, pomyślał wojownik. Mam wrażenie, że to koniec małżeńskiego szczęścia.

Fidele potknęła się. Maquin spojrział na nią i uświadomił sobie, że kobieta oddycha ciężko. Jej suknia ślubna była splątana i podarta, tu i ówdzie poplamiona krwią.

Musi odpocząć, przeszło mu przez myśl.

Od czasu do czasu docierały do niego odgłosy walki, odległe i niewyraźne, ale wciąż zbyt bliskie jak na jego gust.

Wkrótce Lykos i jego Vin Thalun stłumią bunt, a wówczas król zacznie szukać swej zaginionej panny młodej, myślał Maquin. Mimo to, jeśli się nie zatrzymam, Fidele nie pociągnie długo.

Zmarszczył brwi, ale zwolnił i skręcił w stronę szumiącego nieopodal strumienia.

Pochylił się i opryskał lodowatą wodą twarz oraz nagi tors, by zmyć z siebie krew i brud areny. Adrenalina wydzielana podczas ucieczki powoli przestawała działać i wojownik czuł piekący ból setki drobnych obrażeń. Po jego plecach spływały ciarki. Zadrzał.

Powiniennem był capnąć jakiś płaszcz, pomyślał.

Nadal nosił strój do walki na arenie – buty i spodnie z pasem, za którym tkwił zakrzywiony nóż. Jego tors pokrywało jedynie błoto i zakrzepła krew.

Jestem wolny.

Wciągnął głęboko w nozdrza powietrze, rozkoszując się zapachami lasu, przywodzącymi mu na myśl Forn oraz inne, minione już życie. Zamknął oczy,

a wtedy przez jego umysł przemknął ciąg wspomnień. Jego bracia w mieczu z Gadrai, Kastell zabity przez zdrajcę i łajdaka Jaela, Tahir i Orgull, jedyni, którzy uszli z życiem po zdradzie w Haldis. Było to tak dawno temu...

W innym życiu, pomyślał.

Spojrzał na swe dłonie. Na krew, zakrzepłą pod paznokciami i w zmarszczkach wokół stawów.

Krew Orgulla.

Oczyrna wyobraźni ujrzał twarz swego przyjaciela, w chwili, gdy go obejmował: rannego, zmasakrowanego, umierającego. Jego sercem targnęły gwałtowne emocje, w oczach pojawiły się łzy. Pamiętał ostatnie słowa, które od niego usłyszał, wraz z prośbą o odnalezienie człowieka o imieniu Meical: „Powiedz mu, że dochowałem wierności do samego końca”.

Tyle śmierci, a ja nadal żyję, pomyślał Maquin. Co więcej, jestem wolnym człowiekiem. W porządku, stałem się uciekinierem, czuję na sobie oddech wrogów, a od domu dzielą mnie tysiące mil, ale jestem wolny. Mogę ścigać Jaela i wreszcie go zabić.

Myśl o Jaelu nadal przysłańiała całą resztę. Wciąż widział szyderczy grymas na twarzy młodzieńca, gdy patrzył na skutego Maquina prowadzonego na okręt Vin Thalun. Nienawiść rozpaliała się niczym żywy płomień w sercu byłego Gadrai. Usłyszał własne warczenie.

Nagle jego uszu dobiegł odgłos dartego materiału. Odwrócił się i ujrzał Fidele, która stała przy strumieniu i odrywała dolną część sukni.

– Tak mi będzie łatwiej uciekać – wyjaśniła. – Odwróć się.

Kobieta zwinęła strzępy materiału, zanurzyła je w wodzie i zaczęła zmywać Maquinowi brud z pleców. Westchnęła ze zgrozą na widok dziesiątek blizn, które opowiadały o jego życiu na wioślarskiej ławce i w jamach gladiatorów. Sama widziała, jak zdobył niektóre z nich. Była przecież świadkiem tego, jak walczył i zabijał. Maquin przypomniał sobie, jakich czynów musiał się dopuścić, i poczuł, że zalewa go wstyd. Opuścił głowę.

– Skąd jesteś? – spytała cicho kobieta.

Maquin zamrugał. Minęła chwila, nim zdobył się na odpowiedź.

– Z Isiltiru. – Wymówił to słowo powoli, jak imię zapomnianego przyjaciela.

– Jak masz na imię? Kim jesteś?

Na arenie nazywano mnie Starym Wilkiem, pomyślał Maquin. Dawno już nie posługiwałem się innym imieniem. Jestem wyszkolonym zabójcą. Stałem się tym, czego nienawidzę.



– Nazywam się Maquin – powiedział z grymasem na twarzy. Wykonał krok w stronę dawnego siebie. – Swego czasu byłem przybocznym Kastella, bratanka króla Romara.

– Och – szepnęła Fidele. – Znalazłeś się daleko od domu. Jak doszło do tego...

– Że wylądowałem na arenie? – Maquin urwał i milczał przez moment, przypominając sobie swe życie przed niewolą i przyjaciół, których kiedyś miał. Sięgał po ukryte głęboko w sercu wspomnienia wydarzeń, które poprzedziły jego życie wśród Vin Thalun. – Uzurpator Jael odebrał tron Romarowi – rzekł w końcu. – Zamordował samego króla i zdusił wszelki opór. Walczyłem przeciwko niemu, ale nadciągnął Lykos ze swymi piratami. Poparli Jaela i cóż...

Wzruszył ramionami. Mówił zachrypniętym głosem, odwykłym od rozmów, które trwają dłużej niż kilka słów.

Fidele dotknęła jego ramienia i powiodła palcem wzdłuż piętna, które pozostawił na jego skórze władca piratów. Maquin wzdrygnął się mimo woli.

– To pamiątka po Lykosie – rzekł. – Naznaczył mnie jako swego niewolnika. Swą własność.

– Myślisz, że zginął?

Maquin przypomniał sobie chwilę, gdy widział władcę piratów po raz ostatni. Mężczyzna osunął się na jedno kolano na arenie, a spod jego żeber wystawała rękojeść noża. Potem przesłonili go inni walczący, a gdy Maquin spojrzał ponownie w tamtym kierunku, Lykosa już nie było.

– Wątpię. To twarda sztuka.

– Chcę jego śmierci – syknęła Fidele, a jej twarz wykrzywiła nienawiść.

Maquin przyglądał się jej przez dłuższą chwilę, zaskoczony nagłą zjadłością. Zawsze uważał ją za kobietę piękną, acz nieprzystępną, spokojną i wyważoną.

– Trochę dziwne, że mimo to zechciałaś go poślubić.

Fidele cofnęła się i opuściła głowę.

– Znalazłam się pod wpływem złej magii. On miał taką kukielkę, małą glinianą figurkę, w którą ugnieciono kosmyk mych włosów. Zmiażdżyłeś ją podczas walki. Dzięki temu odzyskałam wolność.

Ciałem kobiety wstrząsnął dreszcz. Zacisnęła powieki, ale po chwili wyprostowała się i spojrzała Maquinowi w oczy.

– Nie podziękowałam ci jeszcze za to, że ochroniłeś mnie podczas zamieszek

i pomogłeś mi uciec w bezpieczne miejsce.

Mężczyzna rozejrzał się.

– Bezpiecznym bym go nie nazwał.

– Lepiej tu niż na arenie.

– Trudno się nie zgodzić.

Maquin umiejętnie wykorzystał zamieszanie, które wybuchło na arenie pod Jerolin, i wyprowadził stamtąd Fidele. Najbliższym bezpiecznym miejscem wydał mu się las na południu, od którego dzieliła ich szeroka łąka. Co sił w nogach pobiegł w stronę drzew, ciągnąc kobietę za sobą. Gnał jak szalony, przeświadczony, iż lada chwila usłyszy za sobą wrzaski pościgu. Nikt jednak za nimi nie podążył. Zagłębił się w las, myśląc tylko o tym, by jak najbardziej oddalić się od Vin Thalun.

Nie miał pojęcia, kto wywołał zamieszki. Pojedynek między nim a Orgullem miał z tym jakiś związek, ale dostrzegł w tłumie widzów wojowników z białym orłem Tenebralu. Nie było wątpliwości, że w królestwie powstał jakiś ruch oporu skierowany przeciwko Vin Thalun, ale nie miał pojęcia jak wielki. Czy walczącym udało się zmiażdżyć piratów? Wygnać ich z Jerolin i Tenebralu? Maquin miał co do tego wątpliwości – Vin Thalun były całe tysiące i potrzeba by było sporych sił, by się ich pozbyć.

– I co teraz poczniemy, moja pani? – spytał.

Fidele zmarszczyła brwi i usiadła na kamieniu.

– Nie mam pojęcia. Umiałabym podjąć decyzję, gdybym wiedziała, że Vin Thalun zostali pokonani. – Urwała, a jej usta zadrżały lekko. – Ale boję się wrócić. Nie chcę nawet myśleć o tym, że znów miałabym zostać pojmana.

Maquin pokiwał głową, gdyż doskonale to rozumiał. Sam miał ochotę wyruszyć w drogę. Skierować się nie na południe, a na północny zachód i poszukać Jaela.

Ale co z nią?, pomyślał.

Nie mógł przecież porzucić kobiety w środku lasu.

– Pomożesz mi? – spytała. – Wiem, że nie jesteś przyjacielem Lykosa i Vin Thalun. Mamy wspólnego wroga.

– Mam już dość walki w bitwach innych ludzi – odparł Maquin. – Pora, bym wreszcie zaczął toczyć własne. Muszę wracać do domu. Mam przed sobą zadanie – wymamrotał cicho, niemalże do siebie. Uniósł głowę i spojrzał na twarz Fidele. Ujrzał w jej oczach determinację, ale również lęk. – Ale najpierw zatroszczę się o twoje bezpieczeństwo, moja pani. O ile będę

w stanie.

Fidele odetchnęła z ulgą.

– Dziękuję ci. Uczynię wszystko, co w mojej mocy, by spłacić mój dług i ułatwić ci podróż.

– Najpierw jednak musimy przeżyć zimno nocy.

\* \* \*

– Zaczekaj tu – szepnął Maquin do Fidele.

Kucali za niewielką skarpą, patrząc na sporą połąć terenu pokrytą pniakami. Po drugiej stronie stały niewielkie chatynki z drewna, otoczone stosami pni. Nadciągał zmierzch, a w poszarzałym lesie panowała cisza.

– Pod żadnym pozorem nie idź za mną, jasne?

Fidele pokiwała głową. Maquin ruszył naprzód, zgarbiony i ostrożny, trzymając się blisko ziemi. Przemieszczał się wzdłuż skraju wyrąbiska i prześlizgiwał się z jednej plamy cienia w drugą, aż dotarł w pobliże chatek. Ujawszy mocno nóż, przekradł się na przód domostwa i wszedł do środka. Przez szczeliny w okiennicach wpadały strużki szarego światła. Maquin zatrzymał się na progu, by jego wzrok przyzwyczaił się do ciemności.

Wzdłuż ścian stały prycze, a na nich leżały wełniane koce, buty, spodnie i płaszcze. W środku pomieszczenia znajdował się długi stół zastawiony kubkami i talerzami. Wszędzie dookoła widać było topory i długie piły dla dwojga ludzi; na półkach spoczywały bukłaki, rękawice i inne narzędzia.

Mieszkają tu drwale. Ciekawe, co się z nimi stało?, pomyślał Maquin.

Odpowiedź przyszła mu do głowy błyskawicznie.

Jerolin i arena. Przecież to wielki dzień! Wszyscy świętują ślub Lykosa i Fidele!

Pośpiesznie zerwał kilka płaszczy z kołków na ścianach, złapał parę koszul i spodni, pochwycił trochę sera, baraniny, jakiś bukłak i kłębek sznurka, po czym upchnął wszystko w znaleziony pusty worek.

Wtedy rozległo się ciche ziewnięcie. W rogu izby poruszył się jakiś koc, a potem Maquin ujrzał człowieka, który usiadł i przetarł oczy.

W ułamku sekundy przypadł do niego i przyłożył mu nóż do gardła. Wtedy dostrzegł jego brodę i przytrzymujące ją żelazne pierścienie.

To Vin Thalun!, uświadomił sobie.

W okamgnieniu zawładnęła nim furia, która groziła wyrwaniem się spod

kontroli.

– Błagam, nie... – wyszeptał nieznajomy.

Nie mogę go zabić tutaj, pomyślał Maquin. Za dużo krwi. Jego przyjaciele ruszą za nami natychmiast po powrocie.

– Wstawaj! – rozkazał.

Mężczyzna podniósł się powoli. Jego spojrzenie omiotło miecz w pochwie, wiszący nad pryczą.

– Nawet o tym nie myśl! – burknął Maquin i kopnął Vin Thalun w wewnętrzną stronę kolana. Ten padł na ziemię i odtoczył się od pryczy, a stary wojownik przerzucił sobie pas z jego mieczem przez ramię.

– Co ty tu robisz? – spytał, gdy Vin Thalun się podniósł. – Czemu nie jesteś na arenie?

Mężczyzna wbił w Maquina ponure spojrzenie.

– Ktoś musiał zostać na straży. Rozkaz Lykosa. Wyciągnąłem najkrótszą słomkę.

– Na zewnątrz – rozkazał Maquin i ruszył w ślad za więźniem. Wskazał mu drogę za chatę i poprowadził go dalej, między drzewami. Zapadał zmierzch i świat pogrążał się w coraz gęstszych cieniach. Maquin odłożył worek z prowiantem.

– Na kolana – rozkazał. – Ręce na kark.

Vin Thalun zrobił krok naprzód, ale wtem obrócił się błyskawicznie i sięgnął, by pochwycić dłoń, w której Maquin trzymał nóż. Wojownik okazał się jednak szybszy. Uskoczył w bok i jednocześnie ciął więźnia po dłoni. Na ostrzu błysnęła krew. Mimo to Vin Thalun zdołał jakoś pochwycić nadgarstek Maquina, na co ten uderzył go czołem w nos, z którego natychmiast buchnęła krew. Pirat zachwiał się i osunął na kolana.

Pora, byś zginął, pomyślał Maquin.

Vin Thalun najwidoczniej odczytał wyrok w oczach mężczyzny, gdyż zaczął błagać go o litość.

Zaszeleściły zarośla i spomiędzy drzew wyłoniła się Fidele.

– Miałaś się nie zbliżać! – rzekł Maquin.

– Nie wracałeś i zaczynałam się już martwić.

Dziwne uczucie, pomyślał mężczyzna. Ktoś dba o to, czy żyję, czy też nie.

– Natknąłem się na kogoś w tej chacie. Odwróć głowę.

– Wiem, jakiego koloru jest krew. A to Vin Thalun – warknęła Fidele, spoglądając na pierścienie wplecione w brodę. – Z przyjemnością będę się

przyglądać, jak mordujesz ich wszystkich.

– To dobrze! – burknął Maquin.

– Mogę wam powiedzieć, gdzie oni są! – wypalił jeniec, gdy były Gadrai uniósł nóż.

– Kto? – Ostrze zawisło nad gardłem mężczyzny.

– Sekret Lykosa. Olbrzymka i jej szczeniak.

## Rozdział piąty

# CAMLIN

Camlin leżał na stole w kajucie okrętowej. Jego ciało przeszywały najrozmaitsze bóle, ale ten spowodowany przez złamaną strzałę, nadal tkwiącą w jego ramieniu, przebijał je wszystkie.

– Zaciśnij na tym zęby i leż nieruchomo – powiedział stojący przy nim Baird, wojownik z Domhainu, rzuciwszy mu skórzany pasek. Przed wojną należał do Degad, osławionych zabójców olbrzymów, którymi dowodził Rath, ale został odesłany wraz z królową Edaną, by dbać o jej bezpieczeństwo. Zdaniem Camlina misja była daleka od zakończenia, gdyż na okręcie znalazła się jedynie garstka ludzi lojalnych Edanie. Reszta była posłuszna rozkazom Roisin, matki Lorcana, prawowitego następcy tronu Domhainu.

I znów uciekamy..., pomyślał Camlin.

– Posłuchaj dobrej rady i włóż sobie to między zęby! – rzekł Baird i uśmiechnął się szeroko. Skóra w jego pustym oczodole ściągnęła się nieco.

– Nie wiem, co cię tak bawi – burknął Camlin z goryczą.

– To była dobra potyczka. Godna pieśni – odparł Baird. Miał na myśli walkę, którą stoczyli na plaży i pomoście, gdy wycofywali się na pokład okrętu. – No i wciąż dychamy. Ja tam cieszę się, że żyję.

Camlin skrzywił się, ale zacisnął zęby na pasie.

– Będziecie musieli go przytrzymać – dodał Baird.

Camlin ujrzał nad sobą poważną twarz Vonna, który ułożył dłonie na jego piersi i napał na niego.

– Ale wciąż muszę oddychać, chłopcze – mruknął były banita.

– Jak mogę pomóc? – Tym razem odezwała się Edana.

W jednej kajucie zgromadziła się połowa Ardanu, pomyślał Camlin.

– Nie powinno cię tu być, moja pani – rzekł Baird. – Zaraz tryśnie krew i padnie niejedno przekleństwo.

– Już się napatrzyłam na krew i nawet sama jej trochę rozlałam – prychnęła Edana. – A co do przekleństw, podróżuję w towarzystwie Camlina od prawie roku. Wątpię, czy zna jakieś, którego jeszcze nie słyszałam.

– Dobrze. Jeśli więc chcesz tu pozostać, spróbuj unieruchomić jego nogi.

Baird odciął rękaw koszuli Camlina, a potem delikatnie poruszył tkwiącym w jego ramieniu drzewcem. Ciało byłego banity przeszył ból, a z rany leniwie popłynęła krew.

– Jesteś pewien, że wiesz, co robisz? – warknął Camlin. – Masz tylko jedno oko...

– Serio chcesz mnie teraz denerwować? – Baird uśmiechnął się szeroko. – Robiłem to już parokrotnie i dam sobie radę. Sęk w tym, że strzała utkwiała zbyt głęboko. Trzeba będzie ją przepchnąć na drugą stronę.

– No to bierz się do roboty. Sama nie wypadnie.

– Zgoda – rzekł Baird i złapał za ułamane drzewce.

Camlin zaczął wrzeszczeć.

\* \* \*

– I jak się czujesz? – spytał Vonn.

Camlin stał na pokładzie, wsparty o reling, i przyglądał się słońcu wschodzącemu nad błękitnoszarymi falami. Na wschodzie ciągnęła się ciemnozielona linia odległego wybrzeża południowego Domhainu. Mężczyzna powoli poruszył ramieniem, które od dwóch dni ładnie się goiło, a potem uniósł je.

– Jakby mnie kto trafił strzałą. – Skrzywił się. – Ale ma się ku dobremu – dodał, widząc troskę na obliczu Vonna.

Chłopak nie ma za grosz poczucia humoru, pomyślał. Choć pewnie minie sporo czasu, nim znów naciągnę łuk. Niech Braitha Zaświat pochłonie.

Przez jego umysł przepłynęły wspomnienia z bitwy. Znów ujrzał Braitha, swego dawnego herszta z Ciemnego Boru, wpadającego z pomostu do wody. Conalla, ogłuszającego swego brata Haliona w chwili, gdy Camlin uciekał na statek z synem Roisin, Lorcanem. I Marrocka, wpadającego w fale z gardłem podejrzanym przez Conalla.

Marrock. Mój pierwszy prawdziwy przyjaciel od dawna, pomyślał Camlin.

Jego strata bardzo go zabolęła. Brakowało mu też Haliona. Połączyło ich coś więcej niż tylko wspólny cel. Miał wrażenie, że zadzierzgnęła się między

nimi nie prawdziwego braterstwa.

Za resztą też mi się cknę. Za Dathem, Corbanem, nawet starą Briną. Ciekawe, czy znaleźli Cywen? Czy dalej są przy życiu?

Świat wokół niego ulegał ciągłym przemianom, za którymi trudno było nadążyć. Zwłaszcza że przez ostatnie dwadzieścia lat nie wyściubiłem nosa z Ciemnego Boru, pomyślał. Mimo to muszę się pogodzić z tym, co ma miejsce wokół. Muszę zaakceptować najgorsze nawet wieści i jakoś żyć dalej. Nie mogę się załamać.

Powinieneś odejść, odezwał się stary, uporczywy głos w jego głowie. Powinieneś zniknąć i ułożyć sobie życie, zanim zginiesz za jakiegoś szlachetnie urodzonego panicza, który cię nic nie interesuje. Poza tym, spójrz tylko na siebie. Nie nadajesz się na towarzysza dla królowych i szlachetnych wojowników. Jesteś złodziejem! Jesteś łotrem!

Delfiny skakały przez fale, ścigając się z okrętem.

Nie mogę odejść teraz. Dotarłem zbyt daleko. Wiąże mnie przysięga.

Nikom nie składałeś żadnych przysięg!

Na głos nie, zgadza się. Ale chcę zakończyć to, co zacząłem. Poza tym, w chwili obecnej raczej odejść nie mogę. Kiepski ze mnie pływak.

– Gdzie jest Edana? – spytał Vonna, który stał obok niego i w milczeniu wpatrywał się w wybrzeże.

– W swej kajucie. Baird jej pilnuje. Myślisz, że możemy mu zaufać? – spytał po chwili Vonn.

– Bairdowi? Cóż, dobrze go mieć po swojej stronie podczas walki, ale zaufanie to zupełnie inna sprawa. Co ty sądzisz?

– Mnie nie pytaj o takie rzeczy. Zapomniałeś, że ufałem swojemu ojcu? – rzucił Vonn i spojrzał na fale z grymasem na twarzy.

Camlin zerknął ze współczuciem na młodego wojownika.

Jego ojcem jest Ewnis, zdrajca Dun Carreg, zabójca Brenina, króla Ardanu. Trudno o gorszego ojca w całych Ziemiach Wygnanych, pomyślał.

– Sądzę, że można ci to wybaczyć – powiedział. – Przecież większość z nas tak robi. No wiesz, ufa ojcom. Przynajmniej przez jakiś czas.

Vonn nie odpowiedział.

– A jeśli chodzi o Bairda, myślę, że to jeden z tych, którzy dają słowo i robią wszystko, by go dotrzymać. Obiecał Rathowi, że zatroszczy się o Edanę, a przecież tych dwóch łączyła serdeczna przyjaźń.

– Prawda – zgodził się Vonn.



– W moim odczuciu królowa wcale nie jest bezpieczna. Co prawda znaleźliśmy się na okręcie, który oddala się od Domhainu, Rhin i Conalla, ale większość osób na pokładzie nie jest Edanie nic winna. Co więcej, Roisin i jej syn Lorcan mają dwie dziesiątki ludzi na swoje rozkazy. Nie będziemy bezpieczni, dopóki nie zsiądziemy z tej balii i nie znajdziemy się daleko od nich. Wprawdzie Edana ma w przyszłości wyjść za Lorcana, ale nie sądzę, by Roisin miała dotrzymać słowa.

Edana, zbiegła królowa Ardanu, pomyślał Camlin.

Stał się członkiem ich niewielkiej grupy właściwie przez przypadek. Po upadku Dun Carreg trzymała go w niej przyjaźń z kilkoma zaledwie osobami – Marrockiem, Halionem oraz Dathem i Corbanem – ale teraz, gdy ich drużyna się rozpadła, postanowił, że nie opuści Edany. Dziewczyna z początku wydała mu się jedynie rozpieszczoną księżniczką, która nie potrafi wydawać rozkazów i nie zasługuje na to, by za nią podążać, ale podczas ucieczki przez dzikie tereny Cambrenu oraz góry, za którymi leżał Domhain, Camlin dostrzegł w Edanie przemianę. W pamięci zapadła mu tamta chwila w górach, gdy Marrock zgłosił się na ochotnika, by zatrzymać pościg i dać reszcie więcej czasu na ucieczkę.

„Albo wszyscy zostają, albo wszyscy uciekają. Nie chcę stracić nikogo z was tylko po to, by móc uciekać chwilę dłużej” – rzekła wówczas Edana.

Znalazła w sobie sporo hartu ducha, trza przyznać, pomyślał Camlin.

Wtedy zaczął się w nim budzić szacunek dla tej młodej kobiety, który z księżycy na księżyc zwiększał się coraz bardziej, zwłaszcza gdy ujrzał, jak Edana radzi sobie ze starym Eremonem czy cwana intrygantką Roisin.

Może jednak mimo wszystko warto jej służyć, przeszło mu przez myśl.

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki Edana wyszła na pokład i skierowała się ku nim. Towarzyszył jej Baird. Królowa splotła swe jasne włosy na podobieństwo warkocza wojownika, a jej twarz była blada i ściągnięta. Na ramiona narzuciła szary ardański płaszcz, a dłoń oparła na wystającej spod niego rękojeści miecza.

– Idę porozmawiać z Roisin – rzekła. – Wydaje mi się, że moi przybocznicy powinni mi towarzyszyć.

Przybocznicy, pomyślał Camlin. Różnie mnie nazywano w życiu, ale tak to jeszcze nie.

– Oczywiście – rzekł Vonn.

– A o czym chcesz rozmawiać? – spytał Camlin. Kątem oka zauważył, że

Vonn zmarszczył brwi.

Ciągle zapominam, że to królowa, pomyślał.

Edana rozejrzała się. Znajdowali się na jednomasztowym statku handlowym z rumplem umieszczonym na platformie nad rufą. Roisin wraz z synem spali w kajucie, która znajdowała się pod rumplem. Drzwi pilnowało dwóch wojowników.

– Pora, byśmy się dowiedzieli, na czym stoimy. Chcę wiedzieć, czy Roisin uszanuje obietnicę, którą złożył nam Eremon – powiedziała Edana.

Wyprostowała się i ruszyła na rufę w asyście trzech zbrojnych. Zatrzymała się przed wojownikami strzegącymi drzwi.

– Chcę porozmawiać z waszą panią – oznajmiła stanowczo.

Mężczyźni przyglądali jej się przez moment.

– Rusz się, Cian – odezwał się dobrodusznie Baird, ale Camlin miał wrażenie, że wyczuwa groźbę w jego głosie. Baird był niczym naciągnięta cięciwa, lada moment gotowa wyrzucić strzałę.

Jeden z przybocznych Roisin zmarszczył czoło, ale po chwili odwrócił się, zastukał i wszedł do środka.

– I powiedz Roisin, by nałała trochę wina! – zawołał Baird w ślad za nim.

Edana spojrzała na niego, a zabójca olbrzymów wzruszył ramionami.

– Królowa przyjmie cię, pani – rzekł Cian i przytrzymał drzwi.

Edana weszła do środka, ale mężczyzna zagroził drogę jej przybocznym.

– Wy zostaniecie na pokładzie – oznajmił.

– Złożyłem Rathowi przysięgę – rzekł Baird. – Mam odwieźć Edanę do Ardanu, a po tym, co zrobił Quinn, nie mam zamiaru spuszczać jej z oczu ani na chwilę. Chciałbyś może doprowadzić do tego, bym stał się wiarołomcą?

Zrobił krok ku Cianowi, ale ze środka dobiegł głos:

– Wpuść ich wszystkich.

Wojownik zawahał się, ale ustąpił i wszedł do środka za całą czwórką.

W kajucie było ciemno i minęła chwila, nim wzrok Camlina przyzwyczaił się do mroku. Odruchowo zajął pozycję z tyłu i rozejrzał się w poszukiwaniu dróg ucieczki. Zasłonięte okiennicami okno na rufie i drzwi za nimi. Nic ponadto.

Kajuta była niewielka i prymitywnie urządzona. W środku znajdowały się jedynie stół, dwa krzesła oraz dwie wbudowane w ścianę koje. Roisin siedziała przy stole. Pojedyncza świeca opromieniała jej bladą twarz, a atramentowoczarne włosy przypominały burzową chmurę. Królowa

wydawała się wyczerpana. Miała zapadnięte policzki, a pod jej oczami widniały ciemne plamy, ale mimo to nadal olśniewała urodą.

– Wybaczcie Cianowi – rzekła na powitanie. – Moi ludzie są nieco przewrażliwieni od czasu zdrady Quinna.

I trudno im się dziwić, pomyślał Camlin. Zaskoczył nas wszystkich. Powinienem być zaufać instynktowi. Od początku mi się nie spodobał.

– To zrozumiałe – odparła Edana, po czym usiadła i ujęła kubek z winem, podanym jej przez Roisin.

Quinn był obrońcą Roisin i pierwszym mieczem króla Eremona. Zdradził królową na plaży Domhainu, gdy uświadomił sobie, że czekający na nich statek jest zbyt mały, by zabrać ich wszystkich. Z garścią ludzi próbował wówczas pochwycić Lorcana i wykorzystać go w negocjacjach z Conallem. Camlin widział, jak Halion przebił serce zdrajcy mieczem, choć Quinn również zdołał go drasnąć. Miał w zwyczaju smarować miecz trucizną, której odrobina dostała się do krwi Haliona i spowolniła go na tyle, że wpadł w ręce Conalla.

– Chcę z tobą pomówić szczerze – rzekła Edana. – Nastąpiły mroczne czasy i szczerść pomoże nam wszystkim pozbyć się niepokoju.

– Słusznie mówisz, to mroczne czasy. Mój mąż został zamordowany, królestwo przepadło, a mój syn jest ścigany przez uzurpatora.

– Tak. Wyrządzono nam wiele krzywd, ale chciałam porozmawiać nie o przeszłości, lecz o przyszłości.

– Pytaj więc – rzekła Roisin i upiła długi łyk wina.

– Jakie są twoje zamiary? Wciąż masz dwie dziesiątki zbrojnych. Czy zamierzasz uhonorować obietnicę, którą złożył mi król Eremon? Czy wysadzisz mnie na plaży w Ardanie?

– Ach, Eremon. Stary, głupi uparciuch. Powinien uciekać wraz z nami. Powinien tu być.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Roisin wpatrywała się w swój kielich, aż przeszył ją dreszcz. Uniosła głowę.

– A co z obietnicą, którą złożyłaś jemu? Zabierzesz Lorcana w bezpieczne miejsce i poślubisz go?

Edana spoglądała na nią ze spokojem.

– Nie wyjdę za Lorcana. Ta umowa wygasła. Miałam poślubić twego syna w sytuacji, w której wojska Domhainu pokonałyby Rhin i pomogły mi odzyskać tron Ardanu. Hufiec Domhainu poszedł jednak w rozsypkę

i nadzieja przepadła. Ale jeśli sobie życzysz, zabiorę ciebie i Lorcana ze sobą i postaram się zadbać o wasze bezpieczeństwo. – Uśmiechnęła się blado. – Być może nie proponuję ci wiele. Jak mówił Eremon, pojawiły się pogłoski o ruchu oporu, który zaczął się gromadzić na mokradłach wokół Dun Crin. Mam więc nadzieję wrócić do Ardanu, ale wiem, że może się to wiązać z niebezpieczeństwami. Ardanem rządzi Ewnis, który jest podległy woli Rhin. Nie wiem, ilu ludzi mnie poprze. Nie wiem, czy ktokolwiek to uczyni. Nie mogę więc zagwarantować bezpieczeństwa ani tobie, ani twemu synowi. Drugim rozwiązaniem, jakie ci pozostaje, jest odpłynąć najdalej jak się da i znaleźć sobie jakiś azyl, ale obawiam się, że Rhin będzie cię ścigać, tak jak ściga mnie. Ja i Lorcan stanowimy zagrożenie dla jej władzy. Jesteśmy prawowitymi dziedzicami tronów i sztandarami, wokół których zbiorą się pokrzywdzeni.

– Istnieje jeszcze jedna opcja. – Roisin wyprostowała się powoli i spojrzała na Edaną przymrużonymi oczami. – Mogę oddać cię Rhin w prezencie. W zamian za bezpieczeństwo Lorcana.

Żmija wciąż jeszcze pokazuje ząbki, pomyślał Camlin, czując, jak w kajucie narasta napięcie.

– To byłoby głupie. – Edana uśmiechnęła się ze znużeniem. Ze wszystkich obecnych wydawała się najspokojniejsza. – Nie możesz ufać Rhin. Nie wolno ci wierzyć w żadne jej zapewnienia. Lorcan zawsze będzie dla niej zagrożeniem, bez względu na to, co jej zaproponujesz. Przecież to ona posadziła Conalla na tronie Domhainu. Nie pozwoli, by Lorcan żył. Chyba zdajesz sobie z tego sprawę?

Edana wpatrywała się dobitnie w Roisin, która spoglądała na nią wyzywająco, z dumą. Niespodziewanie pochyliła się niczym żagiel, z którego umknął wiatr.

– Wiem, że masz rację – szepnęła.

– Zaproponuję ci więc nowy układ – rzekła Edana. – Mamy wspólnego wroga, który życzy nam wszystkim śmierci. Przyłącz się do mnie. Wróc ze mną do Ardanu i pomóż mi odzyskać tron, a gdy tego dokonamy, odwdziczę ci się tym samym. Przysięgam na kurhany moich zamordowanych rodziców i na krew, która płynie w moich żyłach, że dołożę wszelkich starań, by Lorcan zasiadł na tronie Domhainu.

Podniosła się nagle i wyciągnęła nóż spod płaszcza. Roisin zesztyniała, Cian zbliżył się o krok, ale Edana nacięła jedynie swą dłoń. Zaczekała, aż

ścieknie krew, po czym przekazała broń Roisin.

Kobieta wpatrywała się w nóż przez moment, po czym wzięła go do ręki. Nacięła skórę we wnętrzu dłoni i mocno uściśnięła dłoń Edany. Ich krew się połączyła.

– Przysięgam, że dopilnuję, byś dotarła bezpiecznie do Ardanu, i zrobię wszystko w mej mocy, byś odzyskała swój tron – rzekła Roisin.

Chodzi ci głównie o bezpieczeństwo twoje i Lorcana, pomyślał Camlin. Nasze towarzystwo raczej ci tego nie zagwarantuje, ale jeśli Rhin zacznie nas ścigać, przyda się jak najwięcej mieczy.

Roisin westchnęła i usiadła, a Cian stanął przy niej.

– Ale Lorcan będzie rozczarowany, jeśli wymówisz się od zrękowin – powiedziała. – Mam wrażenie, że trochę się w tobie podkochuje. Może przez jakiś czas nie mów mu o niczym. Trzeba go do tego przygotować.

Niespodziewanie drzwi stanęły otworem i do środka wszedł Lorcan wraz ze strzegącym go wojownikiem. Następca tronu był szczupłym, ciemnowłosym młodzieńcem o delikatnych rysach twarzy, niemalże równie urodziwym jak jego matka.

– Och, moje dwie ulubione damy! – oznajmił z uśmiechem. – Moja matka oraz przyszła żona.

Edana przewróciła oczami, a Camlin powstrzymał wybuch śmiechu.

## Rozdział szósty

# RAFE

Rafe wszedł w fale aż po pas i pochwycił ciało unoszące się na wodzie. Z piersi trupa sterczała czarna strzała.

Kolejne dzieło Camlina, pomyślał.

Widział banitę, gdy ten stał na pomoście i słał strzałę za strzałą w ludzi Conalla. Na plaży leżało już pół tuzina ciał, z których sterczały identyczne strzały. Rafe spojrział na morze, ale okręt, na którym odpłynęli Camlin, Vonn i reszta, już dawno znikł za horyzontem.

I co ja właściwie tu robię?, zastanawiał się chłopak.

Odpowiedź na to pytanie była dość prosta – wypełniał rozkazy. Wszystko zaczęło się w Dun Taras, gdzie wygłodniały tłum otworzył bramy przed Rhin. Rafe powiedział królowej, że widział uciekającą Edanę. Conall zorganizował pościg, do którego przyłączył się Braith, łowczy Rhin. Mężczyzna potrzebował pomocy innych łowców bądź kogokolwiek, kto potrafi prowadzić psy myśliwskie, a wówczas Conall wskazał mu Rafe'a.

I tak oto znalazłem się tutaj, setki mil od domu, na zimnej plaży na skraju świata.

Stęknął głucho, wciągając ciało na brzeg. Ktoś przyszedł mu z pomocą i razem powlekli trupa po plaży, by ułożyć go obok innych. Jeden z ogarów obwąchał ciało i zaskomlał z żalem. Z ludzi, którzy wyruszyli z Conallem z Dun Taras, padło ponad dwudziestu.

Ów Halion wie, jak obracać mieczem, trza mu to oddać, pomyślał Rafe.

W trakcie walki młodzieniec stał na wąskim występie, z którego rozciągał się widok na plażę, i trzymał na smyczy dwa ogary. Wraz z Braithem przyglądali się, jak ludzie Haliona bronią pomostu przed przeważającymi siłami wroga do chwili, gdy sam Halion osunął się na piasek. Choć ranny i wyczerpany, wojownik poderwał się i walczył dalej, a wraz z nim kilku

innych, którzy skoczyli mu na pomoc. Napastnicy otworzyli sobie drogę na pomost, dopiero gdy Conall pokonał Haliona i pozbawił go przytomności. Wówczas było już za późno – Edana i jej towarzysze zdążyli odpłynąć wraz z Lorcanem, młodym pretendentem do tronu Domhainu.

Jeden z ogarów zaskomlał i trącił pyskiem nogę Rafe'a.

– Proszę bardzo, Niuchaczu – rzekł i podał psu kawałek suszonej baraniny z sakiewki przy pasie. Ukucnął i podrapał szarego psa między uszami. – Pewnie chciałbyś już ruszyć do domu, co?

Ja zresztą też, pomyślał. Tęsknię za domem. Za Dun Carreg. Za Ardanem. Czy kiedyś jeszcze tam wrócę?

Ze wszystkich stron opadły go wspomnienia. Przypomniały mu się długie dni spędzone wśród drzew, kiedy ojciec, łowczy Helfach, uczył go zwyczajów lasu i sztuki podchodzenia i zabijania zwierząt.

Drugi ogar, Drapichrust, również podszedł bliżej, widząc, że ominął go poczęstunek.

– Łap, proszę. – Rafe rzucił psu pasek baraniny.

Drapichrust złapał go w powietrzu, przełknął, a potem oblizwał pysk.

Na plaży zadudniły kopyta. Rafe uniósł głowę i ujrzał Conalla, który wracał w asyście garstki przybocznych. Ponury wojownik był teraz jedynym, co kojarzyło mu się z domem i z życiem w Ardanie. W głębi duszy Rafe bał się go – Conall słynął wszak z burzliwego usposobienia i skłonności do sięgania po broń – ale darzył go też sympatią za to, że równie chętnie wybuchał śmiechem co gniewem.

Wysoko zaszedł, pomyślał Rafe. Jeszcze do niedawna był jedynie wojownikiem na rozkazach Evnisa, tak jak ja.

Conall zsunął się z siodła i spoglądał spode łba na każdego, kto ośmielił się nawiązać z nim kontakt wzrokowy.

– Gdzie jest mój brat?! – zawołał.

Wskazano mu Haliona, który, wciąż nieprzytomny, leżał na plaży ze związanymi nadgarstkami i kostkami. Conall podszedł bliżej i stanął nad nieruchomym ciałem brata. Jego twarz złagodniała na moment, a potem znów spochmurniała, aż pojawił się na niej szyderczy grymas.

– Udało się? – spytał wojownik służący u Rhin jako kapitan. Wszyscy ludzie, którzy kontynuowali pościg pod jego rozkazami, należeli do armii królowej. Choć mieszkańcy Dun Taras otworzyli wrota stolicy przed Rhin, nadal było za wcześnie, by zaufać wojownikom z Domhainu – przecież chwilę

wcześniej Domhaińcy i Cambreńcy usiłovali się pozabijać.

– W promieniu mili nie ma ani jednej łodzi – mruknął Conall.

– A więc uciekli – oznajmił cambreński kapitan.

– Bystrzak z ciebie, nie da się ukryć – parsknął woj.

– Królowa Rhin nie będzie zadowolona. – Oficer zmarszczył brwi. – Cieszę się, że nie jestem na twoim miejscu.

Conall rąbnął go z całej siły w twarz. Cambreńczyk zatoczył się i padł na jedno kolano.

– Ja też nie jestem zadowolony – warknął Conall.

Towarzysze powalonego oficera zbliżali się ze wszystkich stron, tworząc luźny krąg wokół regenta Domhainu. Rafe wstał i również zrobił krok ku niemu.

Tylko on łączy mnie teraz z ojczyzną. Nie chcę, by i on zginął, pomyślał.

Jeden z ogarów warknął cicho.

Conall odwrócił się ku nadchodzącym zbrojnym.

– Jeśli ktokolwiek z was ma problemy z pamięcią, pragnę przypomnieć, że jestem regentem waszej królowej i jej pierwszym mieczem.

Opuścił dłoń na rękojeść, co przypomniało wszystkim, jak pokonał Morcanta, by zostać pierwszym mieczem Rhin.

Nie mieszaj się w to, idioto!, Rafe napomniął sam siebie w myślach. Przecież nie chcesz zginąć na tej zimnej plaży!

Mimo to nie mógł się już zatrzymać. Przepchnął się między wojownikami, prowadząc warczące psy, aż stanął przy Conallu.

Pełna napięcia chwila przeciągała się i lada moment mogło dojść do rozlewu krwi. Słysząc było tylko ryk przyboju i krzyk mew nad głowami. Naraz jeden z ludzi Rhin odwrócił się i odszedł, a po nim drugi i kolejny.

– Wstawaj – zwrócił się Conall do powalonego przed momentem kapitana i podał mu rękę. Mężczyzna spojrzał na niego, ale pochwycił go za nadgarstek.

– Wielka krzywda ci się nie stała, co? No, może będziesz miał siniak pod okiem przez parę dni. Kobietom się to podoba. – Wojownik roześmiał się i poklepał kapitana po ramieniu, a ten mruknął coś pod nosem i odszedł. – Widziałem to, co zrobiłeś. – Conall zwrócił się teraz do Rafe'a. – I nie zapomnę o tym.

Rafe wzruszył ramionami.

– A gdzie Braith? – spytał Conall. – Nie znam nikogo innego, kto byłby w stanie wytropić okręt.



– Nie żyje – rzekł Rafe. – Camlin zabił go i wrzucił do morza, gdy walczyłeś z Halionem.

– To ci dopiero. – Conall zmarszczył brwi. – Tego się nie spodziewałem. Nie było wielu ludzi, którzy byliby w stanie zatrzymać Braitha.

– Ja też nie, ale widziałem tę walkę.

– Szkoda. A ty? Umiesz wytropić statek?

Rafe uniósł brew.

– Gdzie oni, twoim zdaniem, uciekają? – spytał, gdy obaj spojrzeli na pusty horyzont.

– Jak najdalej ode mnie – warknął Conall.

– Budzi się! – zawołał jeden z wojowników.

Rafe odwrócił głowę i ujrzał, że Halion się porusza. Podeszedł do niego w ślad za Conallem.

Wojownik był pocięty i poturbowany, a na jego szczęce rozlał się czarny siniak. Zamrugał.

– Wody! – wychrypiał.

Conall ukucnął i wlał nieco wody z manierki do ust Haliona. W tym geście kryło się wiele delikatności.

– Gdzie oni są? – spytał.

Halion spojrzął na fale.

– A więc uciekli?

– Tak, z twoją pomocą. Dokąd zmierzają, bracie?

– Nie wiem – wyszeptał Halion. – Uciekaliśmy po prostu, i tyle. Jak najdalej od ciebie, Rhin i Domhainu. Nie ustaliliśmy dokąd.

– Kłamiesz! – wywarczał Conall i pochylił się jeszcze bardziej.

– Wierz sobie, w co chcesz. – Halion wzruszył ramionami. – W każdym razie krzywdy już im nie zrobisz.

Conall pochwycił rannego i przyciągnął go do siebie.

– Muszę znaleźć Lorcana i tę sukę Roisin! – warknął, opryskując brata drobinkami śliny, na co ten spojrzął na niego ze smutkiem.

– Kiedy to stałeś się dzieciobójcą? Lorcan to twoja rodzina!

– Nie pamiętasz już, co Roisin nam zrobiła? Zamordowała naszą matkę! Wypędziła nas z ojczyzny!

– Tak, Roisin, a nie Lorcan.

– Ona też jest na tym statku, a Lorcan to jej potomek. Jeśli nie uporam się z nimi teraz, któregoś dnia po mnie przyjdą. Nie mam zamiaru spoglądać

przez ramię przez resztę życia i nie sądzę, by po zabiciu któregokolwiek z nich dręczyła mnie bezsenność.

– Co się z tobą stało, Con?

– Ze mną? Spójrz lepiej na siebie. Kłaniasz się rozpieszczonej dziewczusze, walczysz w obronie morderczyni naszej matki. To nie ja się zmieniłem.

– Złożyłem przysięgę królowi Breninowi i nie mam zamiaru jej złamać. Nawet dla ciebie, Con.

Conall zamilkł i przez chwilę wpatrywał się w brata. Na jego policzku zadrgał mięsień. Naraz pochwycił za nóż i przeciął więzy na kostkach Haliona.

– Wstawaj. Zabieram cię do Rhin. Zobaczymy, ile potrwa, zanim opowiesz jej o wszystkim, co wiesz. Nie masz pojęcia, jaki ona ma dar perswazji.

Halion dźwignął się na równe nogi, a wtedy zauważył Rafe'a.

– A więc nadal żyjesz – rzekł.

– Tak. Ciężko mnie zabić – odparł chłopak.

Po raz ostatni rozmawiali w namiocie Edany, tuż po tym, jak Rafe został złapany na granicy Domhainu. Wspomnienie obudziło w nim gniew. Dobrze pamiętał, jak Corban, Dath i Farrell z niego drwili, a Edana spoglądała na niego z góry i osądzała go.

– Sporo się zmieniło od czasu naszego ostatniego spotkania! – zawołał do Haliona, prowadzonego ku koniom.

– I jeszcze parę zmian nastąpi, nim wszystko ucichnie – rzucił Halion przez ramię.

A co to miało niby oznaczać?, zastanawiał się Rafe.

– Pochowamy poległych i wracamy do Dun Taras! – zawołał Conall. – Do roboty!

Jeden z psów nagle zeszywniał i zaskomlał, spoglądając na morze.

Coś unosiło się wśród fal, ciemny kształt odcinający się od piany i szarości wody.

Jeszcze jeden trup?, pomyślał Rafe, wkraczając między fale. Tak, to trup.

Widział już kończyny oraz unoszące się na wodzie włosy. Wszedł do morza aż po pas i pochwycił ciało, a wtedy zamarł.

Patrzył na Braitha.

Banita miał bladą twarz i posiniąłą skórę. Wielka rana między szyją a ramieniem wciąż broczyła krwią, barwiąc morską pianę na różowo. Rafe złapał go i zaczął wlec w stronę brzegu.

Wówczas banita jęknął.

## Rozdział siódmy

# TUKUL

Tukul złapał odciętą głowę za czarne włosy i uniósł ją wysoko. Przyjrzał jej się z ponurą miną. Patrzył na oblicze młodej wojowniczkii Jehar, młodszej nawet od Gara. Spoglądały na niego puste, pozbawione życia oczy.

Byłaś moją siostrą w mieczu, pomyślał. Wojowniczką, którą szkolono do walki i uczono prawości, a mimo to zginęłaś jako niewolnica Asrotha, jako jego narzędzie.

Pokręcił głową, pełen współczucia dla poległej rodaczki. Wiedział, z jakim wstydem będzie musiała przejść przez most mieczy. Współczucie szybko zamieniło się w gniew, gdy przypomniał sobie o Sumurze.

Dumny, zaślepiony głupiec, który podążył za Kadoshim! Który skazał mój lud na hańbę!

Z głuchym warknięciem upchnął głowę w skórzanej sakwie, gdzie znajdowały się również głowy innych Kadoshim ubitych podczas nocnego ataku.

Niech to wszystko przypomina nam, ile będzie nas kosztować Wojna Bogów, pomyślał.

Przez moment wpatrywał się w poskręcane, bezgłowe zwłoki zabitych Kadoshim, gdy usłyszał pytanie Gara:

– A co z nimi?

Spojrzał na syna. Po tak długim okresie rozłąki jego widok wciąż nappełniał go wielką radością.

Mój synu, ależ ty wyrosłeś, myślał. Jesteś silny, ale kryje się w tobie wiele mądrości. Nosisz w sobie zarówno dumę, jak i pokorę. Moje serce rośnie, gdy na ciebie patrzę.

Tukul nierzadko wyobrażał sobie, kim stanie się jego syn, ale rzeczywistość przekroczyła jego marzenia.

Chętniej się uśmiecha niż reszta spośród nas, ale to nic złego. Choć dziś akurat powstrzymuje się od uśmiechów. Odnoszę wrażenie, że tak będzie jeszcze przez jakiś czas.

Żal i rozpacz pozostawiły po sobie ślad na obliczu Gara. Śmierć matki Corbana mocno go doświadczyła.

Życie i śmierć, rozpacz i radość to wszystko fragmenty szlaku, który wytyczył dla nas Elyon, pomyślał Tukul, ale zmarszczył brwi, żałując, że nie może ulżyć cierpieniu syna.

To niemożliwe, przemknęło mu przez głowę, a w jego sercu odezwało się słabe echo długich tygodni rozpacz po śmierci własnej żony, Darii. Nie postradałem wówczas resztek zmysłów tylko dlatego, że się czymś zająłem, i mam nadzieję, że Garowi to również pomoże. Wszak zaczyna się Wojna Bogów, która zajmie nas wszystkich na długo.

Raz jeszcze spojrzął na ciała rozrzucone na ziemi.

– Zastanawiałem się, czy nie pozostawić czegoś dla tych, którzy będą tędy przechodzić – powiedział. – Dla Calidusa i jego bandy. Czegoś, co będzie ostrzeżeniem. – Rozejrzał się ponownie i zauważył skupisko targanych wiatrem drzew, rosnących przy strumieniu. – Zanieście je tam.

Po drodze minęli Corbana, który siedział przy kurhanie swej matki i wpatrywał się w nicość.

Ma wiele spraw do przemyślenia, w tym również to, co począć z ową przedziwną drużyną, która zgromadziła się wokół niego, pomyślał Tukul.

Zauważył bowiem zgrozę na twarzy Corbana, gdy ten uzmysłowił sobie, że wszyscy czekają na jego decyzję.

Od chwili spotkania w podziemiach fortecy królowej Rhin Tukul przyglądał się Corbanowi z intensywnością wykształconą przez całe życie oczekiwania.

To Seren Disglair, Jasna Gwiazda, awatar wybrany przez Elyona, by zatrzymać pochód Asrotha oraz legiony jego Czarnego Słońca. Czy istnieje człowiek, który umiałby lekko dźwigać takie brzemie?

Mimo to Tukul pokładał w młodym człowieku zaufanie zrodzone nie tylko z wiary, ale również tego, co zdradzały mu przeczucie oraz obserwacje.

Nie chce dowodzić, a to dobry początek, myślał. Tylko ludzie próżni i głupi domagają się takiej odpowiedzialności. Jest też niebywale lojalny – pokonał pół tysiąca mil i wdarł się do twierdzy olbrzymów, by odnaleźć swą siostrę. Co więcej, nie słuchał rad Meicala, a nie każdy byłby w stanie sprzeciwić się anielskiemu wojownikowi.

Tukul doszedł do wniosku, że podoba mu się to.

– Nic mu nie jest? – zwrócił się do syna.

Ten wzruszył ramionami.

– Nie – odparł po prostu. – Poniósł wielką stratę i wiele się dowiedział. Ja mu ufam.

– Mnie to wystarczy – rzekł Tukul z uśmiechem. Ciekawiło go, jaką decyzję podejmie Corban.

Dowiem się w ten sposób więcej o młodym człowieku, któremu poprzysiągłem służyć, pomyślał. Mimo to dobrze by było, gdyby już się zdecydował. Nie możemy czekać tu, aż opadną nas Kadoshim i Benothi.

Obozowisko zostało zwinięte, a konie były osiodłane i gotowe do drogi. Juki spakowano, ognie rozkopano, a olbrzymy zebrały się i czekały. Kilkoro spośród ich dzieci brało się za łby na wrzosowisku.

– Pomóżcie mi! – rozkazał Tukul, ciągnąc ciało zabitego Kadoshim pod gałęzie drzewa. Kilkoro Jehar podeszło, by mu pomóc. Chwilę później mężczyzna cofnął się o krok, by przyjrzeć się swemu dziełu.

Wystarczy, pomyślał.

Wokół niego rozległy się szepty. Tukul odwrócił się i ujrzał Corbana, który pochylił się i zerwał fioletowy kwiat ostu. Przycisnął go do ust i czule ułożył na kopcu, szepcząc jakieś słowa. Potem wyprostował się i podszedł do konia. Cywen podała mu wodze.

– Dokąd zmierzamy? – spytał Meical, gdy młody wojownik wskoczył w siodło.

Corban nabrał głęboko tchu i spojrzał na wszystkich zebranych, aż jego wzrok spoczął ponownie na Meicalu.

– Nie wiem.

Zapadła cisza.

Nie tej odpowiedzi się spodziewałem..., przemknęło Tukulowi przez myśl.

– Radziliście, byśmy udali się do Drassil – rzekł Corban. – Zastanawiałem się nad waszą radą, która przypuszczalnie była słuszna i sensowna, choć nie wiem nic o przepowiedniach, starych lasach i fortecach, ale posłyszałem szept własnego serca. Ono zaś podpowiedziało mi: „Przecież złożyłeś przysięgę Edanie”.

– Nie bez powodu radziłem, byśmy się udali do Drassil – odparł Meical powoli i dobitnie. – Proroctwo mówi, że musisz się tam udać.

Tukul zauważył, że Corban zerknął na Gara.

Nie ma pewności. Szuka pokrzepienia, pomyślał.

– Straciliśmy już sporo czasu i niewiele zyskaliśmy – ciągnął Meical, świadom wahania chłopaka. – A Asroth nie przestaje działać.

– Naprawdę nie zyskaliśmy wiele? – Corban spojrzał ostro na Meicala. – Dla ciebie to może niewiele, zaledwie drobiazg w wielkim planie, ale ja osiągnąłem to, po co wyruszyłem. Moja siostra jest bezpieczna.

– Nie jest bezpieczna. Nikt nie jest bezpieczny na tym świecie i ty akurat powinieneś sobie zdawać z tego sprawę lepiej od innych ludzi. Stałeś jednak przed obliczem Asrotha. Zdajesz sobie sprawę z zagrożenia.

– To prawda. – Corban pokiwał głową. – A ty mnie ocaliłeś. Wyrwałeś mnie sprzed tronu Asrotha na jego oczach, nim wyciął mi serce. A potem wyruszyłeś ze mną na północ i pomogłeś mi ocalić Cywen przed Nathairem i Calidusem. – Odszukał wzrokiem siostrę. – Zawsze będę ci za to wdzięczny.

– Nie szukam wdzięczności ani pochwał – rzekł Meical. – Interesuje mnie zwycięstwo. Toczmy wojnę z wrogiem o wiele potężniejszym i bardziej nieczym, niż jesteś w stanie sobie wyobrazić. Obawiam się, że wystarczy jeden dzień zwłoki na południu, byśmy ponieśli klęskę.

– Wiem, co mi doradzałeś. Wiem, że chodzi o tę przepowiednię, o te czasy, o mnie... – Corban urwał. – Jak sam mówisz, widziałem Asrotha i wiem, że rodzi się straszliwe zło. Ujrzałem je na własne oczy i rozumiem, że musi zostać powstrzymane. – Zerknął na północ, ku Murias. – Nie zdobyłem w życiu wielkiej wiedzy... – ciągnął.

Tukul usłyszał ciche kasznięcie. Odwrócił się i ujrzał Brinę, która wpatrywała się w Corbana z lekkim uśmiechem na ustach.

– ...ale kilka rzeczy dobrze rozumiem. Rzeczy, które były dla mnie podporą w najmroczniejszych chwilach, z którymi przyszło mi się zmierzyć. Ba, z którymi wszyscy się mierzyliśmy. – Zerknął na przyjaciół. – Rodzina. Przyjaźń. Lojalność. Oto, co było dla mnie gwiazdą przewodnią i światłem w tunelu. – Popatrzył na kopiec swojej mamy usypany przy strumieniu. Potem spojrzał Meicalowi w oczy. – Edana posłała kruka Fecha, by mnie znalazł i opowiedział o tym, co się wydarzyło w Domhainie. Przekazała mi też, że ucieka do Ardanu. Poprosiła, bym ją odnalazł, jeśli będę w stanie. – Wzruszył ramionami. – Serce mi mówi, że właśnie to powinienem zrobić. Przecież złożyłem jej przysięgę.

Tukul zerknął na Gara i pokiwał głową.

Podoba mi się ten młodzieniec, pomyślał. Słowa Corbana sprawiły, że serce

zabiło mu mocniej, choć najwyraźniej chłopak miał zamiar sprzeciwić się słowom Meicala, a to się nigdy dobrze nie kończyło.

Mimo to podoba mi się to, co słyszę, uznał Tukul. Mam nadzieję, że na jego miejscu powiedziałbym dokładnie to samo, choć już sam fakt, że Corban woli rady wyliniałego, starego kruka niż jednego z najwyższych rangą Ben-Elim, powinien mnie trochę zmartwić.

– Tym razem, Corbanie, serce wiecie cię na manowce – rzekł Meical. – Pasje i emocje to błogosławieństwo, które Elyon zesłał na wasz rodzaj, ale potrafią one nie tylko prowadzić, ale i zaślepić. Musisz udać się do Drassil.

– Mam pytanie – odparł Corban. – To całe Drassil. Jak niby mamy się tam dostać?

– Skierujemy się na południe, aż dotrzemy do rzeki Afren. Wtedy skęcimy na wschód i wjedziemy do Isiltiru, skąd już niedaleko do lasu Forn, w którym leży Drassil.

– Masz na myśli tę rzekę Afren, która płynie przez Ciemny Bór i wyznacza granicę między Narvonem i Ardanem?

– Tak.

– A więc dobrze myślałem. Czyli przez jakieś sto mil, bez względu na to, czy naszym celem jest Ardan czy też Drassil, będziemy zmierzać w tym samym kierunku?

– Tak.

– Jedźmy więc na południe, a decyzję co do ostatecznego celu podejmiemy po drodze, kiedy sobie wszystko dobrze przemyślimy.

Meical zmarszczył lekko brwi.

Meical chce, by Corban nas prowadził, pomyślał Tukul. By okazywał zdecydowanie i determinację. Sporo wymaga od człowieka tak młodego i nienawykłego do wydawania poleceń. Może Corban potrzebuje trochę czasu, by się przyzwyczaić do odpowiedzialności, którą musi dźwigać.

Meical przyglądał się młodzieńcowi przez dłuższą chwilę. Jego spojrzenie było pozbawione emocji jak u każdego Jehar.

– Dobrze. Jedźmy więc na południe.

Corban uśmiechnął się z ulgą. Dotknął piętami końskich boków i zatrzymał się przed Balurem.

– Droga na południe nie oznacza, że uciekamy przed Nathairem i Kadoshim. Wcale nie uciekamy przed tą wojną – rzekł.

– To Wojna Bogów. – Balur wzruszył potężnymi ramionami. – Nie ma



dokąd uciec.

– Wojna Bogów... – powtórzył Corban. – Nie w głowie mi ucieczka. Nathair zabił mi ojca, spalił dom, a teraz moja matka... – Zacisnął zęby, a na jego twarzy pojawiła się mieszanina złości oraz rozpacz. – Nathair i ci, z którymi jedzie, to niszczycielska plaga, która będzie siał zniszczenie, póki nie zostanie powstrzymana. Chcę z nimi walczyć ze wszystkich sił. Nigdy dotąd nie spotkałem olbrzyma i nie rozumiem zwyczajów waszej rasy. Nie wiem o was nic poza tym, że kiedyś w dalekiej przeszłości byliśmy wrogami. Mimo to, jeśli zgodzicie się do nas dołączyć, będę wam bardzo wdzięczny.

Balur spojrział na olbrzymkę stojącą u jego boku, Ethlinn, a potem na resztę grupy. Następnie odwrócił się do Corbana.

– Minęło sporo czasu, odkąd po raz ostatni odwiedziliśmy krainy na południu. Myślę, że przynajmniej na razie będziemy wam towarzyszyć.

Ku zdumieniu Tukula Corban z poważną twarzą wyciągnął ku Balurowi rękę. Ten zamrugał, nieco zaskoczony, ale zacisnął ogromną dłoń na jego nadgarstku.

– W porządku. A więc ruszamy! – wykrzyknął Meical.

Niespodziewanie zadrżała ziemia, gdy Jehar wskoczyli na konie, a olbrzymy ruszyły naprzód.

– Coralen! – zawołał Corban. – Ruszaj na zwiady! Weź ze sobą kogo chcesz! Dziewczyna spojrziała na niego z uniesioną brwią, ale skinęła głową.

– Wezmę Datha – oznajmiła, na co ten zerknął na nią ze zdziwieniem, a Farrell z niezadowoleniem. – I Enkarę!

Miała na myśli wojowniczkę Jehar z Setki, która lata temu opuściła Telassar o białych murach, podążając za Tukulem.

– Oraz Burzę, jeśli mi wolno!

Corban mruknął coś pod nosem i wilkunica przypadła do Coralen.

– Twój kruk też by się przydał. – Dziewczyna zwróciła się do Briny.

– Zmęczony! – zakrakał ptak siedzący na ramieniu uzdrowicielki.

– Ruszajże! – warknęła Brina i strąciła go z ramienia, na co Craff wzbił się ku niebu.

Odjeżdżając, Tukul spojrział za siebie. Ujrzał zdeptaną trawę, kamienne kurhany przy potoku, a nad nimi bezgłowe ciała zwisające z gałęzi drzew niczym poszarpane proporce.

To ostrzeżenie dla wszystkich, którzy ruszą za nami. Niełatwo będzie nas wystraszyć. Nawet straszliwym Kadoshim, pomyślał.

## Rozdział ósmy

# CYWEN

Cywen jechała obok Corbana blisko czoła ich dziwnego hufca. Buddai biegł przy jej koniu. Słońce wisiało wysoko na błękitnym, bezchmurnym niebie, a ze wschodu wiał chłodny wiatr. Dziewczyna zerknęła na Corbana.

Czy to naprawdę mój młodszy brat?, pomyślała. Przecież dopiero co przeszedł swój sprawdzian wojownika i zakończył Długą Noc, a teraz wydaje rozkazy drużynie złożonej z Jehar i olbrzymów. Tyle się zmieniło...

Corban był wyższy, potężniejszy, bardziej barczysty. Dosiadał Tarczy z wdziękiem urodzonego wojownika. Nawet jego twarz się zmieniła – była teraz szczuplejsza, ostrzej zarysowana, a na szczęce pojawił się już ciemny zarost. Pod przekrwionymi oczami znać było jednak ciemne plamy, które wskazywały na wielką rozpacz w sercu. Ich wspólną rozpacz.

Mama...

Na samą myśl o Gwenith Cywen poczuła, jak znów zalewają ją fale smutku. Wyciągnęła dłoń i dotknęła należącego do mamy pasa z nożami, przewieszzonego przez pierś. Nic więcej jej nie zostało.

Rozdzielono nas na tak długo. Spędziłyśmy razem tylko chwilę, nim...

Myśli Cywen przesłoniło wspomnienie Calidusa zadającego Gwenith śmiertelny cios. Rozpacz i wściekłość niemalże odebrały jej dech.

Tyle chciałam jej powiedzieć, ale Calidus odebrał mi ostatnią szansę!

Dobrze pamiętała siebie, klęczącą i gładzącą matkę po twarzy, pamiętała, jak usiłowała zetrzeć krew ściekającą jej z kącika ust.

To przeze mnie zginęła. To moja wina. Żyłaby, gdyby nie ruszyła mi na ratunek.

Starła łzy z policzków i zacisnęła mocno powieki.

Ale jestem wolna. Dziękuję, mamo. Nie zmarnuję tego daru.

Rozejrzała się po przygnębiających wzgórzach, porośniętych wrzosem

i janowcem, po czym nabrała powietrza w płuca.

Wolna!

Nawet poczucie winy nie było w stanie zdusić ulgi, którą poczuła, uwolniwszy się od Nathaira i Calidusa. Wspomnienie ich obu wyzwoliło w niej dreszcze.

Niespodziewanie uświadomiła sobie, że Corban na nią patrzy.

– Mamy sobie wiele do powiedzenia – rzekł.

– Och, tak – zgodziła się.

Mam tyle pytań, pomyślała. Od czego w ogóle zacząć?

– Zrobili ci krzywdę? – spytał Corban. Na jego twarzy pojawiły się troska oraz lęk.

– Krzywdę? Nie, raczej nie. Grozili mi bez przerwy. No i wiązali mi z początku ręce, bo próbowałam uciekać i zabijać ludzi.

– Kogo? – Corban się uśmiechnął.

Cywen zastanowiła się przez moment. Zdawało jej się, że tamte zdarzenia miały miejsce dawno temu.

– Morcanta. Conalla. Rafe’a.

– Dobry wybór – przyznał Corban. – Szkoda, że się nie udało. Ale nikt cię nie skrzywdził?

– Nie – odparła Cywen i pomyślała o swoich strażnikach: Veradisie oraz znękanym olbrzymie Alcyonie. Twarz Veradisa wypłynęła pośród jej myśli, jakże poważna i skupiona, a dziewczyna przypomniała sobie ich ostatnie spotkanie. Opowiedział jej o ciałach znalezionych w górach. Cywen zamartwiała się, że Corban i mama byli wśród poległych, na co Veradis wyjaśnił, że zginęli Heb i Anwarth.

„Twojej mamy i Corbana nie było wśród zabitych” – dodał.

Okazał jej wówczas wielką życzliwość.

– Heb nie żyje – rzekła.

– To prawda – szepnął Corban, i skrzywił się. – Brina nie zniosła tego dobrze.

– Ty chyba też nie.

– Lubilem go – odparł jej brat. – Zaprzyjaźniliśmy się. Zresztą wszyscy zbliżyliśmy się do siebie podczas ucieczki. Skąd wiesz o jego śmierci?

– Veradis mi powiedział. Pilnował mnie przez jakiś czas wraz z Alcyonem. Dobrze mnie traktowali.

– Veradis z Alcyonem?

– Pierwszy miecz Nathaira i jego towarzysz z rodu olbrzymów – powiedziała Cywen.

Mam nadzieję, że Alcyonowi nic nie grozi, pomyślała. Fakt, pilnował mnie, ale w końcu przecież to on mnie uwolnił. Rozciął moje więzy i ukrył przed Calidusem.

Widziała walkę, jaką stoczył z Balurem. Widziała też, jak Balur posłał go na ziemię i odebrał mu czarny topór.

Corban uniósł brew.

– Myślę, że spotkałem tego Veradisa w Domhainie. Chciał ze mną walczyć.

Cywen nagle poczuła w sercu ukłucie czegoś, czego nie umiała zrozumieć. Czyżby był to niepokój?

O Corbana, rzecz jasna, pomyślała, ale wiedziała, że nie była to cała prawda. Uznała, że nie będzie się nad tym zastanawiać.

– Zaczęliśmy historię od środka – rzekła. – Wróćmy do samego początku. Do Dun Carreg. Byłeś z ojcem, gdy...

Nawet teraz, choć była świadkiem bitew, cierpienia, śmierci i znacznie gorszych rzeczy, nie była w stanie wypowiedzieć tych słów.

– Tak, byłem tam. Chciałem skoczyć mu na pomoc, ale Rafe i Helfach mnie zatrzymali – odparł Corban z ponurą miną. – Padł od miecza Nathaira.

Nathair, pomyślała Cywen. A Calidus zabił mamę.

– Nadejdzie dzień zemsty – powiedziała do brata, dotykając noży, a ten pokiwał głową, doskonale rozumiejąc, co chce mu przekazać.

Następnie podjął opowieść. Mówił o tym, jak uciekali tunelami pod Dun Carreg i płynęli łodzią do Cambrenu, o tym, co przytrafiło się jemu i jego towarzyszom. Opowiedział siostrze, jak odnaleźli Rafe'a wśród więźniów w Domhainie i dowiedzieli się od niego, że Cywen żyje, a później o tym, jak z kilkoma towarzyszami ruszył jej na ratunek. Gdy dotarł do momentu, w którym został pojmany przez Braitha i zabrany do Dun Vaner, twierdzy królowej Rhin, zawahał się i zamilkł.

– Co się wtedy wydarzyło? – ponagliła go siostra.

– Zostałem uratowany. – Wzruszył ramionami. – Meical i Tukul szli moim śladem i dotarli do Dun Vaner, choć to Farrell rozbił drzwi mojej celi młotem ojca.

Uśmiechnął się na wspomnienie tamtej chwili.

– A Tukul to ojciec Gara – rzekła Cywen, wciąż nie mogąc się do tego przyzwyczaić.

– Tak. Wyobrażasz sobie? Gar to jeden z Jehar!

Tukul i Gar jechali nieco z przodu, otoczeni grupką rodaków.

– Jehar – westchnęła Cywen. – Ci to się znajdują na koniach. Akar pomógł mi wyleczyć Tarczę, gdy oberwał strzałą podczas bitwy, w której Rhin rozgromiła Narvon.

– Akar ma najwyraźniej na pieńku z Garem – rzekł Corban i pochylił się w siodle, by pogłodzić Tarczę po bliźnie na łopacie.

– A widziałeś, jak Jehar na ciebie patrzy? – spytała Cywen. Dostrzegając, jak wojownicy wodzą spojrzeniami za jej bratem, i miała wrażenie, że w ich oczach iskrzy zachwyt. Już wcześniej się domyślała, że to Corban był powodem, dla którego Nathair i Calidus ciągnęli ją przez połowę Ziemi Wygnanych – wiedzieli, że Cywen jest jego siostrą, i zamierzali wykorzystać ją jako przynętę.

Mieli rację, trzeba im przyznać, pomyślała. Ale po co to wszystko? Dlaczego tak bardzo chcieli dorwać Corbana?

– Za kogo oni wszyscy cię mają, Ban? I kim jest Meical? Wszyscy zachowują się tak, jakbyś był ich przywódcą.

Corban odwrócił wzrok z zawstydzoną miną.

– To wszystko pewnie wyda ci się bardzo dziwne. Otóż Meical to jeden z Ben-Elim.

Cywen z trudem ukryła sceptycyzm.

– Anioł Elyona? Jeden z Wiernych?

– Tak.

Dwa dni wcześniej parsknęłaby śmiechem na te słowa, ale nie tak dawno widziała Kadoshim wylewających się z kotła. Świat stał się innym miejscem.

– W porządku – powiedziała powoli, ostrożnie. – Mów dalej.

– A Jehar nazywają mnie Seren Disglaiem. Pamiętasz ową przepowiednię, o której mówiła nam Edana? Mam wrażenie, że miało to miejsce tysiąc lat temu.

Elyon i Asroth, przypomniawszy sobie Cywen. Zbliżająca się bitwa, Wojna Bogów, czempioni...

– Pamiętam. – Pokiwała głową z narastającym powątpiewaniem. Nie miała pojęcia, dokąd zmierzała ta rozmowa.

Corban zaś z każdą chwilą wydawał się jeszcze bardziej zażenowany i nie chciał spojrzeć jej w oczy.

– W języku Jehar Seren Disglair to Jasna Gwiazda, wymieniony

w przepowiedni czempion Elyona, wróg Asrotha. Wygląda na to, że jestem nim ja.

\* \* \*

Cywen wpatrywała się w płomień ogniska.

Ten świat oszalał, myślała. Mój brat jest czempionem Elyona.

Parsknęła nerwowym śmiechem, gdy przed oczami stanęły jej rozmaite chwile z czasów jego dorastania. Przypomniła sobie moment, gdy podarł swój płaszcz lub gdy zaatakowała Rafe'a, by go obronić. Wspominała, jak Corban zakradł się do chaty Briny, jak przyniósł do domu malutką Burzę, jak walczyli na kije w ogrodzie, jak patrzyła na niego w szeregach grupy ratunkowej w Ciemnym Borze i wreszcie jak przystępował do sprawdzianu wojownika oraz Długiej Nocy. Trudno jej było uwierzyć, że teraz siedzieli w odległej krainie między olbrzymami Benothi i wojownikami Jehar zajmującymi się swą bronią.

– Jak myśmy tu w ogóle dotarli? – odezwała się do Buddaia, który leżał obok, opierając swój wielki łeb na jej nogach.

W ciemnościach zamajaczyły jakieś postacie. Byli to Dath, Farrell oraz rudowłosa dziewczyna, Coralen, która wyciągnęła miecz i przesunęła kciukiem po ostrzu, po czym wydobyla osełkę i zaczęła przejeżdżać nią po klindze.

– Kogoś mi przypominasz. – Cywen zwróciła się do Coralen.

W istocie, zarys szczęk dziewczyny, pewny siebie krok oraz postawa wydawały się jej znajome.

– To przyrodnia siostra Haliona i Conalla – odezwał się Farrell.

– Potrafię mówić za siebie – warknęła na niego Coralen.

– I wszystko jasne – rzekła Cywen. – Conall strzegł mnie przez jakiś czas. Niezbyt się dogadywaliśmy.

Coralen spojrzała na nią. Jej twarz wydawała się lodową maską.

– Próbował mnie zabić. Dwukrotnie – ciągnęła Cywen, nie wiedząc, dlaczego to robi. Chłód i obojętność dziewczyny działały jej na nerwy. – Choć przyznam, że sama nie pozostałam mu dłużna. Za pierwszym razem zepchnęłam go z muru, a za drugim wbiłam w niego nóż.

Przez twarz Coralen przemknęły jakieś emocje. Czyżby szacunek?

– A więc ciesz się, że żyjesz – rzekła. – Mało kto uchodzi z życiem, gdy

Conall się uprze, by go posłać do grobu.

– To jeszcze nie widziałas, co Cywen potrafi zrobić z nożem – odezwał się Dath, za co Cywen polubiła go jeszcze bardziej.

Coralen spojrzała na dziewczynę i wróciła do ostrzenia broni.

Dath podał Cywen bukłak. Ta obwąchała go podejrzliwie. Miód?

– Skąd to macie?

– Ocaliliśmy z zapasów Rhin z Dun Vaner – rzekł chłopak z szerokim uśmiechem. – Ale to już resztki.

– Niezły jest – dodał Farrell. – Zwłaszcza podczas takich zimnych nocy.

Odpiął młot z pleców i ułożył go na trawie. Nieświadomym gestem poklepał żelazny obuch.

To młot ojca, uświadomiła sobie Cywen, a jej serce zalał żal. Znów.

Upiła łyk miodu, rozkoszując się zarówno słodkim smakiem, jak i przyjemnym ciepłem rozlewającym się w żołądku.

– Cieszę się, że znów jesteś z nami – odezwał się Dath i wyciągnął rękę, by uścisnąć jej dłoń. Cywen odruchowo chciała się cofnąć. Czuła, że lada moment w jej oczach pojawią się łzy.

Nabrała głęboko tchu.

– Ja też się cieszę – odpowiedziała.

Rozejrzała się pośród ognisk, aż ujrzała Corbana, który wyłonił się z mroku w towarzystwie Gara i Tukula. Usiadł obok Meicala, pogrążonego w rozmowie z Akarem. Daleko za nimi, poza zasięgiem światła rzucanego przez ogień, czaiła się Burza.

– Corban opowiedział mi dziś wiele dziwnych rzeczy. O tym, co mówią o nim Jehar.

– To wszystko zaczęło się od Gara – rzekł wesoło Dath. – Na początku wydawało nam się, że mu odbiło. Potem ni z tego, ni z owego Corban został złapany przez Rhin, na co jak z podziemi wyskoczyła drużyna Jehar, pochlastała wojowników Rhin na plasterki i zaczęła tytułować Bana Sarnim Dyskiem czy jakoś tak.

– Seren Disglaiem – poprawiła Coralen, nie gubiąc rytmu ostrzenia.

– Nieważne. – Dath wzruszył ramionami. – Nie wiem, o co chodzi, ale ci Jehar wydają się być na krawędzi.

– Czego? – spytała Coralen.

– Szaleństwa. Spędza mi to sen z powiek.

Coralen parsknęła serdecznym śmiechem, który na krótką chwilę stopił

chłód na jej twarzy.

– A wy w to wierzycie? – spytała Cywen. – Że Corban jest tym Seren Disglaiem?

– Tak – rzekł Farrell bez wahania.

Wszyscy spojrzeli na niego z zaciekawieniem, na co młody wojownik pośpieszył z wyjaśnieniami:

– Tu chodzi o coś więcej niż tylko graniczne utarczki czy ambicje żądnej władzy królowej. Pamiętajcie, co widzieliśmy w Murias? Tych Kadoshim, co wyleźli z kotła?

Dath zadrżał i wykonał znak odpędzający zło.

– Asroth i Elyon, Plaga, Ben-Elim i Kadoshim... Wszyscy znamy te opowieści – mówił dalej Farrell.

– Bajki, a nie opowieści – rzekł Dath.

– Ale w każdej jest ziarenko prawdy. – Farrell wzruszył ramionami. – A ja chciałem powiedzieć tylko tyle, że dzieje się coś wielkiego i tylko głupek tego nie widzi. – Spojrzał przy tym znacząco na Datha. – Dzieje się coś wielkiego, a Corban jest w to wmieszany. Bo niby czemu nie? Wyjaśniałoby to zresztą wiele rzeczy, jak choćby to, że znaleźliśmy się w jednym miejscu z Benothi, Jehar i Kadoshim kilka mil za nami. Poza tym, jeśli ktoś miałby być Seren Disglaiem, ja osobiście się cieszę, że padło na Corbana.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytała Cywen. Kątem oka dostrzegła, że Coralen wpatruje się w Farrella.

– Bo jest z nas najlepszy – rzekł młodzieniec i wzruszył ramionami. – Jest uczciwy, odważny, sprawiedliwy. Lojalny. Ruszyłbym za nim do każdej bitwy.

Wtedy ich uwagę przyciągnęły podniesione głosy. Corban rozprawiał o czymś z Meicałem, na co Cywen bez zastanowienia wstała, podeszła bliżej i usiadła obok brata.

– Nie mówię, że postanowiłem ruszyć na poszukiwanie Edany, zamiast udać się do Drassil – tłumaczył Corban. – Mówię, że jeśli połączymy z nią siły, będziemy mogli zrobić sporo dobrego. Rhin to nasz wróg i sługa Asrotha. Jeśli pomożemy Edanie ją rozbić, osiągniemy wielkie zwycięstwo!

– Rhin to jeden z naszych wrogów. – Meical mówił powoli, jakby ostrożnie dobierał słowa. – Ale nie najważniejszy. Jeśli chcesz pokonać Asrotha, musisz udać się do Drassil.

– Dlaczego?

– Ponieważ tak mówi przepowiednia. To tam zbiorą się wokół ciebie



wrogowie Asrotha.

– Wiele słyszałem o tej przepowiedni – rzekł Corban. – Ale jej samej jeszcze nie słyszałem.

– Na szczęście mogę ten problem łatwo rozwiązać – oznajmił Meical i sięgnął w głąb swego płaszcza, skąd wyciągnął okrągłą, skórzaną tuleję. Odwiązał sznur i wyjął zwój, który następnie rozwinął z wielką ostrożnością. Wszyscy się przybliżyli, a Meical zaczął czytać:

*Nastata wojna wieczna między Wiernymi a Upadłymi,  
Gniew nieskończony zstąpił do świata ludzi.  
Niosący Światło wypęta z kotła, w ciało obleczoney,  
Zrywa kajdany i wojna znów się budzi.  
Dwaj zrodzeni z krwi, pyłu i popiołu dokonają  
Wyboru  
Między Ciemnością a Światłem.*

*Czarne Słońce utopi ziemię w krwi,  
Zaś Jasna Gwiazda musi odnaleźć Skarby.  
Poznacie ich po mianach.  
Rodobójca, Mściciel, Przyjaciel Olbrzymów, Jeździec Draigów,  
Mroczna Moc przeciwko Niosącemu Blask.  
Jeden z nich będzie Falą, a drugi Skatą na rozszalałym morzu.*

*Jeden z nich wezwie tarczę i burzę na swe rozkazy,  
Za drugim Czyste Serce i Czarne Serce staną.  
U boku jednego pojedzie Ukochana,  
Obok drugiego podąży Mszcząca Dłoń.  
Za jednym staną Zrodzeni z Mocy, szlachetni Ben-Elim,  
Skupieni wokół Wielkiego Drzewa,  
Za drugim zbiorą się Wyklęci, złowieszczy Kadoshim,  
Którzy próbują przekroczyć most  
I rzucić świat na kolana.*

Meical urwał i spojrzał na twarze zgromadzonych wokół ognia.

– Czarne Słońce utopi ziemię w krwi – szepnął Dath do Farrella, ale w powstałej ciszy jego głos poniósł się daleko. – Niezbyt mi się to podoba.

– To nie wszystko – rzekł Meical i podjął czytanie:

*Wypatrujcie ich, gdy świat obiegnie wezwanie Najwyższego Króla,  
Gdy wojownicy cienia wyruszą na szlak,  
Gdy opustoszeje Telassar, otoczony białymi murami,  
Gdy na północy zostanie odnaleziona księga,  
Gdy białoźmije wyroją się z gniazd,  
Gdy Pierworodni odbiorą to, co zostało utracone,  
Gdy przebudzą się uśpione Skarby.  
Tak ziemia, jak i niebo wykrzyczą ostrzeżenie,  
zwiastując Wojnę Rozpaczy.  
Krwawe łzy popłyną z kości ziemi, a gdy zima dobiegnie połowy,  
Jasny dzień stanie się czarną nocą.*

Meical skończył i w obozowisku zapadła cisza przerywana jedynie sykiem i trzaskiem płomieni.

– Tarcza i burza – szepnął Corban.

– W rzeczy samej – rzekł Meical. – A więc, jak sam widzisz, jesteś Jasną Gwiazdą, naszym obrońcą.

To rzeczywiście może być prawda, pomyślała Cywen. Mój brat czempionem Elyona...

W ciemnościach, przy migotliwym ogniu, w towarzystwie anioła Ben-Elim oraz olbrzymów było jej w to o wiele łatwiej uwierzyć.

– Dlaczego? – spytał Corban.

– Dlaczego co? – odparł Meical.

– Dlaczego padło na mnie? Dlaczego ja jestem Jasną Gwiazdą? Dlaczego nie Edana czy jakiś księżę bądź król? Dlaczego ja, syn kowala, chłopak, którego jedyną ambicją było zostać wojownikiem i służyć swemu królowi?

– Na to pytanie ci nie odpowiem – rzekł Meical. – Po prostu wiem, że to ty i tyle, a powody, dla których tak się stało, nie mają właściwie znaczenia. To nic nie zmieni. Czasami lepiej jest po prostu pogodzić się z faktami i działać.

Corban pokiwał głową z zadumą.

– Kiedy to proroctwo zostało spisane?

– Dwa tysiące lat temu – odparł Meical.

Chłopak westchnął.

– Dwa tysiące lat temu. Nasz los został przypieczętowany dwa tysiące lat

temu. Mój los... – Spojrzał na Meicala z mieszaniną nadziei i zwątpienia. – A więc, skoro przepowiedziano, że jestem Jasną Gwiazdą, zwycięstwo mamy w kieszeni?

– Proroctwo nie mówi, kto wygra, a jedynie, kto będzie walczył.

– A szkoda – mruknął Dath.

– Ale precyzuje, że musisz się udać do Drassil – dodał Meical.

– Drassil to Wielkie Drzewo? – spytał Corban.

– Tak.

– Trochę nie rozumiem, dlaczego mam się tam udać.

– Ben-Elim zbiorą się tam dla ciebie, a jeśli to ci nie wystarcza, są jeszcze inne powody.

– Jak na przykład?

– Włócznia Skalda.

– Czyli ona wciąż tam jest? – Za plecami Cywen rozległ się niski pomruk i dziewczyna aż podskoczyła, wystraszona. Był to Balur, który wkroczył w blask ognia.

– Tak – odparł Tukul. – Pozostawiłem dziesięciu moich pobratymców na straży.

– Dziesięciu? Tylko tylu? – zdziwił się Balur.

– Tak, to niewielka siła. Tym bardziej powinniśmy wrócić tam najszybciej jak się da – rzekł Meical.

– Czym jest ta włócznia? – spytał Corban.

– To jeden z Siedmiu Skarbów – odparł Meical. – Skald był Najwyższym Królem olbrzymów, gdy ci stanowili raptem jeden klan.

– Tak, zanim zostaliśmy Rozdzieleni – rzekł Balur. – A włócznia nie należała do niego. Sięgnięto po nią, by go zabić, i zostawiono ją później w jego ciele, stąd zwykło się mówić Włócznia Skalda.

– Nadal w nim tkwi – wtrącił Tukul. – A raczej w tym, co z niego zostało. Nie ruszaliśmy jej.

– Wspomniałeś o Siedmiu Skarbach – powiedział Corban. – Chodzi o przedmioty wykute z gwiazdnego kamienia?

– Tak, to one – rzekł Balur.

– Najpotężniejszy jest kocioł. Wraz z pozostałymi Skarbami może otworzyć przejście między Zaświatem a naszą rzeczywistością – wyjaśnił Meical, patrząc Corbanowi w oczy. – Dlatego Calidus tak bardzo ich pożąda. Aby pokrzyżować plany Asrotha, należy zniszczyć Skarby.

– Ale przecież mamy topór. Dlaczego nie zniszczymy go już teraz? – Corban mówił z podnieceniem. – Skoro Asroth potrzebuje wszystkich Siedmiu Skarbów, zostanie w ten sposób pokonany! Możemy położyć temu kres już teraz!

– To nie takie proste – rzekł Meical. – Żeby zniszczyć Siedem Skarbów, trzeba zgromadzić je wszystkie.

– Zawsze musi być jakiś haczyk – mruknął Dath. Coralen wymierzyła mu kuksańca w ramię.

– A więc Calidus ma kocioł, a my topór.

– I włócznie w Drassil – dodał Tukul.

– Już rozumiesz? – Meical zwrócił się do Corbana. – Istnieje wiele powodów, dla których warto udać się do Drassil. Włócznie musi być bezpieczna.

Corban wpatrywał się w ogień.

– Wszystko, co mówicie, ma sens. Ale... ale moja przysięga...

– Na szczęście istnieją inne opcje – rzekł Meical. – Wyślij wiadomość do Edany. Być może się do nas przyłączy. Nie możemy marnować czasu, Corbanie. Tu się kryje prawdziwe niebezpieczeństwo. Świat nie będzie stał i czekał na ciebie. Asroth realizuje własny plan, a Calidus również szuka Drassil. Jak dotąd go nie znalazł, ale to tylko kwestia czasu.

– Nie złamię przysięgi.

Cywen patrzyła na twarz Corbana, przez którą przemykały najrozmaitsze emocje: zwątpienie, gniew oraz ból, aż zastygła na niej ta, którą dobrze знаła.

Upór.

– Calidus układa swe plany od lat.

– Opowiedz mi o nim – powiedział Corban, nawet nie kryjąc nienawiści.

– To najwyższy rangą Kadoshim, który ustępuje jedynie Asrothowi – rzekł Meical. – Dowodzi siłami Kadoshim, tak jak ja przewodzę Ben-Elim. Jest podstępny, zabójczo skuteczny i całkowicie oddany sprawie.

– Zgładzę go – rzucił Corban zimnym głosem bez cienia emocji.

– Możemy zawrócić i zabić go już teraz – rozległ się nowy głos. Był to Akar, który dotychczas przysłuchiwał się rozmowie w milczeniu. – Przecież to Calidus pociąga za sznurki w całej tej intrydze. To ucieleśniona wola Asrotha. Zabijmy go, a wygramy tę wojnę.

– A jak chcesz tego dokonać? – spytał Gar. W jego głosie zabrzmiało coś, co przypominało wzgardę.

– Z mieczem w dłoni i odwagą w sercu – parsknął wojownik w odpowiedzi. Tukul położył dłoń na nadgarstku Akara.

– Nie podołalibyśmy. Otacza go teraz tysiąc Kadoshim, którzy wstąpili w ciała Jehar i odziedziczyli po nich niezrównane umiejętności. Corban zostałby zabity, a wojna przegrana.

– To wykonalne! – upierał się Akar.

– Zaślepieja cię twój wstyd. Zostałeś oszukany, a przecież to nie hańba. To Sumur odpowiada za wszystko. Ty zaś powinieneś zdusić emocje i przejrzeć na oczy. Meical i Corban mają rację. Powinniśmy najpierw stoczyć inne bitwy i poczekać na lepszą sposobność.

– A jeśli takowej nie będzie?

– Wtedy zginiemy. Ale przyznasz sam, że lepiej później niż teraz.

Corban powstał.

– Meicalu, dziękuję tobie oraz wam wszystkim za mądre rady. Daliście mi wiele do myślenia. Muszę wziąć tyle rzeczy pod rozwagę... – Umilkł na moment, a jego wzrok zmętniał. – Nie podjąłem jeszcze decyzji, ale serce mi szepcze, że powinienem odnaleźć Edanę. Nie przemawia przeze mnie upór...

Serio?, przemknęło Cywen przez myśl.

– ...ale dałem słowo i wydaje mi się, że to właśnie nasze serca, przysięgi i wybory stanowią o tym, że różnimy się od Kadoshim. – Zerknął przez ramię na północ, ku czerniejącej nocy, a potem przeniósł spojrzenie na Cywen. – I wiem, że gdyby moja mama oraz mój tato mogli spojrzeć na mnie z przeciwnego końca mostu mieczy, chcieliby, bym dotrzymał słowa. Zawsze uczyli mnie o prawdzie i odwadze. Nie zawiodę ich.

Odwrócił się i odszedł, a Burza, która wychyłała z ciemności, popędziła w ślad za nim.

## Rozdział dziewiąty

# FIDELE

Fidele trzymała nóż przy gardle Vin Thalun, podczas gdy Maquin przywiązywał jego ręce do pnia drzewa.

Sekret Lykosa, Fidele powtarzała w myślach słowa, które ich więzień wypowiedział na tyłach chaty drwali. Olbrzymka i jej szczeniak.

Tylko dzięki temu wyznaniu pozwolili mu żyć, choć przez chwilę.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytał Maquin.

– Pokażę wam – odparł pirat i zamilkł. Nie chciał powiedzieć nic więcej, nawet gdy wojownik przyłożył mu nóż do gardła i upuścił nieco krwi.

Fidele i Maquin spojrzeli po sobie, zaintrygowani. Kobieta przebrała się w spodnie oraz wełnianą tunikę, którą mężczyzna ukradł dla niej, i cała trójka ruszyła w głąb lasu. Podążali ścieżką niewiele szerszą od tych wydeptanych przez lisy. Fidele szła krok za Maquinem, który trzymał nóż przy plecach Vin Thalun. Z tego, co mogła się zorientować, pirat prowadził ich na południe, co zupełnie jej nie przeszkadzało. Poszłaby wszędzie, byle tylko oddalić się od Jerolin i Lykosa.

Przemierzali coraz gęstszy bór. Szybko nadciągał zmierzch i las przeistoczył się w miejsce pełne gęstych cieni i osobliwych odgłosów. Gdy ścieżka stała się praktycznie niewidoczna, zatrzymali się na noc i przywiązali jeńca do drzewa.

– Nie będziemy palić ogniska – rzekł Maquin, gdy Fidele oddała mu nóż i zaczęła zbierać chrust.

Zmarszczyła brwi. Podczas wędrówki spociała się na całym ciele, ale niedługo po zarządzeniu postoju zaczęła drzeć z zimna, choć miała na sobie płaszcz skradziony przez Maquina. Na samą myśl o ogniu robiło jej się różnie, ale natychmiast wybaczyła wojownikowi jego decyzję, gdy otworzył zaimprovizowaną sakwę, z której wydobył trochę sera i zimnej baraniny.

Fidele natychmiast zaburczało w brzuchu. Maquin odciął po kawałku każdego z przysmaków i kobieta zaczęła się łapczywie posilać.

– Zostało wam coś? – spytał Vin Thalun.

Maquin obrzucił go obojętnym spojrzeniem, ale nic nie powiedział.

Głoduj, bydlaku, pomyślała Fidele.

Wszystko w mężczyźnie przypominało jej Lykosa – ciemna broda z żelaznymi pierścieniami, ogorzała skóra, a nawet spojrzenia, jakimi ją obrzucał. Na samą myśl o władcy Vin Thalun przeszył ją dreszcz strachu i nienawiści.

Chwilę później jego miejsce zajęły wstyd i złość.

Jestem żalonym tchórzem, pomyślała. Dlaczego wciąż się go boję? Dźgnęłam go nożem, może nawet zabiłam!

Mimo to, gdy myślała o Lykosie, nie wspominała chwili, gdy pirat osunął się na arenę, krwawiąc. Zamiast tego przypominał jej się jego zapach, jego kwaśny oddech, obłapiające ją dłonie i kontrolująca ją jego wola.

Nie!, krzyknął jej wewnętrzny głos. Nie pozwolę, by nadal mną rządził! Nawet jeśli wciąż żyje, nie ma już tej przeklętej figurki. Nie ma nade mną władzy!

Zacisnęła dłonie, aż paznokcie wbiły się jej w skórę.

Gdyby nadal mną rządził, wróciłabym posłusznie do Jerolin, a nie siedziałabym tu, drżąc z zimna, w towarzystwie pirata i wyszkolonego zabójcy.

Przeniosła spojrzenie na Maquina. Na ostre rysy jego twarzy, cienie, wędrujące po niej w blasku księżyca, i oczy niczym ciemne studnie. Widziała, jak zabijał na arenie, zarówno w starciu z pojedynczym przeciwnikiem, jak i z wieloma. Widok śmierci nie był Fidele obcy. Wielokrotnie była świadkiem walk. Patrzyła na wykrwawiających się ludzi, słyszała krzyki agonii. Obserwowała zwartych w potyczce wojowników, balansujących na granicy między życiem a śmiercią. Żaden z nich jednakże nie wydawał się jej równie bezwzględny i pozbawiony emocji jak człowiek siedzący teraz przed nią. Przyglądała mu się z mieszaniną fascynacji i obrzydzenia. Nigdy wcześniej nie widziała kogoś, kto zadawałby śmierć z podobną swobodą.

Na arenie zwano go Starym Wilkiem, pomyślała. Idealnie dobrane miano. Jest szczupły, ale potrafi w każdej chwili eksplodować agresją. W walce zachowuje cierpliwość, ale jest bezlitosny.

Być może wyczuł, że mu się przygląda, gdyż odwrócił głowę. Jego oczy

zakryły cienie i Fidele nie widziała, czy odwzajemnił jej spojrzenie, ale mimo to odwróciła wzrok.

– Ja cię znam – zwrócił się do niej Vin Thalun, przerywając jej rozmyślenia. – Nie powinnaś aby zaznawać rozkoszy nocy poślubnej?

– Zamknij się! – warknęła na niego Fidele i natychmast zirytowała się na siebie za to, że okazała emocje.

– Czeka nas jutro długa droga – rzekł Vin Thalun. – Nie chcecie dać mi nic do jedzenia, to trudno, ale jeśli padnę po drodze, nie pokażę wam pociech Lykosa.

– Ha – parsknął Maquin.

Fidele przyglądała się Vin Thalun w milczeniu.

Jest młodszy, niż się wydaje. Ma może dwadzieścia lat, a w każdym razie niewiele więcej. I jest czyimś synem.

Ta myśl nagle przywołała wspomnienie Nathaira.

Mój syn... Gdzie on jest? Gdzieś w samym sercu Ziem Wygnanych? Żyje czy jest martwy? A może trafił do niewoli? Jeśli tak, to mam nadzieję, że przynajmniej go karmią i poją.

Znów skupiła uwagę na Vin Thalun przed sobą i poczuła przyływ wstydu na myśl o tym, że chciała go głodzić.

Nie stanę się tym, czego sama nienawidzę, pomyślała.

– Masz – rzekła, odcinając dla niego kawałek sera.

– Nie wiem, na jak długo to musi nam wystarczyć – rzucił Maquin.

– Jesteśmy ludźmi, a nie zwierzętami – odparła Fidele, mając na myśli zarówno siebie, jak i pozostałych.

– Tylko nie myśl, że potraktowano by cię tak samo, gdyby role się odwróciły.

– Wiem – rzekła Fidele. – Doskonale wiem, jak zostałabym potraktowana, ale nie dopuszczę do tego, bym stała się kimś... gorszym.

Maquin nie powiedział już nic. Bez słowa przyglądał się, jak Fidele podaje ser więźniowi. Vin Thalun zerknął na swoje związane ramiona, a potem otworzył usta. Kobieta zawahała się.

– Nie ugryzę cię przecież. Twój pies dziabnąłby mnie w okamgnieniu, gdybym to zrobił. Widziałem go w akcji na arenie i w jamach. Wiem, do czego jest zdolny.

Słyszając te słowa, Maquin gwałtownie odwrócił głowę ku jeńcowi. W tym ruchu kryło się coś drapieżnego, groźnego.



– Bez urazy! – ciągnął Vin Thalun. – Zarobiłem dzięki tobie sporo forsy, Stary Wilku. Nieraz wykaraskałeś się z niezłego bagna.

– To byli ludzie. Żyjący ludzie, a nie bagno – rzekła Fidele.

Maquin przeniósł na nią wzrok.

– Racja, racja. Jak zwał, tak zwał. Chlastał przeciwników, że aż miło było patrzeć.

Fidele oderwała kawałek sera i wsunęła więźniowi do ust, zadowolona, że choć na chwilę zamilknie.

Niespodziewanie zaalarmowały ich jakieś dźwięki – ciężkie kroki, trzaskające gałęzie, czyjeś pokrzykiwanie. Serce Fidele natychmiast zaczęło bić jak szalone, a jej myśli rozgonił lęk przed schwytaniem. Maquin podniósł się płynnym ruchem. Kobieta nie widziała, by sięgał po nóż, ale ostrze mimo to znalazło się w jego dłoni. Zamarł, nasłuchując.

Szczęknięta zderzająca się broń, rozległy się jakieś wrzaski.

Oddalają się czy przybliżają? Pojęcia nie mam!, pomyślała Fidele, oddychając głęboko, by odgonić panikę.

– Bądź cicho – szepnął Maquin. – I nie idź za mną. Zaraz wracam.

Chwilę później wślizgnął się między drzewa i zlał z mrokiem.

Ostatnim razem, przy osadzie drwali, powiedziałeś dokładnie to samo, pomyślała Fidele.

Odmierzała czas uderzeniami serca. W lesie panowała teraz nieziemską, przerażającą ciszą, przerywana jedynie westchnieniami wiatru wśród drzew i skrzypnięciami gałęzi. Fidele parokrotnie usłyszała jeszcze jakiś krzyk, potem okrzyk bojowy, wrzask i wreszcie znów zapadła cisza.

– Dalej chce mi się jeść – powiedział Vin Thalun.

Fidele spojrzała na niego. Wiedziała, że więzień zastanawia się, czy aby nie oznajmić swej obecności głośnym okrzykiem. Sama rozważała to samo. Ale kto by po nich przybył? Sojusznik czy wróg?

To niewarte ryzyka, uznała Fidele, a pirat, sądząc po jego milczeniu, doszedł do identycznego wniosku.

– Nazywam się Senios – rzekł. – Jestem tylko człowiekiem, jak sama powiedziałaś. I chce mi się jeść.

Fidele podała mu kolejny kąsek. W chwili, gdy ser dotknął jego ust, pirat odepchnął się plecami od pnia, oplótł kobietę nogami i przyciągnął do siebie. Fidele zaczerpnęła tchu, by zawołać o pomoc, ale więzień rąbnął ją czołem w policzek. W głowie kobiety eksplodowało światło, które natychmiast

zastąpiła ciemność. Osunęła się bezwładnie.

Nie!, wrzasnęła w myślach na siebie, czując, jak opuszcza ją świadomość. Nie, nie, nigdy już nie będziesz ofiarą...

Złapała pirata za krocze, zacisnęła dłoń, szarpnęła. Rozległ się wrzask – przez moment Fidele nie wiedziała, czy krzyczy ona czy też pirat – ale chwilę później wypuścił ją. Odpełzła jak najdalej od Vin Thalun, który miotał się i z trudem łapał powietrze.

Z mroku wystrzeliła jakaś postać. Był to Maquin, któremu wystarczył ułamek sekundy, by rozeznac się w sytuacji. Bez litości kopnął pirata w bok głowy, a ten zwił bezwładnie. Z jego ust ściekała krew przemieszana ze śliną.

Maquin przypadł do Fidele.

– Zrobił ci krzywdę?

– Ja... Nie, to nic takiego – odparła, przyciskając dłoń do policzka. Pulsował bólem.

– Będziesz miała siniaka wielkości mojej pięści, ale przeżyjesz – rzekł Maquin. Spojrzał na nieprzytomnego Vin Thalun i zrobił krok ku niemu.

– Nie rób tego – odezwała się Fidele.

Maquin zmarszczył brwi.

– To nie współczucie. Sama bym go zabiła, ale chcę zobaczyć olbrzymy.

– Być może okłamał nas, by zyskać więcej czasu i wczekać okazji do ucieczki.

– Być może. – Fidele wzruszyła ramionami. – Daj mu dzień. Jeśli nie ujrzymy olbrzymów do zmierzchu...

– ...zabijemy go. Dasz sobie z tym radę?

– Tak. Nie będzie to morderstwo, a egzekucja. Wszak to wróg mojego królestwa.

– Dobrze.

– Co tam się działo? – Fidele wskazała mrok.

– Śmierć – mruknął Maquin. – Vin Thalun ścigali ludzie z Tenebrału. Widziałem kilku z nich, jak uciekali. Nosili tenebralskiego orła. Byli jednakże daleko i uciekali na wschód, daleko od nas. Powinnaś się przespać.

– Nie wiem, czy dam radę zasnąć.

– Musisz nabrać sił – dodał Maquin. Urwał na moment, a jego twarz złagodniała. – Jesteś bezpieczna.

Nie powiedział nic więcej, bo nie musiał. Jego słowa zabrzmiały idiotycznie – byli wszak zmarzniętymi, wygłodniałymi uciekinierami w lesie pełnym

wrogów – ale gdy Fidele patrzyła na Maquina, naprawdę czuła, że nic jej nie grozi. Uświadomiła sobie też, że jest całkowicie wykończona.

– Ty też musisz się przespać. Obudź mnie później.

– Obudzę – burknął Maquin.

Fidele zwinęła się w kłębek na ziemi i nakryła się płaszczem. Igliwie i gałęzie chrzęściły pod jej ciężarem, nierówności terenu wgrzyzały się w plecy. W końcu znalazła pozycję, która okazała się najmniej niewygodna, ale wtedy w pobliżu odezwała się sowa. Wystraszona kobieta o mało nie podskoczyła.

Równie dobrze mogę trzymać wartę z Maquinem, pomyślała. Nigdy tu nie zasnę.

\* \* \*

Poczuła, że ktoś nią szarpie. Otworzyła oczy i ujrzała słaby blask słońca. W pobliżu unosił się jakiś cień, który powoli stawał się coraz wyraźniejszy. Przez moment wydawało jej się, że to Lykos. Miał jednak ponurą, opaloną twarz i przenikliwe spojrzenie. Fidele krzyknęła cicho i odskoczyła.

– Przepraszam – wymamrotał Maquin. – Nie chciałem cię wystraszyć.

Cofnął się.

– Nic się nie stało – zachrypiała w odpowiedzi. – Wydawało mi się, że jesteś...

Urwała, gdy jej ciało przeszła seria rozmaitych bóli, które przypomniały jej o tym, że spała na leśnej ściółce. Jęknęła i przeciągnęła się, by sprawdzić, jak bardzo są dokuczliwe. Po chwili nabrała pewności, że nie została całkowicie sparaliżowana, a wtedy podniosła się ostrożnie, opierając się na pobliskim drzewie.

– Pierwsza noc pod gołym niebem – rzekł Maquin, a przez jego twarz przemknęło coś na podobieństwo uśmiechu.

– Już jest dzień! – powiedziała Fidele. Jej policzek odezwał się bólem, przypominając o ciosie Vin Thalun.

– Nie da się ukryć.

– Miałeś mnie obudzić!

Mężczyzna wzruszył ramionami i podał jej bukłak. Fidele piła chciwie, a potem zerknęła na jeńca, który siedział oparty plecami o drzewo. Nadal miał związane ręce. Jego szczeka była opuchnięta, a siniec nabrał czarnego koloru. Spojrzał na nią z nieskrywaną nienawiścią.

– Senios, jak daleko jest do tego miejsca? – spytała Fidele.

Maquin uniósł brew, zaskoczony tym, że kobieta zwróciła się do Vin Thalun po imieniu. Ten wymamrotał coś, co zabrzmiało jak: „Pół dnia”, i skrzywił się, a z kącika jego ust ściekła strużka śliny.

– Ma złamaną szczękę – rzekł Maquin. – Nie oczekuj dziś dłuższych rozmów.

Senios poprowadził ich dalej w głąb lasu, a Maquin szedł krok za nim. Między drzewami prześwitywały pasma światła słonecznego, a nad ich głowami unosiły się ptasie trele.

Mijały godziny, a słońce wędrowało w górę po nieboskłonie, aż Fidele usłyszała z początku cichy plusk wody. Dźwięk przybierał na sile, aż trójka wędrowców znalazła się na brzegu szerokiej rzeki o ciemnym, leniwym nurcie. Brzegi porastały wierzby i olchy. Długie wierzbowe witki, zagradzające im drogę, kołysały się nad taflą i muskały ją lekko.

Gdy słońce znalazło się dokładnie nad ich głowami, Senios się zatrzymał.

– Za zakrętem – powiedział i wskazał coś przed nimi.

– Co tam ujrzemy? – warknął Maquin.

– Okręt. Vin Thalun. Olbrzymy – odparł pirat niewyraźnie.

– Ilu Vin Thalun?

Senios uniósł obie dłonie.

– Dziesięciu? – spytał Maquin.

Pirat wzruszył ramionami.

– Udamy się tam razem. I zapamiętaj sobie: najłżejszy hałas bądź nieprzemyślany ruch, a poczujesz moje ostrze – powiedział Stary Wilk i pokazał jeńcowi nóż na poparcie swoich słów.

Powoli przekradali się naprzód, aż znaleźli się za zakrętem rzeki, wzdłuż której rosły gęste, wysokie szuwary. Wtedy Fidele usłyszała głosy.

Maquin ukucnął i dał znać kobiecie, by zrobiła to samo. Pociągnął Seniosa za sobą. Podkradli się na skraj zarośli. Pot spływał po czole Fidele i piekł ją w oczy. Szuwary szumiały i szeleściły z każdym ich ruchem i kobieta spodziewała się, że lada moment załoga podniesie alarm. Widziała już wodę w szczelinach między trzciniami, dojrzała również zarys długiego, smukłego okrętu, przypominającego galerę wojenną Vin Thalun, choć o wiele mniejszego. Nie miał masztu, a jedynie rzędy wiosel uniesione nad wodę.

Dziesięciu na każdej burcie, policzyła w myślach. A więc przynajmniej dwa razy tyle, ile usłyszeliśmy od Seniosa. A przecież może być ich jeszcze więcej!

Na rufie okrętu znajdowała się spora kabina. Na pokładzie poruszały się jakieś postacie, inne uwijały się na brzegu, gdzie wykopano wielką dziurę na ognisko. Nieopodal z ziemi wyrastała ogromna, pokryta mchem kamienna płyta, którą przecinały liczne linie, zbyt proste, by mogły być dziełem natury.

Runy olbrzymów?

Było w nich coś dziwnego, nienaturalnego. Fidele zauważyła, że z płyty zwisał żelazny pierścień.

Jej uwagę nagle przyciągnęły drzwi kabiny, które rozwarły się ze skrzypnięciem i wyszedł z nich wojownik. Trzymał w ręku łańcuch, którym szarpnął parokrotnie, a wtedy na pokładzie pojawiła się olbrzymka, wysoka i muskularna. Na szyi miała żelazny kołnierz. Za nią podążał inny olbrzym, przykuty do łańcucha zwisającego z talii olbrzymki. Ten był płci męskiej, ale niższy i drobniejszy od kobiety. Na jego twarzy widać było zaczątki wąsów.

Dziecko olbrzymów, pomyślała Fidele. Nie miałam pojęcia, że one w ogóle istnieją.

Pojawili się kolejni Vin Thalun, mierząc w jeńców ostrzami włóczy. Ostatecznie sprowadzono ich na brzeg, gdzie łączący ich łańcuch został przymocowany do żelaznego pierścienia na kamiennej płycie. Jeden z Vin Thalun dźgnął młodszego olbrzyma włócznią, na co ten odwrócił się ku prześladowcy z żalnym jęknięciem. Olbrzymka zawarczała, zasłoniła młodego własnym ciałem i próbowała pochwycić któregoś z Vin Thalun, a ci ze śmiechem kłuli ją włóczniami. Na szczęście szybko się znudzili szczuciem i zostawili więźniów w spokoju, a wówczas olbrzymka ujęła twarz dziecka w obie dłonie. Wpatrywali się w siebie z czułością, ale i smutkiem. Fidele poczuła, jak oddech więźnie jej w piersi, gdyż w tym geście było coś szokująco poruszającego. Przypomniało jej się, że tak samo dotykała twarzy Nathaira po tym, jak Aquilus został złożony w kurhanie. Pamiętała smutek w spojrzeniach ich obojga, intymny i szczególnie tylko dla nich. Wszak stracili kogoś bliskiego – ojca oraz męża.

Ta olbrzymka jest jego matką, pomyślała.

Poczuła na ramieniu dłoń Maquina. Dawał jej znać, że pora ruszać w dalszą drogę, ale Fidele nie chciała odchodzić. Fala empatii dla olbrzymki i jej dziecka niemalże odebrała jej swobodę ruchów. Przecież sama również była niewolnicą Vin Thalun, choć narzucono jej inne kajdany. Chciała im pomóc.

Gdzieś niedaleko doszło do szarpaniny. Szuwary zatrzęsły się, gdy Senios

wyrwał się Maquinowi i rzucił naprzód. Stary Wilk skoczył w ślad za jeńcem i dziabnął go w łydkę. Mężczyźni potoczyli się w dół brzegiem rzeki i z rozbryzgiem wpadli do wody.

W sercu Fidele eksplodowała panika. Obaj wojownicy wynurzyli się, parskając, nadal zwarci w walce, aż Senios wyrwał się i popłynął w stronę przeciwnego brzegu. Maquin podążył za nim, najwyraźniej nieświadom tego, że wojownicy Vin Thalun na okręcie zauważyli zamieszanie.

– Nie! – krzyknęła Fidele.

Maquin najwyraźniej ją usłyszał, gdyż spojrzał w jej stronę i zawrócił, zapominając o Seniosie, który był już wciągany przez kamratów na okręt. Były Gadrai w mig znalazł się przy Fidele, która podała mu rękę i pomogła wspiąć się na brzeg.

Nagle rozległ się świst i nieopodal wbiła się włócznia. Tuż po niej spadła kolejna.

– Szybko! – warknął Maquin i znikł wśród szuwarów.

Fidele zatrzymała się jednak i spojrzała za siebie. Olbrzymy wpatrywały się w nią. Przez moment kobieta patrzyła w oczy matki.

Przykro mi, pomyślała.

## Rozdział dziesiąty

# UTHAS

– W górę! – krzyknął Uthas.

Dwunastu olbrzymów Benothi stęknęło i dźwignęło kocioł wsparty na dwóch długich żelaznych prętach. Przez chwilę potężny artefakt wisiał nad podwyższeniem, na którym spoczywał od dwóch tysięcy lat, po czym olbrzymy powoli, ostrożnie ułożyły go na wielkim wozie. Drewnianą konstrukcję pojazdu wzmocniono stalą, ale mimo to rozległo się głośnie skrzypnięcie, gdy kocioł ostatecznie na niej osiadł. Natychmiast zabezpieczono go skórzanymi pasami, które przywiązano do żelaznych pierścieni, po czym narzucono nań plandekę, która ukryła go przed oczami postronnego obserwatora.

Zbudowanie wozu trwało niemalże dwie doby. Kuźnie Benothi buchały dymem, gdy wykuwano wielkie koła i osie. Do konstrukcji użyto żelaza oraz starego, twardego drewna, które pozyskano z wielkich wrót Murias.

Dalej tu śmierdzi, pomyślał Uthas, marszcząc nos.

Komnata, w której znajdował się kocioł, wciąż była pełna trupów. Olbrzymy wyniosły własnych poległych na zewnątrz fortecy, gdzie usypały dla nich ogromny kurhan, ale ciała Jehar i żmijów pozostawiono, by gnily. Uthas z obrzydzeniem spojrzał na zwłoki.

Niektóre wyglądają, jakby... jakby je żuto, przeszło mu przez myśl.

Uniósł wzrok i spojrzał na Calidusa, który stał obok wozu i dyrygował swoimi braćmi Kadoshim, ale odetchnął i odwrócił wzrok.

Nie, nie chcę tego wiedzieć, pomyślał.

Do wozu zaprzęgnięto osiem rumaków bojowych Jehar. Na sygnał Calidusa wóz ruszył powoli, miażdżąc ciała i kości rozrzucone na posadzce. Benothi ruszyli za nim jako gwardia honorowa.

– Nieźle się spisałeś. – Calidus zwrócił się do Uthasa, gdy opuścili komnatę. – Kocioł nie pochodzi z tej ziemi i wykonano go z gęstego, ciężkiego

materiału. Wóz jednakże jest na tyle mocny, że może go wieźć i tysiąc mil.

– Benothi to zdolni rzemieślnicy – odparł Uthas z dumą.

Pokonywali szerokie korytarze Murias, a olbrzym czuł, jak ogarnia go mieszanina melancholii i ekscytacji. Opuszczał twierdzę, która była domem Benothi od dwóch tysięcy lat. Być może na zawsze.

Nawet nie spojrzę za siebie, pomyślał. To cel podróż jest ważny, jej koniec, a nie początek.

Wreszcie dotarli do wyjścia, gdzie zgromadziły się kolejne wozy, wszystkie załadowane po brzegi. Większość z nich wypełniono ogromnymi beczkami z brotem, którego mogło wystarczyć na ponad rok.

Choć wygląda na to, że Kadoshim zasmakowało coś innego, pomyślał Uthas.

Kadoshim kręcili się po sali, ale najwięcej ich zgromadziło się wokół wozów. Po powrocie rannego Bune'a wszyscy usłyszeli o tym, co przytrafiło się garstce ich pobratymców, którzy pognali za Meicałem i resztą. Calidus zaprowadził wówczas wśród demonów coś na kształt dyscypliny. Co więcej, Kadoshim powoli przyzwyczajali się do swoich nowych ciał, dusili opór ludzkich dusz i poznawali potrzeby „świata materialnego”, jak to ujmował Calidus.

Nathair, który od razu rzucał się w oczy ze względu na ogromnego draiga, czekał przy wrotach. Obok niego stał Alcyon.

– Chodźmy. – Calidus zwrócił się do Uthasa. – Pora wysłuchać, co Nathair ma do powiedzenia na moją propozycję.

– Ciekawe, co wybierze – rzekł Uthas, gdy razem ruszyli w stronę króla.

– Wybierze życie. Nie jest głupcem. Ma wprawdzie swoje marzenia. Śni o wielkości i o honorze, ale gdy jedno słowo może zadecydować o jego życiu bądź śmierci... Cóż. – Calidus uśmiechnął się zimno.

– Jesteś pewien?

– Tak bardzo, jak to możliwe, ale świat materialny nauczył mnie już dawno, że ludzie są chwiejni oraz nieprzewidywalni. Nigdy nie można być ich pewnym, więc zawsze staram się przygotować na wszystkie okoliczności. Jeśli odmówi, wykorzystam pukiel jego włosów. Potrzebuję Nathaira. Jesteśmy nieliczni, a on ma klucze do imperium w kieszeni. Co więcej, włożyłem wiele pracy w to, by stał się elementem mojej intrygi.

– Mogę sobie wyobrazić – burknął Uthas.

– Nie chcę więc, by wszystko to poszło na marne. Tak czy owak, można się po nim spodziewać wszystkiego – rzekł Calidus i odwrócił się, by spojrzeć na



wóz, który wciągnięto do sali. – Ściągnij Salacha i kogo jeszcze uznasz za stosowne. Niewykluczone, że trzeba będzie się pozbyć tego draiga.

Uthas uniósł brew. Nie spodobał mu się ten pomysł – wciąż doskonale pamiętał, jak bestia przedzierała się przez masy żmijów, siejąc naokoło spustoszenie. Skinął jednak na Salacha, Eisę i kilku innych Benothi, którzy ruszyli za nim.

– Byłaby wielka szkoda. To wspaniałe, użyteczne stworzenie – Calidus wzruszył ramionami – ale silnie związane z Nathairem i rozszarpałoby na kawałki w jego obronie. Gdyby trzeba było zabić Nathaira, draig musi zginąć wraz z nim.

– A co z królem?

– Nim zajmie się Alcyon.

W milczeniu podeszli do Nathaira, który coś jadł. Na widok Calidusa oraz olbrzymów podszedł do draiga i podsunął mu miskę z resztkami posiłku. Potwór wylizał ją długim, czarnym językiem i trącił Nathaira szerokim, płaskim pyskiem, na co zamyślony król podrapał go po brodzie i pociągnął za długi kiel. Alcyon cofnął się o krok, wpatrzony w Calidusa.

– Jesteśmy gotowi, aby ruszyć w drogę – odezwał się starzec swobodnym tonem.

– Widzę – odparł Nathair.

– Nadszedł czas na podjęcie decyzji.

– Nie jestem pewien, czy potrafię – wymamrotał młody król, masując skronie.

Calidus wpatrywał się w niego z ledwie dostrzegalnym uśmiechem.

– Już to zrobiłeś. Teraz zmagasz się jedynie z ostatecznym krokiem. Uświadomiłeś sobie bowiem, że z tej drogi nie ma już odwrotu.

Nathair parsknął.

– Wygląda na to, że znasz mnie lepiej niż ja siebie.

– Tak, Nathairze. Połączyło nas niejedno. Nieraz podejmowaliśmy wielkie ryzyko, zdarzyło nam się rzucać wyzwanie losowi, ale też sporo osiągnęliśmy. Teraz znaleźliśmy się na krawędzi.

– Oszukałeś mnie – szepnął Nathair. Wpatrywał się intensywnie w Calidusa i przez moment Uthas dostrzegł blask prawdziwego bólu w oczach młodego króla.

Trudno jest znieść zdradę. Widziałem to samo spojrzenie u Nemain, gdy uzmysłowiła sobie prawdę o mnie, pomyślał.

Calidus ze spokojem odwzajemnił spojrzenie.

– Wiesz, że nie miałem wyboru. Nie zrozumiałbyś. Na moim miejscu postąpiłbyś dokładnie tak samo, czyniąc to dla dobra sprawy. Czy ty sam dla większego dobra nie dopuściłeś się czynów, które inni uznaliby za budzące wątpliwości?

Nathair skrzywił się na te słowa, jakby zadały mu fizyczny ból.

– Dopuściłem się – szepnął.

– A nie tałeś informacji dla większego dobra? Nawet przed tymi, których cenisz i którym ufasz, na przykład przed Veradisem?

– Tak – odparł Nathair, tym razem głośniej.

– Cóż, wszystko, co zrobiłem i robię, jest dla większego dobra. Oferuję ci szansę na spełnienie marzenia. Chcę ci pomóc stworzyć imperium, które zaprowadzi pokój na Ziemiach Wygnanych.

– Usypując stopy trupów.

– A czy kiedykolwiek istniał inny sposób? Ilu ludzi już zginęło dla twych wizji pokoju? Dostrzegasz jakąś różnicę? Przecież tobie i Asrothowi chodzi dokładnie o to samo. Chcecie zbudować świat, w którym zapanuje porządek oraz pokój, w którym ludzie przy władzy będą mogli poprawić byt swoich poddanych bez przeszkód w postaci polityki i biurokracji. Ty tymczasem potykasz się o najrozmaitsze pojęcia. Rozważasz, czym jest dobro i zło, myślisz o tym, co słuszne, a co błędne. W historii twego świata Asroth zawsze był przedstawiany jako wróg, w związku z tym oczywiście uważasz go za istotę złą. Tymczasem jest inaczej. Asroth jest taki jak ty. Jest rozumną, czującą istotą, która potrafi dokonywać wyborów. Podstawowym ludzkim instynktem jest chęć przetrwania, a żeby przetrwać, czasem trzeba walczyć. To nie zabawa, a starcie na śmierć i życie. Obiecuję ci jednak, ba, przysięgam, że jeśli wygramy, zbudujemy imperium twoich marzeń! – Calidus urwał i wbił wzrok w oczy Nathaira. – Dołącz do nas. Nie okłamię cię już. Jesteś nam potrzebny.

– Potrzebny?

– Nie bądź głupcem, Nathairze. Nie będę ci opowiadał tego, co sam już wiesz.

– Że mam pod swoimi rozkazami hufce Tenebralu i że stworzyłem sojusz z Helvethem, Carnutanem i Isiltirem?

– Otóż to. – Calidus pokiwał głową. – A ja mam Kadoshim, Uthasa i jego Benothi, Lykosa oraz Vin Thalun. A także Rhin. To znacząca siła, ale nie

wszechpotężna. Razem jednakże...

– Ze mną w roli króla marionetki, chcesz powiedzieć – przerwał mu Nathair, a draig spojrział na Calidusa i wydał z siebie niski, nienawistny pomruk.

– Nie będziesz niczyją marionetką. Będziesz rządził jako król i przyjmował hołdy od swoich wasali: Rhin, Lykosa, Uthasa. Ziemie Wygnanych są zbyt wielkie, by jeden człowiek mógł sam nad nimi zapanować.

– Prawda – zgodził się Nathair.

– Dołącz więc do mnie. Razem będziemy w stanie zmiażdżyć Meicala i jego sojuszników. Spełnisz swe marzenie, a potem zaczniesz rządy już nie jako król, ale Imperator Ziem Wygnanych, władca wszystkich podbitych przez siebie krain. Nic więc, jak sam widzisz, nie zmieni się w stosunku do tego, o czym marzyłeś.

– A co z Asrothem? Czego on pragnie?

– Zwycięstwa. Jedynie zwycięstwa. Marzeniem Asrotha jest pokonanie wrogów: Ben-Elim, Meicala, jego Jasnej Gwiazdy Corbana i tej bandy obdartusów, którą zgromadzili wokół siebie. Wystarczy ich rozgromić – Calidus wzruszył ramionami – a świat będzie twój.

– Mój? Asroth nie będzie chciał nim rządzić?

– Nie. Asroth nie ma takich zamiarów. Biurokracja i administracja nie wydają się mojemu panu szczególnie intrygujące. Chce jedynie ujrzeć swoich wrogów rozgromionych raz na zawsze. Chce patrzeć na ich krew i kości. Chce zamienić Meicala i jego Ben-Elim w nędzną plamę na ziemi.

Zaciśnięte usta Calidusa utworzyły cienką kreskę, a oczy zamieniły się w wąskie, ziejące chłodem szparki.

Jest niebywale przekonujący, pomyślał Uthas.

– I by osiągnąć zwycięstwo, Asroth potrzebuje ciebie. Potrzebuje zgromadzić wokół siebie wszystkich tych, którzy podzielają jego wizję, tych, którym może zaufać. Nie zapominaj też o tym, że Asroth wybrał ciebie spośród wielu innych.

Uthas przyglądał się Nathairowi, gotów zareagować na każdy przejaw buntu.

On chce uwierzyć Calidusowi, pomyślał. Chce stać się bohaterem swojej własnej opowieści, a Calidus mówi mu dokładnie to, co chce usłyszeć. Karmi go pochlebstwami przemieszanymi z elementami prawdy.

– Sny, które nawiedzają cię od lat – ciągnął Calidus – są prawdziwe.

Asroth wybrał cię spośród tysięcy innych. Ty, Nathairze, zdołasz pojąć prawdę naszego planu. Ty zdołasz doprowadzić go do końca. Ty będziesz umiał objąć władzę. Jedynym błędem, jaki do tej pory popełniłeś, było imię, które nadałeś Asrothowi.

– I sobie – dodał Nathair. W jego głosie raz jeszcze zabrzmiała gorycz, ale już słabsza, rozcieńczona czymś innym.

Nadzieją, pomyślał Uthas.

Calidus wzruszył ramionami.

– Moje sny – rzekł Nathair, a jego oczy znów się zamglily. – Dzięki nim poczułem się kimś innym. Kimś specjalnym, kimś wybranym.

– I jesteś nim. Musisz jedynie zmienić perspektywę i pogodzić się z tym, że twoim panem jest Asroth. Nie będę cię oszukiwał. Asroth jest zły. Zły na Wielkiego Tyrana Elyona, na jego arogancką dumę, którą maskuje swą zdradą!

Oblicze Calidusa wykrzywił grymas furii, wyraźny niczym błyskawica na horyzoncie.

– Asroth znalazł w sobie śmiałość, by zważyć w Elyona, a potem zakwestionować jego mądrość. Elyon jest dumny i arogancki – Calidus uśmiechnął się i wzruszył ramionami – przez co nie zniósł tego dobrze. W rezultacie Asroth został zdradzony i wygnany wraz z tymi, którzy stali przy nim i mieli czelność zastanawiać się, pytać i kwestionować. Wszyscy zostaliśmy zdradzeni przez Meicala oraz Ben-Elim, przez ich pobożność, gorliwość i brak zainteresowania życiem zwykłych ludzi. To oni są gruboskórnymi, nieczułymi okrutnikami.

– Twe słowa są przekonujące. – Nathair zmarszczył brwi. – Ale jak ci mogę zaufać po tym wszystkim?

– A czy Veradis zaufałyby tobie, gdybyś przyznał się przed nim do swych oszustw, tak jak ja wyznaję prawdę tobie?

– Nie wiem. Może. Pewnie nie od razu, ale gdybym okazał mu swą wierność...

– Ja więc okażę ci swoją. Dołącz do mnie, a przekonasz się. Możesz mi zaufać, Nathairze. Nie ma już między nami niedopowiedzianych kwestii. Pytaj mnie, o co chcesz.

– Jaki będzie twój kolejny krok?

– Muszę ugruntować nasze zwycięstwo. Kocioł jest najcenniejszym spośród Siedmiu Skarbów i należy go chronić. Zabiorę go do Tenebralu,

gdzie nie będzie mu nic groziło. Trzeba też odnaleźć inne Skarby, które pomogą przerwać barierę oddzielającą nas od Zaświata.

– Byś mógł sprowadzić Asrotha do naszego świata?

– Tak. Oto nasz cel. Muszę go tu sprowadzić i razem z nim rozbić naszych wspólnych wrogów. To jedyny sposób, by wygrać tę wojnę.

– A ja nadal będę rządził Tenebralem? I stanę się Najwyższym Królem nowego porządku?

– Tak. Ba, staniesz się więcej niż królem. Staniesz się imperatorem tego świata. Ci, którzy mi pomagają, zostaną wynagrodzeni. Ty, Uthas, Lykos i inni stojący niżej w hierachii: Rhin, Jael, Lothar, Gundul. Wspólnie z władniemy Ziemią Wygnanych i zaprowadzimy nowy porządek.

Chwieje się. Pozostaje ostatni krok, pomyślał Uthas.

– Wystarczy więc, że powiesz: „tak”.

Stali w milczeniu. Nathair i Calidus wpatrywali się w siebie przez dłuższą chwilę, zapomniawszy o wszystkich innych, aż młody król westchnął i przetarł dłonią oczy.

– Tak – szepnął. – Stanę po twojej stronie, choć pamiętaj, że zaufanie między nami legło w gruzach i trzeba je odbudować.

Calidus uśmiechnął się.

– Nie musisz już ufać mnie. Ufaj Asrothowi.

– Co to ma oznaczać? Właśnie dałem ci słowo.

Calidus wpatrywał się w niego przez chwilę, po czym parsknął śmiechem.

– Och, Nathairze, twą szczerłość można podawać innym za przykład! Doskonale rozumiem, dlaczego Asroth wybrał akurat ciebie. Pamiętaj jednak, że zaufanie musi być obustronne. Wybacz, jeśli daję upust swej podejrzliwej naturze, ale skąd mam wiedzieć, że nie złożyłeś mi obietnicy tylko po to, by przedłużyć swe życie? By zyskać nieco czasu, aż połączysz się z Veradisem i tysiącem orlich gwardzistów? Ciekawe, czy wówczas również tak ochoczo poprzysz naszą sprawę.

– Oczywiście.

– Czyli nie będziesz miał nic przeciwko, jeśli podejmę pewne kroki, by to zagwarantować?

– Jakie kroki?

– Dowiesz się za chwilę.

Calidus podszedł do kotła zawieszzonego nad ogniem, wylał jego zawartość i wyciągnął coś z fałd płaszcza. Była to fiolka wypełniona ciemnym płynem.

– Co to? – spytał Nathair.

– Krew wroga. Potężnego wroga. Nemain, byłej królowej Benothi. Podaj mi rękę.

– Po co?

– Bo nadszedł czas, byś poznał swego nowego pana! – Calidus podszedł bliżej, złapał Nathaira za rękę i podniósł ją, by przyjrzeć się jego dłoni. – Widzę, że składałeś już przysięgę – oznajmił, przesuwając palcem po białej bliźnie.

– Tak. Wraz z Veradisem.

– A więc zaraz złożysz kolejną – rzekł Calidus i odwrócił się, by wlać krew do garnka.

\* \* \*

Błade promienie porannego słońca i chłodny wiatr przenikały do wnętrza fortecy Murias. Uthas stał i czekał.

– Gotuj się! – zawołał Calidus. Jego głos odbił się od ścian podziemnej sali i wywołał zamieszanie.

Nadszedł moment, kiedy Benothi ruszają na wojnę u boku Kadoshim, pomyślał Uthas i nabrał tchu, chcąc wyciszyć lęk oraz ekscytację walczące o lepsze w jego sercu.

Poczuł dotknięcie. Odwrócił głowę i ujrzał Eisę stojącą na czele pięćdziesięciu ocalałych wojowników Benothi.

– Jesteś teraz naszym panem. Władcą Benothi – powiedziała olbrzymka i podała mu jakiś przedmiot.

Uthas przyjrzał się mu baczniej i przekonał się, że był to naszyjnik z kłów zmijów nawleczonych na żelazny, powleczony srebrem pierścień.

Nie jestem godzien. Jestem zdrajcą i mordercą, pomyślał Uthas.

Pochylił głowę i pozwolił, by Eisa nałożyła mu naszyjnik. Jego ciężar sprawił mu przyjemność.

– Dziękuję ci – rzekł i uniósł głowę. – Powiodę was ku chwale! Rozpocznę nową erę w dziejach Benothi! Nie będziemy już kryć się w cieniach!

Reszta olbrzymów zagrzmiała z entuzjazmem i drużyna wyruszyła ku słońcu.

W dziejach Benothi i nie tylko, dodał w myślach Uthas. Naprawię to, do czego doprowadziło Rozdzielenie. Pozostałe klany dołączą do mnie. Nie będą

miały wyboru.

Przy akompaniamencie niskiego ryku draiga Nathaira armia Calidusa opuściła Murias. Kocioł, spoczywający na wielkim wozie, powoli toczył się po ziemi, zalanej promieniami wiosennego słońca, a za nim ciągnął się szereg mniejszych wozów. Wokół maszerowało tysiąc Kadoshim, a na czele hufca podążał Nathair na draigu oraz Calidus dosiadający ogiera Jehar. Obok nich szli Uthas i Alcyon, a nad ich głowami zataczały kręgi rozwrzeszczane kruki, które opuściły swe gniazda w klifach Murias i ruszyły za armią niczym ciemna aureola.

Wiedzą, że śmierć będzie nam towarzyszyć na każdym kroku, przemknęło Uthasowi przez myśl.

Jechali drogą, która prowadziła w dół zbocza, po czym podążyli dalej wśród wzgórz porośniętych purpurowym wrzosem. Naraz Calidus uniósł dłoń i przywołał do siebie Uthasa.

– Nie podoba mi się to, że Meical ma swobodę działania. Jego siły są co prawda zbyt nieliczne, by nas pokonać, ale i tak może zacząć knuć coś niedobrego. Ruszę jego tropem, by się przekonać, czy przypadkiem nie jest sprytniejszy, niż zakładam.

Niedługo później Calidus rozstał się ze swą armią, prowadząc setkę Kadoshim. Dołączyli do nich również Uthas oraz Salach. Na odchodnym starzec przykazał Nathairowi, by prowadził kolumnę traktem do ich powrotu. Król Tenebralu pokiwał głową. Dłoń nadal miał owiniętą zakrwawionymi bandażami. Uthas poczuł w sercu współczucie dla władcy – dobrze pamiętał, jak sam osunął się na kolana, gdy Asroth poszukiwał w jego duszy oznak rodzącej się zdrady.

– Doprowadź nas do ich obozu – rozkazał Calidus Bune'owi, jedynemu Kadoshim, który przeżył pochopną próbę odzyskania topora z gwiazdnego kamienia. Demon doszedł już do siebie po utracie kończyny, a kikut obwiązał rzemieniem. Słyszając polecenie, uniósł głowę, węszył przez moment, po czym pognał długimi susami na wschód, w stronę pasma niskich wzgórz. Calidus popędził konia i niewielki oddział podążył w ślad za nim.

– Ci Kadoshim to potrafią biegać! – sapnął Salach do Uthasa po przebyciu trzech, czterech mil.

Ten odburknął w odpowiedzi. W istocie, demony, które przyzwyczyły się już do swoich nowych ciał, zdawały się emanować niespożytą energią i bez trudu dorównywały tempa olbrzymom.

Zbliżali się do wzgórz. Calidus, który nakazał wszystkim zwolnić, wysłał tuzin Kadoshim przodem na zwiady.

– Szkoli ich – zauważył Salach.

– Tak, a oni są pilnymi uczniami.

Wjechali na szczyt niewysokiego wzgórza, gdzie Calidus wstrzymał konia. Przed sobą mieli dolinę z trawą niedawno stratowaną przez wielu ludzi. W jednym miejscu widać było pozostałości po wielkim ogniu. Blisko strumienia ciągnął się rząd kurhanów. Uthas naliczył ich szesnaście i zauważył, że trzy były zauważalnie większe od pozostałych. Wzniesiono je dla olbrzymów.

Na Asrotha w czeluściach, mam nadzieję, że Balur leży w jednym z nich, pomyślał.

Za kurhanami rosły drzewa o pniach i konarach poskręcanych od nieustannej walki z wiatrem. Z gałęzi, niczym postrzępione sztandary pokonanej armii, zwisały bezgłowe ciała.

Calidus przyglądał się Kadoshim, którzy rozbiegli się po obozowisku. Niektórzy drapali ziemię, inni węszyli bądź warczeli jak dzikie zwierzęta.

– Znikli – rzekł, gdy Uthas podszedł bliżej. – Przypuszczalnie dzień po bitwie. Mają więc dwa dni drogi przewagi. Pytanie brzmi jednak, dokąd Meical ich zabrał?

– Niech ucieka! – zadrwił Salach, na co Calidus zmarszczył brwi.

Niektórzy Kadoshim przypadli do kurhanów i zaczęli odrzucać kamienie.

– Jak dotąd wyprzedzasz go na każdym kroku – rzekł Uthas.

– Zgadza się. Jak dotąd. Mimo to nie wolno nam lekceważyć Meicala ani przez moment. Ja zawsze go doceniałem i tylko dlatego dotarliśmy aż tutaj. Tylko dlatego doczekam też chwili, gdy rozszarpie mu skrzydła i zatknę głowę na włóczni. – Uniósł wzrok i przyjrzał się bezgłowym trupom zwisającym z drzew. – Nie zapominajmy jednak, że Meical nie jest głupcem i ma kilku potężnych sprzymierzeńców.

Jak choćby Balur Jednooki, pomyślał Uthas, a głośno powiedział:

– A do tego ma topór z gwiazdnego kamienia. I co teraz? Dokąd Meical poprowadził ten motłoch?

– To bez znaczenia. – Calidus wzruszył ramionami. – Nie ma wystarczająco dużo wojowników, by próbować odbić kocioł, a my nie możemy zmienić kierunku wędrówki. Będziemy kontynuować podróż do Tenebralu, a Meical nadal będzie knuł i spiskował, ale jego koniec jest już bliski. Jego



najpotężniejsi sprzymierzeńcy już nie żyją, a próby zdobycia większej władzy zostały pokrzyżowane. Wojna zostanie przez nas wygrana, o ile zachowamy głowy na karku.

Dosłownie, pomyślał Uthas, zerkając na kołyszące się bezgłowe trupy.

Calidus uniósł głowę. Olbrzym powiódł wzrokiem za jego spojrzeniem i dostrzegł niewielką plamkę na niebie. Był to ptak, który zatoczył krąg i zanurkował, a potem pomknął na prądzie powietrza. Znalazł się na tyle blisko, że Uthas dostrzegł garb na jego dziobie.

Poznaję tego ptaka!, pomyślał.

Calidus wyciągnął rękę, a wtedy rozległ się trzepot skrzydeł i na ramieniu starca usiadł wielki jastrząb. Mężczyzna podrapał go po piersi.

– Witaj, Kartala – rzekł. – A więc twój pan nie żyje.

Ptak przechylił główkę i wpatrywał się w niego.

– Bune, podziel się posiłkiem.

Kadoshim, który wgryzał się w ciało Jehar, rzucił Calidusowi kawałek gnijącego mięsa. Ten oderwał skrawek i podał ptakowi.

– Kartala zapewniała mi łączność z Ventosem, człowiekiem, który śledził Corbana i zawiadomił nas o tym, że chłopak wyruszył na północ.

– Pamiętam – rzekł Uthas. – Wysłałeś Alcyona na południe, by zasadził się na chłopaka po tym, jak otrzymałeś wieści od tego Ventosa.

– Tak. Niestety, coś się wydarzyło pomiędzy ostatnią wiadomością od Ventosa i przybyciem Corbana do Murias. Nie wiem, co takiego, ale ma to związek z pojawieniem się setki Jehar i śmiercią samego Ventosa – rzekł kwaśno Calidus i wzruszył ramionami. – Cóż, takie są prawa wojny. Świat się zmienia, ludzie giną, a wieści często wędrują powoli. W tym akurat będziesz mogła mi pomóc – zwrócił się do ptaka. – Meical prowadzi Corbana oraz tę bandę łajdaków przez okoliczne bezdroża, a ja muszę się dowiedzieć, dokąd zmierza. Rozumiesz mnie, Kartala? Meical i Corban. Ruszyli tą drogą.

Wskazał szeroką, wydeptaną w trawie ścieżkę, która biegła na południe między wzgórzami. Jastrząb uderzył skrzydłami z takim impetem, że trupy zakołysały się, a gałęzie zaskrzypiały.

– Nie sądzę, by ktoś jeszcze mógł nas teraz zaskoczyć – stwierdził Calidus.

– I słusznie.

Kadoshim rozebrali już kurhany olbrzymów i Uthas skrzywił się ponuro, gdy w żadnym z nich nie znalazł ciała Balura.

Calidus stanął przy innym kopcu. Uniósł rękę, powstrzymując jednego

z Kadoshim, który już chciał go rozebrać, po czym nachylił się, podniósł leżący na kamieniu fioletowy kwiat ostu i obwąchał go niczym pies. Potem skinął na demona, który przypadł do kurhanu i zaczął odrzucać głazy z jeszcze większą siłą i werwą niż jego towarzysze.

– Niezły siłacz – stwierdził Salach.

– Kiedy topór z gwiazdnego kamienia został odebrany Alcyonowi, przejście między kotłem i Zaświatem zostało zerwane. Moi rodacy uzmysłowili sobie, co się dzieje. Wielu z nich przepchnęło się dosłownie w ostatniej chwili przed zerwaniem kontaktu i stłoczyło się w jednym ciele. To właśnie ono.

– Jak się nazywa? – spytał Uthas.

– Zwie się Legion, ponieważ... Cóż, łatwo się chyba domyślić.

Uthas uniósł brew.

Chwilę później kurhan został rozebrany. Kamienie przykrywały kobietę, której skórę powlekła trupia bladość.

– Ach. – Calidus się uśmiechnął. – Poznaje ją. Wbiła we mnie nóż podczas bitwy. A może dwa?

Spojrzał na oset i wsunął go do kieszeni płaszcza.

– Odrąbać jej głowę – rozkazał Salachowi, a potem skinął na Kadoshim, którzy już obwąchiwali ciało. – A oni mogą zabrać resztę.

## Rozdział jedenasty

# MAQUIN

Maquin biegł między drzewami, a z tyłu słyszał kroki Fidele.

I znów uciekam, myślał. Przeradza się to w bardzo niezdrowy zwyczaj.

Pędzili od dłuższego czasu i płuca Maquina płonęły z każdym kolejnym oddechem. Na szczęście wieczór był już blisko.

Widok olbrzymów pobudził jego ciekawość.

Na co one Lykosowi?, zastanawiał się. Od jak dawna trzyma je w niewoli? I czemu są tak dobrze strzeżone?

Władca Vin Thalun był podstępny, wyrachowany człowiekiem. Z pewnością istniał ważny powód, dla którego zapewnił olbrzymom tak dobrą ochronę.

Nie ma sensu pytać, pomyślał Maquin. Nie chcę znać odpowiedzi, nie interesuje mnie ona. Moje życie jest wystarczająco skomplikowane i nie potrzebuję kolejnego dylematu. Liczy się tylko Jael. I tak niepotrzebnie się zaangażowałem w to całe zamieszanie, bo zyskałem tylko Vin Thalun na karku i kobietę, która mnie spowalnia. A mógłbym już być w drodze do Isiltiru!

Mimo to nie mógł przestać myśleć o olbrzymach. Wyczuwał w nich rozpacz i rezygnację, zresztą sam dobrze wiedział, jak czuje się ktoś w niewoli. Wspomnienia podsyciły jego nienawiść do Vin Thalun, która płonęła żywo w jego sercu, grożąc utratą panowania nad sobą.

Ścigają nas, przypomniał sobie.

Słyszał ich wrzaski, gdy przekraczali rzekę, a potem sporadycznie docierały do niego ich krzyki, gdy przedzierali się przez las. Wiedział, że są żeglarzami, a nie ludźmi lasu. Chciał się zatrzymać, odwrócić i rozpocząć polowanie na myśliwych. Chciał ujrzeć ich krew, patrzeć, jak uchodzi z nich życie, ale wiedział, że nie może. Czuł zbyt wielką odpowiedzialność. Biegająca za nim

Fidele oddychała chrapliwie, z coraz większym trudem. Maquin zwolnił więc, a potem przystanął.

Kobieta była czerwona na twarzy, spocona i bez wątpienia wyczerpana. Ciemne włosy kleiły jej się do skóry.

A mimo to nie poprosiła, byśmy się zatrzymali, pomyślał Maquin.

Nie tego spodziewałby się po rozpieszczonej królowej.

Jest w niej mnóstwo siły. Mnóstwo dumy i determinacji, przeszło mu przez głowę.

– Nie zatrzymuj się... ze względu... na mnie – wysapała.

Nad ich głowami rozległ się grzmot pioruna. Na nos Maquina spadła kropla deszczu.

– Senios opowiedział im o tobie – rzekł. – Będą nas ścigać.

– Na pewno powiedział im też o tobie. Dobrze się zastanowią, zanim wyruszą w pościg.

– Nie. Po prostu wezmą tylu ludzi, by zakończyć sprawę.

– A ilu potrzeba? Widziałam cię na arenie. Miałeś przeciwko sobie czterech wojowników.

Maquin odwrócił głowę. Pamiętał ten dzień. Pamiętał czterech wojów, którzy weszli przez bramy areny. Pamiętał, jak każdy z nich wykrwawiał się w błocie.

– Zależy, jak są dobrzy. – Wzruszył ramionami i przegnał wspomnienie, po czym rozejrzał się po lesie. – To żeglarze. Las nie jest ich żywiołem, a ja mieszkałem w Fornie. Dla pewności powinni wysłać przynajmniej siedmiu ludzi, a było ich tam wystarczająco wielu, by to zrobić.

– Skąd wiesz?

– W obozie naliczyłem dwudziestu dwóch. Na pewno zostawią dziesięciu, może więcej, do pilnowania olbrzymów. Dwóch innych zanieś wiadomość Lykosowi. Pozostaje więc około dziesięciu, w zależności od tego, ilu pilnuje olbrzymów.

Fidele skinęła głową ze zdecydowaniem.

– Co powinniśmy zrobić?

– Uciekać, aż zrobi się za ciemno, by mogli nas dalej tropić. Wówczas będziemy musieli pokonać jeszcze kawałek drogi, by mieć pewność, że nic nam nie grozi.

Fidele pokiwała głową ze znużeniem i znów wyruszyli. Padało coraz mocniej i woda nieustannie skapywała z koron drzew. Podążali wąską

ścieżką, a zarośla po obu stronach były gęste i nieprzeniknione. Maquin zastanawiał się, czy nie zejść ze szlaku i nie wniknąć w las, ale to by ich tylko spowolniło. Co więcej, w ten sposób łatwiej by ich było wytropić.

Tymczasem trzeba postawić na szybkość, zdecydował.

Coś zmieniło się wokół nich. Maquin wciągnął powietrze w płuca i uświadomił sobie, że pojawił się w nim ziemisty akcent, przeważający nad innymi zapachami lasu. Zwolnił, a potem się zatrzymał. Fidele potknęła się i wpadła na niego. Stopa Maquina ugrzęzła w ziemi aż po kostkę, wypychając bulgoczące czarne błoto. W pierwszym odruchu chciał uskoczyć w tył, ale ku swemu przerażeniu uświadomił sobie, że nie jest w stanie uwolnić stopy, jakby trzymała ją jakaś istota.

Rozejrzał się. Ziemia dookoła nie budziła jego podejrzeń – wszędzie widział porosty oraz pnącza – ale gdy przyjrzał się uważniej, zaobserwował, że każdy ruch jego buta wprawia glebę w lekkie falowanie.

Grząskie piaski!, uświadomił sobie.

Sparaliżował go lęk. Widział podobne miejsca w lesie Forn. Ba, widział nawet olbrzyma, który wpadł w ich pułapkę i znikł w ciągu kilku chwil.

– Złap mnie za rękę – odezwała się Fidele i wyciągnęła dłoń. Złapał ją mocno za nadgarstek i powoli, bardzo powoli wychylił się w tył, opierając się pokusie, by szarpnąć z całej siły. Poczul, jak jego but opornie wysuwa się z żarłocznego błota, aż rozległo się głośne mlaśnięcie i był już wolny. Skinął głową Fidele, dziękując jej za pomoc, po czym wyciągnął miecz i zaczął nakłuwać teren, by sprawdzić, czy utrzyma jego ciężar.

Teraz poruszali się znacznie wolniej. Widoczność zmniejszała się z każdą chwilą, aż kontury wokół nich zaczęły się zacierać. Wypadli na polanę, gdzie Maquin zamarł na widok ciemnych cieni, rozlanych wśród traw. Dostrzegł matowy połysk metalu i usłyszał jęk. Wyciągnął nóż i syknął na Fidele, by trzymała się z tyłu, a sam ostrożnie ruszył naprzód.

Po niebie przetoczył się grzmot i zajaśniała błyskawica, która na moment oświetliła polanę równie jasno jak stojące w zenicie słońce. Wówczas okazało się, że ciemne plamy to ludzkie ciała. Na poobijanym napierśniku najbliższego mężczyzny znajdował się orzeł Tenebralu. Martwe oczy wojownika wpatrywały się w niebo, na rozciętym gardle zastygła krew. Pozostali zabici należeli do Vin Thalun.

Ostatni człowiek, do którego podszedł Maquin, również Tenebralczyk, nadal żył. Oddychał chrapliwie i nierówno.

Maquin wyczuł za sobą czyjąś obecność. Napiął mięśnie, ale to była tylko Fidele. Ukucnęła i pogładziła rannego wojownika po czole. Był to młody człowiek o bladej twarzy i oczach zeszlonych bólem. Wpatrywał się intensywnie w kobietę, aż zamrugał, rozpoznając ją.

– Moja... moja pani!

– Jak masz na imię? – spytała łagodnie Fidele.

– Drusus – wyszeptał młodzieniec.

– Co tu się stało, Drususie?

– Uciekliśmy z areny... – szepnął młodzieniec, krzywiąc się z bólu. – Mieliśmy rozkazy Peritusa. Rozdzielić się i przegrupować za pięć dziesięcionocy. Ale Vin Thalun nie odpuszczali. Nie mogliśmy ich zgubić.

– Dzielnie walczyliście – stwierdziła Fidele.

Maquin potwierdził burknięciem. Zauważył jedynie pięciu poległych orlich wojowników i aż jedenastu Vin Thalun.

– A więc Peritus nadal żyje? – spytała kobieta.

Wojownik pokiwał głową.

– A Lykos?

– Nie wiem – odparł Drusus. – Wszędzie panował chaos.

Skrzywił się z bólu, a z jego ust wydobył się bełkotliwy syk. Maquin obejrzał jego ciało i odkrył sporo powierzchownych ran oraz dwie poważniejsze, w udzie oraz w plecach. Przebito mu dolną część napierśnika. Krew, która po zmroku wydawała się czarna, pulsowała rytmicznie. Fidele spojrzała na Maquina.

Przeżyje?, pytały jej oczy.

Stary wojownik wzruszył ramionami w odpowiedzi. Oderwał kawałek płótna od swej koszuli i mocno obwiązał udo młodzieńca, ale na ranę w plecach nie mógł wiele poradzić.

Jeśli nie został trafiony w nerkę czy wątrobę, ma szansę przeżyć, ale stracił już wiele krwi, a więc kto wie?, myślał. Ale i tak jest już trupem, choć jeszcze o tym nie wie. Vin Thalun, którzy nas ścigają, na pewno go znajdą.

– Pomóż mi go dźwignąć – zwrócił się do Fidele.

Wspólnym wysiłkiem pomogli Drususowi powstać, ale rannemu wojownikowi szybko zabrakło sił i ugięły się pod nim kolana.

– Tam! – syknął Maquin i poprowadził młodzieńca w stronę zarośli, podtrzymując go i niemalże niosąc.

– Co ty robisz? – spytała Fidele.

– Ukrywam go – stęknął Maquin, przedzierając się przez gąszcz.

– Nie możemy go zostawić, ale przecież idą za nami Vin Thalun – odezwała się Fidele.

– Wiem. – Maquin wzruszył ramionami. – Chłopak nie może chodzić, a my nie jesteśmy w stanie go nieść. Nie możemy też zostać, bo to oznacza śmierć, a ja nie chcę za niego umrzeć.

Przerażenie na twarzy Fidele ustąpiło miejsca determinacji.

– Nie – powiedziała. – Nie porzucę go. To jeden z moich poddanych.

Maquin położył Drususa na ziemi.

– Wojna to kiepski moment na pobożne życzenia. Jeśli zostaniemy, zginiemy i nie ma innego rozwiązania. To wojownik i dobrze wie, na co się pisał, wybierając ten fach. Nieprawdaż, młody?

– Tak – wydyszał Drusus. – Musisz uchronić, moja pani.

Fidele patrzyła to na jednego, to na drugiego.

– Nie.

– Nie wygłupiaj się!

– To Tenebralczyk! Ryzykował własnym życiem dla tego królestwa. Ryzykował dla mnie! Nie porzucę go na pewną śmierć!

– Ale twoja śmierć nie pomoże mu przeżyć. Mylisz odwagę i szlachetność z głupotą, Fidele. Co więcej, ginąc tu, zmarnujesz ofiarę zarówno jego, jak i ich wszystkich.

Kobieta pobladła, ale Maquin widział, jak zaciska szczęki i wiedział, że już zdecydowała.

– Nie i koniec. A ty powinieneś pamiętać, że jestem władczynią tych ziem.

– Ale nie moją! – warknął Maquin, w którym obudził się gniew. – W porządku. Jeśli chcesz, zostań tu i gin.

Odszedł na moment, pozbierał trochę broni leżącej przy ciałach poległych i wrócił do Fidele, która siedziała przy Drusucie i mówiła do niego cicho. Wojownik leżał z zamkniętymi oczami i oddychał płytko.

– Proponowałem, że pomogę ci przeżyć. Nie zgadzałem się na to, by siedzieć z tobą i czekać na śmierć. Powinnaś uciekać wraz ze mną – powiedział Maquin i wyciągnął rękę.

Fidele pokręciła głową.

– Złożyłam przysięgę, że będę chronić mych poddanych.

Ją też wiąza przysięgi, pomyślał Maquin. A więc nie jestem jedynym.

– Weź to – rzekł. Ułożył przy niej włócznię i wręczył jej nóż. – Jeśli cię

znajdą, walcz włócznie. Trzymaj tępy koniec nisko i pchaj z całej siły ku górze. O, w ten sposób.

– Dobrze.

Maquin raz jeszcze na nią spojrzął w nadziei, że ustąpi i jednak uda się wraz z nim, ale na twarzy kobiety ujrzał jedynie determinację i zacięcie. Skrzywił się, odwrócił i ruszył w drogę.

– Maquin! – zawołała za nim.

– Co takiego? – Zatrzymał się, ale nie odwrócił.

– Dziękuję ci za wszystko, co dla mnie zrobiłeś.

Bez słowa ruszył naprzód.

W lesie panowały teraz ciemności przeszywane sporadycznymi spazmami błyskawic.

Głupia baba, myślał. Walczyła z takim wysiłkiem o swe życie, by teraz zaprzepaścić wszystko dla umierającego młodziana? Z drugiej strony, jaki sens ma wolność, skoro nie możesz zdecydować, za co umrzesz?

W głębi serca czuł rosnący szacunek.

Idź przed siebie, mówił sobie. Niczym się nie przejmuj, człowieku. Jesteś wolny. Możesz opuścić Tenebral i rozpocząć łowy na Jaela. Wreszcie możesz doprowadzić zemstę do końca.

Zamrugnął, by pozbyć się deszczu z oczu.

Niech ją szlag!

Zatrzymał się i odwrócił z dzikim warknięciem, po czym ruszył w drogę powrotną. Wkrótce znalazł się wśród poległych wojowników i niczym duch przemknął przez polanę, nie dbając o to, czy Fidele zdaje sobie sprawę z jego powrotu. W oddali słyszał już jakieś głosy i ujrzał migotanie pochodni.

Zeskoczył ze ścieżki i zwinnie wdrapał się na drzewo, którego masywne konary zwisały nisko. Wyciągnął najcięższy ze swych noży: z szerokim ostrzem, wykonaną z kości rękojeścią i okrągłą, żelazną głowicą.

Zamarł w oczekiwaniu.

Z ciemności wyłaniali się ludzie. Czterech, sześciu, siedmiu...

Zbyt wielu, pomyślał.

Kilku niosło pochodnie, w tym pierwszy z nich, starszy wojownik ze znajomo wyglądającymi żelaznymi pierścieniami wplecionymi w brodę. Zatrzymał się, mijając drzewo, na które wspiął się Maquin, i ukucnął, by przyjrzeć się ziemi. Jego pochodnia syczała, gdy padały na nią krople deszczu.

– Szli tędy – oznajmił.



– Powinniśmy rozbić obozowisko i ruszyć dalej rano. W ciemności łatwo ich przeoczyć – rzekł inny, młodszy mężczyzna, trzymający włócznię. Stał na tyłach ich grupy i nerwowo wpatrywał się w mrok lasu.

– Moglibyśmy, ale nie sądzę, byśmy mieli ich zgubić – odparł starszy mężczyzna. – Jak dotąd nie zeszli ze ścieżki, a gdyby tak zrobili, musieliby zwolnić. – Wskazał pochodnię zarośla. – A mnie się wydaje, że nie zwolnią ani na chwilę. Zrobią wszystko, by zwiększyć przewagę nad nami.

– Nie wiem jak wam, ale mnie się jakoś nie uśmiecha perspektywa natknięcia się na Starego Wilka po ciemku – odparł młodzieniec.

Wokół rozległy się pomruki aprobaty.

– Niech was szlag trafi! – warknął stary wojownik. – Przecież nas jest siedmiu!

– Tak, ale ja widziałem, na co go stać!

Maquin uśmiechnął się złowieszczo. Nie widzieli nawet połowy tego, na co było go naprawdę stać.

– Lykos nie podziękuje nam za to, że pozwoliliśmy im uciec. Kogo się bardziej boisz?

– Nikogo się nie boję! – odwarknął młody wojownik. – Próbuję tylko być realistą.

– Dobrze, a więc przejdziemy jeszcze kawałek.

Stary wojownik podniósł się i ruszył przed siebie, powoli i ostrożnie, wpatrując się w ziemię. Pozostali podążyli za nim, rozciągnięci w szereg. Vin Thalun zamykający szyk zawahał się. Zatrzymał się i spojrzał za siebie. Pozostali już znikali w mroku.

Maquin złamał gałązkę, co zostało zagłuszone przez szum deszczu. Złapał nóż za głowicę i skierował go ostrzem w dół, a potem upuścił gałązkę tak, by upadła tuż przed ostatnim wojownikiem. Ten spojrzał na nią, a potem uniósł głowę.

Maquin wypuścił nóż.

Ciężkie ostrze spadło i wbiło się Vin Thalun prosto w oczodół, docierając do mózgu. Wojownik padł na ziemię bez najcichszego nawet jęku, jedynie jego noga zadrgała w konwulsjach. Maquin zaś ześlizgnął się z konaru i wylądował na ścieżce. Wyszarpnął nóż i podążył za resztą.

Jeszcze sześciu, pomyślał.

Poruszał się szybko i bezszelestnie. Dzięki szkoleniom, jakie odebrał w jamach Vin Thalun, był silniejszy i wytrzymalszy niż kiedykolwiek

wcześniej, nigdy też nie miał tak krótkiego czasu reakcji. Biegł szybko, kierując się blaskiem pochodni, i minęło raptem kilka uderzeń serca, gdy znów ujrzał wrogów, którzy nadal szli gęsiego po ciasnej ścieżce.

Maquin zwolnił i skupił uwagę na ostatnim wojowniku, który trzymał włócznię, podpierając się nią jak laską. Szedł z opuszczoną głową i uważnie stawiał kroki. Maquin, cichy niczym mgła, przypadł do niego, zatkał mu usta dłonią i w tej samej chwili poderzwał mu gardło. Trysnęła krew i wrogi wojownik zwiotczał, a Maquin, który nadal go podtrzymywał, ułożył go delikatnie na ścieżce.

Pięciu.

W głowie słyszał huk własnej krwi, gdy czekał, aż wojownik idący przodem odwróci się, ale tamten nie zorientował się i nadal szedł przed siebie.

Ktoś krzyknął na czele i idący w kolumnie Vin Thalun zatrzymali się jeden po drugim. Maquin ujrzał, jak ostatni z nich się obraca. Mężczyzna trzymał płonąca pochodnię, dzięki czemu spostrzegł, jak Stary Wilk wyłania się z mroku, i zdążył krzyknąć, gdy wojownik wbił mu nóż w brzuch. Obaj zatoczyli się, ale Maquin wykorzystał pęd, by szarpnąć nożem w górę i rozciąć ciało Vin Thalun aż po żebra. Runęli na ziemię, a krew przeciwnika trysnęła Maquinowi w twarz.

Czterech.

Przetoczył się, zerwał, podniósł płonąca pochodnię i rzucił się do biegu.

– To Stary Wilk! – wrzasnął ktoś.

Maquin dojrzał lęk w oczach Vin Thalun, ale ani na moment nie zapomniał, że ci ludzie są wojownikami. Nie wystarczy sam strach, by ich pokonać. Odwrócili się ku niemu, dobyli mieczy, pochylili włócznie.

Maquin rzucił się do ataku. Cisnął pochodnią w mężczyznę, który próbował zająć go od lewej. Ten zatoczył się i padł w krzaki, a wówczas były Gadrai wyciągnął drugi nóż i z ostrzem w obu dłoniach wdarł się między resztę Vin Thalun.

Pochylił się nad wrogim mieczem, wbił nóż w czyjeś udo i pozostawił go tam. Uskoczył przed ostrzem włóczni, złapał ją za drzewce i szarpnięciem wytrącił napastnika z równowagi. Chwila zaskoczenia ze strony Vin Thalun wystarczyła, by wepchnąć mu nóż w oko.

Trzech.

Nie miał już noży, więc złapał za miecz. Przed sobą ujrzał starszego wojownika, który stał z krótkim mieczem w jednej dłoni i trzymaną jak broń

pochodnią w drugiej. Mężczyzna, w którego Maquin cisnął pochodnią, zdołał się podnieść, ale trzymał się na razie z daleka, patrząc to na Starego Wilka, to znów na swego dowódcę. Wojownik z nożem w udzie również się podniósł. Nic nie wskazywało na to, by ostrze przecięło jakąś ważną arterię.

Wszyscy stali przez moment jak zaczarowani, aż znów rozległ się grzmot pioruna i Maquin rzucił się do natarcia.

W kilku susach przypadł do przywódcy i ciał go w głowę. Uderzenie zostało zablokowane, na co wojownik uskoczył w prawo, unikając ciosu pochodnią w twarz. Płonący drąg zahaczył jednak o jego ramię, które eksplodowało bólem. Maquin odchrząknął, zawirował i dostrzegł pozostałych, którzy byli coraz bliżej.

Kiepska sprawa, pomyślał. Muszę to szybko zakończyć.

Stary Vin Thalun najwyraźniej miał inny pomysł. Cofnął się, unosząc miecz i pochodnię i robiąc miejsce do natarcia dla swoich towarzyszy.

Nie mogę tak stać i czekać, aż mnie zabiją!, przemknęło Maquinowi przez myśl.

Zacisnął zęby i rzucił się na starszego wojownika, który skoczył mu naprzeciw. Miecz trzymał wysoko, a pochodnię nisko.

Wie, co robi...

Maquin wyhamował ostro i wyrzucił nogi do przodu. Pochodnia z szumem przemknęła nad jego głową. Dojrzał pasmo iskier, ale wtedy jego stopy trafiły w Vin Thalun. Obaj przetoczyli się po ziemi. Pochodnia, wirując, wystrzeliła w powietrze, a dwaj wojownicy zmagali się, warcząc i sapiąc, próbując znaleźć sposób, by ciąć przeciwnika. Stary pirat wbił kciuk w poparzone ramię Maquina, na co ten stęknął i rąbnął wroga czołem w głowę. Ucisk na ranie natychmiast zelżał.

Szkoda, że pozbyłem się noży! – pomyślał Maquin.

Rozległy się kroki, co oznaczało, że pozostali już nadbiegali.

– Trzymaj go! – krzyknął któryś.

– Próbuj! – stęknął stary wojownik.

Maquin widział przez ułamek sekundy wojownika stojącego nad nim z wzniesionym mieczem. Napiął mięśnie i odtoczył się, pociągając starego Vin Thalun za sobą, ale broń wyslizgnęła mu się z dłoni. Okładali się pięściami, kopali, gryźli i drapali, aż pirat zdołał kopnąć przeciwnika w brzuch i odebrać mu dech. Maquin na moment stracił siły, a Vin Thalun wykorzystał tę chwilę, by się poderwać.

Naraz żebra Starego Wilka eksplodowały bólem. Kątem oka dostrzegł błysk stali.

Podnieś się, albo już po tobie!, powiedział do siebie.

Dobył resztek sił i dźwignął się na jedno kolano.

– Wykończ go! – wrzasnął stary wojownik do towarzysza stojącego za Maquinem. Jego miecz ociekał czerwienią.

– Maquin! – zawołał ktoś.

Wszyscy zamarli i odwrócili się ku ścieżce. Na nocnym niebie znów rozlała się błyskawica, która na ułamek sekundy zamieniła las w labirynt światła i cieni.

Fidele stała w odległości dwudziestu kroków, trzymając włócznię w ręku.

– Wykończ go – warknął stary Vin Thalun. – Ja zgarnę sukę Lykosa.

Wyszczrzył zęby i ruszył w stronę kobiety, ale zachwiał się, potknął i błyskawicznie zaczął się zapadać. Spojrzał za siebie, odwrócił się. Na jego twarzy pojawiło się przerażenie. Gwałtowny ruch sprawił, że zapadł się jeszcze głębiej, jakby ktoś ciągnął go za nogi w otchłań.

Grząskie piaski, pomyślał Maquin.

Wystrzelił ku górze i złapał stojącego nad nim wojownika za rękę, w której ten trzymał miecz. Szamotali się przez moment, aż Maquin wykręcił nadgarstek Vin Thalun i zmusił go do wypuszczenia broni. Razem uderzyli o drzewo, a były Gadrai oplótł gardło przeciwnika palcami i zaczął go dusić.

Vin Thalun uniósł kolano i kopnął Maquina, który zgiął się wpół, krztusząc się i walcząc z utrzymaniem zawartości żołądka, ale nadal ze wszystkich sił zaciskał dłoń na gardle przeciwnika. Pirat wybałuszył oczy i zaczął okładać wojownika pięściami, aż jego wysiłki przerwało ostrze włóczni, które wbiło się w jego pierś.

Fidele wpatrywała się w trupa z dzikością w oczach, oddychając ciężko. Wtem odrzuciła włócznię, jakby ją paliła, a Maquin rozejrzał się, dobrze pamiętając, że był jeszcze jeden przeciwnik, ten, któremu wbił nóż w udo. Ujrzał go leżącego na ścieżce kilka kroków dalej z bladą twarzą i pustymi oczami.

A więc jednak przeciąłem mu jakąś arterię, pomyślał.

Wyciągnął swój nóż z nogi Vin Thalun, a potem przytknął dłoń do rany po mieczu na żebrach. Nie była głęboka, ale krwawiła obficie.

– Dzięki – rzekł do Fidele.

– Wróciłeś – odparła.

– Tak. Wygląda na to, że nie jesteś jedyną idiotką w tym lesie.

Fidele uśmiechnęła się do niego blado, po czym odwróciła się i zwymiotowała.

– Pomóżcie mi! – zawołał stary wojownik tkwiący pośród grząskich piasków, zanurzony aż po pierś.

Maquin i Fidele stanęli na skraju pułapki i przyglądali się mężczyźnie w milczeniu, a ten prosił ich i błagał, oferował pieniądze, swą służbę, bezpieczne przejście przez las. Żadne z nich nie odezwało się słowem do chwili, gdy głowa Vin Thalun pogrążyła się w błocie.

## Rozdział dwunasty

# CYWEN

Cywen podniosła się, zbudzona brzękiem setek mieczy, dla bezpieczeństwa owiniętych skórą, zderzających się podczas porannego treningu Jehar.

Rozbili obozowisko na skraju lasu porastającego szeroką dolinę o stromych zboczach. Otaczały ich góry, których wierzchołki tonęły wśród chmur. Ich łańcuch wytyczał granicę między Benothem, królestwem olbrzymów, oraz znajdującym się na południu Narvonem, ongiś królestwem Owaina, w chwili obecnej wcielonym do wielkiego mocarstwa Rhin.

Buddai leżał przy Cywen, aż dostrzegł Burzę, która niczym cień przemykała przez las. Zerwał się i pognął za nią. Dziewczyna uśmiechnęła się, gdy ujrzała, jak kotłują się na trawie i błyskają kłami.

– Zachowują się jak szczeniaki – powiedziała siedząca za nią Brina.

Cywen odwróciła się i spostrzegła, że na ramieniu uzdrowicielki siedzi Craf. Z nieba sfrunął zaś inny cień, który przysiadł na gałęzi nieopodal.

Jest i Fech!, pomyślała.

– Niektórych więzi nie da się rozerwać – rzekła i ponownie skupiła uwagę na łące, gdzie niemal trzy setki wojowników doskonaliło swe umiejętności w walce. Natychmiast rozpoznała wśród nich Gara i Corbana, którzy poruszali się tak szybko, iż zgoła nie można było nadążyć za ich ruchami. Naraz, jakby przestrzegali jakiejś niepisanej reguły, znieruchomieli, a wszyscy wokół nich zrobili to samo. Każdy zwrócił się ku kolejnemu przeciwnikowi, a przed Corbanem wyrosła Coralen, dziewczyna z Domhainu. Uśmiechnęli się lekko i skoczyli na siebie. Ich pojedynek był równie szybki jak ten, który chłopak odbył z Garem, ale podczas walki było więcej kopniaków i uderzeń pięścią. Coralen starała się zbliżyć do przeciwnika i uderzała łokciem oraz kolanem, by zyskać przewagę, co jednak zawsze kończyło się tym, że Corban powalał ją na ziemię i przytykał jej miecz do

gardła.

Cywen współczuła dziewczynie nieco. Nieraz ćwiczyła walkę na miecze z Corbanem w ich ogrodzie w Dun Carreg. Ich starcia często kończyły się tym samym.

Pamiętam to uczucie, pomyślała. Szlag może człowieka trafić.

Tak było, zanim dołączył do nich Dath i Cywen zaczęła jego kłaść na łopatki, co trochę poprawiało jej humor. Teraz jednakże nawet Dath walczył, jakby wreszcie wiedział, na czym polega sztuka zadawania ciosów. Cywen obserwowała, jak chłopak ćwiczy z Farrellem i próbuje wykorzystać swą zwinność oraz niewielki wzrost, by zmylić większego od siebie przyjaciela. Farrell mimo to nie dawał się zaskoczyć – parował ciosy z opanowaniem i natychmiast przechodził do płynnych uderzeń.

Kiedy widziałam go po raz ostatni, był jedynie niezdarnym wołem, pomyślała Cywen. Co się stało z nimi wszystkimi? Spędziłam ten rok ze związanymi rękami, a tymczasem wszyscy moi przyjaciele stali się wojownikami!

Na jej czole pojawiła się gniewna zmarszczka.

Od ucieczki z Murias minęło dziesięć dni, z których każdy zyskał podobną rutynę. Cywen chciała jeszcze raz porozmawiać z Corbanem, ale najwyraźniej wszyscy wciąż mieli do niego różne sprawy. Co więcej, każdy pełnił w grupie jakąś rolę i miał zadania do wykonania w ich niewielkiej armii. Każdy, tylko nie ona. Zaczynała się czuć bezużyteczna. Nie miała nawet odwagi ćwiczyć z nikim walki, choć w głębi serca desperacko tego pragnęła.

Nie jestem wystarczająco dobra, myślała. Nawet najgorsi z nich są lepsi ode mnie.

Zmarszczka na czole pogłębiała się.

– Ostrożnie, dziewczę – wychrypiała Brina. – Nie marszcz się tak, bo jak wiatr się zmieni, może ci tak zostać.

Cywen uśmiechnęła się kwaśno.

– Mama mi tak mawiała.

– Napij się. – Brina podała jej bukłak.

Cywen obwąchała zawartość i zmarszczyła nos.

Brot. Jedzenie olbrzymów, o ile można tak to określić.

– Faj! – zakrakał Craf, wpatrując się z niechęcią w bukłak.

– Pycha! – zbeształ go Fech.

Olbrzymy zgromadziły się między drzewami, gdzie były niemalże

niewidoczne. Na ogół trzymały się z dala od ludzi. Podczas drogi zajmowały pozycję tylnej straży, zawsze razem, rzadko kiedy mieszając się z Jehar. Zdarzało się, że młodsze biegały po bokach wędrującej kolumny. Ścigały się, siłowały, a nawet śmiały, co wywoływało uśmiech na twarzy Cywen. Miała wrażenie, że wreszcie widzi jakieś przejawy normalności w tym oszalałym świecie.

– Wystarczy łyk – powiedziała Brina i szturchnęła Cywen kościstym palcem.

Dziewczyna przełknęła nieco brotu, uznawszy, że lepiej to zrobić, niż kłócić się z uzdrowicielką. Pokarm olbrzymów przypominał owsiankę, ale był bardziej lepki i treściwy. Nie smakował jej zbyt, ale wypełniając żołądek niczym kamień, doskonale spełniał swą rolę. Wystarczył jeden łyk z rana, by Cywen nie czuła głodu aż do kolejnego dnia.

Brina odebrała jej bukłak i wzięła do ręki pustą torbę płócienną.

– Chodź, pomożesz mi – powiedziała. – Widziałam w lesie nieco naparstnicy i dzikiego bzu.

– Ja? – spytała Cywen.

– Tak, ty. Mój poprzedni uczeń jest chyba zbyt zajęty, by pomóc mi w zbieraniu roślin.

Dziewczyna w milczeniu podążyła za staruszką w głąb lasu, spoglądając podejrzliwie na Crafa i Fecha, które przeskakiwały nad ich głowami z gałęzi na gałąź.

– Proszę – rzekła Brina i wskazała krzak obsypany kiśćmi białych kwiatów. Stały na niewielkiej polance, pośród polnych kwiatów, otwierających się ku blademu, wiosennemu słońcu. – To dziki bez – dodała uzdrowicielka. – Zbyt wcześnie na owoce, ale kwiaty są pomocne, podobnie zresztą jak kora i korzenie.

Wyciągnęła nóż i zaczęła odcinać łądźki. Z niektórych ściągała korę i niecierpliwie dawała Cywen do zrozumienia, że ma trzymać równo otwartą torbę.

– Daleko dotarliśmy – odezwała się w pewnym momencie, zerkając na dziewczynę.

– Prawda – zgodziła się Cywen.

Jesteśmy daleko od domu, dodała w myślach, a każdy z nas stał się innym człowiekiem. Zmieniła nas ta przeklęta zawierucha.

W jej sercu obudził się bezsilny gniew, skierowany głównie przeciwko



Nathairowi i Calidusowi.

– Nie chodzi mi o odległość – rzekła Brina.

– Wiem – burknęła Cywen. Uniosła głowę i spostrzegła, że uzdrowicielka wpatruje się w nią.

– To nadal twój brat. Z tym, że jest...

– Zajęty? – westchnęła Cywen.

Brina uśmiechnęła się szeroko.

– Tak. Bardzo zajęty. Ale to dobry chłopak. Ma wielkie serce i jest bardzo lojalny wobec przyjaciół i najbliższych. Co więcej, pod tą grubą czaszką kryje się całkiem bystry mózg, choć oczywiście nie zawsze ma ochotę go używać. Nie mów mu, że to powiedziałam – dodała.

– Twój sekret jest u mnie bezpieczny – uspokoiła ją Cywen.

– Bezpieczny sekret – skomentował Craff. – Ufasz? Ufasz?

Cywen wciąż nie przyzwyczała się do tego, że kruk zwykł dołączać do rozmowy. Było to tym dziwniejsze, że często wygłaszał bystre spostrzeżenia.

– Było mi bardzo przykro, gdy usłyszałam, co spotkało Heba.

Brina zamrugnęła, a przez jej twarz przemknął ból, który odepchnęła z wyraźnym wysiłkiem.

– Corban opowiedział mi o tym, jak on... – ciągnęła Cywen. – Opowiedział mi o bitwie w domhaińskich górach, przeciwko wilkunom i olbrzymom.

– Uthas – rzekła Brina.

– Zły olbrzym – wymamrotał Craff.

– Wydziobię mu ślepię – dodał z zaciętością Fech.

– Co?

Brina zmrużyła oczy, w których pojawiło się coś mrocznego.

– Uthas to olbrzym Benothi, który zabił Heba. Rozmawiałam o tym z Fechem.

– Tak, rozmawiała – potwierdził kruk.

– Znam go – rzekła Cywen. – Sprzysiągł się z Rhin i Nathairem.

Nienawidzę go, tak jak nienawidzę każdego z tych, którzy trzymali mnie w niewoli, pomyślała.

Przed jej oczami stanęły inne twarze. Ujrzała Alcyona i Veradisa, którzy w najczarniejszych dniach jej życia okazali jej odrobinę życzliwości.

Cóż, może nie wszystkich nienawidzę, dodała w myślach.

– Zdradził własny klan – wymamrotał Fech.

– Zabił mojego Heba, a więc ja zabiję jego. – Głos Briny był zimny jak

lodowiec.

– Nie ty, ale my – poprawił ją Fech.

– Wybacz. – Brina uśmiechnęła się zimno. – My.

– A potem wyjem mu oczy – dodał Fech.

– Świetnie – oznajmiła z zaciekłością Cywen. – Heb okazał wielką odwagę, rzucając wyzwanie temu olbrzymowi.

– Heb był idiotą – rzekła Brina. – Ale moim idiotą i bardzo mi go brakuje.

Jej twarz złagodniała. Craf z trzepotem skrzydeł wylądował na ramieniu uzdrowicielki i zaczął muskać dziobem jej włosy. Kobieta w zamyśleniu podrapała go po skrzydle.

– Poza tobą usłyszała to tylko jedna osoba, a jest nią twój brat – powiedziała z uśmiechem.

Zupełnie nie pasuje mi to do jej charakteru, pomyślała Cywen.

– Czemu jesteś wobec mnie taka miła? – spytała z podejrzliwością.

– Myślałaś, że nie potrafię? – parsknęła uzdrowicielka. – Poza tym wiem, że sporo przeszłaś, a teraz, choć znalazłaś się na powrót wśród przyjaciół, czujesz się...

– Nie na miejscu – zakończyła za nią Cywen. – Bezużyteczna.

– Bezużyteczna! Bezużyteczna! – powtórzył parokrotnie Craf.

Cywen zmierzyła go wściekłym spojrzeniem.

– Wiesz, że to nieprawda, co? – odezwała się Brina. – Nie jesteś ani nie na miejscu, ani też bezużyteczna. Znalazłaś się dokładnie tam, gdzie powinnaś, wśród ludzi, którym zależy na tobie. Musisz tylko stanąć na nogi.

– Czy ty się właśnie nade mną użalasz?

– Ach, już zapomniałam, jaka jesteś dumna!

– Dumna! – wrzasnął Craf.

Brina przegoniła go ze swego ramienia i potarła się po uchu.

– Nie użalam się nad tobą, Cywen. Jestem jedną z tych, którym na tobie zależy, i to wszystko. A tak na marginesie, to szukam uczennicy.

– Że co? – spytała Cywen.

– Jak sama zauważyłaś, Corban jest ciągle zajęty. Był niegdyś moim uczniem i przekazałam mu sporo z tego, co sama wiem o sztuce uzdrawiania, ale chłopak ma teraz sporo na głowie i nic nie wskazuje na to, by miało się to zmienić. Ja zaś potrzebuję pomocy. Coś mi się wydaje, że wiele krwi popłynie, nim ta cała zawierucha przycichnie, a ktoś musi łątać rannych. Sama temu nie podołam. – Wzruszyła ramionami. – Proszę cię więc o pomoc, a że sama

powiedziałaś, że czujesz się bezużyteczna, myślę, że powinnaś się zgodzić na moją propozycję. Potrzeba ci czegoś do roboty, a mnie się przyda pomocnik.

Uśmiechnęła się, nieco zbyt słodko jak dla Cywen. Dziewczyna miała wrażenie, że została sprytnie wmanewrowana, ale gdy się zastanowiła, doszła do wniosku, że propozycja Briny wcale nie brzmiała tak źle. Nie licząc kilku drobiazgów.

– Stawiam jeden warunek. Nie będę słuchać poleceń twoich wron.

– Kruków! – poprawił ją Fech.

– A co za różnica? – Cywen wzruszyła ramionami.

– To akurat będziesz musiała obgadać z Craferem i Fechem – rzekła Brina.

– Craf! Rozkazuje! – zakrakał Craf i parokrotnie zakłapał dziobem.

– Śmieje się ze mnie?

– Tak. Chyba tak.

Rozległ się coraz bliższy tętent kopyt.

– Oho! – oznajmił Craf i wystrzelił ku wyższym gałęziom, gdzie zlał się z cieniami.

Cywen odwróciła się i ujrzała grupkę jeźdźców zbliżających się do nich między drzewami. Prowadziła Coralen, którą z jednej strony osłaniała wojowniczką Jehar z grubym pasem siwizny wśród czarnych włosów. Z drugiej strony jechał Dath, który zawczasu nałożył ciężką swego długiego łuku i przytroczył go do siodła. Uśmiechnął się szeroko do Cywen, gdy wjechali na polankę. Burza i Buddai sadzili za nimi długimi susami. Ogar podbiegł bliżej, by trącić pyskiem biodro Cywen.

– Corban cię szukał – rzekła Coralen. Na ramiona narzuciła skórę wilkuna, u boku miała miecz, a obok niego nóż. Rękojeść innego sterczała z jej buta, a z łuku siodła zwisała rękawica z trzema żelaznymi pazurami.

Taka jak u Corbana, pomyślała Cywen.

– Chce, byście wracali do obozu.

– To mój brat, a nie mój pan! – warknęła Cywen. Coś w głosie Coralen wzbudziło jej irytację.

– Obóz zwinięty. Wszyscy są gotowi do wyjazdu – rzekła wojowniczką. – Wszyscy czekają na ciebie.

– Dołączymy do was, gdy Brina zrobi to, co do niej należy – odparła Cywen, świadoma, że zachowuje się jak dziecko.

Coralen wzruszyła ramionami, co zirytowało dziewczynę jeszcze bardziej.

– Już skończyłam – oznajmiła Brina.

Wtem Burza warknęła głośno, a po niej Buddai. Zwierzęta wpatrywały się w gęstwinę drzew po drugiej stronie polany. Trzasnęła gałązka. Cywen w okamgnieniu sięgnęła po nóż i zamachnęła się. Ostrze zadrzało, wbite w pień drzewa. Dath napinał już łuk, a Coralen i jej towarzyszka dobyły broni.

– Wyłaż, jeśli ci życie miłe! – oznajmiła Coralen.

Po pełnej napięcia chwili oczekiwania zza drzewa wyłoniła się jakaś postać. Był to olbrzym, ale szczupłej budowy. Miał długie, patykowate kończyny, a na twarzy próżno było szukać choćby śladu owłosienia. Cywen nie widziała nawet mizernych włosów, które później rozrastały się w wąsy.

A więc to młoda olbrzymka!, odgadła.

Olbrzymka uniosła dłonie i wytrzeszczyła oczy, zerkając to na Burzę, to znów na wycelowany w nią arsenał.

– *Mi breun chan aimhleas* – powiedziała.

– Nie chce, by komuś stała się krzywda – odezwała się Brina, a Cywen uświadomiła sobie, że staruszka przetłumaczyła słowa olbrzymki z jej własnego języka.

Tego też mogłaby mnie nauczyć, gdyby zechciała, przemknęło jej przez myśl.

Olbrzymka spojrzała na nóż tkwiący w korze. Wyrwała go, przyjrzała się ostrzu i puściła się pędem z oszałamiającą wprost szybkością. Cywen nie miała pojęcia, że olbrzymy potrafią biegać tak szybko.

– Hej, to mój nóż! – wrzasnęła, ale olbrzymka już znikła między drzewami.

– Cholerni Benothi – parsknęła Coralen, po czym wzruszyła ramionami i spojrzała na Cywen oraz Brinę. – Niezły rzut. A teraz wracajcie do obozu, chyba że macie ochotę tu zostać. – Zerknęła na gałęzie nad głową. – Craf, wiem, że się tam chowasz. Chodź, mam dla ciebie robotę.

– To nie w porządku! – zakrakał Craf.

Fech zakłapał dziobem, co zabrzmiało jak śmiech.

– A co do ciebie, to nie mam pojęcia, co tu robisz. – Coralen zwróciła się do niego. – Miałeś lecieć w tylnej straży.

– Gadam z Briną! – zakrakał Fech. – To ważne.

– Nie ma rzeczy ważniejszej od bronienia nas przed Kadoshim – rzekła Coralen. – Dalej, ruszaj!

Popędziła konia. Dath mrugnął na pożegnanie i cała trójka odjechała. Burza pognęła za nimi, ale Buddai zaskomlał, na co Cywen położyła mu dłoń

na ramieniu.

– Zostań ze mną, piesku – powiedziała.

– Zmęczony! – zaprotestował Craf.

– Zajęty! – dołączył Fech, ale oba posłusznie wzbiły się do lotu.

– Dobre z nich ptaszyska, ale leniwe, że aż strach – rzekła Brina, wpatrzona w oddalające się kruki. Na jej ustach pojawił się półuśmiezek.

– Craf jest strasznie uparty – powiedziała Cywen.

– Paskudna przypadłość, nie mam co do tego wątpliwości. – Brina przyglądała się dziewczynie z uniesioną brwią, a ta znalazła w sobie na tyle przyzwoitości, by się zarumienić. – Ruszajmy więc – dodała uzdrowicielka. – Sprawdź, czy mój worek jest dobrze zawiązany, i lepiej się pośpiesz. Nie zrujnuj mojego zapasu bzu!

Cywen westchnęła i wywróciła oczami.

W co ja wdepnęłam na własne życzenie?, pomyślała.

## Rozdział trzynasty

# CAMLIN

Camlin dokładnie obejrzał swą broń. Nałożył świeżą warstwę wosku na długi łuk z cisu i wsunął trzy nasączone woskiem konopne cięciwy do skórzanej sakiewki. Kołczan z trzydziestoma strzałami owinął w zaimpregnowaną sarnią skórę – statek, na którym uchodzili z Domhainu, przewoził futra i wyprawione skóry, a więc miał w czym wybierać. Opróżnił też swą sakwę i dokładnie przyjrzał się jej zawartości. Miedziane pudełko z suszem na rozpałkę i krzesiwo. Haczyki do łowienia ryb oraz zwierzęce ścięgna do zszywania ran. Trochę leczniczych ziół, miód, liście szczawiu, pędy krwawnika i ziarna maku. Zwitek płóciennych bandaży. Rzemienie do przewiązywania amputowanych kończyn. Kawałek żelaza do wypalania ran. Igła oraz konopna nić. Kociołek.

Spoglądałam na to, co oddziela życie od śmierci.

Większość swego ekwipunku kupił bądź wygrał w kości podczas ucieczki z Domhainu. Wiedział, że wszystko to wkrótce się przyda. Lada moment mieli bowiem dotrzeć do celu – do Ardanu, którym rządził wróg. Do Ardanu, gdzie mieli stać się zwierzyną łowną.

Naraz usłyszał muzykę rogu, stłumioną przez deski pokładu, po czym rozległy się okrzyki.

Ląd, pomyślał.

Wspiął się na pokład i zrobił kilka wymachów ramieniem, bardziej z przyzwyczajenia niż potrzeby. Rana zagoiła się bez trudności. Minęło już dziesięć dni od chwili, gdy Baird przeciągnął pocisk przez jego ramię. Trzy dni temu po raz pierwszy nałożył ciętywę, chcąc się przekonać, czy naciągnie strzałę. Mięśnie zaprotestowały eksplozją bólu, więc zrezygnował. Podjął jednakże kilka innych prób i dziś wreszcie udało mu się w pełni naciągnąć ciętywę. Ramię lekko mu drżało, ale nie zaobserwował żadnych innych

konsekwencji, z czego mógł się tylko cieszyć.

Pierwszą osobą, którą zauważył na pokładzie, był Vonn. Młodzieniec, oparty o reling, wpatrywał się w ciemną linię na horyzoncie, która powoli przeistaczała się w wybrzeże pełne klifów i zatoczek.

Ziemia!, Camlin uśmiechnął się w myślach. Ardan!

Załoga statku nie próżnowała. Żeglarze pięli się po takielunku i obkładali liny, a na pokładzie wyczuwało się atmosferę napięcia i ekscytacji. Ich rejs dobiegał końca i lada moment ich niewielka drużyna miała rozpocząć nowy etap podróży.

Pewnie bardziej niebezpieczny, ale ja nie mam nic przeciwko, pomyślał Camlin. Jeszcze jedna noc na tej przeklętej łajbie i szlag by mnie chyba trafił.

Inni również zbierali się już na pokładzie. Camlin podszedł do Vonna.

– Wracamy do domu – oznajmił młodzieniec. Przez jego twarz przemykały najrozmaitsze emocje, w tym tęsknota i lęk.

Nie będzie to dla niego łatwe, pomyślał Camlin. Przecież jego ojciec tu rządzi!

– Jesteś na to gotów? – zapytał.

Vonn spoglądał na niego przez dłuższą chwilę.

– Jestem i zawsze byłem. Od chwili, gdy padło Dun Carreg. Gdyby nie przysięga, którą złożyłem Edanie, wbiłbym miecz w sam środek zdradzieckiego serca mego ojca.

Tu i teraz jestem gotów ci uwierzyć, ale łatwiej jest mówić, aniżeli działać, pomyślał Camlin. Jak się poczujesz, gdy przyjdzie ci stanąć przed Ewnisem? Gdy spojrzysz mu w oczy i usłyszysz jego słowa?

– To naprawdę Ardan? – odezwał się jakiś głos za nimi.

Camlin odwrócił się i ujrzał Edanę, która oparła dłoń na mieczu.

Nasza królowa wojowniczką, przemknęło mu przez myśl.

Obok niej stał jednooki Baird, który rzadko ją opuszczał, niczym jej cień.

– Tak, to Ardan – potwierdził Camlin.

– Czasami wydawało mi się, że nigdy tu nie wrócę. – Edana odetchnęła głęboko. – Pora rzucić kośćmi.

Czemu spogląda na mnie za każdym razem, gdy jest mowa o kościach?, myślał Camlin.

Stali razem i wpatrywali się w coraz bliższe wybrzeże. Ich statek kierował się ku zatoczce skrytej wśród ostrych klifów, gdzie załoga zwinęła żagiel i opuściła na stalowoszare wody dwie łodzie. Roisin i Edana zamieniły kilka

słów z kapitanem i podziękowały mu, po czym uchodźcy zeszli do szalup i powiosłowali w stronę wąskiej kamienistej plaży. Niebawem obie łodzie zaszurały o dno, na co Camlin uśmiechnął się szeroko.

Nienawidzę morza, stwierdził w myślach.

Dziwnie było znów poczuć grunt pod nogami. Były banita potknął się, gdy jego ciało odruchowo chciało skontrolować niekończące się kołysanie pokładu. Obok stali Roisin i Lorcan, otoczeni dwoma dziesiątkami wojowników. Większość z nich wpatrywała się w klify. Żeglarze, którzy siedzieli przy wiosłach, postawili na plaży jakąś beczkę, po czym pomachali im na pożegnanie i odpłynęli na statek.

– Wędzone śledzie – oznajmił Baird, obwąchawszy beczkę. – Ciągniemy losy, kto będzie ją niósł?

– Ja ją wezmę – odezwał się wysoki, barczysty wojownik o ramionach tak potężnych, że na pierwszy rzut oka zdawał się nie mieć szyi. Nazywał się Brogan i służył Roisin. Camlin wygrał od niego dużą skórę jelenia.

– Protestować nie będę. – Baird uśmiechnął się szeroko.

– Vonn, chodź ze mną – rzekł Camlin i, nie odwracając się za siebie, ruszył w górę klifu po wąskiej ścieżce wydeptanej przez kozy. Podpierał się łukiem bez cięciwy jak laską. Nad głową słyszał głośne pokrzykiwania mew, które gniazdowały we wszelkich szczelinach klifów. Tu i ówdzie widział też karłowate krzaki, które z uporem rosły w załomach terenu.

Po kilku minutach wspinaczki dotarł na samą górę, gdzie rozciągnął się przed nim krajobraz łagodnych, porośniętych wrzosem wzgórz, miejscami przeciętych wąwozem. Widok roztaczał się na wiele mil i Camlin w pierwszej chwili uważnie sprawdził, czy aby na pewno byli w okolicy sami. Potem odwrócił się i pomachał do towarzyszy zgromadzonych na dole, którzy ruszyli w ślad za nim.

Znów uważnie przyjrzał się terenowi. Na wschodzie wzgórze łagodniały i przechodziły w równinę. Promienie słońca odbijały się na bagniskach odległego, ciągnącego się aż po horyzont półwyspu, gdzieniegdzie porośniętego ciemnymi lasami. Dostrzegał strużki dymów, które zwiastowały obecność gospodarstw i niewielkich wiosek, ale żadna nie leżała na tyle blisko, by się tym przejmować.

I ja mam poprowadzić tę bandę obszarpańców do Dun Crin, zrujnowanej fortecy olbrzymów? Czy ona w ogóle znajduje się tutaj, na tych mokradłach?, pomyślał.



Król Eremon dostał informacje o coraz silniejszym ruchu oporu, który organizowano przeciwko Ewnisowi. Buntownicy rzekomo zbierali się wokół ruin Dun Crin na bagnach. Camlin rozmawiał o tym z Edaną podczas rejsu.

Cóż, bagna, jak widać, są tutaj, pomyślał. Jeśli gdzieś w okolicy znajduje się jakaś zrujnowana twierdza, znajdę ją. Co będzie później... Cóż, tego już nie wiem, ale po kolei.

Zdyszany Vonn dotarł na górę i stanął obok niego. Obaj spojrzeli na północny wschód. Ku Dun Carreg.

Twierdza leżała zbyt daleko, by ją dostrzec, ale Camlin wypatrzył ciemną plamę na horyzoncie.

Las Baglun. Byłem tam. I nie wyniosłem stamtąd najlepszych wspomnień, pomyślał.

Należał wówczas do oddziału Braitha, który został wysłany do Baglunu, by siać zamęt w Ardanie. Nie miał pojęcia, że jego herszt działał na rozkazy Rhin. Wyprawa skończyła się tym, że któryś z ludzi Ewnisa dźgnął Camlina nożem.

A teraz powracał tu jako uchodźca, wygnaniec, a jednocześnie przewodnik zbiegłej królowej Ardanu i zbiegłego króla Domhainu.

Wyjrzał zza klifu i ujrzał, jak reszta ich grupy z wysiłkiem brnie w górę krętej ścieżki. Przypomniawszy sobie drogę, którą sam przebył.

Od bandyty po przybocznego. Co jeszcze mnie czeka?

Na ścieżce pokazali się pierwsi wojownicy, a wśród nich Baird i Edana. Królowa uśmiechała się szeroko.

– Krzyki mew! – powiedziała, widząc pytanie w jego oczach. – Czuję się jak w domu!

– Dom jest gdzieś tam. – Camlin machnął ręką. – Jakieś pięćdziesiąt mil stąd.

A po drodze czekają zastępy ludzi Rhin, którymi dowodzi Ewnis, pomyślał. Człowiek, który zabił twego ojca.

Uśmiech dziewczyny znikł, gdy wbiła wzrok w dal. Mężczyźni kucali i popijali wodę z bukłaków.

To dla nich obczyzna, uświadomił sobie Camlin.

Wszyscy przyboczni Roisin byli twardymi, lojalnymi, sprawdzonymi w bitwach wojownikami, których osobiście wybrał Rath.

– Czemu wylądowaliśmy tutaj? – spytała Roisin i rozejrzała się, marszcząc brwi.

Porzuciła aksamitne suknie na rzecz ciemnych spodni, lnianej tuniki i skórzanej kamizeli, na którą zakładała ciemny płaszcz, ale Camlinowi zdawała się równie piękna jak wtedy, gdy nosiła jedwabie.

I równie niebezpieczna, dodał w myślach.

– Jesteśmy za blisko Dun Carreg – ciągnęła Roisin. – Widać nas z daleka. Trzeba było wylądować na bagnach, gdzie ludziom Rhin byłoby trudniej nas zauważyć i wytropić. To błąd.

Czy ona robi to celowo?, zastanawiał się Camlin. Chce podważyć decyzje Edany?

Młoda królowa zmierzyła Roisin ostrym spojrzeniem.

– Znaleźliśmy się tu nie bez przyczyny. Naszym celem jest Dun Crin, zrujnowana twierdza, która znajduje się gdzieś na tych bagnach. Nie znamy dokładnej jej lokalizacji. Może znajdować się dwadzieścia mil na południe lub jedną milę na wschód. Na szczęście jest wśród nas Camlin, znakomity zwiadowca, który na pewno ją znajdzie. Nie ma co do tego wątpliwości.

Naprawdę? Znajdę?, przemknęło mu przez myśl.

– To on zasugerował, byśmy rozpoczęli od jakiegoś wysokiego punktu orientacyjnego, bo przedzieranie się przez bagna zabierze sporo czasu. Lepiej będzie z początku wędrować po bardziej stabilnym terenie i wkroczyć na mokradła w miejscu, skąd najłatwiej będzie się do twierdzy dostać. – Edana urwała i przez moment wpatrywała się w towarzyszy. – To moja ojczyzna – zwróciła się do nich. – Ziemia, która została mi odebrana. Moi rodzice zostali zamordowani, a rodacy rozpędzeni. Ci, którzy zostali, cierpią niedolę. – Spojrzała każdemu ze zbrojnych w oczy. – Wszyscy jesteście dzielnymi, wiernymi mężczyznami i pragnę wam podziękować za wasze męstwo i wasz honor. Nie myślcie, że ja i Lorcan zostaliśmy pokonani. My dopiero zaczynamy walkę. Z waszą pomocą odzyskamy trony, na których zasiadali nasi ojcowie, a wojna o nie zaczyna się dziś, w tym właśnie miejscu. Tu i teraz.

Wojownicy kiwali głowami i głośnymi mruknięciami wyrażali swą aprobatę. Nawet Camlin czuł, że słowa Edany trafiły prosto do jego serca.

Królowa dorasta, pomyślał.

– Camlinie. – Edana zwróciła się do niego. – Zaprowadź nas do Dun Crin.

\* \* \*

Camlin przemknął przez wieś ze strzałą na cięciwie. Wykorzystywał każdą plamę cienia, by nie zostać wykrytym.

Wędrowali przez cały dzień w kierunku bagien, stopniowo opuszczając porośnięte wrzosem wzgórze, aż dotarli na niziny. Teren był tu wciąż na tyle suchy, by mogły wyrosnąć lasy i dało się poprowadzić drogi, ale okolice przecinały tysiące strumieni i rzeczulek. Camlin z daleka wypatrzył jakąś wioskę. Z początku miał zamiar obejść ją szerokim łukiem, ale coś przykuło jego uwagę.

Wieś wydawała się wymarła. Nie słyszał pokrzykiwań, nie było dymów z komina, bydło nie porykiwało, nie czekały psy. Nic. Instynkt nakazywał mu podejść bliżej i się rozejrzeć. Edana była tego samego zdania, gdy podzielił się z nią spostrzeżeniami.

Teraz zaczynał tego żałować.

Przypuszczalnie kolejny fatalny pomysł, który mogę umieścić na mojej liście fatalnych pomysłów, zganił się w myślach. Dlaczego nie mogę po prostu pilnować własnego interesu i wymijać łukiem wszystkiego, co zbędne?

Zerknął na przeciwną stronę ulicy, gdzie w tym samym tempie przekradał się Baird z dobytym mieczem. Wokół osady czekało pół tuzina innych wojowników, którym Camlin kazał siedzieć i czekać na niego bądź Bairda, chyba że usłyszeliby, że wpadli kłopoty. Wówczas mieli się zjawić najszybciej jak mogli. Reszta zbrojnych strzegła Edany i Roisin, które zatrzymały się ćwierć mili stąd. Lorcan zaproponował, że będzie towarzyszył Camlinowi, ale ten nie chciał nawet o tym słyszeć. Nakazał chłopakowi, by nie ruszał się z miejsca, na co ten nagroził go nadąsanym spojrzeniem.

Osada była niewielka, a wzniesiono ją na brzegach rzeki. Camlin zauważył czubki wierzbowych witek w rzece i lekkie zmiany w nurcie, które zdradzały obecność zanurzonych pułapek na łososie, oraz rozwieszane na brzegu, schnące sieci. Nieco dalej stało kilkanaście rzecznych łodzi oraz kilka innych, płaskodennych, stosowanych na mokradłach. Wieś składała się z kilkudziesięciu zabudowań, ale jak dotąd Camlin nie widział ani jednej osoby i nie słyszał ani jednego głosu.

Oderwał się od chaty, przypadł do drugiej, rozejrzał się i dojrzał wronę, która skubała zwłoki psa. Wyprostował się i przebiegł obok nich, niemalże pewien tego, co ujrzy za moment.

Najpierw jednakże poczuł zapach.

Tak pachnie śmierć, pomyślał.

W powietrzu unosiła się metaliczna woń krwi, zmieszana ze smrodem zgnilizny i ekskrementów. Camlin zwiesił głowę i przygotował się na najgorsze, po czym ruszył przed siebie.

Ulica wychodziła na otwarty teren, który zapewne pełnił funkcję miejscowego targowiska. Po przeciwnej stronie wznosił się okrągły dom, a w połowie drogi między nim a Camlinem sterczała szubienica. Zwisało z niej kilkanaście drobnych postaci nieruchomych w bezwietrznej aurze. W sercu byłego banity wezbrała furia.

Dzieci!

Zrobił krok ku nim, ale zatrzymał się gwałtownie. Teren między nim a szubienicą, czarny i nierówny, zdawał się drzeć i falować.

Wrony! Setki wron i jeszcze więcej much!

Camlin i Baird spojrzeli po sobie i obaj wkroczyli na plac. Ptaki zrywały się falami do lotu, kracząc z oburzeniem.

Wszędzie zalegały częściowo nadjedzone ciała, a w powietrzu unosił się przytłaczający smród. Patrzyli na ciała dzieci, kobiet, mężczyzn, ledwie widoczne spod much i larw. Zabitych była bez wątpienia ponad setka.

Czyżby cała wieś?

Camlin wypatrzył błysk żelaza i podszedł do ciała wojownika w kolczudze. Jego płaszcz był podarty na strzępy i brudny od krwi, ale zwiadowca dopatrzył się czerni i złota Cambrenu.

A więc Rhin, pomyślał.

Nagle poczuł się bezbronny i wystawiony na atak. Obrócił się powoli, przyglądając się okolicznym budynkom oraz cieniom, rzucanym przez okrągły dom. Na progu jednego z budynków pojawił się Baird, który pokręcił głową.

Nikogo już nie ma, pomyślał Camlin. A więc albo zginęli, albo umknęli na bagna.

Nadal przyglądał się zwłokom, zapuszczając się coraz dalej na plac. Wykrył jeszcze trupy trzech wojowników w barwach Rhin, aż pochylił się nad jednym z nich. Odpiął płaszcz, na co w powietrze wzbiły się roje much.

Wtedy usłyszał odgłos dobiegający z budynku z szerokimi, otwartymi drzwiami. Odgłos się powtórzył. Camlin nie miał wątpliwości, że pochodził ze środka. Było to rzenie koni.

Stajnie?, pomyślał. Dlaczego konie nadal żyją, skoro wszyscy inni, zarówno ludzie, jak i zwierzęta, zostali wyrżnięci?

Przy okrągłym domu po drugiej stronie placu pojawiły się jakieś postaci.

Naliczył pięciu wojowników w czarno-złoty płaszczach, którzy szli ku nim z mieczami w dłoniach. Nie było wątpliwości, że ich zauważyli.

Camlin upuścił płaszcz. Napiął łuk i błyskawicznie posłał strzałę w najbliższego z nadchodzących. Grot wbił mu się w oczodół i mężczyzna osunął się na ziemię niczym zrąbane drzewo, na co pozostali rzucili się do biegu.

Nie na ten efekt liczyłem, przemknęło Camlinowi przez myśl.

Posłał kolejną strzałę, ale ta przeleciała z sykiem między odskakującymi wojownikami. Camlin zaklął i wypuścił następną, tym razem niżej. Wbiła się w brzuch jednego z napastników, który padł na kolana.

Wtedy na pozostałych trzech wypadł Baird z wzniesionym mieczem. Jeden z przeciwników wrzasnął, gdy z rozciętego brzucha wypadły mu wnętrzności. Inny zdołał pochwycić zabójcę olbrzymów, ale ten rąbnął go czołem w nos i jednocześnie wbił mu miecz w bok. Camlin zamarł na moment, oszołomiony furią swego towarzysza, kiedy nagle jego uwagę przyciągnął ruch przy okrągłej budowli. Ze środka wypadło trzech ludzi, z których dwóch popędziło na Bairda, a trzeci ku stajni.

Nim Camlin uświadomił sobie, co robi, celował już w jednego z mężczyzn szarżujących na Domhainczyka. Trafił go w ramię, na co ten zawirował i padł. Drugi był zbyt blisko Bairda, by Camlin mógł sięgnąć po kolejną strzałę. Chwycił więc za miecz i skoczył towarzyszowi na pomoc.

Właściwie nie musiał tego robić. Nim dogonił Bairda, ten zdołał ściąć jednego z przeciwników i wymieniał ciosy z drugim, spychając go bez litości. Wojownik zerknął w panice na nadbiegającego Camlina. Baird tylko na to czekał i błyskawicznym ciosem rozpruł mu gardło.

Zadudniły kopyta i ostatni Cambreńczyk wystrzelił ze stajni, popędzając wierzchowca. Camlin upuścił miecz, złapał za łuk i wycelował w jeźdźca, który pochylał się nisko nad końską grzywą. Trafił go prosto w gardło. Uciekinier zsunął się z siodła, a rozpedzony do galopu koń powlókł go za sobą.

Camlin i Baird spojrzeli po sobie. Obaj byli zdyszani i oddychali ciężko.

Odwrócili się jednocześnie, gdy za ich plecami rozległ się tętent kopyt. Zbliżała się Edana w asyście tuzina innych, w tym Roisin i Lorcana. Camlin skoczył prędko, by zastąpić im drogę.

Nie musi na to patrzeć, pomyślał.

– Mieliście czekać na mój sygnał! – zawołał w biegu, za wszelką cenę chcąc powstrzymać Edaną przed wjazdem na rynek.

Są prawdy, które nie powinny wychodzić na jaw.

– Usłyszeliśmy wrzaski i szcęk oręża. Bałam się o ciebie! – odparła Edana i przepchnęła się obok Camlina na plac.

Naraz zeszywniała i ściągnęła wodze. Tkwiła przez moment w miejscu i rozglądała się dookoła, aż popędziła konia i podjechała do szubienicy. Zawahała się, patrząc na rozdęte ciała dzieci, kołyszące się na lekkim wietrze. Liny skrzypiały cicho.

Dostrzegła również złoto-czarne płaszcze zabitych wojowników.

– A więc Rhin dotarła nawet tu.

Camlin podszedł do niej i dostrzegł łzy spływające po jej policzkach.

Lorcan przepchnął się bliżej i wziął ją za rękę.

– Chodźmy już – powiedział.

– To moi poddani! – warknęła i wyrwała dłoń. – A ja nie jestem niewinnym dziewczęciem... – Urwała. – Już nie jestem.

– Ale po co się w to wpatrujesz, co? Nie musisz przecież się na to gapić. Wszyscy widzieliśmy tę masakrę, a więc pora ruszać!

– Patrzą, by nie zapomnieć. To moje ziemie, a to mój lud. Rhin i jej zbiry zadali tym ludziom śmierć! Pomordowali dzieci! Nie zapomnę tego! Nadejdzie czas zapłaty!

Lorcan spojrział Edanie w oczy i pokiwał głową.

– Co tu się wydarzyło, Camlinie?

Dobre pytanie, pomyślał. I co robili tutaj ci wojownicy?

Spojrzał na okrągłą budowlę, z której wybiegli wrogowie.

Coś jest nie tak. Trzeba się stąd wynosić, przemknęło mu przez myśl.

– Co tu się wydarzyło, Camlinie? – powtórzyła Edana.

– Ciężko stwierdzić. Rhin z jakiegoś powodu przysłała tu swych ludzi. Może plotki o ruchu oporu, gromadzącym się na bagnach, są prawdziwe? Mam wrażenie, że chcieli ukarać zwolenników buntu i zarazem dać przykład innym. – Ruchem głowy wskazał szubienice. – Coś jednak poszło nie tak. Sytuacja wyrwała się spod kontroli i...

– Tam! – zawołała Edana, wskazując coś za plecami Camlina. – Coś się poruszyło! Tam, przy stajniach!

Ależ ze mnie idiota!, pomyślał Camlin, Przecież trzeba sprawdzić te budynki!

– Uciekaj stąd! – szepnął do Edany. Odłożył łuk i dobył miecza, po czym wraz z Bairdem ruszył w stronę stajni. Ostrożnie wszedł do środka. Odczekał,

aż wzrok przyzwyczai mu się do ciemności, a potem zaczął nakłuwać stosy siana. Dotarł do ostatniego boksu, gdzie ujrzał od razu jakąś sylwetkę próbującą się ukryć wśród siana.

– Wyłaź, chyba że ci się marzy jeszcze jedna dziura w ciele!

Odczekał chwilę, ale nie było reakcji.

– W porządku. Ostrzegałem! – rzekł, wchodząc do środka.

Wtedy siano eksplodowało, rozsypane gwałtownym ruchem. Na pół oślepiiony Camlin ujrzał gęstwinę rudych włosów. Ktoś śmignął obok niego.

– Mam go! – huknął Baird i podniósł małą postać w górę. – A właściwie to ją!

Wrzasnął gwałtownie, gdy wijące się wściekle dziecko ugryzło go w rękę.

– Dość już, dziewczę! – odezwał się Camlin i na oczach dziecka powoli schował miecz.

Trzymana przez Bairda mała przestała się szarpać.

– Nie skrzywdzimy cię! Jak masz na imię? – pytał Camlin.

Brudna na buzi dziewczynka wpatrywała się w niego wielkimi, ciemnymi, wystraszonymi oczami.

Ma góra osiem, dziesięć lat, pomyślał Camlin. Czego to biedaczysko było świadkiem? Co napędziło jej takiego stracha?

Edana, widząc dziecko, wyciągnęła ramiona, ale dziewczynka wpatrywała się w nią z lękiem i podejrzliwością. Baird postawił ją na ziemi.

– Nie zrobimy ci krzywdy. – Edana ukucnęła, by spojrzeć dziewczynce w oczy. – Jesteśmy przyjaciółmi, a nie wrogami. Jak masz na imię?

Odpowiedziała jej cisza.

– Gdybyśmy chcieli cię zabić, już dawno byśmy to zrobili – powiedział Camlin.

Dziewczynka spojrzała na niego.

– Meg – szepnęła.

– Ile masz lat, Meg? – spytała Edana z uśmiechem, chcąc dodać dziecku odwagi.

Mała wpatrywała się w nią w zaciętym milczeniu.

Camlin lustrował wzrokiem budynki wokół rynku, czując mrowienie na skórze. Chciał zajrzeć do okrągłego domu, ale wiedział, że w pierwszej kolejności musi zabrać stąd Edanę.

– Wynoście się stąd – mruknął.

– Zaraz. – Młoda królowa zmarszczyła brwi i pochyliła się nad

dziewczynką. – Wszystko w porządku. Już nic ci nie grozi – powiedziała. – Nie zrobimy ci nic złego.

Meg wpatrywała się w nią bez słowa.

Muszę to jakoś przyspieszyć, pomyślał Camlin, a głośno zapytał:

– Ile masz lat, Meg?

– Osiem.

– Kiedy do tego doszło? – Wskazał plac.

Dziewczynka zmarszczyła brwi, jakby nie miała pewności.

– Dwa dni temu? – bąknęła niepewnie, po czym jej dolna warga zadrżała i mała wybuchnęła szlochem.

– Wiem, że stoją za tym ludzie Rhin – powiedział Camlin, współczując dziewczynce z całego serca. Żadne dziecko nie powinno przechodzić przez takie koszmary. – Noszą czarno-złote płaszcze. Nie wiemy tylko, dlaczego to zrobili. I bardzo nam pomożesz, jeśli przypomnisz sobie, ilu ich było.

– Daj już spokój – rzekła do niego Edana.

Meg dalej płakała, najwidoczniej nie panując już dłużej nad gromadzonym od wielu godzin strachem.

– Było ich wielu! – Nagle wyrzuciła z siebie. – A ich przywódca nazywał się Morcant.

Niemalże wypluła jego imię.

– Morcant – szepnęła Edana, a Camlin wciągnął głęboko powietrze. Spojrzeli po sobie.

Dawno temu, gdy Camlin należał do bandy Braitha działającej w Ciemnym Borze, Morcant poprowadził ich do ataku, w którym zginęła matka Edany, Alona, królowa Ardanu, a sama Edana została porwana. Niedługo później Camlin zwarł ostrze z Morcantem i przeszedł na drugą stronę. Nienawidził tego wojownika z całego serca.

Spojrzał na rynek i ciała zwisające z szubienicy.

Jakoś się nie dziwię, że to on za tym stoi, pomyślał. Ale czego szuka tak daleko na zachodzie? Poluje na buntowników?

Wtedy targnęło nim dziwne przecucie. Rozejrzał się, niespodziewanie znów czując się bezbronny i wystawiony na cios.

Raptem ujrzał Vonna i pozostałych, którzy wpadli na plac z przeciwnej strony. Syn Evnisa machał rozpaczliwie. Camlin ukucnął i przyłożył dłoń do ziemi. Poczul lekką wibrację, ale równą, rytmiczną.

Konie.



## Rozdział czternasty

# VERADIS

Veradis maszerował przed siebie w szeregu kilkunastu wojowników, za sobą mając cztery podobne szeregi. Zbliżali się do przysadzistej kamiennej wieży otoczonej przez kryte strzechą drewniane chaty. Słońce wisiało nisko na błękitnym niebie, a powietrze było czyste i rześkie. Ich droga wypadła przez zielone łąki, upstrzone dzikim kwieciem.

Piękny dzień, pomyślał Veradis.

Znad leżącego na zachodzie niskiego wzgórza unosiła się chmara pyłu spod kopyt konnicy Gerainta, okrążającej wieś.

Miejmy nadzieję, że buntownicy ich nie dostrzegą, przemknęło Veradisowi przez myśl.

Wedle planu mieli się przycziąć i zaczekać, aż buntownicy dostrzegą mur tarcz Veradisa i wychyną ze wsi, by rzucić napastnikom wyzwanie. Konnica Gerainta miała wówczas natrzeć na nich od tyłu.

Przez ostatni księżyc Veradis oraz jego wojownice dławili opór ludzi wiernych królowi Eremonowi. W królestwie nadal panował niepokój, który miał trwać, dopóki świeżo mianowany król wasal uganiał się za Edaną. Domhain został podbity, a ludność Dun Taras otworzyła bramy przed Conallem, uznając go za godnego następcę Eremona – nawet jeśli pochodził z nieprawego łoża – ale póki co pod jego nieobecność na tronie zasiadała Rhin, co nie wychodziło krainie na dobre. Niepokoje przybierały na sile i wnet tu i ówdzie przerodziły się w agresję. Ulice Dun Taras spływały krwią. Buntownicy zaliczyli kilka pomniejszych zwycięstw i trudno było się z nimi uporać, nawet gdy do walk dołączył Veradis na czele muru tarcz. Mieli za sobą kilka zacieklej, krwawych starć, gdyż mur tarcz nie nadawał się do walk w wąskich uliczkach i ograniczonej przestrzeni, ale krok po kroku buntownicy zostali odparci. Rhin wydała wówczas rozkaz swemu wojewodzie,

by podjął za nimi pościg, a potem poprosiła Veradisa, by go wspomógł.

„Lepiej zmiażdżyć ich teraz i odebrać życie ich przywódcom, niż pozwolić im rozsiewać swój jad, który będzie się jątrzył, aż znów wzbierze” – rzekła mu.

Veradis wiedział, że królowa ma rację. Stabilność królestwa oznaczała pokój i mniejszy rozlew krwi.

Dotarli do pola jęczmienia i szli przed siebie, tratując zielone, niedojrzałe pędy, aż dotarli do szerokiej, niebrukowanej ulicy. Z oddali dobiegało muczenie wołów. Veradis wydał rozkaz, a jego wojownicy z trzaskiem zwarli tarcze. Nadal maszerowali w równym rytmie, ani na moment nie myląc kroku.

Veradis wyjrzał spoza swej tarczy. Był to nowy model, owalny, który w przeciwieństwie do okrągłych lepiej chronił głowę i kostki, a do tego ułatwiał pchnięcia krótkim mieczem zza krawędzi. Przez większość zimy Veradis zastanawiał się nad strategią walki w murze tarcz. Rozwahał zarówno jego słabe, jak i mocne strony, porównywał też ilość obrażeń, a nowe tarcze były jedną z wielu poczynionych innowacji.

Wkroczyli do wsi. Ich podkute żelazem buty łomotały w równym rytmie niczym ogromny bęben. Veradis dostrzegł wąską uliczkę, odchodzącą od głównej, i wydał kolejny rozkaz. Tylny szereg, liczący dwunastu ludzi, wyłamał się z formacji i utworzył nowy, zwarty mur składający się z czterech szeregów po trzech ludzi, który zajął nową uliczkę. Veradis doszedł do wniosku, że nie ma innego sposobu walki na wąskich ulicach miasta jak tylko za pomocą niewielkich, zwartych oddziałów.

Wieża górowała nad dachami domów, a pozbawione okiennic okna wydawały się ciemnymi oczodołami na granitowej fasadzie.

Gdzieś tam się przyczaili, pomyślał Veradis. Nie mogli przecież umknąć pod osłoną ciemności.

W jednym z okien dostrzegł ruch.

A więc jednak schowali się w wieży.

Niespodziewanie wychwycił nowe doznanie, z początku zaledwie wibrację, która wniknęła w jego buty i popęzła w górę, a następnie przeobraziła się w dźwięk. Z sekundy na sekundę dźwięk ten stawał się coraz głośniejszy, a potem Veradis ujrzał gnającą ku nim chmurę pyłu. Stał przez moment oszołomiony, wpatrując się w niecodzienne zjawisko, aż uświadomił sobie, na co właściwie patrzy.

– To woły! – ryknął i uskoczył w bok, pociągając za sobą ludzi.

Ogromne zwierzęta pędziły ulicą prosto na nich, potrząsając kudłatymi łbami o długich rogach. Wysokie jak olbrzymy woły domhaińskie wydawały się górami złożonymi z mięśni i futra. Grunt drżał pod ich kopytami.

Veradis przyskoczył do ściany budynku, a inni ludzie ruszyli w ślad za nim, niektórzy wpadali do środka przez drzwi i okiennice. Jeden z nich potknął się na drodze. Veradis wyciągnął ku niemu rękę, ale wtedy na nieszczęśnika wpadł pierwszy, rozjuszony wół. Wojownik znikł w okamgnieniu, a twarz Veradisa zbryzgała krew. Rozhukane, cuchnące stado przemknęło ulicą, ogłuszając go łoskotem kopyt, i wpadło na pole jęczmienia. Veradis odepchnął się od ściany i zaczął wykrzykiwać rozkazy ochrypłym od kurzu głosem, ale w tej samej chwili ujrzał ciemne kształty na ziemi. Wiedział, że byli to jego towarzysze broni, spośród których wielu miało już nigdy nie powstać.

Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów poczuł, jak przepełnia go paraliżujący, odbierający rozum lęk. Walczył w murze tarcz od chwili, gdy formacja została stworzona, i przyzwyczał się do miażdżenia oporu każdego przeciwnika z oszałamiającą regularnością. Działo się to od tak dawna, że widok porażki odebrał mu zdrowy rozsądek. Nie mógł uwierzyć w to, że zostali rozbici z taką łatwością. Nie miało to miejsca od czasu ich pierwszej bitwy, kiedy rozbiła ich szarża olbrzymów na draigach.

Niespodziewanie rozległy się okrzyki bojowe, a z tumanów pyłu wyłoniły się niewyraźne postacie.

To buntownicy!, przemknęło Veradisowi przez myśl. Zaatakują, nim zdołamy się przegrupować!

Jakimś cudem ocalił swą tarczę. Sięgnął po krótki miecz. Zamiast okrzyku bojowego z jego ust wydobył się jedynie ochryply skrzek, ale odkaslnął i spróbował ponownie.

– Do mnie! – wykrzyknął tym razem głośniejszym głosem, a wtedy krępujący go strach zaczął przeobrażać się w gniew. Jego orla gwardia nie podda się tak łatwo! Kątem oka dostrzegł biegnących ku niemu podkomendnych, lecz wtedy wpadli na nich wrzeszczący buntownicy.

Veradis przyjął wrogi cios na tarczę. Impet uderzenia przeszył jego ramię, ale zdołał odrzucić wrogą broń na bok i stworzyć przestrzeń do morderczego pchnięcia. Wbił miecz w brzuch wroga i wyszarpnął go wraz ze strugą krwi. Warknął i odkopnął osuwające się ciało, po czym, przepełniony wściekłą furją, runął do bitwy.

W pyłe ulicy zalegały zmasakrowane trupy. Ich przeciwnikami byli

zaprawieni w bojach mężowie, drużynnicy Eremona i Ratha, a nie wieśniacy, którzy nigdy nie trzymali broni w ręku. Nacierali z kontrolowaną furją, wiedząc, że to ich ostatnia, a przy tym jedyna okazja na pokonanie niezwycięzonego sojusznika Rhin. Veradis rozejrzał się dookoła ze wzburzeniem, szukając wzrokiem jakichkolwiek prób odbudowania muru tarcz, ale jego ludzie zostali rozproszeni. Bitwa rozbiła się na dziesiątki drobnych starć.

– Co ma być, to będzie! – warknął.

Zaraz się przekonają, że stać nas na więcej niż tylko mur tarcz!, dodał w myślach.

Zablokował wyprowadzony od góry cios, który właśnie miał pozbawić głowy jego padającego towarzysza, zawirował i jednym cięciem rozpruł napastnikowi gardło. Pochylił się, szarpnięciem postawił podkomendnego na nogi i skoczył dalej. Uderzył tarczą w bok innego przeciwnika, pchnął mocno mieczem i poczuł, jak jego czubek przebija się przez kolczugę i sunie po żebrach. Domhainczyk wrzasnął, odskoczył i natychmiast został ścięty przez orlego gwardzistę. Któryś z napastników pchnął w Veradisa włócznią. Młodzieniec zasłonił się tarczą, ale wrogie ostrze przebiło się przez warstwy wolej skóry i bukowego drewna, by wyłonić się tuż nad jego nadgarstkiem. Wówczas odrzucił tarczę, wyrywając włócznię z rąk przeciwnika, i rozrąbał mu czaszkę. Następnie przerzucił krótki miecz do lewej ręki, a prawą pochwycił długi.

Gdzieś z lewej strony ktoś zadał w róg, dwa razy: raz krótko i raz długo. Veradis uśmiechnął się mściwie, gdyż był to jeden z ich sygnałów, zwołujący do przegrupowania. Orli gwardziści, którzy opuścili formację przed szarżą wołów, wyłonili się z bocznej uliczki. Ich zwarte tarcze tworzyły nieprzenikniony mur. Veradis zaczął przebijać się ku nim.

Inni poszli w jego ślady. Dołączali do kolegów i łączyli z nimi tarcze i gdy Veradis dotarł na miejsce, oddział składał się już z czterech szeregów po sześciu ludzi. Opór natychmiast zaczął słabnąć.

Wrzawę bitewną przeniknęły wówczas inne odgłosy – łomot kopyt i ryk rogów, potężniejący z każdą chwilą.

To Geraint i jego drużyna! Zapewne nas usłyszeli, dzięki Elyonowi!

Veradis dostrzegł Gerainta, który gnał na czarnym rumaku na czele swych jeźdźców. Nadział jakiegoś buntownika na włócznię, puścił ją, złapał miecz i zaczął kosić wrogów jak żyto. Kilka uderzeń serca później buntownicy poszli

w rozsypkę i rozpierzchli się we wszystkich kierunkach.

Nikt nie jest w stanie długo wytrzymać, mając przed sobą mur tarcz, a za sobą kawalerię, pomyślał Veradis. Stał i ciężko dyszał, trzymając dwa zakrwawione miecze.

– Miło cię ujrzeć – rzekł do Gerainta, który zatrzymał konia przed nim. Wojewoda Rhin pochylił się i obaj wojownicy uścisnęli sobie nadgarstki. – Coś mi mówi, że właśnie ocaliłeś mi życie.

– To dobrze. – Geraint się uśmiechnął. – Czas był najwyższy, by spłacić dług!

\* \* \*

Dun Taras wyłoniło się zza wzgórz, między którymi wiła się droga. Ciemne mury fortecy wydawały się plamą złowieszczonego cienia rozlanego wśród pól. Veradis jechał obok Gerainta, a ich wojownicy, rozciągnięci w długą kolumnę, podążali za nimi. W samym środku oddziału znaleźli się pochwyceni buntownicy, idący ze spuszczoneymi głowami i związanymi rękami. Było ich trzydziestu i zmierzali do Dun Taras, by wysłuchać wyroku Rhin.

Który raczej nie okaże się łaskawy, jeśli brać pod uwagę jej nastrój w chwili, gdy opuszczałem Dun Taras, pomyślał Veradis.

Geraint był w znakomitym humorze. Śmiał się i żartował, zmierzając ku fortecy, ale Veradisa wciąż dręczyły ponure myśli. Nie mógł przeboleć śmierci swoich ludzi.

Trzydziestu ośmiu zabitych. I po co?, rozmyślał. Czy taka śmierć przyniesie komukolwiek zaszczyt? Zadeptały ich przerośnięte krowy. Straciłem więcej ludzi niż podczas bitwy na Przełęczy Domhaińskiej, gdzie mieliśmy przeciwko sobie dziesięcioletni hufiec!

Spojrzał na sakiewkę, którą przytroczył do paska. Upchnął w niej kły draigów, które zebrał od tuzina poległych.

Od ludzi, którzy walczyli u mego boku od samego początku, którzy stawiali dzielnie przeciwko olbrzymom i draigom z Tarbeshu, którzy przyczynili się do pierwszego zwycięstwa Nathaira. Nazywaliśmy się Kłami Nathaira. Wszystko to moja wina. Nie powinienem wkraczać do wsi bez przygotowania. Trzeba było wysłać zwiadowców. Stałem się nadmiernie pewny siebie! Arogancja doprowadziła do tego, iż uznałem mych ludzi oraz mur tarcz za niepokonanych! I tak oto doczekałem się dowodu, że jest zupełnie inaczej.

Rhin czekała na nich w komnatach ongiś należących do Eremona. Veradis dobrze sobie to pomieszczenie zapamiętał, gdyż to właśnie tam walczył ze starym wojewodą Rathem i jego przybocznymi. Tam też zginął jego przyjaciel Bos. Nie spoglądał na kamienne płyty podłogowe, na które osunął się Bos. Starannie je wyszorowano, ale jeśli ktoś wiedział, gdzie patrzeć, nadal mógł dostrzec obrys ciała.

Krwi nigdy się nie zmyje do końca, pomyślał Veradis.

– Cóż, Geraint, twój uśmiech mówi mi, że problemy z buntownikami zostały wreszcie rozwiązane – powiedziała chłodno Rhin. Jej srebrzyste włosy były zaplecione w warkocz przetkany złotą nicią, który spływał z jej ramienia, a bladość skóry królowej podkreślało futro z soboli.

– Och, tak, królowo! – odparł Geraint. – Powstanie upadło! Nikt nie uciekł. Padło kilka setek buntowników, a trzydziestu jeńców czeka na wymierzenie sprawiedliwości.

Słyszając jego słowa, Rhin uniosła brew.

– Już się cieszę – powiedziała. – Siadajcie! Pora na świętowanie!

Któryś ze służących wręczył Veradisowi puchar, a ten z radością przekonał się, że napełniono go winem, a nie jakże popularnym w tych stronach miodem czy piwem.

– Za silnych mężów, którzy zawsze robią to, o co ich proszę! – oznajmiła Rhin i uniosła puchar, chichocząc.

Veradis nie miał pewności, czy chce spełnić ten toast, ale wino pachniało wspaniale, a on miał wciąż zaschnięte gardło po długiej jeździe. Gdy odstawili puchary, Rhin, przenikliwa jak zwykle, zaczęła wypytywać o przebieg walk. Interesowała ją zarówno taktyka, jak i straty po obu stronach. Chciała wiedzieć, czy konflikt został rozstrzygnięty raz na zawsze, ilu spośród wrogów zdołało uciec i czy zabito wszystkich przywódców. Przeszywała Veradisa wzrokiem, gdy ten opowiedział o szarzy wołów.

– Zawsze bądź gotów na wszystko – rzekła, gdy skończył. – Zawsze przewiduj. Wojnę wygrywa ten, kto jest sprytniejszy. Siła, odwaga, szkolenie... Tak, to wszystko ma znaczenie, ale bitwę wygrywa się dzięki sprytowi. Twój mur tarcz oddał nam ogromne usługi, ale naszym wrogiem nie są bezmózgie zwierzęta. To wojownicy, którzy analizują i wyciągają wnioski. Zawsze trzeba być o krok przed wrogiem. W przeciwnym razie grozi ci

stagnacja, a w efekcie przechytrzenie.

– Tak, moja pani – rzekł Veradis.

Tego to już się zdążyłem nauczyć, pomyślał.

– A jak przedstawia się sytuacja tutaj, pani? – spytał.

Królowa westchnęła ze znużeniem i potarła skronie.

– Życie upływa mi na organizowaniu, administrowaniu i godzeniu drobnych utarczek, Veradisie. Ależ to nudne. Osiągnęłam pozycję, w której dowodzę czterema królestwami – całym zachodem! – i zaczyna mnie to nużyć. Wciąż mam mnóstwo to zrobienia, ale utknęłam w Domhainie, gdyż muszę czekać na powrót Conalla. – Uśmiechnęła się krzywo. – Wygląda na to, że wolę podbijać, niż rządzić! – dodała i zmieniła nieco pozycję. – A do tego muszę siedzieć na niezwykle niewygodnym krześle. Nic dziwnego, że Eremon się zabił.

– Myślałem, że został zamordowany, moja pani.

– Tak, ale zatrzymajmy ten fakt dla siebie. Samobójstwo jest dla nas o wiele wygodniejszym rozwiązaniem, bo trudniej będzie uczynić z niego męczennika. Odebrał sobie życie, proszę. Co za tchórz. Nie starczyło mu odwagi, by przede mną stanąć.

Mrugnęła do swego rozmówcy.

Ja też nie chciałbym mieć w tobie wroga, pomyślał Veradis.

– Jakie będą teraz twe rozkazy, pani? – zapytał. – Wszak bunt został zdławiony.

Nie chcę tu spędzić ani jednego miesiąca dłużej, przemknęło mu przez myśl. Wojna Bogów toczy się w najlepsze, a ja bawię się w zaprowadzanie pokoju gdzieś na końcu świata.

– Masz ochotę wracać do siebie, co? – spytała Rhin.

Czy ona czyta mi w myślach?, zastanawiał się Veradis.

– Tak. – Skinął głową.

– Czuję to samo. – Rhin wzruszyła ramionami. – Po powrocie Conalla mam zamiar natychmiast opuścić Domhain. Nie przestaję myśleć o Nathairze.

– Ja również, moja pani.

– Jakże by inaczej. Istnieje jeszcze kilka spraw, którymi muszę się zająć. Wysłałam oddział na północ, w ślad za tym całym Corbanem i jego towarzyszami... Wiesz, tymi, z którymi miałam problemy w Dun Vaner. – Skrzywiła się. – Jak dotąd nie mam żadnych wieści i staję się niecierpliwa. Ruszę więc na północ. Chciałabym, byś pojechał wraz ze mną. Być może uda

nam się doprowadzić do spotkania z twoim królem.

– Byłoby świetnie – rzekł Veradis. – A skąd wiesz, dokąd udał się chłopak, pani?

– Sam mi powiedział – padła odpowiedź. – Przybył do Dun Vaner w poszukiwaniu swej siostry, a ta towarzyszyła Nathairowi. Pojechała wraz z nim do Murias. Ciągłe zapominam, jak miała na imię.

– Cywen – podpowiedział Veradis. Twarz dziewczyny natychmiast stanęła mu przed oczami.

– Tak, Cywen. Jej brata najwyraźniej cechuje wielka lojalność w stosunku do swej rodziny. Niemądry chłopak. Moim zdaniem to dość przeceniana cecha osobowości. Od wielu lat robię wszystko, by wytępić moich krewnych, a nie ich ratować.

– Czyli posłałaś za nimi drużynę? – spytał Veradis. – Jestem zaskoczony, że zostali ci jeszcze zbrojni, moja pani. Przecież musisz kontrolować cztery kraje naraz!

– Przygotowywałam się do tych dni od wielu lat, Veradisie, ale mimo to muszę przyznać, że masz trochę racji. Moje siły są mocno rozciągnięte. Musiałam wysłać ludzi, którzy stacjonowali w Narvonie. Powinni już być na granicy z Benothem.

Na korytarzu rozległy się ciężkie kroki. Do środka zajrzał strażnik.

– Lord Conall powrócił, moja pani.

– Doskonale – odparła Rhin. – Gdzie jest?

– Jego drużyna wjeżdża właśnie przez bramy, moja pani.

– Chodźmy zatem. – Królowa podniosła się. – Pora, bym rozprostowała te stare kości.

\* \* \*

Wkrótce ich oczom ukazał się dziedziniec przed zamkiem królewskim, na którym drużyna licząca ponad sześćdziesięciu zbrojnych zsiadała z koni. Ich przygarbione sylwetki i przygaszone spojrzenia od razu zdradziły Veradisowi, że Conall i jego ludzie nie zdołali złapać Edany i Lorcana, prawowitego następcy Eremona. Żaden z nich nawet nie spojrzał na królową. Wśród zeskakujących na ziemię jeźdźców Veradis dostrzegł też Rafe'a, jasnowłosego Ardańczyka, wokół którego krążyły dwa ogary. Jeden z nich podskoczył i obwąchał sakiewkę u pasa młodego łowczego, a ten pogodnie wytargał go za



uszy i podszedł do innego konia. Pomógł zsiąść z siodła jeźdźcowi o poszarzałej twarzy. Mężczyzna wydawał się bardzo osłabiony, wręcz na skraju przytomności. Jego szyję i ramię owinięto szerokim bandażem, na którym widniały plamki krwi.

– Braith?! – krzyknęła Rhin, schodząc po szerokich, kamiennych schodach. Podeszła do łowczego i czule pogładziła go po twarzy, na moment całkowicie zapominając o tym, że na dziedzińcu kręci się mnóstwo innych ludzi. – Do uzdrowiciela z nim! – warknęła na Rafe’a. – Zajrzę do niego najszybciej jak się da! – zawołała przez ramię.

Wtedy wyrósł przed nią Conall. Na twarzy wojownika zastygły duma i zaciętość.

– Uciekli – oznajmił.

– Tego zdążyłam się już domyślić. – Rhin skrzywiła się. – O tym, jak do tego doszło, pogadamy na osobności. Mam nadzieję, że będziesz mógł się szerzej wypowiedzieć w temacie tego, gdzie należy ich teraz szukać.

– Mam więźnia, który może nam pomóc! – Conall odsunął się i przyciągnął do siebie człowieka, który niezwykle przypominał go z wyglądu. Był starszy i zdecydowanie brakowało mu entuzjazmu oraz gniewu, które zdawały się toczyć bezustanny bój na obliczu Conalla, ale bez wątpienia łączyło ich pokrewieństwo. Spoglądał na Rhin poważnymi, szarymi oczyma. – To Halion, mój brat i pierwszy miecz Edany.

– Ach. – Rhin uśmiechnęła się złośliwie. – Czyli twoja przejażdżka przez pół Domhainu nie poszła całkiem na marne.

Przez moment stała i wpatrywała się w wojownika, który odwzajemnił jej spojrzenie.

– Nasienie Eremona. – Zaśmiała się. – Ależ wy wszyscy jesteście dumni!

Potem odwróciła się i ruszyła po schodach do zamku.

– Chodźże! – warknęła. – I weź go ze sobą. Zobaczymy, ile uda nam się ugrać.

\* \* \*

Veradis oparł się o kamienną kolumnę i przyglądał się Rhin, która mieszała w kociołku zawieszonym nad ogniem. Halion siedział na krześle. Oba nadgarstki przywiązano mu mocno do podłokietników, a skórzany pas mocował go do oparcia. Nie mógł nawet drgnąć.

– Moglibyśmy spróbować tradycyjnych metod przesłuchiwania – rzekła Rhin i odwiązała sakiewkę, z której wyciągnęła nieco suszonych liści. Pokruszyła je i wsypała do gotującej się wody. – Ale chcę od razu dotrzeć do celu. Przy staromodnych sposobach, jak na przykład chłóście, miazdzeniu palców u nóg, wypalaniu żelazem, odcinaniu genitaliów i tak dalej, zawsze jest tyle krwi i wrzasku. Poza tym zabierają sporo czasu. – Uśmiechnęła się ponuro. – A ja nie mam ani chwili do stracenia. Nie podoba mi się tu, a ponadto muszę wyruszyć w dalszą drogę, a więc chcę, byś mi wyznał wszystko, co wiesz. I to teraz.

Twarz Haliona przypominała nieprzeniknioną maskę.

Cieszę się, że nie jestem w jego sytuacji, pomyślał Veradis.

Nad kociołkiem unosiły się już kłęby gorzkiej pary.

– Na waszym miejscu cofnęłabym się nieco. – Rhin ostrzegła Conalla i Veradisa. – Chyba że chcecie mi wyznać swe największe sekrety.

Obaj mężczyźni zrobili krok w tył.

– Teraz, Halionie, nabierz głęboko tchu – powiedziała królowa. Uniosła kociołek tak, by zawisł nad kolanami uwięzionego mężczyzny. Ten wstrzymywał oddech, ale opary wnet go otoczyły. Szarpnął wówczas, próbując się uwolnić, lecz dwóch wojowników stojących za nim trzymało go mocno. Halion, wygięty najbardziej jak mógł, zaczął potrząsać głową, szukając ucieczki przed oparami, ale w końcu nie miał już wyboru. Wciągnął powietrze raz, potem ponownie. Po chwili zaprzestał walki i opadł bez sił.

– Dobrze – mruknęła Rhin. – Jak masz na imię?

– Halion ben Eremon – odparł wojownik. W pierwszej chwili wydawał się zaskoczony własną reakcją, potem zobojętniał.

Rhin uśmiechnęła się.

– A kogo kochasz najbardziej na całych Ziemiach Wygnanych?

– Conalla ben Eremona, mego brata.

Conall cofnął się o krok, jakby został uderzony.

– A kto jest twoim panem?

– Nie mam pana – poprawił królową Halion. – Służę Edanie ap Brenin, królowej Ardanu.

Rhin skrzywiła się.

– Po co zadajesz mu te pytania? – warknął Conall. – Po co ci to?

– Ustalam, czy mówi prawdę i czy narkotyk zawładnął nim całkowicie – odparła Rhin i przeniosła spojrzenie na Haliona. – A gdzie teraz przebywa

Edana?

– Na morzu, jak sędę.

– A jakie ma plany?

– Chce dotrzeć do bojowników z ruchu oporu w Ardanie i odzyskać swą koronę.

– Ona nigdy do niej nie należała – mruknęła Rhin. Halion wpatrywał się w dal. – A gdzie się skupia ów ruch oporu? Dokąd zmierza Edana?

– Do Dun Crin, ruin twierdzy na bagnach w zachodnim Ardanie.

Rhin uśmiechnęła się z tryumfem. Wyciągnęła rękę i poklepała Haliona po policzku.

– Dziękuję. Bardzo mi pomogłeś.

## Rozdział piętnasty

# CORALEN

Coralen spojrzała na Crafa, który kołując, opadał w dół. Wstrzymała konia, by zaczekać na kruka, a jednocześnie odwróciła się w siodle, by spojrzeć na resztę ich oddziału, który wyłaniał się z lasów na zboczach gór. Z tej odległości jeźdźcy wydawali się drobni niczym mrówki.

– Wieś – zakrakał ptak, siadając na łęku siodła.

– Gdzie?

– Przed nami. Na drodze.

Jakie to typowe, pomyślała dziewczyna. Wiedziała, że prędzej czy później na pewno zetkną się z innymi ludźmi, ale miała nadzieję, że uda im się uniknąć wykrycia jeszcze przez jakiś czas. Przez dwie noce wędrowali w siodle przez góry i przekroczyli granicę Narvonu dopiero poprzedniego dnia.

Enkara oraz Burza zbliżyły się do niej. Nawet rozluźnione i spokojne, emanowały siłą i niebezpieczną energią. Coralen uśmiechnęła się szeroko, gdyż znów uderzyło ją to, z jak osobliwą kompanią przyszło jej podróżować.

Świat zmienił się nie do poznania od czasów, gdy tropiłam sześciu Benothi w górach między Domhainem i Cambrenem, pomyślała.

To właśnie wtedy po raz pierwszy spotkała Corbana i jego drużynę.

– Co się dzieje? – spytała Enkara, podjechawszy bliżej. Należała do Jehar Tukula, do Setki, która prawie dwadzieścia lat temu wyjechała wraz z nim na poszukiwanie Jasnej Gwiazdy. Coralen darzyła wszystkich Jehar wielkim szacunkiem – ich sprawność w walce oraz oddanie sprawie wydawały się wręcz nieludzkie, a fakt, że kobiety Jehar były równie dobrymi wojowniczkami jak mężczyźni, imponował jej bardzo. Stosunki między nią i Enkarą wyszły jednak poza ramy wzajemnego szacunku i powoli, nieśmiało przeobrażały się w przyjaźń.

– Niedaleko stąd leży wieś – rzekła Coralen i wyteńczywszy wzrok, ujrzała

blade słupy dymu z kominów.

– Da się ją wyminąć? – zastanawiała się na głos Enkara.

– Dałoby się, gdyby było nas dwa tuziny. Ale trzystu konnych... – Coralen pokręciła głową. – Nie ma sensu próbować. Gdybyśmy chcieli przemknąć niespostrzeżenie, musielibyśmy zboczyć wiele mil z drogi, a przecież to dopiero pierwsza wieś przed nami.

– Czyli przejedziemy prosto przez nią?

– Tak. Szybko.

Enkara myślała przez chwilę, a potem się uśmiechnęła.

– Dobry pomysł.

Reszta drużyny wkrótce do nich dołączyła.

– I co teraz? – spytał Dath, który rozparł się ze swobodą i spokojem w siodle. Powoli wyzbywał się nerwowości, która wcześniej spowijała go niczym mgła.

Odnalazł coś, w czym jest dobry, pomyślała Coralen. Staje się świetnym tropicielem. Potrafi znajdować ślady i tropić, a do tego ma niezłe oko do szczegółów. Co więcej, strzela z łuku lepiej ode mnie i wszystkich ludzi, których znam.

Rzuciła kilka rozkazów i podzieliła swą drużynę – Enkara i dwoje innych miało zawrócić, by ostrzec Corbana i siły główne, a reszta miała podążać w ślad za nią na zwiady. Dziewczyna nadal czuła się dziwnie w roli dowódczyni. Dorastała wśród twardych, zahartowanych wojowników i spędziła większość dorosłego życia w ich towarzystwie, ale nigdy nie było ich więcej niż dwa tuziny, a ona nigdy nie wydawała im rozkazów. Teraz była odpowiedzialna za trzy setki ludzkich żywotów i podejmowała decyzje, które mogły zadecydować o ich życiu lub śmierci.

Jeśli dla mnie to dziwne, ciekawe, jak się czuje Corban, który prowadzi hufiec składający się z Jehar, Benothi i jednego Ben-Elim, pomyślała.

– A co ze mną? – zakrakał Craf.

– Zostań przy mnie – powiedziała Coralen, po czym cmoknęła na konia i popędziła go uderzeniami pięt.

\* \* \*

Coralen leżała ukryta wśród janowca i wrzosów, przyglądając się wsi. Wraz z Dathem i tuzinem Jehar wyminęli wieś szerokim łukiem i podjechali do niej

przez lasy od południa. Większość ich niewielkiego oddziału ukryła się wśród drzew, a Coralen i Dath podkradli się bliżej, by się lepiej przyjrzeć. Towarzyszyła im Kulla, młoda Jehar, która zawsze trzymała się gdzieś w pobliżu Datha. Coralen zignorowała ten fakt.

Niewielka wioska była położona na brzegu rzeki. Składała się z około czterdziestu, może pięćdziesięciu chat, których ściany zbudowano z kamienia, a dachy pokryto darnią. W środku osady wznosiła się okrągła budowla. Przy brzegu kobiety prały odzież i czujnie strzegły dzieci bawiących się na trawie. Mężczyźni pracowali na ciągnących się na zachodzie wsi polach żyta i pszenicy, a na wschodzie Coralen ujrzała stado kóz. Podmuch wiatru przyniósł bliżej ich beczenie.

Wojowniczką przyglądała się kobietom. Naraz miała dziewczynka, na pierwszy rzut oka sześć-, siedmioletnia, podkradła się do jednej z praczek, opryskała ją wodą i uciekła ze śmiechem. Spływająca z gór woda z pewnością była lodowato zimna, ale kobieta nawet się nie odwróciła i dalej prała rozłożone na kamieniu ubranie. Dziewczynka w międzyczasie nabrała odwagi i podkradła się ponownie, ale ledwie zanurzyła dłonie w wodzie, gdy kobieta odwróciła się i przyskoczyła do niej. Złapała ją, uniosła i ucałowała serdecznie. Coralen usłyszała śmiech ich obu.

Naraz poczuła ucisk w sercu i ku swej zgrozie odkryła, że do oczu napływają jej łzy.

Nie pamiętam, czy kiedykolwiek bawiłam się tak z moją mamą, pomyślała. Nigdy nie byłam takim dzieckiem, jakiego pragnęła.

Zamrugnęła i pociągnęła nosem. Po jej policzku spłynęła wielka łza.

– Wszystko w porządku? – spytał Dath obok niej.

– Tak – warknęła i otarła twarz. – Mam muchę w oku.

Przyglądała się jeszcze przez chwilę, po czym podkradła się do swojego konia. Wskoczyła na siodło. Dath i Kulla wrócili wraz z nią.

– Dokąd się wybierasz?

– Do wsi.

Z początku ustalili, że będą czekać na nadejście Corbana oraz reszty hufca, pilnując, by nikt nie wymknął się z wioski w kierunku południowym z zamiarem rozniesienia wieści o pojawieniu się zbrojnych. Nagle jednak Coralen uświadomiła sobie, że chce oszczędzić wieśniakom lęku i paniki.

– Dlaczego? – spytał Dath. – To niebezpieczne!

– No to zostań – warknęła i skierowała się do wsi.

Chłopak dogonił ją po chwili.

– Jesteś stuknięta, ale Corban i Farrell obcięliby mi jajca, gdybym pozwolił ci wjechać tam samej – oświadczył.

– Nie wolno nam zawieść Seren Disglaira! – oznajmiła Kulla z przerażeniem na twarzy. – Za żadną cenę!

Dath uniósł brew, ale Coralen się skrzywiła.

– Umiem zadbać o siebie.

– Wiem. – Dath wzruszył ramionami. – Ale i tak jadę z tobą.

– I ja też – dodała Kulla.

– Jak sobie chcecie.

Wjechali do wsi. Psy szczekały, dzieci krzyczały, a wokół nich gromadzili się ludzie. Kolejni nadbiegali z pól. Coralen ujrzała, że wielu z nich wykonuje znaki chroniące przed złem, co wywołało niechętny grymas na jej twarzy. W tak niespokojnych czasach nieznanymi z pewnością nie byli miłym widokiem i wojowniczką potrafiła to zrozumieć.

Ale jeśli boją się mnie, ciekawe, co powiedzą na Corbana, jego olbrzymy i wilkunicę, pomyślała.

Ściągnęła wodze i ujrzała rękawicę z kłami wilkuna, którą nosiła na lewym ramieniu. Uświadomiła sobie też, że nadal ma założone futro wilkuna. Łeb bestii zwisał z jej ramienia, szczerząc kły.

Może mają dobry powód, by się mnie bać?, przemknęło jej przez myśl.

Jakiś mężczyzna wyszedł z tłumu. Dath i Kulla rozglądali się bacznie, gotowi na kłopoty.

– Witajcie – powiedział chłop. – Wybaczcie, że nie potrafimy powitać was jak należy, ale rzadko widzimy obcych tak daleko na północy.

Mówił uprzejmie, ale ścisnął w rękę rohatynę o grubym trzonku. Coralen z niesmakiem zauważyła, że ostrze było zardzewiałe. Podeszli inni, uzbrojeni głównie w siekiery. Ktoś nosił sfatygowany miecz w pochwie. Wojowniczką spojrziała nad ich głowami i dostrzegła obserwowaną wcześniej kobietę, która tuliła córeczkę. Przypomniało jej to o celu wizyty.

– Zaraz ujrzycie ich znacznie więcej – rzekła. – Przybyłam, by ostrzec was przed hufcem, który nadciąga z północy. Niebawem tu będzie.

W tłumie rozległy się westchnienia i okrzyki, w tym również te pełne strachu. Zewsząd słyszała zadawane podniesionym głosem pytania.

– Nie macie się czego obawiać, bo wojownicy nie mają wrogich zamiarów i zmierzają na południe. Nie zatrzymają się tu i nikogo nie zaatakują. Niczego

od was nie chcą. Najlepiej zrobicie, jeśli udacie się do domów i zamkniecie za sobą drzwi.

Na twarzach zgromadzonych Coralen ujrzała zwątpienie, niedowierzenie, a nawet lęk.

– Bez wrogich zamiarów? Jeszcze nie widziałem zbrojnej drużyny, która nie miała wrogich zamiarów! – wrzasnął ktoś.

– Jeśli mówię, że nie zrobią ci krzywdy, to tak właśnie jest! – warknęła Coralen, czując, jak puszczają jej nerwy.

– A kim wy właściwie jesteście?! – wykrzyknął mężczyzna, który powitał ich trójkę.

Ludzie opuszczali zgromadzenie. Niektórzy śpieszyli na wschód, ku zalesionym zboczom, a inni próbowali wyminąć dziewczynę i skierować się na południe. Coralen zawróciła konia, by zablokować im drogę.

– Nie podoba mi się to – szepnął Dath do Kulli, co bynajmniej nie załagodziło narastającego napięcia w sercu Coralen.

– Możecie biec wszędzie, gdzie tylko zechcecie! – Dziewczyna stanęła w strzemionach. – Z wyjątkiem południa! Nikomu nie wolno biec na południe!

– Chcą nas wymordować! – wrzasnął ktoś.

Czyjeś dłonie chwyciły jej uzdę. Coralen odepchnęła je i zacisnęła pięść, aż zagrzechotały szpony wilkuna, a potem złapała za miecz. Nie odstraszyło to jednak wieśniaków, którzy zewsząd zbliżali się ku niej.

Dath wypuścił strzałę, która wbiła się u nóg przywódcy wsi, a Kulla porwała za miecz.

– Ani kroku dalej – warknęła zimnym głosem. – Pierwszy, który podejdzie, zginie!

Całe szczęście, że mam ze sobą kogoś, kto jeszcze gorzej radzi sobie z dyplomacją ode mnie!, pomyślała Coralen.

– Kolejna strzała wbije się w tego, kto spróbuje jej dotknąć! – oznajmił Dath głośno i wyraźnie.

Nie tak to sobie wyobrażałam, myślała Coralen.

Ludzie zebrali się wokół nich w półkřęgu. Dziewczyna naliczyła ich przynajmniej dwudziestu. Zapadła cisza pełna napięcia, dłonie zaciskały się na broni. Wystarczyłoby jedno nieprzemyślane słowo bądź gest, by doszło do rozlewu krwi.

Niespodziewanie Coralen wychwyciła nowy odgłos, przypominający z początku odległy pomruk burzy. Spojrzała na północ i ujrzała konnych,



którzy pojawili się na skraju doliny, reszta wyłaniała się z lasu. Towarzyszyły im długonogie olbrzymy, a na czele biegł pies oraz wilkunica.

To Corban!

– Oto i oni! – krzyknęła. – Wracajcie do domów!

Tłum rozpieczęł się we wszystkich kierunkach. Większość ludzi uciekała do wsi, ale niektórzy wyrwali się na zachód i na wschód. Garstka wyminęła ją i popędziła na południe.

Moi zwiadowcy wyłapią ich i odeślą, przemknęło jej przez myśl.

Pochyliła się w siodle, by dodać otuchy kobiecie wypatrzonej nad rzeką, która stała jak skamieniała i tuliła do siebie córeczkę.

– Zaufajcie mi – rzekła Coralen. – Zamknijcie się w domu, a nikt wam nie zrobi krzywdy.

Kobieta spojrzała na nią, nadal nieprzekonana, i przełknęła ślinę. Dziewczynka wpatrywała się w wojowniczkę wielkimi, brązowymi oczami.

– Zrobię, jak każesz! – odezwała się w końcu wieśniaczka. Zgarnęła dziecko i zniknęła we wsi.

\* \* \*

Hufiec już nadciągał. Liczące stu wojowników skrzydło Jehar przemknęło z łoskotem kopyt wśród pól żyta i pszenicy, leżących na wschód od wsi, a reszta zeszła środkiem doliny i przemaszerowała przez osadę. Na czele jechał Corban, który po jednej stronie miał Meicala, a po drugiej uśmiechniętego szeroko Farrella.

– Co słyhać, dziewczę? – Mrugnął do Coralen.

– Wszystko w porządku. I nie nazywaj mnie tak. Już ci mówiłam.

– Wybacz. Siła przyzwyczajenia. – Farrell skrzywił się i zapobiegawczo zasłonił krocze.

Dath zachichotał.

– Nic ci się nie stało? – spytał Corban, gdy Coralen dołączyła do niego.

– Nic. Próbowałam tylko zapobiec wybuchowi paniki.

Corban rozejrzał się. Gdyby nie pojedyncze twarze, wyglądające nieśmiało zza okiennic, wieś wydawałaby się całkiem opuszczona.

– Wygląda na to, że ci się udało.

– Nie było to łatwe – rzekł Dath. – Ci ludzie naprawdę rzadko widują obcych. Na widok was wszystkich, walących do wsi...

– Jak wygląda droga przed nami? – spytał Meical.

– Posłałam przodem Crafa i zwiadowców Jehar. Nie ma na razie żadnych meldunków, a więc myślę, że jest czysto. Zaczekam, aż wszyscy wyjedziemy ze wsi, a potem do nich dołączę.

– Coś cię gryzie? – spytał Corban.

– Nie. Chcę się tylko upewnić, że nikomu nie stanie się krzywda.

– Nie mamy z tymi ludźmi na pieńku.

– Wiem, ale strach prowadzi do pochopnych decyzji.

– Prawda. Dzielnie się spisałaś.

Coralen poczuła, jak przez jej usta przemyka uśmiech, ale skrzywiła się i zganiła się w myślach:

Nie jestem dzieckiem, by rumienić się, gdy ktoś mnie pochwali.

– Zobaczymy się później – mruknęła i wstrzymała konia.

Wraz z Dathem i Kullą, którzy w milczeniu dołączyli do niej, patrzyli, jak mijają ich trzy setki Jehar, którym przewodzili Tukul i Gar, a po nich oddział olbrzymów, w centrum którego wędrował Balur z czarnym toporem. Na końcu jechały Brina i Cywen, pogrążone w rozmowie. Siedzący na łąku siodła staruszki Fech co rusz otwierał i zamykał dziób, jakby i on uczestniczył w dyskusji.

Craf nie będzie zadowolony z tego, że Fech załapał się na przejazdzkę, podczas gdy on musi pracować na posiłek, pomyślała Coralen.

– Miałaś pomagać tylnej straży! – zawołała do kruka.

– Fech przekazuje mi sporo wiedzy! – odparła Brina.

Potem pojawiła się straż tylna, w skład której wchodziło dwudziestu Jehar pod dowództwem Akara. Coralen odczekała chwilę i ruszyła w ślad za resztą.

Odbiła od osady i wjechała między drzewa, a tam zatrzymała się, by spojrzeć na położoną przy rzece wieś. Jej uwagę przyciągnął jakiś ruch na niebie. W pierwszej chwili myślała, że to Fech, ale ptak krążył wysoko niczym drapieżnik i nagle rzucił się do lotu nurkowego ku łąkom. Rozrzucił skrzydła tuż nad trawami i uniósł coś w szponach. Coralen usłyszała cichy pisk, a potem trysnęła krew i jastrząb wylądował, by pożreć zdobycz.

We wsi ludzie opuszczali już domy. Ktoś uniósł rękę na pożegnanie – dziewczyna rozpoznała kobietę znad rzeki. Pomachała ku niej z uśmiechem i wjechała w las.

Od zajścia we wsi minęły już dwie noce i hufiec Corbana zapuszczał się coraz głębiej w terytorium Narvonu. Okolica niewiele różniła się od północy Domhainu, gdzie Coralen spędziła większość życia. Przez jakiś czas wędrowali wśród porośniętych wrzosem wzgórz, spośród których tu i ówdzie wyrastały czarne skały, aż zaczęły się zielone doliny, a na horyzoncie pojawił się ciemny las, przecięty licznymi rzekami. Burza biegła u jej boku, a reszta zwiadowców, rozstawiona w półksiężyc, penetrowała teren na milę.

Domhain. Dom, myślała Coralen.

Niespodziewanie poczuła wyrzuty sumienia na myśl o swej ojczyźnie, rozbitych drużynach i zamordowanym ojcu, Eremonie. Nie mogła pogodzić się z tym, że teraz Rhin zasiadała na jego tronie.

I Conall, jej marionetka.

Kiedyś wybuchnęłaby śmiechem na wieść o tym, że jej przyrodni brat mógłby zostać królem, ale widziała go w Dun Vaner. Widziała wściekłość i ból, którymi emanował.

Co się z tobą stało, bracie? I co się stało z Rathem, Bairdem i pozostałymi Degad?

Przecież Rath właściwie ją wychował. Zastępował jej ojca. Fech opowiedział im o śmierci Eremona oraz upadku Domhainu, a dziewczyna wciąż nie mogła się z tym pogodzić. Raz po raz budził się w niej ogromny żal.

Powinam była tam zostać, myślała. Powinam była walczyć u boku Ratha! Ale z drugiej strony, co bym w ten sposób osiągnęła? Zginęłabym i tyle.

Rath wysłał ją z Domhainu, by przeprowadziła Corbana na północ przez góry. Pamiętała, że właściwie nie miała nic przeciwko temu rozkazowi. Znów obudziło się w niej poczucie winy.

Wina jednakże zawsze z czasem cichła i ustępowała miejsca innym emocjom. Wspólnej podróży z tym hufcem nie dało się porównać z wcześniejszymi wyprawami. Coralen czuła się inaczej wśród tych ludzi. Jakby zawsze należała do ich grona.

A do tego był jeszcze Corban. Podczas samotnej jazdy dziewczyna łapała się na tym, że coraz częściej o nim myśli. Próbowwała sobie wmówić, że troszczy się o przyjaciela. Że przejmuje się decyzjami, które był zmuszony podejmować.

Usłyszała trzepot skrzydeł. Z szarego nieba sfruwał Craff, który wydawał się poruszony.

– Hufiec! Hufiec! Hufiec! – krakał, sadowiąc się na łęku siodła.

- Gdzie?
- Przed nami!
- Ilu ludzi?
- Cały las mieczy i włóczni! – wykrakał ponuro ptak.

## Rozdział szesnasty

# CORBAN

Corban pełznął przez miękkie trawy, czerwone wrzosi i paprocie. Przed sobą miał buty Coralen, a za sobą Gara i Meicala.

Po krótkiej naradzie z Meicałem na temat odkrycia Crafa Corban zatrzymał drużynę i zdecydował, że chce na własne oczy zobaczyć, co na nich czeka.

– Tam! – Coralen wskazała dół rozciągniętego, łagodnego zbocza.

Wpierw Corban dostrzegł kilkunastu konnych zwiadowców, zmierzających powoli w górę. Jakies pół mili za nimi z lasu wyłoniła się liczna drużyna, która zatrzymała się przy brzegach strumienia, by napełnić bukłaki i beczki. Na ich proporcach powiewała złamana gałąź Cambrenu, otoczona czernią i złotem.

– Ludzie Rhin – mruknął Corban.

– A kogo się spodziewałeś? – odezwał się Meical. – Rozbiła przecież każde królestwo w promieniu stu mil!

– Przynajmniej trzysta mieczy – szepnął Gar, który podpełzł z drugiej strony.

Z lasu wyłaniały się coraz to nowe gromady wojowników. Pierwsze szeregi przebyły już kamienny most, rozciągnięty nad strumieniem. Z tej odległości przypominali wolno poruszający się las utwardzanej skóry i żelaza. W ślad za nimi wyłonił się szereg wozów, zaprzężonych w porykujące głucho, kosmate woły, które powoli pokonały most i popęzły szerokim traktem olbrzymów w ślad za drużyną.

I co my teraz zrobimy?, pomyślał Corban. Prowadzenie trzystu wojowników przez bezludne pustkowia i niewielkie wsie, których mieszkańcy uciekają na nasz widok, to jedno, a posłanie ich na przypuszczalnie liczniejszego wroga to zupełnie coś innego.

Ale to nie wojownicy Jehar ani też olbrzymy Benothi, podpowiedział mu jakiś głos w głowie. Z nimi wygrasz tę bitwę!

Ale ilu przy tym zginie?, myślał Corban.

Gar poklepał go po ramieniu i dał znać, że powinni się wycofać. W ciszy spełnili ze wzgórza i wskoczyli na konie.

– Craf, miej na nich oko – rzekł Corban do kruka.

– Robota, robota, robota – wymamrotał Craf i wzbił się w powietrze, a młodzieniec rozejrzał się i dostrzegł trójkę towarzyszy, wciąż wpatrzonych w niego.

– Co rozkażesz? – spytał Meical.

Nie wiem. Walczyć? A może uciekać?, zastanawiał się Corban.

Strach ciążył mu niczym zimny kamień. Nie bał się walki ani nawet śmierci – uczestniczył już w wielu starciach i choć nigdy nie wyzbył się lęku, wiedział, że umie nad nim zapanować. Poza tym naoglądał się ostatnio okropności, wśród których na czoło wybijali się ucieleśnieni Kadoshim.

Więc czego się boję?, pomyślał.

Dotknął piętami boków Tarczy i w milczeniu zawrócił do swoich ludzi. Pozostali podążyli za nim.

Wrócić do drużyny. Do mojej drużyny, przemknęło mu przez myśl.

I nagle zrozumiał, o co chodzi. Nie miał nic przeciwko temu, by samemu ruszać do walki. Jeśli inni decydowali się go wesprzeć, cóż, martwił się o nich, ale wiedział, że sami podjęli tę decyzję. Tym razem jednak to on sam doprowadził tu wszystkich tych ludzi. To on wybrał kierunek marszu. Przewidywał, że natrafią na opór. Był przekonany, że przyjdzie im walczyć z wrogiem, ale nie sądził, że dojdzie do tego tak szybko. Wydawało mu się też, że czekają go raczej pomniejsze potyczki wzdłuż szlaku i miał nadzieję, że uda im się uniknąć większych bitew aż do granicy z Ardanem. Z całą pewnością nie był przygotowany na to, by runąć na hufiec Rhin już teraz, zwłaszcza taki hufiec, który był liczniejszy od jego własnych sił.

Boję się tego, że podejmę złą decyzję, zrozumiał. Że ludzie zginą przez mój błędny osąd.

Gar podjechał bliżej.

– Wszystko w porządku, Ban? – spytał.

– Nie.

Widzieli już pozostałych. Hufiec zatrzymał się na zboczu wzgórza.

Corban rozejrzał się – wszędzie dookoła wyrastały łagodne wzniesienia

porośnięte wrzosem.

Teren nie bardzo nadaje się do walki, pomyślał. Jest nazbyt otwarty, zwłaszcza jeśli przyjdzie nam się zetrzeć z przeciwnikiem mającym przewagę liczebną.

Słońce jaśniało za gęstymi chmurami.

Dopiero południe. Dzień jest jeszcze długi. Muszę się dobrze zastanowić.

Widział troskę i niepokój na twarzach przyglądających mu się ludzi i olbrzymów.

Wszyscy ciągle się na mnie patrzą!, pomyślał.

Nabrał tchu.

– Przygotujcie się do wyruszenia w drogę! – zawołał. – Zawracamy!

\* \* \*

Nie szczędząc koni, popędzili po własnych śladach. Corban na czele. Craff powrócił i zameldował, że drużyna Rhin skierowała się na północ. Innymi słowy, prosto na nich.

Corban wysłał Coralen, Burzę i garstkę Jehar, by śledzili posunięcia wroga. Wyczerpany kruk usiadł na siodle Briny i oznajmił, że nie ruszy już tego dnia skrzydłem. Corban poprosił o przysługę Fecha, ale ten odmówił.

Nazywają mnie wybranym awatarem Elyona i Jasną Gwiazdą, pomyślał z irytacją chłopak, i sam generał Ben-Elim słucha moich rozkazów, a tymczasem stary, wyliniały kruk ma gdzieś to, co mówię.

Najwyraźniej Fech tłumaczył coś istotnego Brinie, gdyż kobieta nawet nie zwróciła uwagi na jego krnąbrną postawę. Siedziała w milczeniu i kiwała głową. Na siodle przed sobą otworzyła jedną z ksiąg, z których uczyła Corbana. Młodzieniec zerknął na nią.

To księga olbrzymów zabrana z Dun Carreg, przypomniał sobie. Ta sama, w której zawarto ich mądrość oraz historię. Oraz opisano ich magię.

Brina pewnie wytargałaby go za ucho, gdyby usłyszała, z jakim lekceważeniem podchodzi do tomiszca, ale tak właśnie o nim myślał. Przypomniało mu się wyznanie Vonna, który powiedział, że ukradł księgę ojcu. Powrócił pamięcią do chwil, gdy Brina i Heb próbowali go czegoś nauczyć.

Kiedy po raz ostatni w ogóle o niej pomyślałem? Albo o Brinie? Wygląda na to, że po prostu ją porzuciłem, uświadomił sobie.

Pocieszał się tym, że Cywen dotrzymywała towarzystwa starej uzdrowicielce. Ba, miał wręcz wrażenie, że jego siostra nie odstępuje Briny ani o krok.

Muszę znaleźć więcej czasu dla mojej siostry, zdecydował. Przejechałem setki mil, by ją znaleźć, a gdy wreszcie mi się to udało, ledwie zamieniliśmy kilka zdań.

Westchnął ciężko. Wyglądało na to, że dola Jasnej Gwiazdy oznaczała wiele ofiar i wyrzeczeń.

– Dobra, jak sobie chcesz – powiedział do Fecha. – Ale nie zapomnę o tym, jak bardzo palisz się do pomocy.

– Sarkazm w niczym ci nie pomoże – zakrakał Fecz.

– Natomiast często pomaga przekupstwo – szepnęła do brata Cywen.

Corban zastanowił się.

– Fecz, dostaniesz wszystko, co śliskie i obleśne z następnej zdobyczy Burzy.

Kruk przechylił łebek i spojrzał na Corbana.

– Zgoda. Zaraz lecę! – zachrypiał.

– W porządku! – rzucił Corban i popędził konia.

Nadal był zły na kruka i chciał być choć przez chwilę sam, wolny od konieczności podejmowania decyzji. Wyprzedził hufiec, na czele którego jechali Meical, Tukul i Gar, a obok kroczyli Balur oraz Ethlinn, cmoknął i Tarcza puścił się galopem. Corban pochylił się i poklepał wierzchowca po karku. Koń prychnął z uciechy.

Tęskniłem za tobą, przyjacielu!, pomyślał chłopak.

Zerknął przez ramię na hufiec, na posępne olbrzymy oraz Jehar o ponurych, zaciętych twarzach.

Jak do tego doszło, że się tu znalazłem?, zastanawiał się. Jak to możliwe, że dowodzę zbrojnym hufcem, że okrzyknięto mnie czempionem Elyona? Przecież żaden ze mnie czempion czy obrońca. Poza tym dlaczego Elyon, stwórca wszystkiego, co żyje, miałby wybrać akurat mnie? Przecież w tym nie ma sensu!

Wiedział jednak, że nie były to zwidy ani rojenia garstki fanatycznych wojowników. Meical naprawdę należał do Ben-Elim. Corban widział go w Zaświecie – miał białe skrzydła i świecące oczy, ale bez wątplenia był to Meical. Co więcej, ujrzał też Asrotha. I rozmawiał z nim. Asroth nie miał wątpliwości, że Corban został wybrany przez Elyona, i gotował się, by wyciąć



mu serce. Młodzieniec aż się wzdrygnął, poruszony wspomnieniem, a w jego sercu obudziło się echo dawnego przerażenia.

Asroth pragnie mojej śmierci...

Usłyszał za sobą łomot kopyt. Odwrócił się i ujrzał doganiającego go Meicala. Towarzyszyli mu Gar i Tukul, a za nimi gnał Balur.

Corban westchnął i zwolnił nieco, pozwalając, by się z nim zrównali.

To się nacieszyłem spokojem, przemknęło mu przez myśl.

– Co ty wyprawiasz? – spytał Meical.

– Daję sobie chwilę do namysłu. Nie chcę pchnąć nas do bitwy bez przemyślenia sprawy.

– Czasu to akurat nie mamy – rzekł Meical. – Asroth działa aktywnie. Planuje tę wojnę od setek lat, a teraz uderza. Nie mamy czasu, by jeździć wte i wewte! Musisz nas poprowadzić!

– Właśnie próbuję to zrobić!

– Nie. Ty się wahasz. Nie umiesz podjąć decyzji, a to donikąd nas nie doprowadzi.

Corban poczuł, że słowa Meicala budzą w nim gniew, głównie dlatego, że mężczyzna miał rację. Zerknął na pozostałych, którzy przyglądali mu się uważnie.

– Powinniśmy zawrócić i uderzyć! Przebić się przez hufiec Rhin! – ciągnął Meical.

– Tak? A ilu spośród nas zginęłoby w takim ataku? Podejmowanie takich decyzji nie przychodzi mi łatwo!

– Rozumiem, ale jakąś musisz podjąć, a każda z nich będzie miała swoje konsekwencje. Skoro zadecydowałeś, że ruszamy na południe, trzeba będzie przebić się przez ziemie twego wroga, a to wiąże się z rozlewem krwi.

– I tym się przejmuję – mruknął Corban. – Twoją krwią. Ich.

Wskazał na kilka setek wojowników podążających za nimi.

– Corban, uczestniczymy w Wojnie Bogów – westchnął Meical. – Nim dobiegnie końca, rozleją się istne oceany krwi i nic na to nie poradzimy! Liczy się tylko to, by Asroth został wreszcie pokonany. Cóż, jeśli chodzi o mnie, jestem gotów przelać zarówno własną krew, jak i tych, którzy jadą za nami. Ba, poświęcę wszystko, by osiągnąć nasz cel. Nie liczy się nic innego.

Corban zastanowił się nad jego słowami i spojrzał na twarze ludzi gotowych ślepo ruszyć za nim do bitwy i dalej, nawet jeśli mieliby zginąć.

– Mylisz się – powiedział w końcu. – Liczy się coś więcej niż tylko

zwycięstwo czy porażka. Nie będę skazywać nikogo na śmierć. Ludzkie życie ma dla mnie znaczenie. Moje serce pękło, gdy zabito mi ojca, a potem pękło ponownie, gdy matka wyzionęła ducha w moich ramionach. – Zamilkł na moment, czekając, aż ucichnie drżenie w jego głosie. – Pękało też za każdym razem, gdy ginął kolejny z moich przyjaciół. Teraz otaczają mnie setki towarzyszy, z których każdy ma rodzinę bądź ukochaną osobę. Balur, kto jest ci najbliższy? Za kogo oddałbyś życie?

Olbrzym wydawał się zaskoczony. Ściągnął brwi, na co jego pomarszczona twarz zamieniła się w labirynt głębokich rozpadlin.

– Za mą córkę Ethlinn – zagrzemiał.

– A ty, Tukulu? Za kogo byś zginął, gdybyś mógł go w ten sposób ocalić?

– Za ciebie – odparł Jehar bez wahania i wzruszył ramionami. – Za każdego z nas, ale najchętniej za mego syna.

Przez twarz Gara przemknął lekki uśmiech.

– Każdy z nas ma kogoś, kto jest mu bliski, kogoś, kto będzie sobie wypłakiwał oczy po jego śmierci. Prawda, mamy ważny powód, by walczyć. Mierzymy się z wielkim złem. Niemniej zrobię wszystko, by oszczędzić tych, których kocham. Nie będę marnował ludzkiego życia nadaremnie.

– To podziwu godne sentymenty – rzekł Meical, choć wydawał się dość skonfundowany. – Niemniej w tej konkretnej sytuacji sentyment powstrzymuje cię przed podjęciem działania, co w efekcie tylko pogorszy sprawę. Niebawem wszyscy zginiemy, a Asroth rozciągnie władzę nad całymi Ziemiąi Wygnanych. Jesteś naszym przywódcą, a więc prowadź!

Corban skrzywił się. Meical potrząsnął głową z rezygnacją i został z tyłu, a wraz z nim Balur i Tukul. Młodzieniec, nadal walczący z natłokiem myśli, spojrzał na Gara.

– Nie wiem, co począć – rzekł. – Boję się.

Przypomniało mu się, że już raz poczynił przed Garem podobne wyznanie. Zdarzyło się to na łące pod Dun Carreg, gdy nie mógł sobie poradzić z prześladowającym go Rafe'em. Niemalże parsknął śmiechem na to wspomnienie.

Mam wrażenie, że to wszystko miało miejsce w innym życiu, pomyślał. Mimo upływu czasu nie przestałem się jednak bać. Boję się tylko innych rzeczy, to wszystko.

– Nikt nie jest wolny od lęku – odparł Gar.

Już kiedyś powiedziałaś mi coś podobnego, przemknęło Corbanowi przez

myśl.

– Wiem. Trzeba tylko jakoś sobie z tym poradzić.

Gar uśmiechnął się do niego.

– Ale teraz jest inaczej – rzekł Corban. – Nie boję się tego, co może przytrafić się mnie. Boję się tego, że ludzie zaczną ginać.

– Strach to strach. – Gar wzruszył ramionami. – Jeśli mu na to pozwolisz, sparaliżuje cię i zniszczy.

– Co ty byś zrobił na moim miejscu?

– Walczyłbym. Nie mamy wyboru. Jeśli spróbujemy ich wyminąć, pochwyca nasz ślad i ruszą za nami w pościg. My zaś prędzej czy później natkniemy się na kogoś, komu zamarzy się bitwa, i ostatnią rzeczą, która nam się wówczas przyda, będzie trzysta wrogich mieczy za plecami.

Jechali w promieniach zachodzącego słońca, a góry wyznaczające granicę z Benothem wydawały się pęcznieć przed nimi. Gdy horyzont zapłonął czerwienią, natrafili na gęsty las rosnący na brzegu bystrej rzeki. Na zachodzie ciągnęły się łagodne wzgórza porośnięte sosnami i świerkami. W głowie Corbana pojawił się wówczas pomysł. Spojrzał na lasy i przypomniał sobie, że raz już je przebył. Kilka mil dalej leżała wieś, przez którą przejechali.

Nie mogę doprowadzić zbrojnych Rhin do tej osady, uświadomił sobie.

Wzniósł rękę i ściągnął wodze Tarczy. Hufiec falami zatrzymał się za nim.

Meical ma rację, pomyślał Corban. Nie po to stanąłem na czele tego hufca, by przemykać ukradkiem przez Ziemie Wygnanych. A to przecież zbrojny hufiec, którego przeznaczeniem jest walka. Prędzej czy później będziemy musieli stanąć do bitwy.

Obrócił się w siodle, spoglądając na okolicę.

– Rozbijemy tu obóz! – zawołał. – A jutro właśnie tu zmiażdżymy drużynę Rhin!

## Rozdział siedemnasty

# UTHAS

Uthas zatrzymał się i spojrzał w dal. Zbliżał się już wieczór i słońce powoli chowało się za wzgórzami na zachodzie. Górskie klify, rzucające cień na przełęcz, którą wędrowali, malały, aż ustąpiły miejsca zboczom porośniętym świerkami. Płynąca nieopodal spieniona rzeka wycięła wąwóz, który w odległości zaledwie pół mili rozszerzał się na podmokłe, zielone łąki.

– Narvon – rzekł stojący obok niego Calidus.

– Tak. Choć kiedyś był to Benoth, podobnie jak wszystkie zachodnie królestwa ludzi.

Ruszyli naprzód. Przed nimi podążał Nathair na grzbiecie draiga, który z każdym krokiem rozrzucał kamienie i żwir. Z drżących świerków spadały szyszki. Obok króla maszerował Alcyon, a Calidus jechał tuż za młodzieńcem, ani na moment nie spuszczał go z oczu.

Wciąż mu nie ufa, pomyślał olbrzym.

Jak dotąd Nathair zachowywał się pokornie i nie zdradzał się z ochotą, by sprzeciwić się woli Calidusa. Jechał na ogół w milczeniu, a rozmawiał w zasadzie jedynie z Alcyonem.

Czas osądzi, przemknęło olbrzymowi przez myśl. Wkrótce będzie musiał zacząć wypełniać złożoną przysięgę.

Kadoshim oraz Benothi rozciągnęli się w długą kolumnę za nimi. Ponad tysiąc mężczyzn i kobiet pomagało pchać wozy. Przeprowadzenie przez górskie przełęcze okazała się niełatwa – Kadoshim tłoczyli się wokół kół i z niemałym wysiłkiem pchali wozy po starożytniej, wyboistej drodze. Co gorsza, bez przerwy natrafiali na naniesione przez wiatr zasypy śniegu. Niemniej zdołali pokonać każdą przeszkodę i wnet odkryli, że szlak prowadzi już w dół. Droga stawała się wygodniejsza i równiejsza z każdą przebytą milą.

– Kiedyś rządziłem całym zachodnim Benothem, powolny jedynie rozkazom

Nemain rezydującej w Dun Taras – rzekł Uthas.

– Kiedy to było?

– Mniej więcej sześćset lat temu.

Niespodziewanie Uthas poczuł mrowienie na karku. Odwrócił się i ujrzał wpatrującego się w niego Calidusa.

– Czyli piłeś z pucharu – rzekł starzec. Nie było to pytanie.

– Tak – odparł Uthas i odwrócił głowę. Nie chciał rozmawiać o pucharze z gwiazdnego kamienia.

– Wiesz, że potrzebuję Skarbów. Są niezbędnym elementem naszych planów.

– Wiem. – Uthas szarpnął za długi, siwy wąs, co czynił zawsze, gdy był spięty bądź zakłopotany.

– Czy wiesz o czymś, co mogłoby mi pomóc?

Jest już za późno, by się wycofać, pomyślał olbrzym.

– Posiadam informacje o dwóch spośród nich: pucharze oraz naszyjniku Nemain. Wiem, gdzie widziano je po raz ostatni.

– Co? – zasyczał Calidus. Jego dłoń wystrzeliła naprzód, a palce zacisnęły się na ramieniu olbrzyma. Były zimne. – Gdzie są?

Uthas nabrał tchu, a potem przełknął ślinę.

– Chcę zostać królem wszystkich klanów olbrzymów, nie tylko Benothi. I chcę rządzić z Fornu, które ma zostać stolicą pogodzonych klanów.

– Masz doprawdy wybujałe marzenia. – Calidus wpatrywał się w Uthasa spod zmrużonych powiek. – I okazujesz się ambitniejszy, niż sądziłem.

Uthas wzruszył ramionami.

– Świat się zmienia. Czemu więc nie przekuć tego, co kiedyś zostało skruszone i połamane?

– W rzeczy samej – odparł Calidus, który mierzył olbrzyma chłodnym, wyrachowanym spojrzeniem. – W zamian za Skarby, o których mówisz, pomogę ci w realizacji twoich planów. Masz moje słowo.

– Przypuszczam jednak, że twoi generałowie mogą się sprzeciwić. Rhin, Nathair i Lykos nie ucieszą się z tego, że zjednoczone klany olbrzymów odzyskają pozycję. Muszę uzyskać zapewnienie wyższej instancji.

– Chcesz układać się z Asrothem? – Calidus uniósł brew, na co olbrzym wzruszył ramionami.

– Czemu nie? Rzuciłem kośćmi w chwili, gdy zdradziłem Nemain, i mam wrażenie, że nadal się toczą.

Calidus parsknął śmiechem, w którym pojawiło się autentyczne ciepło.

– Zaraz, jak to mówią ludzie i olbrzymy? Masz jaja, Uthasie, przyznam szczerze. Załatwię ci prywatną audiencję.

Uthas poczuł strach na samą myśl o tym.

A więc stało się, uświadomił sobie.

Szlak nadal wiódł przez lasy, a w powietrzu unosił się mocny zapach świerków. Zasłana igliwem ziemia ugięła się pod końskimi kopytami. Niespodziewanie na czele rozległy się krzyki Kadoshim. Calidus uderzył piętami w końskie boki, a Uthas pognął za nim.

Po chwili wypadli z ciemnego lasu na światło słoneczne. Uthas zamrugał, oślepiiony ostrymi promieniami. Znaleźli się w dolinie, której środkiem płynęła bystra rzeka, a łagodne zbocza porastały zielone łąki. Przed nimi znajdowała się wioska, ku której pędzili Kadoshim. Uthas zamarł – nie sądził, by ktokolwiek mógł biec aż tak szybko. Podmuchy wiatru przynosiły dzikie wrzaski.

Nim Uthas i Calidus dogonili obleczone w ludzkie ciała demony, ci rozbiegli się po ulicach wsi. Ścigali przerażonych wieśniaków i wdzierali się do domów przez rozbite drzwi i okna. Z dziką radością zadawali śmierć każdemu, kogo udało im się dopaść.

– Muszę popracować nad ich dyscypliną – oznajmił Calidus i zerknął na jakiegoś Kadoshim, który przygniótł do ziemi wrzeszczącego mężczyznę i wydierał mu kawałki z gardła.

– Oni muszą nauczyć się panować nad sobą – powiedział wstrząśnięty Uthas. – Przecież nie mogą urządzać takich scen wszędzie na Ziemiach Wygnanych! Cały świat zwróci się przeciwko tobie!

– Wiem, ale oni nie znają jeszcze tych ciał oraz tego świata. Dobrze pamiętam zdumienie, jakie poczułem, gdy sam posiadałem ciało. A ten smak... – Calidus umilkł, a w jego oczach pojawiła się zaduma. – A poza tym oni od dziesięciu dni spożywają tylko chleb. Trzeba im po raz ostatni pozwolić na odrobinę zapomnienia.

– To zwierzęta – mruknął stojący obok Uthasa Salach.

– Jak my wszyscy – odparł Calidus bez emocji. – Wszyscy jesteśmy cielesnymi stworzeniami, które muszą zjadać inne, by żyć.

Uthas zauważył jakiegoś Kadoshim, który zeskoczył z dachu i wylądował na uciekającym dziecku. Przetoczył się z nim, gryząc i szarpiąc, błyskawicznie przerywając jego przeraźliwy wrzask zgrozy.

Do wsi z ogłuszającym łoskotem wpadł Nathair na grzbiecie draiga. Zamknięte okiennice rozwarły się, uderzone od środka i na ulicę runęła jakaś kobieta. Spoza strzaskanych okiennic wyrżał za swą ofiarą Kadoshim. Nathair spoglądał na rzeź bez emocji, choć jego usta na moment wykrzywił niesmak.

– To całkiem zbyteczne! – zawołał przez ramię do Calidusa. – Oni mordują niewinnych ludzi!

– To pechowe ofiary wojny! – odkrzyknął starzec.

Nathair wbił w niego spojrzenie.

– Nie nauczyłem jeszcze Kadoshim, na czym polega prowadzenie wojny – dodał Calidus. – Oni nie znają jeszcze tego świata. Szybko naprawię ten błąd.

– Dla tych ludzi będzie już za późno – odparł Nathair.

– Tak, ale nie wszyscy są niewinni! Spójrz tam!

Kilkunastu chłopów zdołało pochwycić za włócznie oraz topory i stawiło najeźdźcom opór przy okrągłym domu w sercu wsi. Niektórzy Kadoshim uczyli się już posługiwać bronią, czerpiąc ze wspomnień ciał, które przejęli. Nathair potrząsnął głową po raz ostatni, szepnął coś do draiga i poprowadził Kadoshim do ataku. Wbił się w sam środek grupy obrońców, a zbrojne w miecze demony, osłaniające go ze wszystkich stron, cięły szybciej i mocniej nawet od Jehar. Tryskała krew, fruwały odcięte kończyny. Wystarczyła chwila, by opór został zmiażdżony.

– Rozbijemy tu obóz – oznajmił Calidus i spojrzał na niknące za wzgórzami słońce.

Zewsząd dobiegały wrzaski, a w powietrzu unosił się intensywny smród krwi i ekskrementów. Uthas i Salach spojrzeli po sobie, przeszli przez wieś i wyszli z drugiej strony. Po polach wciąż uciekali ostatni ocalali ludzie, a Kadoshim ścigali ich tak, jak psy uganiają się za zającami. Grupka wieśniaków dotarła do lasów na południu i znikła wśród cieni, a kilku Kadoshim dostrzegło to i pognało za nimi.

– Lepiej zwołaj już swoich krewniaków, zanim się pogubią w lesie! – odezwał się Uthas.

– Oni są jak dzieci – rzekł Calidus z upodobaniem.

Z lasu dobiegły kolejne wrzaski.

## Rozdział osiemnasty

# CORBAN

Corban przebudził się gwałtownie i wsparł na łokciu. Odruchowo wyciągnął rękę, szukając Burzy, ale nie mógł jej odnaleźć.

Miał wrażenie, że przebudziło go jakieś doznanie.

Krzyk? A może to był sen?

Chciał przetrzeć oczy, ale uzmysłowił sobie, że nadal ma na dłoni rękawicę ze szponami wilkuna. Zerwał się na równe nogi. Rozłożyli obóz niedaleko rzeki. Drzewa rosły tu w sporej odległości od siebie. Ziemia była mokra od rosy, a świat na moment przed pojawieniem się pierwszych promieni słońca wydawał się świeży i czysty, ale Corban już czuł się zmęczony. Źle spał tej nocy – ciążyła mu konieczność podjęcia trudnych decyzji, choć wyglądało na to, że reszta świata chrapała dookoła niego z ukontentowaniem.

Będziemy walczyć, pomyślał.

Poprzedniego dnia czuł pewność i zdecydowanie, czuł, że podjął właściwą decyzję, ale teraz złapał się na tym, iż marzy, by hufiec Rhin zawrócił i pomaszerował na wschód, zachód, gdziekolwiek, byleby daleko od nich. W głębi serca wiedział jednak, że były to tylko próżne nadzieje. Idący za nimi hufiec cambreński z pewnością natrafił już na ich ślady. Bitwa była nieunikniona.

Poprzedniego dnia, gdy patrzył na ukształtowanie terenu wokół nich, pojawił się w jego głowie pewien pomysł, zainspirowany wspomnieniem zasadzki, którą Camlin urządził w Cambrenie. Corban omówił swoją strategię z Meicałem, Tukulem i Balurem, którzy ją podchwycili. Większość ich drużyny miała pozostać w lesie i w odpowiednim momencie rzucić wyzwanie wrogowi. Reszta – około dwudziestu olbrzymów i setka Jehar – miała się ukryć wśród wzgórz na zachodzie i z Meicałem na czele zaatakować z flanki. Wedle zamysłu Corbana oddział Rhin miał zostać pochwycony w kleszcze



przy brzegu rzeki i zmiądzony.

Jak spod ziemi wyrósł Akar, kapitan Jehar, którzy wcześniej podróżowali z Nathairem. Przyłożył palec do ust. Wtedy Corban usłyszał to znów. Z lasów gdzieś po lewej stronie dobiegł dziki wrzask, przeraźliwy, niemalże dziecięcy, który w pierwszej chwili skojarzył mu się z krzykiem lisa. Wtem usłyszał kolejny, już bliżej, gdzieś przed nimi. Akar złapał rękojeść przytroczonego do pleców miecza, ale nie wyciągnął go z pochwy. Inni Jehar zrywali się już ze snu i podnosili, a z półmroku wybiegł bezszelestnie zwiadowca z posterunków na skraju lasu.

– Ludzie tu idą! – szepnął do Akara i Corbana.

– Kto? Ilu? – spytał Akar.

– Trudno ocenić. Wygląda na to, że są rozsiani po całym lesie.

Zadudniły kopyta. Corban odwrócił się i ujrzał Coralen, która wjechała do obozu po całonocnym rekonesansie na południu. Towarzyszyli jej Burza, Buddai i grupka Jehar.

A więc to tam się podziewałaś, pomyślał chłopak, patrząc na wilkunicę.

Coralen ściągnęła wodze i otworzyła usta, chcąc coś powiedzieć, ale wtedy wzrokiem podążyła za Corbana, w głąb lasu.

Przez szpary w koronach drzew wnikało światło, przesywając wieczny półmrok puszczy. Poszycie trzeszczało i szeleściło, skądś dobiegały krzyki. Corban widział już ludzi, którzy potykając się, biegli ku niemu. Było ich dwudziestu, trzydziestu, być może więcej. Za ich plecami poruszały się jakieś cienie. Szybkie cienie.

Kobieta trzymająca dziecko przy piersi brnęła przez zarośla, gdy za jej plecami wynurzyła się postać z zakrwawionym podbródkiem.

Kadoshim.

Corban poczuł, jak przesywa go lęk, który szybko przeobraża się w niepowstrzymaną furję. Usłyszał za sobą okrzyk bojowy w gardłowym języku olbrzymów, a potem wykrzyknął własny i rzucił się do natarcia, dobywając broni. Dwa tuziny kroków i już był przy demonie. Jego umysł cofnął się do poprzedniej potyczki z Kadoshim. Tym razem nie pozwoli, by wściekłość go zaślepiła. Odepchnął wszelkie doznania i skupił się jedynie na bladej istocie o czarnych żyłach. Zamarkował uderzenie z góry, ale przeniósł ciężar ciała i nagle ciął od dołu, wkładając w uderzenie siłę pleców oraz ramion. Szpony wilkuna pochwytyły ostrze demona, poderwane, by zablokować uderzenie, które nie nadeszło, a miecz Corbana trafił przeciwnika

w nogę, tuż nad butem. Klinga niemalże przerąbała kończynę i uwięzła w kości, a pęd ciosu przeniósł chłopaka za plecy Kadoshim. Ten jednakże zdołał pochwycić młodzieńca za płaszcz – Corban zachwiał się, ale zamachnął się szponami wilkuna i odrąbał trzymające go palce. Uwolnił się, a wtedy wróg potknął się i padł, gdy zdradziła go ranna noga.

Wówczas rozległ się głuchy warkot. Burza runęła na ucieleśnionego demona, wbiła kły w jego gardło i cisnęła go na ziemię. Corban wykrzyknął rozkaz, nie chcąc, by znów odniosła ranę jak podczas poprzedniej walki z Kadoshim. Wilkunica niechętnie odpuściła i cofnęła się, warcząc na powalonego wroga, który usiłował się podnieść, choć w jego nodze nadal tkwił miecz Corbana.

Potem pojawili się Jehar – najpierw Akar, a po nim pozostali, w ich liczbie Gar. Otoczyli rannego demona, a ich połyskujące miecze opadały, tnąc i rąbiąc. Miecz Kadoshim śmigał z niewyobrażalną prędkością, odbijając dziesiątki ciosów. Któryś z Jehar zatoczył się, brocząc krwią z rozrąbanego gardła, ale nie było takiego, kto wytrzymałby jednoczesny atak sześciu Jehar, nawet demon z Zaświatu. Odrąbana ręka zatoczyła łuk, rozbryzgując gęstą, czarną krew, ale Kadoshim wciąż się nie poddawał i z twarzą wykrzywioną nienawiścią próbował pochwycić któregoś z napastników.

I nagle walka dobiegła końca. Nad odrąbaną głową Kadoshim eksplodował cień, który uformował postać skrzydlatego demona, wydał z siebie wrzask pełen frustracji i rozpląnął się w porannym powietrzu.

– Lepiej się z tym nie rozstawaj – rzekł karcąco Gar i oddał Corbanowi jego miecz. – Pazurami łba takiemu nie oderwiesz.

Tu i ówdzie trwała walka. Przez chwilę Corban obawiał się, że zostali zaatakowani przez cały zastęp Kadoshim, ale teraz widział już, że było ich co najwyżej dwudziestu, co do jednego otoczonych przez Jehar i olbrzymy. Na jego oczach Balur odrąbał któremuś głowę czarnym toporem.

Ale co oni tu robią? I gdzie jest reszta?, zastanawiał się Corban.

Wbił wzrok w leśne cienie, wypatrując ruchu, przeświadczony, że zaraz wypadnie na nich reszta demonów. Obok przemknęła Coralen, która gnała konno ku kobiecie z dzieckiem, dostrzeżonymi przez niego wcześniej. Nadal uciekali, ścigani przez ciemny cień.

Dziewczyna skręciła ostro między drzewami, przedzierając się przez zarośla. Ewidentnie chciała odciąć Kadoshim drogę. Corban naraz poczuł przypływ strachu i bez wahania rzucił się do biegu ku nim.

Kadoshim przeskoczył nad zwałonym pniem i runął na swą zdobycz. Całą trójką przetoczyli się po ziemi, ale dziecko wypadło i wbiło się w kolczasty krzak. Demon wreszcie się zatrzymał, przygniatając kobietę do ziemi. Zatopił kły w jej ramieniu i oderwał strzęp ciała. Kobieta wrzasnęła.

On ją pożera!, przemknęło Corbanowi przez myśl.

Wtedy zjawiała się Coralen, która w biegu zeskoczyła z konia. Wpadła na Kadoshim, przetoczyła się wraz z nim, jakimś cudem wbiła stopy w jego brzuch i odrzuciła go od siebie. Demon zatoczył łuk w powietrzu i uderzył plecami o pień drzewa.

Dziewczyna zerwała się do przykłąku, płynnie dobywając ostrza, i bez chwili wahania rzuciła się do ataku. Jej miecz poruszał się z oszałamiającą szybkością. Kadoshim odepchnął się od drzewa i porwał za własny oręż. Klingi zderzyły się, kaskada iskier rozświetliła leśny półmrok, potem zwały się raz jeszcze i ponownie. Corban nie mógł nadażyć za nimi wzrokiem, choć naliczył sześć ciosów. Coralen nachylała się, wirowała, cięła to mieczem, to pazurami, a Kadoshim kontrował i sam uderzał z mocą, która odrzucała dziewczynę do tyłu. Broczył krwią z tuzina ran, ale nacierał bez litości, rąbał, aż Coralen potknęła się i runęła na ziemię. Uderzyła głową o omszały głąz.

Kadoshim stanął nad nią i wznosił miecz, ale zatoczył się, gdy w jego pierś wbiła się strzała. Potem uderzyło w niego coś innego, co odrzuciło głowę demona w tył. Z oczodołu sterczała mu rękojeść noża. Zdrowym okiem zmierzył jednak Coralen, która próbowała się poderwać, i skoczył ku niej. Wydawał się poszarpanym strzępem człowieka, ale nadal emanował dziką, niepowstrzymaną siłą.

Corban przeskoczył nad ciałem klęczącej Coralen i zasłonił ją, wznosząc trzymany oburącz miecz nad głowę. Przez twarz demona przemknął jakiś grymas – ni to uśmiech, ni to warknięcie – a potem ich ostrza się zwały. Demon uderzał z ogromną siłą i nadgarstek Corbana aż zdrętwiał. Mimo to zmusił Kadoshim do cofnięcia się o krok, a potem o kolejny.

Słabnie, pomyślał.

Uniósł miecz, zablokował uderzenie demona i błyskawicznie przeszedł do cięcia w dół. Odrąbał dłoń trzymającą miecz i kopnął przeciwnika w pierś. Ten, zataczając się, zrobił jeszcze kilka kroków. Jakaś strzała wbiła mu się w brzuch, a po niej nóż. Nagle Corban uświadomił sobie, że zewsząd zbliżają się towarzysze – Jehar i olbrzymy, a za nimi warczący Burza i Buddai. Obok Corbana wyrósł Farrell ze swoim młotem wojennym, czarnym od krwi.

Kadoshim rzucił się naprzód. Farrell rąbnął go młotem w pierś, aż rozległ się trzask pękających kości. Okaleczony, zmasakrowany demon padł na plecy, a wówczas Corban uniósł miecz i ciął go po szyi, częściowo ją przerąbując. Ciało demona przeszły konwulsje, ale spróbował obrócić się i pochwycić chłopaka. Farrell złapał go za nadgarstki, a Corban ciął ponownie. Głowa odpadła, a z kikuta szyi wypłynął czarny, oleisty cień, który przybrał skrzydlaty kształt i rozpląnął się niczym podarty, postrzępiony sztandar.

Corban stał przez moment i ciężko sapał. Wszyscy dookoła milczeli, oszołomieni tym, co ujrzeli.

– Na jaja Elyona, ależ je ciężko zabić – wysapał Farrell.

– Zbyt ciężko – zgodził się Corban i obmacał szczyby na ostrzu, po czym poklepał obuch młota przyjaciela. – Będziesz musiał uzbroić się w jakieś ostrze na te demony.

– Chyba tak.

Następnie Corban podszedł do Coralen, która zdążyła się już podnieść, ale nadal kręciło się jej w głowie.

– Dziękuję – powiedziała, a młodzieniec ścisnął jej ramię.

Cywen oparła stopę na odrąbanej głowie Kadoshim i wyciągnęła nóż z jego oka. Brina kucała nad kobietą zaatakowaną przez demona i tamowała krew ciekącą z jej rany. Corban rozejrzał się i uświadomił sobie, że bitwa dobiegła końca.

Pytanie brzmi, na jak długo, przemknęło mu przez myśl.

Grupki Jehar i olbrzymów rozbiegły się po lesie w poszukiwaniu niedobitków.

Meical ma rację. Przed Wojną Bogów się nie ucieknę, pomyślał. Dogoniła mnie, choć umykałem z Dun Carreg aż do Domhainu. Pojechałem na daleką północ i znalazłem się w samym jej środku. A teraz dopadła mnie ponownie. Nie da się przed nią uciec ani schować. Mogę uważać się za szczęściarza, jeśli będę w stanie wybrać miejsce i sposób walki.

Nabrał tchu.

– Musimy się stąd wynosić! – odezwał się głośno, nie kierując słów do nikogo konkretnego.

– Zbierzcie głowy Kadoshim! – ryknął stojący za nim Tukul.

\* \* \*

Zebrali się na łące na skraju lasu, a wraz z nimi ci, którzy przeżyli morderczą pogoń Kadoshim. Było ich ponad dwa tuziny. Corban szybko odnalazł Brinę, która wraz z Cywen opatrywała rannych. W walce padło trzech Jehar oraz młody olbrzym. Ich ciała ułożono na trawie i przykryto kamieniami.

Uzdrowicielka nakładała masę na ramię kobiety ocalonej przez Coralen. Kobieta krzywiła się z bólu, a jej siedmio- czy ośmioletnia córeczka siedziała w milczeniu obok. Zrywała kwiatki i obracała je w brudnych paluszkach.

Corban uklęknął obok kobiety.

– Jak cię zwa?

– Teca – odparła.

– Skąd pochodzicie?

Kobieta wpatrywała się w niego.

– Pomogliście nam. Ty i ta rudowłosa dziewczyna.

– Nie tylko my – odparł Corban. – Muszę wiedzieć, skąd przybywacie.

Wtedy Teca opowiedziała mu o wsi, którą opadł zastęp Kadoshim, prowadzony przez wojownika na wielkim draigu.

– Niektórzy z nas zostali, by walczyć. Ja uciekłam – przyznała, a w jej oczach pojawiły się łzy.

– Mądry wybór. – Corban uścisnął jej dłoń. – Jak dotąd nie ma na nich sposobu. Czy wszystkie demony pognały za wami? Są blisko?

– Nie wiem – syknęła kobieta przez zaciśnięte usta, gdy Brina obwiązywała jej ramię bandażem.

– Możesz przejść się ze mną? – spytał Corban uzdrowicielkę, gdy zakończyła pracę.

– Po co?

– Chcę z tobą porozmawiać. Muszę podjąć decyzję i przyda mi się twoja rada.

Brina zamrugwała.

– Chory jesteś czy co? – zapytała.

– Sarkazm to mało pociągająca cecha, a w tej chwili nie przyda nam się wcale.

Brina wzruszyła ramionami i udała się za nim. Nad ich głowami trzepotały krucze skrzydła.

\* \* \*

Corban zgromadził wszystkich, którzy zaczęli tworzyć jego radę wojenną – Meicala, Balura, Ethlinn, Tukula, Gara oraz Brinę. Zauważył, że dołączyła do nich też Cywen, a Crafi i Fech siedziały w pobliżu.

Znów poczuł znajomy dreszcz lęku.

Tworzę plany, zmieniam je, a od moich decyzji zależy życie wielu ludzi, pomyślał.

Czuł na sobie ogromny ciężar. Zamknął oczy i zebrał myśli.

– Nasz plan musi ulec zmianom – rzekł. – Calidus, Nathair i zastęp Kadoshim są za nami na północy. W najlepszym razie dzieli nas dzień jazdy, a w najgorszym...

Wzruszył ramionami, spoglądając na ciemny mur drzew.

– A co z hufcem Rhin? – spytał Meical.

Corban milczał.

Kiedy powiem im, co wymyśliłem, nie będzie już ucieczki, pomyślał i nabrał tchu.

– Nie da się ich wyminąć, a więc trzeba będzie się przebić.

– Czy to rozsądne? – odezwała się Brina. – To spore ryzyko. Możesz związać się walką z jednym wrogiem, a drugi ugodzi cię w plecy.

Prosiłem o rady, a nie o krytykę!, pomyślał Corban. Choć w ustach Briny jedno jest często splecione z drugim.

– Mój ojciec zawsze mówił, by nie bić, jeśli da się tego uniknąć, ale jeśli nie ma wyboru, trza rąbnąć z całej siły – rzekł. Kątem oka dostrzegł uśmiech na twarzy Gara i usłyszał mruknięcie Cywen.

Oni też to pamiętają, pomyślał.

– To ma sens – zgodził się Meical. – Ale jak chcesz tego dokonać? Zaszarżować prosto na nich? Poniesiemy spore straty.

– Przemyślałem całą sprawę gruntownie – rzekł Corban. – I chyba mam pomysł.

## Rozdział dziewiętnasty

# CAMLIN

Camlin zerknął przez szczelinę między okiennicami. Trzymał w ręku łuk i opierał strzałę o cięciwę. Łomot kopyt stawał się coraz głośniejszy. Były banita zaklął cicho.

Wielka szkoda, że nas nie wyminęli, myślał. Miałem nadzieję, że tak zrobią. Po jaką cholere miałoby wracać do tej cuchnącej dziury?

Nie była to wcale metafora. Okrągły dom, w którym się skryli, cuchnął śmiercią. Nad ciałami kilku wieśniaków, którzy najwidoczniej szukali tu schronienia, krażyły leniwie roje much. Camlin rozejrzał się pośpiesznie, zastanawiając się, czego wojownicy Rhin tutaj w ogóle szukali, ale pobieżne oględziny nie przyniosły żadnego rezultatu, a zbliżający się tętent kopyt wcale nie sprzyjał rozmyślaniom.

Gdy pojawiły się wieści o nadciągających jeźdźcach, Edana spojrzała na Camlina. On stał przez moment jak skamieniały. W jego głowie kotłowały się najrozmaitsze sprzeczne myśli, ale rozpedził je i nakazał wszystkim schować się w okrągłym domu. Zatrzymał się jedynie na moment, by odpiąć kilka czarno-złotych płaszczów.

Swego czasu byłaby to naprawdę prosta decyzja, myślał. Przygotować zasadzkę, zająć budynki dookoła rynku, odpowiednio rozłożyć siły. Gdyby doszło do walki, uderzać i uciekać, a potem spotkać się w wyznaczonym miejscu.

Te czasy już minęły. Oprócz siebie miał na głowie życie dwudziestu sześciu innych ludzi, w tym zbiegłego króla, zbiegłą królową i ośmioletnią dziewczynkę. Meg, mała, którą znaleźli w stajni, siedziała tuż przy jego nodze. Nie mówiła wiele, ale nie oddalała się od niego nawet o krok. Zmarszczył brwi, zerkając na nią.

Okiennice zaczęły dygotać, a tętent kopyt był ogłuszający.

Sporo ich. Coraz lepiej, pomyślał.

Jego plan polegał na tym, by skryć się gdzieś razem i przeczekać zagrożenie. Trzeba było mieć nadzieję, że wróg pojedzie dalej.

Zerknął przez ramię i ujrzał pobladłe, poważne twarze wpatrzonych w niego ludzi. Roisin stała gdzieś na tyłach izby, zasłonięta przez tuzin przybocznych. Lorcan siedział tuż przy niej na skrzyni pokrytej kocem i machał nogami. Camlin dostrzegł też Vonna i Bairda, którzy pochyleni ryli mieczem i włócznią dziury w ścianie zbudowanej z pokrytej gliną plecionki z drzewnych witek.

Zawsze trzeba mieć drogę ucieczki, pomyślał Camlin. Jeśli nas znajdą... Dobra, wtedy będziemy się martwić.

Wyjrzał przez szczelinę między okiennicami. Trwał zachód słońca i chmury nabierały już pomarańczowego i różowego odcienia. Cienie stawały się coraz dłuższe.

Przynajmniej z tego można się cieszyć, przemknęło mu przez myśl.

Poczuł za sobą czyjąś obecność. To Edana próbowała zerknąć mu przez ramię.

– Powinnaś się wycofać – szepnął, ale młoda królowa zignorowała go.

Pierwsi jeźdźcy z łomotem wtargnęli między zabudowania, ale zatrzymali się wzdłuż skraju rynku.

Przecież żaden koń nie stanie na ciele, myślał Camlin.

Naliczył sześćdziesięciu konnych, ale słyszał już kolejnych. Kopyta ich wierzchowców tłukły o ubitą ziemię.

Wojownik jadący na czele oddziału siedział prosto i prowadził swego rumaka z lekkością i wrodzoną gracją. Miał na sobie błyszczącą kolczugę oraz czarną opończę, a z ramion spływało mu futro z soboli.

– To Morcant! – syknęła nienawistnie Edana.

Camlin podzielał jej emocje. Doskonale pamiętał sytuację, w której widział Morcanta po raz ostatni. W Ciemnym Borze wojownik poprowadził atak na królową Alonę, matkę Edany, w efekcie czego obie wraz z Cywen, siostrą Corbana znalazły się w niewoli. Niedługo później Morcant skazał Cywen na śmierć, co dla Camlina było ostatnią kroplą przepełniającą czarę goryczy. Dobył wówczas miecza i stanął w obronie dziewczyny.

Idiota ze mnie i tyle. Czy ja naprawdę postawiłem się pierwszemu mieczowi Rhin?, rozmyślał.

Nawet teraz nie potrafił wytłumaczyć sobie tamtej decyzji.



– Nie rób niczego głupiego – szepnął do dziewczyny.  
– Ten człowiek to zło wcielone!  
– Wiem. Ale mam ochotę pożyć jeszcze trochę, by móc go kiedyś zabić i ułożyć o tym opowieść.

Edana zmierzyła go wściekłym spojrzeniem, ale skinęła energicznie głową. Morcant odwrócił się. Camlin ujrzał, jak wojownik nabiera tchu i marszczy nos.

– Pośpieszmy się – rzekł do mężczyzny stojącego obok. – Nie chcę tu zostać ani chwili dłużej, niż to absolutnie konieczne. Przyprawadźcie ich. – Zamarł i rozejrzał się. – A gdzie są ludzie, których pozostawiłem na straży?

Camlin narzucił na siebie zabrany trupowi płaszcz, drugi cisnął Bairdowi i obaj stanęli w drzwiach budynku. Były banita uniósł rękę.

– Ach – rzekł Morcant. Przyglądał się im przez moment, ale wówczas pojawił się kolejny jeździec, prowadzący kilka koni. Na grzbiecie każdego z nich siedział jeńiec ze związanymi rękami. – Spójrzcie tylko – zwrócił się do nich Morcant i zatoczył ręką łuk, pokazując im zasłany trupami rynek. – Oto, co się dzieje, gdy ktoś mi się sprzeciwia. Taki los mógł spotkać również i wasze wsie.

Kopnął piętami boki rumaka. Ten, stąpając uważnie wśród poległych, podjechał do szubienicy, a wówczas Morcant trącił ciało jednego z powieszonych dzieci, które zaczęło obracać się powoli w blasku zachodzącego słońca.

– Mężczyźni, kobiety, dzieci... Nie oszczędzę nikogo – rzekł.

Jeden z wieśniaków na końskim grzbiecie pochylił się i zwymiotował. Morcant zawrócił ku jeńcom.

– Ale nie musi tak być. Wystarczy, że odpowiecie mi na jedno pytanie. Gdzie ukryli się banici?

– Nie wiemy – odezwała się jedna ze związanych osób, siwowłosa kobieta. – Jesteśmy pokojowym ludem i nie zależy nam na kłopotach.

– Mnie również nie – rzekł Morcant. – Wolałbym jak najszybciej zakończyć moje zadanie i powrócić do Dun Carreg. Życie na bagnach nie jest dla mnie. – Jakby na potwierdzenie tych słów rozgniół komara, który usiadł mu na szyi. – A więc powiedzcie mi, gdzie siedzą banici. Kończy mi się cierpliwość i zaraz trafi mnie szlag.

– Jesteś potworem! – warknął jeden z młodszych mężczyzn. – Zabijasz kobiety i dzieci, kanalio! – Splunął Morcantowi w twarz.

Rozdrażnienie na twarzy wojownika w okamgnieniu zastąpiła bezbrzeżna furia. Świsnęło żelazo i odcięta głowa śmiałka wyfrunęła w powietrze. Jego krew obryzgała Morcantowi twarz.

– Nie. Jestem. Potworem – rzekł i ze spokojem wytarł miecz o koszulę bezgłowego trupa, a ten powoli przechylił się i runął w błoto. Wówczas Morcant schował miecz do pochwy i rąbką płaszczą starł krew i plwocinę z policzków. – Choć zdarza mi się, przyznaję, że ulegam emocjom, a te biorą nade mną górę. A jeśli chodzi o to, co tu zrobiłem... Cóż, na swoją obronę mogę powiedzieć tylko tyle, że mieszkańcy tej wsi nie ograniczyli się do zatajenia przede mną informacji. Miałem powody, by sądzić, że zaopatrywali banitów na bagnach. – Wzruszył ramionami i dodał: – Nie można na takie rzeczy pozwalać.

Oparłszy dłoń na rękojeści miecza, przejechał wzdłuż szeregu jeńców.

– Ja nie ograniczam się do karania tych, którzy mi się przeciwstawiają. Nagradzam również tych, którzy mi pomagają. Dobrze płacę za odpowiednie informacje. Wystarczy wam srebra, by karmić i ubierać całą waszą wieś przez rok. Moglibyście też, rzecz jasna, podzielić się nagrodą w waszym gronie. Byłaby to nasza tajemnica.

– Kłamiesz – mruknął jeden z jeńców.

– Doprawdy? W tym okrągłym budynku znajduje się skrzynia ze srebrem. Przynieście ją.

Camlin zerknął na Bairda, a potem rozejrzał się dookoła, aż pochwycił spojrzenie Lorcana, który wpatrywał się w niego z przerażeniem. Zerwał koc ze skrzyni, na której siedział, i kopnął ją piętą. Zabrzęczało. Wszyscy wbili w niego wzrok.

Na jaja Asrotha... I to niby ja jestem złodziejem? Czuję się zażenowany, pomyślał Camlin.

– Wynieście tę przeklętą skrzynię! – zawołał niecierpliwie Morcant.

– Niech no ktoś pomoże! – odkrzyknął Baird, a potem spojrzął na Camlina i wzruszył ramionami.

Morcant skinął na dwóch przybocznych.

– Dalej, przynieście mi to srebro.

Wojownicy podjechali do budynku.

– Baird, Vonn, wygrzebaliście już tę dziurę? – warknął Camlin.

– Prawie! – syknął Vonn.

Konie zatrzymały się przed wejściem, buty uderzyły o ziemię. Rozległy się

kroki.

Nie ma czasu na ucieczkę, przemknęło Camlinowi przez myśl.

Wojownicy tłoczyli się w ciemnych kątach izby, chowali za przewróconymi stołami, krzesłami, czymkolwiek. Camlin zasłonił sobą Edanę i wyciągnął nóż.

Drewniane drzwi zaskrzypiały. Zapadał już zmierzch, a w izbie panowały niemalże ciemności. Przez otwarte drzwi napływały resztki światła słonecznego. Na progu zamajaczyły ciemne sylwetki obu wojowników, którzy weszli do środka. Camlin pozwolił im zrobić kilka kroków, aż znikli z oczu kamratów na placu, po czym wyskoczył naprzód, zacisnął jednemu z nich dłoń na ustach i pchnął go nożem w plecy, przebijając jednocześnie płuco. Pochwycony przezeń wojownik zeszywniał i zasyczał, a Camlin dźgnął go jeszcze parokrotnie. Drugi obrócił się, wyszarpując miecz z pochwy, i otworzył usta do krzyku.

Czyjeś ostrze z chrupnięciem wgryzło się głęboko w jego szyję. Trysnęła krew, a miecz uderzył znów, tym razem prosto w twarz, odrąbując połowę szczęki i obracając ciałem. Trysnęły zęby, krew, kawałki kości, a trup osunął się na polepę.

Camlin odwrócił się i ujrzał Edanę zaciskającą miecz w obu dłoniach. Wpatrywała się w powalonego wojownika. Tropiciel wyjrzał przez szczelinę w okiennicach.

Nikt niczego nie zauważył. Jak dotąd, pomyślał.

Zgarnął łuk oraz kołczan i podbiegł do tylnej ściany, gdzie Baird i Vonn wreszcie wycięli dziurę. Do środka wpadało blade światło.

Przy odrobinie szczęścia zostało nam jakieś pół minuty, stwierdził.

– Na zewnątrz! – syknął.

Cian wyskoczył pierwszy, za nim Roisin, potem pół tuzina jej przybocznych. Camlin wystawił głowę przez dziurę.

– Nie ociągajcie się! Pędźcie na południe, do rzeki. Widziałem tam łodzie! To nasza szansa!

Rozejrzał się w poszukiwaniu Meg i aż podskoczył, gdy ujrzał ją tuż obok siebie.

– Meg, pokaż Cianowi drogę do łodzi!

– A ty też idziesz?

– Za chwilę.

Dziewczynka przygryzła wargę, ale skinęła głową, wyślizgnęła się przez

dziurę i popędziła w gęstniejący zmierzch, a za nią Cian i reszta.

Edana nadal stała przy drzwiach, ściskając miecz. Vonn szeptał do niej, ale bez widocznego skutku. Camlin podszedł bliżej. Wystarczyło, by raz spojrzeć na królową, a natychmiast odgadł, co jej dolega. Potrząsnął ją za ramiona.

– Zabiłaś człowieka – syknął do niej. – Dobrze. Był twoim wrogiem i gdybyś nie uderzyła pierwsza, to on zabiłby ciebie. Teraz wsadź miecz do pochwy i zmiataj stąd, zanim wejdzie tu ktoś jeszcze, by cię zabić!

Edana zamrugnęła, ale skinęła głową. Próbowwała wsunąć miecz do pochwy, ale jej ręce drżały. Baird przyszedł jej z pomocą i pośpiesznie wyprowadził ją przez dziurę. Osłoniło ich kilku innych ludzi.

Morcant znów zawołał, a Camlin poczuł, jak krew w jego żyłach zamienia się w lód. Zadudniły kopyta, rozległy się kroki.

– Szybciej! – syczał, przepychając ludzi przez dziurę. – Lorcan, teraz ty!

– Zaczekam wraz z tobą i osłonię ucieczkę Edany!

Camlin westchnął.

Została ich zaledwie garstka – Camlin, Lorcan, kilku ludzi Roisin, a wśród nich Brogan, wciąż z beczką śledzi przytroczoną do pleców, oraz Vonn. Camlin ze spokojem wyciągnął kilka strzał z kołczanu przy pasie i powbił je w ziemię.

Kroki rozlegały się coraz bliżej, aż do izby wepchnęło się kilku ludzi, co najmniej sześciu. Dostrzegli Camlina oraz jego towarzyszy i zamarli na moment. Były banita wykorzystał to i posłał pierwszemu z nich strzałę w szyję. Ten padł, bryzgając krwią, na innych, a tropiciel naciągnął łuk, nabrał tchu i puścił kolejną strzałę. Pozostali zerwali się do ataku, wzywając resztę oddziału. Vonn znalazł się już w dziurze.

Camlin przebił strzałą trzeciego napastnika, który zwalił się prosto pod nogi kamratów. Ułamek sekundy później runął na nich któryś z ludzi Lorcana z okrzykiem bojowym. Wzniósł trzymany oburącz miecz, wypatroszył pierwszego, którego dopadł, wpadł między resztę i roztrącił ich na wszystkie strony.

– No dalej! – wrzasnął Vonn przez dziurę.

– Pora na ciebie! – Camlin zwrócił się do Lorcana, złapał go za ramię i wypchnął na zewnątrz. – A teraz ty, wielkoludzie! – krzyknął do Brogana, jednocześnie puszczając następną strzałę. Do środka wdzierali się coraz to kolejni wojownicy w czerni i złocie.

Brogan stęknął głucho, gdyż beczka, którą miał na plecach, utknęła

w dziurze. Camlin cofnął się i rzucił się na niego całym ciałem. Oboje wypadli na zewnątrz. Były banita stracił równowagę i przetoczył się po ziemi. Spojrzał za siebie i ujrzał nogi biegnących w ich stronę ludzi. Między nimi dostrzegł szkatułę ze srebrem.

Kiedyś zrobiłbym wszystko, by ją zdobyć, pomyślał.

Bez namysłu zerwał się do biegu. Vonn i Lorcan pędzili tuż przed nim, manewrując między chatami, a Brogan deptał mu po piętach. Gdzieś dudniły kopyta i krzyczeli wojownicy, o wiele za blisko jak na gust Camlina.

Rzeka! Znajdź rzekę!, myślał.

Było już prawie ciemno, a w powietrzu unosiła się niebieskawa poświata, pozostała po zachodzącym słońcu. Camlin usłyszał skądś plusk wody. Obiegł chatę, otworzył z rozmachem furtkę do zagrody ze świniami i popędził dalej. Tupot stóp goniących go ludzi sekundę później zagłuszył przeraźliwy kwik zwierząt oraz przekleństwa przewracających się wojowników. Na twarzy Camlina pojawił się złośliwy uśmiech. Sam dobiegał już do rzeki.

Łodzie były przywiązane wzdłuż brzegu. Cian i Roisin siedzieli już w czółnie, a wojownicy w innych łodziach odpychali się i wypływali na szeroki, powolny nurt.

– Lorcan! – wykrzyknęła Roisin na widok syna, a chłopak wdrapał się do jej czółna.

Baird, który wybrał nieco większą łódź o płaskim dnie, stał nad Edaną i przywoływał ich energicznymi, rozpaczliwymi gestami. Niespodziewanie Camlin poczuł, jak w jego rękę wsuwa się inna, drobniejsza. Była to Meg, która pociągnęła go ku łodzi. Nie potrzebował innej zachęty – podbiegł do brzegu i wskoczył na pokład.

Wzdłuż rzeki gnały konie, wojownicy krzyczeli i przeklinali. W powietrzu świstały włócznie, które z pluskiem wpadały do wody, ktoś nieopodal wrzasnął i też runął w toń.

– W górę rzeki! – wrzasnął Camlin, dostrzegając dwóch wojowników w małej łódce, którzy wiosłowali już z prądem. – Na bagna!

Szybciej byłoby uciekać z prądem, ale Cambreńscy wytropiliby nas bez trudu. Naszą jedyną szansą są bagna, pomyślał.

Wtedy dostrzegł Morcanta. Wojownik wypadł spomiędzy chat, ujrzał odbijające łodzie i warknął. Camlin nałożył strzałę na cięciwę, naciągnął i wycelował, ale nim ją wypuścił, któryś z napastników trafił włócznią Brogana. Wielkolud stęknął i puścił drąg, którym odpychał się od dna, przez

co łódź gwałtownie skręciła. Camlin zachwiał się i jego strzała chybiła. Zaklął wściekle, wyciągnął drugą, ale łódź, porwana nurtem, zaczęła się obracać. Były banita podniósł się, pochwyił drąg, odepchnął ze wszystkich sił i po chwili płynęli już we właściwym kierunku. Wraz z nimi ku bagnetom kierowało się pół tuzina innych rzecznych łódeczek.

Wtedy Brogan stęknął i się podniósł.

– Myślałem, że cię załatwili – odezwał się do niego Camlin.

– Dzida wbiła się w beczkę z rybami. – Brogan uśmiechnął się szeroko i wyciągnął śledzia pomiędzy strzaskanych desek.

Wśród krzyków przerażonych uciekinierów poniósł się śmiech Bairda.

– Chodźże tu, człowieku śledziu, pomożesz nam! – zawołał do Brogana.

Tymczasem Morcant prowadził brzegiem konną pogoń.

– Meg, potrafisz znaleźć drogę wśród tych bagien? – spytał Camlin.

– Trochę je znam – przyznało dziecko.

– Byłbym ci wdzięczny, gdybyś zabrała nas tam, gdzie nie będą w stanie nas gonić.

Niebawem Meg wskazała im pierwszy dopływ, a potem kolejny. Grupa ludzi sunęła coraz węższymi odnogami, nieustannie kierując się na południowy wschód, czasami przedzierając się przez gęste szuwały, czasami przemykając niczym duchy wśród migotliwej, płynnej czerni. Wnikali coraz głębiej w bagna.

Nastała noc. Księżyc oraz gwiazdy nad głowami uciekinierów zostały przesłonięte przez postrzępione chmury. Camlin z satysfakcją obserwował, jak pościg zwalnia, gdyż teren stawał się coraz trudniejszy dla koni. W końcu usłyszał głośny plusk i dzikie rżenie.

Nim zniknęli w ciemnościach, dojrzał jeszcze jeźdźca, który zbliżył się do brzegu. Na moment chmury rozeszły się i blask księżyca posrebrzył zarówno rzekę, jak i konnego. Był to Morcant, który wpatrywał się prosto w niego.

Camlin odwzajemnił spojrzenie z szyderczym uśmiechem.

## Rozdział dwudziesty

# FIDELE

Fidele przyglądała się, jak Maquin patroszy i obłupia ze skóry królika. Jego ruchy były oszczędne, ale skuteczne.

Gdybym znalazła się tu sama, już dawno umarłabym z głodu, pomyślała.

Przeszyła ją frustracja oraz wstyd. Przeszkadzało jej to, że okazała się tak bardzo bezużyteczna.

Cóż ja właściwie potrafię? Umiem biec przez las, choć i to nie wychodzi mi najlepiej. A rządzić? Cóż, w tej materii również nie osiągnęłam wielkich sukcesów.

Z narastającym wstydem uświadomiła sobie, jak bardzo zmienił się jej świat przez ostatnie miesiące.

Jeszcze nie tak dawno temu mieszkałam w Jerolin z mężem i synem. Teraz Aquilus nie żyje, Nathair znikł, a ja żyję w dziczy z tego, co da się upolować. Kto teraz w ogóle zasiada na tronie? Kto włada ludem Tenebralu? Moim ludem.

Doskwierała jej świadomość porażki. Czowała, że zawiodła wszystkich, którzy na niej polegali.

Aquilus, dla którego honor i obowiązek były zawsze największymi wartościami, przez ostatnie lata naszego małżeństwa do tego stopnia był pochłonięty przepowiednią Meicala, że stał się dla mnie niemalże obcy, myślała. Wystarczył nóż zdrajcy, by wszystko poszło na marne. Nathair zaś, mój własny syn, opuścił mnie i zastąpił Lykosem.

Wstyd ustąpił miejsca złości. Obaj mężczyźni w jej życiu, którym ufała bezbrzeżnie, porzucili ją bez wahania. Żaden nie dopuścił jej do własnych tajemnic.

Wstyd powrócił równie szybko, jak znikł.

Aquilus był dobrym człowiekiem, ale przygniotło go brzemień nadchodzących

ciężkich czasów, pomyślała Fidele. Nathair to również wspaniały mężczyzna, całkiem oddany walce z mrokiem. Ba, ja również taka byłam. Zostałam jednak zdradzona. Wszystko zmieniło się w chwili, gdy otrzymałam list od Nathaira, w którym kazał mi ustąpić ze stanowiska regentki i oddać ster rządów w ręce Lykosa. Dlaczego to zrobił? Jak to możliwe, by Nathair sprzyścił się z Lykosem? Boję się o niego. Czy na niego również rzucono urok? A może został oszukany? Namieszano mu w głowie?

Z niemałym wysiłkiem oderwała się od ponurych przemyśleń i skupiła się na obserwowaniu Maquina, który przygotowywał dla nich kolację.

Zatrzymali się nieco wcześniej niż zwykle. Słońce wisiało jeszcze nad horyzontem, gdy Maquin zaczął rozstawiać pułapki wokół kilku wypatrzonych króliczych norek. Fidele przyglądała się z fascynacją, jak przycinał sznurek i obwiązywał nim zwisające do ziemi gałęzie, po czym przyginał i mocował je do ziemi. Sam schował się za gęsto ulistnionym dębem, rosnącym kilka kroków dalej.

Było już ciemno, gdy usłyszała trzask uruchamianej pułapki. Maquin uśmiechnął się do niej szeroko, co nie zdarzało się często i natychmiast ożywiło jego ponurą, skwaśniałą twarz.

– Czeka nas pieczeń na kolację! – oznajmił.

Nie była w stanie wyrazić, jak bardzo ją to ucieszyło. Przez cały dzień padała lekka mżawka, która przemoczyła jej ubranie na wskroś na długo przed nastaniem południa. Maquin narzucił ostre tempo, nie dając jej czasu na odpoczynek i zdyszana, wyczerpana Fidele ledwie za nim nadążała. Była bardzo szczęśliwa, że zdecydował się na przerwę, zanim otoczyły ich ciemności.

– Nic nam nie zgrozi, jeśli rozpalimy ognisko? – spytała, gdy Maquin zaczął rozglądać się za rozpałką, która nie zdołała jeszcze przesiąknąć do końca wilgocią. Odcinał nożem przegniłe kawałki gałęzi, by dostać się do suchego drewna.

– Chmury są gęste i wiszą nisko, a więc dym nas nie zdradzi. Poza tym minęło już dziesięć dni, odkąd widzieliśmy ostatniego Vin Thalun. Mogę poza tym obkopać ognisko, by płomienie nie były zbyt widoczne. Chyba warto zaryzykować, co? Mam wrażenie, że moje kości zaczynają wilgotnieć.

Cieszę się, że to powiedział, pomyślała Fidele. Zdaje mi się czasem, że nie zostało w nim wiele z człowieka, bo wszystko, co ludzkie, przekuł w siłę oraz determinację...



Wkrótce Maquin nabił kawałek króliczego mięsa i umieścił je nad niewielkim ogniem. Od dziesięciu dni wędrowali w głąb Tenebrału, trzymając się na ogół lasów porastających pagórkowatą krainę, a po owej pamiętnej nocy, kiedy Maquin wybił ścigających ich Vin Thalun, skierowali się na wschód.

Nie dałby im rady, gdyby nie moja pomoc, pomyślała Fidele, choć jeszcze nie otrząsnęła się po tym, co zrobiła. Zabiła wszak człowieka. Wbiła mu włócznię w gardło. Wciąż widziała tamtą chwilę w powtarzających się koszmarach.

Ależ ze mnie idiotka, rzekła do siebie. Przecież to był mój wróg. Zabiłby Maquina, a potem mnie.

– Naucz mnie tej sztuki – odezwała się niespodziewanie, wskazując królika.

– Nie sądzę, by delikatne dłonie zacnej damy podołały takiej robocie – powiedział Maquin.

– Cóż, a powinny – warknęła Fidele. – Cóż ze mnie za pożytek? Czuję się jak dziecko, które nie jest w stanie zatroszczyć się o siebie.

– Wszyscy uczymy się tego, co jest nam potrzebne. – Maquin wzruszył ramionami. – Ludzie tacy jak ty uczą się rządzić i wydawać rozkazy. Ludzie tacy jak ja uczą się robić to, co im się każe. Najczęściej jest tym jakiś użyteczny fach.

– A na czym polega twój użyteczny fach?

– Zadaję śmierć.

Popatrzył na swe ręce, a Fidele powiodła wzrokiem za jego spojrzeniem. Dłonie Maquina były zaskakująco delikatne, a jego palce smukłe i długie niczym u dworskiego muzyka, choć gdy je odwrócił, kobieta ujrzała zgrubienia i odciski, a w zagłębieniach skóry – ciemne krążki brudu bądź zakrzepłej krwi.

– Nauczę cię, jak rozpalać ognisko, łapać króliki i przygotowywać je do gotowania, jeśli zechcesz – rzekł Maquin. – Choć może nie być już kolejnej okazji, nim dotrzemy do Ripy.

Jeśli dotrzemy do Ripy, pomyślała Fidele.

Ranny tenebralski wojownik, Drusus, umarł tej samej nocy, ale zdołał im przekazać, że Peritus ustalił miejsce spotkania z każdym członkiem swej niewielkiej rebelii. Była nim Ripa, forteca barona Lamara. Fidele nie była tym wcale zdziwiona, gdyż zarówno Lamar, jak i jego najstarszy syn Krelis

nie zdołali do końca ukryć swej nienawiści do Vin Thalun.

Jeśli ktokolwiek opowiedziałby się otwarcie przeciwko Vin Thalun, byłby to Lamar z Ripy, pomyślała.

Maquin podał jej kawałek poćwiartowanego królika. Fidele wgrzyła się w kasek łapczywie. Poparzyła sobie usta, ale w ogóle jej to nie przeszkadzało. Mięso smakowało wyśmienicie. Uświadomiła sobie, że Maquin przygląda jej się, i otarła usta.

– Przepraszam. Dama nie powinna się tak zachowywać.

– Mną się nie przejmuj – rzekł Maquin. – Mięso i tak trafia do żołądka.

– Opowiedz mi o sobie. Jak doszło do tego, że człowiek z Isiltiru trafił aż tutaj?

– To długa opowieść – burknął mężczyzna.

– A nas czeka wiele ciemnych nocy. Nie musisz jej kończyć dziś.

Maquin w milczeniu przyglądał się płomieniom, jakby próbował sobie przypomnieć swą przeszłość.

– Byłem przybocznym Kastella ben Aenora. Jego kuzyn, Jael, uśmiercił go w grobowcach pod Haldis. Jest też odpowiedzialny za śmierć Romara, króla Isiltiru, choć nie on trzymał ostrze, które go zabiło. – Mówił do ognia, nie odrywając od niego wzroku. – Walczyłem przeciwko Jaelowi w Isiltirze, ale w ostatniej chwili przybył Lykos na czele Vin Thalun i odwrócił losy bitwy. – Znów zamilkł, jakby sięgał pamięcią w przeszłość. Dotknął nieświadomie ucha, z którego, jak Fidele zauważyła, niewiele zostało. – Trafiłem do niewoli. Lykos zabrał mnie jako część swoich łupów, przykuł do wiosła i sprezentował mi to. – Maquin pokazał kobiecie bliznę na plecach, pozostawioną przez piętno Lykosa.

Opowiada tak, jakby to wszystko przytrafiło się nie jemu, a komuś innemu, pomyślała Fidele. Jakby przytaczał czyjąś opowieść, a nie własną.

– Wrzucił mnie do jamy i powiedział, że jeśli przeżyję wystarczająco długo, odda mi wolność, bym mógł szukać pomsty na Jaelu.

– I tego właśnie chcesz?

Maquin spojrzał na Fidele. Jego oczy przypominały ciemne jeziora, a blask ogniska wydawał się iskrą w ich głębinach.

– Tak. Z całego serca.

Fidele powstrzymała odruch wzdrygnięcia się, gdy usłyszała nienawiść w jego głosie, bezbrzeżną nienawiść, która wydawała się emanować od niego i tętnić niczym krew sącząca się z rany. Z drugiej strony, na wspomnienie

imienia Lykosa kobieta poczuła, jak i w niej również budzi się gniew.

– Ja darzę Lykosa tym samym uczuciem – szepnęła z zajadłością. – Nienawidzę go, ale też się go boję. Jeśli ten człowiek wciąż żyje, byłabym gotowa poświęcić resztę życia na wytropienie go i dopilnowanie, by zginął w mękach. Z drugiej strony, słyszę w głowie głos, który mi mówi, że postąpiłabym inaczej. Że uciekłabym choć na skraj świata, by być bezpieczna.

Zacisnęła zęby, czując, jak przytłaczają ją strach, gniew i wstyd.

– Lykos zajmuje wysoką pozycję na liście ludzi, których śmierć chciałbym ujrzeć – rzekł Maquin. – O ile już nie zginął. Widziałem, jak wbijasz mu ostrze. Weszło głęboko. Nie byłbym zaskoczony, gdyby zginął.

– Może. A może wciąż żyje.

– Nic na to nie poradzimy. – Maquin wzruszył ramionami. – Póki co.

– Fakt, ale nie uwalnia mnie to od strachu. Czy ty również się boisz?

– Czy się boję? Nie, strach zostawiłem w jamach. Nie mam już nic do stracenia. Nie mam o co się bać. Straciłem już wszystko: rodzinę, Kastella, braci w mieczu. Straciłem dumę. W jamach pozbawiono mnie też honoru i człowieczeństwa. Pozostała mi tylko zemsta.

– A więc co tu robisz?

Maquin znów wzruszył ramionami.

– Złożyłem ci obietnicę.

– Ale chciałeś ją złamać. Porzuciłeś mnie. Odszedłeś.

Maquin wbił w nią wzrok.

Po co ja to powiedziałam?, pomyślała Fidele.

– To prawda, ale nie zrobię tego więcej. Póki nie znajdziesz się w bezpiecznym miejscu.

Jego słowa niosły pokrzepienie i rozgrzewały jej serce niczym gorąca zupa w zimny dzień.

– Nie obwiniam cię o to, że odszedłeś. Nie obwiniam i nie osądzam.

– Ja sam siebie osądziłem. To wystarczy.

\* \* \*

Fidele zbudziła się nagle. Na jej ramieniu zaciskała się dłoń Maquina. Podniosła się, ale zamarła na widok jego twarzy.

– Co się dzieje? – spytała.

– Posłuchaj.

Wyteżyła słuch.

– Co to za dźwięk?

– Ogary – rzekł Maquin. – Musimy uciekać.

Chwilę później oboje przedzierali się już przez zarośla.

Fidele miała nadzieję, że Maquin pomylił się albo ogary znalazły się w tym miejscu przez przypadek, zabrane na polowanie przez miejscowego myśliwego. Niestety, dźwięk ścigał ich przez cały poranek, z godziny na godzinę stając się coraz wyraźniejszym. W szczekaniu psów słyhać było wyraźną ekscytację. Tymczasem las stawał się coraz gęstszy, a teren podnosił się. Uciekinierzy pięli się coraz wyżej, aż otoczył ich świeży zapach sosen. Ziemia pod ich stopami była miękka od igliwia.

Szczekanie za nimi stało się tak głośne, że Fidele zaczęła spoglądać przez ramię, bojąc się, że lada chwila ujrzy psy i ludzi.

– Są jakąś milę za nami – rzucił Maquin.

– Ale są... są takie głośne... – wydyszała Fidele.

– W lesie dźwięk niesie się daleko – burknął Maquin. – Ale o świcie byli dwa razy dalej.

I co my teraz zrobimy? – pomyślała kobieta.

Wciąż trzymała włócznię, którą zabiła wojownika Vin Thalun, ale teraz podpierała się nią niczym laską. Z całej siły zaciskała na niej dłoń. Po jej twarzy spływał pot, który zalewał jej oczy i szczypał, a ból nóg stał się jej nieodłącznym towarzyszem.

Podążali ścieżką wydeptaną przez lisy.

„Zwierzęta znają leśne ścieżki o wiele lepiej ode mnie – wyjaśnił jej wcześniej Maquin. – Wolę im zaufać, niż przedzierać się przez zarośla”.

Fidele uświadomiła sobie z ulgą, że teren zaczyna się wyrównywać. Z jednej strony widziała wysoki, niemalże pionowy klif, a z drugiej gęsty las sosnowy. Niebawem wychwyciła nowy odgłos, głośniejszy z każdym kolejnym krokiem – gdzieś płynęła woda.

Maquin zatrzymał się nagle i złapał swą towarzyszkę w talii, gdy nie zareagowała w porę i wpadła na niego. Była mu za to wdzięczna.

Tuż przed nimi rozpościerał się głęboki wąwóz, w który wdzierała się hucząca rzeka. Fidele padła na kolana i chciwie łapała wielkie hausty powietrza.

– I co teraz poczniemy? – zapytała.

– Cóż... Gdybyśmy nie mieli na karku tych psów, zaproponowałbym, byśmy

zeszli w dół i popłynęli. Wspielibyśmy się na brzeg kilka mil dalej. Wątpię, czy komukolwiek udałoby się odnaleźć nasz trop w czasie krótszym niż dziesięć dni.

– No to na co czekamy?

– Teraz to nie ma sensu. Ścigający będą wiedzieć, że zeszliśmy do wody. Mają psy, a więc odnajdą trop w jeden dzień, a wtedy wrócimy do punktu wyjścia.

I znów jesteście zwierzyną, myślała Fidele. Znów śmierć dyszy nam w kark.

– Przykro mi, że ściągnęłam na ciebie tyle niebezpieczeństwa – rzekła.

– Cóż, nie zaprzeczę. Jesteś lepem na kłopoty.

– No to co robimy? – spytała Fidele, czując, jak strach, jej stary przyjaciel, znów rozlewa się w jej sercu.

Nie mogę pozwolić, by mnie złapano, przemknęło jej przez myśl. Nie mogę wrócić do Lykosa.

Maquin sięgnął do swej sakwy i wyciągnął zwój sznurka, który zabrał z chaty drwali.

– Trzeba pozabijać te psy.

\* \* \*

Fidele kucała za drzewem i zerknęła na ścieżkę niknącą już w półmroku. Słońce zachodziło nad koronami drzew, a ostatnie promienie malowały ziemię na różowo i pomarańczowo. Wydawało jej się, że dostrzega jakiś ruch.

Błagam, Elyonie, spraw, by był to Maquin, pomyślała.

Wojownik przedstawił jej swój plan – jeśli można go było w ogóle tak nazwać – i odszedł. W tej samej chwili serce Fidele wypełnił lęk, który nie opuszczał jej ani na moment.

Nie. Nie umrę przerażona, myślała. Nie będę też żyć w strachu. Maquin ma rację. Nie ma innego wyboru. Trzeba umieć przeciwstawić się zgrozie.

Zacisnęła dłonie na drzewcu włóczy.

Chwilę później z półmroku wyłoniła się zgarbiona, biegnąca postać. Był to Maquin, który zahamował ostro przed nią.

– Chyba udało mi się przyciągnąć ich uwagę! – wysapał zdyszany.

Na ścieżce pojawili się jacyś ludzie. Pierwszy z nich usiłował zapanować nad trójką ogarów, które czekały jak oszalałe i usiłowały zerwać się ze

smyczy.

– Nie sądziłem, że będą mieli aż trzy – mruknął Maquin i wyciągnął jeden ze swoich wielu noży. – Myśliwi zazwyczaj polują z dwoma.

Wstał, by ścigający go zobaczyli.

Mężczyzna podążający na czele uwolnił psy, które całą trójką popędził prosto na Maquina. Były to ogromne zwierzęta o szarej sierści z szerokimi łbami i ogromnymi szczękami. Fidele, która czasami towarzyszyła Aquilusowi podczas łowów, widziała, jak powalały dziki. Ich kły połyskiwały w półmroku.

Już po nas, pomyślała.

Jeden z psów wysforował przed pozostałe i gnał naprzód z wywalonym językiem. Był już tak blisko, że Fidele widziała jego mięśnie napinające się z każdym susem. Niespodziewanie potknął się o coś, a wtedy poszycie lasu ożyło. Skądś wyskoczyła długa gałąź i spadła na bok zwierzęcia, przebijając go tuzinem ostrych kolców. Pies zawył i szarpnął się, ale wnet zaskomlał i osunął się na ziemię, brocząc krwią z pyska.

Pozostałe ogary nie zwróciły na to uwagi i przemknęły obok zdychającego towarzysza.

– Rób to, co ci kazałem! – syknął Maquin.

Przykucnął i wyciągnął kolejny nóż, a Fidele wycelowała włócznią, nie spuszczając wzroku z następnej bestii, która znajdowała się w odległości trzydziestu kroków. Wystarczyło jedno uderzenie serca, by dystans skurczył się do dwudziestu kroków. Kobieta odruchowo cofnęła się, ale wówczas usłyszała ryk rzeki i rozstawiła szerzej stopy.

Ogar zatrzymał się gwałtownie. Coś szarpnęło go za nogę i wywiozło ku górze, gdzie zawisł na gałęzi. Fidele wstrzymała oddech, ale zarówno lina, jak i gałąź wytrzymały. Kolejny ogar przemknął obok uwięzionego i skoczył na Maquina. Zrywająca się do biegu Fidele dostrzegła jeszcze kątem oka, jak bestia powala jej towarzysza na ziemię.

Dokończ robotę! – wrzasnęła na siebie w myślach.

Przypadła do wiszącego psa i wbiła mu włócznię w pierś. Naraz przypomniała się jej rada Maquina, by dziabnąć ogara w brzuch, który jest bardziej miękki. W tej samej chwili poczuła, jak ostrze włóczni ześlizguje się po kości. Złapała ją mocniej i napała ze wszystkich sił. Ostrze wniknęło między żebra i wdierało się coraz głębiej, gdzie nic już nie stawiało oporu. Pies skamlał, rzucał się i wił, aż zadrżał i znieruchomiał.

Fidele szarpnęła za włócznię, ale ta utkwiała w ciele zwierzęcia. Szarpnęła

raz jeszcze, mocno, rozpaczliwie, ale wtedy usłyszała krzyki biegnących ku nim ludzi. Dzielili ich sto kroków, lecz dystans zmniejszał się błyskawicznie. Porzuciła włóczęgę i odwróciła się.

Maquin leżał pod skrwawionym psim cielskiem.

Nie żyje!, pomyślała Fidele.

Przypadła do niego i z paniką w sercu odciągnęła psie zwłoki na bok. Mężczyzna jęknął, a jej serce zalała ulga.

– Myślałem, że już po mnie! – Zamrugął.

– Ja też! – szepnęła Fidele i pomogła mu się podnieść. – I co teraz?

– Nie sądziłem, że uda nam się dotrzeć tak daleko. – Maquin spojrzał na ścieżkę, którą pędzili ścigający ich wojownicy, a potem zerknął przez ramię na rzekę. – Pora się trochę zamoczyć.

Złapał dłoń Fidele i oboje ruszyli biegiem w stronę skraju wąwozu. Wyskoczyli i runęli w fale płynącej dołem rzeki.

## Rozdział dwudziesty pierwszy

# LYKOS

Lykos wędrował po świecie przesyconym szarością. W oddali widział szare wzgórza, wśród których na podobieństwo smukłej żmii wiła się czarna rzeka. Widział szare drzewa z rozkołysanymi gałęziami i szare, kotłujące się nad nim chmury. Dostrzegł też konstrukcję, która zdawała się wyrastać z ziemi.

Czyżby most?

Za ową konstrukcją wznosił się mur sięgający ku niebu i zlewający się z chmurami. Mur? Czy na pewno?

Lykos zmrużył oczy i zauważył w obrębie mostu jakiś ruch, przypominający falowanie żagli na kapryśnym wietrze.

To nie mur, pomyślał. To mgła. Ściana mgły.

Zauważył kamień i usiadł na nim, by ocenić sytuację.

Twarz oraz plecy przeszył mu ból. O wiele bardziej bolały plecy – dotknął dłonią miejsca, skąd ból promieniował, a gdy cofnął rękę, ujrzał na palcach krew.

Jak do tego doszło?, zastanawiał się.

Poczuł ukłucie niepokoju, który znikł równie szybko, jak się pojawił. Trudno było się czymkolwiek przejmować w tym świecie pozbawionym wszelkich kolorów. Pozbawionym wszelkiego życia.

Rozejrzał się raz jeszcze i zrozumiał, gdzie się znalazł.

To Zaświat, pomyślał.

Bywał tu już, od czasu, gdy zawarł pakt z Asrothem. Zdarzało się, choć rzadko, że wzywał go tu Calidus na tajną naradę. Tym razem jednak miał odczucie, że coś uległo zmianie. Czas płynął tu inaczej i trudno było go zmierzyć, ale skądś wiedział, że przebywa tu...

No właśnie. Jak długo? Chwilę? Więcej?

– Długo. Dłużej niż kiedykolwiek wcześniej.



Czy to śmierć się odezwała?

– Nie – rzekł głos za nim, co napełniło go strachem. – Ale prawie.

Był to Calidus, który siedział na głazie. Wyglądał na młodszego, jego siwe włosy były krótsze i mocniejsze, a zmarszczki na twarzy płytsze. Miał na sobie kolczugę, a z jego pleców spływały złożone ciemne skrzydła. Na twarzy widniał uśmiech.

– Wydajesz się zadowolony z siebie – oznajmił Lykos.

– Bo jestem zadowolony. Wszystko się pomyślnie rozwija.

– To co ja tu robię?

Uśmiech Calidusa znikł.

– Nie wzywałem cię. Tym razem sam tu trafiłeś. Umierasz.

– Och – rzekł Lykos.

W sumie się domyśliłem, powiedział sobie. Powinienem czuć lęk, a jest inaczej.

– A to? – Wskazał most i ścianę mgły. – Co to jest?

– Most mieczy – odparł Calidus. – I to, co znajduje się za nim.

– A co znajduje się za nim?

– Śmierć. Czymkolwiek jest.

Lykos uzmysłowił sobie, że jest mu to obojętne. Nie odczuwał ani odrobiny zaniepokojenia.

– Nie chcę, byś umierał – ciągnął Calidus. – Potrzebuję cię żywego.

Lykos znów wzruszył ramionami.

– Proszę. – Calidus wręczył mu jabłko.

Lykos ujął je w obie dłonie i musnął palcami jego nijaką skórkę.

Szare jabłko. Mało apetyczne, pomyślał.

– A więc chcesz odejść? – spytał go Calidus.

– Od czego?

– Od życia.

Lykos zastanawiał się nad jego pytaniem przez chwilę. Nie wiedział, czy trwało to kilka uderzeń serca, czy może cały miesiąc, ale w końcu rzekł:

– Ledwie je pamiętam.

– Twoim największym pragnieniem było zjednoczenie Trzech Wysp i zdobycie godności władcy wszystkich Vin Thalun.

– Trzech Wysp?

– Tak. Twój ojciec był piratem i władcą Panos. Odziedziczyłeś po nim tę wyspę, choć musiałeś o nią walczyć.

W głowie Lykosa pojawiło się zamazane wspomnienie. Przypomniało mu się ciało ojca leżące na łożu z cierni. Przypomniały mu się płomienie i krew w ich blasku.

– Tak było.

– Potem zawarłeś pakt z Asrothem, który pomógł ci zdobyć pozostałe dwie wyspy. Zjednoczyłeś je pod swoim panowaniem i uczyniłeś z Vin Thalun naród, a potem zostałeś ich królem.

Lykos poczuł, jak w jego sercu budzą się emocje – echo radości, która całkiem nim zawładnęła, gdy zasiadał przed pokonanymi kapitanami z Nerin oraz Pelset i słuchał ich przysięgi na wierność.

– Ugryź swe jabłko.

Lykos uniósł wyżej owoc i ujrzał, że na skórcie pojawił się różowy odcień, niewyraźny i spłowiały, ale widoczny na tle szarości tego świata. Odgryzł mały kawałek i poczuł... Coś. Coś ulotnego, jałowego.

– A dokonałeś jeszcze więcej. Wszak rządzisz Tenebralem. Jesteś regentem pod nieobecność Nathaira.

– Tak, ale nie poszło mi za dobrze.

– Opowiedz mi o wszystkim.

W miarę opowieści Lykos przypominał sobie kolejne szczegóły – sprezentowaną mu przez Calidusa figurkę przedstawiającą Fidele oraz władzę, którą mu dawała nad nią. Na wspomnienie Fidele przebudziła się w nim pasja. Przypomniał sobie, jak delikatna była jej skóra, jak smakował jej strach. Przypomniał sobie arenę w dzień ich ślubu, Fidele piękną i atrakcyjną jak nigdy wcześniej. Maquina i Orgulla toczących pojedynek. Maquina odrzucającego broń i pojawienie się orlich gwardzistów wśród widzów.

Przypomniał sobie chaos.

Bitwę.

Walczył z Maquinem, a Fidele wbiła mu nóż w plecy. Wspomnienie to w pierwszej chwili obudziło w nim gniew, który jednak szybko przerodził się w szydery chichot. Lykos drwił sam z siebie.

– Chyba sobie zasłużyłem.

– Nie. W waszym świecie albo sam bierzesz, albo godzisz się z tym, że zostaje ci odebrane.

– Pamiętam te słowa. Mój ojciec tak mówił.

– Tak. I zawsze brałeś. I smakowałeś.

– Tak było – przytaknął Lykos. Znów pomyślał o Fidele i poczuł przyływ gniewu na wspomnienie Maquina, człowieka, który mu ją odebrał.

– A co ci się stało w twarz, Lykosie?

Pirat dotknął policzka i wymacał głębokie bruzdy wypełnione twardniejącymi powoli strupami.

– Zaatakowała mnie, suka. Chlastała mnie pazurami jak dzikie zwierzę – odparł i zlizął kroplę krwi z palca. – Doprawdy, wspaniała kobieta.

Calidus uśmiechnął się do niego.

– A więc chcesz wrócić?

– Dobra. – Lykos w odpowiedzi raz jeszcze ugryzł jabłko. Było teraz krwistoczerwone i słodkie. Po jego podbródku ściekł sok.

\* \* \*

Lykos zatrzepotał powiekami.

Gdzie ja jestem?

Świat wokół niego kołysał się, co szybko podsunęło mu rozwiązanie.

Na okręcie!, uświadomił sobie.

Wyciągnął rękę, złapał się krawędzi koi i dźwignął się do pozycji siedzącej. Jego plecy pulsowały bólem, ale zacisnął mocno zęby i siedział przez dłuższą chwilę, kryjąc twarz w dłoniach i walcząc z bólem, nudnościami i świadomością, że jest słaby jak nowo narodzone szczenię.

Skrzypnęły drzwi i do wnętrza kajuty zajrzała jakaś kobieta. Lykos zamrugał i przypomniał sobie jej imię.

To Nella, pomyślał.

Była jego kobietą, nim oszalał na punkcie Fidele. Lub raczej jedną z jego kobiet. Przy piersi trzymała coś zawiniętego w płócienną chustę. Podeszła bliżej i położyła dłoń na jego czole. Na jej twarzy pojawiła się troska.

– Nic mi nie jest, kobieto – parsknął Lykos z irytacją lub raczej to właśnie chciał wyrazić, bo jego słowa okazały się stłumione, niezrozumiałe.

Naląła mu wody z dzbana, którą wypił chciwie.

– Powoli, albo zaraz wszystko zwrócisz – zbeształa go, na co odpędził ją machnięciem ręki.

Do środka wchodzili teraz inni – stary Jayr, uzdrowiciel okrętowy, siwowłosa skutnik Alazon oraz jakiś najeżony żelazem wojownik.

A gdzie Deinon, mój przyboczny?, zastanawiał się Lykos.

Wspomnienia i sny zaczynały się rozmazywać i zlewać. Arena. Walczący Stary Wilk Maquin. Fidele, która wbiła mu nóż w plecy. Wszystko, co się działo później, było już niewyraźne. Wiedział tylko, że zniesiono go z areny, a potem nastąpiła nicość.

Cóż, niekoniecznie nicość, pomyślał. Byłem w Zaświecie. Spotkałem się z Calidusem. Przydzielił mi zadanie.

W żołądku mu zaburczało. Nie miał pojęcia, czy było to efektem gwałtownie wypitej wody, czy może tego, że był wygłodniały.

Pewnie jednego i drugiego, przemknęło mu przez myśl.

– Nie pij tak łapczywie – oznajmił stary Jayr i obadał palcami gardło Lykosa, po czym zdjął bandaż opasujące mu talię i przyjrzał się ranie na plecach.

– Nie jest źle – mruknął.

Te słowa z ust Jayra o niczym nie świadczyły, bo stary uzdrowiciel uważał za zdrowego każdego, kto nie był w stanie krytycznym.

Ale to chyba zawsze jakaś pociecha, pomyślał Lykos.

– Gdzie Deinon? – zdołał w końcu wychrypieć.

– Nie żyje – odparł Alazon.

Te słowa trafiły w Lykosa z siłą pięści uderzającej w żołądek. W zasadzie nie było się czemu dziwić – Vin Thalun mieczem wojowali i od miecza zazwyczaj ginęli, ale Deinon wydawał się niezwycięzony i niezniszczalny. Co więcej, był jedynym człowiekiem, którego Lykos mógłby kiedykolwiek nazwać przyjacielem, a jego bliskość zawsze dodawała mu otuchy.

– Stoi za tym Stary Wilk – ciągnął Alazon. – A przynajmniej tak ludzie gadają. To jest Kolai, którego mianowałem twoim głównym przybocznym do chwili, gdy będziesz mógł wybrać następcę...

Urwał. Lykos niedbale skinął wojownikowi, przyglądając mu się uważnie. Trudno było ocenić jego wiek, gdyż skórę miał ogorzałą i pokrytą bliznami, ale władca piratów przypominał go sobie. Kilkakrotnie postawił na niego pieniądze.

Kolejny, który wyrwał się z jam, pomyślał. Po takim treningu zawsze wydają się starsi niż w rzeczywistości. Może mieć ze trzydzieści lat, nie więcej.

– Od jak dawna tak leżę?

– Od ponad dziesięciu dni – powiedziała Nella, która ujęła miskę i zanurzyła w niej płócienną szmatkę. – To kozie mleko. Wypij kilka kropel,

nie więcej.

Wzrok Lykosa padł wówczas na chustę, którą kobieta nosiła pod piersią. Gdy pochyliła się nad nim, z zaskoczeniem skonstatował, że ze środka wystaje czarna czupryna. Potem usłyszał kwilenie.

– Co to jest? – spytał, wyrywając jej szmatkę.

– Twój syn – warknęła Nella.

Lykos zamrugał, gdy wszystko sobie przypomniał. Kiedy ostatni raz widział Nellę na Panos, była w zaawansowanej ciąży. Wyssał nieco mleka ze szmatki, a potem wziął od kobiety miseczkę i wypił wszystko.

Nella cmoknęła z niezadowoleniem.

– Ona ma rację – odezwał się z przyganą Jayr. – Nie tak łapczywie.

– Mój syn – powiedział Lykos, czując, jak jego usta rozciągają się w uśmiechu. – Jak ma na imię?

– Rodas.

Lykos wyciągnął rękę, odchylił płótno chusty i pogładził niemowlę po policzku.

– Miło cię poznać, Rodas – rzekł i poklepał dziecko po główce, co mu się nie spodobało, bo wykrzywiło się i zapłakało.

– To nie pies! – odezwała się Nella i odtrąciła dłoń mężczyzny.

– Trzeba go chować na silnego chłopaka – oznajmił Lykos i podniósł się. – Gdzie mój miecz? Moje noże? – Świat wokół niego zakółysał się o wiele gwałtowniej, niż mógłby się tego spodziewać po kajucie okrętu, ale nie miał zamiaru spędzić ani chwili dłużej w pozycji leżącej. – Pełen meldunek – zażądał, wciągając płócienną koszulę oraz skórzaną kamizelę i krzywiąc się, gdy przeszywał go ból.

Alazon opowiedział mu o wszystkim, co nastąpiło po uderzeniu buntowników na arenie. Przejął dowodzenie w chwili, gdy Lykos stracił przytomność, za co mężczyzna był mu wdzięczny, i przez jakieś pół dnia dowodził Vin Thalun, toczącymi krwawymi bitwami na ulicach Jerolin i łąkach wokół miasta, ale ich siły stopniowo wzmocniali wojownicy z okrętów na jeziorze i rzece, przez co udało im się w końcu odwrócić losy bitwy i osiągnąć zwycięstwo. Potem zabrali się za szukanie winnych – chodzili od drzwi do drzwi, przeszukiwali domy, palili, przeprowadzali egzekucje. Powstanie się nie rozprzestrzeniło, głównie dzięki temu, że znaczna część orlej gwardii trzymała tę samą stronę co Vin Thalun. Wszak ich królowa miała poślubić Lykosa.

Alazon ogłosił, że Fidele została porwana przez szalonego mordercę, a więc do czasu jej odnalezienia pełnia władzy spoczywa w rękach Lykosa. Wnet niepokoje przycichły i przywrócono namiastkę pokoju, a przynajmniej w Jerolin i najbliższej okolicy. Jednocześnie Alazon nie przestawał tropić buntowników i rozsyłał zbrojne oddziały w poszukiwaniu niedobitków.

– A co ze Starym Wilkiem i Fidele? Chcę ją odzyskać, a jeśli chodzi o niego, wystarczy mi głowa.

– Mam kogoś, z kim będziesz mógł o tym porozmawiać.

\* \* \*

Lykos oparł się o belkę. Stał w stoczni wzniesionej na brzegach jeziora naprzeciwko ciemnych murów Jerolin i zbierał przez moment siły, prążony promieniami słońca.

Cholera, ale gorąco, przemknęło mu przez myśl.

Alazon bez słowa wręczył mu bukłak. Lykos powąchał zawartość i upił nieco. W środku znajdowało się chłodne, rozcieńczone wino. Spojrzenie na wioskę rozłożoną na brzegu jeziora oraz Jerolin na wzgórzu dodało mu otuchy. Wszystko wydawało się w jak najlepszym porządku, a ludzie zajmowali się tym, co zawsze.

Jakby nie było żadnego powstania, pomyślał.

Jedyną zauważalną różnicą była większa liczba Vin Thalun, którzy patrolowali wieś, chronili stocznię i stali na murach fortecy wraz z orlą gwardią.

Alazon dobrze się spisał, uznał Lykos. A przecież w tej sytuacji bardzo łatwo mogło dojść między nimi do konfliktu.

Na jeziorze widać było las masztów i czarnych żagli. Flota Vin Thalun ściągnęła niczym kruki na pobożowisko.

– Mam wieści od Calidusa – rzekł Lykos. – Trzeba przyszykować flotę do wypłynięcia w drogę. Potrzebujemy galer i transportowców, które mogą przewieźć hufiec składający się z dwóch tysięcy wojowników. Potrzeba też miejsca dla koni i bagaży.

A także czegoś jeszcze, dodał w myślach.

– Czyli przynajmniej pięćdziesiąt jednostek. Da się zrobić. – Alazon wzruszył ramionami.

– Dobrze. Pogadamy o tym później.

– Chodźmy więc – powiedział szkutnik i ruszył przed siebie na krzywych nogach. Zaprowadził przywódcę na arenę, która nadal wznosiła się na równinie przed Jerolin. Ziemia tu była twarda, ubita, wyschnięta w słońcu, a świadectwem scen przemocy, które się tu rozgrywały, były ciemne plamy na ziemi. Po przeciwnej stronie znajdowały się klatki przeznaczone dla gladiatorów. Były przepelnione, a pilnował ich oddział wojowników Vin Thalun. Niektórzy z nich rozsiedli się wygodnie i opalali, inni fechtowali się, choć bez przekonania, paru popijało.

Alazon wykrzyknął jakieś imię. Od grupy strażników odłączył się młody wojownik, którego naoliwioną brodę spinało zaledwie kilka żelaznych pierścieni. Wyglądał, jakby dopiero co brał udział w bitwie – jego nos był nadal krzywy, szczęka opuchnięta, a na twarzy widać było blednące sińce.

– Oto Senios – rzekł Alazon. – Ma ci coś do powiedzenia.

– Widziałem Fidele oraz Starego Wilka – oświadczył młodzieniec. Nie był w stanie unieść głowy i spojrzeć Lykosowi w oczy.

– Gdzie?

– W lesie. Pilnowałem poręby w dniu twego... – Urwał.

– Dobra. Mów dalej.

Senios opowiedział mu o tym, jak trafił do niewoli Maquina i jak robił wszystko, by ocalić swe życie i zyskać trochę czasu. Opowiedział o próbach ucieczki i o walce ze Starym Wilkiem, którą przegrał tylko dlatego, że Fidele zaatakowała go od tyłu.

Lykos zmierzył go wzrokiem.

Widziałem, jak Stary Wilk zabija Heraka, trenera gladiatorów. Coś mi się nie wydaje, byś mógł mu dać radę, pomyślał.

– A co mu zaproponowałaś w zamian za swe życie? – spytał.

– Informacje.

Lykos wpatrywał się w niego. Senios wbił wzrok w ziemię i przestąpił z nogi na nogę.

– Chodzi o olbrzymkę i jej szczenię – wymamrotał. – Zabrałem Starego Wilka i Fidele tam, gdzie są trzymani.

Lykosowi zrobiło się gorąco, a w jego sercu odezwał się gniew przemieszany ze strachem. Jego najpilniej strzeżony sekret... Trzymał ich w bezpiecznym miejscu przez dwanaście lat na wyspie Pelset, gdzie nikt o nich nie wiedział i nikt nie był w stanie zrobić im krzywdy, ale wszystko zaczęło się gwałtownie zmieniać i pojawiło się tyle zagrożeń, iż zapragnął mieć ich blisko siebie.

A teraz Fidele i Stary Wilk wiedzieli o ich istnieniu.

Stary Wilk musi zginąć, a Fidele musi na powrót znaleźć się u mego boku, gdzie będę mógł zamknąć jej usta, pomyślał.

– No i? – zdołał powiedzieć, tamując swą wściekłość.

– Uciekłem – rzekł Senios i uniósł głowę, by spojrzeć Lykosowi w oczy. – Oni również. Część ludzi ze straży olbrzymki podjęła pościg.

– Ilu?

– Siedmiu, może ośmiu.

Za mało, przemknęło Lykosowi przez myśl.

– Kiedy to było?

– Dwanaście nocy temu – rzekł Alazon. – Senios dotarł do nas osiem nocy temu. Natychmiast posłałem dwie dziesiątki w las, razem z miejscowym tropicielem i jego psami.

– Dobrze, Alazonie. – Lykos poklepał starego wojownika po ramieniu, a potem wbił wzrok w Seniosa, podejmując decyzję. – Kolai – warknął do wojownika, którego stary szkutnik wyniósł do rangi jego przybocznego.

– Jestem – rzekł ten, podchodząc.

– Potrzebuję nowych przybocznych. Sprawdź, czy Senios się nadaje.

Kolai wyciągnął krótki miecz oraz nóż z ogromnego arsenału, który nosił przy sobie. Senios zamrugnął i cofnął się.

Przyboczny Lykosa wszedł na arenę i skinął na Seniosa, by udał się za nim. Młodzieniec rozejrzał się nerwowo, aż jego wzrok padł na władcę piratów przyglądającego mu się jak handlarz koniom na targu.

– Na co czekasz? – spytał.

Senios niepewnie podążył w ślad za Kolaiem, po drodze mocując puklerz na ramieniu i wyciągając krótki miecz z pochwy.

– Zaczynajcie – rzucił Lykos.

Kolai natarł na młodzieńca z furją. Żelazo zderzyło się z żelazem, strzeliły iskry, stopy zaszurały na pylistej ziemi. Senios dobrze walczył – każdy Vin Thalun, który osiągnął dorosłość, wiedział, jak trzymać miecz w dłoni – ale Kolai skutecznie i powoli przebijał się przez jego obronę. Wypadki i bloki Seniosa stawały się coraz bardziej rozpaczliwe, gdy uświadomił sobie wyższość Kolaia. Po kilku uderzeniach serca krwawił z wielu drobnych ran. Strużka krwi ściekała mu do lewego oka. Wiedział, że jego śmierć to już tylko kwestia czasu, i zdecydował się na desperacki atak.

Cóż, ma wolę walki i doceniam to, pomyślał Lykos. Ale wyjawiał mój sekret.



Senios wylądował na plecach, a Kolai oparł mu but na piersi i wycelował ostrzem w gardło.

– Ma żyć czy zginąć? – spytał, nie odrywając oczu od przeciwnika.

Ten pojedynek od początku miał się zakończyć w ten jeden sposób, pomyślał Lykos. Senios zdradził mnie, by przeżyć jeszcze kilka dni.

– Zginąć – rzekł.

Kolai pchnął mieczem. Rozległ się bulgot i buchnęła krew, po czym zwycięzca oczyścił miecze i schował je do pochew. Lykos podziękował mu skinieniem, a wojownik zajął miejsce kilka kroków za jego plecami.

Dobrze wie, że to był raczej test dla niego, a nie dla Seniosa, pomyślał Lykos. Ale zdał go, w przeciwieństwie do Seniosa.

– A to kto? – spytał Alazona, wskazując ludzi upchanych w klatkach.

– Więźniowie. Głównie miejscowi, którzy dali się wciągnąć w zamieszki. Kilku orlich gwardzistów. Paru gladiatorów, którzy zwrócili się przeciwko nam.

Lykos dobrze to pamiętał. Oczami wyobraźni nadal widział Maquina i Orgulla, którzy rozbijają zamki klatek, oraz gladiatorów wybiegających na zewnątrz. Zbliżył się do klatek i przeszedł przed nimi, przyglądając się więźniom. Widział głównie miejscowych – chłopów, myśliwych, kupców, zauważył też paru poturbowanych, zakrwawionych gwardzistów. Nagle zmarł.

– Javed.

Javed był gladiatorem, jednym z tych, którzy zdobywali doświadczenie i sławę wraz z Maquinem. Pochodził z Tarbeshu na wschodzie. Był drobnym, szczupłym mężczyzną, który wyglądał, jakby składał się tylko i wyłącznie z twardych mięśni. Lykos zaproponował jemu oraz garstce pozostałych wolność. Mieli stoczyć jeszcze jedną walkę, a zwycięzca miał otrzymać skrzynię srebra. Javed wygrał swój pojedynek, zasłużył na wolność oraz na srebro, a mimo to zdecydował się walczyć u boku Maquina i Orgulla. Siedział z pochyloną głową i nie chciał spojrzeć na Lykosa.

– Widziałem, jak Stary Wilk cię uwolnił. Wiesz, że cię wykorzystał, prawda? Potrzebował kogoś, kto pomoże mu się wyrwać na wolność.

Javed uniósł głowę i zmierzył pirata wściekłym spojrzeniem, ale nadal nic nie mówił.

– Mogłeś odejść ze skrzynią srebra, a tymczasem wróciłeś do klatki.

– Ujrzałem szansę na odzyskanie wolności i postanowiłem ją wykorzystać –

rzekł Javed.

I ja bym tak zrobił, pomyślał Lykos. Bez dwóch zdań.

– Niestety, nie odzyskałeś jej na długo, jak widać. – Uśmiechnął się.

– Zapracuję na kolejną skrzynię srebra – rzekł Javed.

Trzeba mu oddać, że odwagi i bezczelności mu nie brakuje, pomyślał Lykos.

– Może. Ale najpierw będziesz musiał zasłużyć sobie na to, by trafić do jam.

Siadaj za wiosło.

Blask w oczach Javeda zgasł, a na twarzy pojawiło się przerażenie.

– Tak, nie przesłyszałeś się. Wracasz na sam początek. Powiosłujesz trochę, a jak przeżyjesz, trafisz na pierwszy poziom jam. Być może zobaczymy się za jakiś rok czy dwa.

Lykos odszedł, czując na plecach palący wzrok Javeda. Naliczył w klatce pięciu orlich gwardzistów i rozkazał, by ich wyprowadzono.

– Za waszym powstaniem stał Peritus. Gdzie on teraz jest?

Żaden z nich nie odpowiedział. Lykos wyciągnął miecz, wbił go w brzuch najbliższego wojownika i wyszarpnął ostrze. Jelita wylały się na ziemię niczym obślizgłe, wijące się węże. Mężczyzna wrzasnął.

– Gdzie jest Peritus? – powoził pytanie Lykos.

Odpowiedziała mu cisza, przerywana jedynie wyciem wypatroszonego gwardzisty. Pirat rąbnął drugiego jeńca w kostkę. Rozległ się trzask pękającej kości, ale pirat nie ustawał. Rozrąbywał kości i ciało, aż stopa zawisła jedynie na strzępie skóry. Poczul ostry ból pleców i uświadomił sobie, że szwy puszczają. Odgarnął włosy z twarzy, ciężko oddychając.

Wojownik, któremu otworzył brzuch, przestał już wrzeszczeć. Kulił się na ziemi i szlochał niczym głodne kocię.

– Gdzie jest Peritus?

Trzej mężczyźni wpatrywali się w niego w milczeniu. W spojrzeniu jednego z nich, siwobrodego wojownika, widział obojętność. Drugi patrzył na niego z nienawiścią. Wokół nogi trzeciego, młodzieńca, który dopiero co przeszedł swą Długą Noc, pojawiła się kałuża moczu. Lykos podszedł do gwardzisty, który mierzył go nienawistnym wzrokiem.

– Gdzie jest Peritus?

Ten splunął mu w twarz. Lykos rąbnął go rękojeścią miecza w usta. Na ziemię buchnęła krew przemieszana z powybijanymi zębami, ale to piratowi nie wystarczyło. Tłukł jeńca bez opamiętania, aż ten osunął się bez przytomności na ziemię. Jego twarz przypominała krwawą miazgę. Wówczas

Lykos złapał miecz w obie dłonie i rąbnął, niemalże odcinając mu głowę.

Zatrzymał się, by nabrać tchu i obetrzeć twarz z krwi. Czuł, że po jego plecach spływa coś ciepłego. Wiedział, że rana otworzyła się na dobre, ale nie dbał o to.

– Gdzie. Jest. Peritus?

Nie było odpowiedzi. Młodzieniec, który się posikał, szlochał teraz głośno.

Lykos podszedł bliżej.

– Nie, proszę, nie! – błagał chłopak.

– Wojownik nie powinien o nic błagać – rzekł Lykos. – To nie przystoi.

Zewsząd dobiegły śmiechy Vin Thalun. Przywódca piratów zrobił jeszcze jeden krok.

– Ripa – rozległ się czyjś głos. Nie należał do młodzieńca, a do starego wojownika. – Jeśli Peritus nadal żyje, znajduje się w Ripie.

## Rozdział dwudziesty drugi

# HAELAN

– Jestem głodny – oznajmił Haelan.

– Musisz poczekać do południowego dzwonu, jak wszyscy inni – odparł Tahir, nie patrząc nawet na chłopca.

Znajdowali się w wielkiej zagrodzie z końmi, gdzie wojownik sprawdzał popręgi gniadego ogiera. Koń grzebał jednym kopytem w ziemi.

– Zewsząd otaczają mnie sami niecierpliwcy – mruknął Tahir.

Mama nigdy nie kazała mi na nic czekać, pomyślał Haelan.

Na samo jej wspomnienie poczuł wilgoć zbierającą się w kącikach oczu. Zamrugnął pośpiesznie.

– Nienawidzę czekać – powiedział.

– Nie jesteś wcale wyjątkiem – burknął Tahir, dopasowując ostatecznie popręgi, po czym wstał i poklepał konia po szyi. – Nie powinieneś się aby zająć swoimi obowiązkami?

Obowiązków też nienawidzę, pomyślał chłopak.

W siedzibie Gramma było ponad dwadzieścioro dzieci zbyt młodych, by zacząć ćwiczenia na Jarzębinowej Łące, ale wystarczająco dużych, by przydać się w gospodarstwie.

– A nie możesz iść i przynieść mi czegoś do jedzenia? – spytał Haelan, udając, że nie słyszał wzmianki o obowiązkach. Spojrzał na salę biesiadną, wznoszącą się na szczycie wzgórza. Dym z kuchennych kominów unosił się ku szaremu niebu. W żołądku znów mu zaburczało.

– Nie – odparł Tahir i tym razem obrzucił Haelana surowym spojrzeniem.

Chłopak znał je doskonale, bo widział je setki razy, ale wciąż nie mógł się z nim pogodzić.

Nikt nigdy mi niczego nie odmawiał, z wyjątkiem mamy i wuja Varicka, choć nawet oni robili to rzadko, pomyślał.

Tahir dostrzegł w twarzy chłopca coś, co sprawiło, że jego oczy złagodniały.

– Nie licz tu na specjalne traktowanie, chłopcze. Musisz się wtopić w otoczenie. Sam dobrze wiesz, że nie powinieneś się odróżniać od innych, bo to może się dla ciebie źle skończyć. Nieraz o tym rozmawialiśmy, co?

Młody wojownik spojrzał surowo na Haelana i wpatrywał się w niego, dopóki ten nie pokiwał głową.

– Teraz dam temu rumakowi posmak tego, jak to jest mieć mnie na grzbiecie, a ty powinieneś wracać do swoich obowiązków. Powinieneś wtopić się w tłum. Miałeś być w tartaku, czyż nie?

Haelan burknął coś w odpowiedzi.

– Tak czy owak, południe mamy już za moment. Nim się obejrzysz, będziesz miał okazję napełnić żołądek.

Nie jestem dzieckiem, pomyślał Haelan. Gdy odzyskam koronę, będziesz mi przynosił jedzenie przez cały dzień.

Obrzucił ponurym wzrokiem Tahira wskakującego na siodło. Gniadosz zatańczył.

– No, uciekaj – oznajmił wojownik. – Daleko nie pojedę. Zrobię tylko rundkę dookoła zagród. Jeśli krzywda zastuka do twoich drzwi, będę na tyle blisko, by je zatrzasnąć, jak mawiała moja matka.

Westchnął i popędził konia i zaraz ukazała mu się siedziba Gramma – mocny, drewniany mur, otaczający zbiorowisko budynków na niewysokim wzgórzu. Na samym szczycie wznosiła się izba biesiadna. Mieszkańcy osady krzątali się, zaprzętnięci różnymi czynnościami, które stanowiły źródło utrzymania ich wszystkich. Największy dochód przynosiła sprzedaż koni oraz drewna. Gramm zbudował swą siedzibę własnymi rękami, obojętny na bliskość lasu Forn, i wychował w niej synów oraz córki, a teraz mieszkało tu ponad dwieście dusz.

Tahir i Haelan spędzili tu ponad sześć miesięcy. Gramm przyjął ich pod swój dach, zatroszczył się o nich i zapewnił im bezpieczeństwo. Z początku Haelan był przekonany, że jego matka wkrótce po niego przyjedzie. Po dziesięciu dniach zapytał Tahira, dlaczego musi tak długo na nią czekać. W odpowiedzi usłyszał tylko jedno z powiedzonek, które tak bardzo go irytowały. Tym razem o cierpliwości. Powtórzył swe pytanie po upływie księżyca, ale wówczas Tahir nie był już w stanie spojrzeć mu w oczy. Niedługo później chłopca odwiedził Gramm, który usiadł obok jego łóżka.

– Ile masz lat? – spytał.

– Dziesięć, ale w Dniu Zimowego Przesilenia skończę jedenaście – odpowiedział Haelan.

– No tak. Cóż, dalej jesteś dzieckiem, ale będę rozmawiał z tobą jak z dorosłym. Nie umiem zresztą inaczej, a nie zauważyłem, by któremuś z moich chłopaków wyrządziło to krzywdę. – Podrapał się po brodzie, a w jego oczach pojawił się smutek, który odebrał mu na moment głos. – Mamy wieści z południa, z Dun Kellen. Wieści o twojej matce.

Serce Haelana zaczęło bić szybciej.

– Ona nie żyje, chłopcze. Tak powiedział posłaniec, a ja nie mam powodów, by mu nie wierzyć.

– Nie żyje – powtórzył Haelan. Słowa zaciążyły w jego sercu niczym głaz wrzucony do głębokiej wody.

– Tak. Jael zatknął jej głowę na włócznie. Z tobą chce zrobić to samo.

Wtedy Haelan wybuchnął płaczem, który zdawał się nie mieć końca.

– Wątpię, czy ci to w czymś pomoże, chłopcze, ale współczuję ci i podzielam twoją rozpacz. Mój najstarszy syn również tam zginął. Miał na imię Orgull, był kapitanem Gadrai i przyjacielem Tahira. Bronił wyjścia z tunelu, którym uciekliście.

Haelan pamiętał go. Pamiętał ogromnego, łysego mężczyznę, który wyglądał, jakby nie miał szyi, i wydawał się niezwyciężony. Nie mógł natomiast przypomnieć sobie tego, co działo się później, po wyznaniu Gramma. Mgliście pamiętał, iż ten próbował go pocieszyć, a potem wyszedł, a w jego miejsce zjawił się Tahir. Siedział i milczał, czekając, aż łyzy Haelana wyschną.

– Będę cię bronił – rzekł. – Obaj jesteśmy wyjątkowi, bo zostaliśmy ostatnimi z naszego rodzaju. Ja jestem ostatnim z Gadrai, a ty ostatnim członkiem swego rodu. Co więcej, Haelanie, jesteś poszukiwany. Jael wie, że uciekłeś z Dun Kellen, i pragnie twojej śmierci. Jesteś prawowitym następcą tronu Isiltiru, a Jael pożąda twojej korony. Nie możesz więc zostać odnaleziony...

Wiem, że jestem poszukiwany, pomyślał Haelan.

Raz wypatrzonego grupę wojowników, która jechała w kierunku osady. Gdy byli już blisko, Haelan zauważył, że powiewa nad nimi proporzec przedstawiający błyskawicę oplecioną węzłem na czarnym polu. Tak wyglądał proporzec Jaela. Chłopak natychmiast nabrał przekonania, że jeźdźcy jadą po to, by go zabić. Stał sparaliżowany strachem na dziedzińcu, aż dostrzegł go

Tahir, pochwycił i ukrył w piwnicy pod kuchnią należącą do sali biesiadnej. Siedzieli tam we dwóch – Haelan na próżno próbował opanować drżenie całego ciała, a Tahir nie odrywał wzroku od włazu nad sobą i nie zdejmował dłoni z rękojeści miecza. Mieli wrażenie, że minęły całe lata do chwili, gdy Gramm uchylił właz i powiedział, że obcy odjechali. Od tego czasu upłynęły cztery księżyce.

Na dziedzińcu trwała gorączkowa krzątanina. Dwie dziesiątki wojowników wskakiwały w siodła, konie tłukły kopytami, dęto w rogi, aż Wulf, najstarszy syn Gramma, wykrzyknął rozkaz i poprowadził jeźdźców ku bramie. Haelan uskoczył im z drogi i schował się w cieniu, próbując zejść z oczu Wulfowi, który niejednokrotnie beształ go za unikanie obowiązków, a potem pochylił głowę i popędził przez dziedziniec ku tartakowi, usytuowanemu przy rzece na północnej ścianie osady. Przemknął obok sali biesiadnej, gdzie zatrzymał się na moment, by złapać tchu. Spojrzał wówczas odruchowo na wschód, w stronę lasu Forn i rzeki, niknącej pośród bezkresnych połaci lasu zasłaniającego horyzont. Na wodach dostrzegł szeregi ściętych pni, podskakujące na falach, przypominające z daleka ciało zanurzone do połowy. Prąd oraz długie łodzie powoli ściągały drewno w kierunku osady.

W palisadzie znajdowała się brama prowadząca do rzeki, której brzegi spajał kamienny most, pozostałość po ongiś mieszkających tu olbrzymach. Haelan dostrzegł postacie, które uwijały się na brzegu, wśród zacumowanych łodzi. Zauważył wśród nich Swaina, syna Wulfa, jedynego rówieśnika, którego chyba mógł nazwać przyjacielem. W Dun Kellen miał towarzyszy zabaw, ale zawsze istniała wyczuwalna różnica między przyszłym władcą i przyszłymi poddanymi.

Nadal jestem dziedzicem tronu Isiltiru, ale tutaj nie wydaje się to aż tak ważne, pomyślał.

Czasem miał trudności z przypomnieniem sobie twarzy ojca i matki.

Swain był naturalnym przywódcą wszystkich tych, którzy byli zbyt młodzi, by kwalifikować się na Jarzębinową Łąkę, ale trzymał się blisko Haelana od chwili jego przybycia do osady.

Chłopak zbiegł po zboczach wzgórza i przemknął przez bramę, by wypaść na brzeg rzeki.

– Tu jesteś! – huknął stary Kalf i skinął na niego. Był ogromnym mężczyzną o piersi nieledwie tak szerokiej jak łodzie, którymi się zajmował. – Spóźniłeś się, ale lepiej późno niż wcale, a więc łap – dodał i wręczył

Haelanowi młotek oraz wiadro. Chłopak zmarszczył nos, widząc w środku konopie i smołę drzewną.

– Zabieraj się do roboty, zanim dzień się skończy – zachęcił go Kalf.

Haelan odnalazł łódź, na której nikogo nie było, i wziął się do pracy. Wiedział, co do niego należy, bo od dziesięciu dni codziennie robił to samo. Osada Gramma dorobiła się na drewnie z lasu Forn, którego zdecydowaną większość spławiano rzeką: wiązano je w ogromne tratwy i prowadzono łodziami. Ponad tuzin z nich zostało wyciągniętych z wody i zawieszonych na drewnianych stojakach, gdzie poddawano je rozmaitym naprawom. Wszystkie kadłuby wymagały uszczelnienia smołą z wiadra Haelana.

Znam się już na tym, pomyślał chłopak z poczuciem dumy. Wbijał między deski poszycia nasączone smołą włókna konopii, które natychmiast kleiły się do podłoża. Tym razem zdołał nanieść większość nasmołowanych konopi tam, gdzie należało, co było znacznym postępem w porównaniu z pierwszym dniem pracy, kiedy to marnotrawstwem zasłużył sobie na niejednego kuksańca od Kalfa. Czuł się wówczas upokorzony i bezużyteczny, aż Swainowi zrobiło się go żal i pokazał mu, jak rozsmarowywać smołę tak, by połowa nie ściekła na ziemię. Po upływie kilku dni Haelan nabierał ją, rozprawdzał i wbijał na miejsce z coraz większą pewnością siebie i pracował, aż ramiona zaczynały go boleć.

– Jesteś w tym coraz lepszy – powiedział ktoś za jego plecami. Swain stał z własnym wiadrem, a za nim jego młodsza siostra Sif i rozczochrany psiak. – Pomogę ci to skończyć.

– Ja też pomogę – odezwała się dziewczynka.

– Nie – rzekł stanowczo Swain. – Ostatnim razem, gdy próbowałaś pomóc, zdołałaś rozsmarować więcej smoły na sobie niż na łodzi. Wyglądałaś jak rzeczny upiór. Mama musiała ci obciąć włosy, a ojciec mało mnie nie zabił. Siedź lepiej tutaj i baw się z Garnkiem.

Swainowi brakował jeszcze pół roku do wejścia na Jarzębinową Łąkę. Sprawiał wrażenie, jakby jego ręce i nogi były zbyt długie w stosunku do reszty ciała, ale był umięśniony i sprawny. Emanował energią, a w jego głowie roilo się od pomysłów. Zawsze umiał wymyślić coś, by dzień stał się jeszcze ciekawszy – a to poprowadził po kryjomu nocną wyprawę na rzeczne szczury, a to znów organizował napady na piece kuchenne.

Tahir parokrotnie przyłapał Haelana na uczestnictwie w psotach Swaina i pozostałych dzieciaków.



– Nie wolno ci się wymykać z osady! – powtarzał z groźną miną. – To zbyt niebezpieczne.

Wyglądało jednak na to, że albo Haelan stawał się coraz lepszy w sztuce skradania się, albo Tahir nauczył się w odpowiednim momencie odwracać głowę.

Swain wszedł na rusztowanie, by uszczelnić te fragmenty kadłuba, których Haelan nie mógł dosięgnąć. Sif śmiała się radośnie, bawiąc się z psiakiem – kuleczką białego futra – który z energią uczestniczył w eskapadach Swaina. Dzięki dobremu węchowi zawsze znajdował ciasta ukryte w kuchni bądź płoszył szczury z gniazd na brzegu rzeki. Niespodziewanie odbiegł od Sif i zaczął skakać pod stojącym na rusztowaniu Swainem, próbując ugryźć jego rozkołysany młotek.

– Przestań, Garnek! – zawołał chłopak.

– Dlaczego wołacie na niego Garnek? – spytał Haelan.

– Bo wraz z sześcioma innymi szczeniakami przyszedł na świat w wielkim kotle i wracał do niego po tym, jak jego bracia i siostry urosły i zostały rozdane. Może dlatego jest taki dobry w szukaniu jedzenia – zakończył Swain i obdarzył Haelana konspiracyjnym uśmiechem.

Zlął z rusztowania i przywołał chłopaka gestem, a potem wyciągnął coś zza pazuchy.

– Masz. To reszta ciasta, które znalazł ostatnio Garnek. Jakoś przeżyjemy do południa.

Podał kawałeczki przyjacielowi i Sif, a resztę rzucił psu, który przełknął wszystko bez żucia.

– Dzięki – wymamrotał Haelan z pełną buzią. Oddał ostatnie okruszki Garnkowi i podrapał go za uchem.

– Wiesz, zajmowanie się tobą to nasze rodzinne zadanie. – Swain mrugnął do niego.

– Pewnie masz na myśli Orgulla. Był twoim wujem, co nie? Bratem twego ojca? – rzekł Haelan i znów otrząsnął się z myśli o mamie i Dun Kellen.

– Tak. Wyjechał stąd dawno temu i dołączył do Gadrai w lesie Forn po tym, jak zabił olbrzyma z północy – odparł Swain i poklepał się po toporku, który zwisał mu z paska. Przejechał kciukiem po ostrzu. – Dał mi to na odchodne.

Była to idealnie odwzorowana, mniejsza wersja toporów do rzucania, które nosili wojownicy Gramma.

– Jaki on był? – spytał nagle Swain, a na jego twarzy pojawiło się coś więcej

niż tylko zwykła pewność siebie.

Haelan wzruszył ramionami.

– Wielki.

– To pamiętam! – roześmiał się Swain. – Podrzucał mnie jak Garnek szczury! A jeszcze coś pamiętasz?

Haelan zamyślił się. Najwidoczniej opowieści o wuju miały dla Swaina wielkie znaczenie, a Haelan żywił doń wdzięczność za wiele rzeczy, jak choćby za kawałek przełkniętego właśnie ciasta.

– Łzy – powiedział w końcu. – Tahir płakał, gdy rozstaliśmy się z Orgullem i drugim spośród jego towarzyszy. Myślę, że byli dobrymi przyjaciółmi.

Czuł, że kryła się w tym niezwykła opowieść o braciach w mieczu. Sam chciał poznać ją lepiej, choć z drugiej strony wzdragał się przed powrotem do czegokolwiek, co przypominało mu o okolicznościach, w których został sierotą. Spojrzał na Swaina i ujrzał w jego oczach pragnienie, wręcz potrzebę, by dowiedzieć się jak najwięcej.

– Zapytam Tahira o niego.

Swain poklepał przyjaciela po ramieniu i obdarzył go skromnym uśmiechem.

Naraz dotarł do nich zgiełk rozmów, z każdą chwilą coraz głośniejszy. Haelan dostrzegł tuzin chłopców i dziewcząt zgromadzonych na brzegu rzeki, intensywnie o czymś rozprawiających. Wraz ze Swainem podbiegli bliżej, a Sif podążyła za nimi.

Ich oczom ukazała się Trigg trzymająca wysoko pułapkę na ryby zrobioną z witek wierzbowych.

Półkrwi olbrzymka, przypomniał sobie Haelan.

Trigg była mniej więcej w tym samym wieku co Swain, ale przewyższała go o głowę. Miała szeroką, kanciastą twarz oraz długie, muskularne ramiona. Jej rodzice należeli do domowników Gramma i wzięli udział w ekspedycji, która popłynęła w górę rzeki do lasu Forn, ale nigdy nie wróciła. Łodzie, na których się wyprawili, zostały w końcu odnalezione. Były częściowo zatopione i znać było, że toczyła się na nich zaciekle walka, ale nie odnaleziono żadnych ciał.

Rok później matka Trigg, zataczająca się i wycieńczona, dotarła do osady przez most, który prowadził na Pustkowie. Kobieta była na poły szalona i bredziła bez ładu i składu o olbrzymach Jotun, którzy trzymali ją w niewoli. Jej brzuch był rozdęty ciążą.

Umarła, wydając na świat Trigg, a półkrwi dziewczynka została

przygarnięta przez mieszkańców. Nie została zaadoptowana przez jedną rodzinę, a zamiast tego zajmowało się nią wielu ludzi. Szybko stała się po prostu częścią osady, ale Swain i pozostali zachowywali się przy niej nieco inaczej niż przy innych dzieciakach. Nikt nic nie mówił, ale Haelan wyczuwał ostrożność i dystans, z jakimi ją traktowano, zupełnie jakby była narowistym źrebkiem. Jakby była niebezpieczna. Haelan nigdy nie miał okazji zamienić z nią więcej niż kilka słów, gdyż wysoka dziewczyna na ogół trzymała się na uboczu, o ile w ogóle się z nimi zadawała. Znikała na długie godziny, a Swain powiedział mu, że wędrowała do lasu Forn. Nie mówił jednak dlaczego.

– Co złapałaś? – spytał Swain, przepychając się przez tłum.

– Największego szczura rzecznoego, jakiego na oczy widzieliście! – Trigg wyszczerzyła zęby i uniosła wyżej kosz.

Wydawał się ciężki i nawet Trigg trudno było go wysoko trzymać. Na oczach Haelana kołysał się i podskakiwał.

Wściekły ten szczur, pomyślał.

– Był w rzece, za łososiami – dodała półolbrzymka.

Swain zerknął przez szczelinę do środka i gwizdnął.

– Ja łapałem większe – oznajmił, mrugając do Haelana.

– Nie wierzę ci – powiedziała Trigg. W jej głosie nie było gniewu ani urazy.

Po prostu stwierdzała fakt.

Garnek podskakiwał i czekał, próbując dosięgnąć kosza.

– Wygląda na to, że twój piesek ma ochotę się z nim spróbować. Założymy się?

Haelan widział, jak Garnek tropi i osacza rzeczne szczury. Był w tym dobry – wystarczyło mu kilka sekund, by uśmiercić przeciwnika.

– Nie – odezwała się Sif i szarpnęła Swaina za rękę. – Nie zgadzaj się!

Swain znów zajrzał do kosza i zmarszczył brwi.

– Jak stary Karl nas dorwie, będziemy szorować łodzie do Dnia Zimowego Przesilenia.

– Tam jest pusta szopa. – Trigg uśmiechnęła się, wyczuwając, że zwycięstwo nad Swainem jest w zasięgu ręki. – Boisz się o szczeniaczka, co?

Swain parsknął.

– O co chcesz się założyć?

– Postawię swój nóż przeciwko twemu toporkowi.

– Nie ma mowy.

– Czyli nie pokładasz wiary w swego pieska, co?

Swain milczał przez moment, a potem pokiwał głową i wszyscy popędzili do szopy. Haelan, biegnąc za innymi, spojrział przez ramię na północ, gdzie zielona roślinność kończyła się, a rozpoczynały się szare, jałowe ziemie, których monotonię tu i ówdzie przerywał łańcuch górski. Półwysep ten zwano Pustkowiec i jeśli wierzyć opowieściom Tahira, ze wszystkich Ziemi Wygnanych został najdotkliwiej porażony Plagą. Tam właśnie spotkały się w boju zastępy Elyona i Asrotha. Ziemia nadal nie zaleczyła ran po furii Elyona. Nadal królowały tam nagie skały, pył, ruiny i bezdenne przepaście. Haelan często spoglądał na północ i wyobrażał sobie bitwy między zastępami aniołów i demonów, aż przeszywały go dreszcze. Teraz po Pustkowiec wędrowały jedynie olbrzymy, które od czasu do czasu przekraczały rzekę na grzbietach wielkich niedźwiedzi. Wielki młot wojenny oraz niedźwiedzia skóra, zawieszona w sali biesiadnej, przypominały Haelanowi, że olbrzymy i ich wierzchowce to wcale nie legenda.

W szopie Swain i Trigg ułożyli krąg z bali siana, a pozostali z zapalem zawierali zakłady. Haelan trzymał Garnka.

– Zabij go szybko – szepnął psu do ucha, a ten polizał go po twarzy.

Swain podszedł do niego i złapał psa za skórę na karku. Trigg postawiła kosz po przeciwnej stronie zaimprovizowanego kręgu. Garnek zawarczał ze zjeżoną sierścią, a półolbrzymka otworzyła kosz.

Ze środka wyskoczyło coś czarnego i wijącego się. Zebrani aż zakrzyknęli z emocji. Był to wprawdzie szczur rzeczny, ale w istocie największy, jakiego Haelan kiedykolwiek widział.

Od pyska po koniec ogona długi jak moja ręka!, pomyślał.

Żółte kły błysnęły w pysku szczura i nagle Haelan zaczął się bać o Garnka.

Pies jednakże, najeżony i warczący, ruszył do natarcia. Szczur nawet nie próbował uciekać – napiął mięśnie i skoczył. Zwierzęta zwarły się we wściekłej walce i zaczęły się przetaczać po zakurzonej polepie, warcząc, plując i kłapiąc szczękami. Garnek wił się, próbując zacisnąć kły na gardle szczura. Naraz zwierzęta oderwały się od siebie i pomknęły w różnych kierunkach.

Garnek zadrobił łapami, próbując odzyskać równowagę, ale szczur wyprzedził go i skoczył na niego jako pierwszy. Zwierzęta znów zwarły się we wściekłej walce. Niespodziewanie trysnęła krew i rozległ się przeraźliwy pisk. Przestraszony Haelan zacisnął powieki, ale nawiedziło go wspomnienie krwi tryskającej w ciemnym tunelu, więc otworzył oczy. Walczące zwierzęta odbiły się od beli siana. Haelan zauważył, że szczur zaciska kły na karku Garnka,

a pies wije się jak szalony i kłapie szczękami, próbując dosięgnąć napastnika. Targnął gwałtownie całym ciałem – szczur oderwał się z trzaskiem i odbił od przeciwległej beli.

Zwierzęta zamarły, wpatrzone w siebie. Garnek trzymał przednią łapę w powietrzu. Z paskudnej rany na barku tryskała krew.

Zaraz będzie po nim, pomyślał Haelan, przypomniawszy sobie, że największą bronią Garnka była prędkość, której właśnie go pozbawiono.

– Pomóż mu – szepnął do Swaina.

– Nie mogę – odparł ten, zszokowany.

Sif wtuliła twarz w spodnie brata.

Szczur wolno zbliżał się do psa, poruszając pośpiesznie nosem. Garnek rzucił się naprzód, kłapiąc szczękami, ale potknął się. Szczur uskoczył w bok, a potem błyskawicznie przypadł do karku psa i zatopił w nim kły. Garnek zaskomlał przeraźliwie. Haelan zacisnął oczy i pięści, próbując odciąć się od tego dźwięku. Znow osaczyły go wspomnienia, a skamlenie Garnka stawało się coraz niższe i przeobrażało w coś innego, o wiele gorszego. Stało się wrzaskami ludzi umierających w mroku. Złapał się za głowę i wcisnął palce w uszy, ale przepełniony bólem pisk Garnka przedzierał się przez wszystko. Nagle chłopak uświadomił sobie, że rusza przed siebie, że łapie go czyjaś dłoń, ale odtrąca ją, że krzyczą na niego jakieś głosy, a jego ręka unosi się i opada, coraz szybciej i szybciej. Gorąca ciecz zalała mu twarz, dostała się do ust, do oczu.

Potem nastąpiła cisza. Słyszał jedynie swój głośny oddech i skamlenie psa. Otarł krew z oczu i ujrzał, że ma w ręku toporek Swaina, czerwony od posoki. Szczur był już tylko drgającym, porąbanym zewłokiem na polepie, a jego wnętrzności rozlały się wokół stóp Haelana. Garnek odczołgał się, nie spuszczając z niego oczu.

Chłopak uniósł wzrok i rozejrzał się, rejestrując ludzi wpatrujących się w niego z szeroko otwartymi ustami. Sif płakała.

– To niesprawiedliwe – oznajmiła Trigg. – Mój szczur wygrywał.

Swain wkroczył na ring i podniósł Garnka. Haelan poczuł, jak wilgotnieją mu oczy, a po brudnych od krwi policzkach spływają pierwsze łzy. Jego ramiona zaczęły się trząść.

– Chodźmy – rzekł Swain i otoczył Haelana ramieniem. Sif podeszła bliżej i ujęła go za rękę.

– Spójrzcie tylko na mojego szczura. – Trigg zmarszczyła brwi. – Wygrałby

tę walkę. Zabiliście go, bo wygrywał.

Swain zatrzymał się i odwrócił, a potem wyrwał toporek z rąk Haelana i rzucił go Trigg do stóp.

– Masz swoją wygraną – oznajmił.

– Nie, nie możesz tego zrobić! – wypalił Haelan. – Przecież Orgull dał ci ten topór!

– O, i to jest sprawiedliwe – rzekła Trigg. – I tak bym go wygrała.

Pochyliła się i podniosła broń, wycierając ostrze o siano.

Wtedy do środka wpadło echo rogu. Wszyscy odwrócili się i spojrzeli na wejście. Swain wyszedł na zewnątrz.

Podążyli za nim, a wtedy róg rozległ się ponownie.

– Co się dzieje? – spytał Haelan.

– Spójrz! – Swain wskazał północ, ziemie za rzeką, która oddzielała ich od Pustkowia.

Haelan wytężył wzrok, marszcząc brwi, aż dostrzegł chmurę unoszącą się tuż nad ziemią.

– Co to takiego?

– Pył i kurz. Spójrz niżej – rzekł Swain.

W pierwszej chwili Haelan nie widział niczego, aż dostrzegł ruch. Do osady Gramma zbliżał się szereg jeźdźców. W blasku słońca migotała stal.

## Rozdział dwudziesty trzeci

# ULFILAS

Ulfilas poczuł falę ulgi na widok rzeki – ciemnej, migotliwej żyły przecinającej ziemię. Stanowiła granicę, za którą zaczynał się Isiltir.

Pora się pożegnać z tą zawszawioną krainą popiołu i kamienia. I olbrzymów. I niedźwiedzi, pomyślał.

– Zawsze dobrze jest wrócić do domu po długiej wyprawie – odezwał się król Jael, gdy pędzili w dół łagodnego zbocza. Kopyta dwóch setek konnych wojowników wzbijały za nimi chmurę kurzu.

– Tak, mój panie.

– A zwłaszcza po wyprawie zakończonej powodzeniem – dodał Jael, tym razem ciszej.

Spotkanie z olbrzymami Jotun przebiegło pomyślnie. Nikt nie zginął, a król Jael wracał do domu w o wiele lepszym nastroju. Jego dar, składający się ze starożytnej broni olbrzymów, zrobił na Ildaerze, przywódcy Jotun, wielkie wrażenie.

Ale czy na tyle wielkie, by rozpoczął polowanie na zbiegłe książątko?, zastanawiał się Ulfilas.

Nie miał co do tego pewności. Nie mógł też pozbyć się przeświadczenia, że coś mu w tej całej sytuacji przeszkadzało. Olbrzymy od niepamiętnych czasów były wrogami. Ulfilas wychowywał się w cieniu lasu Forn, gdzie ryzyko najazdu ze strony olbrzymów było bardzo duże. Napastnikami byli co prawda Hunen, a nie Jotun, ale olbrzymy to olbrzymy. Dziki, wojowniczy naród, któremu za żadną cenę nie wolno było ufać. Zawieranie z nimi umów po prostu było nie na miejscu.

Ale kimże jestem, by to oceniać?, pomyślał. Wszak nastały dziwne czasy...

– Coś nie tak? – spytał Jael.

– Zastanawiałem się nad sensem zawierania układów z olbrzymami –

odparł Ulfilas.

– Dość uprzejmy sposób na powiedzenie, że jestem głupcem – rzekł Jael. Uśmiechał się co prawda, ale na jego twarzy nie było ani śladu wesołości.

– Skądże znowu, mój panie.

– Nienawidzę olbrzymów – oznajmił Jael. – I marzę o tym, by każdy klan został wybity do cna. Marzę o tym, odkąd Hunen zamordowali mi rodziców oraz spalili dom. – Urwał. Rozchylone nozdrza mówiły, że tłumi w sobie wielki gniew. – Ale o koronie marzę jeszcze bardziej.

– A więc znów na szali mamy większe dobro – rzekł Ulfilas.

– Przynajmniej moje większe dobro. – Jael się uśmiechnął. – Poza tym, kto wie? Może moje marzenie jeszcze się spełni? Widzieliśmy już całkowitą klęskę Hunen z Fornu, a więc jeden klan mamy z głowy. Jotun są mi jednak potrzebni.

– Myślisz, panie, że znajdą dziecko? – spytał Ulfilas.

– Może. – Jael wzruszył ramionami. – O ile chłopak dotarł tak daleko. Może wciąż tkwi w Isiltirze, ukryty w szopie jakiegoś myśliwego. Wielu ludzi jest gotowych przyjść mu z pomocą, kierując się źle pojmowaną, niepotrzebną lojalnością wobec poprzedniego władcy. Szczeniak mógł też uciec na Pustkowie. Nie wiem, ale nie spocznę, póki nie ujrzę jego trupa u mych stóp. Do tego czasu nie mam zamiaru rezygnować. Przecież wokół tego dzieciaka zgromadzą się wszyscy, którzy mają ochotę mi się sprzeciwić! Musi zginąć, a co więcej, wszyscy muszą ujrzyć jego trupa.

Jael przydzielił zadanie odnalezienia chłopaka wielu zbrojnym oddziałom, które zataczały coraz szersze kręgi po upadku Dun Kellen. Ulfilas był skłonny zgodzić się z tym, że chłopak nie żyje.

Pewnie leży w jakimś rowie, dziobany przez kruki, myślał.

– Znajdziemy go – mruknął.

– Tak. My albo Jotun. Mało kto zdoła przemknąć się przez Pustkowie tak, by go nie zauważyły.

W to jestem gotów uwierzyć, pomyślał Ulfilas i zerknął do tyłu, na wzgórze, spośród których wyjeżdżali. Na skraju widoczności, daleko za kolumną przybocznych Jaela, dostrzegł jakiś kształt na tle nieba. Przypominał niedźwiedzia.

Chcą mieć pewność, że opuściliśmy ich ziemie, przemknęło mu przez myśl.

Spojrzał przed siebie. Na wschodzie widział ciemny, groźny masyw lasu Forn. Rzeka była na tyle blisko, że rozróżniał kształty łodzi unoszących się na



falach. Na południowym wschodzie znajdował się most, a dalej otoczone palisadą wzgórze.

– Doprawdy niebezpieczne miejsce, by założyć osadę – rzekł Jael. – Strasznie tu ponuro.

– Dokładnie. Kto jest na tyle szalony, by się tu osiedlać? Na wschodzie Forn, na północy Pustkowie.

Tropiciel Dag zwolnił nieco, by do nich dołączyć.

– To osada Gramma – wyjaśnił. – Mieszka tu nie od dziś. Dwadzieścia lat, może dwadzieścia pięć.

Po twarzy Daga od czaszki aż po szczękę ciągnęły się równoległe pasma blizn, przypominające ślady po pazurach. Brakowało mu kawałka ucha, a włosy po tej stronie głowy rosły tylko w kilku miejscach.

– Doprawdy? – rzekł Jael. – A więc może trzeba mu przypomnieć, kto tu jest teraz królem.

\* \* \*

Na kamiennym moście załomotały kopyta przejeżdżającego zastępu. Na ciemnych wodach rzeki tłoczyły się kłody, odpowiednio przycięte i przygotowane do spławienia. Zza zwieńczonego palisadą wału wyglądały liczne twarze. Jael wraz ze swymi ludźmi przejechał drogą, która obiegała osadę, mijając naprawiane na brzegu łodzie, wędzarnie, zagrody rymarzy i szopy na ziarno, aż wreszcie dotarli do południowego krańca siedziby. Ulfilas zdążył dostrzec błysk żelaza na wałach.

Przynajmniej dziesięciu zbrojnych, pomyślał.

– Twierdzą bym tego nie nazwał. – Jael zwrócił się do Ulfilasa i Daga.

– Słuszna uwaga, panie.

Ich oczom ukazały się otoczone zagrodami łąki, po których biegały stada koni.

Piękne, silne zwierzęta, pomyślał Ulfilas, który przypomniał sobie, że Gramm służył nie tylko jako handlarz drewnem. Wojownik przyglądał się koniom zazdrośnie.

Byłyby z nich wspaniałe rumaki bojowe, dodał w myślach.

– Cudowne – rzekł Jael z szerokim uśmiechem. – Marnują się tutaj.

– Dokładnie o tym samym pomyślałem – odparł Ulfilas.

Droga zakręciła w górę zbocza. Orszak królewski wjechał przez bramę na

szeroki dziedziniec, gdzie Ulfilas dojrzał kolejnych strażników z włóczniami. Niektórzy stali na wałach, inni w pobliżu dziedzińca.

Dobrze uzbrojeni, pomyślał, przyglądając im się uważnie. Każdy miał kolczugę i niezłą broń: miecze u pasa i włócznie w rękach, a do tego topory przytroczone do pleców. Ciekawe. Topory na plecach? Przy bramie widzę tuzin zbrojnych, kolejnych pięciu na dziedzińcu i przynajmniej dziesięciu na palisadzie. Ilu jeszcze się tam kryje? A może zebrali się tu wszyscy, by zrobić na nas wrażenie? Przecież widzieli nas z daleka i mieli mnóstwo czasu, by przygotować odpowiednie powitanie.

Uśmiechnął się lekko, gdy przyboczni Jaela wypełnili dziedziniec, spory, ale przecież nie na tyle duży, by bez trudu pomieścić dwustu wojowników na dumnych, potężnych rumakach bojowych.

Chyba zrobimy na nich większe wrażenie niż oni na nas, pomyślał Ulfilas.

Z sali biesiadnej wyłonił się samotny człowiek, który zatrzymał się na szczycie szerokich schodów. Był potężnie umięśnionym, prosto trzymającym się mężczyzną, choć już z wydatnym brzuchem. W jego włosach pojawiły się nitki siwizny, a brodę zaplótł w warkocze. Miał na sobie zwykłe płócienne spodnie i wełnianą tunikę związaną w pasie.

– Witajcie! – huknął. – Zwą mnie Gramm i jestem panem tych ziem. Witajcie w moich progach. – Spojrzał na proporzec trzymany przez jednego z ludzi, łopoczący na wietrze z północy. Błyskawica opleciona węzem na czarnym polu. – A więc jesteście ludźmi Jaela. Witajcie, witajcie. Wejdźcie, a ugoszczę was.

Ulfilas zeskoczył z konia i wszedł po schodach, gdzie pochylił głowę przed Grammem.

– Jesteśmy czymś więcej niż tylko ludźmi króla Jaela – rzekł, kładąc nacisk na słowo „króla”. – Jesteśmy jego wybranym zastępem przybocznych, strzegących go podczas wyprawy na północ.

Wskazał przy tym ręką samego Jaela, ubranego w płaszcz z soboli, siedzącego w siodle z istic królewską dumą i godnością.

Gramm zamarł na moment, a przez jego twarz przemknęło coś nieokreślonego. Ulfilas poczuł, jak po plecach spływają mu ciarki i nagle uzmysłowił sobie, że zaraz dojdzie do rozlewu krwi, ale mina Gramma znikła równie szybko, jak się pojawiła.

Ulfilas zmarszczył brwi, nieco wyprowadzony z równowagi, a Gramm powoli, niezdarnie opadł na jedno kolano.

– Czynicie mi wielki zaszczyt – oznajmił. – Bądź pozdrowiony, Wasza Królewska Mość.

Jael zsiadł z konia i wszedł po stopniach na samą górę, gdzie położył dłoń na ramieniu Gramma, dając mu znać, by powstał.

– Witajcie pod moim dachem – powtórzył Gramm.

Wydaje się zmieszany, ale przecież nie co dzień przybywa do niego król z wizytą, pomyślał Ulfilas.

– Dziękuję – rzekł Jael.

– Gdybym wiedział o twoim przybyciu, panie, przygotowałbym ucztę godną króla i jego towarzystwa.

– To nieplanowana wizyta – odparł Jael. – Prawdę powiedziawszy, przemierzam północne rubieże Isiltiru w pościgu za buntownikami i bandytami, a na twą osadę natknęliśmy się przez przypadek. Uznałem jednak, że to dobra okazja poznać kogoś, o kim tyle słyszałem.

– Zaszczycasz mnie, panie – rzekł Gramm.

– Wybacz, że przybywam w tak licznej kompanii bez zapowiedzi – dodał Jael. – Nie zabawimy tu długo, ale nie wzgardzimy ciepłą strawą i czymś do przepłukania gardeł.

– Drzwi do mej spiżarni stoją otworem. – Gramm wypowiedział zwyczajową formułkę gospodarza. – Miód i mięso dla naszych gości! – krzyknął i zamachał rękami.

Przez krótką chwilę na dziedzińcu panował chaos, gdy wojownicy zeskakiwali z siodła i zewsząd wybiegały dzieci, by przejąć wodze i zająć się końmi. Gramm zatrzymał jednego chłopca i pochylił się, by szepnąć mu coś do ucha. Chłopak trzymał pod pachą psa szczurołapa, który krwawił z rany na barku.

– Sprowadź swego ojca – przekazał mu Gramm.

– Tak, dziadku – rzekł chłopak i pognął przez dziedziniec.

Ulfilas przechwycił spojrzenie Daga i wskazał mu ruchem głowy odbiegającego chłopaka. Tropiciel bez wahania udał się w ślad za wyrostkiem, przedzierając się przez zatłoczony dziedziniec.

Tymczasem Gramm, wykrzykując kolejne rozkazy, prowadził Jaela i Ulfilasa do sali. Pozostali wojownicy podążali za nimi. Sala biesiadna była wielkim pomieszczeniem – wzdłuż równoległych ścian biegły dwie długie ławy, a trzecią ustawiono wzdłuż tylnej ściany, na której wisiała skóra niedźwiedzia o rozwartym pysku, a powyżej wielki młot wojenny używany

przez olbrzymy.

Wygląda na to, że ich układy z sąsiadami, Jotun, nie są zbyt przyjacielskie, pomyślał Ulfilas.

Jedzenie, które przybyło z kuchni Gramma, było niewyszukane, ale smaczne i gorące, a co najważniejsze, było go mnóstwo. Jakieś jasnowłose dziecko podało Ulfilasowi dzban z miodem, ale odmówił i nalał sobie zimnej wody. Jako przyboczny Jaela zawsze musiał zachować czujność, a tutaj nie mógł się pozbyć wrażenia, że coś było nie w porządku. Dręczył go osobliwy niepokój.

– Ten dzban jest chyba za ciężki dla ciebie, dziecko – powiedział do dziewczynki z miodem.

– Dziadek zawsze mówi, że powinniśmy dźwigać więcej, niż możemy – odparła mała i zmarszczyła w skupieniu piegowate czołko. – Mówi, że będziemy dzięki temu silniejsi. Zarówno ciałem, jak i duchem. – Zerknęła przy tych słowach na Gramma.

– Cenna lekcja – rzekł Jael i uśmiechnął się z sympatią.

– Życie tak daleko na północy jest niełatwe – odparł Gramm. – No, uciekaj już, Sif – zwrócił się do dziecka.

– Masz dzieci, tak? – spytał Jael.

– Tak – mruknął Gramm.

– I wnuki – dodał Jael, odprowadzając wzrokiem dziewczynkę, która przytaszczyła dzban do stołu zajętego przez wojowników królewskich.

Gramm, pomimo swego początkowego zaskoczenia na widok króla, szybko opanował nerwy, a Jael był uprzejmy i czarujący, co Ulfilas widywał u niego już niejednokrotnie. Gramm opowiadał mu o tym, jak zbudował osadę własnymi rękami, zadecydowawszy, że zamieszka w sąsiedztwie lasu Forn oraz Pustkowie, by móc wykorzystać rzekę do spływu.

– Śmiałe przedsięwzięcie – zauważył Jael.

A do tego się opłaciło, pomyślał Ulfilas, patrząc na rozmiary sali.

– Zbudowałeś tu dla siebie świetne miejsce do życia – mówił Jael. – Zapewne osiągasz wysokie zyski, skoro możesz utrzymać tylu ludzi.

Jael nie jest głupi. Bez wątpienia zauważył jeszcze więcej ode mnie, pomyślał Ulfilas.

– Handel idzie dobrze, nie zaprzeczę – odparł Gramm.

– A twoi wojownicy... Jeszcze nie widziałem tylu zbrojnych w zwykłej osadzie, a do tego tak dobrze wyposażonych.

– Życie bywa niebezpieczne tak daleko na północy. – Gramm wskazał skórę niedźwiedzia i młot na ścianie. – To nie dekoracja, a nieustające przypomnienie. Mieszkamy blisko Pustkowiec i lasu Forn. Czasami wystarczy, że nadejdzie mróz, a olbrzymy już próbują sforsować rzekę. Bywa, że z lasu wyłaniają się bestie, mające jak na nasz gust o wiele za dużo nóg i zębów. Wojownicy z dobrymi mieczami to tutaj nie luksus, ale konieczność. Jakby tego było mało, ostatnio sporo dzieje się na południu – spojrzał przy tych słowach znacząco na Jaela – co skutkuje wzrostem przestępczości na niespotykaną wcześniej skalę. Bandyty próbują wykorzystać niepokoje w Isiltirze i moje ziemie zostały już parokrotnie najechane.

– To akurat niebawem dobiegnie końca. Zajmę się tym. Jestem nowym królem Isiltiru i mam zamiar zaprowadzić pokój na tych ziemiach. Dni tych bandytów są policzone.

– Cieszę się – rzekł Gramm.

– A skoro już mowa o tym, co się dzieje na południu, to chciałbym wiedzieć, komu jesteś lojalny – ciągnął Jael. Jego ton głosu nie zmienił się ani o jotę, ale gwar w sali zdawał się przycichać, zupełnie jakby wszyscy nabrali tchu, czekając na odpowiedź Gramma.

Ten spojrzał na Jaela z nieprzeniknioną miną.

– Mieszkamy na uboczu, daleko od wszelkich wydarzeń. Dla ludzi żyjących na skraju dziczy priorytety ulegają zmianie. Jeśli mam być szczery, niewiele mnie obchodzi to, co się dzieje w Isiltirze. Dla mnie priorytet mają: rodzina, pełna spiżarnia, udane transakcje i cisza ze strony olbrzymów. Gdybym jednak musiał dokonać wyboru, wiedz, że jestem synem Isiltiru i pozostaję lojalny wobec tronu. Co do tego nie ma wątpliwości.

– Dobrze wiedzieć – rzekł Jael. – Dziękuję ci za twą szczerość.

– To najważniejsza z męskich cech. – Gramm wzruszył ramionami.

– Nie da się ukryć.

Ulfilas dostrzegł czyjś cień w otwartych drzwiach sali. Był to Dag, który dał mu znak skinieniem głowy i znikł z pola widzenia.

– Pozwól, że ja również odwdziczę ci się szczerością. – Jael zwrócił się do Gramma. – Byłbym bardzo wdzięczny, gdyby udało nam się nawiązać współpracę.

– Jaką współpracę? – spytał Gramm.

– Potrzeba mi informacji. Chcę wiedzieć, gdzie chowają się moi wrogowie, bym mógł zakończyć owe trudne czasy, o których mówisz. Oboje byśmy na

tym skorzystali.

Jael przestał jeść i wbił spojrzenie w Gramma.

– Chowają się? – spytał Gramm i oderwał kawałek chleba z wielkiego bochna. Powoli przeniósł wzrok na Jaela.

– Tak. Północne rubieże są rozległe i sprytny człowiek znajdzie tu dla siebie setki kryjówek. Myślę, że kto jak kto, ale ty znasz ich wiele. Gdybyś mógł przekazać mi informacje o ruchach bandytów oraz miejscach, w których założyli bazy, bardzo byś mi pomógł, a ja zawsze wynagradzam tych, którzy przychodzą mi z pomocą.

Gramm milczał.

– Są dwie osoby, na których zależy mi w szczególności. Szukam ich z uporem – ciągnął Jael. – To wrogowie, którzy być może ukrywają się tu na północy. Młody chłopak oraz pewien wojownik.

– Nie wydają się jakoś szczególnie niebezpieczni – rzekł Gramm z uśmiechem.

– Prawda, ale zależy mi na tym, by znaleźli się w moich rękach. Złapię ich, prędzej czy później. Chłopak ma jedenaście lat i rude włosy, a ów wojownik również jest młody. Liczy sobie nie więcej niż dwadzieścia lat. To niedobitek z Gadrai.

– Sądziłem, że Gadrai wiernie służyli Isiltirowi! – oznajmił Gramm.

– Ten jest wyjątkiem. Większość Gadrai padła w lesie Forn w starciu z Hunen, gdy okazało się, że walka z olbrzymami nie idzie im tak sporo, jak większość ludzi uważała! – Jael zachichotał z własnego dowcipu. Zawtórowało mu kilku przybocznych, ale żaden z ludzi Gramma. – Ten jednak nadal żyje, a przynajmniej żył, kiedy padło Dun Kellen. To zdrajca i renegat. Czy widziałeś kogoś, kto pasuje do tego opisu? A może słyszałeś wieści o dwóch osobach wędrujących po pustkowiach?

– Nie – odparł Gramm.

– Będę ci wdzięczny, jeśli pomożesz mi ich znaleźć.

– Zrobię, co będę mógł – rzekł gospodarz i wbił zęby w swój kawałek chleba.

– Nie mam co do tego wątpliwości. Wydajesz się uczciwym człowiekiem, a więc powinienem uwierzyć ci na słowo. Niestety, moje ostatnie doświadczenia... Cóż, powiedzmy, że mam coraz większe trudności z tym, by komukolwiek zaufać. Z pewnością to moja wina, ale często nie mogę się pozbyć dystansu, który łatwo przechodzi w brak zaufania. I właśnie teraz się z tym zmagam.

– Mogę jedynie dać ci słowo i gwarancję, że... – zaczął Gramm, ale Jael przerwał mu w pół zdania.

– Właśnie, gwarancję. Dokładnie o tym myślałem – rzekł i dotknął ramienia Ulfilasa.

Ten wskoczył na stół, roztrzając misy, dzbany i tace z jedzeniem, i sięgnął w dół. Rozległ się głośny pisk, gdy pochwycił małą Sif, a potem przyłożył jej nóż do gardła.

Jakaś kobieta wrzasnęła przeraźliwie i skoczyła w stronę Ulfilasa, ale zatrzymali ją przyboczni Jaela.

– Nie! – krzyknął Gramm i podniósł się, przewracając krzesło na ziemię.

Wszędzie dookoła rozlegały się krzyki, miecze ze zgrzytem wyslizgiwały się z pochw.

– Odradzam – rzekł Jael, który również powstał i powoli otarł usta. Nieśpiesznie podszedł do Ulfilasa. – To twoja wnuczka, a rodzina stoi wysoko na liście twoich priorytetów, jak mnie właśnie oświeciłeś. Myślę, że pojedzie ze mną jako mój gość. Będziemy się o nią troszczyć i nic się jej nie stanie, pod warunkiem że zrobisz wszystko, o co cię poproszę. Taka gwarancja, rozumiesz?

Gramm wpatrywał się w Jaela. Napinał mięśnie, a jego twarzą poruszał tik.

– Rozumiesz czy nie? – powtórzył Jael. – Trzeci raz nie powtórzę.

– Rozumiem – powiedział pustym głosem Gramm.

– Dobrze. – Jael spojrzał na Sif. – Przestań się mazać, dziecko – rzekł. – Ta mała jest ci droga, ale rodzinę masz liczną, a poza tym to tylko dziewczyna. Przyda mi się jeszcze jakaś gwarancja.

– Jeśli myślisz, że ustawię przed tobą wszystkie moje wnuczeta, jesteś głupcem! – warknął Gramm.

– Prawda, to w istocie byłoby głupie. Już lepiej samemu sobie któreś wybrać – oznajmił Jael i krzyknął.

Na progu stanął Dag, trzymając chłopaka, którego Gramm odesłał wcześniej. Złapany krwawił z rozbitej wargi i wciąż trzymał szczurołapa pod pachą.

– Swain! – wykrztusił Gramm, a kobieta, która przed chwilą chciała podbiec do dziewczynki, krzyknęła głośno i opadła na kolana, szlochając.

– Wspaniale. – Jael uśmiechnął się. – Jestem przekonany, że taka gwarancja wystarczy.

Wyszedł z sali biesiadnej w blask bladego słońca i wskoczył na konia. Za nim podążył Ulfilas, a potem pozostali. Sif próbowała stawiać opór podczas sadzania na koniu i wojownik musiał nią ostro potrząsnąć.

– Uspokój się, mała, albo klapsa zarobisz! – warknął.

Chłopak trzymany przez Daga skoczył na niego, ale tropiciel złapał go za tunikę i rąbnął w plecy rękojeścią noża.

Swain osunął się na ziemię, ale Dagowi zastąpił drogę warczący psiak.

Jael parsknął śmiechem. Tropiciel odkopnął psa, który potoczył się ze skomleniem, a potem dźwignął chłopaka i przewiesił go przez siodło.

– Jesteś teraz moimi oczami na północy! – wykrzyknął Jael do Gramma. – Znajdź chłopca i jego opiekuna albo dowiedz się o nich czegoś, a dzieciaki wrócą do ciebie. Włos im z głowy nie spadnie.

Następnie zawrócił konia i wyjechał z dziedzińca.

Ulfilas dogonił go na długiej drodze, która biegła niedaleko zagród.

– Chyba zrobiłeś niezłe wrażenie.

– Oj, tak. Gramm długo nie zapomni swego nowego króla.

– Szkoda tylko, że nie dostałem nowego konia – powiedział Ulfilas, spoglądając na zagrody.

– Następnym razem – obiecał mu Jael.

– Ufasz już Grammowi?

– Ja nie ufam nikomu, Ulfilasie, nawet tobie, choć jesteś moim przybocznym od czasów, gdy nie umiałem unieść miecza.

To dobrze, bo ja też ci nie ufam, pomyślał Ulfilas.

– Ale zaufanie jest przeceniane, podobnie jak miłość, lojalność i oddanie. Strach, Ulfilasie. Strach jest dla mnie ważny. Dopóki Gramm się mnie boi, dopóty wszystko będzie dobrze.

Ulfilas odwrócił głowę i spojrzał na osadę, otoczoną mocną, drewnianą palisadą. Nie ujrzał strachu na obliczu Gramma, gdy ten powitał nowego króla, nie. Przez jego twarz przemknęła inna emocja, którą szybko zamaskował, ale mimo to można było ją odczytać.

To była nienawiść.



## Rozdział dwudziesty czwarty

# TUKUL

Tukul siedział blisko Corbana i cierpliwie czekał, aż ich niewielka armia przygotuje się do wymarszu. Nieświadomie pochylił się i podrapał Darię za uchem, na co klacz zarżała cicho. Wszyscy byli już gotowi i czekali tylko na Corbana, który toczył cichą rozmowę z Briną i Ethlinn. W końcu rozmowa dobiegła końca i młodzieniec wskoczył na grzbiet Tarczy. Ogier tupnął kopytem i parsknął, na co Daria odpowiedziała rzeniem.

Coś się w nim zmieniło, pomyślał Tukul. Wczoraj nie był niczego pewien. Widać było, że nie przestaje się zamartwiać, ale teraz... Wygląda na zdecydowanego.

Corban spojrzał po twarzach towarzyszy.

– Nasi wrogowie są za nami i przed nami! – wykrzyknął. – Możemy zdecydować tylko o tym, z kim pierwszym stoczymy walkę. Udamy się zatem na południe i przekonamy się, jakie zdanie ma o nas hufiec Rhin. Zamiast uciekać, popędzimy prosto na nich.

Tukul poczuł, jak przeszywa go wyczekiwany dreszcz strachu i podniecenia. Corban siedział wyprostowany w siodle, a Burza biegała przed kopytami Tarczy.

– Kadoshim zostawimy sobie na kiedy indziej – dodał młodzieniec, wzbudzając liczne salwy śmiechu. – Niech was prowadzi prawda i odwaga! – zakrzyknął, unosząc pięść. – Spotkamy się po drugiej stronie!

Tukul dołączył do okrzyku bitewnego całego hufca.

– Craf, Fech, potrzebuję pomocy was obu – rzekł Corban.

Ptaki siedziały na łęku siodła Briny i przyglądały się podejrzliwie chłopakowi paciorkowatymi oczkami.

– Proszę – dorzucił.

– O, jak ładnie poprosił. Fech poleci! – odezwał się kruk Nemain i pochylił

łebek w imitacji ukłonu.

– Och, dziękuję – odparł Corban, choć drgnęły mu wargi. – Leć więc przodem i ostrzegaj nas przed ludźmi Rhin. Craf, ty wypatruj Nathaira i Kadoshim.

Craf i Fech zatrzepotały skrzydłami i wzniosły się, kołując, ku niebu, gdzie się rozdzieliły. Jeden pomknął na południe, a drugi na północ.

Hufiec również drgnął. Corban poprowadził centralną kolumnę po rozpadającej się drodze. Konie kilkunastu Jehar dźwigały dodatkowego jeźdźca – byli to wieśniacy, którzy uciekli przed Kadoshim.

Nieledwie dwudziestu, pomyślał Tukul.

Meical radził, by ich pozostawić, twierdząc, że będą ich spowalniać, ale Corban upierał się przy swoim.

– Przecież nie mogę ich porzucić na pastwę Kadoshim – powiedział ze zgrozą.

– Ale nie skazujesz ich w ten sposób na karę śmierci. Zapewne dadzą sobie radę i jakoś przeżyją. Wystarczy, że schowają się, gdy Kadoshim będą przechodzić.

– A jeśli demony odnajdą ich trop? Jeśli są głodne?

Wszyscy widzieli je ucztujące na ciałach pochwyconych ludzi. Uciekinierzy opowiadali, że Kadoshim zachowywali się identycznie we wsi podczas ataku.

– To wojna, Corbanie. Trzeba podejmować trudne decyzje, bo one nierzadko przesądzają o zwycięstwie bądź przegranej.

Młodzieniec spytał więc wieśniaków, czy wolą zostać i szukać dla siebie schronienia, czy może ruszyć w drogę z wojskiem. Żaden z nich nie chciał zostać.

– Nie porzucę ich – oznajmił z uporem Corban i na tym zakończyła się rozmowa. Meical pokręcił głową, ale nie powiedział już ani słowa.

Nasz Ben-Elim przypuszczalnie sądził, iż jego Jasna Gwiazda okaże się bardziej elastyczny, pomyślał Tukul i wzruszył ramionami. Bez trudu zabierzemy dwa tuziny wieśniaków. Przecież mamy wiele zapasowych koni, zarówno po naszych poległych, jak i tych zabranych wrogom.

Ruszyli w drogę i upłynęła dłuższa chwila, nim uwagę Tukula przyciągnęło krakanie, w którym posłyszał szaloną, gorączkową nutę. Spojrzał za siebie i dostrzegł szybko przybliżający się punkt na niebie.

To jeden z naszych?, zamyślił się.

Nie pamiętał, który z ptaków towarzyszących Corbanowi poleciał na

północ: Craf czy Fech. Wtedy dostrzegł nad ptakiem czarny punkt, który gwałtownie rzucił się w dół.

– Craf! – krzyknęła Brina i zawróciła konia.

Rozpędzony hufiec zahamował stopniowo, a Corban i Tukul popędzili za uzdrowicielką.

Kruk zdołał dotrzeć do granicy lasu, gdy dopadł go jastrząb. Brina wrzasnęła. Ekspłodowały pióra, a oba ptaki zawirowały w powietrzu. Craf wrzeszczał z przerażenia, pochwycony jastrzębimi szponami.

Cały hufiec przyglądał się bezradnie walczącym, kotłującym się ptakom. Dath nałożył cięciwę i napiął łuk, ale oddanie celnego strzału w tej sytuacji było niemożliwe.

Wtedy w uczezione siebie ptaki uderzył inny. Fech!

Znów buchnęły pióra i jeden z ptaków runął w dół, ku koronom drzew. Rozległ się trzask pękających gałęzi, a potem na ziemię spadło czarne ciało. Ptak zamachał słabo skrzydłami – jedno okazało się wykrzywione i nawet nie drgnęło.

– Craf ranny – wychrypiał, gdy Brina podbiegła do niego i wzięła go w ramiona.

Nad drzewami Fech nadal toczył walkę z jastrzębiem. Oba ptaki zawirowały i rozdzieliły się. W powietrzu śmignęła strzała, która chybiła drapieżnika o cal, ale ten, nie zważając na nic, błyskawicznie rzucił się w ślad za umykającym krukiem. Ponownie zwarte ptaki przemknęły nad drzewami i śmignęły nisko nad łąką, zmierzając ku rzece. Ziemia zadudniła, gdy Balur rzucił się w pościg za nimi.

Pograżone w walce zwierzęta zderzyły się z płaskim głazem na brzegu rzeki i potoczyły po ziemi. Jastrząb zerwał się jako pierwszy i uderzywszy parokrotnie skrzydłami, skoczył na koziołkującego wciąż Fecha. Pochwycił go w szpony i ponownie machnął skrzydłami, wzbijając się w powietrze wraz ze swoją zdobyczą. Od głazu odbiła się strzała, znów chybiając o włos.

Kolejne pomknęły w ślad za wznoszącym się jastrzębiem, który skręcił ostro. Fech wił się słabo w jego szponach. Drapieżnik zawisł nad głowami ludzi i szarpnął gwałtownie szponami. Tukul usłyszał trzask cienkich kosteczek kruka. Jastrząb uderzył go jeszcze dziobem, wyszarpując kropelki krwi i wypuścił. Stary kruk spadł na ziemię z głuchym łoskotem.

Jastrząb uniósł się szybko, ścigany kolejnymi strzałami, ale po chwili był już poza zasięgiem pocisków. Pomknął na północ. Balur przypadł do Fecha

i podniósł go z ziemi. Obwisłe skrzydła ptaka i grymas na twarzy olbrzyma zdradziły Tukulowi, że kruk już nie żył.

\* \* \*

Jechali w milczeniu po starej, podniszczonej drodze. Śmierć kruka sprawiła, że w oddziale zapanował ponury nastrój.

Był tylko ptakiem, przemknęło Tukulowi przez myśl. Trzech moich towarzyszy broni zginęło w walce z Kadoshim, ale ich śmierć nie zaciążyła na nastrojach nas wszystkich tak bardzo.

Corban powiedział, że rozpoznał jastrzębia. Ptak należał kiedyś do kupca, który zdradził go w górach niedaleko Dun Vaner. Mężczyzna zwał jastrzębia Kartalą.

Czyli służy wrogowi, pomyślał Tukul. Cóż, to miałyby sens. A my nie jesteśmy już tymi, którzy śledzą. Sami jesteśmy śledzeni. Wzruszył ramionami. Cóż, nie ma sensu martwić się rzeczami, na które nie mam wpływu. Pora skupić się na bitwie, to na tym się znam.

Słońce stało w zenicie. Hufiec Corbana w szybkim tempie pokonywał zalesione wzgórza, które od czasu do czasu ustępowały miejsca pagórkowatym wrzosowiskom.

Wkrótce ich dopadniemy, myślał Tukul.

Ciężar przytroczonego do pleców miecza dodawał mu otuchy. Dłoń Jehar opadła na wiszący u boku topór, który otrzymał od Wulfa w osadzie Gramma. Jak dotąd służył mu dobrze i rozłupał już przynajmniej jedną czaszkę.

A wnet będzie ich więcej.

Corban, jadący po jego lewicy, krzyknął głośno. Spoglądał w dół nasypu, na którym biegł trakt ku spienionej rzece.

Czyli nadszedł czas, pomyślał Tukul.

Podobał mu się plan ułożony przez Corbana. Przypadła mu do gustu przede wszystkim jego prostota, a jedynym ryzykownym elementem była rola, którą miały odegrać Brina oraz olbrzymka. Tukul wiedział, że korzystanie z mocy ziemi było obarczone wielkim ryzykiem. Gdy po nią sięgano, wszystko mogło wziąć w łeb.

Brina jechała niedaleko, a Ethlinn kroczyła przy niej. Obie spojrzały po sobie i zaczęły wspólnie wyśpiewywać długie, rytmiczne zdania w języku, którego Tukul nie rozumiał. Meical wspomógł je swoim głosem.

Rzeka przed nimi zaczęła się kotłować, aż uniosła się nad nią biała mgła, która rozlała się na łąki, wdarła na nasyp i zagarnęła drogę. Tukul spojrział na swego syna, który jechał obok Corbana. Mgła wirowała wokół kopyt koni niczym włókna jedwabiu, ale szybko pęczniała i unosiła się coraz wyżej, aż pochłonęła ich wszystkich.

Jazda we mgle była dziwnym doświadczeniem. Mgła ograniczała pole widzenia – Gar i Corban stali się zaledwie ulotnymi cieniami. Tukul zaryzykował rzut oka za siebie i dostrzegł kilku Jehar i olbrzymów o zaciętych minach. Potem znów skupił się na jeździe i wyteżył słuch w nadziei, że uda mu się usłyszeć wroga.

Gdzieś z lewej strony rozległ się wrzask, a potem łoskot i dzikie rzenie, które niespodziewanie zastąpiła cisza. Kilka uderzeń serca później z mgły wyłonił się jeździec z paniką na twarzy i dłonią zaciśniętą na rogu.

Jeden z ich zwiadowców, pomyślał Tukul. A więc jesteśmy blisko.

Z sykiem wyciągnął miecz i płynnym ruchem odrąbał mężczyźnie głowę. Krople tryskającej krwi okazały się przerażająco czerwone w zetknięciu z białą mgłą. Tu i ówdzie rozległy się zduszone jęki i łoskot padających ciał, co oznaczało, że inni wojownicy również ścinali wrogą straż. Tukul poczuł uniesienie w sercu.

Oto jadę do bitwy wraz z moim synem, podążając za rozkazami Seren Disglaira, myślał. Chwała niech będzie Elyonowi, Panu Hufców, że dożyłem tego dnia. Niech nasze serca pozostaną czyste, a nasze miecze okażą się ostre!

Zaśmiał się długo i głośno. W jego żyłach rozlewała się adrenalina. Oddział przyśpieszył nieco. Tukul marzył, by rzucić się naprzód galopem, ale opanował się. Mgła zaczynała się przeredzać i wyparowywać.

Naraz, mniej więcej z miejsca, gdzie zdaniem Jehar powinien znajdować się Corban, dobiegł ryk rogu.

– Za mną! – krzyknął Tukul i ruszył na prawo, prowadząc ze sobą setkę jeźdźców. Wyskoczyli z rozplywającej się mgły, nagle zaskoczeni ostrym blaskiem słońca. Mężczyzna był zmuszony zamrugać parokrotnie.

Wróg był przed nimi. Widzieli grupy konnych oraz pieszych wojowników, tych ostatnich skupionych wokół wozów tworzących tył kolumny.

Trzysta, może czterysta mieczy, przemknęło Tukulowi przez głowę.

Na twarzach wojowników dostrzegł szok i przerażenie, gdy ich hufiec wychynął z mgły z wilkunem i olbrzymami na czele. Pod niebiosą poniosły się okrzyki bojowe.

Chyba mnie też przeraziłby taki widok, pomyślał Tukul.

Chwilę później rozległ się ogłuszający trzask, gdy główna część ich hufca, prowadzona przez Corbana, uderzyła prosto na wroga. Jehar dostrzegł Burzę, która wyskoczyła wysoko i zerwała jeźdźca z siodła. Szukał wzrokiem Gara, aż go zauważył, jak rąbał naokoło zakrzywionym mieczem. Zdjął go lęk o syna.

Zginie bądź przeżyje, pomyślał, odwracając od niego spojrzenie. Trzeciego rozwiązania nie ma.

Pociągnął lekko za wodze. Zataczał szeroki łuk, aż zakreślił ku traktowi i odnalazł wzrokiem grupę wojowników, która najwyraźniej przegrupowywała się szybciej niż reszta. Skupieni wokół wozów, szykowali się, by z boków zająć prowadzony przez Corbana klin. Tukul zerknął za siebie i ujrzał Jehar oraz Benothi, którzy błyskawicznie rozciągali szyk. W chwili zderzenia z wrogiem mieli być murem, a nie klinem.

Dostrzegł twarz Akara, który skinął mu z ponurą, zawziętą miną. Tukul widział antagonizmy między Setką, z którą opuścił Telassar, oraz pozostałościami zwolenników Sumura i szybko przemieszał obie grupy.

Takie konflikty nam nie służą, uświadomił sobie. Jesteśmy jedną rodziną. Czas pozostawić przeszłość za sobą, a wraz z nią wszelkie krzywdy i urazy. Na szczęście nic nie jednoczy ludzi tak jak wspólna bitwa.

Pozostało jeszcze dwieście kroków, gdy dał Darii sygnał, by rozpędziła się do galopu. Klacz nie czekała na zachętę i wystrzeliła naprzód jak pocisk. Wiatr smagał Tukula po twarzy. Wojownik obwiązał wodze wokół łęku siodła, ścisnął wierzchowca kolanami i otworzył skórzany futerał, w którym trzymał topór.

Sto pięćdziesiąt kroków.

Ziemia dygotała pod kopytami rozpędzonych koni i podkutymi żelazem butami olbrzymów. Tukul uwolnił topór, a potem długim, płynnym ruchem wywolił miecz z pochwy na plecach. Jehar poszli w jego ślady i zewsząd dobiegł go zgrzyt dobywanych ostrzy.

Sto kroków.

Corban i jego ludzie wdzierali się coraz głębiej w szyki wroga, ale ich natarcie traciło tempo, a konie grzęzły w masie ciał. Tymczasem Tukul widział już wrogich oficerów, którzy wykrzykiwali rozkazy i szykowali się, by odeprzeć atak jego Setki.

Pięćdziesiąt kroków. Tukul dostrzegł trzech Cambreńczyków, którzy stali

razem z uniesionymi tarczami i pochylonymi włóczniami.

Elyonie nad nami, pomyślał, oddaję ci mój miecz oraz mą duszę.

Rzucił się prosto na wrogów. Daria, nie zwalniając, wdarła się na szczyt nasypu, środkiem którego biegła droga. W ostatniej chwili Tukul cisnął toporem, a uderzenie serca później pchnął Darię w lewo. Kątem oka dostrzegł, jak topór trafił któregoś z wojowników w twarz i odrzucił go w tył w fontannie krwi, a potem ciął mieczem. Poczul, jak ostrze zagłębia się w czyimś ciele, a następnie minął już wroga, a kopyta końskie załomotały na kamiennej drodze.

Spomiędzy wozów wychynął samotny konny wojownik, który dostrzegł Tukula i rzucił się do szarży. Jehar złapał oburącz miecz i wznosił go nad głowę. Strzeliły iskry, gdy ostrza się zwały. Pęd rumaków przeniósł każdego z walczących dalej, ale Tukul zdołał się wychylić i odciąć przeciwnikowi głowę. Jego koń pomknął dalej i zniknął w dole nasypu, a bezgłowy jeździec powoli osuwał się na ziemię.

Znów załomotały kopyta. Tukul spojrział w lewo i wtedy zderzył się z nim inny koń, a jeździec ciął go w głowę. Jehar poczuł ból w nodze i odruchowo zablokował cios, w myślach potępiając taki sposób atakowania. Daria zarżała dziko, odepchnięta siłą zderzenia. Jej kopyta przez moment ślizgały się i klacz z trudem uniknęła upadku. Ogarnięta furją, ugryzła wrogiego konia, a Tukul pochwycił jeźdźca za nadgarstek, szarpnął i wbił własne ostrze w jego pachę. Klinga przebiła kolczugę i zagłębiła się w ciało. Tukul wyrwał miecz, a krew przeciwnika obryzgała mu twarz.

Daria odzyskała wreszcie równowagę, a Tukul z dzikim grymasem pchnął ją prosto w sam środek bitwy. Ciął to z prawej, to z lewej, wyrąbując wśród wrogów krwawą bruzdę i pozostawiając za sobą konających ludzi. Próbowano go atakować, ale podniecenie bitewne wyostrzyło mu zmysły i każdy wrogi cios nadciągał dlań w zwolnionym tempie. Każdy, kto do niego doskoczył, umierał.

Niespodziewanie Daria zaczęła się zsuwać. Tukul błyskawicznie pokonał uczucie dezorientacji i uświadomił sobie, że przerąbali się przez cały oddział i zjeżdżali po przeciwległym nasypie. Przez moment widział rzekę i nabrzeżne łąki, na których toczyła się bitwa, a potem już gnał w stronę tłumu wojowników, głównie pieszych. Daria zderzyła się z murem ludzkich ciał, który gwałtownie wyhamował jej pęd, a Tukul wystrzelił z siodła i poleciał do przodu. Wpadł na jakiegoś wojownika i usłyszał chrupnięcie kości.

To nie moje, zdążył pomyśleć.

Runął na ziemię i przetoczył się, nadal ściskając miecz. Zerwał się błyskawicznie pomimo pulsującego bólu nogi, wznosząc miecz w pozycji jelenia, a potem spadł na niego grad ciosów. Parował i uderzał szybciej, niż był w stanie myśleć. Lata treningów i wewnętrznej dyscypliny przejęły nad nim kontrolę, wyprzedzając jakąkolwiek myśl. Wystarczyło kilka uderzeń serca, by pół tuzina napastników znalazło się na ziemi, martwych bądź umierających. Tukul zamarł, wznosząc miecz i oddychając szybko.

Starzeję się, pomyślał.

Nadbiegali kolejni wojownicy. Czterech z nich przypadło do niego i otoczyło go półkręgiem, ale jeden z nich natychmiast runął na ziemię wśród bryzgów krwi, zmiażdżony kopytami Darii. Nim pozostali zrozumieli, co się właściwie stało, Tukul uskoczył w prawo i ciął szeroko, rozrąbując jednemu z przeciwników gardło. Wykorzystał pęd, by rąbnąć kolejnego, ale ten w pośpiechu zdołał odbić cios, na co Tukul obrócił sprawnie nadgarstek, zmienił ustawienie stóp i ciął Cambreńczyka przez twarz. Ten runął w tył z przeraźliwym wrzaskiem, nakrywając dłonią rozrąbany oczodół. Wystarczył jeden wypad, by krzyk się urwał.

Z czwórki pozostał już ostatni, który spojrzał na Tukula, obrócił się i rzucił do ucieczki.

Daria podbiegła do starego wojownika i trąciła pyskiem jego ramię.

– Dobra dziewczynka! – mruknął i wskoczył w siodło.

Na drodze nad nim pojawiły się jakieś sylwetki – olbrzym oraz kilku jeźdźców, bez wątpienia Jehar. Po nich nadciągnęli inni, którzy zjechali nasypem ku niemu. U jego boku zatrzymał się Akar.

– Przegrupowujemy się? – spytał.

– Nie – odparł Tukul. Zamrugnął, by pozbyć się potu z oczu. Uniesienie bitewne wypełniło całe jego ciało, dławiąc ból nogi i tuzina drobnych ran. – Nacieramy! Nie możemy dać im ani chwili wytchnienia.

Droga przed nimi wydawała się czysta, a walki toczyły się najwyraźniej głównie na nabrzeżnych łąkach. Tukul nie wiedział, czy plan Corbana zadziałał czy też nie, ale wystarczyło mu to, że widzi czarno-złote płaszcze przed sobą. Patrzył na sługusów tych, którzy przeciwstawili się Elyonowi i chcieli wyciąć serce jego Jasnej Gwiazdzie. W piersi starego wojownika wezbrał mroczny gniew.

– Zapanuj nad nim, bo w przeciwnym razie to on zawładnie tobą –



wyszeptał swą mantrę, a potem wznosił miecz i poprowadził szarżę na łąki. Ignorując fale bólu w nodze, wykrzyczał okrzyk bojowy, który został podjęty przez Jehar i olbrzymy: – Prawda i odwaga!

\* \* \*

Tukul siedział na skraju drogi. Znalazł już swój topór i przez jakiś czas oczyszczał broń z krwi, a potem ujął oselkę, by usunąć szczyrby.

Bolało go całe ciało, a w szczególności noga, w którą uderzył szarżujący koń. Zajął się już Darią. Obejrzał jej rany, a potem poprowadził ją w górę rzeki, gdzie woda nie była jeszcze różowa od krwi, i dokładnie wymył, a potem sam się wykąpał, odkrywając ponad tuzin ran, z których nie zdawał sobie sprawy.

Bitwa dobiegła końca. Odnieśli wielkie zwycięstwo, tym radośniejsze, gdy Tukul ujrzał Gara krocącego między trupami. Objęli się mocno, serdecznie. Tylko ich oczy zdradzały, jak bardzo bali się o siebie.

Stracili w walce piętnastu Jehar i trzech olbrzymów, ale położyli trupem około trzystu wojowników Rhin. Wielu wołało rzucić się w wody rzeki, aniżeli mierzyć z szablami Jehar i młotami oraz toporami Benothi. Pochwycono jednakże około dwudziestu jeńców, którzy klęczeli teraz na trawie przed Corbanem i Meicałem. Strzegło ich kilkunastu Jehar, a dookoła krążyła Burza z pyskiem umazanym krwią. Na stratowanej trawie leżał Buddai, który przyglądał im się uważnie.

Nikt nie będzie na tyle głupi, by próbować ucieczki, myślał Tukul.

Nieopodał Brina i Ethlinn zajmowały się rannymi, korzystając z pomocy Cywen, kilkoro Jehar i paru młodszych olbrzymów. Podmuchy wiatru przynosiły zapach wypalanych ran.

– Nie będę mordował ludzi, którzy złożyli broń! – mówił głośno Corban. Meical spoglądał na niego nieustępliwie.

Tukul i Gar spojrzeli po sobie, po czym stary wojownik podniósł się z westchnieniem i dołączył do dyskutujących, walcząc z bólem sztywniejących mięśni.

– To wojna, Corbanie – mówił Meical. – To nie morderstwo, ale egzekucja wroga, który walczy po stronie Asrotha. Nie ma tu miejsca na moralne dylematy. Jeśli pozwolisz im żyć, zasila hufiec Nathaira i Calidusa, przekażą im ważne informacje i niebawem znów podniosą na nas broń.

Corban skrzywił się.

Dowodzenie to niełatwe zadanie, pomyślał Tukul. Chłopak ugina się pod ciężarem odpowiedzialności.

– To wojownicy, którzy wypełniają rozkazy swej królowej. Nie są niewinnymi ludźmi, to pewne, ale nie mają pojęcia, że służą woli Asrotha – powiedział cicho. – Rozumiem twoje racje i dostrzegam ich sens, ale zabijanie bezbronnych ludzi jest niehonorowe!

– Nie tak brzmi definicja honoru. – Meical zmarszczył brwi. – Ci ludzie opowiedzieli się po jednej ze stron. Uczynili to świadomie, bez przymusu, a jeszcze chwilę temu próbowali porąbać nas na kawałki. Walczyli i przegrali. Co więcej, zawiedli swego pana. Samo to, że przeżyli, jest niehonorowe.

Nie sądzę, by ci ludzie się z tobą zgodzili, pomyślał Tukul, spoglądając na więźniów.

Corban przyjrzał się klęczącym brańcom, spośród których wielu było rannych.

– Nie mogę ich pozabijać.

– To połam im kości – wtrącił Tukul.

– Co?

– Złam każdemu kciuk oraz przynajmniej jeden palec dłoni, która trzyma miecz. Złam też każdemu kostkę. Przeżyją, ale nie będą w stanie złapać za broń ani poruszać się w walce, a więc nie ma szans, by stanęli ci niebawem na drodze.

Corban zastanowił się. Z uśmiechem ulgi zacisnął dłoń na ramieniu Tukula.

– Zajmijcie się tym – powiedział. – I to szybko. Musimy wyruszyć w drogę, zanim Kadoshim uznają, że pora do nas dołączyć.

Tukul wziął się do pracy, prosząc o pomoc Balura i kilku młodszych olbrzymów oraz członków obu grup Jehar.

Musimy jak najszybciej stać się jednością, przemknęło mu przez myśl.

Balur zachichotał, gdy pierwszy z jeńców zemdłał na widok wznoszonego topora, ale olbrzym uderzył jedynie końcem rękojeści w jego dłoń. Trzasnęły kości.

Rozkaz został szybko wykonany. Większość więźniów zdawała sobie sprawę z tego, że mogą uważać się za szczęśliwców – na trawie bowiem mogły się znaleźć ich głowy.

Niebawem hufiec był gotów do dalszej drogi.

Corban siedział już w siodle, nie mogąc się doczekać, gdy wyruszą na szlak. Każdy z ocalonych wieśniaków otrzymał własnego konia, a pozostałe zdobyczne wierzchowce powiązano długimi linami i objuczono łupami wojennymi – płaszczami, butami, skórzanymi kaftanami, wiązkami włóczni, mieczy i noży, kilkoma dobrymi kolczugami, a także beczkami z miodem i solonym mięsem.

Na długo nie wystarczy, ale przynajmniej będziemy mieli chwilę wytchnienia od brotu, pomyślał Tukul.

Woły pociągowe odcięto od wozów i wypuszczono na wrzosowiska.

Corban raz jeszcze rozmówił się z wieśniakami, którzy się do nich przyłączyli. Przypomniał im, że mogą w każdej chwili ich opuścić, a ci odbyli krótką naradę. Teca, wybrana przez nich na mówczynię, oznajmiła młodzieńcowi, że wszyscy wolą pozostać ze zbrojnymi.

Wówczas Corban dał znak do wyjazdu. Hufiec szeroką kolumną ruszył traktem olbrzymów, poprzedzany przez zwiadowców Coralen.

Nasza pierwsza prawdziwa bitwa pod wodzą Jasnej Gwiazdy, pomyślał Tukul. Chłopak dobrze się spisał.

## Rozdział dwudziesty piąty

# CAMLIN

Camlin obudził się z zeszywniałym karkiem. Spędzili noc na łodziach, które związali ze sobą i wprowadzili w gęste szuwały, ale łagodny prąd wyciągnął łódź Camlina na środek bagiennej rzeczutki, gdzie świt spowijał świat złocistym poblaskiem. Meg siedziała u jego stóp i wpatrywała się w niego. Podała mu coś, co w pierwszej chwili wziął za kawałek chleba, ale gdy przyjrzał się bliżej, dostrzegł gąbczastą strukturę, jak u grzyba. Pokręcił głową.

Inni wciąż spali. Edana i Baird leżeli na dziobie, a na środku rozwalił się Brogan, który chrapał tak głośno, że łódź lekko się kołysała, a od burt odchodziły drobne fale. Tu i tam widać było pozostałe łodzie, których Camlin naliczył osiem, a za nimi niewyraźne sylwetki tych, którzy pełnili ostatnią wartę. Tropiciel wypatrzył jasne włosy Vonna wspartego o wierzbę.

Wiosłowali i odpychali się tyczkami jeszcze przez kilka godzin po tym, jak Morcant zrezygnował z pościgu, aż zabrnęli daleko w głąb bagien i zatrzymali się wśród szuwarów na nocleg.

Camlin stęknął, próbując wstać. Kark nie był jedyną obolałą częścią jego ciała. Podrapał się po szyi i natrafił palcem na liczne bąble. Podobne dostrzegł na ramieniu.

Byłem wieczерzą dla całego roju komarów, pomyślał.

– Nie będę polecał nikomu spania w łodzi – mruknął.

Edana poruszyła się, a Baird otworzył zdrowe oko. Zerwał się błyskawicznie, instynktownie kładąc dłoń na rękojeści miecza. Brogan zachrapał głośno jak koń i Baird wymierzył mu kopniaka. Wojownik również poderwał się gwałtownie, aż łódź się rozkołysała.

– Dzień dobry! – oznajmił i uśmiechnąwszy się szeroko, podrapał się po tyłku.

Zebrał się na brzegu. Trzech ludzi zginęło podczas ucieczki ze wsi. Kilku zostało rannych, ale życiu żadnego z nich nie groziło niebezpieczeństwo.

– A więc gdzie jest to Dun Crin? – spytała Roisin, patrząc to na Edaną, to na Camlina.

– Nie wiem – odparła Edana.

– To twierdza olbrzymów! – warknęła Roisin. – Jak możecie nie wiedzieć, gdzie ona jest?

Najwidoczniej noc spędzona w łodzi nie poprawiła jej nastroju, pomyślał Camlin.

– Te bagna ciągną się przez jakieś pięćdziesiąt mil, a twierdza, jeśli wierzyć pogłoskom, leży w ruinach. Któż może wiedzieć, ile z niej pozostało. Eremon otrzymał jednak wiadomość, że tam właśnie odradza się ruch oporu, a zachowanie Morcanta zdaje się to potwierdzać. Oni muszą gdzieś tam być.

– A więc planujesz wiosłować przez te cuchnące bagna, aż natkniemy się na buntowników?

Tak, pomyślał Camlin. Choć dyplomata powstrzymałby się teraz od tak bezpośredniej odpowiedzi.

Edana wpatrywała się w Roisin przez moment.

– Tak – rzekła.

Nieźle. Widać nawet księżniczkom kończy się kiedyś cierpliwość, przemknęło Camlinowi przez myśl.

– Nie wierzę w to, co słyszę.

– Jeśli ci się to nie podoba, zawsze możesz wrócić do Domhainu. Albo na swój statek.

Wygląda na to, że całonocna uczta komarów pozbawiła Edaną również resztek uprzejmości, pomyślał Camlin, ale powstrzymał wesołość, gdyż ujrzał gniew na obliczach wojowników Roisin.

Zły znak. Najwyraźniej nie przywykli do tego, by ktoś się tak odzywał do ich królowej. Widziałem już nieraz, jak ludzie zaczynają sobie wbijać noże w brzuchy tylko dlatego, że są głodni i zmęczeni. Jeszcze kilka nieopatrznych słów i wszystko może źle się skończyć.

Przetrząsał umysł w poszukiwaniu jakiegoś pomysłu na rozładowanie sytuacji, gdy nieprzyjemną ciszę przerwał Lorcan.

– To nie pora na sprzeczki – oznajmił. – Powinniśmy się radować, że udało

nam się wyrwać ze szponów żołdaków Rhin, a od siebie powiem, że słuchanie tak ostrych słów z ust dwóch najwspanialszych kobiet pod słońcem jest dla mnie niemalże nie do zniesienia.

Cisza nadal trwała, ale tym razem Camlin nie zdołał powstrzymać szerokiego uśmiechu. Edana spojrzała krzywo na młodego wojownika, a Roisin wydawała się zaskoczona.

– Nie byłoby lepiej, gdybyśmy połączyli siły? – ciągnął Lorcan, widząc, że wszyscy na niego patrzą. – Być może istnieje lepszy sposób na znalezienie naszych sojuszników niż bezcelowe przeczesywanie bagien.

– Zgadzam się – rzekł Vonn, oparty o gruby pień wierzby. – Klótnie nie pomogą nam ich znaleźć i nie ma też sensu żałować, że dotarliśmy w to miejsce. Przynajmniej wiemy, że jesteśmy na dobrym tropie. W innym przypadku Morcant nie węszyłby po okolicy. Nie mam wątpliwości, że próbuje odnaleźć buntowników. Wszyscy słyszeliśmy, co powiedział do tych wieśniaków.

– Oni na pewno kryją się gdzieś pośród tych bagien – rzekła Edana i spojrzała na Camlina.

Chce, bym coś powiedział.

– Tak, nie ma co do tego dwóch zdań – rzucił i przyjrzał się uważniej wszystkim członkom ich grupy, aż zawiesił wzrok na Meg, dziewczynce ze wsi. – Meg, czy ty możesz nam pomóc? – spytał. – Wiesz, kogo szukamy, prawda?

– Tak – odparła mała, przygryzając wargę. – Ludzi, przez których wymordowano moją rodzinę.

– To prawda – rzekł Camlin. – Nie mogę ci obiecać, że dojdzie do tego szybko, ale ci wojownicy ze wsi: Morcant oraz cała reszta, ci, którzy... – Słowa go zawiodły, gdy przed oczami stanął mu obraz dziecka wiszącego na szubienicy. – Ci ludzie to nasi wrogowie. Przybyliśmy tu po to, by z nimi walczyć. Chcemy, by sprawiedliwości stało się zadość, a twoja rodzina została pomszczona, ale sami nie damy rady.

Dziewczynka rozejrzała się, aż znów spojrzała na Camlina.

– Przychodzili do wsi i kupowali różne towary. Szukali informacji. Mieli złoto. Nigdy wcześniej nie widziałam złota.

– A zdołasz ich odnaleźć na tych bagnach, dziecko? – zapytała Roisin.

Meg nie mogła się zdobyć na to, by na nią spojrzeć. Zamiast tego zbliżyła się do Camlina.

– Wiesz, gdzie jest ich baza? – spytał.

– Może.

– A co to niby ma oznaczać? – Roisin uniosła ręce ku górze.

– Matko... – mruknął Lorcan.

– Czy możesz nam pomóc? – spytał Camlin i ukucnął, by spojrzeć dziewczynce w oczy. – Wyświadczyłabyś nam wielką przysługę.

– Nie mogę was zaprowadzić do Dun Crin, bo nie wiem, gdzie to jest. Ale mniej więcej pamiętam, skąd przychodzili. Pamiętam też, w którą stronę szli po załatwieniu wszystkich spraw, bo raz śledziłam ich dla zabawy.

Camlin pokiwał głową. Nie było to wiele, ale zawsze więcej niż nic.

\* \* \*

Przez trzy kolejne dni przedzierali się przez labirynt bagien. Część strumieni, którymi płynęli, była zarośnięta szuwarami, nad innymi zwisały gęste gałęzie wierzbowe, które muskały wodę niczym długie, leniwe palce. Jeszcze inne kończyły się ślepymi zaułkami. Płaskodenna łódź Camlina otwierała szyk. Meg siedziała przy rumplu, a pozostali zmieniali się przy wiosłach i tyczkach. W ciągu dwóch dni zjedli wszystkie śledzie z beczki Brogana, ale Meg nauczyła ich tkać saki z wierzbowych witek. Wsadzali je do wody na noc, a rankiem w każdym z nich wiło się mnóstwo stworzeń. Były to głównie węgorze, ale także żaby i ropuchy, a od czasu do czasu pstrągi i płotki. Camlin widział, że to jedzenie nie podchodzi wszystkim członkom ich grupy, ale sam był przyzwyczajony do życia z tego, co przyniesie natura.

To łatwe, pomyślał. Jedzenie jest wprawdzie trochę oślizgłe i nieco zalatuje, ale lepiej zajadać coś oślizgłego, niż kłaść się spać z pustym brzuchem.

Trzymając tyczkę i popychając łódź naprzód, nie przestawał rozmyślać nad tym, jak do tego doszło, że z bandyty Braitha awansował do roli przybocznego Edany.

Jak ja się tu w ogóle znalazłem?, zastanawiał się. Brnę przez bagna, a zbiegła królowa liczy na to, że odnajdę dla niej drogę.

W myślach zawsze powracał do owej chwili w Ciemnym Borze, kiedy Morcant rozkazał zabić Cywen. Miał wrażenie, że został wówczas wplątany w coś o wiele większego od siebie, coś o wiele ważniejszego niż samo przetrwanie. Zdobył prawdziwych przyjaciół, jak Corban, Marrock i Dath, a niektórych z nich zdążył już stracić.

Mam nadzieję, że nic im nie grozi. Że znaleźli Cywen i żyją, pomyślał.

Był jeszcze Halion.

Czy przeżył walkę, którą stoczył w obronie schodów na pomost?, zastanawiał się Camlin. Czy został wzięty do niewoli przez Conalla? Nigdy nie lubił tego człowieka. A teraz, proszę, jest królem Domhainu. Rety, każdy ma jakiś temperament, ale on? Nigdy nie spotkałem nikogo, kim by tak bardzo władały emocje, nikogo tak nieprzewidywalnego. Nie chciałbym walczyć ani przeciwko niemu, ani ramię w ramię z nim.

Myśli Camlina powróciły do wsi, do ciał kołyszających się na sznurach oraz do rozmowy, którą Morcant odbył z jeńcami. Nie mógł też zapomnieć o skrzyni ze srebrem.

Miałem skrzynię ze srebrem pod nosem. Co ze mnie za złodziej?, zastanawiał się.

– Przejmę tę tyczkę na jakiś czas, co? – odezwał się Baird, zbliżając się do niego.

– Nie jestem jeszcze zmęczony – rzekł Camlin.

– Proszę, muszę się czymś zająć. Nie jestem w stanie zasypiać na rozkaz jak nasz wielki przyjaciel. – Baird wskazał Brogana, który rozciągnął się wzdłuż burty łodzi i pochrapywał z ukontentowaniem. – Poza tym przez to jego chrapanie mam ochotę kogoś zabić.

– W porządku – rzekł Camlin i oddał mu tyczkę. Pozostałe łodzie uformowały za nimi długi szereg, gdyż wąski strumień nie pozwalał na nic innego.

– Myślisz, że ona naprawdę wie, dokąd nas prowadzi? – spytał Baird, wskazując małą Meg.

– Nie sądzę, by kłamała – odparł tropiciel. – Ale nie wiem, czy na pewno zna drogę, bo to, że przez jakiś czas szła za grupą buntowników, o niczym nie świadczy. Mogli przecież zmienić kryjówkę, co ma sens, kiedy ktoś następuje ci na pięty. – Wzruszył ramionami. – Co zamierzasz począć, kiedy ich znajdziemy? – spytał.

– Jeśli ich znajdziemy – poprawił go Baird.

– Zgoda. Jeśli.

– Póki co nie będę sobie tym zaprzętał głowy – rzekł Baird i wzruszył ramionami. – Przysięgałem, że zatroszczę się o bezpieczeństwo Edany, a nie wydaje mi się, by porzucenie jej na bagnach z bandą ściganych buntowników miało zapewnić jej bezpieczeństwo. – Uśmiechnął się szeroko, przez co przez



moment wyglądał, jakby był odrobinę szalony. – Poza tym, nie mam akurat nic lepszego do roboty, a jeśli zostanę z Edaną, prędzej czy później na pewno podniosę miecz na któregoś z tych dupków popierających Rhin. Chcę się zemścić. Rath był dobrym człowiekiem, a do tego moim przyjacielem. Przypuszczam, że już nie żyje, a jego śmierć idzie na konto Rhin.

Łagodnie wprowadzili łódź w zakręt strumienia, który był tu nieco szerszy i przechodził przez zagajnik wierzb i dereni. Camlin naraz poczuł, jak podnoszą mu się włoski na ramionach.

Coś jest nie tak, pomyślał.

Czegoś mu tu brakowało. Zmarszczył brwi.

Hałasu, odkrył. Brakuje dźwięków. Jest za cicho.

Nie słyszał śpiewu ptaków ani nieprzerwanego bzyczenia owadów. Jedynym odgłosem, który zakłócał ciszę, było basowe chrapanie Brogana i plusk wody, w której zanurzały się wiosła. Baird wpatrywał się w dal, a na jego czole rosła bruzda.

– Gotuj się! – szepnął jednooki pogromca olbrzymów z Domhainu.

Camlin sięgnął po łuk, przez co łódź się zakołysała. Chrapanie Brogana utraciło na moment rytm, ale szybko do niego powróciło. Ostatnia z łodzi za nimi pokonała już zakręt. Camlin zastygł w bezruchu, by jego łódź się uspokoiła, obiecując sobie, że cięciwę naciągnie powoli, by uniknąć kolejnych, gwałtownych zwrotów. Jednocześnie nie przestawał lustrować obu brzegów.

Nim jednak wyciągnął cięciwę z sakiewki, oba brzegi zaroily się od ludzi. Naliczył trzydziestu, może czterdziestu wojowników. Wszyscy byli dobrze uzbrojeni, a większość celowała w nich włóczniami. Camlin położył dłoń na ramieniu Bairda, który już sięgnął po miecz.

– Nie ma sensu tu ginąć – szepnął. – Mają nas w saku!

Czy to oni? Czy to buntownicy, których szukamy?, zastanawiał się.

Inni wojownicy byli jednak przeciwnego zdania niż Camlin. Usłyszał za sobą krzyki i zgrzyt wyciąganej broni.

Przed szereg ludzi zgromadzonych na brzegu rzeki wystąpił starszy mąż. Spod żelaznego hełmu spływały mu rude, poznaczone siwizną włosy. Miał na sobie kolczugę i skórzaną kamizelę, a w ręku trzymał grubą włócznię.

– Odłóżcie broń, bo nakarmimy wami ryby! – oznajmił. – Przybijcie do brzegu i wychodźcie tak, bym was widział.

Nikt nawet nie drgnął.

– Róbcie, co wam każe! – rozległ się głos Edany. – Nie życzę sobie, by

ktokolwiek z was tu zginął. – Stała na łodzi z twarzą zasłoniętą kapturem. – A kim ty jesteś? – zwróciła się do rudzielca. – I kto daje ci prawo zatrzymywania nas?

Mężczyzna otworzył usta, jakby chciał odpowiedzieć, ale zmarszczył tylko czoło. Pierwsze łodzie dotarły już do brzegu. Cian i Vonn wyskoczyli, a po nich Lorcan, który odwrócił się i pomógł wysiąść matce. Kobieta przyciągnęła uwagę większości mężczyzn na brzegu.

– To ja tu zadaję pytania – oznajmił rudy wojownik. – A pierwsze brzmi: kim wy jesteście?

Nic nie mów! Dowiedzmy się przynajmniej, za kogo ci ludzie się podają. Mogą być równie dobrze zwiadowcami Morcanta, jak i banitami czy najemnikami, pomyślał Camlin.

Edana stanęła na ziemi i ściągnęła kaptur.

– Jestem Edana ap Brenin, królowa Ardanu.

O, świetnie. Camlin skrzywił się.

Zszedł na ląd, naciągnąwszy wreszcie cięciwę. Wsunął rękę pod płaszcz, gdzie trzymał kołczan.

Cisza trwała przez kilkanaście uderzeń serca, po czym rudowłosy wojownik zrobił krok naprzód. Wpatrywał się w Edanę zmrużonymi oczami. Baird i Camlin osłonili ją z obu stron, Vonn również się zbliżał. Zewsząd celowały w nich ostrza włóczy.

– Może i tak jest – rzekł cicho Rudowłosy. – Widziałem kiedyś Edanę w Uthandun, ale z daleka i to lata temu. Ktoś z was ją poznaje, chłopaki?

Wzdłuż brzegów strumienia rozległy się ciche głosy.

Trzeba przyznać, że raczej nie wygląda teraz na królową, pomyślał Camlin.

Jasne włosy Edany, ściągnięte w koński ogon, były zmatowiałe od potu i brudu, a płaszcz i ubranie pod nim miała podarte i ubłocone.

– Myślę, że to ona! – zawołał ktoś.

– Ale gdzie tam! – krzyknął ktoś inny. – Za stara!

– To jest królowa Edana! – oznajmił głośno Lorcan i zasłonił ją własnym ciałem. – A każdy, kto nazwie ją kłamcą, posmakuje mego miecza!

– Przestań – syknęła Edana, po czym zwróciła się do Rudowłosego. – A po co miałabym kłamać?

– Ten świat jest pełen wnyków i potrzasków, moja pani – odparł tamten. – Choć szkoda tracić czasu na dociekania. Znam kogoś, kto ustali twą tożsamość bez trudu.

Rudowłosa podszedł jeszcze bliżej i zamachał konopnym workiem.

– Niech każdy z was założy sobie to na głowę. Zabiorę was do kogoś, kto mi powie, czy ta dziewczyna mówi prawdę, czy kłamie.

Złapał Edaną za ramię.

– Weź te swoje brudne łapy od niej! – warknął Lorcan i chwycił Rudowłosego za nadgarstek. Ten rąbnął chłopaka w twarz. Lorcan zatoczył się i bez przytomności runął na ziemię. Roisin wrzasnęła. Kilka mieczy wysunęło się z pochew.

– Nie! – krzyknęła Edana, najgłośniej jak umiała.

Wówczas przebudził się Brogan, który do tej pory chrapał na łodzi. Podniósł się niepewnie, a łódź zakołysała się gwałtownie i mężczyzna runął do wody z głośnym pluskiem. Wynurzył się po chwili, plując i parskając.

– Co tu się wyrabia? – wykaszlał.

Ludzie na brzegu parsknęli śmiechem.

– Jeśli w istocie jesteś królową Ardanu, chyba potrzeba ci nowego przybocznego – oznajmił Rudowłosa z uśmiechem.

Edana przechwyciła spojrzenie Camlina.

Co mam zrobić?, pytał jej wzrok.

Były banita wzruszył ramionami ledwie zauważalnie.

Idźmy z nimi, pomyślał. Cóż innego nam pozostało? Ja myślę, że to buntownicy, których szukamy, a jeśli nie... Cóż, możemy im wydać walkę, ale wiem, czym się skończy.

Spojrzał w dół, na Meg stojącą przy nim.

– Wynoś się stąd – szepnął.

Dziewczynka, zamiast go posłuchać, przysunęła się jeszcze bliżej.

Głupia smarkula!, przemknęło mu przez myśl.

Próbował ją kopnąć, ale uskoczyła. Edana w tym czasie wzięła worek od Rudowłosego.

– Pójdziemy bez stawiania oporu. Nim jednak to uczynimy, chcę poznać twoje imię.

– Nazywam się Drust i kiedyś należałem do przybocznych Owaina, króla Narvonu. No, ruszajmy.

Zasłonięcie oczu całej drużynie nie zabrało wiele czasu i po chwili wszyscy ruszyli brzegiem, potykając się, przewracając i przeklinając.

Przyboczny Owaina... Co tu robi ktoś, kto służył Owainowi? To wróg Rhin, nie ma co do tego dwóch zdań, ale na pewno walczył z Ardańczykami i wziął

udział w zdobyciu Dun Carreg. Nie sędzę, by miał wielu przyjaciół w Ardanie, myślał Camlin.

Czuł już słońce na plecach, a gardło miał całkiem wyschnięte, gdy złapała go czyjaś ręka i zatrzymała szarpnięciem. Ściągnięto mu z głowy worek, a wtedy zamrugał, oślepiiony blaskiem zachodzącego słońca.

Stali na zboczu, które opadało aż do brzegów jeziora, rozległego, spokojnego i płaskiego niczym lustro. Jego przeciwległe brzegi nikły wśród cieni na horyzoncie. Z ciemnych wód wyrastał istny labirynt śliskich od wodorostów i mchów wież oraz murów. Na brzegu zaś znajdował się obóz, składający się z namiotów oraz szałasów, między którymi płonęły ogniska. Kręcili się tam też ludzie, mnóstwo ludzi – wojownicy, ale także kobiety, starsi i biegające w grupkach dzieci.

– Witajcie w Dun Crin – zagrzemiał czyjś głos.

Szedł ku nim potężny mężczyzna, bez wątpienia wojownik. Miał szeroką pierś i nie był już młodym człowiekiem, ale do sędziwej starości wciąż wiele mu brakowało. W związanej rzemieniu, sięgającej brzucha brodzie połyskiwało sporo siwizny.

– Kogo mi tu sprowadzasz, Drust? – spytał, przyglądając się grupie. Natychmiast dostrzegł Camlina i uniósł brew.

Znam cię, pomyślał były banita.

Wówczas wielki wojownik spojrział na Edaną i zamarł. Otworzył usta i zaraz je zamknął.

– Edana? To niemożliwe... – szepnął i padł przed nią na jedno kolano.

Dziewczyna zachłysnęła się i bez wahania zarzuciła mu ręce na szyję, zasypując jego twarz pocałunkami.

– Pendathran! – wykrzyknęła. – Myślałam, że ty nie żyjesz!

## Rozdział dwudziesty szósty

# RAFE

Rafe szedł starą ścieżką wydeptaną przez lisy, która wiła się wśród zielonych łąk.

Jakąś milę na południe wznosiła się twierdza Dun Taras, która przypominała ciemny cień na horyzoncie. Minęło dziesięć dni od czasu, gdy powrócił wraz z Conallem i Braithem. Wieści o złapaniu i uwięzieniu Haliona rozeszły się błyskawicznie i w Domhainie znów zawrzało. Wyglądało na to, że wielu mieszkańców wolałoby Haliona na tronie, nie zaś Conalla. Spalono kilka spichlerzy, zdemolowano obóz Veradisa i jego orlej gwardii, a zeszłej nocy grupa powstańców podjęła próbę uwolnienia Haliona. Próba zakończyła się fiaskiem, ale w fortecy panowały ponure nastroje i Rafe uznał, że pora zrobić sobie przerwę od polityki, ludzi i kamiennych murów na rzecz zieleni i otwartego nieba.

I wyruszył. Równiny na północ od Dun Taras przypominały mu Ardan, gdzie również ciągnęły się wzgórza porośnięte wrzosami i lasami. Wędrując, chłopak wspominał wyprawy łowieckie u boku ojca. Wyruszali na polowanie z niewielkimi sakwami. Mieli w nich liny, krzesiwo i hubkę oraz trochę chleba i sera, którego nigdy nie brali tyle, by starczyło na całą wędrówkę.

„Będziesz musiał złapać nam coś do jedzenia, Rafe, mój chłopcze – mawiał zawsze ojciec. – Bo w przeciwnym razie umrzemy z głodu”.

Krok po kroku Helfach nauczył syna wszystkiego, co należało wiedzieć o życiu w dziczy. Nauczył go tropienia każdej zwierzyny i odczytywania wszelkich znaków. Nauczył go, jak być sprytnym, kiedy zachować cierpliwość i jak uderzać szybko niczym żmija.

Z przyzwyczajenia Rafe spakował sakwę tak, jak uczył go ojciec. Lubił jej ciężar na ramieniu, znany mu równie dobrze jak ciężar noża przy pasie.

Brakuje mi ojca, pomyślał. Nie żyje, rozszarpany na strzępy przez tego

przeklętego wilkuna. Przez gadzinę Corbana. Nienawidzę ich oboje.

Spojrzał na otaczający go krajobraz i wyobraził sobie, jak ich ściga, doprowadza do wyczerpania, a potem zmusza do walki. I zabija. Najpierw wilkunicę, by Corban mógł na to patrzeć, a potem samego Corbana w powtórce ich Sądu Mieczy z sali biesiadnej Dun Carreg. Tylko że tym razem zwycięstwo miał odnieść Rafe.

Corban oszukiwał, myślał młodzieniec. Rzucił się na mnie, nim byłem gotowy. Następnym razem będzie inaczej.

Oczami wyobraźni widział, jak Corban błaga go o litość, a wtedy on, Rafe, powoli wpycha mu ostrze miecza prosto w serce. Uśmiechał się do siebie, gdy nagle usłyszał szczekanie jednego ze swoich ogarów.

Zabrał je ze sobą z przyzwyczajenia. Naraz ujrzał, jak Drapichrust, szczekając, znika w zagajniku, a potem dostrzegł zająca, który wystrzelił z przeciwnej strony i popędził, klucząc, przez otwartą łąkę, przeskakując nad wąskim strumieniem. Drapichrust przedzierał się przez zarośla w ślad za nim, ale wyprzedził go Niuchacz, który okrążył zagajnik i rzucił się w ślad za zającem długimi susami.

– Do nogi! – krzyknął Rafe. – I to już!

Ale wiedział, że było za późno, by wpłynąć na Niuchacza. Pochwycił trop, a euforia pościgu uderzyła mu do głowy, przez co nie widział ani nie słyszał niczego dookoła siebie. Drapichrust przedarł się przez zarośla, ale był bliżej Rafe'a, przez co ten zdołał go przywołać do siebie.

– Do mnie! Do mnie, piesku! Dogonimy ich razem!

Popędzili przez łąkę. Rafe przebiegł z pluskiem przez strumień, a Drapichrust przesadził go jednym susem. Ziemia pod jego stopami stała się miękka i gąbczasta – wkrótce pojawiły się kolejne strumienie, a wśród nich kępy bagiennych traw.

Nie podoba mi się to, pomyślał Rafe. Zaraz znajdziemy się w samym środku mokradeł.

W powietrzu rozniósł się mocny zapach torfu i stojącej wody. Młodzieniec wsunął palce do ust i zagwizdał przeraźliwie, po czym zatrzymał się i nasłuchiwał.

Nic.

Znów zagwizdał, ale tym razem usłyszał szczekanie. Rozejrzał się i dostrzegł nieopodal niewielki pagórek. Wdrapał się na szczyt i uświadomił sobie, że był to nasyp, po którym biegła stara, szeroka droga. Długie lata

deszczy, mrozów, odwilży i erozji doprowadziły do tego, że wiele kamieni było skruszałych, a inne znikły bez śladu.

Na pewno została zbudowana przez olbrzymy. Jak ta, która wiedzie do domu, pomyślał Rafe.

Znów zagwizdał i ruszył traktem przed siebie. Gdzieś mignęła mu szara plama sierści, a po chwili był już pewien, że to Niuchacz wraca do niego. Coś zwisało mu między szczękami.

A więc jednak złapał tego zająca. Dzielny pies.

Stał z Drapichrustem na trakcie i czekał, a Niuchacz zmierzał ku nim, skacząc wśród połyskliwych strumieni i stawów, kęp tarniny i derenia. Tu i ówdzie rosły również wierzby, których długie, wiotkie gałęzie muskały powierzchnię wody. Gdzieś dostrzegł znieruchomiłą czaplę, ciemną w promieniach słońca.

Niuchacz był już blisko, gdy Rafe odniósł wrażenie, że pies potknął się i upadł. Drapichrust zaskomlał.

Niuchacz próbował się podnieść, ale nie zdołał, jakby coś wyrosło z ziemi i pochwyciło go żelazną pięścią.

Wpadł w bagno, pomyślał Rafe.

Zbiegł po skarpie, potykając się i prawie padając na ziemię. W ostatniej chwili zauważył, że twarda ziemia niepodziewanie ustępuje miejsca grząskiemu terenowi. Niuchacz miotał się i rzucał, rozbryzgując czarne błoto, ale był psem wielkich rozmiarów i im gwałtowniej walczył, tym szybciej się pogrążał.

– Już wszystko w porządku, piesku, jestem tu! – zawołał Rafe. – Jestem przy tobie.

Jego słowa, co nie zaskoczyło go wcale, nie zrobiły na psie żadnego wrażenia. Wił się i ciskał, błyskając białkami ślepi w panice. Ponad poziomem bagna pozostawały jedynie łeb oraz barki. Drapichrust uwijał się wzdłuż brzegów bagniska i skamlał szaleńczo.

Co tu robić? Co robić?, zastanawiał się Rafe.

Narzucił sobie spokój, po czym zdjął z pleców sakwę i wyciągnął z niej linę.

Dzięki ci, tato, pomyślał.

Podbiegł do kępy tarniny i zawiązał jeden koniec dookoła grubego, poskręcane go pnia, raniąc sobie palce o kolce. Sprawdził węzeł, a potem obwiązał drugi koniec liny wokół własnej talii. Spojrzał na Niuchacza i z przerażeniem skonstatował, że jego pysk już znika. Rozpędził się

i wskoczył do bagna.

Wpadł do środka z głośnym pluskiem, gdyż czarne, gęste błoto było tu w miarę płynne i strasznie cuchnęło. Przedarł się w poblize miejsca, gdzie jeszcze przed chwilą widział Niuchacza, z każdym ruchem pogrążając się coraz bardziej. Wsunął ręce najgłębiej jak umiał. Miał wrażenie, że jego dłonie przebijają się przez gęstą owsiankę. Niespodziewanie jego palce musnęły coś.

Czyżby futro?

Zawahał się i przyszło mu do głowy, iż może sam powinien wracać na twardey brzeg, ale jego myśli przepełniła wizja przerażonego, tonącego Niuchacza. Nabrał tchu i pozwolił, by bagno go pochłonęło. Kopał i szarpał, robiąc wszystko to, przed czym w takich sytuacjach przestrzegał go ojciec. Z każdym kolejnym ruchem czuł, jak bagno zasysa go coraz głębiej i dalej. Pogrążył się cały. Płuca zaczęły go palić, ale nie ustawał. Słyszał szum krwi w głowie i huk serca w piersi. Płuca rozsadzał mu już ból, gdy rozpoznał coś materialnego – futro i ciało. Otoczył psa ramieniem, a wtedy poczuł, jak jego palce wbijają się w jeszcze gęstsze błoto, a potem dotykają czegoś twardego i zimnego. Instynktownie pochwycił znalezione palcami, mocniej ujął ciało psa, a drugą ręką szarpnął za linę.

Ani drgnął. Zalała go panika, która wraz z narastającym bólem płuc przerodziła się w niepowstrzymane pragnienie, by otworzyć usta i zaczerpnąć tchu. Ogromnym wysiłkiem woli powstrzymał odruch, a zamiast tego szarpnął za linę jeszcze mocniej.

Poruszył się. W pierwszej chwili tylko odrobinę, po czym już nieco dalej, na połowę wyciągniętej ręki. Ciężki ogar ciągnął go w dół i Rafe poczuł pokusę, by go wypuścić.

Nie, nie teraz. Nie po tym wszystkim, przemknęło mu przez myśl.

Wyciągnął dłoń, zacisnął ją wyżej, znów pociągnął i ruszył ku górze nieco swobodniej. Miał wrażenie, że przedziera się przez miód, a nie przez smołę. Po kolejnym szarpnięciu jego głowa wyrwała się nad powierzchnię. Otworzył usta i nabrał potężny haust powietrza. Ogromnym wysiłkiem zarzucił sobie bezwładnego psa na ramię i zaczął przedzierać się w stronę brzegu, gdzie skakał, czekał i wył Drapichrust, który był bliski szaleństwa.

Rafe wpelzł na brzeg i zrzucił ciało Niuchacza na ziemię. Uświadomił sobie, że w drugiej ręce ściska jakiś oblepiony błotem przedmiot. Cisnął go obok i obiema dłońmi obadał ciało Niuchacza. Drapichrust lizał przyjaciela i szturchał go pyskiem.



Ogar nie oddychał. Jego nozdrza zalepiło lepkie błoto, które ciekło także z jego ust.

Nie!

Rafe przyłożył ucho do psiej piersi. Nic. Do oczu napłynęły mu gorące łzy. Potrząsnął ciałem psa, ale jego łeb zwisał bezwładnie.

– Nie! – wrzasnął i zaczął rąbać pięściami w pierś Niuchacza, raz za razem.

Niespodziewanie przez ciało ogara przeszedł skurcz. Pies zaczął wierzgać i krztusić się, wypluwając wielkie kęsy czarnej ziemi. Drapichrust skakał dookoła, szczekając i liżąc ich.

– Dobry pies! – sapnął Rafe i opadł na ziemię obok Niuchacza, otaczając go ramieniem.

Ten uniósł łeb i spojrzał na swego pana.

– Dobry pies – powtarzał Rafe. – Dobry...

Niuchacz lizał go po twarzy.

\* \* \*

Rafe włókł się ze znużeniem. Minął bramy Dun Taras i skierował się do koszar, które dzielił wraz z dwoma dziesiątkami innych wojowników. Ludzie gapili się na niego po drodze.

W sumie trudno ich winić, pomyślał.

W istocie mógł przyciągać uwagę. Od stóp do głów pokryty był czarnym błotem, które zdążyło już wyschnąć. Próbował je sprać, ale błoto nie schodziło. Niuchacz wyglądał tak samo – jego szara sierść była oblepiona zaschniętymi plamami, ale psu akurat najwyraźniej to nie przeszkadzało.

Czemu ja to zrobiłem?, zastanawiał się Rafe. Straszny ze mnie idiota. Przecież mogłem sam zginąć. Ale by mi się oberwało od ojca.

Gdy był już blisko zamku, ujrzał znajomą twarz.

Był to Braith, który siedział na stopniach fontanny.

Doszedł już do siebie po odniesionej ranie i jedyną pamiątką po rozrąbanym mięśniem było to, że lekko się garbił.

– A co się z tobą stało, na Zaświat? – spytał.

Rafe zastanawiał się, czy nie powiedzieć mu prawdy, ale się rozmyślił.

Jak usłyszy, że ryzykowałem życiem, by ocalić psa, uzna mnie za stukniętego.

– Wpadłem w bagno – rzekł. – A Niuchacz mnie wyciągnął.

Najlepsze kłamstwa to takie, które zawierają elementy prawdy, jak mawiał mój ojciec, pomyślał i usiadł obok Braitha. Z położonej między nogami sakwy dobiegło brzęknięcie i wtedy Rafe przypomniał sobie o skrzynce, którą wyciągnął wraz z psem. Była zamknięta, więc wsunął ją do torby i postanowił, że przyjrzy się jej później.

– Jak się czujesz? – spytał Braitha. Lubił go i podziwiał jego umiejętności, a ponadto dostrzegał w nim coś szczególnego. Wystarczyło się do niego odezwać, a on patrzył tak, jakby w rzeczywistości słuchał. Jakby słowa rozmówcy miały dla niego znaczenie.

– Dość dobrze – odparł. – Moje nogi nie są jeszcze w najlepszej kondycji, stąd musiałem sobie usiąść i zaczerpnąć tchu. – Uśmiechnął się z rezygnacją, po czym dodał: – Kilka porządnych posiłków i słabość zniknie sama, ale nie sądzę, bym odzyskał taką celność co kiedyś. – Poruszył ramieniem i skrzywił się. – Kiedyś osobiście podziękuję za to Camlinowi.

Rafe pokiwał głową. Sam miał również kilka rachunków do wyrównania.

Za mostem prowadzącym do zamku narastała wrzawa. Widać było wzbierający tłum, do którego dołączali coraz to nowi ludzie.

– Co tam się dzieje? – spytał Rafe.

– Rhin ma wygłosić oświadczenie o zachodzie słońca – rzekł Braith. Spojrzał na niebo i wstał. – Podaj mi swoje ramię i chodźmy posłuchać, co też ma do powiedzenia.

\* \* \*

Rhin stała na szczycie tuzina schodów przed bramami zamku. Wyglądała iście majestatycznie i imponująco w haftowanym bogato płaszczu z soboli. Na szyi miała torkwes, a srebrne włosy spięła złotą spinką. Po jej prawicy stał Conall, który spoglądał ponuro na zgromadzony tłum, a po lewicy – Geraint. Na samym dole schodów, tuż przed cizbą, znajdował się Veradis w towarzystwie kilkunastu orlich gwardzistów w wypolerowanych czarno-srebrnych napierśnikach.

– Nie przepadam za przemówieniami, a więc będę się streszczać – zaczęła Rhin, na co tłum ucichł niemalże natychmiast. – W granicach tego królestwa wciąż działają wywrotowe stronnictwa, które nie chcą zapomnieć o dawnych porządkach i w efekcie budzą moją irytację. Bo przeszłość, nawiasem mówiąc, to nie zawsze dobra rzecz. Przeszłość Domhainu, na ten przykład, tworzył

sędziwy lubieżnik w koronie i jego myśląca tylko o sobie młoda żona, z natury kurwa, jakich mało.

W tłumie poniosły się pomruki, tu i ówdzie rozległy się również śmiechy.

– Lubię nazywać rzeczy po imieniu, do czego niebawem przywykniecie. A wracając do tematu, owe wywrotowe stronnictwa, o których mówię, mają swoich przedstawicieli wśród was. Zwrócono mi uwagę na to, że pragną, by to Halion ben Eremon zasiadł na tronie Domhainu. Macie przecież Conalla, jego brata, który zapowiada się na wspaniałego króla. Skąd nagle ta chciwość?

Znów buchnęły śmiechy.

– Przykro mi, malkontenci, ale będziecie musieli pogodzić się z tym, że na tronie siedzi Conall, i to z dwóch powodów. Po pierwsze, na wypadek, gdyby zawodziła was pamięć, przypominam, że podbiłam Domhain. Rozbiłam wasze hufce, a wasz król wolał odebrać sobie życie, niż zmierzyć się ze mną twarzą w twarz. Innymi słowy, to ja decyduję o tym, kto zasiądzie na waszym tronie. Tak brzmi prawo zwycięzcy. Po drugie, Halion nie będzie w stanie zasiąść na tronie, ponieważ jutro o tej porze jego głowa nie będzie już połączona z jego ciałem.

Słowa królowej spotkały się z okrzykami zgrozy i kolejną falą pomruków, ale nadal też wzbudzały wesołość. Conall cofnął się o krok i wybałuszył oczy, ale szybko odzyskał panowanie nad sobą.

– Myślę, że Conall jest równie zaskoczony jak my wszyscy – szepnął Braith Rafe'owi do ucha.

– To wszystko, co mam do powiedzenia – oznajmiła Rhin i znikła wśród zamkowych cieni.

Conall stał przez moment w miejscu z opuszczoną głową, po czym udał się w ślad za królową.

Tłum rozchodził się powoli. Rafe zdecydował, że nadszedł czas, by odnaleźć ustronne miejsce i zmyć z siebie zaschnięty brud, gdy przez ciżbę przepchnął się wojownik z Cambrenu, który zawołał:

– Braith! Królowa Rhin chce się z tobą zobaczyć!

– Chodź ze mną, Rafe – zaproponował mężczyzna i pochylił się, by pomasować obolałą nogę.

Młodzieniec wzruszył ramionami, choć nie uśmiechała mu się perspektywa stanięcia przed obliczem królowej. Rhin napawała go lękiem. Obaj tropiciele udali się w ślad za wojownikiem do zamku.

Rhin czekała na nich przy palenisku. Po jej twarzy przemykały cienie.

Uniosła brew na widok Rafe'a.

– Nie doszedłem jeszcze do końca do siebie – wyjaśnił Braith. – Czasem muszę się na kimś oprzeć.

– Jesteś w stanie odbyć długą podróż? – spytała królowa bez żadnych wstępów.

– Tak – odparł Braith. – Pod warunkiem, że będę jechał konno, a nie szedł pieszo. Jak daleko mam się udać?

– Do Ardanu. By tropić i polować.

– Przydałaby mi się jakaś pomoc.

Rhin przeniosła spojrzenie na Rafe'a.

– Jesteś tropicielem, jak sądzę? – spytała, taksując go wzrokiem od stóp do głów.

– Ja... eee... – wyjąkał Rafe.

– Świetnie. Oto pomoc, której się spodziewasz, Braith.

– A co mam właściwie zrobić? – spytał mężczyzna.

– Przyjdźcie dziś wieczór do moich komnat po siódmej świecy. I bądźcie już gotowi do drogi.

\* \* \*

Rafe z wahaniem wszedł w ślad za Braithem do komnaty Rhin. Było już późno, a jedynym źródłem światła był przygasający żar w kominku oraz parę świec rozstawionych to tu, to tam.

– Siadajcie. – Rhin wskazała im dwa krzesła stojące przy ogniu. Nalała im wina do pucharków, a potem sama rozsiadła się wygodnie. Jej oczy lśniły w blasku płomieni. Cienie wnikały w głębokie zmarszczki na jej twarzy.

Wydaje się wyczerpana bardziej niż zwykle, pomyślał Rafe.

– Na czym ma polegać moja misja, pani? – spytał łowczy.

– Ach, Braith, mój wierny Braith. Dzielnie mi służysz i cieszę się, że nie zginąłeś na zimnej, domhaińskiej plaży.

– Ech, z chęcią się za to napiję – rzekł mężczyzna i unióśł puchar.

– Co do waszej misji... Cóż, wezwałam was tutaj ze względu na pewne podejrzenie, które niekoniecznie się sprawdzi, choć zazwyczaj się nie mylę. Serca mężczyzn bowiem to coś, na czym się znam naprawdę dobrze. Nie mówmy jednak jeszcze o tym. Poczekajmy, a wkrótce się okaże, czy moje podejrzenia są uzasadnione.

– Napijmy się więc jeszcze trochę tego twojego wspaniałego wina – stwierdził Braith.

– Pij, ile chcesz, pod warunkiem że nadal będziesz w stanie dosiąść konia. – Rhin uśmiechnęła się.

Rafe upił łyk i rozsiadł się na krześle. Przez moment słuchał cichej rozmowy między Braithem i Rhin, ale jego powieki wnet stały się ciężkie i zmorzył go sen.

Gdy gwałtownie poderwał głowę, Rhin i Braith nadal siedzieli na krzesłach, ale już nie rozmawiali. Wpatrywali się w ogień. Rafe również wbił w niego wzrok, a wtedy buchnęły świeże płomienie, trzasnęło drewno. Na kamienną podłogę wypadła iskra.

– Co... – zaczął Rafe.

– Cicho! – warknęła Rhin.

Wśród ognia pojawiła się postać, jakby wyszyta nicią na tkaninie uplecionej z płomieni. Po chwili stała się wyraźniejsza – Rafe widział, jak siedzi na kamiennej podłodze z nadgarstkami zakutymi w kajdany.

Wtedy postać przemówiła pośród trzasku płomieni:

– Czego chcesz?

Rafe rozpoznał ją. Patrzył na Haliona.

To czary, pomyślał. Po jego plecach spłynął dreszcz. Naraz zapragnął zerwać się i uciekać najdalej jak się da, najszybciej jak się da, ale miał wrażenie, że jego nogi przymarzły do podłogi, a łokcie zrosły się z krzesłem, na którym siedział.

Wśród płomieni pojawiła się druga postać. Szybko podeszła do pierwszej i pochyliła się nad nią. Po chwili kajdany zsunęły się z nadgarstków Haliona i z brzękiem spadły na posadzkę.

– Co ty wyczyniasz? – spytał Halion.

– Wstawaj! – odezwał się przybysz. Był to mężczyzna, ale stał zwrócony plecami do płomieni.

– Niczego nie rozumiem – mruknął Halion.

– Rhin sprzykrzyło się to, że nadal pozostajesz przy życiu. Jutro każe nadzieć twoją głowę na włócznie.

– Myślałem, że tego właśnie pragniesz. Przecież dokonałeś już swoich wyborów! – rzekł Halion.

– Nie bądź idiotą, Hal. – Przybysz wyciągnął rękę w stronę więźnia. – Jesteś moim bratem. Nie mogę do tego dopuścić.

To Conall, przemknęło Rafe'owi przez myśl.

– A więc o co ci teraz chodzi?

– Pomagam ci uciec, idioto. A co myślałeś?

Rafe niemalże ujrzał krzywy uśmiech na twarzy Conalla. Halion pochwycił brata za rękę i podniósł się powoli.

– Chodź ze mną – zaproponował.

– Nie. Nie mogę pozwolić na to, by cię zabito, ale nie oznacza to wcale, że chcę powrócić do życia w siodle. Nie chcę dożyć końca swoich dni jako uciekinier. A poza tym nie przepadam za ludźmi, którym służysz.

– Mogę powiedzieć dokładnie to samo o twoich mocodawcach – odparł Halion.

– Zabiorę cię tunelem do stajni i dam ci konia. Od tej pory jesteś już zdany na siebie. Idź tam, dokąd zapragniesz i... i nie mów, dokąd zmierzasz. Nie chcę tego wiedzieć.

– Rhin obetnie ci za to głowę.

– Nigdy się o tym nie dowie.

Królowa parsknęła pod nosem, słysząc te słowa.

Chwilę później obie postacie znikły wśród płomieni. W komnacie zapadła cisza. Rafe wpatrywał się w ogień, który przygasał, aż pozostał po nim jedynie mieniący się żar.

– Jak tego dokonałaś, pani? – szepnął.

– Wierz mi, że nie chcesz tego wiedzieć – odparła królowa. – Wystarczy, że powiem, iż warunkiem koniecznym do zadziałania czaru była świeżo zdarta skóra wroga oraz krew. Mnóstwo krwi, jeśli mam być szczerą. Nie było to łatwe i chyba całe szczęście. Gdyby podobne czary przychodziły z łatwością, każdy by po nie sięgał, nie sądzisz?

Rafe przełknął ślinę, czując, jak żołądek wywraca mu się do góry nogami.

I po co ja pytałem?, pomyślał.

– Nigdy nie ufałem temu Conallowi – oznajmił Braith.

– Ja też nie. Wielka szkoda, prawda? – westchnęła Rhin.

– Wiedziałaś, że to zrobi?

– Podejrzywałam.

– A więc głowa Conalla zostanie zatknięta na włóczni obok głowy Haliona?

– Nie. A przynajmniej na razie nie. Jest mi póki co potrzebny. Muszę wyjeżdżać. Mam pilne sprawy do załatwienia w innych miejscach, a tu mi się wyjątkowo nie podoba. Pozwolę więc, by uwierzył w to, że udało mu się mnie

oszukać. Pozostawię go na jakiś czas na czele Domhainu. Przekonamy się, czy potrafi dać sobie radę z buntownikami. Niewykluczone, że sam zginie w walce. Na dłuższą metę oszczędzi mi to tylko roboty. – Wzruszyła ramionami. – Nie mogę przecież zajmować się wszystkim.

– No to ruszajmy – rzekł Braith. – W przeciwnym razie Halion zbiegnie.

– Ale ja chcę, by uciekł. A ty ruszysz w ślad za nim – powiedziała Rhin z leniwym uśmiechem. – Aż doprowadzi cię do Edany.

## Rozdział dwudziesty siódmy

# MAQUIN

Maquin czołgał się wśród długich źdźbeł i wciągał w płuca zapach polnych kwiatów, aż dotarł na skraj traw i ujrzał szeroką równinę pociętą rozgałęziającymi się rzekami.

Zmokniemy. Znowu, pomyślał.

Trawa zaszeleściła gdzieś z tyłu. Fidele podpełzła bliżej.

– Spora przestrzeń – oznajmiła.

– Zgadza się.

– Przejeżdżałam tędy wielokrotnie, ale przysięgam, że ta równina nigdy dotąd nie wydawała mi się tak onieśmialająca.

– Przypuszczalnie dlatego, że mogłaś wówczas wraz ze swoją gwardią honorową przejechać przez most, który nie był strzeżony przez Vin Thalun.

Za rzeką ciągnął się las, wypełniający cały wschodni horyzont.

– Oto puszcza zwana Sarwą, a za nią znajduje się Ripa.

Ripa. Nasz cel, pomyślał Maquin. Miejsce, gdzie, zdaniem Fidele, mamy wreszcie być bezpieczni. Jesteśmy już prawie na miejscu, wystarczy jedynie pokonać rzekę i przebyć las.

Podróżowali już od dwóch księżyców, trzymając się przez większość czasu brzegu głównej rzeki. Po starciu z ogarami pozwolili, by prąd poniósł ich kilka mil na południe, aż w końcu wygrzebali się na brzeg, trzęsąc się z zimna, poturbowani i posiniaczeni, ale wciąż żywi. Przez dziesięć dni ukrywali się w jaskini, czekając, aż przetrząsający okolicę Vin Thalun znikną. Od tej pory udawało im się unikać wszelkich kontaktów z wrogiem, choć widzieli parokrotnie piratów, patrolujących wody wielkiej rzeki płynącej z Jerolin do Ripy.

Maquin uważnie przyjrzał się równinie, ciągnącej się pod nimi. Nie było mostu, ale dostrzegł bród. Po chwili jego uwagę przyciągnął jakiś ruch na



rzece.

Wnet wypatrzył dziób statku. Wzdłuż burt wnosiły się i opadały rzędy wiosła.

Nie miał wątpliwości, że była to wojenna galera Vin Thalun, wszak niemalże złamał sobie kark, wiosłując od Isiltiru aż na wyspę Panos. Wystarczył widok okrętu, by zaswędziały go dłonie. Wspomnienie długich miesięcy na ławce wiosłarskiej wyzwoliło mnóstwo skojarzeń i emocji, z których ani jedna nie była przyjemna.

Galera Vin Thalun dotarła do brodu. Wówczas przy burcie opuszczono trap, po którym zaczęli zbiegać ludzie. Niektórzy dźwigali ogromne belki, inni znosili z pokładu kufry oraz zapasowe drzewca. Maquin z niechętnym podziwem przyglądał się wprawie, z jaką przystąpili do przenoszenia okrętu przez płyciznę. Część załogi układała belki pod dziobem statku, a potem chwytała za liny i przeciągała po nich okręt. Belki, z których zjechał, przenoszono z powrotem przed dziób i powtarzano ów proces do chwili, gdy galera znalazła się na głębszej wodzie po północnej stronie płycizny. Wówczas mężczyźni wdrapali się na pokład i złapali za wiosła.

Słońce wisiało już nisko nad horyzontem, gdy galera wreszcie zniknęła im z oczu. Kierowała się na północny zachód.

– Płyną do Jerolin – powiedziała Fidele.

– Przypuszczalnie. A my udajemy się do Ripy. Chodź, pora zamoczyć stopy.

\* \* \*

Maquin przyglądał się, jak Fidele odziera ze skóry królika przy świetle świtu, przenikającym przez korony drzew. Jej ruchy były oszczędne i dokładne. Najpierw wypatroszyła zwierzę i wrzuciła wnętrzności do rzeki, zatrzymując jedynie serce i wątrobę. Potem wykonała precyzyjne nacięcie wzdłuż podbrzusza i kilkoma płynnymi ruchami zdjęła ze zwierzęcia skórę.

Nie jest już bezużyteczna, pomyślał Maquin. Choć w sumie nigdy tak o niej nie myślałem. Uważałem ją za zarozumiałą i nadętą kobietę, ale na pewno nie bezużyteczną.

W trakcie ich wspólnej wędrówki Maquin nauczył się darzyć Fidele cichym szacunkiem. Była wielką damą i z pewnością nie przeżyłaby w dziczy – cóż, a na pewno nie w chwili, gdy się poznali – ale należało uszanować fakt, że nie chciała całkowicie polegać na nim. Zadawała więcej pytań od dociekliwego

dziecka i powoli nabywała umiejętności potrzebne każdemu tropicielowi z daleka od domu.

Królik był już oskórowany i poćwiartowany. Fidele nadziała każdy kawałek mięsa na ostrze długiego noża i zaczęła je przysmażać nad niewielkim ogniskiem. Palenie ognia było wielkim luksusem i Maquin nie zgodziłby się na to, gdyby nie znajdowali się teraz pół dnia drogi od Ripy. Fidele w skupieniu obracała nóż nad ogniem, uważając, by nie przypalić mięsa. Ostatnie dwa miesiące odcisnęły na niej swe piętno. Jej wychudła twarz była blada, pod oczami widać było ciemne plamy, a w atramentowoczarnych włosach pojawiły się paski siwizny. Nie były to jednak wszystkie zmiany. W chwili, gdy Maquin wyprowadzał ją z areny pod Jerolin, w duszy kobiety szalała zimna furia, która w trakcie ich wędrówki powoli przygasała i topniała. W otoczeniu przyrody Fidele odzyskała spokój i równowagę. Maquin widywał ją wielokrotnie w Jerolin, ale nigdy nie wydawała się tak odprężona.

I niemalże doprowadziłem ją do bezpiecznej Ripy. To pierwsza obietnica, której nie złamałem, od dawna.

Myśl ta wzbudziła ciepło w jego sercu. Czuł satysfakcję z wykonanego zadania.

Całkiem zapomniałem, jak to jest, gdy człowiek czuje się dobrze. Gdy znów ma honor, pomyślał.

Odczuwał też coś innego. Odkrywał w sobie echo dawnego życia, przed pojawieniem się Lykosa i miesiącami spędzonymi w niewoli, przed zdradą Jaela i śmiercią Kastella, życia, które było czymś więcej niż tylko żądzą zemsty i pragnieniem przetrwania.

Ona przypomniała mi, jak to jest być człowiekiem, pomyślał. Człowiekiem, a nie tylko wyszkolonym zabójcą. To również dobre uczucie.

Fidele popatrzyła na Maquina, być może czując na sobie jego spojrzenie.

– Co znowu? – spytała. Jej oblicze rozjaśnił lekki uśmiech.

– Nic – mruknął i odwrócił wzrok.

\* \* \*

Wyszli spośród drzew. Droga oraz rzeka wydzierały w linii lasu czarne dziury, przypominające Maquinowi ciemne wejścia do katakumb pod Haldis. Ripa znajdowała się już niedaleko.

Najpierw ujrzeni kamienną wieżę, wznoszącą się na wysokim wzgórzu, z którego roztaczał się widok na morze. Strzegła jej mocna, drewniana forteca, a na zboczach wzgórza aż po brzegi morza ciągnął się labirynt drewnianych, krytych strzechą chat. Ku niebu były słupy dymu. Rzeka meandrowała leniwie ku morzu przez zieloną, trawiastą równinę. W powietrzu wisiały zapach soli oraz wrzaski mew.

Weszli na drogę ciągnącą się po nasypie. Z góry widzieli teraz wysokie trawy, kołyszące się na wietrze. Maquin czuł się odsłonięty i bezbronny. Przeszkadzało mu to, że znaleźli się na otwartej przestrzeni, i zewsząd wypatrywał zagrożenia.

Spędziłem za dużo czasu w puszczy, pomyślał.

Szli drogą z lasu ku twierdzy, rozglądając się, a Maquin miał świadomość, że coś nieustannie mu przeszkadza.

I nagle, gdy spoglądał na nieodległe już podgrodzie, zrozumiał, o co mu chodzi.

Gdzie są ludzie? Gdzie są dzieci?

– Coś jest nie tak – rzekł.

Kiedy wdrapali się na szczyt niewielkiego wzniesienia, Maquin odkrył, co było nie w porządku. W zatoce stały okręty z czarnymi żaglami. Całe mnóstwo czarnych żagli.

Blokada, pomyślał.

Zatrzymał się i pokazał zatokę Fidele. Kobieta zapatrzyła się, a na jej czole pojawiła się zmarszczka niepokoju.

– Nie podoba mi się ten dym – oznajmiła.

Miała rację, gdyż chwilę później na ich oczach pojawiły się kolejne słupy, gęste i ciemne, bijące niedaleko portu.

Ripa została zaatakowana.

– Powinniśmy wracać do lasu – rzekł Maquin.

Zawrócili i pobiegli przed siebie, ale ledwie zrobili kilkanaście kroków, gdy wśród cieni, które spowijały leśną rzekę, coś się poruszyło, a chwilę później, niczym włócznia przebijająca ciało, wyłonił się ostry dziób okrętu. Ujrzeni smukły, niski kadłub oraz rzędy wiosel unoszące się i opadające w równym, nieprzerwanym rytmie.

Maquin złapał Fidele, ściągnął ją z nasypu i wraz z nią zanurzył się w wysokie trawy. Wtedy kobieta szarpnęła mocniej i zatrzymała go.

– Muszę choć rzucić okiem! – syknęła.

– Powinniśmy się schować! Uciekać! – warknął Maquin. Jego instynkt wrzeszczał, dopominał się, by rzucili się do biegu.

– A niby dokąd? Tu już nie ma dokąd uciekać! To jedyne bezpieczne miejsce – odparła Fidele lekko drżącym głosem.

Myślała, że jej ucieczka dobiegła wreszcie końca. Że nic jej już nie grozi, uświadomił sobie Maquin.

Pozwolił, by poprowadziła go na skraj traw. Wyjrzeni spośród nich i dostrzegli przepływającą obok galerę, smukłą i zwinną. Za nią pojawiły się kolejne. Byli tak blisko, że rozpoznawali twarze wojowników na pokładzie, wpatrzonych w Ripę. Maquin dostrzegł wśród nich ciemnowłosego mężczyznę, z brodą lśniącą od wtartych olejków. Rozpoznał go po postawie. Lykos.

Fidele zacisnęła dłoń na jego przedramieniu i wbiła mu paznokcie w skórę, syknąwszy cicho. Zrobiła krok naprzód i złapała za nóż przy pasie, ale Maquin chwycił ją w porę i odciągnął. Trawy dookoła zakołysały się.

Na pokładzie galery rozległ się okrzyk alarmowy. Maquin zaryzykował szybkie spojrzenie do tyłu i ujrzał, że Lykos wpatruje się w nich z zaciętą twarzą. Wykrzyknął jakiś rozkaz i galera skrzyła ostro w stronę brzegu. Wioślarze wysunęli wiosła z wody i wciągnęli je przez otwory w burtach na pokład. Pojawił się trap i dziesiątki śpieszących na brzeg zbrojnych.

Maquin spojrzał na las, a potem na wzniesioną na wzgórzu Ripę.

W lesie będą na nas polować. W fortecy zostaniemy uwięzieni, pomyślał.

Fidele podjęła decyzję za niego. Zerwała się do biegu i popędziła przez wysokie trawy w stronę Ripy.

Maquin dogonił ją. Słyszał za sobą kroki biegnących drogą Vin Thalun, wyraźnie też usłyszał, gdy wpadli w zarośla. Ucieczka nie była łatwa, gdyż źdźbła krępowały im swobodę ruchów. Mężczyzna słyszał jedynie własny oddech i szelest tratowanych traw. Zaryzykował spojrzenie za siebie i ku swemu przerażeniu zauważył, że Vin Thalun ich doganiają.

Muszę coś zrobić, pomyślał.

Pochwycił Fidele, wypadł z traw i wciągnął kobietę na drogę, a potem pchnął naprzód, wykrzyknął, by się nie zatrzymywała, a sam odwrócił się ku ścigającym go wojownikom i dobył noża. Drogą nadbiegały dwie dziesiątki Vin Thalun, od których dzieliło go czterdzieści, może trzydzieści kroków. Rzeką równoległe do nich sunęły galery, a po prawej widział kołyszące się trawy, rozgarniane przez kolejnych ścigających. Podrzucił nóż i cisnął nim w najbliższego wojownika. Ten wykonał unik i ostrze, zamiast trafić go

w szyję, wbiło się w jego ramię.

– Stary Wilk! – krzyknął ktoś na rzece. Inne głosy podjęły okrzyk.

Maquin nie zatrzymywał się.

Dogonił Fidele i razem popędzili wśród budynków podgrodzia. Wiatr znad zatoki przynosił odgłosy bitwy, a na drodze kładły się kłęby czarnego dymu.

– Wstrzymaj oddech – sapnął Maquin, gdy Fidele zwolniła na widok dymu. Sam nabrał głęboko tchu, złapał ją za rękę i wniknął w czern. Serce mu biło, mijała sekunda za sekundą, ale nic się nie zmieniało. Biegł, ale dym nadal otaczał go ze wszystkich stron. Oczy piekły, krew dudniła mu w głowie, a serce o mało nie wyskoczyło z piersi. Jeszcze kilka kroków i dym wreszcie się przerzedził. Jeszcze krok i już byli po drugiej stronie. Zataczająca się Fidele wpadła na niego, kaszląc. Oczy jej łzawiły.

– Nie możemy się zatrzymywać – wychrypiał.

Na drodze przed sobą widział zamazane, niewyraźne postacie walczących. Skręcił w lewo, zawłókł Fidele między zabudowania i poprowadził ją przez labirynt uliczek i przesmyków. W końcu siły go opuściły – zatrzymał się i oparł o ścianę, a Fidele osunęła się na kolana. Jej pierś unosiła się i opadała, gdy próbowała złapać oddech. Maquin uświadomił sobie, że nadal ściska nóż w ręku.

– Trzeba ruszać naprzód – wymamrotał. Uniósł głowę i ujrzał wieżę Ripy, wznoszącą się nad ich głowami. – Musimy tylko pokonać zbocze i już jesteśmy na miejscu.

Pomógł Fidele wstać i oboje popędzili naprzód, potykając się i sapiąc. Skręcili w boczną uliczkę i niemalże wpadli na Vin Thalun zwartych w zacieklej walce z wojownikami w czerni i srebrze Tenebralu. Piraci ustępowali obrońcom liczebnością, ale w każdej chwili z bocznych uliczek wyłaniali się nowi. Maquin spojrział w górę – wrota w murze, który opasywał wieżę, były szeroko otwarte, a do środka wbiegały gromady ludzi.

Ci wojownicy to straż tylna. Osłaniają ucieczkę mieszkańców Ripy, pomyślał.

– Na górę! – krzyknął do Fidele, próbując przekrzyczeć zgiełk bitewny.

Biegli, przeskakiwali nad ciałami, wymijali walczących. Dwóch zbrojnych zwarło się przed nimi, kopiąc, szarpiąc się i dźgając. Fidele wyminęła ich i pognęła naprzód, ale przeskakującego nad walczącymi Maquina zatrzymała czyjaś dłoń. Zwalił się na ziemię, przetoczył, dobył noża. Z ziemi podnosił się jakiś Vin Thalun, ściskając w jednej ręce zakrwawiony, krótki miecz,

a w drugiej puklerz. Maquin nie czekał, aż mężczyzna złapie równowagę, i rzucił się na niego z nożem, jednocześnie wyciągając kolejny. Pierwsze ostrze ze zgrzytem ześlizgnęło się po puklerzu pirata, ale drugie przeszło dołem, prując ciało pod krawędzią sfatygowanego napierśnika. Na ziemię buchnęła krew i kłęby wnętrzości. Maquin przewrócił wrzeszczącego mężczyznę kopniakiem i odwrócił się ku Fidele, która wyprzedziła go już o kilkanaście kroków. Pognał za nią.

Wojownicy z Ripy usiłowali uformować mur tarcz przeciwko Vin Thalun, ale tych było zbyt wielu, a kolejni śpieszyli w górę zbocza bądź wypadali z bocznych uliczek i osaczali tylną straż ze wszystkich stron.

Nie mają szans, pomyślał Maquin.

Naraz Vin Thalun wyroili się na drodze nad nimi. Były ich przynajmniej cztery dziesiątki, choć wciąż dołączali do nich kolejni. Rzucili się na obrońców. Szansa na dostanie się do fortecy przepadła.

Fidele spojrzała na Maquina z rozpaczą.

O ucieczce również nie było już mowy. W bocznych uliczkach roiło się od Vin Thalun i wybranie jednej z nich tylko odwlekłoby to, co nieuniknione. Wrota do wieży pozostawały jednakże otwarte, a pozostało do nich zaledwie sto kroków.

To nasza jedyna szansa, pomyślał Maquin.

Spojrzał na oblicze Fidele, na którym zastygł niepokój. Przez jego umysł przemknęły strzępy wspomnień z ich wspólnej podróży. Przypomniał sobie fragmenty ich rozmów, a wówczas, co dziwne, jego twarz ozdobił uśmiech.

Myślę, że warto za ciebie umrzeć, przemknęło mu przez głowę.

Wiedział, że nie są w stanie dotrzeć do bramy. Drogę zagraadzało zbyt wielu Vin Thalun, a wciąż pojawiali się kolejni.

Od śmierci dzielą mnie już tylko chwile, pomyślał.

– I co teraz? – spytała Fidele.

Wyraźnię dla nas drogę wśród tych ludzi albo zginę, zdecydował Maquin.

– Trzymaj się za mną – warknął.

Pierwsi wojownicy spostrzegli go zbyt późno. Jego noże przyniosły im gwałtowną śmierć. Wystarczyło kilka sekund, by trzech Vin Thalun legło martwych, a czwarty osunął się na ziemię z krwią tryskającą z rozprutego krocza.

Maquin parł naprzód. Czuł za sobą obecność Fidele i wiedział, że kobieta ściska nóż w ręku. Kolejni Vin Thalun spostrzegli zagrożenie i odwrócili się,

tworząc półkrąg wokół niego.

Nie daj im ani chwili na działanie, pomyślał Maquin.

W jamach nauczył się, że podczas walki przeciwko wielu przeciwnikom każda chwila wahania oznaczała śmierć. Warknął głucho, pchnął naprzód, potem w lewo. Jeden nóż trzymał wysoko, drugi nisko. Ciął, blokował, chlastał, nie zatrzymywał się ani na moment. Czas zwolnił, każde uderzenie serca trwało długie lata. Maquin czuł, jak na jego ramionach i udach pojawiają się skaleczenia, cienkie rysy płonącego wściekle bólu, ale nie ustawał. Pchał i dźgał dłońmi mokrymi od krwi. Uderzenie w plecy posłało go na kolana, ale rzucił się naprzód i przetoczył. Wrogie ostrze przemknęło cal przed jego twarzą. Nie miał pojęcia, co się stało z Fidele, mógł jedynie mieć nadzieję, że trzymała się blisko niego.

Nie ustawał. Pchał, dźgał, rąbał. Każde ujrzone przez niego oblicze nabierało rysów Jaela lub Lykosa. Zabijał ich obu po tysiąc razy z dzikim wyrazem twarzy. Jeden z jego noży utknął między żebrami ofiary i wyskoczył mu z dłoni, gdy pirat runął na ziemię. Wyciągnął kolejny z buta i znów nacierał. Krew zabijanych przeciwników bryzgała mu na twarz i oślepiała go, w ustach czuł posmak żelaza. Ktoś złapał go za ramię. Obrócił się na pięcie, chlasnął po udzie i wróg padł, ale pociągnął go za sobą. Ktoś inny rąbnął go w brzuch, tuż nad prawym biodrem. Maquin uderzył go łokciem w twarz i usłyszał trzask pękającej chrząstki. Chciał zrobić krok naprzód, ale uświadomił sobie, że pada. Nie miał czucia w prawej nodze. Ziemia przybliżyła się z oszałamiającą prędkością i mężczyzna uderzył głową w zbryzgany krwią grunt. Noże wypadły mu z dłoni. Odepchnął się od ziemi, próbował się podnieść, ale nogi już go nie słuchały. Zdołał jedynie przetoczyć się na plecy. Wciągnął powietrze w płuca, oślepiony błękitem nieba. Wokół miejsca, gdzie uderzono go w brzuch, rozlewało się odrętwienie. Dotknął go, a gdy cofnął dłoń, ta była ciemna od krwi.

Czy to śmierć?, pomyślał.

Nie czuł bólu, a jedynie znużenie, które opadło go niczym ciężki płaszcz. Kończyny miał jakby odlane z ołowiu.

Błękit nieba przesłoniła czyjaś twarz. Ujrzał oblicze jakiegoś Vin Thalun z brodą spiętą żelaznymi pierścieniami, wykrzywione furją i nienawiścią. Błysnęła wznoszona stal. Maquin chciał się poruszyć, jego dłoń skoczyła na poszukiwanie noża, ale wysiłek okazał się zbyt wielki. Nie mógł się już bronić.

Twarz wroga nagle znikła. W jej miejsce pojawiło się oblicze Fidele.

Kobieta opadła na kolana, potrząsnęła nim, przejęta, przerażona.

– Uciekaj, idiotko – wykrztusił, ale nie wiedział, jak głośno wypowiedział te słowa. Ba, nie miał pewności, czy w ogóle zdołał je wykrztusić.

Fidele ujęła jego głowę i ułożyła ją sobie na kolanach. Po jej policzkach płynęły łzy, które skapywały na twarz Maquina. Czuł sól na ustach. Kobieta musnęła jego włosy i wytarła mu krew z oczu. Poruszała ustami, a jej głos wypełnił mu umysł, choć nie rozpoznawał słów.

– Wszystko będzie dobrze – próbował powiedzieć. Zamknął oczy.

– Masz przeżyć! – wrzeszczała i tłukła go po piersi. – Żyj, do cholery!

Rozchylił powieki. Usłyszał to.

Próbuję, ale to nie jest tak proste, jak myślisz, przemknęło mu przez głowę.

Próbował skupić wzrok na jej twarzy, ale nawet to okazywało się trudne. Na skraju jego pola widzenia wyrastała ciemna aura. Pokusa, by zamknąć oczy, była nie do odparcia.

Taki jestem zmęczony, pomyślał.

Jego umysł wypełnił nowy dźwięk: dudniący, rytmiczny, coraz głośniejszy.

Kopyta?

Otoczyły go ruchliwe cienie, błysnęły kopyta. Czyjeś dłonie złapały Fidele, oderwały ją od niego i uniosły w górę. Głowa Maquina opadła na ziemię.

Walczyła z nimi, krzyczała, pokazywała jego ciało. Wtedy pochwyciono również jego i uniesiono wysoko. Pojawiła się nowa twarz. Patrzył na ciemnobrodego mężczyznę o ogorzałym obliczu. Uśmiechnął się, co wydało się Maquinowi bardzo dziwne, zważywszy na okoliczności.

– Witaj w Ripie – powiedział nieznajomy.

Wtedy ze wszystkich stron napłynęła ciemność i Maquin jej uległ.



## Rozdział dwudziesty ósmy

# LYKOS

Lykos stał na pokładzie i wpatrywał się w wieżę Ripy. Mewy krążyły z głośnym wrzaskiem nad masztami, ale przywódca piratów wypatrzył już bielika, który unosił się na prądach powietrznych nad stadem.

Niewiele się różni ode mnie, pomyślał pirat. Szykuje się do natarcia bez ostrzeżenia. Ja jednakże nie uderzyłem należycie szybko. Wieża nadal stoi, a bramy i mury wytrzymują moje ataki.

Skupił się na strategii. Musiał jak najszybciej znaleźć sposób, by zgnieść opór obrońców Ripy, ale jego myśli bez przerwy powracały do Maquina i Fidele. Przez moment nie mógł uwierzyć własnym oczom. Nie mógł pojąć, że los mógł mu sprzyjać do tego stopnia. Przez dwa miesiące czekał na wieści o tym, że ktoś pochwycił zbiegów, i z każdym mijającym dniem czuł narastającą frustrację. W końcu dotarła do niego wiadomość, że odnaleziono ich trop, ale wkrótce zniknęli ponownie. Potem nie było już żadnych wieści.

Aż do dziś, gdy ujrzał, jak wpatrują się w niego spośród morza falujących traw.

I znów mi uciekli, pomyślał.

– Twa łódź jest gotowa – odezwał się ktoś za jego plecami. Był to Kolai, jego nowy przyboczny. Lykos osobiście wybrał dwunastu innych, zarówno spośród piratów, jak i gladiatorów. Nigdy dotąd nie otaczał się tak silną ochroną, ale nóż wbity w plecy uświadomił mu, że jest istotą śmiertelną.

Lepiej, gdy jest ich zbyt wielu niż za mało, przemknęło mu przez głowę.

Przeszedł po pokładzie galery i zwinnie przeskoczył przez burtę. Ześlizgnął się po linie do łodzi, która unosiła się i opadała na falach. Rana na plecach praktycznie się zagoiła, choć pirat nadal miał wrażenie, że jego mięśnie nie odzyskały pełni sprawności. Czasami, gdy zmuszał się do wielkiego wysiłku, znów odczuwał wyraźny ból.

Dwunastu przybocznych czekało na niego w łodzi. Połowa z nich siedziała przy wiosłach. Każdy miał ze sobą linę z kotwiczką przewieszoną przez ramię. Kolai wskoczył do łodzi w ślad za swym panem i ruszyli po wodach zatoki w stronę portu.

Wyminęli płonące galery z Ripy, większe i cięższe od okrętów Vin Thalun. Lykos uśmiechnął się na ten widok, bo dobrze pamiętał straty, jakie zadali mu żeglarze z Ripy, gdy najeżdżał ich wybrzeża przed zawarciem paktu z Nathairem. Tak, ten widok sprawiał mu wielką satysfakcję.

Zacumowali łódź i wspięli się po kamiennych stopniach do portu, gdzie czekała na nich grupa wojowników Vin Thalun, setka, może więcej. Lykos podszedł do tego, który stał na czele. Był to ciemnowłosy mężczyzna z brodą natartą olejkami i pobrękującą żelaznymi pierścieniami jak u każdego szanującego się Vin Thalun. Miał bliznę, ciągnącą się od kącika ust aż po lewe ucho.

– Demos! Dobrze cię znów ujrzeć, ty stary piracie!

Demos był jednym z niewielu ludzi na świecie, których Lykos mógłby nazwać przyjaciółmi. Nie był zainteresowany polityką czy władzą. Żył dla radości, którą sprawiało mu przedzieranie się przez morskie fale oraz polowanie wzdłuż wybrzeży. Był rekinem, drapieżcą, ale też przyjacielem.

– Stary? – Demos wyszczerzył zęby. – Jestem młodszy od ciebie! – Zacisnął dłonie na ramionach Lykosa i spojrzał na niego. – Cóż, widzę, że sprawowanie władzy nad Trzema Wyspami odcisnęło się już na twoim zdrowiu.

– Tak. A do tego oberwałem ostatnio nożem w plecy – rzekł Lykos i szybko przeniósł spojrzenie na klify, na których wznosiła się wieża Ripy. – Myślisz, że dasz radę?

– Istnieje tylko jeden sposób, by się przekonać. – Demos uśmiechnął się.

– Ja ściągnę na siebie ich uwagę – rzekł Lykos.

Uścisnęli sobie przedramiona, po czym Demos wskoczył do długiej łodzi, jednej z pięciu, które przycumowano do nadbrzeża.

Lykos wkroczył zaś do miasta. Nie śpieszył się. Na ulicach zalegały trupy wojowników z Ripy, obdartych ze wszystkiego, co miało jakąś wartość – broni, zbroi, butów i płaszczy. Za jego plecami gromadzili się wojownicy Vin Thalun, których liczebność rosła z każdą chwilą, aż zebrało się ich kilka setek. Idąc w górę zbocza, pirat spojrzał za siebie, na wody zatoki, na których unosiły się galery Vin Thalun. Do ataku na Ripę wykorzystał ich ponad dwadzieścia. Większość z nich dotarła tu wzdłuż wybrzeża i zablokowała wody zatoki,

paląc wszystkie stojące tam statki i okręty. Wojownicy, którzy mieli ruszyć do szturm, zeszli na ląd, gdy rzeką przybył sam Lykos na czele eskadry dziesięciu lekkich, płaskodennych jednostek. Piętnaście setek mieczy, a do tego tysiąc żeglarzy na galerach, którzy w razie potrzeby mogli wesprzeć wojowników. Wedle źródeł Lykosa stary Lamar miał pod swoimi rozkazami nie więcej niż jedenaście setek zbrojnych, a sądząc po ilości trupów na ulicach, wielu spośród nich nie będzie już w stanie podnieść miecza na jego ludzi.

Mam więc wystarczająco dużo sił, by to zakończyć, pomyślał.

Mimo to nie mógł się pozbyć dręczącego go niepokoju. Rozciągnął swe siły i dobrze o tym wiedział. Na życzenie Calidusa wysłał na północny zachód flotę złożoną z pięćdziesięciu okrętów oraz kilkunastu transportowców z końmi i wozami. Dowództwo powierzył Alazonowi. Calidus nie domagał się otwarcie, by to Lykos osobiście stanął na czele floty, ale pirat wiedział, że starzec się tego spodziewał. Nie dbał jednak o to, bo jego sercem i myślami bez reszty zawładnęło jedno.

Fidele.

Nigdy dotąd żadna kobieta nie obudziła w nim takich emocji. Zawsze brał to, na co miał ochotę i rzadko kiedy się nad tym zastanawiał. Z jego bękartów na wszystkich Trzech Wyspach bez wątpienia można by utworzyć załogę galery. Niemniej Fidele była inna.

Choćby dlatego, że żadna kobieta poza nią nigdy mnie nie dźgnęła, pomyślał Lykos.

Zachichotał, ściągając w ten sposób spojrzenie Kolaia.

Muszę ją odzyskać, zdecydował.

A poza tym rebelię trzeba było zmiażdżyć, zanim się na dobre rozprzestrzeniła.

Peritus przebywa w Ripie i ma poparcie Lamara, a ten dowodzi największą drużyną w Tenebralu po mojej, przemknęło mu przez myśl.

Zależało mu też na tym, by zdławić ów bunt na długo, nim Calidus dowie się, do jakich rozmiarów się rozrósł.

Droga stawała się stroma i wreszcie Lykos ujrzał wieżę górującą nad nim, a przed sobą zatrzaśnięte czarne wrota. Mury najeżone były ostrzami obrońców.

To bez znaczenia. Forteca jest tak silna jak jej najsłabszy obrońca, pomyślał.

Wokół zalegało o wiele więcej trupów niż wcześniej i Lykos ku swej irytacji wypatrzył wśród nich wielu Vin Thalun. Zatrzymał się i odwrócił. Z tego miejsca roztaczał się znakomity widok na okolice miasta i twierdzy. Na północy i zachodzie ciągnęła się Sarva, ogromny zielony ocean konarów i liści. Na jego skraju wznosiło się wzgórze ozdobione szczątkami murów i wieżyc.

Balara. Ruiny fortecy olbrzymów.

Odwiedził ją wczoraj wieczorem, by mieć pewność, że jego sekret jest dobrze strzeżony.

Choć właściwie to już nie sekret, pomyślał. Maquin i Fidele widzieli wszystko.

Zastanawiał się, czy nie odesłać swoich olbrzymów na Pelset, ale doszedł do wniosku, że trzymanie ich przy sobie to póki co najbezpieczniejsza opcja.

Znow zwrócił się ku wieży i bramom. Przesząpił nad ostatnim trupem, leżącym przy końcu ulicy, i przeszedł kilkanaście kroków. Zatrzymał się w bezpiecznej odległości przed zamkniętą bramą.

– Gdyby się któryś z nich uparł, trafiłby cię włócznie – zauważył Kolai.

Lykos wzruszył ramionami. Od kiedy doszedł do siebie, był o wiele uważniejszy, ale niektóre działania mogły zostać odebrane jako tchórzostwo, a tchórz czy człowiek nadmiernie przezorny nigdy nie zostałby władcą Trzech Wysp.

Rzucił kilka rozkazów, po czym jego ludzie przynieśli mu drewniany stół oraz krzesło. Na blacie ustawili miskę z chlebem i serem oraz dzban wina, a Lykos rozsiadł się z pokazową nonszalancją i zaczął się posilać.

Wtedy jego ludzie wyprowadzili kilku spętanych jeńców z Ripy. Kopnięciami i szturchnięciami zmusili ich, by uklęknęli na drodze przed Lykosem.

– Zabijcie ich – rozkazał pirat, przełykając kęs sera. Otarł usta i popił winem, przyglądając się, jak Vin Thalun podrzynają gardła jeńcom.

Obrońcy przyglądali się temu w kamiennym milczeniu.

– Cóż, chyba przyciągnąłem ich uwagę – rzekł Lykos, wstając. Skinął na ludzi, by zabrali stół i beknął przeciągle. – Hej, wy tam! – krzyknął. – Jest tam ktoś, z kim warto rozmawiać? – Jego głos odbił się echem od czarnych murów. – Nie spodziewam się, że zastanę tam kogoś równego sobie. Trudno, byście czymkolwiek mi zaimponowali, ale Lamar się nada. Może być też Krelis albo ten nędzny robal Peritus, ktokolwiek.

– Nie mogę się doczekać, aż cię dopadnę! – odpowiedział mu czyjś głos. Nad

bramą pojawił się potężny mężczyzna, wyższy przynajmniej o głowę od pozostałych. Lykos rozpoznał go od razu. Nienawidził go jak psa.

– Miło cię ujrzeć, Krelisie! – zawołał. – Piękny dzień, nieprawdaż?

Krelis był najdzielniejszym wojownikiem Ripy i bijącym sercem całej twierdzy. Sprawował pieczę nad rozbudową floty Lamara i dowodził obroną wybrzeża. Jego okręty nie były tak zwinne i śmiercionośne jak jednostki Lykosa, ale okazywały się na tyle szybkie i wielkie, by niejednokrotnie udaremniać rajdy Vin Thalun na osady na nabrzeżu.

– Byłby o wiele piękniejszy, gdyby ci wreszcie odciąć ten łeb!

Lykos zrobił kwaśną minę.

– Ostre słowa. Pierwsze słyszę, by w ten sposób rozpoczynano rozmowy pokojowe.

– Nie ma mowy o rozmowach pokojowych. Spójrz tylko na to, co zrobiłeś z moim miastem!

Jakby na poparcie słów Krelisa nad drogą uniósł się czarny dym, na moment ograniczając widoczność.

– Wina! – zażądał Lykos.

Kolai podał mu bukłak. Przywódca piratów pociągnął tęgi łyk i cmoknął z ukontentowaniem, a gdy dym się rozwiął, rozłożył ramiona.

– Nie ma takich rzeczy, których nie da się odbudować. Musiałem tylko dać ci coś do zrozumienia.

– A jak mam niby odbudować ludność mych ziem? Co mam niby zrobić, by moi zabici wojownicy powrócili między nas? Jak odzyskam zamordowanych podwładnych? – W głosie Krelisa pobrzmiwała z trudem tłumiona furia.

Dobrze. Gniew jest najlepszym wrogiem, pomyślał Lykos. Oślepią, zniekształca proporcje, maskuje prawdę.

– Udzieliliście schronienia wrogowi królestwa, Peritusowi. To człowiek winny zdrady. Winny morderstw i nakłaniania do buntu. – Lykos pokręcił głową i wydał wargi. – Cóż, trzeba się liczyć z konsekwencjami udzielania schronienia takim ludziom.

– Nie ty ustanawiasz prawo w Tenebralu. Jesteś piratem i uzurpatorem, a Peritus piastuje godność wojewody. Bez względu na to, ilu starań dołożysz, zawsze będzie od ciebie lepszym człowiekiem.

– To banita pozbawiony wszelkich tytułów i skazany na śmierć przez Fidele, która pod nieobecność Nathaira pełni funkcję regentki Tenebralu. A do tego jest moją żoną.

– Ona nie jest twoją żoną.

– A ja myślę, że jest. Byłem wszak obecny podczas zaślubin. Każdy, kto twierdzi inaczej, jest kłamcą.

– Ona twierdzi inaczej! – zawołał Krelis.

Lykos zamarł.

A więc Fidele jest w Ripie, przemknęło mu przez myśl.

Poczuł zimny ucisk w brzuchu.

– Wydacie mi Peritusa?

– Nie – odparł Krelis.

– A zostało mu choć trochę odwagi, by ze mną porozmawiać? A może nadal będzie się krył za plecami swojej marionetki?

– Krelis to nie marionetka – rozległ się inny głos, starszy.

Och, Peritus. Świetnie. Byłem pewien, że dasz się skusić na udział w naszej rozmowie, pomyślał Lykos.

– A więc odnalazłeś kogoś na tyle głupiego, by cię wziął pod swój dach! – zawołał. – Trudno też nie zauważyć, że wszyscy boicie się walki twarzą w twarz. Gdyby było inaczej, stawilibyście mi czoła. – Zaczynał się świetnie bawić. – Co ty na to, Peritusie? Sprawdźmy, który z nas lepiej włada mieczem?

– Nie marzę o niczym innym! – zawołał Peritus. – Ale ci nie ufam. Poznałem już twą sprawiedliwość i pamiętam, na czym polega twa gościnność. Myślę, że gdybym wyszedł przed mury, zostałbym opadnięty przez twoich przybocznych. Jesteś kłamcą i człowiekiem pozbawionym honoru.

– Głęboko mnie uraziłeś! – Lykos położył dłoń na sercu. – Cóż, wygląda na to, że mamy problem, który należy rozwiązać. Masz jakiś pomysł, jak się do tego zabrać?

– Nic mi nie przychodzi do głowy – odkrzyknął Peritus. – Bo nastał twój koniec, Lykosie. Bezpośredni atak na Lamara był wielkim błędem. Po tylu latach intryg i kłamstw nagle ulegasz emocjom i chwytasz za broń? Miałem cię za lepszego przeciwnika. Pozostali lordowie Tenebrału lada chwila ruszą do boju, a ta farsa z rzekomym poślubieniem Fidele w niczym ci nie pomoże.

– To nie żadna farsa! – wrzasnął Lykos, pryskając drobinkami śliny i uwalniając nagłą wściekłość. Zaskoczył go jego własny wybuch. Minęła chwila, nim uspokoił oddech, a czerwona mgiełka przed oczami rozwiała się lekko.

Gra w moją własną grę, pomyślał.

– Poczekajmy trochę – ciągnął Peritus. – Niech się rozniesie wieść. Wieża za moimi plecami sięga głęboko w te skały, a tam znajdują się ogromne zapasy ziarna i wody pitnej. Jeśli chcecie nas zagłodzić, spędzicie tu naprawdę sporo czasu. Drugą opcją jest szturm, do czego gorąco was zachęcam. Będę miał wówczas okazję przetestować was w walce, choć myślę, że wygram.

Ależ on pewny siebie! – pomyślał Lykos. Chętnie wyrznąłbym mu ten uśmiech z twarzy. Ma jednak trochę racji. Nie stać mnie na długie oblężenie, nie wspominając o tym, że nienawidzę czekać.

Za murami rozległy się jakieś krzyki, a gdzieś dalej szczęk oręża. Wśród wojowników nad bramami zapanowało poruszenie.

Dobrze więc, że miałem własny plan, przemknęło piratowi przez myśl.

Wyciągnął miecz i rzucił się do szarży, prowadząc za sobą dziesięć setek wściekłych, ryczących Vin Thalun.

## Rozdział dwudziesty dziewiąty

# FIDELE

Fidele obmyła twarz, a potem zanurzyła dłonie w misce. Woda natychmiast stała się różowa.

Nie do końca wiedziała, co się stało po tym, jak Krelis ją uratował, bo wydarzenia zlały się ze sobą. Pamiętała, że w ogromnym pędzie przewieziono ją przez bramę i znalazła się na dziedzińcu, gdzie ściągnięto ją z konia i przekazano innym, którzy sprawdzili, czy nic jej nie jest. Potem po części prowadzono ją, po części ciągnięto po drewnianych stopniach do sali biesiadnej, a następnie do wieży olbrzymów. Pamiętała zimne kamienie pod swoimi stopami. W końcu udało jej się wyrwać prowadzącym ją ludziom i zażądała, by pokazano jej Maquina.

Okazało się, że prowadzono ich w to samo miejsce, do pokoi w dolnych partiach wieży, które zamieniono na szpital dla rannych.

Cóż, nie wyszła z bitwy bez szwanku – miała sporo siniaków i skaleczeń na całym ciele, ale nie było to nic poważnego. O Maquinie, niestety, już nie dało się tego powiedzieć. Vin Thalun dźgali go, cięli, kopali. Fidele wiedziała, że nigdy nie zapomni tego, jak mężczyzna wbił się w sam środek ich oddziału, jak parł przez ich szeregi niczym nietykalny demon, ani na chwilę nie przestając atakować. Widziała cios, który go powalił, widziała też, jak zabija napastnika, do ostatniej chwili próbując wyrąbać dla niej drogę do wieży. Widziała, jak pada. Vin Thalun, który stanął nad nim, zginął z jej ręki. Wciąż przeszywał ją dreszcz, gdy przypominała sobie tę chwilę. Wbiła w niego nóż, którego ostrze przeszyło skórzaną kamizelę i wreszcie ciało.

Już dwakroć zabiłam człowieka w obronie Maquina, pomyślała.

Jej ręce drżały, gdy włożyła je z powrotem do misy i wyszorowała twardą szczotką.

– Będzie żył? – spytała, odwróciwszy się.



Maquin leżał na pryczy w kamiennym pokoju o białych ścianach. Ciągające się rzędem okna były szeroko otwarte i do środka wpadał blask słońca oraz silny wiatr, który rozpędzał mdły zapach krwi i potu. Na innych łóżach jęczeli ranni, którymi opiekowała się grupka uzdrowicieli. Do środka wnoszono stoły, na których układano kolejnych poszkodowanych w walce.

Siwowłoso, szczupły mężczyzna, który nachylał się nad Maquinem, miał na imię Alben. Był zbrojmistrzem Ripy i jak na ironię jednym z najbardziej uzdolnionych uzdrowicieli.

– Człowiek może zginąć od wielu ran – mruknął.

Maquin nadal był nieprzytomny, a jego oddech płytki. Alben rozciął jego skórzaną kamizelę i płócienną koszulę, by odsłonić ciemną ranę nad udem. Z każdym uderzeniem serca wydobywało się z niej więcej pulsującej krwi. Alben dotknął rany w kilku miejscach. Maquin poruszył się i jęknął.

– Nóż czy miecz? – spytał Alben.

– Co? – odparła Fidele, wciąż wpatrzona w twarz Maquina.

– Czym zadano tę ranę? Mieczem czy nożem? Dowiem się w ten sposób, jak jest głęboka.

– Chyba nożem. Nie mam pewności, wszystko działo się tak szybko.

– Hm...

Alben sięgnął na półkę z instrumentami chirurgicznymi i wyjął metalowy pręt zakończony płaską, żelazną główką. Ułożył go obok innych, rozgrzewanych w ogniu. Pozostawił go tam na moment, by sięgnąć po maść pachnącą miodem, trochę liści, zakrzywioną igłę, mocną nić oraz zwitek płóciennych bandaży. Umieścił wszystko na stoliku obok Maquina, a sam ujął ów pręt i zbadał, jak bardzo rozgrzała się główka.

– Przytrzymaj mu nogi – polecił jednemu z uzdrowicieli.

– Ja to zrobię. – Fidele podeszła bliżej.

– On będzie wierzgał i kopał, moja pani.

– Albenie, ten człowiek ocalił mnie setki razy. Utrzymywał mnie przy życiu przez dwa księżyce, prowadził przez dzicz i wybijał całe grupy poszukiwawcze Vin Thalun. A przez cały czas mógł się po prostu odwrócić i odejść. – Chciała powiedzieć znacznie więcej, ale ugryzła się w język. – Choć tyle mogę dla niego zrobić.

Alben przyjrzał jej się uważnie i skinął głową.

– Trzymaj je tak, pani – rzekł i zademonstrował najpewniejszy chwyt. Fidele złapała kostki mężczyzny i oparła się na nich ze wszystkich sił.

Alben poprosił jednego z pomocników, by przytrzymał Maquinowi ramiona, a sam przystąpił do oczyszczania rany. Wypłynęło z niej tyle krwi, że Fidele zaczęła się zastanawiać, jak wojownik to wszystko przeżyje, ale musiał. Wreszcie Alben odsunął się, przyjrzał się uważnie ranie, a potem wcisnął w nią rozgrzane żelazo. Maquin kopał i miotał się, a z jego ust wydobyło się głucho jęknienie. Fidele usłyszała syk, po czym w powietrzu rozniósł się zapach gotującego się mięsa. Poczowała nudności, ale nie miała zamiaru odwrócić głowy.

Alben wepchnął rozgrzany pręt jeszcze głębiej, a potem obrócił go, wyjął i wrzucił do miski z wodą. Oczyszczył ranę i zaszył ją, po czym nałożył na nią maść pachnącą miodem, przykrył liściem i w końcu zabandażował.

– Dziękuję – powiedziała Fidele, którą nagle ogarnęło niewysłowione znużenie.

– To rana brzucha – rzekł Alben. – Jeśli wrogi miecz przebił jelita, ten człowiek umrze. I to w bólach.

Fidele miała wrażenie, że na jej sercu zaciska się zimna pięść.

Nie. Nie teraz, gdy dotarł tak daleko, pomyślała.

– Śmierć grozi mu, nawet jeśli niczego nie przecięto. Może przecież wdać się infekcja. Widziałem ludzi, którzy wychodzili z takich obrażeń, ale na setkę rannych uda się to jedynie kilku. Może się obudzić lada moment. Tu masz ziarno maku na uśmierzenie bólu. Aż do jutra nie podawaj mu nic do jedzenia. Może pić tylko wodę. Teraz chciałbym przyjrzeć się tobie.

– Nic mi nie jest. To tylko skaleczenia.

– Powinny zostać oczyszczone. Od tego też można umrzeć.

Czyjaś dłoń dotknęła ramienia Fidele i kobieta odwróciła się gwałtownie. W pierwszej chwili myślała, że ma do czynienia z pacjentem – patrzyła na chorowicie wyglądającego, bladego mężczyznę o gładkich włosach. Był chudy, niemalże zwiędły.

– Moja pani! – rzekł, wpatrując się w jej twarz.

Przecież to Ektor, syn Lamara!, pomyślała Fidele.

Bez namysłu wyciągnęła ramiona i przytuliła go mocno. Był dziwnym człowiekiem, wycofanym i pełnym rezerwy, ale spędziła z nim mnóstwo czasu zeszłego roku. Wspólnie ślęczeli nad manuskryptami zebranymi w najgłębszych lochach twierdzy, a wtedy Fidele udało się odkryć drugie dno jego osobowości.

– Dobrze cię ujrzeć, Ektorze – powiedziała, wypuściwszy go z objęć.

Syn barona stał przez chwilę nieruchomo i mrugał.

– Ciebie również, moja pani – wykrztusił w końcu i rozejrzał się po komnacie. – Mój ojciec czeka na ciebie w swych pokojach. Powinnaś bezzwłocznie złożyć mu wizytę.

– Lady Fidele została ranna, Ektorze. Odwiedzi barona, jak tylko się nią zajmę – wtrącił Alben, prowadząc kobietę ku pustej pryczy. – Będę wdzięczny, jeśli przekażesz to ojcu.

– Wyślij posłańca – rzekł Ektor, wychodząc. – Jestem zajęty.

– Wkrótce porozmawiamy! – zawołała Fidele.

Ektor pokiwał głową i znikł na korytarzu.

– Ten chłopak jest zawsze czymś zajęty – zauważył Alben. – Nikt nie ma pojęcia, co się dzieje w jego głowie.

– Chłopak? – Fidele uśmiechnęła się.

Ektor był najmłodszym z synów Lamara, ale mimo to miał około dwudziestu lat.

– Gdy osiągniesz ten wiek co ja, moja pani, każdy człowiek, któremu pęcherz nie przerywa snu, wyda ci się młodym.

Fidele usiadła, a Alben uważnie oglądał skaleczenia i draśnięcia na jej ciele. Tu i ówdzie zmył nieco krwi.

– Czy masz może jakieś wieści o twoim synu, pani? – spytał, zakończywszy pracę.

– Nie.

Mój syn... Gdzie się podziewasz, Nathairze?, pomyślała.

Czuła troskę i niepokój za każdym razem, gdy jej myśli powracały do Nathaira, a miało to miejsce codziennie. Każdej nocy przed zaśnięciem szeptem modliła się do Elyona, by uchronił jej syna przed niebezpieczeństwami. Lykos wszak wspominał od czasu do czasu straszne rzeczy...

– A więc nie wiesz też nic o Veradisie – rzekł Alben.

– O Veradisie. Nie, niestety.

Musiała się skupić na moment, by przypomnieć sobie jego twarz.

Tyle przecież się wydarzyło od chwili, gdy Nathair odpłynął.

– W ostatnim liście, który otrzymałam od Nathaira... – zaczęła i urwała.

Tym samym liście, w którym pozbawił mnie tytułu regentki i oddał go Lykosowi, przemknęło jej przez myśl.

– Z tego listu – podjęła – dowiedziałam się, że Veradis towarzyszy

Nathairowi. Dotarli do Dun Carreg w Ardanie. Jeśli dopisuje im łaska Elyona, nadal są razem. Veradis to jedyny człowiek, któremu bezgranicznie ufam. Wierzę, że będzie strzegł życia króla. Zawsze był jego najwierniejszym przyjacielem.

– To dobry chłopak – rzekł Alben, a w kącikach jego ust pojawił się cień uśmiechu. – Uczyłem go walki.

– I znakomicie wypełniłeś swoje zadanie.

Uwagę Fidele przyciągnął jakiś jęk. Maquin poruszył się na koi. Zaciśnął pięści i zatrzepotał powiekami, a potem otworzył oczy i spróbował usiąść.

Alben przypadł do niego i przytrzymał go za ramiona.

– Nie – powiedział.

Fidele ścisnęła Maquina za rękę i pochyliła się nad nim. W oczach wojownika ujrzała, że ją rozpoznaje. Natychmiast się rozluźnił.

– Jesteś bezpieczny – rzekła. – Odpoczywaj.

Jego usta drgnęły, ale wydobył się z nich jedynie cichy szept. Fidele pochyliła się i przytknęła ucho do jego ust.

– Ty to potrafisz wpakować człowieka w tarapaty, moja pani – szepnęła, a potem zamknął oczy, a jego oddech się uspokoił.

Nagle Fidele podskoczyła, gdy za jej plecami rozległo się głośne brzęknięcie. Odwróciła się i ujrzała kotwiczkę zahaczoną o kamienny parapet okna. Przywiązano do niej linę, która nikła gdzieś w dole. Potem ujrzała czyjąś dłoń, głowę, ramię i niespodziewanie na parapecie pojawił się zdyszany Vin Thalun. Wyciągnął miecz. Na pozostałych parapetach zahaczyły się kolejne kotwiczki.

Alben poruszył się jako pierwszy. Skoczył naprzód z mieczem w dłoni. Ciało z ukosa i klinga rozpruła gardło pirata, który zacharczał i runął w dół.

Zewsząd dobiegały teraz wrzaski. Na parapetach pojawiali się kolejni Vin Thalun, którzy wskakiwali do środka i rzucali się z bronią zarówno na uzdrowicieli, jak i na pacjentów.

– Uciekaj stąd! – warknął Alben do Fidele.

W tej samej chwili na oknie za jego plecami pojawił się następny Vin Thalun, który skoczył na starego zbrojmistrza. Przetoczyli się po podłodze, a gdy znieruchomieli, pirat przyciskał Albena do ziemi i unosił nóż.

Fidele pochwyciła jeden z żelaznych prętów, rozgrzewających się w misie z ogniem, i dźgnęła nim pirata w twarz. Wrzask męczyzny zlał się z sykiem przypalanego ciała. Odtoczył się, przyciskając dłonie do twarzy, a wtedy

Alben się poderwał. Błysnął jego miecz i wrzaski pirata ucichły.

– Dalej! – krzyknął zbrojmistrz. Złapał Fidele za ramię i popchnął ją ku drzwiom.

– Maquin – szepnęła kobieta i wyrwała się ze zdecydowaniem.

Vin Thalun byli wszędzie i mordowali niczym wilki, które wdarły się do zagrody z owcami. Maquin nadal leżał na swojej pryczy, choć zdołał się dźwignąć na łokciu. Jego wykrzywione z bólu oblicze ociekało potem. Fidele przypadła do niego, oplótła ramieniem jego tors i pomogła mu powstać.

Mężczyzna stęknął z bólu, ale zdołał stanąć.

– Myślałem, że... – skrzywił się z bólu – ...że dałaś nogi za pas.

Alben dźwignął go z drugiej strony i razem zdołali wywlec go na korytarz. Światło słoneczne nie docierało tak daleko i cienie rozpraszały tu nieliczne pochodnie. Z innych pokoi docierały wrzaski i szczęk oręża.

Chwilę później wpadł na nich jakiś człowiek, który posłał ich na ścianę. Alben błyskawicznie przytknął mu miecz do piersi, ale po spanikowanym wrzasku poznali, że był to Ektor. Goniło go kilku Vin Thalun.

– Uciekajcie! – rozkazał Alben.

Ektor rzucił się do biegu, nawołując, by reszta zrobiła to samo. Fidele stęknęła głucho, próbując samodzielnie utrzymać Maquina, gdyż Alben skoczył ku nadbiegającym agresorom. Przeszył pierwszego z nich mieczem i kopnięciem posłał na towarzyszy, a potem ciął po oczach tego, który uskoczył przed ciałem pokonanego kamrata. Na podłogę korytarza osuwały się kolejne trupy.

– Alben! – zawołała Fidele. Szła naprzód, ale z trudem utrzymywała ciężar Maquina.

Stary zbrojmistrz zerknął na nią i zawahał się, najwyraźniej nie mogąc podjąć decyzji, ale w końcu popędził za nimi.

Wspólnie dotarli do schodów, które prowadziły zarówno do góry, jak i w dół. Alben chciał ruszyć na górę, ale Ektor złapał go za ramię.

– Nie! Oni szaleją na górnych piętrach! Nie słyszysz?

Z góry w istocie dobiegały dzikie wrzaski i szczęk oręża.

– Vin Thalun za nami będą chcieli przedrzeć się do bram! – rzekł Ektor. – My powinniśmy zejść w dół, do moich komnat. Nikt nas tam nie znajdzie.

Alben skinął i wszyscy podążyli w dół. Ich buty stukały o kamienne stopnie, pochodnie rozsyłały cienie po wilgotnych ścianach. Fidele i Alben podtrzymywali Maquina ze wszystkich sił i zdołali go uchronić przed

upadkiem, choć wojownik był zlany potem i dyszał ciężko, gdy stanął przed drzwiami do komnaty Ektora.

– Pochodnia! – Ektor polecił Albenowi. Zbrojmistrz wyjął jedną z nich, a w międzyczasie syn barona przekręcił ze zgrzytem klucz w zamku, otworzył szeroko drzwi, zagonił ich do środka i pośpiesznie zamknął za nimi. Jedynym źródłem światła była teraz pochodnia Albena, ale Ektor wykorzystał ją, by zapalić kilka latarni, a potem zgasił ją w wiadrze.

– Ostrożności nigdy za wiele – rzekł i pokazał gestem wnętrza komnaty, a Fidele przypomniała sobie, że Ektor drżał ze strachu o tysiące zwojów, które tam zgromadził.

Na pierwszy rzut oka pomieszczenie nie zmieniło się wiele od chwili, gdy widziała je po raz ostatni. Pierwsza część wyglądała, jakby niedawno szalała tam bitwa – przewrócone krzesła, pościel rozrzucona na podłodze, półmiski z zapomnianymi resztkami jedzenia. Dalej jednakże zaczynała się właściwa biblioteka – wielka, zakrzywiona kamienna ściana, w której wyryto tysiące małych półek i skrytek.

Fidele pomogła Maquinowi wejść do środka, a ten zwałił się na długi stół i z głośnym jękiem przewrócił się na plecy. Ektor wrzasnął z przerażeniem i zaczął go bezceremonialnie szarpać, zmuszając, by się podniósł.

– Ektorze, on jest ranny! – odezwała się Fidele.

Jej ton głosu dał młodzieńcowi do myślenia. Spojrzał na Maquina i dojrzał jego ranę na brzuchu.

– Moje mapy! – bąknął. – On miażdży moje mapy! Poza tym w łóżku będzie mu wygodniej.

Fidele i Alben pomogli Maquinowi przenieść się na wielkie łoże po drugiej stronie komnaty, po czym zbrojmistrz przypadł do drzwi i przyłożył do nich ucho. Nasłuchiwał przez moment.

– Pora, byś przestała mi ratować skórę – wycedził Maquin przez zaciśnięte zęby. – Jak tak dalej pójdzie, nigdy nie spłacę długu.

Ty ocaliłeś mnie przed losem o wiele gorszym od śmierci, pomyślała Fidele. Ocaliłeś mnie przed piekłem za życia. Choćbym i tysiąc razy uratowała cię przed wrogim nożem wymierzonym w serce, nigdy nie będziesz moim dłużnikiem.

– Musisz się więc nauczyć trzymać z daleka od ostrego żelaza – rzekła.

Uśmiech Maquina błyskawicznie przerodził się w grymas bólu.

– Cicho – syknął Alben i wszyscy zamarli.

Czekali przez dłuższą chwilę w absolutnej ciszy, przerywanej tylko biciem serc. W końcu Alben odwrócił się ku nim.

– Słyszałem kroki na schodach, ale nie zmierzały w naszym kierunku.

– Jak oni się wspięli po tych murach? – spytała Fidele.

Alben wzruszył ramionami.

– Nikt nigdy tego nie dokonał. Jesteśmy daleko od zatoki.

– I co teraz?

– Teraz czekamy – rzekł Ektor.

– Na co? – rzuciła Fidele. – Aż Vin Thalun zajmą całą wieżę?

– A co twoim zdaniem powinniśmy zrobić? – warknął młodzieniec. – Nie bierz tego do siebie, ale nie jesteś wielką wojowniczką. Twój przyjaciel wprawdzie wygląda na takiego, który mógłby przebić się do Zaświata i z powrotem, gdyby tylko tego zapragnął. – Słowa te zabrzmiałyby jak komplement, gdyby nie to, że Ektor wypowiedział je szyderczym tonem. – Niestety, jest bez wątpienia ranny i nie zdoła stanąć o własnych siłach, o walce nie mówiąc. W naszej grupie jest też najstarszy szermierz na Ziemiach Wagnanych oraz ja.

Alben skrzywił się, a na obliczu Ektora pojawił się krzywy uśmiech.

– Kiepska z nas drużyna bohaterów – dodał.

– Trochę racji w tym jest – burknął Maquin.

Fidele zastanowiła się.

Szarża na oślepie w istocie byłaby głupotą, pomyślała, ale chwilę później wyobraziła sobie Vin Thalun, którzy przejmują wieżę i otwierają bramy Lykosowi. Była to przerażająca wizja, tym bardziej że nie miała pojęcia, co się dzieje na zewnątrz.

Prędzej poderżnę sobie gardło, niż pozwolę, by mnie dotknął choć raz!, pomyślała.

Złapała się na tym, że kroczy po komnacie, szukając czegoś, na czym może zaczepić myśli. Ektor sprzątał ze stołu z udreką na twarzy.

Bardziej martwi się o swoje mapy niż o to, że być może właśnie tracimy kontrolę nad wieżą, pomyślała Fidele. Pamiętam, jak badałam z nim przeszłość. Jak dawno temu to było? Rok? Dwa lata?

Spędziła tu wówczas długi dzień. Słuchała syna barona i podziwiała ogrom jego wiedzy na temat historii Ziemi Wagnanych i dociekliwość, z jaką rozgryzał starożytne zapiski olbrzymów. Była głęboko poruszona tym, co odkrył. Nie mogła uwierzyć w to, że Ben-Elim oraz Kadoshim mogą niebawem

chodzić po ziemi w materialnych ciałach.

Ektor doszedł do wniosku, że doradca Najwyższego Króla był Kadoshim. Pytanie brzmiało: o którego króla chodziło? O Aquilusa czy Nathaira? O Meicala czy Calidusa?

Myślę, że znam już odpowiedź na to pytanie, uświadomiła sobie Fidele. Układy Lykosa z Calidusem to wystarczająca wskazówka.

– Czy znalazłeś odpowiedź? – zapytała Ektora.

– Nie – odparł cicho, ostrożnie, jakby strzegł jakiegoś wielkiego sekretu. – Ale ograniczyłem wybór do raptem dwóch opcji.

– Ja też – szepnęła Fidele.

Ektor pokiwał głową i uśmiechnął się.

– Naprawdę masz wielki potencjał, wiesz?

– Dziękuję – mruknęła kobieta.

– Ktoś idzie – syknął Alben i wyciągnął miecz. Fidele złapała za nóż. Zasuwa uniosła się i zadygotała, jakby ktoś chciał się dostać do środka. Potem obcy zadudnił pięścią w grube, dębowe drzwi. Z zawiasów posypały się pyłki kurzu. Fidele poczuła, jak paraliżuje ją lęk. Mocniej zacisnęła dłoń na rękojeści noża.

– Ektor! – zawołał ktoś. – Jesteś tam, ty blady molu książkowy?

Lęk Fidele uleciał w jednej chwili.

Tylko ktoś blisko spokrewniony może sobie pozwolić na takie zniewagi, pomyślała.

Alben odsunął zasuwę i otworzył drzwi. Na progu zamajaczyła ogromna postać Krelisa, któremu towarzyszyło kilkunastu wojowników.

Ektor podszedł bliżej i spojrzał gniewnie na brata.

– Nie pośpieszyłeś się – rzekł.



## Rozdział trzydziesty

# CAMLIN

Camlin stał wśród cieni, wsparty o ścianę.

Wsiedli do łodzi i dopłynęli do wieży, która sterczała z ciemnych wód jeziora niczym włócznia. Tam wyszli na ląd i wkroczyli do wielkiej, okrągłej sali, której ściany porastał bluszcz. Na okapach gnieździły się ptaki. Edana zasiadła na jednym z wielu krzeseł stojących wzdłuż długiego stołu. Baird stanął tuż za nią. Towarzyszyli im Pendathran, Drust, wojownik, który ich przyprowadził, oraz Roisin z Lorcanem.

Wieści o przybyciu Edany rozeszły się po obozie niczym blask słońca po ciemnym pokoju. Ludzie tłoczyli się zewsząd, by ją ujrzeć, a Edana, strzeżona przez Bairda i Vonna, przez dłuższą chwilę witała się ze wszystkimi z radością.

Nie ona jedna wywołała zbiegowisko. Roisin najwidoczniej również zrobiła wielkie wrażenie, czego najlepszym dowodem było to, jak przyglądał się jej Pendathran.

– Osobliwe miejsce na spotkanie – rzekła Edana i rozejrzała się dookoła.

– Tak. Dun Crin to w ogóle jest osobliwe miejsce – odparł Pendathran. – Wydaje mi się, że twierdza stała niegdyś w dolinie, ale Plaga Elyona zmieniła kształt świata, jak mówią opowieści z dawnych lat. – Wzruszył ramionami, aż jego krzesło zatrzeszczało. – Nigdy się nie dowiemy, jak doszło do tego, że tak to teraz wygląda. Liczy się to, że twierdza jest dobrze ukryta, a gdyby została odnaleziona, można tu nadal stawić opór. Te wieże łączy stary mur. Może je obronić nawet garstka wojowników. Zaskoczyć też się nas raczej nie da, skoro można się tu dostać jedynie w pław bądź łodzią.

– Znakomity wybór – rzekła Roisin. – Trudno sobie wyobrazić miejsce łatwiejsze do obrony.

– Dziękuję ci, pani – odburknął Pendathran.

Czy on się rumieni?, przemknęło Camlinowi przez głowę.

Wyjrzał przez okno, przy którym stał.

Roisin ma rację, łatwo tu się bronić, pomyślał. Ale nie wiem, czy da się stąd łatwo wycofać. Bądź uciec.

Coś długiego, wijącego się przemknęło pod powierzchnią wody i Camlin się skrzywił.

Miejscowa przyroda również nie zachwyca, stwierdził.

Jego uwagę przyciągnął jakiś ruch wśród cieni. Uświadomił sobie, że pojawiła się Meg, która usiadła i przyciągnęła kolana do piersi.

Cichutka jak duch.

– Pora chyba, byśmy się wymienili opowieściami – rzekł Pendathran i uśmiechnął się do Edany.

Dziewczyna pokiwała głową i opowiedziała o ucieczce z Dun Carreg do Domhainu. Pendathran i pozostali słuchali z niedowierzaniem, gdy mówiła o walkach, jakie toczyli, przedzierając się przez Cambren i góry okalające Domhain.

– Wilkuny i olbrzymy – mruknął Pendathran. – A mimo to udało wam się przeżyć.

Camlin ujrzał, jak w jego oczach pojawia się coś nowego. Szacunek?

– Nie bez strat – przyznała ze smutkiem Edana.

Stary wojewoda pochylił głowę, gdy młoda królowa opowiedziała mu o śmierci Heba, znanego i lubianego wśród mieszkańców Dun Carreg. Wraz z innymi przytakiwał i pomrukiwał cicho, gdy Edana mówiła o poparciu, jakiego udzielił im Eremon, a potem o obu bitwach, z których pierwszej towarzyszyło uniesienie, a drugiej rozpacz. Potem przeszła do ucieczki na wybrzeże. Pendathran warknął głucho, gdy usłyszał o tym, jak Conall zabił Marrocka.

– Ilu spośród moich krewnych padnie jeszcze podczas tej wojny? Czy nadejdzie kres cierpien, które moja rodzina musi znosić? – wychrypiął i zacisnął wielkie dłonie, jakby chciał komuś skrócić kark.

Zupełnie zapomniałem, że Marrock był siostrzeńcem Pendathrana, pomyślał Camlin.

– I tak oto dopłynęliśmy aż tu – rzekła Edana. – Dzięki pomocy Roisin i drużyny najlepszych przybocznych Eremona.

– Jestem wam za to wdzięczny. Zarówno za waszą obecność, jak i dodatkowe miecze.

– My również się cieszymy – rzekła Roisin, której udało się przybrać minę zarówno szczęśliwą, jak i zasmuconą.

Ma więcej talentów, niż sądziłem, przemknęło Camlinowi przez myśl.

– A ty, wuju? – spytała Edana. – Sądziłam, że cię ubito w sali biesiadnej Dun Carreg.

– Mało brakowało – rzekł Pendathran i odsunął nieco brudną szarfę na szyi, by pokazać białą bliznę. – Myślę, że o mało nie wykrwawiłem się na śmierć. Nie wiem, dlaczego tak się nie stało. Pamiętam tylko tyle, że obudziłem się w cuchnącej norze, która okazała się być piwnicą Evnisa.

Mimowolnie zerknął na Vonna, który odpowiedział hardym spojrzeniem.

Wystarczy wspomnieć o jego ojcu, by w tym młodzieńcu obudził się zimny ogień, pomyślał Camlin.

Pendathran opowiedział o torturach, które zafundował mu Evnis, oraz o pomocy udzielonej przez Cywen. Po ucieczce przez tunele pod fortecą wędrował na południe, aż dotarł do bagien, gdzie po miesiącu natrafił na członków rodzącego się ruchu oporu.

– Okazało się, że nie ja jeden tu umknąłem. Natrafiłem na ludzi z drużyny mego syna...

Urwał, a przez jego twarz przemknął ponury cień.

Dobrze pamiętam, jak stałem na murach Dun Carreg i patrzyłem, jak Dalgar uderza na zastępy Owaina, pomyślał Camlin. Mieli przeciwko sobie wielką przewagę. Ogromną.

Pendathran poprowadził odsiecz z bram Dun Carreg, ale most został zablokowany przez ludzi Owaina. Doszło do zaciętej walki, w której hufiec Pendathrana został zepchnięty do twierdzy, a oddziały Dalgara rozbite. Ciało Dalgara zostało później przywiezione pod bramę Dun Carreg. Camlin nadal pamiętał, jak Pendathran niósł je po moście.

Pendathran przetarł dłonią oczy i ciągnął:

– Wojownicy, którzy przetrwali klęskę hufca mego syna, uciekli tutaj. Wielu sprowadziło swe rodziny. Dotarli do nas nawet ludzie Owaina.

Skininiem głowy wskazał Drusta. Okazało się, że wojownik wcale nie kłamał, gdy mówił, że służył królowi Narvonu.

– Mamy tego samego wroga – rzekł Drust i wzruszył ramionami. – Rhin zdradziła zarówno Owaina, jak i Brenina. Wiem, że Owain wyrządził wam ogromną krzywdę, ale wiedzcie, że powodowało nim tylko pragnienie zemsty za zamordowanie jego syna. Oszalał z rozpacz i uznał, że Uthan zginął na

rozkaz Brenina.

– To kłamstwo! – syknęła Edana.

– Teraz to wiem. Rhin wykorzystwała go tak jak innych królów zachodu.

– Ale gra nie dobiegła jeszcze końca – stwierdziła Edana. – A jak ty tu dotarłeś?

Drust opowiedział o starciu między Owainem i Rhin, oraz zdradzie, jakiej dopuścili się Nathair i Ewnis na polu bitwy. Znow kilka osób zerknęło na Vonna, a wtedy Drust również wymienił Cywen, która pomogła mu uciec.

– Ocaliła mi życie – podsumował.

– Ha! – roześmiał się stojący wśród cieni Camlin, na pół zapomniany przez zebranych. – Ech, ta dziewczyna i jej brat – wyjaśnił, widząc pytające spojrzenia. – Zawsze trafiają w odpowiednie miejsce w odpowiedniej porze.

– Nie byłbym do końca tego taki pewien – odezwał się Vonn głosem cichszym od szeptu.

W sali zapadło milczenie. Przez kamienne okna wpadał cichy plusk fal.

– Cóż, niełatwo jest opowiadać o tym, co nam się przytrafiło. Nie ma co do tego wątpliwości – rzekł Pendathran. – Ale wszyscy tu dotarliśmy. Zebraliśmy się ponownie. Wasze przybycie poprawiło wszystkim morale. Wszak księżniczka Ardanu na powrót znalazła się wśród swoich ludzi.

– Jestem teraz królową Ardanu – poprawiła go Edana.

– Tak, zgadza się, dziewczę – rzekł Pendathran. – Dziś będziemy świętować. Trzeba wszak należycie przywitać królewskich gości z Domhainu.

Pochylił głowę ku Roisin i Lorcanowi, a potem wstał.

– Dokąd się wybierasz? – spytała go Edana.

– Tu zawsze jest coś do zrobienia, dziewczę.

– Ale przecież jest tyle innych tematów, które musimy podjąć.

– Jak choćby? – Pendathran zmarszczył brwi.

– Jak choćby to, jak wygląda sytuacja w Dun Crin. – Uśmiech Edany znikł bez śladu. – Ilu masz ludzi? Jaką przyjąłeś strategię? Co planujesz? Czy jak dotąd odnosiłeś sukcesy?

– Naszym głównym planem jest przetrwanie – odparł ogromny mężczyzna, znieruchomiawszy podczas wstawania. Wydawał się nieco zaskoczony dociekliwością Edany. – A reszta to dla ciebie nudne szczegóły.

– Zapewniam cię, że nic z tych rzeczy nie jest dla mnie nudna – rzekła młoda królowa. – Proszę, usiądź i opowiedz mi o wszystkim.

Pendathran trwał w swej pozycji jeszcze przez moment, po czym opadł na

krzesło.

Wciąż ma Edaną za przestraszoną młodą dziewczynę, którą widział w Dun Carreg, pomyślał Camlin.

– Jak już powiedziałem, naszym głównym zadaniem jest przetrwanie. Jest nas tu około czterech setek, a liczebność wciąż rośnie, ale tylko niespełna połowa to wojownicy. Przybywają tu głównie rodziny, które szukają schronienia przed Evnisem i jego „sprawiedliwością”. – Urwał i westchnął. – Niełatwo jest wykarmić tylu ludzi. Wiesz, ile ryb trzeba codziennie złapać? – Uśmiechnął się ponuro. – Choć mogło być gorzej. Ryby to jedyna rzecz, której nie brakuje na tych bagnach. Udało nam się nawiązać kontakty z wsiami leżącymi daleko za bagnami i wymieniamy ryby za ziarno.

– Nie potrwa to długo – odezwała się Roisin. – Przejeżdżaliśmy przez jedną z takich wsi. Jej mieszkańców wymordowano co do ostatniego. Nie przeżyły nawet kobiety i dzieci. Pokaz sił.

– To Morcant za tym stoi – rzekła Edana.

– To nie są najlepsze wieści – zagrział Pendathran. – Nikt z tej wsi nie mógłby zdradzić naszego położenia, a jeśli nie będziemy handlować...

– A jeśli odłożymy na bok samo przetrwanie? – zapytała Edana. – Jaką masz strategię wobec Evnisa i Rhin?

– Wydamy im wojnę, kiedy będziemy w stanie. – Pendathran ściągnął krzaczaste brwi.

Nie podoba mu się takie przepytywanie, pomyślał Camlin. Nie wydaje mi się, by do tego przywykł, a już na pewno nie życzy sobie wysłuchiwać takich pytań ze strony Edany. Wszak nadal ma ją za rozpieszczoną księżniczkę.

– Jestem przekonana, że mogłbyś się pochwalić niejedną opowieścią o swoim męstwie – rzekła Roisin. – Ba, pewnie jest ich zbyt wiele!

– Mów, proszę – ponagliła go Edana.

Pendathran skubnął paznokiec.

– Zabiliśmy kilku ludzi w cambreńskiej czerni ze złotem, którzy zapędzili się na bagna. Urządziliśmy też kilka nieco dalszych rajdów, ale nie jesteśmy jeszcze na tyle silni, by wydać wojnę samej Rhin. Wszyscy z nas stracili bliskich, ukochanych...

– Ale Dun Carreg upadło rok temu – rzekła Edana.

Boją się, uświadomił sobie Camlin. Pobito ich, przepędzono, wystraszone, a teraz chcą się po prostu na chwilę schować. Boją się kolejnej klęski. Boją się tego, że nie będą już mieli gdzie się ukryć.

– Na zachodzie wszystko wygląda podobnie – zabrała głos Roisin. – Król Domhainu został zabity, jego drużyny rozgromione, a wojownicy rozpedzeni. Na szczęście nie wszyscy. Nadzieja pojawia się zawsze tam, gdzie stoimy razem. Zdecydowałam się udzielić Edanie pomocy, gdyż opowiedziała mi o wojownikach z Ardanu. Mówiła mi o ich odwadze i o ich wierze w zwycięstwo.

Rozejrzała się.

Mówi to tak, jakby wszystko było jej pomysłem, zdziwił się Camlin. Jakoś nie przyszło jej do głowy, by wspomnieć o tym, że miała zamiar wykorzystać Edanę jako kartę przetargową w negocjacjach z Rhin o życie jej cennego syna. Mimo to jeśli uda się jej rozpaść ogień pod ich tyłkami, wcale nie będę narzekać.

– Niestety, to nie walka, a jedynie egzystencja – rzekła Edana.

Twarz Pendathrana pociemniała, a na jego policzkach pojawiły się rumieńce. W sali zawisła ciężka, napięta cisza przywodząca na myśl chmury niosące wściekłą burzę.

– Ty niczego nie rozumiesz, moja pani – odparł Pendathran przez zaciśnięte zęby. – Tu trwają przygotowania do wojny, które bywają o wiele bardziej skomplikowane od opowieści o honorze i odwadze.

– Doskonale to rozumiem – warknęła Edana. – Widziałam tyle krwi, że wszelkie moje wcześniejsze romantyczne wizje wojny już dawno legły w gruzach.

Spojrzała na swoje dłonie. Camlin przypomniał sobie, jak drżały w okrągłym domu we wsi, zbryzgane krwią.

– I ja również – odezwała się Roisin. – Rozumiem także pojęcie przezorności i ostrożności, gdyż w Domhainie byłam gorącą zwolenniczką takiej polityki. Myliłam się jednak. Powinnam była posłuchać Edany. Na zwycięstwo nie można czekać. Trzeba po nie sięgnąć. Spójrzcie, w tej sali zebrali się przedstawiciele trzech królestw: Ardanu, Domhainu i Narvonu. A kto jest naszym wrogiem? Rhin. Pamiętajmy, że jest słaba, bo jej siły są rozciągnięte tak, by kontrolować cztery narody. Teraz nadszedł czas, by uderzać. Nie ma sensu siedzieć beczynnym i czekać, aż jej siły okrzepną.

Pendathran wyprostował się, słysząc te słowa.

– Roisin ma rację – rzekła Edana, choć nie udało jej się ukryć niechętnego grymasu.

– Wiemy o tym i przygotowujemy się do tego – warknął Drust. – Mój

oddział zmierzał właśnie na pogranicze, by rozpocząć napastowanie wojsk Rhin, ale natrafiliśmy na was po drodze i cofnęliśmy się do Dun Crin. Musisz jednak zrozumieć, że istnieją względy praktyczne. Czterystu ludzi to mnóstwo gąb do wyżywienia, a nie wszyscy spośród nas to wojownicy, którzy byliby skłonni do zaryzykowania własnym życiem. Są tu kobiety, są dzieci, są całe rodziny.

– Nie można po wsze czasy chować się przed Ewnisem i Rhin. – Edana wzruszyła ramionami. – Oni przez cały czas was szukają i prędzej czy później was znajdą. Lepiej ruszyć do działania teraz, zanim zgromadzą większą władzę. Poza tym nie przybyłam tu po to, by łapać ryby i urządzać sobie życie na bagnach. Wróciłam, by walczyć. Mam dość uciekania i chowania się. Pora odebrać Rhin inicjatywę.

– Zgadza się – dodała Roisin.

Camlin patrzył to na Pendathrana, to na Drusta. Nie było wątpliwości, że Pendathran sprawował władzę wśród rebeliantów, a Drust był jego zastępcą.

I raczej nie spodoba im się to, że do ich świata wtargnęły dwie kobiety, które zaczynają się rządzić, pomyślał Camlin. I cóż z tego, że obie to królowe.

– Pięknie prawicie – rzekł Pendathran. – Ale jak mamy wydać Rhin walce, skoro Morcant patroluje skraj bagien na czele oddziałów liczniejszych od naszych i w każdej chwili może przywołać posiłki? Ewnis ma na swoje rozkazy cały hufiec Cambreńczyków i można powiedzieć o nim wiele, ale nie to, że jest głupcem.

– Nie, Ewnis nie, ale Morcant? – spytała Edana. – Spędziłam z nim trochę czasu w Ciemnym Borze i wiem, że jest zarozumiały i arogancki. Może udałoby się to wykorzystać.

– Nie najgorszy pomysł – rzekł Camlin. – Wystarczy go szturchnąć, a wpada w gniew.

– Rozgniewani ludzie popełniają zaś błędy – dokończyła Edana z krzywym uśmiechem.

– Otóż to, moja pani. – Były banita pochylił lekko głowę.

– A skąd ty wiesz tyle o Morcancie? – spytał Pendathran Camlina.

Ten spojrział na niego. Odpowiedź nasuwała się sama. Bo był przez jakiś czas moim hersztem. Wypełniałem jego rozkazy, pomagałem mu zabijać przybocznych twej królowej, pokonać pierwszy miecz waszego króla i pojmać twą królową oraz księżniczkę.

Przedłużającą się ciszę przerwała Edana.

– Camlin pomógł mi uciec od Morcanta – rzekła. – Dobył miecza i zasłonił mnie własnym ciałem.

– Ach, już sobie przypominam – powiedział Pendathran, przyglądając się Camlinowi z podejrzliwością. – Byłeś jednym z bandytów, których pojaliśmy w lesie Baglun.

– Byłem – odparł Camlin.

Cóż, nie wyprę się tego, przemknęło mu przez myśl.

– Pamiętam też, że trafiłeś jako więzień do Dun Carreg.

Tak, to wszystko prawda. Było nas dwunastu, a ich osiemdziesięciu. Wszystko wówczas inaczej wyglądało. Wolałem uciekać i żyć, niż walczyć i ginąć.

– A gdybyśmy w istocie mieli go szturchnąć, jak byś się do tego zabrała, Edano? – spytała Roisin.

Pendathran i Drust spojrzeli po sobie.

Edana i Roisin wtargnęły tu jak letni huragan, pomyślał Camlin. Ci dwaj nie wiedzą, co ich trafiło.

– Camlin to znakomity tropiciel i łowca. Podczas ucieczki do Domhainu opracował szereg zasadzek na przeważającego liczebnie przeciwnika.

Były banita o mało się nie zarumienił, słysząc te słowa. Po jego karku rozlało się gorąco.

Chyba nikt wcześniej o mnie tak nie mówił, pomyślał i naraz uświadomił sobie, że wszyscy obecni się w niego wpatrują. Zamrugał.

– No i? – spytał Pendathran.

Dobre pytanie, przemknęło Camlinowi przez myśl. Co należałoby począć?

Przypomniał sobie Morcanta na rumaku bojowym na wiejskim placyku, dumnego i wyniosłego. Przypomniał sobie słowa, z jakimi zwrócił się do starszyzny wioski. Groził im i nęcił łapówką.

– Ktoś musi mu odebrać tę skrzynię ze srebrem – powiedział.

\* \* \*

Camlin zamrugał, gdy zdjęto mu opaskę z oczu. Drust wsunął ją do sakwy i podszedł do kolejnej osoby, którą był Vonn.

– Serio, nie wiem, po co to komu – mruknął młodzieniec, gdy Drust przystąpił do ściągania opasek pozostałym.

– A ja widzę w tym sporo sensu – rzekł Camlin cicho. – Im mniej ludzi zna



drogę do Dun Crin, tym to miejsce jest bezpieczniejsze. Każdy człowiek wzięty na tortury zaczyna kiedyś mówić, bez względu na to, za jak odważnego się uważa, ale nie jesteś w stanie opowiedzieć o czymś, czego nie wiesz.

– Tylko mam wrażenie, że nam tu nie ufają – mruknął Vonn.

Camlin uniósł brew, słysząc te słowa.

No, do tego to ja się akurat przyzwyczaiłem, ale rozumiem chłopaka, pomyślał. Trudno mu się dziwić. Wystarczy, że ktoś wymieni imię jego ojca, a wszyscy zaczynają się gapić.

– Nie tylko nas tak potraktowano. – Camlin wskazał mu siedzących obok wojowników z Dun Crin, którym również zdejmowano opaski.

Vonn spojrział na nich, ale nie skomentował tego ani słowem.

Licząca około trzydziestu ludzi grupa schodziła teraz z wielkiej łodzi na brzeg. Ich zadaniem było odebranie Morcantowi skrzyni ze srebrem.

O ile wciąż tam jest, przemknęło Camlinowi przez myśl. Bo jeśli jej nie ma, będziemy musieli ją odnaleźć. W przeciwnym razie możemy się pożegnać z Dun Crin i całym ruchem oporu. Wystarczy, by jedna osoba zaczęła gadać, a takiej ilości srebra, jaką zebrano w tej skrzyni, nikt się nie oprze. Każda lojalność kiedyś się kończy.

Przedstawił to wszystkim ludziom zebranych na radzie. Edana poparła go z całego serca, a Pendathran musiał z niechęcią przyznać, że srebro w istocie stanowi spore zagrożenie i trzeba się nim zająć.

Camlin wstał i zszedł na suchy ląd, gdzie rozmasował zdętwiałe nogi. Choć zaplanował większą część wyprawy, operacją dowodził Drust. W skład oddziału wchodziła zresztą głównie jego ludzie, choć kilku wojowników Roisin zgłosiło się na ochotnika, a w ich liczbie Brogan, który spojrział na Camlina i uśmiechnął się szeroko.

Zupełnie jakby nadal hulał na uczcie, pomyślał były banita.

Po ich przybyciu do Dun Crin w istocie zorganizowano huczną biesiadę, po której niejednego bolała głowa następnego dnia rano. Od tej chwili upłynęły już trzy dni, które Edana i Roisin spędziły nader aktywnie. Kobiety odnalazły Camlina rankiem po uczcie i odciągnęły na bok.

– O co wam chodzi? – zapytał wówczas.

– Co za bałagan – westchnęła Edana.

Camlin pokiwał głową.

– Wyczuwasz sprzeciw wobec tego, że to ty powinnaś tu przewodzić?

– Nie spodziewałam się aż takiej dawki rozważań i politykowania – odparła

Edana. – Tu, wśród moich rodaków? Moich krewnych?

– Ha! – parsknęła Roisin. – Rodzina to tylko i wyłącznie polityka. Znajdź mi kuźnię, w której jest goręcej niż w rodzinie!

Tak, a wskutek tego niektórzy są ostrzy jak klinga miecza, a inni pokrzywieni i niewykończeni. Jeszcze inni są zarówno ostrzy, jak i pokrzywieni, pomyślał Camlin.

– A więc moja mała wyprawa musi się zakończyć sukcesem – rzekł.

– Otóż to. Patrzą na ciebie, Camlinie. Oceniają.

– Dam z siebie wszystko. – Tropiciel zdobył się na uśmiech, choć wcale nie czuł wesołości.

– Wiem, że można na tobie polegać – powiedziała Edana i odeszła.

I tak oto trzy dni później stał na brzegu rzeki z zamiarem zapuszczenia się na czele trzydziestu ludzi na rojące się od wrogów ziemie, by odnaleźć skrzynię srebra, której zapewne już tam nie było.

Lepsze to od siedzenia nad brzegiem jeziora i zajadania żab, przemknęło mu przez myśl. Poza tym to moja wina, że się tu znalazłem. Moja i niczyja inna. Trzeba było trzymać dziób na kłódkę.

Sięgnął do sakiewki i naciągnął cięciwę na łuk.

– Gotów? – spytał zbliżającego się doń Drusta.

– A ty?

– Pewno.

Drust dał mu znak, by ruszał jako pierwszy, a gdy Camlin mijał go, pochylił się ku niemu.

– Tylko mądrze działaj. Nie chcę, by powybijali mi ludzi. Sam również mam ochotę przeżyć.

– Zrobię, co będę mógł – odparł Camlin i skrzywił się.

Rozciągnęli się w długi szereg i przekradali jeden za drugim wzdłuż brzegu rzeki. Camlin ani na moment nie przestawał się rozglądać i wyteżać słuch. Przez całą drogę nic go jednak nie zaniepokoiło. Wkrótce ujrzeli zabudowania wsi, ale nic nie mąciło tu ciszy, poza śpiewem ptaków i brzęczeniem owadów.

Choć tego bzyczenia jest jakby więcej niż zwykle, pomyślał Camlin, gdy schował się wśród krzaków z zamiarem przyjrzenia się osadzie. Po chwili podniósł rękę, a wtedy grupa się podzieliła. Ponad połowa oddziału oddaliła się wraz z Drustem i przyczaiła na obrzeżach wsi. Camlin odczekał jeszcze moment, by tamci zdążyli zająć pozycje, po czym skinął na swoich towarzyszy. Błyskawicznie pokonali kilkanaście metrów dzielących ich od pierwszych

zabudowań.

Gdy dotarli na główny plac, wiedział, że są tu sami. Wieś wyglądała dokładnie tak jak podczas ich poprzedniej wizyty, z tym wyjątkiem, że trupy były w stanie bardziej zaawansowanego rozkładu, tu i ówdzie też bardziej pogryzione. Nadal łąziły po nich roje much i larw. Camlin szedł ostrożnie przez pobojuwisko, oddychając najoszczędniej, jak się dało, aż dotarł do wejścia do okrągłego budynku. Drzwi były nadal szeroko otwarte, a na podłodze, pośród rozkładających się zwłok, zalegały świeższe trupy. Był banita zauważył, że z gardła jednego z nich sterczała jego własna strzała.

Po skrzyni ze srebrem pozostało jedynie wgłębienie.

A więc sporo było tego srebra, pomyślał.

Posłał wojownika z wiadomością do Drusta. Rudowłosy przybył wraz z posłańcem.

– A więc to była tylko strata czasu – rzekł, gdy zatrzymał się i omiół wzrokiem pobojuwisko. – Na kości Elyona, co tu się wydarzyło?

– Elyona w to nie mieszaj.

– Czyli wracamy do Dun Crin – szepnął Drust, nie mogąc oderwać wzroku od zmasakrowanych, gnijących ciał.

– Jest jeszcze jedna opcja, którą chętnie bym rozważył – rzekł Camlin.

– Jaka?

Tropiciel wskazał koleiny pozostawione przez wóz na drodze. Pochylił się i szturchnął kupę końskiego łajna.

– Wsadzili tę skrzynię na wóz nie dalej niż wczoraj. To łajno jest świeższe od twojego oddechu.

– No i?

– Trzeba ruszyć w ślad za wozem. Może nadarzy się okazja na przejęcie skarbu.

Drust pokręcił głową.

– Za duże ryzyko. Poza tym nie mamy koni. Jeśli ludzie Morcanta nas dostrzegą, rozniosą nas na kopytach.

– Racja, racja, ale mnie też nie uśmiecha się spacer przez łąki. Większość naszego oddziału ruszy naprzód łodzią, a tylko kilku z nas podąży traktem.

– O ile jesteśmy w stanie podążać wodą w ślad za wozem.

– Pewnie, zgadza się, ale mam przeczucie, że Morcant obwozi srebro po wsiach dookoła bagien.

– Nie zaryzykuję życiem moich ludzi dla twego przeczucia.

Camlin nabrał tchu i zdusił wściekłą odpowiedź.

– Niczego nie rozumiesz – powiedział powoli. – Morcant wykorzysta srebro, by przekupić mieszkańców wsi dookoła bagien. Sam to powiedział. Jak sądzisz, co wybiorą miejscowi wieśniacy: tortury, które na pewno zakończą się śmiercią, czy może garść srebra? Jak daleko sięga ich lojalność? Być może ci ludzie nie mają pojęcia, gdzie znajduje się wasza baza, ale jeśli rozniesie się plotka o oczekującej nagrodzie, natychmiast pojawią się śmiałkowie gotowi was szukać, a wtedy odnalezienie Dun Crin będzie już tylko kwestią czasu. Tylko czekać, aż ktoś się podejmie, by zaprowadzić tam Morcanta, a na pewno zabierze ze sobą mnóstwo ostrych mieczy. Nagroda jest po prostu zbyt wysoka, by się oprzeć. Jeśli nie odbierzemy mu tego srebra, zginiemy wszyscy, z tą różnicą, że może później.

Drust wpatrywał się w niego, marszcząc brwi. Cisza się pogłębiała.

– Nie znamy tych bagien wystarczająco dobrze. To, że się zgubimy, jest równie prawdopodobne jak to, że znajdziemy srebro.

– Być może wiem, jak temu zaradzić – rzekł Camlin i rozejrzał się uważnie.

– Meg! – zawołał.

Odpowiedziała mu cisza, ale po chwili zza jednego z budynków wyłoniła się drobna postać. Gdy padły na nią promienie słońca, wszyscy rozpoznali Meg.

Przynajmniej ma na tyle przyzwoitości, by udąć poczucie winy, pomyślał Camlin.

– Wiedziałem, że się za nami udasz – rzekł.

Drust skrzywił się, a były banita dodał:

– To tylko dziecko, ale po części także wodny szczur. Ani Morcant, ani jego ludzie nie mają szans jej złapać. Co więcej, zna bagna.

Drust zastanawiał się jeszcze przez chwilę. Drapał się po głowie, mrużąc niebieskie oczy.

– Musisz przejść to srebro – rzekł Camlin. – Zginiemy bez tego.

– Obawiam się, że masz rację – oznajmił starzejący się wojownik i spojrzał na Meg, marszcząc brwi. – Dobrze więc. Podążymy za twoim bagiennym szczurem. – Naraz złapał Camlina za ramię, nim ten zdołał odejść. – Pendathran opowiedział mi o tym, kim kiedyś byłeś. Wiem o twojej przeszłości z Ciemnego Boru. Edana jest przeświadczona co do twojej wartości, ale ja nie. Wbiłem w życie zęby w wiele zgniłych jabłek. Będę miał cię na oku.

– Nie spodziewałem się niczego innego – rzekł Camlin. Oswobodził łokieć

i oszczęd.

## Rozdział trzydziesty pierwszy

# HAELAN

Haelan chwycił oburącz głaz i dźwignął go w górę. Zachwiał się i niemalże wpadł do strumienia, z którego właśnie wyciągnął ciężar. Spojrzał na łąkę oraz na sterty usypanych w równych odstępach głazów. Nabrał głęboko tchu i ruszył w tamtą stronę, a Garnek biegał dookoła, ciesząc się dobrą zabawą.

Tobie to dobrze. Nie dźwigasz kamieni, pomyślał chłopak.

Garnek sprawiał wrażenie, jakby zaadoptował Haelana po tym, jak ten ocalił go przed szcurem. Chłopak, zdyszany i spocony, dotarł do sterty kamieni i ułożył swój na szczycie. Jego dłoń pulsowała bólem, a gdy się jej przyjrzał, odkrył trzy pęcherze.

– Dzięki, chłopcze – powiedział do niego równie spocony Tahir, który dźwignął przyniesiony przez Haelana kamień. Był rozebrany do pasa, a jego koszula, skórzana kamizela i pas z mieczem leżały nieopodal. Wszyscy mężczyźni na łące przejmowali kamienie ze stosów usypywanych przez dzieciaki i łatali nimi stary mur.

– Po co my to robimy? – spytał Haelan.

– Bo mur pełen dziur na nic się nikomu nie przyda – odparł Tahir.

Chłopak pociągnął nosem, spoglądając na pęcherze na dłoni.

Kiedy zostanę królem, to ty będziesz nosił dla mnie kamienie, przemknęło mu przez myśl.

– Ale czemu cała osada tak ciężko haruje? – zapytał na głos. – Czy ludzie nie mają nic lepszego do roboty?

– Wulf uważa, że lepiej usprawnić naszą obronę, a ja się z nim zgadzam. Ty też powinienes.

– No to gdzie jest Wulf? – spytał markotnym głosem Haelan. – Wpada na jakiś pomysł, wydaje polecenie i znika.

– Nie wiem, gdzie on jest – odparł Tahir. – Na pewno wypełnia jakieś

zadanie dla Gramma. Ty, jak rozumiem, inaczej byś wszystko tu zorganizował, co?

– Pewnie. Sam dałbym przykład innym. Mama zawsze mówiła, że tak trzeba – odparł chłopak. Znów poczuł ucisk w gardle i skubnął paznokieć.

– Cóż, to na pewno dobra rada. Ale ten mur tak czy owak wymaga naprawy, bez względu na to, czy Wulf tu jest czy go nie ma. Nie chcemy chyba, by Jael po prostu wjechał do środka podczas kolejnej wizyty, co?

Nie, pomyślał Haelan, przypominając sobie drużynę Jaela wjeżdżającą śmiało na dziedziniec Gramma.

– Ale mur Jaela nie zatrzyma – rzekł.

– Nie, ale spowolni go, zwłaszcza jeśli droga również zostanie zablokowana. Poza tym mur przyda się do wielu innych rzeczy. Można zza niego wroga zaskoczyć, można urządzić pułapkę, zatrzymać wroga w środku i tak dalej. A teraz przestań już mleć jęzorem i przynieś następny głaz.

Haelan westchnął i rozejrzał się po łące. Wszyscy mieszkańcy osady zostali podzieleni na grupy po dwie dziesiątki, po czym każda grupa otrzymała swój odcinek zewnętrznego muru do naprawy. Jego grupa wylądowała kilka mil od osady. Haelan nigdy nie był tak blisko skraju lasu Forn. Widział stąd ogromne drzewa, sięgające wysoko ku niebu, grube pnie, poskręcane konary.

Nie wiem, czy dwunastu ludzi starczyłoby, by objąć takiego kolosa!, przemknęło mu przez głowę.

Mimo to z jakiegoś powodu lubił przyglądać się puszczy.

To zupełnie inny świat, odległy od Jaela i całego jego zła. Bezpieczny świat, pomyślał.

Wyobraził sobie, jak wycina dziuplę w ogromnym pniu i mieszka w niej, beztroski i bezpieczny, polując za dnia z Garnkiem u boku, a w nocy drzemiąc w sercu drzewa.

– Rączki bolą? – spytała niespodziewanie Trigg, półolbrzymka, i zerknęła na Garnka, po czym ułożyła na stosie głaz, którego Haelan nie byłby w stanie nawet podnieść, nie mówiąc już o przeniesieniu go tak daleko.

A nawet się nie spociła, pomyślał.

– Ten pies powinien już nie żyć – stwierdziła sucho Trigg. – A ty zabiłeś największego szczura, jakiego złapałam. Mogłam się na nim wzbogacić.

Haelan zerknął na pas Trigg, przy którym wisiał topór.

To broń Swaina. Zabiłem nią tego szczura, przypomniał sobie.

Na samą myśl o Swainie poczuł przypływ wyrzutów sumienia. Jego

przyjaciel został porwany przez Jaela.

Przeze mnie, pomyślał.

Po wyjeździe Jaela, który zabrał Swaina i Sif, Gramm miotał się w dzikiej furii, aż złapał topór na długim drzewcu i zaczął rąbać w ścianę sali biesiadnej. Nikt mu nie przerywał. Wpatrywano się w niego bez słowa, aż mężczyzna padł ze zmęczenia, na co trzeba było długo czekać. Przed zachodem słońca do osady wrócił Wulf, który jak co dzień objeżdżał granice na czele trzydziestu ludzi. Na widok swej żony Hild oraz Gramma pobladł jak ściana.

Tego wieczoru Gramm wezwał do sali biesiadnej wszystkich mieszkańców osady. Było ich ponad dwie setki, z czego osiemdziesięciu służyło mu zbrojnie. Byli to mężczyźni, którzy trzymali straż na murach, patrolowali ziemie Gramma i strzegli ich przed drapieżnikami, bandytami i ludźmi wyjętymi spod prawa. Reszta zapewniała osadzie utrzymanie – pracowali przy wyrębach i spływach, opiekowali się końmi, polowali oraz pracowali w kuźni, garbarni i warsztacie rymarskim. Większość z nich miała rodziny i dzieci, ale mimo to, gdy Gramm zaczął mówić, zapanowała absolutna cisza.

– Odebrano mi dziś dwoje wnucząt – rzekł, na co Hild znów zaczęła szlochać. Wulf siedział wyprostowany obok niej, choć oczy miał czerwone. – Zabrał je tyran, człowiek, który rządzi nami tylko dlatego, że może.

Salę obiegł głuchy pomruk.

– Odzyskałbym moje wnuczęta, gdybym zrobił jedną rzecz. – Gramm przywołał Haelana, który stał z nisko spuszczoną głową. – Wystarczyłoby oddać mu tego chłopaka. Dzieciaki wróciłyby do osady, a ja jeszcze dostałbym nieco złota.

Znów zapadła cisza. Gramm nie przerywał jej, przyglądając się powoli wszystkim zebranym.

– Nie zrobię tego. To byłaby zła decyzja i nie ma co o tym mówić. Wszyscy wiecie, kim jest ten chłopiec. To Haelan, prawowity dziedzic tronu Isiltiru.

Ukrywanie tej informacji nie miało sensu, gdyż chłopak przedstawił się imieniem i tytułem po przybyciu do osady Gramma. Co więcej, zrobił to w sali biesiadnej pełnej ludzi. Wiedział już, że nie była to najmądrzejsza decyzja, ale Gramm żywił pewność, że nikt go nie zdradzi.

„Ci ludzie są mi bliżsi niż rodzina – powiedział mu. – Nikt cię nie zdradzi, bo zdradzając ciebie, zdradziliby mnie”.

– Jego ojciec został zamordowany przez Jaela, a po nim jego matka –



ciągnął Gramm. – Nasza prawowita królowa. Gdy dotarł tu, udzieliłem mu Schronienia i obiecałem, że będzie bezpieczny. Nie złamię mej obietnicy. Nie ugnę się. Nikt z nas się nie ugnie. – Zacisnął swe ogromne dłonie na ramionach Wulfa i Hild. – Odzyskamy ich oboje. Nie wiem jak, ale przysięgam, że tak się stanie.

Coś szturchnęło Haelana. Zamrugał i uświadomił sobie, że to Trigg żga go palcem.

– Słuchasz mnie w ogóle? Powiedziałam, że jesteś mi coś winien za mego szczura.

– Nic ci nie jestem winien – odparł Haelan. – Masz topór Swaina. Walka toczyła się o niego.

Garnek zawarczał.

– Ale nie skończyła się uczciwie, no nie? Myślę, że powininieś wynagrodzić mi stratę.

– Nie – rzekł Haelan.

Trigg wpatrywała się w niego przez chwilę, aż pokiwała głową. W jej oczach błysnęło rozbawienie.

– W porządku. Warto było spróbować, ale nie chcę, byś się na mnie złościł. Dobrze pamiętam, co zrobiłeś z moim szczurem.

Haelan parsknął i omiótł Trigg wzrokiem, skupiając się na jej muskularnych ramionach. Nigdy wcześniej nie rozmawiał z nią tak długo. Nigdy nie słyszał, by i ona z kimkolwiek tak długo rozmawiała.

Garnek nadal warczał. Haelan myślał, że pies warczy na Trigg, ale naraz ujrzał, że zwierzę patrzy na las Forn. Odwrócił się i spojrzał daleko za strumień, na gęste zarośla między grubymi pniami. Minęła chwila, nim zdołał wypatrzeć coś więcej – ogromny cień, który poruszał się w innym rytmie niż rozkołysane gałęzie. Haelan zadrżał i wyteżył wzrok.

Za daleko, pomyślał.

Od lasu napłynął powiew wiatru. Garnek pociągnął nosem i zawarczał jeszcze głośniejsze. Konie zarżały.

– Coś tam jest. – Trigg również wyteżyła wzrok. – Coś dużego.

Znów pojawił się ruch, przemknęły zamazane cienie, krzewy zakołysały się, aż nagle cały las zaczął wic się i syczeć. Gałęzie drżały, poszycie trzaskało, po czym rozległ się potężny ryk, a po nim warknięcia, wrzaski i łoskoty. Wszyscy obecni na łące zamarli. Haelan nagle poczuł na sobie czyjąś dłoń. Tahir zasłonił go i sięgnął po pas z mieczem, leżący na odzieży. Zapiął go

pośpiesznie i dobył broni.

Kakofonia ryków i warknięć, które dobiegały z lasu, trwała w najlepsze, przerywana tylko ostrymi trzaskami pękającego drewna, ale nagle zaczęła cichnąć. Wiatr przyniósł jeszcze zwierzęcy skowyt, po czym przez chwilę nie słyszeli już nic. Potem spomiędzy drzew dobiegł dziki ryk, od którego zadrżały gałęzie, a liście zaczęły opadać. Haelan przycisnął dłonie do uszu i zamknął oczy, ale ryk wibrował w jego piersi. Wokół rżały dziko konie, niektóre zrywały się z więzów i szalały, aż ryki się urwały. Zastąpił je cichnący szybko trzask poszycia.

Tahir narzucił na siebie ubranie i podbiegł do swego konia, jednego z nielicznych, które się nie rzucały. Wskoczył w siodło i ruszył w stronę lasu. Pozostali na łące uczynili to samo.

– Weź mnie ze sobą! – zawołał Haelan, biegnąc przy siodle opiekuna.

– To zbyt niebezpieczne. – Tahir skrzywił się.

– Ale lepiej mnie wziąć, niż zostawić tutaj! A jeśli to coś pojawi się na łące, kiedy ty będziesz w lesie?

Wojownik ściągnął wodze i pokiwał głową, po czym wciągnął Haelana na siodło.

– Trzymaj się! – oznajmił i kopnął końskie boki. Garnek biegł tuż przy nich.

Pozostali jeźdźcy dołączyli do nich. W dwanaście koni zbliżali się do skraju lasu. Każdy z mężczyzn ścisnął w rękę miecz, topór bądź włócznię. W chwili, gdy otoczyły ich drzewa, Haelan wyjrzał zza pleców Tahira. Miał wrażenie, że z blasku dnia wkroczyli prosto w chłód wieczoru. Półmrok otulił ich niczym całun. W miarę, jak zarośla robiły się coraz gęstsze, chłopak czuł, jak muskają go gałęzie. Spojrzał za siebie i zobaczył łąkę skąpaną w blasku słońca oraz coraz dalszy mur. Dostrzegł też jakąś postać biegnącą ku nim. Była to długonoga, sadząca wielkimi susami Trigg, która w mig dogoniła jeźdźców i zrównała się z nimi bez słowa.

Wyjechali na polanę i ujrzeni zdeptaną trawę. Garnek zamarł, warcząc, a Tahir wciągnął ze świstem oddech. Haelan zaś najpierw poczuł odór, ciepły, przytłaczający i przywodzący wspomnienia.

Ja znam ten zapach. To śmierć, pomyślał.

– Elyonie, miej nas w swojej opiece – rzekł ktoś, co wystraszyło chłopaka. Wiedział jednak, że towarzyszą mu co do jednego twardzi ludzie, nawykli do trudów, od lat mieszkający w cieniu Fornu i Pustkowie.

Wyjrzał więc zza Tahira i rozejrzał się dookoła. W pierwszej chwili nie miał pojęcia, na co patrzy. Wszędzie widział krew zbierającą się na ziemi w wielkich kałużach, ściekającą po korze i liściach. Tu i ówdzie dostrzegał kłęby futra. Cztery... Nie, pięć. Przyjrzał się uważniej, ale nadal niczego nie rozumiał.

– Co to takiego? – spytał Tahira, gdy wojownik zsunął się z siodła.

– Wilkuny – odparł jego opiekun i przykucnął przy jednym z martwych zwierząt, leżącym wśród własnych wnętrzności. Z boku głowy widniały głębokie szramy po pazurach. Trigg podeszła do niego.

– Młode – mruknęła, unosząc łapę i przyglądając się pazurom drapieżnika.

– Kto to zrobił? – spytał Haelan.

– To – rzekła Trigg.

Haelan nie miał pewności, co myśleć o Trigg i nie wiedział, czy jej ufać czy też nie, ale w kwestiach związanych z lasem Forn wolał jej wierzyć. Wszyscy wiedzieli, że spędzała tu sporo wolnego czasu, a jeśli ktoś wędrował po lesie i nadal żył, oznaczało to, że sporo wie o nim i jego mieszkańcach. Trigg wskazywała ogromny ślad na ziemi, zwieńczony dziurami po pazurach.

– Czyje to?

– Niedźwiedzia – powiedziała Trigg, marszcząc czoło. – Choć one nie zapuszczają się na południe od rzeki.

– Ten, jak widać, dotarł aż tu. – Tahir ukucnął przy kolejnym martwym wilkunie. – Co tu się wydarzyło?

– Myślę, że wataha wilkunów wybrała sobie niewłaściwą przekąskę – mruknęła Trigg. – Te są mniejsze niż zwykle. Może były za młode, by wiedzieć, że pewnych rzeczy się nie rusza?

Haelan zsunął się z siodła, nie mogąc się oprzeć, by nie przyjrzeć się zwłokom z bliska. Odruchowo pochwyił nóż, z którego korzystał przy jedzeniu. Trigg zachichotała i podała mu toporek Swaina.

– To twoje – rzekł Haelan.

– Wiem. A to oznacza, że mogę pożyczać go, komu zechcę. No, bierz. To lepsze od tego kozika.

Haelan skinął głową i przyjął toporek. Podobał mu się jego ciężar w dłoni.

– Wygląda na to, że niedźwiedź uciekł w tamtym kierunku – powiedział jeden z mężczyzn. Wskazywał wielką wyrwę w zaroślach, większą i wyższą od postawnego człowieka, prowadzącą w ciemność.

– Zapolujemy? – zaproponował ktoś.

– Nie wydurniaj się. Ten niedźwiedź poszatkował właśnie pięć wilkunów. Wracajmy lepiej do kobiet i dzieciaków – odezwał się ktoś inny.

Haelan spoglądał na każdego wilkuna z osobna. Bezlitosne ciosy niedźwiedzia zamieniły je w strzępy futra, mięsa i kości, na których wciąż widać było ślady pazurów i kłów.

– Chodź, chłopcze – rzekł Tahir i posadził Haelana z powrotem w siodle.

– Chyba powinniście jeszcze spojrzeć na to – odezwała się Trigg, kucająca przy jednym z trupów, któremu cios pazurzastą łapą odsłonił zebra.

Tahir podszedł bliżej, by przyjrzeć się ranie.

– Nie to mam na myśli – rzekła Trigg. – Tu patrz.

Uniosła łeb wilkuna i pokazała ogromną ranę, która niemalże przerąbała szyję na pół.

– Czyste cięcie – ciągnęła półolbrzymka. – Żaden szpon czy pazur tego nie zrobi. Postawiłabym na cios toporem.

\* \* \*

Sala biesiadna była tej nocy pełna. Z północy nadciągnęła letnia burza i płaszcz Haelana był przemoczony na wylot. Na zewnątrz nadal wiał wiatr, co rusz rozlegało się też dudnienie piorunów. Chłopak, który usiadł przy ławie z Tahirem i kilkoma innymi wojownikami, parokrotnie już usłyszał słowa: „zły znak”.

Garnek skamlał o coś do jedzenia. Chłopak rzucił mu kawałek chleba, a jego ręka opadła na topór za pasem. Trigg poprosiła go, by zaopiekował się jej bronią.

Nie rozumiem tej dziewczyny, stwierdził Haelan. Miesza mi w głowie.

Półolbrzymka zjawiała się chwilę później, jak gdyby wezwał ją myślami. Niosła półmisek pełen mięsa i sosu. Ława aż zaskrzypiała, gdy się na niej rozsiadła.

– Mam coś dla ciebie – powiedziała z pełnymi ustami jedzenia i popchnęła ku niemu jakiś przedmiot po blacie. Był to długi, zakrzywiony kieł. Przez jego grubszy koniec przewiercono otwór, a następnie przewleczono przezeń rzemyk. Haelan spoglądał na przedmiot ze zdziwieniem.

– No dalej, weź go. Jest twój. To pamiątka pierwszej wyprawy do Fornu.

Haelan uniósł go z fascynacją.

– Dzięki! – wyjąkał. – Skąd go masz?

– Wyrwałam go, gdy wszyscy wsiadali już na konie i odjeżdżali. Zanim przyjechali inni i obłupili te wilkuny ze skóry. Patrz, też mam! – Rozchyliła koszulę i pokazała mu podobny kieł.

Gramm siedział na honorowym miejscu. Wzrok Haelana musnął wielki młot oraz niedźwiedzią skórę przybitą do ściany nad głową mężczyzny. Skóra była ogromna, dwakroć większa od końskiej.

Czy dziś po Fornie włóczyło się coś tak wielkiego?, pomyślał i stłumił dreszcz. Może skóry wilkunów też tam wkrótce zawisną.

– Zapewne wszyscy już słyszeliście, że widziano dziś dziwne rzeczy w Fornie. Wataha wilków została przez coś zaatakowana, przypuszczalnie przez ogromnego niedźwiedzia – zabrał głos Gramm. – Odkryto też inne znaki... – Umilkł na moment i rozejrzał się po sali. – Wygląda na to, że Jotun przekroczyli rzekę. Przynajmniej jeden, ale tam, gdzie pojawia się jeden, zazwyczaj jest ich więcej. Jutro ruszam, by je tropić. – Ściągnął gęste brwi. – Nadeszły mroczne czasy i słyszę, iż wielu z was widzi dzisiejsze wydarzenia jako zły znak. Cóż, nie mylicie się. W istocie mroczne czasy to pewnik i musimy zachować czujność, jeśli chcemy doczekać kolejnego świtu. Wiecie, co się moim zdaniem zbliża. Słyszeliście, gdy opowiadałem o Wojnie Bogów. Nie będę się powtarzał. Wojna Bogów już się zaczęła. To, co dziś znaleźliśmy w Fornie, nie jest przypadkiem.

Rozejrzał się znów, przeciągając milczenie. Po plecach Haelana spłynął dreszcz.

Czy ja też jestem częścią tej Wojny Bogów?, zastanawiał się. Jakbym już nie miał dość zmartwień... Czy naprawdę jesteśmy marionetkami Elyona i Asrotha, którzy toczą swe wojny naszymi żywotami? Życiem mojej mamy?

Na samą myśl wezbrała w nim frustracja przemieszana ze złością.

Pragnę tylko tego, by zostawili nas w spokoju, pomyślał.

Gramm uniósł puchar.

– Mieście więc oczy szeroko otwarte, a wasze ostrza niech nigdy się nie stępią – rzekł i wychylił zawartość pucharu do ostatniej kropli.

Wszyscy zebrani powtórzyli jego słowa, nawet Haelan i Trigg unieśli kubki i powtórzyli półgłosem wezwanie.

Wtedy wrota otworzyły się z hukiem i do środka wdarły się strugi deszczu. Na progu zamajaczyło trzech mężczyzn, opromienionych ogniem z paleniska. Gdy wkraczali do sali, niebo za ich plecami przecięła błyskawica.

Haelan rozpoznał dwóch starszych, siwobrodych już wojowników, którzy

należeli do najbardziej zaufanych ludzi Gramma. Między nimi szedł Wulf, który nie wydawał się wcale szczęśliwy. Zatrzymali się przed Grammem, a ten wstał i oparł pięści o blat.

– Sprowadziliśmy go z powrotem, panie – rzekł jeden z przybyszów.

– Gdzie go znaleźliście? – spytał Gramm.

– Tam, gdzie mówiłeś. W Dun Kellen. Wyglądał, jakby zaraz miał się rzucić do szturmowania na bramy.

– Ach, Wulf, mój chłopcze. Cóż za desperacka, idiotyczna próba – stwierdził Gramm.

– Ale oni tam są! Mój Swain i moja Sif tam są! Słyszałem, jak ludzie Jaela o nich rozmawiają – odezwał się Wulf, wpatrzony w Gramma. Wyraz jego twarzy przechodził z rozpaczony w gniew i z powrotem.

– To bez znaczenia, bo i tak nie zdołałbyś ich wyciągnąć. Wylądowałbyś w celi obok nich albo odrąbano by ci głowę. Po co ci to? Po co ta próba?

– Musiałem coś zrobić – rzekł Wulf. – Na samą myśl o tym, że siedzą w tej twierdzy, przerażeni, zmarznięci, samotni...

– Jakoś ich wydostaniemy – odparł Gramm.

– Jak? Kiedy? – spytał Wulf.

Gramm westchnął i zgarbił się.

– Nie wiem – powiedział.

\* \* \*

Haelan dzielił pokój z Tahirem od chwili przybycia do osady Gramma. Powrócili tam po wieczery, ale niedługo później rozległo się ciche pukanie do drzwi, które otworzyły się ze skrzypnięciem. Do środka wszedł Wulf. Skinął Tahirovi, przysunął sobie krzesło i nalał miodu.

– Potrzebuję waszej pomocy – rzekł, opróżniwszy kubek. Jego oczy były zaczerwienione. – Wybieram się do Dun Kellen, by odzyskać dzieci.

– Właśnie stamtąd wróciłeś. A poza tym to samobójstwo – rzekł Tahir. – Idiotyczna misja. Lepiej posłuchaj ojca.

– Przecież znacie sekretny sposób, by się tam wdrzeć! Ów tunel olbrzymów, przez który uciekliście.

Tahir zmierzył go ostrym spojrzeniem.

– To już nie sekret. Twój brat Orgull stanął przed nim i usypał wokół siebie mur z trupów.

– Nieważne! Jael na pewno nie będzie się spodziewał, że ktoś wkradnie się do Dun Kellen. Ów tunel to moja jedyna sensowna szansa.

– Żadna tam szansa.

– Idę tam i tak. Pomóżecie mi?

Tahir obrzucił go długim spojrzeniem i westchnął.

– Nie mogę. Poprzysiągłem wierność Haelanowi.

Wulf nalał sobie kolejny kubek miodu i wychylił go duszkiem.

– Jesteście nam to winni. Mnie i mojej rodzinie. Gdyby nie my i Schronienie, którego wam udzieliliśmy, bylibyście już martwi.

– Tak, pewnie tak – odparł Tahir. Haelan wyczuwał, że jego opiekun czuje się nieswojo i nie ma na tę rozmowę ochoty. – I jestem wam wdzięczny. Bardziej, niż potrafię wyrazić...

– Mężczyzna okazuje prawdziwą wdzięczność czynami, a nie słowami – przerwał mu Wulf.

– Moja mama też tak mawiała – mruknął Tahir, zerkając do pustego kubka.

– Proszę, idź z nim – odezwał się Haelan. – Naprawdę. Swain to mój przyjaciel, a nigdy nie miałem przyjaciela. Prawdziwego przyjaciela.

Tahir spojrzał na chłopaka.

– Żaden z was nie rozumie – rzekł. – Złożyłem przysięgę Maquinowi i Orgullowi, moim braciom w mieczu. Nasza trójka była ostatnimi spośród Gadrai. Ocalałem tylko ja. Na samą myśl o tym, że miałbym cię tu zostawić i wybrać się na wyprawę, z której mógłbym nie wrócić... – Zgarbił się. – Nie boję się – warknął. – W istocie podoba mi się ten pomysł. Jest na tyle szalony i samobójczy, że na pewno doczekałby się pieśni. Ale nie mogę złamać przysięgi, skoro nie ma już nikogo, kto mógłby ją podjąć.

Pokręcił głową.

– Nie łamiesz przysięgi – zapewnił go Haelan. – Nigdzie indziej nie będę bezpieczniejszy, bez względu na to, czy jesteś tu czy nie. Nie chcę cię obrazić, Tahirze, bo widziałem, z jaką odwagą walczyłeś na murach Dun Kellen. Widziałem, jak wraz z Orgullem i Maquinem raz za razem odpierasz ataki ludzi Jaela. Ale jeśli przyjdzie co do czego, Gramm ma wielu wojowników. Twoja nieobecność nie będzie miała większego znaczenia.

– Ładnie to ująłeś. – Przez usta Tahira przemknął przelotny uśmiech. – Ale mylisz się. Każdy z wojowników w osadzie służy Grammowi i to jemu złożył przysięgę. Dla nich Gramm jest najważniejszy. Ja zaś przysięgałem, iż będę

broniał ciebie. Nie Gramma, Wulfa czy kogokolwiek innego w całych Ziemiach Wygnanych. Ciebie. I oddałbym za ciebie życie. Czy ktoś inny jest w stanie coś takiego powiedzieć?

Haelan był głęboko poruszony słowami Tahira.

– Czy zostaniesz moim przybocznym, gdy odzyskam tron?

– Tak, chłopcze. – Tahir uśmiechnął się. – Jeśli kiedyś do tego dojdzie, zostanę twoim przybocznym.

– Mówisz na poważnie czy chcesz jedynie uspokoić niesfornego dzieciaka?

Tahir spojrział na niego z powagą.

– Mówię na poważnie.

– A więc złoż przysięgę teraz. Wiem, że grozi mi śmierć i zapewne nie doczekam dwunastych urodzin. Ale na wszelki wypadek chcę ją usłyszeć.

Tahir przyglądał się mu przez dłuższą chwilę.

– Czy ty w ogóle wiesz, co to oznacza? To nie tylko słowa. Taką przysięgę przypieczętowuje krew – powiedział w końcu.

– Widziałem wiele przysięg składanych przez moją matkę oraz wuja. Wiem, co do mnie należy – rzekł Haelan, któremu naraz wydało się, że ma więcej niż jedenaście lat.

– Potrzeba nam świadka.

– Jest Wulf.

– Jestem – zgodził się mężczyzna. – Taka przysięga to nie błahostka – dodał.

Chwila ciszy znów się przeciągnęła.

– Złożę ci przysięgę – rzekł Tahir i wyciągnął nóż z za pasa. Położył go na stole stojącym między nimi. – Wulf, wypowiesz słowa?

– Tak, o ile jesteś tego pewien.

– Jestem.

– Tahirze, czy chcesz się związać przysięgą na wierność wobec Haelana ben Romar? Czy chcesz zostać jego mieczem i tarczą, obrońcą jego ciała, krwi i honoru aż do śmierci?

– Chcę – rzekł Tahir, któremu zadrżał nieco głos. Złapał nóż za ostrze, naciął sobie dłoń i pozwolił, by krew z jego pięści spłynęła na żelazną rękojeść.

– Haelanie, czy chcesz przyjąć przysięgę od Tahira ben Davin i uznać jego lojalność? Czy obiecujesz, że będziesz dbał o niego i ochraniał go ze wszystkich sił aż do ostatniego tchu?

– Chcę – odpowiedział Haelan.



Podniósł nóż, przyglądał mu się przez moment, a potem zacisnął na nim dłoń. Skrzywił się na widok krwi, która pociekła po jego rękę, ale nadal czuł się odważny i dorosły. Krople jego krwi spłynęły po ostrzu i zmieszały się z krwią Tahira.

– I po wszystkim – rzekł Wulf.

Haelan oddał nóż Tahirovi.

– A więc jesteś teraz moim przybocznym? – powiedział.

– Tak – odparł Tahir.

– Dobrze. A więc moją pierwszą prośbą jest to, byś pomógł Wulfowi odzyskać Swaina i Sif.

Tahir wyprostował się na krześle i zamrugał, po czym odrzucił głowę do tyłu i parsknął śmiechem.

## Rozdział trzydziesty drugi

# MAQUIN

Maquin rozpoznał Krelisa, choć miał wrażenie, że widzi go we śnie.

To chyba on podniósł mnie z ulicy i wwiózł do Ripy!, pomyślał.

– Co z Vin Thalun? – spytał Alben.

– Kilku nadal chowa się gdzieś w wieży. – Krelis wzruszył ogromnymi ramionami. – Ale myślę, że uporaliśmy się z zagrożeniem. Tak czy owak, pora was stąd zabrać.

– Tu jesteśmy bezpieczniejsi niż na górze – rzekł Ektor.

– Chyba że jacyś Vin Thalun postanowią tu trochę powęszyć. Zresztą, nie przyszedłem tu, by z tobą debatować, bracie. Idziesz ze mną i tyle.

Ektor miał kwaśną minę, ale nie powiedział już ani słowa.

Ludzie Krelisa otoczyli ich ze wszystkich stron, gdy wychodzili z podziemnej biblioteki. Maquin szedł obok Fidele i dotarł aż do spiralnych schodów, kiedy jego nogi nagle zaczęły drżeć. Po kilkunastu kolejnych krokach uświadomił sobie, że osuwa się na ziemię. Fidele odwróciła się i złapała go, nim upadł.

– Na pomoc! – zawołała.

– Nie wiedziałem, że to ty – oznajmił Krelis, który otoczył Maquina ramieniem i przytrzymał go w pionie. – Powinieneś już nie żyć, a ty spacerujesz sobie po podziemiach – dodał dobrodusznie.

– Jeszcze kiedyś umrę, spokojna głowa – burknął Maquin.

Podtrzymywany z jednej strony przez Krelisa, a z drugiej przez Fidele, zdołał wejść na górę po schodach. Z korytarza dobiegał szczęk oręża i odgłosy walki, ale zmagania najwyraźniej toczyły się gdzieś dalej.

– Krelisie, jak wygląda sytuacja z Vin Thalun? – spytała Fidele, gdy kontynuowali drogę w górę.

– Mieliśmy do czynienia ze skoordynowanym atakiem – odparł wojownik. –

Spora siła podeszła pod bramy i odwróciła naszą uwagę, podczas gdy ich kamraci wspięli się po klifach, a potem rzucili się na mury. Odepchnęliśmy ich, ale jak na mój gust było za blisko. Ci, którzy wdarli się do wieży, próbowali dostać się do bram, ale nie wyszło im. – Krelis wzruszył przy tych słowach ramionami. – Kilku jeszcze biega po korytarzach, ale ich godziny są policzone.

W końcu doszli na górę schodów i znaleźli się w sali, w której zimny kamień ustąpił miejsca drewnu. Towarzysze pomogli Maquinowi usiąść na ławie przy długim stole, a wtedy wojownik uświadomił sobie, że dotarli do sali biesiadnej. Sięgnął po dzban z wodą i zaczął pić. Nie pamiętał, kiedy po raz ostatni miał tak wyschnięte gardło.

– Ostrożnie, małymi łykami – odezwał się Alben, kładąc dłoń na nadgarstku rannego.

W pobliżu stał wysoki mężczyzna otoczony przybocznymi. Był siwobrodym starcem o pobrużdżonej, znużonej twarzy.

– Ojciec – odezwał się doń Krelis, podchodząc bliżej. – Fidele została odnaleziona.

A więc to Lamar, pomyślał Maquin.

Przyjrzał mu się uważnie i odkrył podobieństwo do swego przyjaciela Veradisa, nie tyle w rysach twarzy, co w postawie, aurze pewności siebie oraz zdecydowaniu, widocznym w zarysie szczęki.

– To dobrze – rzekł Lamar. Odwrócił się, by ująć dłoń Fidele i ukłonić się. – Witaj w Ripie, moja pani.

Pojawił się też inny człowiek, niższy i szczuplejszy, ale doskonale zbudowany. W jego muskularnej sylwetce nie było ani grama tłuszczu. Maquin widział go już parokrotnie, a po raz ostatni na arenie pod Jerolin, gdzie skuty kajdanami oczekiwał na egzekucję.

To Peritus, wojewoda Aquilusa, przyjaciel Fidele, pomyślał.

To właśnie Peritus rozpętał powstanie przeciwko Vin Thalun. Teraz uklęknął na jedno kolano przed Fidele i ucałował ją w dłoń.

– Moja pani, myślałem, że cię straciliśmy. Że cię zawiodłem!

– Wznieciłeś iskrę, dzięki której się uwolniłam – powiedziała Fidele i łagodnym pociągnięciem dała mężczyźnie znać, by powstał, a zaskoczony Maquin ujrzał łzy na jego policzkach.

Pulsowanie bólu w brzuchu, niezauważalne chwilę temu, teraz zaczęło przybierać na sile i nie dało się go już dłużej ignorować. Dudniło rytmicznie

z każdym uderzeniem serca.

Przecież odniosłem ranę brzucha, która zapewne mnie zabije, pomyślał.

Świadomość ta obudziła w nim gniew, gdyż śmierć odbierała mu szansę na to, by wbić nóż w serce Jaela, ale gdy spoglądał na Fidele, pragnienie wywarcia pomsty na wrogu płonęło słabiej niż zwykle.

Miał wrażenie, że zewsząd napływa mrok, który formuje krąg wokół kobiety.

Naprawdę się cieszę, że nie porzuciłem cię w lesie, przeszło mu przez głowę. Przyglądał się jej twarzy, gdy przemawiała, i jej ustom, gdy się uśmiechała. Patrzył na drobne zmarszczki, ciągnące się od jej oczu, zauważalne wtedy, gdy wybuchała śmiechem.

Ech, warto cię było ratować. Warto byłoby za ciebie zginąć, dodał w myślach.

Ujrzał, jak odwraca głowę ku niemu, a jej uśmiech gaśnie, zastąpiony troską. Chciał jej coś powiedzieć. Chciał poprosić, by się nie martwiła, ale jego usta nawet nie drgnęły. Przesunął dłoń na rękojeść miecza – z jakiegoś powodu wydawało mu się, że powinien zacisnąć na niej palce, ale odkrył, iż te są odrętwiałe. Naraz uświadomił sobie, że po jego ciele rozlewa się dotkliwe zimno. Zsunął się z krzesła, jakby przecięto sznurki podtrzymujące jego ciało.

\* \* \*

Maquin stał przed kamiennym mostem, który wznosił się nad głęboką, ciemną przepaścią. Jeśli miała ona jakieś dno, ginęło wśród cieni. Nie widział wyraźnie przeciwnej strony rozpadliny, gdyż przesłaniała ją mgła nasycona emanacją przywodzącą na myśl resztki zachodu słońca, już blade, ale wciąż złociste.

Muszę przejść na drugą stronę, pomyślał.

Nie miał pojęcia, dlaczego powinien to zrobić, ale skądś wiedział, że to nieodzowne, zupełnie jakby wokół jego talii przewiązano sznur, za który ktoś teraz pociągnął. Wkroczył na most, a tam uświadomił sobie, że trzyma w ręku miecz, co było dlań odczuciem absolutnie naturalnym. Zrobił jeszcze kilka kroków. Powierzchnia mostu wydawała się dziwna, nierówna. Spojrzał w dół i ujrzał, że kamień, z którego wykonano przeprawę, złał się z dziesiątkami, tysiącami mieczy. Maquin szedł dalej, ale zatrzymał się w połowie drogi, gdy z mgły po przeciwnej stronie wyłoniła się jakaś postać.

Przypominała człowieka, ale była od niego wyższa, choć nie dorównywała wzrostem olbrzymom. Mężczyzna widział mocno zarysowane mięśnie, ale jednocześnie nadchodzący zachował zwinność i grację. Z jego pleców wyrastały skrzydła, ogromne skrzydła z białymi piórami, które zajmowały całą szerokość mostu.

To jeden z Ben-Elim, pomyślał Maquin.

Przybysz trzymał miecz, a wzdłuż jego klingi wiły się płomienie.

Nagle z wielką siłą uderzył skrzydłami i wzbił się do góry. Maquin poczuł falę powietrza, a potem nieznajomy wylądował z wdziękiem kilkanaście kroków przed nim. Stary wojownik szedł w jego stronę.

– Czy jesteś gotów przebyć most, dziecko obdarzone ciałem? – zapytał Ben-Elim.

Jego słowa wstrząsnęły Maquinem.

A więc nie żyję, pomyślał, ale nie poczuł nic poza chłodną obojętnością, która przypuszczalnie była echem rozczarowania.

Ben-Elim pochylił się nieco, przyglądając się Maquinowi swymi ciemnymi oczami. Wyciągnął miecz, którego jaśniejący, rozgorzały szpic zatrzymał się tuż przed sercem mężczyzny.

– Zaraz... Coś jest inaczej niż zwykle.

Wciągnął powietrze przez nos, po czym dotknął dłonią twarzy Maquina.

\* \* \*

Wojownik próbował otworzyć oczy, ale światło oślepiało go i sprawiało mu ból. Zrezygnował po chwili.

Gdzie ja jestem?, pomyślał.

Chciał poruszyć dłonią, ale nie przyniosło to rezultatu. Miał wrażenie, że tylko jego palec drgnął, i to na moment. Może.

Leżę, przemknęło mu przez myśl.

Dotarł do niego krzyk mew, a na policzkach poczuł łagodny podmuch wiatru.

Ripa. Jestem w Ripie, uświadomił sobie.

Powoli dotarło do niego, że ktoś siedzi przy nim. Słyszał czyjś oddech, wyczuwał fale powietrza. Czyjaś dłoń dotknęła jego twarzy. Zaskrzypiały drzwi, po czym rozległy się czyjeś kroki. Dłoń cofnęła się od jego twarzy.

– Jak się czuje, moja pani?

– Bez zmian. Gorączka nie ustępuje.

Znam ten głos. To Fidele, pomyślał Maquin. Jej głos przyniósł mu ukojenie. Kroki zbliżyły się. Chłodna, sucha dłoń opadła na jego czoło, palce zbadały puls na szyi.

– Albenie, jak długo przetrwa w tym stanie?

– Nie wiem. On już powinien nie żyć, moja pani. Nigdy dotąd nie widziałem nikogo, kto by tak desperacko trzymał się życia, walcząc z tak długą i silną gorączką.

– Zrobiłam wszystko, co mi kazałeś. Podałam mu wodę, kozie mleko i twoje zioła, którymi nasączałam płótno i wyciskałam mu do ust.

– Inni też mogą się tym zająć, moja pani. Lamar prosi cię o...

– Nie. Chcę być tu. Dokładnie tu.

– Jak sobie życzysz – odparł Alben. – Ale... – Urwał.

Mądry człowiek. Z nią nie ma sensu się kłócić, pomyślał Maquin.

– Dobrą wiadomością jest to, że rana brzucha najwyraźniej się goi. To rzadkie, ale możliwe. Gdyby tylko zdołał pokonać tę gorączkę.

– Zdoła.

Ktoś odetchnął.

– Moja pani, powinnaś się przygotować na to, co nieuniknione.

– Nie. Dziesięć dni temu powiedziałaś mi, że już po nim, a mimo to wciąż tu leży.

– Ale spójrz tylko na niego. Sama skóra i kości. Walczył zaciekle, ale jeśli gorączka nie ustąpi...

– Nigdy nie spotkałam silniejszego mężczyzny, zarówno ciałem, jak i duchem. Pokona ją.

– Być może. Jeśli w istocie jest tak silny, jak mówisz, ma jeszcze szansę, ale muszę cię ostrzec, moja pani, iż wielka ona nie jest. Jeśli to wojownik...

Fidele parsknęła.

– On jest definicją wojownika.

– Zajrzę tu przed zachodem słońca.

– Dziękuję ci, Albenie. Wybacz, jeśli wydałam ci się niewdzięczna.

– Wcale tak nie jest, moja pani. Wszak czuwasz nad przyjacielem, który kroczy po wąskiej linii między życiem a śmiercią.

Zamknęły się drzwi, kroki ucichły w oddali. Jakaś dłoń zacisnęła się mocno na dłoni Maquina.

– Żyj, do jasnej cholery!

Lekki oddech musnął jego ucho.

\* \* \*

Ben-Elim wpatrywał się w Maquina, a ten miał wrażenie, że obca istota wpatruje się w głąb jego duszy.

– Stoisz przed wyborem – rzekł Ben-Elim. – Większość z tych, którzy tu dotrą, nie ma już takiej możliwości. Tylko niewielu zostaje decyzja do podjęcia. Jesteś jednym z nich.

– Co to za wybór? – wyszeptał Maquin.

– Możesz iść naprzód albo się cofnąć.

Za Ben-Elim, na skraju mostu, z mgły wyłoniła się jakaś postać. Maquin zmarszczył brwi, gdyż ujrzał znajomą osobę. Zastygł, nie wierząc własnym oczom.

Był to Kastell, który wyglądał dokładnie tak, jak go Maquin zapamiętał – ruda czupryna, blada twarz, piegi. Wpatrywali się w siebie.

Widok uwolnił strumień wspomnień w duszy Maquina, które uderzyły mu do głowy niczym mocny miód. Przypomnił sobie ów dzień wiele lat temu, kiedy złożył Kastellowi przysięgę na wierność na palisadzie w cieniu lasu Forn. Przypomnił sobie, jak wynosił go z płonącej osady jego ojca, ścigany przez wznoszące okrzyki bojowe olbrzymy. Jak dołączyli do Gadrai. Jak wkroczyli do katakumb Haldis, gdzie walczyli ramię w ramię. Jego policzki zwilgotniały od łez.

Osunął się na kolana i wykrzyknął:

– Tak mi przykro, przyjacielu! Zawiodłem cię, a Jael nadal żyje!

Kastell wpatrywał się w niego z przechyloną na bok głową.

– To nie była twoja wina – odparł, a jego słowa zabrzmiały niczym wiatr, szeleszczący wśród zwiędłych liści.

– Złożyłem ci przysięgę! – powiedział Maquin. Łzy rozmazywały mu widok.

Wokół Kastella pojawiły się inne postacie. Pierwszy był stary człowiek, zgarbiony i sękaty niczym smagane wichrami drzewo. Maquin nie widział go od ponad dwudziestu lat, ale rozpoznał go od razu. Patrzył na swego ojca. Obok niego stała kobieta z ciepłym uśmiechem na twarzy – jego matka. Za nimi barczysty, rudowłosy mężczyzna, Aenor, jego pierwszy pan i ojciec Kastella. Stali we czwórkę na skraju mostu i przyglądali się mu, a Maquin poczuł ból w sercu. Oddałby wszystko, by znaleźć się wśród nich.

– Chodź! – wołali. – Chodź do nas. Tu trwa pokój!

– Pokój? – szepnął Maquin.

– Czy czujesz zmęczenie światem materialnym? – zapytał go Ben-Elim.

– Zmęczenie? Tak, jestem zmęczony. Jestem zmęczony bólem i walką, zmęczony krwią i udręką, zmęczony tym, że ciągle kogoś zawodzę.

– Czy jest powód, dla którego chciałbyś wrócić do świata materialnego?

Maquin otworzył usta. Chciał powiedzieć: „Nie”, ale zawahał się. Zamknął powieki, a w jego głowie pojawiły się obrazy. Ujrzał, jak Jael wbija miecz w ciało Kastella, moment zapamiętany na zawsze, wręcz wypalony w jego umyśle. Ujrzał chwilę, gdy Lykos wziął go do niewoli, a potem naznaczył, zmusił do walki w jamach, odebrał mu człowieczeństwo. Twarze Jaela i Lykosa unosiły się w jego umyśle, to się ze sobą zlewając, to znów się rozdzielając. Obudziła się w nim wściekłość, zimna, choć płonąca.

A wtedy pojawiła się kolejna twarz, tym razem kobieca. Ujrzał atramentowoczarne, przetkane srebrem włosy spływające po mleczej skórze, ciepły uśmiech na czerwonych wargach.

Fidele.

Nie miał pojęcia, czego ta kobieta dokonała, ale dzięki niej czuł się na powrót człowiekiem, a nie szkolonym zwierzęciem. Echo w jego głowie powtórzyło:

„Żyj, do jasnej cholery!”

Wtedy obudziło się w nim coś nowego, co rzuciło się do walki z pochłaniającą go wściekłością, co wszczęło zmagania o jego duszę.

Otworzył oczy.

Ben-Elim górował nad nim, luźno trzymając płonący miecz. Skrzydła unosiły się i opadały.

– Musisz dokonać wyboru! – rzekł. – Idziesz naprzód czy wracasz?

Maquin powstał i otarł łzy. Kastell i reszta stali niczym kamienne rzeźby w Haldis i patrzyli na niego.

– Bywajcie – szepnął Maquin, a potem dodał głośniejszym głosem: – Kiedyś się spotkamy, ale jeszcze nie teraz!

Odwrócił się i zszedł z mostu.

\* \* \*

Otworzył oczy i zamrugał, oślepiiony blaskiem dnia. Poruszył głową. Nikt mu



nie towarzyszył. Zewsząd spływały na niego nowe doznania, do których się powoli przyzwyczajał. W palcach czuł mrowienie, w plecach ból.

Wszystko mnie boli, pomyślał.

Zaciśnięte gardło było wyschnięte na wiór. Otworzył powoli usta. Czuł, jak skóra na wargach napina się, lada moment grożąc pęknięciem. Po chwili spróbował usiąść, co udało mu się po drugiej próbie. Obok niego stał dzban z wodą. Maquin wyciągnął rękę, nalał sobie pół kubka i opróżnił go w kilku łykach, co wyczerpało jego siły. Rozejrzał się i uświadomił sobie, że siedzi na jedynym łóżku w wielkiej komnacie. Przy łóżku stało samotne krzesło. Przez otwarte okno widział gwiazdy migoczące nad zatoką Ripy na aksamitnym nocnym niebie.

Skrzypnęły drzwi i do środka wszedł Alben. Zatrzymał się na widok siedzącego na łóżku Maquina, po czym spojrział przez ramię i coś powiedział. Rozległy się pośpieszne kroki, które szybko ucichły.

– Witaj w krainie żywych – rzekł Alben z uśmiechem.

– Ile czasu? – wychrypiał Maquin i znów upił nieco wody.

– Dwadzieścia nocy. Powinieneś być martwy. – Alben przyłożył dłoń do czoła wojownika, a potem przytknął dwa palce do jego pulsu.

– A Lykos? – spytał Maquin. Wspomnienie Vin Thalun zawładnęło nim całkowicie i nagle zapragnął pochwycić za nóż i zatopić go w sercu pirata.

– Jesteśmy oblegani. Pamiętasz atak na wieżę?

– Tak.

– Odparliśmy go. Vin Thalun podjęli jeszcze kilka wypadów na nasze mury, ale już nie udało im się zagrozić nam tak jak wtedy.

Na progu stanęła Fidele, która zamarła na widok siedzącego wojownika. Uśmiechnęła się do niego, a on odpowiedział tym samym, czując przy tym, jak trzepocze mu serce.

– Wiedziałaś, że przeżyjesz – rzekła kobieta i podeszła do Maquina, gdy Alben wyszedł. Ostrożnie wyciągnęła rękę i musnęła wierzch jego dłoni, a mężczyznę zalały nagle wspomnienia, ostre i wyraźne. Przypomniał sobie, jak stał na moście przed jednym z Ben-Elim.

„Musisz dokonać wyboru”.

– Stałem na moście mieczy – wyszeptał. – Na jego straży czuwał jeden z Ben-Elim.

– Gorączka dręczy cię od prawie księżyca. Miałeś wiele snów – rzekła Fidele. – Koszmarów i majaków.

– To nie był sen. Ów Ben-Elim postawił mnie przed wyborem. Mogłem iść naprzód lub wracać. Chciałem przejść przez most, dołączyć do moich bliskich i przyjaciół. Chciałem odnaleźć pokój.

– To dlaczego wróciłeś?

– Z powodu trzech osób. Pierwszą jest Jael, drugą Lykos, a trzecią ty. – Urwał i spojrzał Fidele w oczy. – Dwóm z tych osób obiecałem zemstę. Trzeciej zaś miłość.

Wpatrywała się w niego przez nieskończenie długą chwilę. Potem nachyliła się i pocałowała go.

## Rozdział trzydziesty trzeci

# RAFE

Rafe patrzył na drzewa rosnące na drugim brzegu rzeki.

– To Ciemny Bór – rzekł stojący obok niego Braith. W jego głosie pojawiło się coś bliskiego prawdziwemu uwielbieniu.

A dalej już Ardan. Dom, pomyślał młodzieniec.

Mieli za sobą długą podróż. Od dwóch księżycy podążali bez wytchnienia za tropem Haliona, aż znaleźli się zaledwie kilka mil od celu. Było to dziwne uczucie po tak długiej nieobecności.

Psy miały się wzdłuż brzegu zatoczki, z niepokojem obwąchując błoto i muł.

Gdyby mogły, weszłyby w ślad za Halionem do rzeki, pomyślał Rafe. Nigdy nie widziałem tak dobrych psów tropiących.

– A więc przekroczył rzekę w tym miejscu – powiedział.

Nie było to pytanie. Widzieli w błocie ślady kopyt, które kierowały się na północ, ale sam Halion zeskoczył z siodła i podszedł do brzegu. Zresztą, nawet gdyby nie pozostawił śladów, zachowanie Drapichrusta i Niuchacza nie pozostawiało Rafe’owi wątpliwości.

– Tak – rzekł Braith.

– Czemu wypuścił swego konia? – spytał młodzieniec.

Przecież, jeśli Rhin się nie myli, Halion dalej ma spory kawał drogi do przejścia. Lepiej by na tym wyszedł, gdyby przepłynął rzekę wraz z koniem, myślał.

– Na pewno zna Ciemny Bór i wie, że jest zbyt gęsty i nieprzebyty, by pokonać go konno. Bliżej traktu olbrzymów las jest mniej zbity i pozwala na szybszą wędrówkę, ale nie tu. Mógłby przekroczyć rzekę w wyższym biegu, ale stąd każdy krok przybliży człowieka do Uthandun, a od tego miejsca Halion woli się trzymać z daleka. Wokół twierdzy na pewno krążą patrole.

Najwyraźniej zdecydował, że woli przemieszczać się powoli, ale ostrożnie. Poza tym po przybyciu do Ardanu zawsze może ukraść nowego konia. – Braith wzruszył ramionami i dodał: – A w każdym razie ja bym tak postąpił.

Myślałem, że mój ojciec jest dobrym tropicielem, ale Braith po prostu żyje szlakiem, pomyślał Rafe.

Spojrzał z niechęcią na rzekę. Była szeroka, a nurt wydawał się powolny. Od ujścia do morza dzieliła ich raptem mila.

– A więc przyjdzie nam się przemoczyć.

– Ach, i tu się mylisz – rzekł Braith z uśmiechem. – Chodź za mną.

Przebyli kawałek drogi na wschód wzdłuż brzegu rzeki, aż Braith zeskokczył na ziemię i zszedł nad wodę. Znikł w miejscu, gdzie fale pracowicie wyłobily skarpe, ale już po chwili rozległo się jego wołanie:

– Może byś pomógł, co?

Rafe podszedł bliżej i zobaczył, że tropiciel ciągnie coś, co w pierwszej chwili wydawało się być ułamaną gałęzią wierzby. Tymczasem było to sprytnie wykonane maskowanie dla kilku czołen.

– Przeprowałem się na nich przez rzekę, gdy byłem zwykłym banitą w Ciemnym Borze – rzekł Braith z szerokim uśmiechem, widząc pytające spojrzenie Rafe'a. – Lepiej zdejmij wszystko z koni i wypuść je wolno.

Niedługo potem Rafe wiosłował już po rzece, a później, brodząc w wodzie, wszedł na przeciwny brzeg. Mięśnie ramion i pleców bolały go, jakby zalano je płynnym ołowiem. Niuchacz z pluskiem wybiegł z wody i polizał po twarzy Braitha, który wciągnął już swoje czołno do miejsca, z którego było niewidoczne. Mężczyzna pomógł Rafe'owi ukryć i jego czołno, a po chwili pięli się już w górę i wkraczali między pierwsze drzewa Ciemnego Boru. Odnalezienie tropu zabrało psom o wiele mniej czasu niż na przeciwnym brzegu.

– Dobre pieski – szepnął Rafe, po czym obaj mężczyźni wślizgnęli się w półmrok lasu.

\* \* \*

Rafe wyciągnął pasek suszonej wieprzowiny z sakwy i zaczął żuć. Mięso było twarde i żyłaste.

Czego ja bym nie dał za ogień i coś ciepłego do jedzenia..., przemknęło mu przez myśl.

Idąc po śladach Haliona, dotarli daleko w głąb Ciemnego Boru i wreszcie, gdy zaczął zapadać zmierzch, rozłożyli obóz w pobliżu strumienia. Psy skuliły się u stóp Rafe'a, choć ich uszy drgały na każdy odgłos dobiegający z lasu, a było ich całkiem sporo. Zupełnie inaczej było, gdy obozowali na otwartej przestrzeni. Gdzieś w oddali rozległo się wycie.

– Jak bardzo nas wyprzedza, twoim zdaniem? – spytał Rafe, gdy uporali się z obowiązkami.

– Jakiś dzień drogi. Może nieco mniej.

– Nie sądzisz, iż wie, że za nim podążamy?

– Nie, chłopcze. – rzekł Braith. – Śledziłem innych ludzi i sam byłem śledzony tyle razy, że zliczyć się nie da. On nie ma pojęcia, że za nim idziemy. Z początku zdawał sobie sprawę z tego, że może być śledzony. Popędził wszak, nie oszczędzając konia, prosto ku granicy z Cambrenem. Wiedział, że tylko prędkość może go uratować. Potem, po przebyciu gór i lasów Cambrenu, sięgnął po kilka sztuczek, które zwiodłyby niektórych tropicieli. Nie, żebym się przechwalał. – Uśmiechnął się. – Teraz wydaje mu się, że już nie musi się śpieszyć. Porzucił prędkość na rzecz ostrożności. Robi wszystko, by nie zauważyli go miejscowi, i nie martwi się, że na ogonie ma kogoś, kto może go dogonić.

– Czyli myślisz, że Rhin ma rację? Że Halion jedzie do Edany?

– Tak. Powiedział wszak Rhin, że Edana uciekła do Dun Crin. I wygląda na to, że właśnie tam sam zmierza.

– Dlaczego Halion miałby powiedzieć Rhin, dokąd udała się Edana? Przecież nie jest gadatliwym typem. Milczałby nawet, gdyby przyszło mu tracić przy tym części ciała.

– Rhin potrafi być bardzo przekonująca. Poza tym dysponuje też innymi metodami.

Braith nie musiał rozwijać myśli, bo Rafe dobrze pamiętał, jak siedział w komnacie królowej i patrzył na płomienie, wśród których Conall uwalniał Haliona.

„Świeżo zdarta skóra wroga oraz krew” – przypomniał sobie i zadrżał.

– A więc skoro Halion powiedział Rhin, gdzie przebywa Edana, dlaczego musimy go tropić?

– Bo Dun Crin znajduje się na bagnach, które ciągną się przez mniej więcej pięćdziesiąt mil. Powinieneś zresztą sam to wiedzieć. Przeszukanie tak wielkiego terenu zabrałoby nam sporo czasu, podczas gdy Halion doprowadzi

nas prosto do celu.

– A więc wie, gdzie leży Dun Crin?

– Nikt tego dokładnie nie wie – odparł Braith. – Wiadomo tylko tyle, że jest gdzieś na tych bagnach, ale Halion na pewno wie, co robi. Myślę, że przegadał wszystko z Edaną i Camlinem i będzie mniej więcej wiedział, dokąd się udali. To jedyny człowiek na świecie, który może nas doprowadzić prosto do Edany.

Prosto do Edany, pomyślał Rafe. Trudno uwierzyć, że przeżyła tak długo. Nigdy nie wydawała się odpowiednio silna jak na takie czasy. Była już inną osobą w chwili, gdy spotkaliśmy się podczas bitwy o Domhain. Udawała przede mną królewski majestat w asyście Corbana i reszty. Cóż, nie sądzę, by nadal chciało jej się zadzierać nosa.

– A co zrobimy potem? Pozabijamy ich wszystkich? – spytał.

Niezbyt mu się ten pomysł podobał, ale nauczył się podziwiać Braitha i chciał mu pokazać, że się niczego nie boi.

– To byłby rozkaz trudny do wykonania nawet dla mnie i dla ciebie. – Braith wyszczerzył zęby. – Nie, po drodze poprosimy o pomoc. Ewnis siedzi na tyłku w Dun Carreg i się nudzi. Na pewno z ochotą ruszy się z twierdzy. – Łowczy wbił wzrok w Rafe'a, a jego uśmiech naraz znikł. – Tym razem trzeba się przyłożyć. Nie możemy pozwolić na to, by Edana znów uciekła. Albo Lorcan, szczeniak Eremona. Musimy zanieść Rhin ich głowy, bo w przeciwnym razie możemy się zabrać za usypywanie własnych kurhanów. Rhin potrafi hojnie wynagrodzić tych, którzy wypełniają jej zadania, jak i surowo ukarać tych, którzy ponoszą porażkę.

Jakoś w to nie wątpię, pomyślał Rafe.

– Od dawna ją znasz? – zapytał.

– Tak. Mam wrażenie, że znam ją całe życie. Gdy byłem dzieckiem, moja rodzina zginęła podczas jednego z najazdów urządzonych przez Owaina. – Braith machnął ręką przy tych słowach. – Zostałem odnaleziony przez Rhin, która wyjechała, by stawić czoła najeźdźcom. Szlochałem, wtulony w ciało matki. Miałem ochotę umrzeć. Rhin zabrała mnie ze sobą i dała mi nowy dom, a ja od tej pory robię wszystko, by podziękować jej za życzliwość.

Życzliwość? Na pewno nie jest to pierwsze słowo, które przychodzi mi do głowy, gdy patrzę na Rhin, pomyślał Rafe.

– No i oczywiście chcę się zemścić na Owainie.

– To już ci się udało – rzekł Rafe, który walczył w drużynie Ewnisa w przegranej przez Owaina bitwie.

– Tak, prawda – uznał Braith. – Pozostał mi już tylko jeden dług do spłacenia.

– Jaki dług?

– Mam na myśli Camlina. Ten łajdak niemalże zabił mnie na plaży w Domhainie! – Braith wyciągnął rękę i potarł szyję. – Ale myślę, że mogę mu chyba to wybaczyć. W końcu trwa wojna i każdy człowiek musi się opowiedzieć po jakiejś stronie. Każdy z nas wie, że ostra klinga lada moment może zakończyć nasze życie, co nie, chłopcze?

– Nigdy o tym tak nie myślałem.

– Ale to prawda, i nie ma co tego ukrywać. Problem z Camlinem jest jednak poważniejszy, bo ten drań mnie zdradził. Pojmaliśmy królową Alonę oraz Edanę i już mieliśmy je zaprowadzić do Rhin, gdy Camlin stanął mi na drodze. Chwilę później z cieni wyskoczyli ci przekłeci bracia, Halion i Conall, z mieczami w dłoniach, a za nimi chmara ludzi z Ardanu. I ten szczeniak z wilkunem.

– Corban – rzekł Rafe, krzywiąc się, gdy wypowiadał to imię.

– Nie przepadasz za nim, co? – spytał Braith.

– Nie. Jego zwierzę zabiło mi ojca. Rozszarpało mu gardło, a mnie pozostawiło to! – Rafe podniósł rękaw koszuli i pokazał towarzyszowi poszarpaną bliznę, która ciągnęła się od nadgarstka po łokieć. – Corban zaś wbił mi miecz w nogę – dodał i wzruszył ramionami. – To mój dług do spłacenia.

Braith wpatrywał się w niego w ciemnościach.

– Na twoim miejscu bym sobie darował – powiedział po chwili.

– Czemu?

Braith pokręcił głową.

– Uwierz mi, to kiepski pomysł. Przyjmij przyjacielską radę.

– On nie jest nikim szczególnym – parsknął Rafe. – Dopilnuję, by zginął.

Braith otaksował go uważnym spojrzeniem.

– Kilkakrotnie się z nim zetknąłem – powiedział. – Nie tak dawno wziąłem go do niewoli w górach niedaleko Dun Vaner. – Umilkł, a w jego oczach pojawiła się mgła. – Mało brakowało, a nie dotarlibyśmy do twierdzy. Wszystko przez tego białego wilkuna i przyjaciół Corbana. Gonili nas aż pod bramy fortecy, a potem jakoś wdarli się do środka i wybili niemalże wszystkich ludzi Rhin. Nie działali sami. Otrzymali skądś pomoc, przyznając, ale mimo to szturm na fortecę Rhin to nie byle co. Trzeba mieć niezłe jaja, no

nie?

– Mówisz, jakbyś go podziwiał. Ich – rzekł Rafe oskarżycielsko.

– Bo chyba tak jest – odparł Braith. – Mało kto potrafi zainspirować przyjaciół do tego stopnia, że ci gotowi są wyrwać go z wrogiej fortecy. Odrobina szacunku dla wrogów to nic złego. Nie powstrzyma mnie to przed zabiciem ich, jeśli będę miał okazję.

– Ale to nie był twój pierwszy kontakt z Corbanem?

– Nie. Po raz pierwszy spotkałem go w Dun Carreg, kiedy jak ostatni idiota postanowiłem ocalić Camlina. Nie wiem, jak do tego doszło, ale napatoczył mi się zarówno Corban, jak i jego siostra i ten wilkun, który wtedy był zaledwie szczeniakiem. – Braith parsknął śmiechem. – Już wtedy zauważyłem, że chłopak kryje w sobie rogatą duszę. Po raz drugi ujrzałem go tu, w Ciemnym Borze, gdy szedł z grupą ratunkową wysłaną po królową Alonę i jej córkę. Gdyby nie on i jego zwierzak, nigdy by nas nie znaleźli. – Skrzywił się, ale po chwili dodał: – Dobrze zrobisz, jeśli darujesz sobie tę zemstę. Ten chłopak kiedyś źle skończy, ale nie sądzę, by stało się tak za twoją sprawą.

Rafe wbił ponure spojrzenie w ogień.

Mam wyrzec się zemsty? Nigdy, pomyślał.

\* \* \*

Dun Carreg było zaledwie punkcikiem na wschodnim horyzoncie, a przed Rafe'em rozciągał się Baglun. Podążali tropem Haliona przez kolejnych dziesięć nocy – pierwsze trzy spędzili w Ciemnym Borze, a siedem kolejnych na wrzosowiskach i w dolinach Ardanu. Zatrzymali się na moment w Badun, gdzie kupili dwa konie, i ruszyli na południe. Trop Haliona odbił bowiem od traktu olbrzymów i skierował się na południe przez bezludne wrzosowiska, w kierunku wschodniego skraju lasu Baglun.

– Pora się rozstać na jakiś czas, chłopcze – rzekł doń Braith.

Rafe ściągnął wodze. Był tak zaskoczony, że o mało nie spadł z siodła.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Halion kieruje się na południowy wschód, wędrując skrajem Baglunu. Moim zdaniem próbuje trzymać się z daleka od Dun Carreg oraz traktu, by dotrzeć na bagna od wschodu. To dla niego o wiele bezpieczniejsza trasa.

– Tak, to ma sens.

– Prędzej czy później Halion może odnaleźć Edanę, a wówczas nasza



dwójka i twoje psy to za mało, by zakończyć zadanie. Przypuszczam, że dziewczynie towarzyszy kilku zbrojnych. Jedź więc do Dun Carreg i powiedz, by Ewnis osobiście przybył nam na pomoc i przyprowadził odpowiednio dużo wojska. Weź ze sobą Niuchacza, który szybko nas odnajdzie.

Rafe pokiwał głową.

– Nie szcudź konia – dodał Braith. – Jeśli się spóźnimy, zapadną się pod ziemię i będziemy mieli spore problemy z wyganianiem ich z tych bagnisk.

– Nie zawiodę cię – rzekł Rafe i pochylił się w siodle, by uścisnąć przedramię Braitha.

– W ciebie nie wątpię, chłopcze. To Ewnis mnie martwi – rzekł tropiciel i wsunął rękę w głąb płaszcza, skąd wyciągnął srebrny łańcuszek z kamiennym wisiorkiem oraz pergaminowy zwój z czerwoną pieczęcią. – Pokaż ten wisiołek przy bramach, a natychmiast zaprowadzą cię przed oblicze Ewnisa. Jeśli nie uda ci się przekonać tej starej żmii do działania, daj mu ten zwój. To list od Rhin. Jeśli twe słowa na niego nie działają, list z pewnością rozpali ogień pod jego tyłkiem i posadzi go w siodle.

Rafe wyszczerzył się do Braitha, wsunął zwój do sakwy przy siodle i ruszył w drogę. Niuchacz pędził obok niego.

Jechał przez pół dnia, nim dotarł do traktu olbrzymów, gdzie znów opadły go tysiące wspomnień. Niekończące się polowania z ojcem wśród drzew Baglunu, jego sprawdzian wojownika i Długa Noc, szturm, po którym padło Dun Carreg, marsz do bitwy przeciwko Rhin.

No i wróciłem, pomyślał. Niemalże rok po tym, jak wsiadłem na statek płynący do Cambrenu.

Ściągnął wodze i zsiadł z konia, a potem szybko odwiązał sakwę od siodła. Nie było w niej wielu przedmiotów, które przedstawiałyby większą wartość. Najcenniejsza była kolczuga, którą odebrał poległemu wojownikowi w Domhainie. Była tam również owa szkatułka, którą znalazł na bagnach. Jak dotąd nie miał sposobności, by ją otworzyć. Próbował raz i drugi, ale grzebanie czubkiem sztyletu w zamku niewiele dało, a potem wyruszył w drogę z Braithem. Coś go powstrzymywało przed wyciągnięciem szkatułki w przytomności tropiciela. Przyszło mu do głowy, że może warto by spróbować otworzyć ją teraz, ale z każdą chwilą był coraz bardziej podekscytowany świadomością, że zaraz przyjdzie mu ujrzeć Dun Carreg. Wyciągnął kolczugę, nałożył ją pośpiesznie, poprawił torkwes, sprawdził warkocz wojownika i wyprostował pas z mieczem. Nie chciał wyglądać jak rozczochrany człowiek

lasu, gdy będzie jechał przez most wiodący ku Kamiennej Bramie.

Havan, osada rybacka leżąca u stóp wzgórza, na którym wznosiło się Dun Carreg, wyglądała tak jak zawsze. Drewniane chaty kryte strzechą, dym unoszący się z budowli w sercu wioski, ludzie zajęci codziennymi obowiązkami. Rafe przejechał przez osadę i ruszył krętą drogą w górę ku twierdzy. Rozpoznawał już twarze – niektórzy ludzie zatrzymywali się nawet, by na niego popatrzeć, ale ignorował wszystkich. W połowie drogi zatrzymał się, by spojrzeć na wieś oraz zatokę. Błękitno-zielone morze migotało w słońcu, a na falach unosiły się liczne łódzie. Spojrzał dalej, a wtedy dostrzegł czarne żagle. Wiele okrętów z czarnymi żaglami sunęło z południa wzdłuż wybrzeża niczym ogromne stado czarnoskrzydłych ptaków. Mijały zatokę i nikły na północy, za klifami na cyplu. Rafe naliczył przynajmniej pięćdziesiąt jednostek. Wpatrywał się w nie, aż ostatni okręt odpłynął.

Wyglądają jak te, na których popłynęliśmy do Cambrenu, pomyślał.

Gdy się upewnił, że żaden nie zawróci, wsiadł z powrotem na rumaka i ruszył ku twierdzy. Końskie kopyta zadudniły na moście rozciągającym się nad przepaścią między lądem a Dun Carreg, a po chwili młodzieniec ściągał już wodze przed Kamienną Bramą. Pokazał wisiołek od Braitha kilku strażnikom w czerni i złocie Cambrenu, a niedługo potem zsiadł z wierzchowca przed salą biesiadną. Stajenny zabrał konia, a Rafe rzucił Niuchaczowi kilka pasków mięsa i kazał mu warować. Sam wszedł do sali, gdzie usiadł, by poczekać na Evnisa.

Pomieszczenie było puste, a ogień w palenisku dawno wygasł. Wzrok Rafe'a, błądząc po ścianach, natrafił na ciemne plamy na belkach, pamiątkę po nocy, kiedy Dun Carreg uległo wrogom. Po chwili chłopak odnalazł też miejsce, w którym zginął jego ojciec.

Drzwi za królewskim podwyższeniem uchyliły się i do środka wszedł Ewnis w towarzystwie kilku wojowników w sobolowych płaszczach obszytych złotą nicią.

Ewnis wydawał się starszy, niż kiedy Rafe widział go po raz ostatni. Nadal poruszał się z energią i pewnością siebie, ale chłopak dostrzegł, że jego pan zaczyna się nieco garbić. Zmarszczki na twarzy Evnisa wydawały się głębsze, a ciemne włosy przyprószyła siwizna.

– Na jaja Asrotha, czyżby to sam Rafe do nas powrócił? – odezwał się, a na jego obliczu pojawił się szeroki uśmiech. Gdy chłopak podszedł bliżej, ujrzał na palcach namiestnika złote pierścienie z gagatem. Jego torkwes wojownika

również został opleciony złotym drutem.

Rafe zamrugął.

Wydaje się szczerze cieszyć z tego, że mnie widzi, pomyślał.

Bez zastanowienia padł na kolano i pochylił głowę.

– Wstawaj – rzekł Ewnis. – Mamy wiele spraw do przegadania. Bardzo mnie ciekawią twoje przeżycia u boku Rhin i podbój Domhainu, ale coś mi mówi, że przygnała cię tutaj nie tylko tęsknota za domem, prawda?

– Prawda, panie – rzekł Rafe. Wsunął rękę do kieszeni i wyciągnął zwój, który otrzymał od Braitha.

Ewnis złamał pieczęć i zaczął czytać.

Rafe stał na tyle blisko mężczyzny, że wyczuwał jego kwaśny oddech. Wydawało mu się, że rozpoznaje w nim miód. Po policzkach namiestnika rozbiegały się krwawe żyłki, a jego twarz była nieco opuchnięta. Wyglądał jak ktoś, kto spędza za dużo czasu z pucharem w ręku.

Młodzieniec przeniósł wzrok na wojowników stojących za Ewnisem. Wielu z nich nie rozpoznawał, ale po chwili dostrzegł znajomą twarz. Był to Glyn z krzywym nosem złamanym przez Tulla. Mrugnął do Rafe'a, a ten uśmiechnął się w odpowiedzi.

Wówczas Ewnis uniósł głowę i wbił wzrok w przybysza. W jego oczach nadal malował się ten sam spryt co wcześniej.

– Cóż – rzekł. – W istocie, ważne wieści. Glyn, zbierz setkę ludzi. Jedziemy na południe.

– Tak, mój panie – odparł Glyn i wymaszerował z komnaty.

Ewnis otoczył Rafe'a ramieniem i poprowadził go ku drzwiom.

– Moi ludzie będą się przygotowywać, a ty w międzyczasie będziesz mógł mi opowiedzieć o wszystkim. Najpierw jednak, jeśli nie masz nic przeciwko, chciałem ci zadać jedno pytanie.

– Oczywiście, mój panie.

– Czy widziałeś mojego syna?

## Rozdział trzydziesty czwarty

# CYWEN

Cywen siedziała z Briną oparta o pień szerokiego dębu. Był już późny wieczór, ale nadal było jasno, a na niebie nad nimi widać było zarówno słońce, jak i księżyc.

– Jeszcze raz – zarządziła Brina.

– *Lasair. Uisce. Talamh. Aer.*

– Dobrze – rzekła Brina.

„Dobrze”. Nigdy wcześniej nie użyła tego słowa w stosunku do mnie!, pomyślała Cywen, nie mogąc powstrzymać uśmiechu. Od ponad dwóch miesięcy była oficjalnie uczennicą Briny. W międzyczasie wiosna zamieniła się w lato, a ich drużyna nadal wędrowała przez terytorium królestwa Narvonu.

Po bitwie z hufcem Rhin na północy nie napotkali dużego oporu. Zwiadowcy Coralen kilkakrotnie starli się z niewielkimi grupkami wojowników Rhin, ale większe siły jakoś nie kwapiły się, by stanąć im na drodze. Cywen była przekonana, iż powodem jest skład ich niewielkiej armii. Kto chciałby walczyć z Jehar, olbrzymami Benothi i wilkunem?

Nikt zdrowy na umyśle nie chciałby stawić nam czoła, chyba że otwarcie zagrozilibyśmy ich domom, a ich siły liczyłyby tysiące ludzi, pomyślała.

Tymczasem w większości wsi brakowało już młodych ludzi zdolnych do walki. Większość z nich została wcielona do armii, która wyruszyła na wojnę z Ardanem.

Co ciekawe, ich hufiec rósł w siłę. Po tym, co Kadoshim zrobili mieszkańcom owej wsi na północy, Corban zatrzymywał się w każdej mijanej osadzie i przekazywał ostrzeżenie. Jeśli na ich drodze znajdowało się ufortyfikowane miasto, podjeżdżał do bram, machając jarzębinową gałęzią, uchodzącą za symbol rozejmu i mówił mieszkańcom o tym, co nadciągało za

nimi. Przy okazji powiedział Cywen, że chce w ten sposób dać ludziom szansę:

– Wiedza to potęga, Cy. A przynajmniej tak zawsze mówiła mi Brina, a ona zwykle ma rację.

Wielu ludzi nie ufało mu i nie dopuszczało do siebie jego słów, ale byli i tacy, którzy mu wierzyli. Corban proponował im wówczas, by dołączyli do jego sił, co za każdym razem budziło niechęć Meicala, aż w trakcie podróży przez Narvon ich oddział rozrósł się do czterech setek.

– Masz talent do języków, muszę ci przyznać. – Brina przerwała rozmyślenia Cywen. – Przychodzi ci to o wiele łatwiej niż twemu bratu.

Uzdrowicielka siedziała z otwartą księgą na kolanach.

– Mogę to zobaczyć? – spytała Cywen.

– Po co? – zdziwiła się Brina.

– Lubię czytać – odparła dziewczyna, wzruszając ramionami. Nie przesadzała. Nauk udzielała im mama w kuchni ich domu w Dun Carreg, gdzie Cywen odkryła, że czytanie i pisanie sprawia jej najwięcej przyjemności. Corban tymczasem wolał historię. Dziewczyna zawsze sądziła, że jej brat lubił po prostu słuchać opowieści o bitwach z przeszłości.

– W porządku – powiedziała Brina z lekką niechęcią. – Tylko ostrożnie, bo to bardzo stara księga i niektóre strony są kruche. I nie wychodź poza pierwszą część, bo tylko ona dotyczy ciebie.

Okładkę wykonano z grubej skóry, ciemnej i popękanej. Cywen otworzyła ją ostrożnie. Każda strona była nawoskowanym pergaminem, pokrytym rzędami runów stosowanych przez olbrzymy. Autorem zapisków nie była jedna i ta sama osoba, gdyż swobodnie kreślone, zdobione zawijasami runy ustępowały niekiedy miejsca mocnym, szerokim znakom i na odwrót. Cywen rozpoznawała wiele słów – niektóre z lekcji z mamą, inne z nauk przekazywanych jej ostatnio przez Brinę.

Uczy mnie, bym została elementalistką, przemknęło jej przez głowę. Kto by pomyślał...

Sam pomysł wydawał się dziewczynie bardzo ekscytujący i ze wszystkich sił przykładła się do nauki. Już podczas pierwszej lekcji, która miała miejsce poprzedniego dnia, udało jej się wywołać iskrę, która co prawda zgasła niemal natychmiast po pojawieniu się, ale Cywen uznała, iż przyczyną był jej własny szok. Wszak nie spodziewała się żadnego efektu. Brina była niezwykle zadowolona.

– Widzisz, trzeba się bardzo wiele nauczyć przed przejściem od teorii do

praktyki – powiedziała. – Podstawowe rozkazy są łatwiejsze, co potwierdza twój eksperyment z ogniem. Gdybyś jednak chciała kontrolować dany żywioł – pamiętasz, jak z Hebem przywołaliśmy mgłę? – koniecznie musisz opanować język. My przecież nie stworzyliśmy tej mgły, ale przekierowaliśmy ją z łąki i wciągnęliśmy po zboczu nasypu na starą drogę olbrzymów. Nie było to łatwe.

– Mgła straszna – zakrakał żałośnie Crafa.

Ptaka siedział obok Briny i co rusz dziobał ziemię, by wyciągnąć wijącego się robaka. Jego skrzydło zagoiło się już po ataku jastrzębia, ale mimo to Crafa był innym ptakiem niż niegdyś. Dręczyło go przygnębienie, a kąśliwe uwagi ustąpiły miejsca smutnym komentarzom. Co więcej, już nie wzbijał się do lotu, a Cywen widziała, jak nerwowo zerka na niebo. Jakies dziesięć dni po ataku Corban poprosił Crafa, by przeprowadził zwiad, ale na samą myśl o locie ptak zaczął się trząść ze strachu. Chłopakowi oczywiście zrobiło się przykro i natychmiast zaniechał kolejnych prób namówienia ptaka do latania. Obecnie Crafa nie rozstawał się z Briną i zawsze siedział na jej siodle.

Brakuje mu Fecha, pomyślała Cywen. Mnie zresztą też, choć dziwnie to brzmi. I na jego miejscu pewnie też bym się bała.

Często widywała skrzydlaty kształt unoszący się wysoko nad nimi na prądach powietrznych, który podejrzenie przypominał jastrzębia.

Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby Nathair i Calidus zechcieli nas śledzić. Niewykluczone więc, że to ten sam jastrząb, który zabił Fecha.

Brina pochyliła się i podrapała Crafa po szyi.

Farrell usiadł obok nich, rzucając coś Crafowi. Sądząc po odgłosach, z jakimi kruk pochłonął kąsek, było to coś oślizgłego.

– Smaczne – wykrakał w ramach podziękowań.

– Proszę bardzo – rzekł Farrell.

Odpiął młot wojenny i ułożył go na ziemi obok siebie, poklepując czule żelazny obuch. Jak zauważyła Cywen, młodzieniec robił tak prawie każdego wieczoru. Codziennie im towarzyszył, bo Dath należał do grup zwiadowczych, a Corban zawsze był zajęty.

Ciekawe, w jakie grupy się dobieramy, pomyślała. Benothi zawsze siedzą razem, dalej są Jehar, choć rozłamani na drużynę Tukula oraz Akara, i na końcu my, garstka niedobitków z Ardanu. Być może nasze towarzystwo przynosi Farrellowi pociechę. W końcu w całym tym dziwnym hufcu zlepionym z różnych narodów jesteśmy najbliżsi temu, co nazwałby domem.

Cywen odwracała stronę za stroną, aż gdzieś w połowie książki natrafiła na coś nowego. Po pierwsze, ktoś inny przejął pisanie, gdyż runy stały się równe i eleganckie. Pojawiły się również osobliwe wykresy i schematy, a wśród zdań zapanował chaos. Cywen widziała teraz coś, co niemalże przypominało listy. Dostrzegła słowo *fuil*, które w języku olbrzymów oznaczało krew, a u dołu strony natknęła się na słowo *namhaid*.

Nie mogła oderwać wzroku od tych stron. Miała wrażenie, że tonie w nich.

– Co oznacza „namhaid”? Czy to wróg?

– Hej! – warknęła Brina, aż dziewczyna podskoczyła. – Mówiłam ci, byś nie zapędzała się zbyt daleko!

Złapała księgę. Cywen przytrzymała ją przez chwilę, ale ustąpiła i pozwoliła, by uzdrowicielka odebrała jej tomiszczce.

– A niby czemu nie mogę tam zaglądać? – mruknęła.

– Po pierwsze, bo powiedziałam, że ci nie wolno – stwierdziła kwaśno Brina. – A po drugie, dlatego że ja nigdy nie mówię czegoś, jeśli nie mam dobrych powodów. Jestem za stara, by strzepić język na próżno.

– Za stara – wymamrotał Craf.

Brina przeniosła rozgniewane spojrzenie na ptaka.

– Przepraszam – wymamrotali jednocześnie dziewczyna i kruk.

– Przeprosiny przyjęte. Ale nie rób tego więcej.

– Nie zrobię – powiedziała Cywen.

A już na pewno nie wtedy, gdy będziesz przy mnie siedzieć, pomyślała.

Nie mogła się doczekać chwili, gdy otworzy księgę po raz kolejny.

– To jest ta książka Vonna? – spytał Farrell. – Ta, którą ukradł ojcu?

– Tak – powiedziała zdawkowo Brina.

– A mogę spojrzeć? – ciągnął Farrell.

– Co? Masz łapy jak miechy i paluchy jak kiełbasy. Nie ma mowy! – warknęła uzdrowicielka.

– Dobra, dobra – mruknął młodzieniec, który wydawał się autentycznie urażony.

Cywen zauważyła, jak zerka na swoje dłonie. Rozprostował i zwinął palce, a potem nimi zamachał.

Wstała i przeciągnęła się. Dookoła znajdowało się obozowisko rozłożone między dwoma strumieniami. Nie palili ognisk od czasu bitwy na północy, ale noce były ciepłe, a zapas brotu nadal spory, przez co ogień nie był im właściwie potrzebny.

Choć byłoby miło posiedzieć przy ognisku, pomyślała Cywen.

Brina czasem rozpalała niewielki ogienek i gotowała. Corban i Tukul zwracali jej uwagę, że znajdują się na terytorium wroga i palenie ognisk jest niemądrym pomysłem, na co ona przypominała im, że przygotowuje gorące okłady, a jeśli nie chcieli, by ktoś dowiedział się o ich istnieniu, powinni zabić tego cholernego jastrzębia, który się nad nimi unosił. Jej słowa dotknęły ich do żywego i odeszli zawstydzeni. Robili, co mogli, ale nawet najlepszy łucznik nie był w stanie posłać strzały tak wysoko. Brina zaś, zagotowawszy już wodę, zawsze robiła sobie i Cywen kubek herbaty. Dziewczyna bynajmniej nie narzekała. Nie miała też zamiaru nikomu się skarżyć.

Dostrzegła Corbana, który szedł wzdłuż zagrody dla koni. Towarzyszyli mu Meical i Tukul. Na jej oczach do obozu wpadła grupa jeźdźców, którzy skierowali się ku zagrodom przy strumieniu. Na czele oddziału jechała Coralen, przy której cicho dreptała Burza. Dalej Cywen widziała niewyraźne postacie Jehar oraz olbrzymów, którzy okrążali obóz. Przez cały czas na warcie było przynajmniej dwudziestu wojowników.

Odkąd Brina poprosiła Cywen, by została jej asystentką, dziewczyna przestała czuć się taka bezużyteczna. Na ogół pomagała uzdrowicielce zajmować się różnymi przypadkami, od poważnych ran odniesionych w bitwie po drobne obrażenia i dolegliwości odniesione podczas rutynowych czynności, jak zwichnięte kostki, bóle głowy, problemy z żołądkiem i paskudne uządlenia. Cywen polubiła to. Miała pełne ręce roboty, co było ważne, bo w wolnych chwilach zazwyczaj zaczynała się zadrećać śmiercią matki. A Brina była dobrą nauczycielką.

Jeśli tylko udaje mi się czegoś nauczyć, Brina mówi mi o tym, pomyślała Cywen. Najwyraźniej naprawdę nie lubi strzępić sobie języka.

Bywało jednak, że miała powyżej uszu szorstkiego obejścia kobiety. Miała wówczas ochotę złapać za noże i ciskać nimi ze wszystkich sił.

Jak na przykład dzisiaj, przemknęło jej przez myśl.

Weszła w zarośla, które otaczały obóz, i nagle znalazła się w zagajniku wiązów i jesionów. Brina nadal była blisko, w zasięgu słuchu. Cywen wyciągnęła jeden ze swoich noży zza pasa przewieszzonego przez pierś i wybrała sobie cel. Uniosła nóż tak, że ostrze znalazło się przy jej uchu, wstrzymała oddech i rzuciła. Nóż wbił się w pień z satysfakcjonującym młaśnięciem. Bez zastanowienia wyszarpnęła kolejny i rzuciła. Wbił się w odległości zaledwie jednego palca od poprzedniego.



Nagle Cywen wyczuła czyjąś obecność i rozejrzała się. Szybko wypatrzyła wysoką postać, częściowo ukrytą za krzakiem. Zamrugła, uświadomiwszy sobie, że była to olbrzymka.

Choć mniejsza od innych. Jeszcze niedojrzała. Ichnie dziecko, pomyślała.

Wpatrywała się w nieznaną, na co ta powoli, z wahaniem wyszła z zarośli i zrobiła krok ku niej.

– Dobrze ci to idzie – powiedziała, zacinając się w niemalże zabawny sposób.

– Trenuję tylko. – Dziewczyna wzruszyła ramionami, po czym wpackowała nóż w pień drzewa obok pozostałych. – Mam na imię Cywen.

– Wiem. Jesteś siostrą Jasnej Gwiazdy.

Słyszając to, Cywen skrzywiła się w duchu.

– A ja jestem Laith – rzekła olbrzymka. Podeszła jeszcze bliżej, wsunęła dłoń za skórzaną kamizelę i wyciągnęła spoza niej nóż. Nóż Cywen.

– Byłam przekonana, że to ty! – oznajmiła dziewczyna.

– Tak. Balur kazał mi go oddać i prosić cię o wybaczenie.

Olbrzymka zatrzymała się przed Cywen i podała jej nóż, który wydawał się bardzo mały na jej dłoni.

– Czemu go zabrałaś?

– Bo rzuciłaś we mnie! – powiedziała Laith obronnym tonem, a potem się uśmiechnęła. – Lubię różne przedmioty, a to dobry nóż. Trochę mały – wzruszyła ramionami – ale też nietypowy. Ma dziwne wyważenie.

– To był pomysł mojego ojca – rzekła Cywen. – Ciężar jest skupiony na końcu ostrza, gdyż nóż ma służyć do rzucania.

– Ach, do rzucania. Wszystko jasne. – Olbrzymka podniosła nóż wyżej i przyjrzała mu się z nowym zainteresowaniem. – Tak myślałam. Twój ojciec jest kowalem? – spytała.

– Tak – odparła dziewczyna.

Był, poprawiła w myślach i rzuciła kolejnym nożem, wyobrażając sobie, że pień to Nathair.

– Bo ja też jestem kowalem – oznajmiła Laith, po czym wyprostowała się i dumnie wypięła pierś, od czego wokół zrobiło się ciaśniej. Obróciła nóż Cywen między palcami. – Twój ojciec jest dobry. Jest tu?

– Nie żyje. – Cywen cisnęła kolejnym nożem.

– Och. – Laith zwiesiła głowę. – Mój ojciec też.

Cywen odwróciła się, by spojrzeć na olbrzymkę. W półmroku

nadciągającego zmięszchu przypominała ona posąg wykuty z kamienia. Miała długie kończyny i mięśnie niczym zwoje grubych lin, choć jeszcze nie tak grube jak u Balura oraz innych dorosłych Benothi.

– Zatrzymaj ten nóż – rzekła Cywen z uśmiechem. – Choć wydaje mi się nieco za mały dla ciebie.

– Nie mogę. Balur... – Laith urwała, wpatrując się z żalem w ostrze.

Wygląda jak dziecko z prezentem otrzymanym w dniu swego imienia, pomyślała Cywen.

– Skoro jesteś kowalem, zatrzymaj go i zrób podobne na wzór, ale większe, bardziej pasujące do was.

– Ale musiałabyś mnie nauczyć, jak się rzuca – oznajmiła Laith. – Sama nie potrafię.

Ruchem głowy wskazała pień drzewa, z którego sterczało teraz pół tuzina noży.

– Nauczę cię. Nie jest to takie trudne, jak się wydaje, tym bardziej, jeśli nóż jest dobrze wykonany.

– A właśnie, że jest trudne – odezwał się Farrell.

– Tak myślisz, bo jesteś niecierpliwy. No i masz paluchy jak kiełbasy – odparła Cywen.

– Nie to co olbrzymka, prawda? – mruknął młodzieniec.

– Spójrz. Tak to się robi. – Cywen zwróciła się ku Laith i pokazała jej rzut nożem krok po kroku. Najpierw należało uchwycić ostrze dwoma palcami i kciukiem, potem rozluźnić ramię, podnieść dłoń do ucha, wycełować, odetchnąć i rzucić z nadgarstka. Laith podjęła próbę, ale pierwszy jej pocisk odbił się z brzękiem od pnia i wirując, spadł na leśne runo. Olbrzymka krzyknęła z przerażeniem i skoczyła, by go odnaleźć. Deptała zarośla, chodząc w kółko, aż w końcu podniosła broń z ogromną ulgą wymalowaną na twarzy.

– Nie tak się to robi – powiedziała Cywen. – Spójrz. Ostrze powinno być niedaleko ucha, ale nie za blisko, bo można się skaleczyć.

Laith stanęła przy dziewczynie i rozstawiła stopy tak jak ona. Złapała nóż i uniosła go.

– Nie, nie tak – powtórzyła Cywen. Obeszła olbrzymkę i przesunęła jej ramię, by poprawić jego ustawienie, choć musiała stanąć na palcach, by go dosięgnąć. Cofnęła się po chwili i zauważyła, że Farrell dalej stoi przy nich.

– Zawsze się zastanawiałem, jak ty to robisz – powiedział.

– Można było po prostu zapytać – odparła Cywen, a do Laith rzekła: – No,

spróbuj teraz.

Olbrzymka wyprostowała szybko ramię i cisnęła. Jeszcze nim nóż wbił się w pień, Cywen wiedziała, że rzut był celny. Laith wyszczerzyła zęby i podbiegła bliżej, a dwoje ludzi udało się za nią.

– Och – jęknęła olbrzymka.

Nóż wbił się w pień tak mocno, że wystawał tylko kawałek rękojeści. Laith próbowała go wyciągnąć, ale nie była w stanie go dobrze uchwycić. Potem spróbował Farrell, któremu łatwiej było go ująć, ale nie zdołał go wyszarpnąć. Nóż utknał w środku na dobre.

– Nie odzyskasz go już, chyba że ścięlibyśmy to drzewo – oznajmił młodzieniec.

Laith zwiesiła głowę ponuro.

– Masz. – Cywen wręczyła jej inne ostrze, uwolnione z kory. – Weź ten na wzór. Kiedy znajdziemy jakąś kuźnię, zrobisz sobie własny, a póki co rób wszystko, by nie rzucić nim w nic żywego.

Laith uśmiechnęła się. Jej nastroje były kapryśne niczym letnia burza.

– Choć nie mam pojęcia, kiedy znów będziemy mieli okazję skorzystać z kuźni.

– Może będzie jakaś w Dun Crin albo w Drassil – rzekł Farrell. – Bo sam już nie wiem, dokąd jedziemy.

– Balur Jednooki twierdzi, że jutro ujrzymy Ciemny Bór – powiedziała cicho Laith.

– Ciemny Bór – szepnęła Cywen, która nie wspominała tego miejsca dobrze. Wszak to tam zginął Ronan, który starał się o jej względy. Padł z ręki Morcanta.

– Tak. Pora, by Jasna Gwiazda wybrał drogę – rzekła Laith.

– Co tu się dzieje? – odezwał się ktoś głośno.

Cała trójka odwróciła się i ujrzała nadchodzącą Coralen, jak zwykle ubraną w skórę wilkuna z pazurami. Szedł z nią Dath oraz dwie Jehar z jej oddziału zwiadowczego, jedna młoda, druga w średnim wieku. W miarę jak zapuszczali się w głąb Narvonu, oddział dziewczyny rozrastał się do trzydziestu, czterdziestu ludzi. Nawet niektórzy wieśniacy, którzy dołączyli do nich na północy, weszli w skład wilczej watahy Coralen, jak ich zaczęto nazywać.

– Cywen uczy nas rzucać nożami – rzekł Farrell. – A ty pięknie dziś wyglądasz, nawiasem mówiąc.

– Wyglądam jak brudny wilkun – parsknęła Coralen, a potem, ignorując

Farrella, spojrzała najpierw na Cywen, a potem na drzewo, z którego dziewczyna wyciągała noże. – Sama bym się tego nauczyła – oznajmiła.

– Chętnie cię wtajemniczę – odparła Cywen.

Dziewczęta nie rozmawiały dużo podczas wspólnej podróży. Cywen miała Coralen za osobę wyniosłą i wzgardliwą, a w głębi duszy była trochę o nią zazdrosna. Podziwiała wszak jej niebywały talent do walki mieczem. Dziewczyna była w stanie pokonać wielu mężczyzn i stawić dłuższy opór większości pozostałych.

– A czego chcesz w zamian? – spytała Coralen.

– Pokaż mi, jak się walczy tym. – Cywen wskazała miecz towarzyszki.

– Dobra – rzekła Coralen i wyciągnęła rękę. Uściśnięły sobie przedramiona.

Chyba już lubię ją trochę bardziej, pomyślała Cywen.

– Brino, Corban kazał mi przekazać, że chciałby z tobą porozmawiać. – Zwiadowczyni zwróciła się do uzdrowicielki.

– Och, doprawdy? – warknęła Brina. – Jeszcze nie tak dawno pokazywałam mu, jak się trzyma miotłę, a teraz smarkacz będzie po mnie posyłał?

– Kazał mi dodać słowo „proszę” – dodała Coralen z uśmiechem. – Kilka razy powtórzył, bym nie zapomniała.

– Cóż, no dobra. Może jednak pójdę. Cywen, chodź.

– Ja?

– Oczywiście. Jesteś moją asystentką, a więc chodź i asystuj.

\* \* \*

Corban siedział na brzegu jednego ze strumieni i moczył stopy w wodzie. Coralen odwróciła się, chcąc odejść, ale młodzieniec zawołał ją.

– Poczekaj chwilę, jeśli możesz – poprosił.

Zawahała się, ale mruknęła:

– Dobra, chyba mogę poświęcić ci chwilę.

– Wytrujesz te biedne ryby, jeśli nie wyciągniesz nóg z wody – oznajmiła Brina, siadając obok Corbana. Zjawił się też Craff, który wskoczył na kolano uzdrowicielki.

– Ach, Brina, brakowało mi cię.

– Brakowało? Przez ostatnie dwa lata rzadko kiedy dzieliło nas więcej niż sto kroków.

– Wiesz, o czym mówię – rzekł Corban, po czym otoczył kobietę ramieniem

i przytulił mocno, a potem ucałował w policzek. Cywen odniosła wrażenie, że kąciki ust starej uzdrowicielki drgnęły.

Ja bym się bała tak zrobić, pomyślała.

Po drugiej stronie strumienia pojawiły się dwa ciemne kształty. Pierwszy szybko przybrał kształt Burzy. Jasne futro wilkunicy zdawało się świecić w ostatnich promieniach słońca. Obok niej biegł Buddai z brązowym, poznaczonym plamkami futrem. Cywen z zaskoczeniem uświadomiła sobie, że Burza urosła jeszcze bardziej. Buddai był wielkim psiskiem i sięgał grzbietem talii dziewczyny, ale wilkunica przerastała go o głowę, a do tego była dłuższa i masywniejsza. Oba zwierzęta toczyły się po łące, kłapiąc szczękami i próbując się pochwycić zębami.

– Patrząc na nie, człowiek nigdy by się nie domyślił, że tkwimy po uszy w Wojnie Bogów – stwierdził Corban.

– Takim głupolom to dobrze – zgodziła się Brina.

Coralen parsknęła.

Burza przesadziła strumień jednym susem, obiegiła ich i wtuliła się w Corbana. Ułożyła się przed nim i oparła wielki łeb na kolanie młodzieńca, który stęknął, czując jej niebagatelną wagę, ale nie zepchnął jej z siebie. Zamyślony, pociągnął ją za jeden z kłów, równie długi jak noże Cywen. Buddai skoczył w ślad za Burzą, ale nie wycelował dobrze i wylądował w lodowato zimnej wodzie, po czym wyskoczył na brzeg i skulił się przy Cywen.

– Dun Cadlas, stolica Narvonu, znajduje się zaledwie połowę dnia drogi przed nami. Balur Jednooki twierdzi, że granica Ardanu i Narvonu jest blisko. Uthandun i trakt olbrzymów dzielą tylko dwa dni drogi od Dun Cadlas – mówił Corban. – Coralen widziała skraj wielkiego lasu podczas wyprawy zwiadowczej. To może być tylko Ciemny Bór.

Odwrócił się i uściśnął dłoń Cywen.

On również pamięta Ronana, pomyślała. Byli przyjaciółmi.

– Mam wrażenie, że to tam wszystko się zaczęło. Tam Rhin zastawiła pułapkę na królową Alonę, w którą wpadłaś również ty i Edana. Zamordowano Uthana, a winą obciążono Brenina.

– A Craf znalazł was między drzewami – mruknął ptak.

– Tak, to prawda, Craf. Ocaliłeś nas – zgodził się Corban.

– Craf ocalił. Mądry Craf.

Corban wpatrywał się w ptaka przez moment.

– Brakuje mi Fecha – powiedział.

– Craf też tęskni.

– Tym ptakiem była Kartala, jastrząb Ventosa – oznajmił Corban.

No jasne, pomyślała Cywen.

– Masz rację – powiedziała. – Zniosła Calidusowi wiadomość o tobie.

– Podąża za nami od śmierci Fecha – rzekł Corban. – Trzeba coś z tym zrobić. Przecież nie możemy pozwolić, by Calidus i Nathair znali każdy nasz ruch.

– Umiesz może latać? – spytała Brina. – Bo jeżeli nie, to naprawdę nie wiem, co można z nim zrobić.

– Jak sobie radzisz z igłą? – zapytał Corban.

– Potrafię zacerować własne ciuchy. – Brina wzruszyła ramionami. – A ty?

– Ja też. Mama naczyła mnie i Cywen cerować ubrania, a ojciec naprawiać buty i wszystko ze skóry.

– Po co o to pytasz?

– Później ci powiem. Póki co muszę wybrać, dokąd mamy się udać. Dun Crin czy Drassil?

– No i co? Co robimy?

– Miałem nadzieję, że ciebie o to spytam.

– Och, nie sądzę – rzekła Brina. – Normalnie w pełni zadowoliliby mnie sytuacja, w której powiedziałabym ci, co robić, bo tak byłoby bezpieczniej. Oczywiście nie mam nic przeciwko udzieleniu ci kilku rad, bo boję się, że zanim coś postanowisz, zestarzejemy się i rozpadniemy w pył. Ale decyzja należy do ciebie.

– Wiem – rzekł Corban cicho. – I wciąż się zastanawiam, jak do tego doszło.

– Ja też – powiedziały Brina i Cywen jednocześnie.

– Od dawna próbuję zrozumieć, dlaczego to ja zostałem wybrany do tego wszystkiego. – Corban machnął ręką w kierunku obozowiska. – Dlaczego ja? Syn kowala, człowiek bez szczególnych umiejętności czy jakichkolwiek wpływów na losy świata.

Pokręcił głową.

– Ja wciąż mam wątpliwości – rzekła Brina. – Ale Meical nie ma żadnych, a to jeden z Ben-Elim. Pewnie powinieneś go słuchać.

– Wiem. I słucham go. Spytałem go, dlaczego padło na mnie, ale to jedyna rzecz, której nie chce mi powiedzieć. Lubi natomiast przekazywać mi, co powinienem zrobić, w czym mocno przypomina ciebie.

– Zawsze go lubiłam – stwierdziła Brina.

– Żałuję, że padło na mnie. I nie chodzi o to, że nie chcę walczyć. W Murias widziałem, jak prawdziwe zło wdziera się do naszego świata, i zrozumiałem, że nie ma przed nim ucieczki. Bo próbowaliśmy uciekać, nieprawdaż?

– Tak – westchnęła Brina.

– Rozumiem już wszystko i będę walczył z Calidusem i Nathairem do ostatniego tchu. Ale nie chcę dowodzić. Każda decyzja pociąga za sobą tyle konsekwencji. Zależy od niej życie tylu ludzi... Naprawdę chciałbym, by na moim miejscu znalazł się ktoś inny.

Cywen poczuła przyływ poczucia winy.

Biedny Ban, pomyślała. A ja przez większość czasu marudzę, że nie spędza każdej chwili ze mną.

Brina pokiwała głową.

– Ale niestety padło na ciebie. Bywają chwile, kiedy czegoś nie rozumiemy, kiedy nie znamy przyczyny i sensu, a musimy się z tym stanem rzeczy pogodzić. Wiem, że oddałbyś wszystko, by powrócić do dawnego życia. No, prawie wszystko.

Corban i Coralen parsknęli śmiechem.

– Ale w takich chwilach po prostu trzeba się pogodzić z tym, że nic się na to nie poradzi.

– Dokładnie do takich wniosków doszedłem – rzekł ponuro Corban. – Kiedy podczas ucieczki z Ardanu Gar zaczął opowiadać mi o tym wszystkim, uznałem, że postradał zmysły. Teraz jednak nie mogę się z tym sprzeczać. Za dużo się wydarzyło.

– Masz na myśli kocioł, z którego kipieli Kadoshim? – spytała Brina.

– Tak. Między innymi.

– A co jeszcze się stało? – spytała Cywen.

Corban nabrał tchu.

– Coś dziwnego się wydarzyło, gdy siedziałem w niewoli w Dun Vaner. Rhin coś zrobiła... Nie wiem co, ale na pewno były to czary. Obudziłem się i uświadomiłem sobie, że oboje jesteśmy gdzieś indziej. W Zaświecie. Rhin zaprowadziła mnie przed tron Asrotha. – Urwał i przez dłuższą chwilę wpatrywał się w nurt strumienia. W końcu wzdrygnął się i dodał: – Usłyszałem od niego, że od dawna na mnie poluje. I że chce mi wyciąć serce.

A ja myślałam, że to w niewoli u Nathaira było ciężko, pomyślała Cywen. W jakim my świecie żyjemy?

– Skoro to wszystko wydarzyło się naprawdę, a nie było majakami czy halucynacją, jak zdołałeś uciec? – spytała.

– W ostatniej chwili wtargnął Meical na czele zastępu Ben-Elim i ocalił mnie. Ujrzałem go wówczas takim, jaki jest naprawdę. On ma skrzydła!

– Żyjemy w dziwnych, przerażających czasach – rzekła Brina, po czym wyciągnęła rękę i zacisnęła palce na dłoni młodzieńca. Ten uśmiechnął się.

– Trudno zaprzeczyć – stwierdził.

– Ale nadal masz decyzję do podjęcia – przypomniała mu Brina.

– Wiem, ale miałem nadzieję, że podzielicie się jakąś radą. Są chwile, kiedy mam wrażenie, że zaraz zwariuję. – Potarł skronie. – A więc poradzcie mi coś. Proszę.

– Z przyjemnością – rzekła Brina. – Z tego, co widzę, mamy sensowne powody, by odwiedzić oba miejsca. Dobrze by było pojechać do Ardanu, bo wszyscy mamy nadzieję, że tam właśnie trafiła Edana ze swymi wojownikami. Gdybyś połączył własną drużynę z jej hufcem, stanąłbyś na czele sporej armii. A Rhin, skoro włada jednocześnie czterema królestwami, musi mieć bardzo rozciągnięte siły. Miałbyś więc dobrą okazję, by odbić Ardan. – Urwała i musnęła piórka Crafa kościstym palcem. – Poza tym, Ardan to dom. Dobrze byłoby wrócić do znanego, kojącego miejsca.

– Prawda, prawda – mruknął Corban.

– No i Ardan jest bliżej. O wiele bliżej niż Drassil.

– Zgadza się.

– A co do Drassil, cóż. Meical twierdzi, że powinieneś się tam udać, a on jest Ben-Elim, a więc warto go słuchać. Przepowiednia mówi to samo. Na ogół z podejrzliwością podchodzę do kwestii przeznaczenia i wpływu bogów na nasze życie, ale w tej sytuacji warto się ugiąć. Poza tym znajduje się tam jeden z Siedmiu Skarbów. Jeśli chcemy mieć choć cień szansy na zwycięstwo, powinniśmy przejąć je wszystkie.

Sensowna ocena sytuacji, pomyślała Cywen. Sama nie ujęłabym tego lepiej. Wysłuchawszy Briny, myślę, że warto byłoby udać się do Drassil.

– Proszę bardzo, Corbanie. Oto wady i zalety każdej opcji. Pytanie brzmi, na co się zdecydujesz.

– Rozsądek każe mi wybrać Drassil – rzekł Corban. – Z dokładnie tych powodów, które wymieniłaś. Głównie dlatego, że taka jest wola Meicala, a on jest, jak sama wiesz, Ben-Elim, a więc wie, o czym mówi. Serce jednak cicho przypomina mi o przysiędze, którą złożyłem Edanie. Nie mogę jej wyrzucić



z głowy.

Naraz rozległ się głośny trzask. Wszyscy odwrócili się gwałtownie i ujrzeni Coralen, patrzącą ze złością na pęknięty kij w swych dłoniach. Gdy poczuła na sobie spojrzenia pozostałych, z gniewnym parsknięciem wrzuciła drewno do strumienia, po czym wstała i odeszła.

– Co ją ugryzło? – spytał Corban.

Brina wybuchnęła śmiechem.

## Rozdział trzydziesty piąty

# FIDELE

Fidele stała w komnatach Lamara, znajdujących się na samym szczycie wieży, i spoglądała przez okna na okoliczny krajobraz – wapienne klify otaczające zatokę niczym gigantyczna podkowa oraz morze rozpościerające się dalej. Fale upstrzone były licznymi czarnymi żaglami, przypominającymi ogromne stado kruków.

Vin Thalun. Kiedy my się ich pozbędziemy?, zastanawiała się Fidele.

Obleżenie trwało już cały księżyc, a Lykos znajdował się gdzieś pod murami Ripy. Nie miała co do tego wątpliwości. Kiedyś, jeszcze nie tak dawno temu, na samą myśl o tym zawładnąłby ją strach do spółki z gniewem. Teraz coś innego zajmowało jej myśli.

Ktoś inny, poprawiła sama siebie. Maquin. Czuję się... szczęśliwa.

Od przebudzenia Maquina i ich pocałunku upłynęło dziesięć dni.

Powiedział mi, że dla mnie odwrócił się do śmierci plecami, pomyślała.

Tak naprawdę to nie musiał nic mówić. Gdy patrzyła, jak osuwa się na polepę sali biesiadnej, była przekonana, że go straciła. Coś w niej wówczas umarło. Ulga na widok Maquina, gdy się przebudził, zalała ją niczym ciemna, potężna fala.

To idiotyczne, pomyślała, ale mimo to czuła się szczęśliwa, po raz pierwszy od czasu... Od czasu, gdy żył jeszcze Aquilus. Powinno mi być przykro. Przecież mój mąż rozstał się z tym światem, ale od tej chwili upłynęły całe lata.

– Moja pani? – odezwał się ktoś za nią.

Odwróciła się i ujrzała Peritusa stojącego obok ich stołu narad, zasłanego mapami, tacami z jedzeniem i dzbanami wina.

– Tak? – odezwała się.

– Mamy mnóstwo rzeczy do omówienia. Jesteś gotowa, by do nas dołączyć?

– Oczywiście – odparła i wróciła do swego miejsca przy stole. Zasiadał przy nim również Lamar w asyście synów: Krelisa i Ektora oraz Peritus, ongiś wojewoda Tenebralu, zastąpiony przez króla Nathaira Veradisem. – Usłyszałam od gońca, że macie wieści – rzekła.

– To prawda – stwierdził Lamar, który wyglądał nieco starszej niż podczas ich ostatniego spotkania. Policzki zwisały mu niczym płyty stopionego wosku, ale spojrzenie pozostało ostre i przenikliwe.

– Marcellin ruszył w pole – rzekł Peritus. – Zebrał swą drużynę oraz oddziały orlej straży, rozesłane na wszystkie strony z bezsensownych powodów, gdy... – Urwał i spojrzał do wnętrza kielicha. – Rozesłane na granice królestwa przez Lykosa.

Fidele nabrała głęboko tchu, słysząc te słowa. Lykos, zawładnąwszy nią za pomocą magii, rządził dzięki niej całym Tenebralem. Fidele bezwolnie podpisywała sporządzone przez niego rozkazy, przemieszczające większość lojalnej wobec niej orlej gwardii na odległe rubieże Tenebralu ze względu na rzekome zagrożenie ze strony olbrzymów bądź banitów. Powody były wysrane z palca – Lykosowi zależało tylko na tym, by Vin Thalun byli w stanie kontrolować sytuację w Jerolin. Fidele wiedziała, że nie miała na to wpływu, ale mimo to nie mogła opanować wstydu.

– To dobre wieści – oznajmiła.

– Zapewne przekonał go twój list, pani – rzekł Peritus.

Marcellin, baron Ultas, zamknął bramy przed Lykosem i Vin Thalun, ale nie wydawał się skłonny do podjęcia jakichkolwiek innych działań w obronie Tenebralu. Rezydował na północnym wschodzie królestwa, u podnóża gór Agullas, daleko od Jerolin i głównych wydarzeń politycznych.

– Cieszę się, że przydałam się na coś – odparła Fidele. – Ilu ludzi idzie z nim? I ile czasu minie, nim tu dotrze?

– Nie znamy liczebności jego sił. Marcellin jest w stanie zebrać dwa tysiące zbrojnych, a jeśli prowadzi również oddziały, które zostały wysłane z Jerolin...

– Peritus wzruszył ramionami. – Cóż, myślę, że prowadzi przynajmniej trzy i pół tysiąca mieczy, a przypuszczalnie więcej. A jeśli chodzi o czas, myślę, że minie przynajmniej księżyc, nim do nas dołączy.

– A więc musimy wytrzymać jeszcze kolejny księżyc.

– Damy radę – rzekł Lamar. – Mamy odpowiednio dużo zapasów.

Spojrzał na Ektora, który potwierdził skinieniem głowy.

– Mam ogromną ochotę wyjść w pole i pokazać tym Vin Thalun, do czego

zdolni są mężczyźni z Ripy – warknął Krelis. – Nie musimy siedzieć i czekać, aż Marcellin nas ocali.

– A właśnie, że musimy – zwrócił się do niego Peritus. – Masz pod rozkazami osiem setek zbrojnych, a liczebność Vin Thalun rośnie. Co rusz przybywają kolejne okręty. Mają tu przynajmniej dwa tysiące zbrojnych. Wraz z hufcem Marcellina zmiażdżymy ich i damy im lekcję, na jaką sobie zasłużyli. Chyba że, oczywiście, w międzyczasie powróci do nas król Nathair.

Zwrócił spojrzenie na Fidele.

Nathair. Jeszcze nie tak dawno tęskniłam za jego powrotem. Sądziłam, że uwolni mnie spod czaru Lykosa i pomści moją krzywdę. Teraz nie jestem już tego taka pewna, myślała Fidele.

Spojrzała na przyglądającego się jej Ektora. Od czasu, gdy opowiedział jej o przepowiedni i przeczytał jej treść zwojów olbrzymów, nie mogła się pozbyć dręczących ją wątpliwości.

A jeśli Calidus wcale nie jest Ben-Elim? Jeśli on jest Kadoshim?, zastanawiała się.

Gdyby jej obawy się spełniły, Nathair znalazłby się w wielkim niebezpieczeństwie.

A to, co Lykos mówił na temat Nathaira... Że niby mój syn również znalazł się po uszy w tarapatach...

Nie wyczekiwała już powrotu syna, a bywały chwile, gdy przychodziło jej go głowy, iż tak naprawdę nie chce, by wracał. Bała się, że jej złe przecucie może przeistoczyć się w coś więcej niż tylko paranoiczne lęki matki oddzielonej od dziecka.

– Obawiam się, że zadania Nathaira uniemożliwią mu dotarcie na nasze brzegi jeszcze przez kilka księżyców – powiedziała Fidele. – Musisz zachować cierpliwość, Krelisie.

Wojownik uniósł puchar i wysuszył go do ostatniej kropli.

– Cierpliwość – warknął i odstawił naczynie z hukiem, a potem westchnął. – Tak, wiem. Macie rację, ale ja już naprawdę mam dosyć siedzenia na tyłku. Nie przeszkadzało mi to, że Lykos wysyłał kolejne bandy swoich na mury. Przynajmniej miałem coś do roboty.

– Ale być może będziemy mogli się czymś zająć – odezwał się Peritus. – Rozmawiałem z twoimi zwiadowcami.

– Tymi, którzy powrócili z Sarvy?

– Tak. Mówią, że widzieli Vin Thalun w ruinach Balary.

– Może zakładają tam jakieś centrum dowodzenia – powiedział Krelis.

– Miałoby to sens – rzekła Fidele. – To tam odkryliśmy owe jamy gladiatorów, nieprawdaż?

– Tak, moja pani – odparli jednocześnie Krelis i Peritus.

Fidele nadal pamiętała smród śmierci i dzikość oraz zalęknienie w oczach gladiatorów, których wówczas ocalili.

Przez co oni musieli przejść...

Jej myśli powróciły do Maquina.

Jak on to przeżył? Znała odpowiedź na to pytanie.

Po prostu trwasz. Zagrzebujesz się głęboko w swej duszy i czekasz, ale z takiej matni nie wychodzi się bez uszczerbku.

– Powiedziałeś, że moglibyśmy czymś się zająć? – Krelis zwrócił się do Peritusa.

– Myślę, że najwyższy czas przestać siedzieć na tyłku i popijać przez cały dzień wino. Pora przejąć inicjatywę – rzekł tamten i spojrzał znacząco na Krelisa.

– Podoba mi się ten pomysł. – Krelis wyprostował się. – Co dokładnie proponujesz?

– Nocne wypad. Nic dużego, bo skomplikowane operacje zazwyczaj biorą w łeb po ciemku. Można by zabić kilku Vin Thalun stojących na warcie, połamać osie w ich wozach, może spalić jakiś statek. Dobrze by było też przyrzeć się Balarze i sprawdzić, czy i tam da się napsuć im krwi.

– Czy to mądre? – spytał Ektor. – Jak sam powiedziałeś, plany przeprowadzane po ciemku najczęściej źle się kończą, a nas nie stać na utratę kolejnych wojowników. A kto stanie na czele tych wypadów? – Uniósł brew i spojrzał na Krelisa, który wznosił puchar i wyszczerzył zęby. – Kiepski pomysł – stwierdził Ektor. – Jesteś jednym z najważniejszych wojowników Ripy. Twoja śmierć zniszczyłaby morale reszty naszych ludzi. Nie wolno ci ryzykować.

– Och, bracie, nie wiedziałem, że ci na mnie zależy.

– Nie zależy, jeśli mam być szczery, ale nie chcę, by Ripa padła, a twoja obecność jest fundamentem naszego hufca. Jeśli zginiesz, wszystko się posypie.

– Idę i tyle – rzekł Krelis.

– Byłoby to skrajną głupotą. Ewentualne korzyści są niewspółmierne do ryzyka.

– Ektor ma rację, Krelisie. Nie możesz opuścić Ripy – dodał Lamar.

Wojownik skrzywił się, ale powstrzymał się od riposty.

– Pomóż nam zaplanować wypad – rzekła Fidele. – Ektor może sobie gadać, co chce, ale ja wiem, że jesteś utalentowanym strategiem.

– A ty jesteś świetną dyplomatką, moja pani. – Krelis uśmiechnął się do niej.

\* \* \*

Fidele szła oświetlonymi blaskiem pochodni korytarzami w stronę komnaty Maquina. Zatrzymała się przed drzwiami, czując, jak jej serce bije nieco szybciej z ekscytacji, a potem otworzyła drzwi.

Maquin stał plecami do niej i wyglądał przez okno. Po trwającej dziesięć dni rekonwalescencji przybrał nieco na wadze i nie wydawał się już tak straszliwie wychudzony jak wcześniej. Miał na sobie zwykłą płócienną tunikę, którą przewiązał w talii.

Fidele podeszła do niego. Maquin odwrócił się i delikatny uśmiech złagodził ostre rysy jego twarzy. Oboje stopnieli na moment w objęciach. Odsunęli się, gdy w korytarzu rozległy się czyjeś kroki, po czym znów wtulili się w siebie.

Czuję się jak winna występku dziewczica, pomyślała Fidele.

Maquin uśmiechnął się do niej krzywo.

– Niewiele widać o tej porze – powiedziała, wyglądając na zewnątrz. Na wodach ciągnącej się w dole zatoki migotały światła, wskazujące pozycje okrętów Vin Thalun. Dobrze wiedziała, czemu się przygląda.

Zasiadał za wiosłem na takich okrętach. Być może nawet na jednym z nich, pomyślała.

Dużo rozmawiali przez ostatnie dziesięć dni po jego przebudzeniu. Opowiedział jej o swej młodości w Isiltirze, o swej rodzinie i przyjacielach, o Kastellu, Gadrai, Jaelu, Lykosie i wszystkich wydarzeniach, które miały miejsce po drodze. Zupełnie się rozkleił, gdy opowiadał o Kastellu, na co Fidele objęła go i trzymała przez dłuższą chwilę, czując, jak szloch wstrząsa jego ciałem. Potem ona mówiła mu o swoim życiu, dorastaniu w Jerolin oraz o życiu i śmierci Aquilusa. Mówiła o zasadach, którym pozostawał wierny, o radzie, o postulowanym przez niego sojuszu. Opowiadała o Nathairze, o nadziejach, jakie z nim wiązała, oraz o matczyńskich lękach. W końcu dotarła również do Lykosa. Wyznała, jak przywódca piratów zdobył nad nią władzę

i w końcu ją poślubił w dniu, kiedy Maquin został zmuszony do walki z Orgullem.

– Jak przebiegła narada? – zapytał.

– Całkiem nieźle – odparła Fidele i podzieliła się z nim wieściami o rychłej odsieczy Marcellina oraz planach nękania Vin Thalun, co zainteresowało go bardziej.

– Kiedy? – spytał.

– Niebawem. – Fidele wzruszyła ramionami. – Za kilka dni, może dziesięć. Peritus zaproponował, by przeprowadzić kilka uderzeń tej samej nocy. Chce wypuścić trzy, cztery grupy na różne cele. Twierdzi, że jeśli uderzą tylko na jeden cel, nie będą mieli szansy ponowić ataków kolejnej nocy, bo Vin Thalun będą się już mieli na baczności.

– Ma to sens – mruknął Maquin i przeciągnął się, poruszając szyją i ramionami. – Pora, bym się wziął za siebie. Może czas już poćwiczyć walkę? Ciało boli mnie bardziej od bezczynnego leżenia niż od przedzierania się przez lasy Tenebralu wraz z tobą.

Uśmiechnął się do niej. Znów opadły ich wspomnienia.

Ich wspólna ucieczka była przerażającym doświadczeniem, wyczerpującym zarówno fizycznie, jak i umysłowo, ale teraz Fidele złapała się na tym, że wspomina ich wspólną wędrówkę z Jerolin do Ripy niemalże z nostalgią. Jakie to wszystko było proste. Mieli siebie nawzajem i drogę przed sobą. A teraz? Czuła szczęście o wiele większe niż kiedykolwiek wcześniej, ale złe przeczucie z dnia na dzień stawało się coraz silniejsze.

Ktoś zapukał do drzwi, odczekał chwilę i otworzył je. Fidele i Maquin ujrzeli Albena. Stary wojownik wydawał się zmęczony, ale poruszał się zwinnie jak zawsze. Pochylił przed nimi głowę.

– Jak się miewa mój cudownie ozdrowiały pacjent? – spytał i podszedł do Maquina, by jak zwykle sprawdzić jego puls i temperaturę, a potem ranę brzucha, z której pozostało tylko niewielkie wybrzuszenie przecięte blizną.

– Nosi mnie – odparł Maquin.

– Nie dziwię się – rzekł Alben. – Ludzie tacy jak my, przez całe życie nawykli do ćwiczeń i rutyny, źle znoszą bezczynność. Poza tym to dobry znak, bo zarówno umysł, jak i ciało dają ci do zrozumienia, że jesteś gotowy. Najwyższy czas pokazać ci dziedziniec treningowy.

– Poćwiczysz ze mną? – spytał Maquin.

– Będziesz musiał dawać mi fory.

– Albo ty mnie! – roześmiał się Stary Wilk.

– A więc widzimy się rano. – Alben uśmiechnął się doń i odwrócił się ku drzwiom, ale zawahał się. – Powinniście wiedzieć, że ludzie zaczynają o was gadać – rzekł.

Fidele przez chwilę nie mogła złapać tchu. Alben odwrócił się, by na nich spojrzeć. W jego oczach malował się smutek przemieszany z troską.

– No, mów – zachęcił go Maquin.

– Wojna zmienia ludzi, bo uświadamiają sobie własną śmiertelność, a najczęściej zadawanym pytaniem staje się: umrzemy dziś czy jutro?

– Przeżyłem w tym stanie więcej lat, niż jestem w stanie zliczyć – warknął Maquin. – To nie kaprys, który ulatuje.

– Nie chcę cię osądzać. – Alben wzruszył ramionami. – Ale wiedźcie, że szerzą się plotki o królowej i gladiatorze. Rzadko się zdarza, że wychodzisz z tej komnaty, Fidele.

– Nie jestem królową – szepnęła kobieta.

– Dla nich nadal nią jesteś. – Alben zatoczył ręką łuk. – Mieszkańcy Ripy, ci, którzy przetrwali, postrzegają ciebie jako królową, przynajmniej pod nieobecność Nathaira.

Fidele nabrała tchu i wyprostowała się.

– Zostałam skazana na życie w cierpieniu i byłam przekonana, że dobiegło ono końca. Że trafiłam do piekła na ziemi, skąd już się nie wydostanę. Mimo to dotarłam tu. Mimo to żyję.

Uświadomiła sobie, że sięga dłonią ku Maquinowi, choćby po to, by go dotknąć.

– Nie będę się tego wypierać. Nie szukałam tego, ale skoro przyszło, nie będę udawać, że nie istnieje.

– Nie musisz się przede mną bronić ani tłumaczyć, moja pani. Jestem zarówno wojownikiem, jak i uzdrowicielem. W moim świecie życie i śmierć mieszkają razem i razem sypiają, oddzielone jedynie oddechem. Każde życie trzeba dobrze przeżyć, a czym by ono było bez pasji i miłości? – Alben wzruszył ramionami i dodał: – Ale przyszło mi do głowy, że powinniście o tym wiedzieć. I tyle.

– Dziękuję – rzekł Maquin.

Zbrojmistrz wyszedł z komnaty, a Maquin wbił wzrok w Fidele.

– Nie wyrzeknę się ciebie – powiedziała z przekonaniem.

– Pamiętaj, że dla ciebie powróciłem ze świata zmarłych do świata żywych.



– Mężczyzna wyszczerzył zęby. – Plotki raczej nie napędzą mi strachu.

## Rozdział trzydziesty szósty

# CORBAN

Corban zarzucił siodło na grzbiet Tarczy i zabrał się za zapinanie uprzęży. Koń odwrócił łeb i trącił go lekko pyskiem. Gdy młodzieniec skończył pracę, otoczył ramionami kark swego rumaka i wtulił twarz w jego łopatkę. Trwał w tej pozycji przez moment, wsłuchując się w rytm serca i równomierny oddech zwierzęcia, aż podniósł głowę i zaczął rozplątywać jakiś supeł w jego grzywie.

– Czeka nas dziś wielki dzień – powiedział. – I wolałbym chyba zostać tu i zajmować się tobą, niż iść tam.

Zerknął na grupę ludzi, która zebrała się na czele hufca. Przewodził im Meical.

Tarcza przyjrzał się Corbanowi swymi ciemnymi, lśnącymi oczami i zarżał, a potem tupnął kopytem.

– Tak, wiem – mruknął młodzieniec i wskoczył w siodło. – Prawda i odwaga – dodał i ruszył powoli w stronę Meicala.

Słońce wyłoniło się już zza horyzontu, a na niebie nie było ani jednej chmury. Tego dnia za radą Meicala zrezygnowali z tańca miecza i ćwiczeń w walce. Ben-Elim uważał, że szybkość jest o wiele ważniejsza od treningu, a Corban był skłonny się z nim zgodzić.

Chcę się wydostać z Narvonu, pomyślał.

Po chwili dostrzegł ciemny punkcik krążący wysoko na niebie i zmarszczył brwi.

Kartala. Musimy zrobić coś z tym cholernym ptakiem.

Spojrzał na swoje palce, obolałe i pulsujące od szycia, które zajmowało go przez cały poprzedni wieczór.

Zatrzymał się przed Meicałem, Tukulem i Balurem Jednookim. Reszta wojowników, gotowa do drogi, zgromadziła się za nimi i przysłuchiwała

rozmowie.

– Balurze, poprowadzisz nas do Ardanu? – spytał Corban.

Odczekał, aż wszyscy w pełni zrozumieją to, co powiedział. Meical siedział wyprostowany w siodle, a jego jedyną reakcją było lekkie zaciśnięcie ust, być może też na moment zeszywniały mu ramiona. Przez chwilę, która rozciągnęła się na sto uderzeń serca, mierzyli się spojrzeniami, aż Meical ostro skinął głową, a Corban wypuścił powietrze z płuc. Nie miał pojęcia, że wstrzymywał oddech.

– Do Ardanu – powiedział Balur i ruszył naprzód, a hufiec, niczym bestia wyrwana ze snu, podążył za nim.

\* \* \*

– Na wschodzie leży Dun Cadlas. – Balur zwrócił się do Corbana, gdy przemierzali dolinę o zielonych zboczach. – To forteca Owaina, z której władał Narvonem. Rhin bez wątpienia trzyma tam silny garnizon.

– Też tak sędę – odparł Corban.

A więc dobrze będzie wyminąć to miasto z daleka, zdecydował.

Coralen puściła się już przodem z garścią zwiadowców, w tym również z Dathem. Corban poprosił ją, by odnalazła konkretne miejsce na wieczorny obóz, na co dziewczyna skrzywiła się tylko i odjechała.

Czyżby też chciała się udać do Drassil?, zastanawiał się.

– Wyminiemy twierdzę szerokim łukiem, a potem wejdziemy na stary trakt – ciągnął Balur. – To najszybsza droga.

Olbrzym zazwyczaj nie dzielił się wiedzą, a odzywał się jedynie wtedy, gdy Corban zadawał mu jakieś pytanie.

Zadudniły kopyta. Bokiem przejechał Meical, który skinął na młodzieńca, ale nie powiedział ani słowa.

Dzięki ci za to, Elyonie, pomyślał Corban.

Szybko pokonywali milę za milą i już w południe dotarli z powrotem do traktu olbrzymów, którym wędrowali praktycznie od Murias.

– Dun Cadlas zostawiliśmy dziesięć mil za nami, a most prowadzący do Ciemnego Boru jest czterdzieści mil przed nami – rzekł Balur.

Droga była w lepszym stanie, przez co panował na niej większy ruch. Corban co rusz widział przed sobą postacie, które zsuwały się po nasypie i umykały w poszukiwaniu schronienia. Nikt nie pozostał na trakcie, by

rzucić im wyzwanie. Co chwila spoglądał też na niebo, ale za każdym razem odnajdywał na nim skrzydlaty kształt i przeklinał pod nosem.

Przez cały dzień nie natrafili na żaden opór, w co Corban nie mógł uwierzyć. Gdy słońce zaczynało się już zlewać z horyzontem, wjechali na wzniesienie, z którego młody wojownik ujrzał niekończący się zielony ocean liści i konarów.

Ciemny Bór.

Puszcza wciąż znajdowała się w odległości niecałego dnia drogi wśród pomniejszych lasów i pagórkowatych łąk. Na zachodzie Corban dostrzegł łańcuchy wzgórz, przechodzące w górskie szczyty.

Dziś tam nie dotrzemy, pomyślał.

Na drodze przed nimi pojawił się ciemny, szybko powiększający się punkt, który po chwili przerodził się w trójkę jeźdźców i biegnącego obok nich wilkuna.

Coralen!

Dziewczyna odnalazła miejsce na obozowisko idealnie odpowiadające wymogom Corbana. Było to łagodne, zalesione zbocze, dołem którego płynął strumień. Słońce barwiło niebo na różowo, gdy jeźdźcy zaczęli zeskakiwać z siodeł i zabezpieczać obszar.

Gdy wszyscy byli już zajęci, Corban udał się na poszukiwanie Crafa.

– Do roboty – rzekł, na co kruk zatrzepotał skrzydłami i wzbił się do lotu. Jego ruchom brakowało gracji, ale liczyło się to, że leciał po raz pierwszy od śmierci Fecha.

„Craf nie poleci” – oznajmił jeszcze wczoraj, gdy młodzieniec wyłuszczył mu swój zamiar.

Teraz wznosił się coraz wyżej. Dotarł do konarów, ale nie przestawał się piąć, aż wzniosł się ponad korony drzew i pomknął ku otwartemu niebu. Krążył tam przez jakiś czas, a Corban był przeświadczony, że spogląda w dół na nich.

„Nie prosz go o to – powiedziała wczoraj Brina. – To nie w porządku. Jest stary i sporo przeszedł”.

– Zaraz wróci – mruknął Corban, nie kierując swoich słów do nikogo konkretnego.

Craf tymczasem piął się coraz wyżej, aż skierował się na północ.

„Nie chcę go o nic prosić – odpowiedział Brinie. – Ale nie widzę innej możliwości”.

Oślonił dłonią oczy i powiódł wzrokiem za Crafem, który rozmiarem przypominał już niewielką plamkę.

Jesteśmy w obcym kraju, zewsząd otoczeni przez wrogów. Coralen i jej zwiadowcy uratowali nam życie już dziesiątki razy, ale potrzebujemy zwiadu powietrznego, pomyślał.

Craf znikł mu z oczu i Corban znów wszedł między drzewa. Spojrzał za siebie, by mieć pewność, że nikt nie pozostał na otwartym terenie. Jedyne Brina stała wciąż na trawiastym zboczu i patrzyła w niebo z niepokojem. Miała bladą twarz.

– Chodź już! – zawołał Corban i wyciągnął ku niej rękę.

Brina obrzuciła go kwaśnym spojrzeniem, ale pośpiesznie skryła się w cieniu drzew. Cofnęła dłoń, nie chcąc go dotknąć.

Po prawej stronie Corbana, przy wielkim pniu, stał Balur, po lewej inny olbrzym. Drzewa wokół nich tworzyły coś na kształt bramy prowadzącej w głąb lasu. Młodzieniec spojrzał w górę i ujrzał Datha, który siedział na gałęzi najwyższego drzewa i machał nogami. Jego przyjaciel miał najbystrzejszy wzrok w całym hufcu.

– Widać coś?! – zawołał do niego.

– Nic! – odkrzyknął Dath.

Corban przełknął ślinę.

„Craf tego nie zrobi – mówił mu kruk. – Craf się boi. To zbyt niebezpieczne. Można zginąć”.

„Wiem, że to niebezpieczne – odparł Corban. – Ale konieczne. Proszę, pomóż nam, Craf. Bądź odważny i zrób to dla nas. Będziesz mógł jako pierwszy dobrać się do wszystkiego, co złapie Burza”.

„Wszystkiego?” – spytał Craf.

„Tak, wszystkiego”.

„Jako pierwszy? Nie ostatni?”

„Tak. Masz moje słowo”.

Craf zwiesił łebek, pogrążony w rozmyślaniach.

„Pyszne kąski na nic, jeśli Craf nie żyje” – wykrakał.

„Przecież nie zginiesz, Craf”.

„Corban nie wie. Fałszywa obietnica”.

„No dobra. Nie sądzę, byś miał zginąć” – poprawił się Corban.

– Widać coś?! – znów wrzasnął do Datha.

– Nie... Zaraz, chyba coś widzę. Tak, wraca!

– Jest sam?

– Nie. Ten drugi go ściga.

Corbanowi serce podeszło do gardła. Brina zbliżyła się, nie wiedząc dlaczego. Młodzieniec nie miał pewności, czy ludzkie towarzystwo przynosiło jej ulgę czy może chciała stać bliżej, by móc go zabić, jeśli Crafowi zostanie wyrządzona krzywda. Mijało jedno uderzenie serca za drugim.

– Już prawie tu są! – zawołał Dath. – Ten drugi jest tuż za nim!

Po trzasku gałęzi zorientowali się, że młodzieniec zaczął się zsuwać w dół.

Było tak jak poprzednim razem, gdy Craf wyruszył na misję zwiadowczą, został dostrzeżony przez jastrzębia i w panice zawrócił ku hufcowi.

Elyonie, błagam cię, oby tylko nie skończyło się tak jak ostatnio!, pomyślał Corban.

Craf mknął ku koronom drzew, aż wpadł między listowie i nadal leciał w dół zbocza. Chwilę później pojawił się jastrząb z wyciągniętymi szponami i skrzydłami ułożonymi w pozycji do ostrego nurkowania. Craf jakoś zdołał skrócić i pędził teraz ku Corbanowi, tłukąc co sił skrzydłami. Jastrząb, który był o wiele lepszym lotnikiem, również skrócił, nie zwalniając ani odrobiny.

Dalej, Craf!, pomyślał Corban.

Ogromnym wysiłkiem woli zmusił się do zachowania bezruchu i modlił się, by nikt z pozostałych nie drgnął. Kruk był coraz bliżej pierwszych gałęzi. Wkrótce ze świstem piór przeleciał pod konarami. Jastrząb ścigał go w odległości tuzina uderzeń skrzydeł. Craf przemknął nad głową Corbana.

– Teraz – ryknął młodzieniec.

Balur wraz z drugim olbrzymem szarpnęli za trzymane w rękach liny, zawczasu zarzucone na konary drzew, pod którymi stali. Przywiązano je do pracowicie zszytych przez Corbana, Brinę i Cywen pół setki płaszczy, które teraz wystrzeliły w powietrze. Niespodziewana przeszkoda pojawiła się tak gwałtownie, iż wydała się sprawką czarów, magiczną barierą między Crafem i ścigającym go jastrzębiem.

Drapieżnik uderzył w płaszcze z głośnym łupnięciem. Leciał tak szybko, że niemalże przebił się na wylot, ale w tejże chwili olbrzymy wypuściły liny i ogromna tkanina, uwięziwszy ptaka, runęła ku ziemi. Jastrząb wściekle trzepotał skrzydłami, próbując się uwolnić. Zdołał się obrócić w powietrzu, nadal tłukąc skrzydłami, ale wtedy zahaczył o ziemię i przetoczył się po niej. Zerwał się i przez moment trwał w oszołomieniu, aż rozłożył skrzydła, uderzył nimi raz i wyskoczył w powietrze.

Jakaś strzała wbiła mu się w skrzydło. Obrócił się i upadł. Corban spojrzął za siebie i zobaczył Datha sięgającego po kolejną strzałę. Obok stała Coralen z napiętym łukiem. Grot przebił ciało ptaka, a kolejny, wypuszczony przez Datha, przybił go do ziemi. Jastrząb zaskrzeczał dziko.

Znów rozległ się łopot skrzydeł i na ciełe umierającego jastrzębia wylądował Craf, przygważdżając go szponami. Choć drapieżnika opuszczały już siły, dziobnął najmocniej jak umiał, próbując dosięgnąć kruka, ale ten odbił cios, po czym sam zaczął dziobać. Tłukł w łeb jastrzębia raz za razem, aż ten znieruchomiał.

– Za Fecha – zakrakał Craf, unosząc zakrwawiony dziób.

– Za Fecha – powtórzył Corban.

Wokół rozległy się wiwaty.

\* \* \*

Corban z Burzą u boku wszedł między drzewa. Nawet nie zarejestrował strzegących go Jehar, idealnie skrytych wśród cieni. Oparł się plecami o pień i usiadł, a Burza skuliła się u jego stóp. Czuł wielką ulgę na myśl, że wreszcie wyeliminował Kartalę, ale jeszcze większą ulgę sprawiło mu to, że Crafowi nie stała się krzywda. Cały hufiec świętował to małe zwycięstwo. Otwarto nawet ostatnie beczki miodu, zdobyte podczas bitwy na północy, choć świadomość, że nadal przebywali na terytorium wroga, nie pozwalała na pełnię radości.

Teraz jednakże Corbanowi dokuczał potężny ból głowy i miał ochotę choć przez chwilę być sam, z dala od wszelkich pytań.

Naraz rozległy się kroki, niemalże niesłyszalne na leśnym poszyciu. Był to Meical, który usiadł obok młodzieńca.

– A więc teraz do Ardanu i Edany – odezwał się cicho.

– Tak. – Corban wciągnął głęboko powietrze w płuca. – Nie chcę cię urazić, Meicalu. Ocaliłeś mi życie. Wyrwałeś mnie prosto sprzed tronu Asrotha, szedłeś za mną przez dzicz północy, doradzałeś mi i walczyłeś u mego boku. Nie ocaliłbym Cywen, gdyby nie ty. Nie ma słów, w których zdołałbym zawrzeć swą wdzięczność. A ponadto jesteś Ben-Elim. Ale...

– Tak, wiem. Serce każe ci dotrzymać obietnicy – westchnął Meical, lecz Corban miał wrażenie, że napięcie, którego dopatrzył się u mężczyzny dzień rano, częściowo go opuściło.

– Tak – powiedział po prostu.

Jehar przyniósł dwa kubki, z których jeden podał Corbanowi. Ten ujął naczynie i upił nieco miodu.

– Z początku byłem na ciebie zły – rzekł Meical. – Ale rozmyślałem o tym przez cały dzień i teraz jestem już tylko rozdrażniony. Aha, i zaniepokojony.

Corban nic nie powiedział. Czekał w milczeniu, czego nauczył się od Briny.

– Od wyjazdu z Murias przydarzyło nam się parę kłótni – ciągnął Meical. – Elyon najwyraźniej utkał nas z innej tkaniny. Ja kieruję się obowiązkiem i posłuszeństwem wobec Elyona, którego nie mącą żadne emocje, podczas gdy w tobie i twoich pobratymcach dostrzegam uczucia, kryjące się za każdą decyzją. Napędzające każdą decyzję. – Przetarł oczy. – Nie wiem, czy to dobre czy złe, ale skoro Elyon takim cię uczynił, muszę to zaakceptować. Nie zawsze przychodzi mi to łatwo.

Zerknął na Corbana, a przez jego usta przemknął cień uśmiechu.

Odkąd go poznałem, nigdy nie wydawał mi się taki ludzki, pomyślał młodzieniec.

– Dziękuję ci za to, że nie sprzeciwiłeś mi się przed nimi wszystkimi – rzekł.

– Miałbym najpierw deklarować, że będę za tobą podążał, a potem się wymawiać? Miałbym ci towarzyszyć tylko wtedy, gdy robiłbyś to, co zechcę? Jaki by to miało sens? A ja... Cóż, może muszę się jeszcze niejednego nauczyć.

– Meical wzruszył ramionami i dodał: – Udam się wraz z tobą do Ardanu, Corbanie. Żałuję, że nie jedziemy do Drassil, bo czuję, że to właśnie tam odżyje nasza nadzieja, ale nie jestem Elyonem i nie wiem wszystkiego.

Znów wzruszył ramionami i upił łyk miodu.

– Sądzisz, że odniesiemy zwycięstwo? – Corban podzielił się wątpliwością, która nie odstępowała go od chwili, gdy się budził, do momentu, gdy zasypiał.

– Zwycięstwo? Nie wiem. Nie zliczę, od ilu lat przygotowywałem się do tych dni. Nie szczędzę sił, a mimo to wiele moich planów skończyło się fiaskiem bądź zostało pokrzyżowanych przez Asrotha i jego sługę Calidusa. Wydawało mi się, że odnalazłem najlepszych ludzi pod słońcem, którzy mogliby stawić czoło Asrothowi i jego Czarnemu Słońcu, zarówno królów, jak i zwykłych ludzi. Ale tylu z nich już nie żyje. Aquilus z Tenebrału, Braster z Helvethu, twój własny władca, król Brenin, i wielu innych.

– Brenin cię znał?

– Och, tak. Był jednym z pierwszych, którzy złożyli mi przysięgę, i jednym



z nielicznych, którzy znali prawdę o tobie. Jednym z tych, którzy zostali zamordowani na skutek spisków Asrotha i Calidusa.

Nieświadomie przeżywałem dzieciństwo pod jego rządami, a Wojna Bogów już trwała, pomyślał Corban.

– Śniłeś mi się zeszłej nocy – oznajmił.

– Ja?

– Tak. W Zaświecie.

– Przecież już wiesz, że Zaświat to nie sen. – Meical spojrzał na niego z troską.

Corban pokiwał głową.

– I co się wydarzyło w tym śnie?

– Znalazłem się w dolinie, która była piękna, nie taka jak inne miejsca w Zaświecie, które widziałem. Były tam wysokie klify i wodospady. Ty też tam byłeś. Widziałem, jak lecisz. Wylądowałeś na wysokiej skale, powitałeś swoich pobratymców i wszedłeś do jaskini.

– To się naprawdę wydarzyło. – Meical zmarszczył brwi. – Wróciłem do Zaświatu zeszłej nocy. To niebezpieczne nawet dla mnie, ale chciałem spędzić choć chwilę w domu i porozmawiać z bliskimi.

Doskonale to rozumiem, przemknęło Corbanowi przez myśl.

– Chciałem się udać za tobą, ale się bałem i po prostu włączyłem się to tu, to tam...

Corban usiłował przypomnieć sobie coś więcej, ale widział tylko zamazane obrazy. Meical pochwycił go za ramię. Jego palce były twarde niczym żelazo.

– Nie wolno ci tego powtarzać, jasne? Zrozum, Asroth szuka cię tam, a jeśli zostaniesz znaleziony...

Meical pokręcił głową.

– Nie wiem, jak to powstrzymać.

– A więc obiecaj mi, że jeśli znajdziesz się tam ponownie, schowasz się i nie będziesz się ruszał. Kadoshim Asrotha latają wysoko niczym ów jastrząb, którego dziś złapałeś. Zobaczą cię, nim zorientujesz się w sytuacji. A oni nie są jedynymi niebezpieczeństwami, które czyhają w Zaświecie. Można się tam natknąć na zbłąkane duchy, które wyrządzą ci krzywdę, jeśli będą miały okazję.

– Zbłąkane duchy?

– Tak. Nasi krewni, którzy poszli w swoją stronę, nie chcą dołączyć ani do Ben-Elim, ani też do Kadoshim. Przybrali nowe formy, które są

odzwierciedleniem ich dusz. Niektóre z nich stały się dość dzikie. – Zamknął na moment oczy, a gdy je otworzył, złapał młodzieńca za nadgarstek. – Obiecuj mi, że się schowasz.

– Obiecuję – rzekł Corban.

– Dobrze – mruknął Meical, uspokajając się odrobinę.

– Jak doszło do tego, że ty i Calidus znaleźliście się tutaj, na tym padole?

Meical zajął do swego kubka i zakręcił jego zawartością.

– To część proroctwa. Jeden z objawionych ma należeć do Ben-Elim, a drugi do Kadoshim. Elyon, jak sądzę, chciał w ten sposób okazać uczciwość, choć Calidus nie do końca wie, co to oznacza.

Siedzieli przez moment w milczeniu, aż Meical się wyprostował.

– Posłuchaj, co ci chcę powiedzieć. Nieraz robiłem to, co wydawało mi się słuszne, a później okazywało się błędem, bezlitośnie wykorzystanym przez mego odpowiednika. Może więc pora, bym zrobił to, co uważam za błąd. Może to się dobrze dla nas skończy.

Uśmiechnął się do Corbana i upił nieco miodu.

– Za to chętnie wypiję – rzekł Corban i uniósł kielich.

\* \* \*

Wyruszyli następnego dnia po wschodzie słońca, choć z powodu grubych chmur świt wydawał się porą szarą i pełną cieni. Wśród wojowników panowała atmosfera oczekiwania.

Jeśli nikt nie stanie nam na drodze, dotrzemy dziś do Ciemnego Boru, pomyślał Corban. A potem do Ardanu.

Wiedzieli, że Uthandun będzie dla nich testem. Forteca zbudowana przez Uthana, syna Owaina, strzegła kamiennego mostu przerzuconego nad rzeką Afren i stanowiła naturalną bramę do Ciemnego Boru i leżącego dalej Ardanu.

Jeśli wieści o naszym nadejściu rozeszły się daleko, właśnie w Uthandun należy się spodziewać oporu, myślał Corban. Mam jednak wielką nadzieję, że wędrowaliśmy szybciej od plotek.

Pędzili naprzód bez wytchnienia, jedynie w okolicach południa zrobili krótką przerwę, by odpocząć i napoić konie. Na trakcie panował coraz większy ruch – mijali kupców z wozami wyładowanymi towarem, traperów z naręczami skór, czasami rodziny wędrujące na targ w Uthandun. Na widok

nadciągającego pędem oddziały wszyscy uciekali z traktu i próbowali się ukryć.

Słońce opadało coraz niżej.

Wędrowali teraz wśród niskich wzgórz, zza których czasami wyłaniał się leżący na południowym wschodzie Ciemny Bór. Jego widok każdorazowo budził w sercu Corbana tysiące wspomnień. Przypominał sobie, jak znalazł się na polanie pełnej trupów, jak trawił go paralizujący lęk o Cywen, jak odkrył, że została porwana wraz z królową Aloną i Edaną. Przypominał sobie wyczerpujące polowanie w środku nocy, w samym sercu Ciemnego Boru, kiedy to Burza prowadziła ich tropem porywaczy, nie myśląc się ani razu.

Z rozmyślań wyrwał go głos Tukula. Corban uniósł głowę i ujrzał samotnego jeźdźca, który pędził ku nim galopem. Była to Jehar. Enkara.

– Przed nami wojownicy Rhin – powiedziała, podjeżdżając bliżej. – Około dwóch dziesiątek. Przepuściliśmy ich, ale na wasz widok rzucą się do ucieczki, a wtedy Coralen ich zdejmie.

Corban pokiwał głową, choć w jego sercu obudził się niepokój o dziewczynę i całą resztę.

Nijak im nie pomogę, pomyślał. Wszystko już postanowione.

Na trakcie pojawili się jeźdźcy. Błysk stali i pewność, z jaką panowali nad końmi, jednoznacznie wskazywały, że byli to wojownicy. Gdy tylko stali się widoczni, zawrócili konie i popędzili z powrotem. Chwilę później Corban ujrzał, jak zatrzymują się, a potem spadają z siodeł.

To Dath i jego łuk!, przeszło mu przez myśl.

Z lasu po obu stronach traktu wypadli Jehar, wyskoczyła też Burza, która rzuciła się na jednego z jeźdźców i obaliła go razem z rumakiem na ziemię.

Corban kopnął w boki Tarczy i ruszył galopem, a reszta zbrojnych pośpieszyła w ślad za nim, ale gdy dotarli na miejsce, było już po wszystkim. Powitała ich Burza z okrwawionym pyskiem, która zatoczyła kilka kręgów wokół Tarczy. Droga była zasłana trupami ludzi i koni.

– Dwóm udało się uciec – powiedziała Coralen na jego widok. – Przykro mi.

– Ile mil dzieli nas od Uthandun? – spytał Corban.

– Kilka – padła odpowiedź.

– A więc jesteśmy za blisko, by miało to jakiegokolwiek znaczenie.

Ruszyli w dalszą drogę.

Niedługo potem wspięli się na niewielkie wzniesienie, z którego roztaczał się widok na Ciemny Bór. Kilka mil dalej na łagodnym wzgórzu niedaleko

skraju lasu leżało Uthandun. Corban ściągnął wodze Tarczy. Przez moment siedział w siodle i patrzył przed siebie.

Na łąkach wokół fortecy wzniesiono setki namiotów, wokół których niczym mrówki uwijali się ludzie, ale nie to było najgorsze. Uwagę młodzieńca przyciągnęła rzeka Afren, migocząca między łąkami a lasem. Unosiły się na niej dziesiątki okrętów z czarnymi żaglami.

## Rozdział trzydziesty siódmy

# VERADIS

Veradis patrzył przez jedno z wyższych okien Uthandun. Słońce powoli zachodziło, a jego ostatnie promienie skąpały okolicę w złocistych barwach. W oddali, gdzieś na wysokości wijącego się traktu olbrzymów, dojrzał ciemną plamę obcego hufca. Liczne ostrza lśniły w blasku słońca niczym brudne diamenty.

– Jak daleko są? – zwrócił się do Rhin.

– Dzielą nas trzy, cztery mile. – Królowa spojrzała na niego z ukosa. – To zbyt wiele, by jeszcze dziś stoczyć bitwę.

– I jesteś pewna, pani, że to Czarne Słońce?

– Tak. Czyż nie tego właśnie dowiedzieliśmy się od Calidusa? Przekazał nam, że Meical i jego marionetka, ów Corban, staną u bram Uthandun w ciągu dnia.

– Tak słyszałem od ciebie, pani, lecz samych wiadomości nie widziałem – rzekł Veradis, próbując ukryć rozdrażnienie, choć nie miał pewności, czy mu się udało.

– Wątpisz we mnie?

Teraz? Tak, przemknęło mu przez myśl.

– Nie, moja pani. Oczywiście, że nie. – Veradis wbił wzrok w nadciągający hufiec i spróbował oszacować jego liczebność w gasnącym świetle. – Ilu ich jest, zdaniem Calidusa?

– Około trzech setek.

– Mam wrażenie, że jest ich więcej.

– Trzystu, czterystu, sześciuset... – Rhin wzruszyła ramionami. – Cóż to ma za znaczenie? Masz tysiąc ludzi, ja dwakroć tyle, a na rzece czekają nasi przyjaciele Vin Thalun w liczbie pięciu setek. Calidus i Nathair są zaś w odległości czterech dni drogi na północ stąd. Czarne Słońce nie ma szans.

– Tamtym towarzyszą olbrzymy i wilkuny.

Resztki oddziału, wysłanego przez Rhin na północ, docierały do Uthandun przez ostatnie dziesięć dni. Niedobitków było w sumie około dwóch dziesiątek, a wszyscy opowiadali tę samą historię – o magicznych mgłach, olbrzymach, wilkunach i bezszelestnych, zabójczych wojownikach.

– Prawda. Wybacz, ale wydajesz się... Cóż, przestraszony.

Veradis najężył się, słysząc te słowa.

Ja? Może trochę, ale nie boję się ich, a porażki, pomyślał.

– Stawiałem już czoła olbrzymom, magicznym mgłom, wilkunom i jeszcze gorszym rzeczom – mruknął. – I nauczyłem się, że należy wszystko to darzyć szacunkiem. Odwaga nie zawsze prowadzi do zwycięstwa.

– Nie, oczywiście, że nie.

– To zwycięstwo zdaje się zbyt łatwe.

– Wojny o wiele częściej wygrywa się dzięki czyimś błędom w planowaniu aniżeli dzięki przykładom męstwa na polu bitwy. Tak przynajmniej uczy mnie doświadczenie. Zaplanuj wszystko dobrze, a gdy nadejdzie czas do ataku, uderzaj szybko i mocno.

Nigdy, przenigdy nie wolno mi zlekceważyć tej kobiety, przemknęło Veradisowi przez głowę.

– I pomyśleć, że Wojnę Bogów można by wygrać w jeden dzień. W jednej bitwie – rzekła królowa.

– Otóż to. Jeszcze raz, jak daleko są?

– Nie wydasz im bitwy tego wieczoru. – Rhin roześmiała się. – Nim do nich dotrzesz, będzie już noc, a rano...

– Rano – powtórzył Veradis, jakby była to obietnica, na którą długo czekał. Nie mógł powstrzymać uśmiechu. – O niczym bardziej nie marzę, jak o tym, by wreszcie wyjść w pole przeciwko Czarnemu Słońcu.

– Mam nadzieję, że marzysz przy okazji również o zwycięstwie. – Rhin obrzuciła go spojrzeniem z ukosa.

– Tak. Chcę wygrać.

– Dobrze. Wygląda więc na to, że twoje marzenie wkrótce się ziści.

Na twarzy Veradisa pojawił się uśmiech.

Słońce skryło się za szczytami wzgórz, a słońce przybrało kolor ciemnego aksamitu, a oni stali w milczeniu i patrzyli. W miejscu, gdzie znajdował się hufiec Czarnego Słońca, zapłonęły dziesiątki ognisk, które przypominały kobierzec gwiazd spływający po łagodnych zboczach.

– Rano mogą podjąć próbę obejścia nas – rzekł Veradis, który usiłował wczuć się w sytuację nowo przybyłych i wyobrazić sobie, co mogą przedsięwziąć na widok jego oddziału i okrętów Vin Thalun.

– Prawda – odparła Rhin. – I byłaby wielka szkoda, gdyby im się udało. Być może powinniśmy dołożyć większych starań, byśmy jednak mogli stoczyć tę bitwę o wschodzie słońca.

\* \* \*

Veradis maszerował po twardych kamieniach traktu olbrzymów. Było ciemno i zimno, a mrok nocy spowijał ich szczelną zasłoną. Nie było ani śladu po pięćdziesięciu zwiadowcach Rhin, którzy wypuścili się przodem i czujnie brnęli naprzód, wyglądając jakichkolwiek oznak wroga.

Mam nadzieję, że skutecznie, pomyślał młodzieniec.

Rytmiczny tupot wielu setek stóp na trakcie zagłuszał wszelkie odgłosy nocy, a słuch był przecież jedynym zmysłem, na którym Veradis mógł polegać w nieprzeniknionych ciemnościach. Mimo to nadstawiał uszu, próbując wychwycić jakieś odgłosy z oddali, co nie było łatwym zadaniem.

To był błąd, stwierdził, nie po raz pierwszy od wyjścia z Uthandun. Nie miał najmniejszej ochoty wmaszerować prosto w pułapkę. Żałował, że przystał na pomysł Rhin, który z początku wydawał mu się przebiegłym fortem. Królowa zaproponowała, by wyruszyć przed świtem, nie po to, by walczyć, ale by niespodziewanie podejść przeciwnika i nie dać mu możliwości wycofania się po wschodzie słońca.

Nie dać mu szansy na ucieczkę, myślał Veradis.

Teraz jednak w jego głowie kłębiły się najrozmaitsze wizje klęski.

A co jeśli nas słyszą i właśnie teraz nas osaczają? – zastanawiał się.

Spojrzał na swoje stopy. Owinął buty jagnięcą wełną, podobnie jak wszyscy wojownicy w hufcu, co okazało się znakomitym pomysłem. Tupot stóp dwóch tysięcy wojowników na kamiennej drodze byłby ogłuszający. Mimo to nie przemieszczali się bezszelestnie, a każdy odgłos wydawał się potężnieć w nocnej ciszy.

I tak wygramy, powtarzał sobie Veradis. Nie możemy przegrać. Zbyt wiele zależy od tego starcia, a poza tym zwycięstwo jest naszym przeznaczeniem. To nie jest po prostu kolejna bitwa. Tu się rozstrzygają losy świata.

Poprawił tarczę na ramieniu i ciężką kolczugę, poluzował miecz w pochwie

i nadal maszerował naprzód. Droga z Dun Taras w Domhainie do Uthandun wiodła przez trzy królestwa i potrwała trzy księzyce. Rhin urzędowała po drodze dłuższe postoje. Zbierała wojowników i rozsyłała innych, by ugruntowywali jej panowanie nad świeżo uformowanym królestwem. Do Uthandun przybyli dziesięć dni temu, ale Veradis nie zmarnował ani chwili z tego czasu. Jego orla straż trenowała bardzo ciężko – ćwiczyli zmiany formacji na sygnał dany przez róg w tylnych szeregach, wzmacnianie flanki i tysiące innych manewrów. Próbowali również wzmocnić najsłabsze punkty muru tarcz, choć tych na szczęście nie było zbyt wiele. Podniecenie i niepokój Veradisa rosły z dnia na dzień, w miarę jak Rhin dzieliła się z nim treścią wiadomości otrzymywanych od Calidusa.

Są blisko, tak blisko, myślał. Cieszę się na spotkanie z Nathairem. Dobrze będzie go ujrzeć. Ponoć ma za sobą wiele sukcesów. Przejął wszak kocioł, jeden z Siedmiu Skarbów. Na pewno nie posiada się z radości.

Veradis miał wrażenie, że z jego serca ulatuje ciężar, z istnienia którego nie zdawał sobie sprawy.

Szkoda tylko, że Nathair nie będzie świadkiem porażki Czarnego Słońca. Będzie tym rozczarowany.

Na moment jego uwagę przykuł jakiś ruch, pochwycony kątem oka. Coś przemknęło w pobliżu, jasne niczym kość, ale choć wyteżył wszystkie zmysły, nic więcej nie zauważył.

Absolutnie nic.

Zerknął przez ramię, nie przestając maszerować. Widział nasyp, który opadał ostro w dół, lecz nie dostrzegał niczego, co potwierdzałoby, że nie padł ofiarą złudzenia. Prowadził więc oddział naprzód, a odległe ognie wrogiego obozowiska stawały się coraz wyraźniejsze.

\* \* \*

Świt jaśniał nieśmiało na wschodzie, ale świat zasnuwała jeszcze jednolita szarość, tu i ówdzie zakłócona plamami nieprzeniknionej ciemności. Veradis usłyszał za sobą stłumiony łomot kopyt, które owinięto co prawda futrami, ale żadna moc na świecie nie mogłaby całkiem ich wygłuszyć.

Dogoniła go Rhin, której towarzyszył Geraint.

– Już czas – powiedziała. W jej szeroko otwartych oczach migotało podniecenie. Wojewoda czuł to samo. Nocny wymarsz w żaden sposób nie



osłabił jego entuzjazmu. – Realizuj nasze ustalenia – rzekła do niego Rhin, po czym wychyliła się ku niemu i pogłaskała go po policzku. – Wkrótce uczymy nasze zwycięstwo pucharkami z winem!

Veradis zadrżał i to wcale nie z entuzjazmu. Dobrze wiedział, że Rhin gustowała w młodszych mężczyznach, a on nie miał pojęcia, jak jej odmówić i ująć z życiem. Królowa ściągnęła wodze i znikła, nim zdołał cokolwiek powiedzieć. Dotknięty przez nią policzek pulsował gorącem.

Geraint zwlekał przez moment z odjazdem.

– Uważaj na siebie – powiedział w końcu i popędził w ślad za królową do jej głównych sił, dwóch tysięcy wojowników, częściowo konnych, częściowo pieszych.

Nadszedł czas!, pomyślał Veradis, czując coraz silniejsze emocje.

– Sygnał – rzucił za siebie.

Wojownik, do którego się zwrócił, przystawił róg do ust i zadał dwukrotnie. Nim przebrzmiało echo, orla gwardia zbiegła z drogi i uformowała trzy czworoboki. Veradis sam miał poprowadzić pierwszy z nich, a dwa pozostałe miały utworzyć podstawę trójkąta. Niczym grot z żelaza, drewna i ciał mieli uderzyć we wroga.

Młodzieniec przeszedł wzdłuż swego pierwszego szeregu, przyglądając się murowi tarcz i kotłującym się wojownikom, którzy tworzyli szereg. Dostrzegł Caesusa, swego kapitana, który wychylił się z pierwszego szeregu i szukał go wzrokiem. Spojrzeli po sobie, a Caesus dotknął pięścią serca w ramach salutu. Veradis, nie przerywając inspekcji, odpowiedział podobnym gestem.

Spoglądały na niego ponure, zacięte twarze. Rozpoznawał wśród nich wielu ludzi, którzy walczyli pod jego rozkazami od samego początku i wraz z nim odpierali szarże olbrzymów i draigów na zboczach Tarbeshu. Nazywali się Kłami Nathaira, gdyż Nathair wręczył tym, co przeżyli, pamiątkowe kły ubitych bestii. Veradis opuścił dłoń na rękojeść swego miecza, w którą wprawiono ząb draiga.

– Zwycięstwo bądź śmierć! – huknął. Nałożył hełm, uniósł tarczę i zajął miejsce w szeregu, a w powietrze buchnął okrzyk jego ludzi, a potem trzask zwierających się tarcz.

Obóz wroga znajdował się w odległości pół mili, rozciągnięty na łagodnym wzgórzu, wznoszącym się na wschód od traktu olbrzymów. Nikł za szczytem wzniesienia. Ognie przygasały, w miarę jak słońce wyłaniało się zza horyzontu i zalewało świat pastelowym blaskiem.

Zaryczały rogi i mur tarcz ruszył naprzód ze swobodą i wyszkoloną precyzją. Veradis nie usłyszał żadnego fałszywego kroku. Wojownicy zrzucili już futra, którymi owinęli stopy i teraz natarciu towarzyszył potężny łoskot.

Równy rytm kroków oddziaływało na nerwy i narzucał dyscyplinę, która pomagała stłumić emocje wyzwalane przez rychłą bitwę – furie, lęk, wątpliwość. Maszerowali przez otwarte łąki, a obóz wroga był coraz bliżej.

Veradis wpatrywał się w zbocze, ale słońce wstawało zza niego, przez co obóz nadal skrywały cienie. Dostrzegał zarysy namiotów oraz pierwsze postacie, które stały wyprostowane i czekały na jego nadejście. Zmrużył oczy.

Sprytne, pomyślał. Rozbili obóz w miejscu, gdzie będą przez moment zasłonięci, ale blask słońca ich nie zbawi. Nie dziś. Ha, Cywen na pewno jest wśród nich.

Gdy tylko dotarły doń wieści o nadciągającym hufcu wroga, uzmysłowił sobie, że w tym gronie bez wątpienia znajduje się Cywen. Spytał nawet Rhin, czy wie coś na ten temat.

– Nie mam pojęcia – odparła i przyjrzała mu się uważnie, marszcząc brwi.

Powiadomiwszy go o kolejnych informacjach od Calidusa, wyszła z komnaty, ale zatrzymała się na progu i powiedziała, że Cywen żyje. Została przejęta przez Corbana i jego towarzyszy podczas bitwy w Murias. Veradis był zaskoczony, jak wielką ulgę poczuł na wieść o tym, że dziewczynie nic się nie stało.

Corban ją znalazł. Ocalił. A teraz przebywa gdzieś na tym zboczu. Mam nadzieję, że brat kazał trzymać się jej z daleka od bitwy, bo jeszcze sama zginie w tym zamieszaniu!

Zaśmiał się w duchu, bo nie był w stanie wyobrazić sobie Cywen, która słucha czyichkolwiek poleceń, z samym Czarnym Słońcem na czele.

Teren pod jego stopami zaczął się łagodnie wznosić. Za sobą słyszał łoskot kopyt, głośne rżenie oraz pojedyncze okrzyki bojowe dodających sobie odwagi jeźdźców.

Na zboczu nadal nie było żadnego ruchu. Veradis spodziewał się, że tamci rzucą się do szarży. Wszystkie bitwy, w których brał udział, przebiegały wedle tego samego scenariusza, tak jak wymagała tego tradycja. Na Ziemiach Wygnanych starcia zawsze rozpoczynało się od dzikiego natarcia, które po chwili rozbijało się na setki pojedynków, których zwycięzca przeskakiwał do kolejnego przeciwnika, a przegrany stawał się żerem dla ptactwa. I tak dalej, aż bitwa zostawała rozstrzygnięta.

Z nami jest inaczej, myślał Veradis.

W istocie, mur tarcz rozbił każde natarcie.

Z wyjątkiem szarzy draigów oraz wołów, przypomniał sobie. Teraz jednak mamy do czynienia z ludźmi i olbrzymami. Nie przegramy.

Czuł, jak serce wali mu w piersi. Usta miał suche, dłonie spocone, a wszystko dookoła wydawało się ostrzejsze, wyraźniejsze. Zgrzyt żelaznych krawędzi tarcz ocierających się o siebie w marszu, zapach mokrej od rosy trawy pod butami, gruchanie gołębi grzywaczy, zrywających się do lotu z gałęzi. Jego ciało reagowało w ten sposób przed każdą bitwą, świadome, iż zaraz otoczy je niebywała agresja. Veradis zdążył już się niemalże przyzwyczać do tego stanu, a nawet go polubić. Lubił prostotę starc zbrojnych. Wszelkie wątpliwości, jakie zrodziły się w trakcie nocnego marszu, wyparowały bez śladu. Nabral pewności siebie, był czujny i skupiony.

Dziś osiągniemy zwycięstwo w tej wojnie, powiedział sobie.

Pokonali już jedną trzecią zbocza, a pierwsze ogniska płonęły w odległości zaledwie stu kroków. Nadal nie widział żadnego poruszenia. Włoski na karku stawały mu dęba, gdy wyglądał zza krawędzi tarczy, wypatrując jakiegokolwiek ruchu.

Coś jest nie w porządku, pomyślał.

– Graj sygnał: stać! – burknął do sygnalisty maszerującego za jego plecami, a ten zadał w róg. Mur tarcz zafalował i zatrzymał się. Dwa pozostałe oddziały uczyniły to samo zaledwie uderzenie serca później.

Veradis wpatrywał się w oczekujące ich postacie, wyprostowane i nieruchome. Wiatr poruszał ich płaszczami.

Opuścił tarczę i wyszedł z szeregu, przeklinając własną głupotę. Minął dogasające, parskające ognisko, wyciągnął miecz z pochwy przy pasie, podszedł do pierwszej grupki i ze wszystkich sił rąbnął w jedną z postaci. Ta zwała się na ziemię z trzaskiem pękających patyków, pociągając za sobą kolejne. Młodzieniec kopnął ją i ujrzał wyraźnie, że ma do czynienia ze splecioną z gałęzek, nakrytą płaszczem kukłą.

Spomiędzy drzew na flance dobiegły krzyki. Z lasu wypadali jeźdźcy Rhin, którzy jeden po drugim uzmysławiali sobie, z czym przyszło im się mierzyć. Caesus przypadł do swego dowódcy.

– Przeszukać obozowisko – rozkazał Veradis, choć już wiedział, co tam znajdą. Lub czego nie znajdą.

Rhin podjechała do niego w asyście Gerainta i tuzina przybocznych.

– To fortel, moja pani – rzekł z goryczą i podniósł podarty płaszcz z ziemi.

– Tego już się domyśliłam – warknęła, z trudem panując nad furią. –  
Pytanie brzmi zatem, gdzie się oni podziali?

Otóż to.

Ktoś w jego hufcu zawołał coś głośno. Jego okrzyk podjęli inni.

Z miejsca, w którym stali, roztaczał się dobry widok na okolicę. Veradis dostrzegł ludzi wskazujących Uthandun. W jego żołądku rozlały się mdłości, podobne tym, które czuło się po uderzeniu pięścią w brzuch. Wpatrywał się w Uthandun, skąpane w blasku słońca wyłaniającego się zza wzgórza za jego plecami. W pierwszej chwili nie wiedział, co się dzieje, ale potem jego uwagę przykuło jakieś migotanie. Nie w samym Uthandun, ale blisko.

Wśród okrętów Vin Thalun.

Ich żagle płonęły.

## Rozdział trzydziesty ósmy

# TUKUL

Tukul wbiegł po trapie na okręt z czarnymi żaglami. Jego miecz ociekał krwią. Za plecami miał Corbana i dwie dziesiątki wojowników. Jego Jehar robili dokładnie to samo wzdłuż całego brzegu rzeki – zabijali strażników i wdzierali się na okręty. Nie słyszał zgiełku bitewnego, co oznaczało, że obrońcy zostali zaskoczeni.

To nie potrwa długo, pomyślał.

Na cel ataku wybrali jedenaście jednostek – osiem smukłych galer i trzy pękate transportowce, których wystarczyłoby, by pomieścić cały hufiec wraz z rumakami, gdyby wszystko poszło zgodnie z planem.

Nigdy jednak nie słyszałem o planie, który rozwijałby się bez przeszkód, przemknęło mu przez myśl.

Z prawej strony eksplodował blask, a potem uderzyła w niego fala gorąca. Zerknął w bok i ujrzał, jak zwinięty żagiel zajmują wściekłe płomienie. Ogień chciwie pożerał tkaninę, gdzieś śmignęła chmara ognistych strzał, ciągnących za sobą smugi dymu. Kolejne okręty miały zaraz stać się trzeszczącymi, krzeszącymi iskry pochodniami.

Zadudniły liczne kroki, z mroku wyłonili się następni wojownicy. Ujrzeni go i zwolnili. Atakowali niepewnie, z namysłem, okrążając go. Co do jednego wyglądali na zawziętych wojów – z twardymi mięśniami, ogorzałymi twarzami i żelaznymi pierścieniami wplecionymi w ciemne, natarte oliwką brody. Uzbrojeni byli głównie w krótkie miecze i puklerze.

Corban i reszta wpadli na pokład w ślad za Tukulem, który lewą ręką wyrwał topór z pochwy i rzucił się do wściekłej szarży. Ludzie zaczęli ginać.

Jehar pozostawił topór w czyjejs czasce, złapał miecz w obie dłonie i parł naprzód. Odbijał każdy spadający na niego cios i przebijał się przez przeciwników na wąskim pokładzie, niepowstrzymany, osłaniany po bokach

przez braci i siostry w mieczu. Deski pokładu były śliskie i mokre od krwi. Po lewej zamajaczył jakiś cień, ale uderzyła w niego kula mięśni, futra i kłów. Tukul zerknął w bok i ujrzał Burzę, sterczącą nad nieruchomym ciałem pirata z kłami ociekającymi krwią i śliną. Po drugiej stronie nacierał Corban, ubrany w skórę wilkuna i uzbrojony w szpony. Zablokował klingą cios znad głowy i jednym machnięciem żelaznych pazurów rozerwał przeciwnikowi gardło, po czym odkopnął go na bok.

Ktoś dotknął jego ramienia. Tukul odwrócił się i ujrzał Gara. Ich oczy spotkały się na moment, a potem jego syn spojrzał na Corbana. Tukul powiódł wzrokiem za jego spojrzeniem i ujrzał, jak młodzieniec wbija się w garstkę cofających się wrogów. Kilka uderzeń serca później ci spośród przeciwników, którzy wciąż byli w stanie chodzić, zaczęli wyskakiwać przez burtę. Tukul rozejrzał się w poszukiwaniu kolejnego wroga do zgładzenia i uświadomił sobie, że na pokładzie nie było już z kim walczyć.

I to wszystko? A więc przejęcie wrogiego okrętu to drobnostka.

Zerknął na okręty cumujące w pobliżu, na których nadal trwała zaciekle walka. Szczęk oręża i wrzaski walczących niósł się daleko pośród ciszy świtu i odbijał się echem od skraju lasu po drugiej stronie rzeki. Na jeden z okrętów wdarły się olbrzymy, wymachując młotami i toporami. Któryś z nich poderwał wrzeszczącego pirata i wrzucił go do wody.

Corban znikł w luku prowadzącym pod pokład. Tukul podążył za nim w obawie, że pod pokładem może się kryć więcej wrogów. Niemalże zwymiotował, gdy w połowie stromych, wąskich schodów owionął go odurzający smród. Zamrugnął i przyjrzał się wewnątrz. Jego oczy szybko przyzwyczyły się do ciemności, rozpraszaną jedynie strużkami światła wpadającego przez otwory na wiosła.

Ujrzał rzędy przykutych do ławek wiosłarzy, którzy z wyglądu mało przypominali już ludzi. Wychudzeni jak szkielety, bladzi, pokryci bliznami, w większości garbili się nad wiosłami i wodzili za Corbanem pustymi oczami. Młodzieniec uniósł miecz. Siedzący najbliżej wiosłarz wzdrygnął się, ale opadający miecz Corbana pośród eksplozji iskier rozrąbał jedynie łańcuch, który więził niewolników przy pierwszej ławce.

– Przejąłem ten okręt i zabiłem tych, którzy was zniewolili! – krzyknął młodzieniec, idąc między ławkami i rozbijając kolejne łańcuchy. Jego nogi chlupotały w czymś, co zdaniem Tukula przypuszczalnie nie było wodą rzeczną. – Jeśli chcecie, możecie odejść! Możecie też powiosłować jeszcze

trochę i wysiąść gdzieś indziej. – Wyrzął przez otwór, w którym umieszczono jedno z wiosł. – To nie jest najbezpieczniejsze miejsce na świecie. Tukul, upewnij się, że zrozumieli, co powiedziałem – rzucił, po czym odwrócił się i ruszył na powrót ku światłu.

Tukul rozkazał, by pod pokład zniesiono beczki z wodą, i dopilnował, by każdy z niewolników napił się do syta, choć powoli i ostrożnie. Któryś z nich złapał go za nadgarstek. Był to niski, żylasty mężczyzna z oliwkowo ciemną skórą, przywodzącą na myśl jego rodaków z Tarbeshu. Jego oczy płonęły jaśniej od reszty.

– Jak się nazywasz, bracie? – odezwał się doń Tukul.

– Javed – szepnął ten po chwili milczenia, jakby nie mógł sobie przypomnieć.

– Napij się – rzekł Tukul i podał mu kubek wody, którą ten wychłęptał głośno.

– Czy to jakiś dowcip Vin Thalun? – spytał Javed. Z jego brody spływały strużki wody. – Wymyślili sobie nową rozrywkę?

– Nie. Jesteś wolny, tak jak powiedział mój pan.

– A w czym tkwi haczyk? Pozabijacie nas, jeśli spróbujemy ucieczki?

Tukul pokręcił głową.

– Uciekaj, jeśli chcesz. Z naszej strony nic ci nie grozi.

Wyrzął przez otwór na wiosło. W tej samej chwili od strony fortecy dobiegł ryk rogów.

– Choć nie gwarantuję, że tamci ludzie podejną do tego z wyrozumiałością. Mężczyzna również wyrzął.

– Jeśli chcesz, zostań.

– A dokąd płyniecie?

– Na wschód – rzekł Tukul.

– Na wschodzie nie ma morza – parsknął Javed. – Teraz już wiem, że robicie z nas idiotów.

– Mówię prawdę – odparł Tukul ze spokojem.

Javed wbił w niego spojrzenie.

– Chyba zostaną na jakiś czas.

Płyniemy na wschód do Drassil, pomyślał Tukul. Niewiarygodne, jak szybko zmieniają się plany.

Corban pobladł jak ściana, gdy ujrzał armię i flotę zgromadzoną wokół Uthandun. W pośpiechu rozłożyli obóz, po czym młodzieniec wezwał swą radę wojenną – Meicala, Tukula, Gara, Balura, Ethlinn, Brinę i Coralen. Sam siedział z głową skrytą w dłoniach. Craf sfrunął z nieba i przysiadł na ramieniu jego krzesła.

– Uszy do góry – wykrakał.

Od czasu gdy Corban obmyślił fortel, który doprowadził do śmierci Kartali, kruk rzadko kiedy rozstawał się z nim na dłużej.

– Opcje – warknęła głośno Brina, przez co Corban aż podskoczył i opuścił ręce.

– Co? – spytał.

– Opcje – odparła uzdrowicielka. – Zawsze są jakieś opcje.

Corban wciągnął głęboko powietrze i zebrał się w garść.

– No dobrze. To co nam pozostało?

– Walka.

– Kiepski pomysł. – Corban uśmiechnął się bez wesołości. – Są ich tysiące. Mają zbyt wielką przewagę.

– No to ucieczka.

– Brzmi lepiej i nie miałbym nic przeciwko, ale dokąd? Wszystkie drogi do Edany zostały właśnie zablokowane.

– Udajmy się na północ. Nie będzie to ucieczka, a odwrót – zaproponowała Brina.

– Żeby wpaść prosto na Calidusa, Nathaira i i tysiąc Kadoshim? – zauważył Tukul.

– Tego już próbowaliśmy. – Corban pokręcił głową. – Niezbyt mi się to uśmiecha.

– To może na zachód?

– Na zachodzie leży Cambren i Domhain. Co nam z tego przyjdzie?

– Nic – odparła Brina. – Ale badam wszystkie możliwości.

– Co nam więc pozostaje?

– Wschód – powiedziała uzdrowicielka.

– A co jest na wschodzie? Ciemny Bór, a potem mokradła.

– Oraz Drassil – rzekł Meical.

Corban spojrzał na niego.

– Ma rację – dodała Brina. – Choć daleko stąd. Ale sam powiedziałaś, że zachód, południe i północ odpadają.



– A co z Edaną?

– Nawet jeśli przebijemy się przez tych, którzy blokują nam drogę – odezwał się Gar – a przyznam, że z radością podjąłbym próbę, a potem unikniemy tych, którzy idą za nami, pozostawimy po sobie ślad. Wówczas nasi wrogowie jak po nitce trafią do Edany.

– A Nathair i Calidus nie podążą za nami do Drassil?

– Być może – rzekł Meical. – Choć raczej w to wątpię. Wydaje mi się, że uwaga Calidusa jest skupiona na czymś innym.

– Co masz na myśli? – spytał Corban.

– Gdyby chciał wydać nam bitwę, już by to zrobił. Przecież nie są aż tak daleko za nami. Wystarczyłoby im kilka dni forsownego marszu i mielibyśmy ich na karku.

– To czemu tego nie zrobił?

– Pewności nie mam, ale przypuszczam, że jego uwaga skupiona jest na kotle. Gdyby chciał nas dogonić, musiałby go pozostawić pod niewielką strażą – rzekł Meical, wzruszywszy ramionami. – To tylko domysły, ale wydaje mi się, że nie będzie miał ochoty podążać za nami aż do Drassil. To długa podróż, licząca wiele mil i wiodąca daleko od względnego bezpieczeństwa królestw Rhin.

Corban wstał i spacerował przez chwilę, a potem zatrzymał się przed Balurem i Ethlinn.

– A co wy byście zrobili? – zapytał ich oboje.

Balur wzruszył masywnymi ramionami.

– Serce mnie pcha do walki, umysł każe uciekać i szukać sposobu, by przetrwać kolejny dzień i doczekać się szans na zwycięstwo. Tu takiej nie widzę.

– Walka z wojskami, które blokują nam drogę, oznacza śmierć – odezwała się Ethlinn głosem cichym jak szelest jesiennych liści na wietrze. – Bezcelowa ucieczka to również śmierć, choć odwleczona w czasie. Jeśli gdzieś uciekać, to tylko tam, gdzie to ma sens, gdzie czeka nadzieja. Drassil to najmądrzejszy wybór.

Corban pochylił głowę i trwał w tej pozycji przez dłuższą chwilę, po czym wciągnął powietrze i rozejrzał się. Jego spojrzenie skupiło się na Meicalu.

– Spróbujemy przebić się do Drassil – powiedział cicho.

Milczał jeszcze przez moment, patrząc na południe, po czym znów utkwił wzrok w nieodległej fortecy, która z nadejściem zmierzchu przeistaczała się

w mroczny cień na tle migotliwej rzeki Afren.

– Ale oni wiedzą o naszym przybyciu. Z nastaniem świtu ujrzymy tu zbrojne hufce Rhin, łaknące naszej krwi, bez względu na to, w którym kierunku ruszymy – mruknął.

– A więc wyruszymy przed wschodem słońca. Wyprzedzimy ich – rzekła Coralen, która do tej pory stała w milczeniu pośród cieni.

– Marsz w ciemnościach to nie lada wyzwanie – powiedział Gar. – W każdej chwili możemy się zgubić, co może skończyć się jeszcze gorzej.

– Z Burzą się nie zgubimy – sprzeciwiła się Coralen. – Jest lepszym przewodnikiem od gwiazd na niebie.

– A ta rzeka? – odezwał się nagle Corban. – Jak daleko płynie na wschód?

– Do bagien, które wyznaczają granicę Narvonu i Isiltiru. Stamtąd moglibyśmy dotrzeć nią do północnego morza – odparł Meical. – Gdybyśmy mieli statki, moglibyśmy pożeglować aż do osady Gramma.

– Kim jest Gramm? – spytał Corban.

– To przyjaciel – rzekł Tukul.

– Sojusznik, który mieszka na skraju lasu Forn – dodał Meical. – Pomógł już nam w przeszłości i stanie po naszej stronie i teraz, wiedząc, że Wojna Bogów zaczęła się na dobre.

Corban pokiwał głową, wpatrzony w czarne żagle na rzece Afren.

– Wygląda więc na to, że potrzeba nam statków.

\* \* \*

Tukul spojrzął na Datha, który stał na nadbudówce na rufie statku.

– Odbijamy! – ryknął łucznic. – Nie ma ani chwili do stracenia. Odbijamy!

Tukul, stojący na trapie, powtórzył wezwanie i skinął na Balura i pozostałych, nadal zebranych na brzegu rzeki. Wszędzie panował chaos, okręty płonęły, buchały fale gorąca, a nad wodą snuły się kłęby dymu. Wielu spośród żeglarzy, którzy zbiegli z płonących okrętów, próbowało teraz ugasić pożary, ale ponad połowę galer ogarnęły już płomienie gorętsze niż w sercu huty. Tukul przypuszczał, że nie obyło się tu bez pomocy elementalistów.

Rozbitkowie zbierający się na brzegu urosli w siłę na tyle, by przypuścić wściekły atak na uprowadzane okręty. Od strony Uthandun dobiegły ryki rogów, a po nich łomot kopyt i okrzyki bojowe.

Balur popychał wojowników w kierunku trapu, zarówno swoich

pobratymców, jak i Jehar, aż odwrócił się, zakręcił czarnym toporem nad głową i rzucił się w sam środek nacierającego oddziału. Tukul patrzył, jak rozrąbuje pierwszego wojownika na pół, posyłając korpus i nogi w przeciwnych kierunkach. Drugi został rąbnięty okutym żelazem trzonkiem topora w twarz, trzeci stracił głowę, a potem wszystko zasłoniły kłęby dymu.

Wszyscy znaleźli się już na pokładzie. Dath wrzeszczał, by odrzucono trap i przerąbano cumy, ale Tukul się zawahał. Zrobił kilka kroków w dół pomostu, wykrzyknął imię Balura, obejrzał się za siebie na wpatrujących się w niego ludzi.

Nie porzucę nikogo z żywych, pomyślał.

Wyszarpnął miecz z pochwy na plecach i ruszył ze zdecydowaniem na brzeg, ignorując krzyki wzywające go do powrotu. Naraz zbryzgany krwią Balur wychynął spośród kłębów dymu, niosąc jakąś bezwładną postać przerzuconą przez ramię. Z dymu wybiegali już ścigający go wojownicy. Trap zadudnił i zatrzeszczał pod buciorami biegnącego, a Tukul zauważył, że Balur niesie nieletniego olbrzyma. Z rany na głowie wyrostka ściekała krew.

Jehar usunął się, by zrobić miejsce Balurowi, i czystym pchnięciem przebił pierwszego ze ścigających go piratów. Kopniakiem zepchnął ciało z klingi, posyłając je prosto na pędzących za nim towarzyszy. Idąc przed siebie, ciął dwukrotnie. Odrąbał komuś dłoń, rozchlastał jakąś twarz i to wystarczyło, by wróg zaczął się cofać, kotłując się i przewracając. Wówczas Tukul odwrócił się i popędził na pokład. Balur wciągnął trap, a któryś z Jehar przeciął cumę. Wiosła uniosły się i zanurzyły w wodzie, wpierw powoli i ociężale, ale okręt z każdą chwilą nabierał prędkości.

Od brzegów rzeki odbijały kolejne jednostki, siedem smukłych galer podobnych tej, na którą wdarł się Tukul, i trzy szersze, masywniejsze transportowce, na które wprowadzono konie.

Naraz Tukul aż się zachwiał, gdy na jego ramię opadł niespodziewany ciężar. Odwrócił się i ujrzał dłoń poklepującego go Balura.

– Wielkie dzięki, człowieczku – rzekł olbrzym.

Tukul pokiwał głową.

– Co z tym dzieciakiem? – spytał.

Balur wskazał Ethlinn, Brinę i Cywen pochylone nad chudym wyrostkiem wniesionym przez niego na pokład. Była to młoda olbrzymka.

– Jest w dobrych rękach – rzekł Tukul, a potem wspiął się na rufę, gdzie Dath zmagał się z wiosłem sterowym. Kulla stała obok i przyglądała mu się

z uniesioną brwią, a dalej o reling oparli się Corban oraz Meical, wpatrzeni w owiany dymem brzeg rzeki. Jehar zastał tam również Farrella, Coralen i Burzę, zlizującą krew z pazurów.

– Czy ty w ogóle wiesz, co robisz? – Farrell spytał Datha.

– On jest doświadczonym żeglarzem – oznajmiła Kulla.

– Pewnie, że wiem! – stęknął Dath. – Ta galera jest trochę większa od łodzi ojca, ale zasady są identyczne.

Przez moment napierał na wiosło.

– Musisz być silniejszy – zwróciła mu uwagę Kulla, na co Farrell parsknął śmiechem.

– Trochę sensu w tym jest – przyznał Dath. – Być może to ty się lepiej nadajesz do tej roboty.

– Nie widzę problemu – oznajmił Farrell. Podeszedł bliżej i przejął wiosło z rąk przyjaciela.

– Tylko nie wyprowadź nas na brzeg – rzekł Dath.

Farrell smagnął go niechętnym spojrzeniem.

Tukul oparł się o reling obok Corbana. Zauważył, że młodzieniec ma brudne dłonie od błota, sadzy i krwi. Krzyki ludzi próbujących ugasić płonące statki przycichły.

– Nie wszystkie płoną – powiedział Corban. – Mogą ruszyć w pościg.

– Tak, ale najpierw musieliby oczyścić drogę, a to niełatwe zadanie. I zabierze im sporo czasu.

– Tak. – Młodzieniec przetarł oczy. – Czyli wygląda na to, że nam się udało.

– Zgadza się – odparł Meical. – Na szczęście dla nas większa część ich sił podeszła w nocy pod wzgórze.

– Ktoś po ich stronie ma głowę do strategii – dodał Tukul.

– Na szczęście my również. – Corban wpatrywał się w dal, gdzie dymy odsłaniały już krajobraz. Widział wzgórze, na którym obozowali, dogasające ogniska i szeregi strachów na wróble, spoglądających na wielotysięczną formację.

– Dużo bym dał, by ujrzeć teraz gębę Rhin – rzekł Dath, a Tukul parsknął śmiechem.

Mało brakowało, a ich nocny marsz ku przystani zakończyłby się przecież fiaskiem, tym bardziej że Burza wywęszyła wrogi oddział, idący na ich obozowisko.

Nie wiem, czy zliczę, ile razy to zwierzę ocaliło nam już życie, pomyślał

Tukul.

– Coralen, jesteś geniuszem! – zawołał Corban. – Twój fortel zadziałał!

– Takie rzeczy zawsze działają – powiedziała z dumą dziewczyna. – Odwrócenie uwagi – ciągnęła. – To Rath mnie tego nauczył, a ty pewnie również dobrze znasz tę zasadę. Wszak walkę kończy cios, którego przeciwnik nie zauważył, a więc trzeba go skłonić, by spojrzał gdzieś indziej, a potem ciąć.

Doskonale znam tę zasadę, pomyślał Tukul, a Meical pokiwał głową z aprobatą.

– Walczyłaś u boku Ratha? – zagrzemiał tubalny głos. Balur szedł ku nim, a pokład skrzypiał pod jego stopami. Za nim podążała Brina, drobna w jego cieniu. Miała zakrwawione ręce. Craf sfrunął z trzepotem skrzydeł i usiadł na relingu.

– Tak – powiedziała Coralen. – Był moim wujem.

Balur ściągnął jasne brwi.

– Czy wykorzystywał tę sztuczkę w walce z Benothi?

– Pewnie. – Coralen wzruszyła ramionami.

Nastąpiła nieprzyjemna cisza. Balur wpatrywał się w dziewczynę z niechęcią, a ta nie pozostawała mu dłużna.

– Zostawiliśmy stare urazy za sobą – powiedział cicho Meical.

Cisza trwała jeszcze przez moment, aż Balur westchnął.

– No tak – burknął i odszedł.

Okręt pokonał zakręt na rzece. Uthandun znikło.

Corban odwrócił się i spojrzał na rzekę wijącą się wśród drzew Ciemnego Boru.

– Craf, zrobisz coś dla mnie?

– Wszystko! – wykrakał ptak, na co Brina uniosła brwi.

– Odszukaj Edanę w Dun Crin. Powiedz jej, że próbowaliśmy, ale nie udało się do niej dotrzeć. Powiedz jej, że udajemy się do Drassil i przekaz... – Urwał i zgarbił się. – Przekaz jej, że nie zapomniałem o przysiędze.

Bez słowa skargi Craf uniół się w powietrze i skierował na południe, by zniknąć za drzewami.

– Coś ty zrobił z moim krukiem? – mruknęła Brina.

Corban odprowadził Crafa wzrokiem, po czym znów spojrzał na rzekę.

– A więc do Drassil – powiedział, a Tukul odniósł wrażenie, że chłopak mówi do siebie.

Właśnie. Do Drassil, pomyślał.

## Rozdział trzydziesty dziewiąty

# UTHAS

Uthas wkroczył do ogromnego pomieszczenia, w którym masywne kolumny podtrzymywały leżący wysoko w górze sklepiony dach. W powietrzu wisiała poświata, zupełnie jakby budulec, z którego wykonano sufit, był cienki i przejrzysty.

To sala tronowa Asrotha, pomyślał Uthas, czując, jak przeszywa go lęk. Czemu ja to zrobiłem? Co ze mnie za idiota...

– Pamiętaj, że o to właśnie poprosiłeś – powiedział do niego Calidus, który, wciąż w swej ludzkiej formie, wydawał się drobny i kruchy w obliczu potęgi Kadoshim.

Ci zaś byli wszędzie. Tysiące, wiele tysięcy, niezliczona ilość. Nie byli już utkanymi z cienia upiorami, które na oczach Uthasa wyłaniały się z kotła w Murias, ale materialnymi istotami o szarej, krytej łuską skórze, uzbrojonymi w kły i skrzydła. Każdy z nich nosił ciemną kolczugę, wspierał się na włóczni, a u pasa miał miecz. Każdy z nich też przyglądał mu się z zaciekawieniem. Zatrzeszczało, gdy jeden z demonów rozwinął gigantyczne, nietoperzowate skrzydła.

Uthas oderwał od nich wzrok i ruszył korytarzem wytyczonym przez ich szeregi, wbijając wzrok w plecy Calidusa. Miał wrażenie, że ta wędrówka nie ma końca, gdy nagle jego uwagę przyciągnął jakiś odgłos.

Wrzask.

Popatrzył w lewo i ujrzał postać przykutą do słupa. Był to skrzydlaty człowiek lub raczej to, co z niego zostało.

Ben-Elim.

Uthas zatrzymał się i utkwiał w nim spojrzenie.

Jedno ze skrzydeł z białymi piórami, poplamione krwią, zwisało martwo z jego pleców, a po drugim został jedynie postrzępiony kikut. Ben-Elim wisiał

bezwładnie, a jego głowa opadała w dół, przesłonięta strąkami włosów. Na jego nadgarstkach i szyi zaciskały się żelazne obejmy, a wychodzące z nich łańcuchy przymocowano do pierścienia wystającego z ziemi. Naraz jeniec uniósł głowę i zmierzył Uthasa ciemnymi oczami.

– Pomóż mi – wyszeptał popękkanymi, napuchniętymi ustami.

– Czemu go po prostu nie zabijecie? – zapytał olbrzym.

– A gdzie w tym zabawa? – odparł Calidus. – Poza tym, tu w Zaświecie życie i śmierć nie są tym samym co w twojej rzeczywistości. Zabicie jednego z Pierworodnych Elyona graniczy z niemożliwością. Jak widzisz, próbowali. – Wskazał stojących nieopodal Kadoshim. – Musimy więc zadowolić się bólem, który im zadajemy.

Uthas nie mógł oderwać wzroku od jeńca. Na jego oczach jeden z Kadoshim podszedł do Ben-Elim i wbił mu włócznię w brzuch, po czym przekreślił ją. Wojownik Elyona wrzasnął z bólu.

– Chodźmy – powiedział Calidus i ruszyli naprzód. Wrzaski cichły za ich plecami.

W końcu dotarli do szerokich stopni, które ciągnęły się przez całą długość komnaty. Uthas piął się po nich, aż dostrzegł tron, który wyglądał jak uformowany ze splotów ogromnego żmija. Rozpierała się na nim jakaś postać, która przerzuciła nogę przez poręcz.

Asroth.

Emanował wielką mocą. Jego srebrne włosy były zaplecione w gruby warkocz wojownika. Miał na sobie ciemną zbroję kolczą, a zza pleców wystawały mu złożone, skórzaste skrzydła. Wokół niego stali Kadoshim. Niektórzy pełnili straż z długimi włóczniami, a inni toczyli rozmowę z Władcą Upadłych. Umilkli na widok zbliżających się Calidusa i Uthasa.

– Prowadzę sojusznika, mój panie – odezwał się Calidus. Olbrzym nigdy nie słyszał takiego szacunku i lęku w jego głosie i nawet do głowy mu nie przyszło, że Kadoshim może się w ten sposób zwrócić do kogokolwiek. – Oto Uthas z klanu Benothi.

Czarne oczy w mlecznobiałej twarzy, która wyglądała, jakby wykuto ją z alabastru, zwróciły się ku olbrzymowi. Naraz Asroth podniósł się z tronu i ruszył w stronę Uthasa. Spod jego stóp z sykiem sączył się dym, a po każdym kroku pozostawał czarnawy ślad.

– Witaj pod moim dachem – rzekł i uśmiechnął się sinymi ustami.

– Mój panie – odezwał się Uthas.



Był wyższy od Asrotha, ale jego nogi osłabły tak bardzo, że osunął się na kolana. Pan Upadłych ukucnął zaś przed nim. Palcem z popękany paznokciem obwiódł jego podbródek, aż uniósł mu głowę, by móc spojrzeć mu w oczy. Ziemia zadrżała pod kolanami Uthasa. Olbrzym miał wrażenie, że się osuwa.

Asroth oblizwał usta czarnym językiem, jakby smakował powietrze.

– Znam cię – rzekł. – Należysz do mnie.

– To prawda. – Uthas usłyszał własne słowa. Głos miał suchy jak piasek pustyni. Dobrze pamiętał chwilę, gdy Rhin przywołała Asrotha mocą swych czarów. Był wówczas jednocześnie przerażony i zachwycony. Teraz czuł tylko strach.

– Po co przyszedłeś? – spytał Asroth.

– Uthas ma niezmiernie dla nas ważne informacje – rzekł Calidus. – Zna bowiem lokalizację aż dwóch Skarbów.

– Bardzo by nam to pomogło – stwierdził Pan Upadłych. – Są one bowiem niezbędne, jeśli chcemy dalej prowadzić tę kampanię. O których Skarbach jest mowa?

– O kielichu i naszyjniku, panie – rzekł Uthas.

– Naszyjnik Nemain – powiedział cicho Asroth i zamknął oczy. Na jego powiekach rozbiegały się ciemne żyły. – Wciąż pamiętam go na jej szyi, gdy ze mną walczyła. – Uśmiechnął się i otworzył oczy. – Miała wielkiego ducha. A ty ją zabiłeś.

– Tak – powiedział Uthas, czując zarówno wstyd, jak i dumę.

– A więc gdzie są te Skarby?

– Wiem jedynie, gdzie widziano je po raz ostatni – rzekł Uthas.

– Czyli, innymi słowy, nie wiesz, gdzie są teraz.

– Nie, panie, ale nie sądzę, by zostały przeniesione.

Asroth pokiwał głową.

– Dobrze. A więc cóż to za miejsca?

Uthas milczał, ze wszystkich sił powstrzymując ochotę, by błyskawicznie podzielić się wszystkimi informacjami. Zacisnął mocno zęby.

– Uthas pragnie poprosić o nagrodę za te informacje – powiedział Calidus.

Och, dziękuję, pomyślał olbrzym. Nigdy dotąd nie czuł większej wdzięczności za to, że ktoś odezwał się za niego.

Asroth zmarszczył brwi, a jego alabastrowa skóra zmarszczyła się niczym stary pergamin.

– Chcesz ze mną negocjować?

– Nie, panie – wykrztusił Uthas. – Nagroda...

– Ach. – Asroth podniósł się i wrócił na swój tron. Siadając, otoczył się skórzastymi skrzydłami. – To prawda. Nagradzam tych, którzy służą mi skutecznie i karzę tych, którzy mnie zawodzą. Jakiej nagrody sobie życzysz?

– Chcę zostać królem klanów olbrzymów i po wielkim zwycięstwie w tej wojnie rządzić mym ludem z Drassil, naszej pradawnej stolicy.

– Ale twoje olbrzymy zostały Rozdzielone. Nawet ja nie mogę zmienić tego, co już nastąpiło.

– Proszę o to, by otrzymali wybór podczas Wojny Bogów. Ci, którzy poprą naszą stronę, uznają mnie za swego władcę i twego lennika, a ci, którzy odmówią, rozpadną się w pył.

Asroth uśmiechnął się.

– To brzmi dość rozsądnie. Zgadzam się, o ile zdołasz wypełnić swoją część umowy i przekazesz Calidusowi oba Skarby. Zgoda?

– Zgoda – rzekł Uthas.

– Dobrze. A więc gdzie są te Skarby?

– Naszyjnik znajduje się w grobowcu w tunelach pod Dun Carreg, a kielich zaginął na bagnach niedaleko Dun Taras. Wiem, gdzie to nastąpiło, ale nigdy nie byłem w stanie go odnaleźć, bo to zbyt blisko murów fortecy. Ludzie z Domhainu opadliby nas i wycięli. Teraz jednakże królestwo znalazło się pod władzą Rhin, a więc będę mógł ze spokojem go szukać.

– Czy zdołasz je odnaleźć i oddać Calidusowi?

– Tak sędzę – odparł Uthas.

– Zdołasz czy nie? – Niski, grzmiący głos Asrotha otaczał go niczym lepka para.

Olbrzym oblizwał usta, które nagle stały się suche.

– Zdołam.

– To dobrze. – Asroth uśmiechnął się. – Jestem zadowolony.

Wyciągnął ramię poznaczone czarnymi żyłami i przycisnął długi, popękany paznokieć do bladej skóry. Naciął ją, a skaleczenie wypełniła ciemna krew.

– Każdą umowę należy przypieczętować krwią, nieprawdaż?

Uthas skinął głową, po czym Asroth złapał go za nadgarstek i chlasnął paznokciem po wewnętrznej stronie przedramienia. Skóra rozstąpiła się, jakby przejechał po niej najostrzejszą bronią, a olbrzym miał wrażenie, że Asroth wlał w ranę czysty ogień. Zacisnął zęby, nie chcąc okazać najmniejszej

nawet słabości. Pan Upadłych zacisnął dłoń na jego ramieniu w pozdrowieniu wojownika, a ich krew zaczęła się mieszać. Uthas poczuł, jak mu się kręci w głowie.

– Przynieś mi kielich i naszyjnik – warknął Asroth i wypuścił jego rękę.

Uthas był ledwie świadom tego, że Calidus wyprowadza go z wielkiej sali prosto na blade światło Zaświatu.

– Musisz powrócić do świata ludzi – rzekł do niego.

– A ty? – spytał Uthas i zamrugnął, próbując się skupić. Był już świadom tego, że nie chce rozstać się z Calidusem, bo towarzystwo starca działało na niego pocieszająco w tym szarym świecie.

– Muszę się spotkać z innym sojusznikiem – westchnął Calidus. – Moja praca nigdy się nie kończy.

\* \* \*

Uthas przebudził się, słysząc wrzask Calidusa.

Zerwał się, złapał za włócznię i zatoczył się. Ramię, na którym znać było zakrzepłą czarną krew, pulsowało bólem. Zamrugnął i potrząsnął głową, gdyż na moment przed oczami stanęła mu blada twarz i czarne oczy Asrotha.

Blask księżycy opromienił Salacha, który leżał w pobliżu i najwyraźniej został zaalarmowany jeszcze przed Uthasem. Obok niego leżała skulona Eisa. Uthas poczuł ukłucie zazdrości, ale szybko je zdusił.

Trzeba szukać pokrzepienia gdzie się da, pomyślał, a to ostatnio rzadka i krótkotrwała przyjemność.

Rozległy się kolejne wrzaski, spotęgowane przez mrok. Uthas ruszył w ich kierunku, bezbłędnie wyławiając głos Calidusa, wciąż rozpoznawalny, mimo że zawładnęła nim furia. Tym właśnie ociekał – nie lękiem, nie bólem, ani nawet nie gniewem, ale czystą, niczym nieskazoną furią. Gdy Uthas podszedł bliżej, usłyszał zgrzyt wyciąganego z pochwy miecza, młaśnięcie klingi wbijanej w ciało, a potem dzikie rżenie. Potem go zobaczył.

Calidus stał wśród spętanych koni, które ciągnęły ich wozy, i rąbał jakiegoś ogiera. Zwierzę padło już na kolana, błyskając białkami oczu. Z wielkiej rany na karku tryskała krew. Uthas zamarł, oszołomiony, i patrzył, jak koń przewraca się na bok, wierzgając, jakby nadal biegł. Wtedy jego ciało przeszył dreszcz i znieruchomiał.

Starzec postradał zmysły, pomyślał Uthas.

– Calidusie! – zawołał, idąc ku niemu. Na skraju świadomości rejestrował kroki za sobą. Bez wątpienia podążał za nim Salach oraz rosnąca grupa Kadoshim. Przemknął pod liną rozciągniętą między drzewami, a wtedy Calidus odwrócił się ku niemu. Jego oczy lśniły wściekłością, na co Uthas zatrzymał się, przeświadczony, że zbliżenie się do uzbrojonego w wyciągnięty miecz starca może się źle dla niego skończyć.

– Co się dzieje? – spytał.

– Niekompetentni idioci! – wysyczał Calidus, a potem odwrócił się i rąbnął końskie zwłoki raz jeszcze. Wyszarpnął ostrze w eksplozji krwi i zmiażdżonych kości.

– Kto? – spytał Uthas.

– Rhin! Veradis!

Z każdym imieniem Calidus ciął konia ponownie, a potem uderzył raz jeszcze, wyrwał ostrze i oparł się na nim. Pochylił głowę i dyszał przez moment w milczeniu, po czym wytarł klingę o końskiego trupa i podszedł do Uthasa. Ujrzał wtedy dziesiątki wpatrujących się w niego twarzy.

– Meical i jego marionetka uciekli – powiedział, odzyskawszy nagle spokój i panowanie nad sobą. Efekt psuły tylko strużki krwi spływające po bladym obliczu i srebrzystych włosach. – A statki Vin Thalun zostały spalone, zatopione bądź skradzione.

– Co? Jak to możliwe?

– Zaatakowali flotę Vin Thalun kotwiczącą niedaleko Uthandun, przejęli część okrętów i spalili resztę, popłynęli na wschód. Szczegóły są niejasne. Na kolejne informacje będziemy musieli poczekać, aż spotkamy się z Rhin twarzą w twarz. Widziałem się z nią w Zaświecie, ale przyznaję, że trochę mnie poniosło i uciekła.

Jakoś mnie to nie dziwi, przemknęło Uthasowi przez myśl.

– Nie mam wątpliwości, że stoi za tym Meical – ciągnął Calidus.

– Możemy zmienić kierunek marszu. Możemy ruszyć za nimi i przechwycić ich, zanim opuszczą teren Ciemnego Boru.

– Nie – warknął Calidus. – Fakt, że to kusząca opcja. Moglibyśmy ich pochwycić między dwoma armiami. Nie chcę jednak zmieniać kierunku marszu i gonić ich przez Ziemie Wygnanych. Nie, ja nie mogę zapomnieć o zadaniu, które otrzymałem.

– Co masz na myśli? – spytał Uthas.

– Nie dostałem ludzkiego ciała po to, by zniszczyć Jasną Gwiazdę Meicala –

warknął Calidus. – Moim zadaniem jest doprowadzić do tego, by Asroth odzyskał materialne ciało. Muszę go sprowadzić z Zaświatu do świata materialnego. – Wzruszył ramionami. – Gdy tego dokonam, Meical i jego Jasna Gwiazda zginą. To nieuniknione, ale mimo wszystko straciliśmy dogodną okazję, przez co zaczynam wątpić w tych, których wyniosłem do rangi moich bliskich współpracowników.

Uthas sięgnął pod kurtkę i wyciągnął skórzany bukłaczek. Wyjął zatyczkę, a wokół rozszedł się mocny zapach *usque*, a potem podał flaszkę Calidusowi.

– Dobry pomysł – mruknął ten i pociągnął długi łyk.

Poświata rozlewająca się na wschodnim niebie zwiastowała rychłe nadejście świtu.

– Gotujcie się do drogi! – zawołał Calidus. – Dziś dotrzemy do Uthandun.

Otoczające ich postacie ponownie zlały się z ciemnościami. Kadoshim przystąpili do pakowania i zwijania obozu. Uthas spojrział zaś na niemalże poćwiartowane końskie zwłoki.

Z uszczuplonym zaprzęgiem wóz z kotłem na pewno nie będzie przemieszczał się szybciej, pomyślał.

Calidus spojrział w tym samym kierunku co olbrzym i rzekł:

– Powiedz Nathairowi, że może dać to ścierwo swojemu draigowi.

\* \* \*

Uthandun ukazało się ich oczom, gdy wjechali na wzgórze. Za fortecą wyrastał nieprzenikniony mur Ciemnego Boru, a między puszczą a twierdzą wiała się rzeka, migocząca w blasku słońca. Nawet z tej odległości Uthas widział poczerniałe, zanurzone do połowy kadłuby okrętów. Stojący za nim Calidus z sykiem wypuścił powietrze z płuc, co oznaczało, że znów budzi się w nim furia.

Naprawdę się wściekł zeszłej nocy, pomyślał Uthas. Nigdy dotąd nie widziałem, by opuścił go ten wyrachowany spokój.

Zjechali w dół zbocza. Starzec rozglądał się, patrząc na pozostałości po ogniskach i resztki przewróconych kukieł ubranych w płaszcze. Jego usta wykrzywiła odraza.

Za nimi dudnił wóz z kotłem, ciągnięty przez siedem koni i tuzin olbrzymów. Uthas nakazał swoim Benothi, by wsparli resztę zaprzęgu, gdyż zależało mu na tym, by dotrzeć przed zmrokiem do Uthandun. Wóz był

otoczony przez Kadoshim, w których od czasu wyruszenia z Murias zaszły wielkie zmiany. Calidus zdołał wpoić im podstawy panowania nad sobą – nadal mieli ogromny apetyt na mięso, ale umieli już gotować i jeść jak zwykli ludzie. Nauczyli się również dbać o swoje ciała niczym o cenną broń. Wyglądało na to, że wreszcie czują się swobodnie w nowych skórach. Nie zdarzały im się już niekontrolowane spazmy czy drgawki, nauczyli się korzystać z głosów swoich ciał i przejmowali ich umiejętności. Co najważniejsze, wiedzieli już, czym jest dyscyplina.

Umiejętności Jehar i siła Kadoshim. Przerazające połączenie, pomyślał Uthas.

Wojownicy emanowali siłą i mocą, która otaczała ich niemalże materialną aurą i rozchodziła się niczym fale gorąca podczas upalnego dnia.

Calidus popędził konia i dołączył do Nathaira, jadącego na czele kolumny. Król siedział wyprostowany na grzbiecie draiga, wciąż rozdętego po ostatnim posiłku. Obok niego, jak zwykle, szedł Alcyon.

Naszego młodego króla czeka prawdziwy test, pomyślał Uthas. Rzadko się do nas odzywa, co jest zrozumiałe, bo ma wiele tematów do przemyślenia. Do wielu rzeczy musi się też przyzwyczaić, jak choćby do tego, że sprzedał duszę Asrothowi.

Czasami Nathair zadawał Calidusowi jakieś pytanie, zazwyczaj dotyczące nowego porządku, o którym wspominał. Bywało, że pytał też o strategię na nadciągającą wojnę. Wydawał się uległy, a przynajmniej pogodzony z brutalnymi realiami nowego świata.

Ale niebawem spotka się z Veradisem. Wtedy się przekonamy, wobec kogo tak naprawdę jest lojalny, pomyślał Uthas.

– Jesteś na to gotowy? – spytał Calidus Nathaira.

Ten przeniósł spojrzenie na starca. Jego twarz była surowa, poważna, pozbawiona emocji.

Uczy się maskować uczucia, przemknęło Uthasowi przez myśl.

– Oczywiście – odparł. – Wszak dokonałem wyboru i zawarłem układ.

Skrzywił się przelotnie.

Choć ma jeszcze trochę do odrobienia w tej kwestii, dodał w myślach Uthas.

– Nie musisz się przejmować, Calidusie.

– Ja się zawsze przejmuję. – Starzec wzruszył ramionami. – To dlatego wciąż jeszcze żyję i dlatego wygrywamy wojnę.

– Wypełnię wyznaczone mi zadanie. Odegram rolę króla. Twojej

marionetki.

– Jesteś kimś o wiele ważniejszym, Nathairze. Jesteś wodzem naczelnym naszych sił i w przeciwieństwie do Rhin nigdy nie zawiodłeś.

Nie chciałbym się znaleźć w skórze Rhin, gdy dojdzie do ich spotkania, myślał Uthas.

Nathair wyprostował się, słysząc te słowa.

Ależ chwiejni są ci ludzie, skoro da się ich zwieść byle pochlebstwem, ciągnął w myślach olbrzym.

– A pamiętasz, co masz powiedzieć podczas narady wojennej?

– Pamiętam. Niektóre decyzje trzeba popchnąć naprzód.

– W rzeczy samej. Pozostaje jeszcze Veradis – naciskał Calidus. – Jesteś gotów, by się z nim spotkać?

– Jestem – westchnął Nathair. – To dobry człowiek i mój przyjaciel.

Alcyon, idący bez słowa u boku Nathaira, mruknął coś pod nosem.

– On nie zrozumie – zaczął Nathair i urwał. – Nie zrozumie złożoności naszej sytuacji. Na razie. Mam nadzieję, że za jakiś czas uda mi się z nim szczerze porozmawiać. Może wprowadzę go do twojego... eee... naszego kręgu?

Miał wygłosić swój zamysł, Nathair zadał raczej pytanie, obrzucając przy tym Calidusa niemalże błagalnym spojrzeniem.

– Oczywiście – odparł starzec. – Darzę Veradisa wielką sympatią.

Alcyon spojrział na Calidusa ze zmarszczonymi brwiami. Uthas przyglądał się obcemu olbrzymowi z podejrzliwością.

– Veradis jest dla nas cennym sojusznikiem – ciągnął Calidus. – Jest zdolny, waleczny i bardziej lojalny niż ułożony, wierny ogar. Jest wojownikiem i taktykiem. Wiążę z nim wiele nadziei.

– To dobrze. – Nathair skwitował jego słowa zdawkowym skinieniem, ale mina Alcyona zdradzała, że olbrzym wcale nie był co do tego przekonany.

\* \* \*

W przeciwieństwie do większości fortec, które ludzie obierali na swe stolice, Uthandun nie zostało wzniesione przez olbrzymy. Do jego budowy nie wykorzystano kamieni, a jedynie drewno i słomę. Było dla Uthasa miejscem ciasnym i niewygodnym, pełnym przymałych drzwi i niskich sufitów. Nie było też tutaj krzeseł, na których olbrzym mógłby wygodnie spocząć, a więc wraz z Alcyonem stali za plecami Nathaira i Calidusa. Królowi towarzyszył też

Kadoshim o imieniu Sumur, którego oczy przypominały ciemne stawy pośród bladej twarzy.

Drzwi zostały otwarte i do środka wkroczyła Rhin z przybocznymi. Uniosła rękę, dając im znać, by zostali na korytarzu, po czym zatrzasnęła drzwi i usiadła. Wydawała się znużona, a pod jej oczami malowały się ciemne plamy. Uthas poczuł do niej falę sympatii. W ciągu minionych lat była dla niego wrogiem, zwyciężcą, ciemiężcą, wybawicielką, a w końcu, w co trudno było uwierzyć, przyjaciółką. Wiedział jednak, że nie jest teraz w stanie jej pomóc. Calidus przewiercał ją nieprzyjaznym spojrzeniem, aż wreszcie królowa uniosła głowę i popatrzyła mu w oczy. Cisza się przeciągała. Rhin nie odwróciła wzroku.

– No i? – odezwał się w końcu Calidus. Jego głos przeciął ciszę niczym strzał z bicia.

– Zostaliśmy wymanewrowani – powiedziała Rhin. – Przegraliśmy bitwę, ale przecież nie wojnę.

Calidus wstał nieśpiesznie, aż zatrzeszczał jego skórzany kaftan. Powoli, demonstracyjnie obszedł stół i stanął przy Rhin. Położył jej dłoń na ramieniu. Królowa drgnęła.

– Popełniłaś błąd. – Jego szept zdawał się wypełniać całe pomieszczenie.

– Tak, ale mo...

– Nie – rzekł Calidus. – Nie upokarzaj się wymówkami. Należymy do wewnętrznego kręgu Asrotha, nie żyjemy do siebie pretensji.

Rhin zerknęła na Nathaira.

– Tak. – Młody król uśmiechnął się zimno. – Zostałem oświecony.

– To... Cóż, to dobrze – szepnęła Rhin.

– Otóż to – zgodził się Calidus. – Pora porozmawiać o tym, co wcale już tak dobre nie jest. Przepuściliście Meicala i jego Jasną Gwiazdę przez palce, pozwoliliście też, by moja flota została zniszczona. Okręty, które miały zabrać nas oraz kocioł do Tenebrału!

Minęła dłuższa chwila, nim Rhin się odezwała.

– Przykro mi – rzekła.

Uthas zauważył, że ramię, na którym spoczywała dłoń Calidusa, drgnęło.

– Jestem co do tego przekonany – powiedział starzec spokojnym, rzeczowym głosem. – Niemniej dobre intencje nie wygrają nam tej wojny.

Zaczął szeptać jakieś słowa, a jego dłoń na ramieniu Rhin poruszyła się. Mocniej zacisnął palce, a spod nich zaczął się sączyć czarny dym, który otoczył



gardło królowej niczym ciężka poranna mgła. Rhin zachłysnęła się i rozchyliła szeroko usta.

– Nie próbuj nic mówić – rzekł Calidus, spokojny jak zwykle. – Bo zaraz się przekonasz, że nie jesteś już w stanie. Zamiast tego słuchaj. – Pochylił się, a jego usta niemalże musnęły jej ucho. – Asroth nagradza, ale także karze. Lojalność to dobra rzecz. Lojalność i skuteczność są jeszcze lepsze. Niemniej porażka...

Uniósł rękę znad ramienia Rhin i zacisnął dłoń. W tej samej chwili czarna mgła okalająca gardło królowej ściągnęła się. Kobieta usiłowała ją zerwać, ale jej palce przeszły dym, a paznokcie pozostawiły skaleczenia na skórze. Krztusiła się, drapała, wytrzeszczała oczy, a jej ciało spurpurowiało. Miotła się na krześle, ale Calidus złapał ją za włosy i unieruchomił gwałtownym szarpnięciem.

– Żadnych. Porażek.

Rozległo się pukanie do drzwi i starzec odstąpił od Rhin. Rozchylił dłoń i czarna mgła wyparowała z sykiem. Kobieta padła na blat stołu, zanosząc się kaszlem.

Calidus zaś powrócił na swoje miejsce, poprawił płaszcz i zasiadł.

– Opanuj się – powiedział do Rhin, która wyprostowała się, łapiąc wielkie hausty powietrza. Jej pierś unosiła się i opadała coraz wolniej. – Wejść! – rozkazał Calidus.

Drzwi otworzyły się i do środka wkroczył Veradis. Jego twarz była poważna i rysowało się na niej poczucie winy.

On również odczuwa wstyd z powodu porażki, uświadomił sobie Uthas.

Nathair powstał. Veradis na jego widok uśmiechnął się szeroko, na co król Tenebralu odpowiedział tym samym, choć uśmiech zdawał się nie pasować do jego oblicza.

To prawdziwa, szczerza przyjaźń. Nie widziałem uśmiechu u Nathaira od chwili bitwy w Murias, pomyślał Uthas.

Veradis zrobił kilka długich kroków i opadł na kolano przed swym władcą.

– Mój panie – powitał go.

Nathair stał w milczeniu i spoglądał na przyjaciela, a jego uśmiech powoli gasł. Przez jego twarz przemknął cień. Zerknął na Calidusa, a wówczas jego oblicze znów stało się chłodne i nieprzeniknione. Oparł dłoń na ramieniu Veradisa.

A teraz przekonamy się, jak bardzo szanujesz przysięgę, którą złożyłeś

Asrothowi, pomyślał Uthas.

– Nie chcę tego słuchać, stary przyjacielu – powiedział Nathair i pomógł Veradisowi wstać.

Objęli się mocno, po czym Veradis cofnął się i przyjrzał się uważnie królewskiej twarzy. Zmarszczył brwi.

Kątem oka Uthas zauważył, że Calidus opiera dłoń na rękojeści noża za pasem.

## Rozdział czterdziesty

# VERADIS

– Co się stało? – spytał Veradis.

W pierwszej chwili skupił całą swą uwagę na Nathairze, a jego serce zalała ulga, jak zawsze gdy po długiej rozłące widział swego władcę całego i zdrowego. Po chwili uniesienie zaczęło ustępować, a wówczas młody wojownik uświadomił sobie coś jeszcze. Powietrze w komnacie było ciężkie od napięcia. Rhin siedziała z pochyloną głową, a Calidus stał wyprostowany i zaciskał mocno usta. Sumur i Uthas wyglądali niczym cienie wydobyte z mroku przez blask słoneczny wpadający przez otwarte okno. A Nathair... Był wychudzony i wymizerowany, a Veradis, przyglądając mu się uważnie, odniósł wrażenie, iż dokucza mu coś więcej niż tylko znużenie na koniec długiej wędrówki.

– Co się stało? – powtórzył Nathair. – Nic złego. Mamy kocioł. Spełniliśmy marzenia pielęgnowane od wielu lat.

Uśmiechnął się, ale jego uśmiech wydawał się słaby. Pusty wręcz.

– Kocioł... Po tylu trudach, po tylu marzeniach i planach. – Veradis również się uśmiechnął. – Wiem o tym od pewnego czasu, gdyż Rhin otrzymała wiadomości na ten temat. To wspaniałe wieści.

– Prawda – rzekł Nathair.

A mimo to spodziewałem się czegoś innego, myślał Veradis. Czego? Cóż, Nathair powinien nie posiadać się z radości, lecz w niczym nie przypomina skupionego, zdeterminowanego mężczyzny, z którym rozstałem się na granicy Domhainu.

– Wyglądasz na znużonego, Nathairze, ale czuję, że to nie wszystko – powiedział.

Uthas stanął za królem Tenebralu.

– Mamy za sobą ostre bitwy i długą wędrówkę – rzekł Nathair. – A ja

uświadomiłem sobie, że zakończyłem misję tylko po to, by rozpocząć kolejną. – Rozejrzał się po komnacie, przez moment wpatrywał się w Calidusa, po czym znów spojrzął na Veradisa. – Tak, jestem znużony, ale nie mylisz się. Jest coś jeszcze. – Urwał i wpatrywał się bez słowa w przyjaciela. – Jestem tobą rozczarowany, Veradisie – odezwał się w końcu. – Miałeś okazję, by to wszystko zakończyć. Miałeś przed sobą Czarne Słońce z raptem kilkoma setkami mieczy, a mimo to pozwoliłeś mu uciec. Zawiodłeś mnie po raz pierwszy, a mam wrażenie, że bitwa z Czarnym Słońcem to jedynie początek długiego szlaku, którego koniec niknie za widnokretem.

Veradis miał wrażenie, że każde słowo jego przyjaciela to kolejny cios, a każda sylaba to ostrze noża, które wbija mu się w brzuch i obraca w ranie. Pochylił głowę, zdjęty wstydem.

– Wiem. Mogliśmy to zakończyć – szepnął, kręcąc głową. – Pozwoliłem im uciec.

– Tak było.

– Spodziewaliśmy się po tobie czegoś więcej – oznajmił Calidus.

– Niemniej na to, co się wydarzyło, już nie mamy wpływu, Veradisie – powiedział Nathair. – Straciliśmy okazję, ale wojna trwa nadal.

– Odbierz mi dowództwo – rzekł młodzieniec.

– Nie. Chcesz się wycofać jak ostatni tchórz – powiedział Nathair ostro.

Veradis nigdy dotąd nie słyszał, by król przemawiał tak surowo. Każde jego słowo bolało niczym bicz spadający na plecy.

Nathair pochwycił go za ramię.

– Popełniłeś błąd. Nie wolno ci popełnić kolejnego!

– Nigdy! Wolałbym zginąć – zapewnił go Veradis.

Nathair skinął zdawkowo i powrócił na miejsce. Veradis opadł na krzesło obok Rhin, a wtedy po raz pierwszy dostrzegł potężną postać Alcyona pośród cieni. Uśmiechnął się krzywo do niego.

– Dobrze cię znów ujrzeć, człowieczku. – Olbrzym uśmiechnął się lekko, a jego wąsiska drgnęły.

– Obawiam się, że chyba nie za dobrze – odparł Veradis.

– Żyjesz, a to, moim zdaniem, wystarczający powód, by się cieszyć – burknął Alcyon.

– Bardzo to wszystko miłe, ale ckliwe powitania przesunmy na później – warknął Calidus i zwrócił swe jastrzębie spojrzenie na Veradisa i Rhin. – Muszę wiedzieć, co tu się wydarzyło.

Coś w jego głosie zdradzało, że ledwie panuje nad wściekłością, co przepełniło duszę Veradisa lękiem.

To jeszcze gorsze od ćwiczeń w walce w dzieciństwie, kiedy Krelis spuszczał mi lanie, a Alben kazał mi mówić, co zrobiłem źle, pomyślał.

– Obawialiśmy się, że wróg ucieknie na widok naszej przewagi – odezwał się bez emocji. – Wyruszyliśmy więc pod osłoną ciemności i weszliśmy na wzgórze, na którym obozowali. Myślałem, że jeśli podejmiemy odpowiednio blisko, z nastaniem świtu będziemy mogli wydać im bitwę i nie pozwolić na ucieczkę.

– A ty zgodziłaś się na to? – Calidus zwrócił się do Rhin.

Królowa uniosła głowę i wytrzymała spojrzenie starca.

– To był mój pomysł – powiedziała.

– Wydawało nam się wówczas, że to dobry plan – dodał cicho Veradis.

– Jak to zwykle bywa – rzekł Calidus bez emocji. Rozparł się na krześle i założył ramiona na piersi. – I co się wydarzyło później?

Veradis pokrótce opowiedział o nocnym marszu i fortelu, na który dali się nabrać.

– Czyli przekradli się bokiem, porwali moje statki i spalili resztę? – Calidus wychylił się ku niemu.

– Nie wszystkie – rzekła Rhin.

– O, to już coś. Ile zostało?

– Piętnaście.

– Jest wśród nich transportowiec? Potrzebujemy go, by przewieźć kocioł.

– Nie, pozostały jedynie galery. – Veradis pokręcił głową.

Calidus zmarszczył brwi.

– Moglibyśmy wziąć tych piętnaście okrętów i popłynąć w ślad za uciekinierami – zaproponował Veradis.

Calidus szarpnął się za krótką brodę.

– Mielibyście przeciwko sobie trzy, może cztery setki wojowników, głównie Jehar, Benothi i przybocznych Corbana, którzy niemalże bez pomocy wyrznęli garnizon w Dun Vaner. – Starzec zmiażdżył Rhin spojrzeniem. – Na piętnaście okrętów wejdzie około dziesięciu setek, a więc cały twój hufiec. Przegrasz z nimi.

– Mój mur tarcz walczył już z olbrzymami, draigami i zmijami – rzekł Veradis.

– Ale jak do tej pory nie miałeś okazji zetrzeć się z oddziałem, którym

dowodzi jeden z Kadoshim do spółki z Czarnym Słońcem. Z Jehar też nie walczyłeś.

– Ani z Balurem Jednookim – mruknął Uthas. – To straszliwy przeciwnik.

Słyszałem to imię w bajkach opowiadanych mi przez nianię, pomyślał Veradis.

– Odpowiedź brzmi: nie – zakończył Calidus i zmarszczył brwi, niezadowolony z uwagi Uthasa. – Nie będziesz ich ścigał. Gdybyśmy połączyli swe siły w walce z nimi, nie wahałbym się ani chwili, ale teraz nie mam zamiaru ryzykować, a twoi orli gwardziści są zbyt cenni. Nie mogę też wydzielić ci posiłków z oddziałów stanowiących eskortę kotła. Poza tym znam cel ich wędrówki. Podążają do Drassil. Udamy się za nimi w odpowiednim momencie, gdy wszystko będzie gotowe, a kocioł znajdzie się w bezpiecznym miejscu.

Veradis pochylił głowę, nie do końca przekonany, ale pogodzony z decyzją Calidusa.

– A gdzie jest kocioł? – zapytał. – Z wielką ochotą wysłuchałbym opowieści o tym, jak go przejęliście.

– To była zacięta bitwa – rzekł Nathair i wyjrzał przez okno, a w jego oczach pojawiła się mgła. – Kiedy indziej ci o tym opowiem, nad dzbanem wina. W każdym razie w naszych rękach znalazła się potężna broń. – Znów spojrzał na Veradisa. – Planowaliśmy, że przewieziemy go na pokładzie transportowca do Tenebralu i wszyscy również zabierzemy się z flotą.

Veradis zwiesił głowę.

– Ale nie wszystko stracone – odezwał się Calidus. – Popraw mnie, jeśli się mylę, Nathairze, ale chyba planowałeś wezwać do Tenebralu naszych sojuszników, królów Isiltiru, Carnutanu i Helvethu na naradę wojenną?

– Tak.

– Dobrze. A więc skoro przyjdzie nam wieść kocioł lądem przez Isiltir, roześlij posłańców i wezwij Jaela, Gundula i Lothara na spotkanie w jakimś wygodnym miejscu, dajmy na to w Mikil.

– Dobrze. – Nathair pokiwał powoli głową. – Nam też nie wolno zwlekać. Musimy dotrzeć do Mikil przed nadejściem zimy.

– Da się zrobić.

– To dobry plan – rzekł Veradis.

– Obawiam się, że ty się z nami nie wybierasz – przerwał mu Calidus.

– Co takiego?

– Otrzymałem wieści z Tenebralu od Lykosa. Ponoć doszło do powstania. Lykos twierdzi, że da sobie radę, ale to Vin Thalun i urodził się, by walczyć na morzu. Starcia lądowe nie są jego specjalnością i wydaje mi się, że potrzebuje pomocy. Weźcie te galery i wracajcie do Tenebralu. Rozprawcie się z buntownikami, a wtedy spotkamy się w Mikil.

– Co takiego?

No nie, pomyślał Veradis. Ponownie mam się rozstać z Nathairem? Co ze mnie za pierwszy miecz, skoro toczą bitwy w odległości setek mil od mego władcy?

– Naprawdę chcecie, bym ja to zrobił?

– Tak – rzekł Nathair. – Nie powierzyłbym tego zadania nikomu innemu.

– Ale ja jestem twoim pierwszym mieczem! – rzekł błagalnie Veradis. – Powiniennem walczyć u twego boku.

– Jesteś też moim wojewodą. Zrób to dla mnie i oczyść się z winy po wczorajszej porażce.

Veradis westchnął, czując ogarniającą go rozpacz.

– A kto stoi na czele tego powstania w Tenebralu? – zapytał.

Nathair spojrzał na niego ze smutkiem i rzekł:

– Twój ojciec.

\* \* \*

Veradis szedł korytarzami Uthandun w poszukiwaniu Nathaira.

Od przybycia jego króla i przyjaciela minęły już dwie noce, a on widział go jedynie kilkakrotnie, zawsze w otoczeniu ludzi domagających się jego uwagi, ale nawet wtedy nieodmiennie pojawiał się Calidus, który odsyłał go do innych zadań. Nadszedł jednakże dzień wyruszenia w drogę i Veradis opuścił swą komnatę przed nastaniem świtu. Uznał, że zrobi wszystko, by odnaleźć swego władcę, ale przekonał się rychło, że królewskie komnaty są puste i niestrzeżone. Klnąc pod nosem, chodził po korytarzach i machał pochodnią, której blask przygasał w miarę, jak budził się świt.

W końcu odnalazł Nathaira na błoniach twierdzy. Młody król stał wraz ze swoim draigiem na środku płytkiego, obwiedzonego liną zagłębienia połączonego z zagrodą, w cieniu rosnących nad strumieniem drzew. Rzucał bestii poćwiartowane ochłapy wołu. Kilka kroków dalej widać było ciemną sylwetkę Alcyona.

– Szukałem cię – oznajmił Veradis, podchodząc bliżej.

Nathair uniósł głowę, ale nie powiedział ani słowa. Powrócił do wybierania ochłapów z worka i rzucania ich draigowi.

– Nie sądziłem, że aż tak trudno mnie znaleźć – rzekł Alcyon.

– To doprawdy zadziwiające. Wiem. – Veradis uśmiechnął się do Alcyona szeroko.

A jeszcze bardziej zadziwiające jest to, że zawarłem przyjaźń z olbrzymem, pomyślał.

Podczas ich pierwszego spotkania Alcyon złamał Veradisowi nos, a ten cisnął w olbrzyma włócznią. Później jednakże wspólnie wędrowali, razem walczyli i wielokrotnie ratowali sobie życie. Dzielące ich bariery powoli zaczynały zanikać, aż w ich miejsce pojawiła się przyjaźń. Stali teraz przez moment w milczeniu i spoglądali na siebie. Nathair nadal był odwrócony do nich plecami.

– Słyszałem opowieści o bitwie na Przełęczy Domhaińskiej. Twoje imię ciągle się w nich pojawia – rzekł Alcyon.

– Tak. Wyobraź sobie, iż jestem w stanie wyjść z bitwy z życiem, nawet jeśli nie stoisz blisko mnie, gotów, by mnie ocalić. Cóż za miła niespodzianka – odparł Veradis z uśmiechem. Wtedy dostrzegł rękojeść długiego miecza wystającą z nad ramienia olbrzyma. – A gdzie jest twój czarny topór?

– Odebrano mi go w bitwie – odparł Alcyon, krzywiąc się.

Przecież topór jest jednym z Siedmiu Skarbów, przemknęło Veradisowi przez myśl.

– A więc nie tylko ja wypadłem z łask – rzekł.

Alcyon spojrzał na niego, marszcząc brwi.

– Żebyś wiedział.

– Kto go przejął?

– Wróg – wyszeptał olbrzym cicho niczym śnieg zsuwający się z konarów drzew. – Ale kiedyś się jeszcze z nim zmierzę.

Veradis nie miał co do tego wątpliwości. Zerknął na Alcyona i na wytatuowane kolce wijące się po jego przedramionach i znikające pod rękawami koszulki kolczej, na długie wąsiska przewiązane skórzanymi rzemieniami, na ciemne oczy na poblądłej, kanciastej twarzy.

Niby pochodzi z obcej rasy, ale z drugiej strony wcale nie wydaje się aż tak odmienny, pomyślał.

– Kim ty jesteś? – spytał go.



– Że co? – burknął olbrzym.  
– Pochodzisz z klanu Kurgan, prawda?  
– Tak – odpowiedział powoli Alcyon.  
– A skąd wywodzą się twoi pobratymcy?  
– Niegdyś mieszkaliśmy w waszym Tenebralu, ale nasze królestwo rozciągało się dalej na północ i wschód, aż do miejsca, które zwiecie Arconą, Morzem Traw.

– A kim jesteś w swoim klanie?  
– O co ci chodzi? – spytał Alcyon podejrzliwie.  
– Dobrze wiesz, jak podzielony jest nasz lud. Mamy króla, przybocznych, wojowników, kowali, stajennych, skutników i tak dalej. A ty? Kim ty byłeś?  
Brwi Alcyona zeszyły się bliżej, tworząc głęboką bruzdę.  
– Ja jestem niczym – warknął.  
– Myśl sobie, jak chcesz. – Veradis wzruszył ramionami. – Jeśli o mnie chodzi, na pewno nie jesteś niczym. Zacznijmy od tego, że jesteś moim przyjacielem.

Alcyon wpatrywał się w niego długo, aż wreszcie skinął głową.

– A ty moim – oznajmił.

Nathair odwrócił się i ruszył ku nim.

Veradis przypomniał sobie, po co przyszedł nad rzekę.

– Wypływam dziś do Tenebralu – rzekł. – Chciałem porozmawiać choć przez chwilę przed wyruszeniem w drogę. Tak jak dawniej.

Nathair pokiwał głową. Był blady, zupełnie jak owej nocy, gdy jego ojciec został zamordowany, a on odniósł ranę.

– Ja też chciałem porozmawiać i wypić ów dzban wina, ale... – Rozłożył rękę.

– Wiem. Dni są zbyt krótkie – dokończył za niego Veradis.

W Nathairze zaszły zmiany, ale młodzieniec umiał już je nazwać. Taka sama aura od zawsze otaczała przecież Alcyona.

Melancholia, pomyślał.

– Fakt, zbyt krótkie – zgodził się Nathair.

– Ale teraz mamy chwilę.

Mgła płynęła między ich nogami i parowała w promieniach wschodzącego słońca. Uthandun za plecami było niewyraźnym cieniem, a odgłosy budzącej się do życia twierdzy zdawały się odległe i stłumione. Veradis zdjął bukłak z ramienia i wyciągnął korek zębami.

– Porządne wino z Ripy – rzekł z szerokim uśmiechem.

Nathair również się uśmiechnął, ujął bukłak i wziął długi łyk. Pił i pił, aż Veradis zaczął się obawiać, że wysączy wszystko, ale król oddał naczynie po chwili. Czerwona kropla wina wnikała w jego krótką brodę.

Veradis przekazał bukłak Alcyonowi.

– Opowiedz mi o tym, co się wydarzyło w Murias – rzekł.

– Benothi okazali się twardymi przeciwnikami. – Nathair się skrzywił. – Walczyli o wiele zacieklej, niż się spodziewałem. Kotła zaś strzegły zmije. Wiele ich było, sześć, może osiem dziesiątek. W walce padło prawie tysiąc Jehar.

Przedstawiał fakty zgoła bez emocji.

Mówi, jakby o tym przeczytał, a nie jakby walczył w samym środku bitwy, pomyślał Veradis.

Jehar byli najlepszymi, najbardziej śmiertelnościami wojownikami, jakich kiedykolwiek widział. Trudno mu było wyobrazić sobie wroga potężnego na tyle, by usieć cały tysiąc.

– Ilu Benothi tam walczyło?

– Kilka setek – rzekł Alcyon. – Ale wielu opowiedziało się po stronie Uthasa.

– A ilu przeżyło?

– Uthas ma pod sobą około pięćdziesięciu Benothi – odpowiedział Alcyon. – Reszta, która stawiała nam czoła, dołączyła później do Meicala oraz do Czarne Słońce. Pozostało ich może trzydziestu.

– A Cywen? – wykrztusił Veradis. Chciał o to spytać już przy pierwszym spotkaniu, ale czuł, że jeśli uczyni to przy wszystkich, wyjdzie na głupca.

– Cywen... – Nathair uniósł brwi, a Alcyon wbił wzrok w swoje stopy.

– Uciekła – burknął. – Kolejny błąd na moim koncie.

– Corban ją przejął. Zjawił się, gdy bitwa o kocioł sięgała zenitu – rzekł Nathair. – Widziałem, jak wspólnie uciekają z korytarzy.

To dobrze, pomyślał Veradis.

Nie miał pojęcia, skąd się w nim wzięło takie przekonanie, ale cieszył się z tego, że przeżyła. Że była bezpieczna. Miał wrażenie, że to niewinna osoba, zagubiona w labiryncie mrocznych dziejów.

Ale fakt, że bezpieczeństwo zapewnia jej Czarne Słońce, nie podoba mi się wcale, dodał w myślach.

– Spotkałem Corbana Czarne Słońce – rzekł. – Walczył w bitwie o Przełęcz

Domhaińską, gdzie poprowadził nocny wypad na hufiec Rhin. Wraz z kilkoma innymi narzucił na siebie skóry wilkunów.

– On ma oswojonego wilkuna – powiedział Nathair. – Zwie go Burzą. Była z nim w Murias.

– Zgadza się. Napędzili okropnego stracha ludziom Rhin, z których wielu tej nocy uciekło.

– Trudno się dziwić. – Nathair wzruszył ramionami. – Skoro uznali, że mają wilkuny przeciwko sobie?

– Wyzwał cię do walki. Gdy ujrzał emblemat orlej straży na naszych tarczach i sam mur.

– Mnie? – Nathair uniósł lekko brew, co było pierwszym znakiem, że jest choć w minimalnym stopniu zainteresowany opowieścią.

– Tak. Wyzwał cię od tchórzy i twierdził, że zabiłeś mu ojca.

– Bo to prawda – szepnął Nathair.

– Wyzwał cię na Sąd Mieczy.

– Naprawdę? Odważny chłopak.

– Tak. Chciałem stoczyć tę walkę za ciebie, ale...

Urwał, przypominając sobie, jak Bos go odciągnął, gdy dostrzegł stojącego nieopodal Jehar, tego samego, który w pojedynkę zabił Raukę i prawie tuzin innych gwardzistów. Zacisnął powieki i znów otoczyły go chaos i panika, wywołane przez nocny rajd wroga. Znów słyszał trzask zwierających się przed nim tarcz.

– Uciekł – dokończył i wzruszył ramionami.

– Tak, cóż. Wygląda na to, że jest w tym naprawdę dobry.

Veradis pochylił głowę.

– Najwidoczniej tak właśnie miało być. – Głos Nathaira złagodniał. – Kiedyś się z nim spotkam. Co do tego nie mam wątpliwości.

– Tak, pod warunkiem, że będę przy tobie, gdy do tego dojdzie. Zmierzymy się z nim we dwóch. Marzę o tym i często wyobrażam sobie ów dzień, gdy staniemy na czele naszych hufców i wydamy bój Czarnemu Słońcu i jego sojusznikom. Los świata zostanie przesądzony w jednej bitwie.

– Też tak to kiedyś sobie wyobrażałem.

– I porzuciłeś tę wizję? Myślisz, że będzie inaczej?

– Nie wiem – westchnął Nathair. – Czarne Słońce... – szepnął, jakby wypowiadał te słowa po raz pierwszy.

– Tak właśnie. – Veradis zmarszczył brwi.

Co mu dolega?, zastanawiał się. Wygląda, jakby zapadł na jakąś chorobę.

– Dopadniemy go – obiecał raz jeszcze, próbując obudzić w przyjacielu ducha walki. – Ale najpierw muszę się uporać z tą rebelią w Tenebralu.

– Tak, to z pewnością delikatna sytuacja – rzekł Nathair. Na jego twarzy zagościła surowość i gniew, a w oczach błysnął ogień, po raz pierwszy od chwili ich ponownego spotkania. – Ale to Tenebral. Jak mam stanąć na czele sojuszu czy też przewodzić imperium, skoro nie potrafię zaprowadzić porządku we własnym królestwie? Musisz stać się moją ręką sprawiedliwości, Veradisie.

– Wiem – odparł młodzieniec. W jego głosie pojawił się jednakże lęk, bynajmniej nie przed bitwą czy śmiercią, ale przed tym, co przypuszczalnie będzie musiał zrobić.

Mój ojciec. Moi bracia, pomyślał.

– To twój ród, dobrze o tym wiem – powiedział Nathair, a jego twarz złagodniała. – Przypuszczam, że u podłoża leży nienawiść, jaką twój ojciec żywi do Vin Thalun.

– Nie tylko on – mruknął Veradis. – Mój brat Krelis gardzi Vin Thalun.

– Jeśli w tym tkwi sedno problemu, myślę, że zdołasz naprawić wyrządzone szkody. Będziesz musiał sięgnąć po dyplomację, która nie jest twoją najmocniejszą stroną, ale mimo to sądzę, że ci się uda.

– Tak. Jeśli w istocie akurat to stanowi problem, uporam się z nim.

A co, jeśli to nie wszystko?, pomyślał. Jeśli problem jest głębszy? Pamiętam, jak mój ojciec rozmawiał z Nathairem. Zlekceważył go jak aroganckiego szczeniaka. Tamtego dnia właśnie podjąłem decyzję, czyich rozkazów będę słuchać.

Nabrał tchu.

Wszystkie decyzje pociągają za sobą konsekwencje, przemknęło mu przez myśl.

Nathair oparł dłoń na ramieniu przyjaciela.

– Może powinienem posłać tam kogoś innego. Obarczanie ciebie tym obowiązkiem to skrajna niesprawiedliwość.

– Nie – rzekł Veradis. – Możesz mi zaufać.

– Zaufać?

– Tak. Zrobię to co należy. Narzucę im twoją wolę. Jesteś królem, a twoje słowo stanowi prawo.

Nathair uśmiechnął się, ale nawet jego uśmiech wydawał się zaledwie

cieniem tego, który Veradis zapamiętał. Władca zmrużył oczy, jakby coś go bolało.

– Jeśli uznasz, że użycie siły nie jest konieczne... Cóż, postępuj ostrożnie. Nie wyciągaj miecza, dopóki nie będziesz miał już absolutnie wyboru. To twój ojciec.

Przy tych słowach Nathair spojrział na swą dłoń, na której widniała biała blizna. Veradis miał podobną pamiątkę po nocy, kiedy wraz z Nathairem złożyli sobie przysięgę na wierność i stali się braćmi we krwi. Obok blizny młodego króla pojawiło się nowe skaleczenie, gojące się, ale najwyraźniej otrzymane niedawno.

– Co to jest? – spytał Veradis.

Nathair wpatrywał się w nową bliznę, a potem uniósł wzrok i spojrział na przyjaciela. W oczach króla przewalały się ciężkie emocje.

– Ktoś idzie – oznajmił Alcyon.

– O, tu jesteście! – zawołał Calidus, który wyłonił się wraz z Sumurem zza wzniesienia na skraju dolinki. Ruszyli ku nim.

Nathair pochylił się ku przyjacielowi.

– To pamiątka po nowej przysiędze na wierność – szepnął.

– Nowej przysiędze? Wobec kogo?

Przez twarz Nathaira przemykały emocje niczym chmury gnane wiatrem.

– Pamiętaj, co ci powiedziałem o ojcu.

– Oczywiście – odparł Veradis. – Nathairze, naprawdę mnie martwisz. Co się dzieje? Jaka nowa przysięga?

– To nic takiego – odparł król i zwrócił się ku swemu draigowi. – Uważnie przyglądaj się ścieżce, po której stąpasz, przyjacielu, bo któregoś dnia rozejrzysz się i zrozumiesz, że nie wiesz, dokąd dotarłeś – rzekł cicho.

– Veradisie – powiedział zbliżający się Calidus. – Wszędzie cię szukam. Musimy jeszcze uzgodnić wiele rzeczy przed postawieniem żagli.

– Jasne, oczywiście, że tak – westchnął Veradis, ale nadal przyglądał się Nathairowi, a z jego czoła nie schodziła zmarszczka. – Ja tylko...

– Tylko co? – spytał starzec, a jego wilcze ślepia wgryzały się w młodzieńca.

– Żegnał się ze mną – odpowiedział Nathair zamiast niego.

– Ach. – Calidus spoglądał na wszystkich zgromadzonych w dolince, a Veradis zerknął za niego i przyjrzał się Sumurowi.

Rzadko widywał Jehar po ich powrocie. Był tak bardzo zaprzątnięty przygotowaniem podróży do Tenebralu, że nie obejrzał nawet kotła, na co

miał naprawdę wielką ochotę. Na widok Sumura zamrugął jednak i zaklął.

– Co ci się stało? – wykrztusił.

Sumur miał na sobie tę samą ciemną kolczugę co zawsze, a do pleców przytoczył zakrzywiony miecz. Idąc, jadł udko kurczaka. Jego opalona niegdyś skóra pobladła i uwydatniły się biegnące pod nią żyły. Najbardziej zaskakujące były jednak jego oczy – czarne, pozbawione śladów źrenicy, przypominały dwa atramentowe stawy.

– To koszt zwycięstwa w bitwie o kocioł – rzekł Calidus. – Benothi sięgnęły po magię i Jehar ucierpieli najbardziej. Wielu z nich zginęło, a ci, którzy wyszli z życiem, zostali naznaczeni na zawsze. Potraktuj to jak blizny będące świadectwem ich honoru i odwagi.

– Wszystkich spotkał taki los? – spytał Veradis.

– Tak. Każdego, kto przeżył.

– A twój wzrok? – Młodzieniec zwrócił się do Sumura, przyglądając mu się uważnie. – Oczy służą ci tak jak dawniej?

– Tak – rzekł wojownik z chrapliwym akcentem.

Veradis zmarszczył brwi, nie wierząc mu do końca, ale wtedy Sumur podrzucił do góry udko, a potem niebywale szybko wyszarpnął miecz z pochwy. Ostrze ze świstem przecięło powietrze, ciągnąc za sobą srebrny blask, a kość spadła na ziemię, przecięta w połowie z idealną precyzją.

– Widzisz? – Sumur wzruszył ramionami i płynnym ruchem schował miecz do pochwy.

– Tak, najwyraźniej z twoimi oczami jest wszystko w porządku – stwierdził Veradis.

Calidus otoczył go ramieniem i odprowadził na bok.

– Chciałem porozmawiać z tobą o rebelii w Tenebralu – oznajmił.

– Właśnie o niej mówiliśmy – powiedział Veradis.

– Nic dziwnego. Pewnie nie możesz przestać o niej myśleć.

– Fakt. Nie mogę.

– To przez rodzinę, co? Przyjaciół wybrać można, ale bliskich? – spytał Calidus. – Przez moich najbliższych bez przerwy popadałem w tarapaty. W kontakcie z nimi szukaj złotego środka i unikaj rozlewu krwi, jeśli jesteś w stanie. – Mówiąc to, prowadził Veradisa w stronę Uthandun. – Na czele rebelii stoi twój ojciec, a więc trzeba poszukać jakiegoś pokojowego rozwiązania. Nawet jeśli odłożymy sentymenty na bok, pamiętajmy o tym, że potrzebujemy twego ojca, Ripy i jego mieczy. Pamiętaj, że musisz stać po

stronie Lykosa i unikać konfrontacji. Spraw, by twoje poparcie dla niego było widoczne.

– Tak zrobię. Nathair już mnie o to prosił.

– Dobrze, ale to nie wszystko. Wiesz, dlaczego sytuacja w Tenebralu jest tak delikatna?

– Nie. Dlaczego?

– Fidele jest w to zamieszana.

– Fidele? Jak to możliwe?

Calidus zaczerpnął głęboko tchu.

– Nie ma łatwego sposobu, by to powiedzieć, a więc ujmę to tak. Myślę, że jej umysł się uwolnił spod kontroli.

– Co?

– Zachowuje się coraz dziwniej i obawiam się, że nie ma innego wyjaśnienia. Pamiętasz pewnie, że gdy spotkaliśmy się z Lykosem w Dun Carreg, opowiedział nam o tym, w jaki sposób baronowie tenebralscy manipulowali Fidele, a ona okazała się niezdolna do sprawowania władzy.

– Tak. Nathair uznał, że wciąż nie podniosła się po śmierci Aquilusa.

– Otóż to. Po powrocie Lykosa Fidele zaczęła się zachowywać jeszcze bardziej chaotycznie. Podzieliła orlą straż i porzysłała oddziały na odległe krańce królestwa z jakimiś idiotycznymi zadaniami. Aresztowała też Peritusa i Armatusa. – Przy tych słowach Calidus zatrzymał się i spojrzał za siebie, by mieć pewność, że Nathair go nie słyszy. – I wyszła za Lykosa – dodał.

– Co takiego? – spytał Veradis.

Nigdy w to nie uwierzę, pomyślał. Dostojna, wykształcona Fidele i ten pirat?

– To prawda, ale Nathair nie może się o tym dowiedzieć. A w każdym razie jeszcze nie. Ma i tak zbyt wiele spraw na głowie. Chciałbym więc, byś ją do mnie sprowadził, ale dyskretnie, bez zamieszania. Utrzymuj to w tajemnicy. Aha, jeśli będzie trzeba, nie wahaj się zakuć ją w kajdany.

## Rozdział czterdziesty pierwszy

# RAFE

Rafe rzucił Niuchaczowi pasek suszonego mięsa, a pies pochłoniął go jednym ruchem szczęki, niemalże bez żucia.

– Dalej, goń ich! – zawołał młodzieniec i wskazał psu coś w oddali.

Niuchacz odwrócił się i popędził przed siebie z nosem nisko przy ziemi.

– Daleko to? – spytał Ewnis. – Jak sądzisz?

Rafe zmrużył oczy, wpatrując się w dal.

– Pół dnia – oszacował.

Skraj lasu Baglun, ciągnący się po prawej stronie, wydawał się nieprzebytym murem. Biegł dalej na zachód, a Rafe i Ewnis okrążali właśnie jego wschodnią część. Mieli ze sobą stu wojowników z Ardanu i Cambrenu, choć wszyscy nosili barwy Rhin.

Rafe nabrał głęboko tchu. Powietrze o świcie było świeże i czyste.

Jadę na czele setki przybocznych obok Ewnisa, mego dawnego pana, a obecnie króla Ardanu. Ech, dobrze było wrócić do domu. Wreszcie cieszę się życiem, pomyślał.

Od dawna się tak nie czuł.

A może nigdy?, zastanawiał się. Na pewno nie było mi tak dobrze od śmierci ojca.

Rozpierało go szczęście.

Z drugiej strony, Ewnis nie mógł się go nachwalić i od chwili wyjazdu z Dun Carreg traktował go tak dobrze, że trudno byłoby czuć się inaczej, a jedyny nieprzyjemny moment podczas trwającej dziesięć dni wędrówki miał miejsce pierwszego dnia. Zjeżdżali krętym traktem po zboczach wzgórza, na którym wzniesiono Dun Carreg, nieopodal poskręcane od wiatrów zagajnika, gdzie wilkunica Corbana poszarpała Rafe'owi ramię. Wspomnienia tamtej chwili osaczyły go ze wszystkich stron i młodzieniec bezwiednie przesunął palcem po



bliznie na przedramieniu, ciągnącej się od łokcia aż po nadgarstek.

Nadejdzie jeszcze dzień zapłaty, pomyślał.

W głębi duszy dobrze wiedział, dlaczego Ewnis traktował go tak dobrze.

Chodzi mu o Vonna, uświadomił sobie.

Przywiózł wszak wieści, które Ewnis tak bardzo pragnął usłyszeć. Jego syn powrócił do Ardanu. Nie było, oczywiście, co do tego całkowitej pewności, ale Rafe wiedział przynajmniej, że Edana chciała umknąć na położone w Ardanie bagna, a gdy widział ją po raz ostatni na domhaińskiej plaży, Vonn stał tuż obok niej. Ta wiadomość uradowała Ewnisa.

– Ruszajmy więc w ślad za nimi! – oznajmił i ponaglił wierzchowca.

Licząca sto mieczy gwardia honorowa runęła naprzód z dudnieniem kopyt i pobrząkiwaniem uprzęży. Słońce wznosiło się znad wschodniego horyzontu i wkrótce Rafe był już zlany potem.

– Byłeś przyjacielem mojego Vonna – odezwał się Ewnis, gdy przebyli kilka mil w milczeniu.

– Tak, mój panie – odparł młodzieniec.

– Podarujmy sobie to „mój panie” – rzekł Ewnis. – Przynajmniej gdy będziemy na osobności. Znam cię od chwili, gdy byłeś małym chłopcem trzymającym się kiecki matki – dodał, uśmiechając się do Rafe’a przyjaźnie. – Opowiedz mi o waszej znajomości.

– Zawsze go podziwiałem – odparł odruchowo Rafe. – Vonn jest starszy ode mnie o kilka lat, przez co wydawał mi się bohaterem. Z naszej grupy najlepiej walczył włócznią i mieczem, a poza tym zawsze wiedział, jak należy postąpić, bez względu na to, co stanowiło problem. – Zastanowił się i dodał: – Zawsze próbował postępować honorowo.

– Hm, tak – mruknął Ewnis. – Co z czasem zaczęło stanowić problem.

– Jak to?

– To nie sekret, że się poróżniliśmy. – Ewnis wzruszył ramionami. – To dlatego teraz włóczy się po Ziemiach Wagnanych, a nie jedzie obok mnie. Był... Cóż, nadal jest młodym człowiekiem z głową pełną opowieści o szlachetnych wojownikach i zacnych czynach. Świat dla niego jest czarny i biały, dobry albo zły. A ponadto był zakochany, co też w niczym nie pomogło.

– Kochał się w córce Mordwyrza – rzekł Rafe.

– Tak. Myślałem, że utrzymywali to w sekrecie.

– Jestem z krwi i kości synem łowcy. – Rafe wzruszył ramionami. – Nawykłem do tego, by się przyglądać i doszukiwać wskazówek.

By szpiegować, dodał w myślach.

– Szkoda, że wcześniej nie udało nam się porozmawiać – westchnął Ewnis.  
– Jak sam wiesz, miałem pewne plany. Brenin uniemożliwił mi ocalenie mej żony Fain. – Umilkł na moment, a jego usta wykrzywił szpetny grymas. – Pomściłem ją, ale Vonn tego nie zrozumiał.

– Trzeba być realistą – rzekł Rafe.

– Otóż to. Być może w trakcie swojej włóczęgi Vonn zdołał już to pojąć. – Ewnis westchnął i pokręcił głową.

– Jeśli nadal towarzyszy Edanie, szybko go znajdziemy – rzekł Rafe.

– Tak. W ten czy inny sposób.

Dalej jechali w ciszy.

\* \* \*

Słońce zatoczyło łuk na niebie i zaczęło się chylić ku zachodniemu horyzontowi, wydłużając ich cienie w kierunku pierwszych drzew Baglunu. Kilkaset kroków przed nimi pojawił się pojedynczy jeździec, który wyłonił się z zagajnika jarzębiny. U jego boku biegł pies. Niuchacz zerwał się na ten widok, podbiegł do nich i zaczął skakać wesoło wokół zwierzęcia.

– To Braith – rzekł Rafe do Ewnisa.

– A więc jesteśmy blisko – stwierdził mężczyzna.

– Cieszę się, że was widzę – oznajmił łowczy, gdy podjechał bliżej. Uśmiechnął się szeroko do Rafe'a i pochylił głowę przed Ewnisem.

– I ja się cieszę – odparł Ewnis, po czym zbliżył się i wyciągnął rękę. Uścisnęli sobie przedramiona.

– Gdzie jest Halion?

– Pół dnia drogi stąd. – Braith wskazał południowe krańce Baglunu. – Trzęsawiska Dun Crin ciągną się na południe i zachód. Halion kieruje się tam, ale póki co trzyma się skraju Baglunu. Myślę, że nie chce ściągać na siebie uwagi.

– A więc ruszajmy za nim – stwierdził Ewnis.

– Nie tak szybko – zaproponował Braith. – Powinieneś poprowadzić swój hufiec między drzewami. To rzadki las i łatwo przez niego jechać, a unikniecie w ten sposób ciekawskich spojrzeń.

– Myślisz, że Halion nas widzi? – spytał Ewnis, wpatrując się w dal.

– Ja was dostrzegłem. – Braith wzruszył ramionami. – Jeśli nas zauważy,

wystraszy się i ucieknie, a wtedy nigdy nie znajdziemy Edany.

Evnis pokiwał głową i skierował oddział w stronę lasu.

– Ty zostań ze mną. – Braith zwrócił się do Rafe’a.

Znów wyruszyli w drogę. Niuchacz i Drapichrust prowadziły ich jak po sznurku wzdłuż skraju lasu.

– Masz mi coś do zameldowania? – spytał łowczy.

– Evnis zrobi wszystko, by odnaleźć swego syna. Widziałem Vonna przy Edanie, gdy odpływali z Domhainu.

– Wiem – burknął Braith. – Byłem tam przecież.

– Sądziłem, że byłeś zbyt zajęty, by to zauważyć. Kopniaki Camlina, próbującego zepchnąć cię z pomostu, musiały być dość absorbujące.

– Bezczelny się stajesz. – Braith spochmurniał. – Coś jeszcze?

– Na bagnach powstał ruch oporu. Buntownicy urządzili kilka wypadów, ale jak dotąd nic znaczącego. Evnis wysłał drużynę, by ich zniszczyć. Dowodzi nią Morcant.

– Ach. Cóż, kiepski wybór.

– Dlaczego? – spytał Rafe.

– Do łapania szurów potrzeba cierpliwości, a Morcant jest dumny, porywczy i raczej mało cierpliwy – rzekł Braith i uśmiechnął się. – Choć prosto w twarz bym mu tego nie powiedział, bo drugiego takiego szermierza długo by szukać.

– Tak. Widziałem jego pojedynek z Conallem. Przegrał, ale kto by powstrzymał Conalla?

– Taki dobry jest?

– Żebyś wiedział.

Braith pokiwał głową z zadumą, ale nie powiedział już ani słowa.

Teren na południu obniżał się i tworzył rozległą kotlinę, upstrzoną jeziorami i plamami lasu. Minęli kilka wsi, widocznych z daleka dzięki dymom z kominów i pasmom zaoranej ziemi. Od czasu do czasu Rafe dostrzegał jakąś wieżę wznoszącą się na samotnym wzgórzu, obok której piętrzyły się wysokie stosy sygnałowe. Bywało też, że wieżę otaczała palisada. Trudno było mieć pewność z tej odległości, ale coś mówiło mu, że wzniesiono je niedawno.

Gdy słońce zaczęło się chylić ku zachodowi za drzewami Baglunu, oba ogary nagle zatrzymały się jak wryte. Wpatrywały się w dal ze zjeżoną sierścią, nieruchome jak posągi.

Rafe spojrział w tym samym kierunku i dostrzegł jeźdźców wyłaniających się z gęstniejącego zmierzchu. Było ich wielu, z każdą chwilą coraz więcej.

– To Morcant, a przynajmniej spora część jego oddziału – rzekł Braith. – Widzę złamaną gałąź, znak Rhin.

Za ich plecami zadudniły kopyta. Rafe odwrócił się i ujrzał nadciągającego Evnisa.

– Kto to?

– Wydaje mi się, że to Morcant – odparł Braith. – Mamy wyjechać mu naprzeciw?

Evnis przyglądał się obcym jeźdźcom przez chwilę.

– Nie – powiedział w końcu. – Nie chcę, by jako pierwszy rzucił się do desperackiego ataku i spłoszył Haliona. Drugiej szansy na dotarcie do Edany pewnie już nie dostaniemy.

– Zgadza się – rzekł Braith. – Możemy równie dobrze rozbić obóz tutaj. Psy nie zgubią już tropu, skoro przeszły za nim pół tysiąca mil.

Edana, pomyślał Rafe. Akurat. Evnisowi zależy głównie na odnalezieniu Vonna. Pytanie brzmi natomiast, co zrobi, kiedy już go znajdzie?

## Rozdział czterdziesty drugi

# CAMLIN

– I jak my się tam dostaniemy? – spytał Vonn Camlina.

Leżeli na zboczu wzgórza, ukryci wśród wysokiej trawy i polnych kwiatów i wpatrywali się w obwiedzioną palisadą wieżę wyrastającą na niewielkim wzniesieniu. Jakies sto kroków przed bramą wznosił się ogromny stos drewna. Zachodzące słońce grzało ich w plecy.

– Mur nie jest wyższy od dwóch dorosłych. Wystarczy przerzucić dwóch, trzech z nas na drugą stronę, by otworzyć bramy.

– Czy to jest wykonalne? Przecież na murze i nad bramą są zbrojni! A ilu może być w środku?

Robiłem to już, i to wiele razy, pomyślał Camlin.

Celem jego ostatniego wypadu była strażnica na południe od Dun Carreg. Miał wtedy pod swoimi rozkazami kilku innych banitów. Z początku wszystko szło dobrze – przedostali się przez mur i otworzyli bramę, ale potem ktoś ich usłyszał i poląła się krew. Poczł palący wstyd na wspomnienie kobiet i dzieci.

Mam wrażenie, że prowadzę teraz inne życie, przemknęło mu przez myśl. Jestem innym człowiekiem.

– Nie pozostało ich wielu. Większość wyjechała z Morcantem.

Natrafili na skrzynię ze srebrem po prawie dziesięciu dniach poszukiwań. Meg prowadziła ich przez skomplikowany system kanałów na obrzeżach trzęsawisk, z którego wyszli prosto na wóz przewożący skrzynię. Pech chciał, że niemalże w tej samej chwili pojawił się Morcant na czele dwustu ludzi, którzy zapewnili skrzyni doskonałą eskortę.

Podążali za nimi, a gdy Morcant zatrzymał się na otwartym terenie i rozłożył obozowisko dla swego oddziału, Camlin zaproponował nocny wypad po srebro, ale obozu wroga chroniło zbyt wielu strażników, a Drust nie chciał

narażać swoich ludzi. Ruszyli więc w ślad za Morcantem i przewożoną skrzynią, aż trafili do tej wieży.

Camlin i trzech innych wojowników przez pół dnia podkradali się w okolice budowli. Gdy słońce było już tylko tarczą ognia, mieniącego się nad drzewami Baglunu, bramy strażnicy stanęły otworem i Morcant wyjechał na szlak, prowadząc przynajmniej dwie setki wojów. Skierowali się na wschód, a tętent ich kopyt cichł w oddali niczym gasnąca burza.

– Powinniśmy uderzyć przed świtem – rzekł Camlin do Drusta.

Starzejący się Narvończyk wbił w niego wzrok.

– Nie chcę, by moi ludzie ginęli z byle powodu. Jesteś pewien, że ta skrzynia znajduje się tam?

– Tak. Widzieliśmy, jak ją wiozą do środka, a wyjeżdżającemu Morcantowi nie towarzyszył żaden wóz.

– Ale pozostawił ludzi na straży.

– Tak, ale niewielu. Naliczyłem sześciu na murach, więc pewnie poza nimi jest jeszcze minimum sześciu innych i być może jakiś tuzin parobków. Nie zapominaj, że Morcant to zarozumiały, nadęty łajdak, a skrzynia znajduje się pod strażą w jego strażnicy. Nie przyjdzie mu nawet do głowy, że ktoś mógłby się połasić na jego srebro.

Drust uśmiechnął się.

– Tak to ująłeś, że trudno się oprzeć wyzwaniu.

\* \* \*

– Teraz – szepnął Camlin i zerwał się. Biegł nisko pochylony, nie spuszczać oczu z palisady, do której się zbliżał. Za sobą słyszał kroki Vonna, Bairda, Brogana i paru innych.

Pośród gęstej szarości brzasku wieża wydawała się plamą czerni wśród cieni.

Nadbiegali od południowego zachodu, kierując się na ciemny fragment muru między dwoma pochodniami. Gdy byli już blisko, Camlin przyśpieszył. Pozostało jeszcze jakieś dwadzieścia kroków. Serce waliło mu niczym młot.

Już prawie, pomyślał.

Zbocze było łagodnie nachylone, ale mimo to Camlin ciężko dyszał, gdy wreszcie oparł się plecami o mur. Pnie palisady pachniały żywicą.

Inni również dotarli na miejsce. Tropiciel zauważył Brogana i przywołał go

skinieniem. Ogromny wojownik z Domhainu splótł dłonie. Camlin wsunął w nie stopę, a wtedy Domhaińczyk dźwignął go do góry. Tropiciel złapał za brzeg muru i przeskoczył na drugą stronę. Jego łuk zahaczył o jakąś belkę i przez krótką, acz przerażającą chwilę wojownik był przekonany, że usłyszy trzask pękającej cięciwy. Na szczęście zdołał się jakoś wyswobodzić i niemalże bezgłośnie opadł na deski pomostu. Odruchowo zacisnął dłoń na rękojeści noża.

Kilka sekund później dołączył do niego Baird, który uśmiechał się szeroko jak szaleniec, a po nim Vonn i trzech innych. Camlin zamknął oczy. Usłyszał głucho muczenie wołu, skądś dobiegło rzenie konia. Nic ponadto.

W takich strażnicach zawsze powinien być przynajmniej jeden ogar. Albo wilkun. Albo kruk, pomyślał.

Naraz poczuł, że brakuje mu Corbana i pokrzepiającego na duchu towarzystwa Burzy i Crafa.

Wyprostował się nieco i zaczął przekradać się po pomoście. Vonn był tuż za nim, a Baird i pozostali zeskoczyli na ziemię i osłaniali ich od dołu.

Zbliżali się do pochodni, których blask opromieniał strażnicę. W kręgu światła stało dwóch mężczyzn, a na ziemi znajdowało się dwóch kolejnych. Okno niewielkiej izdebki migotało pomarańczową poświatą.

Czyli w środku pewnie jest jeszcze jeden, pomyślał Camlin.

Dał znak Bairdowi, a potem, będąc już na skraju światła rzucanego przez pochodnię, uklęknął na jedno kolano. Nałożył strzałę na cięciwę, naciągnął i wypuścił ją.

Pierwszy wojownik zachwiał się i niemalże bezgłośnie runął w dół, ale uderzył o ziemię z głuchym łoskotem. Vonn wyskoczył zza klęczącego Camlina w chwili, gdy ten wypuścił strzałę, i ze zgrzytem wysunął miecz z pochwy. Drugi strażnik obrócił ku niemu znużone spojrzenie. W tym samym momencie miecz Vonna zakreślił łuk. Odbił blask pochodni i rozciął wojownikowi gardło.

Kątem oka Camlin dostrzegł Bairda, który przycisnął się przy drzwiach do izdebki strażnicy. Sam poderwał się i zeskoczył na dół, czego pożałował natychmiast, gdy poczuł w kolanach impet zderzenia z ziemią. Vonn zbiegł po schodach i zatrzymał się przy nim.

Robię się na to za stary, pomyślał Camlin. Kolana pulsowały mu bólem.

Vonn spojrział na niego. Twarz młodego wojownika zalewały plamy cienia, rzucane przez migotliwe latarnie. We dwóch zrzucili belkę blokującą wrota,

po czym rozepchnęli je na zewnątrz.

Ujrzeni rozpromienionego Brogana, stojącego obok Drusta na czele piętnastu wojowników. Camlin przyłożył palec do ust i wprowadził ich do grodu.

Gdy wspinali się na mury i zabijali strażników na bramie, nadszedł prawdziwy świt i zabudowania wyłaniały się powoli z szarości. Wojownicy metodycznie sprawdzali budynek za budynkiem, nigdzie nie zastając nikogo z wyjątkiem jednej izby, gdzie na pryczy spała naga para.

Żona czy dziwka?, zastanawiał się Camlin. Pewnie dziwka, bo tu chyba nie ma żadnych rodzin czy dzieci. Nie sądzę, by ktoś tu mieszkał na stałe.

Mężczyzna chrapał. Z łóżka zwisał hełm oraz skórzany napierśnik, o krzesło wspierał się zaś miecz w pochwie. Zamrugał nagle i otworzył usta, by krzyknąć, ale uciszyło go ostrze miecza Camlina, dotykające jego gardła.

Zabij go i pędź dalej. Nie ma czasu!, przemknęło byłemu banicie przez myśl.

Cofnął ramię, szykując się do śmiertelnego pchnięcia, a wojownik na łóżku znieruchomiał, sparaliżowany strachem. Mimo to Camlin się zawahał.

Przez moment miał wrażenie, że nadal należy do bandy Braitha. Wiedział, że wcześniej bez wahania rozrąbałby rozbudzonemu wojownikowi gardło.

Ale nie jestem już tym człowiekiem, pomyślał.

Skrzypnęły drzwi i do izby wpadł Vonn. Spojrzał na Camlina, a potem na dwoje nagich ludzi.

Chwila rozciągnęła się w nieskończoność.

– Zwiąż ich – rzekł Camlin, nie spuszczając nieznajomych z oczu. Vonn uderzył kilka pasków materiału z płaszcza wojownika i zakneblował oboje.

Wybiegli na zewnątrz, minęli niewielką kuźnię oraz stajnię. Mieli przed sobą wieżę, wokół której powstał gród. By się do niej dostać, trzeba było przebiec kilkanaście kroków po otwartej przestrzeni. Camlin zatrzymał się wśród cieni rzucanych przez stajnię i dał znać Drustowi i pozostałym, by zrobili to samo. Następnie nałożył strzałę na cięciwę i zamarł w oczekiwaniu.

Już po chwili drzwi wieży otworzyły się, ukazując wnętrze niewielkiej sali biesiadnej. Pojawiła się trójka wojowników, za którymi kłębili się inni. Pierwsza strzała Camlina trafiła jednego z nich w oko, po czym osunął się bezwładnie na ziemię. Druga trafiła innego w pierś, przebijając skórzaną kamizelę i wełnianą koszulę pod nią. Mężczyzna zatoczył się i wpadł na kogoś z tyłu. Pozostali wybiegli na zewnątrz, osłaniając się wzniesionymi wysoko



tarczami, co Camlin wykorzystał, posyłając trzecią strzałę w odsłonięte udo. Czwarta odbiła się od czyjś hełmu. Wojownik zatoczył się.

Wtedy na obrońców wpadli ludzie Drusta. Camlin opuścił łuk i wyciągnął miecz.

Wyprzedził go Vonn, który nie miał tarczy i zadawał celne, skuteczne ciosy w kostki i głowy przeciwników. Obok niego ryczał dziko Brogan, którego twarz wykrzywiła furia bitewna. Olbrzymi wojownik z Domhainu wznosił miecz nad głowę i uderzył z taką siłą, że przerąbał się przez tarczę przeciwnika i zmiażdżył mu hełm. Wojownik padł na ziemię, martwy bądź nieprzytomny, a Brogan przeskoczył nad jego ciałem z okrzykiem bojowym. Camlin wyszarpnął lewą ręką nóż z pasa i dołączył do walczących.

Baird cofał się przed wojownikiem, który dobrze wiedział, jak wykorzystywać tarczę. Camlin przypadł do jego boku i wraził mu miecz pod osłonę. Poczul, jak ostrze prześlizguje się po kłykciach wojownika i wbija się w ciało. Zaatakowany opuścił tarczę, z której ściekała krew, i rzucił się na Camlina. Wówczas Baird rąbnął go czubkiem miecza w twarz, która eksplodowała krwią i potrzaskanymi kośćmi.

Dwóch ludzi Drusta nacierało na jakiegoś obrońcę, spychając go w stronę drzwi do wieży. Niespodziewanie rozległ się świst i któregoś z nich przebiła włócznia. Camlin spojrzał w górę, poszukując wzrokiem śmiałka, który nią cisnął. Natychmiast wypatrzył wojownika, który stał na pomoście palisady w odległości stu kroków. Towarzyszyło mu trzech czy czterech innych wojowników w czerni i złocie.

Cholera, to był dopiero rzut!, przemknęło Camlinowi przez myśl.

Bitwa przeniosła się do wnętrza sali biesiadnej, gdzie broniła się już tylko garstka ludzi Morcanta. Camlin zatrzymał Vonna, Brogana i Bairda, a potem pokazał im ludzi na murach. Brogan skrzywił się złowrogo i całą czwórką rzucili się do natarcia. Camlin w biegu pochylił się, by napiąć łuk.

Byli już blisko, gdy zauważył, że wojownik, który cisnął włócznią, bierze nową od towarzysza i celuje w któregoś z jego przyjaciół. Były banita wyhamował, wyciągnął strzałę, nabrał powietrza w płuca, naciągnął cięciwę, aż pióra musnęły mu policzek, po czym puścił.

Grot wbił się u nasady szyi, tuż nad kołnierzem pancerza. Trafiony wojownik zatoczył się w tył i wypadł przez mur. Brogan i Baird z następującym im na pięty Vonnem gnali już po schodach w górę. Nim wpadli na wrogów, Camlin zdołał trafić jeszcze jednego wojownika w czerni

i złocie, a potem zarzucił sobie łuk na plecy i skoczył ku walczącym, dobywając broni. Gdy dotarł na górę, z obrońców nie żył już nikt, a Vonn, Baird i Brogan, zbryzgani krwią od stóp do głów, dyszeli ciężko po walce.

Słońce wzniosło się ponad horyzont. W grodzie nadal rozbrzmiewał szcęk oręza, ale broniła się tylko topniejąca garstka.

I po robocie. Wieża jest nasza, pomyślał Camlin i obdarzył przyjaciół dzikim uśmiechem.

– Zwyciężyliśmy, chłopaki.

Następnie kazał Vonnowi i Broganowi założyć czarno-złote płaszcze i rozpocząć patrolowanie murów.

– Mieście oczy szeroko otwarte. – Znów się uśmiechnął. – Na wypadek, gdyby Morcant czegoś zapomniał.

– Robi się, szefie! – oznajmił Brogan. Camlinowi bardzo się to spodobało.

Wraz z Bairdem udali się do wieży, gdzie Drust zapędził już swoich ludzi do roboty. Buntownicy wyciągali trupy i układali je przed wieżą.

– Zabiliśmy Morcantowi dwudziestu jeden ludzi – powiedział Drust do Camlina.

– Dodaj do tego sześciu na murach. – Tropiciel wskazał kciukiem za siebie. – I jeszcze pięciu nad bramą.

– A więc trzydziestu dwóch. Więcej, niż ci się wydawało. Moi ludzie nie wyszli na tym najlepiej.

– Ilu padło?

– Trzech.

– Nie wiem, jak dobrze znasz się na rachunkach, ale po mojemu to wyszliśmy na tym o wiele lepiej od nich – stwierdził Baird.

– Warto było zaryzykować – dodał Camlin. – Potrzebujemy tej skrzyni ze srebrem.

Znaleźli ją w komnacie na pierwszym piętrze. Camlin uśmiechnął się, gdy uchylił wieko, a srebrne monety odbiły blask pochodni. Potrzeba było sześciu ludzi, by znieść kufer na dół. Inni w tym czasie odnaleźli wóz, na którym został przywieziony, i zaprzęgli do niego wołu. Gdy Camlin wyszedł z wieży, słońce świeciło w najlepsze, a trupy przeciwników zostały obdarte ze wszystkiego, co miało jakąś wartość – broni, butów, zbroi i torkwesów.

– Zabierzcie też ich płaszcze – przykazał Camlin Drustowi. – Wszystko, co ma na sobie znak Rhin.

– Nie będziemy nosić barw Rhin! – parsknął rudzielec.

– Mogą się przydać i tyle. – Camlin wzruszył ramionami. – To druga nowo wybudowana wieża, którą minęliśmy w ciągu ostatnich dziesięciu dni. Moim skromnym zdaniem wzniesiono je, by uczcić wasze działania. Wasze, czyli bojowników ruchu oporu. Niewykluczone, że trzeba będzie coś z nimi zrobić.

– O co chodzi Morcantowi? Jak ci się wydaje?

– Chce was wygonić i dopaść. Temu człowiekowi zależy tylko i wyłącznie na sukcesie. Widziałeś tę stertę drewna na wzgórzu? Podejrzanie przypomina stos sygnałowy.

Zamyślony Drust pokiwał głową.

– Zabierzmy tę skrzynię na łódź.

Opuścili gród i wyruszyli po równym terenie w kierunku bagien. Gdy byli już blisko, z szuwarów wyskoczyła Meg.

– Tam ktoś jest! – szepnęła. – Na północnym zboczu, pośród wysokich traw. Przygląda się wam. Lepiej nie patrz. Nie sądzę, by mógł nas tu dostrzec, ale chyba lepiej mieć się na baczności.

– Ilu ludzi naliczyłaś? – spytał Camlin.

– Zauważyłam tylko jednego. – Dziewczynka wzruszyła ramionami. – Ale może ich być więcej. Widziałam, jak pęta konia i podkrada się bliżej. Dobry jest.

– Załadujmy tę skrzynię – zaproponował Drust. – Poślę kilku chłopaków, by wygonili go spośród tych traw.

– Zanim się kopnie gniazdo, dobrze wiedzieć, jak głęboko sięga – powiedział Camlin. – Pozostawiłem Vonna i Brogana w płaszczach Rhin na murach grodu, co powinno nam dać trochę czasu. Zabierz wszystkich z grodu na bagna, ale powoli, spokojnie i bez pośpiechu. Ja zaś przyjrzę się temu nieproszonemu gościowi.

Drust złapał go za rękę.

– Świetnie sobie poradziłeś, Camlin. Być może źle cię oceniłem.

– Za wcześnie na poklepywanie po plecach – odparł ten zgryźliwie. – Jeszcze nie jesteśmy w bezpiecznym miejscu.

Następnie odwrócił się i znikł pośród trzcin. Meg dreptała mu po piętach.

– Lepiej tu zostań, dziecko – powiedział do niej. – Nie chcę, by ci się coś stało.

– Potrafię się o siebie zatroszczyć – prychnęła mała. – A ty nie wiesz, gdzie on jest.

Camlin zastanawiał się przez moment.

– Dobra, możesz ze mną iść kawałek, ale zatrzymasz się, gdy ci każę.

Wpatrywał się w nią, dopóki nie przytaknęła.

Okrażyli szerokim łukiem wzgórze, przekradając się wśród wierzb i turzyc, które gęsto porastały skraj bagien, aż odbiegli od nich i skryli się wśród wysokiego perzu. Pochylony nisko Camlin wybierał ścieżki wydeptane przez lisy i łasice i powoli zmierzał na północny wschód.

– Tam! – szepnęła do niego Meg, wskazując poskręcany stary wiąz na łące po północnej stronie wieży.

– W porządku, dziewczę. Możesz wracać na łódź.

Mała pokiwała głową, uśmiechnęła się szeroko i znikła wśród traw.

Nastało już południe, gdy Camlin dostrzegł pstrokato-szarą klacz przywiązaną po drugiej stronie wiązu. Gdy podkraść się bliżej, zauważył, że koń miał porządną, aczkolwiek podniszczoną od długotrwałego używania uprząż. Wykonany z dobrego gatunku wełny czaprak był zbryzgany błotem i postrzępiony na końcach. Camlin uważnie przepatrzył teren między wiązem i wieżą, przyglądając się każdej potencjalnej kryjówce.

O, tam, przemknęło mu przez myśl.

Pośród traw błyskawicznie przemknął jakiś cień. Camlin powoli wyciągnął strzałę z kołczanu ruchem cichszym od szelestu trawy, a potem zaczął się podkradać, spuszczać wzrok z celu tylko po to, by się upewnić, że dobrze stawia stopy.

Na skraju pola widzenia zarejestrował samotną postać idącą wzdłuż muru okalającego wieżę. Od razu wiedział, że to Brogan. Sam podkradał się coraz bliżej, aż znalazł się w odległości zaledwie dwudziestu kroków. Nieznajomy nikł wśród cieni rzucanych przez trawy.

Z takiego bliska nie chybię. On zaś nie doskoczy do mnie z mieczem, pomyślał.

Wyprostował się i napiął łuk, aż zatrzeszczało łączysko.

Mężczyzna zamarł, słysząc trzask. Uniósł dłonie na znak, że nie nosi żadnej broni.

Dobrze zna odgłos, który towarzyszy napinaniu łuku, pomyślał Camlin.

– A teraz się odwróć. Powoli – rzekł.

Mężczyzna wypełnił polecenie.

Na jaja Elyona... To niemożliwe!

Camlin zamrugnął, opuścił łuk i rzucił się z rozrzuconymi ramionami, by uwięzić mężczyznę w niedźwiedzim uścisku.

Miał przed sobą Haliona.

## Rozdział czterdziesty trzeci

# EVNIS

Evnis jechał wśród rzadko rosnących drzew i plam światła rzucanego przez wschodzące słońce. Co chwila zerkał w kierunku łąk, którymi zmierzali Braith i Rafe, poprzedzani przez dwa szare ogary. Daleko za nimi migotały w słońcu niezliczone kanały wodne mokradeł. Labirynt przecinających bagna rzek i strumieni przypominał upstrzoną klejnotami pajęczą sieć, tu i ówdzie przesłoniętą przez ponure, nieprzeniknione zagajniki leśne.

Czy Vonn naprawdę gdzieś tam jest?, zastanawiał się Evnis.

Kiedy Rafe wszedł do sali biesiadnej i oznajmił, że Vonn przypuszczalnie wrócił do Ardanu, Evnis poczuł, jakby ktoś rąbnął go pięścią w brzuch.

I co ja mu powiem?, myślał teraz. Poproszę go o wybaczenie? Wyzwę go od głupców?

Nie, ostatnia myśl obudziła w nim przestroch.

Nie odpędzę go od siebie, postanowił. Nie zrobię tego ponownie. Spróbuję porozmawiać z nim ze spokojem i wszystko mu klarownie przedstawić. Przecież wie już, jak wygląda prawdziwy świat, a rzeczywistość zmieniła nieco jego poglądy na sprawy honoru i chwały.

– Panie! – Głos Glyna wyrwał go z zadumy.

– Co się dzieje? – spytał Evnis z większym rozdrażnieniem, niż planował.

– Rafe wraca.

W istocie tak było. Władca Ardanu uniósł rękę, zatrzymując oddział pośród cieni lasu.

– Braith mówi, że powinieneś do nas dołączyć – rzekł młodzieniec, prześlizgnąwszy się pod gałęziami.

– Dlaczego?

– Bo psy się dziwnie zachowują. Przed nami wznosi się coś, co wygląda jak wieża.

– To pewnie jedna z wież Morcanta. Jakiś czas temu dostałem od niego wiadomość, że nosi się z zamiarem zbudowania serii wież strażniczych wokół bagien. Powiedziałem mu, by robił, co chce, pod warunkiem że buntownicy zadyndają wreszcie na stryczkach.

Za jego plecami rozległy się śmiechy wojowników.

– Czyli tę sprawę mamy z głowy. Nie zapominajmy jednak o psach. Myślę, że zbliżamy się do Haliona.

Evnis siedział przez moment nieruchomo. W sercu czuł dziwną lekkość, a podniecenie mieszało się w nim ze strachem.

– Glyn, wybierz dwóch ludzi i dodaj im luzaki. Każ im ściągnąć tu Morcanta, najszybciej jak się da.

– Robi się – burknął tamten.

– I oddaj mi to! – Evnis wskazał róg zwisający z siodła Glyna. – Ruszajmy więc! – oznajmił i popędził konia, a Rafe podążył za nim. Wspólnie wyjechali na łąkę.

\* \* \*

Evnis skradał się wśród wysokich traw, raz po raz unosząc głowę, by zerknąć na strażnicę.

Ale mnie bolą plecy, przemknęło mu przez myśl.

W ślad za Braithem jechali przez jakiś czas przez łąki, ale coraz trudniej było im zapanować nad podekscytowanymi psami, więc nie mieli wyboru i musieli zsiąść z koni i rozpocząć mozolne przekradanie się przez zarośla. Evnis miał wrażenie, że czołga się od dziesięciu dni, ale tak naprawdę minęło dopiero południe.

I to wystarczy, by plecy bolały mnie przez resztę życia, pomyślał. A jestem przecież królem i nie powinienem pełzać po trawie jak zaskroniec!

Nie po raz pierwszy przypomniał sobie, dlaczego to robi.

Chodzi przecież o Edaną, która jest zagrożeniem dla moich rządów, oraz o Vonna, mego syna. Jeszcze trochę cierpliwości, a wszystko się poukłada. Edana zginie, a Vonn znajdzie się u mego boku. A ja wiem, czym jest cierpliwość i potrafię się na nią zdobyć. Wszak mam za sobą długie lata oczekiwania, aż moje marzenie stało się rzeczywistością. Władam Ardanem.

Z początku na samą myśl o tym, że został królem, przepełniała go odurzająca euforia. Oto przechodził przez Kamienną Bramę jako władca Dun

Carreg. Wkraczał do sali biesiadnej jako król!

Nie król, szepnął głos w jego głowie. Jako regent Rhin.

To bez znaczenia. Liczy się tylko to, że władam.

Rafe zatrzymał się nagle i Ewnis niemalże wpadł na niego. Obszedł młodego tropiciela i zobaczył, że ogary znieruchomiały w odległości kilkunastu kroków. Zwierzęta drżały, a ich mięśnie były napięte niczym cięciwy łuków. Wpatrywały się w dal. Rafe podszedł i ułożył dłonie na ich łbach, na co zwierzęta uspokoiły się nieco.

Ewnis ujrzał wieżę, która stanowiła część grodu obwiedzonego palisadą. Po murze spacerowała jakaś postać. Pomimo sporej odległości w blasku słońca widać było czarno-złoty płaszcz. Nieco bliżej, około stu kroków na lewo, wznosiło się stare drzewo o grubym pniu, przed którym pał się koń, osiodłany, ale bez jeźdźca.

Ewnis otworzył usta, by coś powiedzieć, ale Braith położył palec na wargach i wskazał coś w oddali.

Jakaś postać przemykała wśród traw przed nimi. Widać było wyraźnie, jak źdźbła pochylają się w kierunku przeciwnym do podmuchów wiatru.

Siedzieli nieruchomo i przyglądali się zjawisku, a słońce wolno płynęło po niebie. Po oczach Ewnisa spływał pot. Mięśnie płonęły mu z bólu. Z coraz większym trudem wytrzymywał pozycję, w której przyszło mu czuwać.

W chwili, gdy uznał, że dłużej tego nie znieśie, skradający się człowiek poderwał się z wysokich traw, skierowany do nich plecami. Uniósł łuk i napiął strzałę.

– Camlin – wysyczał Braith głosem ociekającym nienawiścią.

Ewnis ujrzał, jak banita sięga po własny kołczan, jednocześnie ściągając łuk z pleców. Wyciągnął w porę rękę i złapał go za nadgarstek. Braith wbił w niego wzrok, a Ewnis ujrzał w jego oczach żądzę mordy.

Pokręcił głową i wyszeptał jedno słowo:

– Edana.

Furia w spojrzeniu banity powoli, niechętnie przygasiała.

Naraz Camlin ruszył przed siebie, a z traw wyłoniła się inna postać. Ewnis rozpoznał ją natychmiast. Halion.

Wojownik wyglądał inaczej. Wydawał się wyczerpany. Stracił na wadze, jego twarz wychudła, a broda była zmierzwiona i postrzępiona, ale miał to samo spojrzenie co kiedyś. Jego szare oczy, jednocześnie spokojne, jak i przerażające, wciąż potrafiły sparaliżować człowieka, na którego się



skierowały. Z tego właśnie powodu Ewnis tak bardzo chciał skłócić go z bratem. Wspólnie Halion i Conall byli niepokonani. Jeden reprezentował spokój, a drugi furję, przez co wydawali się dwiema twarzami jednego huraganu. Rozdzieleni byli zaledwie ludźmi. Niebezpiecznymi, ale do powstrzymania.

Halion i Camlin objęli się. Nie powiedzieli ani słowa, ale Ewnis wyraźnie widział łączące ich braterstwo, co obudziło w nim niewytłumaczalny gniew.

Wypuścili się z objęć i uśmiechnęli szeroko do siebie, jakby postradali zmysły. Wymienili kilka słów, ale zbyt cicho, by Ewnis zdołał cokolwiek dosłyszeć, po czym Camlin poprowadził Haliona przez wysokie trawy ku wieży, pokrzykując coś do strażników na murach.

Co on wyczynia? Przecież go zobaczą!, przemknęło Ewnisowi przez myśl.

I wtedy dotarło do niego, co takiego wykrzyknął przed chwilą Camlin. Wszystko zaczęło mieć sens.

Vonn.

Mężczyzna w czerni i złocie wychylił się poza mur, a na widok Camlina i Haliona, idących w górę zbocza, zeskokczył na trawę przed palisadą, lądując na miękko ugiętych kolanach.

Ewnis poczuł, jakby w mroku jego duszy nagle zapalono świecę. Znał tego wojownika.

To przecież mój syn!

Wysoki mężczyzna z gęstą czupryną jasnych, złocistych wręcz włosów i starannie przyciętą brodą, w której połyskiwały rude akcenty biegiem pokonał kilkanaście kroków dzielących go od Haliona i uściskał go serdecznie, śmiejąc się głośno.

Ewnis poderwał się, nie bacząc na Braitha, który usiłował go powstrzymać, osłonił usta dłonią i krzyknął ze wszystkich sił:

– Vonn!

Trzech mężczyzn na wzgórzu odwróciło się i spojrzało na niego. Na moment świat pociemniał, a wszystkie jego szczegóły rozmyły się i rozplynęły. Liczył się tylko Vonn i nic więcej. Naraz rozległo się wściekłe przekleństwo Braitha, który poderwał się obok niego i napiął łuk.

– Niech cię szlag! – warknął na Ewnisa i wypuścił strzałę.

Pocisk popędził w kierunku trzech mężczyzn. Camlin zareagował błyskawicznie i odepchnął towarzyszy, a strzała Braitha niegroźnie uderzyła w drewniany mur.

Uderzenie serca później Camlin sam napiął łuk. Rafe w ostatniej chwili pociągnął Evnisa na ziemię, a wrogii grot przemknął niebezpiecznie blisko nad ich głowami. Z palisady otaczającej wieżę rozległy się krzyki, a na południu pojawiły się jakieś nowe postacie. Biegając, wymachiwały mieczami i włóczniami.

Braith i Camlin szyli do siebie z łuków. Ewnis dostrzegł, że Halion i Vonn biegną wzdłuż muru. W przeciwnym kierunku.

Oddalają się!, pomyślał.

Nadbiegający wojownicy byli coraz bliżej. Niektórzy już brnęli przez wysokie trawy porastające zbocze. Było ich przynajmniej tuzin.

Ewnis złapał róg Glyna, który przytroczył do pasa, i zadał ze wszystkich sił. Powietrzem wstrząsnął długi, ochrypły ryk. Ludzie na wzgórzu zamarli.

Z oddali dobiegło głuche dudnienie. Ci, którzy spojrzeli ku północy, ujrzeli Glyna, wyjeżdżającego spomiędzy luźno rosnących drzew na skraju Baglunu na czele setki konnych. Wśród wojowników na wzgórzu pojawił się starszy mężczyzna o rdzawych kosmykach wymykających się spod hełmu. Wykrzyknął kilka rozkazów i cały oddział rzucił się do ucieczki na południe.

Ewnis zaś, nim zrozumiał, co się z nim dzieje, biegł już w stronę wzgórza, brnąc przez wysokie trawy. Słyszał za sobą wołanie, ale zignorował je całkowicie. Wzrok wbił w plecy uciekającego syna.

Tętent kopyt nadciągającego hufca przybliżał się, ale wojownicy wciąż byli daleko. Ewnis wiedział, że jeszcze przez chwilę nie zdołają go dogonić. Przeszło mu przez myśl, by się zatrzymać i poczekać na pozostałych. Jakiś głos w jego głowie darł się na niego, by posłuchał zdrowego rozsądku, ale znów dostrzegł Vonna, który obrzucił go przelotnym spojrzeniem.

Ewnis pochwycił za miecz i przyśpieszył.

Skoczyło na niego dwóch wojowników. Poczował ukłucie lęku. Obrzucił ich uważnym spojrzeniem – obaj byli młodszy od niego, szczupli i spragnieni chwały. Ich ciała okrywały zaledwie skórzane pancerze, podczas gdy Ewnis miał na sobie kolczugę sięgającą kolan. Pocił się przez nią okrutnie, ale cieszył się, że ją ma.

Pewnie nie wiedzą, kim jestem, pomyślał. Wówczas wielu by zawróciło, by odrąbać mi głowę. Ależ ze mnie głupiec.

Zaczął żałować swej pochopnej decyzji.

Jeden z wojów skoczył prosto na niego, drugi zaszedł go z lewej. Ewnis zablokował cios z nad głowy i odbił ostrze przeciwnika, wytrącając go

z równowagi. Przeszedł z bloku w cięcie, wykorzystując jeden z pierwszych manewrów, jakich nauczył się za młodu na Jarzębinowej Łące, i ku swemu zaskoczeniu poczuł, jak ostrze wgrzyza się w ciało. Skórzany pancerz częściowo zatrzymał cios, ale na ostrzu Evnisa pojawiła się krew, co obudziło dzikie uniesienie w jego sercu. Młody wojownik zachwiał się i zatoczył w przód.

Dam sobie radę, pomyślał Ewnis.

Kątem oka wychwycił jakiś ruch. Odwrócił się w porę, by ujrzeć drugiego wojownika, usiłującego ciąć go w szyję. Potknął się, niezdarnie próbując zatrzymać cios. Jego nadgarstek przeszył ostry ból, a wrogie ostrze przebiło się przez jego gardło. Kolczuga zatrzymała uderzenie, a ramię przeciwnika zdrętwiało. Ewnis próbował się odwrócić, jednocześnie z rozpaczą usiłując przypomnieć sobie układy, które z takim poświęceniem przyswajał sobie na Jarzębinowej Łące, jakże łatwe do wykonania, gdy nie miało się naprzeciwko wroga z ostrym mieczem i morderczymi zamiarami. Jego zacięta mina bynajmniej nie dodawała Ewnisowi otuchy.

Jakimś cudem zdołał uniknąć kolejnego uderzenia. Złapał przeciwnika za nadgarstek, po czym obaj runęli na ziemię i splątani potoczyli się w dół zbocza. Gdy Ewnis się zatrzymał, młody wojownik siedział mu na piersi.

Nie tak to sobie wyobrażałem, przemknęło mu przez myśl.

Obaj stracili miecze, ale mężczyzna siedzący na nim okrakiem zdołał wyrwać ostrze z za pasa. Uniósł je wysoko. Ewnis szamotał się, ale tamten skutecznie go przygwoździł.

Strzała znikąd wbiła się w jego szyję i odrzuciła go w tył. Zbрызganym krwią Ewnis dźwignął się na łokciach i dostrzegł, że kolejny wojownik pędzi prosto na niego.

Miecz. Gdzie jest mój miecz?, pomyślał, obmacując trawę wokół siebie. Zginę. Trzeba było zaczekać na resztę...

Wróg zamierzał się już do ciosu, kiedy zamarł, a na jego tryumfującej twarzy nagle pojawił się skrajny lęk. Chwilę później runął na plecy, przywalony przez ciężkie, muskularne ogary. Ewnis dostrzegł dłonie ludzi, którzy chcieli mu pomóc się podnieść, i Braitha, spoglądającego na niego z wściekłością. Obok przebiegł Rafe i wbił miecz w ciało wojownika zmagającego się z jego psami. Wyciągnął zakrwawione ostrze. Nogi młodzieńca, jeszcze przed momentem kopiące trawę, znieruchomiały.

– Dzięki – oznajmił Ewnis, odzyskawszy miecz.

Braith skinął mu zdawkowo, nadal z trudem panując nad gniewem.

Oprócz nich po tej stronie wzgórza nie było już nikogo, gdyż wróg uciekł na południe. Oddział konnicy zbliżał się z łoskotem, a Glyn ściągnął wodze i zatrzymał się tuż przed nimi.

– Konia! – krzyknął Ewnis.

Chwilę później doprowadzono mu rumaka. Znalazłszy się w siodle, ruszył na czele konnych wokół palisady, a gdy roztoczył się przed nim szerszy widok, ujrzał ludzi zbiegających ze wzgórza na płaskie mokradła. Dostrzegł też rzekę, a na niej łodzie.

– Za nimi! – krzyknął, wskazując kierunek mieczem, po czym kopnął rumaka piętami.

Runęli galopem w dół zbocza niczym letnia burza. W mig ogarnęli i ścięli kilku najwolniejszych maruderów, ale wówczas teren nagle zmienił się w lepkie błoto. Któryś z koni przewrócił się i zarżał przeraźliwie, złamawszy nogę. Ewnis, przeklinając wściekle, zeskoczył z siodła i ruszył pieszo naprzód, ostrożnie stawiając nogi na niebezpiecznym gruncie. Uciekinierzy wskakiwali na łodzie i odpychali się od brzegu wiosłami i długimi tyczkami. Jeden z wojowników Ewnisa, idący zaledwie kilka kroków od niego, runął w błoto ze strzałą sterczącą z twarzy.

Ewnis skrył się za pnem wierzby. Narzucił już sobie spokój i zdusił emocje, które chwilę wcześniej pokonały jego zdrowy rozsądek.

Myśl. Nie powtarzaj własnych błędów, mówił sobie. O mały włos cię nie zabili.

Wojownicy szli w jego ślady – zeskakiwali z koni i brnęli pieszo przez bagno. Niektórym udało się wysforować i zetrzeć z ostatnimi uciekinierami, wskakującymi na łodzie. Kolejna strzała posłała jednego z ludzi Ewnisa w błoto. U jego boku wyrósł Rafe ze swoimi psami. Ich pyski były lepkie od krwi. Braith czaił się wśród cieni olchy, skąd wyskoczył, by wypuścić strzałę ku uciekającym wojownikom. Jakiś mężczyzna na łodzi wrzasnął i runął do wody.

Wtem ponad zgiełk walki przebił się nowy odgłos.

Ewnis spojrzął za siebie i ujrzał jeźdźców wjeżdżających na wzgórze. Słońce odbijało się od ich ostrzy. W sercu regenta Ardanu pojawiła się panika.

Za plecami mamy bagno. Tu się nie da bronić...

Wtedy dostrzegł czerń i złoto, a nad nimi łopoczący na wietrze proporzec Rhin ze złamaną gałęzią. Na czele nowo przybyłych jechał Morcant, który rozejrzał się i runął ku bagnoom. Na oczach Ewnisa były pierwszy miecz Rhin

ściągnął wodze i ześlizgnął się z siodła, płynnie wyciągając miecz. Patrząc na tak imponujący pokaz umiejętności, regent poczuł niechętny podziw.

A ja turlam się po trawie i gubię broń, pomyślał i postanowił, że powróci do ćwiczeń na Jarzębinowej Łące.

Morcant wyrzaskiwał rozkazy i wskazywał kierunki. Kilkudziesięciu jeźdźców zawróciło i wjechało do grodu przez otwartą bramę. Nagle wojownik zauważył Evnisa.

– Co tu się dzieje?! – krzyknął, idąc ku niemu.

A gdzie „mój panie”? Gdzie ukłon?, pomyślał Ewnis.

– Wygląda na to, że zaatakowano twój gród – rzekł, nie mając ochoty poruszać na razie kwestii Vonna czy Haliona.

W powietrzu śmignęła strzała, która odbiła się od hełmu Morcanta. Wojownik zatoczył się i przypadł do wierzby, za którą krył się Ewnis. Omiótł wzrokiem brzeg rzeki i nagle zamarł.

– Moje srebro! – wrzasnął i wytrzeszczył oczy.

Ewnis spojrział w tym samym kierunku i dostrzegł łódź o płaskim dnie, która płynęła z nurtem. Na środku spoczywała wielka skrzynia. Druga łódź płynęła w ślad za pierwszą, a wojownicy przy wiosłach dawali z siebie wszystko. Jeden ukucnął i napiął łuk. Kolejny z ludzi Evnisa zwałił się w błoto ze strzałą sterczącą z piersi.

To strzela Camlin, uświadomił sobie Ewnis.

Za plecami łowczego stał Vonn i wpatrywał się w ojca.

Ewnis rozejrzał się po brzegu rzeki, wybrał drogę i wyszedł spoza wierzby. Przez moment kluczył po błocie, aż znalazł się na suchszym terenie, a wtedy zaczął biec. Za sobą słyszał kroki, ale nie spuszczał wzroku z Vonna. Jego syn odwzajemniał spojrzenie.

Ewnis dotarł na brzeg, przeskoczył nad kilkoma trupami, wyminął dwóch mężczyzn zwartych we wścieklej walce na noże, ale dalszą drogę zagrodziły mu zarośla. Parsknął z frustracją i wbił wzrok w ostatnią łódź w konwoju, która zniknęła za zakrętem rzeki.

Znajdowali się w niej Camlin, Halion oraz Vonn, a także kilku innych wojowników, w tym najpotężniejszy mężczyzna, jakiego Ewnis widział od czasów Tulla. Jego oczy wypatrywały jednakże tylko Vonna. Stał, wpatrując się w niego z błaganiem, ale we wzroku młodzieńca nie było żadnych emocji. Kątem oka Ewnis dostrzegł, że Camlin naciąga kolejną strzałę i celuje prosto w niego. Tkwił nieruchomo, wyczerpany i zrozpaczony. W tej chwili nie

obchodziło go, czy ujdzie z życiem czy też nie.

– No dalej – szepnął. – Strzelaj.

Wtedy Vonn położył dłoń na ramieniu Camlina.

Ojciec z synem patrzyli na siebie jeszcze przez kilka uderzeń serca, aż Vonn znikł za zakrętem rzeki. Ewnis zaś został na brzegu, odrętwiały, obojętny na świat dookoła niego. Ledwie słyszał wrzaski bliskiego apopleksji Morcanta.

## Rozdział czterdziesty czwarty

# MAQUIN

Maquin przeskoczył nad murem i zszedł w dół po linie. Z wysiłku zacisnął mięśnie, przez co gojąca się rana na poznaczonym bliznami brzuchu zaczęła emanować tęnym bólem.

Pamiętka po wizycie w Zaświacie, przeszło mu przez głowę.

Nie przejmował się tym, jak się czuje, bo podjął treningi na dziedzińcu ćwiczebnym i częściowo odzyskał już formę. Wiedział, że nie powrócił jeszcze do sprawności, którą imponował podczas walk w jamach, ale niewiele mu brakowało. Znał swe ciało, znał swe możliwości. Dotknął stopami ziemi, przykucnął, poprawił worek na plecach i szarpnął za linę, by dać znać wojownikowi za sobą, że droga jest bezpieczna. Potem przebiegł do opuszczonego budynku, gdzie czekał już na niego Alben i trzech innych wojowników.

Noc była ciemna. Nie widać było księżyca, a chmury przesłaniały gwiazdy grubą warstwą.

Doskonały moment, by trochę powęszyć, pomyślał Maquin.

Kolejny wojownik przekradł się ku nim opuszczoną drogą.

Minęło dziesięć dni od chwili, gdy Fidele powiedziała mu o pomysle urządzenia kilku wypadów. Natychmiast zgłosił swój udział. Alben zaś zaproponował, że oboje dowództwo. Z początku Maquin nie był pewien, czy to rzeczywiście dobry pomysł, bo Alben wydawał mu się starym, kruchym człowiekiem, ale wystarczyło kilka starć na dziedzińcu, by zmienił zdanie. Alben był w istocie stary, ale na pewno nie można go było nazwać kruchym. Nieraz przyłożył ostrze do szyi Maquina, a wczoraj rozłożył go na łopatki. Oczywiście Stary Wilk odpłacił się pięknym za nadobne i to w dwójnasób, choć powstrzymał się od rzutów. Lubił starego wojownika i nie pokazywał mu pełni swoich możliwości, ale przypuszczał, że ten doskonale o tym wiedział.

Wystarczyło, że czasami unosił lekko brew. Były to jednak tylko ćwiczenia, a Maquin dawno porzucił chęć zaimponowania komukolwiek.

Chyba że walkom przyglądała się Fidele. Wówczas łapał się na tym, że zachowuje się jak młody wojownik tuż po Długiej Nocy.

Co się ze mną dzieje?, zastanawiał się.

Nigdy dotąd się tak nie czuł. Nigdy wcześniej nie odczuwał tylu rzeczy w związku z jedną osobą. W towarzystwie Fidele czuł spokój i wyciszenie, jakby cały świat zatrzymywał się w chwili, gdy wchodziła do pokoju. Wystarczyło, by się rozstali, a w jego sercu odzywał się ból. Tuż przed spotkaniem budziła się w nim za to ekscytacja, a gdy myślał o przyszłości, nawiedzał go niepokój.

Straciłem panowanie nad sobą, myślał. To właśnie teraz odczuwam. Nie umiem panować nad swymi emocjami, a przecież tego właśnie uczył mnie ojciec od chwili, gdy zrobiłem pierwszy krok. Tego wszak wymaga się od prawdziwego wojownika.

Miał czterdzieści dwa lata, ale doświadczał czegoś takiego po raz pierwszy w życiu. Uśmiechnął się do siebie w ciemnościach.

Podoba mi się to, choć budzi we mnie strach, uświadomił sobie.

Czekali w milczeniu. Dołączył do nich kolejny wojownik, a potem jeszcze jeden. Już ostatni.

Zbliżyli się do siebie.

– Ruszamy – szepnął Alben. – Czeką nas długa droga. Do chwili dotarcia do lasu obowiązuje was absolutna cisza. Pytania?

Nikt nie miał nic do powiedzenia, więc wyruszyli w długim szeregu. Alben otwierał szyk, Maquin szedł w tylnej straży, a między nimi sześciu pozostałych śmiałków z oblężonej Ripy, wymijając szerokim łukiem ogniska rozpalone przez straż Vin Thalun. Maquin czuł, że potrafiłby odnaleźć posterunki wroga, nawet gdyby piraci nie palili ogni. Ich pijackie śpiewy słychać było z daleka.

Ripa niby jest oblężona, ale ci Vin Thalun nie nadają się do takich rzeczy, pomyślał. Są zbyt dzicy, nawykli, by uderzyć, zwyciężyć, wynieść się z łupami. Oblężenie wymaga zaś cierpliwości, planowania, organizacji. Lykos być może jest w stanie temu podołać, ale reszta jego ludzi?

Niebawem pozostawili za sobą ruiny miasta i wniknęli w wysokie trawy, ciągnące się aż do samego skraju lasu Sarva. Wiatr znad zatoki cesał łąki, ale mimo to Maquin był zlany potem, gdy znaleźli się między pierwszymi



drzewami. Tam zrobili krótką przerwę i napili się wody z bukłaków. Maquin spojrzął za siebie – światła z murów i wieży Ripy migotały niczym gwiazdy. Pomyślał o Fidele i o chwili ich rozstania. Nadal czuł smak jej ust.

Na powrót czuję, że żyję, pomyślał. Zupełnie jakbym się obudził z głębokiego snu. Z koszmaru.

Znów się uśmiechnął. Miał wrażenie, że od czasu odzyskania przytomności zdarzało mu się to nader często.

Choć niektóre potwory z mojego koszmaru doganiają mnie w tym świecie, przemknęło mu przez głowę.

Pomyślał o Lykosie, a mroczna wściekłość, na ogół tłąca się na dnie jego serca, znów buchnęła na samo wspomnienie cierpień, które władca piratów wniósł w życie Fidele.

Alben położył mu dłoń na ramieniu. Maquin w ostatniej chwili opanował odruch sięgnięcia po nóż.

– Niebawem się zobaczycie – szepnął Alben cicho, by nikt go nie usłyszał.

– Jak daleko jest ta Balara? – spytał Maquin.

– Pół dnia jazdy. Czyli półtora dnia ostrego marszu.

– To ruszajmy – rzekł Maquin.

– No tak, Fidele opowiadała, że w lesie czujesz się jak w domu.

– Ba, jakżeby mogło być inaczej? Służyłem wśród Gadrai w lesie Forn.

– Dobrze, a więc dołącz do mnie na czele grupy. Może uda nam się dotrzeć do Balary w ciągu jednego dnia.

I ruszyli w dalszą drogę, a drzewa objęły ich i skryły niczym ciemny koc.

\* \* \*

– Oto cel naszej wędrówki. – Alben wskazał kierunek.

Przez lukę między drzewami widać było Balare, rozsypującą się kamienną ruinę wzniesioną na szczycie zalesionego wzgórza przez starożytne olbrzymy.

W innym życiu, kiedy świat wyglądał zupełnie inaczej, pomyślał Maquin.

Chwilę wcześniej wstało słońce, którego promienie odbijały się od wschodniego muru pradawnej fortecy. Ośmiu wojowników stało przez moment i napawało się widokiem. Maquin wypatrzył zaprzężony w wołu wóz, który powoli toczył się ku wschodniej bramie. Towarzyszyło mu sześciu Vin Thalun, którzy jechali konno, choć widać było, że nie mają doświadczenia.

Nikt nie odezwał się ani słowem do chwili, gdy wóz i jeźdźcy znikli pod

popękany łukiem, który kiedyś zapewne stanowił element imponującej bramy.

– A więc nie przyszliśmy tu na nic – mruknął Alben.

Większość odległości pokonali biegiem, dzięki czemu droga zabrała im nieco ponad dzień. Maquin odczuwał ból w tysiącu miejsc, ale cieszył się z tego, że na powrót znajduje się na otwartej przestrzeni, poza murami, mając wokół siebie jedynie drzewa i niebo.

– Prześpijcie się – nakazał im Alben. – Ja obejmę wartę jako pierwszy. Wyruszymy po zachodzie słońca.

\* \* \*

Niedaleko strumienia Maquin zanurzył palce w czarnym błocie i rozmazał je na policzkach, a resztę wtarł w rękojeści i jelce miecza oraz noży. Pozostali robili to samo. Każdy z wojowników przeprowadzał własny rytuał, który miał mu dodać otuchy przed nadciągającą walką. Maquin wsunął dłoń pod skórzany kaftan, skąd wyciągnął wstążkę z czerwonego aksamitu. Fidele wręczyła mu ją przed rozstaniem, uciawszy ją uprzednio z własnej sukni.

– Ruszamy – oznajmił Alben. – Naszym zadaniem jest przeprowadzić zwiad. Musimy się dowiedzieć, co tu robią Vin Thalun. Żadnego zabijania – dodał, ale po chwili wzruszył ramionami. – No, chyba że wydam inny rozkaz.

Ludzie uśmiechnęli się szeroko.

Nienawidzą Vin Thalun równie mocno jak ja, pomyślał Maquin.

Alben wyrysował patykiem krąg w błocie.

– Oto Balara – powiedział i dodał drugi, mniejszy krąg, w samym środku fortecy. – A tu mamy jej centrum, gdzie wznosi się wieża. W jej podziemiach znaleźliśmy jamy gladiatorów.

Maquin warknął odruchowo, słysząc te słowa. Alben zaś wyrysował linię prowadzącą od zewnętrznego muru do wieży.

– To główny wjazd do twierdzy. Myślę, że większość Vin Thalun przebywa w tym rejonie. – Zakreślił obszar między bramami a stojącą w centrum wieżą. – To wszystko, co wiemy o tej fortecy – rzekł i wzruszył ramionami. – Najpierw przeprowadzimy zwiad i niewykluczone, że na tym się nasza akcja zakończy. Być może uda nam się opuścić to miejsce bez rozlewania niczyjej krwi, ale ta decyzja zostanie podjęta później i to przeze mnie. Rozumiemy się? – Urwał i przez chwilę przyglądał się każdemu ze swoich towarzyszy

z osobna. – Dobra. To ruszajmy.

Wojownicy podążyli w ślad za Albenem w górę zbocza. Drzewa wkrótce przerzedziły się i przed śmiałkami otworzyła się rozległa łąka. Księżyc w nowiu oraz gwiazdy obrzucały srebrzystym blaskiem zbocze i ruiny murów. Główna brama, w której zniknął wóz, znajdowała się na wschodzie. Alben poprowadził ich tak, że oddział zatoczył szeroki łuk i dotarł pod zachodni odcinek zrujnowanego muru.

Zaczęli się wspinać na kamienne bloki wielkości sporych głazów, posyłając w dół lawinę drobnych kamyków, które narobiły sporo hałasu pośród nocnej ciszy. Wojownicy zamarli, oczekując, że w twierdzy zostanie wszczęty alarm, ale przez dłuższą chwilę niczego nie usłyszeli, więc wślizgnęli się do środka i zaczęli przekradać od budynku do budynku, kierując się prosto na ognie migocące w oddali. Gdy byli już blisko, przekonali się, że źródłem światła były płomienie buchające z żelaznych mis, rozstawionych wzdłuż szerokiej, wyłożonej kamiennymi płytami ulicy. Na jej końcu majaczyła częściowo zrujnowana wieża. Z otwartych drzwi na najniższej kondygnacji buchała pulsująca emanacja. Maquin dostrzegł czterech Vin Thalun stojących wokół wieży, a wóz, którym przyjechali, nikł w ciemnościach. Wołu nie było widać.

Alben zbliżał się do wieży, a Maquin i pozostali podążali za nim. Znów zatoczyli szeroki łuk, zbliżając się do budowli od północy, aż przypadli do ściany. Alben przekradł się do jednego z okien i dał Maquinowi znak, by podążył za nim.

Wnętrze wieży składało się z wielkiej, okrągłej sali. Wokół ścian ciągnęły się spiralne, popękane schody. W samym środku płonął ogień, a na rożnie nad nim znajdowały się resztki zwęglonego zwierzęcia. Zgromadzeni w sali Vin Thalun jedli, pili, a niektórzy cicho śpiewali. Było ich nie więcej niż dwudziestu.

Alben wskazał Maquinowi coś nowego. Ten zmrużył oczy, z początku nie mogąc dostrzec żadnych szczegółów, ale po chwili widział już żelazny gwóźdź wbity w ziemię. Przymocowano do niego dwa grube łańcuchy, które ciągnęły się ku cieniom zalegającym pod schodami. W mroku kucały dwie ogromne postacie, ledwie widoczne, ale mimo to Maquin rozpoznał je natychmiast.

To olbrzymy Lykosa, pomyślał.

Alben poklepał go po ramieniu i obaj odsunęli się od okna, po czym dołączyli do reszty. Zbrojmistrz szeptem opisał im to, co ujrzeli.

– To te olbrzymy, o których mówiła Fidele? – zwrócił się do Maquina.

– Tak. Kobieta i dziecko. Lykos trzyma je w niewoli.

– Ale po co? Po co mu one? Czemu je tu sprowadził?

– To nie ma znaczenia. – Maquin przerwał dobiegające zewsząd pytania. – Ważne jest to, że z jakiegoś powodu są dla Lykosa ważne, a teraz znalazły się w naszym zasięgu.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytał Alben.

– Proponuję, byśmy mu je odebrali.

– Nas jest ośmiu, a ich około trzydziestu – stwierdził Alben z przechyloną lekko głową. Wwiercał w Maquina spojrzenie, które ten odwzajemnił bez wahania.

– To wykonalne – odparł. – Strażników jest sześciu. Jeśli załatwimy ich z ukrycia, przewaga Vin Thalun trochę stopnieje.

– A co z tą dwudziestką w wieży?

– Myślę, że masz już plan.

Alben wpatrywał się w niego jeszcze przez chwilę. Jego usta lekko drżały.

– A jak przetransportujemy olbrzymy z powrotem do Ripy? – spytał ktoś.

– W ten sam sposób, w jaki je tu sprowadzono. Pod strażą – odpowiedział Maquin. – Ale będziemy musieli zabić ich wszystkich, bo Lykos nie może się o niczym dowiedzieć. Droga powrotna nie będzie łatwa, ale jest nas wystarczająco wielu, by strzec olbrzymów, a poza tym dobrze znacie leśne ścieżki. Wślizgniemy się do Ripy tak, jak planowaliśmy, pod osłoną ciemności.

– A jeśli olbrzymy nie będą chciały z nami współpracować?

– To matka z dzieckiem. Widziałem na własne oczy, że robi wszystko, by je ochronić. – Maquin wzruszył ramionami. – Wystarczy ją przekonać, że jeśli będzie chciała stawić nam czoła, może się to źle skończyć dla jej dziecka.

Alben wpatrywał się w niego przez dłuższą chwilę, po czym skinął głową.

Maquin kucnął przy oknie wieży. Alben pozostawił przy nim jednego człowieka – wojownika o imieniu Valent, jednego z ludzi Krelisa, weterana wielu morskich bitew z Vin Thalun przed pokojem zawartym przez Aquilusa – a resztę powiódł ze sobą w ciemność.

– Załatwię strażników – powiedział, nim zniknął wśród cieni. – Zaczekaj na mój sygnał.

Maquin nie pytał nawet, jakiego sygnału ma się spodziewać.

Coś mi mówi, że się domyślę, przemknęło mu przez głowę.

Dwaj wojownicy czekali więc cierpliwie, słuchając cichych rozmów dobiegających z wnętrza. Ktoś narzekał na to, że ominie ich grabież po

upadku Ripy.

Niespodziewanie rozległ się głośny wrzask, a po nim szczęk oręza, co było sygnałem, na który czekał Maquin. W wieży dwudziestu Vin Thalun zerwało się na równe nogi, dobywając mieczy, i pognało ku szerokim drzwiom.

Wojownicy wymienili się spojrzeniami. Valent już sięgnął po miecz, ale Maquin pokręcił głową.

– Najpierw łap za nóż!

Valent pokiwał głową. Maquin wpełzł przez okno do środka.

Nikt go nie zauważył, bo uwagę wszystkich przyciągnęła toczona w ciemnościach na zewnątrz walka. Dostrzegła go jedynie olbrzymka, której twarz zakrywały cienie. Jej małe ciemne oczy odnalazły Maquina. Nie drgnęła ani nie wydała najcichszego nawet dźwięku, ale nie spuszczała z mężczyzny wzroku. Ten oderwał od niej spojrzenie, bezszelestnie przypadł do jakiegoś Vin Thalun, zacisnął mu dłoń na ustach, a trzymanym w drugiej dłoni nożem przeciął mu gardło.

Valent wbił własne ostrze pod żebro innego pirata. Maquin zdążył wyeliminować jeszcze jednego, nim wreszcie ich usłyszano. Vin Thalun zaczęli się cofać od drzwi, potykając się o trupy, których w korytarzu pojawiało się coraz więcej.

Alben zatrzymuje ich w przejściu, gdzie ich przewaga nie ma znaczenia, pomyślał Maquin.

Mimo to na niego i na Valenta rzuciło się co najmniej pół tuzina Vin Thalun. Maquin skoczył im na spotkanie, pozostawiając Valenta na straży olbrzymów.

Kopnął nadwęglone mięso, obracane nad paleniskiem. Rożen runął na pierwszego z piratów i przewrócił go na ziemię, a kolejny z nadbiegających zwolnił.

– To... to przecież Stary Wilk! – wrzasnął, a na jego twarzy pojawiło się wahanie. Jego głośny krzyk dotarł jednak do wszystkich, a Maquin błyskawicznie wykorzystał niepewność Vin Thalun i cisnął nożem, który z głuchym trzaskiem wbił się któremuś z nich w czoło.

Wyciągnął miecz. Pirat zwolnił i zaczął powoli okrążyć palenisko.

Błąd. Powinien się na mnie rzucić, pomyślał Maquin.

Runął w prawo, uskoczył przed niemrawym ciosem, a sam uderzył w klatkę piersiową przeciwnika, przerabując mu żebra. Nachylił się przed cięciem innego woja, tego, z którym walczył przed chwilą, i wepchnął go kopnięciem

w palenisko, aż buchnęły płomienie. Zawinął i zatrzymał kolejne uderzenie mieczem wzniesionym nad głową. Odepchnął cios, wyzwalaając strugę iskier, przypadł bliżej i pchnął przeciwnika nożem. Przebił skórzany kaftan, rozerwał skórę i wyrwał nóż, uwalniając lśniące, parujące wnętrze. Niedawno odniesiona rana zaczęła nagle pulsować bólem.

Zerknął za siebie i dostrzegł, że Valent broni olbrzymów przed trzema Vin Thalun. Wojownik, na którego Maquin pchnął nadwęgloną pieczeń, zaczął podnosić się z ziemi. Drzwi były już puste, a wściekły szczęk oręża zdradzał, że walka toczyła się na zewnątrz. W środku wieży nie było już nikogo innego. W dwóch susach Maquin przypadł do człowieka próbującego się poderwać. Kopnięciem posłał go z powrotem na ziemię i przeszył mieczem jego gardło.

Wtedy padł Valent, krwawiąc z rany między szyją a ramieniem. Jego przeciwnik wznosił miecz i rozrąbał mu czaszkę. Drugi stał nieopodal, ściskając zakrwawione, bezwładne ramię, a trzeci podchodził już do olbrzymów, nadal siedzących pod schodami.

Maquin rzucił się na nich.

Rozrąbał kolano wojownikowi z rannym ramieniem i usłyszał, jak wali się z łoskotem na ziemię. Szczegółów nie dostrzegł, bo już ruszył na tego, który zabił Valenta. Wbił mu nóż w pachę aż po rękojeść, pozostawił go tam, obrócił się i skoczył na wojownika, który natarłszy na dwoje nieuzbrojonych olbrzymów, zaczął rąbać olbrzymkę, klęczącą i własnym ciałem zasłaniającą dziecko. Olbrzymka warczała głucho, odsłaniając zęby, i parowała ciosy grubym łańcuchem, który krępował jej ręce. Maquin zdążył zauważyć, że z jej przedramienia i łydki ściekała już krew.

Vin Thalun usłyszał Maquina i odwrócił się. Zamachnął się mieczem i odbił pchnięcie Starego Wilka, a potem skoczył i wpił się w niego. Maquin próbował się uwolnić i zyskać trochę przestrzeni, by ciąć mieczem, ale nim to nastąpiło, obaj potknęli się o łańcuch i runęli na kamienną podłogę. Niedawna rana Maquina eksplodowała bólem.

Nie ma czasu na cierpienie!, pomyślał.

Zacisnął zęby. Zgubił gdzieś miecz, a więc rąbał czołem i usłyszał chrupnięcie. Wiążące go ramiona na moment osłabły i Maquin zdołał złapać ostatni nóż w bucie. Nie wyciągnął go jednak, bo kopniak w nerki odebrał mu dech. Jego plecy znów zapłonęły bólem, a żelazne ramię wojownika zacisnęło się na jego szyi. Maquin szarpnął się, targnął, uderzył głową w tył, ale nie był w stanie wyrwać się spod duszącego uścisku. Gryzł i drapał, ale czuł już, że

siły go opuszczają, a świat powoli pochłania ciemność, przebijana eksplodującymi białymi plamkami. Ktoś pochwyił go za but. Dostrzegł wojownika z przerąbanym kolanem, który podpełził do niego, pozostawiając krwawy ślad na podłodze.

Nie dam się zabić, przemknęło Maquinowi przez myśl.

Panika uwolniła ostatnią falę adrenaliny. Twarz wojownika spurpurowiała, gdy napiął wszystkie mięśnie i ścięgna. Żyły na szyi nabrzmiały mu niczym sznury, ale ramię Vin Thalun nie przestawało go dusić.

Opadł wówczas z sił, przeświadczony, że nie stać go już na nic więcej. Z łagodnym zaskoczeniem powitał świadomość, że to koniec.

Fidele...

Jakaś ogromna siła targnęła nim niczym szmacianą lalką, a potem duszący chwyt znikł. Maquin zachłysnął się, z trudem łapiąc powietrze. Człowiek za jego plecami wrzasnął przeraźliwie. Drugi z Vin Thalun, który trzymał go za kostki, wypuścił je i sięgnął po miecz.

Za późno.

Maquin kopnął go w twarz, wyrwał ostatni nóż z buta i wbił go przeciwnikowi w oko. Ciało mężczyzny przeszył spazm, po czym znieruchomiało.

Maquin przetoczył się i uświadomił sobie, że wojownik, który o mało go nie zabił, został pochwycony przez olbrzymkę, która oplotła mu szyję łańcuchem i zaciskała go ze wszystkich sił. Twarz Vin Thalun nabrała szaropurpurowego odcienia. Duszony wojownik wybałuszył oczy i wywalił spuchnięty język, aż rozległ się cichy trzask i jego głowa nagle opadła bezwładnie. Z oczu pirata uszło życie, ale mimo to olbrzymka nie przestawała zaciskać łańcucha. Jej napięte mięśnie przesunęły się pod skórą niczym węże w worku. Rozległo się mlaśnięcie, gdy łańcuch zaczął się wgryzać w skórę martwego wojownika. Z przeciętej skóry coraz gwałtowniej płynęła krew, aż olbrzymka szarpnęła z całej siły po raz ostatni i głowa Vin Thalun spadła na ziemię.

Kobieta cofnęła się, nie spuszczać wzroku z Maquina, pozwalając, by bezgłowy trup osunął się na ziemię, a potem usiadła obok syna, który mocno wpił się w jej rękę.

Maquin cofnął się, podniósł miecz, obrzucił olbrzymy jeszcze jednym spojrzeniem i pobiegł w stronę wyjścia z wieży, zbierając po drodze noże.

Alben wkroczył do środka. Czoło miał umazane krwią, a trzymany w ręku

miecz był czerwony aż po jelec.

– Olbrzymy?

– Nadal żyją. – Maquin wskazał obie skryte w cieniach pod schodami postacie. Wpatrywali się w nie przez chwilę, a one patrzyły na nich z niepokojem i nieufnością.

Uratowała mi życie, uświadomił sobie Maquin, co obudziło w nim mieszane uczucia. Ale odpłaciłem się jej tym samym.

Alben podszedł bliżej i podał olbrzymce bukłak.

– Napij się i obmyj rany – rzekł.

Wpatrywała się w niego, nie mrugając.

– *Deach agus glan do gortuithe* – powiedział Alben.

On zna ich język!, zdziwił się Maquin.

Olbrzymka zmarszczyła brwi, ale wyciągnęła rękę i chwyciła bukłak. Obwąchała zawartość i wzięła łyk na próbę, a potem podała naczynie dziecku. Młody olbrzym pociągnął tego, a potem polał wodą rany matki, zmywając z nich krew.

– Mogę je opatrzyć – rzekł Alben.

– *Cad ba mhaite leat?* – spytała olbrzymka i wykrzywiła szyderczo usta.

– *Me troid ar son an realta geal. Sbhilt anois. Ach ni feidir liom a leagtar t' saor in aisce – mo namhaid stor. Ni mor duit teacht liom* – odparł Alben.

– *Ni feidir liom* – warknęła olbrzymka niskim głosem. – *Bhaineann me go dti an aingeal dorcha.*

– *Sin deireadh leis. Ar m'anam tar liom go slòch-nta agus beidh t' sln. NÌ dhÈanfar aon dochar duit* – rzekł Alben w odpowiedzi.

Maquin nie miał pojęcia, czego dotyczy rozmowa, ale zauważył, że Alben spogląda na młodego olbrzyma, a potem znów na jego matkę. Ta podniosła się nagle. Jej mięśnie były twarde jak skała. Ludzie za Albenem sięgnęli po broń, ale wojownik uzdrowiciel nawet nie drgnął.

– *Tiocfaimid, ach is eagal dom go bhfuil gealltanais tugtha agat nach fÈidir leat a chomhlìonadh* – powiedziała olbrzymka.

Jej głos rozbrzmiał echem w piersi Maquina.

– Czas to osądzi – rzekł Alben. Wyciągnął miecz i rąbnął w łańcuch, rozłupując ogniwo. – Ruszamy – dodał i poszedł w stronę wyjścia.

Olbrzymka i jej syn podążyli za nim.

– Co ty im powiedziałaś? – spytał Maquin.

Alben nawet na niego nie spojrzał.



## Rozdział czterdziesty piąty

# CORALEN

Coralen ciągnęła za wiosło, czując, jak napinają się jej mięśnie pleców i ramion, a potem pochylała się wraz z nim do przodu. Przypominało to trochę naukę jazdy konnej. Rytm z początku był dla niej całkiem obcy. Uczyła się, jak zanurzyć i unieść wiosło, poznawała opór stawiany przez ciemne wody rzeki Afren, opanowywała też sztukę wychylania ciała, by nie stanowiło zawady. Co gorsza, musiała zsynchronizować ruchy z innymi, by jej wiosło im nie przeszkadzało. Ale już to umiem, pomyślała.

Pierwszej nocy po ucieczce z Uthandun Corban zebrał wszystkich wioślarzy z zajętych jedenastu okrętów, razem trzystu ludzi, i powtórzył propozycję, którą wygłosił jeszcze podczas walki. Powiedział im, że są wolni, ale zasugerował, by dalej wiosłowali – zarówno dla niego, jak i dla siebie – by oddalić się od piratów, którzy wtrącili ich do niewoli. Mogli wszak wysiąść w bezpieczniejszym miejscu.

Część wioślarzy, nie więcej niż dwudziestu mężczyzn, zażądała, by wypuszczono ich natychmiast. Corban nie robił przeszkód i cała grupka, chwiejąc się i potykając, znikła wśród cieni Ciemnego Boru. Reszta pozostała.

Wielu było bliskich śmierci, słabych i wychudzonych, ale Coralen z zaskoczeniem stwierdziła, że wystarczył łyk brotu, by postawić ich na nogi.

Corban miał do nich jeszcze jedną prośbę, która ostatecznie przekonała wyzwolonych wojowników co do jego uczciwych zamiarów. Chciał bowiem, by wyszkolili jego oddział w wiosłowaniu. Coralen, która zgłosiła się na ochotniczkę, obrzucono niejednym dziwnym spojrzeniem, ale zignorowała je wszystkie. Po wielu latach walk i ćwiczeń miała mocne, zwinne ciało i dobrze sobie dawała radę, choć po pierwszej zmianie przy wiosle jej dłonie pokryły się wielkimi pęcherzami, a ramiona i plecy bolały jak nigdy wcześniej. Po przebudzeniu następnego dnia czuła się jeszcze gorzej, ale trzeciego dnia już

w miarę przywykła.

Inni wiosłarze szybko przyzwyczaili się do jej obecności, tym bardziej że ich szeregi zasilili Jehar, z których przynajmniej połowa była kobietami. Jehar do wiosłowania podchodzili jak do walki – z kamiennymi twarzami i nieprzejednanym spokojem. O wiele trudniej było się przyzwyczaić natomiast do wiosłujących olbrzymów. Gdy Balur i kilku jego pobratymców spróbowało swych sił, galera rozkołysała się tak gwałtownie, że zaczęła nabierać wody. Trzeba było ich rozsądnie rozmieścić, by zapewnić jednostce lepszy balans.

– Las zostaje za nami – odezwał się Javed, drobny mężczyzna o ciemniejszej skórze, który ciągnął za wiosło przy przeciwnej burcie. Głowę miał zgoloną na łyso, choć podbródek porastał mu ciemny zarost. Coralen nigdy dotąd nie widziała człowieka o ciele poznaczonym taką ilością blizn. Pomimo niewielkich rozmiarów jego siła i muskulatura były godne podziwu i respektu, a poruszał się z gracją podobną Jehar, co świadczyło o tym, że skrywa nie byle talent.

– Uhm – burknęła Coralen, która jak dotąd nie opanowała sztuki jednoczesnego mówienia i wiosłowania.

– A dokąd wy się właściwie wybieracie? – zapytał ją Javed.

– Naprzód – znów burknęła dziewczyna.

Każdy członek ich hufca wiedział, że zmierzają do Drassil, miasta z baśni. Rzeczywiście, aż do niedawna tak właśnie o tym miejscu myślała, ale już pogodziła się z tym, że istniało naprawdę. Przeczuwała jednak, że inni mogą mieć na ten temat odmienne zdanie.

– W dziwnym towarzystwie się obracasz – stwierdził Javed.

Trudno zaprzeczyć, pomyślała dziewczyna, choć sama już od dawna tak nie myślała. Uznawała to za coś naturalnego, podobnie jak fakt, że Drassil istniało naprawdę.

Za jej plecami rozległo się uderzenie w dzwon, które oznaczało koniec jej zmiany. Płynnym ruchem uniosła wiosło, wciągnęła je na pokład przez otwór w burcie i ułożyła na podłodze. Javed udał, że składa przed nią ukłon, a dziewczyna ruszyła między ławkami ku schodom prowadzącym na górny pokład. Zamrugnęła, oślepiąca blaskiem słońca, i skinęła Farrellowi, który mijał ją, by zająć miejsce przy wiosle.

Pokład był wąski, a znaczną część zajmował pojedynczy maszt oraz zwinięty żagiel. Za nim wznosiła się nadbudówka, gdzie Dath dzierżył

rumpel. Coralen podeszła do relingu i wychyliła się, by spojrzeć w dół rzeki. Widziała pozostałe okręty ich niewielkiej flotylli podążające w ślad za nimi.

Od czterech dni wiosłowali w górę rzeki Afren, oddalając się od Uthandun. Każdego ranka spodziewali się, że z tyłu na rzece pojawią się ścigające ich okręty bądź ich uszu dobiegnie łomot kopyt wrogiego hufca na brzegu.

To nie byłoby wcale łatwe. Trudno jest wypatrzeć brzeg wśród tych zarośli, pomyślała Coralen.

W istocie, brzegi rzeki były z początku porośnięte gęstymi krzakami, nad którymi górowały olchy i wierzby. Gąszcz jednakże zaczął z czasem rzednieć, a za nim roztaczały się płaskie łąki.

Dlaczego nikt za nami nie podążył?, zastanawiała się Coralen. Dlaczego wróg nam odpuścił? Przecież ma nad nami przewagę!

Nie wiedziała, dlaczego tak się stało, ale powoli zaczynała myśleć, że jednak udało im się uciec i żadnego pościgu nie będzie.

To był dobry plan, nie da się ukryć, stwierdziła.

Corban stawał się coraz lepszym dowódcą. Nie dość, że obmyślił ten plan, to jeszcze zdołał doprowadzić go do końca. Coralen musiała przyznać, że akcja została przeprowadzona znakomicie, a na myśl o swoim wkładzie – słomianych kukłach i ogniach, które przyciągnęły oko wroga – czuła, jak puchnie z dumy.

Ha, wyszło idealnie!

Teraz zaś wyglądało na to, że udało im się uniknąć pościgu i zbliżyć do granic Narvonu i Isiltiru. Niedługo mieli opuścić terytorium wroga. Coralen czuła ulgę, co było dziwnym doświadczeniem, ale mimo to nie przestawała oglądać się za siebie.

Płyniemy do Drassil, zamiast udać się na południe, do Ardanu i Edany, pomyślała.

Nie miała pojęcia, co o tym sądzić.

Ktoś dotknął jej ramienia.

– Gotowa? – spytała uśmiechnięta szeroko Cywen, obracając nóż między palcami.

Podczas pierwszego dnia podróży na okręcie, gdy podołano najważniejszym zadaniom, takim jak usunięcie trupów, opatrzenie rannych i oplkanie poległych towarzyszy, Coralen uświadomiła sobie, że znalazła się w niecodziennej sytuacji. Odkąd sięgała pamięcią, każdego dnia jeszcze przed świtem siedziała w siodle i wraz z rosnącą grupą zwiadowców wyruszała na

rekonesans. Ani na moment nie ustawała w działaniu. W miarę jak okręty oddalały się od Uthandun, dziewczyna zaczęła czuć się bezużyteczna.

Z marazmu wyrwała ją Cywen, która poprosiła, by Coralen nauczyła ją władać mieczem. Ta z ochotą spełniła prośbę, a w zamian zażądała lekcji rzucania nożem. Nie była przekonana, czy kołyszający się pokład to najlepsze miejsce na początek nauki, ale kiedy to sobie uświadomiła, było już za późno.

Potem obowiązków dorzucił jej Dath, który zaczął wydawać polecenia wszystkim, którzy stali bezczynnie, by poprawić funkcjonowanie okrętu. Coralen wiedziała, że wystarczy chwila przy relingu, by młodzieniec zauważył, że nie ma nic do roboty i przywołał ją do siebie.

– Jasne – rzekła.

Zwróciły się ku rufowej nadbudówce, na której Cywen wymalowała sylwetkę człowieka z mieczem. Ktoś dorysował mu dwa rożki i nazwał go Kadoshim. Cywen wręczyła zwiadowcy nóż.

Jehar, olbrzymy oraz wioślarze wolni od pracy, którzy byli świadkami wcześniejszych sesji treningowych, na wszelki wypadek wycofali się z rufy okrętu. Coralen bowiem, choć sądziła, że nauka rzucania nożami pójdzie jej gładko, nadal nie mogła pokonać wstępnych trudności.

Kątem oka widziała Javeda, który oparł się o reling i przyglądał im obu.

Rozstawiła stopy, wycelowała tak, jak przykazała jej Cywen, uniosła ostrze na wysokość ucha i...

W miejsce, w które mniej więcej celowała, wbił się miecz.

– Ha, Laith jest coraz lepsza! – Ktoś za nią roześmiał się potężnie.

– Przestań się przechwalać! – powiedziała Cywen i uśmiechnęła się do olbrzymki.

Laith odniosła ranę podczas bitwy i jej głowa była obandażowana, co bynajmniej nie osłabiło jej entuzjazmu.

– Ale ja mówię prawdę. – Zmarszczyła brwi. – Patrz. – Wskazała swój miecz. – I nie utknął głęboko – dodała, po czym złapała za broń i wyciągnęła ją. – Laith dużo myślała! – Olbrzymka wypięła pierś. – Ja słucham Cywen. Celność, nie siła. – Postukała się po czaszce. – I większe ostrze.

Coralen wbrew sobie parsknęła śmiechem, po czym pokręciła głową.

Właśnie żartując z olbrzymką Benothi, pomyślała. Ja, niegdyś członkini zabójców olbrzymów Ratha. Świat się zmienia.

– Skąd masz ten miecz? – spytała Cywen.

– Od poległych – odparła Laith. – Już ich nie potrzebują.

Coralen przyjrzała się uważniej. Był to typowy krótki miecz Vin Thalun. Olbrzymka uniosła skórzany kaftan i pokazała pół tuzina innych, ukrytych tu i ówdzie. Cywen pokręciła głową, nie przestając się uśmiechać. Ujęła miecz i zważyła go w dłoni.

– Źle wyważony – powiedziała. – Po dotarciu do Drassil poproszę Farrella, by zrobił dla ciebie coś tej wielkości, ale lepiej nadającego się do rzucania.

Laith uśmiechnęła się szeroko.

– Ja też jestem kowal – rzekła. – Ale robiłam tylko duże rzeczy. Osie, koła, no wiecie. Farrell da sobie radę?

– Jeśli mi odmówi, zawsze możemy poprosić Coralen, by się do niego zwróciła – stwierdziła Cywen.

Coralen skrzywiła się. Dobrze wiedziała, co młody kowal do niej czuje, i denerwowało ją to.

– Drassil? – odezwał się głośno Javed, który podszedł bliżej. – Powiedziałyście „Drassil”?

Cywen zmarszczyła brwi. Całkiem zapomniali o jego obecności. Zignorowała go i odwróciła się.

– Hej. – Javed wyciągnął rękę i złapał Cywen za ramię.

Ogromna łapa zacisnęła się na nadgarstku Javeda i oderwała go od dziewczyny.

– Nie dotykaj jej – oznajmiła Laith. Jej radosna, kpiarska mina znikła bez śladu. Z oczu olbrzymki pierzchły wszelkie emocje, a jej brwi zeszły się na czole. Przez oblicze Javeda przemknął grymas i niespodziewanie eksplodował agresją. Jego wolna ręka wystrzeliła tak szybko, że Coralen nie była w stanie nadażyć za nią wzrokiem. Były niewolnik w okamgnieniu zmienił układ stóp, szarpnął gwałtownie i Laith runęła na pokład niczym ścięte drzewo. Javed przykucnął, przykładając nóż do jej gardła.

Jak on tego dokonał?, przemknęło Coralen przez myśl.

– Im większe cielsko, tym mocniej pada – mruknął Javed.

Wszyscy na moment zamarli. Coralen uświadomiła sobie, że ludzie na pokładzie statku wpatrują się w nich. Na twarzy Javeda emocje toczyły ostry konflikt. Szczęki przeszył spazm, przypominający iskrę, uruchamiającą kolejne wydarzenia. Coralen dostrzegła skurcz napiętych mięśni niewolnika, a gdy ten unióśł dłoń z nożem, rzuciła się na niego bez wahania. Celnym kopnięciem trafiła go w nadgarstek opadającej ręki, a wytrącony nóż zawirował w powietrzu. Javed odwrócił się z warknięciem i skoczył prosto na

nią. Wymienili serię ostrych ciosów, częściowo zablokowanych, częściowo celnych, a potem, spleceni w uścisku, wciąż pogrążeni we wściekłym starciu, runęli na nadbudówkę. Coralen uderzyła o nią plecami.

Z nosa Javeda ściekała krew.

Zamarli, wpatrzeni w siebie, oddychając ciężko. Naraz do świadomości Coralen przedarł się nowy dźwięk. Było to warczenie, głuche, niskie, tak potężne, że przez podeszwy butów czuła vibracje desek pokładu.

– Powinieneś ją puścić i odsunąć się – rozległ się czyjś głos, chłodny, gniewny, ale opanowany.

Javed wpatrywał się przez moment w Coralen. Na pierwszy rzut oka jego twarz wydawała się być wykrzywiona gniewem, ale bystry obserwator wnet doszedłby do wniosku, iż jest to coś o wiele potężniejszego. Były niewolnik aż drżał od szaleńczej, ledwie poskramianej furii. Po chwili jego mięśnie zaczęły się powoli rozluźniać. Zamrugał, puścił dziewczynę i odstąpił.

Corban stał za nimi. Wyraz jego twarzy nie miał nic wspólnego z przyjaznym uśmiechem, który gościł na niej tak często.

– Nie pozwolę, by ktokolwiek podnosił rękę na kogokolwiek z moich przyjaciół. Nie pozwolę, by komuś stała się krzywda – odezwał się do Javeda. – Czyżbyśmy mieli tu jakiś problem?

Corban nie poruszył się, a w ręku nie miał broni, ale Javed mimo to cofnął się o krok. Warczenie Burzy stało się jeszcze niższe. Z jej odsłoniętych kłów ściekała ślina.

– Ja... Przepraszam – powiedział Javed i rzeczywiście wyglądało na to, że jest mu przykro.

Przetarł dłonią twarz, a potem odwrócił się i odszedł chwiejnym krokiem.

\* \* \*

Słońce chowało się za zachodnim horyzontem, zalewając migotliwe bagna powodzią czerwieni. Setki krzyżujących się kanałów i nieruchomych stawów płonęło niczym płynny bursztyn, a za nimi wznosił się ponury, czarny bastion Ciemnego Boru, który nikł w oddali, a wraz z nim królestwo Narvonu.

Przed nami Isiltir, a dalej las Forn i Drassil, pomyślała Coralen.

Stała wraz z Farrellem w miejscu, gdzie zdjęto reling, by ułożyć trap prowadzący na brzeg. Czekali, aż Dath zacznie wywrzaskiwać rozkazy. Młodzieniec znajdował się już na brzegu i pokazywał Laith, gdzie założyć

cumy. Jedna z warg olbrzymki była napuchnięta po starciu z Javedem. Coralen również nie mogła zapomnieć walki, a przede wszystkim tego, co ujrzała w oczach Javeda w jej trakcie. Miała wrażenie, że na tę krótką chwilę stał się zupełnie innym człowiekiem.

Do pewnego stopnia z każdym tak się dzieje podczas walki, ale on..., zastanawiała się.

Doskonale pamiętała również to, jak zareagował na widok Corbana. W postawie młodzieńca pojawiło się coś groźnego i władczego, co przeniknęło już do jego głosu i spojrzenia. Coralen nie spodobało się, że przyszedł jej z pomocą. Irytowało ją to, że musiał interweniować. Skrzywiła się.

Przecież potrafię się o siebie zatroszczyć, pomyślała. Jeszcze chwila i ten cały Javed leżałby na łopatkach.

Po dłuższej refleksji doszła do wniosku, że wcale nie ma takiej pewności. Javed okazał się niebywale szybki i nacierał w absolutnie nieprzejezdny sposób, jakby życie czy śmierć nie miały dla niego najmniejszego znaczenia.

– Dalej! – darł się Dath. – Nie mamy całego dnia!

Coralen miała ochotę odkrzyknąć coś dosadnego, ale skrzywiła się, gdy poczuła ból rozbitej wargi. Farrell zauważył to.

– Dopadnę go – warknął, gdy zahaczyli trap o występ pokładu i zaczęli go opuszczać.

– Co? – spytała Coralen, nie mając pojęcia, o czym mówi chłopak.

– Mam na myśli tego wioślarza! Gdybym tylko tam był...

– Dobrze, że cię nie było. Chwilę wcześniej rozłożył olbrzymkę większą od ciebie.

– Wzrost nie ma znaczenia. – Farrell wydawał się urażony. – Mam o wiele większe doświadczenie bitewne od Laith.

– Nie zachowuj się jak idiota – warknęła do niego Coralen. – Przecież to nic takiego!

On mógłby cię zabić, ty wielki wole! Działasz mi na nerwy, ale wolę, byś żył, dodała w myślach.

– A poza tym umiem zająć się sobą. Nie życzę sobie, by ktoś toczył za mnie walkę.

Farrell wyglądał, jakby chciał coś jeszcze powiedzieć, ale się rozmyślił.

Czyli nie jest aż takim głupkiem, za jakiego go miałam, uznała Coralen.

– Wszyscy na ląd! – wrzasnął Dath, osłoniwszy usta dłońmi.

– Wszyscy na ląd! – powtórzyła Laith, a jej głos poniósł się po wodach rzeki.

Wzdłuż brzegów zapłonęło wiele ognisk, a na rożnach obracało się już mięso wołów, dzików bądź jeleni, gdyż spore zapasy solonego mięsiwa znaleziono w ładowni jednego z uprowadzonych transportowców. Członkowie hufca, który liczył już prawie siedem setek dusz, skupili się w półkręgach wokół ognisk. Każdemu burczało w brzuchu i ciekła ślinka na myśl o uczcie, a w powietrzu niosły się podekscytowane rozmowy.

Coralen zasiadła z Farrellem, Cywen, Dathem i Kullą, która nie odstępowała młodego łuczника nawet o krok. Dołączyło też do nich dwóch wioślarzy, z którymi zaprzyjaźnił się Farrell – ojciec i syn.

– To Atilius i Pax – przedstawił ich ogromny kowal.

Na początku podróży trudno się było z wioślarzami porozumieć, gdyż wielu z nich znajdowało się na skraju śmierci. Inni zaś, wycieńczeni i wychudzeni, nie mieli ochoty na kontakt, ale wielu spośród nich zaczęło się przekonywać do wojowników i przesiadywać wśród nich, na co niebagatelny wpływ miało to, że razem zasiadali na ławkach wioślarskich.

– Skąd jesteście? – spytał byłych niewolników Dath.

– Z Tenebralu – odparł Atilius. Z wyglądu przypominał wojownika: miał krótko ścięte włosy oraz brodę, ogorzałą cerę i mocne, szerokie ramiona, a na jego ciele nie było ani grama tłuszczu. Coralen uznała, że jest w nim coś znajomego.

– Jak doszło do tego, że wylądowaliście... No, tam? – Dath wskazał okręty przycumowane do brzegu rzeki.

Aleś ty taktowny, Dath, pomyślała Coralen.

Mężczyźni spojrzeli po sobie. Przez twarz młodszego przemknął lęk.

– Jesteśmy jeńcami wojennymi. – Atilius wzruszył ramionami.

– Wojennymi? – zdziwił się Farrell. – A przeciwko komu walczyliście?

– Przeciwko Vin Thalun – rzekł Atilius. – Tym piratom, którym podprowadziliście okręty.

– Niech ich szlag trafi – mruknął Pax. – Szlag jaśnisty!

Wydawał się spięty i nerwowy, jakby skrywał wielką tajemnicę. Starszy mężczyzna poklepał go po nodze, a w jego oczach błysnął ból.

– A więc jesteście wojownikami – stwierdziła Cywen.

– On jest. – Kulla wskazała Atiliusa.

– Obaj walczyliśmy – rzekł starszy wioślarz, ale jego syn odwrócił głowę.



– Tenebralczycy są naszymi wrogami. – Farrell zmarszczył brwi. – Waszym królem jest Nathair?

– Tak – powiedział powoli Atilius, rozglądając się dookoła.

Cywen i Dath wyprostowali się, a Coralen przypomniała sobie ludzi, z którymi walczyła podczas nocnego wypadu na siły Rhin na Przełęczy Domhaińskiej. Przecież to byli Tenebralczycy.

– Orla straż – oznajmiła Cywen.

– Tak. Tym mianem określało się najlepszych spośród nas – rzekł Atilius, a jego syn rozglądał się niepewnie.

– A znasz niejakiego Veradisa? – spytała Cywen.

– To pierwszy miecz Nathaira. Mówią, że dobry z niego człowiek.

– Też tak mi się wydawało – rzekła Cywen, a jej oczy zaszyły mgłą.

– A więc jesteśmy waszymi wrogami? – zapytał Atilius.

Przynajmniej wali prosto z mostu. Podoba mi się to, uznała Coralen.

– Moim zdaniem nie – odparła Cywen. – Ale to Corban o tym decyduje. A mam was uznać za wrogów?

– Nie – parsknął Atilius. – Nathair oddał rządy nad krajem szaleńcowi, Lykosowi z Vin Thalun, a potem wyjechał gdzieś z wojskiem. Porzucił poddanych na pastwę krwio pijcy. Nie chcę służyć takiemu władcy. Gdybym miał walczyć, zwróciłbym się przeciwko Vin Thalun, bez względu na to, czy są sprzymierzeni z Nathairem czy też nie. – Spojrzał na syna. – Ale nie chcę walczyć – rzekł niemalże kojącym głosem. – Chcę tylko znaleźć dla nas odrobinę spokoju.

No to powodzenia, bo właśnie walimy na łeb na szyję prosto w sam środek Wojny Bogów, pomyślała Coralen.

Za ich plecami przeszedł Javed. Zauważył dziewczynę i zwolnił nieco, gdy ich spojrzenia się spotkały, ale zaraz przyśpieszył kroku.

– Słyszałem o tym, co się stało – powiedział Atilius.

– Znasz go? – spytał Farrell groźnym tonem.

– Tak. Walczył w jamach.

– Co to oznacza?

– To rozrywka Vin Thalun. Złapanych niewolników sadzają przy wiosłach, a jeśli przeżyją, wrzucają ich do jam i każą walczyć ze sobą. Czasem jest ich tuzin, czasem więcej. Ten, który przeżyje, ma prawo wyjść i dożyć następnego dnia, a potem znów staje do walki. Niektórym udaje się wywalczyć sobie wolność. Javedowi prawie się udało. – Mężczyzna przeniósł wzrok na Coralen.

– Słyszałem, że nie dałaś mu się w starciu. Gdybyś powtórzyła tę sztukę w Tenebralu, wygrałabyś skrzynię srebra.

– Szybki jest – powiedziała kwaśno Coralen i dotknęła swej wargi.

– To zwierzę – rzekł Pax. – A do tego szalone zwierzę. – Postukał się palcem po skroni. – Jak oni wszyscy.

– Czy przy wiosłach jest jeszcze wielu takich jak on? Wojowników z jam?

– Jest ich kilku, ale drugiego takiego jak on nie znajdziecie – burknął Atilius. – A przynajmniej nie tu.

Naraz Coralen wyczuła subtelną zmianę wokół siebie. Przy sąsiednich ogniskach cichły rozmowy. Uniosła głowę i spostrzegła Corbana, który wskoczył na masywną, nisko wiszącą gałąź starego wiązu. U stóp młodzieńca leżała Burza, a za nim stali Meical, Gar, Tukul i Brina.

– Twój brat ma chyba coś do powiedzenia. – Dath poklepał Cywen po ramieniu.

## Rozdział czterdziesty szósty

# CORBAN

Corban stał na gałęzi starego wiązu i spoglądał na setki wpatrzonych w niego twarzy. Przez moment miał w głowie absolutną pustkę, po czym nabrał tchu.

– Nie lubię wygłaszać przemówień – oznajmił, a jego słowa były niczym kamień, który wpada w toń stawu. – Ale muszę się z wami podzielić kilkoma sprawami.

Rozejrzał się raz jeszcze. W ustach czuł suchość, a cała sytuacja lekko go przytłaczała.

– Mówże – mruknęła cicho Brina.

Corban obrzucił ją niechętnym spojrzeniem. Nie przepadał za retoryką i kwiecistymi wywodami. Potrafił mówić prosto z serca i miał nadzieję, że to wystarczy.

– Gdy zająłem te okręty, obiecałem wam wolność! – krzyknął. – Poprosiłem was również, byście wiosłowali dla nas wszystkich, aż znajdziemy się w bezpiecznym miejscu. Cóż, udało się. Za plecami mamy Narvon, przed nami Isiltir, a więc powtórzę raz jeszcze: jesteście wolni!

Ktoś krzyknął z radością, a jego zew podjęli inni. Wiwaty przetoczyły się po tłumie i całkiem zaskoczyły Corbana, ale jednocześnie dodały mu odwagi.

Może jednak nie robię z siebie kompletnego idioty, pomyślał.

Gdy krzyki ucichły, ciągnął:

– Ale czy rzeczywiście gdzieś są jeszcze bezpieczne miejsca? Dobrze się nad tym zastanówcie. Pomyślcie o armiach Rhin, które podbijają naród za narodem. O Vin Thalun, którzy niewolą naszych rodaków!

Na wzmiankę o znienawidzonych piratach poniosły się syki.

– Pomyślcie o Kadoshim, którzy mordują mężczyzn, kobiety i dzieci! Niewinnych ludzi!

Setki twarzy wpatrywały się w niego w milczeniu. Corban westchnął

ciężko, przez moment zagubiony wśród wspomnień o Kadoshim z Murias i lasów Narvonu. Wciąż miał przed oczami tego, który wbił zęby w ciało przerażonej ofiary. Pokręcił głową i zmusił się, by skupić uwagę na ludziach przed nim. – Dziś ucztujemy i świętujemy naszą ucieczkę! – Wskazał ognie i mięso na roznach. – Jutro zaś nadejdzie czas wyboru. Będziecie musieli zdecydować, czy zostajecie z nami czy też ruszacie swoją drogą.

– A dokąd się udajecie?! – krzyknął ktoś.

Corban zmarszczył brwi.

Ilu z nich da nogę na samą wzmiankę o celu podróży?, zastanawiał się. Uznają nas za szaleńców. Nie rozpocznę jednak dalszej podróży od kłamstwa.

– Zmierzamy do Drassil w lesie Forn.

I znów nastała cisza.

Corban przetarł oczy i nabrał głęboko tchu.

– Niektórzy z was pewnie uwierzą, a inni pomyślą, że gadamy o mitach i legendach. Niemniej my widzieliśmy już rzeczy, które pozbawiły nas wątpliwości. Rozpoczęła się Wojna Bogów i trzeba się opowiedzieć po którejś ze stron. – Urwał.

Podczas ich wcześniejszej rozmowy Meical nalegał, by opowiedział ludziom o wszystkim. Corban przeniósł wtedy błagalne spojrzenie na Brinę, która wzruszyła ramionami.

„W sumie czemu nie – rzekła. – Wywal z siebie wszystko naraz. Poza tym to przecież prawda”.

Westchnął teraz i rozejrzał się po otaczających go twarzach.

– Ja jestem Jasną Gwiazdą, o którym jest mowa w przepowiedni. Walczę dla Elyona przeciwko Asrothowi i jego Czarnemu Słońcu.

Umilkł, gdyż nawet dla niego te słowa zabrzmiały dziwnie.

Walczę przeciwko bogu. Jak ja temu podołam?

– Nie chcę toczyć wojny – powiedział. – Ale czy mam jakiś wybór? Czy ktokolwiek z nas ma jakikolwiek wybór? Będę walczył, by chronić tych, których kocham. Będę walczył za moją rodzinę i moich przyjaciół. Za moją ojczyznę i za moich rodaków. Będę walczył za siebie. Będę walczył z Rhin, Nathairem, Vin Thalun, z kimkolwiek będzie trzeba. Nikt mnie nie powstrzyma, dopóki nie padnie ostatni z nas.

Znów zapadła cisza, tym razem głębsza i cięższa niż wcześniej.

– A jeśli zostaniemy z tobą, będziemy mieli szansę walczyć z Vin Thalun? – spytał ktoś.

– Bez wątpienia – rzekł cicho stojący obok Corbana Meical.

– Tak – odparł głośno młodzieniec.

– To mi w zupełności wystarczy – odpowiedział ten sam głos, wywołując tu i ówdzie ciche śmiechy.

– Nie zagwarantuję wam zwycięstwa. – Corban mówił coraz głośniej, a jego słowa odbijały się echem od kadłubów okrętów cumujących wzdłuż brzegów rzeki. – Możemy przegrać. Możemy wszyscy zginąć.

Jak ja mogę ich o to prosić?, zastanawiał się. Czy właśnie taka dola przypada przywódcom? Czy każdy z nich prosi swoich poddanych, by oddali mu wszystko, samemu nie zapewniając nic w zamian?

Spoglądał na zgromadzonych przed sobą ludzi i zrozumiał, że jeśli nie połączą swych sił, nie będą mieli żadnych szans w walce z nadciągającymi armiami. Obowiązek uświadomienia im tego spoczywał zaś na jego barkach.

– Widziałem nadciągające zło na własne oczy i wiem, że jest ono przerażające. Kto stanie mu na drodze, jeśli nie my? Jest tylko jedna obietnica, którą mogę wam złożyć...

Poczuł włochatą kulę w gardle, gdy ujrzał twarze tych, na których mu naprawdę zależało – Cywen, Datha, Farrella, Coralen, Balura, Gara. Tych, których mógł stracić.

Ale czy mamy jakiś wybór?

Położył dłoń na rękojeści miecza.

– A brzmi ona tak: nie opuszczę was ani na moment i będę walczył, póki starczy mi tchu.

Ostatnie słowa wykrzyczał najgłośniej jak umiał, czując obezwładniające go uniesienie. Zeskoczył z gałęzi, a wtedy rozległ się ogłuszający ryk entuzjazmu. Jehar i olbrzymy wymachiwali bronią w powietrzu i wiwatowali, zdzierając sobie gardła, a większość pozostałych dała się porwać ogólnemu szaleństwu. Twarze wioślarzy, którzy kilka dni temu z trudem opierali się śmierci, nie były już puste i pełne apatii, a promieniowały radością.

I tak oto zaczyna się nasza wojna, pomyślał Corban.

\* \* \*

Mokradła były płaskim, cuchnącym, rojącym się od komarów pustkowiem. Rzeka wiła się przez nie niczym pogrążona w apatii żmija, a jedenaście okrętów powoli sunęło po jej wodach na wschód. Wioślarze przykładali się do

swoich obowiązków i niewielka eskadra zbliżała się do Drassil.

Corban wspominał swe rozmowy z Tukulem i Meicałem, którzy ostrzegali go, że zniszczeni psychicznie i fizycznie ludzie nie zasługują na zaufanie. Młodzieniec nie zgodził się z nimi.

„Oni kiedyś byli wojownikami – powiedział. To nie ich wina, że trafili do niewoli, i jestem pewien, że nadal pamiętają, czym jest honor. Mogę im zaproponować jedynie niepewną przyszłość, ale to i tak lepsze niż pewna śmierć, która czekała ich wcześniej. Poza tym sam wiem, jak dobrze motywuje do działania nienawiść oraz pragnienie zemsty”.

Stał na wysokim pokładzie rufowym czołowej jednostki. Obok niego znajdował się wsparty o wiosło sterowe Dath, a nieopodal czuwała nieodłączna Kulla.

– Bez ciebie nie dalibyśmy sobie rady. – Corban zwrócił się do przyjaciela.

– Wiem. – Dath uśmiechnął się szeroko. – I byłbym wdzięczny, gdybyś o tym nie zapomniał.

– Dath ma wiele talentów – rzekła Kulla, wywołując rumieniec na policzkach chłopaka. Corban powstrzymał uśmiech. – Ale czegoż można by się było spodziewać po jednym z najbliższych przyjaciół Jasnej Gwiazdy? – dodała.

Tym razem to Corban się zaczerwienił, a Kulla uśmiechnęła się z dumą do Datha.

– Wkrótce będziemy musieli opuścić rzekę – powiedział Meical. – Przecina ona południe Isiltiru i niemalże dociera do bram Mikil, stolicy tej krainy, skąd włada Jael. My chcemy dotrzeć na ziemię Gramma, a więc nie możemy płynąć tamtędy. Musimy znaleźć się na wodach rzeki, która płynie na północ, ku morzu.

– A jak niby mamy tego dokonać? – spytał Corban. – Wziąć statki na barana i ponieść je lądem?

Jedyną odpowiedzią Meicala i Datha były szerokie uśmiechy.

\* \* \*

Wzburzając falę, która obryzgała zarówno Corbana, jak i kilka setek innych ludzi, pierwszy okręt majestatycznie zsunął się na wody rzeki. Młodzieniec nie miał jednak nic przeciwko nieoczekiwanej kąpieli, gdyż był zlany potem od stóp do głów. Stał na brzegu pochyłony, opierając dłonie na kolanach

i oddychając głęboko, i uśmiechał się od ucha do ucha.

Udało im się wyciągnąć cztery pierwsze okręty z wód rzeki i popchnąć je w głąb bagien, w czym wielką pomocą okazały się konie, wyprowadzone z trzech transportowców i spięte w zaprzęgi. Następnie rozpoczęto długą lądową przeprawę po grząskim gruncie w kierunku innej rzeki. Kadłuby przetaczano na pniach masztów, wykorzystywanych w charakterze potężnych belek, w czym niezbędne okazało się doświadczenie wyzwolonych najemników, nieraz zmuszanych przez Vin Thalun do podobnej pracy. Osobliwy konwój brnął naprzód powoli, popychany przez zmieniających się ludzi i ogromnych Benothi, ale bez żadnych nieoczekiwanych przygód. Dystans liczył zaledwie dwie mile.

Wydawać by się mogło, że to niewiele, pomyślał Corban. Ale nie kiedy się pcha okręt...

Powrócili do pozostałych jednostek, by powtórzyć procedurę.

– Mamy problem – odezwał się w pewnym momencie Dath. – Transportowców nie wyciągniemy.

– Czemu nie?

– Zbyt głębokie zanurzenie. Galery takie jak ta, na której płynęliśmy, mają płaskie dna i pod linią wody kryje się stosunkowo niewiele. W przypadku transportowców pod wodą siedzi jedna trzecia kadłuba. Nie stanowi to przeszkody, gdy żegluje się po szerokiej, głębokiej rzece, ale nie da się ich wyciągnąć, a nawet gdyby się to powiodło, nie przetoczymy ich przez dwie mile.

Corban ukrył twarz w dłoniach.

\* \* \*

Zasiedli w wielkim kręgu utworzonym przez jego rosnącą radę wojenną. Byli w niej Meical, Tukul, Brina, Gar, Balur Jednooki, Ethlinn, Dath, a także Cywen oraz Coralen, które ostatnio wydawały się nierozłączne. Dołączyło do nich dwóch kolejnych ludzi – Javed i Atilius, którzy reprezentowali nowych wojowników potężniejszego hufca. W cieniu pobliskiej wierzby leżały Burza i Buddai.

Corban przyglądał się Javedowi. Dobrze pamiętał jego starcie z Coralen, które obudziło w jego sercu wściekłość. Musiał wyteńczyć całą siłę woli, by nie wyszarpnąć miecza i nie odrąbać mężczyźnie głowy.

Czy mogę zaufać człowiekowi, który tak łatwo wpada w niepowstrzymaną furie?, zastanawiał się.

Musiał szczerze przyznać, iż nie ma bladego pojęcia, czy powinien to robić, czy też nie, ale wyzwoleni niewolnicy wybrali Javeda i Atiliusa na swych przedstawicieli i Corban musiał zawierzyć ich osądowi.

A z tego Javeda nie spuszczę oka, postanowił.

Omawiali najrozmaitsze opcje. Corban słuchał uważnie Gara, który proponował rozebrać transportowce i zbudować je na powrót na drugim brzegu.

– Czy ty kiedykolwiek budowałeś już okręt? – zapytał go Javed. – A żeglowałeś kiedyś?

– Nie – odparł Gar. – Urodziłem się na pustyni.

– Ha! – Javed parsknął śmiechem i wyrzucił ramiona ku niebu.

– Tak się nie da – rzekł ponuro Dath do Gara. – Bez odpowiednich narzędzi porobilibyśmy w kadłubach pełno dziur, a poza tym kadłub po skleceniu trzeba by nasmołować. Inaczej od razu osiadzie na dnie.

Powstał gwar, gdy wszyscy zebrani sugerowali kolejne rozwiązania, równie mało realne jak poprzednie.

– Istnieje tylko jedno wyjście z sytuacji – rzekł Tukul potężnym, nieznoszącym sprzeciwu głosem. – Musimy się rozdzielić. Część z nas dosiadzie koni i pogna do Gramma przez ziemie Isiltiru. Druga popłynie wzdłuż wybrzeża.

Corban zmarszczył brwi. Sam również wpadł na ten pomysł, ale bez przerwy odpychał go od siebie. Nie chciał do niego wracać.

– To niebezpieczne rozwiązanie – odezwała się Cywen.

– A cóż nie jest takie na Ziemiach Wygnanych? – parsknął Tukul. – Poza tym, już raz tego dokonaliśmy. Przejechaliśmy od ziem Gramma przez Isiltir aż do Dun Carreg w Ardanie, skąd zawróciliśmy do Dun Vaner. Jechaliśmy jak wiatr, a Jehar są nie do powstrzymania, gdy znajdą się w siodłach.

– Okręty dotrą do Gramma na długo przed jeźdźcami – powiedział Meical, który zabrzmiał, jakby myślał na głos, a nie stwarzał problemy.

– Może tak, może nie. – Tukul uśmiechnął się z dumą.

– Weźcie po dwa konie na jeźdźca – zaproponowała Coralen. – W połowie dnia będziecie się mogli przesiąść na luzaki. W ten sposób zwiększycie tempo.

Rozmowa toczyła się jeszcze przez chwilę, aż w końcu zapadła cisza i wszyscy odwrócili się ku Corbanowi.



– To jedyne możliwe wyjście z sytuacji – rzekł – choć nie podoba mi się pomysł rozdzielenia naszych sił. Pozostaje nam ustalić, kto pojedzie konno, a kto popłynie.

– Najlepszymi jeźdźcami są Jehar – oznajmiła Brina.

– Ja nie opuszczę Corbana – odezwał się odruchowo Gar.

– Nie będę cię o to prosił – rzekł Tukul i oparł dłoń na ramieniu syna. – Ale Brina ma rację i oddział jeźdźców powinien w większości składać się z Jehar. Jesteśmy najlepszymi jeźdźcami i mamy największe szanse, by dostać się do Gramma najszybciej jak się da. Chciałbym jednakże, by Coralen udała się z nami – zakończył.

– Dlaczego? – spytał Corban. Pomysł wcale nie przypadł mu do gustu. Coralen skrzywiła się.

– Bo jest najlepszą zwiadowczynią, jaką w życiu widziałem, a jej talent na północnym morzu nie przyda wam się na nic.

Corban nie mógł zarzucić niczego logice Tukula, był też świadom, że Jehar obdarzył Coralen wielkim komplementem. Mimo to wiedział, że było to niebezpieczne rozwiązanie. Spojrzał na dziewczynę, która wpatrywała się w niego.

– To ma sens – rzekł.

– A więc pojedę z nimi – parsknęła Coralen.

– Tylko jeśli naprawdę tego chcesz – powiedział Corban.

– Chcę. Bo czemu niby nie?

Bo wolałbym, byś została, przemknęło mu przez myśl, ale wzruszył ramionami i odwrócił się.

– No to lepiej bierzmy się do roboty – rzekł Dath i spojrzał na słońce. – Bo musimy jeszcze przepchnąć pozostałe galery przez bagna.

\* \* \*

Następnego dnia rano stu pięćdziesięciu Jehar dosiadło koni, które energicznie drobiły nogami, ciesząc się z tego, że wreszcie znalazły się na twardej ziemi. Balur wziął kilku swoich i wspólnie wybili dziury w kadłubach transportowców, które osiadły na dnie rzeki.

Szkoda je niszczyć, ale nie chcę, by wpadły w ręce Vin Thalun, pomyślał Corban.

Stał na brzegu z Burzą i Tarczą. Przebierał nogami i chuchał w złączone

dłonie. W powietrzu czuć było chłód.

Lato się kończy. Musimy dotrzeć do Drassil przed zimą, przemknęło mu przez myśl.

Tarcza trącił go pyskiem i parsknął.

– Przykro mi, chłopie. – Młodzieniec pogłodził wierzchowca po nosie i poklepał po muskularnej szyi. – Będzie mi ciebie brakowało. Zachowuj się odpowiednio. Nie chcę, by Tukul na ciebie narzekał. I miłej przebieżki!

Tarcza zbiegł z pokładu transportowca niczym rozbrykany żrebak, pełen życia i energii, gotów w każdej chwili zerwać się do galopu. Corban pozazdrościł mu wyprawy przez Isiltir na ziemię Gramma.

Tukul uściskał Gara i cofnął się o krok, po czym ujął w obie dłonie twarz syna.

– Opiekuj się Jasną Gwiazdą podczas mojej nieobecności – rzekł.

– Wypełniałem ten obowiązek przez prawie osiemnaście lat – odparł Gar z oburzeniem. – Nie mam zamiaru przestać!

Tukul uśmiechnął się szeroko.

– Mój ukochany synu! – oznajmił i ucałował go w policzek.

Corban odwrócił się, uciekając przed wspomnieniami o własnym ojcu, i stanął twarzą w twarz z Coralen, która sprawdzała uprzęż swego konia.

– Uważaj na siebie – powiedział.

– Uhm – burknęła dziewczyna.

Przez moment spoglądali na siebie. Corban zauważył szmaragdowy poblask jej oczu, a na piegowatych policzkach lekki róż wywołany chłodem poranka. Przerwał im tupot stóp. Obok wyrosli nagle Farrell, Cywen i Dath.

– Mógłbym pojechać z wami – rzekł Farrell.

– A niby po co? – warknęła Coralen.

– A gdybym był ci do czegoś potrzebny?

Dziewczyna westchnęła, pokręciła głową i z wdziękiem dosiadła konia.

Coś podobnego!, pomyślał Corban. Powstrzymała się od zjadliwej odpowiedzi. Chyba mięknie.

– To dla ciebie – odezwała się Cywen i z uśmiechem podała zwiadowczyni nóż do rzucania w pięknej pochewce.

Coralen wyciągnęła ostrze i uśmiechnęła się, gdy blade słońce przejrzało się w stali.

– Będę ćwiczyć codziennie – obiecała.

– Nie zapomnij o tym – rzekła Cywen, a Corban dodał:

– Tylko upewnij się, że w pobliżu nie ma nikogo.

Coralen spojrzała na niego z pochmurną miną.

– Ruszamy! – zawołał Tukul. Pochylił się w siodle i uścisnął Corbanowi przedramię.

– Nie szcędźcie koni – rzekł chłopak. – Do zobaczenia niebawem.

– Tak – odparł Jehar. – Po tej stronie bądź po tamtej.

– Nie – sprzeciwił się Corban. – U Gramma. To pierwszy rozkaz, jaki ci daję. Masz przeżyć. Zarówno ty, jak i reszta.

– Zrobimy co w naszej mocy – rzekł Tukul z szerokim uśmiechem. – Wy również uważajcie na siebie. – Obrzucił spojrzeniem Gara. – Będziemy wygrzewać stopy w sali biesiadnej Gramma na długo przed waszym przybyciem – dodał, po czym zawrócił konia i pognał wzdłuż brzegu rzeki, prowadząc za sobą oddział.

Coralen pożegnała Corbana skinieniem i wysforowała na czoło kolumny Jehar, by wskazywać im najlepszą drogę przez mokradła.

– Będiesz za nią tęsknił? – spytał Dath.

Corban otworzył usta, by odpowiedzieć, kiedy nagle uświadomił sobie, że pytanie skierowane było do Farrella.

– Tak – odpowiedział kowal.

Corban wpatrywał się w odjeżdżający oddział, po czym w milczeniu wszedł po trapie na pokład.

## Rozdział czterdziesty siódmy

# FIDELE

Fidele wchodziła po drewnianych stopniach na zewnętrzny mur okalający Ripę. Jej buty z miękkiej skóry nie wydawały żadnego dźwięku. Kiedy dotarła na pomost, ciągnący się wzdłuż blanków, zatrzymała się. Uważała, by nie znaleźć się w kręgu światła rzucanego przez płomienie w żelaznym koszu. Nieopodal widziała niewyraźne sylwetki dwóch strażników, którzy spoglądali w dal. Żaden z nich jej nie zauważył.

Leżące u jej stóp miasto było pogrążone w cieniach. Migoczące tu i ówdzie pochodnie bądź ogniska wydobywały z ciemności rzędy budynków prowadzące w dół wzgórza, na którym wzniesiono wieżę Ripy. Od czasu do czasu wiatr przynosił strzępy pijackiej pieśni, śpiewanej przez Vin Thalun.

Fidele patrzyła na łąki, które otaczały Ripę szerokim, ciemnym kręgiem. Gdzieś za nimi ciągnął się las Sarva, a na północy wśród drzew wznosiła się Balara, zrujnowana twierdza olbrzymów ze starożytnych czasów.

To tam jest Maquin. Ale gdzie?, pomyślała Fidele.

Minęło już jedenaście nocy od chwili, gdy Maquin wraz z Albenem i szóstką innych wojowników udał się do Balary, by sprawdzić, czy Vin Thalun rzeczywiście się tam czymś potajemnie zajmowali.

Jedenaście nocy. A mieli wrócić po czterech. Może po pięciu.

W sercu Fidele zagościł lód, który odebrał jej dech.

Czyżby zginął?, zastanawiała się.

Wielu ludzi tak powtarzało lub przynajmniej tak myślało.

Nie. Przecież przeżył już tak wiele.

Wiedziała, że to głupie myślenie. Przecież trudno sobie było wyobrazić życie jako szale, na których sprawiedliwość równoważy się z niesprawiedliwością, a czyny słuszne ze zbrodniami.

Ale skoro zdołał wrócić z mostu mieczy...

Zacisnęła dłonie na drewnianej blance, aż jej kłykcie pobielają.

To był tylko sen, powiedziała sobie. Majaki wywołane chorobą, choć wówczas w nie uwierzyłam. Chciałam w nie wierzyć. Choć to, czy Maquin naprawdę wrócił, czy też wszystko mu się tylko przyśniło, jest właściwie pozbawione znaczenia. Nie zmienia to w niczym tego, co teraz czuję.

Usłyszała za sobą czyjeś kroki. Skrzypnęły deski, a Fidele odwróciła się, by ujrzeć zbliżającego się Peritusa. Staął przy niej i również spojrzał na puste uliczki Ripy.

– Niebezpiecznie tu jest – powiedział cicho.

Fidele odsunęła połą płaszcz i poklepała się po rękojęści noża. Już dawno wyrobiła w sobie nawyk noszenia broni przez cały czas przy sobie, do czego namówił ją Maquin.

Peritus burknął pod nosem. Bez wątpienia chciał przez to przekazać, że jego zdaniem nóż u boku w niczym jej nie pomoże, gdy będzie miała przeciwko sobie wojownika Vin Thalun.

Może i ma rację, pomyślała Fidele, ale ja i tak czuję się dzięki temu lepiej. No i nie boję się po niego sięgnąć.

– Przychodzisz tu co noc.

Nie odpowiedziała.

– Mieli wrócić już dawno temu.

– Co nic nie oznacza.

– Myślę, że coś jednak oznacza. Niekoniecznie coś złego – rzekł Peritus i spojrzał na nią. – Byłaś królową Tenebralu...

W jego niedokończonym zdaniu kryło się niepewne pytanie, które bał się wypowiedzieć na głos. Brzmiało ono: „I co ty właściwie robisz? Jak mogłaś się związać z byłym niewolnikiem?”.

Mogłam. Bo go kocham, odpowiedziała w myślach Fidele.

– Nie martw się – rzekła chłodno. – Znam swoje obowiązki.

Te obowiązki, które tak wiele mi odebrały, przemknęło jej przez myśl. Okradły mnie z dumy i godności, o mało nie doprowadziły do śmierci. Nie pozwolę na to, bym przez nie straciła jeszcze Maquina. Jeszcze trochę. Zrobię wszystko, co będę musiała zrobić dla Tenebralu i moich poddanych, a potem...

Powściągnęła swe myśli, gdy nagle przypomniała sobie, że Maquin w istocie może leżeć gdzieś martwy między drzewami.

Przez dłuższą chwilę żadne z nich nie powiedziało ani słowa. Cisza odgradzała ich od siebie niczym przepaść. Fidele wyczuła, że Peritus kręci

głową.

– Nie powinnaś być tu sama – rzekł w końcu.

Nie odpowiedziała. Cisza się pogłębiała.

– Marcellin wkrótce nadejdzie – rzucił wojownik.

– Odebraliście jakieś wieści od niego?

– Nie, ale nie może być daleko. Wkrótce wymierzimy tym kanaliom sprawiedliwość. – Peritus spojrzał na nią. – I pomścimy nasze krzywdy.

Fidele przypomniała sobie, że Peritus wiele przez nich wycierpiał. Widział śmierć Armatusa, swego najstarszego przyjaciela, który został ścięty przez Lykosa. Widział też Fidele w Jerolin, stojącą u boku Lykosa. Ubezważona przez władcę piratów, osobiście skazała Armatusa na śmierć. Peritus zdawał sobie sprawę z wszystkiego.

– Przykro mi – szepnęła.

Peritus uścisnął jej dłoń.

– Nie byłaś sobą – rzekł.

Wiatr przyniósł pieśń jakiegoś Vin Thalun.

– Dlaczego nie atakują? – spytała Fidele.

– Próbowali wziąć nas zarówno szturmem, jak i podstępem. – Wojownik wzruszył ramionami. – Próbują teraz wziąć nas głodem, co chyba jest łatwiejsze.

– A co z Marcellinem? Przecież chyba wiedzą o jego nadejściu.

– Tak. – Peritus zmarszczył brwi. W blasku księżyca bruzdy na jego twarzy przypominały głębokie szczeliny wypełnione cieniem. – Mnie też to martwi.

Niespodziewanie z ciemności na zewnątrz murów dobiegł głośny krzyk. Po nim rozległ się szczęk oręża i czyjś wrzask.

Schody zatrzeszczały pod ciężarem wojowników wbiegających na górę. Peritus wyciągnął miecz. W mroku zamajaczył Krelis, za którym podążało kilkunastu zbrojnych.

– Co tu się dzieje? – zapytał. – Jakiś szturm?

W jego głosie zabrzmiała nadzieja.

– Nie wydaje mi się – wymamrotał Peritus, próbując przeniknąć cienie. – Trudno powiedzieć. Za ciemno tam.

– To akurat nie problem – oznajmił Krelis. Wyrwał pochodnię z rąk wojownika za sobą i cisnął nią nad murem. Pochodnia zawirowała w powietrzu, ciągnąc za sobą ogon iskier niczym kometa, po czym rąbnęła o ziemię. Buchnęła iskrami raz jeszcze, ale nie zgasła. Ciemności umknęły,

odslaniając drogę i najbliższe budynki. Na skraju kręgu światła pojawiły się jakieś postacie. Sylwetka na czele miała siwe włosy.

– To Alben – zagrzemiał Krelis. – Liny! – huknął.

Ludzie rozbiegli się po murach. Fidele przepchnęła się między nimi, by się lepiej przyjrzeć.

Alben zatrzymał się. Prowadził jakiegoś człowieka, wysokiego i niezgrabnego, o dziwnie nieproporcjonalnych kończynach. Pociągnął go za sobą, po czym popchnął, a sam odwrócił się ku ciemnościom. Ów człowiek zatoczył się, potknął i uderzył w mur z takim impetem, że Fidele poczuła wibracje. Potem z ciemności wychynęło kilku ludzi Albena, którzy biegli ku umocnieniom i krzyczeli coś do gapiów.

Krelis rozwinął linę i zawiązał ją mocno. Po chwili zatrzeszczała pod czymś ciężarem.

Ulicą nadbiegali kolejni ludzie. Fidele z rozpaczą szukała wzrokiem Maquina. Jeden z przybyszów potknął się i padł na kolana, ale drugi go złapał, podciągnął, pomógł wstać. Za nimi pojawił się trzeci. Czyjs cień na moment przesłonił blask pochodni i Fidele zamrugęła.

Co to było?

Cień znikł.

Na krawędzi muru zacisnęły się pierwsze dłonie. Krelis złapał wojownika za ramię i wciągnął go na górę. Mężczyzna ociekał potem i nie mógł złapać tchu. Miał podarte ubranie, a z dziesiątków skaleczeń ciekła krew, ale nie pozwolił sobie choćby na moment wytchnienia. Wychylił się za mur i krzyknął coś do człowieka pnącego się za nim.

Fidele ujrzała głowę zwieńczoną kruczoczarnymi włosami. Błada twarz przybysza była płaska i kanciasta, a jego oczy małe i czarne. Z brody zwisały kosmyki nieśmiało rosnącego, rzadkiego zarostu.

To olbrzym!, przemknęło Fidele przez myśl.

Usłyszała wokół siebie przekleństwa i zgrzyt mieczy wysuwanych z pochew. Kilka włóczyń pochyliło się ku przybyszowi.

– Nie! – powstrzymał ich wojownik Albena i zasłonił olbrzyma własnym ciałem, rozrzucając ramiona. – To nasz więzień. Alben przykazał, by nie wyrządzono im żadnej krzywdy.

Następnie pomógł olbrzymowi przedostać się w bezpieczne miejsce. Zaskoczeni wojownicy przyglądali się temu w ciszy.

Poznaję tego młodzika, uświadomiła sobie Fidele i przypomniała sobie

jeńców Lykosa, trzymany na brzegu rzeki.

– Gdzie jest jego matka? – odezwała się.

– Na dole – odparł wojownik.

Fidele spojrzała na ulicę i wtedy dostrzegła Maquina. Stał zwrócony do niej plecami, ale rozpoznała jego sylwetkę i sposób poruszania się. Wraz z Albenem powstrzymywał napór przeciwników, których nadal skrywały cienie. Zderzające się miecze sypały iskrami, a Maquin i Alben cofali się, choć zewsząd wyskakiwali następni Vin Thalun. Trzech, czterech, pięciu, a w ciemnościach już rozlegało się nawoływanie kolejnych. Serce Fidele zamarło.

Ludzie Albena docierali już na górę. Jeden przeskoczył na pomost tuż obok, inny nieco dalej.

– Włócznie! – zawołał Peritus.

Maquin i Alben stali na ugiętych lekko nogach przed płonącą na ziemi pochodnią, z bronią w obu dłoniach. Na ziemi leżały ciała, a kolejni Vin Thalun, w liczbie co najmniej pół tuzina, zbliżali się do nich zewsząd.

A wtedy Maquin zrobił rzecz zgoła nie do pomyślenia – rzucił się do szarży.

Fidele uświadomiła sobie, że wrzeszczy jego imię. Patrzyła, jak wdziera się między wrogich wojowników, którzy odruchowo od niego odskoczyli. Zawirował wśród nich, machnął mieczem raz i drugi, rozsyłając naokoło strugi czarnej krwi. Alben stał przez moment jak oniemiały, po czym i on rzucił się na wroga.

Przez kilka uderzeń serca Fidele była przekonana, że im się uda.

Vin Thalun padali bądź odskakiwali, zataczając się, a Maquin i Alben szaleli, nie zatrzymując się ani na moment, niczym siejące śmierć upiory, ale niespodziewanie pojawili się kolejni piraci. Z uliczek dobiegał tupot wielu stóp, lecz znacznie więcej Vin Thalun nadbiegało od ognisk płonących przy głównej bramie.

Naraz Maquin oberwał w ramię i o mało nie stracił równowagi. Trafiony w plecy Alben padł na jedno kolano, a kolejny cios posłał go na ziemię. Stary Wilk stanął nad powalonym towarzyszem, zbrojny w miecz i nóż, oba zbroczone krwią, i przez kilka chwil powstrzymywał przeciwników.

Fidele przyglądała się walce, kurczowo zaciskając dłoń na rękojeści noża, i modliła się do Elyona. Peritus zważył w dłoni włócznie, wycelował i cisnął. Trafił w pierś któregoś z Vin Thalun, który padł na plecy, ale niewiele to dało, bo na miejsce poległego wskoczyli kolejni.



Naraz z mroku wyłoniła się nowa postać, ogromna i złowieszcza.

To ta olbrzymka, uświadomiła sobie Fidele.

Olbrzymka zakręciła nad głową czymś długim i wijącym się. Był to łańcuch, którym rąbnęła w postaci otaczające Maquina i Albena, rozrzucając je jak słomiane tarcze na dziedzińcu treningowym. Następnie zarzuciła sobie Albena na ramię i ruszyła biegiem w kierunku muru. Maquin wycofywał się za nią.

Vin Thalun podążyli za nimi hurmą, ale gdy znaleźli się w pobliżu murów, spadł na nich grad włóczni, ciśniętych przez obrońców. Ci, którzy nie zginęli od ostrzy, wycofali się w cienie. Maquin krzyknął coś z dołu i Krelis wraz z tuzinem mężczyzn szarpnęli za linę. Młody olbrzym wsparł ich wysiłki. Lina zaskrzypiała, zatrzeszczała, ale zaczęła się przesuwac.

Najpierw ujrzeli Albena, wciąż przewieszzonego przez ramię olbrzymki. Sięgnęły po niego liczne ręce, które szybko przeciągnęły go na pomost. W ślad za nim przedostała się sama olbrzymka, a na końcu Maquin. Fidele przepchnęła się przez kłębiący się tłum do swojego wojownika, który stał nad Albenem i wołał o pomoc. Słyszac jej głos, spojrzal na nią, po czym zacisnął dłoń na jej ręce.

– Powiedziałem ci, że... że wrócę – powiedział, oddychając chrapliwie.

Na ulicach pojawialo się coraz więcej Vin Thalun, ale utrzymywali bezpieczny dystans od murów. Niespodziewanie znalazła się wśród nich twarz, której Fidele nie miała już nigdy zapomniec.

Lykos.

Stal nieruchomo niczym glaz i spogladal na umocnienia. Wbil wzrok w olbrzymkę, a na jego twarzy widniala furia przemieszana ze strachem. A potem ujrzal Fidele.

Miala wrazenie, ze jej krew zamienila się w lod. Nagle sparalizowalo ja przerazenie, przez ktore zapomniala o swej wolnosci, o ucieczce, o wszystkim, przez co przeszla podczas drogi do Ripy, i o wszystkim, co zdolala pokonac. W to miejsce zalaly ja setki wspomnien związanych z Lykosem. Naraz przypomniała sobie jego głos, oczy, oddech, dotyk, co po chwili obudzilo w niej goracą wscieklosc. Stala przez moment nieruchomo i mierzyła się z Lykosem spojrzeniem, po czym cofnela się w cienie i znikla.

\* \* \*

Szła korytarzami wieży z Maquinem u boku.

Mężczyzna opowiedział jej już o Balarze, w której natknęli się na Vin Thalun i olbrzymy, a także o akcji odbicia więźniów oraz ich ucieczce przez Sarwę.

– Nie mam pojęcia, w jaki sposób znaleźli nas tak szybko. Być może ktoś zdołał uciec z Balary, może ktoś tam przyjechał niedługo po naszym odejściu. Tak czy owak już o zachodzie słońca kolejnego dnia wiedzieliśmy, że jesteśmy śledzeni. Alben zaprowadził nas dalej w głąb lasu, gdzie próbowaliśmy ich zgubić.

– Jak wam się to udało z dwójką olbrzymów w niewoli?

– Współpracowali z nami – powiedział Maquin. Coś w jego głosie uległo zmianie.

– Widziałam to na własne oczy. Owa olbrzymka pomogła ci ocalić Albena. Walczyła obok ciebie i zaniosiła go na własnych plecach.

– Tak.

– To dziwne. – Fidele spojrzała na niego.

– Tak, dziwne. – Maquin wzruszył ramionami. – Alben rozmawiał z nimi w ich własnym języku. Nie chciał mi później powiedzieć, co im rzekł, ale najwyraźniej okazał się bardzo przekonujący.

– W rzeczy samej. To on zna język olbrzymów? Wygląda na to, że skrywa przed nami niejedną tajemnicę.

– Jego talenty bynajmniej nie kończą się na ziołach i okładach.

– Wszystko na to wskazuje. Myślę, że złożę tym olbrzymom wizytę – oznajmiła Fidele.

– Pójdę z tobą.

– Powinieneś odpoczywać – rzekła.

– Jeśli myślisz, że pozwolę ci wejść samej do komnaty z dwoma olbrzymami, jesteś w wielkim błędzie.

– Mam własną straż – powiedziała. – Kiedy o nią poproszę – dodała.

Maquin zignorował ją i przytroczył wszystkie swoje noże.

Przed drzwiami komnaty Albena, znajdującej się jedynie poziom czy dwa nad biblioteką Ektora, stało dwóch strażników. Nie próbowali powstrzymać Fidele, gdy ta oznajmiła, że ma ochotę wejść do olbrzymów. Jeden z nich odciągnął potężną zasuwę i uchylił drzwi, a obaj ukłonili się z szacunkiem Maquinowi.

Wojownicy z Ripy cenią go coraz bardziej, pomyślała Fidele.

Komnata była spora, a wzdłuż jednej ze ścian ciągnął się rząd wykutych w skale i zasłoniętych okiennicami okien. Do środka wpadał słonawy wiatr, który poruszał promykami świec. Na zewnątrz głośno i żałośnie pokrzykiwały mewy.

Alben siedział na krześle przy szerokim stole. Po drugiej stronie zasiadała olbrzymka, a jej syn leżał na łóżku wyściełanym siennikami. Cała trójka spojrzała na Fidele i Maquina, którzy weszli do środka.

– Jestem Fidele – zwróciła się kobieta do olbrzymów, ignorując Albena. – Ongiś byłam królową Tenebrału i nosiłam koronę, ale teraz jestem tylko regentką, pełniącą władzę pod nieobecność mego syna Nathaira.

Olbrzymka przyglądała jej się obojętnie małymi, ciemnymi oczami. Miała bladą twarz z ostrym nosem i wysokimi, kanciastymi kośćmi policzkowymi. Jej muskulatura przechodziła wszelkie pojęcie, a skórzane odzienie uzupełniało kilka skór zwierzęcych. Nadgarstek olbrzymki był czerwony i poznaczony skaleczeniami. Fidele przypomniała sobie wielki łańcuch, którym wymachiwała w ciemnościach.

Na szczęście już go nie ma, pomyślała.

Wokół prawego nadgarstka olbrzymki wiły się wytatuowane kolczaste pnącza, które oplatały jej przedramię i wnikały pod rękaw.

– Znasz naszą mowę? – spytała Fidele.

– Trochę. Tyle, by się dogadać. – Głos olbrzymki przypominał dźwięk żwiru trącego o granit.

– Czy to twój syn? – zapytała Fidele, zerkając na młodego olbrzyma, który nadal leżał na łóżku, ale oparł się na łokciu i wpatrywał się w przybyszów z zainteresowaniem.

– Tak.

– Jak was zwą?

Olbrzymka zerknęła na syna, a potem przeniosła wzrok z powrotem na Fidele.

– Ja jestem Raina. Mój syn zwie się Tain.

– Z jakiego klanu pochodzicie?

– Jesteśmy Kurgan – odpowiedziała Raina, a przez jej twarz przemknęły jakieś emocje.

Co to było? Tęsknota?, zastanawiała się Fidele.

Trudno było mieć pewność. Syn olbrzymki targnął się za rzadki wąs. Fidele nie spodziewała się ujrzeć tak dorosłego gestu u tak młodego osobnika. Miała

wrażenie, że przygląda się dziecku próbującemu naśladować dziadka.

– Dlaczego Lykos trzymał was w niewoli?

Na samą wzmiankę o przywódcy Vin Thalun Raina warknęła i napięła mięśnie. Przez moment wydawała się z trudem panować nad wściekłością i przypominała bardziej zwierzę niż rozumną istotę. Nie odpowiedziała, a zamiast tego wbiła wzrok w Fidele.

Kobieta westchnęła. Rozpoznawała ów ból. Dobrze znała tę wściekłość.

– Jak długo trzymał was w niewoli?

Ogień w oczach Rainy przygasł. Pokręciła głową.

– Nie wiem. Długo. Próbowałam liczyć miesiące, ale zaczęły mi się zlewać i straciłam rachubę.

– Osiem lat – odezwał się inny głos. Był to Tain, który mówił bez emocji, zgrzytliwym tonem.

– Alben powiedział mi, że jesteście naszymi więźniami, ale nie widzę żadnych łańcuchów czy kajdan. A zeszłej nocy nie miałaś oporów, by uciec do naszej fortecy. Co więcej, walczyłaś obok naszych wojowników.

– Za co jestem ci wdzięczny – powiedział Maquin i skinął Rainie głową. Opierał się o ścianę w miejscu, z którego dobrze widział zarówno matkę, jak i chłopaka.

– Nie ma sprawy, człowieczku – odparła Raina. Jej usta lekko drgnęły. – Wojowników, którzy walczą równie dzielnie jak ty, nie powinno się porzucać, by ginęli w pyle ulicy.

– Ja również pragnę ci za to podziękować – rzekła Fidele. – Ale mimo to chcę usłyszeć odpowiedź na moje pytanie. Jak to możliwe, że nie nosicie kajdan? Dlaczego nie wykorzystaliście sytuacji i nie uciekliście? Dlaczego stanęliście po naszej stronie w walce?

– Wasz uzdrowiciel jest bardzo przekonujący – rzekła Raina.

Fidele zwróciła surowe spojrzenie na Albena.

– A ty skąd znasz ich mowę?

– Chcąc być dobrym uzdrowicielem, musiałem znaleźć jakiś sposób na poszerzenie swojej wiedzy. Stare zwoje zaś kryją wielką wiedzę, o wiele większą niż tylko przepisy na okłady czy wywary ziołowe – odparł Alben.

– Cóż więc takiego im powiedziałaś, co przekonało ich, by zostali tak posłusznymi więźniami?

Alben spojrzał na Rainę, a potem na Taina.

– Powiedziałem jej, że jeśli będzie stawiać opór, zabiję jej syna.

Fidele zamrugnęła, a potem wbiła w zbrojmistrza długie, twarde spojrzenie. Ten odpowiedział pustym, pozbawionym emocji wzrokiem.

Nie wierzę ci, pomyślała Fidele.

Nie sądziła, by Alben kiedykolwiek mógł się uciec do grózb. Co więcej, odnosiła wrażenie, że między nim a olbrzymką istniała jakaś nic porozumienia. Nie była to zażyłość, ale wydawało jej się, że dobrze się czują w swym towarzystwie.

Drzwi niespodziewanie stanęły otworem, a do środka wpadł Krelis, a po nim Ektor. Raina i Tain zerwali się na równe nogi. Olbrzymka zasłoniła dziecko.

Krelis spojrział na każdego z obecnych i zamarł z otwartymi szeroko ustami.

– Szukaliśmy cię. – Ektor zwrócił się do Fidele. – Nadszedł Marcellin.

## Rozdział czterdziesty ósmy

# ULFILAS

Wnętrze sali biesiadnej w Dun Kellen rozbrzmiewało stukotem drewnianych mieczy. Ulfilas siedział przy długim stole obok króla Jaela, który pochylał się na swym tronie, wspierając podbródek na pięści. Obaj przyglądali się dwóm mężczyznom pochłoniętym zacieklą walką na drewniane miecze. Byli dobrzy w swoim fachu – silni, zaprawieni w bojach i podobnie wyszkoleni.

– Lepsi od ciebie? – spytał Jael.

– Może. – Ulfilas wzruszył ramionami. – Nieźli są, co do tego nie ma wątpliwości, ale trzeba pamiętać, że walka treningowa nie jest tym samym co prawdziwe starcie.

Podczas treningu musisz wygrać, a oprócz tego również zrobić dobre wrażenie, pomyślał. Nie ma mowy o odgryzieniu przeciwnikowi nosa czy zaciśnięciu mu dłoni na jajach. W prawdziwej walce zaś liczy się tylko wygrana.

Tę prawdę przekazał mu Maquin, przyboczny Kastella, kuzyna Jaela. Ulfilas polubił ich obu, Maquina nieco bardziej niż Kastella. Byli dobrymi kompanami, z którymi chętnie opróżniłby niejeden dzban wina, ale nie przeszkodziło mu to odsunąć się i stać bezczynnie, gdy Jael przebijał Kastellowi trzewia. Nie czuł też później żadnych wyrzutów sumienia.

Każdy z nas jest kowalem własnego losu i każdy z nas jest świadom tego, że jego życie zapewne zakończy wrogi miecz, myślał. Wśród wojowników nie ma tylu siwowłosych co wśród kowali, garbarzy czy rybaków.

– Prawda, prawda – rzekł Jael. – Może trzeba odebrać im te drewniane zabawki i wręczyć prawdziwe miecze?

– Co skończyłoby się czyjąś śmiercią, mój panie. W tych czasach dobry przyboczny jest o wiele cenniejszy od martwego.

– Hm. – Jael zgodził się niechętnie. – Ale potrzebny mi pierwszy miecz. Nie

chciałbyś podjąć wyzwania?

Ulfilas znów wzruszył ramionami.

– Jeśli tego chcesz, panie. Mnie wystarczy to, że jestem twym przybocznym oraz dowódcą gwardii honorowej.

– Gdybyś wygrał ten niewielki turniej, nie uległoby to zmianie – rzekł Jael.

– Miałbyś może tylko nieco więcej pracy. – Uśmiechnął się szeroko. – Potrzebuję u swego boku najlepszego miecza w Isiltirze. Mam wrogów, którzy próbują mnie obalić.

– Większość twoich wrogów już nie żyje, mój panie – rzekł Ulfilas i wyjrzał przez otwarte drzwi sali biesiadnej. Na zewnątrz nadal trwał upał późnego lata. Mężczyzna ze swojego miejsca widział zatknięte nad dziedzińcem żelazne szpikulce. Nabite na nich głowy znajdowały się na różnym etapie rozkładu.

– Chciałbym, aby tak było – odparł Jael. – Moi wrogowie czają się wśród cieni i wyczekują odpowiedniego momentu. – Uszczypnął się w grzbiet nosa i zacisnął powieki. – Śnię o nich – dodał cicho i potrząsnął głową. – Wrogowie są niczym szczury. Jeśli pozostawisz ich sobie samym zbyt długo, zaczną się rozmnażać. Nie wystarczy ich rozgromić. Trzeba ich wygubić do ostatniego człowieka, do ostatniego dziecka.

Z tego, co zauważyłem, podążasz za tą zasadą bez wyjątków, pomyślał Ulfilas.

– Z tego właśnie względu potrzebuję najlepszego miecza w Isiltirze u mego boku. Nie chcę, by został wynajęty przez moich wrogów i przyszedł po moją głowę. Jeśli jesteś najlepszym szermierzem w królestwie, chcę o tym wiedzieć.

– A więc wezmę udział w turnieju, mój panie.

Jael skinął głową, wpatrzony w pojedynkujących się przed nim ludzi. Jeden z nich cofał się już przed nawałą ciosów, gdy nagle się potknął. Przeciwnik, czując rychłe zwycięstwo, przypadł do niego szybko.

Zbyt szybko, przemknęło Ulfilasowi przez myśl.

Wojownik, który się potknął i padł na jedno kolano, wyprostował niespodziewanie rękę i pchnął drewnianym mieczem pod ramię przeciwnika, wzniesione do ciosu. Pozwolił, by ten wręcz wbiegł mu na broń.

Nawet najlepiej wyszkolonych wojowników można pokonać fortem użytym w odpowiednim momencie, pomyślał Ulfilas.

– Ha! – zawołał Jael i zaklaskał. – Świetna robota!

Na kamiennych płytach przed otwartymi wrotami sali biesiadnej

załomotały końskie kopyta, a chwilę później przed obliczem Ulfilasa i Jaela stanął posłaniec króla Nathaira. Wydawał się znużony, a ubranie miał ubłocone. Tenebralski orzeł na skórzanym napierśniku był spłowiały i pokryty kurzem. Mężczyzna wręczył Jaelowi zwój i stał w milczeniu, gdy ten złamał pieczęć, rozwinął list i odczytał.

– Będziemy musieli zakończyć turniej w Mikil – oznajmił, zapoznawszy się z wiadomością. – Przekaż swemu panu, że będę zaszczycony, mogąc się z nim spotkać. Będę czekał na niego równo za księżyc.

Posłaniec skinął głową.

– Powiedz mi, kto jeszcze poza mną otrzymał takie zaproszenie?

– Gundul z Carnutanu i Lothar z Helvethu, mój panie.

– Doskonale. Rozgość się, zjedz coś, napij się i odpocznij.

– Mam rozkaz natychmiast wracać do króla Nathaira z twoją odpowiedzią, panie, ale z chęcią coś zjem. Przyda mi się też świeży koń.

– Oczywiście – rzekł Jael. Machnął dłonią i odprowadził wzrokiem odchodzącego posłańca.

– W Mikil? – spytał Ulfilas.

– Wygląda na to, że Najwyższy Król zwołuje wszystkich swoich sojuszników na naradę wojenną. Prosi, byśmy spotkali się z nim w Mikil.

– Najwyższy Król – burknął Ulfilas. – Na Ziemiach Wygnanych nie było Najwyższego Króla od czasów, kiedy na ich brzegach wylądował Sokar z flotą Wygnańców.

– Muszę się z nim spotkać i tyle – warknął Jael.

Co daje Nathairowi taką władzę nad nim?, pomyślał Ulfilas, marszcząc brwi.

– Najwyższy Król to w istocie bardziej tradycja niż rzeczywisty urząd – powiedział Jael już spokojniej. – Ale Nathair to sojusznik. Wątpię, czy bez niego zdołałbym opanować Isiltir. Ba, nie wiem, czy udałoby mi się przeżyć. Tobie zresztą też. Mało brakowało, byśmy to my dali głowy podczas owej walki na moście, a nie Gerda i jej poplecznicy.

Ulfilas pamiętał tamtą bitwę. O mało ich nie złamano i w myślach godził się już na śmierć, gdy na rzece pojawiły się czarne okręty.

– Tak, ale mimo to nie potrzebujemy go już. Lepiej, żeby nie wtykał swego nosa w sprawy Isiltiru.

– Ha, prawdziwy z ciebie patriota, Ulfilasie – zaśmiał się Jael. – Ale ja mam już dość wrogów i nie będę sobie robił kolejnych. Nie. Udamy się do



Mikil i przekonamy się, co Najwyższy Król ma nam do powiedzenia.

Czyjaś dłoń dotknęła ramienia Ulfilasa. Ten odruchowo poderwał się i złapał za miecz.

Był to Dag, łowczy Jaela, stający się z wolna jego najlepszym szpiegiem. Najwyraźniej dobrze opanował też sztukę podkradania się.

– Nie rób tego więcej – mruknął Ulfilas.

– Chodźcie ze mną – powiedział do nich Dag. – Pilna sprawa.

– Co się dzieje? – spytał Ulfilas.

– Przybył jeszcze jeden posłaniec.

– Obrodziło coś nimi – zauważył Jael. – Kto to?

– Olbrzym. Jeden z Jotun. Ma dla ciebie wieści.

Jael wstał bez słowa i ruszył w ślad za Dagiem na tyły sali. Ulfilas podążył za nim, zbierając po drodze kilkunastu zbrojnych. Wiedział, że ciągłe uwagi na temat wrogów, które tak często słyszał od Jaela, brały się nie tylko z jego paranoi.

Schodzili w dół szerokimi, skręcającymi spiralnie schodami do pogrążonego w półmroku świata migotliwych pochodni, wilgotnych ścian i kapiących sufitów. Dag prowadził ich podziemiami Dun Kellen. Ulfilas zerknął w jeden z bocznych korytarzy i przypomniał sobie, że wiódł do celi, w której pod strażą trzymano wnuki Gramma.

Łowczy doprowadził ich do grubych, wzmocnionych żelazem drzwi, za którymi zaczynał się tunel służący do ucieczki. Tędy zbiegł Haelan, osłaniany przez Maquina i Orgulla. Ulfilas dobrze sobie zapamiętał obu zbryzganych krwią wojowników strzegących wylotu za stosem trupów. Na zimnych kamieniach wciąż widniały ciemne plamy po krwi.

Dag wyciągnął wielki klucz i wsunął go do zamka, a potem przekręcił z głuchym zgrzytem. Jael i pozostali weszli za nim do środka, odpalając pochodnie od ognia płonącego w żelaznym koszu. Szli przez dłuższą chwilę, otoczeni duszącą ciszą. Jedynym dźwiękiem było szuranie ich stóp oraz ich chrapliwe oddechy.

– Skąd masz te blizny? – Ulfilas zwrócił się do Daga. Nie był tym szczególnie zainteresowany, ale zrobiłby wszystko, by przerwać milczenie.

– Pamiątka po żonie – burknął Dag. – Dla niej skończyło się to znacznie gorzej.

Ulfilas nie mógł sobie wyobrazić niczego gorszego od okaleczonego oblicza Daga.

– Nie chciałbym jej więc ujrzeć po ciemku – powiedział.

– Raczej ci to nie grozi – rzekł łowczy. – Bo ją zabiłem.

Ulfilas powstrzymał się od dalszych pytań. Gdy dotarli do kamiennych schodów, w ustach czuł suchość, a w żołądku burczało mu głośno. Na końcu znajdowała się stara, kamienna komnata ze ścianami nadgryzionymi zębem czasu. Można było odnieść wrażenie, że kamienie trzyma w miejscu jedynie gęsta tkanina pajęczyn. Trwała już noc.

Dag wyprowadził ich przez zwieńczone łukiem przejście. Znaleźli się w lesie, szumiącym i kołysanym wiatrem. Wszędzie wokół nich tańczyły cienie, ale jeden z nich ruszył ku nim, ogromny i nieprzenikniony, przypominający drzewo, które nagle ożyło. Warknął głucho i Ulfilas odruchowo sięgnął po miecz. Stał przed królem, a reszta wojowników utworzyła wokół niego kordon.

– Spokojnie – rzekł Jael i oparł dłoń na ramieniu Ulfilasa, a ten uświadomił sobie, na co patrzą.

Był to ogromny niedźwiedź z siodłem o wysokim oparciu, w którym zasiadał olbrzym.

– Miło cię ujrzeć, Ildaerze – rzekł Jael.

Olbrzym przerzucił nogę nad siodłem i zsunął się na ziemię. Jego jasny warkocz i gruby wąs w blasku gwiazd wydawały się lśnić srebrem. W dłoni trzymał długą włócznię, a przy jego siodle wisiał topór o dwóch ostrzach. Z mroku wyłoniły się postacie dwóch innych niedźwiedzich jeźdźców. Jedną z nich była kobieta, której pozbawione zarostu oblicze wydawało się osobliwie delikatne w kontraście z muskularną szyją i potężnymi ramionami. Olbrzymy były dla Ulfilasa odrażające, ale próbował zachować obojętną twarz.

– Znaleźliśmy to zbiegłe dziecko – zazgrzytał Ildaer i spojrzał pochmurnie na Jaela.

– Gdzie?

– A ile jest dla ciebie warta ta wiadomość?

– Wszystko, co ci obiecałem. Każdy artefakt klanu Jotun w Isiltirze.

– To nie wystarczy.

Jael zeszywniał. Ulfilas nie sądził, by ktokolwiek poza nim to zauważył, ale znał Jaela od wielu, wielu lat, więc od razu wychwycił zmianę w jego głosie i postawie.

– Czego jeszcze chcecie?

– Ziemi. Na południe od rzeki.

Jael spojrzał na Ildaera, wyższego od każdego z zebranych.

– Ile tej ziemi pragniesz?

– Tyle, by wystarczyło dla trzech setek naszych pobratymców oraz naszych niedźwiedzi.

– Całkiem sporo.

– Masz jej aż nadto.

– Zgoda – rzekł Jael. – Ale to ja wybiorę tę ziemię.

– Lecz musimy obaj się zgodzić – nalegał olbrzym.

Jael omiótł spojrzeniem troje olbrzymów, po czym powoli pokiwał głową.

– To gdzie jest Haelan? – zapytał.

Ildaer spojrzał przez ramię na towarzyszkę.

– Ilska oraz jej niedźwiedź wykryły go w osadzie Gramma.

Jael przez chwilę milczał.

U Gramma!, pomyślał Ulfilas. A my mamy jego wnuki. Dlaczego on nie wydał tego dzieciaka? Och, pożałuje swej decyzji.

– Jesteś tego pewien? – spytał Jael, po czym zacisnął mocno usta.

O, ale jest wściekły, zauważył Ulfilas. Jeśli to prawda, Gramm wystrychnął go na dudka. Stary nie umrze łatwą śmiercią.

Olbrzymka szepnęła coś i jej niedźwiedź podszedł bliżej. Ulfilas oparł się chęci cofnięcia o tyle samo kroków.

– Widziałam go – powiedziała. – Creach go wywęszył.

– Creach?

Poklepała swego niedźwiedzia po karku, a ten uniósł łeb i zawarczał głucho.

– Creach – powtórzyła.

Jael pokręcił głową.

– Stary głupiec – wymamrotał. – Jego czas dobiegł końca. Pomóżcie mi odebrać mu chłopaka, a jego ziemie są wasze, jeśli chcecie.

Ildaer wydał z siebie dziwny dźwięk przypominający zgrzyt zderzających się ze sobą kamieni, a jego ramiona zadrżały. Ulfilas uświadomił sobie, że to śmiech.

– Zgoda, mały królu.

Burknął coś w ich własnej mowie do pozostałych olbrzymów, a te mu zawtórowały. Był to niepokojący widok.

– Zaczekajcie tu na mnie jeden dzień. Poczynię przygotowania.

Ildaer burknął w odpowiedzi, a Jael odwrócił się i ruszył przed siebie.

Ulfilas obrzucił jeszcze jednym spojrzeniem olbrzymy i podążył za królem. W milczeniu powrócili do ruin pośród drzew, a gdy znów znaleźli się wśród rozsypujących się ścian, przyboczny zadał pytanie, które dręczyło go od chwili rozstania z Ildaerem i jego świtą:

– Po co im one?

– O co pytasz? – odparł Jael.

– Mam na myśli ziemie.

– Pewnie zależy im na żyznych polach. Chcą siał i zbierać plony. Widziałeś przecież Pustkowie. Wydaje się dość... spustoszone.

Ludzie parsknęli śmiechem.

– Po prawdzie, Ulfilasie, to bez znaczenia. Ja dostanę Haelana, a oni coś, z czym będę mógł się bez żalu rozstać. Co więcej, Jotun zgromadzą się teraz w miejscu, w którym będę mógł ich mieć na oku. Jak to mówią, przyjaciół trzymaj blisko siebie...

A wrogów jeszcze bliżej, dokończył w myślach Ulfilas.

Dag zamarł przy klapie zamykającej wejście do tunelu. Zmarszczył brwi.

– Co się dzieje? – zapytał niecierpliwie Jael.

Łowczy uklęknął i przyjrzał się ziemi dookoła klapy.

– Ktoś tu był.

Dobyli mieczy i ostrożnie weszli w korytarz. Pochodnia nadal płonęła. Dag wyjął ją z uchwytu i raz jeszcze przyjrzał się ziemi.

– Przechodzili tędy jacyś ludzie. Zobaczcie, ich ślady pokrywają nasze.

– Ilu ich było? – spytał Jael.

– Trudno powiedzieć. Niewielu. Może tylko jeden, a na pewno nie więcej niż trzech.

Popędzili korytarzem z brzękiem sprzączek i chrzęstem kolczug. Wszelkie myśli Ulfilasa wyparł głośny, coraz bardziej chrapliwy oddech. W końcu zdyszani, wciąż prowadzeni przez Daga, dotarli pod wejście do Dun Kellen i zwolnili. Wkrótce natrafili na krwawe ślady, wnikające w boczny korytarz.

Ulfilasowi nagle zrobiło się niedobrze. Wiedział bowiem, co zaraz zobaczą.

Kilka kroków dalej ujrzeli trupy dwóch strażników pilnujących celi z wnukami Gramma. Obdarto ich z napierśników ze znakiem Jaela oraz czerwonych płaszczów, a drzwi do celi stały otworem. Twarz Jaela pobieliała, najpierw ze strachu, a potem z narastającą wściekłości.

– Dag, bierz dwudziestu ludzi i znajdź ich – oznajmił, z trudem tłumiąc furię. – Ulfilasie, zbierz dwie setki wojów i jedź do Gramma. Zabierz ze sobą

Ildaera.

– A ty, mój panie?

– Nie mogę wam towarzyszyć. Za niecały księżyc muszę stawić się w Mikil, a do osady Gramma jedzie się tygodniami. Będziesz musiał wykonać zadanie za mnie.

Ulfilas odwrócił się, ale Jael wyciągnął rękę i złapał go za ramię.

– Zdajesz sobie sprawę z wagi tego, co robisz?

– Tak – odparł przyboczny.

– Moja korona zależy od tego, czy uda się znaleźć to dziecko.

– Odnajdę je, mój panie. Co mam z nim zrobić? Zakuć w kajdany i rzucić do twych stóp?

– Interesuje mnie tylko jego głowa i to ją masz mi przywieźć, bym zatknął ją obok głowy jego matki. Resztą niech się zajmą kruki.

## Rozdział czterdziesty dziewiąty

# CAMLIN

Camlin uśmiechał się, gdy patrzył, jak Edana i Halion padają sobie w ramiona. Uścisnęli się serdecznie, jakby byli rodziną, a młoda królowa śmiała się, potem wybuchnęła płaczem, i znów się śmiała, a Halion uśmiechał się niczym pijany. Camlin nie przeszkadzał im.

I tak muszę z kimś porozmawiać, pomyślał.

Ruszył przed siebie wokół obozowiska, choć miejsce właściwie nie zasługiwało na to miano. Zdaniem Camlina otaczał go chaos i nieład.

Wystarczy, że Braith przyprowdzi tu choć kilka dziesiątek zbrojnych, a będziemy mieli się z pyszna.

Pendathran rozstawił warty dookoła obozu, a także głębiej na bagnach, ale obozowisko powoli stawało się niemożliwe do obrony. Szałasy, których ściany splatano z gałęzi wierzb i olch, a utwardzano błotem, wznosiły się bowiem wszędzie – wzdłuż brzegów jeziora, pośród zagajników, przy wodach strumieni. Braith mógłby się wślizgnąć z każdej strony. Camlin przyglądał się temu z narastającym niepokojem.

Doszłoby do rzezi, pomyślał.

Braith. Akcja w wieży Morcanta zakończyła się dla Camlina ogromnym wstrząsem.

Nie sądziłem, że go jeszcze ujrzę wśród żywych, myślał. Gdy widziałem go po raz ostatni, oberwał właśnie zatrutym ostrzem i wpadł w morskie fale. Jak on to przeżył?

Poczuł, jak strach wgryza się w jego serce. Braith był nieprzejednanym wrogiem, znakomitym tropicielem, a do tego człowiekiem słynącym z tego, że mści każdą urazę.

Kiedy pomyślę o tym wszystkim, przyszłość nie wydaje mi się już taka różowa, uznał Camlin.

Możesz ich porzucić, odezwał się głos w jego głowie. Możesz uciec. Najdalej jak się da, najszybciej jak się da. Dobrze wiesz, że Braith zrobi wszystko, by cię dopaść.

Camlin westchnął.

Moment, gdy mogłem porzucić tych ludzi, minął już dawno, uświadomił sobie. Ale drogę powrotną znaleźliśmy szybko, a wiosłowaliśmy na ślepo, jak szaleńcy.

W istocie, ci, którzy trzymali wiosła i tyki, nie szczydzili sił, jakby sam Asroth kłapał szczękami za nimi. Uciekali co sił, a gdy nadeszły ciemności, związali łodzie i dalej brnęli przed siebie. Meg nie pamiętała konkretnych kanałów, ale wiedziała mniej więcej, w którym kierunku leży Dun Crin. Camlin postanowił jej zaufać, a Drust był zbyt wyczerpany, by się o to wyklócać. Pięć dni później wpłynęli na wody jeziora otaczającego ruiny, a Camlin zauważył, że Drust nie nalegał już na zasłonięcie oczu.

Pewnie dlatego, że żaden z nas nie miał pojęcia, gdzie się właściwie znajdujemy, ale z drugiej strony, może wreszcie zaczęło się budzić między nami jakieś zaufanie, pomyślał.

Usłyszał szelest w krzakach.

– Właściwie to mogłabyś wyjść, Meg – rzekł.

Przez moment trwała cisza, co oznaczało, że dziewczynka przypuszczalnie zastanawia się nad jego propozycją. Potem ujrzał jej rude włosy, gdy zbliżała się do niego w podskokach.

Na ogół nie przepadam za dzieciakami, ale ta mała bardzo nam się przydała, pomyślał. I w sumie dobrze ją mieć przy sobie. Przynajmniej dużo nie mówi, co uznałbym za spore błogosławieństwo.

– I co teraz? – spytała Meg.

Camlin zastanawiał się, czy nie spróbować jej okłamać, ale przypomniał sobie, w jakich okolicznościach ją znaleźli, i co już wiedziała.

– Albo oni nas pozabijają, albo my ich. Nie widzę innego rozwiązania.

Sęk w tym, że ich jest znacznie więcej, przemknęło mu przez myśl. Może nie powinienem mówić jej akurat tego.

– Morcant nas znajdzie.

– Tak. Jeśli zostaniemy tutaj.

Dziewczynka przygryzła wargę i przestąpiła z nogi na nogę.

– Morcant już by mnie zabił, gdyby nie ty, mała. Chyba mam u ciebie dług.

Meg uśmiechnęła się, a Camlin zmierzwił jej włosy. Chwilę później

dostrzegł człowieka, którego szukał.

– Bądź taka kochana i przynieś mi coś do jedzenia, dobrze? Tylko nic śliskiego! – zawołał, gdy dziewczynka odbiegła kawałek. – Smażona ryba będzie w sam raz.

Potem odwrócił się i ruszył w kierunku Vonna.

Przez dwa dni płynęli na tej samej łodzi, ale panował na niej zbyt wielki ścisk, by móc swobodnie porozmawiać.

Zbyt wiele uszu czekało na to, co chce powiedzieć, pomyślał Camlin.

Vonn stał w cieniu wierzby płaczącej i spoglądał na jezioro.

Najwyraźniej myśli dokładnie o tym, co ja, uświadomił sobie były banita.

Młodzieniec usłyszał kroki i odwrócił się ku niemu.

– I co poczniesz? – spytał Camlin wprost, wiedząc, że owijanie w bawełnę nic mu nie da.

– Z czym? – odparł Vonn, nabrawszy tchu.

– Dobrze wiesz, o czym mówię. Chodzi mi o Evnisa. Miałem czysty strzał. Mogłem jedną strzałą oszczędzić nam tysięcy kłopotów. Mogłem odebrać mu życie i pomścić stratę Edany, której Evnis zabił ojca. Nie pamiętasz? Wszyscy to widzieliśmy!

Vonn wpatrywał się w niego ze złością. Camlin niemalże słyszał dziesiątki odpowiedzi, przemykających przez umysł młodego wojownika. Wyglądało na to, że rozpatruje każdą z osobna, aż wreszcie zgarbił się i pochylił głowę.

– Nie wiem – wyszeptał.

Szczerze mówi?, zastanawiał się Camlin. Któż to może wiedzieć.

– Nie wierzę ci – odpowiedział. Dołożył starań, by w jego głosie zabrzmiała stal.

Na te słowa Vonn gwałtownie poderwał głowę. Po jego policzku płynęła łza.

– Wierz sobie, w co chcesz – wysyczał. – Gdy go zobaczyłem, miałem ochotę wyskoczyć z łodzi i przebić mu serce mieczem! – Jego twarz wykrzywiły ból oraz gniew, a po policzku spłynęła druga łza. – Zdradził wszystko, co kochałem, splugawił wszystko, co szanowałem. To przez niego moja Bethan nie żyje. Nienawidzę go!

Camlin wpatrywał się w Vonna przez dłuższą chwilę, a gałęzie wierzby poruszały się lekko na wietrze wokół nich.

Nie brzmi to tak przekonująco jak w Domhainie, pomyślał. Ba, mam wręcz wrażenie, że próbujesz przekonać sam siebie.

– Doprawdy?



– Tak.

– No to powtórzę pytanie. Czemu mnie powstrzymałeś?

– Nie wiem – szepnęła Vonn. – Może to ja chcę osobiście odebrać mu życie. Może miałem moment słabości. Przecież to mój ojciec. A może... – Pokręcił głową. – Po prostu nie wiem.

Znów zapadła długa chwila ciszy.

Jestem gotów mu uwierzyć, ale nie chcę mieć go u swego boku, jeśli dojdzie do walki z Ewnisem, pomyślał Camlin. Sam nie wie, po której stronie się opowiedzieć. Jak mogę mu zaufać, skoro sam nie ufa sobie?

Meg rozsunęła gałęzie wierzby i podała Camlinowi coś zawiniętego w liść. Ten ujął strawę, powąchał i uśmiechnął się. Smażony pstrąg. Ugryzł kawałek ryby i dopiero wtedy uzmysłowił sobie, jaki był głodny.

Ktoś zawołał go z brzegu jeziora. Był to Baird, który pomagał Edanie wsiąść do łodzi.

Pora na kolejne spotkanie, pomyślał Camlin i obrzucił Vonna ostatnim spojrzeniem.

– Powiesz Edanie? – spytał młodzieniec.

Jeszcze nie wiem, pomyślał tropiciel i odszedł bez słowa.

\* \* \*

Miejsce, w którym się spotykali, Camlin w myślach nazywał salą narad, choć ściany zdobił tu pnący się bluszcz, a na połamanych belkach gnieździły się ptaki. Zajął swe zwyczajowe miejsce, a Halion, który nadal piastował tytuł pierwszego miecza Edany, stanął za jej plecami. Obok niego stali też Baird i Vonn, któremu Camlin nie przestawał się przyglądać z podejrzliwością. Dołączyli do nich Drust, Pendathran, Roisin oraz Lorcan, który bez przerwy zerkał na Edanę. Roisin zaś siedziała obok Pendathrana i na oczach Camlina pochyliła się do wojewody i szepnęła mu coś do ucha. Ten parsknął śmiechem.

– Przyjmijcie moje gratulacje – odezwała się Edana. – Nie dość, że zakończyliście misję sukcesem, to jeszcze przyprowadziliście mój pierwszy miecz, co przepelnia mnie wielką radością.

Halion pochylił głowę, słysząc jej słowa. Camlin był zaskoczony ogromem ulgi i radości, które zalały mu serce na widok wojownika. Dobrze było odzyskać starego przyjaciela. Cieszył się też z tego, że wreszcie przytrafiło im się coś dobrego, co pozwalało choć na moment zapomnieć o długiej liście

poległych, których pozostawili za sobą.

Powrót Haliona dał też Camlinowi nową nadzieję, ale radość psuła świadomość, że Braith ocalał życie i tropił Haliona niemalże do Dun Crin.

I pewnie dotarłby w ślad za nim aż tutaj, gdyby Ewnis nie poderwał się i nie zaczął wrzeszczeć, pomyślał Camlin. Nie sądzę jednak, by Braitha mogło cokolwiek zatrzymać. Takie niepowodzenie spowolni go tylko na moment, ale ja zdobędę chwilę, by przygotować się na jego przybycie.

– W istocie, dobrze cię mieć wśród nas – rzekł Pendathran. – I chętnie wysłuchałbym opowieści o twoich przygodach.

Halion opowiedział więc o wszystkim, co miało miejsce od walki na plaży w Domhainie, między innymi o przesłuchaniach Rhin i o uwolnieniu go przez Conalla, co Roisin powitała pogardliwym prychnięciem.

Nie podoba jej się to, że Conall zajął tron jej syna, pomyślał Camlin.

Reszta opowieści dotyczyła głównie długiej podróży z Domhainu do Ardanu.

– Śledzono cię – rzekł Camlin.

– Teraz już zdaje sobie z tego sprawę. – Halion potrząsnął głową. – Czuję się upokorzony tym, że sprowadziłem na was wrogów. Nie mam pojęcia, jak zdołali mnie wytropić. Znam się na skradaniu i zacieraniu śladów i robiłem wszystko, by uniknąć wzbudzenia czyjejkolwiek uwagi.

– Temu, kto cię śledził, nikt nie jest w stanie uciec. Braith umie wytropić ptaka w powietrzu. Wkrótce zresztą tu dotrze i sprowadzi ze sobą Ewnisa – rzekł Camlin i spojrzał wymownie na Vonna.

Te słowa wywołały gwałtowną dyskusję. Wszyscy zebrani mówili jeden przez drugiego, niektórzy z paniką, inni ze spokojem, próbując proponować rozwiązania. W końcu Pendathran rąbnął pięścią w stół z taką siłą, że mebel aż podskoczył.

– Omówmy naszą sytuację jak należy, bo ta kłótnia nigdy się nie skończy, a wojownicy Rhin za moment zaczną nam wbijać miecze w tyłki!

– Podsumujmy fakty! – rzekła Roisin.

Wreszcie jakiś początek, przemknęło Camlinowi przez myśl.

– Fakty przedstawiają się tak – zaczął. – Na skraju bagien mamy Ewnisa i Braitha, który jest przypuszczalnie najlepszym tropicielem, jakiego ziemia nosiła. W pobliżu znajduje się też Morcant ze swym oddziałem, który zbudował pierścień wież strażniczych dookoła bagien. Wygląda na to, że są gotowi zdławić ardański ruch oporu i to już niebawem.

Znów kilka osób odezwało się jednocześnie, ale przerwało im powstanie

Edany.

– Widzę tylko jedno rozwiązanie – oznajmiła. – Musimy opuścić bagna.

– Co? – zaprotestował Drust. – I znowu uciekać?

– Nie. Nadszedł czas, by zebrać sojuszników. W Ardanie, Narvonie i Domhainie wielu lojalnych wojowników czeka na sygnał oraz na nadzieję. Muszą się dowiedzieć, że ktoś skrzykuje armię.

– Ha – odezwał się burkliwie Pendathran. – I jak my mamy niby tego dokonać?

– Nie jesteśmy tak silni jak nasz wróg. Nie mamy tylu zbrojnych co oni, a więc musimy okazać się sprytniejsi.

– Pendathranie – odezwała się Roisin. – Nikt z nas nie zna się na toczeniu bitew tak jak ty. Co powiesz na propozycję Edany?

– Brzmi sensownie – rzekł Pendathran. – Tej wojny nie wygra się, siedząc beczynnie na tyłku, a skoro Ewnis zamierza się z nami rozprawić, nie mamy wielkiego wyboru. – Pokiwał głową z zadumą. – Pora się stąd ruszyć.

– Ale nie ma chyba potrzeby niczego ułatwiać naszym wrogom – rzekła Edana, spoglądając na Camlina.

Lubię tę dziewczynę coraz bardziej, pomyślał.

Gdzieś nad ich głowami zatrzepotały skrzydła, a na stole wylądował niezgrabnie wielki, czarny ptak.

– Edana! – zakrakał. – Edana! Edana!

Zapadła cisza, gdy wszyscy wpatrywali się w przybysza z bezbrzeżnym zaskoczeniem.

– Craf! – zawołała młoda królowa Ardanu.

## Rozdział pięćdziesiąty

# CYWEN

– Wypij to – powiedziała Cywen do znajdującego się przed nią człowieka. Miał na imię Gorsedd i siedział na pokładzie okrętu, oparty plecami o reling. Błady jak ściana, zaciskał zęby i ze wszystkich sił próbował zapanować nad bólem. Jego ramię szybko robiło się purpurowe, a skórę nad nadgarstkiem przebił ostry koniec złamanej kości. Zdrową ręką pochwycił podaną mu butelkę i pociągnął łyka. Buddai leżał nieopodal i pochrapywał.

Gorsedd był jednym z wieśniaków, którzy dołączyli do drużyny Corbana podczas ucieczki przez Narvon. Zajął się układaniem beczek pod pokładem, ale, nienawykły do kołysania na morzu, stracił równowagę i doszło do wypadku. Pax usłyszał jego wrzaski i wyciągnął go na pokład.

Gdzie jest Brina?, zastanawiała się Cywen.

Stara uzdrowicielka kazała przygotować Gorsedda do nastawienia złamanej kości, co właściwie sprowadzało się do podania mu odpowiedniej ilości wywaru z maku.

– Jeszcze łyk – powiedziała dziewczyna, a ranny skrzywił się, ale wykonał polecenie.

Pax stał kilka kroków dalej i przyglądał się zajściu. Wydawał się równie blady jak sam Gorsedd. Cywen zachwiała się, gdy okręt znów podniósł się na fali. Ogromny żagiel załopotał, wypełniony wiatrem.

Żeglowali na morzu od dwóch dni. Pierwszego dnia rano opuścili leniwie płynącą rzekę i znaleźli się na spokojnych wodach szerokiej zatoki. Wiosłowali do chwili, gdy znaleźli się na otwartym morzu i skierowali się wzdłuż wybrzeża. Wówczas niemalże natychmiast pochwycił ich ostry wiatr i po kilku wrzaskach Datha rozwinięto żagiel.

Wiosłarze mogli teraz opuścić swoje ławki, co z początku wszyscy powitali z wielką ulgą, ale po upływie paru godzin na otwartym morzu kilkunastu

członków załogi wisiało już na relingu i wymiotowało w szare, zwieńczone pianą fale. Cywen była jedną z ofiar kołysania. Drogę z Ardanu do Domhainu zniosła bez dolegliwości, ale gdyby tamten akwen porównać do ułożonego konia, ten okazywał się rozhukanym rumakiem, na którego nikt jeszcze nie nałożył siodła.

Od chwili opuszczenia szerokiego ujścia rzeki Dath ani na moment nie porzucił wiosła sterowego. Na szczęście spora grupa wioślarzy pływała już po morzu i Cywen odniosła mgliste wrażenie, że wraz z Dathem nie pozwolą, by okręt zatonął przez ludzką niekompetencję, a to już coś.

– No dalej! – Brina zjawiła się znikąd i ukucnęła przy rannym mężczyźnie. Ułożyła jedną dłoń na jego ramieniu, a drugą na łokciu, a potem spojrzała w oczy Cywen. – Gotowa? – spytała.

Bardziej niż on, pomyślała dziewczyna. Nabrała tchu i pokiwała głową, a potem obwiązała nadgarstek Gorsedda skórzanym rzemieniem. Zacisnęła zęby i pociągnęła.

Mężczyzna wrzasnął.

Żaden wywar z maku nie stłumi takiego bólu, przemknęło Cywen przez myśl.

Kość wstąpiła w ciało niczym strzaskany okręt pogrążający się w falach.

Czemu ciągle myślę o tonących statkach?, zastanawiała się dziewczyna. Szarpnęła jeszcze mocniej, czekając na ciche cmoknięcie Briny. Był to umówiony przez nie sygnał, oznaczający, że kość znalazła się we właściwym miejscu. Pot ściekał Cywen do oczu. Spojrzała na uzdrowicielkę, błagając ją w duchu, by dała znać, że już po wszystkim.

Brina milczała. Nie puszczała łokcia Gorsedda.

Rzemień wyslizgnął się Cywen z rąk. Kość znów wyjrzała z rany.

– Odpocznij – powiedziała Brina. – Wytrzymaj dłonie i spróbuj raz jeszcze.

Dziewczyna rozluźniła rzemień, najłagodniej jak umiała. Gorsedd nadal wył z bólu i przewracał oczami.

– Mógłbyś pomóc, zamiast stać i się gapić! – warknęła Brina do Paxa, który skrzywił się, ale pokiwał głową. Wydawał się bardziej bać uzdrowicielki niż krwi i złamanej kości wystającej z rany.

– A może ja pomogę? – zazgrzytał czyjś głos za nimi. Olbrzymka Laith spojrzała z zaciekawieniem na ranę zza ramienia Cywen. Buddai, słysząc nowo przybyłą, poruszył lekko ogonem przez sen, ale nie otworzył nawet oczu.

Cywen uśmiechnęła się, a Pax odetchnął z ulgą. Brina wyjaśniła Laith, co

należy zrobić, a olbrzymka pochwyciła ramię i spojrzała na uzdrowicielkę, czekając na sygnał.

– Tylko mu ramienia nie oderwij – powiedziała kobieta. – Ciągnij powoli i miarowo.

– Powoli i miarowo – powtórzyła Laith i pociągnęła.

Kość gładko pograżyła się w ranie, co przyszło olbrzymce równie łatwo jak ugniatanie ciasta na chleb.

– Jeszcze trochę, aż obie części złamanej kości się połączą – mówiła Brina. – Spokojnie, poczujesz to.

Na twarzy Laith zastygła koncentracja. Ciągnęła ramię, aż nagle uśmiechnęła się szeroko.

– Czuję! – oznajmiła i puściła.

Gorsedd stracił przytomność i opadł w jej ramiona.

– Wiecie, co robić – powiedziała Brina, po czym wstała i odeszła. Cywen dostrzegła obrys ogromnej księgi olbrzymów, którą uzdrowicielka chowała pod płaszczem. Skrzywiła się lekko, ale jęk Gorsedda na nowo przyciągnął jej uwagę. Obmyła ranę, delikatnie polała miodem, podała rannemu jeszcze trochę wywaru z maku, po czym wyciągnęła haczyk i nić, gotowa do zszycia rany. Spojrzała na Laith, ale ta już całkiem o niej zapomniała i bawiła się z Buddaiem.

Ma dość krótki okres skupienia, pomyślała dziewczyna.

– Ja ci pomogę – odezwał się Pax i ujął ramię Gorsedda.

Cywen przystąpiła do pracy. Zszyła ranę luźnym ścięciem, by umożliwić jej wyschnięcie, a potem zabandażowała ją starannie. Zerknęła przy tym na pomagającego jej Tenebralczyka. Był przystojnym młodzieńcem z opaloną twarzą, wysokimi kośćmi policzkowymi, krótko przyciętymi włosami i ciemnym zarostem na podbródku i policzkach. Miał jasnoniebieskie oczy, w których dziewczyna dopatrzyła się smutku, wręcz udręki.

Czegoś mu jednak brakowało.

– Gdzie twój warkocz wojownika? – zapytała.

Pax spojrzał jej w oczy i odwrócił spojrzenie.

– Lykos go odciął – odparł i dotknął poszarpanej kęпки.

– Dlaczego? – Na samą myśl o czymś takim Cywen poczuła przerażenie.

– Wszystkim nam to zrobił podczas pierwszego dnia przy wiosłach. Powiedział, że nie jesteśmy już prawdziwymi mężczyznami, a więc tym bardziej nie zasługujemy na miano wojowników. Podarował mi też to. –

Uniósł rękaw Inianej koszuli, by pokazać jej okrągłą bliznę po oparzeniu, częściowo zasklepioną, ale tu i ówdzie ociekającą krwią i ropą. – To jego znak. Oznaczył mnie jako swoją własność.

– A czemu krwawi?

Pax skrzywił się ze wstydu i zażenowania.

– Bo próbowałem ją wyciąć. Nie udało mi się, bo za bardzo bolało.

Laith, bawiąca się z psem, parsknęła śmiechem.

– Jakoś mnie to nie dziwi! – powiedziała, chichocząc.

Tej olbrzymce brak jakiegokolwiek współczucia, przemknęło Cywen przez myśl.

Pax skrzywił się.

– Oczyszczę ci to – zaproponowała Cywen i poprosiła Laith, by zaniósła Gorsedda na jego koję.

– Później – odparła olbrzymka. – Lubię tego twojego szczeniaczka.

Szczeniaczka!, pomyślała Cywen. Buddai jest wielki jak kuc!

Przy olbrzymce ogar w istocie wydawał się drobniejszy. Laith klęczała i zasłaniała sobie twarz dłońmi, a Buddai uderzał łapą w jej ręce, by się odsłoniła. W końcu wsunął między nie pysk i przewrócił roześmianą Laith na plecy. Przypadł do niej, liząc ją po policzkach.

Cywen przetarła zaś ranę Paxa słoną wodą. Ten się skrzywił, ale nie cofnął.

– Jesteś siostrą Corbana, tak? – spytał.

– Tak – mruknęła Cywen, skupiona na zdrapywaniu strupa. Następnie wycisnęła z rany całą ropę i nałożyła na nią masę przygotowaną przez Brinę. – I co z tego?

Zerknęła na Paxa i dostrzegła w jego oczach coś nowego. Nabożny podziw.

– On zabije Lykosa.

– Naprawdę? – spytała dziewczyna.

– Tak. Lykos to czyste zło, nie ma co do tego wątpliwości i jeśli Asroth rzeczywiście istnieje, Lykos bez wątpienia mu służy. A Corban to Jasna Gwiazda, przecież wszyscy tak mówią. Wystarczy się zresztą rozejrzeć, by w to uwierzyć. Służą mu olbrzymy, w tym sam Balur Jednooki z baśni i legend, i Jehar, najlepsi wojownicy pod słońcem, a strzeże go wielka wilkunica. – Pax pokręcił głową i dodał: – No i uwolnił nas. – W jego oczach zalśniło uwielbienie. – Lykos próbował nas złamać. Odebrać nam wiarę w to, że jesteśmy mężczyznami.

Czy ty nie jesteś na to za młody?, pomyślała Cywen.

– W pierwszej chwili nie uwierzyłem w to, że jesteśmy wolni. Sądziłem, że to jakiś podstępny, okrutny fortel, który Lykos wymyślił dla własnej uciechy. Potem, gdy pozbyłem się wszelkich wątpliwości, zapragnąłem stąd uciec. Chciałem znaleźć miejsce, w którym będę sam. Gdzie będę mógł żyć w spokoju, z dala od tego wszystkiego. Chciałem się ukryć. Potem jednak usłyszałem słowa twego brata. Dowiedziałem się, kim naprawdę jest, i nie mam już żadnych wątpliwości. On zabije Lykosa i wygra tę wojnę, a ja będę za nim szedł.

Pax uśmiechał się teraz do Cywen i kiwał z zapałem głową.

– Cóż, miło mi to słyszeć – odpowiedziała dziewczyna, nie mając pojęcia, jak należy zareagować na takie wyznanie.

Przecież on mówi o moim bracie, Banie. Tym samym, którego wpychałam w kałuże.

– Już po wszystkim – rzekła, wstając. – Utrzymuj ją w czystości. I nie próbuj już wycinać.

Laith znów się roześmiała, po czym podniosła Gorsedda i ruszyła pod pokład, gdzie znajdowały się koje. Pax skinął głową w podzięcie i wstał.

– Powiedz swemu bratu – bąknął – że my, wioślarze, jesteśmy jego dłużnikami. I że go uwielbiamy. Wszak nas uwolnił.

– Sam mu to powiedz – odparła Cywen. – O, tam idzie.

Corban szedł po pokładzie. Z jego barków zwisała skóra wilkuna.

Nagle zrobiło się chłodniej, pomyślała Cywen. Wiatr wdziera się dosłownie wszędzie.

Burza człapała u boku Corbana. Jej futro było mokre od bryzgów morskiej wody, przez co wzór na torsie wydawał się ciemniejszy. Grube mięśnie prześlizgiwały się gładko pod skórą zwierzęcia, które głową sięgało już Corbanowi do piersi.

Ona nadal rośnie!, uświadomiła sobie Cywen.

Burza podeszła do niej i trąciła ją nosem, o mało jej przy tym nie przewracając. Pax odruchowo cofnął się o krok. Dziewczyna pogładziła szorstkie futro wilkuniego pyska, a gdy przyjrzała się zwierzęciu baczniej, zauważyła liczne blizny, znaczące jego łeb i ciało. Brakowało też części jednego ucha.

Przez ostatnie lata wszyscy dorobiliśmy się blizn, pomyślała Cywen.

Burza dostrzegła Buddaia i przypadła do niego, znów zachowując się jak



szczeniak.

– Cześć, Cy! – rzekł Corban z uśmiechem i spojrzał na Paxa.

Młodzieniec wymamrotał coś niezrozumiałego pod nosem i umknął.

– On uważa cię za bohatera – powiedziała Cywen.

– A więc się myli – odparł Corban. – Jestem pewien, że mu o tym wspomniałaś.

Dziewczyna wyszczerzyła się w uśmiechu.

– Sama zaczynam cię już traktować trochę jak bohatera, choć jeszcze nie tak dawno skarżyłam mamie, że wycierasz nos w mój płaszcz.

– Zawsze można na ciebie liczyć. – Corban uśmiechnął się. – Chodź ze mną.

Ruszyli po pokładzie, ciesząc się ciszą, która zapadła między nimi.

– Chciałem cię przeprosić – odezwał się po chwili młodzieniec. – Chciałem spędzać z tobą więcej czasu.

Cywen wzruszyła ramionami.

– Pewnie miałeś sporo spraw na głowie.

– Hm – mruknął jej brat.

– Musisz się nauczyć przekazywać innym obowiązki. Patrz, jak robi to Brina.

Corban parsknął śmiechem, a Cywen uświadomiła sobie, że ostatnio rzadko to robił.

– Wpadłem na jeszcze lepszy pomysł. Poprosiłem ją, by rozdzielała obowiązki w moim imieniu.

– Wiem – odparła Cywen i urwała na moment, zastanawiając się, czy może sobie pozwolić na szczerość, ale przełamała opór. – Martwię się o Brinę – wyznała.

– Dlaczego?

– Zmieniła się.

– Jak to? Stała się jeszcze bardziej marudna niż kiedyś?

– Nie, nie o to mi chodzi. Mam wrażenie, że jest mniej marudna. Nie ma w niej tego sarkazmu co kiedyś.

– I tym się przejmujesz?

– Tak, bo ona... Cóż, wydaje się mniej zaangażowana.

– W istocie to niepodobne do niej. Brina zawsze wściubia nos w nie swoje sprawy – rzekł Corban z uśmiechem pełnym sympatii.

– No właśnie. Takie ma usposobienie. A teraz? Z początku myślałam, że może jest chora, ale tu nie o to chodzi. Straciła zainteresowanie wszystkim

z wyjątkiem tej księgi.

– Księgi olbrzymów? – spytał Corban.

– Tak. Chyba nie wie, że ją na tym przyłapałam, ale wymyka się bez przerwy, by ją czytać. I nie pozwala mi już jej oglądać.

– Nie podoba mi się to. – Corban zmarszczył brwi. – Po śmierci Heba... – Umilkł, pogrążony we wspomnieniach. – Bardzo źle zniosła jego śmierć, ale myślałem, że w końcu się jakoś podniosła, tak jak my wszyscy – rzekł i spojrzał na Cywen. – Spróbuję coś wymyślić.

Dobiegł ich śmiech. Spojrzeli w górę, gdzie po takielunku pięły się dwie osoby. Po chwili dziewczyna uświadomiła sobie, że byli to Dath i Kulla.

– Chyba go polubiła – powiedziała.

– Też mi się tak wydaje. A jedyną osobą, która najwyraźniej tego nie dostrzega, jest Dath.

Ha!, Cywen roześmiała się w myślach. To samo można powiedzieć o tobie, bracie.

Patrzyli, jak Dath pnie się po linach i skacze między nimi, swobodnie niczym mała wśród gałęzi.

– Jak na urodzonego tchórze potrafi być niedorzecznie odważny! – zauważyła Cywen.

– On nie jest tchórzem – odparł Corban. – Tylko wrzeszczy głośniejsz od reszty z nas.

Znów zapadła cisza.

– Corban, dokąd my właściwie płyniemy?

– Do Drassil.

– A potem?

– Na wojnę. By położyć temu wszystkiemu kres.

– Aha.

Ale czemu? Czemu położyć kres?, pomyślała Cywen.

– Odnoszę wrażenie, że spoczywa na tobie nie lada odpowiedzialność, braciszku – rzekła.

– Na wszystkich nas ona spoczywa – odparł Corban. – Ale zgadzam się. A jeśli kiedykolwiek stanę przed obliczem Elyona Ojca Ojców, powiem mu parę rzeczy do słuchu.

Ja też, pomyślała Cywen.

Oboje zapatrzyli się na ocean, ciągnący się aż po horyzont świat szarości i zieleni, upstrzonych plamkami piany, migoczący pod surowym, błękitnym

niebem.

- Zostawiamy lato za sobą – zauważył Corban.
  - Tak. I płyniemy prosto w objęcia zimy.
  - Wszystko na to wskazuje.
  - Corban, ja się boję – powiedziała Cywen.
- Brat ujął ją za rękę i ścisnął ją mocno.
- Ja również – odparł.

\* \* \*

Cywen przekradała się przez zarośla. Zatrzymała się i spojrzała za siebie na rzędy postaci śpiących na brzegu rzeki, ledwie widocznych w blasku przygasających ognisk. Dalej w ciemnościach widziała cumujące okręty, skrzypiące lekko pod naporem prądu i wiatru.

Nie mogę zapuścić się zbyt daleko, pomyślała. Lada chwila natknę się na jakiegoś wartownika.

W końcu usiadła pod poskręcany od wichrów drzewem, które zasłoniło ją przed oczami kogokolwiek, kto o tak późnej porze jeszcze by nie spał. Skupiła się na tym, by narzucić sobie całkowity bezruch, i spróbowała nawet spowolnić oddech. Nasłuchiwała przez moment, a gdy była przekonana, że nikt za nią nie podąża, rozchyliła poły płaszcza i wyciągnęła księgę Briny. Otworzyła ją w blasku księżyca.

Co sprawiło, że ta księga stała się jej obsesją?

Przez dziesięć dni, w miarę, jak żeglowali na północny wschód, robiło się coraz zimniej, a słońce ukryło się za ogromnymi, czarnymi chmurami. Dath dokładał wszelkich starań, by brzeg ani na moment nie zniknął im z oczu. Przez cały czas widzieli ciemne klify i wąskie, skryte wśród skał zatoczki, a co wieczór podchodzili bliżej brzegu, by spędzić noc w jakiejś zacisznej zatoce, niekiedy przy wąskiej plaży. W jednym z takich miejsc spędzili aż dwie noce, czekając na koniec szalejącego z furją sztormu, podczas gdy osiem okrętów podskakiwało i miało się na wdzierających się od pełnego morza falach niczym dzikie ogiery.

Trzynastego dnia, niedługo po zachodzie słońca, Dath wypatrzył ujście wielkiej rzeki wpadającej do morza, a Meical potwierdził, że można nią dotrzeć do osady Gramma. Przez następne dwa dni wiosłowali pod prąd, choć na szczęście wciąż mieli korzystny wiatr, a w południe trzeciego dnia skręcili

w odnogę rzeki, gdzie Meical wskazał im osadę Gramma, z tej odległości przypominającą jedynie małą plamkę na dalekim wzgórzu. Za nim rozlewała się ciemna plama lasu Forn, który zdawał się sięgać od horyzontu po horyzont. Na jego widok Cywen poczuła dreszcz niepokoju.

Dath uznał, że od celu dzieli ich już tylko niecałe pół dnia wiosłowania, a więc zapadła decyzja, by przenocować na brzegu i dotrzeć do osady za dnia. Cywen zaś wykorzystała okazję i postanowiła w tajemnicy przyjrzeć się księdze, która najwyraźniej odebrała Brinie entuzjazm i ochotę do życia.

Ostrożnie odwracała strony, gdyż pamiętała, że niektóre są bardzo delikatne. Powoli zbliżała się do ostatniej części księgi, do której Brina zabroniła jej zaglądać. W blasku księżycy strony lśniły srebrem, a słowa biegły w ich poprzek niczym czarne cienie. W miarę, jak Cywen przewracała stronę za stroną, pismo zaczęło ustępować miejsca wykresom i runom. Tu i ówdzie natrafiała na znajome sobie słowo. Zamierała wówczas nad rozwartą księgą i poruszając lekko ustami, ze sporym wysiłkiem próbowała odszyfrować znaczenie tekstu.

– *An dorcha sli* – szepnęła. Zamrugnęła i wyteńczyła wzrok. Słowa wydawały się unosić znad stron, próbując ją pochwycić, a gdy doszła do ich znaczenia, na jej ramionach i szyi pojawiła się gęsia skórka. – Mroczna droga – westchnęła.

Nagle jej serce wypełnił przeraźliwy lęk, jakby uświadomiła sobie, że wpatrują się w nią czyjeś oczy. Ciemność wokół niej wydała się jej złowieszczą, a cisza z każdą chwilą coraz groźniejsza. Niemalże wbrew swej woli odwróciła jeszcze kilka stron. Nie mogła oderwać wzroku od nakreślonych przed nią runów.

– *Ghloigh gheasa* – wymamrotała. – Czas przyzwania. *Fuilde namhaid*, czyli krew wroga.

Nie z tym się wiąże wiara w Elyona, pomyślała. Co to takiego? Dlaczego Brina spędza aż tyle czasu, ślęcząc nad tą księgą?

Za jej plecami trzasnęła jakaś gałązka. Cywen odwróciła się, a wtedy ktoś złapał ją za ucho i szarpnął z całej siły, gotów je oderwać, gdyby nie wstała.

Podniósłszy się, dziewczyna stanęła twarzą w twarz z Briną, która wprost kipiała ze złości. Z jej wykrzywionych gniewem ust dobiegały głucho warknięcia, jakby wściekłość odebrała jej umiejętność posługiwania się mową.

Cywen poczuła prawdziwe przerażenie.

– Przepraszam – bąknęła.

– Przepraszasz? Przepraszać to mnie dopiero będziesz, złodziejko jedna! – wysyczała Brina. – Ty pozbawiona krzty sumienia, podła intrygantko, gotowa nóż w plecy wrazić!

Cywen próbowała się cofnąć, ale oszalała z gniewu Brina ani myślała puścić jej ucha.

Skoro ucieczka była nie do pomyślenia, Cywen musiała się uciec do kolejnej opcji. Nabrała tchu i wrzasnęła ze wszystkich sił.

Niespodziewanie rozległy się kroki biegnących oraz okrzyki. Brina wyszarpnęła księgę z rąk Cywen i upchnęła ją pod własnym płaszczem, w chwili gdy przypadli do nich pierwsi ludzie. Jednym z nich był Akar, kapitan Jehar, który stał na straży. Z innego kierunku nadbiegli Meical z Corbanem, a w jeszcze innym miejscu pojawił się Balur.

– Co tu się dzieje? – spytał Meical.

Cywen spojrzała na Brinę, a potem na Meicala. Chciała powiedzieć Corbanowi o księdze i spytać Brinę, co właśnie przeczytała. Chciała się też dowiedzieć, co stara uzdrowicielka właściwie robiła, ale coś ją powstrzymało. W głębi duszy wiedziała, że dzieje się coś bardzo złego, równie złego jak infekcja, która wdaje się w ranę i kończy się gangreną, ale widząc oblicza Meicala i Balura, uznała, że lepiej nie otwierać ust.

– Lunatykowała – powiedziała Brina. – Obudziłam się i zauważyłam, że jej nie ma. Znalazłam ją więc i obudziłam, co skończyło się wrzaskami.

Lunatykowałam? Rzeczywiście stać ją tylko na tyle?, pomyślała Cywen.

Spojrzała na Corbana i ujrzała pytanie w jego oczach. Wyglądało na to, że chce zadać je na głos, ale z jakiegoś powodu uznał, że lepiej trzymać język za zębami.

Skoro Corban potrafi zachować milczenie, ja zrobię to samo, zdecydowała Cywen. Poza tym, jeśli nie ujawnię sekretu Briny jeszcze przez jakiś czas, być może nie będzie miała ochoty powyrywać mi wnętrzności gołymi rękami. Pod warunkiem, że to w ogóle sekret. Porozmawiam z Corbanem na osobności.

– Lunatykowałaś? – spytał Meical i szturchnął ją długim palcem.

– Ja... Nie wiem – bąknęła Cywen. – Spałam, po czym nagle...

Zamachała rękami i ze wszystkich sił powstrzymała się od zerknięcia na Brinę, co tylko pogłębiło zmarszczkę na czole Meicala.

– Często ci się to przytrafia?

Nie, przemknęło Cywen przez myśl.

– A co to takiego? – spytał Akar, który odwrócił wzrok od dziewczyny

i spojrział w mrok.

Wszyscy poszli w jego ślady i dostrzegli błysk ognia w ciemnościach, jakby w oddali zapłonęła świeca. Na ich oczach płomień zaczął się rozrastać.

– Co to takiego? – powtórzył Corban.

– Na Elyona, tylko nie to – szepnął Meical. – Musimy zwijać obóz i ruszać. Płonie siedziba Gramma.

## Rozdział pięćdziesiąty pierwszy

# HAELAN

Haelan przysiadł na beczce z jabłkami w piwnicy Gramma i tulił Garnka. Otaczały go ciemności, rozpraszane promykiem raptem jednej świecy. Pies nadstawiał ucha za każdym razem, gdy do piwnicy przeniknął kolejny dziwny odgłos z góry. Tych zaś było całkiem sporo.

Dlaczego wysłałem Tahira z misją? Oddałbym wiele, by Tahir i Wulf tu byli, pomyślał chłopak.

Wojownicy odjechali kilka dni po polowaniu na niedźwiedzia. Pewnego chłodnego poranka wsiedli na konie i ruszyli w kierunku Dun Kellen, a Wulf przed odjazdem wręczył chłopakowi list, który ten miał przekazać Grammowi.

„Oddasz mu go, kiedy nadejdzie pora” – powiedział wówczas Wulf.

Gramm przeczytał list, przez dłuższą chwilę wpatrywał się w jego treść, a potem zmiążdżył go w dłoni. Przeniósł wzrok na Haelana, który spojrzał na niego twardo lub chociaż spróbował.

„Oni wrócą” – bąknął słabym głosem.

„Mam nadzieję” – odparł Gramm i wyszedł.

Haelan nie słyszał, by od dnia zniknięcia obu wojowników mężczyzna choć raz wspomniał któregoś z nich, ale widział, jak każdego wieczoru wchodzi na mury i patrzy na południe do chwili, gdy słońce nie schowa się za horyzontem.

Przez szczeliny w podłodze nad jego głową przedzierały się okrzyki, czasem słyszał też odległy wrzask, od którego aż podskakiwał ze strachu. Zacisnął dłoń na rękojeści toporka otrzymanego od Trigg i wyciągnął go z za pasa, wyobrażając sobie, że jest dorosłym wojownikiem i stoi na murach obok Gramma, człowieka, który zaryzykował wszystko, by mu pomóc.

Nadciągający z południowego zachodu oddział wojska zauważono pośród rzadziejącego blasku zachodzącego słońca. Po chwili dopatrzone się też proporca Jaela, który powiewał przybyszom nad głowami. Gramm nakazał

zwołać wszystkich mieszkańców osady za palisadę, a potem zatrzasnąć bramy. Każdy człowiek zdolny do walki chwycił za broń i dołączył do pozostałych na murach. Razem było ich osiem dziesiątek. Haelan wdrapał się na górę w ślad za nimi i skrył się w cieniu rzucanym przez strażnicę.

Zbrojny hufiec dotarł do bram niedługo po zachodzie słońca. Wojowników było przynajmniej trzystu. Wysoki mężczyzna w lśniącej kolczudze i hełmie zdobionym kitą z końskiego włosa podjechał bliżej.

– Jestem Ulfilas ben Arik i przybywam w imieniu Jaela, króla Isiltiru! – wykrzyknął. Oddział za jego plecami gęstniał niczym chmura burzowa, najeżony stalą, buchający żądzą krwi. – Oddaj dziecko, Gramm! Wiem, że chłopak tu jest. Oddaj go, a król nagrodi cię taką ilością srebra, że do końca życia nie zdołasz tego wydać. Jeśli zdecydujesz się go chronić, jutro o tej porze wszyscy będziecie martwi!

Jego koń tańczył i tupał niespokojnie. Dosiadający go Ulfilas zatoczył ciasny krąg.

– Naradźcie się. Za chwilę wrócę po odpowiedź.

– Mogę ci odpowiedzieć już teraz! – ryknął Gramm, który w kolczudze i skórzanym pancerzu wydawał się ogromny niczym olbrzym. W dłoniach ścisnął wielki topór. – Jael nie jest moim królem i możesz mu przekazać, by wepchnął sobie to srebro w dupę!

Niespodziewanie eksplodował chaos. Powietrze przecięły wyrzucone włócznie, a ludzie Jaela runęli na bramę z okutym żelazem taranem. Wojownicy Gramma zasypali ich gradem włóczni i kamieni, a nad paleniskiem nad bramą zapłonął ogień pod wielkim kotłem z olejem. Sam Gramm, który wykrzykiwał rozkazy, niespodziewanie dostrzegł Haelana, kryjącego się w ciemnościach.

– Do piwnicy! W tej chwili! – warknął na niego. – Wystarczy jedna zbłąkana włócznia i wszystko będzie na nic!

Wyraz jego twarzy przeraził chłopca i napełnił go wstydem. Popędził więc do piwnicy, gdzie stary uzdrowiciel Gramma wręczył mu świeczkę i zatrzasnął za nim klapę w podłódze.

I siedział tam przez cały ten czas, przeświadczony, że od zejścia na dół upłynęły całe wieki. Wiedział, że nadal trwa noc, bo w suficie piwnicy zamontowano kratkę, przez którą Haelan widział świat nad sobą. Między prętami wpadało światło księżyca, czasami też strużki dymu, a wraz z nimi zapach płonącego drewna. Do chłopaka docierały też odgłosy. Słyszał wrzaski



rannych, opatrywanych w sali biesiadnej, słyszał też, jak ludzie pocieszają umierających.

Albo i nie pocieszają, pomyślał Haelan. Może po prostu patrzą, jak odchodzą. Może tylko trzymają ich za ręce.

Mama mówiła mu kiedyś, że czasami nie da się zrobić nic więcej.

Nad jego głową zadudniły czyjeś kroki, a ze szczelin między deskami posypał się kurz. Naraz kłapa w podłodze została podniesiona i do środka wpadło światło. Haelan zamrugał, ale po chwili rozpoznał sylwetkę Gramma. Ogromny mężczyzna zszedł na dół, pochylając głowę. Chłopiec dostrzegł krew na ostrzu topora, pochwycił też zapach dymu i czegoś jeszcze. Czyżby metalu?

Nie, to krew, uświadomił sobie. Dobrze pamiętam z Dun Kellen.

Zacisnął powieki, próbując powstrzymać zalew wspomnień.

Gramm usiadł na kamiennych stopniach i wsparł podbródek na pięści.

– Nie wydam cię stąd – powiedział.

Haelan zamrugał, nie rozumiejąc.

– Otoczyli osadę i oświetlili teren pochodniami. Zastanawiałem się, czy by nie przeskoczyć przez mur i nie zakraść się do Fornu, póki trwa noc, ale... – Wzruszył ramionami.

– A więc już nie atakują? – zapytał Haelan.

– Już nie – zachichotał Gramm. – Spróbowali szczęścia i nie skończyło się to dla nich zbyt dobrze. Przynajmniej daliśmy im powód, by trzymali się z daleka.

Poklepał ostrze topora. Po schodach spłynęła w dół struga dymu.

– Co to za zapach?

– Próbuja nas wykurzyć. Strażnica płonie.

– W Dun Kellen zrobili to samo – rzekł ponuro Haelan.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

– Dziękuję – szepnął Haelan. Oczy wypełniły mu się łzami, gdy pomyślał o tym, ile Gramm dla niego poświęcił. – Dziękuję za wszystko, co dla mnie zrobiłeś.

Mężczyzna pokiwał głową.

– Nie będę cię oszukiwał, chłopcze. Zawsze mówię prawdę prosto z mostu. Przyszłość nie maluje się różowo. Ich jest ponad trzystu, co do jednego zahartowani wojownicy, a nas osiemdziesięciu. To twardzi, odważni ludzie. Oddziela nas od nich mur, ale... – Pokręcił głową. – Miałem nadzieję, że ujrzę więcej. Od wielu, wielu lat czekam na nadejście Wojny Bogów, ale nie

spodziewałem się, że zginę, zanim się zacznie na dobre.

– Życie nie jest sprawiedliwe – rzekł chłopak.

– Nie, nie jest – westchnął Gramm. – Jeśli cię znajdą...

Jego dłoń opadła na rękojeść noża za pasem.

– Wiem. Zatkna mi głowę na włócznie.

– Tak. I może coś jeszcze.

Haelan przełknął ślinę. Nie miał pewności, czy rozumie słowa Gramma, ale ton głosu i spojrzenie ogromnego wojownika mówiły same za siebie.

Gramm wyciągnął nóż i obrócił go w dłoni. Promyk świecy przejrzał się w ostrzu. Haelan poczuł lęk.

Jestem do tego przywyczajony, powiedział do siebie w myślach. W jego sercu zbudził się gniew na Jaela, który był przyczyną jego strachu, który go ścigał i prześladował. Oczami wyobraźni ujrzał jego twarz, zapamiętaną z wizyt na dworze, zawsze ozdobioną krzywym uśmiechem.

– Ale wciąż żyjemy – mruknął. – A poza tym, jak mawia Tahir, na każdej drodze trafi się kałuża.

Gramm wbił w niego wzrok, a potem odrzucił głowę i parsknął głośnym śmiechem.

Nie sądziłem, że to aż tak zabawne, pomyślał Haelan.

Gramm podniósł się i przetarł oczy.

– Bezpieczniejszy niż tu nie będziesz nigdzie. Zaraz zamknę klapę i zastawię czymś ciężkim. Pamiętaj, by być cicho i nie zwracać na siebie uwagi. Wody i jedzenia starczy ci na cały miesiąc. Wiesz, w końcu nigdy nic nie wiadomo.

Może mnie nie znajdą, choć raczej w to nie wierzę, pomyślał Haelan.

– A jeśli cię znajdą, sięgnij po to. – Gramm wręczył chłopakowi swój nóż. Był ciężki, a ostrze zimne.

Mam go wbić w serce wojownika, który tu wejdzie, czy może we własne?, pomyślał Haelan, ale nie znalazł w sobie odwagi, by spytać na głos.

Gramm zmierzwił mu włosy i wrócił na górę po schodach, po czym z hukiem zatrzasnął za sobą klapę. Potem chłopak usłyszał posapywanie kilku ludzi, zgrzyt jakiegoś ciężkiego przedmiotu przesuwanego po podłodze, a na koniec cichnące kroki. Położył się na ziemi. Drżąc na całym ciele, wtulił się w Garnka i zamknął oczy.

Zerwał się gwałtownie, gdy Garnek zaczął go lizać po twarzy. Miał sen o polowaniu na niedźwiedzia w lesie Forn, tego samego, który pozabijał wilkuny. Tahir, Gramm, Wulf i wielu innych udali się na łowy, pozostawiając Haelana w osadzie. Nie zdołali dopaść zwierzęcia, ale Tahir powiedział, że jego ślady wiodły w głąb lasu Forn, a potem skrzyły na północ w kierunku rzeki. Odciski ogromnych łap kończyły się na brzegu ciemnych wód i tropiciele doszli do wniosku, że niedźwiedź i jego jeździec przepłynęli na drugą stronę, gdzie zaczynało się Pustkowie. Haelan miał taką nadzieję, choć od tamtej nocy prześladował go powtarzający się koszmar, w którym gubił się w lesie i włóczył się w nim samotnie, przerażony do granic, aż uświadamiał sobie, że nie jest już sam. Że ktoś za nim idzie. Że stał się celem polowania.

Jestem nim, odkąd sięgam pamięcią, pomyślał. Aż do teraz, bo właśnie zostałem wytropiony.

Uświadomił sobie, że jego świeczka już zgasła, ale mógł już rozróżnić to i owo w mroku.

A więc nadszedł świt, zrozumiał.

Było cicho. Nie słyszał ani odgłosów walki, ani niczego innego, jeśli miał być szczery. Przypomniawszy sobie rozmowę z Grammem i przeanalizował wszystko, co z niej zapamiętał, a potem spojrzawszy na otrzymany nóż, leżący na kamiennej płycie obok toporka. Na samą myśl o tym, by miał zostać w tej piwnicy przez cały księżyc, obleciały go dreszcze. Nie miał pewności, czy zniesie choć dzień.

– I co ja mam zrobić, Garnek? – westchnął i pogładził psa po szczeciniastej sierści. Pragnął wyjść na zewnątrz, ale za bardzo się bał, by zrobić choć ruch.

Nawet gdybym chciał stąd uciec, raczej mi się to nie uda, pomyślał. Kłapa została zamaskowana i przygnieciona czymś ciężkim. Nigdy jej nie otworzę.

Z góry dobiegł głuchy trzask, od którego chłopak aż podskoczył. Potem rozległy się pokrzykiwania, a po nich kolejny łoskot, głuchy i potężny, niczym uderzenie serca.

Znów nacierają na bramy, pomyślał Haelan.

Następny trzask okazał się głośniejszy od poprzednich, chłopak odniósł też wrażenie, że rozległ się bliżej.

Czyżby się wdarli? Znalezli mnie?

Zacisnął dłoń na rękojeści noża podarowanego mu przez Gramma. Po kolejnej serii huków i łoskotów uświadomił sobie z narastającym przerażeniem, że ktoś uderzał w kratkę na suficie piwnicy. Uderzenia były

tak potężne, że wstrząsały fundamentami, a z każdym kolejnym kratka wyginała się do środka, aż w końcu spadła z trzaskiem na podłogę. W otworze pojawiła się twarz.

Haelan uniósł nóż, czekając, aż wróg wślizgnie się do piwnicy i zeskoczy na ziemię. Zamiast tego ujrzał twarz Trigg.

Półolbrzymka uśmiechnęła się ponuro i wsunęła rękę do środka.

– Chodź lepiej ze mną. Zaraz się przebija przez bramę.

– Gramm powiedział, że to najlepsza kryjówka – odparł Haelan.

– Ale ja nie chcę szukać ci kryjówki. Chcę cię stąd wydostać – rzekła Trigg.

Haelan zawahał się na moment, a potem wziął się do pracy. Przysunął bliżej beczkę i uświadomił sobie, że jeśli wejdzie na nią, będzie mógł dosięgnąć ręki Trigg. Nagle zeskoczył z beczki, złapał nóż oraz toporek, zatknął oba za pasem, wziął psa pod pachę i znów wspiął się na beczkę. Podał Garnka Trigg, która wyciągnęła go na zewnątrz. Pies zawrócił i wepchnął łebek w szczelinę między krawędzią otworu a szeroką twarzą Trigg. Spoglądał na swego pana, który złapał półolbrzymkę za rękę. Ta pociągnęła go w górę i już po chwili Haelan wbił palce w ziemię i zerwał się na równe nogi. Złapany pod pachę Garnek powarkiwał i łapał chłopaka za rękaw, jakby to była jakaś zabawa.

– Dokąd chcesz uciekać? – szepnął Haelan do Trigg.

– Tędy! – odparła półolbrzymka.

Wybiegli z pomieszczenia i skierowali się ku głównej bramie, gdzie ukryli się w głębokich cieniach biegnących wzdłuż sali biesiadnej. Garnek dreptał za chłopakiem.

– A nie powinniśmy uciekać w przeciwnym kierunku? – spytał Haelan. – Może trzeba znaleźć jakąś ciemną szczelinę, przez którą się prześniemy?

W głębi serca czuł jednak ulgę, że Trigg prowadzi go ku bramom. Przez cały czas dokuczała mu świadomość, iż wszystko to dzieje się z jego powodu. Cieszył się, że nie musi się już ukrywać.

Mama nigdy się przed niczym nie chowała, pomyślał.

– Przy bramach trwa istne szaleństwo – syknęła Trigg. – Łatwiej się prześlizgnąć.

Wybiegli z za rogu, a wtedy Haelan ujrzał bramę. Przez moment oboje stali jak wryci, po czym Trigg wskazała stojący niedaleko wóz. Ukryli się za wielkim kołem i wyjrzel ostrożnie na zewnątrz.

Po murach przemykały ciemne sylwetki wojowników, a z kłębow gęstego dymu co rusz wyłaniali się nowi. Jedna z wież strzegących bramy płonęła

jasnym ogniem, śląc dym na dziedziniec. Mieszkańcy osady utworzyli łańcuch, podając sobie wiadra z wodą i zaciekle walcząc z żywiołem. Sama brama wciąż wzbraniała najeźdźcom dostępu, ale w grubym drewnie pojawiły się już pęknięcia, a blokująca wrota belka była powykrzywiana i podskakiwała z każdym uderzeniem taranu. Wojownicy z tarczami i włóczniami utworzyli przed nią ciasny szereg, gotowi na najgorsze.

Haelan ujrzał Gramma, który stał na murze nad bramą z toporem w garści i ryczał rozkazy, wskazując kierunek ostrzem. Wraz z kilkoma towarzyszami uniósł kocioł zawieszony nad ogniem i wylał jego zawartość na zewnątrz, skąd dobiegły przeraźliwe wrzaski bólu. Uderzenia w bramę urwały się.

Rozległ się ogłuszający trzask i część płonącej wieży zwała się na dziedziniec, przygniatając jakiegoś człowieka. Wrzaski bólu sprawiły, że Haelan zasłonił sobie uszy. A wtedy wydarzyło się coś dziwnego.

Ludzie na murach zamarli.

Wpatrywali się przez moment w coś w oddali, aż Gramm odwrócił się i ryknął:

– Olbrzymy!

Na zewnątrz rozległo się dudnienie przypominające walenie w kotły oraz dźwięk wielu kroków, na które nałożył się odgłos niemożliwy do pomylenia z jakimkolwiek innym, ten, który Haelan słyszał owego dnia na łące, gdy pomagał w naprawie muru. Był to ogłuszający ryk, który rozrywał bębunki w uszach i pozostawiał po sobie vibracje w klatce piersiowej.

Coś ogromnego uderzyło w bramę. Drewno zatrzeszczało, kłoda podskoczyła w uchwyty, zawiasy aż jęknęły. Gramm zdierał sobie głos. Cisnął kolejną włócznią za mur, wrzeszczał na myśliwych, by szybciej napinali łuki, ponaglał innych, by napełniali kocioł.

Kolejne uderzenie. Kłoda wygięła się i zatrzeszczała. Wojownicy na dziedzińcu krzyknęli i zwarli szeregi. Ostrza ich włóczni drżały.

I wtedy wrota rozwarły się z łoskotem, siejąc naokoło drzazgami. Na dziedziniec wdarły się kłęby pyłu i dymu, które natychmiast dotarły aż pod salę biesiadną. Haelan zasłonił sobie usta i zamrugnął, a Garnek warknął.

Pył powoli opadał, odsłaniając otwarte przejście. Jedno skrzydło bramy zwisało na ostatnim zawiasie, drugie znikło. Do wnętrza grodu wtargnął ogromny, włochaty kształt, który zawarczał głucho i odsłonił kły. Jego ślepie mieniły się nienawiścią. Siedzący na nim olbrzym wydał okrzyk bojowy i machnął młotem.

Garnek zaskomlał i wsunął ogon między nogi, a Trigg zasyczała, spięta. Wokół eksplodował chaos.

Zbici w szereg wojownicy, których było ponad tuzin, wygięli się w półkrąg. Haelan zauważył, jak opuszczają włócznie i tarcze, by pochwycić za topory, które ułamek sekundy później świsnęły w powietrzu. Kilka z nich wgrzyzło się w ciało olbrzymia i jego niedźwiedzia. Któryś wbił się w jego pierś, inny w twarz. Zalany krwią jeździec zsunął się z siodła, a niedźwiedź, z dwoma kolejnymi toporami w czaszce, zaryczał, zdołał zrobić jeszcze kilka kroków i runął na ziemię, wzbijając kolejne tumany kurzu.

Ludzie Gramma walczyli już z olbrzymami, uświadomił sobie Haelan.

W wyważonej bramie pojawił się kolejny rozpędzony niedźwiedź. Jego jeździec wydał z siebie bojowy okrzyk i uniósł włócznie grubą niczym pień drzewa.

To olbrzymka, przeszło przez głowę Haelanowi, który zauważył brak wąsów.

Olbrzymka cisnęła włócznią w wojowników podnoszących z ziemi broń. Ostrze przebiło któremuś pierś i posłało go na ziemię wśród strug krwi. Niedźwiedź zaś, równie potężny jak dwa ogiery, a do tego od nich wyższy, wpadł między obrońców i smagnął pazurzastą łapą, siejąc śmierć i zniszczenie. Ci, którym udało się przetrwać napór, przypadli do bestii i zaczęli dźgać włóczniami. Haelan dostrzegł krew ciekącą z dziesiątek ran, ale niedźwiedź w ogóle nie zwrócił na to uwagi. Jednym kłapnięciem potężnych szczęk oderwał głowę któremuś z obrońców, a wojowniczką zamachnęła się młotem wojennym i zamieniła innego w krwawą miazgę. W ślad za nacierającym niedźwiedziem pojawili się konni wojownicy, którzy wdzierali się na dziedziniec, wymijając olbrzymkę. Skądś dobiegł ryk innych bestii.

Coś spadło z murów prosto na niedźwiedzia i wojowniczkę na dziedzińcu.

Był to Gramm, a Haelan uzmysłowił sobie, że mężczyzna nie spadł, ale skoczył.

Stary wojownik wrzasnął i zamachnął się wielkim toporem, który z mokrym mlaśnięciem wgrzyził się w czaszkę olbrzymki. Chrupnęły kości, strzeliły bryzgi masy mózgowej. Niedźwiedź zaryczał i poderwał się na tylne nogi, strząsając martwą olbrzymkę i przewracając Gramma na ziemię. Ocaleli obrońcy cofnęli się z przestrachem. Bestia z łupnięciem opadła na cztery łapy i obwąchała trupa, a potem poderwała łeb i znów zaryczała, tryskając śliną

z pyska.

Gramm skoczył na równe nogi, ale zachwiał się. Niedźwiedź uniósł łapę i zamachnął się, wyrzucając człowieka w powietrze. Mężczyzna upadł przy schodach prowadzących do sali biesiadnej, przetoczył się i znieruchomiał.

Haelan wyskoczył z ukrycia i podbiegł do niego, w ostatniej chwili wyslizgując się próbującej go zatrzymać Trigg. Upadł na kolana przy starym wojowniku i otarł krew z jego twarzy. Ten zamrugał i spojrzał na chłopaka. Jego usta poruszyły się i Haelan przyłożył do nich ucho.

– Uciekaj! – wychrypiał mężczyzna.

Haelan zawahał się. Spojrzał na Trigg, wciąż skrytą za wozem. Półolbrzymka znacząco spojrzała na otwartą bramę, na co chłopak zerwał się do biegu. Pędził przez dziedziniec, wymijając walczących, nurkując pod końskimi brzuchami i unikając niedźwiedzi, aż znalazł się przy bramie. Była pusta, gdyż najeźdźcy wpadli już do środka grodu i zwarli się w walce z obrońcami. Tu i ówdzie wybuchały kolejne pożary.

Haelan niepewnie wybiegł na zewnątrz i spojrzał na łąki oraz faliste pastwiska, ciągnące się bez końca w dal.

Dokąd mam uciekać? Chyba nie tędy? Przecież zobaczą mnie z odległości wielu mil!

Spojrzał na wschód, na las Forn, i zadrżał, wspominając swe sny.

Te, w których na mnie polują, przemknęło mu przez głowę.

W zagrodach rżały wierzchowce, dziedzictwo Gramma, owoc prowadzonej przez całe życie hodowli. Na ten widok Haelanowi napłynęły kolejne łzy do oczu.

Potrzebuję jednego z tych koni albo nigdy nie dotrę do Fornu, uświadomił sobie.

Był dobrym jeźdźcem. Szkolili go najlepsi instruktorzy, odkąd nauczył się chodzić, i nawet perspektywa jazdy na oklep nie przerażała go zbyt. Rozejrzał się, a potem rzucił się biegiem ku zagrodom. Niemalże natychmiast usłyszał tętent kopyt za sobą i gdzieś po lewej, z każdym uderzeniem serca coraz głośniejszy. Rzucił się na ziemię i przemknął pod kopytami, które załomotały obok niego.

Jeździec wstrzymał konia i wychylił się z siodła, by go złapać.

– Chodź no tu, smarkaczu – warknął. – Chyba że chcesz, bym przebił cię włócznią? Zobaczymy, jak wtedy będziesz się wił.

Haelan odtoczył się na bok, a tuż obok jego głowy wyrósł Garnek. Ze

zjeżoną sierścią, szczerząc zęby, zaczął obszczekiwać jeźdźca i konia. Gdyby nie paraliżujący go lęk, Haelan parsknąłby śmiechem.

– Jak sobie chcesz – oznajmił wojownik i uniósł włócznię.

Niespodziewanie z jego piersi wystrzelił czubek miecza. Krew obryzgała chłopaka oraz psa.

Czyjaś dłoń zacisnęła się na ramieniu zabitego i ściągnęła go na ziemię, po czym na siodle pojawił się ktoś inny. Haelan ujrzał znajomą, ponurą twarz i długie ręce, wyciągnięte po niego.

Był to Tahir.

Chłopak wpatrywał się w mężczyznę, nie wiedząc, czy to jawa czy sen.

– Złap mnie za rękę, Haelanie! – zawołał Tahir.

Chłopak posłuchał. Wojownik wciągnął go na siodło, a Haelan mocno go objął. Chwilę później pędzili już przed siebie. Garnek gnał obok konia. Wokół nich pojawili się kolejni jeźdźcy, którzy wyruszyli wraz z Tahirem i Wulfem na poszukiwanie porwanych przez Jaela dzieci. Haelan dostrzegł Swaina oraz Sif na siodle innego konia. Zauważył też Wulfa, który zeskoczył z siodła i przez moment wpatrywał się w strzaskane wrota prowadzące do jego rodzinnego domu. Po jego policzkach spływały łzy. Odwrócił się i spojrzał na dzieci, po czym ruszył w kierunku spowitego dymami grodu. Haelan chciał go ostrzec, ale nie zdołał wykrztusić nawet słowa. Z jego ust wydobył się jedynie szloch, a świat się rozmazał. Pęd wyszarpywał mu łzy z oczu.



## Rozdział pięćdziesiąty drugi

# ULFILAS

Ulfilas kopnięciem popędził konia. Ramię trzymające miecz wznosiło się i opadało, a uciekający przed nim człowiek przewrócił się bezwładnie na ziemię. Wokół trwały zaciekle starcia, a jeźdźcy osaczali już salę biesiadną, do której uciekali ludzie Gramma. Gdzieś z tyłu zaryczał niedźwiedź, tak głośno, że kryta hełmem głowa wojownika zagrzecotała.

Czy dałbym sobie w ogóle radę z takim przeciwnikiem?, pomyślał i ucieszył się w duchu, że nigdy nie będzie musiał tego sprawdzać. Podziwiał ludzi Gramma, którzy odważnie stawili czoła tak wielkiej przewadze, choć nie miał zamiaru ich z tego powodu oszczędzać.

Sześciu, być może siedmiu spośród nich uformowało nierówny półkrąg wokół bestii, której jeźdźca zabił Gramm. Co chwila któryś z nich wypadał i pchał zwierzę włócznią. Odskakiwał, gdy niedźwiedź rzucał się na niego, a wówczas przypadał do bestii ktoś inny. Powoli wykrwawiali zwierzę i doprowadzali je do szału.

Bo tak się zazwyczaj zabija niedźwiedzie, pomyślał Ulfilas. Trzeba zadawać im ranę za raną i stopniowo odbierać siły, ale z taką bestią to się nie uda. Cały księżyc to za mało czasu, by osłabić takiego potwora.

Mężczyzna popędził konia i runął na wojowników otaczających niedźwiedzia. Rąbnął jednego przez hełm, aż zadźwięczało, i posłał go na ziemię martwego bądź nieprzytomnego. Obrońcy zwrócili się przeciwko niemu, na co Ulfilas ściągnął wodze. Jego koń stanął dęba i zamachał kopytami, posyłając wojowników prosto pod pazurzaste łapy rozwścieczonej bestii. Niedźwiedź smagnął szponami i rozpruł któremuś z nich brzuch, a innego złapał w ogromne szczęki i zmiażdżył jednym kłapięciem. Pozostali rozpierchli się. Ulfilas pozwolił sobie na pełen satysfakcji uśmiech, ale nagle ujrzał niedźwiedzia gnającego prosto na niego.

Jego koń wpadł w panikę i odskoczył. Musiał ostro ściągnąć wodze, by narzucić mu swą wolę. Niedźwiedź był zaś coraz bliżej.

Niespodziewanie drogę zagroził mu inny, którego dosiadał sam Ildaer. Wykrzyknął do rozjuszonego potwora kilka słów w mowie olbrzymów, które najwyraźniej uspokoiły go nieco.

– Oszalał z rozpacz po utracie jeźdźca – wyjaśnił mu Ildaer.

Niedźwiedzie czują rozpacz?, pomyślał Ulfilas i pomknął ku sali biesiadnej. Minął po drodze olbrzyma, który klęczał na ziemi i tulił ciało zabitej przez Gramma olbrzymki.

Kolejny dzielny wyczyn, przemknęło Ulfilasowi przez myśl. Ludzie będą długo śpiewać o skoku Gramma ze strażnicy.

Chaos na dziedzińcu zdawał się cichnąć, a miejsce walczących zastąpili martwi i umierający. Zmagania przeniosły się w sąsiedztwo sali biesiadnej, w której znikło już kilku jeźdźców na niedźwiedziach, przybyłych wraz z Ildaerem o świcie.

– Nie okazujcie żadnej litości! – krzyknął Ulfilas do swoich wojowników. – Znajdźcie dzieciaka!

Zeskoczył z siodła i w asyście kilku zbrojnych podszedł do leżącego na ziemi Gramma. Stał nad nim i uświadomił sobie, że życie mężczyzny z wolna dobiega końca. Z jego ust i nosa ciekła krew, a skóra pobladła, stała się niemalże popielata. Ulfilas kopnął go w miejsce, gdzie popękane kości przebiły skórzany kaftan.

Gramm wrzasnął i otworzył szeroko oczy.

– Gdzie on jest?

Minęła chwila, nim stary wojownik spojrzał bystrzej. Ulfilas ściągnął hełm i odgarnął włosy, klejące się do spoconej twarzy. Po oczach Gramma rozpoznał, że ten wie już, z kim ma do czynienia.

– Pies Jaela – wychrypiał.

Ulfilas wymierzył mu kolejnego kopniaka.

– Gdzie chłopak?

Gramm wpatrywał się w niego bez słowa, na co Ulfilas odwrócił się do Ildaera, nadal dosiadającego niedźwiedzia.

– Ildaerze, oto człowiek, który zabił kobietę z twego klanu. Zwała się Ilska, o ile pamięć mnie nie myli.

– Nie myli – warknął Ildaer. Jego niewielkie oczka wpatrywały się w Gramma.

– Był przywódcą tej osady i jeśli ktoś wie, gdzie znajduje się chłopiec, będzie to on. Pomożesz mi?

– Pomogę.

Ildaer przerzucił nogę nad siodłem i zeskoczył na ziemię. Wyciągnął młot wojenny ze skórzanego pokrowca i podszedł bliżej. Jego jasny warkocz wojownika powiewał z każdym długim krokiem.

– W jego sali biesiadnej wisi wielki młot twego plemienia oraz skóra jednego z waszych niedźwiedzi – dodał Ulfilas.

Ildaer zmrużył oczy. Położył młot na ziemi, złapał Gramma za rękę i szarpnięciem poderwał go, po czym przycisnął jego ciało do jednej z szerokich kolumn, obramowujących schody prowadzące do wnętrza sali. Z ust rannego wyrwał się jęk bólu, a wtedy Ildaer wyszarpnął zza pasa sztylet długości krótkiego miecza i wbił go w przedramię Gramma, gdzieś w połowie między łokciem a nadgarstkiem, przygważdżając mężczyznę do kolumny. Ogromny wojownik zawisł nad ziemią, a olbrzym sięgnął po włócznię i przybił do kolumny drugie ramię.

– Nabrałeś już może ochoty do zwierzeń? – zapytał Ulfilas, podchodząc bliżej, by spojrzeć Grammowi w oczy. – Powiesz mi, gdzie jest Haelan?

Gramm splunął mu krwią w twarz.

Ildaer rąbnął go pięścią w połamane żebra z taką siłą, że przybity do kolumny mężczyzna aż się zakołysał. Minęła dłuższa chwila, nim przestał wrzeszczeć.

– Gdzie jest chłopak? – powtórzył Ulfilas.

Gramm zacisnął powieki.

– Mów, morderco olbrzymów – zagrzemiał Ildaer. – Powiedz prawdę, a ból dobiegnie końca.

Uniósł pięść do kolejnego ciosu.

– Nie! – wrzasnął ktoś za jego plecami.

W tej samej chwili coś świsnęło obok ucha Ulfilasa i wbiło się w plecy Ildaera. Olbrzym zachwiał się i padł na jedno kolano. Między jego łopatką a kręgosłupem utkwiał toporek o pojedynczym ostrzu. Ulfilas odwrócił się i ujrzał biegnącego na nich człowieka w futrach i skórach, sięgającego po kolejny topór. Miał ciemne włosy, równie ciemne oczy i imponująco barczyste ramiona.

Wulf, syn Gramma!

Wulf cisnął w biegu kolejnym toporem, tym razem mierząc w Ulfilasa, ale

ten w porę został zasłonięty przez przybocznych. Jeden z nich uniósł tarczę, by zasłonić przywódcę przed nadlatującym pociskiem, ale okazał się zbyt powolny i ostrze wbiło mu się w twarz. Runął na ziemię, dygocząc w konwulsjach.

Ulfilas odwrócił się i wyciągnął miecz. Obok niego Ildaer wyszarpnął topór z pleców i zakrzyknął coś w rodzimej mowie, przyzywając swego niedźwiedzia.

Dwóch innych wojowników skoczyło na Wulfa. Ten nachylił się przed ciosem pierwszego z nich, samemu ściskając w jednej ręce miecz, a w drugiej mniejszy topór. Rąbnął jednego z nadbiegających toporem w kolano i poderznął mu gardło, gdy runął na ziemię, a potem wykonał piruet, wbił miecz w brzuch drugiego woja i wyszarpnął go, wykorzystując pęd. Nie spuszczał wzroku z Ulfilasa, stojącego w odległości trzydziestu kroków. Nadal gwał naprzód, odbił czyjeś ostrze, rąbnął toporem w czyjś kark. Piętnaście kroków.

Ulfilas poczuł ukłucie lęku, które powitał jak starego przyjaciela. Przyjął odpowiednią postawę i uniósł broń.

Wtedy jeden z jego ludzi wpadł na Wulfa z boku i powalił go. Zaraz przypadł do niego drugi i rąbnął go tępym końcem włóczni przez plecy, a po nim pojawili się kolejni.

– Nie zabijać go! – wrzasnął Ulfilas, gdy Ildaer, brocząc krwią z rany na plecach, podszedł do leżącego. Odrzucił jego topór, jakby była to dziecięca zabawka, złapał go garścią za włosy i zawłókł na schody, gdzie uniósł go wysoko, by spojrzeć mu w oczy.

Wulf był półprzytomny, a ze skaleczenia na głowie ściekała krew. Ulfilas uderzył go w twarz, na co jeniec otworzył oczy.

– Przywitaj się z ojcem – oznajmił Ulfilas.

Wulf wbił wzrok w Gramma przybitego do kolumny. Po jego ramionach spływały strumyki krwi. Spoglądał na syna ze łzami w oczach.

– Mój syn – szeptał. – Po co... wracałeś...

Wulf wierzgał, wił się, spluwał i przeklinał, ale trzymający go Ildaer jedynie parsknął śmiechem.

– Może powinieneś dołączyć do ojca? – burknął i zamknął oba nadgarstki Wulfa w jednej, ogromnej pięści. Podszedł do przeciwnej kolumny, po drodze podnosząc jakąś włócznię, i jednym ciosem przybił obie dłonie wojownika do pnia. Cofnął się. Wulf stał z rękami wzniesionymi ku górze, wpatrzony w ojca.

Po kolumnie spływały strużki krwi.

– Cóż – rzekł Ulfilas. – Zapytam więc was obu. Gdzie jest Haelan? Chowa się w jakiejś dziurze? No? Gdzie jest?

Patrzył to na syna, to na ojca, a w ich oczach widział zaciętość i upór. Westchnął.

Jestem wojownikiem, a nie katem, pomyślał. Gdzie jest Dag, kiedy go potrzebuję?

Mimo to znał swe obowiązki i wiedział, że nie może wrócić do Jaela bez głowy Haelana. W tej sytuacji mógłby stracić własną, a na tę opcję nie chciał się zgodzić.

– Będę was torturował do chwili, gdy któryś z was zacznie mówić. Nie sprawi mi to przyjemności. Lepiej będzie, jeśli odpowiecie mi na pytanie i oszczędzicie sobie niepotrzebnego bólu.

Nie usłyszał żadnej odpowiedzi. Wyjął więc nóż i stanął między dwoma unieruchomionymi wojownikami.

– Od kogo zaczniemy? – zapytał.

– Ja wiem, gdzie on jest! – zawołał ktoś, kto naraz wyłonił się zza wozu.

Dziewczyna?, pomyślał zaskoczony Ulfilas.

Młoda, jasnowłosa dziewczyna o długich rękach i nogach szła już ku nim, a przyboczny Jaela miał wrażenie, że w jej sposobie poruszania się dostrzega coś nieprawidłowego. Gdy znalazła się blisko, zauważył, że ma niebywale muskularne ramiona, a twarz płaską i kanciastą.

Niczym olbrzymka.

– Kim ty jesteś? – spytał, marszcząc brwi.

– Mam na imię Trigg – odparła. – I jestem mieszanej krwi.

Ulfilas zauważył, że Ildaer przechylił lekko głowę i przyglądał się nowo przybyłej z zainteresowaniem.

Nie miałem pojęcia, że to w ogóle możliwe, pomyślał wojownik.

Trigg zatrzymała się u dołu szerokich schodów.

– A czemu chcesz się podzielić z nami tą informacją? – spytał Ulfilas z podejrzliwością. Nie ufał tej dziewczynie i podświadomie oczekiwał, że to jakaś pułapka.

– Bo oni znęcali się nade mną przez całe moje życie. – Trigg wskazała Gramma i Wulfa.

Cóż, to wiele wyjaśnia, pomyślał Ulfilas.

– Daliśmy ci dach nad głową! – wrzasnął na nią Wulf. – Traktowaliśmy cię

dobrze!

– Drwiliście ze mnie! Biliście mnie! – odparła Trigg zimnym głosem, wytrzymując jego spojrzenie.

– A więc gdzie jest Haelan? – spytał Ulfilas.

– Trigg – szepnął Gramm. – Nie rób tego.

Ildaer zdzielił go w głowę.

– W piwnicy. Widziałam, jak Gramm go tam prowadzi. Słyszałam ich rozmowę.

– Ty zradziecka suko! Nędzny kundlu! Przeklinam cię! Zabiję cię! – darł się Wulf.

– Zabierz mnie tam – powiedział Ulfilas.

Trigg weszła po schodach do sali biesiadnej, a Ulfilas i Ildaer udali się za nią, ścigani wrzaskami Wulfa. Minęli trupy rozrzucone na stołach i pod nimi, po czym weszli przez szerokie drzwi do kuchni z zimnymi piecami. Trigg wskazała beczki w kącie izby.

– Wejście do piwnicy jest tam.

Ildaer w okamgnieniu rozrzucił beczki na bok i odsłonił klapę. Ulfilas odsunął zasuwę, uniósł klapę i dzierżąc miecz, wkroczył do ciemnego pomieszczenia. W powietrzu wisiał stęchły zapach, a przez kratkę na przeciwnej ścianie wpadało do środka nieco światła.

– Nikogo tu nie ma! – warknął, przeszukawszy dokładnie pomieszczenie.

Wtedy zauważył, że kratka jest uchylona, a pod nią stoi beczka. Zawrócił i popędził na górę, przesadzając po dwa stopnie naraz. Półkrwi olbrzymki nigdzie nie było widać.

– Nie mógł uciec daleko! – warknął do swoich ludzi, wypadłszy na dziedziniec. – Rozbierzcie tę cholerną dziurę na kawałki!

Przypadł do Gramma.

– Dokąd on mógł uciec?

– A więc... uciekł – wyszeptał mężczyzna i zdobył się na uśmiech.

Ulfilas poczuł w sobie narastającą frustrację przemieszaną z furją, zabarwione również lekkim strachem. Nagle uświadomił sobie, że może zawieść oczekiwania swego władcy.

– Ildaerze, ten niedźwiedź, który stracił jeźdźca, nadal po nim rozpacza?

– Creach? Tak, on cierpi – zagrzmiał Jotun. – Chowamy je od niemowlęstwa i budujemy silne więzi.

– Mam więc nadzieję, że to doceni. – Ulfilas wyrwał nóż zza pasa i wbił go

w brzuch Gramma, po czym rozciął go gwałtownym szarpnięciem. Wnętrznosci wylały się niczym dymiące węże. Wojownik cofnął się, gdy Wulf i Gramm jednocześnie wrzasnęli ze wszystkich sił, a Ildaer powiedział coś w swej gardłowej mowie. Niedźwiedź bez jeźdźca podszedł bliżej.

– *Feasta* – rzekł olbrzym, a niedźwiedź zatopił kły w jelitach, pożerając je z łapczywym mlaskaniem, od którego Ulfilasowi zrobiło się niedobrze. Gramm wrzeszczał coraz głośniejsze, a Wulf szlochał i przeklinał.

– Lordzie Ulfilasie! – zawołał jakiś wojownik z murów. – Chyba musisz to zobaczyć!

– Co znowu? – warknął Ulfilas, pnąc się po schodach. – Mam nadzieję, że ma to jakiś związek z tym dzieckiem.

Uniesienie bitewne opadło i poczuł, jak przeszywa go zimny wiatr. Po paru krokach znalazł się na pomoście i spojrział we wskazanym kierunku.

Wojownik wskazywał północny zachód, gdzie za pastwiskami i ostatnimi budynkami osady wiła się rzeka, oddzielająca Isiltir od Pustkowia. Sunął nią smukły okręt o niewielkim zanurzeniu. Wioślarze ze wszystkich sił napierali na wiosła, a reszta załogi sprawnie zwinęła żagiel i opuściła maszt, by okręt mógł swobodnie przepłynąć pod kamiennym mostem. Za nim pojawiły się kolejne jednostki, których Ulfilas naliczył osiem.

Poznają te żagle, poznają te okręty, myślał. Widziałem je podczas bitwy pod Dun Kellen. To Vin Thalun, którzy służą Nathairowi. Ale dlaczego ich tu wysłał? Czyżby Jael skontaktował się z Nathairem i przekazał mu, że potrzebuję pomocy?

Poczuł ukłucie gniewu, a potem zalała go satysfakcja.

Jeśli tak jest, to się rozczarują. Osada wszak już podbita. Spóźnili się.

Odgłosy walki dobiegały jeszcze ze zboczy za salą biesiadną, gdzie wznosiły się magazyny nadržeczne.

Zduszenie resztek oporu w tym gnieździe szczurów potrwa jakiś czas, ale ta bitwa jest już wygrana, pomyślał Ulfilas. Pozostało nam tylko odnaleźć dzieciaka.

Wrzaski Gramma nadal unosiły się nad dziedzińcem, choć jego głos przeszedł w ochrypy, przeraźliwy skrzek. Niedźwiedź uporał się już ze stertą jelit i wgryzał się teraz w ranę na brzuchu mężczyzny. Wulf zwisał bezwładnie.

Powiniennem udać się tam i skrócić jego cierpienia, pomyślał Ulfilas, krzywiąc się. Żałował już swego gniewu. Dobra. Skupmy się na dziecku. Gdzie się podział ten chłopak?

– Ildaerze! – zawołał z muru. – Czy twój niedźwiedź odnajdzie zapach Haelana?

Olbrzym pokiwał głową i wspiął się na siodło. Jadąc na swej bestii, znikł za salą biesiadną, a Ulfilas skupił się na praktycznych szczegółach. Musiał rozstawić ludzi dookoła osady. Nadal istniała szansa, że Haelan ukrywa się gdzieś w pobliżu, czekając na sposobność, by czmychnąć.

Może uda się wykorzystać tych Vin Thalun, pomyślał wojownik.

Raz jeszcze spojrzął na okręty. Pierwszy z nich przybijał już do nabrzeża, a załoga opuszczała trap. Ulfilas zauważył zbiegających na ląd ludzi, którzy byli zbyt daleko, by rozpoznać jakiegokolwiek szczegóły, ale coś przykuło jego uwagę. Gdy do nabrzeża przybijały kolejne jednostki, z pierwszej zbiegły dwa wielkie ogary. Jeden z nich, kryty jasnym futrem, był wprost ogromny i nawet z tej odległości wydawał się emanować niespotykaną siłą. Ulfilas wyteżył wzrok i zmrużył oczy.

Czy wśród nich są olbrzymy? Jael wspominał, że Nathaira poparły jakieś olbrzymy. Ale co one miałyby tu robić?

W jego sercu pojawiło się ziarenko wątpliwości.

– Lordzie Ulfilasie – odezwał się wojownik obok niego.

– Wiem – mruknął. – Dziwny ładunek.

– Nie chodzi mi o statki, panie. Z południowego zachodu nadciągają jeźdźcy. Sporo ich.

Ulfilas odwrócił się od okrętów. Jego człowiek miał rację. Na południowo zachodnim horyzoncie unosiła się chmura pyłu i nawet stąd słyszał cichy łomot kopyt.

Któż to taki?, przemknęło mu przez myśl.

– Zadmij w róg. Skrzyknij drużynę – powiedział i nałożył hełm.



## Rozdział pięćdziesiąty trzeci

# TUKUL

– Wygląda na to, że czeka nas bijatyka! – powiedział Tukul do Coralen i Enkary, które jechały wraz z nim na czele kolumny. Zerknął na młodą zwiadowczynię i zauważył, że zapina rękawicę z kłami wilkuna. Uśmiechnął się szeroko.

Podoba mi się ta dziewczyna, pomyślał. Będą do siebie pasować z Corbanem i doczekają się silnych dzieci. Raczej nie ma co się spodziewać, że będą grzeczne. Raczej krnąbrne, a na pewno uparte i zajadłe.

Podzielił się z Coralen tym spostrzeżeniem podczas podróży przez Isiltir, na co policzki dziewczyny oblał rumieniec równie intensywny jak czerwień jej włosów. Ostrzegła, że jeśli Jehar raz jeszcze powie jej coś takiego, wytnie mu język wilkunimi szponami.

Ech, zajadła bestia, pomyślał Tukul i uśmiechnął się na wspomnienie tamtej chwili.

Na widok dymów, unoszących się znad osady Gramma od razu zrozumiał, że dzieje się coś niedobrego. Odbył pośpieszną rozmowę z pozostałymi Jehar.

– Chcesz, bym przeprowadziła szybki zwiad? – spytała wówczas Coralen.

– To sensowny pomysł – poparła ją Enkara.

– A niech szlag trafi wszystko, co ma sens! – odparł Tukul. – Gramm to mój przyjaciel i niewykluczone, że potrzebuje pomocy! – Wzruszył ramionami. – Ruszamy więc na pomoc.

Rozkazał, by zapasowe konie, na które przesiadali się podczas wędrówki przez Isiltir, zostały na pastwiskach za osadą Gramma, i pożegnał się z Tarczą, poklepując zwierzę po chrapach:

– Wspaniały z ciebie rumak, przyjacielu, ale ja i Daria dobrze się znamy. Zupełnie tak jak ty i Corban, co? Pojadę na niej do bitwy, a ona opowie ci później o swych walecznych czynach.

Tarcza parsknęła na niego i tupnęła kopytem, a Tukul wskoczył na siodło i popędził Darię do szybszego biegu, choć powstrzymał ją przed galopem. Nie chciał, by przystąpiła do walki wyczerpana.

Wjechali drogą na szczyt wzniesienia i ujrzeli strażnicę spowitą czarnym dymem. Z tej odległości Tukul widział już postacie uwijające się na murach i słyszał zarówno ryk rogów, jak i zgiełk bitewny. Przypomniała mu się ostatnia wizyta w osadzie, podczas której Gramm okazał im wielką przyjaźń i gościnność. Przypomniał sobie, jak uczył się rzucać toporem i dostał jeden z nich w darze od Wulfa. Przypomniał sobie tubalny śmiech Gramma i jego miażdżący uścisk.

Mam nadzieję, że się nie spóźniłem, przyjacielu, pomyślał.

Pognali naprzód. Tukul poluzował miecz w pochwie i musnął czubkami palców topór przytroczony do siodła. Chwilę później jechali już drogą, która prowadziła prosto ku bramom, mijając łąki po obu stronach.

Ojciec Ojców, niech mój miecz okaże się ostry, a moje ramię szybkie, pomodlił się Tukul.

Widział już rozbitą bramę.

Ten, kto to zrobił, gorzko tego pożałuje, bo nie będzie już w stanie nas zatrzymać, pomyślał.

Na murze zagrzmiały rogi i z bramy wyłonili się jeźdźcy, cztery dziesiątki, sześć, za nimi kolejni. Tukul burknął pod nosem z niechętnym szacunkiem. Dowodzący nimi oficer, wyjeżdżając im naprzeciw, podjął właściwą decyzję.

O wiele lepiej zatrzymać nas przed bramą, niż pozwolić nam się wedrzeć. Ma też odwagę człowiek, skoro nie chce się kryć za murami.

Tukul uniósł pięść i stu pięćdziesięciu gnających w górę zbocza Jehar rozciągnęło szyk, tworząc ciemne skrzydła wokół niego.

– Czy to na pewno ma sens?! – zawołała Coralen.

– Co konkretnie?

– Szarża w górę zbocza na konnego przeciwnika!

– Pewnie nie ma! – odkrzyknął Tukul, a potem roześmiał się, upojony pędem.

Niech szlag trafi strategię!, pomyślał. Mój przyjaciel znalazł się w tarapatach i nic mnie nie powstrzyma!

Wtedy coś ogromnego przeszło przez bramę. Przez moment Tukul nie miał pojęcia, na co właściwie patrzy, aż dostrzegł ogromne szczęki i łapy przypominające młoty, zakończone grubymi, zakrzywionymi pazurami. Na

grzbiecie bestii zasiadał ciemnowłosy olbrzym, uzbrojony we włócznię i topór. Za nim pojawił się kolejny.

Chyba że to, przemknęło Tukulowi przez myśl.

Wyszczrzył zęby.

Oto walka godna Jehar, stwierdził w duchu.

– Ludzie będą układać o tym pieśni! – wrzasnął do Coralen, śmiejąc się. Wiatr szarpał go za włosy.

Zwiadowczyni odpowiedziała dzikim uśmiechem, po czym uniosła ramię i zacisnęła pięść, aż pazury wilkuna brzęknęły.

Gnamy w górę zbocza na wrogą konnicę, olbrzymy i wielkie niedźwiedzie z północy. Istne szaleństwo! – myślał Tukul.

Wyciągnął miecz, a wszyscy Jehar poszli w jego ślady. W bladym blasku słońca ich ostrza zamigotały jak błyskawica. Tukul szepnął do Darii, popędził ją do galopu i wzniosł oburącz nad głowę miecz, kierując rumakiem za pomocą stóp, kolan i ud.

– Prawda i odwaga! – huknął.

Coralen, Enkara i stu pięćdziesięciu innych jeźdźców powtórzyło okrzyk bojowy, który poniósł się hukiem niczym uderzenie pioruna.

Chwilę później dwie fale ciała, krwi i kości, skóry, kłów i żelaza zderzyły się ze sobą. Tukul prowadził Darię prosto na ogromnego niedźwiedzia z olbrzymem na grzbiecie, ale drogę zastąpili mu inni wojownicy.

A więc trzeba będzie się przebić!, pomyślał.

Pierwszym ciosem zmiotł najbliższemu przeciwnikowi głowę, która wystrzeliła w górę, tryskając krwią. Szarpnął wodzami i Daria uskoczyła przed rozpędzonej włóczni. Tukul zaś celnym cięciem odrąbał palce trzymającej broń dłoni i spiął rumaka do skoku, tnąc w przelocie wroga po szyi. Daria wpadła piersią na innego rumaka, a Jehar śmignął mieczem i rozrąbał jeźdźcowi gardło. Klacz wyciągnęła szyję w tej samej chwili i kłapięciem szczęk oderwała wierzchowcowi przeciwnika kawał mięsa ze skórą.

Chwilę później Tukul uświadomił sobie, że przebił się przez wroga. Zamrugnął, zaskoczony. Od bram dzieliło go jedynie kilka susów po ubitej drodze. Za jego plecami wrzała bitwa – nie miał czasu, by się dobrze przyjrzeć zmaganiom, ale już na pierwszy rzut oka widać było, że Jehar przebija się przez wroga.

Po prawicy zamajaczył ogromny niedźwiedź. Na oczach Tukula bestia

jednym ciosem potężnej łapy zmiażdżyła końską czaszkę, a olbrzymi jeździec pchnął włócznią, przebił jednego z Jehar i wyrzucił go z siodła. Tukul kopnął końskie boki, wznosił miecz i wykrzyknął zew bojowy.

W tej samej chwili wpadł na nich inny wojownik. Daria zatoczyła się i cudem uniknęła upadku, a wrogi jeździec ciał Tukula w głowę. Ten zablokował uderzenie z narastającą irytacją, wściekły, że zastąpiono mu drogę do wybranego przeciwnika. Zmienił ułożenie ramion i zamierzył się do ciosu z góry. Konny wojownik zdołał go zablokować, po czym przechylił się w siodle i przeszedł do błyskawicznego ataku. Wymierzył pchnięcie w gardło Tukula.

Jehar odrzucił jego ostrze, skinął głową i uśmiechnął się lekko, doceniając umiejętności przeciwnika. Przyjrzał mu się przelotnie – pięknie rzeźbiony hełm, zdobiony kitą końskiego włosa i zakończony kolczą osłoną karku, mocna kolczuga, jednoręczny miecz i tarcza wzmocniona żelazem. Porządna broń, doskonały pancerz, lepszy od większości pozostałych.

To pewnie on nimi dowodzi, pomyślał. Kapitan, może nawet ktoś wysoko urodzony.

Wysokie umiejętności wojownika sprawiły, że Tukul zaszczyił go swoją pełną uwagą. Dotknął żeber Darii piętami, kierując ją najpierw na lewo, a potem naprzód, jednocześnie zasypując wroga ciosami z góry i krótkimi pchnięciami. Jego ostrze krzesало iskry, odbijając się od ostrza przeciwnika, i słało naokoło drzazgi wyrąbane z tarczy. Wojownik w hełmie z końską kitą zablokował większość ciosów, choć jego obrona stawała się coraz bardziej rozpaczliwa, a on sam powoli tracił pozycję. Z rany na udzie i przedramieniu ciekła mu krew. Daria niespodziewanie wgrzyła się w kark jego konia, przez co ten odskoczył i na moment wytrącił jeźdźca z równowagi. Wówczas Tukul uderzył jak błyskawica – jego ostrze zagłębiło się w ramieniu przeciwnika i wniknęło pod rękaw kolczugi, po czym wystrzeliło, przerąbało wodze, uderzyło w kolczugę, pozostawiając po sobie stłuczenia, a może nawet połamane kości, a następnie poderwało się i rąbnęło trzykrotnie w hełm. Trzeci cios wniknął w szczelinę między kolczugą a osłoną na kark. Trysnęła krew, choć Tukul od razu wiedział, że rana nie była głęboka.

Mimo to seria ostrych ciosów doprowadziła do tego, że wojownik zachwiał się w siodle i runął na ziemię, gdzie skulił się, krwawiąc. Tukul pochylił się, szukając sposobności, by zakończyć pojedynek, gdy rozległ się dziki wrzask i kolejny Jehar wyleciał z siodła, uderzony niedźwiedzią łapą.

Ten potwór musi przestać zabijać moich braci!, pomyślał Tukul.

Szepnął coś do ucha Darii, która odskoczyła od powalonego wojownika i runęła prosto na niedźwiedzia z olbrzymem na grzbiecie.

Wokół nich wznosił się już wał zabitych Jehar i ich koni. Tukul powściągnął gniew i runął na niedźwiedzia z boku. Zdecydowanym cięciem otworzył ranę w tylnej łapie potwora i szybko odskoczył. Wiedział, że był to celny cios, który przebił zarówno mięśnie, jak i kość.

Niedźwiedź zaryczał i cofnął się, utykając na ranną łapę. Olbrzym przechylił się w siodle, dostrzegł Tukula i pchnął go włócznią. Jehar zrobił unik i mocnym ciosem przerąbał drzewce. Wyprowadził Darię poza zasięg pazurzastych łap i czując wiatr na twarzy, skręcił ostro i zajechał niedźwiedzia od przodu. Wsunął miecz do pochwy na plecach.

Niedźwiedź stał w miejscu w odległości dwudziestu kroków, nieruchomy, ranny, ale wciąż rozjuszony, wciąż dziki. Zaryczał wściekle na Tukula i Darię, aż z jego pyska trysnęła ślina, a olbrzym dołączył do ryku, wymachując toporem wojennym. Jehar warknął na nich, popędził Darię do szarży, a sam odpiął topór. W pełnym biegu wysunął stopy ze strzemion, płynnym ruchem wślizgnął się na siodło, a potem odbił się od niego i wyskoczył w powietrze. Przemknął nad pazurzastą łapą i z całej siły rąbnął trzymanym oburącz toporem w czaszkę bestii. Pogruchotane kości, przemieszane z masą mógową, strzeliły na boki, skądś dobiegło dzikie rzenie konia. Ciałem niedźwiedzia targnął spazm, po czym bestia runęła, a Tukul wypuścił stylisko i opadł na ziemię z łoskotem, który przeszył całe jego ciało. Próbował się podnieść, ale nie mógł złapać oddechu. Płuca mu płonęły, a plecy paliły żywym ogniem.

Z trudem zarejestrował ogromną postać, która uniosła się znad niedźwiedzich zwłok i zaryczała z wściekłością i rozpaczą.

Wstawaj w tej chwili albo już się nigdy nie podniesiesz!, krzyknął na siebie w duchu. Ignorując spazmy piekielnego bólu, zdołał dźwignąć się na jedno kolano. Olbrzym majaczył już nad nim i wznosił topór do ciosu. Tukul sięgnął po miecz i wyszarpnął go, chwając się lekko. Na jego twarzy zagościł wściekły upór.

Niespodziewanie olbrzym zachwiał się i ryknął z bólu. Zamachał rękami i odwrócił się, a Tukul dostrzegł drobną postać, która przylgnęła mu do pleców, oplótłszy go nogami w talii, i tłukła go pięścią po boku. Długie szpony wyszarpywały z ciała strugi krwi.

Szpony?

Tukul zamrugał, nadal oszołomiony po upadku, aż nagle wszystko zrozumiał.

To Coralen!, przemknęło mu przez myśl.

Olbrzym padł na kolana, próbując dosięgnąć dziewczynę, ale ta złapała go garścią za włosy, odciągnęła szarpnięciem jego głowę i przejechała szponami po gardle. Następnie zeskoczyła na ziemię i przewróciła go kopnięciem.

– W istocie, ta bitwa doczeka się pięknej pieśni – powiedziała i położyła Tukulowi dłoń na ramieniu.

– Żebyś wiedziała, dziewczę – odparł, spoglądając na martwego olbrzyma i jego wierzchowca. Coś mu mówiło, że jego obolałe plecy nie zostaną w owej pieśni wspomniane. Odwrócił się w poszukiwaniu swej klaczy, przekonany, że w siodle poczuje się stabilniej, ale ku swej zgrozie dostrzegł Darię leżącą na ziemi kilkanaście kroków dalej. Jej bok został rozerwany niedźwiedzimi szponami aż do kości.

Podbiegł do niej, potykając się, a klacz uniosła łeb i zarżała. Z jej pyska i nozdrzy buchnęła różowa piana, gdy próbowała wstać, wierzgając. Zdołała podnieść się na przednie nogi, ale znów przewróciła się na bok, błysnąwszy białkami oczu. Ból musiał być nie do zniesienia.

– Spokojnie, moja dzielna dziewczyno! – próbował ją uspokoić Tukul ze łzami w oczach. Poklepał ją po karku, całkiem zapomniawszy o bitwie, która przerodziła się w tępy szum.

Już nie pomkniesz jak wiatr, wierna przyjaciółko, pomyślał.

Przez moment miał wrażenie, że jego głos łagodzi ból rannego rumaka. Daria uniosła łeb i spojrzała na niego czarnymi, wilgotnymi oczami, a Tukul wsparł głowę na jej muskularnym karku i wyszeptał modlitwę. Następnie ucałował Darię i przebił jej mieczem gardło w akcie ostatniej przysługi wyświadczonej wiernej towarzyszce. Klęczał przy niej, obojętny na szalejącą dookoła walkę, gładził ją i szeptał do niej, aż klacz przestała kopać, a jej oczy zeszkliły się.

Tukul powstał, owładnięty mroczną furją, i rozejrzał się.

Coralen znikła gdzieś, a tu, na zboczach, starcie niemalże dobiegało końca. Wróg wycofywał się do wnętrza grodu, a Jehar napierali bez litości. Odgłosy walki docierały z dziedzińca.

Tukul przeszedł przez bramę. Nie poznawał miejsca, które tak dobrze zapamiętał. W powietrzu wisiał ciężki zapach krwi i śmierci, zawsze buchał dym. Mężczyzna spojrzał na salę biesiadną i natychmiast zauważył wielkiego

niedźwiedzia pilnującego schodów. Za nim widać było ciała dwóch ludzi przybitych do kolumn.

Gramm i Wulf!

Niedźwiedź odpędzał każdego, kto się zbliżył, ale nie ruszał się z miejsca, najwyraźniej strzegąc swej zdobyczy.

Tukul biegł ku niemu, ignorując ból pleców. Wyminął Coralen i Enkarę, zwrócone do siebie tyłem i walczące z naporem przeciwnika, przebiegł obok dziesiątek innych starców, coraz mocniej zaciskając dłoń na rękojeści miecza.

Niedźwiedź zauważył go i zaryczał dziko. Zjeżył futro i zamachnął się na starego wojownika, ale ten przemknął pod wielkimi pazurami. Padł na ziemię, przetoczył się, zerwał tuż przed kłapiącymi szczękami bestii i pchnął mieczem w górę. Przebił skórę dolnej szczęki i napierał ze wszystkich sił, coraz mocniej i głębiej, aż ostrze dotarło do mózgu.

Ciało niedźwiedzia przeszło spazm agonii. Z jego pyska buchnęła krew. Bestia gwałtownie zadygotała i zaczęła się osuwać. Tukul zatrzymał ciężar niedźwiedziego łba na swoim mieczu. Stał w miejscu, zbryzgany krwią, oddychając ciężko, aż uwolnił ostrze i pozwolił, by trup osunął się na ziemię.

Wszedł powoli po schodach. Wystarczyło mu jedno spojrzenie, by wiedzieć, że Gramm stanął już na moście mieczy. W jego brzuchu ziała ogromna rana, która wyglądała, jakby została wygryziona. Tukul skrzywił się i przeniósł wzrok na nieprzytomnego, pobladłego z upływu krwi Wulfa. Jego pierś lekko podnosiła się i opadała.

Tukul złapał włócznię, którą przebito nadgarstki mężczyzny, i uwolnił ją. Wojownik opadł w jego ramiona i zamrugął, odzyskując przytomność.

– Mój ojciec – wychrypiał.

Naraz wrzawę na dziedzińcu zagłuszył dudniący ryk. Tukul uniósł głowę i ujrzał niedźwiedzie z olbrzymami na grzbietach, wybiegające z sali biesiadnej, dwa, trzy, cztery. Najbliższego dosiadał jasnowłosy wojownik z ociekającym krwią, wielkim toporem wojennym. Gdy spojrzał na schody przed salą i dostrzegł martwego niedźwiedzia, jego twarz wykrzywiła wściekłość.

Potem zauważył Tukula.

## Rozdział pięćdziesiąty czwarty

# CORBAN

Corban wbiegł po łagodnym wzniesieniu, mijając naprawiane łodzie, wiszące na drewnianych stelażach. Podążał w ślad za Meicałem w głąb labiryntu, złożonego ze spichlerzy, szop na łodzie, wędzarni i warsztatów garbarskich.

Mieli za sobą całą noc wiosłowania tak ostrego, że Corban zaczynał się zastanawiać, czy nie pękną mu płuca. Gdy nastał świt, usłyszał jednak odgłosy bitwy, spływające echem po zboczach wzgórza, i dostrzegł ogień. Meical, który zauważył to samo, popędzał ich bez litości, aż pokonali zakręt na rzece i ujrzeni szopy i przystanie, ciągnące się wzdłuż brzegu.

Na pierwszy rzut oka widać było, że bitwa nie skończyła się jeszcze, ale nie przebiegała pomyślnie dla Gramma. Wielkie kolumny czarnego dymu wznosiły się znad zabudowań ku blademu niebu, a na murach zmagali się walczący.

Corban nakazał wszystkim pochwycić za broń, a sam przypiął sobie skórę wilkuna i założył rękawicę. Farrell i Gar poszli w jego ślady. Trap opuszczono zaraz po tym, jak burta okrętu otarła się o pomost. Meical zeskoczył jako pierwszy, potem Corban, a później reszta. Zatrzymali się na moment, czekając, aż zbierze się większa siła, po czym rzucili się do natarcia. Prowadził Meical, ale Corban trzymał się blisko niego.

Słyszał uderzenia łap Burzy, a dalej ciężkie kroki Balura i odgłosy zwiastujące, że pozostałe okręty również przybijają do brzegu, a wojownicy zbiegają na ląd. Ich plan był bardzo prosty – mieli zebrać się i ruszyć za Meicałem na szczyt wzgórza, gdzie wznosił się gród Gramma. Tam bowiem walka wydawała się najbardziej zacięta. Corban nakazał Cywen, by została na pokładzie wraz z Briną, Buddaiem i kilkoma innymi osobami, choć nie skończyło się to najlepiej. Wydawanie poleceń siostrze najczęściej okazywało się błędną decyzją.



Meical nieco zwolnił, po czym razem wybiegli z wąskich uliczek, chcąc jak najszybciej przemierzyć przestrzeń oddzielającą ich od wysokiego muru. Nieopodal płonęło ognisko, wokół którego zgromadzili się wojownicy w czerwonych płaszczach i czarnych napierśnikach z utwardzanej skóry, ozdobionych białą błyskawicą i zwiniętym węzem. Był to znak Jaela z Isiltiru. Po lewej widać było otwartą bramę i ziemię zasłaną trupami, głównie domowników Gramma. Meical spostrzegł to i bez wahania rzucił się w stronę bramy, najwyraźniej owładnięty szałem bitewnym.

Corban popędził w ślad za nim. Odbił pośpiesznie zadany cios jakiegoś jeźdźca, po czym doskoczyła do niego Burza i praktycznie wyszarpnęła wojownika z siodła. Rozerwała mu gardło, jeszcze nim nieszczęśnik uderzył o ziemię.

Balur wyryczał okrzyk bojowy i na czele kilku wymachujących czarnymi toporami Benothi skoczył na wojów zgromadzonych wokół ogniska. Znów trysnęła krew. W kilka uderzeń serca ludzie Jaela padli martwi bądź rzucili się do ucieczki, a Corban wbiegł za Meicałem do grodu.

Przed sobą mieli tylną ścianę długiej sali biesiadnej, a przed nią placyk ubitej ziemi. Po obu stronach sali ciągnęły się szerokie ulice, obramowane stajniami i szopami wszelakiego rodzaju. Między zabudowaniami szalała zacięta walka. Tu i ówdzie widać było grupki ludzi Gramma, dzielnie stawiających opór przeważającym siłom wroga. Na szczycie wzgórza, przed wejściem do sali, Corban zauważył jeźdźców w czarnych kolczugach, wymachujących zakrzywionymi mieczami.

Jehar...

– Tukul tu jest! – wykrzyknął Corban do Gara, po czym wznosił miecz i rzucił się w sam środek starcia. Myśl o towarzyszach, toczących zawzięty bój po drugiej stronie budynku, przepełniła go zimnym strachem.

Gdzie jest Coralen?, pomyślał.

Ciał jakiegoś jeźdźca po nodze, ściągnął go z siodła i pozostawił kłom Burzy, po czym wpadł na ludzi Jaela, którzy przyparli grupę osadników Gramma do wrót stajni. Nie zatrzymywał się ani na chwilę – zarówno jego miecz, jak i szpony wilkuna cięły, chlastały, kłuły. Zawładnęło nim coś, co Gar nazywał umysłem bitewnym. Wojownicy zdawali się wówczas poruszać wolniej, jakby byli pod wodą, a Corban widział każdy ich cios, jeszcze zanim został wyprowadzony. Jakiś pieszy mężczyzna z mieczem i tarczą zbliżył się ostrożnie do niego i pchnął ostrzem, ale Corban przypadł blisko, odbił wroga

klinę na bok i dziabnął woja pazurami wilkuna nad krawędzią tarczy. Gdy cofnął rękę, szpony były czerwone od krwi, a przeciwnik osuwał się na ziemię. Chwilę później Corban odbił cios czyjejs włóczni, pchnął atakującego mieczem w pachę i piruetem zszedł z linii ciosu innemu konnemu. Burza w odpowiedzi skoczyła na wierzchowca, który stanął dęba i zrzucił jeźdźca na ziemię. Corban przebił mu gardło, nim zdążył się podnieść. Gdzieś po prawej stronie dostrzegł Farrella, który miazdżył młotem czyjąś czaszkę, a po lewej Gara, ścinającego przeciwnikowi głowę. Jeździec przed Corbanem zwałił się z konia ze strzałą w gardle.

Dath!, przemknęło Corbanowi przez myśl.

Zerknął za siebie i zauważył Kullę, osłaniającą plecy jego przyjaciela.

Niespodziewanie płonącym grodem wstrząsnął ogłuszający ryk. Corban kątem oka zauważył, jak coś ogromnego znika za rogiem sali biesiadnej. Spojrzał na Gara, ale ten skupił się na wyszarpywaniu miecza z czyjejs piersi. Corban parł więc naprzód.

Był już blisko gmachu sali biesiadnej, gdzie teren się wyrównywał, ale drogę nadal zagradzała mu ciżba walczących. Warknął z frustracją, gdyż oddałby wiele, by znaleźć się blisko Tukula, Coralen i innych. Rozejrzał się i dostrzegł schody prowadzące na mur. Bez namysłu skoczył ku nim, a Burza, Gar, Farrell, Dath i Kulla ruszyli za nim.

Na pomoście nie było żywego ducha. Corban zatrzymał się na moment, by spojrzeć wokół.

Jak okiem sięgnąć, toczyły się zawzięte starcia. Zgrzytało żelazo, ludzie wrzeszczeli, konie stawały dęba i rzucały się w tłum. Coraz więcej ludzi Corbana wdzierało się do grodu, a wśród nich gnali liczni Benothi. Dostrzegł Javeda prowadzącego oddział wioślarzy, spośród których wielu było weteranami walk w jamach Vin Thalun, oraz Meicala, przebijającego się przez wroga. Za nim brnęli Balur i jego Benothi, w zgiełku bitwnym przypominający dryfującą wyspę.

Naraz Corban wychwycił nowy odgłos, ledwie słyszalny, dobiegający z przeciwnej strony budowli. Był to okrzyk bojowy, który po raz pierwszy usłyszał z ust ojca.

– Prawda i odwaga – powtórzył szeptem za wojownikami.

To Tukul, Tukul tam jest, pomyślał.

Biegł, przeskakując przez ciała poległych. Deski pomostu dudniły pod jego stopami. Wkrótce ujrzał strażnicę nad bramą, która płonęła żywym ogniem,

śląc fale gorąca i czarnego dymu. Na łąkach za murami i przed wyrwanymi wrotami zalegały stosy trupów.

Jeszcze kilka kroków i znalazł się nad dziedzińcem przed wejściem do sali biesiadnej, gdzie nadal trwała ostra walka, ale nie było tak gęsto. Gdzieś mignęły mu rude włosy, co przyjął z nagłą ulgą, ale nim zdołał zawołać bądź choćby pomyśleć, dostrzegł schody prowadzące do sali biesiadnej. Stał przed nimi Tukul z wzniesionym wysoko mieczem, a przed nim znajdował się niewyobrażalnie wielki niedźwiedź z jasnowłosym olbrzymem na grzbiecie. Prócz niego na dziedzińcu szalało trzech innych olbrzymów dosiadających równie wielkich niedźwiedzi, zabijając każdego, kto im się nawinał.

Corban i jego towarzysze zamarli i z niedowierzaniem wpatrywali się w krwawe widowisko. Wtem niedźwiedź skoczył na Tukula i kłapnął szczękami, a olbrzym pochylił się w siodle, by uderzyć Jehar młotem. Ten uskoczył na lewo i ciął niedźwiedzia po pysku, pozostawiając krwawą pręgę. Zwierzę zaryczało z bólu i wściekłości, podniosło się na tylne nogi i skoczyło na przeciwnika. Cios pazurzastej łapy wyrzucił Tukula w powietrze i cisnął go na schody.

Dath naciągnął cięciwę i posłał strzałę w bok bestii. Pocisk wbił się aż po pióra, ale niedźwiedź drgnął jedynie, jakby ukąsił go komar. Dath posłał w niego jeszcze kilka strzał, a ostatnia – czwarta – miała ugodzić w olbrzyma, ale ześlizgnęła się po skórzanym pancerzu. Jeździec znów zamierzył się do ciosu.

– Prawda i odwaga! – ryknął Gar i zeskoczył z pomostu. Z łoskotem wylądował na dachu stajni, przetoczył się po nim i zeskoczył na ziemię.

Corban powtórzył okrzyk bojowy i ruszył w ślad za swym nauczycielem, a jako trzecia z wdziękiem wylądowała na ziemi Burza. Wojownicy walczący na dziedzińcu odwrócili się, słysząc wołanie, a Corban miał wrażenie, że z oddali dociera do niego dzikie rzenie.

Tarcza?

Obok ucha świsnęła mu kolejna strzała, która z głuchym młaśnięciem wbiła się w brzuch niedźwiedzia. Tym razem bestia zatrzymała się i spojrzała na ozdobiony piórami pocisk, sterczący jej z boku.

Tukul wykorzystał sposobność i przypadł do niedźwiedzia, tnąc go po ramieniu, po czym znów wycofał się po schodach. Corban popędził przez dziedzińiec, klucząc między konnymi Jehar zwartymi w walce z wojownikami w czerwonych płaszczach. Znów dostrzegł Coralen – rudowłosa zwiadowczyni

stała zwrócona plecami do Enkary i we dwie stawiały opór czterem, może pięciu przeciwnikom. Zmienił wówczas kierunek, przywołując krótkim warknięciem Burzę. Wilkunica skoczyła na walczących i przewróciła jednego z mężczyzn w czerwonym płaszczu na ziemię. Jego wrzask ucichł niemalże natychmiast. Ułamek sekundy później między walczących wpadł Corban, który rąbnął któregoś z ludzi Jaela w szyję i wyszarpnął miecz z jego ciała, gdy ten runął na ziemię, zachłystując się krwią. Młodzieniec zawinął i wbił szpony w udo innego wojownika, który zatoczył się i przewrócił, gdy noga odmówiła mu posłuszeństwa. Coralen dobiła go szybkim ciosem.

Nie było czasu na rozmowę. Corban spojrzał na dziewczynę, po czym odwrócił się i bez słowa popędził w kierunku Tukula, który walczył u szczytu schodów, zasłaniając dwóch rannych. Niedźwiedź był pokiereszowany – utykał na jedną łapę, a z licznych ran zadanych mu mieczem i strzałami ciekła krew – a olbrzym na jego grzbiecie wykrzykiwał gardłowym głosem rozkazy. Za jego plecami pozostali jeźdźcy uformowali półkrąg, by osłonić jasnowłosego, bez wątpienia ich przywódcę, gdy będzie zadawał śmiertelny cios.

Biegnącemu Corbanowi gdzieś mignęło futro wilkuna oraz ciemna kolczuga. Przyśpieszył, uświadomiwszy sobie, że Gar i Farrell znacznie go wyprzedzili. Gara, który pędził prosto na schody, zauważył któryś z olbrzymów. Wykrzyknął ostrzeżenie i cisnął w wojownika włócznią, ale Gar uskoczył płynnie. Broń wbiła się w twardą ziemię, a Gar błyskawicznie znalazł się między dwoma niedźwiedziami. Przetoczył się pod wzniesioną łapą i wskoczył na schody, próbując dotrzeć do ojca. Corban zauważył, że niedźwiedź na schodach był coraz bliżej Tukula, który najwyraźniej nie miał już zamiaru się cofać, chcąc bronić obu rannych. Zwierzę zamachnęło się wielką łapą, a Tukul przemknął pod nią, wyprostował się płynnie i chlasnął ze wszystkich sił, odrąbując niedźwiedziowi kończynę.

Ryk bestii był wprost ogłuszający. Tukul zachwiał się, a jasnowłosy olbrzym wykorzystał ten moment, by zakręcić młotem i rąbnąć przeciwnika w pierś. Jehar padł na drzwi i osunął się na ziemię.

Gar wrzasnął. Wbiegł na górę schodów, przemknął obok obu rannych i przypadł do ojca. Za nim pojawiła się Burza, która wskoczyła niedźwiedziowi na kark i zatopiła kły w jego ciele. Bestia targnęła się i zrzuciła olbrzyma z siodła. Wielki wojownik rąbnął o ziemię tuż przy schodach, a niedźwiedź machnął okaleczoną łapą, z rozdzierającym trzaskiem zrywając Burzę ze

swego grzbietu. Wilkunica uderzyła z łośkotem o jedną z kolumn.

Corban wraz z pozostałymi dotarł na górę schodów, wymijając szalejącego niedźwiedzia. Ranne zwierzę zamachnęło się na Coralen, ale ta nachyliła się pod tnącą powietrze łapą, a Corban doskoczył i zatopił wilkunie szpony w miękkim podbrzuszu bestii. Przeorał jej ciało, uwalniając fontanny krwi, po czym przypadli do niej inni. Coralen, Enkara i Kulla kłuli i cięli, a Farrell zamachnął się młotem, który rozbił niedźwiedziowi czaszkę. Ciało zwierzęcia przeszył spazm. Potwór znieruchomiał i runął.

Pozostali niedźwiedzi jeźdźcy zbliżali się, a zrzucony na ziemię olbrzym podniósł się i obrzucił ludzi wściekłym spojrzeniem, sięgając po swój topór wojenny.

Corban podbiegł do Burzy.

Wilkunica podniosła się z trudem, zatoczyła i zaskomlała, gdy dotknął jej zeber, ale warknęła na nadciągające niedźwiedzie. Pozostali uformowali wokół nich ochronny półkrąg, najeżony ostrzami. Jasnowłosey olbrzym uklęknął przy zmasakrowanym niedźwiedziu.

– Wychowałem ją od szczenięcia! – oznajmił zgrzytliwym głosem i złapał za młot, a potem obrócił go między palcami, tak jak to Cywen zwykła robić z nożami.

Dwaj niedźwiedzi jeźdźcy wciąż się zbliżali, inny zwarł się na dziedzińcu z wojownikami Jehar, zatrzymując ich.

Corban przygotowywał się na najgorsze.

Nigdy dotąd nie walczyłem z olbrzymem, pomyślał. Choć na pewno nie będzie tak źle jak z Kadoshim.

Zacisnął zęby.

– Jestem Ildaer, przywódca Jotun – rzekł olbrzym. – Powinieneś poznać imię tego, kto cię zgładzi.

– Chodź tylko bliżej i spróbuj! – warknęła Coralen.

W powietrzu śmignęła strzała, która wbiła się Ildaerowi w ramię. Olbrzym zatoczył się, a wtedy rozległ się zduszony okrzyk i Gar wybiegł z za Corbana. Popędził w dół schodów z wzniesionym mieczem. Ildaer poderwał młot i zatrzymał cios człowieka wzmocnionym żelazem drzewcem. Gar uderzył w niego barkiem. Obaj stoczyli się na ziemię, gdzie przyboczny Corbana zerwał się w okamgnieniu i rzucił się do ataku na olbrzymia, który podniósł się tylko ułamek sekundy wolniej, pochwyił młot w obie dłonie i zaczął blokować nawał ciosów, cofając się krok za krokiem. Był o wiele wyższy od

Gara, ale to człowiek miał przewagę. Napierał bez litości i uderzał zbyt szybko, by Corban mógł nadażyć za nim wzrokiem, to wysoko, to znów nisko, to ciął, to znów robił wypad, markował uderzenie, by po chwili połączyć ciosy w kunsztowną kombinację. Młodzieniec nigdy dotąd nie widział w nim takiej dzikości i takiej potęgi.

Olbrzym okazał się szybki, o wiele szybszy, niż by się mogło wydawać, sądząc po jego rozmiarach. Blokował każdy cios i kontrował drzewcem młota, cofał się i znów uderzał, ale mimo to nie był w stanie przewyciężyć wściekłego tajfunu, jakim stał się Gar. Na oczach Corbana na udzie Ildaera pojawiło się czerwone skaleczenie, potem kolejne na przedramieniu i jeszcze jedno na policzku.

Olbrzym znów cofnął się o krok, a Gar nadal napierał. Corban zmarszczył brwi. Coś było nie tak i minęła chwila, nim się zorientował. Gar powtarzał tę samą kombinację ciosów, przed czym wielokrotnie go ostrzegał. Przypomniał sobie radę, którą usłyszał kiedyś od swego nauczyciela, zdawałoby się wieki temu.

„Gniew jest wrogiem”.

Ildaer nagle przestał się cofać. Odbił kolejne uderzenie Gara, odpychając daleko jego ostrze, po czym kopnął go w pierś. Corban usłyszał trzask pękających kości, a Gar przetoczył się po ziemi. Olbrzym ruszył na niego.

Corban w jednej chwili stanął mu na drodze.

– Gdzie twój honor? – zadrwił Ildaer. Policzek olbrzymia był zalany krwią, która spływała też po ramieniu, wśród wijących się, kolczastych tatuaży, i wnikała w wełniane spodnie.

– Niech szlag trafi honor! – warknął Corban. – To mój przyjaciel, a ty będziesz musiał mnie zabić, zanim go tkniesz ponownie.

Za jego plecami rozległo się głucho warczenie Burzy.

Ildaer spojrzał na niego i na jego przyjaciół. Pozostałe olbrzymy oraz ich niedźwiedzie zamarły, a napięcie zawisło nad nimi niczym chmura burzowa.

Niespodziewanie rozległ się nowy głos. Corban spojrzał na lewo i zobaczył Balura oraz Meicala, stojących po przeciwnej stronie dziedzińca. Za ich plecami czekały dziesiątki Benothi oraz Jehar.

– Ildaer, ty szczeniaku! – warknął Balur i uniósł swój czarny topór.

– Balur Jednooki... – wyszeptał Ildaer, który nagle pobladł jak ściana. – To niemożliwe!

Nagle przypadł do najbliższego towarzysza, wspiął się na grzbiet jego

niedźwiedzia i wraz z nim pomknął przez bramę. Balur na czele Benothi popędzili za nimi, wykrzykując zniewagi. Corban zaś uklęknął przy przyjacielu. Gar był przytomny, oddychał szybko, rytmicznie.

– Pomóż mi – szepnął. – Pomóż mi podejść do ojca.

Farrell stał niedaleko. We dwójkę dźwignęli Gara i wnieśli go po stopniach, mijając dwóch rannych, których Tukul zasłonił własnym ciałem – jeden z nich był nieprzytomny, a drugi już dawno rozstał się z życiem – po czym stanęli przy poskręcanej ciele starego Jehar. Tukul leżał tam, gdzie padł. Wciąż żył, ale jego oddech był chrapliwy, urywany. Gar, opanowując własny ból, wziął go za rękę.

Tukul otworzył oczy. Przez moment widać w nich było jedynie mgłę, po czym dojrzał syna.

– Mój Gar – wychrypiał. Na jego ustach pojawiły się plamki krwi.

– Corban, gdzie jest Brina? – zapytał Gar łamiącym się głosem. – Poślij po Brinę!

– Spokojnie, Gar... Na to już... już za późno – wykrztusił Tukul. Spojrzał dalej i dostrzegł Corbana oraz pozostałych. – Mówiłem, że... że będę tu pierwszy – wyszeptał do młodzieńca.

– Prawda – odparł tamten, dławiony wzruszeniem.

– Zasłużyliśmy sobie na piękną pieśń, co, Cora?

– Tak, zasłużyliśmy – odparła dziewczyna drżącym głosem. – Choć głównie ty. Nie wystarczył ci jeden niedźwiedź, co? Musiałeś zabić dwa?

Na ustach Tukula pojawił się cień uśmiechu.

– Pamiętaj, co ci mówiłem.

Dziewczyna odpowiedziała lekkim uśmiechem. Tukul zakaszłał i zeszywniał z bólu, a po jego podbródku pociekła strużka krwi.

– Miecz – wyszeptał ledwie słyszalnym głosem.

Corban wsunął rękojeść do ręki Tukula i zamknął wokół niej jego palce, po czym odwrócił głowę, by ukryć swój żal. Był wszak Jasną Gwiazdą Tukula i do ostatniej chwili jego życia nie miał zamiaru okazywać słabości, bez względu na to, ile go to miało kosztować.

Rozległy się kroki. Meical stał w ciszy i patrzył na umierającego.

– Gar, mój ukochany synu – szeptał Tukul. – Jesteś mą największą radością.

Po policzkach Gara płynęły łzy.

– Nigdy o tym nie zapominaj. Do zobaczenia po drugiej stronie – dodał

słabym głosem stary Jehar, po czym westchnął i odszedł.



## Rozdział pięćdziesiąty piąty

# VERADIS

Veradis stał na dziobie okrętu i wpatrywał się w wybrzeże Tenebralu.

Wychowałem się na tych brzegach, pomyślał i zamknął oczy, a wtedy przypomniał sobie, jak żeglował z Krelisem. Delfiny ścigały ich łódź, a jego brat śmiał się głośno.

Krelis zawsze się śmieje w moich wspomnieniach, uświadomił sobie.

Wspominał, jak pływali w zatoce Ripy, opalali się na skałach, pili wino i ćwiczili się w walce na plażach, które otaczały zatokę.

Krelis pękał ze śmiechu, gdy nie chciałem się poddać, choć był starszy i o wiele większy.

Otworzył oczy, gdy wyczuł zmianę kursu. Alazon wykrzykiwał rozkazy, załoga złapała za liny, by zwinąć żagle, a z otworów w burcie wysunęły się wiosła. Wpływali do szerokiej, głębokiej zatoki, w której witały ich wysokie klify nad piaszczystymi plażami.

Zatoka Ripy, pomyślał Veradis. Dom.

Wpłynęli z otwartego morza w objęcia osłoniętej od gwałtownego wiatru zatoki. Pozostałe czternaście okrętów skręciło w ślad za nimi. W zatoce czekały na nich kolejne jednostki, niektóre skupione wokół portu Ripy, inne rozrzucone po akwenie. Veradis dostrzegł w ich gronie jeszcze inne.

Choć to chyba wraki, przemknęło mu przez myśl.

W istocie, były zniszczone i poczerniałe od ognia, inne wywrócone, dryfujące.

Flota Ripy, pomyślał młodzieniec i zmarszczył czoło.

Dalej, na lśniących klifach piaskowca, wznosiła się wieża Ripy, zbudowana przez olbrzymy, ale później podbita i zagarnięta przez ludzi, obecnie siedziba i symbol władcy zatoki.

Mego ojca, myślał Veradis. Co ja tu właściwie robię?

Waga misji, jaką mu przydzielono, przygniatała go do ziemi. Wystarczyło, by przypomniał sobie o zadaniu, a przepełniający go błogi optymizm oraz radość z życia, jasna niczym blask słońca, ustępowały przygnębieniu i świadomości rychłej zagłady. Myślami wrócił do Calidusa nad brzegiem rzeki Afren, który przed postawieniem żagli odciągnął go na bok i rzekł: „Sprowadź mi Fidele. W kajdanach, jeśli będzie trzeba”.

Veradis nie wierzył w to, że królowa wyszła za Lykosa, i powątpiewał w prawdziwość plotek, ale siwowłosey doradca – oraz Ben-Elim! – upierał się, że tak właśnie było.

„Byłem równie zaskoczony jak ty” – rzekł. – „Ale to prawda. Wszystko wskazuje na to, że Lykos jest w niej mocno zadurzony, ale to nie wszystko. Fidele aresztowała Peritusa i Armatusa, po czym skazała obu na śmierć, co najwyraźniej wywołało tę rebelię. Doszło do zamieszek, podczas których Lykos i Vin Thalun zostali zaatakowani przez wściekły tłum, a Fidele zniknęła, by kilka księżyców później pojawić się w Ripie, która stała się centrum powstania. Kobieta wypiera się teraz zarówno Lykosa, jak i Vin Thalun, oraz wzywa cały Tenebralu, by powstał przeciwko nim”.

Veradis pokręcił głową, nie mogąc oderwać wzroku od wieży.

Fidele, mój ojciec i moi bracia, myślał. Jak ja zdołam to wszystko naprawić? Jestem wojownikiem, nie dyplomata.

„Czego ode mnie oczekujesz?” – zapytał Calidusa.

„Spróbuj przemówić im do rozumu. Potrzebujemy pokoju z Lykosem u steru. Niemniej, jeśli okaże się to niemożliwe, będziesz musiał wydać im bój. Osiągnij decydujące zwycięstwo i pokaż wszystkim siłę twego muru tarcz”.

„Wszystkie drużyny w Tenebralu szkoliły się w walce w murze tarcz. Dojdzie do niepotrzebnej rzezi”.

„To prawda, ale twój ojciec oraz Krelis to oporni ludzie i niechętnie podchodzą do nowości. Nie sądzę, by kazali swym ludziom walczyć w murze tarcz, a nawet gdyby do tego doszło, pamiętaj, że masz za sobą starcia z olbrzymami, draigami i tysięcznymi armiami. Masz ogromne doświadczenie, zdobyte w wielu zaciętych bitwach. Nie przegrasz tej walki”.

Ale jak ja mogę walczyć z własną rodziną?, pomyślał Veradis.

„Musisz dopaść wszystkich, którzy stoją na czele powstania: Fidele, Peritusa, twego ojca oraz brata, wszystkich. Nie wolno ci okazać litości czy kierować się sentymentem. Trzeba ich wyeliminować i tyle. Trzeba pokazać

całemu Tenebralowi, że opieranie się Nathairowi jest pozbawione sensu. Fidele przyprowadź do mnie, a z resztą zrób to, co uznasz za stosowne. Możesz oddać ich mnie, możesz ich stracić, wygnać, jak sobie życzysz” – zakończył rozmowę Calidus.

– To, co uznam za stosowne – mruknął Veradis.

\* \* \*

Port Ripy był opustoszały i panowała w nim cisza. Piętnaście okrętów przybiło do brzegu, a zbrojni zeszli na ląd. Veradis miał pod swoimi rozkazami prawie tysiąc ludzi w żelaznych hełmach, kolczugach i czarnych, wypolerowanych napierśnikach, na których połyskiwały srebrne orły. Przez ostatnie dwa lata batalii ich strój i pancerze zostały ulepszone. Zamiast sandałów wojownicy nosili teraz wzmocnione żelazem buty, wełniane spodnie w miejsce skórzanych kiltów, a okrągłe tarcze zostały zastąpione dłuższymi i owalnymi. Każdy z nich uzbrojony był w dwa miecze, długi i krótki, a ich włócznie były lżejsze i dłuższe od tych, które wykorzystywano podczas polowań.

Lykos wyszedł im na powitanie w asyście kilku setek Vin Thalun, którzy w porównaniu z karnymi szeregami Veradisa przypominali bardziej dziki motłoch niż zbrojną drużynę.

Ale mimo to wydają się groźni, pomyślał młodzieniec. Zwłaszcza ten.

Spojrzał na wojownika stojącego obok Lykosa. Mężczyzna był średniego wzrostu, szczupły i poznaczony wieloma bliznami, ale miał zimne, twarde oczy, szare niczym wzburzone morze. Nie znać w nich było żadnych emocji.

Ma martwe oczy, pomyślał Veradis.

– Cieszę się, że was widzę – powiedział Lykos i uśmiechnął się, po czym objął wojownicy uścisnęli sobie przedramiona.

Sytuacja w Tenebralu nie rozwijała się dla Lykosa pomyślnie i jeszcze jakiś czas temu Veradis być może odczuwałby z tego powodu nieco satysfakcji – nie był wszak w stanie pozbyć się głęboko zakorzenionych uprzedzeń wobec Vin Thalun – ale po tym, jak sam poniósł porażkę w starciu z Corbanem, dobrze wiedział, jak Lykos się czuje.

– Nathair przekazuje pozdrowienia – rzekł. – Oraz to.

Wsunął rękę pod połę płaszcza i wyciągnął dwa zwoje. Sprawdził pieczęcie, po czym jeden z nich przekazał Lykosowi, a drugi schował. Pirat wsunął zwój

za pas.

– Nie otworzysz? – Veradis uniósł brew.

– Później – odparł Lykos i położył dłoń na jego ramieniu. – Bo teraz czeka nas bitwa.

– Co?

– Przybywasz w najlepszym możliwym momencie, mój stary przyjacielu – rzekł Lykos. Jego oddech cuchnął winem. – Ale jeśli się nie pośpieszymy, stracimy dobrą zabawę.

Stary przyjacielu?

– Na polach za Ripą zebrały się trzy hufce, które wpatrują się w siebie ze złymi zamiarami.

– A więc nie traćmy ani chwili – oznajmił Veradis i poprowadził swój hufiec ulicami Ripy.

\* \* \*

Veradis rozglądał się po równinie. Stał u stóp wzgórza, na którym wzniesiono Ripę. Na łąkach po lewej stronie aż po skraj lasu Sarva ciągnęły się szeregi Vin Thalun, na pierwszy rzut oka liczące około trzech tysięcy zbrojnych. Na wschodnich zboczach zgromadził się hufiec z Ripy, mniej liczny, ale robiący groźniejsze wrażenie. Wszyscy wojownicy nosili czerń i srebro Tenebralu, choć bez orła Nathaira.

Na północy zaś stał inny tenebralski oddział, nad którym powiewały proporce Marcellina z Baran. Z tej odległości trudno było ocenić ich liczebność, ale nie ulegało wątpliwości, że jest ich wiele tysięcy.

Lykos nie żartował, pomyślał Veradis. Rzeczywiście przybyłem w dobrym momencie.

– Potrzebuję osiodłanego konia – zwrócił się do przywódcy piratów. Ten zmarszczył brwi, ale warknął rozkaz do jednego z przybocznych, który rzucił się do biegu. – Caesusie, wiesz, co do ciebie należy – oznajmił Veradis, a młody kapitan skinął i odmaszerował z dwoma tuzinami orlich gwardzistów.

Chwilę później Veradisowi podprowadzono białą klacz, która aż drobiła kopytami w miejscu z rozsadzającej ją energii. Młody wojownik dopasował uprząż, wskoczył w siodło i poklepał zwierzę po karku. Wyciągnął dłoń, a któryś z jego ludzi wręczył mu biały proporzec z czarną gałęzią

i czerwonymi owocami jarzębiny, odwiecznymi symbolami rozejmu. Wznosząc go wysoko, Veradis popędził w górę zbocza w kierunku hufca ojca.

Niebawem rozpoznał już pierwsze twarze – wszak byli to ludzie, wśród których spędził osiemnaście lat życia. Skręcił i przegalopował wzdłuż szeregów wojowników z Ripy, witając skinieniami znajomych i budząc ożywione szepty. Wnet dotarł na środek szyku, gdzie ściągnął wodze przed mężczyzną wyższym o głowę od wszystkich pozostałych. Był to jego brat Krelis. Przez moment spoglądali na siebie w milczeniu.

– Nie spodziewałem się, że cię tu zobaczę – odezwał się w końcu Krelis.

– Musimy porozmawiać – rzekł Veradis. – Sprowadź tam ojca.

Ruchem głowy wskazał środek równiny, gdzie Caesus i dwa tuziny orlich gwardzistów wznosili właśnie biały namiot.

– Nie sądzę, by było jeszcze o czym rozmawiać – odpowiedział Krelis.

– Jeśli nie usiądziemy do rozmów, wielu dobrych ludzi zginie bez powodu.

Za wznoszonym namiotem maszerowała orla gwardia w formacji muru tarcz. Veradis przez moment spoglądał na nich z podziwem i dumą. Jednocześnie trzask ich tarcz, gdy żołnierze wykonali zwrot i zamarli w szeregu, poniósł się echem nad równiną. Krelis również przyglądał się nowo przybyłym.

– To pułapka. Nie ufam tej świni Lykosowi.

– Zaufaj więc mnie. To spotkanie pod znakiem jarzębiny. Moi ludzie będą strzegli wszystkich, którzy postawią tam nogę.

Raz jeszcze spojrzął na Krelisa. Wokół jego oczu i na czole pojawiły się zmarszczki, których Veradis nie widział podczas ich ostatniego spotkania.

– Zmieniłeś się – powiedział Krelis.

Veradis uśmiechnął się. Tak, starszy brat zawsze potrafił wywołać u niego uśmiech.

– Ty też, bracie. Zestarzałeś się.

– Bezczelny smarkacz. – Krelis uśmiechnął się szeroko.

Veradis ponaglił konia.

– Zabierz ojca i każdego innego, kto twoim zdaniem ma coś do powiedzenia – dodał i skierował się na północ, gdzie obozował Marcellin.

Ponad cztery tysiące ludzi, pomyślał, podjeżdżając bliżej. Prawie pięć.

Marcellin pochodził z Baran, fortecy wznoszącej się w górach Agullas. Był ogromnym, szorstkim mężczyzną w wieku gdzieś między pięćdziesiąt a sześćdziesiąt lat. Na pobrużdżonej twarzy uwagę zwracały gęste, krzaczaste

brwi.

Bos urodził się w Baran i tam też się wychował, przypomniał sobie Veradis i poczuł żal na myśl o zmarłym przyjacielu. W tych czasach tak trudno o dobrych przyjaciół.

– Kim jesteś? – spytał Marcellin, gdy młodzieniec wstrzymał przed nim konia.

– Jestem Veradis ben Lamar, pierwszy miecz i generał króla Nathaira. Przemawiam w jego imieniu.

– Doprawdy? – spytał Marcellin i zmarszczył brwi, patrząc na Veradisa.

– Tak, panie.

– Cóż, nie próbuj nawet odwieść mnie od powziętego zamiaru, bo uparłem się wykopać tego dupka Lykosa z mojej ojczyzny. Ten człowiek jest jak gangrena i trzeba go wypalić! Nie przekonasz mnie, bym się wycofał.

– Nie będę próbował – rzekł Veradis. Wsunął rękę pod poję płaszcza, na co przyboczni Marcellina natychmiast wymierzili w niego włócznie. – Nie przychodzę tu jako zabójca! – dodał, próbując ukryć gniew, ale nie miał pewności, czy mu się to udało.

– A więc zalecam wolniejsze ruchy – powiedział Marcellin. – Moi chłopcy lubią swego starego.

Veradis podał mu zwój z czerwoną pieczęcią.

– To od Nathaira – rzekł.

Marcellin wziął list, marszcząc brwi z irytacją.

– Przeczytaj go i jeśli masz ochotę, zapraszam na spotkanie pod znakiem jarzębiny z Lykosem i Lamarem – dodał Veradis.

I odjechał, nie czekając na odpowiedź.

## Rozdział pięćdziesiąty szósty

# CYWEN

Cywen owinęła pierś Gara bandażami. Na jego skórze rozlewały się już sińce, ale nawet się nie skrzywił, gdy dziewczyna ściągnęła ciasniej materiał wokół klatki piersiowej. Nadal siedział ze spuszczonego wzrokiem. Cywen zawiązała opatrunek i uścisnęła dłoń mężczyzny, a on wówczas spojrzał na nią przekrwionymi, pustymi oczami.

Pamiętam ten ból i nadal go czuję, choć jest pogrzebany głębiej niż kiedyś, pomyślała. Mama, tata, Heb, Tukul... Ilu jeszcze bliskich stracimy, nim to wszystko dobiegnie końca?

Żałowała, że nie potrafi w żaden sposób ukoić tego bólu.

– Masz popękane żebra – powiedziała. – Opatrunek pomoże im się zagoić, ale nie zmienia to faktu, że każdy twój ruch będzie się teraz wiązał z bólem. Mam na myśli również oddychanie.

Gar pokiwał głową, a dziewczyna pomogła mu założyć ciemną kolczugę.

– I weź to – dodała, wręczając mu fiolkę.

– Co to takiego?

– Wywar z mleka i maku. Uśmierzy ból.

– Nie chcę, by coś go łagodziło. Zasłużyłem sobie na niego – wymamrotał Gar, po czym złapał miecz w pochwie i wyszedł.

Sala biesiadna została pośpiesznie zamieniona na szpital. Ranni leżeli na wszystkich ławach, a w powietrzu unosił się metaliczny zapach krwi. Sama Cywen nie wzięła udziału w bitwie. Została na okręcie i z polecenia Corbana nadzorowała wyładunek zapasów. Z początku rozkaz brata ją rozdrażnił, ale rozumiała sens, który się w nim krył. Nie była jednak wojowniczką, jak Corban, Gar czy nawet Farrell, a wyładunkiem musiał zająć się ktoś z głową na karku. Pozostała więc na pokładzie z Briną, która nie przestawała na nią powarkiwac, a także z Laith i pozostałymi młodymi olbrzymami, które zajęły

się dźwiganiem. Balur i Ethlinn również surowo zabronili im wzięcia udziału w bitwie.

Do pomocy mieli też ponad dwie dziesiątki wieśniaków, którzy dołączyli do nich podczas podróży przez Narvon, oraz kilka dziesiątek wiosłarzy, którzy siedzieli przy wiosłach podczas ostatniego etapu szaleńczego wyścigu ku osadzie Gramma i byli zbyt wyczerpani, by brać udział w walce. Cywen i Brina miały więc do swojej dyspozycji całkiem sporą grupę pomocników.

Wszystkie okręty były już niemalże rozładowane, gdy Cywen usłyszała wielki łomot. Natychmiast wbiegła na wyniesioną ponad pokład rufę, by rozeznać się w sytuacji. Gród na szczycie wzgórza nadal był spowity dymami, ale zgiełk bitewny przycichł już, a z nim wrzaski. Ów łoskot zdawał się jednak narastać, a za osadą pojawił się wielki kłęb pyłu. Brina i Laith stanęły przy dziewczynie, a w ślad za nimi zbliżyła się także reszta młodych olbrzymów.

Gęsty kłęb, który zmierzał na wschód, skręcił teraz na północ, a Cywen dostrzegła, że pył bije spod nóg rozpędzonych zwierząt, niewielkich z tej odległości, ale zdecydowanie większych od koni. Naliczyła ich trzy albo cztery. Na ich grzbietach zasiadali jeźdźcy.

– Co to takiego? – zapytała. – Woły?

– To niedźwiedzie bojowe klanu Jotun – odparła Laith głosem, w którym mieszał się podziw z pogardą.

Chwilę później Cywen ujrzała, przed czym uciekają niedźwiedzie. Na drodze pojawiła się masa jeźdźców oraz olbrzymów, ale ku jej zdumieniu odległość między ściganymi i ścigającymi się powiększała. Niedźwiedzie z zaskakującą prędkością zbliżyły się do rzeki i jeden po drugim wskakiwały w jej nurt. Znikały pod powierzchnią wody, ale natychmiast się wynurzały i już po chwili płynęły w stronę drugiego brzegu. Cywen patrzyła, jak zwierzęta wychodzą na ląd i otrzepują się. Jeden z uciekinierów zeskoczył z grzbietu bestii i podszedł do brzegu rzeki, skąd spojrział na prześladowców. Cywen dostrzegła wśród nadjeżdżających siwe włosy Balura Jednookiego. Olbrzym po drugiej stronie wzniosł broń – dziewczyna stała zbyt daleko, by widzieć, czy był to młot czy topór – i coś wykrzyknął. Nie było odpowiedzi, więc wielkolud odwrócił się, wspiął na grzbiet niedźwiedzia i trzy bestie odjechały.

Wkrótce dotarły do nich wieści, że bitwa dobiegła końca, a Brina i Cywen są potrzebne w osadzie.

Nadal miała pełne ręce roboty. Pozwoliła sobie na krótką przerwę, by



odprowadzić wzrokiem wychodzącego Gara, opromienionego blaskiem słońca w zenicie. Oprócz niej przy rannych uwijało się kilka osób – Brina, Ethlinn i Laith oraz miejscowe uzdrowicielki, którym przewodziła kobieta o imieniu Hild, żona Wulfa, syna Gramma. Po przeciwnej stronie sali złożono poległych – Jehar, Benothi i obrońców osady. Cywen spojrzała na ciało Tukula, owinięte płaszczem i ułożone przy zwłokach Gramma.

Tylu poległych..., pomyślała i poczuła przyływ wściekłego gniewu, skierowanego głównie przeciwko Calidusowi i Nathairowi. A wszystko to przez nich. Przez Calidusa, który utkał swe siatki intryg i nie przestaje pociągać za sznurki. To on jest ojcem całego zła.

Odwróciła się i ruszyła ku drzwiom. Miała już dość duszącego zapachu krwi.

Świeże powietrze. Tak, trzeba mi świeżego powietrza.

Wyszła na portyk przed szerokimi schodami. Zwinięty w kłębek Buddai poderwał się, tłukąc ogonem o drewno. Cywen podeszła do jednej z kolumn wspierających dach nad wejściem i oparła się o nią, oddychając pełną piersią. Przez osadę przemykały podmuchy zimnego wiatru, który wydał się jej ożywczy. Czowała, jak jej skóra zaczyna mrowić, a smród śmierci, jakże gęsty w sali, przestaje jej dokuczać. Spojrzała na ślady krwi na dłoniach i pod paznokciami, ujrzała podobne na kolumnie, o którą się opierała, a kolejne pod stopami.

Krew, wszędzie krew, pomyślała.

Zmusiła się, by odwrócić wzrok, i uświadomiła sobie, że nie ona jedna miała ręce pełne roboty.

Ciała poległych zostały już usunięte z dziedzińca, a w ich miejsce pojawiły się wozy oraz gromada koni, na które ładowano teraz wszelakie dobra – beczki, skrzynie, odzież, pęki broni, bez wątpienia pozabieranej trupom. Długie stajnie, ciągnące się skrajem dziedzińca, tętniły życiem. Cywen słyszała znajome dźwięki towarzyszące zakładaniu siodeł, okraszone rżeniem koni i brzękiem uprzęży, które do tego stopnia przypominały jej Dun Carreg, że dziewczynie zakręciło się w głowie.

Przy schodach stał Corban, pogrążony w rozmowie z Meicałem, Balurem i Wulfem, który przejął godność pana osady. Za Corbanem tkwił Gar, ponuro wpatrzony w zwłoki wielkiego niedźwiedzia, odciągnięte na bok.

– Cywen! – krzyknął jej brat i przywołał ją gestem. – Co z rannymi? Mogą jechać?

To Brina powinna odpowiadać na takie pytania, pomyślała dziewczyna. Gdzie ona jest?

– Większość tak – rzekła. – Kilka osób nie da jednak rady wysiedzieć na koniu zapewne jeszcze przez cały księżyc.

– A na wozie?

Cywen spojrzała na wozy zgromadzone na dziedzińcu.

– Tak, myślę, że to możliwe. Trzeba będzie mieć oko na szwy, sprawdzać, czy nie dostają gorączki i tak dalej, ale wydaje mi się, że każdy z nich nadaje się do podróży.

– To dobrze! – rzekł Wulf z pasją. – Mam ochotę ruszyć w drogę choćby i w tej chwili.

– Zgoda – rzekł Meical. – Bo w istocie nie ma co zwlekać. Wieści o tym, co tu się stało, rozejdą się szybko, a wówczas Jael wyśle większy hufiec albo Ildaer przemierzy rzekę na czele całego klanu.

Balur burknął, słysząc te słowa.

– Ale jest nas tak wielu – odezwała się Hild. – I mamy tyle do zabrania...

– W Drassil znajdzie się miejsce dla wszystkich – odparł Meical. – I zapomnij o pakowaniu. Zabierzemy tylko to, co najważniejsze, bo prawdopodobnie ruszy za nami pościg. Musimy jak najszybciej dostać się do Fornu.

– Konie! – odezwał się Wulf. – Mój ojciec hodował je przez całe życie. Nie mogę ich po prostu porzucić.

– A więc weź je wszystkie – rzekł Meical. – Drassil to ogromne miejsce. Nie ma tam co prawda stajni, ale są zagrody dla niedźwiedzi o rozmiarach tej osady. Da się je bez trudu zamienić na zagrody dla koni, a w promieniu mili wokół fortecy ciągną się łąki. Twój ojciec mieszkał w Drassil przez szesnaście lat i nie zmarnował ani chwili. – Ostatnie zdanie skierowane było do Gara.

Wtedy zjawiała się Coralen, która nadzorowała zatapianie okrętów. Corban uparł się bowiem, że nie pozostawi po sobie niczego, co mogłoby zostać wykorzystane przez wroga. Rude włosy wojowniczkę były wilgotne od potu, a na brudnej od sadzy twarzy malował się żal. Trzymała w ręku topór, który wręczyła Garowi.

– Należał do twego ojca. Znalazłam go w czaszce tego zabitego niedźwiedzia za murem – powiedziała.

Wojownik przyjął broń.

– Jego miecz pozostawię przy nim – powiedział ochryłym głosem. – Ale

chciałbym zatrzymać jakąś jego broń. Mam wrażenie, że... że tak należy. Zwłaszcza, jeśli będzie to ta, którą sobie upodobał. – Zmarszczył brwi. – Sęk w tym, że nigdy nie władałem toporem.

– Nauczę cię – rzekł Wulf, ale skrzywił się, spoglądając na swoje zabandażowane dłonie. – Jeśli będę w stanie.

– Mój ojciec zawsze mówił o tobie z szacunkiem – odparł Gar. – O tobie i o Grammie.

Na twarzy Wulfa znów pojawił się żal.

– Próbowałem go ocalić – wyszeptał. – Zdjąłem go...

Jego wzrok omiótł kolumnę, a potem opatrzone ręce.

– Stanął nad nami. Zasłonił nas przed tym niedźwiedziem...

Podbiegł do nich jeden z wojowników Gramma.

– Znaleźliście tę półolbrzymkę? – spytał Wulf. W jego głosie brzęknęła zimna wściekłość.

– Nie ma jej wśród zabitych – odparł mężczyzna.

– A więc uciekła – warknął Wulf.

– O kim ty mówisz? – spytał Meical.

– O pewnej zdrajczynie półkrwi. Daliśmy jej dach nad głową i wychowaliśmy od niemowlęstwa, ale mimo to postanowiła nas zdradzić i wydać Haelana wrogowi. Całe szczęście, że chłopak ma łeb na karku i zdołał umknąć ze swojej kryjówki, nim Trigg zaprowadziła tam naszych wrogów.

– Czasem mam wrażenie, że ten świat jest pełen zdrajców – stwierdził Meical.

– Tak. – Wulf pokiwał głową. – Ale przysięgam, że jeśli kiedykolwiek zobaczę tę półolbrzymkę, jednego z nich ubędzie z tego świata.

– Powinniśmy wznieść kurhany – zaczął Corban, spoglądając na zbryzgany krwią dziedziniec.

– To zabierze zbyt wiele czasu – sprzeciwił się Meical. – Nie chcę tu być, gdy Jael nadjedzie na czele tysięcznej armii.

– Spalmy naszych poległych – rzekł ponuro Wulf. – Spalmy całą osadę, nie zostawiamy wrogowi niczego.

\* \* \*

Cywen stała obok brata, zwrócona w kierunku sali biesiadnej. Obok nich gromadzili się zbrojni, a przed bramami czekała na nich długa kolumna

wozów wypełnionych zapasami.

Ciszę, która niespodziewanie zapadła nad dziedzińcem, przerwał nagle czysty głos Briny, która odśpiewała pierwsze wersy lamentu. Najpierw dołączyli do niej Gar i Wulf, a po nich kolejni i wkrótce cała armia śpiewała pieśń ku czci poległych. Jej ogłuszająca kulminacja zalała serce Cywen przeróżnymi emocjami. Gdy ucichły ostatnie słowa, Wulf i Gar wystąpili z szeregu i cisnęli płonące pochodnie na schody, na których tyle się wydarzyło. Ściany budowli oblano wcześniej olejem i nie trzeba było długo czekać, by ku niebu buchnęły wysokie płomienie, żarłoczne i roz hukane. Niebawem całą budowlę pochłonął wściekły pożar, rozsyłając naokoło fale gorąca.

Wulf odwrócił się i opuścił dziedziniec, a po nim Corban i reszta. Cywen, dosiadając konia, dostrzegła Gara, stojącego przed bramą. Nadal wpatrywał się w płomienie.

\* \* \*

Cywen zerknęła na Brinę.

Czy powinnam się odezwać?, zastanawiała się. Czy jest sens, bym pytała o zeszłą noc i o księgę? Po tym, co tu miało miejsce, to wydarzenie wydaje się zgoła pozbawione znaczenia...

Mimo to wspomnienie słów wypisanych przez starożytnie olbrzymy nie przestawało jej prześladować i wracało do niej przez cały dzień. Chciała porozmawiać o tym z Corbanem, ale nie było ku temu sposobności.

– Mogłabyś w końcu to z siebie wyrzucić – oznajmiła kwaśno Brina. – Trzymanie języka za zębami kiepsko ci wychodzi, podobnie zresztą jak twemu bratu.

Ich karawana, licząca już niemalże tysiąc dusz, podążała przez łąki i wzgórza w kierunku puszczy, która z tej odległości wyglądała jak ocean drzew, sięgający po horyzont w każdym kierunku. Osada za ich plecami nie przestawała płonąć, choć przypominała już jedynie migotliwy płomyk na szczycie odległego wzniesienia.

– Chodzi mi o tę księgę – rzekła Cywen cicho, choć jechały między dwoma wozami wyładowanymi rannymi i półprzytomnymi ludźmi.

Brina westchnęła i zacisnęła usta, ale nie powiedziała ani słowa.

Nie ułatwia mi tego, pomyślała dziewczyna.

– Przeraziła mnie – dodała na głos.

Brina nadal milczała i Cywen już sądziła, że nigdy nie usłyszy odpowiedzi, gdy stara uzdrowicielka niespodziewanie szepnęła:

– Mnie ona też przeraża.

– To księga czarów, prawda?

– Częściowo.

– Nie rozumiem. Wydawało mi się, że to księga o wierze. O tym, jak elementalista powinien wierzyć w to, co mówi, by osiągnąć skutek. Tak mi to kiedyś wytłumaczyłaś. I sama też to przeczytałam.

– Tak, to prawda – rzekła Brina, a jej pomarszczoną twarz przeszył jakiś grymas.

– No to po co zaklęcia, skoro wystarczy wiara?

– Wiara to nie wszystko! – warknęła uzdrowicielka. – W tym cały problem. Silna wiara może niespodziewanie osłabnąć, a potem całkiem zniknąć w ciągu stu uderzeń serca. Dlatego właśnie zginął Heb. Zawiodła go wiara. – Milczała przez moment. Z jakiegoś powodu oddychała teraz z trudem. – Księga przedstawia więc alternatywę. Inny sposób. Zaklęcia pozwalają rzucającemu je na większą kontrolę i konsekwencję działania.

– Są łatwiejsze?

– Nie, nie do końca. Dopóki sięgasz po wiare, dopóty nie musisz w żaden sposób za nic płacić. Natomiast zaklęcia są... inne. Choćby przez to, że trudniej je odprawić. Potrzeba wielu składników, z których część należy odpowiednio przygotować. By zaklęcie zadziało, trzeba też nauczyć się odpowiedniej inkantacji, i tak dalej.

– Czyli istnieją receptury, tak jak w przypadku okładów czy eliksirów?

– Dokładnie.

Wiedziała, że Brina chce o tym porozmawiać, pomyślała dziewczyna. A skoro już zaczęła, pewnie długo nie ucichnie.

– Choć z tego, co widzę, składniki nie są tak łatwe do zdobycia jak tawuła czy naparstnica ani też tak miłe.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– To, że składniki czarów są często trudne do pozyskania i mało przyjemne.

– Mało przyjemne?

– Tak. Na przykład często występującym składnikiem jest krew.

Cywen milczała. Nie spodobało jej się to, co usłyszała. Sama rozmowa na ten temat sprawiała, że włoski podnosiły się jej na karku.

– Ale jest jeszcze inna cena, którą trzeba zapłacić. – Brina urwała i rozejrzała się, by mieć pewność, że nikt nie podsłuchuje.

– Jaka to cena? – ponagliła ją Cywen.

– Nie mam pewności – odparła uzdrowicielka. – Księga jest pełna aluzji i wzmianek, ale... – znów urwała i wzruszyła ramionami – ...ale potrzebuję więcej czasu, by to rozgryźć. Czuję, że to ważne, bo zawarta w niej mądrość mogłaby zostać wykorzystana w Wojnie Bogów. Dobrze by było móc ruszyć do bitwy, wiedząc, na co cię stać i z przekonaniem, że podołasz wyzwaniu. Nie tak jak mój biedny Heb...

– Nie podoba mi się to – mruknęła Cywen.

– Mnie również nie – odcięła się Brina. – Ale to nie oznacza, że mamy odrzucać takie możliwości. Nie przepadam za mieczami i włóczniami, nie lubię ognia, gdy wykorzystuje się go jako broń. Tak, istnieje wiele rzeczy, które mi się nie podobają, ale czy naprawdę mam odrzucić jakąś broń, która mogłaby nam pomóc odnieść zwycięstwo?

– Nie wiem – odpowiedziała niechętnie dziewczyna.

– Wiem, że chcesz porozmawiać o tym z Corbanem – rzekła uzdrowicielka. – Chciałabym jednak, byś się z tym wstrzymała. Księga zawiera mnóstwo wiedzy, której jeszcze nie rozgryżłam. Co rusz natrafiam na zagadki i aluzje co do kotła i Siedmiu Skarbów. Próbuję to wszystko zrozumieć.

– Możemy poprosić Balura czy Meicala o pomoc.

– Nie – warknęła Brina, a po chwili dodała spokojniejszym tonem: – Proszę, daj mi spróbować. Potrzebuję jeszcze trochę czasu.

Dobra, chyba nie ma co jej ponaglać, pomyślała Cywen. Jeśli te zaklęcia miałyby nam pomóc, chyba powinniśmy wykorzystać tę sposobność. Tak czy owak, nie podoba mi się to wszystko i jeśli Brina wkrótce nie opowie o tym Corbanowi, zrobię to sama.

Podjąwszy decyzję, Cywen znów popadła w milczenie. Nie odezwała się ani słowem do chwili, gdy na wschodzie wyłoniła się grupka jeźdźców, na pierwszy rzut oka dwudziestu, być może więcej. Brina popędziła konia.

– A dokąd ty się wybierasz? – spytała Cywen.

– To jeden ze skutków pełnienia funkcji doradcy – rzuciła Brina przez ramię. – Człowiek staje się wścibski.

Pogalopowała wzdłuż kolumny w stronę Corbana, a Cywen zmarszczyła brwi.

Cóż, jestem jej uczennicą, pomocnicą czy jak tam mnie nazywa, pomyślała.

Chyba powinnam jej towarzyszyć.

Popędziła więc konia w ślad za uzdrowicielką.

Corban uniósł rękę, a Dath zadał w róg. Długa kolumna zatrzymała się stopniowo.

Nadciągający jeźdźcy byli głównie wojownikami w futrach, skórzanych pancerzach i żelaznych hełmach. Mieli długie włócznie i mocne tarcze, w czym przypominali ocalałych wojowników z grodu Gramma. Po chwili Cywen dostrzegła kilkoro dzieci – chłopca i dziewczynkę jadących na jednym koniu oraz jeszcze jednego chłopaka, siedzącego przed przysadzistym wojownikiem z długimi ramionami i krótką szyją. Obok ich konia biegł niewielki biały pies.

To ludzie Gramma!, pomyślała Cywen.

Nie pomyliła się, bo w tej samej chwili Hild, śmiejąc się i płacząc jednocześnie, zeskoczyła z wozu i pobiegła im na spotkanie. Chłopiec i dziewczynka zsunęli się z konia i wpadli jej w ramiona.

A więc to dzieci Wulfa i Hild, które Jael trzymał w niewoli. A kim jest to trzecie?, zastanawiała się Cywen.

Corban przystanął przed wojownikiem, który trzymał na siodle chłopaka. Biały pies, szczekając z ekscytacją, obiegł Tarczę, ale wtedy dostrzegł Burzę i umknął z podkulonym ogonem. Wyjrzał zza końskiej nogi i warknął głucho. Burza spojrzała na niego z pogardą i odwróciła łeb.

– Wulf powiedział mi, że masz na imię Haelan. – Corban zwrócił się do chłopaka. Ten, choć brudny, wyczerpany i przerażony do granic, zdołał się wyprostować w siodle, a mówił z przekonaniem, patrząc rozmówcy prosto w oczy.

– Jestem Haelan ben Romar, prawowity król Isiltiru – oznajmił.

– Cieszę się, że nasze drogi się zeszły, Haelanie – odparł z powagą Corban. – Ja jestem Corban ben Thannon i nie jestem żadnym księciem ani królem, ale dowodzę tymi ludźmi i złożyliśmy przysięgę, że będziemy walczyć z człowiekiem, który odebrał ci tron. Wiemy bowiem, że służy on Asrothowi oraz Czarnemu Słońcu. Witaj więc wśród nas, gdzie będziesz bezpieczny, o ile w tych czasach można to komukolwiek obiecać.

Haelan spojrzał na Corbana, potem na Burzę, a w końcu na ciągnącą się daleko kolumnę wozów, jeźdźców Jehar, olbrzymów Benothi, gladiatorów i wielu innych.

– Będziesz walczyć z Jaelem? I pokonasz go?

– Zwycięstwa ci obiecać nie mogę. – Corban uśmiechnął się. – Ale

gwarantuję ci, że będę walczył ze wszystkich sił, póki śmierć tego nie przerwie.

Haelan pokiwał głową, zupełnie nie wyglądając już na jedenasto- czy dwunastoletniego chłopca.

– To mi w zupełności wystarczy – rzekł. – Z radością dołączę do twojej armii, Corbanie ben Thannon.

Corban wyciągnął rękę i uściśnął Haelanowi przedramię wedle zwyczaju wojowników. Chłopak wydawał się zaskoczony, ale gest sprawił mu wielką przyjemność. Po chwili Corban wrócił na czoło kolumny, Dath znów zadał w róg i grupa powoli ruszyła naprzód. Przybysze dołączyli do innych jeźdźców, a Buddai porzucił Cywen i doskoczył do małego teriera, który skakał wokół niego z uciechą, jakby byli przyjaciółmi od zawsze. Buddai pacnął go delikatnie łapą, a potem przetoczył się po trawie.

Cywen uśmiechnęła się na ten widok, tak zwyczajny i naturalny w tych jakże dziwnych czasach. Spojrzała jeszcze raz za siebie na zachodzące słońce i dopalającą się siedzibę Gramma, a potem odwróciła głowę na wschód. Zmierzali ku bezkresnej zieleni lasu Forn.



## Rozdział pięćdziesiąty siódmy

# EVNIS

Evnis siedział przy bramie z głową opartą na dłoniach. Targało nim wiele uczuć, ale przede wszystkim wstyd.

Ależ ze mnie idiota, myślał. Nie mogę uwierzyć w to, że po prostu poderwałem się i zwołałem Vonna po imieniu!

Osobliwa mieszanina radości i strachu, którą poczuł na widok syna, najwidoczniej przyćmiła na moment zdrowy rozsądek, ale emocje szybko przygasły, a w ich miejscu pojawiła się świadomość, że zrujnował doskonały plan. To, że Braith wytknął mu to kilkakrotnie, nie pomogło w niczym.

Morcant zaś oszalał z gniewu po utracie srebra.

Przecież nie należało do niego, myślał Evnis. Otrzymał je od Rhin, a ta życzyła sobie, by dobrze je wykorzystał albo zwrócił. Przypuszczalnie dlatego jest tak wściekły. Albo wystraszony.

Słońce zachodziło, gdy przybyło stu przybocznych Evnisa. Morcant zaś nadciągnął na czele dwóch setek wojów i wokół wieży na wzgórzu zaroilo się od krzątających się ludzi, którzy prowadzili konie na pastwiska, stawiali namioty bądź gotowali. Bagna migotały niczym klejnot o wielu ściankach w gasnących promieniach słońca.

Evnis westchnął ciężko, podniósł się i zszedł po zboczach wzgórza do Braitha i Morcanta, stojących niedaleko miejsca, z którego uciekli wrogowie. Glyn podążał kilka kroków za nim.

Nie wierzę w to, że poderwałem się i pozwoliłem, by wróg wymierzył do mnie z łuku, pomyślał znowu Evnis.

Nigdy nie był impulsywnym człowiekiem. Niekiedy dawał się porwać emocjom, ale nigdy nie pozwalał, by nim rządziły, a przynajmniej nie od razu. I nie bez przemyślenia sytuacji.

Aż do dziś.

Choć w całym tym irracjonalnym zamieszaniu, które zesłało na niego hańbę, dostrzegł coś dobrego.

Vonn uratował mi życie, uświadomił sobie.

Wielokrotnie odtwarzał tę chwilę w myślach. Znów widział Camlina, który mierzył w jego serce, i Vonna, który kładł towarzyszowi rękę na ramieniu i powstrzymywał go.

Co to oznacza?, zastanawiał się Evnis. Pewne jest to, że akurat w tamtej chwili Vonn nie chciał, bym zginął. To daje mi wielką nadzieję. Gdyby tylko udało mi się z nim porozmawiać...

Zacisnął zęby.

Doczekam tej chwili i skłonię go, by do mnie powrócił, pomyślał. A jeśli nie zechce... Nie, mój syn nie będzie walczył przeciwko mnie.

Rozpędził złe myśli, postanawiając, że zrobi wszystko, by do takiej sytuacji nie dopuścić.

Dotarł do Braitha i Morcanta. Kilka kroków dalej dostrzegł Rafe'a, który kuczał w towarzystwie swych psów i spoglądał na kanał, którym z taką łatwością uciekli wrogowie. Morcant chciał za wszelką cenę odzyskać srebro i próbował ich ścigać, ale po kilkuset krokach teren stał się zbyt grząski, by podążać za uciekinierami konno, a wkrótce stał się zagrożeniem nawet dla pieszego. Może gdyby mieli więcej czasu, udałoby im się znaleźć bezpieczną ścieżkę, ale łodzie na pewno by im uciekły.

– Musimy porozmawiać – rzekł Evnis. Rozdrażnienie na twarzy Morcanta zdenerwowało go, ale też skłoniło do skupienia.

– Gadanie to za mało – mruknął Morcant, ale Evnis udał, że go nie słyszy i podszedł do brzegu rzeki.

– Pora na decyzje – oznajmił. – W jaki sposób chcemy zabić Edanę?

– Weźmiemy ich głodem – oznajmił Morcant. – Otoczyłem bagna wieżami i teraz nie będą już mogli opuścić ich niepostrzeżenie. A jeśli chodzi o okoliczne wsie, kupię lojalność wieśniaków bądź spalę ich chaty do gołej ziemi, a wtedy buntownicy nie będą mogli kupić niczego do jedzenia.

Evnis spojrzał na niego jak na szaleńca.

– Oni mieszkają na bagnach, a to nie ziemie uprawne, gdzie można zbierać plony tylko o odpowiedniej porze roku – rzekł. – Spójrz na rzekę, a zobaczysz w niej setki ryb! Głód nie zmusi ich do opuszczenia mokradeł.

Morcant spojrzał na niego krzywo, ale nie odpowiedział.

Inteligencja, jak widać, nie zawsze idzie w parze z umiejętnością władania

mieczem, pomyślał Ewnis.

– Mamy dwie opcje – ciągnął. – Albo wywabimy ich stamtąd, co przypuszczalnie okaże się niemożliwe, albo wędzemy się tam w ślad za nimi.

– Sam się tam wyprawię – rzekł Braith. – Odnajdę ich i przyślę kogoś z wiadomością.

– Dasz sobie radę?

– Tak. Nosilem się z takim zamiarem od samego początku, ale oczywiście byłoby łatwiej, gdybym nadal mógł iść po śladach Haliona – oznajmił tropiciel i spojrzał znacząco na Ewnisa. – A teraz Camlin wie już, że tu jestem, i na pewno nie ułatwi mi życia. – Uniósł rękę i dotknął blizny między ramieniem a szyją. – Ale mimo to dam sobie radę. Potrzebuję paru ludzi, najlepiej myśliwych i tropicieli. Jeśli nie masz nikogo takiego na zbyciu, poproszę o wojowników, którzy potrafią się skradać, cichych i uważnych.

– Otrzymasz ich. A co mam począć po tym, jak odnajdziesz Edanę? Mam poprowadzić tam drużynę? – Ewnis spojrzał na bagna i skrzywił się z obrzydzeniem.

– Kupuj łodzie. Buduj je, kradnij je. Tylko na łodziach zdołasz wprowadzić na bagna znaczną ilość wojska.

Kilka mil stąd rośnie las, a w każdej wsi dookoła tej rojącej się od komarów latryny mają łodzie rybackie, pomyślał Ewnis.

– Damy radę – obiecał.

– Będziesz musiał zebrać sporo tych łodzi – zauważył Braith, patrząc na ludzi zgromadzonych wokół wieży.

– Nie sądzę, by tylu wystarczyło – rzekł Ewnis. – Poślę gońca do Dun Carreg, by ściągnął jeszcze więcej wojowników. Nie mamy pojęcia, ilu buntowników tam jest. Może pół setki, może stu? A może trzystu? Pięciuset? Nie chcę, by po tylu przygotowaniach i takiej ilości ciężkiej pracy okazało się, że wróg ma przewagę.

– Ma to sens – rzekł Braith. – Warto też obsadzić załogami wieże Morcanta. Nie wiadomo, czy nie spróbują przebić się i uciec. Wystarczy kilku ludzi na wieżę, by mogli ruszyć po śladach uciekinierów i jednocześnie nas zawiadomić.

– W porządku – burknął Ewnis.

Arogancki z niego łotr, ale dobrze mieć go przy sobie w takiej chwili, a na pewno nie jest nadęty jak ten stroszący pióra paw, pomyślał.

Morcant przysłuchiwał się bez słowa, obrzucając ponurym spojrzeniem to

obu rozmawiających, to znów bagna.

– Pod warunkiem, że odzyskam skrzynię ze srebrem – mruknął.

– Pogódź się z tym, że być może nigdy jej już nie zobaczysz – rzekł Ewnis i z satysfakcją zauważył, że Morcanta przeszył dreszcz.

– Jeśli nie odzyskam srebra, powiem Rhin, że straciła je przez ciebie! – warknął.

– Ha! Srebro zostało skradzione przed moim przybyciem. Gdyby nie ja, długo jeszcze byś nie wiedział, że w ogóle je straciłeś!

Morcant złapał za miecz i podszedł do niego, a Ewnis zwalczył ochotę, by zrobić krok w tył.

– Odzyskam je albo poleje się krew – wycharczał wojownik.

– Jedną z tych rzeczy mogę ci obiecać – odparł Ewnis, patrząc na niego z furją.

– A co będzie, jak znów zobaczysz syna? – zadrwił szermierz. – Jeszcze raz zdradzisz naszą pozycję? Może lepiej zostać w fortecy, co?

– Nie ty tu podejmujesz decyzje. – Głos Ewnisa był zimny i twardy. – I chciałem obiecać wam obu, że nie zachowam się już tak jak dzisiaj. Gdy ujrzę Vonna po raz kolejny, skłonię go, by przeszedł na moją stronę. Jeśli podejmie inną decyzję, zginie.

## Rozdział pięćdziesiąty ósmy

# VERADIS

– Pomysł nie wydaje mi się najlepszy – oznajmił Lykos, po czym przechylił się na krześle i wlał sobie więcej wina do ust.

– Czemu nie? – zapytał Veradis.

– Bo nikt z ludzi zaproszonych przez ciebie na tę imprezę raczej za mną nie przepada.

– Cóż, to zapewne po części prawda...

– To całkowita prawda – przerwał mu Lykos.

– Jesteś póki co bezpieczny. To spotkanie pod jarzębiną, nasza święta tradycja.

Lykos uniósł brew.

– Byłbyś zaskoczony, do czego mogą się posunąć ludzie, którzy się na coś uwzięli. A ci, jak już mówiłem, naprawdę mnie nie lubią.

Czegoś ty się dopuścił w Tenebralu, co?, zastanawiał się Veradis. Choć to już bez znaczenia, bo wszystko zakończy się dziś.

Czuł przepełniający go gniew na Lykosa za czyny, których się dopuścił. Gdyby zależało to od niego, zakułby go w kajdany i przekazał regencję na powrót w ręce Fidele bądź Peritusa, gdyby plotki o jej chwiejnym charakterze okazały się prawdą.

Ale nie ja o tym wszystkim decyduję. W kwestii Lykosa niestety wiązą mnie rozkazy, pomyślał.

– Musimy znaleźć jakiś kompromis.

– Pewnie. O ile nie oznacza to, że będę musiał rozstać się z jakąś częścią ciała.

– Nathair bardzo cię ceni. To nie wchodzi w grę.

– Potrafisz podnieść mnie na duchu. – Lykos uśmiechnął się i pociągnął kolejny łyk wina. – Może nie tak bardzo jak Kolai za moimi plecami, ale na

tylę, że mam ochotę tu zostać i zobaczyć, co się wydarzy.

Każdy z uczestników spotkania miał prawo zabrać ze sobą jedną osobę, co dyktowała raczej tradycja, a nie lęk o życie. Spotkanie pod jarzębiną było świętym, głęboko zakorzenionym zwyczajem, przyniesionym przez Wygnańców z Wyspy Lata. Kolai, zimnooki wojownik, którego Veradis zauważył w porcie, stał nieporuszony za krzesłem Lykosa. Veradisowi towarzyszył Caesus.

Kłapa namiotu została odciągnięta i do środka wszedł Lamar, władca Ripy.

Ojciec..., przemknęło Veradisowi przez myśl.

Poczuł, jak oddech więźnie mu w piersi. Choć od ich ostatniego spotkania upłynęły raptem dwa lata, ojciec bardzo się zestarzał. Wychudł i zaczął się garbić, a jego poźółkłe policzki zwisały luźno. Spojrzał Veradisowi w oczy i znieruchomiał, wpatrzony w syna. W jego spojrzeniu nadal iskrzyły spryt oraz inteligencja, które młody wojownik tak dobrze zapamiętał.

– Witaj, ojcze – rzekł.

– Aleś ty wyrósł – stwierdził z powagą Lamar, taksując go wzrokiem od stóp do głów.

Veradis wzruszył ramionami, nie wiedząc, co ma powiedzieć. W obecności ojca znów poczuł się jak mały chłopiec.

– Na bogów, jak nic przypominasz swą matkę – westchnął Lamar.

Veradis zamrugął, słysząc te słowa. Wielu ludzi tak mówiło, ale nigdy jego ojciec.

– Usiądź, proszę – bąknął. Nie był w stanie wykrztusić z siebie nic więcej.

Na stole w namiocie pojawił się dzban wina oraz puchary. Lamar usiadł naprzeciwko Lykosa i spojrzał na Vin Thalun wzrokiem, w którym większość ludzi nie doszukałaby się żadnych emocji, ale Veradis dostrzegał w nim zimną nienawiść.

W ślad za nim do namiotu weszły kolejne osoby. Pierwszą był Ektor, który wyglądał dokładnie tak jak kiedyś. Wciąż miał bladą, niezdrową cerę i szeszywał włosy na czoło. Spojrzał na brata i skinął głową, ale nie powiedział ani słowa. Nigdy nie łączyła ich wielka zażyłość.

Po nich Veradis ujrzał Peritusa i Albena. Szanował ich obu, ale Albena kochał z całego serca. To on bowiem nauczył go sztuki władania mieczem, a do tego okazywał mu więcej życzliwości niż własny ojciec. Młodzieniec uśmiechnął się do niego szczerze, a Alben odpowiedział tym samym. Zasiadli, a wtedy wszedł Marcellin w asyście przybocznego, człowieka równie

potężnego jak Krelis. Powitał Lamara i Peritusa skinieniem głowy, po czym usiadł i nalał sobie wina.

– Witajcie – rzekł Veradis i podszedł do swego krzesła.

– Jeszcze nie wszyscy się tu zebraliśmy. – Lamar uniósł dłoń.

Wtedy do namiotu weszła Fidele.

Zatrzymała się na progu i wbiła w Lykosa wzrok pełen czystej nienawiści i wzdargy.

A więc miłości wiele nie zaznała, pomyślał Veradis.

Była piękna jak zawsze, ale dostrzegął w niej coś innego, coś twardego. Jej twarz wydawała się bardziej zarysowana, a gdy oparła dłoń o słupek namiotu, pod skórą prześlizgnęły się jej mięśnie. Była silna i zdecydowana. Opuszczając Tenebral, Veradis zapamiętał ją jako kruchą kobietę, z trudem opierającą się rozpacz, ale to wrażenie znikło bezpowrotnie. Fidele oderwała wzrok od Lykosa, wyprowadzonego z równowagi jej pojawieniem się, i podeszła do wolnego krzesła.

– Jej nie powinno tu być! – oznajmił Lykos. – Ta kobieta jest niepoczytalna! Doprowadziła to królestwo na skraj wojny domowej!

– Nie wyjdę stąd – powiedziała Fidele i spojrzała przy tych słowach na Veradisa, a nie na Lykosa.

Dla mnie wcale nie wygląda na nie zrównoważoną, pomyślał.

W ślad za nią do namiotu wszedł wojownik, który nie imponował wzrostem ani muskulaturą, ale jego obecność zdawała się wypełniać całe pomieszczenie. Poruszał się ze zwinnością, która kryła w sobie zagrożenie. Robił wrażenie nazbyt starego jak na przybocznego – w jego włosach pojawiły się już srebrzyste nici, a ciało było poznaczone dziesiątkami blizn. Po jednym uchu pozostał jedynie kikut. Nie nosił się jak wojownik z Tenebralu – miał na sobie jedynie zwykłą, lnianą koszulę i skórzaną kamizelę. Oraz noże.

Dwa nosił przy pasie obok miecza, z buta wystawała rękojeść trzeciego, a Veradis przypuszczał, że gdzieś na ciele miał ukrytych jeszcze kilka. Wojownik spojrzał na niego.

– Maquin – szepnął młodzieniec.

– Cieszę się, że cię widzę – rzekł Maquin. Jego twarz była zimną maską.

Po raz ostatni widziałem go w lesie Forn, pomyślał Veradis. Był ranny, zakrwawiony i niemalże padał z wyczerpania, a mimo to go poznałem. Teraz jednakże to zupełnie inny człowiek...

Mężczyzna stanął za Fidele.

– A więc oswoiłaś Starego Wilka? – rzekł Lykos.

– Nie odzywaj się do niej – odparł Maquin.

– Bo co? – spytał pogodnym głosem Lykos. – To spotkanie pod jarzębiną, zapomniałeś?

Maquin nie powiedział ani słowa. Patrzył na pirata, nie mrugając.

– A więc może powinienem zwracać się do ciebie – ciągnął Lykos. – Widzę, że twój warkocz wojownika odrasta.

– Tak to już bywa z włosami. – Maquin wzruszył ramionami.

– Tak. I znów można go odciąć.

– Wiele rzeczy można odciąć – powiedział wojownik. Jego spojrzenie emanowało nienawiścią równie wyczuwalną jak gorąco bijące od ognia.

Co tu się wyprawia?, zastanawiał się Veradis.

– Dość tego – powiedział Lamar i spojrzał na młodzieńca. – Przybyliśmy tu na twą prośbę, choć nie widzę nadziei na pojednanie. Lykos wyrządził zbyt wiele krzywd i posunął się o wiele za daleko.

– To się jeszcze okaże – rzekł Veradis z westchnieniem, po czym zajął miejsce przy stole naprzeciwko swego ojca.

Sądził, że jest gotowy na to spotkanie, ale było inaczej. Nalał sobie wina.

Muszę rozwiązać ten konflikt, pomyślał. Muszę odkupić swe winy za porażkę w Narvonie.

Upił łyk i skupił się jak przed bitwą w murze tarcz, kiedy te zwierały się z trzaskiem.

– Nie może dojść do wojny w Tenebralu – oznajmił. – Musimy znaleźć inne rozwiązanie, a to, że przybyliście tu wszyscy, jest widowym znakiem, że chcecie podjąć tę próbę.

– Przybyliśmy tu z szacunku dla króla Nathaira – powiedział Lamar.

– A to doskonały punkt wyjścia – oznajmił Veradis.

– Jak się miewa mój syn? – spytała Fidele.

– Dobrze, moja pani, choć jest znużony. Ma za sobą długą, wyczerpującą kampanię, na którą złożyło się wiele bitew i trudnych wyzwań. Dokończył jednak dzieło swego ojca i stworzył sojusz.

– Powierzył Tenebral temu szaleńcowi, by nakłonić kilku władców z dalekich krain do złożenia podpisu na kawałku pergaminu – parsknął Lamar i wskazał gestem Lykosa.

Veradis nabrał głęboko tchu.

– Nie, ojcze. Nathair dokonał o wiele więcej. Wszak walczy w Wojnie



Bogów! To on jest Jasną Gwiazdą, czempionem, o którym jest mowa w przepowiedni, a w trakcie owej kampanii zdobył straszliwą broń, kocioł z gwiazdnego kamienia, jeden z Siedmiu Skarbów.

Lamar zmarszczył brwi.

– A więc go ma – odezwał się Ektor i zerknął na Fidele, a ta wyciągnęła dłoń i zacisnęła ją na nadgarstku Veradisa.

– Boję się o Nathaira – szepnęła. – Przypuszczam, że jego życie znalazło się w wielkim niebezpieczeństwie. Ludzie, z którymi przestaje...

– Oczywiście, że Nathair znajduje się w niebezpieczeństwie – przerwał jej Lykos. – Myślisz, że łatwo jest być czempionem Elyona? Lista wrogów nagle się rozrasta.

Odbiegamy od tematu. Muszę to zatrzymać, pomyślał Veradis.

– Nathair ma się dobrze, a walczy nie tylko o Tenebral, lecz o całe Ziemie Wygnanych – rzekł Veradis. – Ale to, co rozgrywa się tutaj, grozi zniweczeniem wszystkich jego planów. Chyba rozumiecie, że w ojczystym królestwie Nathaira nie może dojść do otwartego buntu.

– To nie bunt! – syknęła Fidele. – My próbujemy uratować Tenebral. Lykos...

– Lykos to regent ustanowiony przez Nathaira. Wszyscy o tym wiecie. Nathair sam mi to powiedział niespełna dwa księżyce temu. To, co tu robicie, zakrawa więc na zdradę.

– Dobrze powiedziane – szepnął Lykos.

Zamknij się. Nie pomagasz, pomyślał młodzieniec.

– Veradisie – odezwał się Peritus, który z wysiłkiem narzucił sobie spokój. – Nie masz pojęcia o tym, co się tu wydarzyło, i czego dopuścił się Lykos. On zabił Armatusa...

– Z czyjego rozkazu? – spytał Veradis. Czyżby Calidus miał błędne informacje? Na pewno nie mogła stać za tym Fidele!

– To... – Peritus zerknął na Fidele.

– Z czyjego rozkazu? – powtórzył Veradis.

– Mojego – szepnęła Fidele.

– A nie Lykosa?

A więc to prawda, pomyślał Veradis, choć nadal nie mógł w to uwierzyć. Usłyszał te słowa z ust Fidele, a mimo to nadal był przekonany, że Calidus się pomylił.

– Bez wątplenia dotarły do ciebie różne historie na mój temat, Veradisie –

rzekła Fidele, unosząc wysoko podbródek.

– Tak – powiedział.

Wysłaś za Lykosa, pomyślał. Skazałaś na śmierć Armatusa i Peritusa. Bez celu rozesłałaś orlą gwardię na dalekie granice królestwa.

– I wszystkie te plotki to prawda, ale wiedz, że działałam wbrew swej woli. Możesz w to wierzyć albo nie, ale Lykos rzucił na mnie czar.

Słowa Fidele całkiem zaskoczyły Veradisa. Spodziewał się, że kobieta będzie się wypierać, a już na pewno nie oczekiwał, że oskarży Lykosa o czarną magię. Od samego początku uważał, że Nathair popełnił błąd, przydzielając regencję Lykosowi, gdyż w przywódcy Vin Thalun widział wiele wad, ale nigdy by go nie wziął za czarownika.

Przecież on rzadko kiedy odstawia butelkę, pomyślał. Jest zbyt wielkim pijakiem, by uprawiać magię.

Oskarżenie było tak komiczne, iż Veradis w pierwszym odruchu miał ochotę parsknąć śmiechem, ale wystarczyło mu jedno spojrzenie na Fidele, by wiedzieć, że ta wierzy we własne słowa. Albo całkiem oszalała.

Okaz jej szacunek, pomyślał. Przecież była żoną Najwyższego Króla i wciąż jest matką Nathaira.

– W jaki sposób zostałaś zaczarowana, moja pani?

– Nie mam pojęcia, jak i gdzie posiadał ten piekielny talent – warknęła Fidele. – Wiem tylko, że miał jakąś glinianą lalkę z kosmykiem moich włosów. Została zdeptana, gdy Maquin walczył z nim podczas zamieszek na arenie, i w tej właśnie chwili odzyskałam panowanie nad sobą.

– I nic z tej lalki nie zostało?

– Oczywiście, że nie. W przeciwnym razie byłabym nadal pod wpływem czaru!

Czasami między geniuszem a szaleństwem przebiega ledwie zauważalna granica, pomyślał Veradis.

– Lykos dopuścił się niewyobrażalnych przestępstw – podjął Peritus.

– Spalił Ripę i zatopił nasze okręty – odezwał się Lamar.

– Mówiłem ci, że mnie nie lubią – szepnął Lykos z udawanym przejęciem.

Zamknij się. Nathair ma rację. Polityka przypomina pilnowanie hordy dzieciaków, pomyślał Veradis i nabrał tchu.

– Veradisie – rozległ się nowy głos. Był to Alben, który w milczeniu przysłuchiwał się wymianie zdań, ale teraz pochylił się i wbił w młodego wojownika intensywne spojrzenie. – Lykos jest fałszywym człowiekiem.

Co to ma właściwie oznaczać?, zastanawiał się Veradis. I czego oni się po mnie spodziewają? Że podam im głowę tego pirata na tacy?

– Nawet jeśli tak jest, Albenie, nie przybyłem tu po to, by osądzać jego charakter – rzekł. – Jestem posłańcem króla, który ma dla was propozycję. Ba, rozkaz.

Wokół stołu zapadła cisza. Zebrani spoglądali po sobie gniewnie.

– Dobrze, a więc wysłuchajmy tego, co masz do powiedzenia. – Alben rozparł się na krześle.

– Zbiorę więc fakty. Nie ma wątpliwości, że wszyscy doznaliście krzywd i macie do Lykosa pretensje. Jasne jest również to, że władza w Tenebralu załamała się i grozi nam wojna domowa. Czeka nas więc starcie, w którym zginie wielu ludzi.

Veradis wskazał gestem wejście do namiotu, przez które widać było zebrane hufce.

– Wielu już zginęło – rzekła Fidele.

– A jaka jest alternatywa? – spytał Marcellin, odzywając się po raz pierwszy od początku narady, co zaskoczyło zebranych. – Jak brzmi propozycja Nathaira?

– Nasz władca chce, byście wszyscy udali się wraz ze mną do Mikil w Isiltirze. Ma się tam odbyć narada członków sojuszu. Przedstawicie swoje pretensje królowi, a ten wyda wyrok.

– Wszyscy? – spytał Ektor.

– Każdy, kto ma na to ochotę, ale proponuję, by w drogę udali się przedstawiciele wszystkich zainteresowanych stron. Ojciec, czeka cię podróż przez zimę...

– Myślisz, że jestem na to za stary? – parsknął Lamar. – Zbyt słaby?

– Nie. Powtarzam tylko słowa Nathaira, który zaproponował, by w drogę wyruszył Krelis lub Ektor jako twój wysłannik. Możesz posłać obu, jeśli chcesz.

Jeden w gorącej wodzie kąpany, drugi zimny jak zdechła ryba, pomyślał Veradis.

– Do tego oczywiście powinna pojechać Fidele, Lykos, Peritus...

– Ja? – Lykos poderwał się, a jego uśmiech przygasł.

– Tak. Nathair życzy sobie ujrzeć cię w Mikil.

Pirat zmarszczył brwi.

– To w sumie brzmi sensownie – odezwał się Ektor. – Z pewnością pozwoli

nam to uniknąć niepotrzebnego rozlewu krwi. Trudno mi to przyznać i nie wierzę, że w ogóle to mówię, ale Veradis przedstawił niegłupią propozycję.

Fidele wbiła w niego wściekły wzrok.

– Ja nigdzie nie jadę – rzekł Lykos. – Przecież jestem regentem!

– Już nie – rzekł Veradis. – Przynajmniej dopóki ten kryzys nie zostanie zażegnany, a wszystkie strony konfliktu usatysfakcjonowane. Poza tym Nathair nalegał, byś przybył do Mikil. Pożegnaj się z Tenebralem.

Lykos skrzywił się, ale trzymał język za zębami.

– A co się w tym czasie będzie działo z królestwem? – Lamar ściągnął brwi.  
– Kto będzie tu rządził?

– Ja – odezwał się Marcellin, ściągając wiele zaskoczonych spojrzeń.

– Marcellin pozostanie w Tenebralu – potwierdził Veradis. – Do chwili zażegnania kryzysu będzie pełnił rolę namiestnika królestwa z ramienia króla. Nie dojdzie już do niepotrzebnej rzezi naszych rodaków.

– Rzeź to ja mam ochotę urządzić Vin Thalun – stwierdził Lamar. – Przecież mamy nad nimi wielką przewagę.

– Nie pchnę moich wojsk do bezcelowej bitwy – rzekł Marcellin.

– Co ci odbiera tę przewagę, ojcze – wytknął Veradis.

Lamar zmrużył oczy, zimne jak kamień.

Jest bardziej rozwścieczony, niż mi się wydawało, myślał młodzieniec. Ale zna się na dowodzeniu i strategii, wie, kiedy ruszać do walki, a kiedy się wycofać. Pora więc na finalny rzut kośćmi.

– Jeśli zdecydujesz się walczyć, nie pozostawisz mi wyboru. Będę musiał włączyć się do boju po stronie Vin Thalun.

– Przeciwno własnym rodakom? Przeciwno rodzinie? – Głos Lamara ociekał goryczą.

Veradis wbił w ojca wzrok. Wiedział, że usłyszy te słowa i nie było sposobu, by ich uniknąć.

Nie ugnę się, pomyślał.

– Tak. Wypełniam rozkazy króla. Naszego władcy. Lykos zaś jest, a raczej był ustanowionym przez niego regentem.

– Już nie, jak się okazało – mruknął pirat, unosząc puchar.

– Jeśli podniesiecie na niego rękę – ciągnął Veradis – będzie tak, jakbyście podnieśli rękę na Nathaira.

– Przegrałbyś – rzekł Lamar. Na jego policzku drgnął jakiś mięsień, co nigdy nie było dobrym znakiem.

– Któż to może wiedzieć? – Veradis wzruszył ramionami. – W bitwie wszystko jest możliwe. Mielibyście jednakże przeciwko sobie wielką przewagę, a moi ludzie to zaprawieni w bojach weterani, mający za sobą wiele zwycięstw. – Spojrzał na Peritusa, który widział już zwycięstwo muru tarcz nad przeważającymi siłami. – Nie sędzę, bym poniósł porażkę.

W namiocie zapadła cisza.

– Wyrosłeś od chwili, gdy widziałam cię po raz ostatni – odezwała się Fidele, a w uszach Veradisa wcale nie zabrzmiało to jak komplement.

– Zgadzam się – rzekł Lamar, ale w tonie jego głosu nie było ironii ani zniewagi, a Veradis zauważył ślad szacunku w jego oczach.

Nigdy dotąd tego nie widziałem, a już na pewno skierowanego pod moim adresem, pomyślał.

Odkrycie rozproszyło go na moment, ale szybko pozbierał myśli.

– Nasze spotkanie dobiega końca – rzekł. – Pora na podjęcie decyzji.

– Ja już decyzję podjąłem – odezwał się Marcellin. – Wygląda na to, że przebyłem tę długą drogę tylko po to, by posiedzieć sobie z wami w namiocie, ale mimo to skłonny jestem przyjąć propozycję Nathaira. Nie ruszę do walki i obejmę urząd namiestnika do czasu, gdy Nathair posprząta ten bałagan. – Wtem skrzywił się i zmarszczył krzaczaste brwi. – A jeśli chodzi o ciebie – odezwał się do Lykosa – mam nadzieję, że Nathair wbije ci nieco zdrowego rozsądku do głowy i nigdy już nie ujrzę twojej gęby w tym królestwie.

Po tych słowach podniósł się i wyszedł, a jego przyboczny podążył za nim.

Fidele powoli zaklaskała w dłonie, spoglądając na Veradisa.

– Bardzo sprawnie nas wymanewrowałeś – powiedziała. – Podzieliłeś nasze siły i przedstawiłeś jedno jedyne rozwiązanie, które pozwoli nam zachować honor.

– To nie tak! – zaprotestował Veradis. Był zaprawionym w bojach weteranem i wiedział, czym są rany, pobicia i śmiertelne zmęczenie, ale nic jak dotąd nie zabolalo go tak jak słowa Fidele.

– Nie? Cóż, ja akurat mam spore doświadczenie w polityce i rozpoznaję twoją strategię – powiedziała była królowa i rozejrzała się. – Dziel i rządź – dodała w miarę spokojnym głosem, choć Veradis zauważył, jak blednie, a jej spojrzenie znów odnajduje Lykosa. – Ale niektórymi z nas nie da się tak łatwo manipulować.

– Ja nikim nie manipuluję! – odezwał się Veradis, czując, jak narasta w nim gniew. Szanował Fidele za wiele rzeczy, ale nie chciał godzić się na jej

zarzuty, zwłaszcza po tym, czego się dopuściła i do czego się przyznała. – Myślę o tym, co na twój temat słyszałem, moja pani. Z początku uznałem te pogłoski za głupie plotki, ale gdy na ciebie patrzę i gdy słyszę, jak przekręcasz prawdę, jestem skłonny w nie uwierzyć.

– Uważaj – odezwał się Maquin.

– Nie zostało mi wielu przyjaciół. – Veradis powoli przeniósł spojrzenie na Maquina. – I nie chcę utracić również ciebie, ale nie pozwolę, byś mi jeszcze raz pogroził.

– To nie była groźba. – Maquin wzruszył ramionami.

Veradis wstał.

– Spotkanie dobiegło końca.

Jego ojciec również się podniósł, a Ektor wraz z nim.

– Ojcze, czy możemy porozmawiać? – zapytał Veradis.

– Tak – powiedział Lamar i przesunął dłonią po oczach. – Wkrótce. Kiedy już podejmiemy decyzję.

Ektor skinął mu na pożegnanie.

Lamar odwrócił się, by wyjść, a Ektor uniósł przed nim połę namiotu. Fidele również powstała, z twarzą ściągniętą gniewem, i ruszyła za nimi.

– Fidele! – zawołał Lykos w ślad za nią.

Kobieta przystanęła i odwróciła się.

– Już niebawem – oznajmił pirat i przesłał jej pocałunek w powietrzu.

Maquin eksplodował furją tak gwałtownie, że serce Veradisa zdążyło parokrotnie uderzyć, nim ten uświadomił sobie, co się dzieje. Przyboczny Fidele przesadził stół, roztrącając krzesła i naczynia, i rozsyłając naokoło strugi wina. Lykos, który nadal siedział, odepchnął się od stołu i wraz z krzesłem runął na ziemię. Maquin skoczył za nim z nożem w rękę.

Nie wolno mu! To spotkanie pod jarzębiną! Uświęcone tradycją!, pomyślał Veradis.

Naokoło krzyczeli ludzie. Młodzieniec wyrwał krótki miecz i próbował się zmusić, by ruszyć na Maquina, który rąbał przetaczającego się Lykosa. Buchnęła krew. Niespodziewanie pojawił się Kolai, który runął na Maquina. Veradis z trudem nadążał wzrokiem za ciosami, kopniakami i pchnięciami, aż nagle usłyszał mokry dźwięk towarzyszący wbiciu ostrza w ciało. Na moment czas się zatrzymał. Maquin stał z nożem wbitym w zuchwę Kolaia.

Vin Thalun zwał się na ziemię. Chaos i krzyki eksplodowały na nowo. Veradis, który próbował dopaść Maquina, miał wrażenie, że przedziera się

przez wodę. Na zewnątrz namiotu rozległy się stłumione krzyki, a potem do środka zaczęli wskakiwać orli gwardziści z dobytą bronią. Wszędzie kłębili się ludzie. Veradis potknął się o coś, poślizgnął, poczuł uderzenie w ramię, odwrócił się z krzykiem, a potem ktoś wpadł na niego. Cofnął się o krok, próbując złapać równowagę, a wtedy uświadomił sobie, że był to jego ojciec.

Lamar oplatał go ramionami.

Co takiego?

Veradis poczuł coś ciepłego na dłoni. Spojrzał w dół i uświadomił sobie, że po ręce spływa mu krew. Cofnął się gwałtownie i wypuścił miecz. Jego ostrze tkwiło w brzuchu ojca.

Lamar westchnął i osunął się na ziemię.

## Rozdział pięćdziesiąty dziewiąty

# LYKOS

Lykos przetoczył się i wbił dłonie w ziemię, wydzierając garście trawy. Kątem oka dostrzegł twarz Maquina stojącego nad ciałem Kolaia. Był przerażony i wściekał się o to na siebie, ale strach przegnał wszelkie myśli o zemście i wrzeszczał teraz na niego, każąc mu uciekać.

Maquin stracił chwilę, wyszarpując nóż z czaszki Kolaia i odpychając jego ciało na bok, a Lykos skwapliwie ten czas wykorzystał. Zdołał wreszcie odkopnąć krzesło, w które się zaplątał, zerwał się na ugięte kolana i skoczył w stronę płóciennej ściany namiotu. Odnalazł swój nóż i chlasnął po materiale, wyszarpując w nim dziurę na tyle wielką, by móc się przez nią przecisnąć. Padł na ziemię u stóp zaskoczonych orlich gwardzistów, za którymi tłoczyli się jego Vin Thalun. Skoczył na równe nogi i rzucił się do biegu, a w dziurze ukazała się wykrzywiona wściekłym grymasem twarz Maquina. Pirat odbił w bok i w tej samej chwili usłyszał świst noża, który przemknął obok niego i utkwiał w tarczy któregoś z gwardzistów.

– Zatrzymajcie go! – wrzasnął, zdzierając sobie gardło.

Gwardziści rozstąpili się, przepuszczając go.

– Chroncie Veradisa! Chroncie swego pana! – ryczał łamiącym się głosem.

Orla gwardia w okamgnieniu otoczyła namiot niczym zaciskająca się pięść, a niektórzy spośród Vin Thalun zauważyli go już i biegli ku niemu.

Szybciej, szybciej!, myślał.

Spojrzał za siebie i zauważył, że Maquin wydostał się już na zewnątrz i go widzi. Nie zwracał uwagi ani na orlą gwardię, otaczającą Lykosa, ani na to, że piratowi z każdą chwilą śpieszy na pomoc coraz więcej Vin Thalun, warknął tylko głucho i rzucił się za nim.

Czy ten człowiek przyjmuje w ogóle do wiadomości, że został pokonany?, pomyślał Lykos.



Mimo to strach ożył w nim ze zdwojoną siłą.

Zabił Kolaia w okamgnieniu...

Rozejrzał się dookoła w panice. Usłyszał głośny rozkaz kogoś z orlej gwardii, a potem trzask zwierających się tarcz.

Maquin rzucił się na nich i wyszarpnął jednego człowieka z szeregu. Lykos dostrzegł błysk dobywanych mieczy.

– Nie zabijać go! – wrzasnął.

Ktoś rąbnął Maquina rękojeścią miecza w głowę. Ten zatoczył się, pochwycił za tarczę, ale naraz spadły na niego kolejne ciosy. Lykos odetchnął parokrotnie i poczuł najpierw ulgę, a potem przypływ gniewu, który odegnał strach. W jego sercu obudziła się ogromna radość.

Stary Wilk jest na powrót mój!, pomyślał i uśmiechnął się.

Potem usłyszał wrzask i ujrzał Fidele, próbującą się wydostać z namiotu. Patrzyła na Maquina i usiłowała się wyrwać, ale ktoś w środku zatrzymywał ją.

Czyżby Peritus? Nadziwić się nie mogę, jak pół dnia może wszystko zmienić. Życie prezentuje się teraz o wiele bardziej obiecująco, niż gdy się obudziłem dziś rano. Niebawem wrócę po ciebie, Fidele, pomyślał Lykos, patrząc na szamoczącą się kobietę.

Pierwsi Vin Thalun już byli przy nim i spoglądali na niego z zaskoczeniem, ale on ruszył w stronę Maquina, dając im znać, by podążyli za nim.

Stary Wilk klęczał na trawie, otoczony pierścieniem gwardii.

– Dzięki. – Lykos zwrócił się do poważnego wojownika, który najwyraźniej dowodził oddziałem. – Ja już się nim zajmę.

Gwardzista spojrzał na niego z podejrzliwością.

– Lepiej idźcie do namiotu. Wasz dowódca został zaatakowany.

Oficer wykrzyknął jakiś rozkaz i wojownicy pobiegli w kierunku namiotu, a Lykos spojrzał na Maquina. Vin Thalun otoczyli go najeżonym żelazem kręgiem.

– Piękny dzień nam się zrobił – oznajmił władca piratów i przykucnął przed Maquinem, pamiętając jednak, by zachować odpowiednią odległość. Stary Wilk krwawił z rany na czaszce, ale przy tym człowieku ostrożności nigdy nie było za dużo.

Maquin wciągnął powietrze przez nos, charknął i splunął krwią.

– Czuję smród twego strachu – powiedział.

– Nie, tu akurat się mylisz – rzekł Lykos i pochylił się tak daleko, jak się

ośmielił. – Stałeś się bowiem na powrót moją własnością, ale tym razem na zawsze. – Wstał. – Aha, byłbym zapomniał. Masz natychmiast przestać zabijać mi przybocznych! – Zawirował i kopnął mężczyznę w głowę, ogłuszając go. – Zabierzcie go do mojej kwatery – nakazał. – Ma go strzec dwudziestu ludzi.

Piraci zwiążali Maquina i zabrali go ze sobą, a Lykos w międzyczasie próbował poukładać sobie to, co właśnie się wydarzyło, i co zdążył zaobserwować w namiocie.

Lamar oberwał w brzuch, a Marcellin został nowym namiestnikiem Tenebralu.

Lykos warknął wściekle, wbijając wzrok w zastępy Marcellina. W duchu przeklinał Nathaira i decyzję odbierającą mu władzę.

Odzyskam ją. Nie wiem kiedy, ale ją odzyskam, postanowił.

Spojrzał na namiot, w którym odbyło się spotkanie. Z wewnątrz dobiegały lamenty oraz pokrzykiwanie. Skrzyknął wokół siebie tuzin ludzi i podszedł bliżej, po czym ostrożnie wszedł do środka.

Roilo się tam od orlej gwardii, która stała na straży lub próbowała uprzątnąć bałagan pozostawiony przez Maquina. Ciało Kolaia zostało odciągnięte na bok. Martwy wojownik patrzył pustymi oczami w nicość, a w jego podbródku ziała dziura, z której na pierś ściekała schnąca krew.

Doskonały wojownik. Co za strata... Czy jest na tym świecie ktoś, kogo Stary Wilk nie zdoła zabić?, pomyślał Lykos.

Porzucony, skrwawiony miecz Veradisa leżał na ziemi, a on sam klęczał w samym środku namiotu przy ciele ojca i gładził go po głowie, którą ułożył sobie na kolanach. Lamar nadal oddychał, choć jego twarz była blada jak ściana, a na trawie wokół niego rozlało się morze krwi.

Jak do tego doszło?, zastanawiał się Lykos.

Srebrnowłosa mężczyzna, który uczestniczył w spotkaniu, klęczał przy nich, pochylony nad raną Lamara, ale władca piratów obrzucił ich jedynie pobieżnym spojrzeniem. Szukał wzrokiem kogoś innego.

O, jest.

Fidele stała przy słupie namiotu, a przy niej Peritus oraz Ektor, chorowity syn Lamara, którego Lykos dotąd nie widział. Na jego twarzy widniał szok jak u człowieka po bitwie. Pirat miał wrażenie, że Peritus i Fidele kłócili się o coś, a tuż przy nich stała trójka orlich gwardzistów.

– Moja pani! – odezwał się Lykos za jej plecami.

Fidele niemalże odskoczyła, a na jej twarzy pojawił się lęk, co sprawiło piratowi wielką satysfakcję. Niespodziewanie strach ustąpił miejsca wściekłości i kobieta sięgnęła po nóż przy pasie. Peritus złapał ją za nadgarstek.

– Tak się teraz wita męża? – rzekł Lykos.

Fidele splunęła mu w twarz.

– Prędzej przebiję się nożem, niż pozwolę ci się dotknąć choć raz! – syknęła.

– Ostrożnie z obietnicami. Może się okazać, że będziesz musiała ją spełnić.

– Taki mam zamiar. Gdzie jest Maquin? – spytała, a w jej głosie pojawiło się coś innego niż wściekłość.

– Pod moją opieką. – Lykos uśmiechnął się. – Nie martw się, zajmiemy się nim jak należy.

– To mój przyboczny! Domagam się, byś mi go zwrócił!

– Cóż, możesz o tym zapomnieć. To mój niewolnik. Mój zbiegły niewolnik. Moja własność.

– Oddasz mi go całego i zdrowego albo jeszcze dziś utnę ci głowę i nie ma takiej siły na świecie, która mnie przed tym powstrzyma. – Fidele mówiła z takim przekonaniem, że przez moment prawie jej uwierzył.

– Och, nie martw się. Nie mam zamiaru go na razie zabijać. – Uśmiechnął się. – Życie okaże się dla niego o wiele większą karą niż śmierć.

– Nie wolno ci...

– Wszystko mi wolno! – wysyczał Lykos, a jego gniew zaczął przybierać na sile. – I nie będziesz mi mówić, co mam robić, chyba że chcesz otrzymać głowę Maquina w prezencie.

Trzej gwardziści podeszli bliżej, przyglądając mu się nieufnie.

Muszę postępować ostrożniej, pomyślał. Oni kochają ją o wiele bardziej niż mnie, a ja nie mam już magicznego cacka od Calidusa. Nie jestem też regentem Tenebralu. Władza to kapryśna pani.

Omiótł spojrzeniem ciało i twarz Fidele.

– Już zapomniałem, jaka jesteś piękna – rzekł. – Spójrz, co mi po tobie pozostało! – Podniósł koszulę i odwrócił się, pokazując jej bliznę w dole pleców. – Gdy wrócisz do mego łóża, naradzimy się wspólnie, na jaką karę zasłużyłaś za zdradzenie swego męża... aż tak bardzo.

Palce Fidele przesunęły się bliżej noża.

– Chętnie pozostałbym tu jeszcze chwilę i porozmawiał, ale czeka mnie praca. Spotkamy się jednak niebawem.

– Nie mamy sobie nic do powiedzenia do chwili, gdy staniemy przed Nathairem – rzekła Fidele. – To on zadecyduje, kto ma rację, a kto się myli.

– W twoim przypadku to jedynie odwołanie zasłużonej kary – dodał Peritus. – Gdy staniemy przed obliczem Nathaira, poznasz, czym jest sprawiedliwość.

– Zobaczymy – rzekł Lykos.

– Oddaj mi Maquina! – zawołała za nim Fidele.

Nigdy, ty suko, pomyślał.

Naraz ponad szmer rozmów w namiocie przebił się głos Veradisa.

– Nie, nie, nie! – krzyczał.

Alben patrzył na niego i kręcił głową. Pierś Lamara przestała się unosić i opadać.

W namiocie zrobiło się ciemno, gdy na progu stanął Krelis. Zatoczył się niczym pijany i wpadł do środka.

Veradis spojrzał na brata.

– On nie żyje – powiedział, rozchylając zakrwawione dłonie.

Krelis warknął głucho i rąbnął Veradisa w twarz, a potem ponownie, i jeszcze raz. Zewsząd przypadli wojownicy, by go odciągnąć, ale on odtrącił ich, nie przestając tłuc brata. Bryzgała krew. Veradis nawet nie próbował stawić Krelisowi czoła ani choćby się cofnąć. Wówczas Alben zdzielił wojownika przez kark rękojeścią swego miecza, co oszołomiło go na tyle, by reszta zdołała go odciągnąć. Lykos wyszedł z namiotu, kręcąc głową.

Ech, rodzinne waśnie, pomyślał.

\* \* \*

Bramy wieży Ripy były szeroko otwarte i Lykos przeszedł przez nie, jakby wchodził do siebie. Miał ze sobą setkę wojowników.

Stary Wilk został zakuty w kajdany, ale on nie jest moim jedynym wrogiem, pomyślał.

Orla gwardia Veradisa wkroczyła do akcji podczas zamieszania w namiocie, gdy rozniosły się plotki i rozlew krwi wisiał w powietrzu. Wojownicy z Ripy miotali się i wściekali niczym rozjuszone psy, chwilowo pozbawieni dowództwa, gdyż Lamar wyzionął ducha, a Krelis nie podniósł się z rozpacz. Caesus, kapitan Veradisa, podciągnął wówczas swe siły do wieży i nakazał zbrojnym z Ripy odłożyć broń. Chwila napięcia przedłużała się, ale

w końcu obrońcy posłuchali wezwania. Ludzie Ceasusa zabezpieczyli wówczas Ripę, a Lykos postanowił, że zrobi z tego użytek.

Trzeba mieć oko na tego Caesusa, postanowił teraz. Wypełnia polecenia Veradisa bez wahania i nie ma wątpliwości, że byłby gotów ruszyć na swoich rodaków. Kolejny głupiec, który jest zbyt lojalny, by myśleć o sobie. Gdzie Nathair ich znajduje?

Przeszedł przez drewnianą salę biesiadną, a potem wszedł przez zwieńczone łukiem wejście. Znalazł się w wieży, gdzie podłoga była już kamienna, a przed nim wyrosły kamienne schody.

W górę czy na dół? Gdzie oni są?, zastanawiał się.

Wysłał połowę oddziału na górę, a sam wraz z drugą połową ruszył na dół. Zapuszczał się coraz głębiej w rozbrzmiewające echem podziemia Ripy, wnikające daleko w nadmorskie klify. Przy każdym skrzyżowaniu rozsyłał swych ludzi na dalsze poszukiwania, aż zostało mu ich niespełna tuzin. Wkrótce odnalazł to, czego szukał – drzwi zamknięte na zasuwę, przed którymi stało dwóch miejscowych strażników. Tamci zawahali się, a Lykos rzucił rozkaz, po którym obaj zostali pośpiesznie obezwładnieni i rozbrojeni. Odsunął zasuwę i otworzył drzwi kopniakiem.

– O, tu jesteście! – oznajmił, zajrzawszy do środka.

Olbrzymka Raina i jej syn Tain stali pod przeciwległą ścianą.

Pierwszą rzeczą, którą zauważył Lykos, było to, że zdjęto im żelazne obręcze z szyi.

Wkroczył do komnaty, na co Raina warknęła jak zapędzony w pułapkę wilkun. Tain również wydawał się gotów do walki, ale nie był szczególnie przekonujący. Lykos w myślach przyrównał go do dzikiego konia, który tupie i parska, ale w każdej chwili może rzucić się do ucieczki. W rękę ścisnął krzesło.

Ludzie Lykosa włączyli się do komnaty, a on sam podszedł bliżej i wyciągnął miecz.

– Tęskniłem za wami – powiedział i rozłożył ramiona, jakby chciał ich objąć po przyjacielsku.

– Ani kroku dalej! – warknęła Raina. W jej dłoniach pojawił się kawałek łańcucha.

– Nie będziesz mi mówić, co mam robić! – parsknął Lykos. – Wydawało mi się, że już dawno was tego nauczyłem.

Zatrzymał się kilkanaście kroków przed olbrzymami.

– Mam nadzieję, że ucieczka wam się podobała, bo wasz czas na wolności właśnie dobiegł końca. Znów należycie do mnie – oświadczył, a potem przyjrzał się temu, co Raina trzymała w ręku. – Widzę, że zachowałeś zarówno łańcuch, jak i obręcz. Miło, że chcesz pomóc.

– Rozwalę ci nim czaszkę!

– Naprawdę mamy przez to przechodzić? – westchnął Lykos. – Jeśli będziesz się opierać, zabiję ci syna. Właściwie nie potrzebuję was obojga, a trzymam waszą dwójkę jedynie dla zabezpieczenia. A więc?

Patrzył to na olbrzymkę, to na jej syna. Na twarzy Rainy ujrzał wahanie. Uniósł rękę i jego ludzie podeszli bliżej, otaczając olbrzymy półkrygiem.

– To jak będzie?

Raina rozejrzała się po komnacie i zrobiła krok w kierunku syna, zasłaniając go własnym ciałem. Lykos ujrzał, jak mruży oczy i wiedział już, jak brzmi jej odpowiedź. Wyciągnął miecz, a wtedy Raina warknęła, zrobiła wypad i z zaskakującą siłą i szybkością cisnęła mu obręczą prosto w twarz, zaciskając dłoń na łańcuchu. Lykos uskoczył w bok i usłyszał, jak obręcz z chrzęstem rozbija twarz wojownikowi za nim. Ten, plując zębami i zachłystując się krwią, runął na ziemię.

Któryś z Vin Thalun złapał za łańcuch, co okazało się wielkim błędem. Raina szarpnęła i wojownik runął na Taina, który zdzielił go krzesłem. Lykos i jego ludzie przypadli do olbrzymki i zaczęli ją dźgać włóczniami. Bez względu na to, co ich przywódca przed chwilą powiedział dwójce więźniów, wiedzieli, że ten osobiście obedrze ze skóry każdego, kto zabije któregokolwiek z olbrzymów, a więc atakowali niepewnie, bez przekonania. Udało im się jednakże zająć Rainę na tyle, by Lykos mógł rzucić się na rozwścieczonego Taina, nadal tłukącego nogą od krzesła to, co zostało z głowy napastnika. Władca piratów ciął młodego olbrzymia po nodze i kopnął go w wewnętrzną stronę kolana, posyłając na podłogę, po czym złapał go za włosy i szarpnięciem odciągnął mu głowę do tyłu. Przyłożył miecz do pulsującej żyły na jego szyi.

– Dość! – ryknął.

Raina natychmiast zamarła, a potem opuściła łańcuch. Vin Thalun przypadli do niej i zaczęli krępować obu olbrzymom nadgarstki.

W korytarzu rozległy się kroki zbliżających się ludzi. Do środka wpadło kilkunastu wojowników tenebralskich w lśniących pancerzach z jasnymi orłami, do których po chwili dołączyli kolejni. Na ich czele kroczył starzec,

którego zwano Albenem.

– Odstap – powiedział, odnajdując wzrokiem Lykosa. W jego spojrzeniu było coś, co zmusiło pirata do zwiększenia czujności.

– To moi jeńcy – oznajmił.

– Prawda, jeńcy – rzekł Alben. – Ale nie twoi. Najwyższą rangę piastuje tu Veradis ben Lamar, a to jego ludzie. Nakazał, by ci więźniowie znaleźli się pod jego osobistą pieczęcią.

– Co? To chyba jakiś żart! – oznajmił Lykos.

– Oto jego rozkazy. Wraz z pieczęcią. – Alben zamachał zwojem.

– Phi! – burknął Lykos i machnął dłonią. – Papiery... Przecież jesteśmy po tej samej stronie. Czy ma jakieś znaczenie to, kto ich przetrzymuje?

– Otóż to – rzekł Alben. – Po tej samej stronie. A więc nie będziesz miał nic przeciwko, jeśli przejmie ich Veradis.

Ostatnie zdanie bynajmniej nie zabrzmiało jak pytanie.

– Oni należą do mnie! – warknął Lykos, czując, że przestaje nad sobą panować. Rzadko się zdarzało, by musiał użerać się z tyloma sprzeciwiającymi się mu osobami jednego dnia. Ruszył przed siebie, by przepchnąć się obok Albena, a jego ludzie podążyli za nim, prowadząc olbrzymy, ale Alben stanął mu na drodze.

Lykos oparł dłoń na rękojeści miecza. Mężczyzna uczynił to samo, a potem rozległ się cichy zgrzyt wielu mieczy wyciąganych jednocześnie z pochew. Pirat spojrział na orlą gwardię.

Jest ich więcej, pomyślał. I szlag mnie trafia na samą myśl o tym, ale ci gwardziści to weterani Veradisa. W takim starciu...

Skrzywił się i zdjął dłoń z rękojeści miecza, po czym wywarczał rozkaz do swoich ludzi. Ci puścili liny.

– A co Veradis chce z nimi zrobić?

– Zabrać ich ze sobą do Mikil.

Lykos uniósł brew.

– Mogę? – Wskazał otwarte drzwi.

Alben usunął mu się z drogi, a Lykos wymaszerował, walcząc z coraz silniejszym niepokojem.

Do Mikil, pomyślał. Calidusowi się to nie spodoba, a winą najpewniej obarczy mnie. Co za dzień... Cóż, mogło jednak być gorzej. Muszę znaleźć butelkę dobrego wina, a potem pora na spotkanie z przyjacielem, którego już dawno nie widziałem.

## Rozdział sześćdziesiąty

# ULFILAS

Ulfilas kusztykał korytarzami zamku w Mikil, trzymając zabandażowane ramię na temblaku. Nie miał pewności, czy kiedykolwiek wróci do dawnej sprawności we władaniu mieczem, ale cieszył się, że zdołał ujść z życiem.

Ciekawe tylko, jak długo przyjdzie mi się jeszcze nim cieszyć, zastanawiał się.

Czekało go spotkanie z Jaelem, pierwsze od chwili powrotu z zakończonej niepowodzeniem wyprawy po Haelana, zbiegłego króla Isiltiru.

Minął cały księżyc, odkąd poprowadził atak na osadę Gramma, a potem wyjechał na spotkanie wojownikom z długimi, zakrzywionymi mieczami szarżującymi w górę zbocza. Gdyby wiedział, że to najznakomitsi szermierze Ziem Wyganych, bez wahania nakazałby odwrót i pozostawiłby im całą osadę.

Cóż, przynajmniej ten, z którym walczyłem, był prawdziwym mistrzem, ale zważywszy na to, że jestem jedynym człowiekiem z trzech setek zbrojnych, któremu udało się wrócić, reszta naszych przeciwników również nie wypadła sroce spod ogona, pomyślał.

Tropiciel Dag szedł obok niego w milczeniu. Nie mówiąc do siebie ani słowa, weszli po schodach na wyższe piętro i skręcili w korytarz, którego strzegli wojownicy w czerwonych płaszczach i czarnych napierśnikach. Na końcu korytarza znajdowały się drzwi, zza których dobiegały stęknięcia, sapnięcia i stukot mieczy ćwiczebnych.

Ulfilas i Dag zostali wprowadzeni do środka i stanęli przed obliczem Jaela, króla Isiltiru. Nie był sam.

Sala tronowa była sporym pomieszczeniem, a sprzed samego tronu usunięto wszelkie sprzęty, by dać dwóm mężczyznom miejsce do stoczenia pojedynku. Ulfilas rozpoznał jednego z nich – był to wojownik imieniem Lafrid, który wygrał pojedynek w Dun Kellen. Drugiego nie kojarzył, ale już



na pierwszy rzut oka widać było, że zna się na swoim fachu. Walczył ostrożnie, przezornie, cierpliwie. W pewnym momencie Ulfilas spostrzegł, że Lafrid wykonał pozorowane pchnięcie, podobne do tego, którym posłużył się w Dun Kellen, ale jego przeciwnik cofnął się jedynie i uśmiechnął. Walka toczyła się dalej.

Obok Jaela na krzesłach z wysokim oparciem zasiadało trzech innych mężczyzn, a za nimi stał zwałisty olbrzym.

Tylko nie to. Mam dość olbrzymów, pomyślał Ulfilas.

Ten miał ciemne włosy i obojętną twarz, a na plecach nosił wielki młot wojenny. Spośród trzech siedzących Ulfilas rozpoznał tylko króla Nathaira, którego pamiętał z rady u Aquilusa, kiedy nosił jeszcze tytuł książęcy. Lata wojny odcisnęły na nim swe piętno i nie przypominał już w niczym pełnego entuzjazmu młodzieńca, jakiego Ulfilas zapamiętał. Nadal był smukłym, przystojnym mężczyzną ze zmierzwioną czarną czupryną, ale wydawał się wychudły, wręcz wynędzniały, a w jego oczach widniała udręka świadcząca o wielkim znużeniu.

Nie zazdroszczę królom, pomyślał Ulfilas.

Obok władcy zasiadał siwowłosy starzec ze starannie przyciętą brodą. Miał ostre rysy twarzy, a wokół jego oczu znać było liczne zmarszczki od śmiechu. Mimo wieku wydawał się pełen życia, a jego oczy skrzyły niespożytą energią.

Ulfilas przeniósł wzrok na trzeciego z gości Jaela i z trudem opanował odruch cofnięcia się o krok. Palce wiszącej na temblaku ręki zacisnęły się w poszukiwaniu rękojeści miecza. Patrzył bowiem na wojownika podobnego do tych, z którymi walczył w osadzie Gramma. Mężczyzna miał na sobie czarne odzienie i ciemną kolczugę, a znad ramienia wystawała mu rękojeść zakrzywionego miecza.

Jak to możliwe?, zastanawiał się Ulfilas.

Być może nieznajomy wojownik poczuł na sobie spojrzenie mężczyzny, gdyż oderwał wzrok od walki i popatrzył na niego. Ulfilas znów miał ochotę cofnąć się i skulić. Oczy obcego były bowiem całkowicie czarne, pozbawione źrenic czy tęczówki. Ulfilas odruchowo wykonał znak chroniący przed złem.

Obcy zmierzył go powoli wzrokiem i znów skupił uwagę na toczącej się przed nim walce.

Ta zakończyła się niespodziewanie, gdy cierpliwy wojownik odparł oszalamiającą nawałę ciosów Lafrida. Wieńczące ją uderzenie okazało się nieco zbyt silne i Lafrid stracił na moment równowagę, na co przeciwnik

rąbnął go w nadgarstek, a potem w gardło.

– No i nie żyjesz – oznajmił.

Lafrid zamrugął, gdyż wszystko rozegrało się niezwykle szybko. Skinął niechętnie głową i uściśnął podaną mu rękę.

– Dobra robota – burknął.

Jael zaklaskał, a Nathair wraz ze starcem przyłączyli się do niego. Wojownik w czerni ani drgnął.

– Wygląda na to, że znalazłem wreszcie tego, kto będzie moim pierwszym mieczem – oznajmił Jael, a potem spojrzał na Ulfilasa. – Chyba, że i ty chcesz się sprawdzić.

– Obawiam się, że to niemożliwe, mój panie. – Wojownik spojrzał na swe zabandażowane ramię. Wrogi cios głęboko wgryzł się w mięśnie i rana goiła się powoli.

– Wygląda na to, że masz do opowiedzenia niezłą historię. Cóż, posłuchajmy jej.

Ulfilas podszedł bliżej, a Dag za nim.

– Zaatakowałem osadę Gramma wedle planu, mój panie. Dołączyli do nas Ildaer wraz z kilkoma Jotun i wszystko toczyło się dobrze, a nawet lepiej niż dobrze. Przebiliśmy się przez bramy i rozbiliśmy wojowników Gramma, którzy rzucili się do ucieczki. Szukaliśmy dziecka, gdy nieoczekiwanie zjawiły się dwa nieznane oddziały. Jeden zszedł z pokładów niewielkiej floty.

Nathair i Calidus wyprostowali się na te słowa.

– Drugi zaś, składający się z jeźdźców, przybył z południa. Wyjechałem im naprzeciw, gdyż mieliśmy znaczną przewagę – ciągnął Ulfilas, ale urwał i zerknął na wojownika w czerni. – Byli tacy jak on. Ubrani w czerń, bez tarcz, z długimi mieczami na plecach.

– Tukul – szepnął wojownik w czerni. Słowo zabrzmiało jak przekleństwo.

– Tukul? – spytał Jael.

– Mój brat w mieczu. Zdrajca.

– Stawiliśmy im czoła. – Ulfilas poczuł, jak zalewa go wstyd. – Ale byli lepsi od nas. Nigdy nie widziałem tak dobrych wojowników. Spadłem z konia, a gdy uświadomiłem sobie, że nie ma nadziei na zwycięstwo, uciekłem.

Mówiąc te słowa, przypomniał sobie wyraźnie pół tuzina ciosów, które spadły na niego w okamgnieniu, rozcięte jakimś cudem wodze i upadek z siodła. Odrętwiały leżał na mokrej od krwi ziemi i patrzył na odzianego w czerń wojownika, przekonany, że nadchodzi jego koniec, ale ten

niespodziewanie rzucił się na olbrzyma na niedźwiedziu. Ulfilas zaś nie miał już ochoty czekać na wynik tego starcia.

– Dag znalazł mnie kilka mil dalej na południe. Tropił ludzi, którzy porwali dzieci z Dun Kellen – dodał i padł na kolano. – Zawiodłem cię, panie.

– Tak, zawiodłeś – westchnął Jael. – Ale twoja szczerłość jest ujmująca, Ulfilasie. Nigdy się nie usprawiedliwiasz. Czy popełniłeś jakiś błąd? Nie sędzę. Czy ktokolwiek inny zdziałałby więcej w podobnej sytuacji? Też mi się nie wydaje. Tym razem więc pozostawię ci głowę.

– Dziękuję ci za okazane miłosierdzie, panie – rzekł Ulfilas z ulgą.

– Wygląda na to, że nasi wrogowie połączyli siły – wtrącił Nathair. – Czarne Słońce wymknął mi się w Narvonie, uprowadził część moich okrętów i spalił resztę. Teraz przynajmniej wiem, dokąd je zabrał.

Czarne Słońce?, powtórzył w myślach Ulfilas.

– Cóż, zbiorę więc armię i złożę im wizytę – oznajmił Jael. – Bez wątpienia mają Haelana.

– Obcy opuścili osadę Gramma – powiedział Dag. – Po znalezieniu Ulfilasa śledziłem ich jeszcze przez jakiś czas. Wyjechali tego samego dnia i skierowali się na wschód. Jest ich około tysiąca. Zostawiłem kilku chłopaków, by nie spuszczali ich z oczu, panie. Niebawem dowiemy się, dokąd zmierzają.

– Jadą do Drassil – odezwał się starzec.

– Co takiego? – spytał Jael.

– Pamiętasz naradę, którą zwołał mój ojciec w Jerolin? – Nathair zwrócił się do niego. – Mówił o Wojnie Bogów i rychłym starciu między Czarnym Słońcem i Jasną Gwiazdą. O przepowiedni, w której wymieniono zarówno Siedem Skarbów, jak i Drassil.

– Pamiętam – rzekł Jael.

– Cóż, wiedz, że przepowiednia właśnie się wypełnia. – Nathair spojrzał ostro na Ulfilasa. – Waszymi przeciwnikami dowodził Czarne Słońce, którym jest nadęty parweniusz, młody wieśniak o imieniu Corban, choć ośmiela się tytułować Jasną Gwiazdą. – Skrzywił się z goryczą. – Słudzy Asrotha chętnie się uciekają do kłamstw i oszustw – dodał i spojrzał na Calidusa. – Z tego właśnie powodu tu jestem i zwołuję radę wojenną moich sojuszników. – Zacisnął palce na nosie i zamknął oczy. – Zostawmy tę rozmowę na później. Czy inni już tu są?

– Lothar przybył wczoraj z Helvethu, ale jak dotąd nie ma śladu Gundula.

– Ach – westchnął Nathair. – Dobrze, a więc poczekamy. Jutro też jest

dzień, a ja muszę się ułożyć do snu. Mamy za sobą długą podróż. Niemniej, zanim udam się do mojej komnaty, chciałem ci wręczyć dar.

– Okazujesz mi niezwykłą hojność – rzekł Jael.

– To dość niezwykły dar, ale myślę, że docenisz go bardziej niż kufer ze złotem czy nawet głowę owego nieletniego pretendenta do twego tronu.

– Obudziłeś we mnie ciekawość – rzekł Jael.

– Moim darem jest Sumur. Nastaly mroczne czasy, a nasi wrogowie czają się wśród cieni, czekając na sposobność do ataku. Lepszego pierwszego miecza nie znajdziesz nigdzie.

– W istocie to mroczne czasy – zgodził się Jael. – A moi wrogowie gromadzą siły przez cały czas. – Mimo to spoglądał na Sumura bez entuzjazmu. – Ale sam widziałeś, że mój nowy pierwszy miecz to bardzo sprawny wojownik. Najlepszy w swym fachu w Isiltirze.

– Nie chcę mu w niczym uchybić – odezwał się starzec – ale Sumur jest lepszy.

Nowy pierwszy miecz Jaela, wojownik o imieniu Fram, parsknął, ale przyglądał się Sumurowi z zainteresowaniem, a nie z gniewem czy oburzeniem, które z pewnością okazałoby wielu innych wojowników w tej sytuacji.

I to mi się w nim podoba, pomyślał Ulfilas. Ma spokojne usposobienie. Panuje nad sobą.

– Nathair boi się o twoje bezpieczeństwo – ciągnął starzec. – I mamy wrażenie, że to najlepsze rozwiązanie.

Uśmiechnął się serdecznie, ale w tym przyjaznym geście kryło się coś więcej. Ostrze sztyletów. Ukryta groźba.

Nie waż się odmówić, mówiło jego spojrzenie.

Nie zgadzaj się, pomyślał Ulfilas. Nie przyjmuj daru. Jak możesz zaufać komuś z zewnątrz, a nie człowiekowi z Isiltiru? Może sobie być najlepszy na świecie, ale czy można liczyć na jego lojalność?

Wtedy przypomniał sobie rozmowę z Jaelem, z której domyślił się, że król żyje w strachu przed zabójcą.

Pewnie da się skusić, o ile ten człowiek jest tak dobry jak mówią, stwierdził. A pewnie tak jest, skoro pochodzi z tego plemienia, z którym się zmierzyłem.

– Jesteś pewien, że jest lepszy od Framy? – spytał Jael.

– Jeśli sobie życzysz, może ci to zademonstrować – powiedział Calidus.

– Tak. Poproszę.

Sumur wstał i odpiął miecz w pochwie, po czym ułożył go ostrożnie na stole i podniósł miecz ćwiczebny Lafrida. Fram wkroczył na zaimprovizowaną arenę.

– Ma to być przyjazna demonstracja – ostrzegł Calidus. – Żadnego rozlewu krwi. Ani się waż go zabić czy nawet okaleczyć!

Mówiąc te słowa, wpatrywał się ostro w Sumura, który spoglądał na niego pustymi, czarnymi oczyma, po czym wzruszył ramionami.

Fram i Sumur pokłonili się Jelowi, a potem zwrócili przeciwko sobie. Naraz Sumur ruszył naprzód, jakby Fram był bramą, przez którą miał zamiar przejść. Ten uniósł miecz i rozstawił stopy, nieco zaskoczony.

Fram woli się bronić i kontratakować między ciosami przeciwnika, pomyślał Ulfilas.

Stopy Sumura poruszały się szybko. Przez jego ciało przemknął jakiś impuls, po czym nagle zaatakował Frama, trzymając broń oburącz. Drewniany miecz śmignął, atakując to głowę, to szyję, pierś, krocze i udo. Ulfilas nie miał pojęcia, który cios trafił celu. Być może jeden, być może wszystkie, ale w każdym razie kilka uderzeń serca później Fram leżał, jęcząc, na podłodze.

Główny problem wojownika, który woli kontratakować, polega na tym, że najpierw musi odbić wszystkie ciosy przeciwnika, pomyślał Ulfilas.

Sumur stanął nad Framem. Wyglądał, jakby miał nadzieję, że ten się podniesie, ale po chwili odłożył drewniany miecz i znów przypiął swoją broń do pleców.

– Imponujące – stwierdził Jael.

– Zgadza się – rzekł Nathair. – I oddaję ci go. Będę spał lepiej ze świadomością, że pilnuje cię ktoś taki jak Sumur.

– Dziękuję – wymamrotał Jael. – Ale...

– Co? A, rozumiem. Wątpisz w jego lojalność. Przecież przyboczny musi być gotów poświęcić za ciebie życie, a Sumur nie pochodzi z Isiltiru.

– Otóż to – rzekł Jael.

– Sumur jest skrajnie oddany. – Calidus pochylił się na krześle. – Każ mu, by przebił sobie dłoń nożem.

– To nie będzie konieczne – rzekł Jael.

– A ja myślę, że będzie. Ale rozkaz musi wyjść od ciebie. W przeciwnym razie nadal będziesz podważał jego lojalność.

Jael zmarszczył brwi. Sumur podszedł bliżej.

Nawet chodzi z gracją tancerza, pomyślał Ulfilas.

– No dalej! – syknął Calidus.

– Sumurze, przebij sobie dłoń nożem – powiedział Jael i skrzywił się, jakby słowa pozostawiły mu kwaśny posmak na języku. Wojownik w czerni wyciągnął nóż z za pasa, oparł ostrze o dłoń lewej ręki i naparł. Był to powolny, świadomy ruch, a ostrze kawałek po kawałku wnikało w dłoń Sumura, który przez cały czas wpatrywał się pustym wzrokiem w Jaela.

Ulfilas złapał się na tym, że sam się krzywi.

– Dość! – rzekł Jael z nerwowym śmiechem.

Sumur przerwał.

– Jesteś pewien? – spytał Calidus.

– Tak, tak. Sumurze, wyciągnij już to ostrze!

Wojownik wysunął nóż z rany jednym płynnym ruchem, a potem uciął pasek z lnianej koszuli i owinął nim dłoń. Ulfilas zauważył, że kropla ciemnej krwi spadła na podłogę.

– No i? – spytał Nathair.

– Jest lojalny – powiedział Jael. – To nie podlega dyskusji.

– Jeśli nadal masz wątpliwości, zatrzymaj również Framę. Kto powiedział, że król ma dysponować tylko jednym pierwszym mieczem?

Jael uśmiechnął się, słysząc te słowa, choć Ulfilas widział, że nowy układ nadal nie do końca mu odpowiada.

– Ale jak mogę odebrać ci wojownika tak zdolnego i tak oddanego, Nathairze? Jeśli mnie zagrażają wrogowie, to tym bardziej tobie! Jesteś wszak Najwyższym Królem! Potrzebujesz kogoś takiego bardziej ode mnie.

Nathair uśmiechnął się.

– To nie problem i nie przejmuj się mną, a by ci to udowodnić, pozostawię przy tobie jeszcze dwudziestu takich wojowników. Możesz ich uważać za swą gwardię honorową.

– Muszę zaprotestować! – Jael z trudem powstrzymywał się od wiercenia na krześle. – Nie możesz z mojego powodu pozbywać się tak straszliwych wojowników!

Nathair machnął dłonią z lekceważeniem.

– Już ci mówiłem, że to nie problem. Tysiąc im podobnych właśnie rozbija obóz pod twoimi murami.

## Rozdział sześćdziesiąty pierwszy

# CORALEN

Coralen odsunęła od siebie gałąź, wspięła się na przegniły, przewrócony wiatrem pień i zeskoczyła na ziemię tuż obok kłębowiska ciemnych pnączy, które przyłgnęłyby do jej butów i poparzyły ją w palce, gdyby ich dotknęła, po czym bezszelestnie pomknęła przez las. Miała za sobą lata praktyki w oddziale Ratha.

Choć mogłabym skradać się i polować przez całe życie, a ten las i tak by mnie zaskoczył, uświadomiła sobie.

Nigdy nie widziała lasu takiego jak Forn, mrocznego, złowrogiego i ogromnego. Drzewa były tu opasłe niczym baszty, a pięły się tak wysoko, że korony leśne wydawały się zabarwionymi na zielono chmurami. Między nimi dostrzegała rozrzedzone plamy blasku słonecznego, który przenikał w dół złocistymi strużkami. Na ziemię nie docierało go jednak wiele, przez co widoczność była w najlepszym razie ograniczona. W lesie stale panował półmrok, choć Coralen zdarzało się też przemierzać całkowite ciemności. Podobny problem mieli z zaroślami – czasami bywały na tyle rzadkie, że dwa wozy mogły ze swobodą jechać obok siebie, a niekiedy rozrastały się w zbite, najeżone kolcami zagajniki, przez które nawet Balur i jego olbrzymy nie mogli się przebić.

Co więcej, nie byli tu sami. Puszcza wciąż rozbrzmiewała różnymi odgłosami – za dnia był to głównie śpiew ptaków i bzyczenie owadów, z których część była większa od ludzkiej ręki, ale w nocy bywało o wiele gorzej. Coralen rozpoznawała niektóre z nocnych odgłosów, jak choćby szczekanie lisów, pohukiwanie sów i wycie wilkunów, tym bardziej że przy tym ostatnim Burza zawsze nadstawiała ucha. Jednakże niekiedy dochodziły ją dźwięki, których nie słyszała nigdy wcześniej – osobliwe cmokanie, posykiwanie i drapanie dobiegające spoza kręgów światła rzucanych przez

ogniska. Raz usłyszała niski, głuchy pomruk, tak potężny, że poczuła drżenie ziemi pod stopami. Balur powiedział, że to draig, ale zapewnił, że od potwora dzieli ich wiele mil. Oczywiście przez cały czas groziło im też spotkanie z owianymi złą sławą nietoperzami z Fornu, które machały skrzydłami ze świstem równie cichym jak ludzki oddech. Coralen parokrotnie słyszała ich odległe piski, ale jak dotąd nie widziała żadnego z nich. Natrafiła natomiast na zeschnięte, pozbawione krwi ciała ich ofiar – raz była to sarna, kiedy indziej dzik, a raz nawet łoś o rozmiarach konia. Zdecydowała wówczas, że od tej pory zwiadowcy nie mają prawa zapuszczać się w las pojedynczo.

Opuścili osadę Gramma prawie trzy tygodnie temu. Przez pierwszych dziesięć dni utrzymywali dobre tempo, ale w miarę, jak wchodzili coraz głębiej w puszcę, przemieszczali się coraz wolniej i nie pomogło nawet porzucenie wozów. Coralen była tym poirytowana.

– Jak my niby mamy się przez to przebić? – mruknęła do Enkary, która szła bezszelestnie obok niej.

– Jesteśmy już blisko – zapewniła ją wojowniczką i otarła pot z czoła.

Wedle szacunków Coralen trwała już jesień i lada moment miała nadejść zima, ale w puszczy panował zaskakująco łagodny klimat. Grube, gęste korony drzew zasłaniały wędrowców przed szaleństwami żywiołów. Wyjątkiem był tylko deszcz, który ściekał z liści i wnikał pod kołnierze z irytującą dokładnością.

Wyruszyły w drogę o świcie, kiedy powietrze było chłodne, a wokół ich ust unosiły się kłęby pary. Do południa brakowało jeszcze trochę czasu, ale podczas przedzierania się przez las wojowniczką szybko się rozgrzały.

– Już blisko? – spytała Coralen, czując przyływ podniecenia. – Zbliżamy się do Drassil?

– Nie do Drassil – odparła Enkara. – Ale do czegoś innego...

– Coralen! – zawołał ktoś za nią.

Zatrzymały się i odwróciły. Gdzieś wśród zarośli dojrzały poruszenie, po czym nagle wyłonił się z nich Dath. Coralen ściągnęła brwi.

On miał iść w tylnej straży!

Za młodzieńcem pojawiła się inna postać, ledwie widoczna wśród krzaków.

O, Kulla, pomyślała Coralen i wywróciła oczami, bo wojowniczką przylgnęła do Datha równie mocno jak ciemne pnącze.

Chłopak przypadł do nich, sapiąc ciężko i ociekając potem. Oparł dłoń o kolano i otworzył usta, chcąc coś powiedzieć, ale nie mógł wykrztusić ani



słowa.

– Dath uważa, że ktoś za nami podąża – wyręczyła go Kulla, a chłopak pokiwał głową. – A ty powinieneś zadbać o formę – zwróciła się do niego i szturchnęła go w żebra. – Jesteś przecież najlepszym przyjacielem Jasnej Gwiazdy! Wstyd mu przynosisz! Jak chciałbyś go bronić, gdyby wcześniej przyszło ci trochę pobiegać?

– Ja... jestem... w formie! – wysapał Dath. Wydawał się bardziej urażony niż rozzłoszczony.

– Ktoś za nami podąża? – powtórzyła Coralen.

– Tak. Zostałem nieco z tyłu, bo wypatrzyłem sarnę i uznałem, że przydałaby nam się odmiana od brotu. Podchodziłem ją przez moment.

– Jest w tym bardzo dobry – potwierdziła Kulla.

– A wtedy zdało mi się, że coś widzę.

– Co?

– Błysk żelaza gdzieś za nami.

\* \* \*

Coralen czekała.

Przekazała rozpoznanie Enkarze, po czym popędziła wzdłuż rozciągniętej na prawie milę kolumny ich hufca i zgarnęła po drodze jeszcze kilku spośród swoich ludzi. Miała ze sobą Datha oraz Kullę, a także Tecę, kobietę uratowaną przed Kadoshim w lasach północnego Narvonu, która zapowiadała się na dobrą tropicielkę, oraz Yalrica, jednego z ocalałych wojowników Gramma. Oczywiście towarzyszyła jej również Burza.

Wraz z wilkunicą schowały się w gęstych zaroślach na skraju skarpy, a reszta tropicieli znalazła sobie kryjówki po drugiej stronie ścieżki. Czekali już od kilku godzin, a ledwie widoczne nad koronami drzew słońce powoli przesunęło się na zachód. Ten, kogo wypatrzył Dath, jak dotąd się nie pojawił. Coralen oparła głowę o bark Burzy.

– Cieszę się, że doszłaś do siebie – szepnęła i skubnęła jedno z uszu wilkunicy.

Po starciu z niedźwiedziem w grodzie Gramma Burza utykała jeszcze przez dziesięć dni. Miała potłuczone żebra, być może nawet połamane. Była jednak dzielna i twardsza od jakiegokolwiek wojownika znanego Coralen i mila za milę podążała za karawaną. Zwiadowczyni widziała zatroskane spojrzenia,

jakimi obrzucał ją Corban, i sama również nie przestawała się niepokoić, ale któregoś dnia rano Burza zerwała się ze snu, przeciągnęła się i znów wyglądała na zdrową. Coralen miała wrażenie, że kamień spadł jej z serca, choć nie sądziła, że w ogóle jest zdolna do podobnych emocji.

Ależ ja się robię miękka. Rath by się za mnie wstydził, pomyślała.

Naraz poczuła wibracje i uświadomiła sobie, że Burza warczy cicho. Wyprostowała się i ujęła łuk. Przed sobą miała kilka wbitych w ziemię strzał. Promyk chylącego się ku zachodowi słońca przeniknął między koronami. Unoszące się w powietrzu pyłki kurzu zajaśniały bursztynowym blaskiem.

– Spokojnie – szepnęła Coralen do Burzy i oparła strzałę o cięciwę, a potem narzuciła sobie bezruch i skupiła się na oddychaniu. Robiła to wedle nauk Ratha – nabierała głęboko tchu, przetrzymywała powietrze w płucach i wypuszczała je powoli, raz za razem. Gdy zaczęła już sądzić, że Burza się przesłyszała, jej uszu dobiegł szelest runa leśnego gdzieś po lewej stronie, a później zawtórowała mu prowadzona szeptem rozmowa. Po skórze Coralen spłynęły dreszcze.

Dath się nie mylił, pomyślała.

Chwilę później w półmroku pojawiła się jakaś postać. Zatrzymała się na moment na ścieżce, po czym ruszyła naprzód. Nieznajomy poruszał się powoli, ale pewnie stawiał stopy i rozglądał się na boki. Za nim podążało dwóch innych ludzi, idących w odległości dwudziestu kroków od siebie.

Coralen czekała. Nie pojawił się już nikt.

Coś otarło się o korę drzewa za jej plecami. Burza warknęła z zaskoczeniem, a dziewczyna rzuciła się do przodu, obracając się w locie i posyłając strzałę w cień majaczący gdzieś za nią. Rozległ się dziki wrzask, po czym na obcego wpadła Burza. Buchnęła krew.

Coralen zerwała się na równe nogi, mając nadzieję, że Burza osłoni jej plecy. Odruchowo sięgnęła po kolejną strzałę. Ludzie na ścieżce szukali pośpiesznie schronienia. W szyi jednego z nich tkwiła strzała, z pewnością posłana przez Datha. Przez półmrok lasu przemknęły kolejne pociski – jeden odbił się od pnia, inny wbił się w korę z łupnięciem.

Tam jest jeszcze dwóch ludzi! Przynajmniej dwóch!, pomyślała Coralen.

Zauważyła ich w tej samej chwili – jeden przywarł do drzewa z włócznią w ręku, drugi kucał kilkanaście kroków dalej za pnem powalonym przez żywioly. Człowiek z włócznią wyjrzał ostrożnie i odsłonił plecy, a wtedy Coralen wpakowała w nie strzałę. Drugi wojownik, widząc śmierć towarzysza,

uświadomił sobie, że ktoś się podkradł do nich od tyłu. Zerwał się do biegu.

Pędził jak wiatr, oddalając się zarówno od zwiadowczynie, jak i od ludzi, których rozstawiła po drugiej stronie ścieżki. Co więcej, zaczął kluczyć i strzała posłana przez Coralen chybiła o włos. Na kolejne nie marnowała już czasu – zerwała się i pognąła za mężczyzną. Już po kilku krokach wiedziała, że jest od niego szybsza.

Ale nie tak szybka jak Burza.

Wilkunica przemknęła obok niej. Jej białe jak kość futro rozmyło się w półmroku lasu, gdy śmigła za uciekającym tropicielem. Ten usłyszał tupot łap na leśnym runie, obrzucił zwierzę spojrzeniem pełnym paniki i złapał za nóż za pasem, ale drapieźnik wpadł już na niego i wraz z nim przetoczył się po ziemi.

Coralen przyśpieszyła. Widziała, jak oddzielają się od siebie, jak Burza zrywa się i zwraca ku mężczyźnie, który próbował się podnieść. Po jego ramieniu i plecach spływała krew. Wilkunica skoczyła do kolejnego ataku.

– Stój! – krzyknęła Coralen.

Burza wyhamowała przed nieznanym i zastygła, obnażając kły. Zwiadowczynie podeszła bliżej i kopnęła przybysza najpierw w rękę, by wytrącić mu nóż z dłoni, a potem w głowę. Tropiciel padł na ziemię. Z półmroku wyłonił się Dath, a po nim pozostali.

Mężczyzna leżał na ziemi i jęczał z bólu.

– Komu służysz? – spytała Coralen. Wyciągnęła miecz i zdecydowanym ruchem wycelowała ostrze w pierś tropiciela.

Obcy skrzywił się i splunął krwią.

– To nieuprzejme – stwierdziła Kulla. W jej dłoni również znalazł się miecz i choć nie zrobiła nawet kroku, mężczyzna na ziemi skulił się lekko.

– Spójrz na mnie – warknęła Coralen. Ranny spełnił jej wolę. – Odpowiesz mi na to pytanie tak czy owak. Mam cię zmusić?

Wytrzymała jego spojrzenie, a w duchu przygotowała się na to, co być może trzeba będzie zrobić. Widziała, jak Rath i Baird przesłuchiwali jeńców, ale sama nie robiła tego nigdy. Torturowanie bezbronnych ludzi nie leżało w jej naturze.

Ale musimy poznać prawdę, pomyślała.

Przypomniała sobie, co Rath mawiał w podobnych sytuacjach. Czasami działało.

– Nadszedł twój kres – rzekła. – Nie będę ci składała fałszywych obietnic

i kusiła możliwością ujścia z życiem. Nie doczekasz kolejnego świtu. – Odczekała, aż słowa do niego dotrą, po czym ciągnęła: – Zaproponować ci mogę jedynie szybki koniec. Bez bólu. Nie będzie obdzierania ze skóry, łamania kości, wydłubywania oczu czy przypalania jąder. Nie oddam cię też jej. – Przeniosła na moment wzrok na Burzę, która przyglądała się scenie z pyskiem ociekającym krwią. – A więc zapytam raz jeszcze. Komu służysz?

Jeniec oblizał usta, oderwał wzrok od Coralen i spojrzał na pozostałych. Kulla, Dath, Teca i Yalric milczeli złowrogo. Schwytany tropiciel przypuszczalnie nie znalazł na ich twarzach ani cienia nadziei czy litości, gdyż zwiadowczyni ujrzała w jego oczach, że podjął decyzję.

– Służę Jaelowi, królowi Isiltiru.

– Przybłędzie, a nie królowi! – warknął Yalric i uniósł topór.

Coralen wydeła usta.

– Jak daleko jest za nami?

– Nie ruszył jeszcze w pościg. Z tego, co wiem, nasz dowódca wysłał nas w ślad za wami, a sam udał się do Jaela, by złożyć meldunek o osadzie i o was.

– Ilu was tu jest?

– Czterech – odparł bez wahania.

I czterech mamy, pomyślała Coralen. Trzech nie żyje, a ty wkrótce do nich dołączysz. Przez moment zastanawiała się, czy nie złamać danego słowa i nie poddać mężczyzny przesłuchaniu. Nie było trudno podążać za tak ogromnym oddziałem – było ich ponad tysiąc i prowadzili kilka setek koni. Zamaskowanie takiej ilości śladów graniczyło z cudem, ale musieli dopilnować, by nikt ich nie śledził. Na to właśnie nalegała Enkara.

Coralen uwierzyła jednak w słowa jeńca, które miały sens. Sama zresztą postąpiłaby podobnie – wysłałaby kilku dobrych ludzi tropem uciekinierów i kazałaby im trzymać się w pobliżu karawany, by jej nie zgubić, a potem złożyć meldunek, jeśli byłoby o czym meldować.

Uniosła miecz i przebiła mężczyźnie serce.

– Ściągnijcie tu ciała – rzekła. – Zostawimy wiadomość dla tych, którzy przyjdą po nich.

\* \* \*

– Lubię cię – powiedziała Kulla, gdy wracali do głównego oddziału.

Coralen zerknęła na nią i burknęła coś pod nosem. Kulla była niska i szczupła. Miała wielkie, ciemne oczy i owalną twarz, a w walce nie miała sobie równych. Zwiadowczyni obserwowała ją podczas treningów, widziała też, jak sprawnie, bez litości odbiera napastnikom życie w osadzie Gramma, zupełnie jakby nie toczyła walki, a krzątała się po podwórzu.

– Jesteś silna. Tutaj. – Kulla postukała się po czole. – Oraz tutaj. – Przcisnęła dłoń do serca. – Zrobiłaś z tymi szpiegami to, co należało, choć nie podobało ci się to ani trochę.

Zebrali trupy zabitych tropicieli, obwiązali ich kostki linami i zawiesili ich głowami w dół na gałęzi. Potem Coralen otworzyła im brzuchy i poczekała, aż wnętrzności wypłyną i ułożą się w parujące stosy pod zwisającymi nisko dłońmi.

Wiedziała, że wojska Jaela dotrą tu prędzej czy później, a wtedy jego zwiadowcy natkną się na wypatroszone, częściowo nadjedzone zwłoki, co zasieje wśród wojowników ziarno niepokoju. Spojrzała na swe dłonie, nadal poplamione krwią.

– Nie, nie podobało mi się to – rzekła.

– Ty i nasz Jasna Gwiazda naprawdę do siebie pasujecie.

Coralen zamrugła i poczuła, jak jej kark oblewa gorący rumieniec.

– Tukul z tobą rozmawiał? – spytała gwałtowniej, niż zamierzała.

– Nie. – Kulla zmarszczyła brwi. – A dlaczego?

– Mniejsza o to.

Coralen odkryła, że brakuje jej Tukula. Dobrze się czuła w jego towarzystwie podczas szaleńczej jazdy przez Isiltir. Jak wszyscy Jehar stary wojownik był poważny i surowy, ale szybko odkryła, że miał w sobie pragmatyczne poczucie humoru, którym okraszał wszystko, co mówił. Przypominał jej Ratha.

A teraz nie żyje. Jak Rath, pomyślała.

Poczuła duszący żal niczym pięść zaciskający się na jej sercu. Powoli wypuściła powietrze z płuc i powróciła myślami do Gara, który był jak zwierzę po śmierci ojca. Rozpacz jeszcze go nie opuściła, a jego oczy były puste i pełne gniewu.

Nie wiem, czy w całej naszej armii jest choć jedna osoba, która nie utraciła kogoś bliskiego z powodu tej Wojny Bogów, pomyślała Coralen.

Poczuła gniew.

Doczekamy się zemsty, postanowiła.

Doganiaли już główną armię, gdy coś przyciągnęło jej uwagę. Coś za jej plecami. Zwolniła, odwróciła się i wbiła wzrok w las, przechylając lekko głowę.

– Co się dzieje? – spytała Kulla.

– Nie wiem. – Coralen zmarszczyła brwi. Nie miała pojęcia, dlaczego się zatrzymała. Niczego nie widziała ani nie słyszała, poczuła tylko lekkie mrowienie na karku.

Jakby mnie ktoś obserwował, uświadomiła sobie.

Jej uszu dobiegł jedynie delikatny szelest wiatru wśród liści. Wzruszyła ramionami i podążyła naprzód. Pozostawiła Kullę i resztę, by pełnili zwiad na tyłach oddziału, a sama przyspieszyła, by odnaleźć Enkarę przed zapadnięciem ciemności. Burza nie opuszczała jej ani na moment, a gdy ujrzała Corbana, przypadła do niego z radością. Coralen spojrzała w dół i zauważyła coś czerwonego, migoczącego na ziemi. Ukucnęła i zbadała znalezisko. Kropla była jaśniejsza od krwi, niemalże różowa. Potem dziewczyna usłyszała warczenie Burzy, a gdy uniosła wzrok, dostrzegła, że Buddai ją obwąchuje. Przypadł do niej bliżej, na co wilkunica pacnęła go łapą. Ogar odskoczył.

Hm...

Corban wsunął palce w futro Burzy i uśmiechnął się do Coralen.

Złożę mu meldunek o tym, co się wydarzyło, ale zanim się ściemni, muszę znaleźć Enkarę, postanowiła dziewczyna.

Zignorowała więc Corbana i popędziła naprzód, aż natrafiła na tropicielkę Jehar, ledwie widoczną w gęstniejącym zmierzchu.

– Już znalazłam! – powiedziała kobieta. Z jej głosu przebijało wielkie zadowolenie.

– Co?

– Podejdź bliżej.

Coralen stanęła za Enkarą. Przez moment znów poczuła osobliwe mrowienie na skórze, jakie czasem towarzyszyło nadciągającej burzy, ale wtedy odniosła wrażenie, że stąpa po czymś niestabilnym. Przyjrzała się podłożu. Runo leśne było gęste, a tu i ówdzie dostrzegała kępy ciemnych pnączy. Ominęła je szerokim łukiem, a potem zatrzymała się i spojrzała na Enkarę, która uśmiechała się do niej.

– Co znowu? – spytała Coralen.

– Nie widzisz?

– Czego nie widzę? – Zwiadowczynie zaczęła się irytować.

Za sobą słyszała kroki Corbana i Meicala, którzy przedzierali się przez gęste zarośla, prowadząc konie, a dalej widać było ciemniejące szeregi wojowników.

Enkara pochyliła się i przez moment wyglądała tak, jakby zanurzała dłonie w ziemi. Niespodziewanie uniosła grubą linę z paroma węzłami, cofnęła się i pociągnęła za nią mocno, a wtedy ziemia zamigotała, a z miejsca, w którym stała Enkara, rozeszły się koliste fale emanacji, jakby do wody wrzucono kamień. Coralen opanowała zaskoczenie – spojrzała w dół i uświadomiła sobie, że stoi na jakiejś drewnianej konstrukcji.

Enkara ciągnęła linę ze wszystkich sił.

– Pomóżcie mi – sapnęła. Coralen szarpnęła wraz z nią.

Po chwili uświadomiła sobie, że lina przywiązana jest do półokrągłych, drewnianych drzwi, które wzmocniono żelazem i zaopatrzone w potężne zawiasy. Z każdym pociągnięciem drzwi unosiły się z głośnym skrzypnięciem, aż oczom zaskoczonej Coralen ukazały się szerokie, kamienne schody, prowadzące w ciemność.

– Magia – rzekła Enkara.

– A co to takiego? – spytał Corban.

– To tunel, który zaprowadzi nas do Drassil – powiedział Meical.

Balur podszedł bliżej i uśmiechnął się.

– Dobrze – zagrzmiał. – A więc znaleźliście jeden z nich. Tunele były zamaskowane tak skutecznie, że ci, którzy wrócili do opuszczonego Drassil, nie mogli już ich znaleźć.

Ethlinn stanęła obok niego. Nabrała tchu i zamknęła oczy.

– Zasłonięto je mocną iluzją – odezwała się głosem niewiele mocniejszym od trzeszczących gałęzi.

– A więc tych tuneli jest więcej? – spytał Corban.

– Tak – rzekła Enkara. – Nam udało się odnaleźć sześć, a wszystkie zaczynają się w Drassil. Tukul kazał nam je oczyścić. Niektóre były zatarasowane, inne zdążyły się zawalić, w jeszcze innych mieszkały jakieś istoty...

Wzdrygnęła się na samo wspomnienie.

– Ale jak my ukryjemy je przed wrogiem? – spytał Corban. – Przecież tunele doprowadzą ich prosto do Drassil.

– Nie – rzekł Balur. – Iluzja maskująca jest przemyślnie skonstruowana.

Nie ujrzysz zasłanianego przez nią miejsca do chwili, gdy pokaże ci je ktoś, kto już przez nie przeszedł. Gdy ujrzysz jedną, będziesz w stanie zobaczyć pozostałe.

– Nie rozumiem – rzekł Corban.

Ja też nie, pomyślała Coralen.

– Gdy już wejdziemy do środka i zamkniemy drzwi nad naszymi głowami, iluzja znów się uaktywni. Ktokolwiek pojawi się po nas, ujrzy tylko runo leśne.

– A więc jak Enkara je znalazła? – spytał Corban.

– Bo już je widziała. Ty też już zauważyłeś wejście do podziemi, a więc gdy znajdziesz się tu ponownie, czar niczego przed tobą nie zasłoni. Teraz będziesz mógł zobaczyć wszystkie sześć tuneli.

Corban zmarszczył brwi, ale uniósł głowę i uśmiechnął się.

– Doskonale – rzekł.

\* \* \*

Drzwi zamknęły się z głośnym hukiem i znów otoczyła ich ciemność, rozpraszana przez niezliczone pochodnie, formujące nierówną, migotliwą linię, biegnącą w głąb tunelu. Ethlinn została na tyłach wraz z Enkarą i Coralen, a reszta hufca ruszyła naprzód. Ethlinn podniosła wielką, drewnianą belkę i wsunęła ją w żelazne uchwyty, przymocowane do ogromnej klapy.

– Ostrożności nigdy nazbyt wiele – powiedziała. – Choć to zapewne zbędna fatyga.

Wymamrotała kilka słów w mowie olbrzymów. Coralen poczuła mrowienie skóry, tak jak poprzednio, gdy stanęła na ukrytych drzwiach, ale ich nie zauważyła.

– Tędy – rzekła Ethlinn, odwracając się.

– A więc Drassil jest gdzieś tam? – spytała Coralen.

– Tak – powiedziała Enkara. – Z tego miejsca dotarcie do Drassil zabrałoby jeszcze trzy, cztery księżyce, przy czym należałoby się przebijać przez leśną gęstwinę. Co więcej, twierdzą otaczają liczne pułapki i iluzje. Tym tunelem i to jeszcze konno dotrzemy na miejsce w dziesięć dni.

– A więc ruszajmy – rzekła Coralen.

– Do domu – szepnęła Ethlinn.



## Rozdział sześćdziesiąty drugi

# ULFILAS

Ulfilas stał zwrócony plecami do głównego wejścia do sali biesiadnej. Uważnie sprawdzał wszystkie drzwi i korytarze, by mieć pewność, że są strzeżone przez zaufanych ludzi. Znajdowali się w sercu Isiltiru, w fortecy, z której kiedyś sprawował rządy Romar, ale mimo to Ulfilas nie mógł się otrząsnąć z permanentnej nieufności.

Chyba paranoja Jaela zaczyna mi się udzielać, pomyślał.

Zwarł palce i zacisnął pięść, czując, jak pęcznieją mu mięśnie ramienia i ciągną szwy wzdłuż bicepsu. Od przybycia do Mikil i spotkania z Jaelem upłynęło dziesięć dni. Ulfilas zdjął już temblak i choć jego ramię nadal było słabe i bolało wprost niewyobrażalnie, powoli, nieznośnie powoli zaczynało nabierać siły.

Sala biesiadna została zamieniona w salę narad. Palenisko przykryto deskami, a na nich ustawiono zdobiony stół o krótkich nogach.

To błąd, pomyślał Ulfilas. Powinno się rozpalić ogień, choćby po to, by trochę rozgrzać komnatę.

Lato zamieniło się już bowiem w jesień i zimne wichry smagały pagórkowate równiny Isiltiru.

Wszyscy królowie należący do sojuszu przybyli już na miejsce. U szczytu stołu zasiadał Jael z Framem u boku i Sumurem, czającym się za nim jak czarny cień. Obok niego miejsca przydzielono Nathairowi oraz jego towarzyszom: siwowłosemu Calidusowi i ponuremu olbrzymowi, któremu zza pleców wystawał koniec młota wojennego, przywodzący na myśl kruka siedzącego na ramieniu. Dalej zasiadał Lothar, ongiś wojewoda króla Helvethu, a teraz władca tego państwa. Ulfilas pamiętał go z bitwy o Haldis w lesie Forn i wiedział, że potrafi zarówno zaciekle walczyć, jak i służyć mądrą radą. Milczał teraz, otoczony iście królewskim splendorem, z czarnym

młotem na białym napierśniku i białym, obszytym złotą nicią futrem wilkuna spływającym mu z ramion. Miał drapieżną, sokolą twarz z ostrym nosem przypominającym dziób. Za jego plecami czuwał jeden wojownik.

Na końcu zasiadał Gundul, król Carnutanu, mężczyzna o ciemnych włosach i okrągłej twarzy. Był synem zdrajcy Mandrosa, który zabił Aquilusa, ojca Nathaira, a sam później zginął z ręki Veradisa. Gundul odegrał pewną rolę w obaleniu Mandrosa, za co Nathair poparł jego pretensje do tronu Carnutanu.

Żaden z tych ludzi nie byłby dziś królem, gdyby nie Nathair, pomyślał Ulfilas. Nic dziwnego, że Jael odczuwa wobec niego tak wielką wdzięczność, ale przecież nikt nie obdarza innych swoimi łaskami za darmo. Ciekawe, czego Nathair zażąda w zamian.

Obok Gundula zasiadał starszy mąż z głębokimi zmarszczkami na wąskiej twarzy i brodą w kolorze żelaza. Był czujny i wyprostowany, rejestrując, zdawałoby się, każdy szczegół.

To Belo, jakiś krewny Gundula, pomyślał Ulfilas. Najwidoczniej sprawujący większą władzę nad Carnutanem niż on sam.

Gundul przybył dopiero poprzedniego dnia na czele liczącej dwustu wojowników gwardii honorowej. Jael zbeształ go za spóźnienie, podobnie zresztą jak Nathair, który spędzał większość czasu ukryty w swoim wielkim wozie z kołami wysokości koni. Wóz stał w centrum obozowiska, które rozrosło się wokół niego niczym forteca.

Nathair powstał, a szmer toczonych wokół rozmów natychmiast ucichł. Przy stole zapadła cisza.

– Cieszę się, że was widzę – rzekł Najwyższy Król i skinął każdemu z zebranych. – Minęło wiele czasu, odkąd spotkaliśmy się wszyscy na radzie u mego ojca w Jerolin. Wówczas złożyliśmy przysięgi sobie nawzajem, iż będziemy wspierać nasz sojusz. A teraz? Spójrzcie tylko. Jesteśmy królami. Los był dla nas łaskawy. – Wzniósł puchar, a na jego wykrzywionych ustach pojawił się grymas przypominający uśmiech, jakby Nathair właśnie przypomniał sobie jakiś dobry dowcip. Pozostali królowie również wzniesli puchary. – Pomagałem wam we wszystkim i wspierałem was, gdy o to prosiliście. Moje oddziały przelewały krew w waszych kampaniach. Chciałbym, byście przypomnieli sobie o przysięgach, które złożyliśmy sobie nawzajem, oraz o wojnie, którą mieliśmy wspólnie toczyć.

– Ja nigdy o nich nie zapomniałem – oznajmił Gundul. Jego twarz była

zarumieniona, ale Ulfilas nie wiedział, czy powodem był nadmiar wina, czy też entuzjazm. – I z wdzięcznością wspominam wszystko to, co dla mnie zrobiłeś. Nie wiem, czego zażadasz w zamian, ale jeśli będę w stanie spełnić twą prośbę, na pewno to zrobię.

Jael i Lothar unieśli puchary, słysząc jego słowa, choć sądząc po minie Bela, ten ostatni nie był raczej zadowolony.

– Wojna Bogów zaczęła się na poważnie. Czarne Słońce objawił się jako wojownik z Ardanu na zachodzie i zebrał armię złych ludzi oraz olbrzymów. Wojewoda Jaela już się z nim starł.

Nathair wskazał przy tych słowach Ulfilasa, który zamrugał, czując na sobie spojrzenia królów Ziem Wygnanych. Cisza przeciągała się.

– Walczyłem z nimi na północy – rzekł Ulfilas. – To prawda. Ma pod rozkazami olbrzymy i znakomitych wojowników, jakich nigdy dotąd nie spotkałem. – Zerknął na Nathaira. – Sam jeden uszedłem z życiem, a cały mój hufiec został wycięty.

– Na północy? – rzekł Lothar. – Jaka jest ich liczebność? Gdzie teraz są?

– Jest ich około tysiąca, ale ich liczba rośnie, jeśli wierzyć zwiadowcom Jaela – odparł Nathair. – Zagłębili się w las Forn, by schronić się w Drassil.

– A czemu niby mieliby to zrobić? – spytał Gundul, który mieszkał najdalej od starego lasu.

Przypuszczalnie mało co wie o Fornie, a słyszał tylko baśnie i opowieści o jego krwiożerczych mieszkańcach – draigach, wilkunach, nietoperzach i innych bestiach, które uznałyby człowieka za pyszny obiad, pomyślał Ulfilas.

Belo pochylił się, splótł palce i oparł na nich podbródek.

– Co powinniśmy, twoim zdaniem, począć z tym Czarnym Słońcem? – zapytał.

– Pójdziemy za nim.

– Nie sądzę, by było to łatwe zadanie – stwierdził Belo.

Nathair zmarszczył brwi i spojrzał na niego z wyczekiwaniem.

– Nie sądziłeś chyba, że Wojna Bogów okaże się łatwa?

– Nie wydaje mi się, bym w ogóle miał czas o tym pomyśleć – odparł Belo. – Wraz z Gundulem mieliśmy pełne ręce roboty z naprawianiem szkód wyrządzonych podczas wojny o sukcesję.

Nathair uniósł brew, ale nie skomentował tego ani słowem.

– Czego się po nas spodziewasz? – spytał Lothar.

– Zbudujemy drogi prowadzące w głąb Fornu, szerokie i proste niczym

trakty olbrzymów z dawnych czasów. Każda będzie wybiegać z innego miejsca, a wszystkie mają się spotkać w sercu puszczy. Tam wybudujemy własną fortecę. Musimy znaleźć Drassil i wypędzić Czarne Słońce z dziury, w której się chowa.

– A czemu go tam nie pozostawić? – spytał Belo. – Skoro się schował, to pozwólmy mu na to. Większość ludzi, którzy wkraczają do Fornu, już nigdy z niego nie wychodzi. – Wzruszył ramionami i dodał: – Niech las wykona robotę za nas.

Nathair wbił w niego wzrok i nabrał głęboko tchu. Nie było to westchnienie.

– To rada królów – rzekł. – Niech twój król przemawia w imieniu swego królestwa.

– Służę memu królowi jako doradca – oznajmił Belo. – By spełniać swe zadanie, lubię zebrać wszystkie fakty.

Nathair zacisnął palce na nosie.

– Już przedstawiłem wszystkie niezbędne fakty. Czarne Słońce przebywa w Fornie, a my musimy go dopaść. Jeśli chcemy przygnać go potęgą naszych hufców, powinniśmy zbudować szerokie trakty. W ten sposób będziemy mogli przemieszczać oddziały, utrzymywać zaopatrzenie i walczyć, nie martwiąc się o to, że gałąź wbije ci się w dupę!

Chyba traci cierpliwość, pomyślał Ulfilas.

– Może istnieją inne rozwiązania.

Nathair rąbnął pięścią w stół.

– Nie po to przebyłem tysiąc mil, stoczyłem tysiące bitew, obalałem królów, ustanawiałem innych i wdzierałem się do Murias, by targować się teraz jak przekupka o rozwiązania!

Ostatnie słowa wykrzyczał z pasją.

Belo wpatrywał się w Nathaira, wciąż wspierając podbródek na splecionych palcach.

– To sojusz – rzekł. – A nie dyktatura. Nie rządzisz tu. Nie dowodzisz królami Ziem Wygnanych.

Nathair znieruchomiał i pobladł.

Calidus wstał i dotknął jego ramienia, a młodzieniec nabrał tchu i opadł na krzesło. Starzec zaś zwrócił się do Bela i oznajmił:

– W lesie Forn znajduje się wiele broni. To relikty z Wielkich Wojen i Rozdzielenia. Musimy odebrać je wszystkiemu Czarnemu Słońcu. Jeśli

pozostawimy mu swobodę działania, damy mu szansę na to, by urósł w siłę i zebrał stronników.

Głos Calidusa był ciepły, dźwięczny i wręcz kojący. Nawet Ulfilas złapał się na tym, że przytakuje jego słowom.

– Jeśli zostawimy go w spokoju, pewnego dnia wyłoni się z Fornu o wiele silniejszy, zbyt potężny, byśmy mogli się mu przeciwstawić, gotów zniszczyć nas wszystkich.

– Nie brzmi to dobrze – mruknął Gundul.

– Nie. Lepiej uderzyć teraz, zanim zbierze siły – rzekł Jael.

– My też tak sądzimy – rzucił pogodnie Calidus.

Jael ma dobry powód, by poprowadzić swe drużyny do Fornu, pomyślał Ulfilas. Musi wszak dopaść Haelana. Ale pozostali królowie? Po co im to wszystko? Po co mieliby zgadzać się na uczestnictwo w tak potężnym przedsięwzięciu?

Przyglądał się twarzom ludzi siedzących dookoła stołu i widział, że niektórzy myśleli podobnie. Lothar kiwał głową z zadumą. Gundul zrobił przerażoną minę, a Belo bynajmniej nie wydawał się zachwycony pomysłem przedzierania się przez Forn.

– Czyli chcesz, byśmy budowali trakty? – spytał.

– Tak. Wezwijcie swoje drużyny i wspólnie rozpoczniemy poszukiwanie Drassil i Czarnego Słońca.

– Forn to rozległa puszcza – rzekł Belo.

– A więc lepiej zacząć prędzej niż później – warknął Nathair.

– Ale kogoś brakuje przy tym stole – zmienił temat Belo. – Kogoś, kto, z tego, co słyszałem, również dołączył do twojego... Cóż, naszego sojuszu. Mam na myśli królową Rhin.

– Przybędzie – zapewnił go Calidus. – Zabezpiecza właśnie swe granice, ale gdy ją wezwiemy, przybędzie na czele znacznego hufca.

– A więc właśnie w królestwie – powiedział Belo i spojrzał znacząco na Nathaira. – Z innych królestw również docierają pogłoski o trudnościach z utrzymaniem porządku. Obiło mi się o uszy słowo „bunt” w powiązaniu z Tenebralem. Czy jest w tym choć odrobina prawdy?

– Doszło do... – zaczął Calidus.

– Opór został zniszczony – przerwał mu Nathair. – Mój pierwszy miecz przesłał mi wiadomość, że w Tenebralu zapanował pokój. Przywiedzie też przywódców owego tak zwanego buntu tu, bym mógł ich osądzić.

– Veradis, tak? Człowiek, który rozwiązuje dla ciebie problemy?

To Veradis ściał głowę Mandrosowi. Kuzynowi Bela, pomyślał Ulfilas.

– Otóż to – odparł Nathair i wbił wzrok w Bela, który po raz pierwszy zdradził jakiegokolwiek emocje: zacisnął zęby i zmrużył oczy.

– Czas już, byśmy udali się na spoczynek – rzekł. – Wyłożyłeś swoją sprawę i wiemy, czego się po nas spodziewasz. Gundul i ja wszystko dokładnie omówimy.

– Nie tego oczekuję – oznajmił Nathair. Calidus położył mu dłoń na ramieniu, ale ten ją strząsnął. – Nie będziemy marnować czasu. Chcę usłyszeć waszą odpowiedź teraz. Jeszcze dziś.

Belo wzruszył ramionami i wstał. Zaszurało odsuwane krzesło.

– Nie zawsze dostaje się to, czego się chce – stwierdził. – A ja nie jestem pewien, czy chcę, by mój król słuchał człowieka, który nie potrafi nawet utrzymać pokoju we własnym królestwie. Chodź, Gundulu – rzekł i dotknął ramienia młodego władcy.

– Stój – powiedział Nathair cichym, ale ociekającym jadem głosem.

– Nie wydajesz nam poleceń, królu Tenebralu. Władcy zjechali się tu jako równi sobie, a ja słucham rozkazów tylko mojego króla, a nie jakiegoś parweniusza z zapomnianym przez wszystkich tytułem, bałaganem we własnym państwie i sławą mordercy. Gundulu, chodźmy więc, bo...

– Sumurze, widzisz ten cierń w moim boku? – odezwał się Nathair. – Zabij go.

Odziany na czarno wojownik bez chwili wahania ruszył w stronę carnutańskiego doradcy. Spokojnym krokiem obszedł stół, kładąc po drodze rękę na mieczu.

– To wcale nie jest śmieszne – warknął Belo. – Nie dam się zastraszyć.

Ulfilas zauważył, że mężczyzna zerka to na Nathaira, to na Sumura.

– Moja cierpliwość dobiegła końca. Nie mam zamiaru słuchać, jak skamlesz, jęczysz i szukasz dziury w całym – rzekł król Tenebralu.

Rozległ się zgrzyt, gdy Sumur wyciągnął miecz.

– To narada sojuszników! – warknął Belo. W jego głosie niedowierzenie mieszało się z lękiem. Cofnął się o kilka kroków i sięgnął po własną broń.

– Nie jesteś moim sojusznikiem – rzekł Nathair. – To Gundul złożył mi przysięgę, nie ty!

– To skandal! – wrzasnął Belo.

Sumur szedł prosto na niego.

– Alric! – Carnutańczyk wezwał swego przybocznego głosem, w którym pojawiła się panika. – Alric, do cholery!

Wojownik drgnął i stanął Sumurowi na drodze, dobywając miecza.

Sumur skrzywił się i ciął. Alric zatoczył się i runął na siedzącego na krześle Gundula, buchając krwią z rozciętego gardła, a wojownik w czerni nawet nie zwolnił.

Belo, wyciągnąwszy własny miecz, wsparł się plecami o kolumnę. Sumur ujął broń oburącz i rąbnął go z góry. Carnutańczyk zdołał zablokować uderzenie, ale Ulfilas, który brał udział w wielu bitwach, aż się skrzywił, gdy usłyszał niemożliwy do pomylenia z niczym odgłos pękającej kości.

Złamał mu nadgarstek!, uświadomił sobie.

Belo wrzasnął, a miecz wysunął się z jego bezsilnych palców.

Nikt nie jest tak silny!, pomyślał Ulfilas.

Sumur uniósł miecz i uderzył ponownie, przerywając wrzaski Bela, a potem jeszcze raz. Zebrani usłyszeli młaśnięcia rozrąbywanego ciała.

– Dość! – wrzasnął Calidus, a Sumur zamarł i spojrzał przez ramię. Jego twarz zbryzgana była krwią. Zlizał kroplę z górnej wargi.

W sali zapadła całkowita cisza. Królowie wpatrywali się w Nathaira z przerażeniem, a Gundul łkał, zapatrzony w ciało Bela.

– Miałem to zrobić później – westchnął Calidus – ale być może teraz właśnie nadszedł odpowiedni moment.

Dał znać, by otwarto główne wejście do sali biesiadnej. Ulfilas w pierwszym odruchu chciał zaprotestować, a potem przypomniał sobie o kupie poszatowanego mięsa, która jeszcze chwilę temu nosiła imię Belo, i skinął na swych ludzi. Ci pchnęli wrota i do środka wpadło światło słoneczne wraz z podmuchem lodowatego wiatru. Zadudniły kroki i do sali wkroczyli odziani na czarno wojownicy podobni do Sumura. Napływali stopniowo – stu, dwustu, trzystu – po czym zamierali i wpatrywali się w stół pustymi, czarnymi oczyma.

– Oto mój dar dla królów sojuszników – rzekł Nathair. – Ofiaruję każdemu z was po stu wojowników, by chronili was w tych mrocznych, niebezpiecznych czasach.

Chronili?, myślał Ulfilas. A niby przed kim? Bardziej mi wyglądają na dozorców...

Nie spodobał mu się ten gest. Z tego, co widział, królowie oraz ich przybocznicy również nie wydawali się zachwyceni. Pokaz przemocy był

wstrząsający, a teraz doświadczali jego konsekwencji. Nathair przejmował rządy nad radą królów. Jeśli każdy z tych wojowników był przynajmniej w połowie tak sprawny jak Sumur, wspólnie byli w stanie porąbać na strzępy każdy hufiec.

To przecież Isiltir, a nie Tenebral!, pomyślał Ulfilas i spojrzał na Jaela w nadziei, że ten każe mu wezwać ludzi i położyć kres tym nadużyciom. Młody król siedział jednak nieruchomo i wydawał się równie przerażony i wstrząśnięty jak reszta.

– A teraz – odezwał się Nathair – omówimy atak na Drassil.



## Rozdział sześćdziesiąty trzeci

# UTHAS

Uthas kroczył obok Rhin i patrzył na Dun Carreg, górujące nad klifem niczym drapieżny ptak. Zagrały rogi i gwardia honorowa królowej zatrzymała się na trakcie olbrzymów.

Gwardia honorowa, pomyślał Uthas. Raczej hufiec bądź armia! Pięciuset ludzi i pięć dziesiątek Benothi. Czegoś takiego nie widuje się często w Ardanie.

Rozejrzał się, sycąc się tym widokiem, niczym człowiek umierający z pragnienia.

Teraz zwą to miejsce Ardanem, ale dla mnie to zawsze był tylko i wyłącznie Benoth. Sądziłem, że już nigdy nie ujrzę tych ziem.

Przed sobą widział Dun Carreg na wysokim klifie i wioskę rybacką ciągnącą się u podnóży. Wszędzie dookoła roztaczały się żyzne łąki, na północy migotało ołowiane morze, a nad głowami pokrzykiwały mewy. Uthas nabrał głęboko tchu, rozkoszując się smakiem chłodnego, słonego powietrza, które wypełniło mu płuca.

– To twój dom? – spytała Rhin.

– Dom? Nie. Rezydowałem w Dun Taras, skąd rządziłem tą częścią Benothu dla Nemain, ale często tu przybywałem. Wiążę z tym miejscem... cóż, miłe wspomnienia.

– Szkoda, że rzeczywistość zapewne im nie dorówna – powiedziała Rhin, wpatrzona w twierdzę. – Chodźmy i przekonajmy się, jak nas powita Ewnis.

Cmoknęła na konia i ruszyła przed siebie przez wioskę rybacką, której mieszkańcy pośpiesznie umykali i chowali się na widok Uthasa i jego rodaków. Po chwili zmierzali już krętą drogą na szczyt klifu, po czym kopyta końskie załomotały na kamiennym moście, ciągnącym się nad przepaścią, oddzielającą fortecę od lądu. Wiatr nacierał na nich potężnymi podmuchami.

Na dziedzińcu za Kamienną Bramą powitały ich szeregi miejscowych wojowników w odświętnych strojach. Gdy wjechał tam hufiec Rhin, zrobiło się tłoczno.

– Gdzie jest Ewnis? – Rhin, marszcząc brwi, zwróciła się do kapitana imieniem Andran, który wystąpił, by ich powitać.

– Pojechał na południe, Wasza Królewska Mość – rzekł mężczyzna. – Dotarli do niego wieści o buntownikach w Dun Crin.

– A jak daleko stąd leży to Dun Crin? – spytała Rhin z widocznym rozdrażnieniem.

– Dziesięć dni drogi naszym traktem – odparł Uthas. – Za lasem Baglun. Dun Crin to ruiny zatopione na bagnach.

Rhin pokiwała głową z zadumą.

– Cóż, nie wydaje mi się, byśmy go potrzebowali do tego, po co tu przybyliśmy, ale chciałam się z nim spotkać.

Rozkazała, by zajęto się wierzchowcami jej straży, a wojowników podjęto posiłkiem w sali biesiadnej.

– Twoje olbrzymy powinny udać się z nimi. – Rhin zwróciła się do Uthasa.

– Mogą wywołać niepokój wśród miejscowych – odparł.

Olbrzymy przechadzające się po ulicach Dun Carreg..., pomyślał. Czegoś takiego nie widziano tu od tysiąca lat. Chyba mogę sobie wyobrazić reakcję mieszkańców. To właśnie dlatego Rhin przybyła tu z nami.

– Są moimi gośćmi i wszelkie niepokoje zwieńczy nabijanie głów na włócznie – powiedziała głośno królowa, by usłyszeli ją wszyscy obecni na dziedzińcu.

To chyba wystarczy. Obecność Rhin oraz jej rozkazy powinny zapewnić moim rodakom bezpieczeństwo, stwierdził Uthas.

– Eisa, przekazuję ci dowodzenie nad naszymi rodakami – rzekł. – Jedzcie, pijcie, odpoczywajcie. I okazujcie uprzejmość – dodał, wytrzymując jej spojrzenie. – Salach, ty zostań ze mną.

– Zdaję się teraz na ciebie, Uthasie – powiedziała Rhin. – Poszukajmy twego Skarbu.

Uthas poprowadził ich oboje ulicami Dun Carreg, a jego serce przepełniało wielkie zdumienie. Patrzył na szerokie trakty wyłożone kamiennymi płytami oraz wznoszące się nad nimi budynki i wspominał chwile, gdy jego pobratymcy spoglądali z okien ozdobionych okiennicami, a po ulicach biegały roześmiane dzieci.

Wkrótce obeszli zamek i wkroczyli na szeroki dziedziniec, na którym znajdował się zbiornik wodny z fontanną, a dalej schody. Zeszli nimi do wielkiej studni. Wszystko wyglądało dokładnie tak, jak to zapamiętał, łącznie z wilgotnym zapachem, kapaniem wody i echem towarzyszącym ich krokom w okrągłej komnacie. Na środku, tak jak wieki temu, nadal znajdowała się studnia, wnikająca głęboko w skały, na których osadzono Dun Carreg.

Uthas skinął na Salacha, a ten uklęknął przy krawędzi studni, sięgnął w głąb dłonią i zaczął macać szorstką skałę. Skinął, gdy odnalazł to, czego szukał, po czym rozległo się szcęknięcie i cichy syk. Po lewej stronie pojawiły się drzwi.

Rhin skinęła głową z aprobatą i cała trójka weszła do środka.

– *Lasair* – rozkazał Uthas. Pochodnia w jego rękę zapłonęła ogniem. Poprowadził ich w głąb labiryntu tuneli, z każdą chwilą coraz bardziej podekscytowany.

Naszyjnik Nemain, jeden z Siedmiu Skarbów, pomyślał.

Calidus wysłał go z zadaniem znalezienia zarówno naszyjnika, jak i kielicha, Skarbów obiecanych Asrothowi, a Rhin miała go ochraniać. Pięćdziesięciu Benothi wędrujących po traktach królestwa ludzi nie zostałyby życzliwie powitanych przez lokalną ludność. Po znalezieniu Skarbów Uthas miał je dostarczyć Calidusowi w Mikil bądź gdzieś bliżej lasu Forn i Drassil.

Drassil. To wielki krok w kierunku zajęcia tej fortecy i ogłoszenia jej ponownie stolicą mego ludu!, pomyślał. Stolicą wszystkich klanów!

Na samą myśl o tym poczuł dreszcz podniecenia. Wyobraził sobie, jak zasiada na tronie Skalda, a wodzowie pięciu klanów pochylają przed nim głowy, po czym uświadomił sobie, że się uśmiecha.

Weszli do wielkiej komnaty. W żelaznych kinkietach, zamocowanych w wilgotnych ścianach, znajdowały się pochodnie. Uthas zapalił kilka spośród nich i na ścianach zamigotał blask płomieni. Wówczas ujrzeli niewyraźny kształt na samym środku pomieszczenia, skurczony i pomarszczony. Był to szkielet zmija, niedużego w porównaniu do tych, które trzymano w Murias, ale wciąż sporego. Jego jasne kości nadal obrastały strzępy skóry.

Brakowało natomiast łba.

– Czyste cięcie – rzekł Salach, który uklęknął przy szkielecie i uważnie obejrzał brzegi rozrąbanego kręgosłupa. – Z całą pewnością ostrze, a nie kły.

Czyli ktoś tu dotarł, pomyślał Uthas. I natknął się na zmija.

– Tędy! – rzekł i ruszył w stronę lewej ściany sali, gdzie piętrzyła się sterta

osnutego pajęczynami gruzu. Za nią znajdowało się wejście do grobowca, w którym Nemain na oczach Uthasa umieściła skrzynię z księgą oraz naszyjnikiem. – To tam wszystko ukryła – powiedział i podniósł wyżej pochodnię.

Popękana framuga wejścia była ledwie widoczna spod sterty gruzu. Uthas uniósł głowę i przekonał się, że zasłaniające wejście głazy odpadły od ściany nad nim. Spojrzał na Salacha, czując narastający niepokój.

Jak do tego doszło?, zastanawiał się. Zabity żmij, zawalone wejście do grobowca...

W gruzowisku znajdowała się luka, zbyt wąska, by mógł się przez nią przecisnąć olbrzym, a Uthas jakoś sobie nie wyobrażał, by Rhin miała się zniżyć do przeciskania między głazami. Odstawił więc pochodnię i zabrał się za podnoszenie kamieni, a Salach dołączył do niego.

Wkrótce olbrzym zatracił się w rytmie ciężkiej pracy, ale ciągle zerkał na Rhin. W blasku pochodni jej twarz nie przestawała się zmieniać, zalewana raz światłem, a raz cieniami.

Zmieniła się po tym, co wydarzyło się w Uthandun, pomyślał Uthas. Została upokorzona przez Calidusa na oczach wszystkich. Kobiecie tak dumnej jak ona niełatwo przyjdzie się z tym pogodzić.

Podczas ich podróży na południe z Uthandun Uthas raz po raz widział symptomy owych zmian. Rhin nie była już taka spokojna jak kiedyś i łatwiej ulegała zarówno furii, jak i melancholii.

Mam wrażenie, że jest teraz o wiele bardziej niebezpieczna, przemknęło mu przez myśl. Cóż ten Calidus zrobił?

– Wystarczy. – Głos królowej przerwał jego zadumę.

Spojrzał przed siebie i zobaczył pośród gruzowiska dziurę wystarczająco wielką, by zgarbiony olbrzym mógł przez nią przejść. Salach uniósł pochodnię, ściągnął topór z ramienia i wszedł do grobowca, a Uthas i Rhin podążyli za nim.

Znaleźli się w okrągłej komnacie, o wiele mniejszej od tej, którą właśnie opuścili. Przy przeciwległej ścianie stał kamienny sarkofag bez pokrywy, która leżała popękana na posadzce. Wzdłuż ścian ciągnęły się rzędy młotów i toporów rodem z kuźni olbrzymów, przykrytych grubą warstwą kurzu i pajęczyn.

– Ciągle ostre – odezwał się Salach, przejechawszy kciukiem po ostrzu.

Zbliżyli się do grobowca, ostrożnie stąpając wśród okruchów kamiennej

płyty. Uthas uniósł pochodnię i zajrzał do sarkofagu.

W środku ujrzeli szkielet olbrzyma z dłońmi ułożonymi na piersi. U jego stóp leżały fragmenty jaj zmijów. Uthas rozejrzał się, przypomniawszy sobie widziane przed momentem szczątki bestii, a potem znów spojrzał w głąb sarkofagu, już z narastającym napięciem. Z drugiej strony nachylił się Salach, który rozerwał pierś szkieletu i obadał rękami dno sarkofagu.

– Nic tu nie ma! – warknął Uthas. Marzenia o Drassil zaczęły się kruszyć i osypywać niczym piasek zebrany w dłonie.

Zerknął na Rhin, a ta odwzajemniła spojrzenie. W jej oczach błysnęła podejrzliwość.

– Ewnis – szepnęli oboje.

## Rozdział sześćdziesiąty czwarty

# CORBAN

Corban zamrugał, gdy kłapa przed nim została podniesiona. Enkara wyszła jako pierwsza, unosząc wysoko ręce. Nad jej głową w blasku pochodni zamigotało żelazo. Młodzieniec spiął Tarczę i ruszył w górę z nieodłączną Burzą. Zmrużył oczy, gdy znalazł się w pomieszczeniu, które po dziesięciu dniach spędzonych w ogromnym, niekończącym się tunelu, wydawało się jasne niczym słoneczny dzień.

Ściągnął wodze na widok niewyraźnych postaci stojących w półkrygu przed nim. Zamrugał, a gdy odzyskał ostrość widzenia, przekonał się, że patrzy na Jehar. Wojownicy jak jeden mąż wyciągnęli miecze, padli przed nim na kolano, pochylili głowy i zawołali:

– Seren Disglair!

– Powstańcie, proszę – rzekł Corban i zsunął się z grzbietu Tarczy.

Patrzył na dziesięciu starszych wojowników, podobnie jak Enkara liczących sobie między czterdzieści a pięćdziesiąt lat.

Sądziłem, że podobne zachowania mamy już za sobą, pomyślał. Pogodziłem się z tym, kim jestem, ale bez względu na to, czy noszę miano Seren Disglaira, Jasnej Gwiazdy czy jeszcze inne, nie oznacza to, że ludzie mają padać przede mną na kolana.

– Wstawać! – oznajmił bardziej stanowczo.

Podszedł do najbliższego wojownika i podniósł go łagodnie, na co pozostali również wstali i schowali miecze, nadal przyglądając mu się z nabożeństwem.

– Cieszę się, że was widzę – rzekł. – Wiele mi o was opowiadano i cenię ofiarność, z jaką strzeżliście Drassil aż po ten dzień.

Odbył z Enkarą długą rozmowę na ten temat – wypytywał ją o wszystko, co miało związek z twierdzą, gdyż chciał wiedzieć, czego może się spodziewać po przybyciu na miejsce. Wojowniczką opowiedziała mu nieco o ludziach

pozostawionych w Drassil, dzięki czemu Corban mógł teraz przywitać każdego strażnika po imieniu. Uznał, że przynajmniej tyle może zrobić, by ich uhonorować. Nie był bowiem w stanie pojąć ofiarności, z jaką przez szesnaście lat przygotowywali Drassil do tej chwili, a potem patrzyli na odjazd towarzyszy, nie mając pojęcia, ile czasu jeszcze będą musieli pilnować pustej twierdzy.

– A ty zapewne jesteś Hamil – powiedział do ostatniego z wojowników, poważnego człowieka o włosach przyprószonych siwizną na skroniach i haczykowanym nosie. Ten pochylił głowę. – Hamilu, mamy za sobą długą drogę i jest nas wielu. Czy mógłbyś wraz ze swymi towarzyszami pomóc nam się zakwaterować?

– Oczywiście, Jasna Gwiazdo – rzekł Hamil.

– Wystarczy Corban. To moje imię.

– Oczywiście. Mam tylko jedno pytanie.

– Słucham.

– Gdzie jest Tukul?

Przez moment Corban nie wiedział, co ma odpowiedzieć. Brakowało mu starego Jehar i tęsknił za nim każdego dnia. Jak na człowieka, którego znał ledwie chwilę, Tukul wywarł ogromny wpływ na jego życie.

Wtedy Hamil spojrzał nad ramieniem Corbana i dostrzegł Gara. Wpatrywał się w niego przez chwilę, aż uśmiechnął się szeroko.

– Gar, czy to ty?

Gar wpierw spojrzał na niego obojętnie, po czym również się uśmiechnął, choć Corbanowi ten uśmiech wydawał się blady i niewyraźny. Mężczyzna ześlizgnął się z konia i objął Hamila, który uściskał go mocno i poklepał po plecach.

– Ależ ty wyrosłeś! – zawołał.

– Jasne. Przecież minęło siedemnaście lat! – Gar wzruszył ramionami.

– A gdzie jest twój ojciec? – dopytywał się Hamil.

Uśmiech Gara wyparował, a w jego oczach znów pojawiła się pusta gorycz.

– Padł – rzekł.

– Co? Nie... – wykrztusił Hamil i obrzucił Gara długim spojrzeniem, na co ten znów go uściskał. – Świat nie będzie już tym samym miejscem bez niego.

– Nie, nie będzie – szepnął Gar.

Meical czekał cierpliwie na zboczu za nimi.

– Prowadzimy wielu znużonych ludzi – rzekł.

– Oczywiście, oczywiście! – Hamil oprzytomniał i nagle wszyscy ożyli.

Jehar przejął od Corbana wodze Tarczy i poprowadził go w głąb korytarza. Za nim pojawili się kolejni ludzie, mrużący oczy i mrugający w świetle. Buddai doskoczył do Burzy i oba zwierzęta pomknęły naprzód. Corban, którego wzrok przyzwyczaił się już do światła, rozejrzał się uważnie. Stał w wielkiej, mniej więcej okrągłej sali, większej nawet od tej w Murias, gdzie przechowywano kocioł. Kamienne płyty, na których stał, wnikały głęboko w ziemię, a przez zasłonięte okna do wnętrza wpadały szerokie fale światła. Przed sobą widział masywne, kamienne schody, tak ogromne, iż mogłyby uchodzić za rzędy siedzeń w teatrze. Prowadziły do wielkich drzwi z dębowego drewna i żelaza.

Niemniej nie to odebrało Corbanowi dech. Wysoko nad głowami przybyszów wiły się gałęzie równie grube i potężne jak pnie drzew z Ciemnego Boru. Wiele spośród nich wydawało się przenikać przez dach i wychodzić na zewnątrz, choć po chwili obserwacji młodzieniec doszedł do wniosku, iż być może było na odwrót i wykorzystano je do podparcia dachu. Lekki wiatr trącał liście, których cichy szelest przypominał szepty cieni wśród monstrualnych drzew. Corban obrócił się wokół własnej osi, chłonąc widok, aż nagle zamarł i otworzył szeroko usta.

Minęła dłuższa chwila, zanim zrozumiał, na co patrzy. W środku ogromnej sali wyrastał bowiem pień drzewa równie potężny jak najgrubsza z baszt Dun Kellen, który piał się wysoko i nikł wśród cieni pod rozległym dachem. Komnata, do której wyszli z podziemi, została wybudowana wokół gigantycznego pnia niczym zewnętrzny krąg z kamienia dookoła tego wewnętrznego z kory, drewna i żywicy.

Corban zauważył też, że w miejscu, gdzie korzenie wrastały w kamienną podłogę, wbudowano coś, czego jeszcze nie umiał nazwać.

Musnął dłonią korę, która wydała mu się twarda jak żelazo, ale nie tak zimna. Wręcz przeciwnie, wyczuwał w niej osobliwe ciepło, a końce jego palców zaczęły mrowić. Obszedł pień powoli, nie mogąc się mu nadziwić, a potem dotarł do zauważonego wcześniej obiektu.

Był to wrośnięty w pień tron, częściowo uformowany z drewna, częściowo z kamienia. Podłokietniki przypominały kształtem wielkie żmije, które Corban widział w podziemiach pod Dun Carreg oraz wokół kotła w Murias.

Na tronie zasiadał trup olbrzyma. Młodzieniec patrzył na poszarzałą, rozciągniętą skórę i strzępy ubrań, spod których wylaniały się fragmenty



popielatych kości. Pierś olbrzyma przebijała włócznia, tkwiąca głęboko w pniu drzewa. Jej ostrze było ledwie widoczne spomiędzy warstw żywicy, który narosły wokół dziury. Corban dotknął drzewca włóczni, grubego i gładkiego, poznaczonego ciemniejszymi żyłkami i zwieńczonego kolcem z czarnego żelaza. Przesuwał wzdłuż niej palce, ale gdy dotarł do metalu, oderwał je gwałtownie, jakby się poparzył. Przez moment słyszał bowiem w głowie chór syczących głosów.

– To włócznia Skalda – zagrzmiał ktoś za nim. Balur Jednooki. – Tak oto zginął nasz Najwyższy Król, co doprowadziło do Wielkich Wojen i Rozdzielenia.

W jego głosie pobrzmiwała melancholia.

– Kto to zrobił? Kto zabił Skalda?

– Ja – powiedział Balur.

Corban spojrzał w górę i ujrzał łzy ściekające po pobrużdżonej twarzy olbrzyma. W jego głowie zaroilo się od pytań, ale nie wykrztusił ani słowa, przejęty rozpaczą na twarzy wielkiego wojownika. Wiedział, że lepiej mu teraz nie przeszkadzać.

Pytania mogą poczekać, pomyślał.

Stali przez moment w milczeniu. Ich armia wylaniała się z tunelu pod Drassil niczym mrówki maszerujące z gniazda. Przy drugim ramieniu Corbana stanęła Ethlinn.

– Chodźmy, Jasna Gwiazdo. Pora, by Balur pokazał nam Drassil, pierwszą i największą spośród twierdz olbrzymów.

– A więc sama jeszcze jej nie widziałaś?

– Nie. Przyszłam na świat w Benothie i podobnie jak ty słyszałam o Drassil jedynie w opowieściach.

– Chodźmy więc – burknął Balur.

Podczas wędrówki po ulicach i placach Drassil Corbanowi towarzyszyło coraz większe zdumienie. Twierdzę wzniesiono wokół drzewa o rozmiarach, w które nigdy by nie uwierzył. Pień przewyższał gabarytami każdą budowlę, którą do tej pory widział. Przypominał raczej górę wyrastającą ku niebu. Górne konary znajdowały się tak wysoko, iż zdawały się dotykać chmur, a kamienne wieże i mury wznosiły się między wijącymi się, monstrualnie grubymi gałęziami niczym ustawione przez obdarzonych nieskrępowaną wyobraźnią dziecka bogów. Tu i ówdzie ziemia była popękana bądź wręcz rozerwana przez wyrastające korzenie, które przypominały zaciśnięte pięści

uśpionych olbrzymów.

Z bocznej uliczki wyłonił się Hamil.

– Pracowaliśmy ciężko, by przygotować Drassil na twoje przybycie – rzekł. Miał na sobie ciemną kolczugę na czarnej przeszywanicy, ale wydawał się mniej srogi od większości Jehar poznanych przez Corbana.

– Jestem wam wdzięczny za takie zaangażowanie – odparł, co najwyraźniej bardzo mężczyźną uszczęśliwiło. Dyskretnie przejął rolę przewodnika od Balura i zaczął pokazywać miejsca, z których zrywano ciemne pnącza, i te, gdzie naprawiano ubytki w murze. Opowiadał o tym, jak Jehar sporządzili mapy labiryntu katakumb ciągnącego się przez całe mile pod twierdzą i sięgającego daleko w Forn. Minęli w tym czasie kilka kurhanów.

– Tych tu nie było – zauważył Balur.

– Tak. Wzniesiono je nad ciałami naszych braci Jehar, którzy umarli w Drassil. Spędziliśmy tu wszak aż szesnaście lat. Niektórzy umarli na różne choroby, inni padli ofiarą drapieżników z Fornu. Tam leży Daria, matka Gara.

Corban spojrział na kurhany, które ułożono z kamiennych płyt, porośniętych teraz mchem i bladymi kwiatkami. Nigdy wcześniej nie pomyślał o tym, że Gar może mieć gdzieś rodzinę. Ten człowiek stał się tak integralną częścią jego życia, iż trudno było mu pojąć, że miał gdzieś własne.

– Tam dalej znajduje się dziedziniec kuźni – rzekł Hamil. – Wy, olbrzymy, byliście bardzo zorganizowane. Żadnego nieładu, wszystko na swoim miejscu.

Balur burknął tylko pod nosem.

– Korzystaliśmy jak dotąd z tylko jednej kuźni, ale wszystkie są gotowe do użycia.

– Dziękuję – rzekł Corban. – Bo przydadzą się wszystkie.

– Tędy – rzucił Balur i zmienił kierunek.

– Ach. – Hamil uśmiechnął się, ale nie powiedział już ani słowa.

Olbrzym doprowadził ich do szerokich, zwieńczonych łukiem drzwi. Stał przed nimi przez moment z pochyloną głową i dłonią opartą na żelaznej klamce, a potem otworzył je szarpnięciem. Wnętrze było zakurzone, a wpadające do środka światło zatrzymywało się na splotach pajęczyn grubych jak liny. Balur wszedł jako pierwszy, a po nim inni.

Znaleźli się w zbrojowni wielkiej niczym sala biesiadna w Dun Carreg. Pod ścianami ciągnęły się rzędy toporów, młotów wojennych, włócznie, długich mieczy i sztyletów, widać było również kolczugi, skórzane zbroje, napierśniki,

naramienniki i hełmy. Na twarzy Balura pojawił się uśmiech.

Zamarudzili tam dłuższą chwilę. Jednooki przechadzał się wzdłuż każdej ściany i wodził palcami po ostrzach toporów i obuchach młotów, jakby witał się ze starymi przyjaciółmi. Naraz zatrzymał się, wyciągnął ze stojaka jakąś włócznię i rzucił ją Ethlinn, która złapała ją jedną ręką i zakreśliła nią, rozrzucając strzepy pajęczyn, uczepionych żelaznego szpikulca wieńczącego tępy koniec. Corban zatrzymał się przed sztyletem o ostrzu szerszym i nieco dłuższym niż jego własny miecz. Przejechał palcem po klindze i skaleczył się.

– Mogę go zatrzymać? – spytał Balura.

– Pewnie – odparł olbrzym.

Młodzieniec wyciągnął sztylet ze stojaka i odszukał dla niego skórzaną pochwę.

Dam go Farrellowi, by miał czym odrąbywać łąby Kadoshim, pomyślał.

Nie bez żalu wyszli ze zbrojowni i dotarli na dziedziniec otoczony setkami kamiennych budynków, które na pierwszy rzut oka przywodziły na myśl boksy w stajni, choć były wyższe i szersze.

– To zagrody niedźwiedzi – oznajmił Balur.

Trwało tam teraz gorączkowe zamieszanie – wyglądało na to, że zagrody rozpoczynają swoje nowe życie. Niektórzy z Jehar, którzy pozostali na straży Drassil, nadzorowali rozmieszczanie koni w boksach, zdejmowali z nich rzędy, wycierali ich sierść, dolewali wody i dosypywali jedzenia.

Jeden rząd zagród zbudowano wzdłuż wysokiego muru, na którym zieleniły się gęste pnącza, upstrzone fioletowymi kwiatami. Wzdłuż muru ciągnęły się schody, do których zaprowadził ich Hamil. Weszli na górę, gdzie po chwili dołączył do nich Meical, który zauważył ich z dołu.

Corban nie spodziewał się, że ujrzy coś takiego.

Gałęzie wielkiego drzewa Drassil wyrastały za mury i rzucały cienie na rozległe łąki, które ciągnęły się wokół twierdzy, a w razie potrzeby mogły się zamienić w miejsce rzezi.

– Skąd tu się wzięły te łąki? – zdziwił się Corban. – W samym sercu lasu?

– Nie było ich tu kiedyś – rzekł Hamil z dumą. – Patrzycie na wielkie dzieło Tukula. Przez wiele lat pracowaliśmy nad tym, by usunąć wszystkie drzewa i krzewy rosnące wokół murów. Od południowej strony mamy nawet pola żyta, kukurydzy i pszenicy. Zbiory są zadowalające.

– Niezwykły wyczyn – stwierdził Meical.

– W rzeczy samej – oznajmił Corban – i bardzo się przyda, jeśli dotrą tu

Nathair i Calidus.

– A dotrą – rzucił Ben-Elim.

– Jesteś pewien? – Młodzieniec spojrział na niego.

– Tak.

Corban nabrał tchu.

– Byłem tak bardzo skupiony na tym, by tu dotrzeć, że nie pomyślałem o tym, co trzeba będzie zrobić, gdy już się tu znajdziemy. Trzeba to dobrze omówić.

– Zgoda – rzekli Meical i Balur, a Hamil pokiwał głową.

– Najpierw jednakże trzeba nam się tu zadomowić i trochę odpocząć. Do układania planów przystąpimy wkrótce.

\* \* \*

Corban przebudził się z osobliwym niepokojem. Do wnętrza jego komnaty przenikało szare, jasne światło. Miał za sobą pierwszą noc w łóżku od czasu wyruszenia z Dun Taras z armią Domhainu, a mimo to spał kiepsko.

Od tego czasu minął rok, a po jednej nocy na materacu wypchanym gęsim piórem i końskim włosiem plecy bolały mu bardziej niż po nocy spędzonej na ziemi, pomyślał.

Ale nie była to jedyna przyczyna, dla której nie zdołał się wyspać. Śnił mu się bowiem Zaświat. Wędrował zieloną doliną w stronę jeziora o czystych wodach, a za sobą miał wysokie klify sięgające niemalże obrzmiałych, czerwonych niczym krew chmur.

Wydało mu się to dziwne, gdyż wspominał Zaświat jako miejsce, którym rządziły odcienie szarości. Tymczasem odwiedzoną przez niego krainę cechowały wyraźne kolory, a jej piękno przenikało do jego duszy i przepelniało go cichym spokojem. Naraz dostrzegł Meicala, który mknął po niebie, machając ogromnymi białymi skrzydłami. Znajdował się zbyt wysoko, by Corban mógł rozpoznać jego oblicze, ale skądś wiedział, że to on. Przypomniał sobie wówczas słowa, które kiedyś usłyszał od Meicala – doradca ostrzegł go przed Asrothem, który uparł się, żeby go dopaść, i przed krążącymi po Zaświecie Kadoshim.

„Obiecuj mi, że jeśli znajdziesz się tam ponownie, schowasz się i nie będziesz się ruszał. Kadoshim Asrotha latają wysoko i zobaczą cię, nim zorientujesz się w sytuacji”.

Corban schronił się więc pod klonem o czerwonych liściach. Usiadł na ziemi i patrzył na Meicala, który wylądował na klifie przed nim. Wydawało mu się, że dostrzega za nim również inne postacie z białymi skrzydłami, ale po chwili wszyscy zniknęli w wielkiej jamie w ścianie klifu. A wtedy...

Wtedy się obudziłem, pomyślał.

Ubrał się pośpiesznie, zapiął pas z mieczem i narzucił na barki płaszcz z futra wilkuna. Wtedy uświadomił sobie, że coś jest nie w porządku. Rozejrzał się i spostrzegł, że nie ma przy nim Burzy. Przypomniał sobie też, że szukał jej, gdy przebudził się w nocy. Brakowało mu jej obecności. Być może przez to spał tak niespokojnie.

Pewnie zwiedza okolicę i obwąchuje każdy kąt tej twierdzy, pomyślał.

Mimo to czuł się nieswojo. Wolałby mieć wilkunicę przy sobie. Otworzył drzwi i ujrzał Gara, który stał po drugiej stronie i unosił rękę, by zastukać.

– Taniec miecza – rzucił, po czym odwrócił się i odszedł.

Corban podążył za nauczycielem. Jego kroki rozbrzmiewały echem w pustym korytarzu.

Dziedziniec treningowy Drassil był wprost ogromny, jak wszystko inne w tej owianej legendami twierdzy. Pod nogami ćwiczących znajdowała się ubita ziemia, gdzieniegdzie pokryta spłachetkami trawy, ale jeden fragment wyłożono kamiennymi płytami. Kosze były pełne drewnianej broni i choć Jehar nie używali niczego poza zakrzywionymi mieczami, Corban dostrzegł również stojaki z włócznieami i tarczami oraz rząd słomianych celów wzdłuż przeciwnego krańca dziedzińca.

Prawie jak na Jarzębinowej Łące w Dun Carreg, przemknęło mu przez myśl.

Nad ziemią unosiły się gęste kłęby porannej mgły, a powietrze było chłodne i wilgotne. Nabrzmiałe deszczem chmury sunęły nisko nad ich głowami, zupełnie jakby chciały ich przygnieść. Śpieszący za Garem Corban dostrzegł Coralen stojącą z Kullą oraz Enkarą, która pokazywała młodszym kobietom jednoczesny obrót ramienia i nadgarstka. Corban rozpoznał technikę, której nauczył się kiedyś od Gara. Pamiętał, że służy do wyprowadzenia dwuręcznego ciosu.

Wojowniczkę spojrzęły na niego, gdy podszedł bliżej.

– Coralen, widziałaś może Burzę?

– Nie. Nie widziałam jej od wczoraj.

– Ja też nie. – Corban zmarszczył brwi. – Pamiętam tylko, że tuż po

wyjściu z tunelu pobiegła gdzieś z Buddaiem.

Słyszając to, Coralen uniosła brew.

– Cóż, chyba wiem, gdzie są, a przynajmniej domyślam się, co robią.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Myślę, że Burza ma cieczkę.

– Co?

Corban zamrugał, przez moment niczego nie rozumiejąc, aż słowa Coralen dotarły doń w pełni.

Cieczkę? Czyli Burza z Buddaiem pracują nad szczeniakami?

Naraz wydało mu się to tak oczywiste, że mało brakowało, a pacnąłby się w czoło. Zauważył przecież zmianę w jej zachowaniu i to, jak igrała z Buddaiem.

Przecież wilkuny też muszą mieć cieczkę, ale ja niczego nie spostrzegłem. Byłem zbyt zajęty, zbyt pochłonięty innymi rzeczami, by to dostrzec. A teraz uciekła z Buddaiem. Nieźle...

Uśmiechnął się, zadumany.

Doczekają się wspaniałych psiaków. A może wilcząt? – pomyślał.

– Corban! – zawołał do niego Gar i rzucił mu zakrzywiony miecz ćwiczebny.

Corban uwielbiał taniec miecza. Za każdym razem, gdy go rozpoczynał, czuł się, jakby spotkał starego przyjaciela bądź zawędrował w ulubione miejsce, jak choćby polana z kamieniem przysięg w lesie Baglun, gdzie czuł się bezpiecznie. Złapał miecz oburącz i uniósł go wysoko, przybierając pozycję nurkującego sokoła, a wówczas wszystko inne przestało mieć znaczenie. Zmieniał pozycje płynnie, nie rejestrując przejścia między nimi, a zakończył taniec wypadem połączonym z okrzykiem. Było to precyzyjne pchnięcie, które rozpoczynało się na wysokości kostek, a kończyło z ostrzem przeszywającym serce wyimaginowanego przeciwnika.

Okrzyk wciąż pobrzmiwał mu w uszach, gdy zamrugał i rozejrzał się, ocierając pot ściekający mu z nosa. Miał wrażenie, że na przepelnionym dziedzińcu treningowym oraz wokół niego zgromadzili się wszyscy ludzie, którzy przybyli wraz z nim do Drassil. Zauważył Balura i pozostałych Benothi, wieśniaków z Narvonu, Wulfa i innych ocalałych poddanych Gramma, Javeda na czele wioślarzy z okrętów Vin Thalun, wszystkich przemieszanych i wspólnie ćwiczących. Mignęło mu coś białego i przez chwilę myślał, że dostrzegł Burzę, ale okazało się, że było to o wiele mniejsze zwierzę. Terier szczurołap, za którym biegł Haelan.

Wszyscy wpatrywali się w niego. Corban odwrócił się i spojrzał na zebranych wojowników, uświadamiając sobie, jaki niezwykle hufiec udało mu się stworzyć, i jak wiele rozmaitych talentów zdołał w nim połączyć.

Jesteśmy siłą, z którą należy się liczyć, pomyślał.

– Oto dziedziniec treningowy! – usłyszał własny okrzyk. – Chodźcie! Przyłączcie się do nas, gdyż to tu utworzymy armię, która zniszczy Czarne Słońce i jego stronników. Tu rozpocznie się walka o uwolnienie Ziemi Wygnanych.

A skąd to się wzięło?, przemknęło mu przez myśl.

Zapadła cisza, po czym naraz rozległy się tryumfalne wrzaski, zainicjowane, jak sądził Corban, przez Farrella i Datha, ale błyskawicznie nabierające mocy i przeistaczające się we wrzawę głośniejszą od ryku setki draigów. Gdy hałas ucichł, ludzie zaczęli wbiegać na dziedziniec i chwytając za broń. Corban zaś podszedł do Balura. Towarzyszył mu Gar.

Mogę sobie być Jasną Gwiazdą, ale treningu mi nie odpuści, pomyślał chłopak.

– Balurze, mam do ciebie prośbę – rzekł.

– Słucham – odparł olbrzym, marszcząc krzaczaste brwi.

– Ćwiczcie z nami. Ty i twoi pobratymcy.

– Czy to mądry pomysł? – szepnął Gar.

– Dobrze pytanie – zagrzemiał Balur.

– Walczyliśmy z olbrzymami w osadzie Gramma, a w Murias widziałem Benothi, którzy stanęli po stronie Kadoshim. Przypuszczam, że niebawem przyjdzie nam ponownie zmierzyć się z twoimi rodakami.

Choć wydawało się to niemożliwe, Balur zmarszczył brwi jeszcze mocniej.

– A więc chcesz, byśmy cię nauczyli, jak zabijać olbrzymy?

– Tak. – Corban wrzucił ramionami. – I na twoim miejscu nie brałbym tego do siebie, bo my, ludzie, już od dawna ćwiczymy zabijanie się nawzajem.

Zerknął na wojowników Jehar, wśród których było wiele kobiet, a potem na Coralen, która wykonała szczególnie zabójczą kombinację ciosów i posłała Farrella na łopatki, po czym przytknęła mu ostrze do podbródka.

– Zarówno mężczyźni, jak i kobiety, dodam.

Balur obrzucił go jeszcze jednym groźnym spojrzeniem, po czym się rozpogodził.

– Zastanawiałem się, kiedy mnie o to poprosisz – rzekł. – Moja odpowiedź brzmi: tak, bo kieruje tobą mądrość. Będziemy z wami ćwiczyć, choć myślę, że

najpierw trzeba odpowiednio dobrać broń ćwiczebną. Potrzebujemy drewnianych toporów i młotów tych samych rozmiarów co żelazne.

– Cóż, na brak drewna to tu nie cierpimy. – Corban uśmiechnął się.

Oblicze Balura zmienił kolejny grymas, a młodzieniec uświadomił sobie, że wielki wojownik uśmiecha się do niego.

Do Gara podszedł Hamil, który szepnął mu coś do ucha. Gar zmarszczył brwi, a wtedy strażnik Drassil wskazał mu Jehar zgromadzonych w luźnym kręgu. Na pierwszy rzut oka nie brakowało żadnego z nich.

– Co się dzieje? – spytał Corban.

– Jehar wybierają nowego przywódcę – rzekł Gar, nadal marszcząc brwi.

– Tukul nie żyje. – Hamil wzruszył ramionami. – Będziemy ci służyć, Jasna Gwiazdo, ale potrzebujemy przywódcy. Tego wymaga nasza tradycja.

– Rozumiem. To skąd ten twój grymas? – Corban zwrócił się do Gara, ale odpowiedział mu Hamil:

– Bo Akar zaproponował siebie.

Obaj mężczyźni ruszyli w stronę rodaków, a Corban po chwili wahania podążył za nimi.

Ponad trzystu pięćdziesięciu Jehar stało w kręgu, a na samym środku czekał Akar.

– Jakie są zasady? – szepnął Corban do Hamila.

– Wybieramy kandydata na przywódcę bądź ten zgłasza się sam. Jeśli będzie ich więcej niż jeden, o wyborze decyduje Sąd Mieczy.

Corban spojrzał na Akara, poważnego i zdecydowanego na wszystko.

– Czekałem tyle, ile wymaga tradycja! – zawołał i zerknął na słońce. – Nikt nie podjął wyzwania. Nikt nie wyznaczył innego kandydata do roli przywódcy.

Jest wspaniałym wojownikiem. Widziałem go w boju i wiem, że odznaczył się wielokrotnie podczas naszej podróży. Sprawdził się też jako przywódca. Ale przecież został wyprowadzony w pole przez Nathaira i walczył dla niego, myślał Corban, nieco zaniepokojony tym, że miejsce Tukula ma zająć właśnie Akar. Ale kto inny mógłby objąć przywództwo? Nikt. Cóż, poza Garem.

Tę myśl szybko zastąpiła kolejna.

Skąd mi się to wzięło? Czyżbym tak uważał tylko dlatego, że jestem blisko związany z Garem?

Natychmiast zrozumiał, że nie o to mu chodziło. Kochał Gara, którego traktował jednocześnie jak ojca i brata, ale w głębi duszy wiedział, że jest on przede wszystkim wspaniałym człowiekiem, zasługującym na rangę dowódcy.



– Coś cię dręczy? – spytał go cicho Hamil.

– Myślę, że to Gar powinien wami przewodzić – odparł Corban.

Przez usta Hamila przemknął uśmiech.

– Wyznaczam Garisana ben Tukul! – wykrzyknął głośno i wyraźnie.

Akar odwrócił się gwałtownie w jego stronę, podobnie jak wszyscy pozostali. Wyjątkiem był Gar, który pochylił głowę, a potem spojrzał na Hamila.

– Nie jestem godzien – stwierdził.

– Nie jest godzien! – rzekł Akar. – Ja spędziłem swe życie w Telassar, służyłem w randze kapitana i dowodziłem wojownikami w bitwie. Sprawdziłem się w niejednym starciu!

– Wyznaczono innego kandydata – odezwał się Hamil. – Czas na słowa już minął. Teraz nadszedł czas na Sąd Mieczy.

– O ile Gar przyjmie wyzwanie – rzekł Akar i popatrzył na Gara. Ten przeniósł spojrzenie na Hamila, później na resztę rodaków, a na końcu na Corbana.

– Jesteś tego godzien – oznajmił z naciskiem Corban. – Nikt nie zasłużył sobie na to bardziej od ciebie.

Gar westchnął, po czym skinął głową.

– Przyjmuję wyzwanie – rzekł i wkroczył na zaimprovizowaną arenę wytyczoną przez krąg Jehar. Stał przed Akarem, a za nim wyszedł Hamil.

– Akarze ben Yeshua, czy przyjmujesz wyzwanie Garisana ben Tukul na Sąd Mieczy?

– Przyjmuję – rzekł Akar. – Gar został skażony przez świat zewnętrzny, który uczynił go miękkim i słabym. Nie nadaje się na przywódcę Jehar.

Jego słowa obudziły w sercu Corbana gniew. Z niemałym trudem zacisnął zęby.

– Garisane ben Tukul, czy zechcesz walczyć z Akarem ben Yeshua w Sądzie Mieczy?

Gar stanął przed Akarem z pochyloną głową, po czym podniósł ją i spojrzał rywalowi w oczy.

– Tak – oznajmił. – Ponieważ mój ojciec nie chciał, by Akar przewodził Jehar.

Jego przeciwnik skrzywił się.

– Słowa martwego człowieka powinny pozostać wraz z nim. W grobie.

Gar wyciągnął miecz.

Co?, pomyślał ze zgrozą Corban. Co on wyprawia?

– Czemu on wyciąga miecz? – sapnął, łapiąc Hamila za rękę.

– Bo tego życzyłby sobie jego ojciec.

Akar również dobył broni i odrzucił pochwę.

– Nie o to mi chodzi! Dlaczego oni walczą na ostre?

– Bo o przywództwie rozsądza śmierć – powiedział Hamil.

Zapadła cisza przed burzą, ostatnie chwile, nim eksploduje agresja, a w powietrzu załopoczą skrzydła śmierci.

Corban wszedł na arenę.

– Nie – rzekł.

Wszyscy spojrzeli na niego.

– Nie będziecie walczyć na śmierć! – wykrzyknął. – Asroth i jego Czarne Słońce już mają nad nami przewagę i są gotowi zniszczyć nas samą liczebnością! Potrzebuję każdego wojownika, który potrafi utrzymać miecz w ręku, a dwaj Jehar, którzy przez całe życie doskonałą sztukę walki... – Pokręcił głową. – To marnotrawstwo. Nie mogę stracić ani jednego z was.

Obaj rywale spojrzeli na niego.

– A więc czego od nas chcesz? – spytał Gar. – Ten spór musi zostać rozwiązany.

– Walczcie do pierwszej krwi – rzekł Corban. – To pokaże, który z was jest lepszy.

Gar i Akar wpatrywali się w niego przez moment, po czym skinęli głowami.

– A więc zaczynajcie – polecił im Corban i cofnął się między widzów, a obaj wojownicy wzniesli broń i rzucili się do ataku.

Ostrza dźwięczały, ścierając się w nawale ciosów, ale żaden z walczących nie cofnął się ani o krok. Niespodziewanie Gar przypadł bliżej i kopnął Akara w kolano. Ten zatoczył się, a jego zimną, obojętną twarz na moment wykrzywił grymas gniewu i zaskoczenia. Gar skoczył w ślad za nim i zasypał go długą lawiną morderczych ciosów w głowę, kark, krocze, brzuch, serce, znów w głowę i...

Corban rozpoznawał każdy cios i podziwiał, z jaką płynnością przechodziły jeden w drugi. Zlewały się ze sobą niczym nuty pieśni, a Akar cofał się, co Jehar przytrafiało się rzadko. Starał się nie przenosić ciężaru ciała na uderzone przed momentem kolano.

Corban zaś wyczuł za sobą czyjąś obecność. Odwrócił się i ujrzał, że wokół walczących gęstnieje tłum widzów. Dookoła zgromadzili się wszyscy

wojownicy ćwiczący na dziedzińcu, przyciągnięci szczękiem oręża.

Gar nie ustawał, a Akar parował jego ciosy z narastającą desperacją. Niespodziewanie Gar przestał atakować, cofnął się i powoli obszedł przeciwnika.

– Miałeś rację. Świat zewnętrzny wywarł na mnie wielki wpływ. Uformował mnie – rzekł, nie spuszczać z rywala oczu. Nie przestawał chodzić dookoła niego, a Akar, wykorzystując chwilę wytchnienia, starał się złapać oddech i przybrać odpowiednią postawę. – Ale mylisz się, jeśli myślisz, że uczynił mnie słabszym!

Naraz Gar doskoczył. Jego miecz ponownie opadł i znów poniósł się szczęk zderzających się ostrzy. Tym razem jednakże Akar nie cofnął się ani o krok. Rywale trwali naprzeciwko, tnąc i wyprowadzając pchnięcia, parując i blokując. Żaden z nich nie był w stanie przebić się przez gardę drugiego, a każde parowanie płynnie przechodziło w cios, ułamek sekundy później sprawnie zablokowany. Z każdym uderzeniem walczący zbliżali się do siebie, aż ich ostrza zwały się nad głowami, krzesząc iskry. Wojownicy rozstawili szeroko nogi i napierali ze wszystkich sił, jakby miecze stanowiły naturalne przedłużenie ich ciał. Nie spuszczaali przy tym z siebie oczu, a ich twarze spływały potem.

Naraz Gar rąbnął Akara czołem w nos. Buchnęła krew, Akar cofnął się o krok, a Gar zahaczył nogą o jego kostkę. Rywal runął na ziemię z krwią ściekającą po podbródku. Ostrze Gara zawisło nad nim.

Corban odetchnął. Nie zdawał sobie sprawy z tego, że wstrzymywał oddech.

Coralen setki razy wykorzystywała tę sztuczkę przeciwko mnie, aż wreszcie sam się jej nauczyłem, pomyślał. Wygląda na to, że Gar przyglądał się naszym starciom.

– Krwawisz – rzekł Gar. – Poddajesz się?

Było to nieczyste uderzenie, które Jehar zapewne uznaliby za coś poniżej ich godności. Ale, jak mawia Coralen, trup to trup, pomyślał Corban.

Akar wpatrywał się w Gara, a na jego twarzy szalały emocje. W końcu jednak złagodniał i skinął głową.

– Ty utoczyłeś mi krwi jako pierwszy – odparł. – Poddaję się.

– Świat mnie nie skaził, ale uformował. Uczynił mnie też silniejszym, a nie słabszym – szepnął Gar. – A teraz podaj mi rękę, bracie.

Z tymi słowami wyciągnął ramię.

Akar zawahał się, ale złapał go za rękę. Wokół poniósł się ryk aprobaty, do

którego dołączyły nawet olbrzymy. Głos Corbana utonął we wrzawie. Wówczas Akar uklęknął przed zwycięzcą na jedno kolano i ucałował jego dłoń. Pozostali Jehar również klękali naokoło, a Gar rozglądał się z oszołomieniem i czymś na kształt zażenowania.

Teraz wie, jak ja się czuję, pomyślał Corban.

Hamil wstał i podszedł do Gara. Uścisnął jego ramię i podniósł je do góry.

– Oto Garisan ben Tukul – wykrzyknął. – Przywódca Jehar!

## Rozdział sześćdziesiąty piąty

# MAQUIN

Maquin zachwiał się w siodle. Utrzymywał równowagę tylko dzięki pracy kolan, gdyż ręce związane mu za plecami. Dwadzieścia kroków na prawo widział ciemne wody szerokiej rzeki, a na północy dostrzegał już kryte śniegiem szczyty gór. Spływający stamtąd wiatr z szelestem trącał źdźbła traw i przynosił niewyraźny jeszcze chłód lodowców.

Mężczyzna zadrżał. Jechał w wielkiej kolumnie, liczącej prawie sześć tysięcy wojowników orlej gwardii Veradisa oraz Vin Thalun Lykosa. W ich liczbie znalazła się również honorowa gwardia otaczająca Krelisa, Ektora, Fidele, Peritusa i Albena. Daleko przed sobą Maquin dojrzał oba olbrzymy, które znów znalazły się w niewoli i szły teraz długimi krokami, by dotrzymać tempa pilnującym ich konnym gwardzistom.

Minął niemalże cały księżyc od chwili, gdy świat stanął na głowie. Dwa potężne hufce wyszły na spotkanie Lykosa, mając nad nim niemalże dwukrotną przewagę, a ich przywódcy byli przekonani, że klęska władcy piratów jest już nieunikniona.

Ale wtedy przybył Veradis, pomyślał Maquin.

Gdy dotarli na spotkanie pod jarzębiną i wysłuchali propozycji, które Veradis wygłosił w imieniu Nathaira, Maquin uświadomił sobie, że niepotrzebnie się łudził, iż Lykosa wreszcie dopadnie sprawiedliwość. A potem, gdy Lykos zaczął drwić z Fidele po tyłu krzywdach, jakie jej wyrządził, czara goryczy została przelana.

Sądziłem, że mam całkowitą kontrolę nad sobą. Wygląda na to, że się pomyliłem, pomyślał wojownik.

Załomotały kopyta i po lewej pojawił się Lykos. Maquin patrzył przed siebie, nie chcąc zaszczyścić pirata choć jednym spojrzeniem.

– I jak się dziś miewasz? – spytał go Lykos.

Maquin się nie odzywał.

– Dajesz radę siedzieć prosto?

Plecy i zebra wojownika były fioletowe od sińców, a każdy oddech powodował kolejny przypływ bólu.

Przynajmniej jedno złamane zebro, pomyślał.

Co więcej, gdy się rano wypróżniał, zauważył nieco krwi w moczu. Zacisnął jednak zęby i odepchnął od siebie ból. Nie chciał, by pirat dowiedział się, jak źle z nim było. Nie miał zamiaru dawać mu tej satysfakcji.

Znosiłem już gorszy ból, a bez wątpienia czeka mnie go jeszcze więcej, jeśli pozostanę w rękach Lykosa.

– To tylko przedsmak tego, co cię czeka – wysyczał Lykos. – Wszyscy na mnie teraz patrzą, rozumiesz. Ta zdzira nagadała Veradisowi mnóstwo bzdur na mój temat i choć chłopak nie doszedł jeszcze do siebie, zaczął mi się bacznie przyglądać. Na razie więc nie spodziewaj się sińców, których nie da się ukryć pod ubraniem. Nie ma mowy o złamanych kościach czy o torturach, po których nie będziesz mógł dosiąść konia. Na razie. – Zamilkł i przez moment jechali obok siebie, niemal jak starzy przyjaciele. – A naprawdę nie mogę się doczekać chwili, gdy ty i Fidele zostaniecie zakuci w łańcuchy w tej samej komnacie. Ja ją odzyskam, sam rozumiesz, ale nim powrócimy do takiego układu jak kiedyś, będę musiał ją ukarać. Będę musiał jej pokazać, że jej działania pociągają za sobą konsekwencje.

Maquin odruchowo zacisnął pięści, choć starał się nie reagować. Gdy uświadomił sobie, że ciało go zdradza, próbował rozluźnić palce, ale było już za późno. Lykos zauważył odruch i roześmiał się cicho, serdecznie.

– Masz już słabość, Stary Wilku. Fidele oczarowała cię, nie ma co do tego wątpliwości. Kiedy już ją ukarzę i zawlekę z powrotem do łóżka, być może pozwolę ci się przyglądać.

Powiniennem złapać ją i uciekać z tego namiotu, a nie rzucać się w ślad za Lykosem jak jakiś żądny krwi szaleniec, pomyślał Maquin.

Wjechali drogą na szczyt wzniesienia, skąd roztoczył się widok na jezioro i czarne mury oraz wieże Jerolin, migoczące w bladym blasku słońca.

– O, wspaniale – rzekł Lykos ze złośliwym uśmiechem. – Czyli będziemy dziś spali pod dachem, a nie w namiocie. Grube, kamienne ściany stłumią twoje wrzaski.

Ja też mam coś do powiedzenia w tej sprawie, pomyślał wojownik.

Nie wrzasnął jak dotąd ani razu podczas wizyt Lykosa. Stękał głucho,

krzywił się, zgrzytał zębami, przygryzał język, ale pomimo wysiłków pirata nie krzyknął. Głos w jego głowie zarzucał mu głupotę. Przecież wystarczyłoby raz wrzasnąć, by Lykos przerwał, nie chcąc przyciągać uwagi. Nie zrobił tego jednak, bo wiedział, że Vin Thalun słuchają. Czekają, aż ich przywódca złamie Starego Wilka. Podczas każdej kolejnej wizyty Lykos wydawał się coraz bardziej zdesperowany i Maquin dobrze wiedział, o czym szeptają jego wojownicy przy ogniskach.

– Wkrótce cię złamię – szepnął Lykos, pochyliwszy się ku niemu.

Nigdy, pomyślał Maquin.

\* \* \*

Maquin wpatrywał się w arenę na równinach przed miastem, przypominając sobie swoje ostatnie chwile spędzone w tym miejscu. Wiedział, że nigdy nie zapomni swej walki z Orgullem, rebelii, chaosu, starcia z Deinonem i Lykosem, ucieczki z Fidele...

Jego koń został zaprowadzony do stajni, gdzie ludzie Lykosa bezceremonialnie ściągnęli go z siodła i powlekli w stronę domów znajdujących się niedaleko zamku. Wrzucono go do kamiennej celi, po czym usłyszał trzask ryglowanych drzwi.

Strumień światła słonecznego wpadający przez umieszczone wysoko okno przesuwiał się po komnacie wraz z wędrującym po niebie słońcem, które wreszcie zaczęło się chylić ku zachodowi. Maquin usłyszał stłumione głosy i łomot butów za drzwiami. Przez szczeliny do wnętrza jego celi wniknął pomarańczowy poblask pochodni. Na zewnątrz powoli ciemniało, aż zapadł zmierzch.

Nikt nie przyszedł do niego.

Ale przyjdzie.

Poczuł ukłucie strachu na myśl o tym, co ma nadejść, lecz błyskawicznie go zdławił.

Mogę w sumie odpocząć, zanim znów się zacnie, postanowił.

Położył się na pryczy i zamknął oczy.

\* \* \*

Obudził go zgrzyt kluczy w drzwiach. Do środka wszedł Lykos, opromieniony

blaskiem pochodni, niesionej przez towarzyszącego mu wojownika.

– Dobry wieczór – rzekł przyjaźnie.

Do celi w ślad za nim weszło jeszcze dwóch przybocznych i dopiero wtedy zamknięto drzwi.

Nadal się mnie boi, choć jestem związany i pobity, pomyślał Maquin z przelotną satysfakcją.

Lykos wyciągnął zza pasa mały nóż, ostry i budzący nieprzyjemne skojarzenia.

– Pomóżcie mu wstać – powiedział.

Dwóch przybocznych dźwignęło Maquina, a trzeci uniósł wyżej pochodnię, by oświetlić całe pomieszczenie. Lykos zaś rozciął jeńcowi płaszcz i wełniane odzienie, odsłaniając skórę poznaczoną sińcami i skaleczeniami. Uśmiechnął się.

– Uklęknieś przede mną. Będiesz mnie błagał o litość. Poprzysięgniesz mi wierność po wsze czasy – powiedział ponurym głosem. – Pamiętasz chyba Orgulla, co? Tego twojego ogromnego przyjaciela? Pamiętasz, gdy ujrzałeś go pobitego i złamanego, marzącego jedynie o śmierci? To ja go tak urządziłem.

Ale nie złamałeś w nim ducha, pomyślał Maquin.

– Tej nocy będziesz mnie błagał. Tej nocy.

A potem powoli, ostrożnie Lykos wbił płytko ostrze noża w okolice pachy mężczyzny, a następnie zaczął nacinać skórę w kierunku biodra. Maquin chrząknął, zazgrzytał zębami i zacisnął pięści z taką siłą, że kości zaczęły grozić pęknięciem. Wiedział, że nie ma co się wić czy próbować uciec, bo w ten sposób powiększy jedynie ranę, a wraz z nią ból. Trwał więc w bezruchu i wpatrywał się w oczy Lykosa, a w jego wzroku czaiła się obietnica śmierci.

Lykos cofnął się, a na jego czole pojawiła się zmarszczka.

– Obedrę cię ze skóry, jeśli będę musiał – warknął. – Albo wyłupię ci oko...

Uniósł nóż i oparł go na policzku Maquina tak, że ostrze zastygło o włos od gałki ocznej.

Wojownik wpatrywał się w Lykosa, ale w myślach widział jedynie most mieczy i Ben-Elim stojącego przed nim z ognistym ostrzem.

„Musisz dokonać wyboru” – usłyszał wówczas od niego.

I dokonałem, pomyślał. Powróciłem dla trzech osób, z których dwie muszę zabić, a trzecią kocham. Gdybym jednak wiedział, gdzie mnie to doprowadzi...

Oczami wyobraźni ujrzał twarz Fidele. Przez moment czuł, jak jej usta muskają jego wargi, poczuł pieszczotę jej oddechu i lekki zapach róż.



Nie, podjąłbym tę samą decyzję, uświadomił sobie. Ona jest warta całego życia w bólu.

Z głuchym warknięciem Lykos cofnął nóż, pozostawiając rozcięcie na policzku jeńca. Zaszczypało, gdy wsiąkły w nie słone krople potu. Maquin zamrugał i ujrzał, jak władca piratów odwraca się, by wyrwać pochodnię z ręki przybocznego.

– Może nieco ognia pomoże nam coś z ciebie wydobyć – zasyczał i przysunął pochodnię do brzucha więźnia.

Maquin poczuł smród palących się włosów i fale gorąca, uderzające go w twarz. Pokusa, by się odsunąć, była niemalże nie do wytrzymania.

Nie mogę się poruszyć, przecież mnie trzymają. A jeśli się poruszę, jeśli zacznę wrzeszczeć, poniosę porażkę, pomyślał.

Lykos uśmiechnął się i przysunął pochodnię nieco bliżej, a Maquin poczuł, jak jego skórę pokrywają pęcherze. Z jego ust wyrwał się jęk. Ból był zbyt potężny, czuł, że powinien zacząć wrzeszczeć, by ulżyć sobie choć odrobinę, ale zacisnął mocno zęby.

– Szkoda, że wcześniej na to nie wpadłem – oznajmił pirat i pochylił się nad nim, by dobrze mu się przyjrzeć. – Wrzeszcz, do cholery! – warknął.

Frustracja narastała w Vin Thalun z każdym uderzeniem serca. Przekręcił dłoń, zaciśniętą na włosach Maquina.

Nigdy w życiu, ty sukinsynu, pomyślał Stary Wilk.

– Panie, takie oparzenia mogą zabić – odezwał się ktoś z tyłu. – A w najlepszym razie nie będzie jutro w stanie utrzymać się w siodle.

– Byłbyś zdziwiony, do czego ten człowiek jest zdolny – rzekł Lykos i podszedł krok bliżej.

Ból wywołany przez płomień nie szarpał już ciała Maquina falami, za to przerodził się w niekończącą się, rozrywającą agonię. Mężczyzna czuł smród płonącego ciała. Otworzył oczy i ujrzał przed sobą znienawidzone oblicze Lykosa, szyderczo uśmiechnięte, oczy zgorzkniałe i pełne zła.

Rzucił się naprzód, na moment zaskakując przybocznego pirata, którzy byli nazbyt pochłonięci utrzymywaniem go w pionie, by go zatrzymać. Z jego gardła wyrwał się straszliwy ryk, który odbił się echem od ścian celi, a potem Maquin zacisnął zęby na nosie i fragmencie policzka Lykosa.

Zagryzł z całej siły i poczuł w ustach słony smak gorącej krwi. Potrząsnął głową jak wilkun, który pochwycił zającą w szczęki.

Lykos wrzasnął przeraźliwie.

I kto teraz się drze?, pomyślał Maquin.

Naraz poczuł gorąco płomieni, które buchnęły między nim a Lykosem. Jego nagły skok sprawił, że lniana koszula pirata zajęła się ogniem.

I dobrze! Podoba ci się?, przemknęło mu przez myśl.

Lykos znów wrzasnął. Szlochając ze strachu, próbował się odsunąć. W tej samej chwili coś rąbnęło Maquina w potylicę. Zachwiał się i osunął na kolana, a jego usta nagle wezbrały krwią. Kątem oka ujrzał, jak Lykos pada na plecy, upuszczając pochodnię i rozpaczliwie tłukąc się po płonącej koszuli.

Kolejny cios w potylicę posłał Maquina na podłogę. Przetoczył się, patrząc na wrzeszczącego z bólu Lykosa. Pirat zerwał resztki koszuli i podniósł się, oddychając ciężko. Z miejsc, w które zagłębiły się zęby więźnia, ściekała krew. Przez moment mrugał i ciężko oddychał. Ostrożnie dotknął pęcherzy na swej piersi, obmacał rany na twarzy i spojrzał na Maquina z bezbrzeżną nienawiścią.

Dobyl miecza.

– Więcej z tobą kłopotów, niż to warte – wyszeptał i wzniósł ostrze.

W korytarzu nagle rozległy się ciężkie kroki podkutych żelazem sandałów. Lykos zamarł, wpatrzony w drzwi. Maquin spojrzał w ślad za nim i ujrzał kilku ludzi. Każdy miał orła na piersi.

– Odłóż broń – rozległ się ochryply głos, nawykły do rzucania poleceń, skądś Maquinowi znany. – Ten człowiek pójdzie ze mną.

– Nie! To mój więzień! Mój! – oznajmił Lykos i splunął krwią.

– To był twój więzień. Postawimy go przed majestatem króla Nathaira. Później być może zostanie ci oddany, ale do tego czasu będzie przebywał pod strażą moich ludzi.

Głosy zaczęły się zlewać w głowie Maquina. Przestał wychwytywać ich sens.

– Ciągłe odbierasz mi więźniów – warknął Lykos. – Przeradza się to w nieprzyjemny zwyczaj. A już myślałem, że jesteśmy przyjaciółmi.

Nie było żadnej odpowiedzi. Maquin odczuł jedynie, że znika napór na jego plecy i łapią go czyjeś mocne dłonie. Jęknął, gdy podnoszono go z ziemi, potem usłyszał czyjeś przekleństwo, a na koniec zamknęła się wokół niego ciemność.

\* \* \*

Obudził go ból.

Nadal było ciemno, choć gdzieś dostrzegał migoczącą pochodnię. Jego klatka piersiowa pulsowała wściekłym ogniem. Jęknął.

Nachylał się nad nim ktoś, kto rozsmarowywał coś chłodnego na jego brzuchu. Otworzył oczy i ujrzał starą, pomarszczoną twarz ze srebrnymi włosami i brodą.

– Alben – szepnął.

– Cii – odparł mężczyzna z uśmiechem, który jednak nie zamaskował troski w jego oczach. – Wypij to.

Uniósł Maquinowi głowę i pomógł mu wypić kilka łyków jakiegoś gorzkiego płynu.

– Przeżyje? – spytał głos za uzdrowicielem.

Alben westchnął.

– Nie wiem. Jest silny, a wola życia płonie w nim zaciekle, ale odniósł rozległe obrażenia. Musiałby pozostać w łóżu przynajmniej przez księżyc.

– Ale my musimy ruszać jutro! Lada dzień górskie ścieżki zostaną zasypane przez śnieg.

– On nie jest w stanie utrzymać się w siodle – rzekł Alben tonem nieznoszącym sprzeciwu.

– A na wozie?

– Może się uda. – Alben wzruszył ramionami.

Maquin uniósł głowę.

– Veradisie? – wyszeptał.

Młody wojownik podszedł bliżej i Maquin ujrzał jego twarz o wyrazistych rysach z krótkimi włosami i przyciętą brodą. Tu i ówdzie zaznaczyły się na niej zmarszczki, przez co wydawał się nieco starszy.

– Przykro mi z powodu twego ojca – rzekł. Widział bowiem kurhan, gdy wyjeżdżali z Ripy, oraz trzech braci, którzy stali przed nim z pochylonymi głowami.

Przez twarz Veradisa przemknęła wściekła rozpacz.

– To twoja wina – warknął.

Maquin zamrugał, zaskoczony.

– Zaatakowałeś Lykosa podczas spotkania pod jarzębiną. Wybuchło wówczas zamieszanie, do środka wpadli zbrojni, zaczęła się przepychanka, ktoś trącił mego ojca, a ten padł na mój...

– To był wypadek – rzekł Alben. – Tragiczny, okropny wypadek.

– Nie miałem pojęcia – bąknął Maquin.

Ależ ze mnie idiota, pomyślał. Powinienem był trzymać nóż w pochwie.

– Tak mi przykro...

Veradis przetarł pięścią oczy.

– To, co się stało, już się nie odstanie – rzekł. – Ja również cię przepraszam. Nie miałem świadomości, że Lykos robi... Cóż, to.

Wskazał ciało Maquina.

– Otaczasz się doprawdy dziwnymi przyjaciółmi – szepnął Maquin. Ból stał się już bardziej znośny. Dalej odczuwał jego rytmiczne pulsowanie, ale zdecydowanie zelżał.

– Też tak sędzę – dodał Alben.

– Lykos nie jest moim przyjacielem – warknął Veradis i nabrał tchu, drżąc. – Ale jest sojusznikiem króla. Nie rozumiem tego, co tu się wydarzyło i o co się go oskarża.

– To nie zarzuty, a fakty – powiedział Maquin, spoglądając na plątaninę blizn i świeżych ran na swoim ciele. – Lykos jest złem i trzeba go powstrzymać.

– Nie mnie o tym decydować. Nathair dowie się o wszystkim, to mogę wam obiecać. Decyzja należy do niego. Póki co będę trzymał cię z daleka od Lykosa, a Alben to najlepszy uzdrowiciel, jakiego znam. – Wzruszył ramionami. – Zrobiłbym więcej, gdybym mógł.

– Wystarczy mi tyle – stwierdził Maquin.

Veradis odwrócił się, by odejść, lecz zatrzymał się przy drzwiach.

– Nienawidzę cię – powiedział cicho. – Ze względu na mego ojca. Nie potrafię tego powstrzymać.

Maquin nie odezwał się ani słowem.

– I musisz wiedzieć, że nie jestem w stanie cię uratować, nawet gdybym tego chciał. W chwili, gdy wyciągnąłeś miecz, złamałeś nasze święte prawo. Powinienem cię stracić od razu, jeszcze w namiocie, a żyjesz tylko i wyłącznie dlatego, że ktoś o wielkim znaczeniu ubłagał mnie, bym odłożył twą egzekucję.

Fidele, przemknęło Maquinowi przez myśl.

– Ale fakt pozostaje faktem. Dobyłeś broni podczas spotkania pod jarzębiną, a tego się nie wybacza. Nie licz na litość czy łaskę. Gdy zostaniesz postawiony przed Nathairem, możesz spodziewać się tylko jednego wyroku. Zginiesz.

Veradis stał przy drzwiach jeszcze przez moment, po czym pokręcił głową

i wyszedł. Maquin usłyszał jego głos na korytarzu, po czym do komnaty wślizgnęła się inna osoba przypominająca cień nakryty płaszczem. Rozległ się stłumiony szloch i wojownik poczuł pocałunki, okraszone gorącymi łzami.

– Na Elyona, ale się cieszę, że cię widzę – wyszeptał.

– Co on ci zrobił? – warknęła Fidele, a potem wyrzuciła z siebie wiązkę przekleństw zupełnie nieprzystojących królowej. Dotknęła dłonią jego policzka. – Próbowałam cię odbić! – szepnęła. – Wzięłam Albena i kilkudziesięciu wojowników, by cię odebrać Lykosowi.

– Zatrzymała nas orla straż – dodał Alben. – Uznali, że taka akcja może skończyć się wojną.

– I pewnie mieli rację – rzekł Maquin. – Kto was zatrzymał? Veradis?

– Nie, jeden z jego oficerów. Veradis oddał mu dowództwo na jakiś czas z powodu żałoby.

Przez okna wnikała szarość świtu. Maquin usłyszał tupot podkutych żelazem sandałów, gdy orla straż zmieniała wartę.

– Nie możesz tu dłużej zostać, moja pani – rzekł Alben. – Jeśli ktoś cię ujrzy...

– Ja również jestem więźniem. – Fidele skrzywiła się. – Zostałam oskarżona o cudzołóstwo, a mój syn ma osądzić mą winę.

– Co? – Maquin próbował się poderwać, ale kolejna fala bólu przekonała go, że to zły pomysł.

– Wszystko przez tę farsę z Lykosem – rzekła.

– A plotki o tym, że całujesz się z byłym gladiatorem, w niczym ci nie pomogą – rzekł Alben.

– Racja – powiedziała Fidele z lekkim uśmiechem.

– Idź już – ponaglił ją Maquin. – Dość tego dobrego.

Kobieta raz jeszcze musnęła wargami jego usta, objęła dłońmi policzek i znikła.

– A ja wkrótce cię odwiedzę – rzekł Alben. – Veradis rozstawił straż przy drzwiach twojej komnaty. Przynajmniej Lykos ci nie grozi – dodał i zmarszczył brwi z troską.

– Nie umrę – warknął Maquin.

Bo mam trzy powody, by żyć, dodał w myślach.

Alben uśmiechnął się, nachylił nad Maquinem i wyszeptał mu coś do ucha, po czym wyszedł.

Maquin leżał zaś i przyglądał się, jak świt obejmuje władzę nad światem.

Po wypiciu środka podanego mu przez Albena jego powieki stawały się coraz cięższe. W miarę, jak ogarniał go sen, nie przestawał myśleć o słowach, które uzdrowiciel wyszeptał mu do ucha.

„Nie trać wiary”.

## Rozdział sześćdziesiąty szósty

# CYWEN

Cywen siedziała przy długim stole w największej sali Drassil. Corban wezwał radę wojenną, na którą stawiło się wielu spośród jego stronników. Obok niego zasiedli Meical i Gar, a dalej Balur i Ethlinn na krzesłach dopasowanych do rozmiarów olbrzymów. Przybyły Brina oraz Coralen, stawił się Hamil z Jehar i Wulf z osady Gramma. Ludzi z Narvonu reprezentowała łowczyni Teca, wioślarzy Javed oraz Atilius, a Isiltir młodziutki księżę Haelan ze swoim przybocznym.

A do tego jestem tu ja, Cywen, uczennica uzdrowicielki, siostra wojownika, który, jeśli wierzyć wszystkim znakom na niebie i ziemi, jest jednym z najważniejszych ludzi na świecie. Istne szaleństwo, pomyślała dziewczyna.

Pod ścianą, nie przy samym stole, ale blisko niego stali Dath, Kulla i Farrell, obnoszący się z nowym ostrzem, sztyletem olbrzymów podarowanym mu przez Corbana.

Gar, siedzący obok jej brata, poruszył się nagle i szepnął mu coś do ucha.

Zmienił się po walce z Akarem, pomyślała Cywen.

Od pojedynku upłynęło już sześć dni i przez ten czas Gar przestał się garbić, zniknął też gorzki grymas z jego twarzy. Okazał się dobrym dowódcą i Jehar już powtarzali, jak bardzo przypomina ojca.

Tukul byłby bardzo z niego dumny.

Nie ulegało wątpliwości, że Gar nadal w duszy opłakiwał śmierć ojca, ale najwyraźniej powoli godził się ze stratą.

Pierwszy krok na długiej drodze. Dobrze wiem, co czuje, pomyślała Cywen.

Corban powstał i w sali zapadła cisza.

– Wreszcie dotarliśmy na miejsce, do owianego legendami Drassil – rzekł. – Wydawać by się mogło, że samo dotarcie tutaj jest wielkim osiągnięciem i zwieńczeniem naszych przygód. Natrafiliśmy jednak na wroga, stoczyliśmy

wiele bitew, straciliśmy przyjaciół i członków rodziny. – Przy tych słowach spojrział na Gara i Cywen. – Nadszedł czas, by przestać uciekać. By zatrzymać się i stawić czoło temu, co nadejdzie. Wojna Bogów toczy się na naszych oczach – ciągnął Corban. – Zresztą dobrze o tym wiecie, bo wzięliśmy już w niej czynny udział, ale teraz, skoro już tu jesteśmy, musimy podjąć nową decyzję. Musimy ustalić nie to, jak będziemy walczyć w wojnie, ale jak w niej zwyciężymy. – Odwrócił się do wyprostowanego Meicala o atramentowoczarnych włosach i srebrnych bliznach na twarzy. – Meicalu, tobie zawdzięczamy to, że znaleźliśmy się tu wszyscy. Jesteś siłą, która nas związała, popchnęła naprzód i doprowadziła aż tutaj. Teraz, jak nigdy dotąd, potrzebujemy twojej mądrości. Jak można wygrać tę wojnę?

Czy to rzeczywiście mój młodszy brat?, pomyślała Cywen. Uwierzyć nie mogę. Zdawałoby się, że jeszcze wczoraj kopnęłam Rafe'a w jaja za to, że rozbił mu wargę. Skąd mu się wzięła ta elokwencja?

– Odpowiedź jest prosta – rzekł Meical. – Od samego początku plan Calidusa polegał na tym, by wykorzystać kocioł do przzerwania bariery między światem materialnym a Zaświatem, gdzie mieszkają Kadoshim i Ben-Elim.

– No i chyba mu się udało? – odezwał się Dath. – Ci Kadoshim w Murias wydawali mi się dość prawdziwi.

– Nie. – Meical pokręcił głową. – Gdy zgromadzi wszystkie Siedem Skarbów, będzie mógł otworzyć przejście, które pozwoli Asrothowi i Kadoshim przeniknąć tu we własnych ciałach, a te staną się materialne. To, co widzieliśmy w Murias, przypominało bardziej opętanie, gdyż niektóre z duchów Kadoshim opanowały ludzkie ciała. Stało się tak dlatego, że Calidus dysponował tylko dwoma Skarbami i zdołał uchylić zaledwie szczelinę, a to jedynie drobna część tego, co ma nadzieję osiągnąć. Marzy mu się sytuacja, w której Asroth i cały zastęp Kadoshim zstąpią do tego świata, obleczeni we własne ciała. By tego dokonać, potrzeba mu wszystkich Siedmiu Skarbów. Ma już kocioł i teraz na pewno zajmie się poszukiwaniem kolejnych przedmiotów. Tymczasem dwa spośród nich znajdują się tutaj.

Spojrzął na Balura, który nadal nosił topór z gwiazdznego kamienia na plecach.

– Mamy topór i włócznie Skalda.

– A pozostałe? – spytała Brina.

– Dwa znajdują się na zachodzie. – Meical wzruszył ramionami. – Kielich oraz naszyjnik.



Zerknął na Balura i Ethlinn.

– To prawda – rzekła Ethlinn. – Uthas stracił kielich podczas ucieczki z Dun Taras, a naszyjnik przechowywano w którejś z południowych fortec. – Przeniosła wzrok na Balura. – Ale nie wiemy w której.

– Pozostają jeszcze dwa – odezwał się Corban.

– Torkwes oraz nóż – zagrział Balur. – Torkwes podobno widziano w rękach Jotun, a nóż mieli Kurgan, ale to wszystko miało miejsce ponad tysiąc lat temu. Wszystko się mogło w tym czasie zdarzyć. – Wzruszył ramionami.

– Bez względu na to, co się z nimi stało, Calidus zrobi wszystko, by je odnaleźć – podjął Meical. – I odnajdzie. A świadomość, że dotarliśmy do Drassil, zmotywuje go do działania. Założę się, że nie przestaje myśleć o tym, że dotarliśmy tutaj z dwoma Skarbami, i na pewno już doszedł do całkiem słusznego wniosku, że im więcej czasu tu spędzimy, tym silniejsi się staniemy. Poza tym, są tu jeszcze inne skarby poza tymi wykutymi z gwiazdnego kamienia. Przybędzie tu najszybciej jak się da.

– A skąd to wiesz? – spytała Brina.

– Bo znam Calidusa. – Meical westchnął i pokręcił głową. – Popełniałem w przeszłości błędy, a Calidus nierzadko wykorzystywał je, by mnie przechytryć, bo on również mnie zna. Zdołał odnaleźć wielu ludzi, których zwerbowałem do tej wojny, i stracił wielu z nich z szachownicy.

To ludzie, a nie pionki!, pomyślała Cywen.

– Kiedyś, w czasach przed jego upadkiem, byliśmy jak rodzina – ciągnął Meical. – Znam Calidusa i jestem pewien jednego. Ruszy w ślad za nami, jak tylko zdoła zebrać swe siły.

Corban pokiwał głową w zadumie, po czym zerknął na Brinę.

– Co prowadzi nas do kolejnego pytania – odezwała się uzdrowicielka. – Jak on się tu dostanie? Przecież droga do Drassil to bynajmniej nie przyjemny spacer po słonecznej polanie.

Meical zmarszczył brwi.

– Wszyscy wiemy, jakim koszmarem jest przedzieranie się przez Forn – rzekł – ale na szczęście mogliśmy skorzystać z tunelu. Calidus zechce zebrać tu wielką armię, gdyż nie będzie miał zamiaru ryzykować. Szczerze przyznam, że nie mam pojęcia, w jaki sposób chce odnaleźć Drassil, a potem sprowadzić pod mury twierdzy odpowiednią ilość wojska.

– Może więc mamy więcej czasu, niż nam się wydaje – rzekł Atilius.

– Może – odparł Meical. – Ale moje starcia z Calidusem nauczyły mnie tylko jednego: za żadne skarby nie wolno go nie doceniać. To podstępny, bezwzględny przeciwnik.

– Mam pytanie – rozległ się cienki głosik. Był to Haelan, młodzieńki następca tronu Isiltiru. – A co z naszymi sojusznikami? Czy możemy na kogoś liczyć?

– To bardzo ważna kwestia – powiedziała Brina. – Nasza armia nie jest szczególnie liczna, nawet jeśli składa się z niezwykłych wojowników. Możemy liczyć na osiem setek wojów, którzy potrafią utrzymać broń w ręku. Calidus i Nathair zaś zapewne mogą skrzyknąć wiele tysięcy i jeśli tu dotrą, zgniotą nas samą liczbą.

– Możemy liczyć na Edanę – odezwał się Corban. – Choć nie mam pojęcia, jak jej się powodzi. Nie wiem nawet, czy żyje, nie mówiąc już o tym, ilu ludzi ma pod rozkazami.

– Craf wszystko nam powie – rzekła Brina.

O ile w ogóle jeszcze kiedyś zobaczymy to ptaszysko, pomyślała Cywen.

– A oprócz niej? – Haelan spojrzał na Meicala.

– Mam wielu sojuszników tu i tam, ale nikogo, kto byłby w stanie skrzyknąć armię, nie licząc być może Siraków.

– A kto to? – spytała Cywen.

– Władcy plemion jeźdźców z Arcony – rzekł Meical.

– Stawią się na nasze wezwanie? – dopytywała się Brina.

– Może. – Meical wzruszył ramionami. – W polityce nie ma nic pewnego. Ci, którzy popierają naszą sprawę, bez wątpienia spróbują stanąć po naszej stronie, ale któż może wiedzieć, czy nadal sprawują władzę. Ba, być może intrygi Calidusa już doprowadziły do ich śmierci?

– Jest jeszcze jeden sojusznik, którego tu nie wspomnieliśmy – rzekł Corban.

– Kto taki? – zwróciła się do niego Brina.

– Ben-Elim – odparł młodzieniec. – Meicalu, odczytałeś w przepowiedni fragment o tym, jak Ben-Elim zbierają się pod Wielkim Drzewem. – Corban wskazał przy tych słowach ogromny pień, wokół którego zbudowano salę. – To dlatego doradzałeś mi, bym tu przybył. Ze względu na proroctwo.

– Tak – odparł Meical. – Ze względu na proroctwo.

– A więc gdzie oni są? Kiedy przybędą?

Meical spojrzał na młodzieńca ze smutkiem.

– Nie wiem, Corbanie. Przepowiednia nie jest jasna.

– Ale przecież sam jesteś Ben-Elim. Jesteś jednym z nich, a co więcej masz rangę ich dowódcy. Na pewno to wiesz.

– Nie wiem. Oni zresztą też. Pewne jest tylko, że wedle proroctwa kiedyś ma do tego dojść. Musimy więc mieć wiarę. Pamiętajcie, że osiągnęliśmy bardzo dużo samym tym, że tu dotarliśmy. – Meical zerknął na włócznie wbite w drzewo. – Dopóki mamy topór i włócznie, wiemy, że Calidus nie zrealizuje swego celu i nie przebije się przez barierę między tym światem a Zaświatem. Nie będzie w stanie sprowadzić gniewu Asrotha na Ziemię Wygnanych.

– Świetnie – warknęła Brina. – Ale co teraz?

– Teraz przygotowujemy się na nadchodzącą bitwę – rzekł Meical. – Bitwę, po której popłyną rzeki krwi. Bitwę, którą trzeba będzie przeżyć. I nie miejcie żadnych złudzeń, bo zbliża się ona z każdą chwilą.

Zapadła cisza.

– Będziemy się więc szykować – rzekł Corban. – Będziemy trenować, budować, organizować armię i przygotowywać otoczenie do obrony. Nie można też zapominać o zwiadach. – Spojrzał przy tym na Coralen. – Nie chcemy, by zaskoczył nas hufiec, który niespodziewanie pojawi się pod naszymi murami.

– Możemy wykorzystać tunele – odezwała się Coralen. – Hamil starannie naniósł je na mapę. Jest ich sześć i ciągną się przez wiele mil. Dysponują też licznymi pomniejszych wyjściami na całej długości i jeśli obsadzimy je ludźmi i zostawimy każdej załodze świeże konie, byłabym zdziwiona, gdyby jakkolwiek wrogi oddział zdołał podejść niespostrzeżenie na odległość pięćdziesięciu mil do miasta.

– Znakomity pomysł. – Corban uśmiechnął się do niej. – Sugeruję, byś to ty się tym zajęła. Weź Datha i każdego, kto się wam przyda.

– Mamy wiele do zrobienia! – odezwała się Brina szorstkim, oficjalnym tonem. – Będziemy potrzebowali uzdrowicieli oraz lazaretu gotowego na przyjęcie rannych.

Spojrzała na Cywen.

Ach, to dlatego tu jestem. Cudownie, pomyślała dziewczyna.

– Mamy spore zapasy płótna na bandaże, ziół i lekarstw. Założyliśmy w tym celu spory ogród – rzekł Hamil.

Brina pokiwała ponuro głową, a uczestnicy narady zaczęli omawiać inne ważne kwestie – logistykę niezbędną do codziennego wykarmienia prawie

tysiąca osób, odpowiedni przydziewek, uruchomienie kolejnych kuźni, produkcję broni, szkolenie wojowników oraz konserwację i wzmocnienie fortyfikacji Drassil. W miarę upływu czasu Cywen próbowała się przysłuchiwać rozmaitym wątkom rozmowy, ale co rusz traciła koncentrację. Niespodziewanie poczuła coś ciężkiego na swoich stopach, a gdy spojrzała w dół, zobaczyła Buddaia, który ułożył się na nich.

Wrócił kilka dni temu za Burzą. Corban opowiedział siostrze o podejrzeniach Coralen. Zdaniem Cywen zwierzęta w istocie wyglądały, jakby coś zbroiły.

W sali robiło się coraz ciemniej. Ktoś zapalał pochodnie, kilka osób wносиło do środka stoły i ławy oraz rozpalało ogień w paleniskach. Corban powstał, by dać znać, że spotkanie dobiegło końca, ale gdy chciał wyjść, drogę zastąpili mu Dath i Farrell.

– Co znowu? – Corban uniósł brew.

– Wszyscy mają jakieś zadanie do wykonania – oznajmił Dath.

– Tak, a ściślej mówiąc, większość z nas ma przynajmniej jedno zadanie.

Dotyczy to również was – rzekł Corban.

– Prawda – odparł Dath. – Ale my chcielibyśmy dostać jeszcze jedno.

Po jego twarzy powoli rozlewał się szeroki uśmiech.

– Co wam strzeliło do głów? – Corban zmarszczył brwi.

– Długie przemowy kiepsko mi wychodzą – rzekł Farrell i przestąpił z nogi na nogę. – No to powiem wprost. Chcielibyśmy być twoimi przybocznymi.

Corban zamrugał i przyjrzał się im uważnie.

– Jesteśmy przecież towarzyszami broni i braćmi w mieczu, wszyscy z nas – rzekł. – A wy do tego jeszcze jesteście moimi najstarszymi przyjaciółmi. – Urwał i przełknął ślinę. – Walczyliśmy we trzech ramię w ramię i wielokrotnie ratowaliśmy sobie życie, ale nie ma potrzeby, byście zostawali czyimikolwiek przybocznymi. Nie jestem królem, a poza tym mam Burzę...

– I z tym właśnie się nie zgadzamy – rzekł Dath. – I nie tylko my.

Wrota do sali nagle otworzyły się i do środka zaczęły wchodzić gromady ludzi.

Są tu wszyscy!, uświadomiła sobie Cywen. Wszyscy ludzie, którzy przybyli za Corbanem do Drassil. Co też Dath i Farrell sobie wymyślili?

Po chwili wszyscy stali już w półkrygu wokół Corbana, zarówno na podłodze, jak i na szerokich stopniach schodów. Corban wpatrywał się w nich z oszołomieniem.

Brina stanęła przed nim i pokazała drogę Laith, która powoli, z powagą ruszyła naprzód, niosąc przed sobą poduszkę, a na niej coś błyszczącego.

– To dla ciebie – powiedziała Brina. – Dar wykonany przez twoich poddanych dla ciebie jako dowód naszego szacunku i uznania.

Na poduszce spoczywała obręcz, która była ciemna niczym wykuta z żelaza, ale przetykana żyłkami srebra. Na obu końcach widniały dwa szczyzące kły wilkuny.

– Przez moich poddanych? – szepnął Corban. Wyciągnął rękę i dotknął przedmiotu niepewnie.

– To bransoleta na ramię – rzekła zgrzytliwym głosem Laith. – Chcieliśmy ci zrobić królewski torkwes, ale Dath powiedział, że nosisz torkwes po ojcu i nigdy się z nim nie rozstaniesz. Zamiast tego zrobiliśmy więc dla ciebie królewską bransoletę.

Brina uniosła obręcz z poduszki i wsunęła Corbanowi na rękę, a wtedy ujęła ją Laith i zapięła delikatnie na bicepsie. Metal dopasował się do kształtu ramienia młodzieńca.

– Nie mam pojęcia, co powiedzieć – bąknął Corban, spoglądając na dar. Potem uniósł głowę i spojrzał na zebrany tłum. – Nie zrobiłem niczego, czym mógłbym na to zasłużyć.

– Uwolniłeś nas. – Javed zrobił krok naprzód. – Byliśmy niewolnikami i umarlibyśmy z obręczami kajdan na szyjach.

– I przybyłeś nam z pomocą. – Wulf stanął obok Javeda i Atiliusa. – Nasz gród płonął, a drużyna została rozbita. Zginęlibyśmy bez ciebie.

– Ocaliłeś nas – zagrział Balur. – Gdyby nie ty, wszyscy zginęlibyśmy w Murias.

– Zostalibyśmy rozszarpani przez Kadoshim, gdybyś nie przyszedł nam z pomocą – odezwała się Teca z Narvonu.

– Pokonałeś setki mil i wiele gór, by znaleźć mnie w Murias. – Cywen wystąpiła z szeregu. – Przybyłeś mi na ratunek w samym środku bitwy. Zawdzięczam ci życie.

– A mnie dałeś nadzieję, że jeszcze nie wszystko stracone. – Brina spojrzała na niego z ostrym uśmiechem.

Gar podszedł bliżej do Corbana.

– Obdarzyłeś mnie siłą do dalszej walki – rzekł. – A memu życiu nadałeś znaczenie.

– Ocalisz Ziemię Wygnanych – dodała Coralen. – I pójdę za tobą na kraniec

świata, chyba że śmierć mi w tym przeszkodzi.

Corban spoglądał na nich wszystkich, a po jego policzkach płynęły łzy.

Meical podszedł bliżej.

– Corbanie, daj mi swój miecz.

Młodzieniec wysunął broń z pochwy i drżącymi rękami podał ją Meicalowi rękojeścią do przodu. Cywen uśmiechnęła się przez łzy.

Mój ojciec zrobił ten miecz, pomyślała. Uformował głowicę na podobieństwo głowy wilkuna, ukształtował klingę i owinął rękojeść skórą. Ech, Corbanie... Mama i tata byliby z ciebie tacy dumni.

Meical ujął miecz i wznosił go wysoko nad głowę.

– *Oscailte!* – krzyknął i wbił go w płytę podłogi. Rozległ się trzask pękającego kamienia, buchnęły snopy iskier, a głownia zagłębiła się do połowy. Meical puścił rękojeść i cofnął się od drgającego lekko miecza. – Corbanie ben Thannon – wykrzyknął, a jego głos omiótł salę niczym północny wiatr. – Nasza Jasna Gwiazdo, Mścicielu, Przyjacielu Olbrzymów, Niosący Blask, Skało na Rozszalałym Morzu! Czy chcesz związać się z tymi ludźmi? Czy chcesz stać się ich mieczem i tarczą, obrońcą ich ciał, ich krwi oraz ich honoru aż po dzień twej śmierci?

Cywen wpatrywała się w brata. Widziała, jak rozgląda się po sali, i aż pęczniała z dumy.

– Chcę – rzekł Corban drżącym głosem. Ujął ostrze miecza, a jego krew spłynęła po zimnej klindze, wypełniając zboczcie.

– Ludu Jasnej Gwiazdy! – wykrzyknął Meical. – Czy chcecie związać się z Corbanem ben Thannon? Czy chcecie stać się jego mieczem i tarczą, obrońcami jego ciała, jego krwi i jego honoru aż po ostatni dech?

– Chcemy! – wykrzyknęli zebrani.

Cywen krzyczała wraz z nimi, aż od wrzawy, głośniejszej niż huk pioruna, zadrżały płomienie paleniska.

Gar dał znak Dathowi i Farrelłowi, którzy podeszli i ujęli ostrze miecza Corbana, a ich krew wnet mieszała się z tą, która już schła na klindze. Następnie młodzi wojownicy stanęli po obu stronach Jasnej Gwiazdy, a wtedy do miecza podszedł Gar. Nie spuszczając z Corbana oczu, zrobił to samo co poprzednicy. Ustąpił miejsca kolejnej osobie, którą była Cywen. Uśmiechnęła się do brata niczym podczas Dnia Letniego Przesilenia, z radością, ale i z powagą. Po niej za miecz złapała Coralen, Brina i inni. Tłum przemieszał się i ustawił w długi szereg, by każdy z obecnych mógł dostąpić rytuału.

Gdy ceremonia dobiegła końca, na stołach pojawiło się jedzenie i napitki, a nad paleniskami zatknięto różną z jeleniami i dzikami. Cywen położyła się tej nocy wyczerpana do cna, ale czuła, że wypełnia ją coś, o czym niemalże zapomniała.

Spokój. Wreszcie odczuwam spokój. Po raz pierwszy od...

Ogarniał ją sen, ale odpędziła go na moment, by móc dokończyć myśl.

Od śmierci Ronana.

Nim senność ogarnęła ją na dobre, przez jej umysł przemknęła jeszcze jedna myśl.

Zwyciężymy.

## Rozdział sześćdziesiąty siódmy

# ULFILAS

Ulfilas wytarł pot z czoła. Było zimno jak nigdy, pod nogami skrzypiał śnieg, a ziemia pod spodem była twarda jak żelazo, ale mimo to ciało miał zlane potem.

Budowa drogi to ciężka robota, nie ma co do tego dwóch zdań, pomyślał.

Za nim prawie trzy tysiące wojowników harowało od świtu do zmierzchu, obalając drzewa, wyrównując teren i układając z drewna trakt szeroki na tyle, by mogło po nim ramię w ramię przejechać dwunastu jeźdźców. Na tyłach ogromnej armii przebywał król Jael w asyście Sumura i dwudziestu Jehar. Ulfilas towarzyszył im przez pierwszy księżyc, ale doszedł do wniosku, że łatwiej będzie znieść ciężką dolę budowniczego drogi od czarnych, martwych spojrzeń Jehar. Zdecydował więc, że wypełni dni wyczerpującą pracą, a noce snami pozbawionymi wszelakich majaków.

Niespodziewanie usłyszał przed sobą krzyki. Dookoła ludzie przerywali pracę i wpatrywali się w dal.

Lepiej pójdę i sprawdzę, co się dzieje, postanowił.

Usłyszał za sobą pośpieszne kroki Daga.

– Co się dzieje? – zapytał tropiciel.

– Zaraz się dowiemy.

Ulfilas poczuł przyływ dumy, gdy spojrzał na budowaną przez nich drogę i pomyślał o długich milach wykonanej pracy i trudnych warunkach, w jakich przyszło im działać. Trwał wszak Księżyc Burz, który wypadał w samym środku zimy, a oni wgryźli się w las Forn na ponad sześćdziesiąt mil, podążając śladem pozostawionym przez hufiec opuszczający osadę Gramma i za znakami zostawionymi przez ludzi Daga. Obalali drzewa, ociosywali je z gałęzi, przycinali je do rozmiarów, które można było przenosić, i karczowali zarośla, a wygłodniali puszczańscy drapieżcy ani na moment nie spuszcza



z nich oczu. Zdarzało się, że od czasu do czasu porywali jakiegoś głupiego bądź nieostrożnego wojownika, który zabłąkał się zbyt daleko.

Ulfilas i Dag wnet znaleźli się na czele kolumny i ujrzeli źródło zamieszania.

– Cóż, przynajmniej wiemy już, co się stało z twoimi zwiadowcami. – Ulfilas zwrócił się do Daga.

Patrzyli na cztery trupy, które zwisały głową w dół z gałęzi tuż nad budowaną właśnie drogą. Dag obrzucił je krzywym spojrzeniem.

– To byli dobrzy ludzie – mruknął. – Tropiciele z krwi i kości. Dwóch z nich trenowałem od chwili, gdy zaczęli ćwiczyć na Jarzębinowej Łące.

– Och, wybacz – rzekł Ulfilas.

Zauważył, że ostatnio często pozwala sobie na nieczułe, czasem wręcz okrutne komentarze.

A przecież kiedyś byłem innym człowiekiem. Co się ze mną dzieje?, przemknęło mu przez myśl.

– Odetnijcie ich, nim rozniosą się plotki – mruknął do Daga.

Wojownikom się to nie spodoba, pomyślał. Takie opowieści napędzają ludziom stracha przy wieczornych ogniskach.

– Chyba już na to za późno – rzekł jego towarzysz i zerknął na grupę ludzi, którzy mieli ścinać drzewo, ale zapomnieli o pracy i wpatrywali się w zwłoki.

Zza nich nadjeżdżała grupa jeźdźców.

O, jest Jael, pomyślał Ulfilas.

– Co to takiego?! – wykrzyknął król Isiltiru.

Towarzyszył mu tuzin jeźdźców, a wśród nich pierwszy miecz Fram i kilku innych najlepszych w Isiltirze. Dookoła jechali odziani na czarno Jehar. Sumur trzymał się blisko króla.

Jael stara się zasłonić własnymi przybocznymi przed Jehar, zauważył Ulfilas, ale zaraz przypomniał sobie łatwość, z jaką Sumur pokonał Framę, a potem pociął starego Bela w Mikil. Nie sądzę, by byli w stanie zatrzymać tych Jehar na dłużej, dodał w myślach.

Wojownicy w czerni rozstawili się wzdłuż skraju drogi. Niektórzy zerkali na kołyszące się trupy, odcinane przez wspinających się ludzi.

– Co to takiego? – powtórzył Jael, wskazując ciała.

– Moi zwiadowcy – rzekł Dag.

– Ach. Dzięki temu przynajmniej wiemy, że zmierzamy w dobrym kierunku.

Wiemy to tak czy owak, pomyślał Ulfilas. Trop pozostawiony przez hufiec wycofujący się z osady Gramma był szeroki i wyraźny. Sam byłbym w stanie podążać po ich śladach, a żaden ze mnie tropiciel.

Dag nie odpowiedział.

– Jak długo tu wiszą? – spytał król.

Wreszcie rozsądne pytanie, pomyślał Ulfilas. Innymi słowy, jak daleko stąd znajduje się Jasna Gwiazda i jego motłoch?

Dag pochylił się nad pierwszym trupem, który, odcięty od gałęzi, rąbnął w ziemię z chrzęstem.

– Zamarznięty – zauważył. – I częściowo pogryziony przez... – Zamiast dokończyć, wskazał otaczający ich las. – Trudno mieć pewność, ale... – Szturchnął i obwąchał fragmenty skóry wokół ran. – Moim zdaniem minęły cztery księżycy.

Jael pokiwał głową.

– Mamy niezłe tempo – mruknął z wyraźnym zadowoleniem.

Mieliśmy ułatwiony start, pomyślał Ulfilas. Uchodzący hufiec pozostawił wyraźny trop.

Po śmierci Bela pozostali członkowie rady Nathaira przez cały dzień ustalali plan odnalezienia Drassil. Wszyscy zgodzili się na propozycję wybudowania dróg idących przez puszcę. Trakt Gundula miał się zacząć w Brikan, starej wieży Hunen na skraju Fornu, którą zajmowali niegdyś Gadrai. Droga Lothara miała się ciągnąć wzdłuż trasy pokonanej ongiś w drodze do Haldis, terenu pochówku Hunen, a stamtąd dalej w głąb Fornu. Pomysł wyszedł od Calidusa, który przypominał, że przed Rozdzieleniem na wiele klanów olbrzymy mieszkały w Drassil, więc miejsce to musiało być w jakiś sposób połączone z Haldis i Brikan. Być może istniały między nimi trakty.

Droga Jaela miała się rozpoczynać w innym miejscu. Logika nakazywała podążać po śladach Corbana, zwanego przez Nathaira Czarnym Słońcem, i jego zbrojnych. Ulfilas miał wrażenie, że ich zadanie okaże się najłatwiejsze, a mina Jaela sugerowała, że myśli podobnie. Król Isiltiru cieszył się jednakże nie tylko ze sprawnie wykonanej pracy. Dobrze pamiętał zachętę, jaka padła z ust Nathaira. Ten, który jako pierwszy odnajdzie Drassil, rozciągnie władzę na pozostałe dwa państwa, a ich królowie zostaną zredukowani do roli wasali. Wystarczyło spojrzeć na Jehar, by wiedzieć, że protest przegranych władców zostanie szybko uciszony.

A zwycięzca otrzyma nagrodę, pomyślał Ulfilas. Wyścig trwa więc nadal.

– Do pracy! – krzyknął Jael i zawrócił konia, a Jehar znów otoczyli go niczym zaciskająca się pięść w czarnej rękawicy.

Ulfilas spojrział przed siebie, w półmrok czający się wśród drzew. Płatek śniegu, który prześlizgnął się między gałęziami, osiadł mu na nosie. Widział tylko drzewa.

A gdzieś tam kryje się ów Czarne Słońce, z olbrzymami i wojownikami, którzy ścinali moich ludzi jak żniwiarze żyto, myślał. My zaś śpieszymy, by ich odnaleźć.

\* \* \*

– Co ty powiedziałeś? – warknął Jael. – Jak to ślad zaginał?!

– Nie ma żadnych innych tropów pozostawionych przez wycofujący się hufiec, panie – rzekł Dag. – Żadnych odcisków butów czy kopyt, żadnych odchodów czy łajna, nie ma otartych kamieni ani zdeptanych krzaków. Nie ma nic. Jakby zniknęli.

– Pff... – parsknął Jael, który najwyraźniej nie był w stanie sformułować żadnego złożonego zdania.

Wygląda na to, że nasze szczęście się skończyło, pomyślał Ulfilas.

– Powinniście bardziej się przyłożyć! – Jael machnął ręką w stronę lasu.

– Mój panie, okolicę przetrząsa ponad dwustu zwiadowców. Jeśli istnieją jakieś ślady, ktoś je znajdzie.

– Mamy wieści od Ildaera i jego pobratymców? Jotun mieszkali kiedyś w tym rejonie i na pewno coś wiedzą!

– Nie mamy kontaktu ani z nim, ani z jego ludźmi – odparł Dag.

Milczą od bitwy w osadzie Gramma, pomyślał Ulfilas. Co się stało z Ildaerem? Czy on w ogóle jeszcze żyje?

Jael wylał zawartość kielicha w ogień. Płomienie zasyczały.

– Po co nam układy z olbrzymami, skoro na nic nam się nie przydają? – warknął.

Siedzieli w namiocie Jaela, którego rozmiary oraz zbyt kowny wystrój przypominały wszystkim o jego nowym tytule. Wszędzie wisiały futra i gobeliny, a na środku stał bogato zdobiony stół otoczony krzesłami. Na blacie rozstawiono wysadzane klejnotami misy i tace, na których piętrzyło się nietknięte jedzenie. Białe światło świtu wnikało do środka, a las wokół

wydawał się gęsty i złowrogi.

– Będziemy kontynuować pracę – oznajmił w końcu Jael. – Budujcie prosto jak strzelił z miejsca, w którym odnaleziono ostatnie ślady. I nie przestawajcie szukać. Weź dodatkowych ludzi z armii, jeśli ci trzeba, ale znajdź ślad.

A jeśli nie ma czego szukać?, zastanawiał się Ulfilas.

– Tak, panie. – Dag uklonił się i opuścił namiot, a Ulfilas podążył za nim, nie chcąc znosić gniewu rozdrażnionego króla. Znał wszak doskonale jego usposobienie i wiedział, na co się zanosi. W istocie, ledwie kłapa namiotu opadła, gdy w środku rozległy się trzaski i huki.

\* \* \*

Ulfilas stał z ręką na mieczu i spoglądał na trupy rozrzucone po polanie. Czterech ludzi. Należeli do drużyny zwiadowczej, która nie wróciła zeszłej nocy do obozu. Ich ciała pokrywały liczne rany, dwóch z nich miało rozszarpane gardła, a jeden leżał we własnych wnętrznościach.

– Kto to zrobił? – Ulfilas rozglądał się uważnie wśród cieni, tańczących wraz z ruchami skrzypiących gałęzi.

– Wataha wilkunów? – Dag wzruszył ramionami, choć na jego czole pojawiła się głęboka bruzda. Ukucnął, by lepiej przyjrzeć się jednemu z trupów. – To się wydarzyło niedawno – mruknął i szturchnął stertę zamarznętych jelit. – Zaraz po zmierzchu. I spójrz tylko.

Odciągnął głowę trupa i pokazał Ulfilasowi trzy czyste cięcia.

Zbyt proste i wąskie jak na szpony, pomyślał wojownik.

Dag spojrział na niego i uniósł brew.

– Jeśli to szpony, to ze stali – oznajmił.

– Obojętnie, jakie to szpony, Jael się z tego nie ucieszy – mruknął Ulfilas.

– Nie ma co do tego dwóch zdań – zgodził się Dag.

Od chwili, gdy ślad wroga znikł, minęło dziesięć dni, a budowa drogi posuwała się w ślimaczym tempie, gdyż wielu mężczyzn zostało oderwanych od pracy i skierowanych do przeszukiwania lasu. Trzy dni temu zaczęli zniknąć ludzie, a te trupy były pierwszymi, które udało im się znaleźć. Wczoraj Jael niemalże udusił posłańca, który przekazał mu złe wieści.

Nasz nowy król nie potrafi najwyraźniej znosić napięcia związanego z rządzeniem, uznał Ulfilas.

Jakiś odgłos wśród zarośli sprawił, że zarówno on, jak i jego sześciu wojowników wyciągnęli broń, a Dag złapał łuk i strzały. W półmroku między drzewami pojawiły się jakieś postacie. Zwiadowcy Daga.

– Musicie coś zobaczyć! – powiedział pierwszy z nich, oddychając z trudem, po czym odwrócił się i znikł.

– Kolejne trupy? – wymamrotał Ulfilas.

Podążyli za nimi przez gąszcz. Teren stopniowo wznosił się, aż zwiadowcy zatrzymali się na szczycie wzniesienia. Dag rozejrzał się i uśmiechnął.

– Co znowu? – burknął Ulfilas.

– Spójrz tylko. – Dag wskazał kierunek.

Stali na płaskim wzniesieniu, okolonym z obu stron skarpami. Dag trącił stopą jakiś kamień, a Ulfilas, przyjrzawszy się mu uważnie, odkrył, że ma wygładzone brzegi.

– To bruk – wyjaśnił Dag.

Ulfilas spojrzał dalej i ujrzał kolejne kamienie, lśniące szronem i niknące w oddali.

– Droga – szepnął.

## Rozdział sześćdziesiąty ósmy

# CAMLIN

Camlin stał na brzegu jeziora i patrzył w ślad za oddalającą się Meg. Słowa pożegnania wciąż rozbrzmiewały mu w głowie. Westchnął ciężko, odwrócił się i spojrzał na pozostałości murów i wież Dun Crin, sterczące niczym wyspy kamienia z ciemnych wód jeziora. Między nimi dostrzegał flotyllę niewielkich łodzi, wywożących wielu spośród tych, którzy zbudowali tu sobie nowe życie.

Lepiej uciekać i żyć dalej, niż zostać tu i zginąć, pomyślał. Wojownikom, którym przyjdzie bronić tego miejsca, również będzie lżej ze świadomością, że ich dzieci i rodziny są bezpieczne.

Usłyszał kroki i odwrócił się. Szła ku niemu Edana w towarzystwie Haliona, Bairda i Vonna.

Vonn przybocznym Edany, przemknęło mu przez myśl. Czy ufam mu na tyle?

– Chcę zamienić z tobą słowo. – Młoda królowa zwróciła się do Camlina. – Wy też chodźcie.

W milczeniu ruszyli ścieżką, która wiła się wśród wysokich traw oraz gęstych szuwarów rosnących wzdłuż jednego z wielu strumieni wpadających do jeziora.

– Jesteś tego pewien? – spytała Edana, gdy ogromny akwen znikł im z oczu.

– Nie ma innego sposobu – odpowiedział. – Oczywiście nic nie jest pewne ani przesądzone, nawet jeśli odniosę sukces, ale przynajmniej spowolnię wroga i ściągnę jego uwagę. Dobrze wiedzieć, skąd nadejdą i na co ich stać.

Edana zatrzymała się i zwróciła ku niemu. Ujęła go za rękę i spojrzała mu w oczy.

– Nigdy ci tego nie zapomnę. Tysiąc razy ryzykowałeś już życiem dla mnie i znów to robisz. Jeśli kiedyś wreszcie doczekamy się pokoju, a ja zasiądę na

tronie Ardanu... – Urwała. – Nie zapomnę o tym.

– Nie robię tego dla nagrody – rzekł Camlin, wzruszając ramionami.

– A z jakiego powodu? Jesteś banitą z Ciemnego Boru! Nawet nie urodziłeś się w Ardanie, a w Narvonie.

Tropiciel spojrział na Haliona, Bairda i w końcu na Vonna, a potem z powrotem na Edanę.

– Robię to – odezwał się w końcu – ponieważ dzięki tobie chcę być lepszym człowiekiem. Dzięki wam wszystkim, szczerze powiedziawszy. Marrockowi, Dathowi, Corbanowi. Nigdy dotąd nie miałem prawdziwych przyjaciół, a jedynie kamratów w zbójckiej bandzie. A to trochę za mało, by dobrze spać w nocy.

Edana pokiwała głową, jakby usłyszała odpowiedź na dręczące ją od dawna pytanie.

– Wróć do nas.

– Dam z siebie wszystko. – Camlin wyszczerzył zęby. – Naprawdę wszystko.

– Chciałabym, byś wziął kogoś ze sobą. Haliona, Bairda, Vonna. Kogoś, komu ufam.

– Nie ma takiej potrzeby. – Pokręcił głową.

– Myślę, że jest, a nawet jeśli nie ma, będę mogła dzięki temu spać nieco lepiej w nocy. Proszę, zrób to dla mnie.

Camlin spojrział na Bairda, na ustach którego zastygł nieco dziki uśmiech.

Dobrze go mieć przy sobie podczas bójki, choć obawiam się, że mógłby wszcząć kilka, których lepiej by było uniknąć, pomyślał.

Przeniósł wzrok na Vonna, poważnego niczym człowiek stojący nad kurhanem rodzonej matki, oraz Haliona, spokojnego i opanowanego.

Umie trzymać emocje na wodzy, potrafi planować i podejmować strategiczne decyzje. Mało kto dorówna mu z mieczem w garści. Nawet Braith chyba by mu nie podołał, przemknęło Camlinowi przez myśl.

– Dobrze – rzekł. – A więc wezmę Vonna.

Nie chcę, by szwendał się wokół Edany po tym, jak spuszczę go z oczu, pomyślał.

Edana uśmiechnęła się, a Vonn pokiwał głową, bardziej do siebie niż do Camlina.

– W porządku. Ruszajcie więc, bo szkoda dnia.

Młoda królowa stanęła na palcach i ucałowała Camlina w policzek. Już

miała odejść, gdy niespodziewanie usłyszeli jakiś szelest wśród traw i szuwarów. Każdy z wojowników złapał za miecz, łącznie z Edaną. Z zarośli wyłoniła się jakaś postać.

– O, wiedziałem, że gdzieś was tu znajdę – rzekł Lorcan, który szybko odszukał wzrokiem Edaną. – Muszę z tobą porozmawiać.

\* \* \*

Camlin leżał na brzuchu na niewielkim pagórku, szczelnie zasłonięty szuwarami, i spoglądał na wierzbę rosnącą przy wijącym się strumieniu. W miękkiej ziemi przed nim tkwiły trzy strzały, a obok niego leżał łuk. Tropiciel wpatrywał się w postać, która siedziała oparta o pień drzewa, owinięta szczelnie w płaszcz. Obcy miał pochyloną głowę i wydawał się pogrążony we śnie. Spod kaptura wystawały kosmyki żółtych włosów, a tuż przy dłoni nieznanego spoczywała włócznia.

– Długo jeszcze będziemy tu leżeć? – szepnął Vonn. – Stóp już nie czuję.

Camlin zignorował go.

Choć ma trochę racji, przemknęło mu przez myśl.

Było zimno, a niebo zasnuły ciężkie, lśniące srebrem chmury, które groziły śniegiem. Bagna stały się szarą, wilgotną, zasnutą mgłami krainą pełną komarów i skrzeczących żab. Camlin i Vonn leżeli na pagórku od wschodu słońca, które powoli rozmywało się już na zachodzie.

– Camlin, ja...

– Zamknij się – szepnął tropiciel i wskazał coś w oddali.

Teraz i Vonn dostrzegł jakiś ruch. Gdzieś po lewej stronie trawy i trzciny zakołysały się na moment w kierunku przeciwnym do podmuchów wiatru. Ktokolwiek krył się w zaroślach, przybliżał się ku wierzbie, aż znieruchomiał na widok postaci odpoczywającej pod drzewem. Zawahał się na chwilę, może na sto uderzeń serca, może na dwieście, a potem znów ruszył ku śpiącemu. Oczom Camlina i Vonna ukazało się dwóch mężczyzn, którzy pochyleni przekradali się ku odpoczywającemu wojownikowi. Bezszelestnie zatoczyli łuk, by móc go zająć zza pnia.

Byli coraz bliżej. Zakradali się jeden za drugim, a ten, który szedł pierwszy, wyciągnął nóż z pochwy.

Camlin uklęknął, wyrwał strzałę z ziemi i powoli uniósł łuk.

Pierwszy napastnik znalazł się już za śpiącym, niedaleko leżącej na ziemi



włóczy. Uniósł nóż.

Camlin naciągnął łuk, wstrzymał oddech, wycelował i zwolnił strzałę. Ta trafiła drugiego z przybyszów, przebiła skórzany kaftan i wgrzyła się głęboko w plecy. W tej samej chwili pierwszy z mężczyzn wbił nóż w pierś śpiącego.

Buchnęła słoma. Napastnik wyszarpnął nóż, spojrzął z niedowierzaniem na sylwetkę przy drzewie, potem na upadającego towarzysza, aż wreszcie wbił wzrok w pagórek, na którym Camlin naciągał kolejną strzałę.

Grot przebił pierś mężczyzny i posłał go na plecy. Jego ciałem targnęły konwulsje, słabnące z każdą chwilą, aż wreszcie znieruchomiał.

Camlin podniósł się, ze stęknieniem rozprostowując zeszywniałe kończyny, i wraz z Vonnem zszedł po zboczu.

– Udało się po raz trzeci. – Vonn pokręcił głową.

– Tak – potwierdził Camlin.

Polowali na zwiadowców od czterech dni i za każdym razem wykorzystywali słomianą kukłę, by zwabić przeciwnika, a potem go zabić. Jak dotąd osiągnęli wielki sukces, bo w trzy dni zabili sześciu ludzi. Camlin przyjrzał się obu poległym, ale jeszcze nim ujrzał ich twarze, wiedział, że żaden z nich nie jest Braithem.

Mogę jednakże dalej żyć nadzieją, pomyślał.

Wyciągnął nóż, nachylił się i wyciął strzały z obu ciał. Następnie obmacał je w poszukiwaniu jedzenia i pieniędzy. Stojący nad nim Vonn zmarszczył brwi.

– Stare przyzwyczajenie – powiedział Camlin, wzruszywszy ramionami, po czym wrzucił jedno z ciał do strumienia. – Sprawdziłeś, co u naszego przyjaciela?

– To słomiana kukła owinięta w płaszcz – rzekł Vonn.

– Tak, wiem. Sprawdź, czy płaszcz nie został przebity. Nie możemy dopuścić do tego, by z brzucha wystawała mu słoma, no nie?

– Nic mu nie jest – rzekł Vonn.

– To dobrze. Pomóż mi z tym tutaj.

Razem dźwignęli drugiego z zabitych i zanieśli go do strumienia. Najciszej jak mogli zsunęli trupa do wolno sunących wód, a Camlin ujął włóczy i jej tępym końcem wepchnął ciało w szuwały. Potem rozejrzeli się, czy nie pozostawili po sobie żadnych śladów. Tropiciel wylał bukłak wody na plamę krwi, by ją rozcieńczyć i przyspieszyć wsiąkanie, a Vonn zarzucił sobie słomianą kukłę na ramię. Po chwili szli już wzdłuż strumienia.

Naraz Camlin zamarł i odwrócił się.

– Co? – syknął Vonn i złapał za miecz.

Tropiciel stał nieruchomo, jakby był z kamienia. Z przechyloną lekko głową wpatrywał się w półmrok i mgły kłębiące się wśród cieni. Słyszał jednie cichy szum strumienia, potem niemalże niesłyszalny plusk.

Po chwili nasłuchiwania wzruszył ramionami i podjął wędrówkę.

– Mógłbyś przestać to robić? – mruknął Vonn.

Camlin zignorował go.

– I co teraz? – spytał młody wojownik.

– Powtórzmy sztuczkę z kukłą – odparł Camlin. – Zwiadowcy wroga będą rozciągnięci w luźną linię, ale będziemy się przemieszczać szybciej od nich. Zaczaimy się za jakieś pół mili i zwabimy kolejnych przepatrywaczy.

Camlin zakładał każdą kolejną pułapkę coraz bliżej jeziora i ruin Dun Crin w przeświadczeniu, że tropiciele Braitha będą podkradać się coraz ostrożniej. Jak dotąd się nie pomylił.

– Ilu ich jest?

– Nie wiem. Przynajmniej dziesięciu, a pewnie około dwudziestu.

– A co zrobimy, jak nadejdą w większej grupie?

– Wątpię. Braith zawsze wysyłał nas w parach. Dwóch ludzi może się skutecznie osłaniać, a nie narobi hałasu i nie zostawi po sobie wielu śladów.

– A skąd wiesz, gdzie zostawić kukłę?

– Nie wiem – odparł Camlin. – Na ogół po prostu nachodzi mnie przeczucie, że to dobre miejsce.

– Czyli twoje działania opierają się głównie na intuicji?

– Trochę szczęścia też się przyda. – Camlin uśmiechnął się szeroko.

\* \* \*

Świt nadszedł szary i wilgotny. Camlin opróżnił pęcherz, szturchnął Vonna, by zbudził się, i złapał kukłę. Tuż przed zmierzchem poprzedniego dnia natrafili na miejsce, które wydało mu się odpowiednie. Był to zagajnik olch na niewielkim wzniesieniu przy strumieniu, zasłonięty kępami głogu i derenia.

– Bierzmy się do roboty! – burknął.

Oparł włócznię o drzewo, ułożył kukłę tak, by przypominała śpiącego człowieka, po czym podniósł łuk, zarzucił kołczan na plecy i skierował się ku kępom derenia. Za sobą słyszał kroki Vonna.

Usadowili się za zaroślami. Camlin powbił strzały w miękką, gąbczastą

ziemię i pograżył się w oczekiwaniu. Trudno im było mierzyć upływ czasu, gdyż grube, napęczniałe chmury zasłaniały słońce.

– Co sądzisz o tym stukniętym ptaku? – spytał Vonn, naciągając cięciwę na łuk.

– O Crafie?

Niespodziewane pojawienie się gadającego ptaka zaskoczyło ich wszystkich. Camlinowi serce zabiło mocniej z podniecenia, bo uznał, że musi to zwiastować rychłe przybycie Corbana, Datha i pozostałych, ale kruk szybko rozwiał jego nadzieje. Mimo to tropiciel cieszył się, że mógł się czegoś dowiedzieć. Poczul ulgę na wieść o tym, że większość z jego towarzyszy wciąż żyła.

Nie miał natomiast pojęcia, co sądzić o innych sprawach, wykrakanych im przez przybysza.

Drassil, forteca z baśni. I cała ta gadanina o przepowiedniach, jasnych gwiazdach i Siedmiu Skarbach. Pamiętam, jak Gar opowiadał o tym Corbanowi, gdy uciekaliśmy przez Cambren, a teraz chłopak dowodzi kilkoma setkami wojowników, wśród których są Benothi. Czy to w ogóle możliwe?

– Nie wiem – powiedział do Vonna.

Leżał rozplaszczony na trawie, co rusz zmieniając pozycję, by móc zerknąć przez krzaki na zewnątrz. Padał miękki śnieg. Robiło się coraz ciemniej, a śnieg sprawiał, że okolica zdawała się jaśnieć.

Pora to zakończyć, postanowił Camlin. Zbyt ciemno już na polowanie i zaraz mi cięciwa namoknie.

– Nie mogę przestać o tym myśleć – odezwał się cicho Vonn. – Mój ojciec opowiadał różne dziwne rzeczy o Wojnie Bogów. Oczywiście nigdy nie powiedział mi niczego wprost, bo taką miał naturę, ale ciągle słyszałem rozmaite aluzje. Mówił o podejmowaniu wyborów, opowiadaniu się po jakiejś stronie, podążaniu za rozsądkiem, a nie sercem.

Postukał się przy tych słowach w głowę, a potem w klatkę piersiową.

Niemalże słyszę, jak Evnis to mówi, pomyślał Camlin.

– Zupełnie, jakby wiedział, na co się zanosi.

– Bo może wiedział – mruknął ponuro tropiciel.

Może wiedział, dodał w myślach. Może istnieje powód, dla którego jesteśmy po dwóch różnych stronach.

Jakiś ruch przy strumieniu przyciągnął jego uwagę. Zmrużył oczy i mimo padającego śniegu po chwili miał pewność. Coś się tam poruszało.

– Skupmy się lepiej na tym, by to przeżyć – szepnął i wskazał Vonnowi kierunek. – Na rozmyślania o Wojnie Bogów będziemy jeszcze mieli mnóstwo czasu.

Dźwignął się na jedno kolano i sięgnął po łuk.

Spomiędzy drzew wyłoniło się dwóch mężczyzn, którzy podkradali się coraz bliżej, przemykając od jednej kępy krzaków do drugiej. Śnieg, który osiadł na wszystkim, co nie było wodą, tłumił wszelkie odgłosy.

Ostrożniejsi od tamtych, pomyślał Camlin i zmarszczył brwi.

Sięgnął po strzałę i napiął łuk, postanowiwszy, iż nie będzie czekał, aż tamci zbliżą się do kukły.

– Vonn, bądź gotów – szepnął z wysiłkiem. Utrzymywanie napiętego łuku nie było łatwe. – Trzeba będzie szybko reagować.

Grot strzały wodził za mężczyznami, którzy znajdowali się w odległości zaledwie trzydziestu, czterdziestu kroków, aż Camlin skupił uwagę na pierwszym i wycelował mu w pierś.

– Na twoim miejscu opuściłbym ten łuk. I to powoli. Chyba, że ci życie nie mile – syknął ktoś za nim.

To nie może być...

Camlin wypuścił strzałę i ledwie zarejestrował dziki wrzask, oznaczający, że pocisk trafił w cel. Vonn obrócił się i zerwał na równe nogi, ale wtedy rozległo się głucho łupnięcie i młodzieniec runął na ziemię. Wywrócił oczami i stracił przytomność. Jego włosy splamiła krew.

– Nie zabijaj go – oznajmił Camlin. – To syn Evnisa.

Powoli odłożył łuk na trawę.

– Kazałem ci opuścić łuk, a nie strzelać do moich ludzi! – warknął głos.

– I tak chcesz mnie zabić. Nie wydaje mi się, byś zmienił zdanie, gdybym cię posłuchał.

– To się akurat zgadza, Cam – rzekł głos za nim. – A teraz odwróć się powoli.

Za jego plecami stało dwóch zbrojnych. Jeden z nich, młody chłopak z jasnymi włosami, unosił włócznię, gotów dźgnąć Camlina w twarz. Ten znał go skądś, choć nie mógł sobie przypomnieć jego imienia.

Obok zaś stał uśmiechnięty Braith z nagim mieczem w dłoni.

– Myślałeś, że się nabiorę na moją własną sztuczkę? – rzekł. – Czuję się urażony.

– Witaj, Braith – odparł Camlin.

## Rozdział sześćdziesiąty dziewiąty

# CORALEN

Coralen pochyliła się nisko w siodle i popędziła konia, nie spuszczać celu z oczu. W rękę ścisnęła ułożoną poziomo włócznię.

Ziemia zmarznięta po nadejściu zimy była twarda jak kamień i końskie kopyta wybijały na niej równy rytm. W ostatnim momencie Coralen uderzyła wierzchowca kolaniem, szarpnęła za wodze i zwierzę skręciło w lewo, a rudowłosa dziewczyna w tejże chwili pchnęła włócznią i przebiła słomianą tarczę mniej więcej na wysokości ludzkiego serca. Uśmiechnęła się dziko, po czym zatrzymała konia i wróciła klusem po włócznię. Gdy jej entuzjazm nieco osłabł, poczuła lekki ból ramienia. Poruszyła nim lekko, by poprawić ułożenie nowej kolczugi, która ocierała się o kość między szyją i ramieniem. Coralen nie nawykła do noszenia kolczug, ale zeszłego wieczoru dostała ją od Gara i dowiedziała się, że wszyscy mają je mieć.

„Musimy dobrze się przygotować na przybycie Nathaira i jego wojsk. Docenisz wartość kolczugi, kiedy zatrzyma wrogie ostrze” – powiedział przywódca Jehar.

Coralen skrzywiła się na te słowa i szturchnęła palcem kolczugę.

„Założ ją, ćwicz w niej na dziedzińcu, śpij w niej. Musisz się przyzwyczać do jej ciężaru przed prawdziwymi starciami”.

Wiedziała, że Gar ma rację, choć póki co kolczuga wydawała jej się ciężka, niewygodna i wręcz uciążliwa.

I dlatego mamy w nich ćwiczyć, pomyślała.

Dostrzegła Datha, który stanął przy dziedzińcu. Spojrzała na niego badawczo, na co młodzieniec podbiegł do niej. On również miał na sobie nową kolczugę.

– Co się dzieje? – zapytała.

– Pamiętasz, o czym ci mówiłem?

– Tak.

– I wciąż sądzisz, że to dobry pomysł?

– Tak – odparła Coralen. – Ale to nie ze mną musisz o tym porozmawiać.

– Wiem. Ale nie miałem pewności, a ty... Cóż, sama wiesz. No, potrafisz postawić na swoim. I jeśli podoba ci się ten pomysł, może...

– A może to ty podejdziesz i go zapytasz? – przerwała mu Coralen, która dostrzegła Corbana na dziedzińcu.

– Nie chciałoby ci się pójść ze mną?

– Mnie? Dlaczego?

– Bo on poważnie podchodzi do wszystkich rad, jakie mu dajesz. I wprawiasz go w dobry nastrój.

– Ach, ty głupolu! – parsknęła Coralen i spróbowała kopnąć Datha. Jego słowa wywołały u niej zarówno gniew, jak i radość.

Naprawdę? Radość?, zastanowiła się.

– Proszę – jęknął Dath.

– No dobra – westchnęła Coralen. – Chodźmy z nim porozmawiać.

– Teraz? – Młodzieniec zamrugał.

– Tak. Jeśli chcesz coś załatwić, „teraz” to zawsze najlepsza pora – oznajmiła Coralen i nim Dath zdołał się sprzeciwić, popędziła konia. Usłyszała, jak jej towarzysz biegnie, próbując za nią nadążyć.

Minęli szeregi słomianych tarcz, przed którymi stała Cywen i młoda olbrzymka Laith. Adeptka Briny wyszarpywała nóż za nożem z pasów biegnących w poprzek klatki piersiowej i każdym trafiała w cel.

Przez tors Laith biegł identyczny pas, za którym znajdowały się noże wielkości sztyletów. Na oczach Coralen olbrzymka cisnęła jednym z nich, a ten trafił w tarczę i przewrócił ją.

Współczuję temu, kto oberwie od niej czymś takim, przemknęło zwiadowczyni przez myśl.

Nieco dalej Wulf na czele kilku dziesiątek wojowników trenował rzucanie toporem o pojedynczym ostrzu.

Jego dłonie jak widać na dobre się zagoiły, pomyślała Coralen, gdy topór wyrzucony przez mężczyznę z cmoknięciem wbił się w głowę słomianej kukły. Przypomniał jej się Tukul, ale ze zdecydowaniem odepchnęła od siebie wspomnienia.

Teraz trzeba skupić się na przyszłości, powiedziała sobie. Na tym, co ma nadejść.

Na fragmencie dziedzińca wyłożonym płytami zgromadził się tłum ludzi oraz olbrzymów, przyglądających się Balurowi i Corbanowi. Wzrok dziewczyny przyciągnęła bransoleta na ramieniu młodzieńca. Żyłki srebra połyskiwały w bladym świetle zimowego dnia.

Od czasu ślubowania w sali biesiadnej Drassil upłynął księżyc i wszystko wydawało się teraz inne niż kiedyś. Między grupami, które do tej pory nie miały ze sobą wiele wspólnego, pojawiła się nić porozumienia i czas upływał na wytężonej pracy. W kuźniach wykuwano broń i pancerze, odyskiwano kolejne pola za murami Drassil, naprawiano fortyfikacje, przeprowadzano zwiady i polowano. Wszyscy zdolni do noszenia broni byli jednakże przede wszystkim pochłonięci ćwiczeniem się w walce i przygotowaniem do nadciągających bitew. Zaczęli przypominać prawdziwą armię, a nie tylko gromady ludzi, które zebrał kaprys losu.

– Nigdy nie próbuj blokować ciosu olbrzyma samą tylko siłą – dudnił głos Balura. – Bo ten strzaska ci kości.

Sama bym doszła do takiego wniosku, pomyślała Coralen i parsknęła. Każdy dobry nauczyciel walki wbija do głowy, że rozpędzoną broń należy odbić na bok i pod żadnym pozorem nie zatrzymywać jej pędu, chyba że jedyną alternatywą jest śmierć.

Chcąc to udowodnić, Balur podniósł niedawno wykonany topór z drewna i ze świstem powietrza spuścił go na głowę Corbana. Młodzieniec uskoczył na bok i uderzył mieczem w opadający topór. Broń Balura z trzaskiem rąbnęła o ziemię, a Corban wykorzystał moment, przyskoczył do olbrzyma i przytknął mu ostrze do gardła, nim ten zdołał wyrwać topór z ziemi.

Zebrani wokół wojownicy wiwatowali i rozmawiali z ożywieniem.

– To nigdy nie będzie aż tak proste! – zawołał Corban. – Balur mógł wszak uderzyć znacznie szybciej i mocniej. Niemniej zasada pozostaje taka sama – kluczem do sukcesu jest odpowiednio celny i szybki cios, który można zadać każdym rodzajem broni: mieczem, toporem, włócznią, a nawet tarczą. – Rozejrzał się i pokiwał głową. – No to do roboty – oznajmił. – Pora, byście i wy się tego nauczyli. I żadnych złamanych kości, co?

Wojownicy dobrali się w pary z olbrzymami i wypełnili dziedziniec, a Coralen wykorzystała sposobność i ruszyła w kierunku Corbana. Ten odwrócił się, usłyszawszy łomot kopyt na kamieniach, i uśmiechnął się, gdy dziewczyna zsunęła się z siodła. Obok młodzieńca pojawiła się Burza i Coralen od razu zwróciła uwagę na jej obrzmiały brzuch. Od dłuższego czasu

podejrzewali, że wilkunica spodziewa się młodych.

Ciekawe, jak będą wyglądać?, pomyślała dziewczyna z nieskrywaną ekscytacją.

– Dath ma pewien pomysł, który chciałby z tobą omówić – rzekła.

– Co takiego? – spytał Corban.

– Chodzi mi to po głowie od dłuższego czasu – powiedział Dath. – Może pomyślisz sobie, że to coś szalonego lub wręcz niestosownego albo...

– Po prostu wyrzucić to z siebie – przerwała mu Coralen.

– Chodzi o łuczników – rzekł Dath. – I o wykorzystanie ich w bitwie.

Corban zmarszczył brwi.

– Widzisz? Wiedziałem, że mu się nie spodoba. – Dath zwrócił się do Coralen.

– Wysłuchaj go do końca, co? – rzuciła Coralen ostro do Corbana, spoglądając na niego. Samo zwrócenie się w tej sprawie sporo Datha kosztowało i dziewczyna dobrze o tym wiedziała.

Corban, choć wydawał się nieco zszokowany, pokiwał głową.

– Wiem, że łuk nie jest uważany za broń godną wojownika – ciągnął pośpiesznie Dath. – Że strzelectwo przystoi myśliwym. Wiem też, że odwieczna tradycja nakazuje walczyć w sposób honorowy, tak by jeden wojownik mógł sprawdzić swe możliwości w starciu z innym.

– Tak. Zawsze tak było.

– Cóż, myślę, że czasy się zmieniają – rzekł Dath.

Corban zmarszczył ponownie brwi, ale nim zdołał powiedzieć choć słowo, Dath wskazał mu Wulfa, który ćwiczył rzucanie toporami na czele sporej grupy. Oprócz ludzi z osady Gramma byli wśród nich również Gar oraz kilku Jehar oraz niektórzy gladiatorzy Javeda.

– Spójrz tylko na nich – powiedział Dath.

– Próbowalesz kiedyś trafić toporem w cel? – spytał Corban.

– Tak – odparł Dath. – Nie jest to takie proste, jak na to wygląda.

– Zgadza się. – Corban się uśmiechnął. – Rzucanie toporem wymaga sporych umiejętności.

– Prawda – zgodził się Dath. – Odpowiedz mi więc na inne pytanie: czy celny rzut toporem czy włócznią wymaga więcej umiejętności niż celnie posłana strzała?

– Nie, pewnie nie – mruknął Corban.

– Wulf powiedział mi, że wraz ze swymi wojownikami ciska toporami



podczas bitwy. Czasem robią to, stojąc w szeregu. Gdyby było ich więcej, takie salwy mogłyby siać spustoszenie we wrogich szarżach.

– Nie da się ukryć. W ten właśnie sposób zabili niedźwiedzia podczas obrony swej osady.

– Otóż to! – Dath ożywiał się coraz bardziej. – Często myślę o Camlinie i o tym, jak organizował nasze zasadzki. Zawsze we dwóch strzelaliśmy jako pierwsi, by przetrzebić wroga, przerazić go i wprowadzić zamieszanie. Wyobraź sobie teraz dziesięciu łuczników albo dwudziestu! Czterdziestu! Sześćdziesięciu! Wygląda na to, że w bitwie z siłami Czarnego Słońca zawsze będziemy mieli przeciwko sobie wielką przewagę. Czemu więc nie zrobić czegoś, co przeważa nieco szalę na naszą stronę?

Zapadła cisza. Corban spoglądał z zadumą na Wulfa i jego miotaczy toporów, a Dath przestępował z nogi na nogę.

Niespodziewanie uwagę wszystkich przykuł trzask tak głośny, że Coralen poczuła przez podeszwy wibracje gruntu. Okazało się, że Balur, zmagający się tym razem z przybocznym Haelana, Tahirem, znów wbił topór ćwiczebny w ziemię. Olbrzym szarpnął za broń, chcąc ją wyswobodzić, ale Tahir zawirował i rąbnął go ćwiczebnym mieczem w tył nogi, czym zmusił go do ukłęknięcia na jedno kolano. Chwilę później jego miecz opierał się już o kark olbrzyma.

– Balurze, chyba właśnie straciłeś głowę! – zawołał któryś z Benothi ze śmiechem.

Balur wstał i spojrzał krzywo na młodego wojownika.

– Już to kiedyś robiłeś – oznajmił.

– Tak, zgadza się – odparł Tahir. – Służyłem u Gadrai z Isiltiru, zabójców olbrzymów, z którymi, bez urazy, wzięliśmy udział w wypędzeniu Hunen z Haldis.

– Nie ma się o co obrażać, mały człowieczku – odparł Balur. – Nienawidzę Hunen z całego serca.

Znów rozległy się śmiechy, wśród ludzi, jak i wśród olbrzymów.

– Co sądzisz o jego pomysle, Cora? – spytał Corban.

– Myślę, że sporo w nim sensu – odparła dziewczyna. – I może zadecydować o porażce bądź zwycięstwie.

– W porządku. – Corban zwrócił się ku Dathowi. – Zobacz, ilu ludzi będzie chciało przyłączyć się do oddziału łuczników. Nie będę nikogo do tego zmuszać, ale jeśli ktoś sam będzie miał ochotę...

– Nie pożałujesz! – Dath uśmiechnął się szeroko i poklepał Corbana po ramieniu.

\* \* \*

Coralen wyjechała przez zachodnią bramę z Enkarą, Teką i Yalrikim. Minęli Gara, który wspinał się po drabinie wspartej o kamienny łuk nad wrotami. Towarzyszył mu Balur oraz kilka olbrzymów. Wspólnie przymocowywali czaszki zabitych Kadoshim do kamiennego łuku. Gar twierdził, że przekażą w ten sposób nadjeżdżającym ważny komunikat.

Coralen uśmiechnęła się na samą myśl o tym.

Ich grupka przejechała wzdłuż zewnętrznego muru Drassil. Na zewnątrz fortecy trwała ożywiona krzątania – prawie tysiąc chętnych do pracy ludzi w niecały księżyc podwoiło dotychczasowy areal pól uprawnych. Na obrzeżach lasu ścinano drzewa, odrąbywano ich gałęzie, a pnie wciągano do Drassil. Ziemia wokół obalonych drzew zostawała oczyszczona z zarośli i w ten oto sposób wolna przestrzeń dookoła fortecy rosła. Była to niezwykle ciężka praca, o czym Coralen przekonała się na własnej skórze.

Już wolę ruszyć na zwiady, niż ścinać drzewa i walczyć z cierniami długości mojej dłoni, pomyślała.

Wnet mury fortecy zostały daleko za nimi. Czwooro zwiadowców jechało starą, skruszałą drogą, w większości pochłoniętą przez las, pnącą się po zboczu wzniesienia, najpierw łagodnym, a potem coraz bardziej stromym. Gdy dotarli na szczyt, Coralen spojrzała za siebie. Wielkie Drzewo Drassil wznosiło się niczym żywa wieża w samym sercu fortecy, a jego gałęzie rozchodziły się na boki i zasłaniały całe miasto. Niebo, widoczne między bezlistnymi konarami, trącymi o siebie na silnym wietrze, jaśniało bladością. Przez moment Coralen miała wrażenie, że dostrzega samotną postać, stojącą na murze i wpatrującą się w nią, ale wrażenie znikło po chwili. Popędziła konia i ruszyła w dół zbocza, ku ścianie lasu. Pozostali ruszyli za nią.

Przez cały dzień podróżowali na północ. Nie śpieszyli się i często się zatrzymywali, by sporządzać zapiski na pergaminie. Próbowali stworzyć mapę okolic Drassil, skupiając uwagę na obszarach między sześcioma tunelami. Coralen umieściła w każdym wyjściu niewielkie załogi, które codziennie otrzymywały świeże konie, by wieści o nadciągającym wrogu jak najszybciej dotarły do miasta. Póki co obszary między tunelami, poszerzające

się z każdą kolejną milą, stanowiły dla owych załóg największe zagrożenie, a Coralen nie miała do dyspozycji wielu ludzi i nie była w stanie strzec całej okolicy.

Przebycie dwudziestu mil potrwało sześć dni. Zwiadowcy kluczyli po puszczy, a w wolnych chwilach pokrywali notatkami kolejne stronicie pergaminu. Punktem odniesienia były dla nich resztki starej drogi, z której zostało naprawdę niewiele. Czasami znajdowali fragment skruszonego bruku, czasem pozostałości nasypu. Dwukrotnie natrafili na posterunki w podziemnych korytarzach odchodzących od głównego tunelu i zostali na nocleg z pilnującymi ich załogami. W podziemiach było ciemno i wszędzie unosiła się wilgoć, ale byli tam o wiele bezpieczniejsi niż na powierzchni, w Fornie. Jednej nocy w pobliżu przeszło coś tak wielkiego, że ziemia aż dygotała pod jego krokami.

Podczas pozostałych nocy nie mieli wyboru i spali na ziemi. Nie rozpalali ogniska, bo przyciągało ómy wielkości tarczy Yalrica i mnóstwo innych, o wiele mniej przyjemnych stworzeń, które przyglądały się im spoza kręgu światła rzucanego przez ognisko. Ich obecność zdradzały jedynie migotliwe ślepie.

Ósmego dnia wędrowki przemierzali obszar zajęty przez rosnące w sporej odległości od siebie złote drzewa. Jak okiem sięgnąć, otaczał ich ocean pomarańczowej kory i czerwonych liści. Pnie były proste niczym włócznie, a nisko rosnące konary należały do rzadkości. Gąbczastą, wilgotną ziemię pokrywała gruba warstwa liści, przez co jazda konna okazała się o wiele łatwiejsza niż wcześniej.

Nagle Coralen skrzywiła się, gdy wyczuła obcy zapach unoszący się między drzewami, kwaśny i cierpki. Spojrzała na pozostałych i zauważyła podobne miny.

– Poznajesz to? – zwróciła się do Yalrica, który pochodził z osady Gramma, a przez to jako jedyny z ich grona znał nieco sekretów Fornu.

– Nie. – Tropiciel pokręcił głową. – Ale nigdy się nie zapuszczałem w głąb lasu, gdyż tam żyją dziwne istoty.

Tak, już mówiłeś, przemknęło dziewczynie przez myśl.

Yalric był człowiekiem bardzo przesadnym i jego słowom zawsze towarzyszyły znaki broniące przed złem, ale Coralen już dawno odkryła, że to utalentowany tropiciel, obdarzony wielką intuicją, a gdy miał pewność, że walczy z istotą z krwi i kości, a nie demonem z Zaświata, okazywał się równie

dzielny jak Burza.

Poczekaj, aż zobaczysz Kadoshim, pomyślała dziewczyna.

Smród stawał się coraz intensywniejszy. Klacz Coralen zaczęła się płoszyć i kłaść po sobie uszy.

– Może trzeba by zawrócić? – burknął Yalric, który szarpał się z wodzami. Uspokoił konia ostrym rozkazem. – Nie wiem, co tak śmierdzi, ale to nie może być nic dobrego.

Coralen zmarszczyła brwi.

Musimy się dowiedzieć, co płoszy konie, pomyślała.

W końcu jednakże zmuszona była zsunąć się z siodła, a inni poszli w jej ślady. Teca pozostała na straży wierzchowców, a Coralen poprowadziła Enkarę i Yalrica naprzód. Smród był już tak obezwładniający, że dziewczyna walczyła z nudnościami.

Jakieś pięćdziesiąt kroków dalej odkryli na ziemi serię kopców, a za nimi kolejne. Zwiadowczynie naliczyła ich trzydzieści bądź czterdzieści. Zatrzymała się przed pierwszym, który jeszcze parował, w przeciwieństwie do większości pozostałych, dawno zamarzniętych i zaskorupiałych. Smród dławił i dusił. Coralen dźgnęła kopiec i ujrzała, że z dziury wypełzają pokryte śliską mazią żuki.

To łajno, uświadomiła sobie.

Zauważyła też, że z kopca wystaje coś innego. Ogarnięta niezdrową ciekawością złapała to i szarpnęła. Z kupy cuchnących odchodów wyciągnęła guzowatą kość.

Zły znak, przeszło jej przez myśl.

Kilka kroków za śmierdzącymi kopcami natrafiła na zagłębienie, widoczne dopiero z bliska. Podkraśla się na sam skraj i zerknęła w dół. Patrzyła na długie, łagodne zbocze, na dnie którego wyrastał pagórek. Jego szczyt sięgał niżej od poziomu, na którym się znajdowała, a zbudowany był z poszarpanych czarnych skał, pokrytych cienką warstwą ziemi oraz skrawkami trawy. W skałach były wydrążone jaskinie, których zwiadowczynie naliczyła osiem, może dziesięć.

Enkara dotknęła jej ramienia i dała znać, że powinny zawrócić. Coralen skinęła głową i zaczęły się wycofywać, gdy niespodziewanie w jednej z jam dostrzegły jakiś ruch. Po chwili wyłoniło się z niej ogromne stworzenie przypominające jaszczurkę, ale o wiele od niej większe. Masywny tułów zwierzęcia wisiał nisko nad ziemią, a rozstawione szeroko odnóża uzbrojone

były w pazurzaste łapy. Coralen dostrzegła też długą, muskularną szyję z szerokim, płaskim łbem i ostrymi kłami.

To draig!, uświadomiła sobie.

Troje zwiadowców zamarło na moment. Każdy z nich marzył o tym, by rzucić się do ucieczki, ale był zbyt przerażony, by choć drgnąć.

Draig uniósł łeb, a z jego pyska wysunął się długi język, którym posmakował powietrze. Wtem znieruchomiał, a potem ostrym ruchem przeniósł spojrzenie prosto na nich.

I zaryczał.

Nagle, jakby prysnął czar, cała trójka rzuciła się biegiem w kierunku koni.

Rozpędzona Coralen wyminęła jakieś drzewo i ujrzała Tekę znajdującą się w odległości około stu kroków. Dziewczyna zerknęła w biegu przez ramię i spostrzegła, że draig pędzi już w górę zbocza. Spod jego pazurzastych łap strzelała ziemia.

Teca wybałuszyła oczy i wskoczyła na siodło. Próbowwała podprowadzić konie bliżej Coralen i pozostałych, ale zwierzęta wierzgały i stawiały opór, rżąc przeraźliwie.

Coralen usłyszała głośny trzask za sobą. To ścigający ich draig zmiażdżył drzewo stojące mu na drodze. Z pyska potwora dobył się ryk, który wydawał się wstrząsać całym światem. Był już tuż za nimi.

Zwiadowczyni przypadła wreszcie do swego konia i wskoczyła na siodło. Wierzchowiec o mało co nie oszalał ze strachu. Kątem oka dziewczyna ujrzała przeklinającego wściekle Yalrica, który dosiadł już konia, ale nie mógł go opanować. Przemknął obok, potem rozległ się łoskot zderzenia i trzask pękających kości, a po nich przeraźliwe rżenie.

Coralen nigdy dotąd nie walczyła z tak wielkim przerażeniem. Bała się nawet spojrzeć za siebie.

Uciekać! Odjechać stąd, uciec raz na zawsze!, myślała.

Znów usłyszała wrzask za sobą. Człowiek.

Enkara...

Coralen ściągnęła wodze i obejrzała się za siebie.

Draig nachylał się nad koniem i przygniatał go łapami do ziemi. Zwierzę wiło się i wierzgało, a potwór wyszarpywał krwawe dziury w jego boku. Obok desperacko próbowała się podnieść Enkara, której noga uwięzła pod końskim tułowiem.

Coralen bez namysłu zawróciła wierzchowca, przeklinając wściekle, gdy

zwierzę stawiało opór. Kilkoma szarpnięciami zmusiła je do tego, by niechętnie zawróciło w stronę draiga. Po lewej pojawiła się Teca z łukiem w ręku, nadjeżdżał też Yalric, dzierżąc topór.

Nie damy sobie z nim rady, przemknęło Coralen przez myśl. Jakiż on potężny! Ale może...

Krzyknęła na Tecę i Yalrica, po czym ponagliła rumaka, nad którym panowała już całkowicie. Enkara nadal była uwięziona – ciało konia wgniatało jej nogę w runo leśne. Teca i Yalric rzucili się do ataku. Kobieta posłała celną strzałę w fałdę miękkiej skóry między przednią łapą a torsem bestii, a Yalric cisnął toporem, który odbił się z głuchym hukiem od łba draiga.

Ma czaszkę grubszą od niedźwiedziej, pomyślała Coralen.

Draig obrócił łeb, oszołomiony na moment, a potem zaryczał i odsunął się od konia. Enkara wykorzystała sposobność – błyskawicznie uwolniła nogę, zerwała się i pokuszyła przed siebie. Coralen zatrzymała przed nią wierzchowca, złapała ją za ramię, wciągnęła na siodło przed sobą i zawróciła, a potem pozwoliła zwierzęciu na to, czego pragnęło najbardziej – na dziką ucieczkę jak najdalej od potwora.

Zerknęła pośpiesznie za siebie i przekonała się, że Teca i Yalric gnają za nią. Draig najwidoczniej uznał dalszy pościg za zbędny, skoro pod nosem miał już pyszny posiłek.

– Wracamy do Drassil, co?! – krzyknęła Enkara do ucha dziewczyny.

## Rozdział siedemdziesiąty

# CAMLIN

Camlin poczuł ostry ból pleców, gdy Braith ponownie dźgnął go mieczem i zmusił do marszu. Śnieg przestał już padać i zamienił się w mokre błoto pod stopami. Vonn człapał przed nim z krwią zastygłą na twarzy. Obaj więźniowie mieli ręce związane na plecach. Prowadził ich towarzysz Braitha, trzymający długą włócznię w ręku, który miał u boku dwa szare ogary, wysokie i smukłe. Oba wydawały się głodne.

Kto wie, czy to nie ja mam zostać ich posiłkiem, zastanawiał się Camlin. Braith i do takich rzeczy jest zdolny. Założę się, że celowo je głodził i obiecywał im mnie na obiad.

– A więc wróciłeś w końcu do domu. – Vonn zwrócił się do chłopaka z psami. Ten spojrzał na więźnia.

– Wróciłem. Choć nie dzięki tobie.

Wtedy Camlin go rozpoznał. Mieli przed sobą młodego wojownika, którego Coralen schwytała na wzgórzach Domhainu. Tego, który powiedział im, że Cywen i Conall nadal żyją.

– To dziwne, Rafe, że wylądowaliśmy po przeciwnych stronach konfliktu, skoro kiedyś byliśmy dobrymi przyjaciółmi.

– Czyżby dobrymi? – spytał Rafe.

– Tak sądziłem.

– Może tak, może nie. Ja jednakże postanowiłem dotrzymać obietnicy, którą złożyłem twemu ojcu.

– To też wydaje mi się dziwne – rzekł Vonn. – Bo i ja dotrzymuję przysięgi. Tej złożonej królowi.

Rafe spojrzał na Vonna krzywo. Jeden z psów zrobił to samo i warknął.

– Rodzina powinna być ważniejsza od królów i królowych – oznajmił Rafe.

Vonn zmarszczył brwi i wbił wzrok w plecy młodzieńca. Nie powiedział już

ani słowa.

Szli w stronę strumienia, gdzie natrafili na dwóch innych ludzi. Jeden z nich siedział oparty o drzewo. Kaftan i spodnie miał przesiąknięte krwią, która barwiła śnieg naokoło. Krzyczał z bólu.

Czyżby moja strzała?, zastanawiał się Camlin.

Braith burknął z irytacją, ale Camlin nie wiedział, co go rozdrażniło – rana zadana jednemu z jego ludzi czy też to, że ten robił tyle hałasu.

– Siadać – nakazał Braith obu więźniom, a sam rzucił pasy z ich mieczami oraz łuk i kołczan tropiciela pod drzewo obok słomianej kukły. Następnie przyklęknął przy rannym, odkorkował bukłak i napił go.

Wojownik pił krótkimi łykami, w przerwach posapując z bólu.

– Madoc, przez moment będziesz miał wrażenie, że spijasz słodycz prosto z nieba – zwrócił się do rannego Braith – ale gdy napój dotrze do żołądka, poczujesz ból, jakby połowa Zaświatu próbowała wydostać ci się z trzewi.

Wojownik pokiwał głową. Jego twarz była mokra od potu.

– Mój udział – wyszeptał. – Przekaż go mojej Rhian.

Braith pokiwał głową.

– Zajmę się tym – rzekł.

Ponownie przyłożył rannemu bukłak do ust, a drugą ręką sięgnął po nóż.

– Gotów?

Madoc pokiwał głową i Braith poderżnął mu gardło.

– To już siedmiu wedle mojej rachuby – rzekł i pomachał nożem do Camlina.

– Tak, to by się zgadzało – rzucił tropiciel i wzruszył ramionami. – To wojna.

– Fakt, wojna. – Braith wytarł nóż i schował go do pochewki, a potem usiadł przy Camlinie.

Ale nie na tyle blisko, bym go mógł dorwać, pomyślał były banita.

– Sprawa między nami ma się inaczej, wiesz? Nabrała bardziej osobistego charakteru – rzekł Braith.

– Bałem się, że to powiesz.

Braith parsknął śmiechem.

– Widzisz, Cam, mimo wszystko wciąż umiesz mnie rozbawić. A przecież wbiłeś mi zatrute ostrze w ciało! – Urwał i odsunął koszulę na karku, pokazując byłemu towarzyszowi paskudną, jasną bliznę. – Bolało jak cholera – oznajmił.



– Cóż, ja również noszę po tobie bliznę. – Camlin także rozchylił koszulę. – Widzisz? Trafiłeś mnie, a strzałę trzeba było przewlec na wylot. To też trochę bolało.

Braith wzruszył ramionami.

– Jeśli sądzisz, że to wyrównuje nasze rachunki, to przypomnę ci, że wrzuciłeś mnie do morza na pastwę ryb! – Pokręcił głową.

– Sądziłem, że już nie żyjesz. – Camlin uśmiechnął się ponuro. – Choć pewnie mnie to nie usprawiedliwia.

Braith zachichotał.

– Najbardziej jednak zabolalo mnie coś innego, Cam. Twoja zdrada. Sądziłem, że jesteśmy przyjaciółmi.

Camlin roześmiał się.

– Ja też! – powiedział, nadal nie kryjąc wesołości. – No to może byśmy się pogodzili, co?

– Chyba nie – rzekł Braith. Uśmiech znikł z jego twarzy. – Ale możemy wyrównać rachunki.

Wstał i rozejrzał się po niekończących się bagnach, szuwarach i zagajnikach wierzb i olch.

– Gdzie ona jest, Cam? Twoja nowa królowa?

– Jeśli myślisz, że ci to powiem – odparł Camlin – znaczy to, że mnie nie znasz.

– Jeśli zaś uważasz, że zdołasz to zataić – mężczyzna podszedł bliżej – w takim razie ty nie znasz mnie.

Widywałem już, jak Braith przesłuchuje ludzi, pomyślał Camlin. Najpierw udaje ich przyjaciela, próbując wydobyć w ten sposób ile się da, a potem rozpala im ogień pod stopami, by się upewnić.

– Nie ma mowy o torturach – odezwał się Vonn. Camlin nigdy dotąd nie słyszał takiego autorytetu w jego głosie. – Zabierzesz nas do mojego ojca. Nie będziemy rozmawiać z ludźmi takimi jak ty.

Braith uśmiechnął się do Vonna i podszedł do niego.

– Postawcie go – rozkazał.

Wojownik stojący za młodzieńcem podniósł go szarpnięciem.

– Mój ojciec to regent Ardanu oraz przedstawiciel królowej Rhin...

Braith uderzył Vonna pięścią w brzuch, aż młody wojownik się zgiął, a potem złapał go za włosy i wyprostował.

– Twój ojciec nie jest moim królem – warknął. – Ja służę Rhin. Tylko

i wyłącznie Rhin, a więc twój ojczulek może pocałować mnie w dupę. I nie będziesz wydawać poleceń ani mnie, ani nikomu z moich ludzi. Jasne?

– Całej dwójce – mruknął Camlin.

Z ust Vonna pociekła ślina.

– Pytałem, czy to jasne? – Braith zacisnął pięść.

– Dobra – wymamrotał Vonn.

– Cieszę się – powiedział Braith i puścił włosy młodzieńca, który osunął się na ziemię.

Próbowałeś, chłopcze. Trzeba ci to oddać, pomyślał Camlin.

– Nie martw się, Vonn. Wkrótce zabiorę cię do ojca. Nie jestem pewien, jak cię powita, ale na pewno dożyjesz tej chwili i sam się przekonasz, czego nie można już powiedzieć o moim starym przyjacielu Camlinie.

Braith obrócił się błyskawicznie i kopnął byłego banitę w twarz. Ten padł na ziemię, po czym podniósł się na łokciu i splunął krwią, w której pojawił się ząb.

– Pozostawię ci na noc krótkie pytanie, a rano chcę usłyszeć odpowiedź. Gdzie jest ta zdzira Edana? Jeśli powiesz prawdę, zakończę twoje życie szybko i bez bólu. Jeśli ci nie uwierzę, cóż... Wówczas wezmę ten nóż – Braith pokazał ostrze, którym poderżnął gardło swojemu człowiekowi – i będę ci odcinać różne części ciała. Myślę, że zacznę od palców, którymi naciągasz łuk.

\* \* \*

Camlin leżał przy strumieniu. Jego ramiona zeszywniały, a więzy otarły nadgarstki do krwi. Obok widział Vonna, który, sądząc po rytmicznym oddechu, chyba zapadł w sen.

Coś go zbudziło.

Czyżby zimno?

Trząśł się tak bardzo, że jego zęby zaczynały szczekać.

Chmury znikły i na niebie jaśniały gromady gwiazd, a cienka, zamarznięta warstewka śniegu migotała w ich blasku. Przetoczył się ostrożnie, próbując nie wydawać żadnych dźwięków, ale mimo to śnieg zaskrzypiał niemiłosiernie głośno pod jego ciężarem.

Braith siedział pod drzewem z pochyloną głową, a drugi spośród jego ludzi leżał skulony na kocu. Rafe stał na brzegu strumienia z włócznią w ręku i wpatrywał się w ciemność.

A więc to jego warta, pomyślał Camlin.

Jeden z psów zawarczał i nadstawił ucha. Gdzieś na brzegu strumienia coś zaszeleściło i oba ogary skoczyły naprzód, węsząc zapamiętałe. Rafe podążył za nimi, pochylając włócznię, ale zwierzęta wyłoniły się po chwili z szuwarów, szarpiąc coś. Camlin usłyszał odgłos rozdzierania.

Jakaś biedna żaba ma kiepską noc, przeszło mu przez głowę, a potem przypomniał sobie, co go czeka po wschodzie słońca.

Współczuję jej, dodał w myślach.

Psy przestały rozdzierać zdobycz i zabrały się do jej obwąchiwania. Rafe opuścił włócznię i powrócił do przytupywania i rozcierania dłoni. Camlin zaś przeniósł spojrzenie na Braitha. W pierwszej chwili poczuł, jak zalewa go fala nienawiści, ale szybko ostudziła ją myśl, że był to tylko zwykły człowiek, taki jak on sam, który dokonywał własnych wyborów, a potem patrzył, do czego go doprowadzą.

Bywa, że wiodą człowieka do garnca ze złotem, pomyślał Camlin. Bywa też, że wszystko kończy się na pogryzionej dupie lub oberżniętych palcach. Oddałbym jednak wiele, by móc go zabrać ze sobą do Zaświatu.

Usłyszał stuknięcie gdzieś z tyłu, ale przed strumieniem. Rozejrzał się, ale nikt inny chyba tego nie usłyszał. Braith nadal siedział z głową na piersi, a Rafe spoglądał w przeciwnym kierunku. Nawet oba psy zapadały powoli w głęboki sen. Ich piersi unosiły się i opadały. Camlin znów się przetoczył i ujrzał coś wystającego z ziemi i śniegu. Błysnęło żelazo, zauważył też rękojeść owiniętą skórą.

Uwielbiam, gdy pojawia się plan, pomyślał.

Powoli przetoczył się dalej i ułożył plecami do broni. Przesunął się jeszcze kawałek, chcąc pochwycić broń związanymi dłońmi. Zamarł, gdy Braith wymamrotał coś przez sen, po czym przesunął się jeszcze troszkę. Znów znieruchomiał, zerknął na Rafe'a, oba psy, Braitha i drugiego z jego ludzi. Kolejne dyskretne wierzgnięcie i znów kontrolne spojrzenie na Braitha i jego kompanię. W końcu, gdy nocne niebo rozjaśniła już szarość, poczuł pod palcami skórę rękojeści.

\* \* \*

– Wstawaj! – warknął Braith i kopnął Camlina w buty. Ten jęknął i dźwignął się na kolana, przytrzymując linę, którą obwiązano mu dłonie.

– Wyglądasz jak ryba wyrzucona na brzeg – rzekł Braith. – Co jest sensownym skojarzeniem, bo dziś wypatroszę cię jak rybę. – Uśmiechnął się, ale nie było w tym wesołości. – Nie chcę jednak, by mówiono, że jestem okrutnym człowiekiem. Dai, pomóż mu wstać.

Pomimo swoich przechwałek Braith wciąż jest ostrożnym człowiekiem, pomyślał Camlin. Nie zbliży się do mnie na odległość ramienia. Powinno mi to pochlebiać, że tak wysoko ceni moje umiejętności.

Zerknął na Vonna, który również się podniósł. Rafe wzywał psy, ale te nadal leżały na brzegu strumienia. Camlin przechwycił spojrzenie Vonna, zerknął przez ramię i poruszył nożem w zdrętwiałych, zmarzniętych dłoniach. Młodzieniec otworzył na moment szeroko oczy, ale szybko odwrócił wzrok.

– Przykro mi – mruknął Dai, po czym wsunął dłoń pod ramię Camlina i dźwignął go do pozycji pionowej.

– Coś jest nie tak z moimi psami – odezwał się Rafe. W jego głosie pojawił się niepokój.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytał Braith z podejrzliwością.

Nic dziwnego, że dożył takiego wieku, przeszło Camlinowi przez myśl.

– Popatrz tylko! – Rafe szturchnął jednego z ogarów tępym końcem włóczni. – Drapichrust! – zawołał.

Pies nawet nie drgnął, choć jego pierś nadal unosiła się i opadała, a wokół pyska pojawiała się para. Rafe padł na kolana, odrzucił na bok włócznię i potrząsnął oba psy.

Braith zerknął ku Camlinowi.

– Cześć! – zawołał ktoś za nimi.

Braith i Dai odwrócili się błyskawicznie. Na pokrytej śniegiem ziemi, wśród porannych mgieł stała jakaś postać.

Meg!

Przypominała teraz bardziej ducha niż dziecko z krwi i kości, tym bardziej że natychmiast cofnęła się w mgłę i znikła. Braith złapał za miecz i skoczył za nią. Dai puścił więźnia i zrobił krok w ślad za dowódcą, ale w tej samej chwili dłoń Camlina wystrzeliła i wbiła mu nóż w plecy. Ostrze przebiło futrzaną kurtkę, skórzany kaftan i wełnianą koszulę, po czym weszło w płuca między żebra. Druga dłoń Camlina zacisnęła się na ustach Daia i zdusiła syk wydychanego powietrza. Tropiciel wyszarpnął nóż i wbił go ponownie, i jeszcze raz. Wojownik zwiotczał, a Camlin pozwolił mu osunąć się na ziemię. Złapał przy tym rękojeść jego miecza i wyciągnął broń. Zgrzyt wysuwanego

ostrza zatrzymał Braitha w pół kroku.

– Prawie mnie zaskoczyłeś – warknął, gdy odwrócił się i ujrzał uwolnionego Camlina z mieczem w jednej ręce i okrwawionym nożem w drugiej. Nie zrobiło to na nim wielkiego wrażenia, gdyż natychmiast rzucił się do ataku, wołając Rafe’a, który wciąż potrząsał psami, najwyraźniej niepomny na rozwój sytuacji.

Camlin przypadł do Vonna i zaczął pośpiesznie piłować mu więzy, boleśnie świadom tego, że chrząst butów biegnącego Braitha przybliża się z każdą chwilą.

Z głośnym sapnięciem były banita przeciął wreszcie ostatni sznur i odwrócił się, rzucając Vonnowi nóż. Braith już spuszczał na niego ostrze i Camlin ledwo zdołał sparować cios. Zatoczył się, cofnął o krok i zablokował kolejne uderzenia, które spadały nań z impetem wichury, po czym uskoczył w bok i odtrącił ostrze przeciwnika. Ten, zaślepiiony furją, na moment stracił równowagę, a Camlin ciął go po biodrze. Trysnęła krew.

Usłyszał za sobą krzyki. Cofnął się, by zobaczyć, co się dzieje, a przy tym nie stracić Braitha z oczu. Vonn i Rafe okrążali się czujnie.

Braith znów na niego skoczył, brocząc krwią z rany na nodze, i zasypał go nawałą ciosów. Uderzał z wysoka, po czym płynnie ciął z boku i już przechodził do kolejnego natarcia. Gdy odskoczyli od siebie, na ramieniu Camlina widniało czerwone skaleczenie.

– Ostatnim razem musiałeś sięgnąć po truciznę, by mnie pokonać! – oznajmił Braith. Był blady z upływu krwi, ale wzrok miał przytomny, a głos spokojny. – Co tym razem wymyślisz, Cam? Nie dasz mi rady w walce na miecze i obaj o tym wiemy.

– Coś tam wymyślę – mruknął były banita i rzucił się do ataku, mierząc ostrzem w serce przeciwnika. Braith chciał odbić jego broń, ale rozpedzony Camlin w porę opuścił miecz i chlasnął mężczyznę po żebrach, przecinając skórę i wełnę. Odskoczył przed kontratakami i ujrzał, jak rozcięcie na skórze Braitha wypełnia się krwią.

– Może po prostu wykrwawię cię na śmierć? – oznajmił, okrążając go.

Zadałem mu dwie rany. Sam w to nie mogę uwierzyć, myślał. Gdyby tylko chłopaki z Ciemnego Boru mogli to zobaczyć... Ale w walce z Braithem szczęście nie trwa długo, a na pewno jest lepszy ode mnie, co do tego nie ma dwóch zdań. Przydałaby mi się czyjaś pomoc.

Zaryzykował i zerknął na Vonna i Rafe’a, którzy nadal się okrążali.

Zmarszczył brwi, bo odniósł wrażenie, że prowadzą jakąś rozmowę.

– Vonn! – warknął. – Przestań gadać i weź się za zabijanie!

Braith skoczył nań ponownie. Camlin cofnął się przed przytłaczającą kombinacją cięć i sztychów. Krew dudniła mu w uszach. Wszystko działo się zbyt szybko, by zdołał poczuć strach. Starczało mu czasu jedynie na blokowanie kolejnych ciosów i cofanie się, a jego mięśnie i ścięgna protestowały, gdy ze wszystkich sił bronił się przed grożącą mu śmiercią. Złapał miecz oburącz i zablokował następny cios, tak potężny, że ból wniknął mu w ramiona i rozszedł się po barkach i plecach. Każde uderzenie osłabiało go coraz bardziej. Oddychał z narastającym trudem, a jego reakcje stawały się wolniejsze. Twarz Braitha wykrzywił złowieszczy uśmiech. Były herszt wiedział, że wygrywa to starcie.

Naraz Camlin dostrzegł kątem oka jakiś ruch. Z mgły wyfrunął wirujący kij i rąbnął Braitha w głowę. Pękł z trzaskiem, rozsypując naokoło drzazgi.

Chwilę później pojawiła się Meg, która cisnęła w mężczyznę kolejną kłodą. Tym razem trafiła go w ramię. Nie wyrządziła mu wielkiej krzywdy, ale dała Camlinowi sposobność, o której marzył.

Odwrócił się i rzucił do ucieczki.

Przez dwa, trzy, cztery uderzenia serca nie słyszał odgłosów pościgu, ale nagle rozległo się dzikie warknięcie, a po nim tupot ciężkich kroków. Nie celując, cisnął za siebie mieczem. Brzęknęła stal, gdy Braith odbił lecące na niego ostrze, a potem zaklął wściekle, potykając się. Camlin rzucił się na ziemię i przetoczył, chwytając po drodze łuk. Zerwał się do półprzysiadu, namacał strzałę, spojrzął za siebie i dostrzegł rozpędzonego Braitha z wzniesionym mieczem i żądzą krwi w oczach. Nie zatrzymywał się. Sześć kroków, cztery...

Camlin nałożył strzałę na cięciwę i naciągnął ją. Dwa kroki, miecz opadający migotliwym łukiem.

Wypuścił strzałę.

Grot wbił się Braithowi w brzuch i zatrzymał go w miejscu niczym kopnięcie muła. Mężczyzna zatoczył się, zrobił kilka kroków w tył, miecz zmienił kierunek, z sykiem przeciął powietrze przed oczami Camlina.

Ten złapał kolejną strzałę z rozsypanego kołczanu. Warczący głucho Braith już szedł ku niemu, słaniając się.

Nałożenie strzały, naciągnięcie, zwolnienie cięciwy. Tym razem grot wbił się w pierś i posłał Braitha na plecy. Trysnęła krew.

Camlin stał nieruchomo i oddychał ciężko, wciąż czujny, wciąż nieufny.

Braith uniósł się na łokciu, a potem wspiął się na jedno kolano.

Camlin znów napiął łuk i wpakował w mężczyznę kolejną strzałę. Ten padł na plecy.

– Umieraj wreszcie! – ryknął Camlin, którego serce powoli zalewała ulga. Posłał kolejną strzałę.

– Już po nim – rzekł Vonn, podchodząc bliżej.

Camlin dostrzegł plecy Rafe'a, który przedzierał się przez szuwały i wysokie trawy. Naciągnął łuk, spojrział na młodzieńca wzdłuż piór i gładkiego drzewca, wycelował żelaznym grotem między łopatki, uniósł go lekko i wziął poprawkę na odległość i wiatr. Cały ów proces był dla niego równie naturalny jak oddychanie i zabrał zaledwie kilka uderzeń serca.

– Oszczędź go – powiedział mu Vonn do ucha. – To tylko zagubiony, przestraszony chłopak.

– Ma za sobą Długą Noc i podejmował decyzje jako dorosły – warknął Camlin, ale zawahał się.

Chwilę później Rafe znikł wśród mgły i bagien.

Camlin opuścił łuk i podszedł do Braitha, który nadal próbował się podnieść. Zatrzymał się poza zasięgiem jego ręki.

Wełniana koszula mężczyzny przesiąkła krwią, a skórzana kamizela wydawała się wręcz czarna. Zdeptany dookoła śnieg był różowy.

– Wygląda na to, że rachunek został wreszcie wyrównany – rzekł Camlin, patrząc na byłego herszta.

– Nie tak miało się to skończyć – wycharczał Braith i raz jeszcze spróbował wstać, ale uniósł jedynie głowę. Zakaszła krwią i opadł na śnieg.

– Człowiek nie zawsze dostaje to, co sobie wymarzył – mruknął Camlin. Stał i patrzył, jak pierś Braitha unosi się i opada. Przerwy między oddechami stawały się coraz dłuższe. Na ustach przybocznego Rhin pojawiły się krwawe bąble. Camlin czekał na kolejny oddech.

Na próżno.

Rozejrzał się, dostrzegł swój miecz i podniósł go.

– Tym razem już nie powrócisz do żywych – powiedział do trupa i rąbnął parokrotnie, aż głowa Braitha potoczyła się po zmarzniętej ziemi.

Z trzciny wyskoczyła Meg, która podbiegła do Camlina i otoczyła ramionami jego talię. Uścisnęła go mocno, a on zmierzwił jej włosy.

– Dobrze się sprawiłaś, mała! Chyba zawdzięczam ci życie!

– Chyba? – spytała dziewczynka i uśmiechnęła się do niego szeroko.



## Rozdział siedemdziesiąty pierwszy

# HAELAN

Haelan przeszukiwał stajnię za stajnią, a podekscytowany Garnek skakał wokół niego, merdając ogonem. Chłopiec zaglądał do każdego boksu, których były setki, z czego przynajmniej połowa zajęta przez konie.

Nie, tu jej nie będzie, pomyślał.

Zatrzasnął kolejne drzwi, marszcząc brwi.

Tu też pusto.

Gdy dotarł do ostatniej stajni, był już zlany potem, choć przez kamienne ściany do środka wnikało zimno.

Mamy w końcu zimę, przemknęło Haelanowi przez myśl.

Nadszedł Księżyc Śniegu i zima trzymała Drassil w mocnym, mroźnym uścisku.

Gdzie ona jest?, zastanawiał się chłopak.

Szukał Burzy. Podśluchał, jak Corban opowiadał o ciąży swojej wilkunicy. Jeśli cykl narodzin wilkunów przypominał psi, Burza powinna lada dzień zacząć rodzić. Tymczasem wilkunica znikła.

„Jest w swoim legowisku i szykuje się do miotu” – powiedziała Coralen do Corbana.

Haelan zajmował się najróżniejszymi obowiązkami w szpitalu Cywen, wielkim budynku leżącym w zachodniej części fortecy, niedaleko ogrodu ziołowego rosnącego w obrębie murów. Coralen siedziała przy łóżku ciemnowłosej Jehar, której nogę ułożono w łupkach i obandażowano. Rozmawiali o różnych rzeczach, aż pogawędka zesłała na temat Burzy, której znów nikt nie widział od jakiegoś czasu.

„Tak właśnie sądziłem – rzekł Corban. – Muszę ją znaleźć. Pamiętam, jak ojciec pomagał sukcom w miotach. Może dojść do najróżniejszych trudności”.

Wydawał się tak zmartwiony, że Haelan od razu postanowił, że odnajdzie

Burzę i jej legowisko. Od tej pory nie zajmował się niczym innym.

Wybiegł ze stajni rozczarowany, bo wydawało mu się, że to idealna kryjówka dla Burzy. Nie mając pojęcia, co począć dalej, zaczął się szwendać bez celu po fortecy.

Nigdy jej tu nie znajdę, myślał. Może się tu ukrywać przez cały księżyc, nawet jeśli wszyscy mieszkańcy wezmą się do poszukiwań.

Powoli spacerował po starożytnych kamiennych ulicach. Mijał okna wypełnione ciepłym blaskiem ognia z kominków, przechodził też przez ulice i placówki, otoczone pustymi budynkami o ciemnych oknach. Otulił się szczelniej płaszczem, a wokół jego ust z każdym oddechem pojawiały się kłęby pary. W końcu zatrzymał się na jakimś dziedzińcu i usiadł na grubym, poskręcany korzeniu, który wyłaniał się spomiędzy bruku niczym grzbiet wielkiej morskiej bestii, i przetrząsnął kieszenie w poszukiwaniu czegoś do jedzenia. Znalazł kawałek suchara, przełamał go na pół, rzucił kawałek Garnkowi, a sam zaczął przeżuwać drugi.

Doszedł do osobliwego wniosku. Przez większość czasu, jaki spędził w osadzie Gramma, jego myśli często wracały do mamy, Jaela i tronu Isiltiru, i z tego, co pamiętał, spędzał całe dni na rozmyślaniach. Planował zemstę na uzurpatorze, wyobrażał sobie, jak wszystko mogłoby wyglądać, gdyby to on był królem, albo wymyślał, komu przekazałby swoje obowiązki. Od dawna już tego nie robił i wręcz nie mógł sobie przypomnieć, kiedy takie myśli nawiedziły go po raz ostatni. Po dłuższym namyśle doszedł do wniosku, że istnieje tylko jedno wytłumaczenie.

Jestem tu szczęśliwy, uświadomił sobie.

W pierwszej chwili poczuł się winny, a przed oczami natychmiast stanęła mu twarz matki.

Ale ja nie powinienem być szczęśliwy, pomyślał. Mama zginęła za to, bym któregoś dnia mógł zostać królem.

W gruncie rzeczy nie chciał już tego. Nie marzył już o tronie. Zamiast tego chciał, by to Corban został królem. Nigdy dotąd nie poznał nikogo, o kim miałby tak dobre zdanie.

Wystarczyły pierwsze słowa Corbana, by Haelan poczuł się sobą i uświadomił sobie, że nie ma już potrzeby nikogo ani niczego udawać. Podobała mu się ta świadomość. Co więcej, Corban miał wszystkie te cechy, które jego zdaniem król powinien posiadać. Przede wszystkim był znakomitym, nieustraszonym wojownikiem. Haelan słyszał opowieści o tym,

jak walczył z demonami, zmijami i wilkunami, jak uwolnił niewolników i ocalił Wulfa i resztę w osadzie Gramma. Mimo wszystkich spraw, które go zaprzętały, zawsze znajdował chwilę dla każdego, kto chciał z nim porozmawiać. Wysłuchiwał problemów, zarówno tych dużych, jak i tych małych.

Garnek zaskomlał i Haelan rzucił mu jeszcze kilka okruchów.

Gdy rozmawiał z Corbanem, miał wrażenie, że przywódca naprawdę słucha tego, co chłopak ma mu do powiedzenia. Nikt inny go tak nie traktował, nawet Tahir, którego Haelan kochał jak starszego brata. Młody wojownik zawsze spoglądał na niego niczym na obowiązek do wypełnienia.

Bo dla niego pewnie tym jestem, pomyślał. Wszak został moim przybocznym.

Szczyście Haelana zakłóciły wieści o armii, która nadciągała z północnego zachodu po budowanej przez siebie drodze, kierującej się niemalże prosto na Drassil. Oczywiście mieli jeszcze dobrych kilka księżyców zapasu, bo wroga armia musiała dosłownie przebijać się przez gęstą puszcę.

To Jael, pomyślał Haelan. Jestem tego pewien. Czy ja nigdy nie zaznam szczęścia, póki ten człowiek żyje?

Tahir powiedział mu, że Corban poprowadził kilka wypadów na wroga, korzystając z ukrytych przejść i tuneli. Nie były to wielkie uderzenia – obrońcy zajmowali się głównie eliminowaniem zwiadowców i maruderów. Tahir mówił, że Corban i jego ludzie szli do walki ubrani w futra wilkunów i zabijali pazurzastymi rękawicami.

Garnek znów zaskomlał i podrapał coś łapką. Haelan przetrząsnął kieszenie, ale niczego już nie znalazł.

– Przykro mi, mały – powiedział i odwrócił się, by pogłaskać psa. Wtedy zobaczył, czym ten się zajmuje.

Wygięty w górę korzeń rzucał wielką plamę cienia, ale chłopak przyjrzał mu się uważniej i odkrył, że kryje się w nim spora dziura, a przed nią wznosi się kopiec sypkiej ziemi, w której grzebał właśnie Garnek. Haelan podszedł bliżej i przekonał się, że dziura była większa, niż sądził, na tyle spora, by zmieścić się w niej dorosły mężczyzna. Wsunął do niej głowę i ujrzał korzeń, który wił się i wgryzał w ciemną ziemię. Zrobił krok do środka i nagle ziemia osunęła mu się spod nóg. Poleciał w dół głową naprzód, zsuwając się i tocząc po stromym zboczu. Chciał wrzasnąć, ale ziemia dostawała mu się do ust i oczu.

Po kilku sekundach zatrzymał się na jakimś korzeniu. Ziemia dookoła została wymyta przez deszcze, przez co wokół korzenia powstało coś na kształt jaskini, niewielkiej, ale na tyle wysokiej, że mógł stanąć prosto z pochyloną głową. Do środka wpadało światło dnia i Haelan zauważył, że korzenie rozchodzą się na prawo i lewo, tworząc wąskie korytarze. Garnek, stojący na skraju dziury, wpatrywał się w niego i machał wesoło ogonem.

– To nie zabawa – mruknął chłopak, po czym doszedł do wniosku, że skoro już się tu znalazł, może zbadać okolicę. Garbiąc się, ruszył w ślad za korzeniem. Niespodziewanie tunel skręcił niemalże pionowo w dół i Haelan zatrzymał się. Dobiegał stamtąd intensywny, kwaśny zapach, który przywodził na myśl gnijące warzywa i... i coś jeszcze.

Haelan nie miał pojęcia, co właśnie odnalazł, ale naraz zamarzył, by znaleźć się jak najdalej stąd. Miał wrażenie, że nieznany zapach wdziera się do jego ust niczym mocne palce. Cofnął się wzdłuż korzenia, z ulgą rejestrując, że zapach słabnie. Wkrótce znalazł się w miejscu, w którym ziemia osunęła mu się spod stóp.

Na widok chłopaka Garnek zaczął szczekać. Haelan postanowił jednak, że nie wraca na górę i ruszył prawym korytarzem, podekscytowany świadomością, że odkrył coś nowego w tej starożytnej fortecy. Coś, o czym wiedział tylko on.

To może być moja kryjówka, pomyślał. Moje sekretne miejsce. Zaraz, sekretne miejsce?

Naraz z ciemności dobiegło głucho, przerażające warczenie. Przybierało na sile, aż ucichło, a wtedy Haelan usłyszał ciche popiskiwanie. Wycofał się najszybciej jak umiał, podskoczył i złapał się krawędzi otworu, po czym wygramolił się na zewnątrz. Tam zerwał się i rzucił do biegu, a gdy wybiegł zza rogu, ujrzał Tahira, który szedł ku niemu i celował w niego palcem.

– Wszędzie cię szukałem! – oznajmił, ale Haelan przebiegł obok niego.

– Nie mam teraz czasu! – rzucił, nawet nie zwalniając, ale usłyszał, że Tahir gna za nim.

Znalazł Corbana na dziedzińcu treningowym, jak uzbrojony w miecz i tarczę ćwiczył walkę z Wulfem. Gar stał nieopodal i przyglądał się im ze zmarszczką na czole i ramionami założonymi na piersi. Haelan wyhamował, nie mogąc się doczekać, aż podzieli się wieściami z Corbanem, ale dostrzegł, że ten rozmawia o czymś z Garem.

– Nie mówię, że nie powinieneś trenować z tarczą – mówił mężczyzna. –

Uważam natomiast, że to głupi pomysł.

– Czemu nie lubisz korzystać z tarczy? – spytał go Wulf.

Gar bez słowa podszedł do niego, złapał obiema dłońmi krawędź jego tarczy i szarpnął mocno. Wulf wrzasnął z bólu.

– Wystarczyłoby pociągnąć mocniej, a złamałbym ci ramię – rzekł Gar rzeczowo. – Jak na broń, która ma cię chronić, może łatwo zostać wykorzystana przeciwko tobie. – Puścił tarczę, a Wulf cofnął się i skrzywił. – Najlepszą obroną jest skuteczny atak – dodał Gar i wzruszył ramionami. – Najlepiej skorzystasz z tarczy, jeśli przytroczysz ją sobie do pleców.

– Jak Halion? – spytał Corban.

– Tak. – Gar pokiwał głową. – Osłoni ci plecy, gdy znajdziesz się wśród przeciwników i rozpoczniesz obrót, by zadać mocniejszy cios.

– Pokaż nam – rzekł Wulf.

Corban zerknął w bok i zauważył Haelana, który niemalże podskakiwał z podekscytowania na dziedzińcu.

– Co się dzieje? – spytał młodzieniec.

– Burza! – wysapał Haelan. – Znalazłem Burzę!

\* \* \*

Haelan stał na placu z wielkim korzeniem, gdzie zgromadził się już niewielki tłumek.

Corban wślizgnął się do dziury, po czym wysunął z niej rękę, a Gar podał mu pochodnię i wskoczył do środka wraz z nim. Haelan usłyszał stłumiony protest Corbana i chłodną odmowę Gara. Znów zapadła cisza, po czym rozległo się warczenie, które wnet przeszło we wściekły pomruk, od którego aż ziemia zadrżała. Garnek zaskamlał i schował się za nogami Haelana.

Chwilę później pokazała się głowa Gara, który wyczołgał się na zewnątrz.

– Nie sądzę, by potrzebowała mnie do czegoś – rzekł, wykrzesując z siebie tyle godności, ile mógł, po czym otrzepał ubranie.

– A Ban? – spytała Coralen.

– Och, nic mu nie jest. Burza wylizuje go, jakby nie widziała go od księżyca.

– A co z nią? Urodziła bez problemów?

– Tak, jasne – rzekł Gar. – Nic jej nie jest. Powiła szóstkę szczeniaków. Corbanowi pozwoliła nawet ich dotknąć, choć mnie chciała odgryźć głowę tylko i wyłącznie za to, że na nie spojrzełam.

Tahir odciągnął Haelana na bok i spojrzał na niego surowo.

– Co by się stało, gdybyś tam utknął, co? – spytał.

Haelan wiedział, że jego przyboczny jest na niego zły, ale czuje też dumę. Wszak wykazał się odwagą i dokonał czegoś, z czym nikt inny nie zdołał sobie poradzić.

– Ale nie utknąłem – odparł.

– A gdyby tak się stało? – Tahir zmarszczył brwi.

– Ludzie głupi się martwią, a mądrzy działają, jak mawiała twoja mama.

Tahir zamrugał.

– Robisz się za sprytny – mruknął. – Któregoś dnia możesz tego pożałować.

Haelan uśmiechnął się szeroko.

## Rozdział siedemdziesiąty drugi

# FIDELE

Fidele wpatrywała się z zadziwieniem w drzewa otaczające drogę. Nigdy dotąd nie widziała pni, które rozrastałyby się tak szeroko i sięgały tak wysoko, grube i wyniosłe niczym zamkowe wieże. Ich konary splatały się nad drogą, tworząc nieprzebitą gąszcz, tu i ówdzie przepuszczający cieniutkie strużki światła, znaczące ziemię plamkami blasku.

A więc tak wyglądał Forn, pomyślała.

Mieli za sobą długą, wyteżoną podróż, gdyż dotarcie do puszczy zabrało im prawie trzy miesiące. Najpierw musieli przebyć góry Agullas, by wkroczyć do Carnutanu, skąd jechali już tylko na północ przez wielkie równiny, wśród łagodnych wzgórz i zasypanych śniegiem dolin. Niebawem przekroczyli granicę z Isiltirem, a po dziesięciu dniach drogi dotarli do Mikil, gdzie dowiedzieli się tylko tyle, że Nathair jakiś księżyc temu wyjechał na wschód w stronę Fornu. Ruszyli więc w ślad za nim. Nadal towarzyszyło im sześć tysięcy zbrojnych, nie licząc garstki, którą zabrało zimno bądź źle gojące się rany.

Fidele zerknęła za siebie i dostrzegła Maquina, jadącego konno w otoczeniu orlej gwardii.

Nie poddał się. Wiedziałam, że nie umrze, pomyślała.

Z początku mężczyzna leżał na wozie, półprzytomny i mający z powodu bólu ran. Alben zajmował się nim wytrwale, aż Maquin doszedł do siebie i od ponad księżyca jechał już konno. Ich spojrzenia często się spotykały, choć zawsze na krótką chwilę. Pamiętali bowiem o radzie Albena i oskarżeniach, jakie padły pod adresem Fidele. Nie pozwolono im też zbliżyć się do siebie na tyle, by mogli porozmawiać, gdyż orla gwardia Veradisa rygorystycznie przestrzegała rozkazów. Kobieta nie miała nic przeciwko, bo wiedziała, że Lykosa i jego Vin Thalun również do niego nie dopuszczają.

Cóż oni z nim zrobili...

Gdy zamknęła oczy, nadal widziała poparzenia na jego skórze. Dobrze też pamiętała smród przypalonego ciała, który poczuła, kiedy weszła do komnaty Maquina w Jerolin. Nie po raz pierwszy ogarnęła ją furia, a przed jej oczami pojawił się wizerunek Lykosa. Uśmiechał się do niej.

Doprowadzę do jego śmierci, postanowiła. Przekonam Nathaira do zbrodni Vin Thalun.

Z jednej strony marzyła tylko o tym, by ta podróż dobiegła końca, a Lykosa spotkała zasłużona sprawiedliwość, której unikał od tak dawna, ale z drugiej bała się tej chwili, ponieważ Maquina również czekał osąd, a ten mógł się skończyć tylko wyrokiem śmierci. Nie sądziła, by nawet wstawiennictwo matki króla mogło mu w czymś pomóc. Na samą myśl o tym czuła, jak jej serce ściska niepokój.

Droga zakręciła i oczom Fidele ukazała się budowla wśród gałęzi i konarów. Za murem z szarego kamienia wznosiła się masywna wieża o ścianach porośniętych pnączami. Gdzieś dalej słychać było plusk rzeki.

Oto Brikan, a za nią rzeka Rhenus, pomyślała Fidele. Czy wreszcie przyjdzie mi ujrzeć mego syna po tak długiej rozłące?

Jechała niemalże na czele kolumny, wraz z ludźmi z Ripy – Krelisem, Ektorem, Albenem i Peritusem oraz prawie całym hufcem, liczącym ponad ośmiuset ludzi. Veradis sugerował, by zabrali jedynie gwardię honorową, ale Krelis się sprzeciwił. Fidele wiedziała, że nie ufał już nikomu podczas tej podróży, w tym Veradisowi.

Nawet osiem setek wojowników niewiele by pomogło, gdyby Vin Thalun zwrócili się przeciwko nam. Ciekawe, po której stronie opowiedziałby się wówczas Veradis, zastanawiała się Fidele.

Widziała Veradisa przed sobą. Jechał na białym koniu w asyście swego młodego kapitana Caesusa. Orła gwardia maszerowała za nimi w równych szeregach.

Zmienił się, pomyślała Fidele. Ta wojna go odmieniła, ale mimo to nadal dostrzegam w nim coś, dzięki czemu mu ufam. Kryje się w nim jakaś lojalność, solidność, uczciwość.

Przecież to właśnie Veradis dał jej niewielką nadzieję, że wszystko jakoś się poukłada. Dokładał wszelkich starań, by zachować neutralność, gdy mówiła mu o Lykosie i Maquinie. Nie opowiadał się po żadnej ze stron, ale wiedziała, wręcz wyczuwała, że w gruncie rzeczy zgadza się z nią, a to, że



łączyła go z Maquinem stara przyjaźń, również pomagało.

Wciąż jest nadzieja, myślała Fidele. Nawet jeśli Nathair nie posłucha swej matki, z pewnością przychyli ucha do rad najstarszego i najbliższego przyjaciela.

\* \* \*

Komnata znajdowała się na wyższych piętrach wieży. Ogień w kominku i płonące z trzaskiem pochodnie miały ogrzać pomieszczenie i rozproszyć niekończący się półmrok lasu, ale była to walka z góry skazana na przegraną. Fidele siedziała na długiej ławie i spoglądała na podwyższenie, na którym ustawiono krzesło z wysokim oparciem. Obok niej zasiadali Krelis, Ektor i Peritus. Nikt nie nosił kajdan ani też nie został w żaden sposób związany, ale Fidele czuła się jak przestępca podczas procesu, tym bardziej że pod ścianami stali wojownicy z orlej gwardii i czarnoocy Jehar przyglądający się wszystkim bez emocji. Na dziedzińcu przed starą wieżą olbrzymów były ich setki. Gromadzili się wokół wielkiego wozu, który królował na placu niczym wielka, pogrążona we śnie bestia. Swego czasu Jehar dawali Fidele poczucie bezpieczeństwa, a myśl o nich pokrzepiała ją podczas ciemnych, niespokojnych nocy, gdy martwiła się o Nathaira. Teraz jednak przerażały ją ich czarne oczy i martwe spojrzenia.

Veradis również znajdował się w pomieszczeniu. Stał przed pustym krzesłem, zwrócony tyłem do Fidele, i spoglądał przez okno na las i szeroką rzekę, wijącą się za wieżą. Z dziedzińca dobiegały skrzypnięcia ciągniętych wozów, porykiwanie wołów, trzask biczów i pokrzykiwanie woźniców. Fidele dostrzegła szeroką porębę za kamiennym mostem, wcinającą się daleko w las. Jej środkiem ciągnęła się szeroka droga, biegnąca prosto jak strzełił na północny wschód. Trwał na niej nieprzerwany ruch w obu kierunkach.

Skrzypnęły otwierane drzwi. Do środka wpadła fala chłodnego powietrza, a potem wkroczył Nathair.

Mój syn, pomyślała Fidele.

Poczwała ból w sercu na jego widok. Nathair stracił na wadze, przez co uwydatniły się jego kości policzkowe, a pod jego oczami widniały ciemne plamy, ale wciąż kroczył z pewnością siebie i przeświadczeniem o własnej racji. Mimo to Fidele nadal widziała w nim dziecko, które kiedyś nosiła na rękach, które pocieszała i z którym się śmiała. Zrobiła krok ku niemu, po

czym się zatrzymała.

To proces, a ja muszę okazać siłę i jako silna muszę zostać odebrana, pomyślała. Nathair to nie tylko mój syn, ale i Najwyższy Król Ziem Wygnanych, tak jak ja jestem jego matką i regentką Tenebralu.

Za Nathairem wkroczyli Calidus oraz olbrzym Alcyon, a dalej Jehar, poruszający się ze zwinnością i ledwie skrywaną siłą drapieżników na szczycie łańcucha pokarmowego.

Na końcu zaś szedł Lykos z pochyloną głową, otoczony strażnikami. Ci podprowadzili go do ławy Fidele i kazali mu na niej usiąść, co uczynił bez wahania czy słowa skargi. Kobieta nigdy jeszcze nie widziała u niego takiej uległości.

– Matko – odezwał się Nathair.

Fidele uniosła głowę i ujrzała syna, który zatrzymał się w połowie drogi do pustego tronu i uśmiechał się do niej lekko. Zerwała się i uniosła ręce, chcąc podbiec i uścisnąć go, ale coś w jego spojrzeniu skłoniło ją, by zwolniła i zatrzymała się przed nim. Wówczas młody król uniósł jej dłoń i ucałował.

– Dobrze cię widzieć, matko – rzekł i spojrzał jej w oczy. Przyglądał się jej twarzy, jakby zapomniał, jak wygląda. – Zmieniłaś się.

– Ty również – odparła. – Mamy sobie wiele rzeczy do opowiedzenia.

– I wiele innych, o których lepiej nie mówić – parsknął młodzieniec i skrzywił się lekko.

A co to miało oznaczać?, pomyślała Fidele.

– Nathairze! – zawołał Calidus tonem, którego kobieta nigdy wcześniej nie słyszała, a który wcale jej się nie spodobał. Były w nim zniecierpliwienie i dominacja. Przypomniła jej się wypełniona zwojami komnata Ektora pod wieżą Ripy i rozmaite wzmianki o Ben-Elim i Kadoshim. Wracając na miejsce, spojrzała Ektorowi w oczy.

Nathair podszedł do tronu, a wtedy ujrzał Veradisa i uśmiechnął się. Fidele na powrót zobaczyła w nim tego młodego człowieka, którego żegnała przed wyruszeniem na wojnę. Obaj mężczyźni uśmiechnęli się, po czym Nathair zasiadł na tronie. Calidus i Alcyon stanęli po obu jego stronach, a Jehar rozstawili się za nimi.

– Czekamy na jeszcze dwie osoby – oznajmił Veradis, nim Nathair zdołał powiedzieć choć słowo.

– Na kogo? – spytał Calidus.

– Na dwóch dziwnych więźniów, na których natrafiłem w Tenebralu –

powiedział Veradis.

– Co? – Lykos spoglądał na starca z przejęciem, a nawet lękiem. – Powiedziałem ci, że Calidus musi spotkać się z nimi na osobności. Nie mogą tu przy...

Drzwi rozchyliły się ponownie. Najpierw pojawili się orli strażnicy, a po nich olbrzymy Raina i Tain. Na szyjach mieli założone żelazne kołnierze, a ich ręce były związane.

– Stać! – wrzasnął Calidus.

Orli gwardziści zatrzymali się jak wryci, a olbrzymy niemalże wpadły im na plecy.

Zapadła głucha cisza. Wszyscy patrzyli na Rainę i Taina, którzy rozglądali się dookoła z niechęcią i obrzydzeniem.

– Raina? – zagrmiał ktoś. – Tain?

Był to Alcyon, który pobladł niczym człowiek martwy od dziesięciu dni, a potem naraz się uśmiechnął.

– Raina, Tain – powtórzył.

– Alcyon – szepnęła Raina.

– Wyprowadzić ich stąd! – syknął Calidus.

– Nie! – Alcyon zrobił krok naprzód i wyciągnął rękę.

– I to w tej chwili! – wrzasnął Calidus.

Orli gwardziści za plecami olbrzymów zapewne szarpnęli za łańcuchy przytroczone do ich kołnierzy, gdyż więźniowie zatoczyli się w tył.

– Nie! – warknął Alcyon i sięgnął po młot.

A wtedy wydarzyła się najdziwniejsza rzecz pod słońcem.

Olbrzym zamarł z wzniesionym ramieniem, które powoli, z lekkim drżeniem zaczęło opadać. Z jego twarzy znikły wszelkie emocje. Bez wyrazu patrzył na Rainę i Taina, wrzeszczących i wywlekanych z pomieszczenia. Wreszcie zatrzaśnięto drzwi, co ucięło krzyki olbrzymów. Calidus powiedział coś do Alcyona, a ten zrobił krok w tył i stanął za tronem Nathaira.

Fidele zmarszczyła brwi. Zauważyła, że Veradis również wydawał się poruszony rozwojem wydarzeń.

– A zatem – odezwał się Nathair, który oparł łokcie na podłokietnikach i splótł palce, jakby nic się nie wydarzyło. – Tenebral. Moja ojczyzna, gdzie nie może być mowy o konfliktach czy zatargach. Veradis przedstawił mi pokrótce rozmaite żale i oskarżenia, jakie padały między wami, ale byśmy wszyscy mieli jasność, poproszę go, by przedstawił je ponownie. Chcę, byśmy

wszyscy je usłyszeli, a jeśli ktoś się nie zgadza, będzie mógł zabrać głos. Kiedy uporamy się z tą sprawą, nie chcę już do niej wracać.

Omiótł wzrokiem zgromadzonych ludzi, a potem skinął Veradisowi, który oderwał zaskoczone spojrzenie od milczącego już Alcyona i zrobił krok naprzód.

Opowiedział o buncie w Tenebralu i okolicznościach, które się do niego przyczyniły – gwałtownym napływie Vin Thalun, którzy bez żadnych skrupułów zaczęli wprowadzać własne tradycje, łącznie z legalizacją walk gladiatorów, rozkazie egzekucji Peritusa i wreszcie ślubie Fidele z Lykosem, najwyraźniej człowiekiem mało popularnym, tym bardziej że pierwszy mąż Fidele, król Aquilus, rządził królestwem długo i był otaczany przez poddanych wielkim szacunkiem. Veradis w ostrych słowach skrytykował rządy sprawowane przez Lykosa, a zwłaszcza brak umiejętności negocjowania i zbyt chętnie uciekanie się do przemocy.

Przez moment słowa Veradisa wypełniły całą salę. W precyzyjnych zdaniach przedstawiał fakty takimi, jakimi je poznał.

Choć rzeczywistość była o wiele, wiele gorsza, niż ci się wydaje, pomyślała Fidele.

Naraz uświadomiła sobie, że Veradis przestał mówić i spogląda na nią. Nabrał głęboko tchu, jakby przygotowywał się do zbrojnego starcia.

– Fidele oskarżyła Lykosa o straszliwe rzeczy – powiedział. – O nadużywanie władzy, manipulację, morderstwa... – Urwał na moment i znów wciągnął powietrze. – I o czary.

– Czary? – spytał Calidus. – Co to ma niby oznaczać? – Skrzywił się lekko przy tych słowach, jakby tłumił uśmiech, po czym dodał: – Jakie czary?

– Takie, które umożliwiają zawładnięcie ciałem i umysłem.

Próbuje mnie ocalić, przeszło Fidele przez myśl.

Wszyscy obecni spoglądali teraz na nią, a ona nabrała ochoty, by zerwać się i uciec przed ich wzrokiem.

Nie będę się wstydzić, postanowiła. Wszak walczyłam z tą kreaturą ze wszystkich sił!

Uniosła głowę i patrzyła teraz tylko na Nathaira.

– Matko, to poważne oskarżenie!

– Co takiego? To nie oskarżenie! – oznajmiła, czując, jak budzi się w niej gniew. Naraz zapragnęła powrócić do lasu z Maquinem, gdzie wrogowi stawiało się czoła z nożem w rękę i gdzie ludzi obowiązywało zaufanie. Takie

życie kryło w sobie prostotę, za którą zateęskniła, a której na próżno było szukać w tym pomieszczeniu. – To stwierdzenie faktu.

– Faktu? – Calidus zmrużył oczy. – To niejasne, mętne określenie, które można wyjaśnić na wiele sposobów. Kontrola umysłu? Chcesz powiedzieć, że Lykos w jakiś sposób zawładnął twoim umysłem, korzystając ze swych czarnoksięskich mocy?

Po lewej Fidele usłyszała sardoniczny chichot.

Lykos...

– A do czego niby cię zmusił?

Fidele wpatrywała się w Calidusa, przepełniona w tej chwili bezbrzezną nienawiścią do tego człowieka. Zmusiła się, by oderwać od niego wzrok i przenieść go na syna.

– O tym chciałabym porozmawiać z tobą na osobności – powiedziała.

– Nie, matko. Twoje zeznanie musi być jawne. Nie mam zamiaru pozwolić na to, by oskarżono mnie o nepotyzm.

Fidele zamknęła oczy i pochyliła głowę.

– A więc dobrze. Chcę powiedzieć, że Lykos sięgnął po czarną magię, by roztoczyć nade mną kontrolę, a potem mnie gwałcić.

Odwróciła głowę, przełknęła ślinę i zdusiła łzy. Słowa te, wypowiedziane na głos, zyskały nową moc, a Fidele opanowała się i znów spojrzała na Nathaira.

Po jego twarzy przemknęły najrozmaitsze emocje. Wzburzenie. Gniew rosnący do rozmiarów furii. Wbił wściekły wzrok w Lykosa, a potem przeniósł go na Calidusa, który z chłodem odwzajemnił spojrzenie, a potem powiedział coś cichym, niesłyszalnym dla innych głosem. Emocje powoli zniknęły z twarzy młodego króla. Przechylił lekko głowę, jakby słuchał jeszcze kogoś innego, a potem zacisnął powieki, pochłonięty bitwą myśli.

Gdy znów je rozchylił, patrzył na matkę z głębokim smutkiem przemieszonym z czymś innym.

Czy to współczucie?, zastanawiała się.

– Och, matko – powiedział, a Fidele znów poczuła iskierkę nadziei. Może jednak wszystko naprawi? Może przywróci sprawiedliwość? – Śmierć ojca dotknęła cię bardziej, niż sądziłem – dokończył.

– Co?

O co mu chodzi? Dlaczego...

– Obawiam się, że całkiem przytłoczyła cię rozpacz. Żałuję, że powierzyłem ci tak wielką odpowiedzialność tak szybko po jego śmierci.

Fidele miała wrażenie, że mocne mury w jej sercu, zbudowane siłą woli, chroniące ją przed krzywdą, którą wyrządził jej Lykos, zaczynają się kruszyć. Nabrała tchu i powoli go wypuściła.

– To nie ma nic wspólnego ze śmiercią twego ojca! Lykos...

– Lykos to żeglarz z Vin Thalun, kapitan okrętu i władca swego ludu. Na pewno nie czarownik. Spójrz tylko na niego. – Nathair machnął dłonią. – Z pewnością dysponuje wieloma talentami, ale czy umie czarować?

Znów rozległy się chichoty, tym razem głośniejsze.

– Jest opętany żądzą władzy – odezwała się Fidele, choć jej głos wydawał się jej cieniutki niczym źdźbło trawy. – Bez względu na to, ile ma, zawsze chce więcej.

– Żądzą władzy? – spytał Nathair. – Już mu dałem władzę! Uczyniłem go regentem Tenebralu, jednym z najważniejszych ludzi królestwa!

– Dla niego to za mało – odparła cichym szeptem Fidele, czując, jak powoli opuszczają ją resztki siły oraz woli.

– Matko, proszę cię. – Nathair wciąż wpatrywał się w nią z tym doprowadzającym do szału współczuciem w oczach. – Nie mam wątpliwości, że niemalże oszalałaś z tęsknoty za ojcem i żałoba sprawiła, że pchnęłaś Tenebral na skraj wojny domowej. Nie mogę cię ukarać, bo nie ponosisz żadnej winy. Winnym jestem ja, gdyż powierzyłem ci nazbyt wielką odpowiedzialność. Nie będzie więc żadnej kary, ale oddasz swe obowiązki i udasz się do jakiegoś bezpiecznego, spokojnego miejsca, wolnego od napięć tych mrocznych czasów.

Czy ja się aby nie przesłyszałam?, pomyślała Fidele. Czy te słowa naprawdę padły z ust mego syna? To przecież jakiś koszmar.

Chciała się odezwać. Chciała zaprzeczyć i przekonać go do swojej racji, ale w głowie miała pustkę.

– Jeśli zaś chodzi o resztę tu zebranych – ciągnął Nathair – trudno mi uwierzyć w to, co słyszę. Tenebral, moja ojczyzna, królestwo Najwyższych Królów Ziem Wyganych, rozpada się wśród dziecinnych sporów i kłótni.

Krelis wymamrotał coś pod nosem, a Peritus wyprostował się i napiął mięśnie.

– Nie ulega wątpliwości, że racja stoi po stronie Lykosa.

Krelis chciał się poderwać, ale Peritus i Ektor zatrzymali go we dwóch.

– Ripa uznała za stosowne bronić człowieka skazanego na śmierć, czyli ciebie, Peritusie, i chwycić za broń przeciwko wybranemu przeze mnie

przedstawicielowi. Ustanowiłem Lykosa regentem Tenebralu. Matko, widziałaś mój list z pieczęcią, a Veradis przekazał moje dyspozycje. Dopuszcziliście się więc wszyscy zdrady i mógłbym was skazać na śmierć.

– To skandal! – Krelis eksplodował gniewem i zerwał się na równe nogi. Peritus skoczył w ślad za nim, próbując go uspokoić.

W okamgnieniu pojawili się Jehar, którzy otoczyli Krelisa z mieczami na pół wyciągniętymi z pochew. Wojownik znieruchomiał.

– Siadać – warknął Nathair.

Krelis ani drgnął. Wbił w króla wściekły wzrok.

– Mój ojciec oddał życie – wycharczał.

– Proszę, Krelisie! – odezwał się Veradis. – Proszę cię, bracie, usiądź.

Krelis jeszcze raz smagnął króla spojrzeniem i opadł na ławę.

– Mógłbym was wszystkich skazać na śmierć za zdradę – powtórzył Nathair, wytrzymując wzrok Krelisa i prowokując go do kolejnego nieprzemyślanego ruchu. Mężczyzna nawet nie drgnął. – Ale nie zrobię tego. Chcę pokoju w moim królestwie. Chcę porządku. Pragnę darzyć innych możnowładców zaufaniem, by samemu móc się skupić na pilniejszych sprawach. A jest nimi na przykład zniszczenie Czarnego Słońca. Przy tym problemie wszystko inne wydaje się trywialne.

W umyśle Fidele panował chaos. Była wprost wstrząśnięta, a serce jej krwawiło. Nigdy by się nie spodziewała, że jej własny syn tak bardzo ją zlekceważy...

Nie rozpoznaję człowieka, którym się stał, pomyślała. Nie znam go. Jak on mógł zmienić się tak bardzo?

Nathair dalej mówił, ale jego słowa rozmywały się w jej głowie. Niespodziewanie różne fragmenty układanki zaczęły się łączyć i Fidele powoli uzmysławiała sobie prawdę.

Przypomniała sobie, jak Calidus spotkał się z Nathairem kilka lat temu. Jak przedstawił go Lykosowi, doradził wyjazd z Tenebralu, namówił do poszukiwań kotła. Jak szeptał mu do ucha, tak jak robił to teraz. Zerknęła na Ektora, który marszczył brwi, patrząc to na Calidusa, to na Nathaira, i pomyślała o zwojach olbrzymów, wedle których doradcą Najwyższego Króla miał zostać Kadoshim, demon Asrotha. Wówczas sądzili, że mowa była o Meicalu, doradcy Aquilusa, ale przecież teraz tytuł Najwyższego Króla nosił Nathair, a radą służył mu Calidus...

– Coś ty zrobił z moim synem? – Fidele usłyszała swój własny głos, mocny

i wyraźny. Stała i celowała palcem w Calidusa.

Jej nagłe słowa wywołały przejmującą ciszę.

– Co to ma oznaczać? – spytał Veradis, patrząc to na nią, to na Calidusa.

– Ja jedynie służyłem królowi dobrą radą, moja pani – odezwał się starzec spokojnym, pokrzepiającym głosem, a Fidele nie miała już najmniejszych wątpliwości. Każda myśl w jej głowie wrzeszczała to samo.

– Jesteś Kadoshim – powiedziała cicho, ale jej słowa dotarły do wszystkich obecnych i pogłębiły wstrząs.

Na twarzy Calidusa zarysowało się zarówno zaskoczenie, jak i drwina.

– Mylisz się, moja pani – oznajmił.

– Gdyby ktoś potrzebował jeszcze jakichś dowodów na to, że tej kobiecie odbiło do szczytu, proszę bardzo! – zawołał ze śmiechem Lykos.

– Jesteś Kadoshim – powtórzyła Fidele głośniej.

– O czym ty mówisz, moja pani?! – zawołał Peritus.

– Nathairze, powiedz, że to nieprawda! – Fidele zwróciła się do syna błagalnym tonem.

Ten wpatrywał się w nią i mrugał, niemalże wystraszony.

– Milcz, matko – wymamrotał.

Fidele rozejrzała się. Calidus wpatrywał się w nią, jakby była owadem do rozgniecenia pod obcasem, zaskoczony Veradis zerkał to na nią, to na króla, ogromny Alcyon ani drgnął, pogrążony w przygnębieniu, Jehar wpatrywali się w nią martwymi oczyma. Jej nadgarstka dotknął Ektor.

– Nie teraz! Nie tu! – syknął, kręcąc głową, ale odepchnęła jego rękę i spojrzała na Nathaira, wciąż wpatzonego w nią.

– Coś ty zrobił? – szepnęła.

– Zabierzcie ją stąd! – oznajmił Nathair i odwrócił głowę, jakby został spoliczkowany. – Jej szaleństwo jest o wiele poważniejsze, niż sądziłem. Trzeba ją chronić przed nią samą.

Orli gwardziści ruszyli naprzód. Krelis i Peritus zasłonili Fidele. Błysnęły miecze.

– Nie! – warknęła kobieta z wściekłością do Peritusa i Krelisa. – Zginiecie tu na marne!

– Ośmielacie się dobyć broni w mojej przytomności? – Nathair, który przed chwilą syczał z oburzeniem, krzyczał teraz zdławionym głosem. – Okazałem wam litość i życzliwość, ale nimi wzgardziliście! Dobyliście przede mną broni! Dość więc tego!



Zerwał się i zacisnął pięści.

– Moje słowo jest prawem i będziecie go przestrzegać, choćbyście byli moimi najstarszymi przyjaciółmi i najbliższymi krewnymi! W przeciwnym razie potoczą się głowy!

Z jego ust pryskała ślina.

– Zabrać ich stąd! – rozkazał Calidus.

– Tak, dokładnie! – wrzeszczał Nathair głosem rwącym się od emocji. – Zabrać ich stąd! Wszystkich! Wtrącić ich do lochu! Pod klucz!

Orli gwardziści wysforowali naprzód. Mocne dłonie stanowczo pchnęły Fidele ku wyjściu, a Krelisa, Peritusa i Ektora pognano za nią. Gdy znalazła się w drzwiach, spojrzała raz jeszcze za siebie i ujrzała Calidusa wpatrującego się w nią pustymi, martwymi oczyma, podobnie jak rekiny w zatoce Ripy.

## Rozdział siedemdziesiąty trzeci

# VERADIS

Veradis wpatrywał się w drzwi, za którymi zniknęli Fidele, Peritus i jego bracia.

Co to było? Co ja właśnie widziałem?, rozmyślał.

W komnacie zapadła cisza. Nathair opadł na swoje krzesło i z jakiegoś powodu wbił wzrok w dłoń.

Patrzy na bliźnię, upamiętniającą przysięgę, którą sobie złożyliśmy, uświadomił sobie Veradis.

– Cóż, mogło pójść lepiej – skwitował Lykos.

– Zamknij się – burknął Calidus niemalże nieobecny głosem, wciąż wpatrzony w drzwi. – Twoja matka... – zwrócił się naraz do Nathaira.

– Co z nią?

– To niezwykła kobieta.

– Prawda – zgodził się Nathair.

– Co tu się dzieje? – spytał Veradis.

Nikt mu nie odpowiedział. Nathair nadal wpatrywał się w swą dłoń.

– Nathairze? Alcyonie?

Olbrzym spojrzał na niego smutnymi oczami.

– Nie mogę ci powiedzieć.

– A ty, Nathairze? – W głosie Veradisa pojawił się gniew.

Calidus przeniósł wzrok z drzwi na młodzieńca.

– Oszołomienie – rzekł. – Fidele jest oszołomiona. Pomieszało się jej w głowie, a rozpacz...

– Ja odniosłem wrażenie, że ona wie, co mówi.

– Ona...

– Dość – odezwał się Nathair, który wreszcie oderwał wzrok od swej dłoni.

– Calidusie, Alcyonie, wyjdźcie stąd. Reszta też.

– Czy to mądre? – mruknął Calidus.

– Tak. Bo ja tak powiedziałem – rzekł Nathair. – Sporo przede mną zataiłeś. Lykos i moja matka...

Przez jego twarz przeszedł grymas bólu. Zacisnął powieki.

– To dla wyższego celu – powiedział cicho Calidus.

Nathair otworzył oczy.

– Teraz chcę porozmawiać z Veradisem. Nadszedł czas.

Mierzyli się z Calidusem spojrzeniami przez dłuższą chwilę.

– Muszę mu o wszystkim powiedzieć – dodał król niemalże błagalnie. Dotknął dłonią skroni. – Muszę mu wyznać prawdę albo oszaleję.

Calidus nadal nic nie mówił, aż w końcu skinął głową.

– Jak sobie życzysz – powiedział i wyprowadził wszystkich z komnaty, w tej liczbie również orlą straż oraz Jehar. Veradis pozostał sam na sam z Nathairem.

– Co tu się wyprawia? – spytał wojownik.

Nathair wstał i podszedł do okna.

– Wyglądają stąd jak mrówki – powiedział ze znużeniem. – Wszyscy ci ludzie pracujący nad budową drogi do Drassil nie są wcale więksi od mrówek. Pamiętasz te, które spotkaliśmy w lesie podczas wielkiej rady u mego ojca?

Veradis pamiętał. Natknęli się wówczas na strumień milionów mrówek, z których każda była wielkości kciuka. Ich widok podsunął Nathairowi pomysł stworzenia muru tarcz.

– Tak – rzekł i podszedł do stojącego przy oknie młodego króla.

– Na wszystkich bogów, mam wrażenie, że miało to miejsce w innym życiu.

– Też mi się tak wydaje – zgodził się Veradis i zastanowił się. – To było prawie cztery lata temu.

Król Tenebralu milczał.

– Posłuchaj, Nathairze, to, co powiedziała twoja matka... Wiesz, o Calidusie...

– Wiem.

– Dlaczego to powiedziała?

– Być może dlatego, że żałoba doprowadziła ją do obłądzenia.

– Nie sądzę.

Nathair nabrał tchu.

– Historia to osobliwa rzecz, nieprawdaż? Weźmy na przykład olbrzymy. Wedle naszych opowieści zawsze były dla nas wrogami. Opowiadamy sobie, że

zawsze były podstępne, nienawistne, nawet przesiąknięte złem, a nasi przodkowie, wydając im wojnę, postąpili słusznie. Że słuszność była po naszej stronie. Dobrze mówię? Czyż nie tego się dowiadujemy z opowieści?

– Tak – odparł Veradis, zastanawiając się, do czego zmierza Nathair. – Dokładnie tego.

– A gdyby to wszystko okazało się kłamstwem?

– Ale tak nie jest – rzekł Veradis bez namysłu.

– Skąd to wiesz? – spytał król. – Nie było nas wtedy na świecie. Nie było na świecie nikogo, czyje słowa byśmy dziś cenili. Pozostały nam jedynie zapiski sporządzone przez naszych przodków, zwycięzców, ludzi, którzy walczyli z klanami olbrzymów i odebrali im ziemie.

– I co z tego? – powiedział Veradis. W jego brzuchu pojawiło się nieprzyjemne uczucie, połączenie mdłości z lękiem.

– Nie sądzę, by wszystkie olbrzymy były złe. Weźmy na przykład Alcyona. Rzekłbym nawet, że uważam go za przyjaciela.

– Ja też – rzucił Veradis.

– A więc być może ci, którzy spisywali historię, byli uprzedzeni. Nie zachowali obiektywizmu. Przekreślali prawdę, by ta służyła ich potrzebom.

Jestem pewien, że Ektor przedstawiłby wiarygodną opinię, ale mnie i Krelisowi miecz zawsze leżał w dłoni wygodniej od książki, pomyślał Veradis.

– Dlaczego o tym rozmawiamy? – zapytał.

– A co jeśli ludzie, którzy pisali o Pladze, Elyonie i Asrocie, również byli uprzedzeni? – Nathair spoglądał teraz na Veradisa, a w jego oczach płonął żar. – Co jeśli Ben-Elim wcale nie służyli dobru, a Kadoshim nie byli źli? Co jeśli tak naprawdę przypominali nas i olbrzymy, dwa ludy toczące walkę z własnych powodów i dla własnych celów? Co jeśli pokonani po prostu zostali przedstawieni jako horda zła?

– Nie – rzekł Veradis.

– Co jeśli Kadoshim i Ben-Elim to tylko nazwy?

Veradis miał mętlik w głowie. Chciał, by Nathair natychmiast przestał mówić, bo jego słowa przeistoczyły się w gwałtowną powódź, w rzekę występującą z brzegów, w burzę, która zmieniała znany mu świat.

Lub taki, który chcę znać, pomyślał. Może to właśnie Nathair ma rację? Może to, co wiemy o przeszłości, to jedynie mieszanina prawdy i kłamstw?

Myśl ta zdominowała jego umysł. Natychmiast zaczął podawać

w wątpliwość kolejne prawdy.

– Zaczekaj – rzekł głośno i potrząsnął głową, by móc się lepiej skupić. – Co ty opowiadasz, Nathairze? Chcesz mi powiedzieć, że Calidus naprawdę jest Kadoshim, a nie Ben-Elim?

Nathair odwrócił się od okna i spojrzał na niego, a potem skinął głową.

– Tak – rzekł.

– A więc wszystko, czego dokonaliśmy... Wszystko, w co wierzyliśmy, o co walczyliśmy... – Veradis wpatrywał się królowi w oczy. – Wszystko to jest kłamstwem?

Nagle zakręciło mu się w głowie i ugięły się pod nim kolana.

– Nie! – syknął Nathair. – Myślże, człowieku. Nic się nie zmieniło. Racja i jej brak to tylko idee, znaczenie, jakie nadajemy naszym czynom. Nasza przyjaźń wciąż jest tym, czym była, a przysięgi, które sobie złożyliśmy, nadal obowiązują. Tego musimy się trzymać. Musimy pamiętać, że nasze cele i wizje nadal są tym, czym były kiedyś. Nic ważnego nie uległo zmianie.

– Nic ważnego nie uległo zmianie – powtórzył Veradis.

– Nie licząc nazw. – Nathair wzruszył ramionami. – Ben-Elim, Kadoshim, Elyon, Asroth.

– Jasna Gwiazda i Czarne Słońce – rzekł Veradis.

Nathair zamarł i skrzywił się z goryczą.

– Cóż, to też – przyznał. – Musimy się pogodzić z każdą prawdą, nawet jeśli z początku boli.

– Ale co z Calidusem? Przecież widzieliśmy jego skrzydła. To Ben-Elim.

– Tak, on ma skrzydła, ale nie białopióre – parsknął Nathair. – W Telassar daliśmy się omamić iluzji.

To niemożliwe! Veradis potarł dłonią czoło. Poświęciliśmy tej sprawie całe życie, a okazuje się, że to było kłamstwo.

Spojrzał na Nathaira i ujrzał na jego twarzy mozaikę walczących ze sobą uczuć. Dostrzegł wśród nich pogardę, wstyd i nadzieję.

– Jesteś Czarnym Słońcem – oznajmił.

– Bez względu na to, jak mnie nazywają, zasiądę na tronie i będę sprawiedliwie władał. Przecież sam o tym wiesz. Jestem nadal tym samym człowiekiem, nadal twoim przyjacielem i królem. Zmieniły się tylko nazwy!

Czyżby?, pomyślał Veradis.

– Pokaż mi swą dłoń – poprosił.

– Co takiego?

– Dłoń. – Veradis uniósł własną i pokazał mu bliznę.

Nathair powoli rozchylił palce.

– Widzę, że masz już dwie blizny – zauważył wojownik. Zwątpienie i gniew w jego sercu potężniały.

– Tak. Wszak wolno składać więcej obietnic niż tylko jedną.

– Komu ją złożyłeś?

Nathair nie odpowiedział. Zamiast tego chciał cofnąć ramię, ale Veradis złapał go za nadgarstek i przytrzymał jego otwartą dłoń.

– Komu przysięgałeś wierność?

– Asrothowi – szepnął Nathair.

Veradis odrzucił rękę króla, jakby nagle przeistoczyła się w zmiję.

Zdrada, wszystko to zdrada, a wszędzie mnożą się kłamstwa, pomyślał. Czy on tego nie widzi? Co jeszcze zataił?

– A ty mówisz, że nic się nie zmieniło! – Cofnął się. – Wszystko uległo zmianie!

– Pomyśl o tym, co ci powiedziałem – błagał go Nathair. – O tym, co jest prawdą, a co fałszem. O naszej przyjaźni!

– Muszę stąd wyjść! Muszę zaczerpnąć tchu – wymamrotał Veradis.

Wściekłość nie pozwoliła mu nawet spojrzeć na Nathaira, gdy runął ku drzwiom, otworzył je szeroko i ujrzał kroczącego ku niemu Calidusa. Za nim szła wysoka dziewczyna o jasnych włosach i długich ramionach. Coś w jej postawie przywodziło na myśl młodego Taina, choć dziewczyna wydawała się wyczerpana podróżą. Wychudzona do granic, chwiała się na nogach i dygotała z zimna. Przeszli obok siebie, choć Calidus nie omieszkał omieść Veradisa czujnym spojrzeniem.

To Kadoshim, pomyślał wojownik. Przeszyły go dreszcze.

Calidus wprowadził dziewczynę do komnaty Nathaira, a Veradis przeszedł jeszcze kilka kroków, zachwiał się i oparł dłonią o ścianę. Potem usłyszał głos Calidusa.

– A więc mu powiedziałaś.

– Tak. Nadszedł czas.

– Z tego, co widziałem, nie przyjął tego dobrze.

– A czego się spodziewałeś?

– Może powinienem go tu ściągnąć raz jeszcze? – spytał Calidus.

– Nie, daj mu spokój. Dokąd niby miałby się udać? Jesteśmy w samym sercu Fornu. Wszystko będzie dobrze, trzeba mu tylko dać trochę czasu, by

sobie to poukładał w głowie. Sam wróci.

– Zobaczymy.

– Musi wrócić. Nasza przyjaźń jest zbyt silna. Poza tym ja go potrzebuję...  
Ostatnie słowa były już tylko szeptem.

– A to kto? – odezwał się Nathair mocniejszym już głosem.

– Odpowiedz Najwyższemu Królowi, dziecko – rzekł Calidus.

– Mam na imię Trigg, panie – rozległ się drżący głosik w odpowiedzi.

– A teraz powiedz swemu królowi, co mi powiedziałaś, Trigg – rozkazał Calidus. W jego głosie pojawiło się podniecenie, którego Veradis dotąd jeszcze nie słyszał.

– Mogę was zaprowadzić do Drassil – powiedziała dziewczyna. – Znam tajne wejście.

– A czemu niby mamy ci zaufać? – spytał Nathair.

Nastąpiła cisza, przerywana po chwili przez dziewczynę.

– Przez całe życie uważałam ich za moje plemię. Za moją rodzinę – wymamrotała. – Ale zdradzili mnie. Wygnali!

– O czym ty mówisz, dziecko? – warknął Nathair. – Wyrażaj się sensownie. Dlaczego mam ci zaufać?

– Bo chcę, by ci w Drassil zginęli! – parsknęła Trigg.

Veradis odepchnął się od ściany i odszedł.

Zdrajcy. Ten świat jest pełen zdrajców, pomyślał.

## Rozdział siedemdziesiąty czwarty

# MAQUIN

Maquin siedział w zimnej celi z żelaznymi kratami, znajdującej się w odległym korytarzu w podziemiach Brikan.

Dziwne to życie, myślał. I okrutne. Nie tak dawno sam siedziałem w salach na górze, jadłem, śmiałem się i śpiewałem z Kastellem, Orgullem, Tahirem i innymi braćmi Gadrai. Oszalał ten świat do cna.

Nie był sam w podziemiach. Niedawno sprowadzono tu olbrzymkę Rainę i jej dziecko, które zamknięto na końcu korytarza. Maquin słyszał, jak rozmawiają w rodzinnej mowie. Ich głosy przypominały dwie lawiny, które zjeżdżały w dół zbocza i wracały pod górę, po czym rozległo się siąkanie nosem, przypuszczalnie będące szlochem. Wszelkie odgłosy szybko jednak ucichły, a później ciszę podziemi zakłócało już tylko rytmiczne kapanie wody.

W jakimś zamku zazgrzytał klucz. Drzwi na drugim końcu korytarza zostały otwarte i Maquin usłyszał tupot wielu stóp na kamiennej podłodze. Pluskały rozdeptywane kałuże, rozlegały się protesty. Jeden z głosów sprawił, że wojownik poderwał się i przypadł do krat.

Fidele!

Prowadzono ją pod eskortą orlej gwardii wraz z Krelisem, Ektorem i Peritusem. Nie było wątpliwości, że są więźniami, gdyż w pochwach nie mieli mieczy.

Orla gwardia prowadziła ich ku celi Maquina. Jeden z żołnierzy wymamrotał coś i zaczął przebierać w pęku kluczy, aż zatrzymał się i otworzył celę niedaleko tej, w której osadzono Starego Wilka. Wrzucono tam Ektora, pieklącego się na doznaną zniewagę, do kolejnej zapędzono Peritusa, w celi naprzeciwko Maquina uwięziono Fidele, a w następnej znalazł się Krelis.

Orli gwardziści wyszli bez słowa. Na ich twarzach znać było wstyd



i zmieszanie. Wszak właśnie zamknęli w areszcie własną królową.

– Nie sądziłem, że zobaczymy się tu na dole – szepnął Maquin, zbliżając się do celi Fidele, najbardziej jak się dało.

– Tam na górze rozegrał się istny koszmar, ale mimo to serce mi bije żywiej na twój widok. – Usłyszał jej głos.

Wyciągnął rękę i poczuł, jak ich dłonie się splatają.

– Co się stało? – spytał.

– Chcesz wiedzieć, co się stało?! – ryknął Krelis i rąbnął w kraty, aż na korytarz buchnęła chmara kurzu. – Nathair oszalał!

– Byliśmy świadkami czegoś strasznego – rzekła Fidele i opowiedziała Maquinowi o spotkaniu z Nathairem.

– To nie był żaden proces! – warknął Krelis. – Skazał nas i tyle. Powinniśmy nadal walczyć w Tenebralu! Trzeba było zabić Lykosa, póki mieliśmy taką możliwość!

To samo mówiłem, przeszło Maquinowi przez głowę.

Ektor powiedział mu wówczas, że zaślepia go żądza zemsty, przez co nie potrafi już logicznie rozumować.

Nic mnie nie zaślepia, pomyślał. Żądza zemsty motywuje mnie do działania, choć po tym, co się wydarzyło w namiocie, można by uznać, że Ektor miał trochę racji.

– Żałuję, że w ogóle weszliśmy do tego namiotu! – mruzczał wściekle Krelis. – Ojciec nadal by żył...

– Takie rozważania w niczym nam nie pomogą – odezwał się Ektor ze swojej celi. – Musimy wymyślić, jak się stąd wydostać. W przeciwnym razie czeka nas piękna egzekucja, zaraz po Maquinie.

Aleś mnie pocieszył, pomyślał wojownik.

– Ty zaś, Fidele, raczej nie powinnaś oskarżać Calidusa o to, że jest Kadoshim – rzekł Ektor.

– Ale to prawda.

– Masz rację, ja zresztą też to podejrzewałem. Ale żeby poderwać się i wycelować w niego palec, gdy jesteś otoczona przez kilkutysięczną armię, lojalną wobec niego i Nathaira?

– Cóż – mruknęła Fidele. – W istocie mogłam wybrać lepszy moment, muszę przyznać.

Kadoshim? Chodzi o ową Wojnę Bogów, o której mówił Orgull?, zastanawiał się Maquin. Czy nie da się tego jakoś uniknąć? Czy wciągnie nas

wszystkich prosto w swą paszczę?

– No to co robimy? – odezwał się Krelis. – Jak się stąd wydostać?

– Trzeba czekać – rzekł Peritus. – Grać na zwłokę i mieć nadzieję, że pojawi się jakaś sposobność. Wówczas ją wykorzystamy.

O ile się pojawi, przeszło Maquinowi przez głowę.

Promienie światła, wpadające przez kratę wysoko na suficie, przesuwają się po ścianach, aż w końcu rozrzedziły się i znikły w mroku, a oni długo rozmawiali. Ektor opowiadał im o zwojach olbrzymów i rozmaitych wzmiankach na temat Wojny Bogów, Kadoshim i Ben-Elim, a także o prorocत्वach dotyczących baśniowego Drassil i Siedmiu Skarbów.

– Drassil – powiedziała Fidele. – To dlatego tu przybyli. Dlatego ścinają drzewa i budują drogę przez las. Szukają tej fortecy.

Maquin usłyszał coś, co przypominało głucho stęknienie. Potem zazgrzytał klucz w zamku, rozległy się kroki i w korytarzu pojawił się Alben. Trzymał w jednej ręce pęk kluczy, a pod pachą miał sporą kolekcję mieczy.

– Znalazłem je w wartowni – oznajmił. – I uznałem, że może się przydadzą. Zewsząd dobiegły dziękczynne pomruki.

– Nie ma chwili do stracenia – dodał Alben i zaczął dopasowywać klucze do zamka celi Peritusa. Pierwszy nie pasował, drugi również nie, ale gdy wsunął trzeci, drzwi otworzyły się z cichym szcęknięciem. Starzejący się wojewoda wyszedł z celi i wsunął miecz do pochwy.

– Czemu to robisz? – zapytał Ektor. – Jeśli przyznamy się do winy i przeprosimy Najwyższego Króla, ten najpewniej nam wybaczy. Teraz stajemy się uciekinierami. Przestępcami!

– Skoro tak, to czemu na dziedzińcu wznoszą szubienice?

Na słowa Albena zapadła cisza pełna oszołomienia.

– To niemożliwe – wyszeptał Ektor.

– Jeśli chcesz, to zostań tu, by się przekonać na własnej skórze – rzekł Alben – ale radzę ci uciekać z nami. – Rozległo się kolejne szcęknięcie i drzwi do celi Ektora stanęły otworem. – Nie wiem, co zrobiliście, by aż tak bardzo wypaść z jego łask – ciągnął uzdrowiciel, podchodząc do celi Maquina – ale bez wątpienia coś się święci. – Zaczął dopasowywać klucze. – Jest środek nocy, a armia szykuje się do wymarszu. Hufiec Nathaira już zaczyna marsz przez rzekę.

– Powiedziałam Calidusowi, że jest Kadoshim – rzekła Fidele.

Maquin spodziewał się, że Alben zareaguje zaskoczeniem, ale mężczyzna

zamarł jedynie z kluczem w zamku i spojrzał na nią.

– Naprawdę? – spytał.

– Tak, Albenie, ale proszę cię, nim powiesz mi, że jestem szalona, posłuchaj...

– Wierzę ci – przerwał jej uzdrowiciel.

– Co? Jak to? – wyjąkała Fidele.

– Łączy mnie przyjaźń z Meicałem – rzekł mężczyzna. – I czekam na ten dzień od wielu lat. Strony się uformowały, a linia podziału została nakreślona. Nadszedł czas do działania.

Nagle rozległ się łoskot, gdy Peritus zwałił się na ziemię. Alben zawirował i ostrze, które miało rąbnąć go w głowę, wbiło się między ramię i klatkę piersiową. Buchnęła krew i uzdrowiciel również się osunął. Ektor zaś wyszarpnął miecz i stanął nad Albenem, zbryzgany krwią i zdyszany.

– Co ty wyprawiasz?! – wrzasnęła Fidele.

Maquin przyskoczył, wysunął rękę, złapał Ektora za nadgarstek i przyciągnął go do krat. Twarz Ektora uderzyła z chrzęstem o żelazne pręty. Krew trysnęła mu z nosa, a miecz z brzękiem padł na ziemię. Maquin wsunął między kraty drugą rękę, by zacisnąć dłonie na szyi mężczyzny, ale temu panika dodała sił i zdołał się wyrwać. Zatoczył się, krztusząc i próbując złapać oddech.

Alben sięgnął po miecz, ale Ektor kopnął go i podniósł oręż, mierząc w pierś uzdrowiciela, który zaczął się odczołgiwać od napastnika. Krwawił jednak obficie i widać było, że lada moment straci przytomność.

– Nie martw się, Albenie, nie zabiję cię na razie. Wydaje mi się, że Calidus będzie bardzo zainteresowany odbyciem z tobą dłuższej rozmowy – rzekł Ektor i spojrzał na pozostałych więźniów. Na jego twarzy pojawił się uśmiezek satysfakcji. – Wiedziałem, że Meical skontaktował się z jednym z was – wyszeptał i starł krew ze skaleczenia nad okiem. – Całe lata cierpliwie czekałem na chwilę, kiedy poznam jego imię. Calidus sownie mnie wynagrodzi.

Odsunął się od Albena i od niechcienia wbił miecz w ciało Peritusa.

– Ektorze, ty wynędzniały, blady gnojku! – wrzasnął Krelis i przypadł do krat, zalany łzami. – Kiedy się stąd wyrwę...

Złapał za pręty i naparł na nie z furją, aż mu żyły nabrzmiały na szyi. Kraty zatrzeszczały i zaczęły się wyginać. Ektor ciął mieczem po dłoniach brata. Ten cofnął je w ostatniej chwili.

– Zamknij się, ty głupi wole! – warknął Ektor.  
– Ektorze, coś ty zrobił... – szepnęła Fidele.  
– Dokonałem słusznego wyboru! – parsknął najmłodszy z synów Lamara i skrzywił się. – Mogłaś do mnie dołączyć. Ba, nadal możesz.

Fidele splunęła na niego przez kraty.

– Sprzedałeś swą duszę diabłu – wykrztusił leżący na ziemi Alben.

– Być może. – Ektor wzruszył ramionami. – Nauczę się z tym żyć, tym bardziej że chyba opowiedziałem się po zwycięskiej stronie.

– Dlaczego? – spytał Krelis, już spokojniejszy. W jego głosie pobrzmiwała udręka.

– Nie zrozumiesz tego – rzekł Ektor. – Wszak ty akurat masz wszystko.

– Ty też – warknął Krelis. – Przecież niczego ci nie brakowało!

– Ja niczego nie miałem! – wysyczał gorzko Ektor. – Nikt mnie nie szanował. Nikt nie okazywał mi lojalności. Nie miałem żadnej przyszłości. Pozostawały mi tylko zwoje. Śmiano się ze mnie, przedrzeźniano, gdy przechodziłem. Ojciec również cenił wyżej brawurę od intelektu, to mu pokazałem.

– Co?

– A jak niby wylądował na mieczu Veradisa, ty idioto? – Ektor się uśmiechnął. – Ktoś go popchnął. Nie była to zresztą jedyna przysługa, którą wyświadczyłem Calidusowi. Jak, twoim zdaniem, Vin Thalun wspięli się na klify Ripy?

– Zapłacisz za to życiem – oznajmił Krelis. Lód w jego głosie był o wiele bardziej przerażający od wściekłości. – Przysięgam.

– Nie sądzę. – Ektor wzruszył ramionami i podniósł pęk kluczy z podłogi. – Myślę, że czas wezwać straż.

Za sobą usłyszał echo czyichś kroków i zgrzyt podkutych butów na kamieniu.

– O wilku mowa. – Ektor się uśmiechnął.

Maquin spojrzał w głąb korytarza i dostrzegł samotnego wojownika w czarnym napierśniku orlej gwardii, kroczącego w ich kierunku. Gdy znalazł się w blasku pochodni, Maquin rozpoznał jego twarz. Był to Veradis.

Pierwszy miecz Nathaira, pomyślał Stary Wilk i pochylił głowę. Poczuł, jak opuszczają go resztki nadziei.

– Idealne wycucie czasu, bracie! – zawołał Ektor. – Choć jeśli mam być szczery, twoja pomoc przydałaby mi się nieco wcześniej.

Veradis zatrzymał się na widok ciała Peritusa. Przeniósł wzrok na broń w ręku Ektora, po czym przestąpił nad ciałem poległego wojewody i rąbnął Ektora pięścią w twarz.

Ten zatoczył się, wypuszczając miecz i klucze. Veradis przypadł do niego i uderzył ponownie prosto w podbródek. Ektor wywrócił oczami i nieprzytomny padł na ziemię. Wówczas Veradis przyklęknął przy Peritusie i przez chwilę szukał pulsu, aż wstał i pokręcił głową.

– Co tu się stało? – spytał zmienionym głosem. Rozpacz i smutek, które Maquin słyszał w nim ostatnim razem, wydawały się tysiącokrotnie potężniejsze.

Co jemu się stało?, pomyślał.

– Ektor pracuje dla Calidusa – powiedziała Fidele. – Próbował zatrzymać Albena, który chciał nas ocalić.

Veradis spojrział na nich wszystkich. Jego oczy były zaczerwienione, a twarz blada jak ściana.

– Veradisie, co ci się stało? – spytał go Maquin.

– Fidele, powiedziałaś prawdę. Calidus rzeczywiście jest Kadoshim – rzekł Veradis i zwiesił głowę. Jego głos ociekał rozpaczą i wstydem. – A Nathair to... – Urwał.

– Czarne Słońce – wyszeptał Alben z ziemi.

Veradis wciągnął powietrze do płuc, spojrział na uzdrowiciela, a potem na klucze leżące na ziemi. Nachylił się, podniósł je, a potem wsunął rękę pod ramię Albena i pomógł mu wstać.

– Okazałem się głupcem, ale dość już tego. Musicie uciekać, i to teraz, dopóki jest ciemno – powiedział i oderwał kawałek materiału od koszuli Ektora, by obwiązać ranę uzdrowiciela najlepiej jak umiał. Potem przystąpił do otwierania cel.

Maquin otoczył Fidele ramieniem i przygarnął ją do siebie, a ona wtuliła się w niego mocno. Krelis przepchnął się obok i podniósł swój miecz, po czym bez ostrzeżenia wznosił go wysoko i jednym ciosem odrąbał Ektorowi głowę.

– Nie! – krzyknął Veradis. – Mimo wszystko to był nasz brat!

– Zabił naszego ojca! – Krelis rozchylił nozdrza. – Pchnął go na twój miecz. Sam to przyznał.

Veradis wpatrywał się w starszego brata, aż sens jego słów wreszcie do niego dotarł. Wtedy skinął głową.

– Dobrze więc – mruknął.

– I co teraz? – spytała Fidele.

– Armia szykuje się do wymarszu – rzekł Veradis. – Orla gwardia, Jehar, Vin Thalun. Wiele tysięcy. Do świtu pozostało jeszcze sporo czasu i na dziedzińcu panuje chaos. Lepszej okazji, by uciec, już nie będzie.

– A moi ludzie? – odezwał się Krelis. – Mam tu osiem setek wojowników z Ripy. Przecież ich nie porzucę!

– Są gotowi i czekają na nas – powiedział Alben. Był wciąż blady, ale opatrunek Veradisa zatrzymał upływ krwi i wyglądało na to, że odzyskał trochę sił.

– Usiedzisz w siodle? – spytał go Veradis.

– Pewnie. Usiedzę, choćby miał mnie szlag trafić!

– Ale dokąd mamy jechać? – spytała Fidele.

– Musimy się dostać do Drassil – odparł Alben, jakby było to proste zadanie. – Tam właśnie przebywa Meical. Tam czeka Jasna Gwiazda.

– Będziecie musieli się ścigać z Nathairem i Calidusem – rzekł Veradis.

– Skoro tak, to trudno – odpowiedział Alben.

– Niezły plan. – Maquin wzruszył ramionami. – Najpierw jednak będziemy musieli wydostać się z tej wieży. Mieszkałem tu kiedyś i znam okoliczne ścieżki. Mogę nas stąd wyprowadzić, ale sądzę, że powinniśmy dołączyć do wyruszających oddziałów i uciec w chwili, gdy będziemy już daleko od wieży.

– Spojrzał na nich z wielką powagą. – Zgadzaście się?

– Tak – odpowiedzieli pozostali.

Poczynili ostatnie przygotowania. Maquin podniósł miecz Peritusa, a potem odpiął jego pas z pochwą.

– Trzymasz w ręku oręż dobrego człowieka – rzekł Krelis.

– Zabiję nim wielu spośród jego wrogów.

Krelis uśmiechnął się do niego ponuro, złowrogo.

– Niech ta świadomość przeprowadzi go przez most mieczy.

Mieli już opuścić lochy, gdy Maquin się zatrzymał.

– Zaraz, przecież tu są jeszcze inni więźniowie – powiedział, spoglądając w głąb korytarza.

– Kto? – spytał Veradis.

– Olbrzymka i jej dziecko.

Veradis zmarszczył brwi.

– Calidus rozkazał, by ich zamknięto, a to wystarczy, by chcieć ich uwolnić. Dacie radę ich ukryć? Zabrać ze sobą?

– Ukryć? – parsknął Krelis. – Nie najłatwiejsze zadanie.

– Możemy spróbować. – Alben uśmiechnął się.

Veradis ruszył na koniec korytarza i otworzył celę. Oba olbrzymy wyszły niepewnie na wolność.

– Raino, Tainie – odezwała się Fidele. – Popadliśmy w niełaskę i próbujemy stąd uciec, ryzykując przy tym życiem, ale jeśli chcecie, możecie się do nas przyłączyć.

Raina omiotła Fidele spojrzeniem. Wciąż stała na końcu korytarza. Pochodnie migotały kuszaco.

Boi się, pomyślał Maquin. Przebywa w niewoli od tak dawna, że wolność ją przeraża.

– Macie szansę odzyskać wolność – rzekł Alben. – I powinniście z niej skorzystać.

– Lepiej umrzeć wolnym, niż żyć w kajdanach – dodał Maquin.

– Doprawdy? – spytała Raina, patrząc to na niego, to na swego syna.

– Tak – rzekł Maquin z przekonaniem. – I nikt nie poznał tej prawdy lepiej ode mnie.

Poczuł, jak Fidele musnęła dłonią jego plecy.

– Posmakujemy więc wolności – rzekła Raina. – Choćby przez chwilę.

Wszyscy weszli do kwadratowej komnaty, skąd wychodziły schody. Na podłodze leżało dwóch strażników, na co Alben wzruszył ramionami. Krelis wziął ich płaszcze i przekazał olbrzymom.

– Pewnie nie na wiele się zdadzą – mruknął.

– Ja wyjdę pierwszy – rzekł Veradis. – Skupię na sobie uwagę. Gdy usłyszycie mój głos, ruszajcie szybko w górę, a potem skróćcie w prawo i...

– Znam drogę – przerwał mu Maquin.

– Veradisie! – zawołała Fidele. – A co z tobą? Chyba udasz się z nami?

– Nie – odparł młodzieniec, zerkając na wszystkich.

– Co? – wyjąkał Krelis. – Co ty wygadujesz? Musisz z nami uciec!

– Nie. Muszę się czymś zająć.

Maquin rozpoznał to spojrzenie. Widywał je wielokrotnie, gdy nachylał się nad lustrem wody.

Honor. Lub śmierć. Bywa, że jedno i drugie. Przecież są ze sobą związane, pomyślał.

– Chodź z nami, przyjacielu – rzekł i podszedł do Veradisa, który potrząsnął głową.

– W porządku. – Maquin uścisnął mu ramię. – A więc do zobaczenia.

- Tak. – Veradis pokiwał ponuro głową. – Po tej stronie bądź po tamtej.
  - Co cię tu trzyma?! – zawołał za nim Krelis.
- Młodzieniec przystanął i spojrzał do tyłu.
- Bracie, proszę cię, chodź z nami! – błagał go Krelis.
- Veradis pokręcił głową.
- Nie mogę. Ale spróbuję dołączyć do was później.
  - Dlaczego? Czemu nie chcesz od razu uciec?
  - Bo mam zamiar zabić Calidusa.



## Rozdział siedemdziesiąty piąty

# ULFILAS

Ulfilas ściągnął wodze. Jadący obok niego Dag uczynił to samo. Wojownik wracał na tyły armii Isiltiru, by odnaleźć Jaela, mijając po drodze dwa tysiące ciężko pracujących ludzi, którzy wyrąbywali szlak w głąb lasu Forn. Znów ogarnęła go дума, gdy patrzył na niekończący się wprost trakt. Ciągące się nad nim gałęzie pochylały się, jakby kłaniając się przed królewską procesją.

Niezły wyczyn.

To, co właśnie odkrył Ulfilas – a ściślej mówiąc, dowiedział się od Daga – obudziło w nim kolejny dreszcz podniecenia. Chciał osobiście przekazać wieści królowi Jaelowi.

Na początku było nas prawie trzy tysiące, pomyślał, jadąc przez tłumy.

Całe setki padły ofiarą mrozów i drapieżników z Fornu.

Z których większość chodzi na dwóch nogach i na dwóch nogach uciekła, jestem pewien, dodał Ulfilas w myślach.

Wraz z Dagem byli przekonani, że wielu spośród ich wojowników padło ofiarą wrogich wypadów. Zachowali swe myśli dla siebie, nie chcąc podsycać plotek o Czarnym Słońcu i jego demonach, polujących na nich w nocy. Mimo to strach rozchodził się wśród ludzi Jaela falami, a jedynym, co powstrzymywało ich przed masowymi dezercjami było to, że dezertersów najczęściej znajdowano martwych. Padali ofiarą puszczy.

– O, tam jest – wskazał Dag, a Ulfilas dostrzegł Jaela przyglądającego się służbie stawiającej mu namiot na kolejną noc. Zima powoli ustępowała i chłodne powietrze nie zapierało już tchu, a ziemia pod ich stopami miękła. Na gałęziach nad głowami zieleniły się nowe listki. Dni były dłuższe, dzięki czemu wydłużał się też czas na pracę.

Ulfilas ściągnął wodze i sprowadził konia po nasypie drogi układanej z wielkich pni na kruszącym się bruku starożytnego traktu olbrzymów. Jael

jak zwykle otoczony był przez straż przyboczną – Framą i tuzin innych – a tych szerszym kręgiem otaczała dwudziestka Jehar. Sumur stał tuż przy Jaelu.

Niczym jego cień, pomyślał Ulfilas. Ma przez cały czas przypominać o Nathairze i jego groźbach oraz obietnicach. Nie ma co do tego dwóch zdań.

Jael uniósł wzrok.

– Przynosicie wieści? – zapytał.

– Tak, panie – odparł Ulfilas.

– A więc wejdźcie i opowiedzcie mi o wszystkim przy kielichu wina – rzekł Jael i wszedł do namiotu, gdzie służba zapalała już pochodnie, rozstawiała meble i szykowała jedzenie oraz napitki.

Ulfilas otrzymał puchar z winem zagrzany nad ogniem. Upił łyk, czekając, aż jego władca usadowi się na wyścielonym futrami krześle.

– No i? – spytał Jael, gdy było mu już wygodnie i ujął wysadzany klejnotami kielich.

– Znaleźliśmy Drassil – rzekł Ulfilas.

Jael zamrugał. Minęła chwila, nim słowa wojownika do niego dotarły.

– Jesteś pewien? – wykrztusił.

– Tak – powiedział Dag. – Widziałem miasto na własne oczy.

– Jak wygląda? – spytał Jael i pochylił się ku tropicielowi.

Ulfilas uśmiechnął się, bo sam zadał mężczyźnie to samo pytanie.

– Jest ogromne – rzekł Dag. – Nikt jeszcze czegoś takiego nie widział.

– Daleko stąd? – Jael był jednocześnie przestraszony i podekscytowany.

– Pół dnia drogi – odparł Dag. – Możemy przestać budować, założyć bazę przy końcu drogi i wykorzystać stary trakt, by już jutro dotrzeć na miejsce.

– Stary trakt? A nadaje się do tego?

– Wystarczy. Trzeba będzie iść, a nie jechać, ale położenie nowej drogi w tym miejscu zabierze przynajmniej pięć dni – odparł tropiciel. – Wszystko zależy od tego, jak bardzo chcesz się tam dostać.

– A więc jesteśmy pierwsi? – spytał Jael.

– Och, tak, pod murami nie ma innych hufców.

– A więc będę rządził Carnutanem i Helvethem, a Gundul i Lothar staną się moimi wasalami. – Jael uśmiechnął się złośliwie.

– Myślisz, że tak po prostu się na to zgodzą? – spytał Ulfilas, nie potrafiąc ukryć swych wątpliwości.

– Uważasz, że Nathair nie ma sposobu, by to wymóc? – odparł Jael.

Ulfilas przypomniał sobie krótką walkę, którą Sumur stoczył z Framem. Pomyślał o setce wojowników takich jak on. O tysiącu.

– Cóż, myślę, że chyba jednak ma.

– Mnie też się tak wydaje – odparł Jael. – A więc ruszamy o świcie i uderzamy już jutro!

– A nie lepiej byłoby poczekać? – spytał Ulfilas. – Odnaleźliśmy Drassil, a więc moglibyśmy przeprowadzić zwiad i poczekać na resztę sił.

– Nie – odezwał się niespodziewanie Sumur, który bezszelestnie wszedł do namiotu. – Tam jest Meical i jego marionetka. Chcę posmakować ich mięsa jeszcze przed zachodem słońca.

Trzech mężczyzn patrzyło na niego w milczeniu.

Posmakować ich mięsa!, powtórzył w myślach Ulfilas.

– Nie po to przebiliśmy się przez połowę Fornu, by teraz siedzieć i czekać – rzekł Jael, ze wszystkich sił próbując zignorować Sumura i jego puste oczy. – Tam jest Haelan. Nie dam mu sposobności, by uciekł raz jeszcze. A co z Gundulem i Lotharem? Jeśli zaczekamy, a oni w tym czasie nadciągną z południa i zachodu, zapewne podważą moją wygraną! Nie, chcę ich powitać z murów Drassil! – Uśmiechnął się szeroko. – To dobry dzień, ale jutro będzie jeszcze lepsze. Pora na naradę. Musimy ustalić, w jaki sposób osiągniemy zwycięstwo w nadciągającej bitwie.

## Rozdział siedemdziesiąty szósty

# VERADIS

Veradis stał na spiralnych schodach wieży i patrzył przez okno. Pod sobą miał dziedziniec Brikan, gdzie rozstawiono wielkie żelazne kotły, buchające teraz ogniem i tworzące kręgi migotliwego światła. Patrzył, jak Fidele wraz z Krelisem, Albenem, Maquinem oraz olbrzymami garbiącymi się jak starcy, co musiało wzbudzić wesołość każdego przyglądającego się im człowieka, prześlizgują się przez chaos. Konie tłukły kopytami w ziemię i rżały, ludzie krzyczeli do siebie, niektórzy wskakiwali w siodła, inni maszerowali przez bramę. Zamieszanie pogłębiał ogromny wóz z kotłem w środku szczelnego kręgu ponurych Jehar, zajmujący sporą część podwórka i blokujący ruchy.

Zrobiłem dla nich wszystko, co mogłem, pomyślał. Zadanie, które mnie tu czeka, jest zbyt ważne, bym mógł im towarzyszyć.

Z ulgą dostrzegł, że uciekinierzy zniknęli w zwieńczonej łukiem bramie, za którą, jeśli wierzyć Albenowi, czekali na nich ludzie z Ripy.

Dobrze.

Odwrócił się i ruszył w górę po schodach z zawziętą, ponurą miną i determinacją w sercu. Komnata Calidusa znajdowała się na pierwszym piętrze wieży, a na jej straży stało dwóch Jehar. Nad głową jednego z nich krążyły ospale muchy, co bynajmniej mu nie przeszkadzało. Czarne oczy wojowników uważnie zmierzyły Veradisa, gdy ten zastukał do drzwi i wszedł do środka, nie czekając na zaproszenie.

Calidus pochylał się nad niewielką skrzynką, wyraźnie widoczną w blasku ognia bijącym z kominka w ścianie. Nieświadom obecności Veradisa, ze skupieniem układał w skrzynce coś, co przypominało lalkę z niezgrabnie uformowanymi rękami i nogami.

Przed wielkim otwartym oknem, które wychodziło na ciasny zakręt rzeki, stał Alcyon.

Skup się na swoim zadaniu, pomyślał Veradis.

– Ach – rzekł Calidus i z trzaskiem zamknął wieko skrzynki. – Już zaczynałem myśleć, że nas porzuciłeś.

– Ja nie jestem z tych, co uciekają – odparł młodzieniec i zerknął na Alcyona. Olbrzym przyglądał mu się z posępnym mrokiem w oczach.

– Fakt – odparł Calidus. – Ale jesteś mężczyzną o solidnych, niewzruszonych poglądach i przypuszczam, że trudno jest ci się pogodzić z tak gwałtowną rewolucją wokół ciebie. Można by wręcz rzec, że ziemia usunęła ci się spod stóp.

– Musiałem dobrze sobie wszystko przemyśleć.

– Na pewno. – Calidus przyglądał się Veradisowi uważnie z przechyloną lekko głową, niczym jeden z sępów krążących nad polem bitwy.

Młody wojownik, nie mogąc wytrzymać jego spojrzenia, podszedł do stołu i nalał sobie wina.

– Odwiedziłeś najpierw Nathaira? – zapytał Calidus.

– Nie – odparł Veradis. Upił łyk ciemnego, czerwonego wina i zrobił krok w stronę starca.

– Dość niespodziewane zachowanie. – Calidus zmarszczył brwi.

– Mam bowiem kilka pytań – rzekł Veradis i zrobił jeszcze krok. – Do ciebie.

– Z radością odpowiem ci na każde z nich. Jesteś cennym sojusznikiem i ważnym elementem naszej kampanii. Podziwiam twój talent oraz zaangażowanie. Trudno mi sobie wyobrazić, ile jeszcze jesteś w stanie dla nas osiągnąć.

Talent, przemknęło Veradisowi przez myśl. Moim talentem jest mordowanie ludzi. Jestem tępą bronią, miażdżącym taranem. Ilu ludzi już zabiłem dla twoich intryg?

Wstyd i pogarda do samego siebie wzbierała niczym dzika fala, grożąc, iż lada moment pochłonie go i zatopi. Wielkim wysiłkiem woli zdusił emocje.

Ale czy jestem w stanie go zabić?, zastanawiał się. Wszak nie ma broni. To byłoby morderstwo... Choć nie, w tym przypadku jestem gotów zrobić wyjątek. Może Nathair wówczas oprzytomnieje.

Po wyjściu z komnaty króla Veradis odnalazł opuszczone schody. Usiadł na nich i pograżył się we wspomnieniach, chcąc przemyśleć i na powrót przeżyć każdą chwilę od momentu poznania Nathaira. Po kolei analizował pierwsze spotkanie z Calidusem i Alcyonem, kiedy przeskoczył przez ścianę ognia, by

bronić Nathaira, radę u Aquilusa, mrówki, rejs do Tarbeshu, bitwę z olbrzymami i draigami, Telassar i rewelację Calidusa...

A wszystko okazało się kłamstwem, myślał. Jestem skończonym durniem. A o ilu jego sprawkach nie mam nawet pojęcia?

Potem ścigali Mandrosa. Veradis poprowadził swój hufiec w głąb Carnutanu, by dopaść władcę. Pamiętał słowa, które usłyszał od Mandrosa tuż przed tym, jak go zgładził.

„To Nathair zabił waszego króla, a nie ja”.

– Rozumiem, że nie wszystko jest czarne i białe, a podczas wojny trzeba podejmować trudne decyzje. Nie jestem dzieckiem – powiedział i nabrał głębooko tchu. – Ale jedno muszę wiedzieć. – Uniósł głowę i spojrzał Calidusowi w oczy. – Poproszę cię tylko o prawdę. O nic więcej. Czy to Nathair zabił Aquilusa?

– Oczywiście, że tak! – parsknął Calidus. – Nie miał wyboru. Działał dla...

– Większego dobra. – Veradis dokończył za niego, kiwając głową. – Tak jak ja teraz.

Chlusnął winem Calidusowi w twarz i skoczył na niego, wrywając nóż zza pasa. Starzec zatoczył się w stronę ognia huczącego w kominku i zamachał rękami. Veradis usłyszał, jak Alcyon się zrywa, odrzucając w biegu stół, ale olbrzym się spóźnił. Młody wojownik przypadł już bowiem do Kadoshim, przemknął pod jego ramieniem i wbił mu nóż w brzuch aż po rękojeść, obrócił go i wyszarpnął.

Alcyon zacisnął ogromną dłoń na jego barku, ale Veradis zdołał jeszcze kopnąć Calidusa w pierś i posłać go do tyłu. Zataczający się starzec potknął się o skrzynię i runął w ogień. Wrzasnął przeraźliwie, gdy płomienie pochłonięły go z dzikim rykiem. Alcyon odciągnął Veradisa o krok i przekreślił jego bark, zmuszając do ukłęknięcia. Ramię wojownika eksplodowało wściekłym bólem, gdy nieubłagany olbrzym rozrywał mu mięśnie i ścięgna. Niewiele już brakowało, by mu je zwichnął.

– Zrób ze mną, co chcesz – wycharczał Veradis. – Twój pan już nie żyje.

Alcyon spojrzał ponuro na płomienie szalejące w kominku.

Pojawiła się wśród nich postać przypominająca ludzką. Przez chwilę Veradisowi wydawało się, że dostrzega wokół niej coś na kształt ciemnych, utkanych z cienia skrzydeł, po czym niespodziewanie z ognia wyszedł Calidus. Jego płaszcz wciąż płonął, poskręcane, poczerniałe włosy dymiły, a z twarzy odchodziły płatki nadpalonej skóry. Starzec odpiął broszę

przytrzymującą poły płaszcza i zrzucił go na ziemię, po czym przyklepał jakiś płomyk na rękawie. Wydawał się rozdrażniony i niemalże rozbawiony zarazem.

– Jak widzisz, niełatwo jest mnie zabić – odezwał się niższym, bardziej szorstkim głosem.

Veradis wpatrywał się w niego ze skrajnym przerażeniem. Jego wzrok odnalazł nóż, po rękojeść wbity w brzuch. Starzec oplótł go dłońmi pokrytymi bąblami i wyszarpnął z ciała, warknąwszy z bólu niczym ranne zwierzę. Uniósł ostrze między dwoma palcami, skrzywił się i wyrzucił je za siebie.

– Dobra robota – rzekł. – Mało komu udałooby się zmylić moją czujność. I czujność mego strażnika.

Obrzucił mrocznym spojrzeniem Alcyona.

Veradis wpatrywał się w starca, czując, jak przepełnia go bezbrzeżna nienawiść. Nienawidził tego człowieka – tego potwora! – który sprowadził jego przyjaciela na złą drogę i zniszczył mu cały świat.

Calidus odwzajemnił jego spojrzenie i westchnął.

– Widzę, że już się nie dogadamy – oznajmił. – Szkoda. Alcyonie, zabij go.

Veradis popatrzył olbrzymowi w oczy. W duchu pragnął śmierci.

Zasługuję na to, pomyślał. Człowiek mądry cieszy się życiem przez długie lata, a głupiec umiera tysiącem śmierci.

– Przykro mi, Czyste Serce – szepnął Alcyon i powoli wznosił młot.

– Kim była dla ciebie ta olbrzymka i jej synek? – spytał Veradis.

Alcyon zamarł.

– Zabij go – syknął Calidus.

– Co? – zagrzemiał Alcyon.

– Te olbrzymy, które wprowadzono podczas rozprawy. Kim były dla ciebie?

Przez oblicze Alcyona przeszedł grymas. Usta zadrżały, po policzku potoczyła się łza.

– Raina to moja żona. Tain to mój syn.

– Są wolni – szepnął Veradis.

– Kłamiesz! – zadrwił Calidus, choć w jego głosie pojawiło się zwątpienie.

– Uwolniłem ich! – Veradis wpatrywał się Alcyonowi w oczy. – Widziałem, jak przechodzą przez bramę Brikan.

– Alcyonie, zabij go.

Ramię olbrzyma zawisło nad Veradisem. Zadrżało, jakby pochwyciła je niewidzialna siła.

– Nie – szepnął.

– Nie? – Calidus zmarszczył brwi.

Wpatrywali się w siebie intensywnie z Alcyonem, a na ich czołach pojawiły się krople potu. Czas rozciągnął się i Veradis nie miał pojęcia, czy upłynęło dwanaście uderzeń serca czy sto. W końcu Calidus odwrócił się, odrzucił wieko skrzyni przed kominkiem i sięgnął do środka. Veradis ujrzał tam kolejne gliniane figurki i naraz przypomniał sobie opowieści Fidele o zaklęciu, które na nią rzucono.

Wiedziała tylko tyle, że Lykos miał glinianą lalkę z puklem jej włosów w środku. Figurka uległa zniszczeniu podczas walki pirata z Maquinem, a wówczas Fidele została natychmiast uwolniona.

Veradis bez wahania wyciągnął nogę i kopnięciem strącił skrzynkę w ogień. Płomienie otoczyły ją zewsząd, buchnął dym, poniósł się smród palonych włosów.

– Ty głupcze! – warknął Calidus. Jego oblicze wykrzywiła zwierzęca furia, z którą wyszarpnął miecz.

Alcyon zamachnął się i rąbnął młotem w pierś starca, który uderzył plecami w ścianę z taką siłą, że ta popękała w kilku miejscach. Posypały się kamienne okruchy, a Kadoshim osunął się na ziemię. Mimo to wstał i potrząsnął głową.

– Legionie! – ryknął niczym burza, a wtedy drzwi stanęły otworem i do środka wtargnęło dwóch Jehar. Veradis usłyszał bzyczenie much.

Podniósł się, choć nogi pod nim drżały, a wykręcone ramię tętniło bólem. Złapał za miecz, a wtedy ogromna ręka pochwyciła go w talii i poderwała z ziemi. Veradis nagle uświadomił sobie, że trzymający go Alcyon gna w stronę otwartego okna, stawia stopę na parapecie i nie puszczając go, wyskakuje na zewnątrz. Otoczyła ich zimna ciemność. Lecieli, koziółkowali w powietrzu, a wiatr odbierał im dech. Spadali ku czarnym wodom rzeki.



## Rozdział siedemdziesiąty siódmy

# EVNIS

Evnis siedział w wieży na północnym skraju bagien i rozmyślał. Nie było ani śladu Braitha.

Wyjechał jakiś księżyc temu i słuch po nim zaginął.

Mimo to wciąż mu ufał, przynajmniej w kwestii tropienia ludzi.

Nie przejmował się na razie Edaną i jej mizerną garstką buntowników, bo żeby zająć się tym tematem, musiałby się najpierw dowiedzieć, gdzie ich szukać.

Edana to nie problem, pomyślał. Ta dziewczyna musi umrzeć i tyle, podobnie zresztą jak ta rozpuszczona wdowa po Eremonie i jej syn idiota, roszcący sobie pretensje do tronu Domhainu. Rhin nie spodoba się to, że gówniarz nadal chodzi po świecie, a więc jego też trzeba będzie zabić.

Nie, ta kwestia do trudnych nie należała.

Nic trudnego. Trzeba pozabijać wszystkich i tyle, stwierdził w myślach Evnis. Z wyjątkiem...

Z wyjątkiem jego syna.

Co ja zrobię z Vonnem?, zastanawiał się.

Kochał go i co do tego nie było dwóch zdań, a jeśli kiedykolwiek miał wątpliwości, te rozwiały się, kiedy jak ostatni idiota poderwał się na polu pełnym wrogów i wykrzyknął imię chłopaka.

Ludzie zaczęli już o nim gadać. Widział to w ich spojrzeniach. Słyszał szepty za plecami.

Uważają, że jestem słaby, pomyślał. Że miłość do syna może mnie zgubić. Że stanowią niebezpieczeństwo dla wszystkich. Obawiają się, co się stanie, jeśli znów ujawnię naszą pozycję. Muszę udowodnić im, że się mylą. Pokazać im mą siłę. Prawdziwa potęga każdego władcy kryje się w jego reputacji. Nie mogę sobie pozwolić na to, by uznano mnie za człowieka chwiejnego. Rhin

słyszy wszystko, a jeśli dotrze do niej również to...

Upił nieco *usque* z niewielkiego pucharu. Słodki napitek rozlewał się po jego żołądku i napełniał go ciepłem.

Rozległo się pukanie do drzwi. W progu stanął jego przyboczny Glyn.

– Ktoś nadciąga z bagien, panie.

Najwyższy, cholera, czas, pomyślał Ewnis. To na pewno Braith.

\* \* \*

Okazało się, że był to Rafe.

Ewnis stał na murze nad bramą i przyglądał się łodzi sunącej przez bagienne wody. Płynący nią mężczyzna wyskoczył na brzeg i zacumował. Na plecach miał torbę, którą postawił na ziemi. Po brzegu pomknęły dwa ogary.

Dlaczego jest sam?, zastanawiał się Ewnis.

Uznał, że ma już serdecznie dosyć czekania.

Mam wrażenie, że robię to przez całe życie, pomyślał i zbiegł na dziedziniec. Był już niemalże przy brzegu, gdy Rafe, kucający przy łodzi i poklepujący swe psy, podniósł się i ruszył ku niemu.

Sentymentalny chłopak, przemknęło Ewnisowi przez myśl. Nie taki jak jego ojciec.

Z twarzy Rafe'a nie dało się wyczytać nic konkretnego, a Ewnis był zbyt niecierpliwy, by próbować samemu odszyfrować widoczne na niej emocje.

– Mów – powiedział bez ogródek.

– Braith nie żyje – rzekł młody tropiciel. – Pozostali również. Wykończył nas ten Camlin.

Ewnis poczuł skurcz mięśnia na policzku.

– A więc to kompletna porażka.

– Nie do końca. Uciekłem, a potem ruszyłem za nimi do Dun Crin. Wiem, gdzie to jest, i mogę was tam zaprowadzić.

– A to, chłopcze, wspaniałe wieści. – Ewnis uśmiechnął się. – Powiedziałeś „za nimi”. Za kim szedłeś?

– Camlin miał pomocnika – rzekł Rafe. – Vonna.

– Vonn pomógł dopaść i zabić Braitha?

– Tak, ale mnie wypuścił. Mógł mnie zabić, bo zawsze lepiej sobie radził z mieczem ode mnie, ale nie zrobił tego.

– Dlaczego?

– Bo poprosił mnie, bym przekazał ci wiadomość. – Rafe zerknął na Glyna.  
– Mów. Glyn umie dotrzymać tajemnicy.  
– Powiedział, że jeśli dotrzesz do Dun Crin, a wie, że to zrobisz, chce z tobą porozmawiać.

Evnis poczuł rosnącą nadzieję.

– Doprawdy? A powiedział ci, o czym chce rozmawiać?

– O Wojnie Bogów, Siedmiu Skarbach i naszymi Nemain.

Evnis był zbyt wstrząśnięty, by się odezwać. O mało co nie cofnął się o krok.

– Ktoś nadciąga. – Ciszę przerwał głos Glyna, który spojrzał na wzgórze. – Chyba Morcant.

W istocie był to młody szermierz, kroczący z wdziękiem, ale też z arogancją. Prowadził grupę wojowników.

Zgraja pawi, choć mniej kolorowych od swego przywódcy, pomyślał Evnis.

– Jakież wieści? – spytał Morcant, podchodząc.

Jak to możliwe, że nawet pytanie z jego ust brzmi arogancko?, zastanawiał się Evnis.

– Rafe odnalazł Edanę i jej motłoch – rzekł, usiłując zdobyć się na jak najwięcej obojętność. – Ruszamy jutro.

– Doskonale. – Morcant zatarł dłonie. – Stęskniłem się za dobrą bijatyką.

\* \* \*

Evnis siedział przy dziobie długiej łodzi, na której znajdowało się trzydziestu zbrojnych. Było wcześniej rano i słońce nie wypaliło jeszcze porannych mgieł, których pasma nadal wisiały nad rzeką i oplatały burty łodzi. Mężczyzna drżał z zimna i co chwila zerkał na Morcanta w czarno-złotej zbroi, w każdym calu przypominającego bohatera.

Ależ ja go nie cierpię, pomyślał.

Dalej widział resztę ich flotylli, około pięciu dziesiątek kupionych, skradzionych lub zbudowanych łodzi, przewożących razem ponad pięć setek zbrojnych.

Co w zupełności wystarczy, by zdławić rebelię, ocenił Evnis.

Głos rozsądku w głowie namawiał go, by zaczekał na posiłki z Dun Carreg. Wystarczyłoby jeszcze kilka setek wojów, by zgnieść buntowników raz na zawsze. Evnis wiedział, że podejmuje ryzyko, ale usprawiedliwiał je tym, że

musieli atakować szybko i celnie, nim Edana urośnie w siłę. Wiedział też, że jeśli nie uderzy od razu, uzurpatorka wkrótce przeniesie bazę i nigdy już jej nie znajdzie.

Trzeba więc zaatakować teraz, pomyślał. To sensowne rozwiązanie, ale nie dlatego zdecydowałem się na tak błyskawiczną akcję. Ja muszę się spotkać z synem i rozstrzygnąć wszystko raz na zawsze.

## Rozdział siedemdziesiąty ósmy

# CORBAN

Corbana zbudziło walenie do drzwi. Przez moment nie miał pojęcia, gdzie się znajduje, aż sobie wszystko przypomniał.

Drassil. A dziś ruszamy do walki.

Wrogi hufiec wypatrzone w lasach już jakiś księżyc temu i zidentyfikowano go jako armię isiltirską pod wodzą Jaela. Szło wśród nich kilku Kadoshim. Od tej pory Coralen i jej zwiadowcy nie przestawali śledzić intruzów i co rusz przeprowadzali nocne ataki z tuneli, by przerzedzić ich liczebność oraz zasiać wśród nich ziarno strachu. Mimo to obcy nadal parli w kierunku Drassil w liczbie kilku tysięcy zbrojnych, aby wszystkich pozabijać.

I dziś staną u naszych bram, pomyślał Corban.

Znów rozległo się pukanie. Corban zsunął stopy z łóżka i wzdrygnął się, gdy dotknęły zimnej podłogi. Nadciągał świt, przez okna wpadało już szare światło. Pomarańczowy poblask rozżarzonych węgli z kominka zdawał się jedynym źródłem koloru w komnacie. Młodzieniec pośpiesznie wciągnął na nogi spodnie i podszedł do drzwi.

Na zewnątrz stała Brina z miską w ręku, a za nią Cywen, Dath, Farrell, Gar i Coralen, a także Buddai, który na jego widok załomotał ogonem o kamienną podłogę. Nie czekając na zaproszenie, uzdrowicielka wepchnęła się do środka, a reszta za nią. Wszyscy byli gotowi do walki. Lśniło żelazo i wypolerowane drewno, skrzypiała skóra.

– Zjedz to – powiedziała Brina i pchnęła Corbana na krzesło, po czym wręczyła mu miskę napełnioną po brzegi parującą owsianką.

– Dodałaś miodu? – Młodzieniec skrzywił się. – Nie znoszę owsianki bez miodu.

– Mówiłam – rzuciła Cywen. Podniosła jeden z butów brata i rozejrzała się za drugim.

– Tak, dodałam – odparła Brina, nadzwyczaj cierpliwa.

Corban podejrzliwie uniósł łyżkę do ust, ale uśmiechnął się i przełknął zawartość.

– Dobra jak u mamy – powiedział, wyjadając resztki. – No? O co chodzi?

– Chcieliśmy cię zobaczyć, zanim... – Cywen pozbierała jego rzeczy i ułożyła je na łóżku.

– Zanim ludzie zaczną się rąbać – skończyła za nią Brina.

Wszyscy podeszli i usiedli dookoła Corbana.

– Mamy za sobą długą drogę, prawda? – rzekł.

– Trudno się nie zgodzić. – Gar pokiwał z powagą głową.

Corban spoglądał na ich twarze, uwalniając dziesiątki wspomnień, które rozgrzały mu serce. Było ich tyle, że wnet w nich zatonął.

– Nie mam pojęcia, co powiedzieć – rzekł.

– Ja też nie. – Oczy Briny zaśniły.

– To chyba pierwsza taka sytuacja – szepnął Dath, jak zwykle nieco za głośno.

Brina smagneła go spojrzeniem.

– Poza jednym – ciągnął Corban. – Tym, że kocham was wszystkich i z radością oddam za was życie.

Gar wstał, pochylił się, ułożył dłonie na policzkach swego ucznia i ucałował go w czoło.

– My też cię kochamy, Ban – rzekł. Pozostali potwierdzili mruknięciami. – I jesteśmy z ciebie dumni. A twoi mama i tata pękliby chyba z dumy, gdyby mogli cię teraz ujrzeć.

– Cóż. – Corban pociągnął nosem. – Nie sądziłem, że będę się mazać już od świtu.

Uśmiechnął się i przetarł oczy.

– Ja też nie – rzekła Brina i również osuszyła oczy. – Dobra, ruszajmy się. Trzeba cię ubrać, a nie mamy całego dnia.

– Ubrać?

– Tak. Farrell przyniósł ci porządną, nową koszulę, która aż się błyszczy, a Coralen naostrzyła i wypolerowała ci wilkunie pazury, a ja przyniosłam nawet igłę do cerowania.

Pomogli mu się ubrać na wojnę.

Farrell uśmiechnął się, gdy Corban uniósł ramiona i wślizgnął się w przyniesioną kolczugę.

– Lżejsza od tej, w której trenowałem – oznajmił i poruszył rękami. – I leży lepiej. O wiele lepiej.

– Laith mi pomogła – przyznał Farrell. – Świetnie radzi sobie w kuźni.

Poklepał kolegę po plecach, aż ten się zatoczył. Brina nałożyła młodzieńcowi bransoletę na rękaw kolczugi, a Farrell zacisnął ją, by się nie zsunęła. Na prawym przedramieniu Corbana zapięto skórzany karwasz, przetkany paskami żelaza, po czym Gar rozwinął czarną opończę z emblematem na przodzie – białą gwiazdą o czterech ramionach.

– To dzieło Briny – powiedział.

– Na wypadek, gdybyś zapomniał, że jesteś Jasną Gwiazdą, co w twoim przypadku jest dość prawdopodobne – mruknęła uzdrowicielka.

Tylko ona potrafi w jednym zdaniu nazwać mnie imieniem z przepowiedni i zbluzgać, pomyślał Corban.

Patrzył, jak Gar nakłada mu opończę przez głowę, a potem Cywen zapina mu pas z mieczem.

– Pamiętam, jak z mamą robiłyśmy tę pochwę i oplatałyśmy rękojeść miecza skórą – powiedziała.

– Ja też – zdołał wyrzucić Corban, a kolejne słowa zdusiło wzruszenie.

– A miecz i torkwes zrobił dla ciebie ojciec – dodała jego siostra, a Brina założyła chłopakowi naszyjnik z dwoma głowami wilkunów. Jego ciężar podzielał nań uspokajająco.

Coralen uniosła mu lewą rękę, nasunęła rękawicę ze szponami wilkuna i zapięła ją mocno.

– Tylko nie drap się tą ręką po twarzy – dodała, dopasowując sprzączki do rękawa kolczugi. – Naostrzyłam ci szpony. Można teraz ciąć nimi żelazo.

Narzuciła mu na barki płaszcz z wilkuniego futra, zapięła sprzączkę i spojrzała mu w oczy z uśmiechem.

– To też zrobiliśmy dla ciebie – oznajmił Dath i stęknął, wnosząc coś ciężkiego. Była to pomalowana na czarno tarcza wzmocniona żelazem wzdłuż krawędzi. Widniała na niej taka sama biała gwiazda co na opończy.

– Wiem, że rzadko korzystasz z tarczy – rzekł Gar. – Ale ciężko trenowałeś walkę z osłoną, a ja myślę, że lepiej ją mieć i nie skorzystać, niż nie mieć, a potrzebować.

– Jakbym Brinę słyszał – skomentował Dath.

– A poza tym zawsze możesz jej użyć tak, jak ci pokazywałem – dodał Gar, zakładając osłonę młodzieńcowi na plecy. – By chroniła cię od tyłu w walce

wręcz, do czego może dziś dojść. – Szarpnął za nią, by mieć pewność, że rzemienie trzymają się mocno.

Wszyscy cofnęli się i spojrzeli na Corbana.

– Dziękuję wam – powiedział.

– Wyglądasz prawie jak bohater – rzekła Cywen.

Brina spojrzała na blask słońca, wpadający do pomieszczenia.

– Pora na nas – oznajmiła.

Wyszli z komnaty, Corban jako ostatni. Buddai podniósł się z podłogi korytarza, by ich powitać. Gdy znaleźli się przy drzwiach wyjściowych, Coralen odwróciła się do Corbana i położyła mu dłoń na piersi. Pochwyciła jego opończę i przyciągnęła mocno do siebie. Nim zorientował się, co się dzieje, poczuł na ustach jej wargi, gorące i chciwe. Na kilka uderzeń serca świat zewnętrzny przestał mieć jakiegokolwiek znaczenie. Corban odwzajemniał pocałunek, aż Coralen nagle oderwała się od niego, odwróciła i długimi krokami podążyła za resztą.

Stał przez moment bez tchu i mrugał. Wciąż czuł delikatny smak jabłek, który odkrył na ustach dziewczyny. Po chwili potrząsnął głową i ruszył w ślad za nią.

Wspięli się po krętych schodach i w milczeniu weszli do wielkiej sali. Tupot ich butów na kamiennej podłodze odbijał się echem od ścian. Gar i pozostali zatrzymali się, by przepuścić Corbana przodem, a sami ruszyli za nim.

Balur Jednooki stał przed tronem Skalda, wpatrzony we włócznie przeszywającą szkielet starożytnego króla. Przypominała ona o ciosie, który rozpoczął trwającą stulecia wojnę. Wytatuowane kolczaste pnącza gęsto oplatały odsłonięte przedramiona wojownika i nikły w rękawach kolczugi, a czarny topór z gwiazdowego kamienia wisiał na plecach olbrzyma. Ethlinn i cała potęga Benothi zgromadzili się za jego plecami – ponura, zawzięta gromada odziana w skóry, futra i żelazo. Młoty i topory błyszczały. Do hufca dołączyły nawet młode olbrzymy, również gotowe do walki. Corban zauważył wśród nich Laith z pasami noży krzyżującymi się na torsie. Balur skinął młodzieńcowi na powitanie i ruszył za nim.

Wielkie wrota stanęły otworem przed Corbanem, zamigotało światło słoneczne. Po drugiej stronie czekali na nich Jehar w czarnych kolczugach i z mieczami przytroczoneymi do pleców. Wszyscy mieli czarne opończe z białymi gwiazdami, a na ich czele stał Hamil. Rozstąpili się przed Corbanem i dołączyli do idących za nim wojowników.



Wtedy młodzieniec ujrzał dzieci kryjące się wśród cieni i biegnące wraz z kroczącymi naprzód zbrojnymi. Jednym z nich był Haelan z nieodłącznym białym szczurołapem. Corban, nie zwalniając, przywołał go do siebie.

– Mam do ciebie prośbę, jeśli zechcesz mi pomóc – zwrócił się do chłopca.

– Oczywiście! – szepnął Haelan, który aż rozpromienił się z dumy. – Zrobię wszystko, o co poprosisz.

– Dobrze. A więc chodź ze mną.

Corban poprowadził ich ulicami Drassil, nie ku głównym bramom, ale na wschód, w stronę mniej zamieszkałej części twierdzy. Zatrzymał się na dziedzińcu, z którego wyłaniały się masywne korzenie.

– Burza! – zawołał, gdy na placyku zapadła cisza. Jego głos odbił się echem od kamiennych ścian, a zanim całkiem przebrzmiał, z wielkiej nory pod korzeniami drzewa wyskoczyła wilkunica i przypadła do Corbana, trącając jego pierś poznaczonym bliznami pyskiem. Młodzieniec zanurzył twarz w gęstym futrze na jej karku.

W ślad za Burzą z nory wyskoczyły kolejne postacie – szóstka szczeniąt, które biegnąc i skacząc, podążyły za matką i skryły się między jej nogami w rzucanym przez nią cieniu. Maleństwa miały już prawie trzy księżyce, ale nadal wyglądały jak obdarzone zębami kulki futra.

– Burzo, będziesz mi dziś potrzebna. Pozostawię więc moich przyjaciół na straży twoich dzieci. – Corban spojrzał na Haelana. – Mógłbyś to dla mnie zrobić?

– Tak! – Chłopak rozpromienił się i podniósł jedno ze szczeniąt.

– Tak właśnie myślałem, bo przecież widziałem, że odwiedzasz jej potomstwo niemalże codziennie i bez przerwy podrzucasz im coś do jedzenia. Uznałem, że z tobą będzie im najlepiej.

Haelan uśmiechnął się jeszcze szerzej, o ile było to w ogóle możliwe.

– Ale chyba przyda mi się jakaś pomoc – dodał, bezskutecznie próbując zgarnąć kolejnego szczeniaka.

– Dzieci Wulfa pozostaną z tobą – powiedział Corban i odwrócił się, by odejść.

– Ty nie, Tahirze! – zawołał Haelan. – Dałem ci dziś zgodę na walkę. Nie chcę, żebyś się tu pałętał i mnie pilnował.

Tahir uśmiechnął się i zmierzwił Haelanowi włosy.

– Burza, za mną! – oznajmił Corban i ruszył przed siebie. Wilkunica zawahała się, spoglądając to na niego, to na szczeniaki, po czym pognała za

młodzieńcem.

– Aha, Tahirze! – zawołał za nimi Haelan. – Byłbym zapomniał. Przynies mi głowę Jaela.

– Dam z siebie wszystko! – mruknął Tahir.

Reszta ich armii czekała na dziedzińcu przed wielkimi wrotami Drassil, gdzie ciągnęły się rzędy zagród dla niedźwiedzi, przerobione na stajnie. Obrońcy mieli stawić wrogowi opór na murach, ale na wszelki wypadek osiodłane rumaki czekały w gotowości. Corban usłyszał powitalne rzenie Tarczy.

Przed bramami stał ogromny zastęp – wszyscy mężczyźni i kobiety, którzy byli w stanie chwycić za broń – a na ich czele Meical. Wysoki i dumny, ubrany w lśniącą kolczugę, z ciemnymi włosami związanymi na karku, przypominał tego dnia Ben-Elim z opowieści o Pladze. Powitał Corbana i jego świtę lekkim skinieniem głowy, a potem zawołał:

– Jasna Gwiazda!

Jego głos odbił się echem od kamiennych murów i wnet utonął w ryku całego hufca.

Corban wspiął się kilka stopni na górę, a potem zatrzymał i spojrzał na setki wpatrzonych w niego twarzy. W oczach swych ludzi widział strach, ale też dumę i determinację. Spoglądał na odważnych mężczyzn i dzielne kobiety, wszystkich w jakiś sposób skrzywdzonych przez Asrotha i jego sługi.

Ja na pewno śnię. Jak to możliwe, by życie tak się poukładało?, pomyślał.

Nabrał tchu.

– Ścigano nas i prześladowano – zaczął. – Nasze rodziny ginęły, a przyjaciele byli mordowani. Przebyliśmy setki mil, umykając przed mrocznym zalewem, który ogarnął nasze ojczyzny, ale nadszedł czas, by powiedzieć: „Dość”! Dziś odwracamy się i ruszamy do walki! Dziś stworzymy historię, którą nasi potomkowie będą z dumą opowiadać!

Na dziedzińcu znów rozbrzmiały wiwaty, które cichły powoli, aż zostało po nich tylko echo.

– Obojętnie, czy zwyciężymy czy poniesiemy klęskę, zginiemy czy przeżyjemy, jestem dumny, iż mogę stać przy was.

Znów buchnął ryk entuzjazmu. Zebrani krzyczeli, tupali, tłukli włóczniami o tarcze i mieczami o puklerze, a gdy wrzawa ucichła, z murów dobiegł ryk rogów.

A więc już tu są, pomyślał Corban i ponownie poczuł napływ lęku. Na kilka

uderzeń serca kolana zatrzęsły się pod nim, ale zacisnął zęby i nie pozwolił, by strach nim zawładnął. Wyciągnął miecz i wznosił go wysoko nad głowę.

– Prawda i odwaga! – ryknął, a potem odwrócił się i wbiegł po schodach na mury.

Wiele setek gardeł powtórzyło okrzyk bojowy, a następnie wszyscy ruszyli na stanowiska.

\* \* \*

– Sporo ich – mruknął Dath przyjacielowi do ucha.

Oj, sporo, pomyślał Corban.

Spomiędzy drzew na północnym zachodzie wybiegały setki wojowników. Niczym strumyki krwi zbiegali się, łączyli w większe strugi, aż uformowali gromadę, która ruszyła ku twierdzy. Z tej odległości Corban nie mógł dostrzec wielu szczegółów – miał wrażenie, że patrzy na zbitą masę żelaza, skór, czerwonych płaszczów i futer. Większość napastników szła pieszo, ale Corbana bynajmniej to nie pocieszało, bo z cieni puszczy z każdą chwilą wyłaniali się kolejni. Jego niepokój narastał. W końcu pojawili się konni, nad którymi powiewał proporzec z błyskawicą, wokół której wił się blady wąż.

Mój proporzec wygląda o wiele lepiej, pomyślał Corban i spojrzął na ciemną chorągiew z jasną gwiazdą, łopoczącą nad wieżą strażniczą wysoko nad nim.

Wroga armia powoli przesuwała się na południe po karczowanym przez ostatnie księżyce terenie, aż wojownicy zgromadzili się w odległości tysiąca kroków od jedynych bram do fortecy. Tam uformowali szyk na szerokość całego zachodniego muru, głęboko na przynajmniej dziesięć szeregów, i ruszyli naprzód. Corban wreszcie zaczął rozróżniać szczegóły, z których najbardziej zaniepokoiła go ilość długich drabin.

– Dwa i pół tysiąca mieczy – szepnął Gar.

Gdy wroga armia znalazła się w odległości pięciuset kroków od murów, zaryczały rogi jeźdźców. Wojownicy zatrzymali się i zapadła głęboka cisza.

– Może mi się tylko wydaje, ale czy wojna naprawdę polega głównie na czekaniu? – mruknął Dath.

– Jak najbardziej – odparł Farrell. – Po czym zwykle następuje rzeź.

Dath nabrał tchu.

– Aleś mnie pocieszył.

– Zawsze do usług.

Przekomarzanie się Datha i Farrella wywarło kojący wpływ na nerwy Corbana. Cieszył się, że w tak skrajnie obcych mu okolicznościach słyszy coś znajomego.

Inne bitwy po prostu wydarzyły się i tyle. Dun Carreg, Murias, osada Gramma. Nim się człowiek obejrzał, już był w samym środku. To oczekiwanie jest o wiele gorsze, pomyślał.

Od głównych sił oddzieliło się czterech jeźdźców, którzy ze spokojem podjechali do bram Drassil. Jeden z nich, bez wątpienia przywódca, założył hełm z rozwiewaną wiatrem kitą z końskiego włosa.

To pewnie Jael, samozwańczy król Isiltiru, uświadomił sobie Corban.

Drugim z jeźdźców był chorąży z proporcem, a trzecim najprawdopodobniej przyboczny. W rękę miał włócznie, a konia prowadził z wrodzoną swobodą. Cała trójka miała czerwone płaszcze, czarne napierśniki i czerwone hełmy, a uzbrojeni byli w miecze i włócznie. Czwarty, przypuszczalnie starszy wiekiem, garbił się nieco w siodle. Miał na sobie obszerny płaszcz, a głowę zakrył kapturem.

Pewnie znawca obyczajów, który chce mi powiedzieć, że nie mam prawa, by walczyć z królem Isiltiru, pomyślał Corban.

Byli coraz bliżej.

Przynajmniej wszystko wskazuje na to, że czekanie dobiegło końca, przeszło Corbanowi przez myśl.

## Rozdział siedemdziesiąty dziewiąty

# ULFILAS

Ulfilas jechał u boku Jaela, a z drugiej strony króla osłaniał Fram. Ich pochylony, zakryty płaszczem towarzysz trzymał się blisko.

Byli coraz bliżej i przyboczny królewski nie mógł oderwać wzroku od murów Drassil oraz Wielkiego Drzewa, które wznosiło się nad fortecą. Jego gałęzie rozciągały się nad dachami niczym olbrzymia, żywa tarcza, dotykająca chmur.

Bramy, zbudowane ze starych, podniszczonych pni dębu oraz żelaza, dorównywały wysokością kamienicom z Mikil i wydawały się grube niczym same mury. Na fortyfikacjach Ulfilas dostrzegał równe szeregi milczących wojowników, wpatrzonych w nich. Tu i ówdzie widział grupki olbrzymów.

Nigdy nie sądziłem, że kiedyś będzie mi brakowało Ildaera i jego Jotun, pomyślał. Ciekawe, gdzie się podziewa ten tchórzliwy zdrajca.

Jael pchnął około tuzina posłańców na północ, by przeszukali Pustkowie i odnaleźli Ildaera i jego olbrzymy. Od klęski w osadzie Gramma Jotun znikli jednak bez śladu i w końcu król zniecierpliwił się i machnął na nich ręką.

Na jednej ze strażnic powiewał proporzec. Podjechawszy bliżej, Ulfilas wypatrzył białą gwiazdę na czarnym tle. Sam trzymał pod pachą chorągiew Isiltiru, szarpaną podmuchami wiatru.

Biała gwiazda przeciwko burzy i wężowi, pomyślał.

Od bram dzieliło ich już tylko około trzystu, czterystu kroków. Nadal byli bliżej własnych sił niż murów twierdzy, ale mimo to Ulfilas zaczął się czuć nieswojo na widok jej rozmiarów.

Czy nasze drabiny sięgną tak wysoko?, zastanawiał się.

– Nadal jesteś pewien, że to dobry pomysł? – zapytał Jaela, siedzącego prosto w siodle i emanującego pewnością siebie.

Król wstrzymał konia i otoczył usta dłońmi.

Za późno, zrozumiał Ulfilas.

– Kto dowodzi tą zgrają?! – zawołał Jael.

Jego głos, który odbił się od fortyfikacji, wydawał się osobliwie cichy, wręcz nieistotny wobec ich ogromu. Nie doczekali się żadnej odpowiedzi.

– Słyszałem jakieś imię! – krzyczał Jael. – I tytuł. Podobno jest tu niejaki Corban. Jasna Gwiazda czy jakoś tak. Jesteś tam, Corbanie? Czy boisz się ze mną porozmawiać?

Umiejętność załazenia ludziom za skórę Jael wyssał z mlekiem matki, pomyślał Ulfilas.

– Tu jestem! – odezwał się czyjś głos.

– Mam dla ciebie propozycję, Jasna Gwiazdo! – krzyknął Jael, wymawiając tytuł z drwiną. – Mam sporo ludzi pod swoją opieką i przypuszczam, że ty też masz ich tam trochę. Co powiesz na to, byśmy rozstrzygnęli nasz konflikt zgodnie ze starą tradycją i oszczędzili w ten sposób życie tysięcy ludzi?

Znów cisza.

– Stań do walki z moim czempionem. Zwycięzca w pojedynku wygrywa bitwę.

Przedłużająca się cisza.

– Czuję, że właśnie wbilem kij w mrowisko – szepnął Jael do Ulfilasa. – Już sobie wyobrażam to zamieszanie wśród nich.

– Kłamiesz! – krzyknął ktoś inny.

Znam ten głos, pomyślał Ulfilas.

Nad murem ukazała się twarz Wulfa.

– Och, syn Gramma! – zawołał Jael. – Jak tve dłonie?

On chyba naprawdę dobrze się bawi, przemknęło Ulfilasowi przez myśl.

– Zginiesz dzisiaj, Jaelu. Tak jak ten twój sługus!

Cóż, było nie było, wyszarpnąłem jego ojcu wnętrzności z brzucha na oczach Wulfa. Byłbym zaskoczony, gdyby nie miał mi tego za złe, pomyślał Ulfilas.

– Zamilcz, głupi wole! – wrzasnął Jael. – Nikogo nie interesuje to, co masz do powiedzenia. Właśnie układałam się z twoim przywódcą!

Rozległy się przekleństwa, ale Wulf znikł.

– Nie kłamie – rzekł Jael. – Składam uroczystą przysięgę przed moimi ludźmi i wszelkimi bóstwami, które raczą nas słuchać. Jeśli pokonasz mego czempiona, wycofam się i pozostawię was w pokoju.

– Z tobą chcę walczyć! – odpowiedział mu pierwszy głos.

– Cóż, kusząca propozycja – odparł Jael. – Ale odpowiedź brzmi: nie.

Jestem królem i mam czempiona. Ty zaś królem nie jesteś, ale czempionem się mienisz. Czempionem samego Elyona, dobrze pamiętam? Tak właśnie głosi przepowiednia, czyż nie?

Znów cisza.

– A więc, jeśli rzeczywiście jesteś czempionem, zejdź tu do nas. Walcz z moim czempionem, czym ocalisz życie wielu spośród swoich ludzi.

Jael odwrócił się i uśmiechnął do Ulfilasa.

– Bez względu na to, co powie, wygrywamy. Jeśli odmówi, straci szacunek swoich ludzi. Nie będą walczyć z oddaniem za kogoś, kto mógł ich ocalić, ale tego nie zrobił. Jeśli zaś zejdzie tutaj, zginie, a to odbierze morale jego ludziom. Może się nawet poddadzą.

Trzeba przyznać, że sprytu draniowi nie brakuje, pomyślał Ulfilas.

– A co zrobimy, jeśli zejdzie do nas i wygra? – spytał.

Jael wykrzywił się.

– Wygra? Dajże spokój.

Zmarszczył brwi, jakby przez chwilę zastanawiał się nad tą możliwością, po czym wzruszył ramionami.

– Jeśli wygra, to go zabijemy. Nie zdoła uciec, nim ogarną go konni.

– Co może rozwścieczyć jego ludzi, a nie odebrać im ducha.

– Prawda, ale Corbana to nie wskrzesi, a to najważniejsza rzecz, Ulfilasie. By zabić węża, trzeba mu odrąbać głowę.

– Schodzę! – krzyknął Jasna Gwiazda.

\* \* \*

Bramy rozchyliły się ze zgrzytem żelaza i ciężkiego drewna i spoza skrzydeł wyszła samotna postać. Wrota zatrzasnęły się za nią z głuchym hukiem, a postać ruszyła ku wrociej armii ze zdecydowaniem.

– Wydaje się całkiem pewny siebie – zauważył Jael.

– Prawda – zgodził się Ulfilas.

W milczeniu patrzyli na nadciągającego samotnego wojownika.

A więc to jest ów Jasna Gwiazda, którego Nathair tak bardzo się boi. Corban. Młodszy, niż sądziłem, pomyślał Ulfilas.

Młodzieniec miał gładką twarz, nie licząc ciemnego zarostu na policzkach. Był średniego wzrostu, miał szeroką pierś i wąską talię. Zdaniem Ulfilasa budową ciała przypominał kowala.

Ale jest dobrze przygotowany, pomyślał wojownik, podziwiając pancerz przybysza.

Świetnie dopasowana kolczuga, stopy i nadgarstki kryte skórą oraz żelazem, tarcza na plecach i spory półtorak u boku.

Duży miecz. Za wielki, by trzymać go w jednym ręku. Potężny, ale powolny, oceniał Ulfilas.

Wielokrotnie widział podobną broń. Walczący nią wojownicy byli silni, ale niezbyt szybcy. Co więcej, siła czasem stawała się najgorszym wrogiem, bo człowiek z półtorakiem za wszelką cenę próbował udowodnić przeciwnikowi swoją przewagę. Lewa dłoń Corbana niknęła w dziwnej broni, przypominającej sztylet o trzech ostrzach, wszyty w skórzaną rękawicę.

Jak szpony.

Ulfilas przypomniał sobie rany na ciele wielu spośród ludzi zabitych podczas nocnych walk w Fornie. Chwilę później na ramieniu Corbana dostrzegł też mieniającą się srebrem bransoletę.

Jael będzie chciał to zatrzymać po jego śmierci, pomyślał.

Corban stanął jakieś pięćdziesiąt kroków od delegacji isiltirskiej i przyglądał się jej ciemnymi, poważnymi oczami.

– No, jestem – rzekł i wyciągnął miecz ruchem tak płynnym, iż trudno było za nim nadążyć wzrokiem. Przybrał postawę, zachowując idealną równowagę, i rozciągnął mięśnie.

Cóż. Może nie jest aż taki powolny, uświadomił sobie Ulfilas.

– Odważny z ciebie człowiek – rzekł Jael. – I ufny.

Ufny?, przemknęło Ulfilasowi przez myśl. Zatrzymał się daleko przed nami.

– Zaczynajmy. – Corban wzruszył ramionami.

– Czyli za rozmowami też nie przepadasz – oznajmił Jael. – Jak sobie życzysz.

Pociągnął za wodze i kopnął konia piętami, zawracając w stronę swej armii. Ulfilas i Fram podążyli za nim. Przyboczny spojrzął przez ramię i ujrzał zaskoczenie na twarzy Corbana na widok odjeżdżającego Framy. Jego mina zmieniła się, gdy czwarty z ich grupy zsunął się z siodła i odrzucił płaszcz.

Walka zapewne dobiegnie końca, zanim dojedziemy do naszych, pomyślał Ulfilas.

Człowiekiem w płaszczu był Sumur.



## Rozdział osiemdziesiąty

# CORBAN

Przez krótką chwilę Corban stał jak oczarowany. Jego serce skuło przerażenie.

Sumur. Kadoshim. Zginę tu. Powinienem być posłuchać Gara i Meicala. Powinienem być odrzucić wyzwanie Jaela.

Gar sam chciał stanąć do pojedynku. Utrzymywał, że to on jest czempionem Corbana, skoro czuwał nad nim od chwili urodzin.

„Jesteś w stanie wiele dla mnie zrobić, Garze – rzekł wówczas Corban – ale nie możesz stać się mną. Jael ma rację. Jestem czempionem Elyona”.

Gar stał nieruchomo i patrzył Corbanowi w oczy, a jego twarz wykrzywił grymas frustracji. Wówczas chłopaka porwał Meical, który zabronił mu wychodzić z twierdzy, a gdy się przekonał, że ten go nie posłucha, zaczął go niemalże błagać. Corban nigdy dotąd nie widział Ben-Elim w takim stanie.

Nie miałem wyboru. Jak mogłem pozwolić iść tylu ludziom na śmierć, skoro mogę zrobić coś, by to powstrzymać?, pomyślał.

„Mówisz mi, że jestem Jasną Gwiazdą – powiedział Meicalowi, który złapał go za ramię. – Ja muszę przyjąć to wyzwanie”.

Meical przez moment wpatrywał się w niego ze smutkiem, po czym pokiwał głową i go puścił.

Ci, których pozostawił na murach, szybko rozpoznali jego przeciwnika. Rozległy się okrzyki i przekleństwa. Corban słyszał głos Gara i wściekle parsknięcia Datha. Mógł sobie niemalże wyobrazić strach na twarzy Cywen.

Muszę to wyrzucić z myśli, napomniiał się. Jeśli chcę stawić mu opór dłużej niż przez kilka uderzeń serca, muszę zapomnieć o wszystkim poza moim mieczem.

– Zaskoczony? – spytał Sumur, który szedł w stronę Corbana. Dzielilo ich już tylko dwadzieścia, trzydzieści kroków.

– Trochę – mruknął młodzieniec i cofnął się odrobinę.

Sumur nadciągał, nieubłagany jak upływ czasu.

Wygląda na to, że Kadoshim nauczyli się trochę żartować, pomyślał Corban.

– Wytnę ci serce i pożrę je – rzekł Sumur. Był coraz bliżej.

I już nie jest tak zabawnie, przemknęło Corbanowi przez myśl.

– Jesteś Sumurem czy czymś innym? – zapytał.

– Sumur nadal gdzieś tu jest. – Nadchodzący Kadoshim wbił w młodzieńca spojrzenie czarnych oczu. – Wszystko, czym był. Jego wiedza, umiejętności, odruchy.

Podchodząc, obrócił nadgarstkiem, a jego ostrze zatoczyło powoli krąg. Corban rozpoznał ten ruch. Widział go w Dun Carreg, kiedy Sumurowi drogę zastąpił Gar, by dać chłopakowi szansę na ucieczkę.

Dziwne. Patrzę na ciało i widzę jego ruchy, ale głos należy do kogoś innego. Albo czegoś. Skoro Gar nie dał rady go pokonać, jak na Zaświat ja mam to zrobić?, zastanawiał się Corban.

– Ale Sumur już tu nie rządzi. – Kadoshim dotknął palcem serca i głowy. – Jestem Belial i służę Asrothowi.

– Myślę, że Sumur wystarczy. – Corban znów cofnął się o kilka kroków.

Jego przeciwnik wzruszył ramionami. Nie zatrzymywał się.

– Będiesz uciekał? – spytał, przechylając głowę. – Wyczuwam twój strach.

Nie próbuje mnie prowokować. Mówi prawdę i tyle, pomyślał Corban.

– Nie ma człowieka wolnego od strachu! – warknął i rzucił się do ataku.

Z jednej strony miał już serdecznie dość uciekania i chciał walczyć, a z drugiej łudził się, że być może uda mu się zaskoczyć przeciwnika. Liczył na to, że wyprzedzi go o pół uderzenia serca i znajdzie sposób na zadanie celnego ciosu.

Nic takiego nie nastąpiło.

Jego cios był oburęcznym uderzeniem znad głowy, w które włożył siłę całego ciała, od stóp i kostek, przez nogi i plecy, na barkach i ramionach kończąc. Sumur jednakże odbił go z łatwością, niemalże leniwie, podobnie jak trzy następne, układające się w kombinację, którą Gar by z pewnością pochwalili. Corbanowi udało się jedynie powstrzymać napór przeciwnika – Kadoshim stał już na szeroko rozstawionych nogach i pochwycił miecz oburącz, na co chłopak zawirował wokół niego, chcąc znaleźć się po lewej stronie.

Wtedy, bez żadnego ostrzeżenia, bez żadnego widocznego sygnału, Sumur przystąpił do kontrataku. Pierwszym cięciem zerwał Corbanowi torkwes i nieomal rozplątał mu gardło, drugie musnęło kryte kolczugą ramię, trzecie zderzyło się z klingą młodzieńca, czwarte zostało odbite wzmocnionym żelazem karwaszem, nad piątym Corban zdołał przeskoczyć. Następnie Sumur wyprowadził trzy kolejne, błyskawiczne i na tyle potężne cięcia, że każde mogłoby odrąbać młodzieńcowi głowę. Ten wił się, przenosił ciężar ciała, odpowiednio ustawiał ramiona, łokcie i nadgarstki, za każdym razem odbijając wrogi cios o cal od swej głowy.

Jakbym walczył z olbrzymem, przeszło Corbanowi przez myśl. Co za siła...

Sumur uderzał coraz mocniej i szybciej. Co więcej, zaczynał go okrążyć, uniemożliwiając mu powolne cofanie się w stronę bram fortecy. Wówczas umysłem Corbana zawładnął instynkt, który wyparł strach. Wszystkie jego myśli skupiły się na przeciwniku, którego miał przed sobą. Odruchowo odczytywał ustawienie jego stóp, napięcie mięśni, wychylenia i zmiany równowagi. Z początku wystarczało mu to do zablokowania każdego ciosu, ale powoli jego ciało zaczęło reagować szybciej, niż by się kiedykolwiek spodziewał. Niekończące się ćwiczenia z Garem oraz codzienny taniec miecza odnosiły teraz swój skutek. Jego ciało nieświadomie wypełniała nowa moc i Corban naraz przeszedł do kontrataku. Z początku uderzał raz na trzy, cztery ciosy Sumura, by wnet odpowiadać uderzeniem na każde uderzenie.

Ich ostrza zwały się w dzikiej burzy. Corban wykorzystywał każdy układ z tańca miecza i zdołał zepchnąć Kadoshim o kilka kroków i skutecznie blokować jego ciosy, ale przebić się przez jego obronę nie zdołał.

Odskoczyli od siebie. Corban oddychał ciężko. Jego mięśnie i ścięgna płonęły bólem, a na całym ciele, tam, gdzie Sumurowi udało się przebić, pulsowały stłuczenia i sińce. Z płytkiego cięcia nad kolanem ciekła krew. Przeciwnik nie odniósł żadnych ran, ale wydawał się... Cóż, poirytowany.

Ciągle żyję, pomyślał wstrząśnięty Corban. Sumur zna taniec miecza, jakby nigdy nie robił nic innego. Potrafi wyprowadzać uderzenia w każdej możliwej kombinacji i każdą zablokować. Jeśli więc nadal będę go atakował w ten sposób, z pewnością zginę, bo prędzej czy później opadnę z sił i zwolnię, podczas gdy on wydaje się nie ulegać zmęczeniu. Ba, mam wręcz wrażenie, że gniew dodaje mu mocy.

Nagle przypomniał sobie Gara stojącego nad Akarem na dziedzińcu ćwiczebnym.

– No i co? – sapnął Corban, zmuszając się do uśmiechu. – Nie możesz mnie zabić, co?

Sumur warknął wściekle i rzucił się do natarcia, uderzając ze wszystkich stron. Corban wyłapywał jego ciosy, a potem zmusił się, by zrobić coś wbrew instynktowi – zamiast odskoczyć i zasłonić się klingą, przypadł do Sumura i rąbnął go czołem w nasadę nosa, a rękojeścią miecza w twarz. Gdy wojownik zatoczył się w tył, Corban chlasnął go szponami wilkuna po brzuchu, przebijając się przez kolczugę i wgryzając w miękkie ciało.

Dzięki, Coralen, pomyślał.

Sumur zatrzymał się i spojrzał na młodzieńca z przechyloną lekko głową. Jego twarz była umazana ciemną krwią. Na ranę na brzuchu nie zwrócił uwagi, choć krew utworzyła już kałużę wokół jego stóp.

Muszę mu odrąbać głowę, pomyślał Corban. Tylko jak? Ledwie mogę go dotknąć, a gdy już mi się to udaje, cios, który zabiłby innego człowieka, nie robi na nim wrażenia!

Czuł, że lada chwila ogarnie go rozpacz. Nie miał pojęcia, co począć.

Nie, zdecydował, gdy powróciły doń słowa, powtarzane przez Gara podczas milionów treningów. Przetrzymam to. Poszukam innej okazji.

– Zdziwiony? – spytał. – Może dodam głowy twoich pobratymców do tych, którymi już przystroiłem bramy Drassil!

Wskazał coś za sobą i skoczył do natarcia, nim Sumur zdołał zareagować. Ich zderzające się ostrza znów wybiły wściekły rytm, odbijający się od murów twierdzy.

Nagle udo Corbana eksplodowało bólem, jakby rozlało się po nim pasmo ognia. Zerknął w dół i ujrzał czerwoną pręgę, zalewającą krwią spodnie. Sumur wymknął mu się piruetem i ciął znad głowy. Corban zatrzymał uderzenie pazurami wilkuna, ale cios był potężny i jego nadgarstek również przeniknął ból.

Tak oto wygląda koniec. Jedna drobna rana za drugą, wpływ krwi, potłuczone mięśnie, naderwane ścięgna, wyczerpanie miazdzące ciało i umysł... I w pewnym momencie wszystko to sprawi, że spóźnisz się z blokiem o uderzenie serca.

Nie!, wrzasnął na siebie Corban w myślach.

– Niemalże czuję smak twego serca. – Sumur uśmiechnął się i oblizał usta.

Skoro mam umrzeć, niech to będzie śmierć warta pieśni, pomyślał Corban. Ucieszyłbym się, gdyby Tukul powitał mnie po drugiej stronie mostu mieczy

z uśmiechem na ustach.

Uniósł miecz jedną ręką, złapał go drugą i opuścił, tak jak kowal opuszcza młot na kowadło. Po piątym, szóstym uderzeniu poczuł, jak ostrze wgryza się w kolczugę Sumura. Jednocześnie pochwycił jego miecz między szpony wilkuna, rąbnął go w twarz, odskoczył i wykonał piruet na pięcie. Świat zawirował wokół niego – mignęli mu ludzie w czerwonych płaszczach i jakiś tupiący kopytami koń – a jego tarcza zatrzymała dwa szybkie ciosy. Wychodząc z obrotu, ciął nisko w łydkę Sumura. Przeciwnik przeskoczył nad jego ostrzem, a Corban wykorzystał tę chwilę, by przypaść do niego i zahaczyć stopą jego kostkę w chwili lądowania. Jednocześnie z całej siły pchnął Kadoshim w pierś, posyłając go na ziemię. Doskoczył, wzniósł miecz i rąbnął, ale klinga weszła tylko w ziemię. Sumur zdążył się odtoczyć na bok i zwinnie się podniósł.

Corban z trudem łapał powietrze. Ostatni atak pozbawił go resztek sił i woli walki. Oparty na mieczu wbitym w ziemię stał nieruchomo i wpatrywał się w Sumura. Serce waliło mu jak młotem, łapczywie chwycił kolejne hausty powietrza.

Jest za dobry, za szybki, za silny, pomyślał. Nazywają mnie czempionem Elyona... To gdzie on teraz jest?

Sumur szedł ku niemu. Lewe ramię zwisało mu w nienaturalny sposób – najwidoczniej Corban zdołał mu złamać obojczyk – ale w niczym mu to nie przeszkadzało. Na jego obliczu nie było widać ani śladu bólu.

– Dobra robota. – Sumur odezwał się zgrzytliwym głosem demona. – Lepiej, niż się spodziewałem. Niemniej koniec, jak to zawsze bywa, jest nieunikniony.

Corban zauważył, że wróg napina mięśnie nóg, szykując się do ostatniego uderzenia i od razu odgadł, co planuje. Wiedział też, że nie zdoła go zatrzymać. W tej samej chwili przypomniał sobie inny pojedynek, który oglądał dawno temu, w pewnej sali biesiadnej w wigilię Dnia Zimowego Przesilenia.

Tull.

Poruszył się w tej samej chwili co Sumur. Szarpnął mieczem, tak by grudki ziemi strzeliły Kadoshim w twarz, oślepiając go na moment. Ten cofnął się o krok i uniósł ostrze, by zasłonić głowę przed ewentualnym ciosem, ale Corban zawirował w prawo i wyrósł przy lewym boku Sumura, niemalże za jego plecami. Rąbnął go prosto w szyję, dokładnie w miejsce, gdzie kończy się

czaszka, a zaczynają plecy i barki.

Rozległ się dźwięk, przypominający uderzenie siekiery w wilgotne drewno, i głowa Sumura wyfrunęła w powietrze, ciągnąc za sobą warkocz czarnej krwi. Ciało padło na ziemię, stopy zadrżały, a z otwartej rany wyłoniła się wielka, czarna mgła, która uformowała kształt skrzydlatej istoty.

Corban stał na szeroko rozstawionych stopach i oddychał ciężko, nie do końca wierząc w to, co się właśnie wydarzyło. W to, czego dokonał. Potem uświadomił sobie, że otacza go cisza, podkreślona przez miękki stukot toczącej się głowy.

Skrzydłata istota nad ciałem Sumura wrzasnęła z furją i uderzyła skrzydłami, jakby chciała dopaść chłopaka, ale w tym momencie powiał wiatr. Postać zafalowała i zaczęła rzednąć niczym postrzępiony sztandar, aż całkiem znikła. Pozostało po niej tylko westchnienie.

Corban uniósł głowę i ujrzał Jaela, który wpatrywał się w niego z otwartymi ustami, a za nim jego hufiec, milczący i oniemiały. Potem usłyszał ryk z murów Drassil, który runął ku niemu niczym wielka fala i pochłonął go. Wstrząs i ulga sprawiły, że na twarzy młodzieńca pojawił się szeroki uśmiech. Uniósł miecz ku niebu i również wrzasnął z radością, dołączając do wiwatujących obrońców.

Gdy okrzyki tryumfu ucichły, Corban chwycił odrąbaną głowę Sumura za włosy i uniósł ją wysoko.

– Pora, byś dotrzymał słowa, Jaelu! – krzyknął. – Twój czempion został pokonany! Wracaj do Isiltiru!

Jael wpatrywał się w niego. Na jego twarzy malowała się mieszanka lęku, wściekłości i nabożnego szacunku, a potem wywarczał jeden rozkaz do konnych zgromadzonych wokół niego. Ci spojrzeli na władcę, najwyraźniej się wahając, ale Corban już wiedział, co się wydarzy. Jael powtórzył rozkaz, po czym pierwszy wojownik popędził konia, a za nim następni. Na zwycięzcę pojedynku gnało około dwudziestu jeźdźców.

Corban spojrział na bramy Drassil i uzmysłowił sobie, że nie dotrze do twierdzy na czas. Rozstawił więc stopy szeroko i wzniósł trzymany oburącz miecz.

– No, chodźcie – oznajmił, a potem ryknął: – Prawda i odwaga!

Nie miał pojęcia, że w jego głosie kryje się aż tyle furii.

Kopyta nadciągających wrogów łomotały, ostrza mieczy i włócznie celowały prosto w niego. Ziemia drżała. Kątem oka zarejestrował, że bramy Drassil się

otwierają, usłyszał też wściekłe, dzikie wrzaski wojowników, którzy wybiegli mu na pomoc.

Nie zdążył, pomyślał ze spokojem. Wracajcie.

Przeniósł uwagę na najbliższego jeźdźca, który znajdował się w odległości około dwustu kroków, raptem kilkudziesięciu uderzeń serca. Skupił się na rytmie, z jakim uderzały kopyta jego konia oraz unosiło się i opadało ostrze jego włóczni. Podświadomie zauważył, iż jest to jeden z jeźdźców, którzy towarzyszyli Jelowi, nie ten z proporcem, lecz ten, którego uznał za czempiona uzurpatora.

Niespodziewanie przypomniał mu się pocałunek Coralen przy drzwiach. Niemalże znów poczuł delikatny smak jabłek.

Chciałbym ją ujrzeć raz jeszcze, choćby po to, by powiedzieć jej...

Kolejny dźwięk przedarł się do jego świadomości – tętent kopyt gdzieś za jego plecami połączony z innym tupotem, znanym mu równie dobrze jak bicie własnego serca.

Tak biegały wilkuny.

Jakiegokolwiek wątpliwości rozwiało przerażenie widoczne na twarzy najbliższego napastnika.

Corban spojrzął za siebie i ujrzał Burzę gnającą ku niemu z obnażonymi kłami. Z każdym susem pod jej skórą prześlizgiwały się węzły mięśni. Obok wilkuny biegł Tarcza z rozwianą grzywą, waląc kopytami w ziemię z impetem piorunów. Dalej z bramy Drassil wylewał się tłum wojowników, na czele których pędził Balur wraz z innymi Benothi.

W kierunku Corbana zaś nadal szarżowały dwie dziesiątki wojowników, którzy pragnęli jego śmierci.

I nagle wiedział już, co robić.

Schował miecz do pochwy, odwrócił się plecami do napastników, nabrał tchu i skupił się na rytmie wybijanym przez kopyta Tarczy. Rozstawił nogi szeroko, ugiął je w kolanach, przeniósł ciężar ciała na pięty i rzucił się do biegu ku ogierowi. Nadciągający koń był już tak blisko, że Corban czuł jego zapach i widział pot na sierści. Serce biło mu w tym samym rytmie, w jakim kopyta uderzały o ziemię. W ostatniej chwili przyspieszył, napiął mięśnie, złapał garścią grzywę końską i wykorzystał pęd zwierzęcia, by wyskoczyć w górę.

Przez jedno uderzenie serca, które rozciągnęło się w nieskończoność, Corban miał wrażenie, że nic nie waży, aż z solidnym łupnięciem wylądował

w siodle. Złapał za wodze, a Tarcza błyskawicznie skręcił i przemknął między nadciągającymi jeźdźcami. Znaleźli się na tyłach rozpędzonego oddziału i pognali wzdłuż szeregów ludzi Jaela. Czarne włosy Corbana powiewały niczym proporzec. Przez szum wiatru przeniknęły czyjeś okrzyki i młodzieniec uświadomił sobie, że niektórzy ludzie Jaela wiwatują na jego cześć.

Za sobą usłyszał dziki wrzask, gdy Burza zerwała jakiegoś jeźdźca z siodła i rozerwała go na strzępy.

Ściągnął wodze Tarczy i skręcił, by zatoczyć łuk. Dostrzegł wilkunicę, która skakała i miotała się wśród jeźdźców wysłanych, by go zabić. Ujrzał też, jak miecze i włócznie opadają w dół i poczuł, jak narasta w nim gorąca wściekłość. Po równinie gnali już konni Jehar, setka za setką. Nad armią Jaela poniosło się porykiwanie rogów i nagle szeregi drgnęły.

Mieliśmy bronić się z murów!, pomyślał Corban. Cóż, wygląda na to, że potrzeba nam nowego planu.

Słyszał warczenie Burzy i kłapanie jej szczęk, dostrzegał też konie, które stawały dęba i szalały wokół niej.

Parsknął, pochwyił za miecz i popędził Tarczę do galopu.



## Rozdział osiemdziesiąty pierwszy

# ULFILAS

Mam złe przeczucia, przemknęło Ulfilasowi przez myśl.

– Do szarży! Naprzód! Pozabijać ich! – Jael darł się przy uchu przybocznego.

Hufiec ruszał naprzód, ale powoli i ociężale.

Wciąż nie mogą się otrząsnąć po tym, czego właśnie byli świadkami, myślał Ulfilas. A ja nie winię ich za to, że jakoś nie kwapią się do bitwy z tymi ludźmi.

Sam nie mógł poukładać sobie w głowie tego, co przyszło mu ujrzeć.

To był najwspanialszy pojedynek, jaki na oczy widziałem, stwierdził. Może nawet najwspanialszy w historii. Nie mogę uwierzyć w to, że Sumur przegrał!

Miał wrażenie, że przygląda się zderzeniu dwóch burz na otwartym morzu, istnej nawałnicy wściekłych, zabójczych, ale upiornie pięknych uderzeń. Z początku nie miał wątpliwości, że Corban ulegnie – był niezwykłym wojownikiem, ale Sumur walczył wprost perfekcyjnie. Jego ciosy były niewiarygodnie celne, szybkie i silne, ale mimo to młodzieniec okazał niebywałą siłę ducha i powoli, mozolnie przeszedł od stanu, kiedy walczył o własne życie, do momentu, gdy tu i ówdzie zdobywał szansę na trafienie, aż w końcu dzięki swej zawziętości, pomysłowości i niezwykłemu uporowi, z jakim przeciwstawiał się śmierci, zdołał pozbawić Sumura głowy.

A w ogóle to co, do jasnej cholery, wylazło z Sumura po jego śmierci?, zastanawiał się Ulfilas.

– Co ty wyprawiasz? – Jael darł się na niego, niemalże oszalały z wściekłości. – Jesteś moim chorążym! Poprowadź armię!

A to nie ty powinienesz stanąć na czele?, pomyślał wojownik. Wszak jesteś królem!

Zignorował narastające złe przeczucie, burknął na swego władcę i popędził

konia. Piesi wojownicy runęli za nim. Ryczały rogi. Jeźdźcy, których Jael pchnął za Corbanem, jeden po drugim padali ofiarą wilkunicy rozmiarów konia, która szalała wśród nich, ledwie kilkaset kroków przed nacierającą armią.

A pierwszym człowiekiem, którego rozszarpał ten potwór, był Fram, pierwszy miecz Jaela, po Sumurze, rzecz jasna, pomyślał Ulfilas.

Stracili więc dwóch najlepszych wojowników jeszcze przed rozpoczęciem bitwy. Niezbyt motywujący początek.

Ulfilas szybko stracił serce do walki w tej bitwie, ale jakiś głos w jego głowie wrzeszczał, że jeśli się odwróci i rzuci do ucieczki, zginie.

Nie ma co do tego dwóch zdań, uświadomił sobie. Jeśli doznamy klęski, ci, którzy unikną śmierci, będą skazani na długi marsz przez Forn. Zupełnie mi się to nie uśmiecha, a więc lepiej już ruszyć po zwycięstwo.

Wojownicy z Isiltiru coraz żywiej reagowali na ryki rogów i wrzaski Jaela. Pędzili już naprzód i osaczali siły, które wyłaniały się z bram Drassil, o wiele skromniejsze od ich armii.

Przynajmniej tu los się do nas uśmiechnął, pomyślał Ulfilas. Dobrze, że nie musimy piąć się po tych murach. W polu być może uda się wykorzystać przewagę liczebną.

Jako wojownik czuł wielki szacunek do Corbana, choć stali po przeciwnych stronach konfliktu. Skok na rozpędzonego konia w chwili, gdy gnali na niego zbrojni, a od śmierci dzieliły go ledwie uderzenia serca, był nie lada wyczynem. Patrząc na młodzieńca, Ulfilas miał wrażenie, że wszyscy wojownicy ćwiczyli wskakiwanie na biegnącego konia właśnie w tym celu.

\* \* \*

Mijali go rozpędzeni wojownicy, zmierzający do bitwy, dostrzegł też dwie dziesiątki Jehar Sumura, co rozbudziło w jego duszy nadzieję.

Teraz żałuję, że Nathair nie wmusił nam ich całej setki, tak jak Gundulowi czy Lotharowi, pomyślał.

Ujrzał, jak Jehar wbijają się w grupę nieprzyjaciół, olbrzymów i ludzi bardzo ich przypominających, z tą różnicą, że nosili czarne kaftany z białymi gwiazdami. Naraz przypomnieli mu się wojownicy, którzy z taką łatwością wyróżnili jego oddział pod osadą Gramma. Odruchowo ściągnął wodze, ale ludzie biegnący za nim napierali i jego rumak chcąc nie chcąc ruszył wraz

z nimi.

Nie jestem tchórzem, ale głupcem też nie i nie marzy mi się rychła śmierć, myślał.

Uświadomił sobie jednak, że będzie musiał wziąć udział w tej bitwie, obojętnie, czy mu się to podoba czy nie. Wsunął poręcz Jaela w skórzany uchwyt przy siodle, w którym zazwyczaj osadzał włócznię, po czym złapał za miecz i pognął naprzód, w stronę wojownika, który przypominał ludzi Gramma.

Wreszcie jakiś normalny przeciwnik.

Naparł na niego koniem, potrącił i posłał na ziemię ciosem przez hełm. Popędził rumaka, tnąc na prawo i lewo, pozostawiając za sobą rannych i umierających. Zaczynał już myśleć, iż być może uda im się jednak wygrać tę bitwę, choć zewsząd otaczał go chaos i zgiełk. Nie był w stanie oszacować, na którą stronę przechyla się szala zwycięstwa. Przerąbał drzewce wymierzonej w niego włóczni, pchnął w twarz wojownika, który ją dzierżył, usłyszał wrzask i dostrzegł, jak ten pada. Znow uderzył konia piętami.

Na moment zmagania wokół niego zamarły. Po lewej zauważył Corbana, nadal siedzącego na koniu i rąbiącego Isiltirczyków z szaleńczą wprost werwą. Gdzieś przy nim mignęło białe futro i kłapnęły zdobne zębiskami szczęki. Walczącego Corbana otaczało grono przybocznych – ogromny młodzieniec z młotem wojennym, rudowłosa wojowniczką również uzbrojona w ociekające krwią stalowe szpony i jakiś konny Jehar, który z każdym ciosem wysyłał w powietrze strugi krwi. Bardzo przypominał wojownika, który zrzucił Ulfilasa z konia podczas bitwy o osadę Gramma, z tą różnicą, że był młodszy i bardziej owładnięty szałem bitewnym.

Tam się nie wybieram, stwierdził Ulfilas.

Szarpnął za wodze i nagle ujrzał przed sobą jednego z Jehar – tych, którzy służyli Jaelowi – walczącego z jednookim olbrzymem uzbrojonym w czarny topór. Jehar był szybki. Przypadł do olbrzyma i ciął go po nodze. Jednooki zawył z bólu i wściekłości, ale w tej samej chwili w piersi Jehar utkwiał ogromny nóż, który powalił go na ziemię. Wówczas ranny olbrzym zrobił krok naprzód i jednym cięciem odrąbał głowę usiłującemu się podnieść wojownikowi. Przed koniem Ulfilasa nagle zmaterializował się cienisty demon, który wrzasnął przeraźliwie. Rumak wpadł w panikę – zaczął wierzczać i kopać, ale jeździec zdołał utrzymać nad nim kontrolę.

Kątem oka dojrzał kolejnego olbrzyma, drobniejszego i szczuplejszego,

który kroczył ku nim.

Czyżby kobieta? Ciężko to u nich odróżnić, pomyślał.

Na piersiach nowo przybyłej krzyżowały się dwa pasy ciężkie od ogromnych noży. Na oczach Ulfilasa olbrzymka nachyliła się, wyszarpnęła swój nóż z piersi zabitego Jehar i rozejrzała się w poszukiwaniu kolejnego celu.

I wtedy dostrzegła jego.

Złe przeczucie, które wojownik jak dotąd ignorował, odezwało się ze zdwojoną siłą. Pochylił się w siodle w chwili, gdy coś ze świstem przecięło powietrze tuż nad jego głową, i popędził wierzchowca. Dosiadał wyszkolonego konia, który posłusznie uskoczył w lewo, roztrącając walczących, zarówno sojuszników, jak i wrogów. Przez niekończącą się chwilę szaleństwa rumak przedzierał się przez bitwę niczym lewiatan przez wzburzone morze, aż znalazł się w spokojniejszym miejscu.

Grupki wojowników ścierały się wszędzie naokoło, ale ścisk był tutaj o wiele mniejszy i Ulfilas mógł się rozejrzeć. Gdzie nie spojrzał, wojownicy w czerwonych płaszczach ulegali olbrzymom i Jehar. Dojrzał wśród nich wysokiego, ciemnowłosego wojownika w zbryzganej krwią kolczudze, którego w pierwszej chwili wziął za olbrzyma, ale uświadomił sobie, że jest mimo wszystko za niski i zbyt smukły, a jego ruchy są nazbyt zwinne. Ścięcie trzech wojowników Jaela zabrało mu tyle czasu, co komuś innemu trzy westchnienia.

W oddali Ulfilas dojrzał kolejne cieniste demony, wyrastające nad głowami walczących, unoszące się niczym ciemna mgła, wykrzykujące swą wściekłość i rozplywające się na wietrze. Wiedział już, że ich pojawienie się oznacza śmierć Jehar Nathaira.

Nie wiem, kim są, i chyba nie chcę tego wiedzieć, ale nie mam już wątpliwości, że bitwa została przegrana, pomyślał.

Był pragmatycznym człowiekiem i wnioski, które właśnie wysnuł, skłoniły go, by spojrzeć na północ, na szczątki starego traktu, którym tu przybyli. Z każdym zabitym wojem w czerwonym płaszczu perspektywa ucieczki przez Forn wydawała się coraz bardziej kusząca.

Jeśli ucieknę, trochę jeszcze pożyję. Jeśli tu zostanę, czeka mnie śmierć. Wybór jest prosty.

Ulfilas wyciągnął proporzec Isiltiru z uchwytu w siodle i cisnął go na ziemię, a potem popędził konia na północ, skrzykując ludzi po drodze. Już po chwili wiódł za sobą jakieś dwie setki wojów, ale ich liczba cały czas rosła.

Gdy znalazł się na zboczu wzniesienia, ściągnął wodze i spojrzął za siebie.

Armia Isiltiru rozpadała się. Ludzie zawracali już i biegli ku drzewom puszczy, która wydawała się im teraz zbawczym schronieniem. Ulfilas nie miał wątpliwości, że lada moment dojdzie do masowej ucieczki, a potem pogromu. Dostrzegł Jaela na przeciwnym skrzydle bitwy, wciąż siedzącego na koniu i otoczonego pierścieniem zbrojnych, powoli cofającego się na południe, w stronę linii lasu.

Chyba wpadł na ten sam pomysł co ja, uświadomił sobie Ulfilas.

Pokręcił głową i popędził konia w górę zbocza.

Naraz ziemia kilkanaście kroków przed nim eksplodowała. Piach i strzępy darni wystrzeliły w powietrze, a pod nimi zamajaczyło coś ciemnego i okrągłego. Ulfilas zachwiał się w siodle i znów szarpnął za wodze. Już wiedział, na co patrzy.

Natknął się na ogromną zapadnię.

Ze środka wybiegali ludzie, zarówno mężczyźni, jak i kobiety, dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści osób, wszyscy z długimi łukami. Wstrząśnięty Ulfilas patrzył, jak formują szereg, wyciągają strzały z kołczanów, napinają łuki i zwalniają cięciwy.

Celując prosto w niego i ludzi, których skrzyknął.

Rzucił się w tył i w tej samej chwili usłyszał miękkie łupnięcia, z jakimi groty wbijają się w ciała. Jego koń stanął dęba i runął na ziemię, kopiąc i wierzgając. Wszędzie naokoło ludzie padali, przeszyci pierzastymi pociskami.

Ulfilas również padł. Jedna stopa uwięzła mu w strzemieniu, ale wyrwał ją gwałtownym szarpnięciem. Poderwał się na jedno kolano w chwili, gdy strzelcy ponownie napięli łuki. Rzucił się płasko na ziemię, usłyszał wokół siebie kolejne wrzaski, po czym uniósł głowę i rozejrzał się.

Ludzie, których prowadził, zawahali się, choć nadal mieli nad łucznikami przynajmniej trzykrotną przewagę.

Ci strzelcy to ostatnia przeszkoda, która dzieli mnie od wolności. Porządna szarża ich rozniesie!, pomyślał Ulfilas i wyciągnął miecz z pochwy. Machnął nim w powietrzu, wrzasnął na wojowników i runął naprzód. Za sobą usłyszał tupot stóp nacierających. Łucznicy ujęli kolejne strzały, choć na twarzach niektórych dojrzał już panikę.

Rozpędzony Ulfilas dostrzegł w środku szyku drobnego, smukłego strzelca, który ze zdecydowaniem naciągał cięciwę. Skądś odgadł, że to on dowodzi

łucznicami.

Rozwalę ci łeb!, pomyślał.

Wezbrała w nim żądza krwi i ochota, by choć w ten sposób ulżyć frustracji, którą przyniosła największa klęska w jego życiu. Przyśpieszył.

Potem ktoś jeszcze wygrzebał się z jamy. Była to pojedyncza wojowniczka Jehar, która zauważyła jego szarżę. Oczy kobiety zwęziły się. Wyszarpnęła miecz z pochwy. Za jej plecami zaroilo się od wojowników w skórach i futrach, ściskających topory o pojedynczych ostrzach.

Ludzie Gramma...

Było ich też około dwudziestu, trzydziestu. Uformowali szereg i zaczęli ciskać toporami. Ulfilas padł z impetem na ziemię. Do ust dostało mu się mnóstwo piachu, a chwilę później zwalił się na niego jakiś wojownik z toporem sterczącym z twarzy.

Topornicy ruszyli biegiem w dół zbocza, wyszarpując siekierki z pochew na plecach, a w ślad za nimi pojawili się kolejni wojownicy, dziwnie odziani, z elementami skórzanych pancerzy wokół przedramion i barków. Większość uzbrojona była w puklerze, krótkie miecze i noże.

A niech to szlag, przemknęło Ulfilasowi przez myśl.

Pragmatyzm znów zwyciężył. Przyboczny Jaela zerwał się na równe nogi i popędził w przeciwnym kierunku.

Coś grzmotnęło go w plecy i wybiło powietrze z płuc. Stracił równowagę i runął na ziemię. Próbował się podnieść, ale ramiona odmówiły mu posłuszeństwa, a po plecach rozlewało się mrowiące odrętwienie. Zdołał oprzeć się na prawym łokciu i dźwignąć, ale lewe ramię wcale go nie słuchało.

Muszę wstać. Zginę, jeśli tu zostanę, pomyślał.

Zakaszłał. Na ziemi pojawiły się kropelki krwi.

Co?!

Wtem poczuł ciężar na plecach – czyżby czyjś but? – i nieprzyjemne uczucie szarpania, któremu towarzyszyło mokre mlaśnięcie. Ciężar znikł i zastąpił go ból, a stopa wsunęła się pod jego klatkę piersiową i przewróciła go na plecy.

Ulfilas stęknął, wpatrując się w brodatą twarz.

– I co my tu mamy? – odezwała się twarz. – Miałem nadzieję, że się na ciebie natknę.

Był to Wulf. Szeroko uśmiechnięty.

Trzymał w ręku topór, z którego ściekała krew. Wzniósł go wysoko nad głowę, a Ulfilas wrzasnął.

## Rozdział osiemdziesiąty drugi

# HAELAN

Haelan przyglądał się bitwie z murów Drassil. Był to oczywiście pomysł Swaina, ale Haelan nie protestował długo. Czuł wielką dumę z faktu, że Corban poprosił go o opiekę nad szczeniakami Burzy, ale gdy na murach fortecy zagrały rogi, które oznajmiły przybycie armii Jaela, poczuł ogromną ochotę, by się jej przyjrzeć. Swain zaproponował, by zaspokoili swą ciekawość, nie porzucając obowiązków, a Haelan nawet się nie zawahał.

Wraz ze Swainem i Sif stali więc na opuszczonym odcinku zachodniego muru. Każde z nich trzymało po dwa szczeniaki pod pachą, a Garnek siedzący przy stopach Haelana spoglądał na niego z lekkim wyrzutem. Z początku wsadzili szczenięta do wielkiego kosza z witek wierzbowych, który we trójkę zanieśli na mury, ale wilkuny szybko stały się niespokojne, więc postanowili je wyciągnąć i pozwolić im również przyjrzeć się bitwie. Chyba im się spodobało, bo przestały piszczeć.

Haelan z kolei miał trudności z oddychaniem, a jego serce co chwila biło tak mocno, iż mało z piersi nie wyskoczyło. Wspięli się na mury, gdy Corban rozpoczął pojedynek z odzianym na czarno wojownikiem, bez wątpienia Jehar, i chłopiec szybko nabrał pewności, że jego przyjaciel zaraz zginie. Serce zalała mu rozpacz, a świat utonął we łzach. Gdy głowa Jehar wystrzeliła w powietrze, Haelan znów wybuchnął płaczem, tym razem z radości.

Jego uniesienie raz jeszcze przesłoniła groza, gdy Jael dopuścił się zdrady i pchnął na Corbana swoich przybocznych.

Młodzieniec w ostatniej chwili wskoczył na rozpędzonego wierzchowca.

Na widok Tarczy i Burzy, gnających na odsiecz Corbanowi, Haelan wiwatował i wrzeszczał, ponaglając zwierzęta. Jego okrzyki mieszały się z wołaniem Swaina i Sif.

Jeśli Haelan kiedykolwiek wątpił w to, że Corban jest największym

bohaterem Ziem Wagnanych, wątpliwości te znikły bez śladu po tym, co zobaczył tego dnia. Był gotów stanąć do walki z każdym, kto ośmieliłby się mieć inne zdanie.

Teraz cała równina wzdłuż zachodniego muru kipiała walką.

– Wygramy! – darł się Swain, który umieścił już swoje szczeniaki w koszu, a teraz podskakiwał z radością.

Oczywiście, że tak!, pomyślał Haelan.

Po zwycięskim pojedynku Corbana i jego ucieczce spod ostrzy przybocznych Jaela zwycięstwo wydawało się nieuniknione. Chłopiec martwił się tylko o to, kto przypłaci je życiem.

Gdzieś tam jest Tahir! I walcz dla mnie!, myślał.

Przyglądał się uważnie walczącym, ale trudno było w ich ciżbie wypatrzeć pojedynczych wojowników. Łatwiej było dostrzec olbrzymy, a zwłaszcza siwowłosego Balura wymachującego czarnym toporem, bez przerwy otoczonego bryzgami krwi, które z tej odległości przypominały czarne krople rosy na porannej trawie. Chłopiec widział też Corbana, wciąż w siodle, z Burzą, która nie przestawała skakać i rozszarpać wrogów.

Trzymane przez niego szczeniaki wierciły się i wiły, a więc odłożył je do kosza, głaskając swojego ulubieńca: brązową, cętkowaną suczkę z pyszczkiem czarnym jak noc.

Dostrzegł porzecz Jaela, który powiewał w samym środku szyku, a potem zaczął się przesuwać na północ, niesiony przez pojedynczego jeźdźca, który najwidoczniej próbował się wyrwać z serca bitwy. Potem sztandar znikł, ale Haelan dalej widział jeźdźca, który zmierzał wciąż w tym samym kierunku, gromadząc wokół siebie coraz więcej ludzi.

Uciekają!, pomyślał chłopiec.

Jego serce wypełniła nadzieja. Coś mu mówiło, że bitwa wchodzi w ostatni etap.

Potem zauważył Jaela i jasną kite sterczącą z jego hełmu. Władca wciąż siedział na koniu, otoczony pierścieniem zbrojnych. Przebijali się na południe, aż dotarli do linii drzew, gdzie zatrzymało ich kilku olbrzymów.

Haelan zaciskał dłonie na kamiennych blankach z taką siłą, że bieleły mu kłykcie. Modlił się, by Jael wreszcie padł w bitwie, ale starcie zamieniło się w krwawą, chaotyczną masakrę, z której nie mógł niczego wypatrzeć. Był pewien tylko tego, że jakiś olbrzym padł w walce, po czym ujrzał ludzi znikających w lesie. Nigdzie nie widział Jaela.



Naraz odniósł wrażenie, że całe pole bitewne zamarło na moment, a potem przeszło je drzenie przypominające spazm konającego zwierzęcia.

Strumyczki uciekających zamieniły się już w szerokie strugi. Wojownicy w czerwonych płaszczach odrywali się od walki całymi dziesiątkami, a obrońcy Drassil następowali im na pięty, bez litości siejąc śmierć.

Nagle Haelana tknęła nowa myśl.

Przecież ci uciekający pochodzą z Isiltiru! To moi ludzie!

– Pilnujcie szczeniaków! – rzucił do Swaina i Sif. – I nie pozwólcie, by Garnek za mną pobiegł!

I popędził w dół schodów, przeskakując po dwa stopnie naraz.

Na dziedzińcu przed głównymi bramami nadal stały osiodłane, gotowe do walki konie. Haelan bez wahania wskoczył na jednego z nich. Rumak był nieco za duży, a strzemiona nazbyt długie, ale z oczekujących tu koni najlepiej się nadawał, a poza tym chłopiec trenował jazdę konną od najmłodszych lat i świetnie sobie radził w siodle. Bez namysłu cmoknął głośno i wypadł przez bramy.

Wjechał w całkiem inny świat. Z murów bitwa przywodziła na myśl piasek, wzburzony nacierającymi, morskimi falami, ale tu otoczył go wściekły hałas, wypełniony wrzaskami konających i rykiem żywych. W powietrzu unosił się smród krwi, metalu i odchodów. Wszędzie szalał chaos, wśród którego Haelan starał się odnaleźć Corbana. Patrząc na uciekających Isiltirczyków, olbrzymy kroczące z toporami i młotami, aż dostrzegł błysk białego futra i podążył w tym kierunku.

Nim pokonał sto kroków, przeszył go dreszcz lęku.

Jestem jednym z powodów, dla których Jael przybył tu na czele wielotysięcznej armii. On chce mojej śmierci!, uświadomił sobie.

– A co ty tu robisz, młody?! – krzyknął ktoś.

Tahir!, pomyślał Haelan z ulgą. Cieszył się, że jego przyboczny wciąż żyje i że to on go wypatrzył, a nie któryś z wojowników Jaela.

– Mam pomysł! – zawołał. – I muszę znaleźć Corbana.

Tahir spojrzał na niego ostro. Ewidentnie walczył z ochotą, by zabrać chłopaka z powrotem za bezpieczne mury Drassil.

– Dobra – zdecydował w końcu. – Posuń się. Pojedziemy razem.

Natrafili na Corbana, gdy ten pił wodę z bukłaka. Był zbryzgany krwią, a mokre od potu włosy kleiły mu się do czoła. Zgromadziło się wokół niego kilkoro ludzi i olbrzymów – Haelan dostrzegł Gara, Meicala, Coralen, Farrella

i Laith oraz Balura i Ethlinn, a także oczywiście Burzę.

Bitwa, która przeistoczyła się w pościg za uciekającymi, oddaliła się już od nich. Szczęk oręża dobiegał tylko z miejsc, gdzie kilka mniejszych oddziałów tylnej straży wycofywało się w bardziej zorganizowany sposób.

– Mały ma ci coś do powiedzenia – rzekł Tahir, gdy podjechali bliżej.

Haelan spojrział na srogie, zbryzgane krwią twarze i zadrżał w duchu, ale pokonał lęk. Wiedział, co chce przekazać.

– To moi poddani – oznajmił. – Myślę, że Jael uciekł, a może nawet padł w walce. Widziałem z murów, jak jechał gdzieś tam. – Wskazał kierunek. – Reszta zaś może się zatrzymać, jeśli ich poproszę. Jeśli zaproponuję im łaskę.

– Łaskę? – warknął Farrell.

– Tak! – Haelan uniósł wysoko podbródek i spojrział na Corbana. – Niektórzy z nich... Ba, myślę, że bardzo wielu wypełniało tylko rozkazy króla. Pamiętasz, jak wiwatowali po twoim zwycięstwie?

Corban spojrział na niego z namysłem. W spojrzeniu jego ciemnych oczu Haelan dojrzał nieprzebrane wyczerpanie, które młodzieniec próbował zamaskować.

– Masz rację – powiedział Corban. – Dalsza rzeź jest pozbawiona sensu.

\* \* \*

Haelan wisiał w powietrzu, trzymany niczym ludzki proporzec przez Balura Jednookiego. Z jednego strony olbrzyma osłaniał Tahir, a z drugiej Corban, a Benothi grzmiącym głosem ogłaszał Haelana królem Isiltiru oraz oferował łaskę wszystkim, którzy złożą broń.

Poddało się prawie siedem setek.

– Cóż. – Farrell zwrócił się do Corbana i Haelana, gdy zgromadzili się pod bramami Drassil. – Rzadko chyba się zdarza, by ktokolwiek kończył bitwę, mając więcej ludzi, niż gdy ją zaczął.

– Tak. I chyba możemy śmiało uznać ją za zwycięską – rzekł Corban.

– Och, nie ma co do tego dwóch zdań – odparł Gar ze znużonym uśmiechem.

Wtedy z północy nadeszła grupa zbrojnych – Dath z łucznikami, Wulf na czele miotaczy toporów oraz Javed ze swymi gladiatorami. Wulf trzymał wysoko odciętą głowę, którą rzucił pod nogi Corbana.

– To był Ulfilas – oznajmił. – Dowódca wojsk Jaela i człowiek, który zabił

mego ojca.

– Cieszę się – powiedział Corban ze zmęczeniem. – Oto dzień, w którym dokonana się sprawiedliwość, a krzywdy zostały pomszczone.

– Tak! Tak! – potwierdziły liczne głosy wokół niego.

Haelan zauważył Datha, który spoglądał na Corbana z najszerszym uśmiechem, jaki kiedykolwiek u niego widział. Przy łuczniku stała drobna Jehar, bardzo piękna, jak uznał chłopak. Ona również się uśmiechała.

– A co was tak bawi? – zapytał Corban.

– Żenię się! – oświadczył Dath i uśmiechnął się jeszcze szerzej.

## Rozdział osiemdziesiąty trzeci

# CAMLIN

Camlin siedział i czekał.

Czasem mam wrażenie, że przez pół życia siedzę i czekam na ludzi, których trzeba będzie zabić, pomyślał. Nie jestem pewien, co jest gorsze: czekanie czy zabijanie. Chyba wszystko zależy od tego, kogo przyjdzie mi zabić.

Czuwał na niewysokim pagórku, nad gęstymi połaciami szuwarów. Miał stąd świetny widok na okolicę przeciętą tuzinem strumieni i rzek wypływających z jeziora i zmierzających w kierunku, z którego zdaniem tropiciela mógł nadciągnąć Ewnis. Po przeciwnej stronie miał jezioro oraz osadę, która wyrosła wzdłuż jego brzegu, bezludną już i opuszczoną, nie licząc kilku włóczących się tu i tam kur. W wygasłym dawno palenisku grzebała jakaś pardwa, która najwidoczniej uznała to miejsce za swoje. Z ciemnych, nieruchomych wód jeziora wyrastały ruiny Dun Crin. Gdyby Camlin wyteńczył wzrok, ujrzałby wojowników na starożytnych murach bądź stojących w cieniu kruszących się baszt.

Niebo było jasnoniebieskie. Camlin z ulgą witał podmuchy wiatru, które rozpędzały zastałe powietrze bagien i przynosiły zapach wiosny.

Dobrze, że przynajmniej złą pogodę mamy już za sobą, pomyślał. Bez deszczu czy śniegu czekanie nie jest już tak uciążliwe.

Usłyszał za sobą kroki. Wśród trzciny wypatrzył jasne włosy Edany, która nadchodziła w towarzystwie Roisin, Lorcana i Pendathrana oraz przybocznych – Haliona, Vonna, Ciana i Brogana. Przepchnął się przez szuwary ku nim.

- A więc wszystko gotowe?
- Lepiej już nie będzie – rzekł Pendathran. – Dasz sobie radę?
- Oczywiście – burknął Camlin.
- Oczywiście, że tak – parsknęła Edana.

– Jasne, przecież już pokazałeś swą wartość, to pewne – westchnął Pendathran. – Nie zwracaj na mnie uwagi. Denerwuję się przed walką, i tyle.

– Nie sądzę – wtrąciła Roisin powabnym głosem, który wcale się Camlinowi nie spodobał.

– Ja też w to nie wierzę – oznajmiła Edana i zlustrowała wzrokiem bagna, pełne strumieni, rzek i kryjówek.

A ja wierzę, i to mocno, pomyślał Camlin. Brałem udział w przynajmniej setce starć, ba, może było ich więcej, a wciąż zasycha mi w gębie i pocą mi się łapska, gdy wiem, że ma się na walkę.

– To wizja śmierci – powiedział rzeczowo. – Bez względu na to, z ilu bitew człowiek wyszedł cało, wcale nie ma gwarancji, że przeżyje kolejną.

Wszyscy umilkli.

– Cóż, cieszę się, że dodałeś nam wszystkim otuchy – stwierdziła Roisin.

Nad ich głowami rozległ się łopot skrzydeł i z nieba opadł ciemny kształt.

– Ludzie. Włócznie. Łodzie – zakrakał Craf, wylądowawszy na gałęziach wierzby.

Zaczynam się cieszyć, że Edana nakłoniła go, by pozostał, pomyślał Camlin.

– Blisko! – zakrakał ptak i zatrzepotał skrzydłami, by podkreślić swe słowa. Wszyscy podskoczyli z przestrachu, nawet Pendathran, który zaklął.

– A więc sprawa przesądzona. – Edana rozejrzała się dookoła. – Wiecie, co do was należy.

– Tak – rzekł Pendathran. Spojrzał zebrany w oczy i uśmiechnął się. – Za Ardan i Domhain, za rodziny i przyjaciół, za nasze królowe.

Rozstali się, a tropiciel zawrócił w kierunku swego pagórka.

– Camlin! – zawołał Halion, idąc za nim. – Do zobaczenia wkrótce.

Uścisnęli sobie przedramiona w pozdrowieniu wojowników.

– Tak, bracie – odpowiedział tropiciel. – Po tej stronie lub po tamtej.

\* \* \*

I znów musiał czekać.

Sprawdził łuk i cięciwę, upewnił się, czy miecz gładko wysuwa się z pochwy i wsunął go z powrotem z cichym szcęknięciem. Obejrzał strzały, których groty owinięte były cuchnącym płótnem. Krzemień, huba i nieco rozpałki leżały w pobliżu, suche i gotowe do użycia.

Dobrze.

Szuwary zaszeleściły i wyłoniła się spomiędzy nich umorusana buzia z rozczochraną rudą czupryną.

– Cześć, Meg – odezwał się Camlin. – Nie powinnaś się tu szwendać w takich chwilach.

Reprymendę wygłosił bez przekonania, bo już dawno pojął, że dziewczynka zawsze robi to, na co ma ochotę, bez względu na jego uwagi.

– Nie martw się o mnie – powiedziała.

Tropiciel zmarszczył brwi.

– Nie przeszkadza ci to, co masz do zrobienia? – spytał.

Przyjął wobec Meg nową strategię. Przekonał się, że jeśli próbuje coś przed nią ukryć, mała chodzi za nim krok w krok, a na koniec i tak się do niego przyłącza. Teraz więc wynajdował dla niej zadania, nawet podczas najbardziej niebezpiecznych akcji. Tak postąpił podczas polowania na Braitha.

I gwiazdom niech będą dzięki, że skończyło się to tym, czym się skończyło, pomyślał.

Co noc, gdy kładł głowę na poduszce, czuł w sercu ulgę, że Braith nie mógł już na niego polować.

– Nie – odparła mała. – Przyszłam tylko zobaczyć, czy wszystko u ciebie w porządku. – Spojrzała na niego uważnie i uśmiechnęła się. – I wszystko jest w porządku – dodała, po czym obróciła się i znikła wśród trzcin.

Dziwne dziecko, pomyślał Camlin. Ale może dlatego tak dobrze do nas pasuje. Do nas i do mnie.

Wtem jego uszu dobiegło skrzypnięcie drewnianej łodzi i plusk zanurzanych w wodzie wiosł, cichy, ale mimo to słyszalny.

Do roboty, pomyślał.

## Rozdział osiemdziesiąty czwarty

# EVNIS

Siedzący na dziobie łodzi Ewnis zamrugął, gdy przed jego oczami otworzyła się tafla jeziora. Tkwiący obok Glyn zaklął.

Kto by przypuszczał, że takie miejsce w ogóle istnieje?, pomyślał Ewnis.

Jezioro było ogromne, a jego wody ciemne i nieruchome. Gdzieś ze środka wyrastały kamienne mury i wieże zrujnowanej fortecy, oblepione zielonymi porostami i obrośnięte pnączami. W wodzie przy murach przemykały jakieś wijące się kształty, a z zakamarków umocnień zrywały się rozkrzyczane ptaki, spłoszone przybyciem wojowników.

Rafe znajdował się na pierwszej łodzi, a jego szare ogary siedziały przy nim nieruchomo niczym kamienne posągi bądź galiony okrętu. Ludzie za plecami Ewnisa wiosłowali wytrwale. Łódź wpłynęła na wody jeziora, a za nią kolejne. Inne wypływały z dziesiątków rzek i strumieni wpadających do akwenu od północnego wschodu.

Gdy połowa ich flotylli znalazła się już na wodach jeziora, pomiędzy dwóch wieżyc, wyłaniających się z toni, wychynęła łódź, która skierowała się ku nim.

– Stać! – zawołał Ewnis i wznosił rękę, a wiosłarze zaczęli pracować wiosłami wstecz.

Samotna łódź zbliżała się. Było w niej czterech, może pięciu ludzi, z których jeden miał jasne, długie włosy.

Zaraz, przecież to chyba nie...

Nadciągający wiosłarze zatrzymali swą łódź i obrócili ją burtą do tej, w której siedział Ewnis. Dzielili ich może odległość pięćdziesięciu kroków. Połowa flotylli regenta Ardanu znajdowała się już na wodach jeziora, a pozostałe łodzie zatrzymały się w dopływach.

Edana powstała, a Ewnis uśmiechnął się. Królowa ubrana była w zwykłe wełniane spodnie, lnianą koszulę i kamizelę z czarnej skóry, przez co bardziej

przypominała tropicielkę niż królową, ale na ramiona narzuciła jeden z szarych płaszczy Ardanu, których Ewnis nie widział już od dawna. Przy pasie miała miecz, co go niemalże rozbawiło.

– Nie musi dziś dojść do rozlewu krwi! – zawołała. Jej głos niósł się daleko po nieruchomej tafli jeziora.

Nie sądzę, by połała się nasza krew, pomyślał Ewnis. Może ma na myśli własną?

Edana patrzyła na wojowników w łodziach. Spoglądała im w oczy. Ludzie za plecami Ewnisa wierzili się nerwowo i odwracali głowy.

– Widzę wśród was Ardańczyków! Prawdziwych wojowników, którzy walczyli dla mego ojca.

Fakt, ale teraz stoją po mojej stronie, pomyślał Ewnis. Zresztą zawsze tak było.

– Widzę też Narvończyków, ludzi Owaina! I wojowników z Domhainu, niegdyś służących królowi Eremonowi.

Za plecami Edany podniosły się dwie inne osoby. Jedna okazała się ciemnowłosym wojownikiem, któremu jeszcze trochę brakowało do dorosłości, a drugą była wysoka kobieta, również czarnowłosa, która z dumą zadarła podbródek.

Co za piękność! – pomyślał Ewnis.

– Oto Roisin z Domhainu, żona Eremona, i jej syn Lorcan, prawowity następca tronu Domhainu!

Wspaniale. Jestem ci do zgonnie wdzięczny, Edano, za zgromadzenie wszystkich szcurek w jednej łodzi, przeszło Ewnisowi przez myśl. Bardzo ułatwiłaś mi życie.

– Jesteście pionkami w rękach kobiety o czarnym sercu! Intrygantki, oszustki i zdrajczynie. Rhin to nie królowa, a tyran! Choroba, którą należy wyciąć i wypalić!

Ku swemu zaskoczeniu Ewnis złapał się na tym, że jej słucha, zupełnie jakby Edana naprawdę miała coś ważnego do powiedzenia. Oderwał od niej wzrok i spojrzał na pozostałe osoby siedzące przy wiosłach. Jedną z nich był Halion, który ze spokojem patrzył na łodzie za Ewnisem. Mężczyzna spojrzał na drugą osobę i aż drgnął.

Był to Vonn, który wpatrywał się prosto w niego.

Zapadła długa cisza. Oboje patrzyli na siebie, aż Ewnis skinął lekko synowi. Ten odwrócił wzrok.



Edana dalej mówiła coś o pokoju i o tym, że dobrzy ludzie powinni łączyć siły.

– Czy ktoś mógłby ją zabić? – rozległ się czyjś okrzyk. – Uprzejmie proszę! Morcant, któżby inny, pomyślał Ewnis. Ale chyba spełnię jego prośbę.

Wyryczał rozkaz. Wiosła zanurzyły się z pluskiem w wodzie i flotylla ruszyła.

Edana, Roisin i Lorcan usiedli, a Halion i Vonn złapali za wiosła. Najszybciej jak mogli odpłynęli w stronę zatopionej fortecy.

Naraz z dziur w murach i zza wież wyłoniły się inne łodzie, a każda, w której zasiadali ludzie, holowała za sobą pustą. Ewnis zarejestrował to, ale nie miał czasu, by się nad tym zastanowić. Zbliżał się do Edany.

Niespodziewanie usłyszał za sobą głośny, rozdzierający szum, po którym rozległy się wrzaski. Odwrócił się, rozkołysując łódź, i ujrzał falę ognia, rozlewającą się wzdłuż brzegów i wdzierającą się w górę strumieni i rzek, którymi nadpłynęli.

Jak ona, do cholery, tego dokonała?, zastanawiał się. Przecież to bagna! Więcej tu wody niż czegokolwiek innego!

Wiele spośród łodzi już płonęło, a ogarnięci ogniem ludzie wskakiwali do wody. Z tego, co widział Ewnis, ściana płomieni rozdzieliła jego oddział na pół.

Wyzwał się w myślach od głupców i pogonił wiosłarzy. Zależało mu teraz tylko na jednym – na zabiciu Edany.

## Rozdział osiemdziesiąty piąty

# CAMLIN

Camlin patrzył, jak Meg pociąga za długą linę i rozwija zwiniętą matę uplecioną z wyschniętych liści i trzcin. Mata zawisała nad strumieniem, rozdzielając dwie łodzie pełne wojowników. Wówczas tropiciel przytknął koniec strzały do niewielkiego ognia, który rozniecił, a natarte rybim tłuszczem płótno, owinięte wokół grotu, z sykiem stanęło w płomieniach. Uniósł łuk, napiął cięgiwę i wypuścił, a strzała zakreśliła półkrąg w powietrzu i spadła na matę z trzcin. Ta również została nasączona rybim tłuszczem, przez co błyskawicznie zajęła się ogniem.

Płomienie huczały i łapczywie ogarniały ludzkie ciała zarówno znajdujące się przed ścianą ognia, jak i te za nią, a wojownicy wrzeszczeli i zeskakiwali z łodzi. Meg w tym czasie pomknęła do innego miejsca na brzegu rzeki, gdzie wraz z kilkoma ludźmi ukryła się wśród trzcin. Na kolejne łodzie poleciały gliniane garnki, również wypełnione rybim tłuszczem, i Camlin posłał tam następną płonąca strzałę. Któraś z łodzi stanęła w płomieniach. Myśliwi ukryci wśród trzcin dołączyli do ostrzału. Ogniste pociski wzniecały kolejne pożary, okraszane przeraźliwymi wrzaskami. Camlin miał wrażenie, że słyszy wrzaski dosłownie zewsząd, gdyż podobne ataki przeprowadzano na tuzinie dopływów.

Zerknął na jezioro, gdzie Ewnis prowadził około dwadzieścia łodzi ku Dun Crin, w ślad za uciekającą Edaną. Zza fortyfikacji wyłaniały się już inne łodzie, które szły na spotkanie odciętej połowy flotylli Ewnisa.

A więc wszystko rozgrywa się zgodnie z planem, pomyślał Camlin. Cóż za miła niespodzianka.

Wrzaski i okrzyki bitewne sprawiły, że skierował wzrok z powrotem na rzekę. Wzdłuż brzegów czyhało około tuzina wojowników Edany, z których część zajmowała się tym samym co on, a inni biegli już naprzód. Ludzie

Evnisa wyskakiwali na brzeg bądź do niego dopływali, a za nimi nadciągały kolejne łodzie, niektóre nietknięte ogniem.

Cholera, ale ich dużo, zauważył Camlin. Pięć setek wedle moich rachub.

Szanse nie były wyrównane, gdyż hufiec Edany liczył niecałe dwieście mieczy.

Na szczęście właśnie zajmujemy się wyrównywaniem różnic, dodał Camlin w myślach.

Obie strony ciskały w siebie włóczniami. Tropiciel nachylił się, gdy jedna z nich ze świstem przemknęła ponad jego głową, a potem wyprostował się i zaczął szyć w ludzi. Pakował płonące strzały w klatki piersiowe, gardła, plecy i uda. Zdołał powalić przynajmniej pół tuzina wrogów, nim reszta z dzikim wrzaskiem dotarła do brzegu i ruszyła na jego pagórek.

Pora uciekać, stwierdził.

Złapał w połowie pusty kołczan, zarzucił go sobie na plecy, ale zaczął jeszcze chwilę. Gdy usłyszał chrzęst trzciny u stóp pagórka, ujął gliniany garnek, cisnął go w powietrze i rzucił się do ucieczki. Usłyszał za sobą hałas, kiedy garnek roztrzaskał się na niewielkim ognisku, a potem syk zasysanego powietrza i eksplozję płomieni, rozchodzących się po szuwarach i ogarniających nadbiegających ludzi.

I znów wrzaski.

Wypadł z szuwarów ścigany rykiem płomieni i przetoczył się po brzegu wśród opuszczonych chat. Zerwał się na równe nogi. Z ujścia każdego strumienia i każdej rzeki dobiegały odgłosy zaciętej walki. Podobne, choć mniej wyraźne, niosły się od zatopionej fortecy. Camlin wyteżył wzrok, przejęty lękiem o Edanę.

Na jeziorze unosiły się ognie przypominające świece kołyszące się na falach.

Założę się, że z bliska nie wygląda to tak pięknie, pomyślał.

Na jego oczach jedna z pustych łodzi, którą wyładowali słojami rybiego oleju i suszonych liści została pchnięta długimi tyczkami prosto na wrogą szalupę. Kadłuby zderzyły się z trzaskiem, potem poleciała pochodnia i obie jednostki strzeliły płomieniami.

Jeszcze więcej wrzasków.

Mam wrażenie, że się ich jeszcze dziś nasłuchamy, pomyślał Camlin.

Wiele łodzi Evnisa już płonęło i tropiciel ujrzał niewyraźne sylwetki ludzi płynących w stronę lądu. Inne jednostki najeźdźców dotarły jednakże pod

mury Dun Crin i wojownicy gramolili się już na zimne kamienie. Ponad falami jeziora pomknął szczęk oręża.

Na murach zatopionej fortecy czekało jedynie sześćdziesięciu wojowników Edany, gdyż pozostała setka próbowała powstrzymać siły wroga na brzegach strumieni i rzek, gdzie oczekiwano, że walka będzie najbardziej zacięta.

A skoro już mowa o walce...

Camlin oderwał wzrok od Dun Crin i uznał, że w tej sytuacji może się przysłużyć Edanie tylko w jeden sposób – zabijając tych spośród jej wrogów, którzy znajdowali się najbliżej.

Nałożył strzałę na cięciwę i zgarbiony pobiegł wzdłuż brzegu jeziora ku strumieniom. Minał ścianę ognia i wpadł prosto w chaos. Świat niespodziewanie skurczył się do kilkunastu kroków w każdą stronę. Blokada nadal płonęła, ale nawet gdyby płomienie już przygasły, żadna łódź nie zdołałaby się przedostać nad jezioro, gdyż dwie pierwsze w ich korowodzie zamieniły się w płonące inferna, całkowicie blokując wyjście na szersze wody. Wśród szalejących ogni czerniały poskręcane ciała. Kilka dalszych jednostek również płonęło. W wodzie brodziło wielu rozbitków, przebijanych niczym ryby włóczniami ciskanymi przez towarzyszy Camlina, ale niektóre łodzie zdołały już przybić do brzegu, na który wyskakiwali teraz rozwścieczeni zbrojni, piętnastu, dwudziestu, a za nimi kolejni. Camlin rozpoznał jednego z nich, odzianego w czarne skóry, płaszcz z soboli i srebrny hełm.

Morcant.

Były pierwszy miecz Rhin poprowadził swoich ludzi do ataku i ściał dwóch spośród wojowników Edany, nim ci w ogóle zorientowali się, że wróg wylądował.

Camlin znalazł sobie nieco wyżej położone stanowisko i zaczął szyc strzałami w przeciwników. Dobrze wiedział, że samą swoją przewagą mogliby zmieść w ciągu paru chwil ludzi Edany. Morcant znikł mu z oczu, więc tropiciel skupił się na jego wojach.

Jeden z nich zakręcił się i wpadł do strumienia ze strzałą w sercu, inny runął z dłońmi zaciśniętymi na pocisku wbitym w gardło. Trzech wojowników dostrzegło Camlina i rzuciło się ku niemu biegiem. Zdołał wpakować jednemu z nich strzałę w udo i skoczył między gęste gałęzie wierzbowe. Skręcił w prawo, gdzie rosły gęstsze szuwary i zaczął się przez nie przedzierać, chcąc znów dotrzeć na brzeg strumienia, ale tak, by znaleźć się za plecami biegnących na niego ludzi. Ci nadal ostrożnie przedzierali się między

wierzbami. Camlin przyklęknął i posłał strzałę w plecy najbliższego. Grot przebił się przez skórzany napierśnik i wszedł głęboko w ciało. Kolejna strzała wgryzła się prosto w usta odwracającego się przeciwnika, rozbijając mu zęby i wchodząc głęboko w mózg. Nie zwlekając, Camlin rzucił się do biegu. Musnął kołczan.

Zostały mi tylko trzy strzały, przeszło mu przez myśl.

Kluczył wśród wysokich traw, skakał, przecisnął się przez zagajnik olch i skręcił w lewo w nadziei, iż uda mu się zmylić pościg. Naraz ujrzał wierzbę, którą minął chwilę wcześniej. Podbiegł do niej i ostrożnie wyjrzał zza zwisających gałęzi, ale nigdzie nie widział wrogów. Nie mógł też dostrzec brzegu strumienia, ale miał wrażenie, że zgiełk bitewny nieco przycichł.

Czyżby było już prawie po wszystkim?

I naraz coś uderzyło go w plecy. Runął na ziemię i przetoczył się, wypuszczając łuk z ręki. Gdy się zatrzymał, ujrzał Morcanta, który wyłonił się z gęstwiny wierzbowych gałęzi z mieczem w dłoni. Uśmiechał się szeroko.

– Mogłem cię zabić, ale się powstrzymałem – rzekł, nadal uśmiechnięty. Za jego plecami pojawili się wojownicy: czterech, sześciu, siedmiu, kolejni wśród cieni. – Pamiętam cię z Ciemnego Boru – ciągnął mężczyzna, nie przestając się uśmiechać. – Uznałem więc, że szkoda byłoby po prostu pchnąć cię w plecy.

– Bardzo szlachetne z twojej strony – oznajmił Camlin, klękając na jedno kolano. Zerknął na swój łuk. Morcant cofnął się o krok i odrzucił go kopnięciem.

– Może powinienes złapać za miecz? – spytał, podchodząc.

Camlin w duchu wiedział, że niewiele mu to pomoże, ale mimo to wstał i wyciągnął broń.

– Doskonale – oznajmił Morcant.

Jego miecz przeciął powietrze z ogromną prędkością. Camlin próbował się zasłonić, ale ujrzał, jak wrogie ostrze prześlizguje się wokół jego klingi i zahacza o zębra. Stęknął z bólu, cofnął się, sparował cios znad głowy i cięcie w brzuch, po czym przeoczył sztych, który przebił mu udo. Krew buchnęła po nodze i tropiciel zatoczył się. Zrozumiał, że Morcant musiał przebić mu mięsień, gdyż w tej samej chwili noga ugięła się pod jego ciężarem i zwałił się na ziemię.

– Cóż, było miło, ale każda zabawa kiedyś dobiega końca – rzekł Morcant i stanął nad Camlinem, po czym wzniósł miecz.

Niespodziewanie w jego ramię wbiła się strzała. Wojownik zatoczył się o krok, warknął głucho i rozejrzył się.

– Tutaj! – wykrzyknął jakiś cienki głosik. – Tu!

Camlin przetoczył się. Myślał tylko o tym, by znaleźć się jak najdalej od ostrza Morcanta, wciąż świadom tego, że nawet naszpikowany strzałami człowiek Rhin nadal pozostawał śmiertelnie niebezpieczny. Kątem oka dostrzegł Meg z niewielkim łukiem, który zrobił dla niej z nudów. Nigdy by mu do głowy nie przyszło, że kiedyś uratuje mu nim życie.

Meg wołała do kogoś, kto wyłaniał się spomiędzy drzew i krzaków. Nagle Camlin ujrzał brodatą, zbryzganą krwią twarz rozwścieczonego Pendathrana, prowadzącego dwie dziesiątki zbrojnych. Morcant spojrział na niego i rzucił się do ucieczki, a jego ludzie za nim.

Obok głowy Camlina zadudniły kroki rozpędzonego Pendathrana, wiodącego ludzi do ataku, a potem wyrosła przy nim Meg, która zabrała się do obwiązywania jego nogi szmatką.

– Twój dług rośnie – powiedziała z uśmiechem.

– Nie będę się z tym kłócił, mała – odparł Camlin. – Jak się przedstawia sytuacja? – spytał, gdy złapał już za łuk.

– Wygrywamy – rzekła dziewczynka. – A tak naprawdę to chyba już wygraliśmy. Ludzie Evnisa uciekają, a Pendathran, Drust i inni ścigają ich dla zabawy.

– A na jeziorze? – spytał Camlin.

Meg wzruszyła ramionami. Tropiciel, opierając się na dziecku, podkusztykał na brzeg.

Na jeziorze wciąż płonął ogień, a na brzeg wychodzili chwiejący się, zataczający ludzie Evnisa, głównie ci, którzy zamiast kolczug nosili skórzane pancerze. Camlin nadstawił ucha i doszedł do wniosku, że od strony fortecy nie dobiegają już odgłosy walki. Potem dostrzegł dwie łodzie, które zmierzały w stronę brzegu, oddalając się od miejsca starcia. Wraz z Meg zatrzymali się w cieniu porzuconej chaty i czekali.

Pierwsza z łodzi z chrzęstem wbiła się w piach. Z burty zeskoczyła Edana, która złapała równowagę i podążyła brzegiem strumienia, szybko zasłonięta przez szuwały. Druga łódź zatrzymała się płynnie, bez wstrząsów. Na brzeg zeszli Brogan oraz Cian, który podał rękę schodzącej Roisin. Była królowa Domhainu rozejrzała się szybko i długimi krokami podążyła za Edaną. Cian i Brogan nie odstępowali jej na krok.

Aha, pomyślał Camlin. Pokiwał do siebie głową, spojrział na Meg i przyłożył palec do ust, po czym podążył za nimi.

Dogonił ich bez trudu. Przemieszczał się bezszelestnie, nawet mimo tego, że zesztywniała noga bolała, jakby koń ją kopnął, a skaleczenie na żebrach płonęło żywym ogniem. Wraz z Meg zaszyli się w cieniu drzewa i przyglądali się sytuacji.

Edana zatrzymała się w niewielkim zagajniku przy strumieniu. Z jednej strony otaczały ją drzewa, a dalszą drogę uniemożliwiały gęste szuwary. Młoda królowa oparła dłoń na udzie i pochyliła się nad wodą. Wyglądała, jakby miała zaraz zwymiotować.

Roisin weszła na polanę, zatrzymała się, po czym podeszła bliżej.

– Edano, nic ci nie jest? – spytała.

– Nie – odparła dziewczyna. – Ale właśnie zabiłam człowieka.

Poklepała rękojeść miecza, a Camlin ujrzał na niej krew.

– Trudne czasy wymagają trudnych decyzji – powiedziała Roisin i podeszła jeszcze bliżej. Camlin zauważył, że oparła dłoń na nożu za pasem.

Edana wyprostowała się.

– W istocie – rzekła. – Czyli, z tego, co widzę, przysłaś tu, by mnie zabić.

Nie było to pytanie.

– Co? – parsknęła Roisin i zatrzymała się. – Nie wygaduj bzdur!

Camlin sięgnął po jedną ze swoich ostatnich strzał.

– Gadam bzdury? Cóż, możliwe. Cała ta wojna, wszystkie te pościgi, zabójstwa i zdrady mogą osłabić zaufanie do ludzi, nieprawdaż?

– Mogą – szepnęła Roisin.

– Wybacz, jeśli cię uraziłam – ciągnęła Edana. – Zrzuć to na karb znużenia walką.

– To nie zniewaga, a raczej dowód na twą inteligencję – rzekła Roisin. – W innym życiu myślę, że mogłybyśmy zostać przyjaciółkami. Mamy jednak wiele wspólnego. Ale w tym życiu stoisz mi po prostu na drodze. Jesteś zbyt popularna, a twoja sława rośnie z dnia na dzień. Nawet mój syn jedynak cię uwielbia. – Westchnęła. – Cian, Brogan, proszę.

Jej przybocznicy dobyli broni i ruszyli na Edanę.

– Roisin, nie musisz tego robić – powiedziała młoda królowa, cofając się.

– Obawiam się, że muszę. Bez ciebie Pendathran zrobi wszystko, co mi przyjdzie do głowy, a więc ten hufiec stanie się moim. Dla mego syna, oczywiście.

– Myślę, że za bardzo nawykłaś do zabijania każdego, kogo uważasz za potencjalne zagrożenie.

– Pewnie masz rację – Roisin pokiwała głową – ale wolę eliminować potencjalne zagrożenie, niż mierzyć się z nim, kiedy stanie się konkretne. Jak dotąd ta filozofia mnie nie zawiodła.

Edana dotknęła plecami szuwarów i zachwiała się.

– Nie myśl, że sprawia mi to przyjemność – powiedział Cian i wzniosł miecz nad głowę.

Wtedy Brogan pchnął go w plecy z taką siłą, że ostrze wystrzeliło z piersi mężczyzny. Edana została obryzgana krwawą mgiełką. Z szuwarów wyskoczyli Halion, Vonn oraz Lorcan.

– Jesteś moim przybocznym – syknęła Roisin do Brogana.

– Tak – odparł ten ze smutkiem i wyszarpnął ostrze. Cian osunął się na ziemię. – Ale tylko ze względu na twego syna. Jestem jego człowiekiem i wojownikiem Domhainu, a nie twoim.

Roisin wrzasnęła z furją, a potem spojrzała na syna.

– To wszystko było dla ciebie – odezwała się błagalnym głosem. – Robiłam to dla ciebie.

Lorcan spojrzał na nią chłodno.

– Nie, matko. Robiłaś to dlatego, że jesteś zazdrosna. Kochasz władzę. Ale tym razem zabrnęłaś za daleko.

– A więc... – Roisin przeniosła spojrzenie na Edanę. Wyprostowała się i przybrała iście królewską pozę. – Cóż ze mną poczniesz? Postawisz mnie przed sądem? Wtrącisz do więzienia? Skażesz na wygnanie?

– Wygnanie – powiedziała Edana i mocno zacisnęła usta.

Przez twarz Roisin przemknął grymas. W pierwszej chwili był to gorzki uśmiech, który po chwili zastąpiło drżenie ust.

– Nie żartuj sobie – rzekła.

– Zdrada – powiedziała Edana i wykrzywiła usta, jakby od samego słowa zrobiło jej się niedobrze. – Mam już serdecznie dosyć tego, że ludzie z mojego najbliższego otoczenia dopuszczają się zdrady – ciągnęła. – Moja cierpliwość się skończyła. Twoje dni wśród nas również dobiegły końca.

– To jakiś absurd! – zaprotestowała Roisin. – Nieporozumienie.

– Wszyscy cię słyszeli – stwierdziła Edana.

– Proszę – wyszeptała Roisin.

– Halion zabierze cię i porzuci tam, gdzie już nigdy nas nie znajdziesz.



Wojownik wyciągnął zza pasa kawałek sukna.

– A więc zasłonisz mi oczy i porzucisz mnie? – spytała Roisin. – Całkiem samą?

– To i tak lepszy los od tego, który ty chciałaś mnie zgotować – odparła Edana.

Roisin podbiegła do syna i złapała go za rękę.

– Proszę! – wyszeptała.

– Kocham cię, mamó, ale nie mogę ci pozwolić, byś zamordowała Edanę. Kocham ją!

– Jestem twoją matką! – wyszczała Roisin.

– Tak, jesteś. I szkoda, że kazałaś mi wybierać.

– Ach! – wrzasnęła Roisin i smagnęła syna po policzku, ale ten odwrócił głowę. Wówczas kobieta przypadła do Haliona i wczepiła się w jego skórzaną kamizelę. – Proszę, pomóż mi!

– Zamordowałaś mi matkę! Podałaś jej truciznę, którą mieliśmy otrzymać ja i Conall – odparł wojownik z twardą, zimną twarzą.

– Litości! – Roisin rozejrzała się dookoła z rozpaczą, aż, nim ktokolwiek zdołał ją powstrzymać, przypadła do ciała Ciana i złapała leżący na trawie miecz. Ujęła go oburącz i wycelowała ostrzem w Edanę. Jej postawa sugerowała, że nie trzyma tej broni w ręku po raz pierwszy.

Halion ruszył ku niej.

– Stój! – krzyknęła Edana i wojownik zamarł.

– Rzucam ci wyzwanie – powiedziała Roisin. – Wygnanie na bagnach to kara śmierci i wszyscy dobrze o tym wiecie.

– Edana wcale nie musi z tobą walczyć – oznajmił Halion. – To królowa i wydaje rozkazy.

– Wyzywam cię na Sąd Mieczy – warknęła Roisin do Edany. – Pokaż wszystkim, że jesteś twardą królową, jakiej potrzebują! A może jesteś tchórzem i z radością pozwalasz, by inni wykonywali za ciebie brudną robotę?

Edana zawahała się.

– Zawsze wiedziałam, że tylko w gębie jesteś mocna – parsknęła Roisin. – Ty rozpuszczona, płytka smarkulo!

Edana wyciągnęła miecz, na którym wciąż stygła krew.

– Nie! – krzyknęli Halion i Vonn, po czym ruszyli naprzód, ale powstrzymał ich okrzyk królowej:

– Cofnijcie się!

Mężczyźni zamarli i niechętnie zrobili krok w tył. Edana nie spuszczała oczu z Roisin, a ta obróciła miecz w dłoni.

– Miałam trzech starszych braci, którzy zmuszali mnie, bym z nimi ćwiczyła – powiedziała z bladym uśmiechem, po czym rzuciła się na Edanę, która zablokowała jej cios, cofnęła się, znów sparowała, uskokczyła w bok i rąbnęła Roisin w twarz.

Kobieta zatoczyła się i splunęła krwią.

– Pożałujesz tego, ty mała zdzi...

Edana skoczyła naprzód, odbiła miecz, którym Roisin próbowała się zasłonić, i cięła ją w nadgarstek. Z rany trysnęła krew. Roisin wrzasnęła, padła na kolana i spojrzała na przeciwniczkę z zaskoczeniem. Ta zaś stanęła nad ranną i wymierzyła drżącym ostrzem w jej serce.

Chwila ciszy się przeciągała.

– Przegrałaś – powiedziała w końcu Edana i opuściła broń. – Halionie, zabierz ją stąd. Nie chcę na nią patrzeć.

Wygląda na to, że nasza księżniczka dojrzała, pomyślał Camlin.

Halion ruszył ku Roisin, a tropiciel opuścił łuk i wsunął strzałę do kołczanu. Następnie rozejrzał się po polanie i uświadomił sobie, że jeden z towarzyszy królowej znikł.

Gdzie jest Vonn?

## Rozdział osiemdziesiąty szósty

# EVNIS

Evnis brnął wzdłuż brzegu strumienia. Potykał się i przedzierał przez wysokie trzciny i nisko wiszące gałęzie. Słońce powoli zachodziło, a nad wodą pojawiła się już mgła, która wirowała leniwie i wypełzała na ląd. Mężczyzna był przemoczony do suchej nitki i drżał na całym ciele. Ubranie na lewym boku miał popalone i poczerńnięte, a wierzch dłoni i lewa część jego twarzy piekły.

Ale uszedłem z życiem, pomyślał. Wydostanę się z tego bagna i zaczekam na hufiec z Dun Carreg. Przechytrzyła mnie ta mała zdzira Edana i upokorzyła. Na pewno ktoś inny ułożył ten plan. Może Pendathran? Widziałem go gdzieś tam. Poszukajmy pozytywnych aspektów tej sprawy. Przy odrobinie szczęścia Morcant padł w walce.

Gdzieś przed sobą Evnis dojrzał jakiś ruch. Mignęło mu szare futro, które natychmiast znikło w szuwarach.

Ogar? Rafe?, zastanawiał się. Na pewno zdoła mnie wyciągnąć z tego cuchnącego szamba.

Stracił wszystkich ludzi. Gnał za Edaną z takim zaangażowaniem, że całkiem przeoczył puste łodzie, popychane tyczkami w kierunku jego własnej. Zorientował się w sytuacji, gdy było już za późno i buchnęły płomienie. Skok do wody wydawał się jedynym sensownym rozwiązaniem, tym bardziej że cała prawa burta stanęła w ogniu.

Ależ boli...

Jakoś dotarł do brzegu, choć zgubił po drodze miecz. Pozostał mu jedynie nóż za pasem.

Nie, żeby to miało mi w czymkolwiek pomóc, pomyślał.

Przez dłuższą chwilę leżał na brzegu jeziora, oblepiony zimnym błotem, co przyniosło mu nieco ulgi, i patrzył na to, jak jego oddział ulega pożarom

i wrogim ostrzom.

Nic nie wzbudza paniki lepiej od ognia, zauważył. Muszę to zapamiętać.

Gdy powróciło mu trochę sił, w głowie pojawiła się myśl o ucieczce. Musiał jakoś wydostać się z bagien, by żyć dalej. Wkrótce po okolicy poniosły się wrzaski jego rozbitych wojowników, uciekających i ściganych przez wrogów, więc dźwignął się i rzucił do biegu. Nie zabrnął daleko – miał wrażenie, że wyczerpanie zmogło go już po kilku krokach – ale zdołał umknąć tam, gdzie nikt go już nie widział.

Od tej pory nieustannie szedł naprzód. Od czasu do czasu słyszał czyjś wrzask, najczęściej ucięty w połowie. Nie miał pojęcia, czy powodem był cios wrogiego miecza, czy może jakieś inne niebezpieczeństwa czyhające wśród mokradeł, ale żadna z tych alternatyw nie podnosiła go na duchu.

Ruszył tam, gdzie wydawało mu się, że widzi ogara, choć ten znikł mu już z oczu. Naraz usłyszał trzepot skrzydeł. Uniósł głowę i ujrzał krążącego nad nim kruka.

Ja jeszcze żyję!, pomyślał.

Nie ustawał. Słońce chyliło się z wolna ku zachodniemu krajobrazowi, aż stało się już tylko kulą z brązu wtapiającą się w horyzont. Trzepot skrzydeł znów się rozległ, tym razem bliżej, a gdy Ewnis uniósł głowę, ujrzał tego samego kruka siedzącego na gałęzi olchy kilkanaście kroków dalej. Nigdy dotąd nie widział tak paskudnego ptaszyska. Pióra sterczały mu na wszystkie strony, tu i ówdzie dostrzegał też placki gołej skóry.

– Poczekaj tu – powiedział kruk.

Ewnis zatrzymał się oszołomiony.

Czy ja mam halucynacje?, pomyślał.

Ptaka zatrzepotał skrzydłami i wzbił się w powietrze, co nie przyszło mu łatwo.

– I nie ruszaj się stąd! – zakrakał z góry.

W innej sytuacji Ewnis uznałby to za coś dziwnego, ale po tym, czego był świadkiem tego dnia, po prostu usiadł i czekał.

Zaczynał już zasypiać, gdy usłyszał kroki. Szedł ku niemu wysoki, jasnowłosy wojownik o surowej twarzy i poważnych, jasnobłękitnych oczach.

Vonn.

– Witaj, ojcie – powiedział.

Ewnis powstał nie bez trudu, gdyż wystarczył moment bezruchu, by jego ciało zeszywniało.

– Bywały już chwile, gdy sądziłem, że więcej cię nie zobaczę – rzekł.

– A ja nie przestawałem myśleć o naszym spotkaniu – odparł Vonn z lekkim uśmiechem. – Choć nie sądziłem, że dojdzie do niego w takich okolicznościach. – Przyjrzał się bacznie Ewnisowi. – Ojczy, ty drzysz – zauważył.

– Tak, zimno mi – rzekł mężczyzna. Nie bardzo wiedział, co powiedzieć.

Vonn odpiął swój płaszcz – ardański, szary – i narzucił go ojcu na ramiona.

– Lepiej nie wracać w tym do Dun Carreg. – Ewnis uśmiechnął się.

– Czemu nie? – Vonn cofnął się o krok.

– Nie sądzę, by Rhin się to spodobało – parsknął jego ojciec.

– Mógłbyś tam wrócić z Edaną i jej hufcem – rzekł Vonn i zawahał się. – I z synem u boku.

– A Rhin? Królowa zachodu? Zdobywczyni Ardanu, Narvonu i Domhainu? Co z nią? Co by sobie wówczas pomyślała?

– Niech szlag trafi Rhin! – warknął Vonn. – Nadmiernie rozciągnęła swe siły i próbowała podbić więcej ziem, niż jest w stanie kontrolować. Ardan jest gotów na powrót Edany!

– Nie bądź głupcem! – powiedział Ewnis ze znużeniem. – Rhin ma potężnych sojuszników. Sprzeciw wobec niej oznacza śmierć.

– Mylisz się.

– Nie mylę się! – Ewnis poczuł, jak budzi się w nim gniew. Przypomniała mu się ostatnia kłótnia z Vonnem. Był wówczas przekonany do swojej racji i teraz również w nią nie wątpił. – Miałem nadzieję, że się zmienisz i wyrosłeś – ciągnął. – Że trudy życia pomogły ci zapomnieć o infantylnym wyobrażeniu honoru.

Natychmiast pożałował swych słów, wypowiedzianych ze złością, zniecierpliwieniem i wyższością.

– Tak, dorosłem i wiele się nauczyłem – rzekł Vonn ze smutkiem. – A najważniejsza prawda, którą sobie przyswoiłem, brzmi: nie spoczywaj na laurach, bo masz przed sobą jeszcze długą naukę.

Nie zareagował jadem na opryskliwość w głosie ojca, co samo w sobie było wielką zmianą.

– Może i racja – zamyślił się Ewnis. – Ale nie zmienia to nijak układu sił. Rhin ma przewagę i zwycięża, co jest jednym z powodów, dla których ją poparłem. Ona nie przegra, a stawiany jej opór zostanie skruszony. A zresztą, dlaczego miałbym chcieć, by Edana wróciła na tron? Mam poprzeć córkę

człowieka, który skazał twą matkę na śmierć? Po co miałbym oddawać Edanie tron krainy, która już należy do mnie? Zasiadam na tronie Brenina i władam z Dun Carreg. Czemu miałbym z tego rezygnować?

– Dla mnie. Bo tak należy postąpić, ojcze. Rhin ma złe serce. Czy ty wiesz coś o Wojnie Bogów? O Siedmiu Skarbach?

– Tylko trochę – skłamał Ewnis i wzruszył ramionami.

– Ja zaś słyszałem wiele – rzekł Vonn. – Opowieści o kotle, o zgromadzeniu w Drassil, o potrzebie znalezienia Siedmiu Skarbów.

– Obiło mi się co nieco o uszy – stwierdził jego ojciec. – Ale to nie czas i miejsce, by o tym rozmawiać.

Zapadał zmierzch. Przy uchu Ewnisa bzyczał komar.

– W twojej sekretnej kryjówce znajdował się naszyjnik – ciągnął Vonn.

– Tak, wraz z moją księgą, którą mi skradłeś.

– To prawda. Przykro mi z tego powodu, ale chciałem ci zrobić na złość.

Przynajmniej jest szczery, pomyślał Ewnis.

– I udało ci się – rzekł. – Czy mogę ją odzyskać?

– Już jej nie mam.

– Kiepska sprawa, bo to potężna, niebezpieczna księga. W czyich rękach się znalazła?

– Briny.

Och, cudownie, przeszło Ewnisowi przez myśl.

– Ale w twojej kryjówce było coś jeszcze – ciągnął Vonn. – Naszyjnik z czarnym kamieniem.

Ewnis milczał.

– Czy nadal tam jest? – rzucił młodzieniec.

– A dlaczego pytasz?

– Myślę, że to jeden z Siedmiu Skarbów. Naszyjnik Nemain.

– Idiotyczny pomysł – rzekł Ewnis. Wpadłem na to samo, pomyślał, po czym dodał: – A gdyby tak było naprawdę, to co by ci z tego przyszło?

– Corban go potrzebuje w Drassil.

– Corban? Ten arogancki głupek?

– On jest Jasną Gwiazdą.

– Co? Gdzie ty usłyszałeś te bzdury? Z kim rozmawiałeś?

Po raz pierwszy Vonn stracił nieco pewności siebie.

– Z Crafem – powiedział cicho.

– A kto to jest Craf?

Młodzieniec spojrzał na kruka siedzącego nad nimi.

– To ptak? – zdziwił się Ewnis.

– Bardzo mądry ptak! – oznajmił Vonn obronnym tonem.

– Craf mądry – burknął kruk.

Chyba rzeczywiście jest mądry, pomyślał Ewnis. Bo najwyraźniej wie więcej o tym zamieszaniu ode mnie, a ja zgłębiam je przez całe życie.

– Vonn, to wszystko jest bardzo ciekawe, a co więcej nawet bardzo ważne, ale to nie miejsce do takich rozmów. Proszę, wróć ze mną. Bądź znów mym synem. Przykro mi z powodu tego, co się wydarzyło podczas szturm na Dun Carreg. Przykro mi z powodu przepaści między nami, z powodu naszych kłótni. Przykro mi z powodu śmierci Bethan...

W chwili, gdy wymówił jej imię, przez twarz Vonna przemknął ból.

– Proszę cię o wybaczenie za mój udział w tej tragedii. Nie chciałem, by stała się jej krzywda i mam nadzieję, że to rozumiesz. Kierowałem się tym, co uznałem za najlepszy interes dla nas obu. Wiem, że zdradziłem naszego króla, ale on też mnie zdradził. Ba, nie tylko mnie, ale i ciebie. Odmówił pomocy, która ocaliłaby mą Fain, twą matkę...

Poczuł ucisk w gardle, gdy wypowiadał te słowa.

Nigdy nie przestanie mnie dziwić to, jak blisko krąży ból, pomyślał.

– Chcę, byś wrócił do mnie. Byś wrócił ze mną. Miej udział w moim zwycięstwie, pomóż mi rządzić Ardanem, zostań moim wojewodą, moim pierwszym mieczem, bądź moim synem...

Proszę, zgódź się, Vonn, przeszło mu przez myśl. Powiedz: „tak”. Błagam cię, bo jeśli nie...

Młodzieniec spoglądał na Ewnisa ze łzami w oczach.

– Nie mogę, ojcze. Chciałbym prosić cię o to samo. Wróć ze mną do Dun Crin. Znienawidziłem cię za to, co się wydarzyło owej nocy w Dun Carreg, ale rozumiem zamęt w twoim sercu. Matka... – Urwał i przełknął ślinę. – Mogę ci wybaczyć tamtą noc, ale nie wybaczę ci dalszej służalczości wobec Rhin. Proszę, wróć ze mną.

Ewnis poczuł wściekłą burzę emocji, zupełnie jakby wielka ręka szarpała za sznurki przytroczone do jego serca. O mało co nie powiedział: „tak”, choćby po to, by uszczęśliwić Vonna, ale po chwili emocje opadły i znów zaczął myśleć logicznie.

Pokonałem zbyt długą drogę i włożyłem w to zbyt wiele wysiłku, stwierdził, patrząc na swą dłoń, na której widniała stara blizna. Przecież złożyłem

przysięgę i oddałem duszę.

– To niemożliwe – powiedział ponuro.

Na twarzy Vonna pojawiła się rozpacz.

– A więc musimy się rozstać – rzekł. – I jeśli o mnie chodzi, mam nadzieję, że nie spotkamy się w bitwie.

Odwrócił się i odszedł.

To raczej mało prawdopodobne, pomyślał Ewnis.

Odepchnął od siebie wszelkie uczucia. Wyszarpnął nóż z za pasa i pomknął cicho w ślad za odchodzącym Vonnem, wznosząc ostrze.

Wybacz, ciągnął w myślach, ale nie mogę pozwolić na to, by mój syn – mój jedyny syn! – otwarcie mi się przeciwstawił i walczył po stronie wrogów Rhin. Ześle to na mnie niesławę i zniszczy nowe życie, które dla siebie wykuwam.

Naraz poczuł uderzenie w pierś, silne, jakby ktoś rąbnął go pięścią. Zachwiał się i zatrzymał.

Vonn obrócił się i ujrzał wzniesioną rękę z nożem, a potem obaj, ojciec i syn, spojrzeli na pierś Ewnisa.

Sterczała z niej pierzasta strzała, która wbiła się tuż nad jego sercem. Z rany pociekła krew. Ewnis otworzył usta, by coś powiedzieć, ale jego płuca nie chciały już współpracować ze strunami głosowymi. Jego oddech stał się świszczący, nogi ugięły się pod nim, zachwiał się. Drętwiejące ramię przeszył wstrząs i mężczyzna uświadomił sobie, że osunął się na kolana.

Czy tak wygląda śmierć?

Padł na twarz. Świat przesłoniły mu buty syna, zewsząd otoczyła go ciemność. Skądś dobiegł głos, odległy, ale przerażający, szepczący, wzywający go. Przypomniawszy sobie, że już kiedyś go słyszał, dawno temu, pewnej nocy na polanie leśnej, gdy składał swą przysięgę.

To Asroth, pomyślał.



## Rozdział osiemdziesiąty siódmy

# CYWEN

– Żartujesz sobie? – Cywen zwróciła się do Farrella, czując niemalże gniew, iż chłopak mówi takie rzeczy w tak poważnej chwili. Szpital był bowiem po brzegi wypełniony rannymi. Dziewczyna razem z Briną oraz pozostałymi uzdrowicielami naliczyli ich prawie sześćdziesięciu, a wciąż docierali nowi, niektórzy zataczający się, inni wnoszeni przez towarzyszy.

Farrell był pierwszą osobą, która weszła do środka bez rany wymagającej pilnego opatrzenia. Dziesiątki skaleczeń, sińców i stłuczeń, z którymi wyszedł z bitwy, z pewnością nie zagrażały jego życiu ani zdrowiu.

– Nie, mówię poważnie, przysięgam! – odparł.

Cywen przerwała bandażowanie nogi jednego z Jehar i spojrzała na Farrella uważnie.

– Jeśli to jakiś dowcip, wiedz, że się zemszczę. Istnieje spora szansa, że któregoś dnia będę bandażować jakiś kawałek ciebie. Nie zapominaj o tym. Wiem, jak uśmierzyć ból, a także jak sprawić, by bolało jeszcze bardziej – dodała, unosząc brew.

– Chętnie złożę przysięgę, jeśli dzięki temu będziesz bardziej skłonna mi uwierzyć – odparł Farrell. Wyglądał teraz na zmartwionego i nieco urażonego brakiem zaufania Cywen.

– A więc mówisz poważnie?

– Tak! – wyrzucił z siebie młodzieniec z nagłą ulgą. – Dath ma się ożenić z Kullą! Paraduje po ulicach z uśmiechem, którego nawet Kadoshim nie starliby mu z gęby.

– W głowie mi się to nie mieści – mruknęła Cywen.

– Idiota i tyle – burknęła Brina znad sąsiedniego łóżka.

A może jednak Dath nie jest wcale taki głupi, pomyślała dziewczyna. Przez tę wojnę każdy z nas stoi na progu śmierci. Wszyscy dowiadujemy się w ten

sposób, jak cenne jest życie i jak powinniśmy je przeżyć.

Radość po odniesionym zwycięstwie przetoczyła się po Drassil niczym letni wiatr, ciepły i przyjemny, niosąc ze sobą ulgę i powszechną wesołość. Cywen słyszała, że tu i ówdzie rozpoczęto już świętowanie, choć odgłosy zabawy powoli i niechętnie przenikały do szpitalika, gdzie na każdym kroku widać było dowody na to, jak kosztowne okazało się zwycięstwo.

– Cieszę się ich szczęściem – rzekła Cywen.

– Powiedziałem to samo – rzucił Farrell. – Po tym, jak przestałem się śmiać, rzecz jasna.

Brina pokręciła głową, mrużąc pod nosem.

– Ale nie słyszałaś jeszcze najlepszego! – Młody wojownik uśmiechnął się szeroko.

– Tak? A co to takiego? – zapytała Cywen, powróciwszy do bandażowania.

– Dath chce, by to Brina przeprowadziła ceremonię.

– Co takiego?! – wrzasnęła uzdrowicielka.

\* \* \*

Cywen stała z uśmiechem na twarzy i łzą w oku. Łagodny blask zachodzącego wiosennego słońca przenikał między konarami i zalewał dziedziniec bursztynowym blaskiem. Końcowa część ceremonii zrękowin miała miejsce w rzadko uczęszczanym miejscu na terenie fortecy, wybranym przez Kullę dlatego, że rosła tam magnolia. Drzewo wypuściło kwiaty już z pierwszym tchnieniem wiosny i wielkie różowe płatki wisiały teraz nad nowożeńcami, stojącymi przed Briną i trzymającymi się za ręce.

Dath się żeni, pomyślała Cywen. Ten sam chłopak, który razem z moim młodszym bratem uwielbiał zbieranie mewich jaj. Mam wrażenie, że miało to miejsce w innym życiu. Chyba wszyscy dojrzewamy.

Na dziedzińcu panował wielki ścisk. Ludzie tłoczyli się na schodach pnących się po murze, wyglądali z okien i gromadzili się na płaskich dachach. Wszyscy mieszkańcy Drassil przybyli, by ujrzeć zrękowiny najlepszego przyjaciela Jasnej Gwiazdy.

Był to długi i szczęśliwy dzień. Pierwsza część ceremonii miała miejsce wczesnym rankiem, kiedy związano ręce Datha i Kulli, by spędzili razem cały dzień i mieli posmak tego, co czeka ich przez resztę życia.

Choć nie sądę, by różniło się to wielce od ich normalnego dnia, pomyślała

Cywen. Rzadko kiedy widuje się ich z dala od siebie.

Ceremonia okazała się piękna, a Brina zdobyła się na słowa, które wzruszyły dziewczynę do łez, choć stara uzdrowicielka wielokrotnie jej powtarzała, że nie ma czasu na głupoty młodych. Cywen była przekonana, że Brina cieszy się szczęściem Datha tak samo jak cała reszta. Nie pamiętała dnia, kiedy uśmiechałaby się częściej. Corban, z tego, co spostrzegła, również był rozpromieniony przez większość czasu, a nawet Gar dołączył do ogólnej wesołości.

Wkrótce nadszedł wieczór i wszyscy zebrali się, by być świadkiem ostatniego aktu zrękowin. Brina uniosła ręce i zapadła cisza.

– Kullo ap Barin, Dacie ben Mordwyr! – zawołała głośno. – Wasz dzień dobiegł końca. Wasze dłonie zostały związane, podobnie jak i serca. Spędziliście ten dzień razem i nadszedł czas wyboru. Czy chcecie związać się na zawsze czy mam przeciąć sznur?

Dath i Kulla uśmiechnęli się do siebie szeroko. Ich radość była zaraźliwa.

– Chcemy związać się ze sobą, żyć wspólnie aż po nasz kres – oświadczyli razem.

Brina ujęła ich związane dłonie.

– Pora na wasze przysięgi – oznajmiła.

– Kullo ap Barin – zaczął Dath. – Oddaję ci pierwszy kęs mego mięsa, pierwszy łyk mego miodu...

Od bitwy minęło już dziesięć dni. Pierwsze pięć dób upłynęło na opiece nad rannymi i wznoszeniu kurhanów nad poległymi. Śmierć wielu spośród ich towarzyszy przejmowała żalem, ale po podliczeniu straty okazały się zaskakująco niewielkie. W boju padło jedynie stu pięćdziesięciu siedmiu ludzi Corbana, podczas gdy spośród najeźdźców z Isiltiru życie oddało aż tysiąc sześciuset. Kolejne siedem setek poddało się i dołączyło do ludu Drassil, jak zaczęli się nazywać.

I to od nich dowiedzieliśmy się, że dwa inne hufce budują już drogi przez Forn i próbują nas znaleźć, podobnie jak armia Kadoshim pod wodzą Nathaira, pomyślała Cywen. Mają ogromną przewagę, a mimo to nie czuję już takiego lęku jak kiedyś. Nie mam już tego uczucia na dnie żołądka, które zwiastuje zły los czyhający za rogiem.

Zawdzięczała to Corbanowi, który najpierw zabił w walce Kadoshim, potem z fantazją umknął dwudziestu szarżującym nań konnym, a następnie poprowadził swój hufiec na przeważające siły wroga i odniósł zwycięstwo

z niewielkimi stratami. Była to inspirująca lekcja i Cywen wiedziała, że nie ona jedna myśli w ten sposób. Wszyscy mieszkańcy Drassil podzielali jej zdanie i w fortecy zapanowała atmosfera cichej, spokojnej wiary w siebie. Ludzie zaczęli wierzyć w to, że być może Elyon jednak prowadzi jej brata.

Odniesiemy zwycięstwo, pomyślała.

Uśmiechnęła się do siebie i skupiła uwagę na Brinie oraz parze nowożeńców.

– Niech otacza was pokój, a radość i zadowolenie wypełni wasz dom. – Uzdrowicielka zaśpiewała ostatnie słowa błogosławieństwa, a potem podała Dathowi i Kulli wielki puchar, z którego mieli się napić ze związanymi rękami. Młodzi wychylili jego zawartość, a wtedy Brina rzuciła go na ziemię i nadepnęła. – I dokonało się! – zawołała, a w tłumie wybuchły wiwaty.

Kulla pochwyciła Datha i wycisnęła pocałunek na jego ustach.

– Dobrze, a teraz pora na ucztę – oznajmiła uzdrowicielka.

W wielkiej sali pojawiły się długie rzędy stołów wypełnionych półmiskami parującego jedzenia. Nad tuzinem palenisk obracano pieczyście, a pod ścianami stał długi rząd beczek miodu zabranych z wozu porzuconego przez uciekających ludzi Jaela.

Cywen siedziała i przyglądała się zabawie. Cieszyła się spokojem i bezruchem, tym bardziej że przez ostatnie lata nie zaznała go wiele. Wnet wieczór przerodził się w noc, ognie w paleniskach zaczęły przygasać, a dziewczyna, popijając miód, pogrążyła się w rozmyślaniach.

Prawie rok temu trafiłam do wielkiej sali w Murias, gdzie Corban i mama przybyli mi z odsieczą...

Ku zaskoczeniu dziewczyny, jej oczy zaszły łzami.

Tęsknię za tobą, mamo, pomyślała. I za tobą też, tato. Nie posiadalibyście się ze zdumienia, gdybyście tu trafili. Bylibyście tacy dumni z Corbana.

Ktoś usiadł obok niej, aż ławka zaskrzypiała. Była to Laith, która trzymała własny puchar i uśmiechała się, a jej oczy błyszczały.

– Dziś wieczór życie jest dobre – oświadczyła i uniosła swe naczynie.

Cywen pokiwała głową i trąciła się z olbrzymką pucharem, a potem otarła łzy.

– Co się stało z twoim ramieniem? – spytała, wskazując ciemny tatuaż, wijący się od nadgarstka Laith aż po łokieć.

– To mój *sgedul*, moja Litania – powiedziała z powagą Laith. – Pamiątka po odebranych żywotach. Łodyga to moja podróż i moje życie, a ciernie to każda

zadana śmierć.

Cywen przyjrzała im się uważnie i delikatnie je pogładziła. Skóra olbrzymki łuszczyła się, a wzdłuż tatuażu znać było strupy, spod których przebijały plamy niewyraźnej zieleni oraz błękitu. Dziewczyna próbowała policzyć ciernie, ale zgubiła się po piętnastu.

– Odbieranie życia to poważna sprawa – oznajmiła Laith. – I myślę też, że smutna, choć lepiej odebrać życie komuś, niż stracić je samemu. Wielu spośród moich pobratymców uważa ciernisty tatuaż za odznakę honoru i w sumie chyba mają rację.

– Chyba tak – powiedziała Cywen. – Ale wszystko można rozumieć na wiele sposobów lub też jedna rzecz może oznaczać wiele rzeczy. Weźmy nas, na ten przykład.

Laith spojrzała na nią uważnie.

– To prawda – rzekła. – Kiedyś myślałam, że jesteś tylko i wyłącznie wkurzona, ale dziś wiem, że jest w tobie znacznie więcej. Przede wszystkim jesteś mądra.

– Ha! – prychnęła Cywen. – Dzisiaj to akurat przemawia przeze mnie miód.

Laith uśmiechnęła się szeroko.

– Chętnie wypiję za mądrość miodu! – powiedziała i upiła łyk. – Dobra. – Oblizwała usta. – To gdzie jest ten przystojniak Farrell?

– Farrell? – Cywen parsknęła do pucharu.

– Tak – potwierdziła Laith i spojrzała na Cywen nieśmiało. – Jest wielki, silny i ma mocne kości, nie tak jak reszta spośród was. Myślę o nim od dłuższego czasu, a teraz, gdy w powietrzu pojawiła się wiosna... – Laith wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się figlarnie.

– A wiesz, że Farrell ugania się za Coralen? – spytała Cywen.

– Tak, wszyscy to wiedzą. Podobnie jak to, że jej się podoba ktoś inny.

Tak, to też wszyscy wiedzą, pomyślała Cywen. Z wyjątkiem samego zainteresowanego.

– Może więc trzeba mu wszystko wytłumaczyć. Rozmawiałam już z Balurem o tym i...

– Z Balurem! – Cywen znów wypluła łyk miodu do pucharu. Choć próbowała ze wszystkich sił, nie była w stanie wyobrazić sobie Jednookiego udzielającego rad miłosnych.

– Tak, a czemu by nie? Balur powiedział mi, że ludzie czasami nie widzą

rzeczy oczywistych, a gdy im się je wskaże, nie mają później pojęcia, dlaczego tak długo nie zdawali sobie z nich sprawy.

– Mądre stwierdzenie – rzekła Cywen. – W rzeczy samej, Laith, ty sama jesteś mądra. Ile ty właściwie masz lat?

– Widziałam już czterdzieści dwa lata. – Laith machnęła ręką. – Ale my, olbrzymy, powoli dojrzewamy. Tak jak *usque*. O, jest! – Wskazała Farrella i wstała, chwiejąc się lekko. – Masz jakieś rady?

– Posiłuj się z nim na rękę – rzekła Cywen. – Podobno to lubi.

– Zupełnie jak ja. – Laith uśmiechnęła się. – Będę musiała dać mu wygrać?

Cywen nadal się śmiała, gdy olbrzymka zniknęła w rzędniejszym tłumie.

Ławka znów zaskrzypiała, tym razem pod ciężarem Briny.

– Muszę z tobą porozmawiać – powiedziała uzdrowicielka.

– Nie krępuj się. – Cywen machnęła dłonią.

– Jesteś trzeźwa? – Brina zmarszczyła brwi, po czym uszczypnęła dziewczynę w ramię.

– Aua!

– Skoro czujesz ból, to nie jest jeszcze źle – oznajmiła kobieta, po czym wstała, przeszła kilka kroków, zatrzymała się i spojrzała za siebie. – No dalej! Na co czekasz?

Cywen mruknęła, ale wstała i podążyła za Briną. Wkrótce znalazła się w komnacie uzdrowicielki, niewielkiej i skromnie urządzonej. Stało w niej jedynie łóżko, krzesło oraz stół ze stopioną do połowy świecą i dzbanem z wodą.

Tylko jeden kubek, pomyślała dziewczyna.

– Nie miewam gości. – Brina wzruszyła ramionami, widząc wzrok Cywen. Sięgnęła w głąb płaszcza i wyciągnęła książkę.

– Nie jest ona za ciężka, by tak nosić ją ze sobą przez cały czas? – spytała dziewczyna.

– Pewnie, że jest ciężka – parsknęła Brina. – Ale nie zostawię jej przecież tu po to, by ktoś mógł przyjść i sobie ją wziąć, co? Ta księga liczy sobie setki lat, a zawiera mądrość, która jednocześnie zachwyca mnie i przeraża.

– Cóż, pewnie masz rację.

– Siadaj i słuchaj. – Brina wskazała dziewczynie krzesło, a sama usiadła na łóżku i zaczęła czytać.

Gdy skończyła, spojrzały po sobie. Cywen wiedziała, że w jej oczach błyszczy ten sam niepokój co w spojrzeniu Briny.

– Musimy powiedzieć o tym Corbanowi – rzekła.

## Rozdział osiemdziesiąty ósmy

# CORBAN

Corban znał już to miejsce całkiem dobrze, gdyż ta część Zaświatu wzywała go, gdy zasypiał. Zielona dolina, jezioro, którego głęboki błękit przywodził na myśl niebo ciemniejące przed zachodem słońca, klon o czerwonych liściach, pod którym się krył, i oczywiście łopot skrzydeł Meicala, niczym bicie serca, który dobiegał gdzieś z wysoka. Jego doradca lądował zawsze na tym samym klifie i wchodził do tej samej jaskini.

I znów Corban przypomniał sobie jego słowa o polującym na niego Asrocie i latających wysoko Kadoshim.

„Obiecuj mi, że jeśli znajdziesz się tam ponownie, schowasz się i nie będziesz się ruszał. Kadoshim Asrotha latają wysoko i zobaczą cię, nim zorientujesz się w sytuacji. A oni nie są jedynymi niebezpieczeństwami, które czyhają w Zaświecie. Można się tam natknąć na zbłąkane duchy, które wyrządzą ci krzywdę, jeśli będą miały okazję”.

Zawsze słuchał tej rady, ale dziś nie miał na to ochoty. Nie wiedział, dlaczego tak postąpił, ale poczuł, że po prostu musi to zrobić. Wyszedł z cienia klonu, po czym rozpoczął wspinaczkę. Przychodziło mu to z wielką łatwością – kamienie nie kaleczyły mu palców, nie zalewał się potem, nie czuł bólu mięśni, nie było niebezpiecznych podmuchów wiatru. Powoli, miarowo, piął się w górę.

I nagle znalazł się na skalnej półce przed wejściem do jaskini. Nad sobą widział wysoki, idealny wprost łuk, o wiele wyższy i szerszy, niż wydawało mu się z ziemi, ozdobiony runami pochodzącymi ze starego alfabetu. Do środka wiodły wykute w skale stopnie, a z wnętrza wabił blask pochodni.

Po chwili Corban znalazł się w wilgotnym, wijącym się korytarzu, który zakręcał, aż doprowadził go do ogromnego, podziemnego amfiteatru. Wielkie pochodnie zalewały wnętrze migotliwym, pomarańczowym blaskiem. Na



uformowanych w półkregi kamiennych ławach, wznoszących się jedna nad drugą po przeciwnej stronie sali, zasiadał tłum Ben-Elim z białymi skrzydłami. Przed nimi zaś stała pojedyncza, drobna postać. Meical.

– Kiedy? – zagrzemiał ktoś z tłumu Ben-Elim.

– Nie wiem – odparł Meical. – Wkrótce.

– Zawsze to powtarzasz! – odparł ten sam głos.

Meical wzruszył ramionami, co było osobliwie ludzkim gestem w tej sali.

– Czekamy od eonów, bracie! – odezwały się inne głosy. – Jak długo jeszcze?

– Jak długo jeszcze? – zagrzemiało naraz tysiąc głosów.

– Czekamy od eonów – powtórzył Meical po którymś z pobratymców. – A więc jeszcze chwila nie zaszkodzi.

– Kiedy? Kiedy?

– Wkrótce – powtarzał Meical.

\* \* \*

Corban zerwał się i rozejrzał. Po jego karku i udzie rozlał się ostry ból. Znajdował się w alkwie wielkiej sali, wśród dopalających się ognisk. Zmienił pozycję i przesunął rękojeść miecza, która wrzynąca mu się w nogę.

Co ja tu robię?, zastanawiał się.

I wtedy sobie przypomniał.

Zrękowiny Datha i Kulli!

Uśmiechnął się na wspomnienie bezgranicznej wprost, niczym nieskazonej radości Datha, a potem, jak to się ostatnio często działo, jego myśli popłynęły ku Coralen. Tak po prawdzie, od zakończenia bitwy rzadko wspominał cokolwiek innego. Nie mógł zapomnieć jej pocałunku. Codziennie chciał z nią porozmawiać – dobierał sobie w głowie odpowiednie słowa i ćwiczył je, ale kiedy ją widział, natychmiast zasychało mu w ustach i czuł, jak miękną mu kolana.

Jak to możliwe, że potrafię walczyć z Kadoshim, ale nie umiem rozmawiać z kobietami? Dziś. Porozmawiam z nią dziś, postanowił.

Decyzja obudziła w jego brzuchu przyjemne uczucie, po części lęk, po części coś innego.

Sala zdążyła już w znacznym stopniu opustoszeć, a po płomieniach pozostał tylko żar. Corban wstał i pomyślał z tęsknotą o swoim łóżku, kiedy dojrzał

postać stojącą przed włócznią i szkieletem Skalda.

Był to Balur Jednooki.

Corban podszedł do niego, rozprostował mięśnie karku i kilkoma mrugnięciami pozbył się senności. Stał obok olbrzyma i przez moment rozkoszował się ciszą, aż nadeszła chwila, by zadać dręczące go pytanie:

– Dlaczego zabiłeś Skalda?

Balur nie spojrzał na niego i nic nie mówił przez dłuższą chwilę, aż westchnął, zakrył ogromną dłonią twarz i przetaił oczy.

– To był okropny błąd. Byłem jego strażnikiem i najwyższym kapitanem, ale wyrwałem mu włócznię i zabiłem go na jego własnym tronie.

Wypowiedział te słowa takim tonem, jakby każde z nich stanowiło karę. Corban przemyślał to, co usłyszał, i skinął powoli głową.

– Tak, to okropny czyn. Zdradziłeś jednak kogoś, kto ci ufał, ale... ale z tego, co o tobie wiem... – Potrząsnął głową. – Nie, trudno mi sobie wyobrazić, byś był zdolny do czegoś takiego.

Balur uniósł brew.

– Skald kazał mi zabić Nemain. Rozkazał, by ją uduszono, tu, przed jego tronem.

– Czyż Nemain nie była jego królową? – spytał Corban.

– Owszem, była.

– A więc dlaczego miałyby ją skazać na tak potworny los?

– Bo nosiła pod sercem dziecko. Dziecko, które nie było jego.

– Och.

Corban spojrzał na twarz sędziwego Balura, pociętą głębokimi bruzdami.

– To było twoje dziecko, prawda?

– Prawda.

– Ethlinn?

Kolejne westchnienie.

– Tak.

– A więc to ona jest twoją królową. Królową wszystkich Benothi.

– Tak. Niektórzy powiedzieliby nawet, że jest królową wszystkich klanów, choć pochodzi z nieprawego łoża.

– W takim razie to jej włócznia.

– Tak, należy się jej, ale Ethlinn jej nie weźmie. Nie uzna za swoją.

Przynajmniej na razie.

Balur spojrzał ze smutkiem na Corbana.

Gdzieś za nimi rozległy się ciche kroki. Młodzieniec odwrócił się i ujrzał Cywen i Brinę, stojące przy drzwiach. Uzdrowicielka machała do niego energicznie. Corban wyciągnął rękę, uściśnął dłoń Balurowi i podszedł do kobiet.

– Wszędzie cię szukałyśmy – wysyczała Brina, jakby to była jego wina, że nie mogła go znaleźć.

– A wiecie, jaka to pora? – spytał Corban.

– Późna. Musimy porozmawiać – nalegała uzdrowicielka.

– Wolałbym położyć się spać – mruknął chłopak. – Czy to nie może poczekać do rana?

– Nie. Potrzeba nam jakiegoś zacisznego miejsca.

– Proponuję moją komnatę. Jest niedaleko, a po wszystkim będę mógł się od razu położyć.

Brina wyduła wargi, ale nic nie powiedziała. Ruszyli więc przez labirynt korytarzy i schodów Drassil w stronę komnaty Corbana. Przed drzwiami leżała zwinięta w kłębek Burza. Wilkunica spędzała coraz więcej czasu z dala od swoich szczeniąt, a te stawały się coraz śmielsze i co rusz urządzały sobie wycieczki poza norę, choć Haelan, Swain i Sif nigdy nie spuszczały ich z oczu.

Corban otworzył drzwi, zapalił świece i zerknął przez okno. Ciemność ustępowała już powoli miejsca szarości.

A więc nadciąga świt, stwierdził.

Brina wyciągnęła księgę i z trzaskiem uderzyła nią o blat stołu.

– Księga? – burknął Corban.

– Ban, to ważne – oznajmiła Cywen.

Jej mina wybiła mu z głowy wszelkie protesty, więc bez słowa przyciągnął sobie krzesło.

– Dobrze – rzekł. – Opowiadajcie.

Brina otworzyła księgę na zaznaczonej stronie, jednej z ostatnich, a potem wskazała linijki dawnych runów.

– Cywen, przeczytaj to, bo moje stare oczy...

Dziewczyna pochyliła się nad księgą.

– *Is e an coire an ghlais* – odczytała.

Zawsze lepiej sobie radziła z pisaniem i czytaniem ode mnie, ale teraz brzmi jak olbrzymka. Jej akcent, intonacja... Gdybym zamknął oczy, bez trudu mógłbym ją wziąć za Laith, pomyślał Corban.

– Kocioł jest zamkiem – przełożyła Brina.

– *Is iad na se seoda eile an* – ciągnęła Cywen.

– Pozostałe sześć Skarbów to klucz – mówiła Brina głosem bez emocji, wpatrzona w oczy Corbana.

– *Na aris cheile is fiedir leo a bheith, go deo seachas nior clans aontu...*

– Nigdy więcej spotkać się nie powinny, gdyż taka jest wola klanów.

– *Uimh nios mo taobh le taobh faoi bhun an cran mor.*

– Nigdy więcej nie zetkną się pod Wielkim Drzewem.

Corban rozsiadł się na krześle, a na jego czole pojawiła się głęboka zmarszczka. Naraz zrobiło mu się niedobrze.

– Nigdy więcej spotkać się nie powinny – wymamrotał.

Brina i Cywen wpatrywały się w niego z oczekiwaniem.

– To nie ma sensu – rzekł w końcu. – Dlaczego więc Balur miałby tu przynieść swój topór?

– Od dłuższego czasu nie dawało mi to spokoju – odparła Brina. – Ale o wiele bardziej dręczyło mnie pytanie, dlaczego Meical nie nakazał wywieźć toporu i włóczy z gwiazdnego kamienia na najdalsze krańce Ziemi Wagnanych.

Corban zamrugał. W jego umyśle pojawiły się obrazy. Klon z czerwonymi liśćmi, wysoki klif, ciemny tunel.

Meical...

– Wygląda na to, że do czegoś są mu potrzebne – rzekła Cywen. – Ale do czego?

– Jako przynęta – mruknął Corban i zerwał się. Ruszył ku drzwiom, a Burza pobiegła za nim.

– A ty dokąd?! – zawołały uzdrowicielki.

– Zamienić kilka słów z Meicałem.

\* \* \*

Zastał go w wielkiej sali, której rozmiary sprawiały, że nawet wysoki Ben-Elim wydawał się drobny i mało istotny. Nie licząc ich dwóch, sala była pusta, a cisza, którą przyniosła blada jasność świtu, wydawała się niemalże materialną istotą, cichą pięknoscią. Szkielet Skalda nadal trwał pogrążony w zadumie na swym tronie niczym złośliwa narośl, psująca czyste piękno chwili.

Meical stał przy jednym z wylotów tunelu, tym samym, którym przybyli do

twierdzy. Niewielkie drzwi na jego końcu były otwarte. Wspólnym wysiłkiem przybysze oczyścili już każdy z korytarzy i rozstawili w nich gońców, by jak najszybciej usłyszeć wieści o nieprzyjacielu w puszczy. Meical wyglądał, jakby nasłuchiwał.

– Nie było żadnych Kadoshim – powiedział Corban, gdy stanął obok niego. Burza zajrzała przez niewielkie drzwi i przechyliła łeb.

Meical zamrugnął i spojrzał na młodzieńca, unosząc pytająco brew.

– W moim śnie. Tym, który przenosi mnie do Zaświata. Wspiąłem się po klifie. Powiedziałeś mi, bym tego nie robił, bo w powietrzu latają Kadoshim, ale wcale ich tam nie było.

– Ach – rzekł Meical. Przez krótką chwilę przez jego oblicze przemykały najrozmaitsze emocje, aż znów przybrał chłodną minę i odwrócił się ku Corbanowi. – I co ujrzałeś?

– Wejście z wyrzeźbionymi runami. Korytarz oświetlony pochodniami. Kamienny amfiteatr pełen Ben-Elim. I ciebie.

Meical nabrał głęboko tchu i zacisnął usta, a jego srebrne blizny zmarszczyły się.

– Powiedziałeś: „wkrótce”. Na co ty czekasz od eonów wraz ze swymi braćmi?

– Na tę chwilę. Na te dni. – Ben-Elim machnął lekceważąco ręką.

– Nie. Tu chodzi o coś więcej, Meicalu. Brina właśnie przeczytała mi pewien ustęp z księgi napisanej przez olbrzymy. Dowiedziałem się z niego, że Skarby powinny być trzymane z dala od siebie i już nigdy nie powinny się spotkać. – Zerknął na włócznię, przygważdżającą szkielet Skalda do pnia. – O co tu chodzi? – spytał.

Meical westchnął i powoli, ze smutkiem wypuścił powietrze z płuc. Coś przemknęło przez jego oblicze.

To był wstyd.

Corban poczuł, jak jego wątpliwości narastają i przybierają na sile.

– Coś przede mną ukrywasz – rzekł.

Meical obrzucił go długim, zimnym spojrzeniem, po czym odwrócił się.

– Nie podołam – wymamrotał.

Corban złapał go za nadgarstek i obrócił ku sobie.

– Czemu nie podołasz?

– Chodzi o misję, którą mi powierzono. Kosztuje mnie więcej, niż sobie wyobrażałem.

– O czym ty mówisz? – spytał Corban.

Meical wpatrywał się w niego przez dłuższą chwilę. Targające nim emocje, widoczne na jego obliczu, przypominały fale uderzające o falochron, aż ten powoli zaczął kruszeć, odsłaniając coś innego w oczach wysokiego doradcy. Był to bezbrzeżny smutek oraz żal, który nagle wzniecił strach w sercu młodzieńca.

– Mów – szepnął.

Meical nabrał tchu.

– My, Ben-Elim, różnimy się od ludzi. My służymy – zaczął. – Służymy Elyonowi, co jest przyczyną, dla której istniejemy. Służba naszemu Stwórcy jest dla nas obowiązkiem i honorem. Przynosi nam radość. – Popatrzył na Corbana, a po jego ustach przemknął uśmiech zadumy. – On jest piękny i wystarczy na niego spojrzeć, by poczuć szczęście. Jego bliskość wypełni cię światłem, gdyż jest on uosobieniem czystości i pokoju. Asroth to zniszczył. Odebrał nam możliwość pławienia się w blasku naszego pana. – Jego twarz wykrzywił złowrogi, nienawistny grymas, który znikł po paru długich, zapadających w pamięć chwilach, wystudzony zwykłym dla Meicala chłodem. – Mimo to kontynuujemy służbę w nadziei, że pomimo swej nieobecności Elyon dostrzeże nasze wysiłki i nasze oddanie.

– Taka rozłąka musiała wam bardzo ciążyć – zauważył Corban.

– Tak, to prawda. Co więcej, nadal nam ciąży. Długo byliśmy zagubieni i nie mieliśmy pojęcia, co począć, ale wnet powróciliśmy do jednej jedynej rzeczy, na której się znaleźliśmy: do służby naszemu panu. Wówczas zwróciliśmy uwagę na wasz świat i waszą rasę. Nigdy was nie rozumieliśmy i moi pobratymcy dalej nie mają pojęcia, kim jesteście, choć nie miało to dla nas znaczenia. Wystarczało nam to, że Elyon was pokochał, cenił was i hołubił. Ba, ubóstwiał was. My nie potrzebowaliśmy niczego więcej. Nie musieliśmy przecież was rozumieć, wystarczyło was ochraniać do powrotu Elyona. Był to gest, który miał symbolizować nasze oddanie.

Meical spojrział na Corbana i pokiwał głową w nadziei, że ten zrozumie.

– I wypełniliście swój zamysł – powiedział młodzieniec.

Twarz Meicala znów uległa przemianie, jakby wszystkie emocje w sercu Ben-Elim dotarły wreszcie na powierzchnię i zaczęły się przebijać przez wzniesione przezeń bariery.

– Zrozum, że nie pojmowaliśmy was. Nie pojmowaliśmy ludzkości, zarówno ja, jak i moi pobratymcy. Jestem jedynym z mego rodzaju, który kiedykolwiek

żył wśród was. Było to... niezwykle doświadczenie. Tyle się nauczyłem... Jesteście rasą pełną pasji i talentów, absolutnie niezwykłą. Ty zaś, Corbanie, jesteś najwybitniejszym przedstawicielem swego rodzaju. – W spojrzeniu, którym obrzucił młodzieńca, kryło się coś między podziwem a sympatią. – Dokonałeś doprawdy niezwykłych rzeczy i zasłużyłeś sobie na miłość i oddanie tak wielu ludzi.

Corban wzruszył ramionami. Jak zwykle, gdy stawał się tematem rozmowy, zaczynał się czuć nieswojo.

– Meicalu, to brzmi, jakbyś chciał mnie za coś przeprosić.

– Bo tak jest – odparł Ben-Elim. – Bo bardzo mi przykro.

– Chyba zacznam rozumieć – rzekł Corban. – Zaryzykowałeś i wykorzystałeś Skarby, by zwabić Czarne Słońce Asrotha. Zamiast je ukryć i żyć w strachu, że zostaną znalezione za księżyc, rok czy dekadę, zaryzykowałeś, by doprowadzić do konfrontacji, w której masz nadzieję pokonać wroga raz na zawsze.

Spojrzenie Meicala było niemalże nie do zniesienia.

– Dobra robota, Corbanie. Masz rację lub przynajmniej jesteś na dobrym tropie. Ale to tylko część prawdy.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Meical zakrył dłonią twarz.

– Nie miałem pojęcia, jak trudne okaże się to zadanie. Żyłem wśród was, zawierałem przyjaźnie, byłem świadkiem waszych ofiar, przyglądałem się temu, do czego prowadzi was miłość i podziwiałem wasze odważne czyny. Myślę, że jestem jedynym członkiem mego rodzaju, który rozumie, dlaczego Elyon tak was ukochał. Z tego powodu nie mogę cię już dłużej oszukiwać. – Opuścił dłoń i spojrzał Corbanowi w oczy. Jego twarz wykrzywił ból. – Wybacz mi, Corbanie – szepnął. Po jego policzku spłynęła pojedyncza łza.

Corban nie miał pojęcia, jak to rozumieć, ale jego lęk stawał się coraz silniejszy.

– Co mam ci wybaczyć? Meicalu, zaczynasz mnie przerażać. Zastawiłeś pułapkę i wykorzystałeś nas, co było nieco nie w porządku, przyznaję, ale ma sens...

– Nie, Corbanie, niczego nie rozumiesz. To wszystko to jedna wielka pułapka – szepnął Meical. – Nasza obecność w Drassil, Skarby, przepowiednia...

– Przepowiednia? Jak to możliwe, by przepowiednia była pułapką?

– Bo nie mówi prawdy.

Corban miał wrażenie, że się przesłyszał.

– Co?

– Przepowiednia nie jest prawdziwa. To nie słowa Elyona. To ja ją napisałem.

Corban poczuł się, jakby dostał pięścią w twarz, a mdłości, które czuł wcześniej, naraz rozlały się po jego ciele jak zakażenie.

– Ale to niemożliwe!

– Tak. To ja ją napisałem. Wszystko zmyśliłem. To nie Elyon cię wybrał, Corbanie, ale ja to zrobiłem.

– Nie, nie! Przecież są w niej rzeczy, których nie mogłeś wiedzieć! – W głowie Corbana zapanował istny chaos myśli. Miał wrażenie, że grunt usuwa mu się spod stóp. Rozpaczliwie szukał czegoś, czego mógłby się uchwycić, by zrozumieć słowa Ben-Elim.

– To akurat prawda. – Meical zmarszczył brwi. – Co daje mi nadzieję. Być może Elyon już drgnął. Zaczyna dostrzegać to, co się tu dzieje. Zaczyna się angażować. – Wzruszył ramionami. – Wiem na pewno dwie rzeczy. Po pierwsze, napisałem przepowiednię własną ręką. Po drugie, wyszeptalem jej treść Halvorowi, głosowi Skalda, gdy ten wędrował we śnie przez Zaświat. Opowieść, którą mu podsunąłem, zaczęła się rozrastać i potęgnić, co zdarza się często, prawda? Każda opowieść, która obiegnie sto wsi, powróci zmieniona, i bohater, który pokonał olbrzyma, w ostatecznej wersji rozbija cały klan na draigach. – Znów wzruszył ramionami. – Nie ma to jednak znaczenia, pod warunkiem że przekaz pozostanie ten sam.

– Ale po co? Po co miałbyś to robić?

– Bo Asroth jest przewidywalny w swoich mrocznych intrygach. Wiedzieliśmy, że na was uderzy, że będzie próbował zniszczyć ukochane dzieło Elyona w akcie zawiści wobec Stwórcy. Nie mieliśmy jednak pojęcia, kiedy to nastąpi ani też w jaki sposób. Wykorzystaliśmy więc przepowiednię, by go zwabić, ale też poprowadzić. Wytyczyliśmy kierunek, w którym miała się rozwijać jego niepojęta zawiść.

– Nie rozumiem! – warknął Corban, pocierając skronie. W jego sercu gorzał gniew. – Mów zrozumiale.

Burza uniosła łeb, by spojrzeć na Meicala. Odchyliwszy górną wargę, warknęła cicho.

– Asroth nienawidzi Elyona z pasją, jaką mało kto jest w stanie sobie



wyobrazić, ale również go kocha, co starannie skrywa. Wszak, mimo wszelkich różnic, Elyon to wciąż Stwórca Asrotha. Nie wolno nam o tym zapominać. I Asroth ufa Elyonowi, wierzy mu. Wiedzieliśmy, że jeśli ujrzy przepowiednię i uwierzy w to, że jest dziełem Elyona, nigdy w nią nie zwątpi. I tak też się stało. Asroth trzyma się jej niczym kodeksu i realizuje wszystkie zapisy. Wybrał czempiona, gromadzi Skarby i w końcu przybędzie tutaj.

Corban zachwiał się i wyciągnął rękę, by się czegoś złapać. Czegokolwiek. Jego dłoń zacisnęła się na drzewcu włóczy Skalda, a wtedy zółć podeszła mu do gardła i zwymiotował na kamienną podłogę.

– Prawda i odwaga – wyszeptał z goryczą, otarłszy usta. Wyprostował się i spojrzał wściekle na Ben-Elim. – A co z tymi słowami? Jak ty mogłeś nam to zrobić? Jak mogłeś nas tak okłamać?

– Musisz zrozumieć! To była strategiczna decyzja. Mój rodzaj nie okazuje emocji. Dla nas najważniejszy jest obowiązek oraz honor, a was postrzegaliśmy jako rasę, jako całość, zbiorowość, a nie jako jednostki. Widzieliśmy w was jedynie elementy starego jak świat konfliktu. To, że niektórych z was należałoby poświęcić w walce, nie miało dla nas żadnego znaczenia, bo liczyło się to, że przetrwa większość. Wydawało nam się to logiczne i wręcz oczywiste. Działaliśmy dla większego dobra.

– Dla większego dobra – wyszeptał Corban. – Moja mama, mój ojciec, Tukul... Wszyscy zginęli z przeświadczeniem, że walczą o coś więcej...

Meical uniósł dłoń.

– Nie mówię, że to pochwałam. Wręcz przeciwnie. Mówię ci o tym z żalem. – Pokręcił głową. – Nigdy dotąd nie było mi wstyd i nie wiedziałem, co to wyrzuty sumienia, ale odczuwam je teraz. Nauczyłem się szanować ciebie, Corbanie. Dzięki tobie i twoim towarzyszom poznałem, czym jest braterstwo. Czym jest miłość, jak wy to nazywacie. To dlatego wyznaję ci teraz to wszystko... – Urwał i znów się skrzywił. – Zależy mi na tobie i na twoich towarzyszach. Rozumiem, skąd się wzięła miłość, którą Elyon was otaczał. Nie mogę cię już dłużej oszukiwać, ale ścieżka została wytyczona i nie da się już tego odwrócić. Musimy doprowadzić wszystko do końca.

– Jaka ścieżka? Chcesz powiedzieć, że to jeszcze nie koniec?

Meical pokiwał głową, unikając wzroku Corbana.

– Powiedziałeś, że nie będziesz mnie już oszukiwał! – warknął chłopak. – A może to też było kłamstwo?

Meical drgnął, jakby został uderzony.

– Pamiętasz słomiane kukły Coralen? Fortel, który ściągnął wroga i pozwolił nam ukraść ich okręty?

– Tak.

– Czeka nas to samo.

– Jak to? O co ci chodzi? Mówisz zagadkami!

– Nie mogę ci więcej zdradzić. Złożyłem przysięgę moim pobratymcom.

Corban odwrócił się i cofnął o kilkanaście kroków. Marzył tylko o tym, by znaleźć się jak najdalej stąd, gdzie mógłby się skulić, złapać za głowę i marzyć, by zły sen minął. Zatrzymał się jednak, obrócił na pięcie i podszedł do Meicala.

– Czyli nie jestem Jasną Gwiazdą?

– Nie ma Jasnej Gwiazdy. I nie ma Czarnego Słońca – szepnął Meical. – Nie ma niczego poza tym, co sami tworzymy.

– To dlatego chciałeś, bym odrzucił wyzwanie Jaela i nie walczył z Sumurem? – Corban potrząsnął głową. Ilość domysłów oraz ich konsekwencji oszałamiała go coraz bardziej. – A co z prawdą i odwagą? – wysyczał.

– Nigdy nie przekazałem ci tych słów. – Meical odwrócił głowę. – Nie mógłbym. Ale na swój sposób stałeś się Jasną Gwiazdą, gdyż ludzie chcą w to wierzyć.

– Co nie zmienia postaci rzeczy – warknął Corban. – Bo nie jestem nim naprawdę!

– Nie? – spytał błagalnym tonem Meical. – Jesteśmy tym, czym chcemy być. Co sprawia, że król staje się królem? Czy w jego żyłach płynie szczególna, święta krew? Nie. Król zostaje wybrany i wierzy w moc swego tytułu, a więc lud również zaczyna wierzyć. Los rzuca królowi wyzwania, a ten może im sprostać albo ponieść porażkę. – Wzruszył ramionami. – Z tobą jest podobnie, choć już wiadomo, że sprostałeś wszelkim wyzwaniom i przekroczyłeś wszelkie oczekiwania. Jesteś żywym dowodem potęgi wiary. – Uśmiechnął się lekko, z rezygnacją. – I osiągnąłeś ogromny, oszałamiający wprost sukces.

Corban dygotał ze złości.

– Zostałem okłamany. Oszukany. Jak marionetka podskakiwałem do melodii wygrywanej przez nieistniejące prorocstwo! – Uświadomił sobie, że zacisnął dłoń na rękojeści miecza. Jego serce wypełniła furia, której nigdy w życiu nie doświadczył, podszycona przez bezdenną rozpacz. – Co gorsza, zrobiłeś również kłamcę ze mnie! Okłamywałem tych wszystkich ludzi!

Wcisnąłem im oszustwa utkane przez nieśmiertelne dzieciaki, którym własna potęga uderzyła do głów!

Wywrzeszczał ostatnie słowa, tryskając śliną. Burza poderwała się z głuchym warknięciem i zjeżoną sierścią. Zaciskał dłoń na mieczu, a Meical stał nieruchomo i spoglądał na niego. Na jego twarzy widniał bezgraniczny smutek.

– Przykro mi – szepnął.

– Przykro ci! Zmierzają ku nam armie, by nas wyrznąć, a nasza jedyna nadzieja okazuje się kłamstwem. Mój lud czeka śmierć, a tobie jest przykro?

Corban wypuścił rękojeść miecza, jakby go parzyła.

– Nie mogę na ciebie patrzeć – powiedział i odszedł.

Kierował się do najbliższego wyjścia, którym okazały się niewielkie drzwi w tunelu. Wszedł w wilgotną ciemność, opromienioną blaskiem pochodni, i jak oszalały ruszył przed siebie. Burza człapała obok niego. Przed pierwszym zakrętem spojrzął w tył i ujrzał zamazaną postać Meicala w progu. Połykając łzy złości, odwrócił od niego głowę i ruszył naprzód.

## Rozdział osiemdziesiąty dziewiąty

# RAFE

Rafe był wyczerpany. Biegł, szedł, brnął i pełzał przez bagna od ponad dziesięciu dni. W pewnym momencie runął bez sił na ziemię, przekonany, że przyjdzie mu tak leżeć aż do śmierci, ale został odnaleziony przez Drapichrusta i Niuchacza. Oba psy lizały go, trącały łapami, skubały zębami i szarpały za ubranie, aż odzyskał przytomność. Gdyby nie nadeszła wiosna, a z nią łagodniejsza pogoda, umarłby bez wątpienia. Stało się jednak inaczej. Żył i szedł naprzód.

Był dobrym tropicielem i potrafił odnaleźć właściwą drogę nawet pośród bezkresnych bagien, aż pewnego chłodnego poranka przeszedł obok Wieży Morcanta, jak zaczął ją nazywać. Wszędzie ciągnęły się pasma siwej mgły, które wdzierały się na zbocza wzniesienia, choć słońce zaczynało już je osuszać.

Psy pobiegły przodem, najwyraźniej również zadowolone z tego, że wreszcie wydostały się z bagien. Ktoś na wieży zapewne ich zauważył, gdyż zagrały rogi.

Gdy Rafe zmierzał ku bramie, ukazały się w niej jakieś postacie. Marzył tylko o ciepłym posiłku i miękkim łóżku, kiedy psy nagle zawróciły ku niemu. Podbiegły z podkulonymi ogonami i leżącymi płasko uszami.

Rafe przystanął i przyjrzał się nieznajomym uważnie. Od razu spostrzegł, że coś jest nie w porządku – jedna z postaci wyraźnie górowała wzrostem nad drugą. Jedna z nich musiała więc być karłem albo druga olbrzymem...

Na jaja Elyona, to Rhin, uświadomił sobie młodzieniec. Jedna z ostatnich osób na świecie, które chciałbym teraz ujrzeć. I ma ze sobą olbrzyma!

Królowa Rhin wyszła mu na spotkanie. Towarzyszący jej szarowłosey olbrzym wspierał się na włóczni o rozmiarach wiosła.

– Coś mi mówi, że nie masz dobrych wieści – oznajmiła Rhin.

– Wieści? – spytał Rafe.

– Poza tobą nikt nie powrócił – powiedziała królowa niecierpliwie, a potem przyjrzała mu się badawczo. – Co, bagna odebrały ci rozum?

– Jestem głodny. I spragniony – wymamrotał Rafe.

– Tak, jasne. – Rhin pstryknęła palcami. – Nakarmcie go, dajcie mu coś do picia, ale nic z alkoholem, bo będzie spał przez tydzień, a potem przyprowadźcie go do mnie.

\* \* \*

Rafe został zaprowadzony do wielkiego namiotu wzniesionego na łące obok wieży. Dookoła stały niekończące się rzędy namiotów, a między nimi uwijali się wojownicy w czerni i złocie Rhin. Młodzieniec ujrzał również przynajmniej dwie dziesiątki olbrzymów.

Dziwne czasy, zaiste, dziwne czasy, pomyślał.

Niuchacz i Drapichrust szły wraz z nim, ale żaden nie miał ochoty wejść do namiotu Rhin. Widząc, że ich pan znika w środku, odbiegły gdzieś razem. Przyczyną ich zachowania mógł być stojący na straży olbrzym, który wyglądał jeszcze groźniej od towarzysza Rhin. Na plecach nosił ogromny topór, a wąsy miał tak długie, że Rafe mógłby się na nich huścić.

W namiocie było chłodno i stosunkowo ciemno. Rhin siedziała przy stole wraz z szarowłosym olbrzymem, który wyszedł z nią z wieży.

– Pokrzepiłeś się? – spytała.

– Tak. Dziękuję – odparł Rafe. – Moja pani – dodał, zreflektowawszy się.

Rhin parsknęła śmiechem i nakazała mu gestem, by usiadł. Spełnił polecenie i ujął puchar napełniony dla niego wodą. Pił, rozkoszując się jej smakiem. Na bagnach na ogół natrafiał na stojącą, cuchnącą wodę i nawet ta w strumieniach miała podejrzany smak, nie mówiąc już o tym, że zazwyczaj widział w niej coś wijącego się i śliskiego.

Spojrzał znad pucharu i uświadomił sobie, że królowa i olbrzym patrzą na niego.

– A więc gdzie jest Ewnis? – spytała Rhin.

Nie tego pytania się spodziewał, a już na pewno nie na samym początku rozmowy. Był przygotowany raczej na coś w rodzaju: „Co tam się wydarzyło?”.

– Nie wiem – odparł.

– Proszę, to bardzo ważne. – Rhin westchnęła. – Skup się. Myśl.

Królowa czasami budziła w nim grozę. Niespodziewanie przypomniał sobie chwilę, gdy siedział z nią w ciemnej komnacie i przyglądał się, jak ogień odsłania wizję Haliona i Conalla w lochu pod ich stopami. Zadrżał.

– Siedział w łodzi... Byliśmy na jeziorze i wiosłowaliśmy na Dun Crin, goniąc Edanę...

– Edana. Dun Crin. Pościg. Podoba mi się – mruknęła Rhin.

– Potem wszędzie pojawił się ogień. Zastawili na nas pułapkę. Zaczęli podpalać łodzie!

– Na jeziorze? – Zadowolenie znikło z głosu Rhin.

Rafe opowiedział bardziej szczegółowo o bitwie pod Dun Crin i taktyce, jaką zastosowano przeciwko nim. Opowiedział też o tym, jak jego łódź się wywróciła i musiał dopłynąć do brzegu.

Nie do końca tak to wyglądało, pomyślał. Nie cierpię ognia... Zawróciłem i wioslowałem do brzegu z takim zapałem, że mało mi ręce nie odpadły. Stóp nawet nie zamoczyłem, ale gdy dotarłem do strumienia, pojawili się ludzie, rzucający we mnie włóczniami i garnkami z olejem. Wtedy wskoczyłem do wody, przepłynąłem jakieś sto kroków pod powierzchnią, wygramoliłem się na drugim brzegu i popędziłem przed siebie.

Dodał, że bitwa do tego czasu dobiegła już końca, a on uciekł na bagna.

– Hm. – Rhin splotła palce. – Wiele nam nie pomogłeś.

– Przykro mi. – Rafe wzruszył ramionami.

– Wcale nam nie pomogłeś – zagrzemiał olbrzym, a chłopak aż podskoczył.

– Naprawdę mi przykro. Byłem na czele, bo to ja poprowadziłem hufiec do Dun Crin. Na jeziorze Ewnis płynął tuż za mną, kiedy nagle wszystko cholera wzię... Eee... Znaczy się, pojawił się ogień, krew, zamieszanie. I Ewnisa już nie widziałem.

– Byłeś jego głównym tropicielem? – spytała Rhin.

– Tak.

– A co z Braithem?

– Nie żyje.

Królowa wyprostowała się, słysząc te słowa. Na jej twarzy pojawiła się zgroza, a potem ogromna rozpacz, jakby miała zaraz uronić łzę.

– Z czyjej ręki padł? – spytała głosem ostrym jak krawędź krzemienia.

– Camlina, swego zastępcy z bandy z Ciemnego Boru. Trafił go strzałą w brzuch z odległości dwóch, trzech kroków.

– Słyszałam już to imię – wysyczała Rhin. – I nie zapomnę go. A ty

uciekłeś?

– Tak.

– Wygląda na to, że jesteś w tym naprawdę dobry.

Chcesz winić człowieka o to, że próbuje przeżyć?, pomyślał Rafe. Choć możesz w sumie mieć mi za złe to, że uciekłem.

Nie miał pojęcia, co powiedzieć, a więc nie odezwał się już ani słowem. Wbił wzrok w puchar, który trzymał w dłoniach.

– Chcę dostać dokładne sprawozdanie na temat tego miejsca. Chcę wiedzieć wszystko o jeziorze oraz o Dun Crin. Chcę dostać mapę strumieni i rzek. Wszystko, co pamiętasz, a w szczególności liczebność wroga. Kogo widziałeś oprócz Edany?

– Roisin i Lorcana. Znajdowali się w tej samej łodzi co Edana.

Rhin skrzywiła się lekko.

– Widziałem też Haliona.

– A więc dotarł.

– Tak. Był tam też Vonn.

– Kto to?

– Syn Evnisa.

Rhin i olbrzym wymienili się spojrzeniami.

– No, mów dalej. – Królowa zachęciła młodego tropiciela.

– Był tam jeszcze Pendathran. I chyba Camlin, ale nie przypominam sobie, by uczestniczył w bitwie. To podstępny drań. Pewnie schował się gdzieś i wypuszczał te swoje strzały.

Wtedy przez ściany namiotu przeniknęły odgłosy zamieszania. Płachta zasłaniająca wejście została odsunięta i do środka weszło kilku wojowników, którzy stanęli po bokach. Wszedł również brudny, zakrwawiony i wyczerpany mężczyzna w pogiętym hełmie. Rękę miał przewiazaną zakrwawionym bandażem.

Morcant!

Ujrzał Rhin i niemalże podbiegł do niej. Padł przed nią na jedno kolano i ucałował jej dłoń, co, sądząc po twarzy królowej, najwyraźniej jej się spodobało.

Czy ja też powinienem był tak postąpić?, zastanawiał się Rafe.

– Moja pani – szepnął Morcant. – Ogromnie się cieszę, że cię widzę.

– Podzielam twą radość – powiedziała Rhin, nie przestając się lekko uśmiechać, po czym zmarszczyła nos. – Choć zdarzało ci się lepiej pachnieć.

– To przez te bagna. – Morcant zamachał rękami. Wydawał się urażony.

– Jasne. Z zapachem sobie jeszcze przez jakiś czas poradzę. Właśnie rozmawialiśmy z pierwszym spośród niedobitków, którzy do nas dotarli – rzekła Rhin i skinęła na Rafe’a dłonią. – Możesz odejść. Chciałabym porozmawiać przez moment z Morcantem.

Musnęła jego policzek i przesunęła palec wzdłuż jednej z blizn, którą wynióśł z Sądu Mieczy.

Rafe poczuł wielką ulgę, słysząc jej słowa. Wstał, uklonił się niezgrabnie i opuścił namiot.

Z kuchni obozowej zabrał bukłak z rozcieńczonym winem oraz kawałek zimnej baraniny, po czym ulotnił się poza obóz, gdzie szybko znalazły go Niuchacz i Drapichrust. W towarzystwie psów włóczył się bezcelowo przez dłuższą chwilę, myśląc o pytaniach Rhin oraz o bitwie. W końcu dotarł nad rzekę, przy brzegach której jeszcze miesiąc temu cumowały ich łodzie. Stąd wyruszyli na rozprawę z Edaną, pewni siebie, być może przepełnieni arogancją.

Szedł wzdłuż brzegu, tym razem doskonale wiedząc, dokąd zmierza. W końcu odwrócił się od rzeki i znów wkroczył na bagna, aż dotarł do pnia uschniętego drzewa. Obszedł go i zatrzymał się w miejscu, gdzie korzenie przebiły ziemię. Padł na kolana i wsunął rękę do czarnej jamy pod korzeniem. Macał przez moment, po czym wyciągnął swój dobytek.

Oparł się plecami o pień, wypił nieco wina, posilił się mięsem, poczęstował też oba psy. Siedział i cieszył się tym, że wreszcie nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo.

I co teraz?, pomyślał. Pewnie znów ruszę na bagna z tym nowym hufcem. A tam znów czeka nas starcie z Edaną, ale tym razem może wesprą nas olbrzymy.

Otworzył sakwę i wyciągnął z niej kolczugę. Zdecydował, że nie weźmie jej na wyprawę, co być może było głupim pomysłem, wszak czekała ich bitwa, ale nie chciał płynąć rzekami i strumieniami w ciężkiej kolczudze. Na samą myśl o utonięciu oblewał go zimny pot.

Potem wyjął szkatułkę i obrócił ją w dłoniach. Szarpnął za zamek, ale w ten sposób nic nie wskórał. Gdy nią potrząsnął, usłyszał grzechot czegoś ciężkiego w środku, a więc wyjął nóż i przez chwilę grzebał ostrzem w zamku. Nic to nie dało, ale nie przestawał dłużyć. Grzebał coraz mocniej i wścieklej, aż ostrze ześlizgnęło się i zacięło go w dłoń. Z wściekłością rzucił nożem



i wstał, trzymając szkatułkę w obu dłoniach.

Nie mogę wszędzie nosić ze sobą tego grata!, pomyślał.

Wzniósł szkatułkę nad głowę i cisnął nią o korzeń, twardy niczym stare kości. Rozległ się głośny trzask i wieko odpadło. Zadowolony z siebie Rafe nachylił się i zajrzał do środka. Zaciekawione psy podeszły bliżej.

W środku znajdował się kielich, ciemny i niezbyt piękny. Młody tropiciel uniósł go ku światłu i z zaskoczeniem skonstatował, iż był bardzo ciężki.

Zrobiono go z jakiegoś metalu, zauważył.

Obrócił go w dłoni i przekonał się, że naczynie było czarne i gładkie, choć tu i ówdzie metal przeszywała jaśniejsza żyła. Wzdłuż krawędzi wiły się starożytne runy.

Cóż, a więc taszczyłem jakiś kielich przez pięćset mil bezdroży Ziemi Wygnanych, pomyślał Rafe.

Zaśmiał się do siebie i zamachnął się, chcąc wrzucić przedmiot do rzeki, gdy nagle się zawahał. Spojrzał na kielich i poczuł się spragniony.

W sumie najpierw mogę się z niego napić. Niech choć coś z tego mam.

Nalał sobie wina, zakręcił zawartością i przytknął brzegi naczynia do ust. Chciał upić jedynie łyk, ale złapał się na tym, że oblizuje już usta. Naczynie znów było puste.

Może to magiczny kielich, pomyślał. Taki, z którego wszystko lepiej smakuje.

Czuł już, jak po brzuchu rozchodzi mu się ciepłe wrażenie. Ku jego zdziwieniu uczucie wcale nie mijało, lecz rozpląwało mu się po żyłach, ciepłe i cudowne, niczym nici ze złota. Jęknął z rozkoszy.

Niezwykłe uczucie docierało do najdalszych zakątków jego ciała – do palców u nóg i rąk, do głowy, za oczy. Odurzało i oszalało lepiej niż najznakomitszy *usque*, którego ojciec dał mu posmakować. Usłyszał własny śmiech, a potem poczuł trawę pod policzkiem. Kielich wytoczył mu się z rąk.

Fale rozkoszy pulsowały jedna za drugą, przeszywając jego ciało. Przybierały na intensywności, aż stały się niemożliwe do wytrzymania, wręcz zbyt cudowne. Czuł swędzenie za gałkami ocznymi, a jednocześnie wydawało mu się, że serce puchnie mu w piersi. Jęknął znów, choć tym razem ze strachu, bo przyjemność zamieniła się w ból. Podciągnął kolana do piersi, wił się, jęczał i miotał, a psy skakały wokół niego, skamlały i lizały go po twarzy.

Potem wrzasnął. Jego ciało zeszywniało, skóra stała się lepka od potu, a mięśnie zastygły w niekończącym się spazmie. Poczuł smak krwi

i zrozumiał, że ugryzł się w język. Zewsząd osaczała go ciemność. Świat rozmazał się, przygasł, a potem nie było już nic.

## Rozdział dziewięćdziesiąty

# CORBAN

Corban maszerował wilgotnym, cuchnącym tunelem. Ciemność co kilkanaście kroków rozpędzały kręgi światła widoczne wokół zatkniętych na ścianach pochodni. Otaczało go echo jego własnych kroków i szelest łap Burzy.

Miał wrażenie, że zaraz oszaleje.

Nie mógł pojąć ogromu zdrady Meicala, a słowa usłyszane od Ben-Elim przetaczały się po nim niczym niekończące się fale wdzierające się na plażę. W pierwszym odruchu chciał się podzielić tą wiedzą z przyjaciółmi, a przede wszystkim z Garem.

Oddał tej przepowiedni całe swe życie, myślał. Ba, przez nią poświęcił je mnie! Jego ojciec dla niej zginął. Nie, ta wiedza go zniszczy. A inni? Jak mógłbym komukolwiek o tym opowiedzieć? Ludzie tracili wszystko, co mieli, z powodu owej strategii, jak nazwał to Meical. Co sobie pomyślą, gdy poznają prawdę? Co zrobią? Czy wszyscy opuszczą Drassil? Wrócą do swych domów? Stracą nadzieję?

Kolejna myśl spadła na niego niczym cios młota.

A ja? Co ja pocznę?

Nie miał pojęcia. Wiedział tylko tyle, że musi znaleźć się jak najdalej od Meicala. Przeraziła go jego własna furia. Był świadom, że mało go dzieliło od wyrwania miecza z pochwy i zamierzenia się na Ben-Elim. Mimo wszystko nie chciał jego śmierci. Nie chciał nawet próbować go zabić. W jego wyznaniu było coś szczerego, coś tragicznego i rozpaczliwego i gdy go słuchał, odkrył w sobie nawet odrobinę współczucia. Co prawda wnet przesłoniła je furia, ale i tak pamiętał tamto doznanie.

Spojrzał na Burzę idącą tuż obok. Oparł dłoń na jej karku i dalej szedł przed siebie.

Pod najbliższą pochodnią stało dwóch mężczyzn uzbrojonych w miecze. Jeden opierał się na włócznie. Corban nie miał pojęcia, jak długo brnął przed siebie, ale wiedział, że jego gniew zaczyna powoli słabnąć. Nie wystygł ani nie znikł całkowicie, ale przynajmniej przestał kipieć i szaleć jak tyśiąć szerszeni w kopniętym gnieździe. Ponadto burczało mu już w żołądku, co oznaczało, że powinien poszukać czegoś do jedzenia.

Zmierzał w stronę dwóch strażników, pilnujących pierwszego wyjścia do Fornu. Rozpoznał ich twarze – byli to Atilius oraz jego syn Pax. Corban pozdrowił ich serdecznie, a ci rozpromienili się, słysząc własne imiona w jego ustach.

Obaj nie wyszli z bitwy o Drassil bez szwanku. Głowa Paxa była obwiązana płótnem, a Atilius nosił nową bliznę, ciągnącą się wzdłuż całego przedramienia. Wciąż widać było ślady po wyciągniętych niedawno szwach.

Strażnicy z ożywieniem zagadnęli go o Datha.

Przecież wczoraj były jego zrękowiny, pomyślał Corban. Wczoraj?

Miał wrażenie, że zbyt wiele się od tego momentu wydarzyło. Rozmowa ze strażnikami przychodziła mu z trudem. Przyzwyczał się już do tego, że ludzie chcą z nim rozmawiać i zawsze próbował znaleźć dla każdego chwilę, ale to było wcześniej.

Zanim poznałem prawdę, dodał w myślach.

Czuł wstyd, patrząc na dwóch wojowników, którzy ryzykowali życiem przed murami Drassil dla przepowiedni oraz dla Jasnej Gwiazdy. Atilius i Pax patrzyli na niego i uważali go za kogoś, kim nie był.

Muszę się przewietrzyć, uznał.

– Otworzycie wyjście dla mnie? – zapytał. – Przydałoby mi się nieco słonecznego blasku na twarzy.

– Oczywiście, panie – odparł Pax i pognał, by otworzyć ukryte drzwi.

Panie..., pomyślał Corban, gdy ruszyli za młodym wojownikiem.

– Czy są już jakieś wieści o tym kolejnym hufcu? – zapytał Atilius. Był starym żołnierzem z Tenebralu, najwidoczniej nawykłym do wojaczki.

– Nie – odpowiedział Corban.

– Damy im popalić, gdy tu dotrą – rzekł Pax i odsunął zasuwę. Wraz z ojcem unieśli dębową kłodę.

– Nie wątpię w to – odparł Corban, gdy kłapa została uniesiona i do środka

wpadły pierwsze promienie słońca. – Dzięki – rzucił i wyszedł na zewnątrz. Burza skoczyła w ślad za nim, by obwąchać kępę dereni.

– Panie? – zapytał nerwowo Pax.

Nie, tylko nie to, pomyślał Corban. Znowu?

– Słucham.

– Gdzie twoi przyboczni? – Pax rozejrzał się po lesie. – Forn to nieprzyjazne miejsce.

– Wszyscy śpią po popijawie – odparł Corban z bladym uśmiechem. – Ale mam przy sobie Burzę, a poza tym nie wybieram się daleko. Zastukam, gdy będę chciał wrócić na dół.

– Będziemy czekać – powiedział Atilius i zabrał się za zamykanie przejścia, ale Pax zdążył jeszcze wysunąć głowę i rzucić Corbanowi mały bukłak i coś zawiniętego w płótno. Ten uśmiechnął się, a wówczas kłapa opadła. Porastająca ją darń sprawiała, że przejście zupełnie nie zwracało na siebie uwagi.

Przeszedł jeszcze kawałek, zwabiony odgłosem płynącej wody, i wnet znalazł się nad wąską, wartką rzeką o stromych brzegach. Jej wody pieniały się, przepływając przez miniaturowy wąwóz. Łagodne wzniesienie, po którym wędrował Corban, naraz stało się strome, aż młodzieniec znalazł się na trawiastej polanie na szczycie wzgórza. Na południu między konarami drzew widział mury i wieże Drassil, a za nimi ogromne drzewo, pnące się ku niebu niczym potężny strażnik. Słońce przyjemnie grzało go w twarz. Corban ułożył się na plecach i wbił wzrok w niebo, ciesząc się tym, że choć przez chwilę nie widzi nad sobą koron drzew. Niebo zasnuwały chmury, wyglądające jak utkane z pajęczyny, które łagodziły blask wiosennego słońca.

Problemy, jakie niosło ze sobą życie, były tutaj odrobinę mniej dokuczliwe, a zaskoczenie i rozpacz zaczęły się powoli cofać niczym sztorm ustępujący miejsca spokojniejszemu wodom. Corban oparł się na łokciu i odkorkował bukłak rzucony mu przez Paxa. Zamiast wody napełniono go rozcieńczonym winem, które przypomniało mu o wczorajszym przyjęciu i szybko ugasiło jego pragnienie. W zawiniątku zaś znajdował się kawałek sera oraz gruby suchar owsiany, którym młodzieniec podzielił się z Burzą. Wilkunica siedziała i wpatrywała się w niego, całkowicie nieruchoma, jeśli nie liczyć śliny ściekającej z jednego kła, więc rzucił jej kawałek sera – Burza wyskoczyła, by go pochwycić, kłapiąc przy tym szczękami, a potem podbiegła do niego i trąciła łbem, przewracając go na plecy. Następnie stanęła nad nim i polizała

go po twarzy.

Corban odepchnął ją od siebie i odtoczył się na bok. Coś uszczypnęło go w ramię. Przypomniał sobie o swej bransolecie z ciemnego żelaza ze srebrnymi nitkami, nadal obwodzącej jego ramię. Przypomniała mu się noc, kiedy ją otrzymał. Przypomniał mu się Meical, wbijający miecz w ziemię.

„Jesteśmy tym, czym chcemy być” – powiedział mu Meical przed chwilą.

Pytanie brzmi jednak, kim ja chcę teraz być, zastanawiał się Corban.

Myślał nad każdym zdaniem Meicala, nad wszystkim, co od niego usłyszał. Nagle zorientował się, że powietrze wokół niego zaczyna się ochładzać, a z południa nadciągnął zimny wiatr.

– Pora wracać – powiedział wreszcie do Burzy. – Nie mogę tu siedzieć bez końca. Poza tym muszę wygłosić pewne oświadczenie.

Wyznanie Meicala wciąż przejmowało go bólem, który ledwie wytrzymał. Miał wrażenie, że odniósł ciężką ranę, głęboką, niemożliwą do wyleczenia, ale wiedział, że nie może się po wsze czasy chować w lesie. Wiedział, że musi wrócić, choćby ze względu na wszystkich tych, którzy uwierzyli w kłamstwo i chcieli za nim podążać. Przecież Wojna Bogów była czymś więcej niż tylko strategiczną grą nieśmiertelnych. Wszak uczestniczyli w niej ludzie. Jego bliscy. Przyjaciele.

Może i nie jestem wielkim wojownikiem, który wedle proroctwa ma nadejść i zbawić świat, jak kiedyś sądziłem, ale jestem człowiekiem, któremu wojna odebrała rodziców, dom, króla i przyjaciół, pomyślał Corban. Nie odwrócę się od swoich obowiązków. Calidus i Nathair to wielkie zło, które należy powstrzymać. Nie odwrócę się od tej walki bez względu na to, czy jestem awatarem zaginionego boga czy też nie.

Gdy powstał, Burza spojrzała na północ, w dół zbocza. Wpatrywała się w drzewa i warczała cicho.

W tej samej chwili Corban pochwycił jakiś odgłos, przyniesiony wiatrem z południa, od strony Drassil. Były to dzikie ryki rogów. Młodzieniec wyteżył słuch i odniósł wrażenie, że wychwytuje jakieś okrzyki, wrzaski, szczęk oręża.

Warczenie Burzy potęgniało, sierść na grzbiecie wilkunicy stanęła dęba. Corban obrócił się i poczuł, jak ziemia drży, a gałęzie dygoczą, odgarniane na bok przez potężną istotę, przedzierającą się przez las.

Wiedział, że trzeba uciekać, ale stał jak oczarowany, a jego nogi nawet nie drgnęły. Z półmroku między drzewami wyłoniła się pokryta futrem bestia z paszczą pełną ostrych zębów. Był to gigantyczny niedźwiedź, na którym

siedział jasnowłosy, blady olbrzym odziany w futra, z młotem przewieszonym przez plecy.

To ów olbrzym, który zabił Tukula. Ildaer, przywódca Jotun, pomyślał Corban.

– Ja cię znam! – wychrypiał olbrzym na jego widok.

Z lasu wyłoniły się kolejne niedźwiedzie, dwa, cztery, pięć, a każdy z jeźdźcem na grzbiecie. Corban krzyknął na Burzę i rzucił się do ucieczki.

## Rozdział dziewięćdziesiąty pierwszy

# CORALEN

Coralen kopnęła Akara w kostkę. Dostrzegła, jak pada i powtarza przewrót, z taką precyzją wykonany przez Sumura podczas jego pojedynku z Corbanem, ale o ułamek sekundy wolniejszy. Coralen przewidziała manewr i wycelowała nieco wyżej.

Gdyby jej miecz nie był zrobiony z drewna, wynikiem tego starcia byłby zabity Akar. Jehar podniósł się z krzywą miną i uklonił się jej uprzejmie, co dziewczyna ledwie zarejestrowała. Nie mogła przestać myśleć o Corbanie.

Pocałowałam go. Pocałowałam. A co on na to? Nic!

Nawet w myślach jej słowa przerodziły się w głuche warknięcie.

– Jeszcze raz – rzuciła do Akara. Nie zauważyła, że wydał się rozczarowany jej propozycją.

Ich drewniane miecze zderzały się z szaleńczym stukotem. Akar poruszał się płynnie, z nienaganną techniką, podobnie jak wszyscy Jehar, a Coralen przeciwstawiła temu swą szybkość i furję. Nie miała jednak przy sobie szponów wilkuna, a jedynie miecz ćwiczebny. Akar zmylił ją sprytnym manewrem, zrobił wypad i pchnął ją drewnianym ostrzem tuż pod żebra.

Właśnie mnie zabiłeś!, pomyślała.

Jej złość buchnęła jeszcze mocniej. Złapała Jehar za miecz, przyciągnęła się bliżej przeciwnika i przejechała mu ostrzem po gardle.

– A co to było? – spytał, cofnąwszy się.

– Zabiłeś mnie, ale nie od razu, a ja ćwiczę zabieranie przeciwników na most mieczy wraz ze mną.

Akar uśmiechnął się i skinął jej głową z szacunkiem, po czym dotknął szyi opuszkami palców. Pojawiła się na nich krew. Choć Coralen walczyła drewnianym mieczem, zdołała go skaleczyć.

– Nie jestem twoim wrogiem – powiedział.



– Co?

– Nie jestem twoim wrogiem – powtórzył. – I nie chcę zginąć podczas treningu.

– Przepraszam – mruknęła.

Tego ranka pojawiła się na dziedzińcu ćwiczebnym jako pierwsza. Miała nadzieję, że spotka tam Corbana, bo zamierzała zafundować mu tyle siniaków, ile będzie w stanie. Jego nieobecność tylko wzmogła jej złość, gdyż uznała to za osobisty afront.

Unika mnie, przeszło jej przez myśl.

Akar był pierwszym pechowcem, który spytał, czy zechce skrzyżować z nim ostrze.

To nie działa. Muszę się spotkać z Corbanem i wyrzucić mu, co o nim myślę, uznała Coralen. Co myślę o człowieku, który daje się pocałować przez kobietę, a potem unika jej przez ponad tydzień. Zwłaszcza jeśli tą kobietą jestem ja. Ja, która pobiłam, skopałam i pogryzłam ponad dwie dziesiątki mężczyzn próbujących mnie pocałować, a teraz...

Wrzasnęła w myślach.

Opuściła dziedziniec, wrzuciwszy treningowe ostrze do wiklinowego kosza, po czym ruszyła szerokimi ulicami twierdzy w kierunku wielkiej sali, rozglądając się w poszukiwaniu Burzy. Uznała, że jeśli nie zastanie Corbana w sali, wejdzie do jego komnaty.

Wkroczyła do sali przez otwarte wrota, a pomieszczenie jak zwykle wypełniło jej serce nabożnym zachwytem. Nie mogła pojąć jego ogromu ani też nadziwić się konarom, które wiły się pod wysokim dachem. Zatrzymała się na schodach, prowadzących w dół, na główne piętro, i rozejrzała się dookoła. Uśmiechnęła się na wspomnienie zabawy po zaślubinach Datha i Kulli, a potem pomyślała o ich pocałunkach i przypomniało jej się coś zupełnie innego. Skrzywiła się gorzko.

Na ławie, przy jednym ze stołów tkwił Meical, samotny, z opuszczoną głową.

Nigdy dotąd nie widziałam, by siedział nieruchomo, pomyślała Coralen. Przecież zazwyczaj bierze się za coś tuż po przebudzeniu. Zaraz, a może widział Corbana?

Naraz sala rozbrzmiała rykiem rogu, który zdawał się dobiegać z prawej strony. Dziewczyna rozejrzała się, ale nikogo nie zobaczyła. Zmarszczyła brwi, aż nagle uświadomiła sobie, co to był za dźwięk.

Alarm dobiegający z tunelu!

– Do broni! – ryknęła. – Nieprzyjaciel w tunelu! Do broni!

Rzuciwszy się do biegu, uświadomiła sobie, że już trzyma miecz w dłoni. Szukała tunelu, z którego dobiegał sygnał ostrzegawczy. Róg nadal ryczał, a ludzie dookoła powtarzali jej okrzyk. Biegając, słyszała, jak zew niesie się coraz dalej, przez wrota na dziedziniec.

Muszę zamknąć tunel!, zrozumiała.

Rozejrzawszy się w biegu, dostrzegła gnającego za nią Meicala. Inni pędzili już ku bramom. Wtem jej oczom ukazało się wejście do tunelu, w którym stał dmący w róg mężczyzna. Za nim kilku innych powoli, ostrożnie opuszczało wielką klapę, która miała zagrozić wejście. Jakiś olbrzym doskoczył im na pomoc, ale wówczas mężczyzna z rogiem krzyknął, by przestali.

Coralen była już na miejscu. Z tunelu dobiegały dziwne, zniekształcone echem odgłosy – łomot kopyt, tupot stóp oraz coś, co przywodziło na myśl szum gwałtownego wiatru.

– Zamykać! – wrzasnęła na ludzi i olbrzyma, trzymających liny.

– Nie! – krzyknął człowiek z rogiem. Był to myśliwy z Narvonu, który dołączył do jej grupy zwiadowczej. – Tam są nasi zwiadowcy! W tym mój brat!

Coralen zatrzymała się na moment i spojrzała w głąb tunelu, który opadał łagodnie w dół. Za plamami światła, rzucanymi przez dwie pochodnie, ziała pustka. W teorii wróg, który wdarł się do tunelu, powinien znajdować się przynajmniej pół dnia drogi stąd, bo pilnujący go zwiadowcy wyposażeni byli w rogi i zwinne konie, by móc jak najszybciej przekazać alarm. Mimo to nie podobały jej się dźwięki, które dobiegały z mroku.

Wróg powinien być jeszcze hen, pomyślała. Dźwięk wszak podróżuje daleko w tych tunelach, zwłaszcza jeśli jest to hałas czyniony przez śpieszących się ludzi.

Naraz przez wrzawę przebił się tętent kopyt, z każdą chwilą coraz głośniejszy, aż pojawił się jeździec, który przemknął przez blask pochodni, gnając ku nim w górę. Jego usta otwierały się i zamykały. Krzyczał coś, ale łomot kopyt i nieprzyjemny hałas z mroku, przywodzący na myśl zgrzyt tysiaca noży na kamieniu, całkiem go zagłuszyły.

– Zamknijcie bramy! – wrzasnął jeździec, wypadłszy z tunelu.

Coralen doskoczyła, by złapać za wodze jego konia, spoconego i spienionego. Mężczyzna wytrzeszczał oczy i widać było, że z trudem panuje nad paniką. Coralen chciała mu zadać kilka pytań, ale zamiast tego odwróciła

się do ludzi trzymających klapę i wrzasnęła, by natychmiast zaczęli zamykać. Zawiasy zatrzeszczały.

Tunelem wstrząsnął straszliwy ryk, który wdarł się do sali z mocą podmuchu wichru podczas najstraszliwszej z burz. Wydawał się wręcz fizyczną istotą, która miażdży klatki piersiowe i rozsadza bębenki w uszach. W korytarzu pojawiło się coś wielkiego z płaskim łbem, małymi ślepiami i grubymi, muskularnymi nogami o stopach zwieńczonych szponami.

Nie...

– To draig! – wrzasnęła Coralen.

Kłapa runęła w dół, gdy ludzie puścili liny. Dziewczyna zdążyła jeszcze spojrzeć w głąb tunelu. Draig nadciągał z jeźdźcem na grzbiecie, a za nim gnali wojownicy, niektórzy konno, inni pieszo. Błysnęło żelazo i nagle brama opadła, wzbijając tumany pyłu. Mężczyźni przypadli do zasuw i próbowali wepchnąć je w obejmy, a olbrzym z pomocą kilku innych ujął wielką belkę dębową, by umieścić ją w żelaznych uchwytych, ciągnących się wzdłuż drzwi.

Ktoś złapał Coralen za ramię i obrócił szarpnięciem. Był to Meical.

– Co tam widziałaś? – zapytał ze spokojem, panując nad emocjami.

– Draiga z jakimś jeźdźcem!

– Nathair jeździ na draigu.

– Tak, to był on – szepnęła Coralen. Wiedziała, że nigdy nie zapomni widoku z Murias. – Byli też z nim Kadoshim, całe setki Kadoshim!

Spojrzała na wstrząśniętego zwiadowcę, który wciąż nie doszedł do siebie. W jego oczach migotała panika. Dziewczyna złapała go za nadgarstek i potrząsnęła mocno.

– Dlaczego są tak blisko? – zapytała. – Gdzie reszta zwiadowców?

– Oni pędzą szybciej od wiatru – wyjąkał zapytany. – A ten draig... – Przez jego twarz przemknął grymas, gdy przypomniał sobie okropne wydarzenia sprzed chwili. – Dogonili pozostałych. Roznieśli ich na strzępy.

Olbrzym wsunął już belkę w uchwyty. Do sali zbiegli się wojownicy, których Coralen naliczyła przynajmniej kilka setek. Każdy dzierżył miecz, ale mało kto był gotowy do walki. Rogi nie przestawały ryczeć i co chwila do środka wpadali nowi ludzie.

– Gdzie jest Ban? – zapytała Coralen Meicala, łapiąc go za ramię.

– On... – Na twarzy Ben-Elim pojawiło się połączenie żalu i winy. – Poszedł z Burzą do jednego z tych tuneli i...

– Co?

- Nie do tego... Bo ten idzie na południe, tak?
- Tak.
- Zagłębił się w ten przy tronie Skalda. Nic mu nie jest.
- A czemu to zrobił?

Rozległ się ogłuszający huk, gdy coś rąbnęło w klapę zagradzającą wejście do sali. Kłapa zadygotała, buchnął kurz, zazgrzytały zamki, niektóre zasuwki odskoczyły.

Nie wytrzyma długo, pomyślała Coralen.

- Gotuj się! – ryknął Meical ze wszystkich sił.

Gar wpadł do środka z garstką Jehar. Zewsząd zbiegali się kolejni – Wulf na czele kilku miotaczy toporów, Javed ze swymi gladiatorami, nawet Brina i Cywen pojawiły się już na schodach prowadzących do komnaty Corbana, a za nimi rozczochrani, rozespiani Dath i Kulla.

Dobrze, że przynajmniej znalazł łuk, przeszło Coralen przez myśl.

- Gdzie Ban?! – wrzasnął Gar, zbliżywszy się.

– W północnym tunelu! Meical mówi, że nic mu nie jest! – odkrzyknęła Coralen i skinęła Enkarze, która towarzyszyła przywódcy Jehar, choć jej noga po upadku z konia wciąż nie odzyskała pełnej sprawności.

Kolejne uderzenie w bramę. Tym razem dębowa belka pękła z głośnym trzaskiem. Buchnęła kolejna fala kurzu.

– Cofnąć się! Wszyscy się cofnąć! – wrzasnęła Coralen, próbując odgonić wojowników od wejścia.

Stoją za blisko! Jeśli drzwi pękną, posypią się belki i odłamki!, uświadomiła sobie.

Meical i Gar wspomogli ją, później dołączyli kolejni i tłum zaskoczonych, oszołomionych wojowników zaczął się powoli cofać, tworząc wokół bramy pierścień o promieniu kilkunastu kroków.

– I tu urządzimy im piekło – warknęła do siebie Coralen, balansując na piętach, gotowa do walki. – Szkoda, że nie mam moich szponów. Cóż, trzeba będzie sobie radzić w tradycyjny sposób.

Lewą ręką wyciągnęła nóż zza pasa.

Przez moment trwała cisza. Kurz wolno opadał. Skórzane zbroje trzeszczały. Wszyscy czekali.

Naraz brama eksplodowała drewnem i żelazem, ogłuszając ich wszystkich i ogarniając tumanami pyłu. Draig w tunelu ryknął z furją i wdarł się do sali, a za nim tłoczyły się już mgliste postacie.

Salą zawładnął chaos.

Draig przedzierał się przez obrońców, wypruwając flaki z tych, którzy okazali się zbyt nierozważni bądź zbyt odważni, by uskoczyć mu z drogi. Nathair na jego grzbiecie rąbał na prawo i lewo długim mieczem. Za potworem nadciągała fala wrogów, którzy natychmiast wdarli się głęboko w tłum wojowników z Drassil. Meical nie czekał ani chwili – bez wahania wskoczył w kłęb kurzu, wzbitego przez draiga, sam jeden przeciwko wielkiej cizbie. Chmura pyłu natychmiast zgasiła blask jego miecza, ale już zaraz z zamieszania wystrzelił cienisty, wrzeszczący demon i Coralen wiedziała, że Meical zgładził pierwszego Kadoshim.

– Prawda i odwaga! – ryknął Gar, pędząc za nim.

Wrzeszcząca co sił w płucach Coralen rzuciła się w ślad za nimi, pociągając za sobą pozostałych, krzyczących i wznoszących broń.

Zewsząd nadciągali Kadoshim, ale wśród nich dziewczyna widziała również innych wojowników, odzianych tak jak piraci, którym uprowadzili okręty w Narvonie – w skórzane kilty i kamizele, a uzbrojonych w puklerze i krótkie miecze. Lubiła ich, bo byli o wiele łatwiejsi do zabicia niż Kadoshim. Nie minęło dużo czasu, a jej miecz i nóż były już zbroczone krwią aż po rękojeści. Za nią wiło się na posadzce pół tuzina dogorywających przeciwników.

Kadoshim wrzeszczeli jak demony, którymi naprawdę byli, owładnięci żądzą walki, a wszędzie, gdzie się pojawiali, trup słał się gęsto. Gar i Meical, walczący kilka kroków przed Coralen, opierali się im jak wyspa pośród wzburzonego morza. Niemalże co chwila ku konarom Wielkiego Drzewa wzbijała się rozwrzeszczana zjawa.

Z cizby przed wojowniczką wyłoniło się jakieś oblicze ozdobione żelaznymi pierścieniami w natłuszczonej brodzie. Pirat pchnął ją w twarz okutym żelazem puklerzem, ale Coralen zrobiła unik, cięła mieczem po ramieniu trzymającym tarczę, przypadła bliżej i wbiła napastnikowi nóż w brzuch. Szarpnęła ostrzem na boki i pchnęła pirata w pierś. Ten zatoczył się do tyłu, ciągnąc za sobą wnętrzności. Inny próbował ciąć ją mieczem, ale z zaskoczeniem skonstatował, że dziewczyny nie było już tam, gdzie mierzył. Ułamek sekundy później zadławił się własną krwią, gdy wojowniczka rozorała mu gardło.

Naraz skoczył na nią jakiś Kadoshim. Coralen cofnęła się, cięła mieczem i nożem, otworzyła ranę na jego udzie, potem na nadgarstku i żebrach, ale nie zrobiło to na nim żadnego wrażenia. Nawet nie zwolnił. Krew z jego ran,

zamiast tryskać, płynęła powoli, ociężale. Coralen cofała się krok za krokiem w stronę tronu Skalda, wypychana z kręgu wojowników, którzy desperacko usiłowali powstrzymać najeźdźców wyłaniających się z tunelu. Niespodziewanie poczuła, że w jej sercu budzi się lęk. Jej obrona stawała się coraz bardziej chaotyczna, ciało słabło, a płuca płonęły. Nieugięty Kadoshim nacierał zaś bez litości, a jego ciosy zlewały się w jeden płynny, niepowstrzymany atak. Coralen zamruła. Zdawało jej się, że z czoła ścieka jej pot, ale była to krew ze skaleczenia nad okiem, którego nawet nie poczuła. Jej strach narastał.

Chyba nie dam rady, pomyślała. Dlaczego Corbanowi walka z tymi diabelstwami przychodzi z taką łatwością? Albo tak to przynajmniej wyglądało...

Naraz wyrósł przy niej odziany w czerń Akar z zakrzywionym mieczem. Zawirował, wyprowadzając uderzenie, i zatrzymał się nagle, zwrócony plecami do nich obojga. Z trzymanego oburącz miecza spływały czarne krople. Kadoshim zrobił jeszcze kilka kroków, aż jego głowa spadła na ziemię, a po niej zważyło się ciało. Mgła przypominająca czarną juchę zgęstniała w postać, która wysyczała swą złość na cały świat i wyparowała.

Coralen podziękowała Akarowi skinieniem, a wojownik skoczył na czele tuzina pobratymców ku Kadoshim i Vin Thalun, rąbiąc na prawo i lewo. Dziewczyna oderwała pasek od swej koszuli, obwiązała pośpiesznie czoło i rozejrzała się po sali.

Obrońcom przybywało posiłków. Dostrzegła przybocznego nieletniego króla, Tahira, który poprowadził wojowników w czerwonych płaszczach Isiltiru do ataku na Nathaira i jego draiga. Pierścień zbrojnych, którzy usiłowali powstrzymać najeźdźców, cofał się jednakże pod naporem wroga i przeredzał z każdą chwilą. Napastnicy pozostawiali za sobą stosy trupów, a ich siły wzmacniały kolejne hordy, wyłaniające się z tunelu.

Nie zatrzymamy ich długo, uświadomiła sobie Coralen.

Na jej oczach pierścień pękł i Kadoshim wraz z Vin Thalun wdarli się do środka niczym fala, przebijając się, by zaatakować obrońców od tyłu. Dziewczyna rozejrzała się z rozpaczą, próbując odnaleźć w chaosie swych przyjaciół. Powzięła w duchu decyzję, iż jeśli ma to być jej ostatnia walka, pragnie zginąć przy ich boku.

Jakże żałuję, że nie udało mi się porozmawiać z Corbanem, pomyślała. Błagam cię, Elyonie, ocal go. Daj mu przeżyć...

Niespodziewanie salą wstrząsnął potężny ryk, który na chwilę zagłuszył wrzawę bitewną, i Coralen ujrzała Balura Jednookiego, który wymachując czarnym toporem, ruszył po schodach. Za nim podążała Ethlinn i cały hufiec Benothi. Balur ryknął ponownie i olbrzymy zaczęły biec ku walczącym niczym górską lawina. Ziemia drżała pod ich stopami. Uderzyli w Kadoshim i Vin Thalun, którzy przerwali pierścień obrońców, roztrącając napastników niczym słomiane lalki. Toporami odrąbывali demonom głowy, a młotami rozbijali Vin Thalun na miazgę.

Obrońcy wykorzystali chwilę wytchnienia i zaczęli się przegrupowywać. Coralen dojrzała Datha, który zebrał tuzin łuczników na schodach prowadzących na wyższe piętro, i wraz z nimi zasypywał wroga gradem strzał. Na przeciwnym skrzydle Wulf i jego rodacy ciskali toporami w draiga i wszystkich, którzy go osłaniali. Gdzieś dostrzegła zbryzganego krwią Javeda z nożami w dłoniach, siejącego śmierć wśród Vin Thalun. Walcząc, uśmiechał się złowieszczo, a jego gladiatorzy wyrąbывali sobie krwawy szlak wśród szeregów piratów. Coralen poczuła przypływ nadziei i z nową energią wtargnęła między walczących. Chciała odnaleźć Gara i stanąć obok niego.

Ten nie odstępował od Meicala. Obaj wojownicy, powaleni krwią od stóp do głów, cięli i rąbali jak szaleni, a wokół nich rósł stos trupów. Coralen osłoniła najpierw jednego, a potem drugiego przed kolejnymi atakami Vin Thalun i Kadoshim. Kłowała, rąbała i siekła, aż w jej ramiona wstąpiło znużenie, a rękojeści broni stały się śliskie od krwi. Na szczęście przybyły posiłki – dojrzała Enkarę, Hamila, Akara i około tuzina innych Jehar, którzy utworzyli półkrąg wokół Meicala i Gara.

Wrogie fale nadciągające z tunelu wnet zaczęły rzednieć, aż rzuciła się na nich ostatnia grupa. Coralen odbiła cios nożem i wepchnęła miecz w pierś jednego z Vin Thalun, ale gdy próbowała go wyszarpnąć, ostrze utknęło między żebrami. Inny pirat dostrzegł to i runął do ataku, chcąc wbić jej miecz w nieosłonięty bok.

Wtem coś rąbnęło go w pierś, która eksplodowała krwią. Wojownik padł na ziemię i przetoczył się, a gdy się zatrzymał, Coralen ujrzała jeden z noży Laith, sterczący z jego tułowia. Olbrzymka przypadła do nich, zbryzganą krwią, z nożem w każdej dłoni. Towarzyszył jej Farrell z młotem przewieszonym przez plecy i sztyletem olbrzymów w ręku.

– Bardziej się nadaje na tych Kadoshim – warknął. – Gdzie Ban?

Nim Coralen zdążyła odpowiedzieć, z tunelu dobiegł nowy odgłos. Bitwa tu

i ówdzie już dogasała i wielu obrońców zatrzymało się, by popatrzeć. Wszyscy słyszeli już rytmiczny łoskot, niosący się coraz głośniejszym echem, aż pojawił się nowy szereg Kadoshim, wokół których uwijały się muchy. Na ich czele szedł wysoki smukły wojownik w kolczudze, dzierżący długi miecz. Uwagę Coralen przyciągnęła jednak jego twarz, częściowo poparzona i zwęglona. Z siwych włosów pozostało zaledwie kilka kosmyków, a reszta była nadpalona bądź całkiem znikła.

– Calidus – warknął Meical.

Za nim i nowymi Kadoshim maszerowali kolejni wojownicy. Coralen widziała równe, zdyscyplinowane szeregi z długimi tarczami, krótkimi mieczami i stalowymi hełmami. Zapamiętała ich dobrze z nocnego wypadu w trakcie bitwy o Domhain. Byli jedynym oddziałem, który nie poddał się panice, a kilka dni później opowiedziano jej, że to ich mur tarcz zniszczył hufiec Domhainu. Zwarta kolumna, szeroka na dwudziestu zbrojnych, wydawała się nie mieć końca i Coralen poczuła, jak opuszcza ją nadzieja.

Calidus dostrzegł Meicala, parsknął i ruszył na niego. Meical zastąpił mu drogę. Ich ostrza zwały się z oszalemiącą szybkością, a czysta siła, kryjąca się w ich ciosach, wydawała się wprost niewyobrażalna. Naraz do walki wmieszał się jeden z Kadoshim, który różnił się nieco od pozostałych, choćby tym, że krążyły nad nim muchy. Rzucił się na Meicala, rąbnął z boku i posłał go na posadzkę.

Calidus doskoczył, by przebić odwiecznego wroga mieczem, ale jego cios odbiła niespodziewanie Enkara, która błyskawicznie przeszła do kontrataku, cięła przeciwnika po oczach i posłała go w tył. Meical zdołał się już podnieść, ale w międzyczasie na Enkarę skoczył jakiś Kadoshim. Nie miał żadnej broni, lecz jakimś cudem wyminął ostrze wojowniczkę i złapał ją gołymi rękami za nadgarstek. Szarpnął z nadludzką siłą, wytrącił jej miecz i przyciągnął ją do siebie, po czym pochwycił ją za twarz i okręcił jej głowę.

Coralen usłyszała trzask pękającego kręgosłupa Enkary, choć znajdowała się w odległości dwudziestu kroków. Kadoshim odrzucił bezwładne ciało na ziemię, a wtedy Coralen wrzasnęła i skoczyła do ataku.



## Rozdział dziewięćdziesiąty drugi

# CYWEN

Zdyszana Cywen wpadła do szpitala, z trudem łapiąc oddech. Ludzie siadali na łóżkach, niektórzy, szurając, próbowali chodzić o kulach, inni usiłovali nałożyć buty i znaleźć jakąś broń. Wszyscy zamarli i spojrzeli na dziewczynę.

– Wynoście się stąd – wysapała, po czym dodała głośniejszym głosem: – Wróg wdarł się do wielkiej sali. Jeśli jesteście w stanie utrzymać miecz, ruszajcie do walki, a jeśli nie, musicie poszukać jakiejś kryjówki.

W sali wybuchło zamieszanie. W tej samej chwili Brina potknęła się i wpadła na Cywen.

– Dzięki za to... że zaczekałaś... na starszą panią – wysapała.

– Przykro mi – rzuciła dziewczyna.

Przez moment obie stały w wielkiej sali i ze zgrozą wpatrywały się w draiga, który wdarł się do środka, oraz na hordy Kadoshim i Vin Thalun, wpadające w ślad za nim. Szybko sobie uzmysłowiły, że obrońcy Drassil mają przeciwko sobie wielką przewagę. Co więcej, w przeciwieństwie do bitwy stoczonej pod murami twierdzy, mierzyli się teraz z wrogiem, który przynajmniej dorównywał im umiejętnościami. Najgorsze jednak było to, że Kadoshim wydawali się wręcz niezliczeni, a wspierała ich banda wrzeszczących Vin Thalun.

Gdy pierścień próbujących ich powstrzymać obrońców zaczął się kruszyć, Brina i Cywen spojrzały po sobie i uświadomiły sobie to samo.

Szpital. Jeśli Kadoshim tam dotrą, dojdzie do rzezi.

Bez słowa popędziły więc po owładniętych chaosem ulicach Drassil.

Wciąż zdyszana, Cywen zaczęła pomagać ludziom wstawać i ubierać się. Niektórym wręczała porcje wywaru z maku na uśmierzenie bólu. Brina obok niej pakowała zioła i fiołki do torby. Gdy większość pacjentów opuściła już szpital, dziewczyna dostrzegła ostatnią rzecz, po którą tu przyszła – oba pasy

z nożami do rzucania.

Narzuciła je na pierś i musnęła palcami rzędy oprawionych w skórę rękojeści. Ich ciężar dodał jej otuchy.

– Gotowa? – zapytała Brina, która zarzuciła sobie torbę na ramię, a w dłoni trzymała lekką włócznię.

Cywen uniosła brew, widząc jej broń.

– Przynajmniej pomoże mi za tobą nadażyć – parsknęła uzdrowicielka.

Skierowały się ponownie ku wielkiej sali, ale tym razem wolniej. Wrzawa bitewna przybierała na sile z każdym krokiem. Ludzie biegali we wszystkich kierunkach, a w powietrzu wisiała panika. Walka wylała się już na dziedziniec przed wielką salą – tu i ówdzie widać było grupy walczących, a przez otwarte do połowy wrota co rusz wyłaniali się kolejni Kadoshim oraz Vin Thalun. Cywen ujrzała jednego z demonów, jak wyskakuje, przelatuje w powietrzu jakieś dwadzieścia kroków i ląduje w samym środku grupy ludzi Wulfa, rozpędzając ich na wszystkie strony. Inny przykucnął na trupie jakiegoś wojownika i wgryzał się w jego gardło, umazany krwią.

Mimo to Cywen i Brina nadal biegły przed siebie, zmierzając ku wrotom. Znalazły się na prowadzących ku nim schodach, gdy rozległ się ogłuszający ryk i coś z ogromną siłą uderzyło od środka w wejście do wielkiej sali. Jedno ze skrzydeł, wyrwane z zawiasów, runęło z ogłuszającym łoskotem na ziemię, przygniatając zarówno obrońców, jak i napastników. W wejściu pojawił się rozszalały draig z Nathairem na grzbiecie, który runął na dziedziniec, kołysząc łbem na prawo i lewo i kłapiąc szczękami. Odwrócił się od dwóch kobiet i pognął za gromadą uciekających wojowników. Wejście do wielkiej sali stało puste.

– Teraz! – krzyknęła Brina i rzuciła się ku niemu biegiem.

Jeden z Vin Thalun zastąpił im drogę, gdy wtargnęły do środka, ale Cywen wpakowała mu nóż w oko. Wojownik padł na ziemię, targany konwulsjami. Dziewczyna nachyliła się, by odzyskać broń, a potem skoczyła naprzód, tylko po to, by zderzyć się z uzdrowicielką, która niespodziewanie zatrzymała się u szczytu schodów prowadzących w dół, do wielkiej sali Drassil.

I wtedy Cywen ujrzała to, co wstrząsnęło Briną. Widok, jaki roztoczył się przed jej oczami, niemalże złamał jej serce.

Ogromne pomieszczenie cuchnęło niczym rzeźnia. Wszędzie widać było martwych i umierających, a w powietrzu krzyżowały się okrzyki bitewne, wrzaski konających, krzyki przerażenia i płacz z bólu. Ostrza zwierzały się ze

szczękiem, olbrzymy pohukiwały, napierając bez ustanku, Kadoshim wyli zgrzytliwie.

Ogromnej klapy, którą wyłamali wdzierający się do środka wrogowie, nikt już nie pilnował, a pierścień obrońców pękł i zamienił się w wysepki zaciętego oporu pośród morza napastników. Przez sam środek chaosu maszerował wielotysięczny hufiec tenebralski, który miażdżył opór z niepowstrzymaną siłą.

Veradis..., pomyślała Cywen. Czy on tam gdzieś jest?

Na jej oczach mur tarcz, ponaglany sygnałami granymi na rogach, zaczął się sprawnie dzielić i przeistaczać w mniejsze czworoboki, które ruszyły w różnych kierunkach, systematycznie oczyszczając pole bitewne przed sobą.

– To już koniec – rzekła Brina.

Jej słowa wciąż dźwięczały Cywen w uszach, gdy usłyszała dziki ryk z przeciwnej strony sali i ujrzała Benothi. Poczowała przypływ nadziei, która natychmiast przygasła, gdy zobaczyła, jak kilku spośród nich unosi z ziemi ciało. Dojrzała opadające srebrzyste włosy, mokre od krwi.

Balur Jednooki padł.

– Tak, to koniec – burknęła.

Wszędzie widziała obrońców Drassil, którzy porzucali walkę i uciekali, choć tu i ówdzie odwrót przybierał bardziej zorganizowaną formę. Topornicy Wulfa dołączyli do gladiatorów Javeda i cofali się za pień ogromnego drzewa, gdzieś bliżej jakaś setka Isiltirczyków w czerwonych płaszczach osłaniała się lasem długich włóczni i kierowała się ku wrotom.

– Musimy znaleźć Bana i wynieść się stąd – rzekła Brina.

– Ale dokąd mamy iść? – wymamrotała Cywen.

Świadomość klęski rozpływała się po jej ciele niczym trucizna. Odbierała jej wolę walki oraz resztki energii.

Nie, to niemożliwe, powtarzała w myślach.

– Tam. – Brina wskazała kierunek włócznią.

Przy wejściu niedaleko tronu Skalda nadal trwała zawzięta walka, a ścisk wojowników przywodził na myśl targane sztormem fale. W samym środku Cywen dostrzegła swoich przyjaciół. Gar i Meical walczyli ramię w ramię, siejąc śmierć wśród Kadoshim. Na jej oczach któryś z demonów wzleciał z wrzaskiem i znikł. Zauważyła też błysk rudych włosów Coralen, szalejącej niczym upiór z legend, a dalej ujrzała Farrella, Laith, Datha i Kullę oraz garstkę innych, głównie Jehar. Uświadomiła sobie, że ich liczba szybko się

zmniejsza – nie dlatego, że padali pod wrogimi ciosami, ale jeden po drugim znikali w niewielkich drzwiach obok tunelu.

Uciekają!, przemknęło jej przez myśl.

– Musimy ich dogonić! – syknęła Brina. Złapała Cywen i pociągnęła ją za sobą w dół schodów.

Przedzierały się przez tłum ludzi, z których większość podążała w przeciwnym kierunku, próbując uciec z wielkiej sali. Dziewczyna brnęła naprzód, odpychała ludzi na boki bądź prześlizgiwała się między nimi, cały czas ściskając starszą uzdrowicielkę za rękę, aż dotarły na sam dół schodów. Tam rzuciły się do biegu. Cywen wykorzystwała dwa noże, by powalić Vin Thalun, którzy zwrócili na nie uwagę, ale pozostawiła ostrza w ich ciałach. Chwilę później miały już naprzeciwko siebie masę wojowników napierających na Meicala i resztę.

Brina skręciła i przypadła do flanki w kształcie półksiężyca, zaciskającego się niczym pięść na jej stawiających opór przyjaciółach. Wbiła włócznię w plecy jakiegoś Vin Thalun. Inny, który dostrzegł Cywen i wzniósł miecz, padł z jej nożem w gardle, charcząc. Uzdrowicielki wdarły się głębiej w tłum i dziewczyna widziała już przed sobą Laith i Farrella.

Naraz wyrósł przed nimi Kadoshim z ustami rozwartymi w zwierzęcym ryku. Zwrócił na nie czarne oczy i wzniósł zakrzywiony miecz. Brina wbiła swą włócznię w jego miękkie gardło tuż nad skrajem kolczugi. Ostrze weszło głęboko i z rany pociekła ciemna, niemalże czarna krew. Kadoshim rozrąbał drzewce włóczni i nie przejmując się tym, że ostrze nadal tkwi w jego ciele, rzucił się na cofającą się kobietę. Cywen cisnęła w niego trzema nożami – pierwszy wbił się w czaszkę, drugi odbił się od kolczugi, a trzeci wgryzł się między jej ogniwami w brzuch Kadoshim.

Żadna z ran nie zrobiła na nim wrażenia.

Nie obetnę mu głowy nożem, pomyślała dziewczyna.

Ostrze Kadoshim przeszło o włos przed twarzą Briny. Cywen wyszarpnęła miecz, złapała go oburącz i rąbnęła potwora w szyję. Ostrze rozcięło skórę, mięśnie, zgrzytnęło o kości.

No, to go zainteresowało, zauważyła.

Kadoshim zwrócił na nią czarne oczy i skoczył. Gwałtowny ruch wyrwał jej z rąk miecz, który nadal tkwił w karku potwora i najwyraźniej mu nie przeszkadzał. Wyglądało na to, że Kadoshim pragnie teraz tylko i wyłącznie śmierci Cywen. Pochwycił ją za pas z nożami i przyciągnął do siebie,

wznosząc miecz. Przerazona dziewczyna kątem oka ujrzała Brinę, która uniosła rękę i krzyknęła coś w mowie olbrzymów. Wśród jej słów Cywen rozpoznała *lasair*, które oznaczało ogień. Naraz uzdrowicielka rzuciła czymś – czyżby fiolką? – co rozbiło się na twarzy Kadoshim i eksplodowało żarłocznymi płomieniami, które natychmiast objęły jego kark i tors. Wraz z falami gorąca i dymem buchnął duszący zapach płonącego ciała oraz włosów.

Cywen rzuciła się do tyłu w chwili, gdy ogień objął ramię Kadoshim. Padła na ziemię i ujrzała, jak demon cofa się i zatacza niczym pijany, po czym wpada na jakiegoś Vin Thalun. Płomienie przeskoczyły na człowieka, w okamgnieniu zamieniając go w ludzką pochodnię. Obaj padli na ziemię z dzikim wrzaskiem i zaczęli miotać się i ciskać na boki. Po chwili Kadoshim znieruchomiał, a z jego płonącego ciała wystrzelił cienisty, rozwrzeszczany demon.

A więc nie przepadają również za ogniem, choć ten nie zabija ich tak szybko jak ścięcie głowy, pomyślała Cywen.

Podniosła się chwiejnie. Brina pokiwała głową z satysfakcją.

Naraz rozległo się kolejne przeraźliwe wycie. Uzdrowicielki odwróciły się błyskawicznie i ujrzały grupkę Kadoshim, którzy biegli prosto na nie. Brina pośpiesznie sięgnęła do torby, z której wyciągnęła następną fiolkę.

Byłam przekonana, że to leki, pomyślała Cywen. Co też ona knuła?

Stara kobieta wykrzyknęła jeszcze kilka słów i cisnęła fiolką w pierwszego z nadbiegających napastników, znajdującego się już zaledwie kilka kroków od Cywen.

Dziewczyna ujrzała tylko oślepiający błysk i usłyszała kilka wybuchów, a potem ogromna siła wyrzuciła ją w powietrze. Ostatnią rzeczą, którą dostrzegła, nim ogarnęła ją ciemność, był wyraz całkowitego zaskoczenia na twarzy Briny.

\* \* \*

– Och, cóż za miła niespodzianka – usłyszała nad sobą jakiś głos.

Otworzyła oczy, ale natychmiast tego pożałowała, gdy w jej głowie załomotał ból. Zacisnęła powieki, ale wtedy poczuła kopnięcie w żebra. Ból eksplodował w kilku miejscach jednocześnie i nie mogła go dłużej ignorować.

Znów rozchyliła powieki i spojrzała w pochyloną nad nią twarz, popaloną

i poczerniała, ale wciąż znajomą.

– Calidus – wychrypiała.

Mężczyzna niespodziewanie złapał za zwęglony skrawek swych ust i oderwał go z cichym młaśnięciem. Skrzywił się i odrzucił go na bok.

– W rzeczy samej – rzekł. – Ogromnie się cieszę, iż znów mogę cię ujrzeć. Obawiam się jednak, że nie odwzajemniasz mojej radości.

Uśmiechnął się, co ze względu na brakujący fragment wargi robiło upiorne wrażenie.

Cywen nie odpowiedziała. Spróbowała się podnieść, ale odkryła, że jej ręce zostały związane.

Nadal znajdowała się w wielkiej sali. Siedziała na drewnianej klapie, do której z takim uporem próbowała dotrzeć, otoczona zewsząd głównie trupami. Spostrzegła Meicala, zmuszonego do uklęknienia przez trzech Kadoshim. Był zbрызganym krwią, głównie swych przeciwników, jak przypuszczała Cywen.

Calidus ruszył ku niemu.

– Miałeś chyba nadzieję na inny koniec, co? – rzekł wesoło.

Meical obrzucił go zimnym, pozbawionym emocji spojrzeniem.

– Dobrze, przejdźmy do konkretów. Gdzie twoja marionetka? Twój czempion. Twoja Jasna Gwiazda?

Meical milczał.

Zbliżyła się grupa Kadoshim. Idący na ich czele demon, otoczony rojem bzyzących much, trzymał w ręku potężny przedmiot, w którym Cywen rozpoznała po chwili czarny topór. Z trudem powstrzymała odruch zgrzytnięcia zębami.

Topór z gwiazdowego kamienia. Odebrany Balurowi, pomyślała.

– Znakomicie. – Calidus się uśmiechnął. – Doprawdy znakomicie. Dwa Skarby w ciągu jednego dnia. – Zerknął na włócznie, nadal przyszpilającą szkielet starożytnego króla do pnia drzewa. – Jedynym, co sprawi, że ten dzień okaże się jeszcze wspanialszy, jest głowa Jasnej Gwiazdy zatknięta na włócznie. A więc...

Cywen usłyszała za sobą głucho, rytmiczne dudnienie i dobrze jej znany zgrzyt pazurów draiga na kamiennej posadzce.

– Gdzie on jest?! – wykrzyknął Nathair z grzbietu potwora. Wpatrywał się z nienawiścią w Meicala. – Gdzie ten twój Jasna Gwiazda?

– Właśnie pytałem o to samo – stwierdził Calidus. – Pora więc na odpowiedź.

– Jest bezpieczny – rzekł Meical. – I sam was znajdzie. Wszak to siła natury, uosobienie gniewu samego Elyona. Lepiej nauczcie się oglądać za siebie.

– Och, przestań – roześmiał się Calidus.

– Ta wojna jeszcze się nie skończyła! – warknął Meical.

– Ach, i tu się mylisz – westchnął Calidus. – Przynajmniej jeśli chodzi o ciebie, choć sam muszę przyznać, że miałem nadzieję na więcej. Przykro mi to stwierdzić, Meicalu, ale nudzisz mnie. Legionie, zajmij się nim.

Meical szarpał się, ale trzech Kadoshim trzymało go mocno. Dwóch rozciągnęło jego ramiona na boki, a trzeci napał stopą w bucie na jego plecy, przycisnąwszy policzek Ben-Elim do kamiennej posadzki. Wówczas Kadoshim z toporem wznosił broń wysoko i opuścił.

Rozległ się chrzęst i brzęk, gdy ostrze, przerąbawszy kark, wbiło się w kamień. Odcięta głowa zatoczyła półkrąg, a nad przeszywanym skurczami trupem pojawiła się mgiełka, która na moment uformowała postać wojownika z surowym obliczem i wielkimi, białymi skrzydłami.

– Teraz już wiesz, jak to jest – rzekł Calidus.

Duch Ben-Elim spojrzał gniewnie na starca, a potem wydał z siebie ryk, zawierając w nim całą wściekłość, frustrację i rozpacz. Raz jeszcze uderzył skrzydłami, wzbudzając podmuch wiatru, po czym rozpląnął się w powietrzu.

Calidus odwrócił się ku Cywen. Na jego popalonej twarzy zastygł tryumfalny uśmiech.

– No, mała zdziro – warknął. – Pora, byś mi odpowiedziała na ważne pytanie. Gdzie jest twój brat?

## Rozdział dziewięćdziesiąty trzeci

# CORBAN

Corban biegł, aż krew huczała mu w głowie. Gałęzie smagały go po twarzy. Burza pędziła przed nim, czasem dostrzegał jej ciało między drzewami.

Zbiegł po zboczach i wniknął w gęste zarośla w nadziei, że te powstrzymają ogromne niedźwiedzie, ale głośny trzask pękających drzew i krzewów zdradził mu, że jego plan się nie powiódł. Mimo to brnął naprzód przez gęstwinę pnączy, korzeni i kolczastych gałęzi, drapiących go, raniących, próbujących zatrzymać.

Muszę wymyślić coś innego, uświadomił sobie.

Skreślił w prawo, wyskoczył z zarośli i pochylając nisko głowę, popędził między rosnącymi w sporych odstępach drzewami.

Trzask rozrywanej gęstwiny i pomruki niedźwiedzi cichły gdzieś za nim, a każdy krok oddalał go od niebezpieczeństwa. Uciekając, Corban próbował ustalić, gdzie się znajduje i w jakim kierunku powinien pójść, aż usłyszał plusk płynącej wody po lewej stronie.

Rzeka!, pomyślał i podążył tam, gdzie jego zdaniem znajdowało się ukryte wejście do tunelu.

Odgłosy pościgu wciąż cichły.

Uda mi się, przeszło mu przez myśl.

Niespodziewanie zarośla eksplodowały z takim impetem, że ziemia aż zadrżała. Corban odniósł wrażenie, że jakaś siła wyrwała kilka drzew z korzeniami, ale nie miał czasu na obserwacje, gdyż obok rozległ się tupot potężnych łap oraz ogłuszający ryk, który oszołomił go i posłał na kolana.

Potoczył się w dół zbocza. Kątem oka dostrzegł wznoszącą się pazurzystą łapę i bladą skórę jakiegoś olbrzyma. Gdzieś zaryczały inne niedźwiedzie, po prawej i po lewej stronie.

Młodzieniec zatrzymał się wreszcie. We włosach miał liście, w nosie



i ustach ziemię. Złapał za miecz, a wtedy przed sobą ujrzał zatrzymującą się Burzę. Wilkunica odwróciła się, by na niego spojrzeć.

– Uciekaj! – rozkazał.

Ani drgnęła.

– Uciekaj! – krzyknął.

Burza stała i wpatrywała się w niego.

Uciekaj! Uciekaj stąd, proszę!, błagał ją w myślach.

Niedźwiedź z olbrzymem na grzbiecie wypadł z łoskotem z gęstwiny leśnej. Burza warknęła, napięła mięśnie i skoczyła ku niemu z nisko pochylonym łbem. Żyły pulsowały na jej piersi.

Corban przetoczył się, wspiął na jedno kolano, dobył miecza. W tej samej chwili wilkunica przemknęła obok niego i z rozwartymi szczękami skoczyła na niedźwiedzia.

Zwierzęta zderzyły się i młodzieniec przez moment widział tylko kotłowaną futra, mięśni, kłów i pazurów. Wilkunica zatopiła kły w ramieniu niedźwiedzia i przeorała jego sierść pazurami, szukając oparcia, ale pęd skoku przeniósł ją dalej. Na boku niedźwiedzia zwisał płat zdartej skóry. Zwierzę zaryczało z bólu, a nad łbem Burzy przemknął ogromny młot wojenny. Wilkunica przetoczyła się i zerwała do kolejnego skoku.

Corban podniósł się już i biegł niedźwiedziowi na spotkanie. Uskoczył w bok, wyminął tnącą go, pazurzastą łapę i rąbnął trzymanym oburącz mieczem. Włożył w ten cios wszystkie swe siły. Ostrze wgryzło się w bok potwora, przebiło futro i zmiażdżyło kilka żeber. W tej samej chwili Corban poczuł podmuch powietrza nad sobą i instynktownie przypadł do ziemi, by uniknąć młota wojennego, który z sykiem ciętego powietrza przemknął tuż nad jego głową. Olbrzym warknął z wściekłością.

Jeśli rana zadana przez Burzę okazała się dla niedźwiedzia bolesna, ta, którą uczynił miecz Corbana, odebrała mu zmysły. Zwierzę zaryczało wściekle, zatrzymało się gwałtownie, targnęło się w bok i uderzyło o drzewo, aż strzeliły drzazgi, po czym rzuciło się na ziemię. Wyrzucony z siodła jeździec znikł w półmroku między drzewami. Burza przypadła do niedźwiedzia, który już próbował się podnieść, brocząc krwią z nosa i pyska, i zatopiła zęby w jego gardle.

Niedźwiedź szamotał się i próbował powstać, ale płuca odmawiały mu już posłuszeństwa, a pazurzaste łapy ślizgały się po ziemi. Wówczas wilkunica targnęła łbem, rozdzierając niedźwiedziowi gardziel. Buchnęła krew, a wrogie

zwierzę opadło bez życia.

Corban podbiegł do Burzy i położył jej dłoń na barku.

– Dzielna dziewczyna – szepnął. – A teraz wynośmy się stąd.

– To już drugi niedźwiedź, którego mi ubiliście – dobiegł głos spośród cieni.

Ildaer, odziany w futra i skóry przywódca Jotun, wyszedł z półmroku, wymachując młotem. W tej samej chwili przez las przedarły się dwa inne niedźwiedzie z jeźdźcami na grzbietach.

– Pamiętam cię – mówił Ildaer, podchodząc bliżej. – Stałeś nad ciałem przyjaciela w osadzie Gramma.

– Czego tu szukacie? – spytał Corban. Rozglądał się po lesie, wypatrując dróg ucieczki.

– Chcę wesprzeć Jaela – rzekł Ildaer. Zatrzymał się i przechylił głowę, wsłuchując się w nikłe odgłosy bitwy, docierające z Drassil.

– Jael został pokonany, a jego armia rozbita – rzekł Corban.

– A więc kto was teraz atakuje? – spytał Ildaer.

Młodzieniec spojrział nerwowo ku Drassil.

– Nie wiem.

Muszę tam wrócić, pomyślał.

Ildaer omiótł Corbana wzrokiem od stóp do głów.

– Ładna bransoleta – powiedział i przechylił głowę na bok. – Podczas bitwy pod grodem Gramma nie miałaś jej, prawda? Jesteś ich panem?

– Podejdź bliżej, a stanę się tym, który wyprawi cię na most mieczy – odparł Corban.

– Ach, to mi się podoba. – Ildaer pokiwał głową i spojrział na swoich wojowników. – Niezły duch.

Naraz świsnęło rozcinane powietrze i w ramię Ildaera wbiła się włócznia. Olbrzym krzyknął, zatoczył się, padł plecami na jakiś pień i ześlizgnął się po nim. Spoza drzew za plecami młodzieńca wypadli Atilius i Pax.

– Corban! – krzyknął Atilius.

Nie trzeba mu było dwa razy powtarzać. Odwrócił się, przesadził martwego niedźwiedzia i rzucił się do biegu. Burza gnała przy nim z rozwartym pyskiem, z którego powiewał czerwony język. W kilka susów dopadli do Atiliusa i Paxa, po czym pomknęli razem w głąb lasu. Za sobą słyszeli krzyki i warczenie, a potem trzask miażdżonych gałęzi. Niedźwiedzie rzuciły się do pościgu.

– Tędy! – zawołał Atilius i skręcił w lewo. Powiódł ich w większą gęstwinę,

po czym wślizgnął się pod kilka ogromnych pni, obalonych przez jakąś wściekłą burzę. Ich korzenie wznosiły się ku niebu niczym zastygłe w bezruchu wielkie żmije. – Niedźwiedzie nie trafią tu za nami – dodał.

Dalej ciągnął się zagajnik kolczastych krzewów, przez które ciężko było się przedrzeć, ale na szczęście Atilius prowadził ich wąską ścieżką wydeptaną przez lisy, doskonale sobie znaną. Plusk płynącej rzeki stawał się coraz głośniejszy.

Jakiś czas później znaleźli się na polanie, która kończyła się urwiskiem, opadającym ostro w stronę rzeki. Zatrzymali się, by nabrać tchu. Atilius podał Corbanowi bukłak. Burza wpatrywała się w poszycie.

– Dzień... dziękuję wam – wydyszał Corban.

– Usłyszeliśmy niedźwiedzie – rzekł Pax. – Nie wiedzieliśmy, co to oznacza, ale czuliśmy, że to nic dobrego, a ty byłeś gdzieś poza tunelem.

– Musimy wracać do Drassil. – Corban nagle przypomniał sobie ryk rogów i odgłosy bitwy, które dobiegły od strony fortecy.

– Tak. Idąc wzdłuż rzeki, dotrzemy do ukrytego wejścia – rzekł Atilius.

Burza warknęła.

Rozległ się rytmiczny świst i obok przemknęło coś wirującego. Wszyscy unieśli głowy i wtedy Atilius runął w tył w eksplozji krwi i strzaskanych kości. Wpadł na drzewo i już na nim pozostał, przybity doń ogromnym toporem, który niemal rozrąbał go na pół.

Pax wrzasnął, a z lasu wypadł olbrzym. Corban przypadł do chłopaka, który nie mógł oderwać wzroku od ciała ojca, i szarpnął nim.

– Drassil! Pax, musisz wracać do Drassil. Ściągnij pomoc, jeśli będziesz w stanie!

Zapłakany chłopak spojrzał na niego, skinął głową i rzucił się do biegu. Corban zaś wyrwał miecz i odwrócił się ku olbrzymowi, który wyjął, wpadł na polanę. Wyszarpnął zza pasa sztylet równie długi jak miecz jego przeciwnika, a wzrokiem omiótł topór wbity w drzewo. Corban nie czekał ani chwili. Skoczył naprzód, a w jego głowie odezwały się rady Tahira i Balura: „Trąć wrogie ostrze, zmień jego tor, poprowadź tam, gdzie chcesz. Wykorzystaj swą szybkość oraz rozmiar jako przewagę”.

Naraz pojawiła się Burza, która wyskoczyła i zacisnęła zęby na nadgarstku olbrzyma. Trysnęła krew, a sztylet wypadł na ziemię. Olbrzym wznosił pięść i rąbnął wilkunicę w głowę. Zwierzę nie puszczało. Corban wykorzystał sposobność, przypadł do olbrzyma i nim ten zdołał go spozrzeć, wbił mu

ostrze w brzuch i pchnął je ku górze, uwalniając potoki krwi. Potężny wojownik runął na kolana, a Corban wyszarpnął broń, chlasnął wroga po gardle i przewrócił kopnięciem.

Odwrócił się, by pobic za Paxem, gdy jego kolano eksplodowało bólem, który odebrał mu dech. Padł jak ścięte drzewo i wtedy ujrzał stojącego nad nim olbrzyma z młotem wojennym w garści. Inny dzierżył masywną włócznię.

Corban odtoczył się w bok, wbił w ziemię miecz, by dźwignąć się i stanąć na zdrowej nodze. Uniósł ostrze, na co olbrzym z młotem zaśmiał się i kopnął go w pierś. Młodzieniec usłyszał trzask pękających żeber oraz huk w głowie. Padł i toczył się bez końca.

Olbrzym szedł w jego stronę. Corban szukał miecza, ale nie mógł go nigdzie znaleźć. Noga i klatka piersiowa pulsowały mu bólem.

Naraz nad jego ciałem wyrosła Burza, pochylona i warcząca. Olbrzym zawahał się. Zza jego pleców wynurzył się jego towarzysz z włócznią. Nim jednak którykolwiek się ruszył, Burza wyskoczyła i zderzyła się z pierwszym olbrzymem, już podnoszącym młot do ciosu. Jej rozwarty pysk mierzył w stronę gardła napastnika. Obaj padli na ziemię i przetoczyli się.

Corban podniósł się, ale nie był w stanie oprzeć się na rannej nodze. Odnalazł miecz i wsparł się na nim, kusztykając w ślad za walczącymi. Olbrzym tłukł Burzę po łbie i żebrach, aż Corban usłyszał suchy trzask. Wilkunica zaskomlała, ale wreszcie pochwyciła mocniej gardło przeciwnika i szarpnęła ze wszystkich sił. Buchnęła krew, a olbrzym znieruchomiał. Burza padła wraz z nim. Zaskomlała, próbując się podnieść, lecz wtedy stanął nad nią olbrzym z włócznią. Corban nadal znajdował się w odległości kilkunastu kroków.

Ostrze włóczni wbiło się w bark wilkuny i wchodziło coraz głębiej. Corban zawył z furii i choć ból o mało nie odebrał mu zmysłów, skoczył na olbrzyma. Wpadł na niego od tyłu i przewrócił go na ziemię. Olbrzym próbował się dźwignąć, ale Corban wepchnął mu miecz w krocze, przecinając arterię po wewnętrznej stronie uda.

Upadł na konającego, z trudem łapiąc oddech. Nigdy dotąd nie czuł tak potwornego bólu, który pulsował w całym jego ciele. Za każdym razem, gdy próbował zaczerpnąć tchu, czuł, jakby pierś przeszywało mu cienkie ostrze, ale umysł wypełniła mu tylko jedna myśl.

Burza.

Porzucił swój miecz, nadal wbity w ciało olbrzyma, gdyż nie miał już siły,

by go uwolnić. Przetoczył się na brzuch i ujrzał Burzę, która leżała nieruchomo z włócznią sterczącą z piersi. Wbił palce w ziemię i zaczął pełznąć ku niej. Szlochał, a gorące łzy rozmazywały świat dookoła niego. Chyba raz czy drugi udało mu się wykrztusić jej imię, bo uniosła łeb, spojrzała na niego i zaskamląła żałośnie. Jej ogon uderzył słabo o ziemię, pysk zwieńczyła krwawa piana. Poruszyła przednimi łapami, grzebiąc pazurami w ziemi, i przesunęła się odrobinę, a potem jeszcze kawałek i jeszcze trochę. Powoli pełzła ku niemu, aż się spotkali, oboje poturbowani, zakrwawieni, strzaskani, leżący bez sił na trawiastym urwisku nad rozhukaną rzeką. Corban złapał drzewce włóczni, tkwiące w piersi wilkunicy i wyszarpnął je, a zwierzę zaskowotało. Odrzucił broń daleko i własnymi rękami usiłował zatamować krwotok. Burza polizała go po twarzy i ułożyła mu pysk na ramieniu, a Corban zanurzył twarz w futrze jej karku i wtulił się w nią.

\* \* \*

Trzask i szelest w zaroślach. Głosy olbrzymów.

Jak długo byłem nieprzytomny?, pomyślał Corban w panice.

Jęknął i podniósł się nad Burzę, która nadal żyła, ale jej oddech był krótki, urywany i w niczym nie przypominał długiego, głębokiego sapania, przy którym tylekroć zasypiał. Wilkunica uniosła łeb i spojrzała na niego. Jej ślepie były szkliste, przepełnione bólem.

Trzymaj się, dziewczyno, pomyślał. Straciłem już zbyt wiele, by teraz jeszcze musieć pożegnać się z tobą.

Głosy były coraz bliżej.

Pora się stąd wynosić, uświadomił sobie Corban.

Spróbował się podnieść, ale jego pierś i noga eksplodowały bólem tak ogromnym, że padł i o mało nie zemdłał z wysiłku.

Dobra, a więc chodzenie jest wykluczone.

Wysłuchał się w huk rzeki.

Kroki wśród zarośli były coraz bliższe.

Jak nas znajdą, czeka nas śmierć, pomyślał.

Zacisnął zęby i pchnął Burzę. Straszliwy ból przelewał się po jego ciele miażdżącymi falami, ale zignorował go i napiął mięśnie, by pchnąć mocniej. Wilkunica zaskamląła głośno, wręcz rozdzierająco, o mało nie kłapnęła zębami, ale Corban dopiął swego. Kilka uderzeń serca później oboje lecieli już

w dół. Ześlizgnęli się po śliskich, ostrych skałach i wpadli z pluskiem do lodowatej wody.

Prąd porwał ich natychmiast. Corban przylgnął do Burzy, desperacko usiłując utrzymać jej łeb nad wodą, prychnając i parszcząc. Odbił się od jakiegoś głazu, obrócił się w wodzie i pogrążył pod powierzchnią. Przez moment nie wiedział, gdzie jest góra, a gdzie dół, ale zdołał się wynurzyć i nabrać czystego, zimnego powietrza w płuca.

Woda uspokoiła się po chwili, a prąd ciągnął ich jeszcze przez jakiś czas, po czym wypchnął ich na skalną półkę. Po obu stronach wyrastały ściany urwiska, nie wyższe od niedźwiedzi, przed którymi uciekali.

Corban obejrzał Burzę, przekonał się, że wilkunica dalej oddycha i ułożył się obok niej, całkiem bez sił.

\* \* \*

Obudził się o świcie, mokry i drżący na całym ciele. Oddech Burzy przeszedł w wilgotne pochrapywanie. Otworzyła oczy, gdy poczuła, że Corban się poruszył, i leżała z łbem na skale, wpatrzona w niego, zbyt słaba, by się poruszyć.

Corban pogładził futro na jej policzkach i podrapał ją nad bursztynowymi oczami. Przypomniał sobie ów pierwszy dzień, kiedy odnalazł ją jako szczenię, a Ewnis stanął nad nimi i domagał się jej śmierci. Przypomniał sobie też upór, z jakim mu odmówił. Od tego dnia Burza była jego nieodłączną towarzyszką, opiekunką, pomocnicą i przyjaciółką.

Ułożył dłoń na jej piersi i poczuł trzepot serca.

Muszę sprowadzić dla niej pomoc, pomyślał. Ona potrzebuje uzdrowiciela. Potrzebuje Briny.

Jego noga była tak zdrętwiała, że zaryzykował i poruszył nią, a wówczas eksplodował w niej ból. Corban przetoczył się i z wymiotował do rzeki.

Naraz coś złapało go i szarpnęło ku górze. Zawisł nad Burzą, która uniosła łeb, wpatrzona w niego. Znowu podjechał do góry i zakołysał się. Już wiedział, że coś zaczepiło się o jego pasek.

Po kolejnym szarpnięciu znalazł się nad krawędzią urwiska, gdzie spojrzął w twarze dwóch olbrzymów. Jeden trzymał w ręku linę zakończoną żelaznym hakiem, który wysuwał z za pasa Corbana.

– Dobrze mówiłeś, że trzeba iść z biegiem rzeki – rzekł jeden z olbrzymów

do drugiego.

– Puście mnie! – wycharczał Corban.

– I jeszcze czego! – odezwał się olbrzym we wspólnej mowie. – Zafundowałeś nam wesoły pościg. Inni nadal cię szukają po całym Fornie!

– Powinniśmy przebić mu serce włócznią! – warknął jego towarzysz.

– Ildaer chce, byśmy mu go dostarczyli – rzekł pierwszy olbrzym.

– A co z tym czymś? – Drugi wskazał ruchem podbródka Burzę.

– Ja tam na dół nie schodzę. – Pierwszy olbrzym pokręcił wielką głową. – Poza tym nie ma takiej potrzeby. Już jest po niej.

Olbrzymy powlekły Corbana w górę zbocza i przez leżącą dalej polanę. Ból szalał w jego ciele z każdym ruchem nogi i każdym oddechem, ale mimo to usłyszał wycie Burzy. Było słabe i niewyraźne, ale przeciągłe i pełne rozpacz, a Corban czuł, jak serce drze mu się na strzępy.

Wnet znaleźli się między drzewami, a wtedy Corban odkrył, że istnieje rozpacz o wiele większa od tej, którą budziło w nim słuchanie słabego, gasnącego wycia Burzy.

A poczuł ją w chwili, gdy ta umilkła.

# Postaci

## Ardan

Brenin – zamordowany król Ardanu, ojciec Edany.

Brina – uzdrowicielka z Dun Carreg, pani zrzedliwego kruka Crafa. Uciekła z Edaną z rzezi Dun Carreg. Po dotarciu do Domhainu wraz z garstką towarzyszy wyruszyła z Corbanem do Murias, by odnaleźć siostrę Corbana, Cywen.

Corban – wojownik z Dun Carreg, syn Thannona i Gwenith, brat Cywen. Uciekł z Edaną z rzezi Dun Carreg do Domhainu, po czym udał się do Murias, fortecy olbrzymów Benothi w poszukiwaniu siostry. Niektórzy utrzymują, że jest Jasną Gwiazdą, bohaterem wymienionym w proroctwie.

Cywen – z Dun Carreg, córka Thannona i Gwenith, siostra Corbana. Wzięta do niewoli przez Calidusa oraz Nathaira, miała służyć jako przynęta. Ocalona przez Corbana i jego przyjaciół podczas bitwy o Murias.

Dath – rybak z Dun Carreg, przyjaciel Corbana. Uciekł z Edaną z rzezi Dun Carreg. Po dotarciu do Domhainu wyruszył wraz z Corbanem do Murias, by odnaleźć Cywen.

Edana – zbiegła królowa Ardanu, córka Brenina. W chwili obecnej wraz z Roisin oraz garścią wiernych przybocznych znajduje się na okręcie odpływającym z terytorium Domhainu.

Evnis – były doradca i zabójca króla Brenina, ojciec Vonna. Współpracuje z królową Rhin z Cambrenu. Obecnie regent Ardanu, którym rządzi jako prawa ręka królowej Rhin.

Farrell – wojownik, syn Anwartha i przyjaciel Corbana. Uciekł z Edaną z rzezi Dun Carreg. Po dotarciu do Domhainu wraz z garstką towarzyszy wyruszył z Corbanem do Murias, by odnaleźć Cywen.

Gar – stajenny, tajemny strażnik Corbana. Wojownik Jehar, syn Tukula, władcy Jehar. Uciekł z Corbanem i Edaną z rzezi Dun Carreg. Towarzyszył Corbanowi w drodze na północ, by odnaleźć Cywen.

Glyn – przyboczny Evnisa.



Meg – osierocone dziecko ze wsi na skraju mokradeł w pobliżu Dun Crin.

Pendathran – wojewoda króla Brenina, ranny podczas rzezi Dun Carreg.

Trzymany w niewoli i torturowany przez Evnisa. Uciekł dzięki pomocy Cywen.

Rafe – młody wojownik z drużyny Evnisa. Rywal Corbana z czasów młodości.

Wyszkolony na łowczego, świadek ucieczki Edany z Domhainu.

Vonn – wojownik, syn Evnisa. Uciekł z Edaną z rzezi Dun Carreg i pozostał przy niej podczas ucieczki z podbitego Domhainu.

## **Cambren**

Braith – wojownik i łowczy. Swego czasu przywódca banitów z Ciemnego Boru, a obecnie łowczy królowej Rhin.

Geraint – wojownik, wojewoda królowej Rhin.

Morcant – wojownik. Swego czasu pierwszy miecz królowej Rhin, pokonany i zastąpiony przez Conalla. Obecnie jeden z wojewodów Rhin, przekazany pod rozkazy Evnisa. Ma za zadanie pomóc mu w stłumieniu oporu przeciwko Rhin w Ardanie.

Rhin – swego czasu królowa Cambrenu. Po podbiciu Narvonu, Ardanu i Domhainu obwołała się Najwyższą Królową Zachodu. Sojuszniczka Nathaira. Posłuszna rozkazom Asrotha, Pana Upadłych.

## **Carnutan**

Belo – baron Tarby, fortecy w Carnutanie. Wuj Gundula. Nieprzychylny i podejrzliwy wobec ingerencji z zewnątrz w sprawy Carnutanu.

Gundul – król Carnutanu i sojusznik Nathaira. Syn Mandrosa, domniemanego zabójcy króla Aquilusa z Tenebralu, zgłodzonego przez Veradisa.

## **Domhain**

- Baird – jednooki wojownik z Degad, zabójców olbrzymów Ratha. W chwili obecnej przewodnik i opiekun Edany.
- Brogan – wojownik z Domhainu, przyboczny Lorcana i Roisin, jeden z tych, którzy uciekli z Edaną.
- Cian – wojownik z Domhainu, przyboczny Lorcana i Roisin, jeden z tych, którzy towarzyszą Edanie w ucieczce z Dun Taras.
- Conall – wojownik, nieślubny syn króla Eremona. Brat Haliona i przyrodni brat Coralen. Przyłączył się do Ewnisa podczas rzezi Dun Carreg. Rządzi Domhainem w imieniu królowej Rhin.
- Coralen – wojowniczką, towarzyszką Ratha. Nieślubna córka króla Eremona, siostra przyrodnia Haliona i Conalla. Wraz z Corbanem wyruszyła na północ.
- Halion – wojownik, pierwszy miecz Edany z Ardanu. Nieślubny syn króla Eremona, brat Conalla i przyrodni brat Coralen. Pojmany przez Conalla, gdy osłaniał ucieczkę Edany.
- Lorcan – młody król Domhainu na wygnaniu, syn Eremona i Roisin. Uciekł z Domhainu wraz z Edaną.
- Roisin – królowa Domhainu, owdowiała żona Eremona, matka Lorcana. Odplynęła na okręcie wraz z Edaną.

## **Helveth**

- Lothar – ongiś wojewoda Helvethu, obecnie jego władca. Morderca poprzedniego króla, Brastera. Sojusznik Nathaira oraz Calidusa.

## **Isiltir**

- Dag – łowczy w służbie króla Isiltiru Jaela.
- Fram – wojownik z Isiltiru. Pierwszy miecz króla Jaela.
- Gramm – handlarz końmi oraz drewnem, władca posiadłości na północy Isiltiru. Ojciec Orgulla i Wulfa, sojusznik Meicala.
- Haelan – zbiegły, nieletni syn króla Isiltiru, który ukrywa się przed Jaelem w posiadłości Gramma na dalekiej północy Isiltiru.
- Hild – jedna z domowniczek Gramma. Żona Wulfa, syna Gramma, matka

Swaina i Sif.

Jael – samozwańczy król Isiltiru. Sojusznik Nathaira z Tenebralu.

Kalf – domownik Gramma, szkutnik i nadzorca handlu rzecznoego Gramma.

Maquin – wojownik z Isiltiru, swego czasu należący do elitarnej grupy Gadrai. Pojmany podczas upadku Dun Kellen przez Lykosa z Vin Thalun. Jako niewolnik zmuszony do walk w jamach, był bliski wywalczenia sobie drogi do wolności. Zbiegł Lykosowi podczas zamieszek w Jerolin, stolicy Tenebralu, w dniu ślubu Lykosa. Obecnie ucieka wraz z Fidele z Tenebralu, królową-regentką poślubioną Lykosowi.

Sif – córka Wulfa i Hild, siostra Swaina.

Swain – syn Wulfa i Hild, brat Sif.

Tahir – wojownik z Isiltiru, ongiś członek Gadrai. Opiekun Haelana, nieletniego króla Isiltiru.

Trigg – osierocona dziewczynka wychowywana na dworze Gramma. W jej żyłach płynie krew olbrzymów.

Ulfilas – wojownik, przyboczny Jaela. Kapitan jego gwardii honorowej.

Wulf – wojownik, syn Gramma, brat Orgulla, mąż Hild, ojciec Sif i Swaina.

Yalric – wojownik Gramma.

## **Narvon**

Camlin – banita z Ciemnego Boru, towarzysz Edany. Uciekł z nią do Domhainu, a osłaniając jej ucieczkę na okręt, zwarł się w walce z Braithem.

Drust – wojownik, przyboczny Owaina. Dzięki pomocy Cywen uniknął śmierci podczas bitwy, w której rozbito armię Narvonu.

Gorsedd – wieśniak, który dołącza do drużyny Corbana.

Owain – król Narvonu. Dzięki pomocy Nathaira zdobył Ardan, ale po porażce jego armii w starciu z wojskami Rhin został przez nią stracony.

Teca – kobieta z leżącej na północy narvońskiej wsi, która ucieka przed Nathairem i Kadoshim i przyłącza się do drużyny Corbana.

Uthan – księżę Narvonu, syn Owaina. Zamordowany przez Evnisa na rozkaz Rhin.

## **Tarbesh**

Akar – kapitan świętych wojowników Jehar, podróżujących z Veradisem.

Enkara – wojowniczką Jehar. Jedną z Setki podróżującej z Tukulem.

Hamil – dowódca dziesiątki Jehar, których Tukul pozostawił, by strzegli Drassil i włóczni Skalda.

Javed – niewolnik i gladiator Vin Thalun.

Kulla – wojowniczką Jehar, podróżująca z Akarem. Dołącza do Corbana.

Sumur – przywódca świętych wojowników Jehar.

Tukul – wojownik Jehar, przywódca Setki.

## **Tenebral**

Alben – zbrojmistrz i uzdrowiciel z Ripy.

Atilius – wojownik z Tenebralu. Walczył wraz z Peritusem w powstaniu przeciwko Vin Thalun. Pojmany, wtrącony do niewoli, służący na galerze Vin Thalun.

Caesus – wojownik orlej gwardii, kapitan muru tarcz.

Ektor – syn Lamara z Ripy, brat Krelisa i Veradisa. Jego bracia są wojownikami, a on poświęcił życie zdobywaniu wiedzy.

Fidele – wdowa po Aquilusie, matka Nathaira. Przez pewien czas królowa-regentka Tenebralu. Lykos użył czarnej magii, by nią zawładnąć i zmusić do posłuszeństwa, a w końcu również poślubić. W dniu ich ślubu doszło jednak do zamieszek, w wyniku których urok stracił moc. Fidele dźgnęła Lykosa nożem i wykorzystując zamieszanie, uciekła wraz z Maquinem.

Krelis – wojownik, syn Lamara z Ripy, brat Ektora i Veradisa.

Lamar – baron Ripy, ojciec Krelisa, Ektora i Veradisa.

Marcellin – baron Ultas.

Nathair – król Tenebralu, syn Aquilusa i Fidele. Sprzymierzony z królową Rhin z Cambrenu. Wierzy w to, że jest Jasną Gwiazdą, tym, którego przepowiednie wskazały na czempiona Elyona. Zdołał odzyskać kocioł z gwiazdnego kamienia, jeden z Siedmiu Skarbów ze starożytnego mitu.

Pax – syn Atiliusa. Młody wojownik pojmany podczas powstania w Tenebralu. Jako niewolnik wiosłuje na galerze Vin Thalun obok swego ojca.

Peritus – ongiś wojewoda Tenebralu, a teraz przywódca powstania przeciwko

Lykosowi i jego Vin Thalun.

Valent – wojownik z Ripy.

Veradis – pierwszy miecz i przyjaciel króla Nathaira. Syn Lamara z Ripy, brat Ektora i Krelisa. Dowodzi hufcem z Tenebralu, na czele którego odegrał ważną rolę w pokonaniu Owaina z Narvonu i Eremona z Domhainu.

## **Trzy Wyspy**

Alazon – główny skutnik Vin Thalun.

Demos – jeden z przybocznych Vin Thalun, przyjaciel Lykosa.

Jayr – uzdrowiciel Vin Thalun.

Kolai – przyboczny Lykosa.

Lykos – władca Vin Thalun, pirackiego narodu, który zamieszkuje Trzy Wyspy: Panos, Pelset i Nerin. Złożył przysięgę na wierność Asrothowi, realizuje cele Calidusa. Użył czarnej magii, by zawładnąć Fidele, matką Nathaira, a potem ją poślubić.

Nella – była kochanka Lykosa, matka jego dziecka.

Senios – pirat z Vin Thalun. Był jeńcem Maquina i Fidele.

## **Klany olbrzymów**

### *Benothi*

Balur Jednooki – olbrzym Benothi, który stanął po stronie Corbana podczas bitwy o Murias. Przejął topór z gwiazdneho kamienia od Alcyona.

Eisa – olbrzymka Benothi, towarzyszka Uthasa.

Ethlinn – olbrzymka Benothi, córka Balura Jednookiego, zwana również Śniącą.

Laith – nieletnia olbrzymka, jedna z ocalałych z bitwy o Murias, która dołącza do Corbana.

Nemain – królowa Benothi. Zdradzona i zabita przez Uthasa.

Salach – olbrzym Benothi, przyboczny Uthasa.

Uthas – olbrzym Benothi, który w tajemnicy połączył siły z królową Rhin z Cambrenu. Zabójca królowej Nemain, samozwańczy władca Benothi. Marzy o zjednoczeniu klanów olbrzymów i obwołaniu się ich królem.

### *Jotun*

Ildaer – przewodca Jotun.

Ilska – olbrzymka, wojowniczką, niedźwiedzi jeździec.

### *Kurgan*

Alcyon – sługa i strażnik Calidusa.

Raina – olbrzymka, matka Taina.

Tain – młody olbrzym, syn Rainy.

### *Ben-Elim*

Meical – jeden spośród najwyższych rangą Ben-Elim, wybrany, by opuścić Zaświat i pod postacią ludzką zstąpić na Ziemię Wygnanych. Ma przygotować ludzi do nadciągającej wojny.

### *Kadoshim*

Asroth – Pan Upadłych.

Belial – kapitan Asrotha, jeden z duchów Kadoshim, który wychodzi z kotła i przejmuje ciało Sumura, przywódcy Jehar.

Bune – duch Kadoshim, który zajmuje ciało innego wojownika Jehar podczas bitwy o Murias.

Calidus – jeden z najwyższych dostojników Kadoshim, ustępujący jedynie Asrothowi. Wybrany spośród Kadoshim, by zejść na Ziemię Wygnanych i przygotować je na przybycie Asrotha. Zawzięty wróg Meicala z Ben-Elim.

Danjal – duch Kadoshim, który zajmuje ciało wojownika Jehar podczas bitwy o Murias.

Legion – hufiec duchów Kadoshim, które przejęły ciało jednego z wojowników Jehar, nim zamknięto przejście przez kocioł podczas bitwy o Murias.